



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



SLAV
5198
77

Harvard College Library



FROM THE FUND OF

CHARLES MINOT

Class of 1828

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

W Drukarni J. Sikorskiego. Warecka № 14.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 218.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1895. — Tom II.



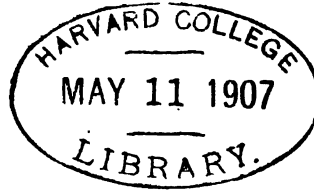
WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Nowo-Zielna Nr 49.

1895.

~~Star 70-2~~

SLAV
5198
77



Minot fund.

Доволено Цензурою.
Варшава, 28 Марта 1895 года.

NA SŁUŻBIE.¹⁾

Nazajutrz towarzystwo było zmęczone i deszcz padał dzień cały. Spacer był niepodobny. Kowzgirdowa zaproponowała wyzyskanie sił artystycznych miejscowych. Sama dla przykładu siadła do fortepianu. Grała z gustem, ale techniki zaniedbała była oddawna. Uproszono Kocię, która, wymawiając się, że była zmęczona, że miała zeszytywniałe palce, uczyniła wreszcie z siebie ofiarę. Wybrała sztukę trudną i wyczoną, grała ją dobrze, ale z wysiłkiem. Twarz jej przybierała chwilami wyraz cierpienia, natężonej pracy, wyraz niepokoju i strachu. Gra jej męczyła. Znać było, że nie płynęła z bogatego źródła talentu, lecz, że była zdobyta z trudem. To uczucie trudu i mokołu udzielało się słuchaczom pod formą lekkiego rozstrojenia nerwów. Miało się poczucie, że siły nie były dopasowane do zadania, choć je spełniały zadawalniająco. Pomimo tej poprawności, słuchacze pozostali zimnymi. Dziękowano obojętnie. Juliusz nie znalazł nic innego do powiedzenia, jak:

— Musiało cię to bardzo zmęczyć, Kociu? ,

Prędowicz wniósł głośno prośbę, by Alina grać lub śpiewać ze-
chciała. Kilka osób prosiło o śpiew.

— Co mam śpiewać? — zapytała Alina, siadając do fortepianu.

— Czy to tak można wybierać sobie, jak w składzie nut? — za-
pytał Prędowicz.

¹⁾ Patrz zeszyt marcowy „Biblioteki Warszawskiej.”

Gdy w dużym salonie zabrzmiał głos Aliny, którą tyle razy porównywano do słowika, rozeszło się wśród słuchaczy to uczucie podziwu, zachwytu, ten dreszcz artystycznej rozkoszy, którego ludzie tak poszukują. Kowzgirdowa ścisnęła ręce śpiewaczki, proszono o drugą pieśń, potem o trzecią; słuchacze byli nienasyчени. Uczucia bardzo różne wzbierały w piersi niektórych. Skierczyna nie mogła-by była może wytłómaczyć, dlaczego była niekontenta z tryumfu Aliny, ale dotknął ją niemile. Była skwaszona i miała sfałdowane czoło. Juliusz był nie tylko zachwycony śpiewem, lecz upojony powodzeniem Aliny. Milczał, nie prosił o dalszy śpiew, lecz spuszczał oczy, by ktoś z obecnych nie dostrzegł ich rozpromienionego wyrazu. Ta, którą on kochał, była piękna, była podziwiana i oto w tej chwili wzrok całego towarzystwa spoczywał na niej z zachwytem. Kocia, przyzwyczajona do tego, że bywała zwykle punktem środkowym każdego zebrania, uśmiechała się nieszczerze. W duszy pożerała ją zazdrość. Tylko co ona sama siedziała przy tym fortepianie i wstała od niego, zyskawszy tylko zdawkową monetę podziękowań dla formy, gdy teraz ta nieznajoma zbierała szczere zachwyty i upajała słuchaczy. Kocia klaskała swojemi chude mi rączkami, gdy Alina śpiewać skończyła, ale Kowzgirdowa, znająca każdy odcień w wyrazie twarzy córki, widziała, że ją coś bolało, czy obrażało.

— Ładny głos — rzekła Kocia do Juliusza, gdy ten się do niej zbliżył — ale ta panna zanadto pozuje na artystkę. Nie lubię amateerek, które sobie wyobrażają, że są prymadonnami.

Juliusz spojrzał na Kocię i przez chwilę nie odpowiadał. Spojrzeniem chciał sięgnąć do dna tej duszy, którą za piękną i czystą dotąd uważał.

— Skąd wnosisz, że panna Alina ma siebie za prymadonnę?

— Dość na nią spojrzeć. Ona przy fortepianie tryumfowała. Chciała-by nam była śpiewać bez końca.

— Tak jak bez końca grała nam wczoraj do tańca. Jest to jedna z tych natur, które chętnie rozdają ludziom to, co im Bóg dał talentu, litości, dobroci. Ona wcale nie myślała o tem, jak nam się jej śpiew wyda, ale, widząc, że nam robi przyjemność, chciała-by była przyjemność naszą przedłużyć.

— Widzę, że ma w tobie fanatycznego admiratora, ale fanatyzm zwykle bywa ślepy. Zdaje mi się, że ja lepiej dojrzałam tło charakteru tej panny, choć ją widzę dopiero od dni kilku.

— Cóż dojrzałaś, Kociu?

— Chęć absorbowania sobą wszystkich. Po prostu nie puszcza od siebie pana Prędowicza i Stefana Skierki. Mamę absorbuje swemi

rozmowami, nawet babunię Kierściową kokietuje. Typ Warszawianki, chcącej wtrącić się do wszystkiego i wszystko do siebie odnoszącej.

— Jesteś niesprawiedliwa, Kociu,—rzekł Juliusz surowo i z odzieniem gniewu, w który łatwo popadał. — Nie możesz mieć pojęcia, jaki w pannie Stamarskiej jest zupełny brak egoizmu i brak kokieteryi, o którą ją posądzasz. Zapewne przyznać musisz, że jest piękna. Otóż piękność, połączona z wyjątkowym wdziękiem, dobrocią, talentem muzycznym, musi pociągać ludzi i pociąga ich. Pociąga nawet najgrubsze natury. Pociąga służących, a zdaje mi się, że ten wdzięk widzą i zwierzęta. Psy, skacząc, obdzierają jej suknie. Nie może się od nich obronić. Niedźwiedź brudne łapy musi położyć na jej ramionach.

— Dosyć Julku, bo będę myślała, że ta nadzwyczajna panna wślawiła się tu cudami, i że, jak Daniel w lwiej jamie, poskramiać umie zwierzęta, które liżą jej nogi. Nie lubię cudowności i raczej wierzę w kokieteryę tej panny, niż w dobroć jej serca. Wyznaję też, że mi się ona mocno nie podoba i nawet nie widzę ani jej tak wielkiej piękności, ani tak niezwykłego wdzięku.

Bezdźwięczny głos Koci miał w tej chwili jakieś tony chrapliwe. Zazdrość przemawiała przez nią wyraźnie. Juliusz nie odpowiedział. Był obrażony i rozgniewany na Kocię, lecz po chwili uznał we własnym sumieniu, że ta entuzjastyczna pochwała wdzięków i przymiotów innej kobiety wobec dziewczyny, która się prawie za narzeczoną jego uważać miała prawo, była rzeczywiście dla tej ostatniej obrazą. Kocia nie była winna temu, że nie miała ani piękności, ani talentu muzycznego Aliny. A litość, dobroć? Może te przymioty posiadała w równym stopniu, jak Alina. Posądzala Alinę o kokieteryę, ale wszak jego matka czyniła to samo, jedynie na podstawie uroku, który otaczał młodą nauczycielkę. Juliusz poczuł się winnym względem Koci i chciał jej to zachowaniem się swoim wynagrodzić, ale ona była kwaśna, odpowiadała mu obojętnie i pod pozorem zmęczenia dała się matce uprowadzić i do łóżka położyć.

Prędocicz przerzucał nuty Aliny na fortepianie i swym krzykliwym głosem dopytywał ją z daleka, jakich miała nauczycieli, ile godzin dziennie śpiewała, w którym roku życia lekcye śpiewu brać zaczęła.

Ta indagacja głośna a czyniona z tą impertynencką obojętnością, która była specjalnością Prędocicza, drażniła Alinę. Dziewczyna odpowiadała z uśmiechem, ale się czuła dotkniętą do żywego. Zdawało jej się, że Prędocicz przemawiał w tej chwili do nauczycielki swego dziecka, uważając ją za osobę podrzędną w towarzystwie. Myliła się. Prędocicz przemawiał tak do wszystkich, ale dziewczyna ulegała za-

czyniała wyobrażeniom, którym podlegają wszystkie, prawie bez wyjątku, osoby, w jej położeniu będące.

— Płaci mi, a więc przyznaje sobie prawo mówienia do mnie z podniesioną głową i przymrużonemi oczyma.

Obok Aliny cierpiał także Juliusz. Przez intuicję, którą mu dawała miłość, odgadywał, co się działo w duszy dziewczyny.

— Jaki Wacław ma zawsze ton nieznośny — rzekł cicho.

Alina podniosła oczy, w których była skarga.

— Ma go dla wszystkich, panuo Alino. Tak samo przemawiał-by do każdej panny, której śpiew-by go zainteresował. Ja widzę, że pani czuje się dotkniętą, ale daję pani słowo, że on tak mówił nawet do mojej siostry, gdy była jego narzeczoną.

Obrazy Aliny były łatwe do ukojenia, Juliusz wzbudzał w niej też zaufanie tak głębokie, że nagle wszelka gorycz ustąpiła z jej serca. Spojrzała na niego wzrokiem rozjaśnionym ufnością.

— Dziękuję, że mię pan leczy z tej szkaradnej wady, którą mam niestety. Czy to sprawia wygórowana miłość własna, czy nadmierne pieszczoty moich rodziców, którzy mię od wszelkiej przykrości osłonić usiłowali, czy może wypływa to z położenia mego dzisiejszego. ale staję się obraźliwą. A stać się nią nie chcę! Moim losem jest zapewne być nauczycielką bardzo długo, może do końca życia, i muszę skłonność nieszczęśliwą udusić teraz, póki jest w zarodku, bobym nią zatruiła życie tym, z którymi-by mię los pod jednym dachem umieścił. Ale doprawdy, ta obraźliwość, to tylko odruch. Zaraz łaję sama siebie. Mówię sobie, że osoba tak szczęśliwa, jak ja, powinna z pokorą znosić małe przykrości.

— Więc pani czuje się szczęśliwą?

— O, tak! I czy nią nie jestem? Mogę pracą moją przyjść w pomoc rodzinie; byłam u ojca, który tak mię potrzebował w chorobie; za miesiąc będę wśród swoich, i jako pierwsze miejsce znalazłam dom, w którym wszyscy są dla mnie tacy dobrzy, w którym się już nie czuję obcą. Polubiłam też tak bardzo kraj ten, ludzi tutejszych... wszystko jest mi tu tak sympatyczne na Litwie!

Mówiła z żywością i uczuciem, które jej twarz opromieniło.

— Ale pani do nas tęsknić nie będzie — rzekł Juliusz poważnie i jakby surowo, gdyż w surowość ubrał wzruszenie swoje.

— Nie wiem, czy mi na tęsknotę pozwoli szczęście znajdowania się wśród swoich. Ale będę musiała wiedzieć wszystko, co się tu dzieje. Leontyna obiecała mi pisywać. Zresztą, wszak tu powrócę. Parę razy z powodu tonu pana Prędowicza myślałam zerwać z nim układ, ale to były tylko chwile. Zaraz potem czułam, jakie-by to było z mej strony szaleństwo. Ja to jestem dłużniczką jego. Doprawdy, aż mi wstydy

czasem! Wszak ja go po prostu obdzieram! Wymówiłam sobie dwa miesiące wakacyi rocznie i zażądałam płacy niepraktykowanej, bo o takiej raz tylko w życiu słyszałam. Nie wyrzucała-bym sobie tego, gdyby Miecia była mi zupełnie powierzona. Pracowała-bym tak, by zasłużyć na mój zarobek; ale gdy Vincart kieruje Mecią, a ja jej daję tylko trzy godziny lekcyi dziennie... Niech mi pan odpowie szczerze zupełnie... Czy pan nie uważa, że ja pana Prędowicza obdzieram nie-słusznie?

— Odpowiem szczerze zupełnie. Znajduję, że w tych rzeczach niema wcale normy na zapłatę. Jest tylko dobrowolna umowa, która powinna być dotrzymana. Ktoby mógł na pieniądze ocenić pracę nauczycielską? Jedni zarabiają nią bardzo mało, pomimo umiejętności i powołania... umierają wprost z głodu. Inni robią majątki. Słyszałem w Petersburgu o nauczycielce śpiewu, która za godzinę lekcyi brała 25 rubli. W zarobku pani niema nic takiego, coby panią mogło przyprowadzić o wyrzuty sumienia.

Wieczór u Radłowskich był czystym, niepodzielnym z nikim tryumfem Koci. Miała toaletę prześliczną i nawet urodą zaćmiła wszystkie inne młode kobiety. Była też bardzo wesoła, tańczyła dużo, i, jak mówiła, nie czuła się wcale zmęczoną.

Alina została w domu. Prosiła, by jej pozwolono nie jechać, gdyż dnia tego miał wrócić posłaniec z poczty i nauczycielka oczekiwała listów od rodziców.

— Wszak listy, wróciwszy, zastała-by pani — rzekł jej Juliusz.

— Ale tam nie mogła-bym doznać najmniejszej przyjemności, wiedząc, że moje listy leżą tu w Zbruczu na jakim stole, a ja nie mogę ich wziąć do ręki, otworzyć, przeczytać... Gdybym była potrzebna do grania, pojechała-bym, ale mają tam organistę.

— Potrzebna pani do tańca.

— Danserek więcej niż danserów. Oddaję przysługę gospodyni domu, nie jadąc.

— Może lepiej, że została w domu—myślał Juliusz. — Nie trzeba mi się do niej przyzwyczajać zanadto. W ostatnich dniach znowu zbliżyłem się do niej więcej, a wieczory tańczące ułatwiają rozmowę. Muszę mieć nad sobą moc, która wobec niej słabnie we mnie.

Ale mu było niezmiernie pusto, niezmiernie smutno wśród tańczących par. Wesołość Koci go drażniła, całą noc przebył z jakąś rozmarzoną tęsknotą w sercu. Muzyka, taniec, gorączkowe podniecenie czuwania w porze, w której zwykle sypiał, to wszystko złożyło się na pewne rozdrażnienie nerwowe i rozluźnienie woli. Marzył o Alinie, jak o kochance, i ją widział tylko, choć jej wśród tańczących nie było. Dopiero powrót chłodnym rankiem otrzeźwił go. Jakąż on drogą szedł,

on, który honor stawiał w życiu na pierwszym miejscu? Oto zwodził i kłamał. Pozwalał Koci przypuszczać, że była wybraną jego serca, a obok niej marzył namiętnie o innej. To była tylko myśl nie czyn, ale on przez całą tę noc nie walczył nawet z własnem szaleństwem. On był słaby, za ideał w życiu postawiwszy sobie moc nad sobą. Kochał Alinę, nie powinien był w tej miłości się lubować, lecz walczyć z nią i być silniejszym od niej.

Stefan był zupełnie zbity z tropu postępowaniem Aliny. Był pewien, że jej miłości własnej pochlebiał ogromnie, otaczając ją grzecznościami, że ona już może miała głowę nim zaprzątniętą, a ona, dla wcześniejszego odebrania listu od mamy lub od papy, poświęcała mazure, do którego ją zamawiał.

— Powinieneś być w kontrakcie wymówić sobie, żeby nauczycielka twej córki jeździła na wieczory tańczące — mówił do Prędocwicza. — To jest po prostu nieprzyzwoite, żeby taka dziewczyna zostawała w domu, gdy w sąsiedztwie muzyka gra a ludzie się kręcą.

— A co? umiem wybierać guwernantki? — zapytał Prędocwicz.

Była już siódma rano, gdy powrócono do Zbrucza. Stefan ze Zdzisławem jechali lekką bryczką i stanęli wcześniej, niż powozy, jadące trochę wolniej. Stefan miał parę kieliszków wina w głowie i Alinę na myśli, wiedział gdzie było okno nauczycielki w oficynie. Wyskoczył z bryczki, wołając, że musi pannie Stamarskiej pod oknem zaśpiewać pieśń na dzień dobry. Udrapowany w płaszcz, z kapeluszem nasuniętym na oczy, stanął pod oknem ze starem sitem, porwanem w kuchni w przelocie, i udając że uderza w tamburyno, śpiewać począł:

„Zbudź się dziewczę miłe, piosenka cię woła,
Otwórz twe okienko, rzuć okiem dokoła.”

Okno się otworzyło a w niem stanęła Vincart w czepku nocnym. Stefan, śmiejąc się, złożył Francusce niski ukłon, zdejmując kapelusz. Dopiero teraz spostrzegł, że się musiał omylić. Okno Aliny było obok.

— Czy sąsiadka pani śpi jeszcze? — zapytał po francusku.

— Wstała już. Poszła na spacer do ogrodu.

— Spaceru samotne nie przystoją młodej paunie. Lepiej gdy będzie miała towarzystwo.

Pobiegł ze swem sitem w ogród, który był zwyczajnym sadem, otoczonym wkoło stuletniami aleami lipowymi. Wkrótce po nim, tą samą aleą szedł Juliusz, który przez ogród skracał sobie drogę do owczarni. Usłyszał po chwili zdaleka głos Aliny, mówiący głośno i gniewnie:

— Proszę mi dać pokój! Nie potrzebuję niczyjego ramienia do spaceru. Niech się pan usunie z drogi i nie przeszkadza mi przejść!

Potem dał się słyszeć głos błagalny Stefana:

— Niech mi pani da tylko rękę swą pocałować! Tylko co śpiewałem jutrznię pod oknem pani; należy mi się podziękowanie. Jeżeli pani rączki nie da mi dobrowolnie, to ją sobie sam wezmę. Niech pani nie myśli o ucieczce, bo ja dogonię!

— Widzę, że pan nie trzeźwy chyba! Proszę się w tej chwili usunąć z mojej drogi, bo ja sobie znajdę obrońcę! Pan Juliusz będzie o tem wiedział!

— Aa... to Juliusz lepszy ode mnie?! Jemu pewno wolno rączkę całować, a może i buzię!

Alina wydała okrzyk oburzenia:

— O, co za nędzny człowiek! — zawołała.

— Każdy jest nędzny, kto nie może mieć tego, czego pragnie! Jabym tak pragnął jednego pocałunku. Panno, Alino!

W tej chwili obok Juliusza przebiegła uciekająca Alina a za nią Stefan, który się nagle poczuł pochwycony i zatrzymany. Za ramię trzymał go Juliusz, jakby w żelaznych kleszczach.

— Idź spać! — zawołał z gniewem — jesteś pijany, idź spać!

— Wcale nie jestem pijany, obadwaj jesteście trzeźwi i obadwaj po to samo przyszliście tu do ogrodu. Tylko że na ciebie tu czekano, a ja byłem intruzem, niepotrzebnym świadkiem!

— Jesteś pijany i głupi! — zawołał Juliusz. — Szedłem do owczarni krótszą drogą...

— Ta, ta, ta! Nie udawaj ty przede mną! Widzę ją dobrze, że między wami jest porozumienie! I wcale ci się nie dziwię! Dziewczyna jak malina! Głupi byłby ten ogrodnik, coby w swoim ogrodzie najpiękniejszych owoców nie zrywał! Złe tylko robisz, że mi nie powiesz prawdy po prostu!

— Mówię ci, jesteś zły i niemądry! Panna Stamarska jest uczciwą i zacną, i proszę cię, byś nie śmiał jej imienia z lekceważeniem wymawiać.

— Ślicznie to z twojej strony, że ją bronisz! Aleś trafił na niedowiarka! Taka Warszawianka, doświadczona, była-by bez intrygi miłosnej? O! raz się domyśliłem, że jeżeli gra ze mną rolę srodze cnotliwej, to ma kogo innego. A kogóż-by, jak nie ciebie?

— Ma mię jako przyjaciela swego, jako obrońcę, jak ci to sama powiedziała. A ty, Stefanie, pamiętaj o tem! Ze względu na nią, nie chcę awantury, nie chcę plotek i tylko cię proszę: idź spać!

Zostawił Stefana, nie rzuciwszy mu żadnej obelgi, choć jego popędlive usta drżały od gniewu. Przypomniawszy sobie jednak prośbę Aliny,

by nie robił żadnej historii, która-by ją na plotki wystawiła. Zaciśnął pięści, zmusił się do pozornego spokoju i poszedł ku owczarni.

Więc nawet w porządnym domu biedna dziewczyna wystawiona była na napaści tego rodzaju i na gorsze, niż to, posądzenia? On czuł teraz, że ten zepsuty chłopak, na którego grzbiecie miał ochotę połać laskę, którą trzymał w ręku, musiał się rozśmiać, gdy mu on, Juliusz, mówił, że jest przyjacielem i obrońcą Aliny. Ten nędznik śmiał nawet podejrzenie swoje rzucić jej prosto w oczy. Więc, by nie obudzić złośliwości ludzkiej, on, syn tego domu, w którym Alina przebywała, powinien był nie troszczyć się wcale o to, jak się z nią obchodzono, pozwolić, by ją traktowano jak dziewczynę uliczną...

Vincart widziała Stefana idącego do ogrodu na poszukiwanie Aliny, potem dziewczynę, z rozczzerwienioną i przestraszoną twarzą, biegnącą ku domowi. Z tych faktów Francuska ułożyła sobie całą historię i niewiadomo jakimi drogami doszła do tego, że między nią a Kocią rozpoczęły się jakieś szepty i zwierzenia. Te dwie istoty, nie-lubiące Aliny, znajdowały pociechę w obmowie. Każdy ruch, każde odezwanie się nauczycielki było przez nie komentowane, podchwytywane. Francuska, intrygantka z natury i mająca węż intrygantów, wiedziała, czem podrażnić Kocię. Wmawiała jej, że wszystkie czyny Aliny obliczone były na zdobycie Juliusza, który z zanadto wielkim podziwem słuchał jej śpiewu i zanadto pragnął we wszystkim jej dogadzać. Vincart wytrwale i cierpliwie pracować poczęła nad umysłem biednej Koci, której podejrzliwość, raz względem Juliusza obudzona, pracować poczęła i budować na własną rękę. Juliusz spełniał teraz przy młodej nauczycielce rodzaj straży dyskretniej a pilnej. Śledził ruchy Stefana i Prędownicza, który przeciwko zwyczajowi nie śpieszył się opuścić Zbrucza, tem bardziej, iż wiedział, że czyni tem ciągłą przykrość Skierczynie. Siedział bez końca, a nawet pod pozorem ojcowskiej troskliwości wchodził często do pokoju Aliny w oficynie podczas lekcji Mieci. Rozpierał się na twardem krześle w braku fotela, zarzucał jedno ramię na poręcz i z podniesioną głową, z przymrużonemi oczyma, nie odrywał wzroku od Aliny. Czasem przy dziecku usiłował wywołać jej zmieszanie. Podczas lekcji religii zadawał nauczycielce pytania, które ją w kłopot wprowadzały; gdy odpowiadała, uśmiechał się dowcipnie i złośliwie, patrząc tak bezczelnie na dziewczynę, że się rumieniła pod jego wzrokiem. Wśród nauki o rzeczach udawał nieświadome a naiwne dziecko i pytał, jak te dzieci, które Francuzi nazywają *enfants terribles*. Alina prosiła go parę razy poważnie, by jej nie nachodził, ale on odwoływał się wtedy do swoich praw ojcowskich i znowu wśród lekcji wchodził do jej pokoju swoim powolnym, imponującym i obojętnym krokiem. Alina nie chciała szukać

ucieczki u Juliusza. Powiedziała sobie, że zniesie natręctwo tego starego człowieka, który rzeczywiście miał prawo śledzić postępy dziecka i badać pedagogiczne zdolności nauczycielki.

Pewnego dnia, rozparty w krzesło, nie opuścił pokoju nawet po skończonej lekcji i zabranii Mieci na spacer przez Francuskę. Siedział, milcząc, ze wzrokiem obojętnym, utkwionym w twarz Aliny.

— Pani z Miecią przyjedzie do Miładówki na kilka tygodni? — zapytał wreszcie.

— Czy jest projekt, by Miecia pobyła jakiś czas przy panu?

— Tak. Chciałbym ją mieć u siebie!

— Niech więc ją pan weźmie podczas moich wakacyi. Dla mnie te nowe przenosiny były-by niezmiernie przykre i proszę, by ich pan ode mnie nie wymagał.

— Dlaczego?

— Bo i tak niedawno prześlancowana zostałam tu w nowe stosunki... pan wie, że roślina cierpi przy przesadzaniu... człowiek także... niech ja już Miładówki nie poznaję i nie przenoszę się do niej.

— Więc nie miałem szczęścia zasłużyć na łaskę pani!

— Ah, mój Boże, co za dziwny styl! Czy pan potrzebuje mojej łaski?

— Potrzebuję, proszę o nią i nie mogę otrzymać. Panno Alino, co mi pani ma do zarzucenia?

— Pan w istocie dziwnie ze mną postępuje. Jestem ciągłym przedmiotem żartów, docinków, podszczuwań! Drażni się pan ze mną, usiłuje pan wyprowadzić mnie z cierpliwości... mówi pan czasem do mnie, jak do garderobianej, a czasem znowu prawi mi pan tak zwane grzeczności. Ja jestem obrażliwa, nie mam dostatecznego spokoju, łatwo się jątrzę, niektórzy utrzymują, że jestem egzaltowana... czasem nie umiem brać rzeczy podług ich rzeczywistej miary i dlatego nie mogę przebywać pod dachem pana.

Alina mówiła z żywością, z błyszczącymi oczyma, z lekkim drżeniem delikatnych nozdrzy. Stała przed Prędowiczem wyprostowana i dumna, a on patrzył na nią z ironicznym uśmiechem, nie przerywając, pozwalając potokowi jej słów płynąć bez przeszkody.

— Ja już nie jestem taka młoda — mówiła dalej Alina — piętego maja skończyłam lat dwadzieścia cztery. Bardzo dużo bywałam w świecie... widywałam różnych ludzi, ale nigdy nikt nie obchodził się ze mną tak, jak pan się obchodzi. W obecności pana, od pierwszej chwili czuję się ciągle obrażoną... Wskutek nagłej obrazy zaproponowałam panu płacenie mi tej wygórowanej pensyi, sądząc, że pan propozycji nie przyjmie... Gniewam się na siebie, usiłuję wejść w moją rolę biednej dziewczyny, obcej wśród obcych, a nie mogę! Odczuwam

w panu lekceważenie dla siebie, które mi jest nieznośne. I dlatego wystawiać się na nie nie będę i do Miładówki nie pojedę.

— To wszystko jest kategoryczne i wyraźne. Imponuje mi wiek pani. Dwadzieścia cztery lata skończone piątego maja! Nie wiedziałem o tem i grzeszyłem brakiem uszanowania. Poprawię się, skoro już wiem. Nie wiedziałem też, że pani obraźliwa. Doprawdy, wygląda pani na bardzo pobłażliwą na ułomności ludzkie... Pani się jeszcze namyśli co do Miładówki. Jest to może dyabelska siedziba, ale dyabeł nie zawsze bywa taki straszny, jak go malują, a malują go tu w Zbruczu na czarno, to wiem.

Alina, unikając Prędowicza i Stefana, garnęła się często pod skrzydła miłej i rozumnej Kowzgirdowej, lubiła też znajdować się w kółku, które otaczało Kierściową. Prawdopodobna staruszka, otoczona czią ogólną, miała dla niej urok prawie równie silny, jak matka Koci. Kierściowa, wyprostowana, w białym czepeczku, wiązany pod szyję, z oczami, których żywości mogła jej niejedna młoda pozazdrościć, miała na każdą swą myśl oryginalne orzeczenie, a słowa jej budziły wiarę niezachwianą. Żywość jej uczuć była tak wielka, że zdawała się być jedyną sprężyną tej istoty, która jadła tak mało, że się dziwić trzeba było, iż o tej odrobinie pokarmu żyć mogła, spała zaś tylko trzy godziny na dobę. Podejmowała się całe życie wszystkich nawróceń w rodzinie, wszystkich delikatnych interesów do przeprowadzenia, nie bała się dotknięcia do żadnej rany. Był to duch pocieszyciel, ale i sędzia zarazem. Teraz w Zbruczu pracowała nad obudzeniem jakiejś iskry życia w starym Skierce, uciekającym z kartami do własnego pokoju po odmowie Stefana i Zdzisława, którym z błyszczącemi żądzą oczyma proponował partję i grubą grę, bo on miał pieniądze... niech przypadkiem nie myślą, że ich nie miał. Do pokoju Skierki, do którego nikt nigdy nie zaglądał, chodziła teraz babunia Kierściowa i zmuszała starego do rozmowy. Mówiła mu o żonie i synu, o ich życiu pełnem trudów. Namawiała go do zajęcia się czemś także. Czemu nie chodził do ogrodu, do pasieki? Czemu nigdy nie pytał syna o interesa, o gospodarstwo? Skierka wybuchał wtedy jak długo śpiący wulkan. Żonę swoją obrzucał oszczerstwami. Ona zagarnęła jego majątek, gdyż ją wziął ubogą zupełnie, syna wychowała w pogardzie dla ojca. Oni dwoje, to byli stróże więzienni!

Wtedy babunia Kierściowa kładła na ramieniu Skierki przezroczystą jak opłatek rękę i mówiła do niego, jak gdyby była jego sumieniem. Zagarnęła majątek? Czyby go było zostało choć okruc, gdyby

nie ona? Czyby w tej chwili on, Skierka, miał dach własnego, starego domu nad głową?

— Ale miałbym swobodę! Teraz ja jestem, jak pies trzymany na uwięzi, któremu przynoszą jedło i rzucają kości, ale łańcucha mu z szyi nie zdejmują!

Kierściowa brała też na stronę Skierczynę. Mówiła jej, że nawet życie pożyteczne, piękne, pełne zasługi i poświęcenia, powinno być opromienione przebaczeniem i miłością. Ten stary, nieszczęśliwy grzesznik potrzebował też czasem dobrego słowa... czasem uśmiechu... że twarz wiecznie surowa, to kara strasznie ciężka... wreszcie karę i sąd trzeba zostawić Bogu. My ludzie nie mamy prawa sądzić i karać... chrześcianka powinna umieć przebaczyć.

Skierczyna całowała babunię w rękę, ale nie dawała się ugiąć. Ona nie była w stanie udawać, a względem męża obowiązki spełniała. Nie kochała go i nie mogła mu przebaczyć! Więc ani uśmiechów, ani dobrego słowa nie dawała i nie da nigdy, ale dbała o jego wygodę i zdrowie. Nie pozwalała mu grać ani pić, musiała go trzymać jak więźnia... los jej jednak, jako katar, nie był godniejszym zazdrości, niż los tego człowieka, któremu przeszkadzała rujnować rodzinę do końca.

Babunia Kierściowa nie dawała za wygraną. Nazajutrz znowu powracała do szturm, wlepiając w twarz surowej kobiety swoje gorące oczy.

Do młodych mówiła: „kochaneczko” i „kochaneczku”, do starszych: „moja duszo.”

— Jednej rzeczy zazdroszczę panu — rzekła raz Alina do Juliusza. — Zazdroszczę panu babuni Kierściowej. Takie relikwie posiadać by powinna każda rodzina. Ta staruszka wzbudza takie zaufanie, taką cześć, że się aż człowiek lepszym czuje przy niej. To taki spowiednik, do którego poszło-by się z każdym grzechem i po radę w każdej wątpliwości. Przytem, gdy się na nią patrzy, pragnęło-by się życiem własnem zasłużyć na starość taką.

— Babunia Kierściowa, Skierczanka z domu, była bardzo nieszczęśliwa w życiu. Miała kilkoro dzieci, które straciła, pochowała też męża po kilku latach pożycia. Nie mając rodziny bliższej, stała się opatrnością, duchem opiekuńczym rodziny dalszej. Gdy się jest w położeniu moralnem bez wyjścia, posyła się po babunię Kierściową. Co ona musi mieć tajemnic cudzych do ukrywania, co intryg świętych do przeprowadzenia! Czy nie powiedziała pani jeszcze żadnej prawdy? Bierze zwykle podsądnego za rękę, patrzy na niego temi oczyma, które zaglądają aż na dno duszy, i mówi: „kochaneczku, jesteś próżniak”, lub „kochaneczku, ty kłamiesz.” Ona sobie już pewno zakarbowała na pa-

nią różne rzeczy i nie wyjedzie stąd, nie powiedziawszy pani: „kochaneczko, jesteś...”

— Jakże ja się cieszę! jak się cieszę! Niech mi ten spowiednik w ciele starej kobiety powie moje grzechy, moje wady!

— Cóż będzie w takim razie z obrażliwością, do której się pani poczuwa?

— Gdy się do mnie mówi z serca, ja wszystko przyjmę! Nawet gotowam przyjąć na klęczkach!

— Ja już wiem, co pani powie babunia Kierściowa: „kochaneczko, jesteś egzaltowana.”

— W czym, babuniu?

— W miłości swej dla rodziny, w uczuciach wogóle.

— Babuniu, czy można kochać zanadto rodzinę swoją, ojca, matkę, rodzeństwo, dwie siostrzyczki, które kąpano po urodzeniu w małej wanience, a na tę pierwszą kąpiel już patrzyła ich starsza siostra... druga matka.

— Kochaneczko, ty zanadto tęsknisz za temi siostrzyczkami. Ci, z którymi żyjesz, mogą nawet czuć żal za to, że twoja dusza mieszka wiecznie gdzieś daleko. Ucieka do jakichś dzieciennych kołyszek ..

— Babuniu, nie mogę inaczej, muszę do nich tęsknić, ale mogę kochać także i tych, z którymi żyję, i mogę być wdzięczną za wszystko, za wszystko!... za każde dobre słowo, za każde dobre spojrzenie!... mogę czuć każdy, najlżejszy dowód życzliwości... każdy odcień sympatii...

Mówiąc to, Alina podnosiła ku Juliuszowi wejrzenie pełne wdzięczności i, podczas gdy usta jej śmiały się jeszcze z zabawy w babunię i „kochaneczkę”, oczy miały błysk łzawy, który je w dwie gwiazdy przemieniał.

Juliusz odwrócił oczy od pięknej dziewczyny, w której wzroku wzrokiem utonąć nie miał prawa i w tej chwili spotkał spojrzenie Koci, utkwione w Alinie. W spojrzeniu tem była złość, była zazdrość, była nienawiść. Juliusz zamyślił się nad niem, jak nad zagadką. Dlaczego Kocia miała-by z niechęcią patrzeć na Alinę? Czyby miała przeczuwać, co się w jego sercu działo? Drugie takie wejrzenie pochwycił, gdy nauczycielkę uproszono, by śpiewała, i gdy w salonie rozległy się pierwsze, szerokie, spokojne tony tęsknej pieśni, które od razu przykuły uwagę i serca słuchaczy.

W następną niedzielę całe towarzystwo pojechało do kościoła, a po nabożeństwie odbyło rodzaj pielgrzymki do grobów rodzinnych Skierków. Alina, unikając natręctwa Prędowicza i Stefana, podała rękę Kierściowej, gdyż staruszka, idąc na cmentarz, pod górę, potrzebowała podpory.

— Gdym była w twoim wieku, kochaneczko — mówiła staruszka — otaczali mię ludzie, którzy już prawie wszyscy teraz leżą pod ziemią. Co to moich najdroższych i moich znajomych pokładło się do wiecznego snu. Jestem jak stara sosna, pozostała sama jedna po wyciętym lesie... Kilkoro z tych, co tam leżą, ja tak pamiętam, jakbym w tej chwili na nich patrzała! A oni są już oddawna prochem tylko!

Cale towarzystwo nklękło na kamieniach, pokrywających lochy, będące ostatniem schronieniem rodziny Skierków. W grobach tych leżało 46 osób różnego wieku i płci. Smutek głęboki zaciężył nad tymi, co żyli, przy wspomnieniu o umarłych. Szczególniej starsi nie mogli oprzeć się myśli, że wkrótce staną się też mieszkańcami tych podziemi. Alinę smutek chwycił za serce z powodu staruszki, którą prowadziła. Ku tej istocie grób wyciągał ramiona. Może za rok, najdalej za lat parę... A potem, po niej, powoli, do tych samych podziemi zastępować zaczął ci wszyscy, co w tej chwili tu klęczeli. I ci młodzi Skierkowie, tak pełni życia i młodości, i Kocia, do rodziny Skierków wchodząca, i Juliusz... Serce Aliny ścisnęło się. Ile łez, ile łez obleje jeszcze te kamienie!

Kiersciowa dała znak do powstania z klęzek, podnosząc się i odchodząc powoli, wsparta na ramieniu Aliny. Zdawała się być cieniem, wyszłym z jednego z grobów cmentarza. Posuwała się cicho, a wśród szlerek białego czepka, wśród bladego jak opłatek oblicza, tylko dwoje oczu błyszczało nieobeschłemi jeszcze łzami, które wylała, odwiedzając drogich krewnych, przez jej wzrok sięgający w przeszłość widzianych tak dokładnie, jakby przed nią stali. Gdy już była blisko czekających powozów, zwróciła się nagle żywo, widocznie pod wpływem nagłej myśli, i zawołała:

— Julku!

Juliusz, idący obok Kowzgirdowej, podbiegł śpiesznie do staruszki. Zaledwie była ona przekroczyła bramę cmentarza i widzieć jeszcze mogła pomniki, stojące na grobie swych przodków.

— Prawda Julku — poczęła żywo i namiętnie — że ty słyszysz, co oni do ciebie mówią z grobu? Prawda?

Milczała chwilę, potem mówiła dalej:

— Ty czujesz, — mówiła — że związek między tobą a nimi nie zerwany..., że oni złożyli się na to, czem ty jesteś..., oni pracowali na to, co posiadasz..., zostawili ci spuściznę... ze spuścizną święte obowiązki... Julku, świat zapomina o umarłych, rodzina o nich zapomina... depce się obojętnie po ich grobach... ale niech przynajmniej nie depce obca noga! Niech choć raz do roku zbiera się rodzina, jak my dzisiaj! Od ciebie to zależy, na tobie to spoczywa! Ja między nimi znajduję się wkrótce... jużbym tam być powinna... mogę w ich imieniu przemawiać,

bom już prawie ich... Za nich i za siebie cię proszę!... Wiem, że ci to przyjdzie z trudem, ale tylko strudzonym spoczynek jest miły... a gdy nastanie twoja kolej, pójdiesz między nich bez wstydu na czołe!

Prędownicz, który był wyjechał na dni parę, zjawił się znowu w Zbruczu i najniespodziewaniej stanął przed Aliną, w chwili gdy lekcję kończyła.

— Przybywam z propozycją — rzekł zwykłym swym tonem — pani nie chce być w Miładówce przez parę tygodni, może się pani zgodzi przyjechać tam na stałe, na zawsze!

Alina spojrzała zdziwiona, pytając wzrokiem.

— Jestem samotny, samotność mi ciąży... Czy pani zechce zostać moją żoną? Stary jestem, wiem to... pani-by wolała młodszego, ale pani jest nauczycielką, czyli osobą zależną. Ja pani ofiaruję niezależność, dostatek... Niech mi pani nic nie odpowiada dziś... niech się pani namyśli... Wiem, pani pracuje dla rodziców... Otóż ja, gdy pani żoną moją zostanie, przeznaczę dla nich rocznie kwotę, jaką pani wskaże, i zobowiązę się płacić ją regularnie.

Alina stała przed Prędowniczem zdumiona, zaczerwieniona, oniebiała.

— Nigdy mi na myśl nie przyszło — wyjąkała wreszcie — ależ to niepodobiestwo!... pan chyba żartuje!

— Mówię najpoważniej. Wychowa mi pani Micię, ożywi mi pani dom... A że pani jest piękna i młoda, ja zaś stary, więc przedstawiam korzyści...

— Ja jeszcze zrozumieć nie mogę! Ja żonę pana?

— Dam rodzicom pani cztery tysiące rubli rocznie.

— Zawsze? do końca? nawet gdybym ja umarła?

— Nawet wtedy. Ale w wieku pani nie mówi się o śmierci.

— Ale się czasem umiera. Więc nawet po mojej śmierci...

— Dam im od razu sumę odpowiadającą temu dochodowi.

— Tylko że mój ojciec by tego nie przyjął!

— Znajdziemy sposoby... upozorujemy... wymyślimy coś, co pozwoli ojcu pani przyjąć... Może jako mój plenipotent... Pani w takim razie miała-by ojca o parę mil, w jednym z moich folwarków.

— Pan mię kusi jak szatan! — zawołała Alina, załamując ręce. — Ale pan-by był dla niego ostry, szorstki, bezwzględny!

— Jego prawa moglibyśmy obwarować. Ja nawet rzeczywiście bardzo potrzebuję pocziwego a zdolnego człowieka. W moim interesie było-by stworzyć mu pozycję, z której-by był zadowolony.

— Niech mię pan zostawi samą! Niech ja się opamiętam! Doprawdy nic nie rozumiem! Skąd to panu na myśl przyszło! Ja potrzebuję nad tem się zastanowić!

Ale, nawet gdy się znalazła sama, nie była zdolna ani dobrze zrozumieć, ani spokojnie się zastanowić. W głowie jej był chaos. Ofiarowano jej spokój rodziców i wychowanie młodszego rodzeństwa, ale za jaką cenę? Pójść za Prędowicza! Zostać żoną tego człowieka! Tego ani jeszcze objąć umysłem, ani odczuć należycie nie umiała. To była jakaś taka niemożliwość, która się w jej głowie pomieścić nie była w stanie. Była cały dzień oszołomiona. Dziwnego konkurenta swego nie zastała u stołu. Wstąpił był tylko w przejeździe przez Zbrucz, a może chciał, by projekt, rzucony w umysł Aliny, dojrzał spokojnie, bez nacisku, jaki sama jego obecność wywierać-by musiała. Alina nie słyszała prawie, co się w koło niej mówiło, zaledwie odpowiadała na zapytania. Stefan Skierka, ciągle do niej się zwracający, dostrzegł, że była inna, niż zwykle.

— Pani dziś musiała otrzymać list od *niego* — szepnął jej — i to panią uniosło gdzieś daleko. Pani jest tak rozmarzona... słucha pani tylko własnej myśli.

— Ah, prawda! Czasem myśl własna jest człowiekowi taką nowością, takim dziwem, że prócz niej nic nie widzi i nie słyszy.

— Chodzi o *niego*, wszak domyśliłem się?

— Tak, o *niego* niestety.

Pod wieczór niepokój Aliny wzrastał tak widocznie i tak silnie, że na prośby, by śpiewała, odpowiadała odmową.

— Tak lubię śpiewać i tak lubię być słuchaną, ale mam dziś jakieś zaciśnięte gardło.

Podnosiła ku proszącym o śpiew swoje prześliczne oczy z wyrazem błagania.

— Artystka nieusposobiona — szepnęła Kocia do Zdzisława — jej poetyczna dusza choruje dziś na brak natchnienia.

— Może Stefan mógłby nam objaśnić przyczynę tej niedyspozycji — rzekł Zdzisław — on musi być wtajemniczony.

— Zdaje mi się, że i Juliusz mógłby być niezgorzej poinformowany — rzekła Kocia z przekąsem.

Alina tymczasem dostrzegła, że Juliusza nie było w pokoju, wybiegła więc i znalazła go w bocznym ganku, rozmawiającego z jakimś interesantem.

— Potrzebuję rady, — rzekła mu po francusku — potrzebuję, by mi ktoś powiedział, co mam czynić, gdzie leży mój obowiązek, i udaję się do pana. Pragnę dziś jeszcze pomówić z panem spokojnie i na osobności... tak, by nas nikt nie słyszał.

— Niech się pani znajdzie w ogrodzie, gdy się wszyscy po kolacyi rozejdą — odparł Juliusz też po francusku — albo nie!... toby mogło wywołać komentarze... przyjdziemy więc oboje do salonu. Każę zostawić lampy zapalone. a gdyby wszedł Winceś, mamy język, którym teraz mówimy.

Gdyby Alina i Juliusz byli mniej zaabsorbowani, byłiby spostrzegli, że ich słuchała Vincart. Stała za grabowym płotkiem, za którym był ogródek Mieci. Dziecko pracowało w nim, a raczej pracowała Vincart, lecz usłyszawszy mowę rodzinną, nastawiła ucha. To, co usłyszała, wydało jej się monstrualnem. Budowała dotychczas gmach podejrzeń w powietrzu, na jakichś wymarzonych fundamentach, a może tylko wietrząc węchem intrygantki miłość w sercu Juliusza. Teraz wydało jej się, że do tego gmachu znalazła podstawy. Była cała drżąca ze wzruszenia. Nienawiść do tej dziewczyny, która zyskiwała coraz większy wpływ w domu, u której Prędowicz przesiadywał, do której dziecko biegło z ochotą, która już może-by mogła, gdyby chciała, sprowadzić oddalenie cudzoziemki, ta nienawiść znajdowała w tej chwili nic, za którą chwycić mogła. Francuska była niezmiernie wzruszona. Co miała zrobić z pochwyconą w lot tajemnicą? Jak tu wykryć podstęp Aliny i zgubić ją w tym domu, zmusić, by go opuściła? Vincart siadła na ławeczce darniowej, którą sama dla Mieci zrobiła, i poczęła umysłem pracować. Czy miała rzecz wykryć pani domu? Syn jednym słowem mógł się usprawiedliwić, upozorować schadzkę jakąś posyłką na pocztę... Skierczyna mogła całą rzecz zatrzeć, by nie sprowadzać skandalu na głowę syna. Kowzgirdowa? Wyglądała ona na osobę niewierzącą w zło wogóle, a pragnącą oszczędzić córce wzruszeń. A więc Kocia lub Stefan Skierka. Po namyśle postanowiła powtórzyć Koci, co słyszała, a nawet powiedzieć jej tylko po prostu, że w jakiś czas po rozejściu się wszystkich, Juliusz i Alina znajdą się w salonie.

Okolo północy Juliusz zastał Alinę w oświeconym jeszcze salonie, zasuniętą w fotel, zamysloną, z twarzą napiętnowaną wzruszeniem. Na jego widok zerwała się z siedzenia.

— Dobrze, że pan przyszedł, bo mię niepokój i niepewność do szaleństwa przyprowadzają! Jestem bardzo złą córką! Mówiłam zawsze, w najlepszej wierze, że z radością życie bym za nich oddała, a teraz się waham i rozpacz mię ogarnia! Mogła-bym ojcu memu zapewnić starość spokojną, połączyć go z rodziną, a oto widzi mię pan pełną niechęci i odrazy do tej ofiary. Moje usta nie chcą pić kielicha. Samolubny wstręt stoi we mnie silniejszy, niż moja miłość dla rodziny!

— O cóż tu chodzi? Wstręt do czego? Do jakiego kielicha?

— Pan mi powie, pan mi wskaże drogę!... pan mi wytłómaczy moje własne uczucia! Dziś rano pan Prędowicz oświadczył się o moją

rękę! Za to, żebym została jego żoną, daje mi zapewnioną starość moich rodziców, a ja nędzna, ja samolubna, waham się!

Po policzkach Aliny płynęły łzy, usta jej drżały, była tak wzruszona, że mówić nie mogła.

— Niech się pani uspokoi — rzekł Juliusz. — Usiądźmy tu, przy tym stole... pomówimy i zobaczy pani, że się pani wahać przestanie.

Alina odsłoniła nagle twarz, oczy jej oschły i strzelił z nich błysk przestachu i grozy.

— Więc mam przyjąć? — zawołała — mam pójść pod dach tego człowieka? Ja przeczuwałam, że mi pan to powie. Tak, osobiste szczęście na bok! Pan byłby zdolny uczynić to spokojnie, bo pan o tyle, o tyle lepszy ode mnie!

— Ależ panno Alino, mamy mówić spokojnie, a wyobrażnia pani galopuje naprzód.

— Bo ja wiem, bo ja czuję, że jestem tylko nędzną egoistką! Znam zresztą zasady pana. Miłość, szczęście osobiste, to plan drugi, to nawet plan trzeci w życiu!

Juliusz wziął ręce Aliny i w tej chwili uczynił to ze współczuciem brata.

— Co za egzaltowane dziecko! — rzekł głosem miękkim i cichym. — Kiedy się przychodzi po radę do przyjaciela, to się przecie powinno tej rady wysłuchać. Więc Wacławowi zachciało się włączyć sobie panią jak swoją, na zawsze?

— Nie mogłam temu wierzyć z początku, ale w końcu uwierzyć musiałam. Dziwny człowiek! Usiłował ciągle czynić mi przykrości, a potem nagle...

— Ma drugie tyle lat, co pani.

— O, toby nie było nic! Poszła-bym, gdybym go mogła szanować, mieć do niego sympatyę. Pan Stefan Skierka jest młody, a doznawała-bym tego samego wstrętu, gdybym miała zostać jego żoną!

— Dziwny człowiek! Nie rozumie tego, że takie kupienie sobie szczęścia w jego wieku jest szaleństwem!

— Zostawił mi czas do namysłu. On czuje, że ja się zgodzić powinnam! Byłoby to dobrem dla mojej rodziny, byłoby dobrem dla Mici! Raz przecie-by się bać i kłamać przestała! Temu dziecku tak potrzeba miłości i szczęścia!

— A pani miłości i szczęścia nie potrzeba?

— Wszak mówiliśmy, że się bez tego obejść można, byle żyć dla idei, dla jakiegoś szlachetnego celu!

Jakiś uśmiech gorzki przemknął po ustach Juliusza.

— Tak pani. Takie jest moje przekonanie i niem się w życiu kierować zamierzam. Mam nadzieję, że sił mi na to stanie. Wszakże

dotąd myślałem, że poświęcenie siebie idei pogodzić można zawsze z prawdą uczucia. W tym razie wszakże nieszczęście pani było-by jednocześnie upokorzeniem i upadkiem moralnym, i dlatego sędzę, że pani takiego poświęcenia nawet dla rodziców czynić nie ma prawa. Całe życie pani było-by ciąglem pasmem kłamstw. Pani nie lubi Prędownicza, a może pani serce kto inny posiada?

Przy tych słowach głos Juliusza zadrżał i przeszedł w tony basowe.

— Nie, nie kocham nikogo. Jestem wolna.

— I nie kochała pani nigdy?

— Śmiało mogę powiedzieć, że nigdy! Może nie jestem zdolna do miłości.

Juliusz odetchnął, jak gdyby jakiś niezmierny ciężar był mu spadł z ramion.

— Przepraszam za te zapytania — ozwał się. — Były one wysoce niedyskretnel

— Chętnie odpowiedziałam panu i byłabym również chętnie wyznała przed panem, że noszę w sercu tajemną miłość, gdybym jej rzeczywiście doznawała. To właśnie moje nieszczęście, że na wytłómaczenie się sama przed sobą nie mam nawet tej wymówki, że kocham innego. Mogę iść za pana Prędownicza, nie czyniąc nikomu niewierności, nawet we własnem sercu. Tylko się wszystko we mnie zżyma na myśl, że mogła-bym się stać blizką temu człowiekowi!

— To też mu się pani blizką nie stanie! Ja na to nie pozwolę! Nie pozwolę w imię przyjaźni! Wszystko zaprzedać można, prócz szacunku dla samego siebie, prócz sumienia.

— Kiedy ja pana nie rozumiem — rzekła Alina ze zniechęceniem. — Nie rozumiem, dlaczego zaprzedać-bym miała sumienie i szacunek dla samej siebie, gdybym, idąc za Prędownicza, uczyniła to wyraźnie i otwarcie, tylko jako poświęcenie dla rodziny!

— Bo pani przysięga-by miłość, dając wstręt, bo pani zaprzedała-by swoją duszę kłamstwu i obłudzie! Uściski i uśmiechy pani, kupione za złoto, były-by hańbą i wstydem! Uczyniła-by pani to samo, co czynią nieszczęśliwe, sprzedające się temu, co płaci więcej, słowem uczyniła-by pani rzecz ohydną: frymarkę swej młodości i wdzięku za pieniądzel Niech mi pani wierzy, że lepsze ubóstwo całej rodziny, niż taka nędza jednego z jej członków! Czy ojciec pani mógłby być szczęśliwym, widząc panią w mocy starego, zgryźliwego, skąpego i samolubnego Prędownicza?

Juliusz mówił z zapalem i z wielką siłą, która splaywała na Alinę, jako ukojenie i ucieszenie jej wzburzonych uczuć. Patrzała też na mło-

dzieńca jak na zbawcę, a jej chmurne przed chwilą oczy rozjaśniały się w miarę, jak mówił.

— Prawda — zawołała wreszcie — prawda! Ja tego wszystkiego nie widziałam! Nie mam prawa skazywać mojej duszy na ciągły grzech! Duszy zaprzedać mi nie wolno! Dziękuję, że mi pan oczy otworzył, i że wyjdę stąd spokojna, jak dawniej! Co to za szczęście, że ja pana tu mam, że mogłam wypowiadać się panu, jak bratu! Dobranoc! Przepraszam, że panu spać nie dałam! Dziękuję, dziękuję z całego serca!

Podawała obie ręce Juliuszowi. On zatrzymał je dłużej nieco, mówiąc:

— To ja dziękuję za zaufanie... A teraz niech biedne, strapione dziecię idzie do siebie... splekane oczy potrzebują snu...

— Dziecko pójdzie, bo jest posłuszne! O, co za rozkosz być posłuszną, gdy się komuś ufa bez miary, gdy się w czyjąś sprawiedliwość i uczciwość wierzy! Rozmawiałabym tu z panem bez końca, a przecież koniec rozmowie położyć trzeba i uciekać od tej pokusy gadulstwa.

Gdy Alina wyszła, Juliusz patrzył przez chwilę na drzwi, za którymi zniknęła, potem, zamiast pogasić światła i udać się na spoczynek, począł chodzić po salonie ze spuszczoną głową. Przed chwilą wołał na Alinę, że nikt nie ma prawa zaprzedać duszy, a wszakże to samo miał zamiar uczynić, z dodatkiem tej podłości, że nie mógł, jak ona, powiedzieć: moje serce jest wolne, nie kocham nikogo. Prędocież był stary, Kocia była młoda i przystojna, to wszakże zmieniało położenie bardzo nieznacznie...

Chodząc po salonie, doznał naraz lekkiego magnetycznego wzruszenia, które się ma, gdy powstaje w nas świadomość, że czyjeś oczy na nas patrzą. Rzucił okiem na szyby ciepłarni, znajdującej się obok salonu i wydało mu się, że liście begonii, widoczne od oświecenia salonu, poruszyły się. Otworzył prędko drzwi i uciekającą białą postać pochwycił.

— Kto tu jest? — zapytał surowo.

Już czyniąc to zapytanie, poznał był Kocię, która stanęła w dumnej postawie i sztywna, nieruchoma, patrzyła na Juliusza, milcząc.

— Co tu robisz, Kociu? pociąg tu przyszła? Górne okna w oranżeryi na noc otwarte, chłodno tu jest, możesz się zaziębić. Czemu nie spisz o tej porze?

— Co ja tu robię, pytasz? — zawołała popędliwie Kocia. — Ostrzeżono mię o schadzkę, którą tu miałeś mieć z tą guwernantką i przyszłam się przekonać naocznie! Czy się temu dziwisz? Wszak mam zostać twoją żoną, zatem mam prawo wiedzieć!... Mówiono mi już oddawna, że ta podła istota ułożyła w swej przemądrej głowie, że nie opuści

domu, w którym jej wygodnie i dobrze, że zostanie tu jako twoja żona... Wierzyłam temu, o, wierzyłam zupełnie, ale nie miałam dowodów! Teraz je mam!

Zaniosła się spazmatycznym płaczem, który jej chudą postać wstrząsnął, jak w ataku febry.

Juliusz, w którym wrzał gniew, poczuł nagle litość dla tej istoty niekochanej, która się o swoje prawa upominała.

— Biedna Kociu — rzekł poważnie — wprowadzono cię w błąd i wystawiono cię tym sposobem na śmieszość. Panna Stamarska nie myślała nigdy i nie myśli o zawróceniu mi głowy. Coby jej było po mnie? Gdyby jej chodziło o dostatek, mogła-by go mieć i wcale inny, niż w naszym biednym domu!

— Nie oszukuj mię, nie oszukuj! — zawołała Kocia z gniewem w żrenicach — chcesz ją obronić i kłamiesz, ale ja nie uwierzę! Nie naczyna się schadzek nocnych młodemu człowiekowi, gdy się nie ma względem niego zamiarów...

Juliusz ruszył ramionami.

— Nie podgląda się i nie podsłuchuje, gdy się ma duszę szlachetną!

— Więc to ja jestem nikczemna, a ona ma duszę szlachetną!

— Tak, Kociu. Ona ma duszę piękną, jak jej postać cała, a ty jesteś dzieckiem, które się dało przez jakąś rękę podstępłą wprowadzić na drogę fałszywą. Jeżeli chciałaś się czegoś dowiedzieć, dojść czegoś, to trzeba było po prostu mię zapytać.

Kocia rozśmiała się szydersko.

— Ciebie zapytać? Wszak mi mówisz o piękności jej duszy i czystości zamiarów, a ja wiem, że to intrygantka. Powiedz mi, dlaczego cię wezwała na tę nocną rozmowę i dlaczego obie ręce w twoje ręce złożyła, a tyś je trzymał i pieścił.

— Kociu! — zawołał Juliusz gwałtownie — trzymałem jej ręce w swoich, jak ręce przyjaciółki, alem ich nie pieścił jak kochanek! Nie mam prawa powiedzieć ci dlaczego rozmawiałem z nią tutaj, ale rzecz ta nie miała nic wspólnego z kokieterią. Była to sprawa ważna, w której panna Stamarska chciała zasięgnąć mojej rady.

— Przecież ma rodziców na to, by jej służyli radą! Proszę cię Julku, przynajmniej nie mów mi nieprawdy!

— Więc mi nie wierzysz? Kociu, gdy się kogoś bierze za męża, trzeba koniecznie ufać mu i wierzyć. Bez takiej wiary nie może być szczęścia.

— Cóż zrobić, gdy się tej wiary nie ma?

— Zerwać wszelkie zobowiązania, zwrócić słowo...

Kocia płakała znowu gwałtownie.

— Jak ty to łatwo mówisz — wyjąkała szlochając — zerwać... coby powiedzieli ludzie... cała rodzina... od lat tylu myślę o tobie, jako o przysłym mężu...

— Ale mię masz za kłamcę! Nie możesz ufać mojemu słownu, podejrzewasz mię...

— Nie ciebie, ale ją! Ona cię okłamała, oplotła intrygą, wymogła na tobie milczenie, wymyśliła pozory...

— Kto cię tego wszystkiego nauczył, Kociu? Kto w tym domu zajmuje się paczeniem twych wyobrażeń?

— Ja też przecie mam oczy! Może mi powiesz, że ona nie kokietuje Stefana, że go nie trzyma ciągle przy sobie?

Juliusz uśmiechnął się pogardliwie.

— Szkoda słów, które nie znajdują wiary — rzekł obojętnie. — Stefan jest to zepsuty dzieciak, przytem głupi i zarozumiały. Może ci sam powiedział, że go panna Stamarska ciągnie.

— Sam mi to powiedział!

— Niech spróbuje oświadczyć się o jej rękę.

— O, on dobrze wie, co ona warta!

— Moja Kociu, muszę ci powiedzieć, jako człowiek, mający dawne prawa, prawa przywiązania do matki twojej i do ciebie: strzeż się wpadać w małość, podejrzliwość, złośliwość! Nie wiem, z kim weszłaś w konszachty, ale pewno twoja matka o nich nie wie.

— O, chciałbyś, bym powiedziała mamie, która zawsze wszystkich ludzi ma za aniołów!

— Szkoda, że w tem nie jesteś podobna do niej, bo cię podejrzliwość w tej chwili naraziła na śmieszność. Jesteś na fałszywym tropie i ufasz obcym podszeptom mocniej, niż temu, co ci mówię ja, któremu wierzyć byś powinna. Nie dziwię się, że nie masz krytyki własnej, ale się dziwię, że ty, tak szczęśliwa, kochana, wypieszczona, rządysz się nieufnością i podejrzliwością.

— Więc, skoro nic złego nie było w waszej rozmowie o północy, jutro powiem o niej wszystkim!

— Popełnisz czyn niski, z którego nic ci nie przyjdzie!

— Przyjdzie mi odsłonięcie postępowania Stamarskiej! O, ja się na niej zemścić muszę!

— Uczynisz, jak zechcesz, Kociu. Pomyśl nad tem jeszcze i postąp wedle twego serca i przekonań. Rozmowa moja z panną Stamarską była rzeczywiście tajemną, ale nie miała w sobie nic wspólnego z miłością moją dla niej, czy z jej miłością dla mnie. Odkryłaś nie tajemnicę samą, lecz powierzenie jej sekretne i chcesz z tego uczynić użytek nikczemny. Jesteś w tem wolna. Dobranoc!

Był niezmiernie oburzony na Kocię i uciekał od niej, by mu z ust nie wypadło jakie słowo zbyt ostre i obrażające. Znał swoją popędliwość, nad którą panował z trudnością. W tej chwili wrzał w nim taki gniew, że byłby chciał zaciśniętą pięść spuścić na głowę dziewczyny, którą w duchu nazywał nędzną, podłą, nikczemną. Wyszedł do ogrodu, pragnąc wykąpać palające skronie w chłodzie nocnym i tam, gdy przeszła pierwsza chwila popędliwości, począł surowo sądzić siebie samego. Wszak on wchodził na drogę kłamstw, udawania, dwulicowości. Oto przed chwilą, choć nie powiedział Koci, że ją kocha, usiłował wmówić jej, że się nic w ich stosunku nie zmieniło. Za co on oszukiwał tę dziewczynę? Czy nie miała ona prawa wiedzieć przynajmniej, co jej dawał w swem sercu, proponując jej, by żoną jego została. Wytknął sobie jako plan postępowania w życiu siłę i wielką bezwzględność dla siebie samego, ale nie mógł przyszłości Koci opierać na kłamstwie. Przecież, własne prawa do szczęścia spychając na plan drugi, nie mógł zapoznać praw Koci.

Rozmyślając tak, czuł na dnie serca jakiś ciężar, jakiś ból, który musiał mieć swój początek osobny. Ten sąd nad samym sobą, to błędzenie po drodze krętej, które potępiał, to nie było wszystko. Jemu dolegało coś jeszcze: jakiś zawód, jakieś rozczarowanie, jakaś utrata nadziei... Odkrył wreszcie, co to było. Ból, którego nie odczuł od razu, urodził się ze słów Aliny: *nie kocham nikogo, jestem wolna!* Wszak pragnął takie słowa usłyszeć, wszak czynił, co mógł, by Alina go nie pokochała, a jednak mimowoli cierpiał nad tem, że jego miłość głęboka i wielka przechodziła obok niej bezsilna, bez tego magnetycznego wpływu, który zwykle wywierać umie. O, to było szczęście, że go Alina nie kochała, ale szczęście, które jemu sprawiało ból, zawód, żal! Dwie kobiety dzisiejszej nocy wobec niego płakały, czemuż on nie mógł tak jak one zapłakać w tej chwili? Patrzały tylko na niego stare lipy pradziadowskiego ogrodu, które już widywały dawniej jego łzy dziecinne i wieczną co do nich zachowały tajemnicę. Ale nie mógł płakać łatwo, jak kobieta, i cały jego żal, że kochanym nie był, całe jego niezadowolenie z własnego postępowania zostało w nim, ciężąc kamieniem na jego sercu. W stronie wschodu ujrzał brzask wschodzącej jutrzeńki i, bardzo zmęczony, z głębokiem westchnieniem poszedł ku stajniom, gdzie wkrótce miał się rozpocząć ruch fernali niosących pożywienie koniom. Gospodarstwo, to było takie koło, które musiało się toczyć swoją drogą, bez względu na to, czy ludziom popychającym je serce się krwawiło lub nie. Skierce budzącemu parobków, po wysiłku, jakiego wymaga cierpienie, wstąpiło do duszy gorsze od cierpienia zniechęcenie. Po co on tych spracowanych ludzi niepokoił? Na co się zdała ta cała praca, po co te trudy i ten żywot wytrwale skierowany

ku jednemu celowi? I cóż z tego, że poświęceniem całego życia, szczęścia, spokoju, ocali stare mienie Skierków, że nie pozwoli, by obcy w siedzibie naddziadów się panoszył? Nie zatrzyma to pochodu Nemezy. To kropla jedna w wielkiem morzu!

Wprowadziwszy w ruch machinę gospodarczą, wrócił do pokoju swego tak zmęczony, że zasnął zaraz i obudził się dość późno. Wraz z nim wstała jego energia cała i nienaruszona. Bezsennenność i rozdrażnienie nerwowe dziwne w umyśle wywołuje mary. Przed kilkoma godzinami mówił sobie, że praca jego była kroplą w morzu, teraz pomyślał, że każde morze składa się z kropel, każda Nemezys z pojedynczych czynów i pojedynczych wysiłków powstaje. Kochał nieszczęśliwie i nawet wzajemności nie miał, ale z tej miłości nie mogła i nie powinna wyrastać dla niego słabość, zniechęcenie i obezwładnienie tego, co uważał za siłę swoją, za obowiązek i za cel w życiu. Była to kropla w morzu, niezawodnie, ale każdy powinien choćby w małym koleczku uczynić tyle przynajmniej, by sumienie jego nie wyrzucało mu zdrady.

Choć goście zapelniający dom w Zbruczu byli już wszyscy po śniadaniu, Juliusz nie pokazał się im. Pojechał na jeden z folwarków, rozmyślając nad tem, co miał uczynić z Kocią. Musiał znaleźć wyjście, które-by go uwolniło od wyrzutów sumienia i które-by go w jego własnych oczach usprawiedliwiło. Jadąc ku folwarkowi drogą wiodącą potem do Zubiszek, spotkał posłańca z wielkim bukietem, owiniętym w cienką białą bibułę. Dowiedział się od niego, że jakiś pan, jadący z Wilna rannym pociągami, wysłał go z tym bukietem ze stacyi.

— Dla kogo ten bukiet?

— Mam tu list.

— Dawaj!

Na kopercie było nazwisko Aliny Stamarskiej.

Do opalonych policzków Juliusza podstaąpiła krew, nie mogąca już powiększyć ich czerwoności. Zamyślił się przez chwilę. Dla uniknięcia komentarzy i ciekawości, jaką-by obudził bukiet, oddany jawnie Alinie, młodzieniec postanowił wręczyć go sekretnie.

Po długich tłómaczeniach i najbardziej przekonującym widoku otwierającej się portmonetki, posłaniec zgodził się na powierzenie bukietu Juliuszowi, który go ukrył pod derką, znajdującą się w jego jednokonnej kałamaszce. Pojechał z bukietem do folwarku, gdzie spełniwszy obowiązki swe gospodarskie, wrócił do Zbrucza. Wniósł bukiet zawinięty w derce do własnego pokoju. Tam włożył go w pudełko i wraz z listem odesłał Alinie. Był zadowolony z przypadku, który sprawił, że oszczędzonem jej zostało przybycie posłańca z olbrzymim bukietem, coby musiało zaintrygować domowników.

Posyłka zastała Alinę przy lekcyi z Miecią. Otworzyła pudło i oczom dziecka ukazał się prześliczny bukiet z róż, trochę przez okrywanie go derką zgnieciony, ale wonny i świeży jeszcze. Alina rozewała kopertę listu, potem skropiła róże wodą i umieściła je w wazonie.

— Skąd ten bukiet? — pytała Miecia — czy to mama pani go przysłała, czy może który z braci?

Aliny policzki płonęły. Była niezadowolona i zmieszana.

— Nie, kochanie — odparła — ten bukiet przysłał mi twój papa. Był w Wilnie, a wiedząc, że lubię róże, kupił mi ich taką masę u ogrodnika.

— Papa? — zawołała Miecia. — To może ten bukiet dla pani i dla mnie?

— Nie wiem, kochanie, twój papa nic o tem nie pisze, ale róże nam obu pachnąć będą, a może chcesz ich wziąć połowę?

Miecia odmówiła. Jej biedną główkę, przyzwyczajoną do kombinowania wykrętów, już uderzyła była myśl, że Vincart nic o bukiecie nie powinna była wiedzieć, bo zazdrościła-by może Alinie względów ojca, a na niej, na Mieci, skrupiło-by się wszystko.

Dziecię nie przypuszczało, że w parę godzin potem, bona z ogrodu, pod pozorem wzięcia roboty, wróciwszy do oficyny, szperała w pokoju Aliny, korzystając z jej nieobecności. Ogromny bukiet róż, które jeszcze w tej porze nie kwitły w Zbruczu, zastanowił Francuskę. Spłonęła z ciekawości i z powstających w jej głowie domysłów, a nie mogła sobie dać rady dopóty, dopóki nie wpadła na trop i nie rozpoczęła śledztwa na swoją rękę. Dowiedziała się, że Juliusz odesłał Alinie, przez Wincesia pudło z bukietem. To jej wystarczyło. Pobiegła natychmiast z raportem do Koci, która, nawpół przekonana przez Juliusza, postanowiła była zachować dla siebie wiadomość o nocnej rozmowie nauczycielki ze Skierką. Niedowierzającej narzeczonej Vincart pokazała z tryumfem bukiet, zaprosiwszy ją do własnego pokoju. Kocia przed ogromną wiązką prześlicznych róż stała w zamyśleniu, z chmurnemi oczyma i sfałdowanem czołem, a Francuska, jak zwyczajca, podnosiła wazon z bukietem, szepcząc namiętnie:

— Wiem, że Wincesł przyniósł to dziś w pudełku z pokoju pana Juliusza!

Błysk gniewu przemknął po bladej twarzy Koci. Myślała z oburzeniem o tem, że kilka godzin temu Juliusz ją okłamał bezczelnie. Zwracał się do ufności, jaką powinna mieć do niego, jako do narzeczonego, a zdradzał ją coraz wyraźniej, coraz bezwzględniej. Obrażona miłość własna zalewała serce Koci. Ona, która siebie miała za istotę wyjątkową, godną wszelkich poświęceń, ona była wzgardzoną dla

jakiejś intrygantki, przybłądy w domu, gdzie prawa narzeczona panować była powinna. Na Juliusza była rozgniewana, Aliny nienawidziła z całej duszy i jej całą winę przypisywała. Parę lat temu, od towarzysza podróży, w wagonie, usłyszała była zdanie, że jest pewna kategoria kobiet, kokietek i intrygantek, które mają tak niezawodny sposób opłatania każdego mężczyzny, że żaden oprzeć się im nie może. To są czarodziejki i czarownice zarazem. W dziecinnej głowie Koci określenie to utkwilo. Czasem przypuszczała, że ona sama takim darem rzucania uroku uposażoną była i że każdego ugiąć przed sobą na kolana by potrafiła. Teraz, gdy patrząc na bukiet, oskarżała Alinę o czary, wydało jej się, że w czarach owych było jakieś piekło przebiegłości, zepsucia i szatańskiej mądrości. Wszak i to zdanie podsłuchiwała niegdyś, że kobiety z wielkich miast posiadają jakąś sztukę, którą dają najwyższe i najbardziej wyrafinowane zepsucie. Te wszystkie pochwycone teorie, niejasno i mgliście przed umysłem Koci występujące, znalazły nagle zastosowanie przy oskarżaniu Aliny. Dziecinną wyobraźnię Koci wznosiła jakiś średniowieczny, fantastyczny stos, na który Alina zasługiwała, jakiś pręgierz, do którego przykuć-by ją należało. Złość kobieca, bezsilna a drapieżna, opanowała Kocię, złość, złożona z zazdrości, z obrażonej miłości własnej i z doznanego zawodu. Była w tej chwili zdolna do okrucieństwa. Wyrwała bukiet z rąk Francuski, rzuciła go o ziemię, podeptała róże, potem rozplakała się, czując, że nie mogła ani przykuć Aliny do pręgierza, ani jej skazać na stos. Uciekła do swego pokoju i tam, ze zmarszczonem czołem, ze złości błyskami w oku, rozmyślała, korzystając z tego, że matka jej poprowadziła babunię Kiersciową do ogrodu.

Co miała uczynić? Czy namówić matkę do natychmiastowego wyjazdu ze Zbrucza? O, nie, nie! W takim razie zostawiła-by Alinę tryumfującą. Nie, jej potrzeba było zemsty, potrzeba było upokorzenia Aliny! Do zemsty ciągnęła ją namiętność, była jednak tak wzburzona, że rozdrażnienie czyniło ją niezdolną do wszelkiego przedsięwzięcia, do wszelkiego wystąpienia. Czuła, że rozplakała-by się przy pierwszym wyrzeczonym słowie. Była nieszczęśliwa i bez możliwości rozpatrzenia się jasno w położeniu własnem, bez możliwości uspokojenia się w duszy. Miotła nią tylko złość, której zadosyć uczynić musiała.

— Zdeptać ją, jak żmiję! — szepnęła sama do siebie.

Bała się wszakże Juliusza. Czuła, że gdyby wobec niego ośmieliła się na jedno słowo wymierzone przeciwko Alinie, musiała-by opuścić ten dom, straciwszy wszelkie w nim prawa.

Poproszono ją do stołu. Obiad podany był dnia tego w ogrodzie, pod staremi lipami. Nie było jeszcze much, a pogoda świeciła przesli-

czna. Kocia, siedząca obok Juliusza, była cała drżąca. Udawała spokój, lecz matka jej dostrzegła zaraz, że coś ją rozstroiło do głębi.

Juliusz rozmawiał o gospodarstwie z przybyłym sąsiadem. Obadwaj utrzymywali, że przy niskich cenach żyta, przy wielkich ciężarach, które majątki były obciążone, trzeba było koniecznie wynaleźć nowe źródła dochodu, podnieść gospodarstwo, by uniknąć prędszej lub późniejszej ruiny. Do dyskusji wmieszała się Skierczyna, Zdzisław Skierka i ojciec jego. Stefan szeptał Alinie, że to byli nieszczęśliwi ludzie ci, których takie kwestye zajmowały; na zarzut zaś Aliny, iż anomalią był dla niej mężczyzna wykształcony, który-by pozostawał obojętnym na zagadnienia społeczne, Stefan odparł, że może się do nich roznamiętni wtedy, gdy już żadna ładna kobieta patrzeć na niego nie będzie chciała. Dopóki wszakże młodość daje mu prawo do spojrzeń takich oczu, jakie w tej chwili jaśnieją obok niego, dopóty kwestye społeczne zostawia takim Irokezom, jak Juliusz, który obok narzeczonej myśli o gorzelni i o opasowych wołach, pochłaniających wywary.

— Wszakże, przy moich niezaprzeczonych prawach, jestem obok pani wiecznym Tantalem, — szeptał dalej Stefan — bo pani dziś ani razu na mnie nie spojrzała.

— Panie Skierka, — rzekła Alina poważnie — wygląda pan zupełnie na człowieka, który-by niezręcznie, trywialnie, niesmacznie, starał się o moją rękę. Bo wszakże te wszystkie zwroty do mojej piękności, to całe pozowanie na miłość, to jest chyba staranie się o mnie. Otóż ja panu oszczędzę sporego kawałka drogi i od razu postawię pana u ostatecznej mety...

— Ależ pani... — zaczął Stefan.

— Niechże mi pan skończyć pozwoli! Przypuszczam tedy, że pan nie za pół roku, nie za miesiąc, lecz dziś, w tej chwili, oświadcza się o moją rękę. Otóż ja panu w tej chwili, stanowczo i nieodwołalnie odpowiadam, że żoną pana nie została-bym nigdy i za żadną cenę.

Interpelowano w tej chwili Stefana o jakąś kwestyę, dotyczącą majątku wydzielonego mu przez ojca. Rad był, że nie potrzebował odpowiedzieć Alinie, czuł się wszakże mocno dotkniętym w swej miłości własnej. Co? Ta nauczycielka z tak wysoka z nim poczyniała? Nie brał wcale na seryo tego, co mu powiedziała. Oho! to była panna szpakami karmiona i słyszała, jak trawa rośnie. Wystąpieniem swoim chciała go po prostu mocniej zainteresować do gry. Stawiając przeszkody, chciała go zachęcić do ich zwalczania. Ale i on był lis szczwany. Wiedział, co to miało znaczyć!

Pomimo takiego jasnovidzenia, Stefan czuł obrazę.

— Ta dziewczyna przybiera pozory królewskiej dumy — myślał z ironią — mówiła do mnie, jak gdybym w jej oczach był mizernym robotnikiem, miała ton księżniczki, przemawiającej do parweniusza. Przydało-by się trochę ją upokorzyć!

Po obiedzie podano kawę. Goście chodzili w grupach po ogrodzie, panowie oddalili się na cygara, siadając w jednym końcu alei na urządzonych tam ławkach. Dyskusja gospodarska trwała jeszcze. Kowzgirdowa wzięła ramię córki, dopytując się z przestachem, co jej było, na co Kocia odpowiadała kwaśno a nawet opryskliwie. Alina, wyręczając Skierczyne, nalewała i podawała kawę. Stefan, żądny dogryzienia dziewczynie, chodził za nią, jak cień. Kawę na tacy Winceś poniosł panom, palącym papierosy, Stefan podał filiżankę babuni Kiersciowej, a Alina, zawsze pełna sympatii i usługowości dla Kowzgirdowej, poniosła dwie filiżanki, przeznaczone dla matki i córki, spacerujących na uboczu. Szła powoli, by nie rozlać napoju, tak, że dochodzącą do Kowzgirdowej i Koci nagonił Stefan. Kocia stanęła naraz z zaskrzonym wzrokiem, z nagłym przypływem do duszy takiej namiętnej obrazy i gniewu, że już nad niemi panować nie mogła.

— Zazdroszczę ludziom daru komedyanckiego! — zawołała z wykrzywionemi od nerwowego wzruszenia ustami. — Ktoby to powiedział, że ta panna, która nam z takim wdzięcznym uśmiechem kawę w tej chwili podała, dziś w nocy płakała, trzymając ręce młodego człowieka, któremu była naznaczyła schadzkę. Łzy te obtarł on dziś darem przedślicznego bukietu, który podziwiałam.

Kocia chciała mówić dalej, ale głos jej się w gardle urywał, tchu jej brakło. Ledwie zrozumieć można było co mówiła. Suknię jasną oblała kawą z przewróconej na spodku filiżanki. Stefan ozwał się z przekąsem:

— Aa... to dlatego otrzymałem dziś zapewnienie, że na męża nie kwalifikuję się. Nie można ich mieć dwóch na raz i skoro na innego zaagięty jest parol...

Alina powiodła przestraszonym wzrokiem od Koci do Stefana. Jasne czoło Kowzgirdowej pofałdowało się, wielkie cierpienie i przykrość odmalowały się na jej obliczu.

— Dlaczego tu ludzie znęcają się nade mną? — rzekła Alina z wyrazem niezmiernego bólu. — Nic tu złego nikomu nie uczyniłam... i serce mam doprawdy pełne dobrych chęci... jestem tu obca i samotna, to prawda... czy dlatego musicie mię deptać?... Jesteście nawet dobrzy, nie gorsi od innych ludzi, dlaczego więc mnie, wśród was zabłąkanej, chcecie zatruć każdą chwilę?

— Teraz komedia pokrzywdzonej niewinności! — wyjąkała Kocia przerywanym głosem.

Na tę nową obelgę Alina podniosła dumnie głowę.

— A więc zostawię pani mniemanie, że knuję tu jakieś zdrady i naznaczam miłośne schadzki narzeczonym innych kobiet! Nie będę się bronić! Pan Skierka — spojrzała na Stefana — skorzystał też ze sposobności, by mi rzucić obelgę. Zostawiam was! Będziecie szarpać we dwoje moją dobrą sławę! Czyńcie to bez trwogi. Po ratunek nie pójdę do nikogo i o tem, co mię tu spotkało, nie powiem szlachetnemu człowiekowi, którego żonę pani wkrótce zostanie. Jego-by oburzyła ta mizerna intryga. Po co ma więc wiedzieć?

Czuła, że gardło jej zaciska się kurczowo, bała się, że łzy do oczu jej napłyną, zwróciła się więc ku ścieżce, wiodącej w sad, i nią śpiesznie iść zaczęła. Za nią pobiegł Stefan, błagający o przebaczenie.

— Panno Alino! Niech się pani nie gniewa!

Zwróciła ku niemu twarz, po której płynęły teraz dwa strumienie łez.

— Proszę za mną nie iść! — zawołała z oburzeniem i pogardą. — Opóźnia pan chwilę, w której się pan dowie historii schadzki i bukietu. Panna Konstancya ma ją gotową dla pana! Niech sobie pan nie odmawia rozkoszy szarpania czci kobiety, która w istocie zawiniła tem, że pana zbyt cierpliwie, zbyt pobłaźliwie słuchała. Dawno powinnam była panu powiedzieć to, co stanowczo oświadczam w tej chwili: Oto proszę, by pan się do mnie nie zbliżał. Niech pan zapomni, że żyję! Mam po prostu wstąpić do pana i czuję się wciąż obrażaną i obrażoną każdym słowem, każdym spojrzeniem pana.

Nadchodziła właśnie Francuska z Miecią, Alina podbiegła ku dziecku, które na jej zapłakaną twarz patrzyło z przerażeniem. Rozciekawiona Vincart zbliżyła się do Stefana.

— Czego ona płacze? — zapytała z zaiskrzonym wzrokiem.

— Bo kobiety płaczą zawsze, we wszystkich okolicznościach życia: ze wzruszenia, ze smutku, z radości, ze złości... lada co łzy im wy-ciska. Niech pani jej sama zapyta!

Miecia była rozdwojona, zalekniona, niepewna. Chciała-by była iść z Aliną, która trzymała jej rękę i śpiesznie dążyła ku domowi, a jednocześnie bała się opuścić Francuskę. Alina spostrzegła wreszcie, że się dziecię rumieni i błędnie, że się ociaga. Puściła rękę Mieci z odcieniem pogardy w spojrzeniu.

— Boisz się zostać ze mną chwilę! — rzekła, czując niesprawiedliwy żal do Mieci. — A więc idź, nie zatrzymuję cię!

Zamknęła się w swoim pokoju i zapłakaną twarz ukryła w dłoniach. Piersi jej rozsadało łkanie. Rozdrażnienie dni ostatnich, tęsknota za rodziną, oświadczyły Prędowicza, postępowanie Stefana,

wszystko to nagromadziło w sercu jej goryczy sporo, która teraz wezbrała i przez oczy wylała się łzami.

Usłyszała pukanie do drzwi i głos Kowzgirdowej proszący o otworenie.

— Chciała-bym być samą! — rzekła Alina błagalnie.

— Proszę cię, otwórz, moje dziecko, wpuść mię... potrzebuję koniecznie cię widzieć.

Alina, nie przestając płakać, otworzyła i znalazła się zaraz w objęciach Kowzgirdowej. Matka Koci pociągnęła nauczycielkę ku kanapie i na swoim łonie złożyła jej głowę.

— Moje dziecko, moje dziecko — mówiła — Kocia wyrządziła ci krzywdę... nie uwierzysz, jak mi to boleśnie... daruj jej to! Kocha narzeczonego, Francuska rzuciła w jej umysł jakieś podejrzenia... wiem, że fałszywe... Nie płacz! Twoje łzy serce mi krają! Zlituj się! Powiedz mi, jak to było!

— O, niech ja przynajmniej już o tem nie mówię! — zawołała Alina. — Mam się tłómaczyć? Już tego upokorzenia mi oszczędźcie! Wszak pani, która jest dobra i ma duszę podniosłą, wystarczy zapewnienie moje, że pan Juliusz nigdy mi nie powiedział nietylko słowa miłości, ale grzecznego słówka. Ja nigdy o nim nie myślałam inaczej, jak o dobrym człowieku i dobrym przyjacielu, który kocha uczciwie i gorąco swoją narzeczoną. Tłómaczyć się i dowodów dawać nie będę!

— Wierzę ci, wierzę — mówiła Kowzgirdowa — nie płacz już, zmiłuj się! Szkoda twoich oczu! No, pocałuj mię i powiedz, że Koci przebaczasz. Przrzekam ci, że się nic podobnego więcej nie powtórz!

Alina ocierała oczy, Kowzgirdowa patrzyła na nią z litością. Nagle wzrok pocieszycielki padł na piękny bukiet, który pomimo obejścia się z nim Koci, wznosił się jeszcze tryumfująco na środku stołu szkolnego. Jakiś niesmak przebiegł po jej ustach, jakiś cień przemknął po jej czole.

— Od kogo masz ten bukiet? — zapytała surowo.

Alina spostrzegła podejrzliwość w jej wzroku. Zraniona dusza dziewczyny, obrażona jej duma poczuła się dotkniętą na nowo. Rumieniec gniewu okrył jej splakaną twarz. Odsunęła się od Kowzgirdowej, wołając:

— Więc i pani łatwiej jest uwierzyć w podstęp, w zdradę, w kłamstwo, niż się zdobyć na trochę ufności... Więc i pani gotowa potępić od razu i mnie i tego człowieka, któremu przecie chce pani oddać najdroższy skarb swój!

Zaczęła płakać znowu. Wśród łkań mówiła dalej:

— Błagam, niech pani stąd odejdzie!... niech pani mię zostawi samą! pokazywać pani moje łzy jest upokorzeniem dla mnie!... niech mi pani upokorzenia oszczędzi!

Widząc, że Kowzgiridowa zdziwiona i niepewna coś jeszcze mówić chciała, Alina otworzyła drzwi pokoju Francuski, pustego w tej chwili, i znikła za niemi. Matka Koci powolnym krokiem wyszła z oficyny.

Przechodząc przez dziedziniec, ujrzała bryczkę uwożącą Juliusza. Zobaczywszy ciotkę, kazał furmanowi zatrzymać się, wyskoczył śpiesznie i podbiegł ku niej. Oznajmił jej, że wyjeżdżał nie pożegnawszy się z nikim, prócz z matką. Miał pilne interesa w Wilnie i nie miał już ani chwili czasu, jeżeli nie chciał spóźnić się na pociąg.

Kowzgiridowa podała mu rękę, lecz na jego czole nie złożyła zwykłego pocałunku. Miała żal do niego i czuła, że się dawny, dobry ich stosunek rozrywa.

Juliusz jechał zamyślony, co chwila tylko w rozdrażnieniu, jakby bezwiednie, wołał na furmana: „prędejl” Konie klusowały, rozgrzewając się do coraz więcej niepohamowanego biegu. Stały na stacyi na całą godzinę przed odejściem pociągu. Tu dopiero ogarnęło Juliusza niezadowolenie i bardzo przykry stan niepokoju i niepewności. Chodził przed dworcem wielkimi krokami, nie znajdując bynajmniej tej trzeźwości w myślach, którą miał nadzieję osiągnąć, gdy wyjedzie ze Zbrucza i będzie mógł być zupełnie sam, choćby tylko przez kilka godzin. Dla tej możności rozejrzenia się dokładnego we własnem położeniu i powzięcia postanowienia, uciekł od towarzystwa zapelniającego jego dom. Miał wprowadzić interesa w Wilnie, ale mógł je odłożyć jeszcze na dni kilka, chwycił się ich wszakże jako pretekstu.

Pierwszy raz w życiu był w niezgodzie sam z sobą. Miewał już nieraz ciężkie chwile do przebycia; zmartwienia, trudy, upokorzenia nieraz już przygniatały jego piersi, nigdy wszakże nie czuł się winnym, nigdy nie czynił sobie zarzutu podłości. Teraz dopiero zaczęła go dręczyć myśl, z początku niejasna, następnie coraz wyraźniej występująca, że nie miał prawa ani własnej przyszłości budować na kłamstwie, ani kłamstwa dawać za podstawę życiu młodej kobiety, za której szczęście odpowiedzialność ciążyła na nim.

Zasunięty w głąb wagonu męczył się wewnątrz, nie mogąc się skupić dostatecznie, by powziąć postanowienie, a jednocześnie przyrzekając sobie, że z gotowem postanowieniem nieodwołalnym powróci do Zbrucza. Nie wiedział nic o krzywdzie, wyrządzonej Alinie przez Kocię i nie przeczuwał, że ta, którą kochał, była zostawiona bez żadnej obrony, że cierpiała niesprawiedliwie wśród obcych a nieprzychylnych jej osób.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZOFIA KOWERSKA.

TLUM.¹⁾

Szkic socyologiczny.

II.

Tłum zbrodniczy.

Badanie motywów i prawideł działania ludzkiego w zbiorowym ustroju na tle psychologicznem weszło dziś niejako w modę naukową, z pretensją do odrębnego stanowiska w dziedzinie umiejętności, z charakterem łącznika czy pomostu pomiędzy psychologią indywidualną, dla której jednostka jest zamkniętą w jedną całość polem obserwacyjnym, a socyologią, obejmującą cały wielki i skomplikowany organizm społeczny. Tak pojmuje zadanie tej psychologii zbiorowej Scipio Sighele, którego monografia o tłumie zbrodniczym zdobyła sobie taki rozgłos, jak gdyby miała być fundamentem, a przynajmniej wstępem dla tej nowej gałęzi umiejętności. Ta psychologia zbiorowa zajmuje się dziś tłumem w ten sposób, jak botanik lub zoolog nowo-odkrytymi egzemplarzami świata roślinnego lub zwierzęcego, tak, jak gdyby chodziło tutaj o rzecz nową, a przynajmniej o świeżą formację w ustroju społecznym, wytworzoną wpływem nowoczesnych prądów i dążeń. Supremacya większości odgrywa w takim przedstawieniu rzeczy jeżeli nie rolę kolebki tłumy, jak według powyższej cytaty u Sighelego, to przynajmniej rolę jednego z uwagi godnych czynników.

¹⁾ Patrz zeszyt marcowy „Bibl. Warsz.“

Ferri ¹⁾, główny reprezentant tak zwanej socjologii kryminalnej, która sprowadzając występny czyn człowieka z wyżyny wolnej woli na poziom takiego samego zjawiska, jakim jest każde inne zjawisko naturalne, tem samem podkopuje podstawę dzisiejszego prawa karnego, nawet prawa wogóle jako norm działania na wolnej woli opartego, wyzyskał hipotezy psychologii zbiorowej dla swojej teorii destrukcyjnej tak skrzętnie, jak mu to tendencja uczynić kazała. Uznając istotną różnicę między czynami całej grupy, a czynami jednostki, przekazuje Ferri psychologii zbiorowej, jako pole obserwacyjne, wszystkie zebrania, nie tylko luźne tłumy, lecz także aglomeracje mniej lub więcej przypadkowe, np. na targach, giełdach, w warsztatach, w teatrach, na mityngach, w koszarach i t. d. Praktyczne wyniki badań zbiorowo-psychologicznych chciałby Ferri zastosować nawet do bardzo niesympatycznej dla niego instytucji sądów przysięgłych. Zebranie wielu indywidualów nie przedstawia, według Ferrego, sumy ich przymiotów. Jak w chemii z kombinacji dwóch gazów może płyn powstać, tak samo agregat ludzki może być zły, chociaż indywidualne fragmenty są odmienne. Zachodziła-by więc tutaj niejako fermentacja psychologiczna, w której złe dyspozycje indywidualne, jako liczniejsze od dobrych i rozumnych, miały-by przewagę nad drugimi tak samo, jak reguła posiada przewagę nad wyjątkami. Dobrze to jeszcze, że ta degeneracja zbiorowa miała-by, według Ferrego, zachodzić częściej na zebraniach chwilowo występujących, jak sądy przysięgłych, mityngi i t. d., aniżeli w kolegiach, stale zorganizowanych. Ostatecznie jednak i te zebrania miały-by czasem podlegać klątwie czy fatalności zbiorowo-psychologicznej, tak, że czynnik degeneracji trzeba-by już chyba uważać za jej symptom znamieny. Przypomina się tutaj pierwszy mistrz i inspirator wszystkich, tak jeszcze głośniejszych „nowych horyzontów” włoskich w nauce prawa karnego, Lombroso, który w znanych jako specjalności włoskie bandach zbrodniczych (Maffia i Camorra) znalazł intratną kopalnię swoich pomysłów o typie zbrodniczym, jako zjawisku antropologicznem ²⁾.

W nauce prawa karnego, tak wrażliwej dziś na wszelkie hipotezy antropologiczne, psychologiczne i t. d., tłum, zwłaszcza tłum zbrodniczy, jako wrzekomo odrębne, a jeszcze niezbadane należyte, zjawisko społeczne, wchodzi czasem w rachubę naukową nawet u pisarzy,

¹⁾ *Henri Ferri* (w tłumaczeniu francuskim samego autora): „*La Sociologie criminelle*” III ed. Paris 1893, str. 199 i 474.

²⁾ *Cesar Lombroso* (we francuskim przekładzie): „*L'homme criminel*”, IV ed. Paris 1887, str. 519 in.

którzy wcale nie są skłonni do rzucenia się z pewnego i silnego gruntu klasycznej teorii karnej w wir, czy w otchłań materialistycznej kryminologii. Joly ¹⁾ np., mówiąc o tłumach rozpasanych, jako o jednym z najpotworniejszych akcesoryów wielkiej rewolucyi francuskiej, prawie tak rzecz przedstawia, jak gdyby tłum stanowić miał istotnie odrębny podmiot czynów zbrodniczych. Mówi bowiem o elementarnym niejako wpływie tłumy na jednostkę, która w tłumnym otoczeniu przestaje poniekąd być tem, czem była w zwyczajnem otoczeniu swoim, gubi się w mrowisku ludzkim i machinalnie daje się popychać w przepaść. Joly uległ chwilowo potężnemu wrażeniu, jakie sprawił Taine swojemi mistrzowskimi a strasznemi obrazami akcyi zbrodniczej tłumów rewolucyjnych. Z całkiem innego stanowiska jednak traktuje ten sam pisarz charakter tłumów w dziele, w którym z filozoficzną ścisłością określa istotę zbrodni, przestępstwa wogóle i podstawę odpowiedzialności. Tutaj tłum zbrodniczy nie występuje już jakby jaki nowy potwór socyologiczny, pochłaniający w sobie jednostkę, a z nią także i indywidualne kryteria odpowiedzialności. Mówiąc o zbrodniach, popełnianych przez całe grupy (rodzinę, sektę, większość, tłum i t. d.) dodaje Joly ²⁾ wprost, „że przestępstwo zbiorowe było-by ostatecznie nonsensem, jeżeli-by niemożna było rozdzielić go na mniejszą lub większą liczbę przestępstw, popełnionych przez osoby odpowiedzialne za swoje czyny.”

Że tak jest, że tłum wogóle, a tłum zbrodniczy w szczególności, nie jest nowem zjawiskiem społecznem, lecz starem jak świat, i tylko w formach zmieniającem się tak, jak się wogóle wszystkie stosunki z biegiem czasu zmieniają, to rzecz jasna, tak dla historyka, który z tłumem i jego akcyą wywrotową spotyka się na każdym kroku dziejów, jak i dla prawnika, dla którego zbrodnia zbiorowa jest takim samym stałym zjawiskiem w dziejach ludzkości, jak zbrodnia indywidualna. Były zawsze tłumy dzikie, okrutne, których wystąpienie rozlewem krwi zaznaczało się w dziejach, jak np., żeby sięgnąć tylko po najbliższe przykłady historyczne, w rewolucyach francuskich, były także i tłumy bohaterskie, które, przejęte entuzjazmem dla wielkich idei, rzucały się w śmiałe akcje po-nad siły, jak gdyby ofiarami chciały następcom utorować dopiero drogę do niedoścignionego dla nich celu. Wszakże w tem samym społeczeństwie jeden tłum wołał „hosanna” i zgotował Chrystusowi tryumfalny pochód, a zaraz potem drugi tłum ryczał „ukrzyżuj” i zawiódł Go na Golgotę. Bez przesady moż-

¹⁾ Henri Joly: „La France criminelle”, Paris, 1889, str. 405 in.

²⁾ Henri Joly: „Le Crime”, Etude sociale, Paris, 1888, str. 30.

na powiedzieć, że kto-by chciał napisać szczegółową historję tłumów, t. j. historję tej, najczęściej naprzód nawet nieprzywidywanej, a tem mniej przygotowywanej, i jakby huragan wybuchającej akcji niezorganizowanych, lecz tylko nagle albo zentuzjazmowanych szczytną ideą, albo rozjuszonych i unoszonych dzikimi instynktami mas ludzkich, ten chyba musiał-by niemal sparafrazować historję wogóle, a przynajmniej szereg jej najciekawszych rozdziałów.

Jeżeli więc Sighele wprowadza swoje studjum o tłumie zbrodniczym w tak blizki związek z dzisiejszą formą panowania zasady większości, to chyba chciał tem zaznaczyć nową fazę w historii tłumów, fazę, zaczynającą się od tych, wiek cały już trwających, ruchów i drgań politycznych i ekonomiczno-społecznych, które, szczególnie we Francyi, wstrząsają dzisiejszym ustrojem państwowym, nawet zagrażają mu w sposób poważny. Związek materyalny między polityczną zasadą panowania większości a tłumem pod względem socyologicznym polega więc chyba na tem, że, jak to najkrócej a zarazem i najtrafniej wyraża staropolskie przysłowie: lepiej rozumem, niż tłumem, tłum przedstawia chaotyczną, niejako prymitywną, a panowanie zasady większości zorganizowaną akcyę zbiorową, że w życiu społecznym tłum wobec zorganizowanej większości tak wygląda, jak w przyrodzie dziki stan wobec kultury, lub bez ładu i składu rzucone stosy materyału budowlanego wobec kształtnego budynku.

Dla zwolennika atawizmu otwiera się tutaj, jak jeszcze później zobaczymy, bardzo ciekawa perspektywa, kopalnia hipotez i pomysłów o zbiorowym atawizmie, jako *pendant* do psychologii zbiorowej. Tłum, przypadkowo sformowany i niewolniczo, na oślep, postępujący za głosem lub hasłem herszta, mógł-by być z takiego samego tytułu uważany za objaw atawizmu społecznego, za odezwanie się pierwotnego dzikiego stanu, jak zbrodnia uznana została przez Lombrozystów za odgłos pierwotnej dzikiej natury człowieka.

Na tem tle osnute jest studjum Sighelego o tłumie zbrodniczym, a także i studjum d-ra H. Fourniala ¹⁾ o tłumach wogóle, przedstawionych przez ostatniego autora już wyraźnie jako odrębne zjawiska społeczne, tworzące się i działające według prawideł, niemal naturalnych, które socyologia miała-by teraz dokładnie zbadać i sformułować. Dr. Fournial pisał swoje studjum za inspiracyą swojego słynnego mistrza, Lacassagne'a, autora pomysłu o szukaniu w instynktach zwie-

¹⁾ Dr Henry Fournial: „Essai sur la psychologie des foules”, Lyon & Paris, 1892 r.

rzeczy podstawy dla schematu zbrodni ludzkich ¹⁾. Z tego jednego szczegółu można-by już prawie odgadnąć ducha i dążności całego studium.

Dr Fournial, może z większym jeszcze, niż Sighele, naciskiem, tak sprawę tłumów przedstawia, jak gdyby chodziło o wielkie odkrycie nowej formacji społecznej, i tak ją rozbiera, jak chemik, przystępujący do umiejętnego rozbioru jakiego ciała złożonego. W jego pojmowaniu rzeczy tłum jest czemś więcej, niż zwykłą gromadą indywiduów, gdyż wytwarza się w nim pewien niewidzialny węzeł, który sprzęga rozproszone żywioły w jedną całość, z formą odrębną i z charakterem odmiennym od tego, jaki posiadają części składowe.

Wychodząc z takiego przyrodniczo-społecznego założenia, dr Fournial ocenia najpierw wpływy materialnych czynników na łatwość i częstość formacji tłumów. Klimat, pora roku, światło, ziemia, różne zjawiska meteorologiczne, muzyka, powietrze, stopień wilgoci, pożywienie i t. d., wszystko to, razem połączone czy pomieszane, ma mieć ważne znaczenie dla fizjologii i psychologii tłumów. Uczeń Lacassagne'a mówi nawet o istnieniu „pewnego rodzaju dziedziczności” w tłumach. Chodzi mu właściwie o tradycję, która wytwarza się co do form postępowania w pewnej, często na jaw występującej, kategorii tłumów, szczególnie z akcją, wybitnie demonstracyjną. Ale snąc takie nazwanie rzeczy było-by za mało naukowem w oczach pozytywisty, bo tradycja to płytki przesąd, a atawizm, dziedziczność, to dopiero głębokie, umiejętnie określenie stanu tradycyjnego!

Nawet dla przykładu niewarto przytaczać wszystkich szczegółów z tej socjologicznej analizy d-ra Fourniala, gdyż, mimo wszelkiego aplombu naukowego, są one często już nietylko banalne, lecz nawet dziwaczne. Że np. w porze zimowej trudniej sformować tłum, aniżeli w czerwcu lub lipcu, że w konsekwencji ludność krajów południowych jest skłonniejszą do tłumnych zebrań, aniżeli mieszkańcy krajów północnych, to miało-by uchodzić za głębokie określenie socjologicznego znaczenia klimatu, chociaż każdy nieuczony prostaczek wiejski, zwyczajny analfabeta, wie o tem doskonale, że w porze, kiedy uszy marzną, lepiej siedzieć w domu w pobliżu ciepłego pieca, aniżeli gapić się w tłumie pod gołym niebem. Że próżniactwo wiedzie do złego towarzystwa, więc w danym razie także przyczynia się do tworzenia tłumów, to ma być nowo spostrzeżnym, a przynajmniej ciekawym szczegółem, objaśniającym socjologiczną stronę sprawy. Że czasem jedną sikaw-

¹⁾ A. Lacassagne: „De la criminalité chez les animaux” (w „Revue scientifique” z r. 1882).

ką z silnym promieniem zimnej wody łatwo można rozproszyc tłum gapiów, ta prawda, stara jak świat, a przynajmniej jak—policya, zarejestrowana została w rubryce wpływów stopnia wilgoci na ustrój nerwowy i na temperament, więc na czynniki, wytwarzające tłumy! Że alkoholizm przyczynia się do formacyi tłumów, to nie wchodzi w rachunek moralnych czynników, lecz należy do rubryki wpływów pożywienia na tworzenie się tłumów i t. d. Ten ostatni szczegół może najlepiej charakteryzuje ducha wywodów d-ra Fourniala. Przypominają się słowa Moleschotta: Powiedz mi, co jesz, a powiem ci, kto jesteś; lub twierdzenie Lacassagne'a, że gatunek chleba stoi w bezpośrednim związku ze stanem cywilizacyi pewnego społeczeństwa.

W jakim ściśle odmierzonym i oznaczonym stosunku i kierunku wpływają wszystkie powyższe zewnętrzne czynniki na formację i charakter tłumów, tego dr Fournial nie rozbiera, zadawałajac się samem zaznaczeniem faktu, że z tego wszystkiego tworzą się różne kombinacye. Przechodząc następnie do czynników, ściśle socyologicznych, więc do właściwego punktu ciężkości całej kwestyi, dr Fournial na czele stawia zarazek moralny i sugestję, dwa czynniki, mające tłómaczyć ściśłą łączność psychiczną pomiędzy uczestnikami tłumów. Organem tej łączności jest mózg, maszyna niezmiernie skomplikowana, której funkcyje w jednostce są tylko mniej lub więcej dokładnie odgadywane, której zbiorowe działanie w tłumie, jakby w jakim jednolitym organizmie, stanowić może już tylko przedmiot hipotez. To też takimi hipotezami, na prawidłach naśladownictwa opartymi, jak zaraźliwość moralna, sugestya, urok i t. p. Fournial, nie pierwszy ich twórca, lecz niejako naśladowca Maudsleya i Tarde'a, stara się, ale tylko stara, objaśnić jednolitość akcji tłumów, pozostawiając ostatecznie czytelnika w takiej samej niepewności, w jakiej autor, mimo wszelkich pozorów naukowej determinacyi, sam znajduje się od początku do końca swojego studyum.

Najmniej objaśnienia zawiera, ponieważ nawet nie zostaje w związku z psychologią tłumów, obfite anegdotyczne przedstawienie wpływu wielkich ludzi, na co autor wiele miejsca przeznaczył. Chodzi tutaj już raczej o historję, a nie o psychologję tłumów. W takich epizodach dziejowych, jakiemi były wystąpienia i działalność Mahometa, Napoleona i t. d., rolę odgrywały już nie tłumy, a przynajmniej nie takie, jak owe, dziś na poczekaniu powstające i szalejące, o które tutaj głównie chodzi, lecz całe społeczeństwa, ludzkość cała. Zresztą sam urok geniuszu nie tłómaczy przewrotów tego rodzaju, jeżeli się poprzednio nie zbada wszechstronnie całego ustroju stosunków społecznych, całego stanu społeczeństw, i to nie w danej tylko chwili, lecz z dalekim poglądem historycznym. Kto-by punkt ciężkości przenosił w sam

tylko urok, w sam hipnotyczny wpływ wielkich ludzi o silnej woli na całe massy, zmieniał-by niejako dzieje ludzkości w historję działalności wielkich hipnotyzerów, w grę siły, zagadkowej dotąd nawet dla tych, którzy największe znaczenie jej przypisują. Fouillée np. zaczyna swoje sprawozdanie z całego rezultatu badań naukowych w zakresie hipnotyzmu oświadczeniem, że „nie myśli przedstawiać psychologii hipnotyzmu, co nawet w obecnym stanie nauki wydaje się niemożliwem” ¹⁾. Fouillée powiedział to przed trzema laty, ale od tego czasu rezultat badań naukowych nie tylko nie wyjaśnił wszystkich zagadek hipnotyzmu, lecz, owszem, pomnożył ich szereg, co więcej, zachwiał w przekonaniu nawet tych, którzy zapowiadali już z tryumfem, że doprowadzą niebawem tą drogą ludzkość do poznania najzawilszych zagadnień psychologicznych.

Gdyby Fournial, tak samo jak Sighele, ograniczył był swoją preten syonalną psychologię tłumów do samego tylko tłumu zbrodniczego, to nawet, mimo takiego przesadnego wynoszenia lub naciągniętego tłómaczenia niektórych szczegółów, miał-by być prawo do uznania za to, iż wobec dzisiejszych ruchów i drgań społecznych, przybierających częstokroć charakter zbiorowych zbrodni, podniósł sprawę aktualną w całym tego słowa znaczeniu, tak pod względem analizy naukowej, jak i celu praktycznego. Nie chcemy tem bynajmniej powiedzieć, że-by tłum z tego przynajmniej aktualnego stanowiska uważać należało za całkiem nowe zjawisko społeczne. Jak tłum zbrodniczy wogóle nie jest nowością, chociażby wskutek zmienionych stosunków społecznych zmienił się poniekąd także i jego charakter, tak samo współczesne zbrodnie, przez tłum popełniane, nie stanowią dla prawa karnego właściwie żadnej nowości. Samo pojęcie przestępstwa wogóle nie wzbogaca się z postępem cywilizacji nowemi co do istoty swojej okazami, lecz tylko, jak Proteus, przybiera odmienne, do stosunków danej chwili zastosowane, zewnętrzne znamiona i rysy charakterystyczne. Jak istniały zawsze wszystkie te rodzaje przestępstwa, które dopiero stopniowo z postępem cywilizacji i z rozwojem prawa ujmowane były w klamry paragrafowej definicyi, tak samo istniało zawsze także pojęcie przestępstwa, zbiorowemi siłami popełnianego, i wspólnej odpowiedzialności wielu sprawców za jeden czyn występny.

Czemże były, jeżeli nie tłumami zbrodniczemi,—żeby nie oglądać się daleko za przykładami, lecz czerpać je z własnej historii,—owe „kupy swawolne”, jak nazywano w Polsce w XVI i XVII wieku bandy

¹⁾ *Alfred Fouillée*: „Le physique et le mental” (w „Revue des deux mondes” z r. 1891, t. 105, str. 429).

hultajów i włóczęgów, którzy, snując się po kraju tłumnie, w kompanii ze zbiegami obcych krajów, osobiwie z Wołochami, Tatarami i Serbami, niepokoiili nietylko pogranicze kraju, lecz także zuchwale napadali wewnątrz jego dwory i domy, popełniając rozmaite zbrodnie¹⁾. Były wtedy i w innych krajach takie „kupy swawolne”, ciężka plaga dla wszystkich społeczeństw, z ówczesną niedostateczną organizacją organów bezpieczeństwa publicznego, z mało jeszcze rozwiniętym pozytywnym prawem karnym i mało wydoskonalonym aparatem sądownictwa karnego. Radzono sobie, jak można było, z temi bandami opryszków, stosowano, jak świadczą mnogie konstytucye i rozporządzenia, zawarte w *Voluminach legum*, rozmaite środki, tak surowe kary, jak i ryczałtowe amnestye, aby tylko pozbyć się plagi. Dziś te kupy swawolne niejako awansowały w opinii prawników i socyologów, wskutek odmiennej konstellacji stosunków społecznych, o czem później będzie mowa. Traktowane są bowiem nie jak wyjątkowe wybuchy przestępczości mas, lecz jakby nowe zjawiska, towarzyszące współczesnej ewolucyi społecznej, jakby nadzwyczajne zagadki, wobec których prawo miało-by być bezbronne i bezradne.

Obok prawa, uznała literatura ten sam awans społeczny „kup swawolnych”, wynosząc je na stanowisko świeżego a wdzięcznego materiału dla intrygi powieściowej (np. *Germinal* Zoli) i dramatycznej (np. *Die Weber*—Gerharda Hauptmanna), nawet na stanowisko poważnego symptomu charakterystycznego dzisiejszej fazy kultury. Tłumy bowiem miały-by,być—według Nordana—także jedną z wybitnych oznak ogólnej degeneracyi dzisiejszego społeczeństwa²⁾.

Bardzo ponętną musiała stać się ta sprawa dla dzisiejszych włoskich i francuskich kryminologów naturalistycznego autoramentu, którzy po wydrwieniu opartych na wolnej woli zasad klasycznej teoryi karnej o poczytalności, odpowiedzialności moralnej, karze i t. d., nazywają człowieka tylko atomem wielkiej materyi, i już dlatego w „kupie” takich atomów „swawolnych” czy zbrodniczych znaleźć musieli bardzo wdzięczny przedmiot obserwacyi, rozpoczętej już przez Lombrosę na Maffii i Camorze włoskiej. Do tej właśnie szkoły kryminologicznej należą także Francuz Fournial i Włoch Sighele, autorowie obu przytoczonych i dziś już często jako klasyczne świadectwo naukowe powoływanych monografi o psychologii tłumów. Z tego stanowiska obu autorów można naprzód domyślić się, jakie wnioski i rady praktyczne wysnują ze swojej charakterystyki i fizjologii tłumy.

¹⁾ W. A. Maciejowski: „Historja prawodawstw słowiańskich”, Warszawa, 1856—1865, t. IV, str. 478, t. V, str. 446, 503.

²⁾ Max Nordau: „Entartung”, Berlin, 1892, t. I, str. 26 in.

„Człowiek—mówi Fournial—posiada z natury swojej niedający się zaprzeczyć instynkt krwiożerczy (*instinct sanguinaire*). Aby się o tem przekonać, potrzeba tylko rzucić okiem na działanie człowieka w stanie prymitywnym, dopóki jeszcze cywilizacja nie złagodziła jego obyczajów. Zatem już na pierwszy rzut oka może się wydać uzasadnionem przypuszczenie, że, co do faktów omawianych (zbrodni tłumu), zaszło nagle rozbudzenie się tego instynktu.” Byłby to więc atawizm społeczny, o którym już wspomnieliśmy, a który z mglistej sfery zbiorowo-psychologicznych pomysłów przeniesiony został przez klientelę Lombrosa, mianowicie przez Garofala, w formie pewnika, na grunt ściśle prawny. „Złe ziarna—mówi Garofalo ¹⁾—czyli instynkty anty-społeczne, odpowiadające prymitywnemu stanowi ludzkości, są najgłębiej wkorzenione w organizmie psychicznym właśnie dlatego, że są najstarszej daty w rasie ludzkiej. Posiadają one wyższą siłę od tych czynników, któremi je ewolucja zastąpiła. Dzikie instynkty nie tylko nigdy nie są zupełnie stłumione, lecz wybuchają gwałtownie, skoro tylko otoczenie i okoliczności sprzyjają.”

Idźmy jednak teraz za wywodami Fourniala, o ile one mają charakter praktycznych wskazówek, a właściwie, o ile one miały-by tem być według intencji autora. Opisawszy zaciekłość tłumów rozpasyanych i objaśniwszy ją drastycznymi przykładami z ostatnich ruchów rewolucyjnych we Francji i rozruchów socjalistycznych wogóle, wypowiada autor ten zdanie, że tłum, popełniający takie straszne zbrodnie, zdaje się „nie posiadać już żadnej władzy nad kierunkiem wolnej woli.” Zaraz potem, niemal bezpośrednio po tych słowach, tłómaczy Fournial czytelnikowi, zdziwionemu niezawodnie tą niezgodną z duchem dzieła wzmianką o wolnej woli, że nie myśli rozprawiać o tem, czy człowiek posiada wolną wolę, lub jest tylko maszyną, doskonale nastrojoną, chociaż „nie chciał-by mu odmawiać wszelkiej wolności.” Nic dziwnego, że wobec takiej chwiejności autor nie może dojść do stanowczych wniosków pod względem miary odpowiedzialności tłumu i jego uczestników za przestępstwa dokonane; że, rozbierając czynniki w grę wchodzące, jak naśladownictwo, upojenie się widokiem zbrodni i t. p., raz tak się odzywa, jak gdyby całą odpowiedzialnością chciał obciążyć tylko przewodców tłumu zbrodniczego, a potem znowu, widocznie z obawy przed następstwami zupełnego zwolnienia reszty uczestników z wszelkiej odpowiedzialności, nie chce już za tem przemawiać. W końcu przyznaje się autor, że nie może podać pewnego kryterium o stosunku

¹⁾ R. Garofalo (we francuskim przekładzie): „La Criminologie”, II ed., Paris, 1890, str. 147.

odpowiedzialności. Tej chwiejności dobrze odpowiada końcowa, poprzednich, z takim aplombem naukowym wypowiedzianych, uwagach, prawie naiwnie brzmiąca, konkluzja, że „najczęściej niebezpieczną jest rzeczą łączyć ludzi w tłum”, gdyż w takim razie „prędzej wybuchają złe instynkty, aniżeli szlachetne uczucia.” Dlaczego jednak tak jest i tak właśnie być musi, tej kwestyi psychicznej nie rozjaśnia zbiorowa psychologia Fourniala. Czytelnik musi na słowo uwierzyć autorowi, który na to liczyć może dlatego, że się tak często słyszy o ekscesach, a tak rzadko o jakiej podnioslejszej akcji tłumu. Ale konkluzja taka zgadza się z całym tokiem myśli w tej psychologii zbiorowej, nadającej tłumowi niejako postać antropo- czy zoomorficzną, charakter „istoty (*un être*), która czuje i działa, ale nie zna refleksyi“ i jest przytem bardzo często „bydłociem z ludzką postacią (*bête humaine*).”

Jeden z najznajomniejszych dzisiejszych przedstawicieli klasycznej szkoły prawa karnego, uznającej niezłomnie wolną wolę za podstawę działania ludzkiego, a odpowiedzialność moralną człowieka za fundament repressyi karnej, słusznie zaliczył paradoksy do głównych powodów tego zamieszania, jakie w zakresie kryminologii wywołały owe „nowe horyzonty” włoskie, zamącające ustalone pojęcia prawne i społeczne ¹⁾. Właśnie jednym z takich paradoksów jest owa personifikacya tłumów, owo wynoszenie „kupy swawolnej” na stanowisko całkiem nowego i odrębnego zjawiska w objawach życia społecznego. Najbliższem następstwem tego paradoksu musi być zamącenie pojęcia odpowiedzialności karnej za zbrodnie, przez tłum popełnione. Fournial otwarcie zrzekł się zamiaru postawienia kryterjów w tej mierze; autor drugiej monografii o tłumie, Sighele, nierównie bystrzejszy i głębszy od swojego kolegi, z góry zapowiedział ten zamiar, ale, jak się zaraz przekonamy, ostatecznie także pozostawia czytelnika na manowcach bez wyjścia.

Sighele przedewszystkiem zastrzega się, że używa słowa „kary” nie w znaczeniu klasycznego prawa karnego, jako odplata za złe, lecz jako synonim reakcyi społecznej przeciw zamachowi na dobro społeczeństwa. W tem znaczeniu odpowiedzialność zbiorowa była już dawniej w ten sposób uznawana, że za winę jednostki karano całą rodzinę, a dziś, z rozwojem cywilizacyi, przekształciła się w ten sposób, że wprawdzie kara, czyli reakcyja społeczna, spada tylko na jednostki, odpowiedzialność jednak zawsze ciąży na otoczeniu społecznem. Im większa odpowiedzialność spada na to otoczenie, tem mniejsza ciąży na je-

¹⁾ Louis Proal: „Le crime et la peine”, Paris, 1892, str. 264 in.

dnostce, którą z popełnionego przestępstwa ma się wytlómaczyć i odwrócić. Jeżeli zatem zbrodnia, przez tłum popełniona, ma być poddana reakcy społecznej, czyli karze, to należy przedewszystkiem rozpatrzyć, jaka część winy spada na otoczenie, a jaka na uczestników tłumu. Chodzi więc w takim razie o instynkt zbrodniczy, chodzi o kwestyę, czy ten, kto popełnił przestępstwo wśród tłumu, posiada naturę zbrodniczą, czy przeciwnie, wyrwany z otoczenia tłumu egzaltowanego i podrażnionego, przeniesiony w stan normalny, niejako samemu sobie oddany, byłby jeszcze i wtedy niebezpieczny dla społeczeństwa? Sprowadzając kwestyę na to stanowisko zasadnicze, Sighele chciał-by ją tak sformułować: Czy jest to rzecz możliwa, aby człowiek prawy dał się porwać i unieść przez tłum, aż do granic zbrodni, jakby w napadzie obłąkania chwilowego, które przemija i nie pozostawia po sobie śladu? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba poznać nie tylko w teoryi, lecz i w każdym danym wypadku, jaką jest siła sugestyi, przez tłum wywartej, jaki jest stopień deprawacyi, której jednostka w tłumie ulega?

Chcąc uznać fascynację za siłę tak potężną, tak straszną, żeby pod jej wpływem człowiek prawy mógł naraz zmienić się w mordercę lub rabusia, trzebaby najpierw uwierzyć ślepo w twierdzenie, że możliwą jest, nie tylko w stanie hypnotycznym, lecz i na jawie, sugestya w takiej sile, jaką za pewnik przyjmuje tak zwana szkoła francuska z Nancy, gotowa już dziś do usprawiedliwienia każdej sensacyjnej zbrodni, jak np. niedawno w głośnej sprawie Gouffé, zamordowanego przez Eyraud'a we spółce z Gabryelą Bompard. Jeden z uczniów tej szkoły filozoficznej nieśmiało ujął się nawet za słynnym Troppmanem, ściętym w r. 1867 za wymordowanie całej rodziny, z siedmiu osób złożonej.

Już to świadectwo klasyczne, jakie stanowią przytoczone powyżej sceptyczne słowa Fouillégo o sile hypnotycznej, wystarczyło-by, aby w poważnym i sumiennym prawniku obudzić skrupuły i wielką ostrożność w traktowaniu sprawy odpowiedzialności karnej ze stanowiska tak niepewnej jeszcze hipotezy. Prawnik już co najmniej powtórzyć musi zdanie Tarde'a, że „hypnotyzmowi daleko jeszcze do wypowiedzenia ostatniego słowa” ¹⁾. Ale Sighele, krążący w sferze „nowych horyzontów”, nie liczy się z takimi skrupułami i mówi wcale stanowczo, że chociaż sugestya na jawie „jest dotąd nadto mało wystudowana”, nie należy się na to oglądać, gdyż „cały świat wie, że sugestya ta jest tylko pierwszym stopniem sugestyi hypnotycznej.

¹⁾ G. Tarde: „L'idée de culpabilité” (w „Revue des deux mondes” z r. 1891, t. 105, str. 849 i in.).

Co zatem mówi się o jednej sugestyi, to stosuje się i do drugiej. Cała różnica na tem tylko polega, że suggestya w uspieniu jest silniejsza, niż w stanie normalnym."

Po takim rozgrzeszeniu się ze skrupułów naukowych, Sighele może już bujać swobodnie. Trzeba jednak uznać, że w tem bujaniu jest jeszcze, bądź co bądź, dość skromny, gdyż nie poszedł zupełnie za szkołą z Nancy, wysuwającą coraz dalej granice sugestyi, lecz zatrzymał się u granic przypuszczalnej predyspozycyi, bez której wszystkie nsiłowania hypnotyzerskie zawodzą. Próby takiej sugestyi, na której dążność wzdygało się uczucie moralne osoby, poddanej jej wpływowi, zawiodły w zbyt wielu wypadkach, żeby utrzymywać można, że hypnotyzer zdoła ze swojej ofiary uczynić automat, całkiem powolny na każde skinienie. Zatrzymawszy się na predyspozycyi, Sighele musiał uznać, że „przestępstwo, popełnione przez indywiduum wśród rozjuszonego tłumu, tkwić musi co do swoich przyczyn w pewnej, chociażby bardzo małej, części, w ustroju fizyologicznym i psychologicznym sprawcy, który też w konsekwencji zawsze będzie odpowiedzialny."

Cóż jednak znaczy ta odpowiedzialność, jeżeli autor zaraz potem dodaje takie zastrzeżenie: „Czy można stąd wnosić, że wszyscy, pełniący jakie przestępstwo w rozpasanym tłumie, są bez różnicy prawdziwymi przestępcami? Byłby to wielki błąd. Są w tłumie często przestępcy z urodzenia, ale nie można powiedzieć, że są winni wszyscy, którzy popełnili przestępstwo w taki sposób. Powiemy o nich tylko, że są to ludzie słabi. Każdy otrzymuje z natury charakter zeterminowany, który nadaje pewne znamię, pewną formę jego zachowaniu się i z którego wychodzi impuls, kierujący człowiekiem w działaniu. Im silniejszy jest ten impuls wewnętrzny, tem stateczniejszy i pewniejszy jest charakter, tem więcej kierować on będzie działaniem, aniżeli wpływy zewnętrzne." Ale takich charakterów statecznych jest zapewne mało, gdyż owo otoczenie społeczne, na które pozytywiści głównie nacisk kładą, wywiera wpływ przemożny i tylko wyjątki pozostawia w zupełnej samodzielności. Tak jest w życiu codziennem, normalnem. Cóż dopiero mówić o wpływie takiego wzburzonego otoczenia, jakim jest tłum zbrodniczy. Porywa on za sobą wszystkie słabe i chwiejne charaktery, wiodąc je wprost w przepaść przestępstwa, rozbudzając owe pierwotne dzikie instynkty, które Sighele, tak samo jak Ferri i Garofalo, uważa za silniejsze od dobrych czynników i za wybuchające łatwo z pod tej powłoki szlachetnej, jaką je rozwój cywilizacyjny osłonił.

Wobec takiej chwiejności materiału, z którego tłum się składa, i wobec potężnego wpływu sugestyi, w ogólnym motywie występnego akcyi tłumu szuka Sighele punktu oparcia dla ocenienia odpowiedzial-

ności za przestępstwo, zbiorowo popełnione, tak w sposób nieprzewidywany z góry, niejako w chwili ogólnej gorączki, jak i z premedytacją. Pomijając drugą kategorię przestępstwa, stawia Sighele tylko co do pierwszej pytanie, jaka powinna być „kara, czyli raczej reakcja społeczna”, i zaraz tak odpowiada: „Szkoła pozytywistyczna nie może dać na to pytanie stanowczej odpowiedzi, a tem mniej wskazać formuły, dającej się zastosować we wszystkich wypadkach.” Mamy tutaj typowe wyznanie wiary pozytywistów włoskich w zakresie prawa karnego. Podkopują oni wszystkie podstawy klasycznego prawa, odmawiając człowiekowi wolnej woli, mieniąc go atomem wielkiej materii, pojęcia odpowiedzialności moralnej, winy i kary—przesądami zastarzającymi, z którymi w imię prawdy zerwać należy; a gdy potem przychodzi kolej na zakreslenie dodatniego programu środków prawnych, którymi społeczeństwo ma być strzeżone przed przestępstwem, ustaje fantazja i pewność tryumfu. Kollizję zbywa się w takiej sytuacji mniej lub więcej stanowczą zapowiedzią, że pozytywizm znajdzie i tutaj z czasem najlepszą drogę wyjścia. Czy znajdzie rzeczywiście, to kwestya wielka. Nie z litości dla klasycznej teorii karnej zwleka pozytywizm dotąd z ułożeniem własnego systemu karnego, na powyższych zasadach opartego, lecz z widocznej niemocy. Zgodne z klasyczną teorią karną podwaliny nowego kodeksu karnego, który parlament włoski uchwalił przed kilku laty za współudziałem koryfeuszy pozytywistycznej kryminologii, ale nie w jej duchu, świadczą wymownie o braku takiego pomysłu praktycznego, który-by wywrotowe dążności tej kryminologii ujmował w logiczną kodeksową formę. A może byłby się znalazł taki pomysł, ale brakło odwagi do wystąpienia z nim na seryo, po-za sferą książkowych przechwałek, na arenie parlamentarnej, gdy w myśli stało pytanie, dokąd zaszłyby Włochy, dokąd zaszła-by cywilizacya i ludzkość, jeżeli-by prawo karne wydane zostało na pastwę takim dążnościom?

Sighele kończy swoje wywody ponownem zeznaniem, że niemożę podać kryteriów rozgraniczenia odpowiedzialności za zbrodnie, przez tłum popełnione. Co mówi o potrzebie odróżniania zbrodniarzy z urodzenia od zbrodniarzy, porwanych tylko przez tłum rozpasyany na drogę przestępstwa, ale jeszcze nie wyzuty z dobrych instynktów, to wszystko nie stanowi, ściśle rzecz biorąc, żadnej nowości, to wszystko jest uwzględnione w dzisiejszem prawie karnem, odmierzającym winę i karę na podstawie szczegółów, ściśle zbadanych, tak co do samej akcji występnej, jak i jej uczestników. Aby przecież coś nowego powiedzieć, przechyla się Sighele na razie na stronę teorii Pugliesego, adwokata włoskiego, który w pewnej sprawie karnej przeparał ryczałtowe uznanie połowy odpowiedzialności co do wszystkich ucze-

stników zbrodni zbiorowej. Sam jednak ostatecznie nazywa ten pomysł, na oślep powzięty, absurdem, a zdanie to liczyć może na zapewnioną z góry aprobatę zwolenników panującej klasycznej teorii karnej, która ostrym mieczem sprawiedliwości na oślep nie rąbie dokoła, lecz liczy się przedewszystkiem z ustrojem moralnym człowieka. „Zadowolmy się na razie—kończy Sighele—nadzieją, że dobry zmysł sędziów zastosowywać będzie nasze pomysły do zbrodni, przez tłumy popełnionych. Dopiero później wejdą one w kodeksy. Celem i obowiązkiem pisarza jest przygotowywanie pożytecznego materiału dla rządzących.” Zapewne długo jeszcze Sighele i jego następcy będą musieli pocieszać się tą nadzieją, skoro tak obfitego materiału, już przygotowanego przez kryminologię pozytywistyczną, nie wyzyskał, jak powiedzieliśmy, prawodawca włoski, w chwili tak stosownej, jaką było niedawne uchwalenie nowego kodeksu karnego, lecz bez zmiany dotychczasowych zasad odpowiedzialności karnej wogóle oparł się na zasadzie: *tanti delitti quanti delinquenti*, a dopiero w granicach tej zasady podzielił odpowiedzialnych na kategorie.

Za życia dzisiejszego pokolenia naukowego we Włoszech taka sposobność do skodyfikowania „nowych horyzontów” już się pewnie nie powtórzy. Może przyszłe pokolenie prawodawców będzie tym materiałem tak uszczęśliwione, jak to Sighele zapowiada? Do tego czasu dzisiejsze zapędy nowatorskie stracą swój, obecnie tak silny jeszcze, urok nowości, a po ich autorach pozostanie w historii nauki wogóle, w historii prawa w szczególności, taki ślad, jaki pozostał po koryfeuszach naturalizmu z poprzedniego stulecia, Holbachu i La Mettrie, kolekcya paradoksów, które, mimo wielkiego talentu autorów, niezdolały wstrzymać postępu ludzkości na szerokim szlaku chrześcijańskiej cywilizacji.

Ciekawsze o wiele od prac Fourniala i Sighelego są studia Tarde'a o fizyologii czy patologii tłumu wogóle, a zbrodniczego w szczególności. Tarde należy do najgłębszych współczesnych prawników-filozofów, nie tylko we Francji, lecz w całym świecie naukowym, a nadto jest sam sędzią śledczym (w Sarlat), więc głos jego w kwestiach kryminologii zaważyć musi na szali z podwójną siłą.

Tarde stoi w szeregu pozytywistów i należy niezawodnie pod wielu względami do otwartych przeciwników klasycznej teorii karnej, szczególnie co do kwestyi winy i odpowiedzialności. Posuwa się on pod tym względem tak daleko, że w przytoczonej już poprzednio rozprawie o idei odpowiedzialności nie zawahał się postawić wprost tego pytania, czy wobec wyników analizy pozytywistycznej podtrzymywane przez panującą klasyczną teorię karną pojęcie winy ma upaść zupełnie, do czego dążą włoscy kryminolodowie, lub czy powinno być poddane

rewizyi i pogodzone w jakikolwiek sposób z nowemi prądami, w danym razie nawet „siłą mocą zatrzymane, jako dogmat w społecznem znaczeniu niezbędnym, chociaż ze stanowiska naukowego nie dający się utrzymać.” Tarde oświadcza się za ostatnią alternatywą i tłumaczy się, dlaczego, jako stanowczy pozytywista, uczynić musi takie *sacrifizio del intelletto*. W historii ludzkości wielką rolę odgrywa kłamstwo, jako źródło złudzenia. „Czy jest choć jeden rząd—mówi autor—który-by zdołał się ustalić bez autoryzowanych po kuglarsku historycznych legend o swoim pochodzeniu? Nawet w dzisiejszych czasach kłamią nasze buletyny wojenne, nasze programy wyborcze, nasze dzienniki, a wszystko to dzieje się w interesie politycznym, więc, bądź co bądź, drugorzędnym. Jakież więc można mieć skrupuły co do kłamstwa w pierwszorzędnym interesie ludzkości, jeżeli to się okazuje niezbędnem, t. j., jeżeli bez wiary w wolną wolę, ustalonej wbrew wszelkiej argumentacji, społeczeństwo nie mogło-by istnieć?”

Skoro kwestya postawiona została w ten sposób, że chodzi tylko o wymyślenie takiego „kłamstwa”, aby bez uznania wolnej woli ocalić dla społeczeństwa zasadę odpowiedzialności moralnej pod hasłem *mundus vult decipi, ergo decipiatur*, to niemożna dziwić się, że Tarde w pismach swoich, zwłaszcza, o ile one tyczą się zbiorowej zbrodni, nie zawsze jest tak konsekwentnym, jakby tego oczekiwać należało po pisarzu, tak zresztą głębokim i tak ścisłym. Zaczynamy od dzieła Tarde'a, poświęconego filozofii prawa karnego. Tutaj nie szuka on jeszcze takiego kłamstwa, jakie w powyższej pracy zapowiedział, lecz owszem oświadcza się wprost za złagodzeniem, nawet za wykluczeniem odpowiedzialności co do tłumów ¹⁾. Tylko naśladownictwo normalne, a nie chorobliwe, pochodzi w znacznej części z własnej woli. Jeżeli się jest odpowiedzialnym za czyny, spełnione za przykładem drugich, chociaż bież tego przykładu pewnie nie były-by one dokonane, pochodzi to stąd, że świadomość towarzyszyła udziałowi w takim naśladownictwie. Natomiast w tłumie wzburzonym naśladownictwo jest absolutnie nieświadome, ślepe, sprzeczne z normalnym charakterem naśladowującego, więc staje się zjawiskiem chwilowego zboczenia (*phénomènes d'aliénation momentanée*), które łagodzi odpowiedzialność lub ją nawet uchyla.

Zaledwie ta generalna absolucya tłumy od odpowiedzialności została wypowiedziana, zaraz zaczynają się zastrzeżenia, które mają salwować interesa społeczne. Nie było-by mowy o ochronie tych interesów, o istnieniu społeczeństwa, jeżeliby złoczyńcy mogli w zbitym tłumie przystępować do spełnienia zbrodni i potem zasłaniać się tem, że

¹⁾ G. Tarde: „La Philosophie pénale”, II ed., Paris, 1891, str. 303 in.

ulegli „ślepeму naśladownictwu w stanie anormalnym,“ że zatem znajdowali się w stanie niepoczytalności. To też już i tutaj Tarde nie uważa bezwarunkowo uczestników tłumu zbrodniczego za same tylko nieodpowiedzialne ofiary anormalnego naśladownictwa. Kto bowiem przeniósł wpływ swoich złych towarzyszy i głos zbrodniczego instyktu nad wpływ innych uczciwych towarzyszy, ten zdradził w sobie zły instykt z urodzenia lub deprawację nabytą. Ale i ten zwrot znowu łączy się zaraz z zastrzeżeniem na korzyść z natury uczciwych indywiduów, które w tłumie dopiero widokiem zbrodni porwane zostały do uczestnictwa. Zaciera się więc ostatecznie w tych ciągłych zastrzeżeniach granica odpowiedzialności, determinizm góruje i zdaje się sztytować z podjętych prób sztucznego pogodzenia zasad klasycznej teorii karnej z jego nieubłaganymi konsekwencjami, a przedewszystkiem z tą najgłówniejszą, że z negacją wolnej woli nie dają się utrzymać fundamentalne zasady prawa wogóle. Na stanowisku sędziego śledczego Tarde z pewnością nie postępuje tak, jakby tego wymagały owe konsekwencje. Zdaje się, że świetny ten autor zawsze przebywać musi ciężką walkę wewnętrzną, gdyż głęboki a sumienny pogląd na następstwa nie pozwala mu postępować w duchu doktryny deterministycznej, nie tylko wśród działalności sądowej, w nieustannej styczności z rzeczywistymi przestępcami, lecz nawet tam, gdzie, jak np. na kongresach fachowych, nie może postawić sprawy na ostrzu determinizmu bez obawy, żeby stąd nie powstała jaka szkoda dla tak niezbędnej dla społeczeństwa zasady odpowiedzialności moralnej.

W ten sposób tylko wytłumaczyć sobie można jawną różnicę, — żeby nie powiedzieć sprzeczność — jaka zachodzi między poglądami na odpowiedzialność tłumów zbrodniczych, rozwiniętymi w pismach filozoficznych Tarde'a, a opinią tego pisarza, przedstawioną w tej sprawie na brukselskim kongresie dla antropologii kryminalnej z r. 1892. W opinii tej Tarde wychodzi jak Nordau, z założenia, że tłum jako całość zawsze spada poniżej tego duchowego poziomu, na jakim stoją jednostki w jego skład wchodzące, gdyż szlachetniejsze instykta nie dostają się w tłumie do głosu, kierującą rolę obejmują tam uczucia a nie rozum, i wskutek tego nie imponuje ani głęboka myśl, ani wyższa wiedza, lecz tylko silna wola. Pod względem tej niższości duchowej nie czyni Tarde wyjątku nawet dla takich zorganizowanych i doborowych zgromadzeń, jak np. parlamenty. Uznawali to zdaniem jego już Rzymianie w klasycznym zdaniu: *Senatores boni viri, senatus autem mala bestia*.

Kapryśność, powolne uleganie wszelkim impulsom, w połączeniu z brakiem równowagi i z łatwowiernością, nerwowość, przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą, mianowicie z brutalizmu w nastrój czułości, z zapamiętałości w popłoch, z oburzenia w śmiech pusty i t. d., —

wszystko to nadaje tłumowi odrębny charakter, porównany przez Tarde'a w dawniejszych pismach z charakterem kobiecym, a w opinii brukselskiej z dziecinnym. W tej opinii uznaje Tarde, że na formację tłumy zbrodniczego wpływają pewne czynniki zewnętrzne fizycznej natury, jak np. klimat, pory roku i dnia i t. d., ale ostrzega zarazem przed przesadą w ocenianiu doniosłości tych wpływów. Wszystkie bowiem razem wzięte nie doprowadzą jeszcze same do formacji tłumy, jeżeli za współudziałem czynników społecznych nie przyłączy się do tego pewien cel, wprowadzający skupione masy w poruszenie. Społeczny charakter uczestników wywiera wpływ na całe postępowanie tłumy. Rolę ważną odgrywają mianowicie różnice, zachodzące między poszczególnymi klasami według zajęć, sposobów zarobkowania i t. p., a przede wszystkim różnica między charakterem ludności miejskiej i wiejskiej. Tłum, z mieszczuchów złożony, jest szczególnie nerwowy, kapryśny, najwięcej zbliżony do charakteru niewieściego, więc daje się najłatwiej i najsilniej podburzyć, ale za to także najłatwiej przetrzuca się w przeciwieństwo. Natomiast wśród ludności wiejskiej tłum formuje się powoli, ale skoro raz wystąpi zaczepnie, zmierza już do celu z dziką stanowczością i wytrwałością.

Kwestyę odpowiedzialności za zbrodnie zbiorowe rozbiera Tarde w swojej opinii brukselskiej przeważnie ze stanowiska praktycznego. Przemawiał na kongresie wobec poważnego grona prawników zawodowych, sędziów i prokuratorów, a do tego w chwili, gdy nie sami tylko uczeni kryminaliści, lecz świat cały pozostawał pod świeżym wrażeniem szeregu zbrodni zbiorowych, popełnionych w różnych krajach przez tłumy anarchiczne. Wśród takiej sytuacji trzeba było zepchnąć na drugi plan dawne skrupuły i subtelne hipotezy filozoficzne, a wzrok skierować na aktualne niepokojące znamiona położenia, liczyć się przytem ze względami praktycznymi, a przede wszystkim z tym, że skoro już samo wielkie prawdopodobieństwo ukrycia i zgubienia się w tłumie przyczynia się znakomicie do powodzenia zbrodni zbiorowych, to zasadnicze ścieśnianie odpowiedzialności w duchu psychologii zbiorowej à la Sighele stanowiłoby w czasach dzisiejszych wielkie niebezpieczeństwo dla społeczeństwa. To też w tej opinii brukselskiej Tarde jest w końcu nawet surowy, uważa samo zbiegowisko za danie sposobności do popełnienia zbrodni zbiorowych, więc przyłączanie się do takiego zbiegowiska za rodzaj uczestnictwa. Przy odmierzaniu stopnia odpowiedzialności należy hersztów ściśle odróżnić od reszty uczestników, co w teorii trudnem się wydaje, ale w praktyce nie jest połączone z nadzwyczajnemi trudnościami. Herszt przede wszystkim daje impuls do zbrodni zbiorowej, więc na nim zaciężyć powinna odpowiedzialność prawna z całą siłą, z czego jednak wcale nie wypływa, żeby uczestni-

kom pofolgować wypadło. Każdy uczestnik tłumu zbrodniczego jest owszem odpowiedzialny za swoje czyny indywidualne, a nadto, wskutek udziału w akcji tłumu, także stosunkowo za idące na jego rachunek czyny zbiorowe, i to tem więcej, im ściślejszy węzeł łączył wszystkich w jedną masę. Im większa wina ciąży na całym tłumie, tem mniejsza odpowiedzialność spada na jednostkę za uczestnictwo w czynach występnych ostatniej kategorii, natomiast wzrasta odpowiedzialność hersztów w miarę, jak w tłumie zaostrzył się charakter zbrodni, przez nich inspirowanej. Uczestnicy w żadnym razie nie mogą się zasłaniać tem, że działali pod presją wpływu hersztów na nich wywieranego. Weszli oni bowiem w tłum zbrodniczy dobrowolnie, więc odpowiedzialność ciąży na nich tak samo, jak na każdym, kto się dobrowolnie upił.

Mamy tedy pośrednie odwołanie tego, co prelegent kongresu berlińskiego powiedział przedtem w rozprawie naukowej o odpowiedzialności moralnej, jako o illuzyi, a raczej jako o kłamstwie, niezbędnem dla społeczeństwa. Inaczej tedy przemawia Tarde, jako filozof-pozytywista, a inaczej jako sędzia śledczy, który po-za pracownią naukową stykać się musi nieustannie ze zbrodniarzami różnej kategorii. Ta praktyczna obserwacja musiała bardzo dobitnie przemówić do głębokiego umysłu Tarde'a, gdyż po kongresie brukselskim już i w jednej pracy czysto naukowej, na pokrewny temat napisanej ¹⁾, widać zwrot znaczący. Odpowiedzialność hersztów, wogóle przywódców, za impuls, dany akcji występnej tłumowi, nie gubi się już w tej nowej pracy, ani w wątpliwościach na temat wolnej woli, ani w subtelnych hipotezach o stosunku i sile wzajemnej sugestyi w tłumie. Nie posiada on bowiem innej idei, oprócz tej, którą mu z zewnątrz podano. Ta idea czy wskazówka, mniej lub więcej intelligentna, tycząca się celu lub środka, przenosi się niejako z jednego mózgu do innych, lecz zawsze pozostaje ta sama. Przywódca jest zatem odpowiedzialny za efekt bezpośredni. Tylko emocja, połączona z impulsem, nie pozostaje na tym samym stopniu, lecz nabiera siły w progressyi matematycznej. Co stanowiło pragnienie umiarkowane lub opinię chwiejną u inicjatora propagandy, u pierwszego inspiratora, np. podejrzenie, rzucone na pewną kategorię osób, to staje się namiętą konwikcją, nienawiścią i fanatyzmem w masie wzburzonej. Siła emocyi, podniesionej do ostateczności w dobrym lub złym kierunku, jest już zatem w większej części własnem dziełem tłumu, wzajemnego roznamiętnienia się uczestników. U tej granicy zatrzymuje się Tarde z obciążeniem przywódców

¹⁾ G. Tarde: „Foules et sectes au point de vue criminel” (w „Revue des deux mondes” z r. 1893. str. 349 in.).

tlumu, których jednak nie chce oszczędzać nawet wtedy, gdy rola ich ograniczała się tylko do inspiracyi, więcej odgadywanej, niż dowiedzionej.

Przywódcy tłumu każe Tarde koniecznie szukać i nie chce nawet przypuścić, żeby bez niego mógł się sformować i działać tłum zbrodniczy. Czuje to niejako Tarde, chociaż nie wypowiada tego otwarcie, że w wywodach jego, mimo wszelkich ustępstw na rzecz klasycznej teorii karnej, odpowiedzialność za zbrodnie zbiorowe, więc i możliwość repressyi karnej, tem jednym tylko ogniwem spojona jest silniej z ową teorią. „Jak każdy warsztat—mówi Tarde—ma swojego kierownika, każdy klasztor swojego superyora, każdy pułk swojego pułkownika, każde zgromadzenie swojego przewodniczącego, tak samo każdy salon ożywiony ma swojego koryfeusza w konwersacyi, każdy tłum swojego szefa, każdy dwór swojego króla lub księcia, każda kłaka swojego naczelnika.” Repressya karna wobec zbrodni zbiorowych miała-by tedy zawsze pewny punkt oparcia, gdyż wszędzie są przywódcy i przewodzeni, a wola pierwszych w jakikolwiek bądź sposób panuje nad wolą drugich. Bywają czasem tłumy, na pozór nieposiadające przywódców. Weźmy np. wzburzenie, które w czasie głodu lub innej klęski wywołuje tłumne zebrania i ekscesy. W takim razie pożar szerzy się dokoła tak gwałtownie, że trudno wskazać, gdzie było zarzewie. Ale jak w pożarze jest zawsze punkt, w którym z iskry strzelił najpierw słup płomieni, tak i w ekscesach tłumów wzburzonych musi być punkt, w którym pokazała się iskra, t. j. padło hasło inicjatora ekscesów.

Ostatnią rozprawę swoją o tłumach zamyka Tarde ciekawem porównaniem, które jeszcze więcej zbliża go do zasad panującej klasycznej teorii karnej. Mówi on, że między przestępstwem indywidualnem a zbiorowem zachodzi taki sam stosunek, jak między rzemiosłem a wielkim przemysłem. W przestępstwie indywidualnem zamiar, postanowienie i pomysł wykonania, rozwija się i dojrzewa w jednym i tym samym ustroju psychicznym, tak samo, jak w rzemiośle rzemieślnik jest przedsiębiorcą i robotnikiem w jednej osobie. W przestępstwie zbiorowem indywidua dzielą zadanie między sobą, przywódcy i inspiratorowie nie są wykonawcami, tak samo, jak w wielkim przemyśle pryncypałowie nie pełnią funkcyi robotników. Zatem indywidualizm i zbiorowość w przestępstwie schodzą się już na wspólnym gruncie działania występnego, winy i odpowiedzialności, a różnią się między sobą tylko w szczegółach, ważnych wprawdzie, ale już nie zasadniczych. Można śmiało insynuować Tarde'owi taki stopniowy, świadomie wykonany odwrót ze stanowiska bezwzględnego determinizmu ku zasadzie odpowiedzialności moralnej, pojmowanej nie jako konieczne dla społeczeństwa kłamstwo, lecz jako zasada żywotna, gdyż pisarz ten w innym

głębokiem dziele historyczno-prawnej treści, i to właśnie w ostatnich czasach, uznał odpowiedzialność tę nie za kłamstwo, lub, jak inni pozytywiści, za metafizyczny przesąd, lecz wprost za jeden z odwiecznych fundamentów cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa i prawa ¹⁾.

Nie odstępując tedy ani na krok Tarde'a, lecz owszem, idąc z nim razem, zbliżyliśmy się do dzisiejszej, niezmiennie panującej, chociaż tak zaciekle atakowanej, teorii karnej, opartej na zasadzie wolnej woli i odpowiedzialności moralnej. Wobec tej zasady, na pierwszym planie stoi człowiek, wolną wolą obdarzony, a tłum, czy unoszony namiętnością, rozpasany i dziki, czy z premedytacją i wyrachowaniem działający, nie jest produktem społecznym odrębnym i odmiennym od człowieka, lecz tylko sumą jednostek, do których w miarę możliwości z osobna ściśle stosowane być powinny indywidualne kryteria winy.

Czytelnik, znużony może tem krążeniem do celu ubocznemi drogami, mógłby zapytać, dlaczego podjęliśmy tę wędrówkę? Pominąwszy okoliczność, że z pisarzem tak głębokim, jak Tarde, takie krążenie nigdy nie odbywa się bez korzyści, mieliśmy na celu stwierdzenie na jednej z aktualnych i żywo dziś omawianych kwestyi tego faktu, że jeden z prawdziwych matadorów naukowych pozytywizmu w zakresie prawa wogóle, a karnego w szczególności, musiał się zachwiać w swoich skrajnych przekonaniach, gdy mu przed oczyma stanęło dobro społeczeństwa i jego interesa cywilizacyjne. Gdyby nie chodziło o taką znakomitość, lecz o pisarza średniej miary, można-by go było szyderczo zapytać słowami poety niemieckiego: *Warum in die Ferne schweifen, sieh das Gute liegt so nah.*

To zwycięstwo, jakie odniósł Tarde-sędzia nad Tardem-filozofem, jest tem ważniejsze i cenniejsze, ile że główną rolę odegrały w niem nie olśniewające doktryny filozoficzne, lecz trzeźwa obserwacja aktualnej sytuacji społecznej w świetle socjologicznem, obserwacja, nie odwracająca oczu od przepaści, w którą musiało-by się stoczyć społeczeństwo w razie zachwiania zasady odpowiedzialności za czyny występne, popełnione wśród tłumu i razem z tłumem, do czego prostą drogą wiodą doktryny à la Fournial i Sighele. Taka ewentualność równała-by się wprost nihilizmowi prawnemu i moralnemu, była-by otwartą zachętą dla zbrodniarzy, aby złe instynkty swoje trzymali na wodzy, dopóki nie nadarzy się sposobność do bezkarnego pofolgowania ich prądowi w tłumie zbrodniczym.

Można nie zgadzać się z żadnym z tych wniosków, jakie pozytywiści à la Fournial, Sighele i inni ich naśladowcy wysnuli w swojej

¹⁾ G. Tarde: „Les Transformations du droit”,—Etude sociologique, Paris, 1892, str. 22.

kryminalno-socyologicznej obserwacji tłumu wogóle, a zbrodniczego w szczególności, można wszystkie te wnioski uważać za zgubne dla społeczeństwa; ale, mimo to wszystko, niepodobna zapoznać tego, że na baczną uwagę zasługuje w każdym razie ogólny rezultat tych tak dziś ożywionych badań i dysput o tłumie, jeżeli rezultat ten wzięty będzie tylko jako wyrazista charakterystyka coraz częściej występujących, a rzeczywiście dotąd nie dość ściśle zbadanych, objawów życia społecznego, zwłaszcza jako charakterystyka, zawierająca przestrogi i wskazówki pożyteczne i praktycznie wyzyskać się dające. Do takiej pouczającej i ostrzegającej charakterystyki tłumów powołani są szczególnie francuscy socjologowie i prawnicy. Francja bowiem jest ziemią klasyczną tłumów, tak w politycznej, jak i w zbrodniczej akcji. Na poparcie tego zdania wystarczyć może samo przypomnienie faktu, że twórcą dzisiejszej republiki był przecież ów tłum, który 4 września 1870 r., na zajutrz po kapitulacji sudańskiej, znienucka wtargnął do ciała prawodawczego i w obliczu zwycięskiego nieprzyjaciela ogłosił destytucję dynastji Napoleońskiej na rzecz republiki; że dalej ów tłum uważał tę akcję swoją tylko za legalną kontynuację tego, co tłumy ze schyłku XVIII stulecia dokonały pod względem politycznym z monarchią i całym społecznym ustrojem Francji. Tak samo pojmowały akcję swoją tłumy z czasów komuny paryskiej.

Uderzającym jest podobieństwo wszystkich tłumów francuskich z czasów wielkiej rewolucji, zwłaszcza w tem rozbestwieniu, które zaślepiało uczestników do tego stopnia, że za każdym razem demoniczny wpływ afektu zagłuszał nie tylko szlachetniejsze instynkty, lecz nawet poczucie godności ludzkiej, a wskutek tego, nawet ludzie umiarkowani i z natury łagodni popychani byli na drogę zbrodni, przykładali ręki do takich monstrualnych czynów, o jakich przedtem bez odrazy nie mogli-by byli pomyśleć, na których wspomnienie sami później po otrzeźwieniu z szalu wzdrygali się, nawet popadali w formalne obłądki. Wiele przykładów tego rodzaju można-by przytoczyć za Taine'em i Maximem du Camp z nakreślonych przez nich obrazów krwawej akcji tłumów. Weźmy np. jeden fakt historyczny z okresu rzezi wrześniowej podczas wielkiej rewolucji. Jeden z delegatów sekcyjnych Paryża, Grapin, udał się do krwawego trybunału rewolucyjnego, szczerze przejęty poruczoną sobie szlachetną misją wyjednania łaski, a raczej sprawiedliwości, dla dwóch więźniów, dwóch ofiar szalonego terroryzmu. Gdy stanął wśród tłumu, opętanego żądzą ofiar i krwi, upominającego się o świeży materiał dla gilotyny, sam tak się poddał demonicznemu wpływowi, tak się zassymilował w jednej chwili z krwiożerczą tłuszcą, że, zamiast myśleć o ocaleniu dwóch więźniów, przyłączył się do rewolucyjnych sędziów i z nimi wytrwał w ferowaniu wyroków

śmierci, a raczej w mordowaniu ofiar, do końca całej orgii pseudo-sądowej. Maxime du Camp przytacza z czasów komuny paryskiej taki przykład charakterystyczny. Pewien człowiek, ubrany w nędzną bluzę, więc widocznie należący do klasy robotniczej, przechodził przez jeden z placów paryskich w chwili, gdy go zalegał tłum komunistów, już opętany krwiożerczą namiętnością. Ktoś z tłumu nazwał przechodnia całkiem bezmyślnie, bez najmniejszej konkretnej podstawy, podejrzanym, i w okamgnieniu to zdanie znalazło taki odgłos, że podejrzenie, opanowawszy w jednej chwili wszystkich, mimo żywych protestów niewinnej ofiary, zmieniło się w przekonanie, a zaraz potem w doraźny i na poczekaniu wykonany wyrok śmierci. W gronie tej tłuszczy był niezawodnie nie jeden taki Grapin, skłonny pierwotnie do ocalania ofiar, było pewnie mnóstwo takich uczestników, którzy po-za tłumem nazwali-by prostem morderstwem doraźne stracenie człowieka na podstawie tak bezmyślnego, idyotycznego oskarżenia, dla których później zapewne samo wspomnienie o udziale w takim sądzie doraźnym tłumowi stanowiło do śmierci tortury moralne.

Czy potrzeba koniecznie stawiać nowe hipotezy na tle sugestyi, aby wytłómaczyć, skąd pochodzi takie ślepe poddawanie się tłumowi dzikim uniesieniom, takie oszołomienie moralne wobec najhaniebniejszych wybryków? Jest to przecież dzieło afektu, skutek stanowczej a tak zupełnej niejako zaślepiającej przewagi jednego motywu w działaniu, że wola zdana jest całkowicie na jego komendę, a inteligencya, opanowana zupełnie jego siłą i obrazami, zostaje niejako ubezwładniona i jest niezdolna do jakiegokolwiek trzeźwej refleksyi, a tem mniej do reakcyi. Tak stanowczą jest i będzie zawsze potęgą afektu w dobrem i złem znaczeniu, bo na tem właśnie polega jego istota. Że wypadki pierwszej kategorii są rzadkie, a drugiej tak częste; że tłumy, uniesione szlachetnemi motywami, stanowią wyjątki, a tłumy, idące za rozpasanemi instynktami występniemi, są zjawiskiem, tak często się powtarzającym,—to uważać należy niejako za odbłask natury ludzkiej, skłonniejszej niestety zwykle do drożnych wybryków, aniżeli do dobrych popędów, łatwiej dającej się porwać ekscesom, aniżeli podniosłym hasłom. Rzecz naturalna, że w takiej masie, zostającej pod wszechwładnym wpływem afektu, nieprzystępnej dla ostrzegającego głosu rozumu, ze spotęgowaną siłą występuje ów powszechny popęd naśladowczy, który przy formacyi tłumy odgrywa taką samą rolę, jak gwałtowny powiew wichru, zmiatający kurz dokoła, aby go zbić w jeden słup gęsty i ciemny.

Tarde w swoim głośnem studyum o prawidłach prądu naśladowczego wypowiedział wiele zdań, ciekawych dla sprawy formacyi tłu-

mów. Podnosi on mianowicie ¹⁾, że funkcy wyższych zmysłów więcej pobudzają do naśladownictwa, aniżeli funkcy zmysłów niższych, więc funkcy słuchu lub wzroku wpływają na drugich w kierunku naśladowczym silniej, aniżeli wyteżenie węchu lub smaku. Stąd pochodzi owo szczególnie w miastach tak często powtarzające się zjawisko, że już samo tajemnicze wpatrzenie się jednego gapia w pewien przedmiot zatrzymuje innych, nie skłonnych może zresztą do bezmyślnego zatrzymywania się po drodze, i to nawet bez pomocy sztuczek mistyfikacyjnych. Jeżeli jeszcze do tego gapienia przyłączy się hałas, formalny ryk całej zgrai, to koło jej rozszerza się coraz więcej, to tuman kurzu wzrastać musi ciągle, dzięki świeżym podmuchom wiatru na śmieciisku ulicznym.

Jak w zmysłach, tak i w ustroju psychicznym odróżnia Tarde się wpływów w kierunku naśladowczym. Pod tym względem afekt góruje nad namiętnością, namiętność nad zwyczajną skłonnością lub zachceniem, uczucie potrzeby zbytowej nad potrzebą powszednią. Ciekawości należy się miejsce honorowe. Wpływ jej na tworzenie się zbiegowisk wszelkiego rodzaju jest znaczny i na każdym kroku widoczny. Ciekawość stanowi wogóle na każdym polu, w polityce, przemyśle i t. d., ważny czynnik tego prądu, który niewidzialnie popycha jednostki ku sobie, jednoczy je w gromadki, koła, wreszcie i w tłumy.

Wszystko to składa się na trafną ilustrację myśli, zawartej w naszym starem przysłowiu: lepiej rozumem niż tłumem. W tłumie, powstającym za wpływem powyższych czynników, potrzeba tylko hasła podniecającego, ażeby afekty i złe instynkty zagłuszyły najzupełniej komendę rozumu, a wtedy już tylko od przypadku zależy, czy zatrze się różnica między tłumem ludzi a gromadą zwierząt, rozumu raz na zawsze pozbawionych. To też Espinas ²⁾, który od gromad zwierzęcych radzi rozpoczynać budowę naukowego gmachu socjologii, wpadł jeżeli nie na trafny, to w każdym razie bardzo ciekawy pomysł cyfrowego przedstawienia stosunku, w jakim siła afektu rośnie wśród tłumu. Espinas wychodzi z założenia, że wpływ tłumnego skupienia się na jednostki jest uwagi godny w całym świecie żyjących stworzeń. Co do takiego skupienia ludzi—mówi Espinas: Wiadomo, że człowiek w samotności ani tak nie czuje, ani tak nie myśli, jak w tłumie, a pewien sławny krytyk nieraz zrobił to spostrzeżenie, że w teatrze widzo-

¹⁾ G. Tarde: „Les lois de l'imitation, Etude sociologique“, Paris, 1890, str. 221 in.

²⁾ Alfred Espinas: „Les sociétés animales“, Etude de Psychologie comparée, Paris, 1877. (W niemieckim przekładzie Schloessera, str. 347).

wie w tłum skupieni stają się całkiem innymi, aniżeli każdy z nich z osobna. Co dzieje się w zgromadzeniu, do którego mówca przemawia? Przypuśćmy, że wzruszenie, przez niego uczuwane, równa się 10, a z tego wzruszenia przy pierwszych zaraz słowach, przy pierwszym porywie krasomówczym udziela się przynajmniej połowa każdemu z 300 np. słuchaczy. Każdy słuchacz odpowie na to oklaskiem lub zdwojoną uwagą, na zewnątrz okaże się w audytoryum pewne naprężenie, a suma tych objawów złoży się na to, co w sprawozdaniach z posiedzeń parlamentarnych nazywane bywa „poruszeniem.” To poruszenie uczują wszyscy równocześnie, gdyż na słuchacza wpływają także inni słuchacze, tak samo, jak na mówcę, a fantazję każdego słuchacza porywa już sam widok 300 osób, przejętych poruszeniem. Jeżeli słuchacz uczuwa tylko połowę tego ogólnego poruszenia, to wtedy jego udział w niem równa się nie 5, lecz $\frac{5}{2}$, $\times 300 = 750$. Jeżeli to правило zastosujemy do tego, który przemawia wobec takiego poruszonego tłumy, to jego poruszenia, według powyższej miary przypuszczalnej nie równało-by się już 750, lecz $300 \times \frac{750}{2}$. Przemawiający bowiem stanowi punkt środkowy, ku któremu wracają wrażenia głęboko poruszonego tłumy. W tem leży powód, dla którego niejeden niewprawny jeszcze mówca popada w zakłopotanie właśnie wskutek sukcesu nadzwyczajnego słów swoich. Wrażenia bowiem, jakie te słowa wywołały, wracają tak znacznie spotęgowane ku mówcy, że go wprowadzają niemal w osłupienie. Jeżeli mówcy powiedzie się zapanować nad swoim wzburzeniem i skierować wpływ swój na tłum, to między przemawiającym a jego słuchaczami powstanie poniekąd szereg elektrycznych wzburzeń, tak, że obie strony wnet wyjdą ze zwyczajnej moralnej równowagi.

Jeżeli tak ma działać siła krasomówstwa, o ileż różniej działać muszą namiętne prowokacje i podżegające zachęty hersztów w tłumie, sformowanym z ulicznych żywiołów? W takiej atmosferze wystarcza mała iskierka, aby płomień buchnął od razu dokoła, wystarczy jeden głos podniecający, aby zawtórował mu ryk całej masy, wystarczy rzucona przez jednostkę szalona, niedorzeczna uwaga, aby zmieniła się w hasło, sprzęgające całą masę w jedną bandę, gotową do czynu. Ci, którzy w tłumie znaleźli się tylko przypadkiem, i ci, którzy przyłączyli się do niego z prostej ciekawości, jedni i drudzy, nie słysząc zagłuszonej komendy rozumu, albo ulegają bezwiednie huraganowi afektu, albo popadają w przerażenie, ubezwładniające ich energię do tego stopnia, że automatycznie posuwają się, a raczej posuwani są za innymi. Namiętność potęguje się w tłumie sama przez się, nawet bez dalszych podnieceń zewnętrznych, a szal, który opętał wszystkich, zagłusza wszelką refleksję i wrażliwość na przestrożę. Tłum w takim stanie już jakby

jakie dzikie zwierzę pędzi, gdzie go oczy niesą, gotów do zmiążdżenia wszelkiej zapory w drodze, zdolny do popełnienia najdzikszej zbrodni.

Kto wmieszał się w taki tłum i razem z nim wszedł w taki stan dzikiego szału, nie przestaje być odpowiedzialnym wobec prawa, tak samo, jak każdy, kto rozmyślnie czy lekkomyślnie dał się wprowadzić w stan alkoholicznego upojenia, aby mieć po swojej stronie pozory nie-poczytalności. I w jednym, i w drugim wypadku, działanie rozumu jest chwilowo sparaliżowane, w pijaku skutkiem alkoholu, w uczestniku rozpasanego tłumu wpływem afektu. Jeden i drugi wie to dobrze, sam instynkt dyktuje mu to w chwili krytycznej, gdy przewycięzać musi bodaj lekkie wahanie się przed krokiem fatalnym a stanowczym. A co prostaczek niejako instynktowo czuje, to potwierdzają uczeni właśnie z tej szkoły, która całą duchową stronę życia w człowieku sprowadza na fizyologiczny poziom funkcji systemu nerwowego. Weźmy klasycznego świadka, Maudsley'a ¹⁾. Siłę rozumu nazywa on refleksyjną i tamującą. „Objawia się ona więcej w powstrzymywaniu namiętnie przyspieszonego działania i w opanowywaniu naszych popędów, aniżeli w kierownictwie sposobu działania. Zadanie rozumu polega, jak to już Comte podniósł, nie na dawaniu regularnego impulsu do działania, lecz na głosie doradczym.“ Tem tłumaczy Maudsley chwiejność w decyzji i wogóle brak szybkiej a stanowczej determinacji u ludzi, w których przeważa badająca i rozważająca funkcja rozumu.

Fournial skończył, jak już wspomnieliśmy, swoją monografię o tłumach przestrożą, że należy zapobiegać zbieraniu się tłumom, gdyż najczęściej stąd wynikają złe następstwa. Uwagi tej nie uzasadnił Fournial ze swojego stanowiska, chociaż to niezbędnem było w paradoksalnej teorii, przedstawiającej tłum, jako amalgamat ludzki z zupełnie samodzielnym i odrębnym ustrojem psychicznym. Bez aplombu filozoficznego, bez pomocy paradoksu, ale za to na pewnej, bo klasycznej podstawie psychologicznej, popartej własną długoletnią obserwacją w zawodzie najszerokie pole dla niej otwierającym, scharakteryzował tłum były prezydent trybunału apellacyjnego w Paryżu, Berard des Glajeux w swoim znakomitem dziele o namiętnościach zbrodniczych. „W skupieniu się ludzi—mówi on ²⁾—wytwarza się zgnilizna tak samo, jak w jabłkach, leżących obok siebie.”

¹⁾ *Henry Maudsley* (w niemieckim przekładzie d-ra A. Böhma): „Die Physiologie und Pathologie der Seele“, str. 139.

²⁾ *Berard des Glajeux*: „Les passions criminelles“, Paris, 1893, str. 171.

Jeżeli więc dzisiejsi socjologowie wynikom własnej obserwacji tłumów zbrodniczych usiłują nadać taki charakter, jak gdyby chodziło o odkrycie nowego zjawiska społecznego, lub co najmniej o zainicjowanie analizy umiejętnej aglomeratu ludzkiego z osobnym ustrojem psychicznym i społecznym, i jak gdyby na tych wynikach dopiero opręć wypadało już bezwarunkowo nową kategorię przestępstwa z odrębnymi kryteriami i normami repressyi karno-społecznej; to jest to przesada widoczna, przesada, przenosząca bez żadnej racji nowość w samej tylko formie i metodzie obserwacyjnej na istotę rzeczy, jak świat starej. Wyniki tej obserwacji pod niejednym względem może jeszcze więcej komplikują i tak już bardzo zawiłą w teorii i w praktyce kwestyę ścisłego oznaczenia stopnia współwiny w przestępstwie, zbiorowemi siłami dokonaniem, ale stąd nie wypływa, żeby potrzebny być miał formalny wyłom w zasadach dzisiejszej klasycznej teorii karnej. W jego ramach sędzia może oznaczyć najsubtelniejsze nawet od-cienie winy i odpowiedzialności, a czy to połączone jest z większym lub mniejszym trudem, z większym lub mniejszym niebezpieczeństwem, iż taki rozdział nie zbiegnie się całkowicie z idealnemi liniami demarkacyjnemi zupełnej sprawiedliwości, to inna kwestya. Skończona doskonałość wogóle, a w wymiarze sprawiedliwości szczególnie jest przecież niedoścignioną dla człowieka.

III.

Miasto i wieś.

Inaczej rzecz się przedstawia, jeżeli socjologicznej obserwacji i analizie tłumy zakresli się we wnioskach skromniejsze granice i jeżeli wyjdzie się z tego punktu widzenia, że tłum nie jest żadnym nowym dotąd nieznanym okazem społecznej formacji, lecz tylko z rzadkiego dotąd zjawiska w życiu społecznym stał się częstszem, niestety nawet nadto częstszem, a w dodatku pod wpływem zmienionych stosunków przybrał w powstawaniu i w działaniu swoim nowe, uwagi godne, znamiona charakterystyczne. Z tego stanowiska otwiera się obszerne i wdzięczne pole obserwacji, a zarazem podstawa dla praktycznych wskazówek.

En masse—oto jedno z wybitnych znamion dzisiejszego ruchu ekonomicznego i życia społecznego wogóle. *En masse* produkujemy *en masse* wywozimy i sprzedajemy, *en masse* podróżujemy, *en masse* w niesłychanem dotąd tego słowa znaczeniu masakrować się wypadnie w przyszłej, da Bóg odległej, wojnie i t. d. Najpierw w życiu gospodarzem dokonała się zmiana pod tem hasłem, gdy za wpływem zdumiewającego postępu techniki i łącznie z nim postępującego podziału pra-

cy zmienił się zupełnie tryb produkcji. Znikły na zawsze dawne zamknięte w sobie samodzielne w produkcji i zaspokajaniu potrzeb gospodarstwa domowe. Jedna gałąź produkcji po drugiej zaczęła się oddzielać od pnia, niegdyś wspólnego w zamkniętych gospodarstwach, i samodzielnie rozwijać się, a w miarę, jak ten proces gospodarczo-emanypacyjny postępował, rozpoczął się także ruch ludności na nowych torach. W naturalnej bowiem konsekwencji tej zmiany, miasta, jako ogniska inteligencji zawodowej i punkta centralne ruchu obrotowego, uzyskały ogromną siłę atrakcyjną, której zawdzięczają nieprzewidywany wzrost ludności, już dotąd osiągnięty i ciągle jeszcze naprzód postępujący. Wielkie miasta w dawnym znaczeniu urosły na olbrzymów, średnie przybrały rozmiary stolic dawniejszego kroju, a nawet nędzne niegdyś osady, które sobie przemysł za siedlisko obrał, zmieniły się pod okiem jednego pokolenia, jak np., żeby nie oglądać się za obcymi przykładami, Łódź w Królestwie Polskiem, w miasta z krociową ludnością. Jeszcze w początkach bieżącego stulecia taki wzrost miast wydawał-by się być niemożliwym. W Ameryce dochodzi symptom ten do ekscentrycznej przesady, za której wyraz charakterystyczny można-by uważać owo przebijanie wszelkiej miary pod względem rozmiarów i wysokości domów. Podnosimy ten szczegół, aby tylko zwrócić uwagę, że ewolucya miast urąga już nawet tak ugruntowanej sławie praktycznego zmysłu Amerykanów. Zresztą pominiemy Amerykę, gdyż wystarczy tutaj skromniejszy przykład Europy, a i ze skromnej w porównaniu z ekscentryczną Ameryką naszej części świata bierzemy za przykład tylko Austryę, która nie zajmuje pod tym względem pierwszego miejsca statystycznego, nie zajmuje nawet jednego z miejsc pierwszych. A jednak daty, nawet i stąd czerpane, są w wysokim stopniu charakterystyczne. Przed 50 laty miasta w Austrii obejmowały zaledwie $\frac{1}{5}$ ogólnej cyfry ludności, a dziś miejska ludność wynosi już $\frac{1}{3}$ tej cyfry. W tym okresie czasu ludność wiejska wzrosła o 23%, a miejska o 48%. Ogólna suma mieszkańców miast z ludnością powyżej 20,000 głów wzrosła po-nad 300%. Wzrost ten jest także i statystycznym wyrazem fluktuacji ludności wiejskiej, przesiedlającej się do miast już nie tylko z najbliższych okolic, lecz i z odległych zakątków, w których dawniej całe pokolenia wymierały, nie ujrawszy ani razu wielkiego miasta. Im większe miasto z charakterem przemysłowym, tem większa jego siła przyciągająca dla ludności wiejskiej, tak samo, jak według prawideł fizyki siła przyciągająca ciał wzrasta równomiernie z ich objętością.

Za szybko odbywa się ten ruch, aby go nazwać można normalnym. Gorączka prawdziwa przebiega z tej fluktuacji. Ludność wiejska tak chętnie spieszy ku miastom, jakby czekały tam na nią boga-

ctwa, na bruku leżące. Cyfra zarobku miejsko-przemysłowego ma dla wieśniaka urok wielki, bo oblicza on jej wysokość według skromnej skali zarobku wiejskiego i jeszcze skromniejszej miary potrzeb wiejskich. Urok ten nie niknie, chociaż złudzenie trwa w mieście bardzo krótko, bo niedostateczność zarobku okazuje się wśród drożyzny zaraz na pierwszym kroku, a tymczasem skala pragnień i zachceń na bruku miejskim odbiega niesłychanie od miary wiejskiej. Widok tego wszystkiego, co miasto dać może zamożnym, musi nawet w najskromniejszym przybytku obudzać zachcenia, dotąd mu nieznanne. Zachcenia te, niezaspokojone i w największej części nigdy zaspokoić się nie dające, tem dotkliwiej uwydatniają niedostateczność zarobku miejskiego na pokrycie wszystkich potrzeb życia. Powstaje gorycz, którą wszystko dokoła ciągle podnieca, a której nie uśmierzają już czynniki moralne, jakie wieśniaka na wodzy trzymają: dom, rodzina, siła tradycji, łączących człowieka z ojcowizną i osładzających mu ciężką pracę dla jej utrzymania.

Wobec takiego stanu rzeczy, ów wybujały napływ ludności wiejskiej ku miastom, napływ gorączkowy, nie przygotowany stopniowym rozwojem stosunków, dostarcza nieustannie nowych żywiołów owej demoralizacji ogólnej, a społecznej przede wszystkim, której widownią jest dzisiejsze całe życie miejskie w niższych klasach. Pięknie brzmiący, ale dziś już więcej niż wątpliwy, frazes o miastach, jako czynnikach oświaty i kultury, zakrawa na szyderstwo. Proletaryat miejski zadaje mu kłam na każdym kroku. Owe ogniska, zamiast oblewać dokoła promieniami światła ludność wiejską, jakby błędne ogniki nęcą w przepaść rozstroju społecznego całe masy ofiar własnej nieogłędności i własnych zachceń, tak sprzyjających niegodziwej spekulacji na wyzyskiwanie każdej nieświadomości i łatwowierności.

Stanęliśmy na właściwej arenie tłumu, jako zjawiska poniekąd już normalnego, a przynajmniej powszedniego w czasach dzisiejszych. Jeżeli obserwacja socjologiczna, zamiast gubić się w mgłę hipotez i paradoksów o tłumie, jakby jakim niezbadanym jeszcze potworze socjalnym o odrębnych a samodzielnych warunkach życia i akcji, na tę arenę przeniesie punkt ciężkości, to niezawodnie osiągnąć może rezultaty dodatnie, nawet pożyteczne o tyle, o ile w każdym chorobliwym stanie, a więc i w dzisiejszej fazie poważnego rozstroju społecznego, dobra dyagnoza każdego symptomu anormalnego daje więcej rękojmi wyboru dobrych środków zaradczych. Pokazuje się to zaraz na tych uwagach Tarde'a, które z takiej właśnie obserwacji wynikły. Według podanej przezeń charakterystyki ludności wiejskiej i miejskiej ¹⁾, „obie

¹⁾ G. Tarde: „La Philosophie pénale“ (j. w. str. 268 i n.).

te grupy, jakkolwiek solidarne i oddzielone tylko granicą znikającą, odbijają od siebie szeregiem rysów charakterystycznych. Jedna jest wierna zwyczajom i tradycjom, druga przystępna dla zachceń i nowości; jedna powolna dla przykładu przodków w domu i ojczyźnie, druga ulegająca wpływowi obcych; jedna popędliwa w swojej prostocie, druga zepsuta w formach wyrafinowanych: obie tedy tak odmienne, że nie można ich mieszać ze sobą... Na wsi panuje społeczeństwo—rodzina, a życie i wzrost ludności wiejskiej nie wychodzi z korbów domowych. W miastach panuje społeczeństwo—tłum; ze wszystkich stron zbiegają się tam ludzie, wyrwani z domu swojego i zmieszani ze sobą bezładnie.“

W nadzwyczajnym wzroście miast, zapełniających się społeczeństwem—tłumem, widzi francuski prawnik-filozof jeden z najpoważniejszych objawów dzisiejszego stanu społecznego i moralnego. W tych miejskich mrowiskach ludzkich, szczególnie podlegających prawidłom popędu naśladowczego, na tem żyznem polu kultury wszelkich bakterii moralnych, przestępstwo, zmieniające zawsze swój zewnętrzny charakter, a raczej naginające się do stosunków danej fazy cywilizacyjnej, przybiera odmienne znamiona. Wytworzył się formalny brygantyzm miejski, nie używający narzędzi morderczych dla wymuszania okupu, lecz osiągaający ten sam cel, t. j. korzyść z cudzą krzywdą, środkami tak wyrafinowanemi, jak różne rodzaje oszustwa, sprzeniewierzenia i t. p., że walka prawa z bezprawiem jest na tym terenie daleko trudniejsza, niż z brygantami starej daty. Zatem typ, więcej gwałtownej ale za to i więcej sporadycznej, bo przeważnie tylko wybuchami namietności wywoływanej zbrodni wiejskiej, zmienia się na typ wyrachowanego i wyrafinowanego przestępstwa. Przestępstwo i zepsucie (*le crime—le vice*)—oto według Tarde'a najzwięźlejsza i najtrafniejsza charakterystyka kryminalistyczna wsi i miasta.

Metamorfoza ta jest jednym z głównych, ale nie jedynym rysem charakterystycznym różnicy między życiem wiejskiem a miejskiem *fin de siècle*. Odbywa się nadto jeszcze metamorfoza socjalna głębszego znaczenia. Miasta bowiem wywierają dziś na ludność wiejską taką siłę atrakcyjno-naśladowczą, jak w dawnych wiekach dwory monarsze i magnackie. Tem swoim znaczeniem, zwłaszcza wpływem na popęd naśladowczy, przyciągają niejako miasta całe okolice, a stolice całe kraje, narzucają swoje mody, zwyczaje, wynalazki, nawet wątpliwą powagę swoich wielkości efemerycznych na polu polityki, sztuki i t. p. Na takim wpływie Paryża w całej Francyi, więc na typowym przykładzie wpływu wielkich miast wogóle, podnosi Tarde, że tą drogą wytwarza się całkiem nowa hierarchia społeczna pod płaszczykiem

zwycięskiego hasła republikańskiego wolności, równości i braterstwa. Robotnik miejski jest w oczach wieśniaka czemś wyższem, niejako arystokratą *sui generis*. To też pierwszy spogląda na drugiego takim okiem, jakim nań pryncypał patrzy, a drugi widzi w mieście świat lepszy i wyższy, w ludności miejskiej śmietankę społeczeństwa, do której sam chciał-by należeć.

Z temi aspiracyami do urojonego wywyższenia się w nowej, schyłkowi bieżącego stulecia właściwej, hierarchii, łączą się jeszcze inne pobudki z wielką siłą atrakcyjną. Chęć używania widzi w mieście źródło rozkoszy, niewyczerpany i otwarty dla każdego; żądza rozgłosu efemerycznego, dla którego miasta ustawiły niejako scenę przestronną i przystępną, podnieca i drażni każdą próżność; marzenie o życiu wesółem bez pracy łączy się w każdej próżniaczej wyobraźni z widokiem miasta, jakby jakiego raj; każda żyłka awanturnicza porusza się i drga w dorastającej klienteli występku na samą myśl, że w mieście i jego gorączkowem życiu na każdym kroku nadarza się sposobność do pofolgowania złym instynktom z wielką szansą ukrycia się przed wytężonem wprawdzie, ale też i znużonem okiem policyi. Wszystko to razem wzięte składa się na obraz jednego z wielce charakterystycznych zjawisk ze schyłku stulecia, obraz fenomenalnego wzrostu miast i ich ludności, idącego w parze z wzrostem przestępczości wśród niezdrowej pod względem fizycznym i moralnym atmosfery miejskiej, wśród zagłuszającego ucho i sumienie wiru życia miejskiego.

Wzmianka o tym wzroście przestępczości na gruncie miejskim nie jest przypuszczeniem, lecz faktem stwierdzonym statystycznie. Tarde ¹⁾ liczy się z nim, jako z rzeczą notoryczną. Joly ²⁾ wyraża stosunek statystyczny przestępstw we Francyi, po wsiach i miastach popełnianych, biorąc 100,000 mieszkańców obu kategorii za podstawę porównawczą, w cyfrach 8 i 17, i dodaje do tego taką smętną uwagę: „Jeżeli warunki życia miejskiego nie poprawią się znacznie, to wzrost miast, jak jest teraz, tak będzie i nadal widoczną przyczyną wzrostu przestępczości... Jest jedna kategoria ludzi, którzy nigdy nie będą lepsi. Są to ci, których statystka umieszcza w rubryce z napisem: „bez stałego miejsca zamieszkania”, lub „niewiadomego pochodzenia.“ Ta uwaga francuskiego socjologa stosuje się z mniejszą lub większą odmianą także do innych krajów europejskich, w których miasta również wzrosły w ostatnich czasach w sposób dotąd niebywały.

¹⁾ G. Tarde: „La criminalité comparée.“ Paris, 1886, str. 153 i n.

²⁾ H. Joly: „La France criminelle“ Paris, 1839, str. 251 i n.

Nie dla predylekcyi lub przypadkowo tylko, lecz z rozmysłem i z przedmiotowych powodów zatrzymujemy tak długo czytelnika przy obrazie stosunków francuskich. Najpierw bowiem Francya stanowi dla socyalnej fizyologii tłumów klasyczne pole obserwacyjne, nie tylko, jak to już zaznaczyliśmy, z tytułu historycznego, lecz także wobec współczesnej ewolucyi miast i życia miejskiego; a powtóre, pisarze francuscy, którzy na tę stronę życia społecznego zwrócili szczególną uwagę, łączą w swojej obserwacyi i w przedstawieniu jej rezultatów z filozoficznym pogłębieniem kwestyi, prawniczą precyzją i tę delikatną wrażliwość na wszelkie symptomata wzrostu przestępczości, jaką posiada każdy zawodowy sędzia wyższej miary. Takim pisarzem jest przede wszystkim Tarde, który, chociaż jest pozytywistą z odrębnem i zupełnie oryginalnem stanowiskiem, w kreśleniu znamienych cech sytuacji schodzi się z obserwatorami, fachowo równie kompetentnymi, jak on, ale zajmującymi zresztą odmienne stanowiska zasadnicze, jako mniej lub więcej gorliwi obrońcy panującej klasycznej teoryi karnej.

Proal ¹⁾, prawie antypoda filozoficzny Tarde'a, tak samo, jak on, sędzia zawodowy, a zarazem autor dzieła prawnofilozoficznego, premiowanego przez paryską akademię nauk politycznych i moralnych, równie dobitnie podnosi statystycznie stwierdzoną wyższość życia wiejskiego nad miejskiem pod względem moralnym, a na pytanie, dla czego tak jest, daje odpowiedź bardzo jasną i tak sformułowaną, że może służyć za objaśnienie, w danym razie za przestrożę, każdemu społeczeństwu. „Wyższość ta—mówi wspomniany pisarz—pochodzi z wielu przyczyn. Opinia publiczna i obawa hańby mają większy wpływ na wsi, aniżeli w wielkiem mieście, gdzie przez samą zmianę pomieszkania uchylić się można z pod kontroli krewnych i sąsiadów, kiedy tymczasem mieszkanię wsi żyje pod okiem swoich współobywateli. Nadzór krewnych i służbodawców nad dziećmi i służbą wykonywa się łatwiej na wsi. Pokusy są większe w mieście; kawiarnie i restauracye, szynki i t. d., są tam na każdym kroku i odrywają od pracy. Złe przykłady występują na jaw z większą bezwzględnością, cnota kryje się, a zdrożność narzuca pod wszelkimi formami... Indywidua upadłe i recydywiści szukają schronienia w wielkich miastach. Urzędnik oddalony, kupiec-bankrut, kobieta z czci wyzuta, wszystkie te istoty szukają przytułku w wielkiem mieście i tam prowadzą dalej swoje rzemiosło.”

Nie koniec na tem; to dopiero tło obrazu, na którem roztacza się widok przestępstwa z taką obfitością wyrafinowanych form i nিকে-

¹⁾ *Louis Proal*: „Le crime et la peine“, (j. w. str. 219 i n.).

nych sposobów, o jakich w świecie wiejskim nie ma się wyobrażenia. Proal kreśli ten obraz w szczegółach zgodnie z Tarde'em, podnosi jednak dobitnie jedną okoliczność, na którą ostatni pisarz, jako pozytywista, nie położył należytego nacisku. Według słusznej uwagi Proala, wieś zawdzięcza moralną wyższość swoją w znacznej mierze żywшему poczuciu religijnemu ludności. W miarę, jak to poczucie zanika, a z niem upada najsilniejsza baryera przeciw naciskowi zepsucia, szerzącego się w kierunku od miast ku wsiom, życie wiejskie wystawione jest w tem ciąglem falowaniu społecznem, w tym nieustannym odpływie i przyptywie ludności, na coraz większe niebezpieczeństwo utraty wyższości dotychczasowej.

Mouton ¹⁾, tak samo, jak obaj poprzednio wymienieni pisarze, doświadczony sędzia, a zarazem znakomity autor, widzi także we wzroście miast i jego konsekwencji, w rozbudzeniu chęci używania w masach ludności, jedną z głównych przyczyn wzrostu przestępczości. Nie słychanie ułatwiona lokomocya niejako z korzeniem wyrwała całe klasy ludności ze wsi, gdzie dawniej w spokoju pracowano i zadowalano się owocem cichej pracy, wystarczającym na pokrycie skromnych potrzeb. Do tej wędrówki ku miastom nęci jednych chęć używania i łatwość zaspokojenia tej chęci na bruku miejskim, a innych, ze złemi instynktami, nieustanna sposobność do dogodzenia tym instynktom ze stosunkowo najlepszymi szansami bezpieczeństwa. „Festyny, widowiska, wystawy, bankiety i t. p.—mówi ten pisarz—zajął miejsca dawnych zabaw prostych i naturalnych, przynęcają i poruszają ludzi ze wszystkich stron, wciskają ich nieustannie w tłumy, a oddalają od rodziny, od przyjaciół i obowiązków. Pod wpływem niepohamowanej a przemysłem podsycanej żądzy bogactwa, jako środka dogodzenia żądom, rolnicy, zrujnowani poniekąd za wpływem przemysłu, opuszczają ziemię, na której nie mogą się utrzymać, i śpieszą do wielkich miast z ludnością robotniczą. Tam się wzbogacają, stają się panami swoich pryncypałów za pomocą strejku, a panami rządu za pomocą rozruchów. W ten sposób statyka życia zupełnie została zachwiana. Człowiek oderwał się od ziemi, nie stoi na niej, lecz kręci się w kolo. Hotel i wagon zastąpiły dom ojczysty, którego dawniej nigdy nie opuszczano, i starą karyolkę, która w najśmielszych kursach nie przekraczała granic kantonu. Człowiek nie jest już tem, czem z natury powinien być, t. j. osiedlonym na jednym miejscu. Duch, ciało, charakter, wszystko zostało zmobilizowane i stało się wartością ruchomą. Indywiduum jest już tylko częścią grupy, osoba została zabsorbowana w tłu-

¹⁾ *Eugène Mouton*: „Le devoir de punir“, Paris, 1887, str. 13 i n.

mach, wśród których duch z trudnością zachowuje świadomość swoich funkcji, a uczucie, intelligencja i wola zdają się razem ulatniać.“

Gdzie kres tego ruchu, a raczej wiru, który w większym lub mniejszym stopniu ogarnia wszystkie kraje? Chyba hipotezą można by odpowiedzieć na to pytanie, ale hipoteza w tym wypadku zakrawała-by więcej, niż kiedykolwiek, na formalne proroctwo. Tarde zapowiada i analogią dawnych okresów cywilizacyjnych popiera wróżbę, że po dzisiejszej gorączkowej fazie życia społecznego, uświetnionej szeregiem wielkich wynalazków i udoskonaleń na różnych polach, nastąpi okres ustalonych zwyczajów i spokojnej równowagi. Że tak się stanie, w to wierzyć trzeba koniecznie, jeżeli się wierzy w nieprzerwany postęp cywilizacyjny ludzkości. Ale, żeby wystąpić z taką hipotezą, Tarde musiał cokolwiek otrząść się z pozytywizmu i wznieść się w sferę idealnych wyobrażeń o przyszłości, zakresloną ludzkości przez wyższą, nieodgadnioną dla człowieka potęgę. Ze stanowiska tak wpływowego jeszcze w socjologii Darwinizmu, ruch, powyżej przedstawiony, byłby tylko fatalną oznaką, że żyjemy wobec ciemnej przyszłości, w krytycznej fazie społeczno-moralnego przesilenia. Z tego stanowiska za trafną charakterystykę czasów dzisiejszych trzeba-by przyjąć chyba słowa Schöfflego ¹⁾: „Zrozumiemy przyczynę wielkich dziejowych procesów demoralizacyjnych i korupcyjnych, jeżeli nie zapomnimy o tem, że silne i czyste rozbudzenie zmysłu prawnego i moralnego musi mieć źródło swe w głęboko wkorzenionem, szeroko rozpowszechnionem i dziedzicznie utrwalonem poczuciu solidarności i łączności społecznej. Tylko w takim razie obyczaje wywierają potężną reakcję w duchu zachowawczym dla całości. Poczucie to tylko tam się zatracza, gdzie jedność ducha społecznego zamiera, gdzie wcisną się obce żywioły, gdzie powstaje pomieszanie i dorywcze skupienie się nieswojskich żywiołów ludowych, gdzie odbywa się szybka formacja luźnych tłumów. Tak było w starym Rzymie, tak w średniowiecznej monarchii frankońskiej, tak w wielkomijskich tłumach dzisiejszych, tak w gromadzeniu się niespokojnych żywiołów Europy na gruncie amerykańskim. W takim stanie rzeczy muszą powstawać gniazda niemoralności.“

Właśnie owo poczucie łączności i solidarności społecznej, na które Schöffle nacisk kładzie, jest zwichnięte w takim stanie mobilizacji społecznej, o jakim wyżej była mowa. Jak w czasie długiej posuchy ziemia pokryta jest grubą warstwą lotnego materiału, który za pier-

¹⁾ A. Schöffle: „Über Recht und Sitte vom Standpunkte der sociologischen Erweiterung der Zuchtwahltheorie“ (w „Vierteljahresschrift für wissenschaftliche Philosophie“, Leipzig, 1878, t. II, str. 38 i n.

wszym podmuchem silniejszego wiatru wznosi się w górę, zbija w kłęby i słupy, zaciemniające widnokrąg, tak owa wędrująca, lotna warstwa społeczna, wytworzona w dzisiejszym przejściowym okresie życia społecznego, prawie nagle ewolucją miast i ognisk przemysłowych, porusza się, wiruje i zbija w tłumy za każdym z tych licznych a podbijających płytkie, nieoświecone umysły hasła i formułek, którymi pełną garścią rzuca dokoła po sekciarsku zorganizowana falanga apostołów przewrotu ekonomiczno-społecznego. Ile jest tych formułek propagandy, przedstawiającej stan dzisiejszy, jako piekło ekonomiczno-społeczne, a zdruzgotanie całego porządku państwowo-społecznego, bez żadnego nawet planu nowej organizacyi, jako pierwszy krok do raju ziemskiego, tyle jest też owych podmuchów propagandy, wyprowadzającej tłumy na widownię, jakby rezerwę obok linii, która porusza się szykiem bojowym w socjalno-demokratycznych stowarzyszeniach, zgromadzeniach i strejkach. Dziś odbywają się dopiero mniejsze i większe manewry, w najgorszym razie tylko demonstracye wojenne tej linii i rezerwy socjalno-demokratycznej; ale działający w ukryciu zręczni i jawnie występujący zapamiętali wodzowie tej społecznej siły nieprzyjacielskiej tak są pewni zwycięstwa, że odgrażają się rychłem przejściem z demonstracyjnej fazy ruchu w stan otwartej wojny społecznej. Można te groźby uważać za przechwałki, wzdrygając się na samą myśl, żeby dzisiejszy przejściowy okres powolnego przekształcania się stosunków ekonomiczno-społecznych koniecznie przeżyć musiał taką zawieruchę; ale, mimo to wszystko, symptomów takich, jak powyższe, ani lekceważyć, ani bez zapobiegawczej akcji pozostawić niepodobna.

Jeżeli socyologowie, jak Tarde, charakterystykę dzisiejszej mobilizacyi społecznej zamykają w zdaniu, że wieś - rodzina popada w zanik, a miasto-tłum zyskuje przewagę; to można to przyjąć za trafny rys charakterystyczny obecnej przemijającej doby, ale nie za niewzruszone znamię całej fazy społecznego rozwoju. Jest to bowiem tylko dowodem zaniedbania moralnej strony wychowania społecznego, jeżeli dziś z pojęciem miasta wiąże się tak ściśle tłum, jako typ luźnego agregatu ludzkiego, a rodzina, owa, za świadectwem historii, prawa, od początków bytu ludzkości niezmienna w swoich funkcyach, komórka organizmu społecznego, miała-by się łączyć tylko z głuchem wspomnieniem dawnej wsi, oddzielonej od miasta daleką drogą i odrębnością całego trybu życia. Miasto — rodzina nie stanowi połączenia pojęć, wzajemnie się wykluczających. Ich ściśle połączenie stanowi owszem cel, który osiągnąć się daje i osiągnięty być musi pod grozą nieobliczalnej klęski dla normalnego cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa. Dom, w szerokiem, cały związek rodziny obejmującym,

znaczeniu, był zawsze, jest i będzie pierwszym i najgłówniejszym zakładem społeczno-wychowawczym, czynnikiem rozstrzygającym o zdrowiu społecznym. W tem szerokim znaczeniu dom leży już po-za sferą prawa pozytywnego, a wchodzi w zakres moralności. Jeżeli tedy moralność jest oderwana od niewzruszonego gruntu religijnego, poniżona na stanowisko utylitaryzmu, który nie zdoła i nie stara się nawet objąć całej sfery zadań i potrzeb życia duchowego; to dom przestaje być niewyczerpaną skarbnicą dóbr moralnych, krzepiących człowieka wśród wszelkich sytuacji, a staje się dlań niejako tylko pierwszym etapem, pierwszym schroniskiem, z którego wychodzi na widownię życia bezbronny moralnie, zdany na łaskę losu i przypadku w działaniu swoim. Zwrot ku religijno-moralnemu pogłębieniu całego wychowania społecznego jest dziś, po zboczeniu z tej drogi, wprawdzie niedługim, ale już obfitem w fatalne następstwa dla społecznego rozwoju, widoczny i stateczny. Zaznaczamy to tylko, nie wdając się zresztą w szczegóły, które musiały-by już wyjść po-za ramy, pracy tej wytknięte.

Dzisiejsze występowanie tłumów na widowni życia społecznego w sposób tak wybitny, że pozytywiści mogą już w tem upatrywać na seryo rodzaj atawizmu społecznego, takie odezwanie się instynków pierwotnego stanu ludzkości, jakiem w zakresie indywidualnym miałyby być zbrodnia, stanowi w każdym razie jeden ze znaczących symptomów obecnej niezdrowej sytuacji społecznej. Niemożna go wyrwać z całego kompleksu wszystkich innych symptomatów i szukać takiego specyficznego środka, jakim na organizmie ludzkim leczy się zlokalizowane dolegliwości. Położyliśmy nacisk na wzmacnianie w duchu religijno-moralnym głównego czynnika społecznej łączności i solidarności, na takie wzmacnianie domu w znaczeniu związku rodzinnego, gdyż dyagnoza socjologiczna niezdrowych objawów dzisiejszego życia społecznego tam właśnie znalazła jedno z głównych źródeł złego.

Chyba marzyciel, uważający stan idealny za możliwy do osiągnięcia, mógłby przypuścić, że arena życia społecznego tak kiedyś zostanie oczyszczona, iż nie będzie na niej wcale śmiecia, które za pierwszym podmuchem zbija się w słupy i zamąca atmosferę. Zawsze tłum, jeżeli nie dziki, to jako „kupa swawolna“, będzie regułą, a natomiast wyjątkiem tylko tłum, sformowany i w działaniu pobudzany siłą podniosłej ekstazy, przejęty poświęceniem, jednym słowem: tłum z wyższą ideą.

Chodzić więc może tylko o to, aby to, co było zawsze złem, sporadycznie na jaw występującem, nie zagnieżdżało się w organizmie społecznym, jakby jaka choroba chroniczna. W przysłowiać mieści się zawsze skondensowane doświadczenie całych pokoleń, a nasze stare przysłowie mówi: lepiej rozumem, niż tłumem. Będzie tedy zawsze tłum jako anormalny agregat ludzki, z reguły jako antyteza rozumu.

A jeżeli rozum kiedy zapanuje tak wszechwładnie, że tłum, jako jego antyteza, stanie się tylko wspomnieniem już na zawsze przebytej fazy cywilizacyjnej? Wolno liczyć na to, że —*la raison finira par avoir raison*, wolno marzyć i o takich ideałach, byle one tylko uważane były zawsze—za ideały i nie zamącały trzeźwego poglądu ani na sytuację aktualną, ani na środki, w danej chwili potrzebne. Dopóki tak jest, jak dzisiaj, do samego rozumu odwoływać się nie można tam, gdzie go niema. Nie wypływa stąd jednak, żeby społeczeństwo miało być w takiej sytuacji skazane na bezradność i niemoc. Gdzie do rozumu apelować nie można, tam prawo musi innemi środkami zastąpić jego funkcje, gdyż w przeciwnym razie dla dzieci, szaleńców i t. p. była-by otwarta droga do bezmyślnego działania ze szkodą dla interesów własnych i dla dobra społecznego. Powaga prawa i władzy, jako jego organu, musi w takim razie wystąpić ze skuteczną interwencją, musi, a nie może tylko, bo tego wymaga główny cel prawa, utrzymanie porządku społecznego. Tłum ma, według trafnej uwagi Tarde'a, charakter dziecinny lub kobiecy, wpada z łatwością z jednej ostateczności w drugą, więc także i w zapamiętałość, w tchórzostwo. Energiczne wystąpienie organu prawa, w porę i ze środkami do danej sytuacji dobrze zastosowanemi, nigdy nie zawiedzie oczekiwań wobec tłumu. Ale trzeba dobrze pamiętać o tych warunkach skutecznej interwencji, gdyż tłum, na widok niendolnej lub nietaktownej interwencji prawa, popaść może także w odwrotnym kierunku z jednej ostateczności w drugą, mianowicie: z krzykliwej lekkości i braku decyzji w ślełą [zapamiętałość i dziką] stanowczość. Wtedy tłum, chociażby w nim byli *boni viri* w znacznej liczbie, przybiera już charakter *pessimae bestiae*, zdolnej i gotowej do wszystkiego, obojętnej na los własny i na dobro społeczne.

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

ANTONI MALCZEWSKI.

Ustęp z dziejów bajronizmu polskiego.

Bajronizm polski wyłonił z siebie na samym wstępie kwiat niezwykłej piękności w postaci „Maryi” Malczewskiego.

Wprawdzie starszą od „Maryi” o całe dwa lata jest IV-ta część „Dziadów”, mająca pewien bajronistyczny zakrój. Ale Mickiewiczowski Gustaw, stanąwszy pod względem potęgi miłości i cierpienia obok Haroldów i Manfredów, okazał się nierównie od nich ciaśniejszym co do zakresu tych uczuć: pozbawione szerokich ogólnoludzkich widnokręgów, na których Byron rozsnuwał swe tęsknoty i bóle, skupiły się one tylko w namiętnym pragnieniu miłości, w żądzach i rozpaczaniach kochanka.

„Marya” jest jedynem dziełem Malczewskiego, po-za tem zostawił po sobie kilka mniej lub więcej niedołączonych próbek młodzieńczego pióra, o życiu jego i charakterze wiemy bardzo mało; wobec tego podwójnej wagi nabiera to, co wiemy. Z tych zaś nielicznych, nam wiadomych, a na pozór podrzędnych szczegółów, najznamienniejszym wydał mi się zachwyt poety nad świętą Cecylią Rafaela, któremu dał wyraz w jednym z przypisków do „Maryi”: poświęciwszy kilkanaście wierszy gorącemu opisowi piękności obrazu, dodał w końcu, że „co do swego poetycznego wrażenia, oraz mego widzimisją, św. Cecylia jest najpiękniejszem dziełem, jakie wydało malarstwo.” Już słowa te

rzucają smugę światła na wykwintny smak artystyczny Malczewskiego, jeśli zaś uwzględnić przy tem to artystyczne wykończenie, którem celuje Marya, wedle jednogłośnego sądu krytyków, to się wyciągnie stąd wnioski, że cześć dla piękna była jedną z najwspanialej brzmiących strun w muzyce duszy poety, że z usposobienia był on artystą...

Ale jakiego rodzaju? Każde dzieło sztuki przedewszystkiem swą formą uderza zmysły nasze, a za zmysłami pociąga duszę, więc też skłonni jesteśmy wykończenie i świetność formy uważać za cel sztuki, wedle tego sądzić o wartości dzieła i mianem natur artystycznych określać tych, co patrzą na rzeczywistość, jako na wielką dostarczycielkę wrażeń, dających się ubrać w nadobne kształty sztuki. Szlachetniejszego jednak nastroju był artyzm Malczewskiego, odpowiadał on bowiem temu pojęciu o pięknie, jako blasku doskonałości i prawdy, które stworzyli jeszcze mędrcy starożytni.

Pojęcie to niedawno świetnie u nas uzasadnił O. Maryan Morawski ¹⁾, dochodząc do wniosku, że właściwą miarą piękna jest człowiek idealny. Gdyż dzieła sztuki nie tylko łechcą zmysły wzroku i słuchu, ale zapalają wyobraźnię, poruszają uczucie, budzą myśl; skoro więc mają być uznane za piękne, „muszą zadowolnić wszystkie władze i siły duszy, z którymi się w naszym wnętrzu spotkają”, tylko te władze i siły nie u każdego są dostatecznie rozwinięte: iluż-to ludzi ze zwichniętym zmysłem moralnym nie oceni w sztuce pierwiastku piękna moralnego! Dlatego-to im doskonalszą jest dusza, tem głębiej patrzy na sztukę, tem wyższe stawia jej wymagania, gdyż ta tylko sztuka ją zaspakaja, która „oczyszcza namiętności”, jak mawiali starożytni, stając się jedną z dróg, prowadzących duszę do Boga. Shelley wyraził się kiedyś, że posłannictwem sztuki jest odtwarzać najlepsze i najszcześliwsze chwile w życiu najlepszych i najszcześliwszych ludzi; temu posłannictwu najlepiej odpowiadał Rafael, nierównie lepiej niż Shelley, który zanadto się zapatrzył w nadziemskie światy swej fantazyi, aby móżdżek zachować zmysł do rzeczywistości i odtwarzać szczęśliwość rzeczywistych ludzi,—gdy tymczasem Rafael stapał po ziemi, lecz z duszą szczególnie wrażliwą na to, co ją ku niebu podnosi, i boskiem jej światłem oblał postacie swoje, stąd-to właśnie wprowadzają one nas w święte uniesienie, odtwarzając ten błogosławiony stan duszy, który w najlepszych i najszcześliwszych chwilach naszego życia staje się przedmiotem naszych tęsknot. Niebiański czar twórczości Rafaela głęboko odczuł Malczewski, dowodząc, że Rafael jeden zdołał zakląć na płótnie

¹⁾ W sprawie sztuki, Kraków, 1892.

ów wyraz zachwycenia na twarzy, który „dlatego może jest tak ujmującym, że jeszcze coś piękniejszego zwiastuje.” Dusza świętej Cecylii rozpierzcha się i zlewa z każdym z dźwięków dolatującej ją anielskiej harmonii, a skromność hamuje ją zamyśleniem, że nie warta tak niepojętego szczęścia, twarze zaś i postawy tych, co ją otaczają, zdają się być symbolem boskiego posłannictwa sztuki: są to pracownicy, których dźwięki niebiańskie oderwały na chwilę od zwykłego toku pracy; czoła ich opromieniły się jakby nagłym jakimś a tęsknem przypomnieniem czegoś, czemu miejsca niema na świecie, co im się kiedyś słyszało, albo jeszcze posłyszysz w jakiejś oddalonej przyszłości, ale, zamiast rozmarzyć i rozleniwzić, ta tęsknota będzie im pobudką do czynu, zachętą do dalszych trudów w duchu miłości poczętych, i wrócą oni do codziennej pracy i znoju, a każdy ich krok na tej drodze dźwięczeń będzie odgłosem dosłyszanej pieśni aniołów.

Jednak, pomimo podziwu dla twórczości Rafaela, która żywiła promiennym powiewem szczęśliwości wysnionej przez najszlachetniejsze umysły, Malczewski nie umiał pójść jego śladem, nie dopiął owej pogody, stanowiącej jedno z najbardziej uroczych znamion artystycznego usposobienia. Starał się wprawdzie utrwalić ją w sobie na mocnych podstawach religijności, pobożne bowiem poddanie się woli Opatrzności stanowiło istotę jego filozofii; ale, niestety, płynący stąd spokój przypominał raczej jesienne odrętwienie natury, niż rześwe powiewy i radosną jasność wiosennego poranku. I nic w tem dziwnego: życie naszego poety było, mianowicie w ostatnich latach, gdy tworzył „Maryę”, dziwnie smutne, nie ozłocił go wtedy żaden promień.

„Los dał mu wysokie pochodzenie — mówi biograf poety, Mikołaj Mazanowski ¹⁾, — dał dostatki na to, żeby umierał w nędzy; przyjacielskie i towarzyskie zalety, żeby go przyjaciele porzucili przy łożu śmierci; zewnętrzną piękność, namiętne i burzliwe serce, żeby, doznawszy w miłości zawodu, związał się z kobietą nieukochaną, istnym ciężarem i jakby wyrzutem przy zgonie za własne i cudze winy; dał mu los wreszcie wielki talent, ale za życia spłynęło zeń tylko rozczarowanie, gdyż wielka sława miała przyjść dopiero po śmierci.”

Urodził się poeta w r. 1793, z ojca Jana, zamożnego obywatela na Wołyniu, generał-lejtnanta rosyjskiego, i z matki Konstancyi, z domu Bleszyńskiej, rozwiedzionej ze swym pierwszym mężem, Filipem Haumanem, z którym miała troje dzieci. W domu rodzicielskim

¹⁾ „Żywot i utwory Antoniego Malczewskiego.” Lwów, 1890 r. Na pracy tej sumiennej i wyczerpującej opieram w znacznej mierze niniejszy szkic.

nie znano ani uczuć, ani obowiązków narodowych, otrzymał więc Antoni wychowanie nawskróś francuskie, tak, że do śmierci miał pewną trudność we władaniu mową ojczystą.

Począł jej się uczyć dopiero w szkołach krzemienieckich, w których spędził bodaj najlepsze lata swego życia. Obdarzony niezwykle urodą i miłym obejściem, zdobył sam sobie serca wszystkich, tem bardziej, że zdolności, pilność i celujące postępy w naukach zapewniały mu uznanie nauczycieli, wielka zaś serdeczność, dochodząca do tego, że nieraz przyjmował na siebie winy innych towarzyszy i kary ich ponosił, ciągnęła ku niemu ogół szkolnej młodzieży. Szczególnie zaś polubił go i ocenił sam Tadeusz Czacki, który w urzędowym o nim świadectwie umieścił między innymi następujące słowa: „Z przekonania polecam go wszystkim władzom, jako młodego człowieka, który z prawem sercem, z najszcześniejszą zdolnością, przez swoje postępowanie okaże pożytki w publicznej edukacji i dowiedzie korzyści, które uczniom ta celniejsza szkoła w dozorze i ułatwianiu środków do udoskonalenia serca i rozszerzenia władzy rozumu udziela.” Malczewski też zachował wdzięczną pamięć dla swego czcigodnego mistrza, czytywał jego dzieła, w jednym z przypisków do „Maryi” poświęcał mu słowa pełne zapału; prawdopodobnie też obcowaniu z nim zawdzięczał w znacznej mierze to, co miał w sobie najlepszego: swe religijne i obywatelskie uczucia.

Ukończywszy szkoły w r. 1811, udał się do Warszawy i wstąpił do organizującej się armii polskiej, przeznaczonej do udziału w zamierzonej przez Napoleona wyprawie na Rosyę; jednak na cały czas wojny odkomenderowany został do garnizonu w Modlinie, jak przypuszczają, z tego powodu, że, skutkiem spadnięcia z konia, miał pogruchotaną kość w nodze. Po utworzeniu Królestwa kongresowego, został zaliczony do sztabu kwatermistrzostwa generalnego, ale już w grudniu 1815 r. otrzymał dymisję na własną prośbę. Te kilka lat pobytu w Modlinie, a głównie w Warszawie, były dla poety „ciągłym romansem”, jak wyraził się Goszczyński. Piękna uroda, jasne włosy, wyraziste szafirowe oczy, wysokie myślące czoło, przytem ogląda towarzyska i wykształcenie, wraz z młodzieńczą skromnością, zrobiły go ulubieńcem dam; wkrótce też po pierwszym przybyciu do Warszawy wpadł w sidła, które nastawiła nań zalotna generałowa Ch., miał nawet skutkiem tego pojedynek, z którego wyszedł z postrzeloną nogą; po generałowej przyszła kolej na księżnę Fryderykową Lubomirską, do której poeta zapalał tak gwałtownem uczuciem, że, wziąwszy dymisję i zebrawszy ile mógł pieniędzy, wyruszył za nią za granicę w początku 1816 roku.

W przeciągu pięcioletniej podróży zwiedził on Francję, Anglię, Szwajcaryę, Włochy i Niemcy.

Bujne tęsknoty młodzieńcze zapędziły go aż na szczyt Mont Blanc; był on, jak twierdzi Goszczyński, po Saussurze ósmym z kolei podróżnikiem, który zuchwale się wdzierał na niedostępne wyżyny. Zdawało się poecie, że jakiś duch przeniósł go w te chwile, kiedy Bóg tworzył chaos ¹⁾. „Księżyc oświecał te pełne skał i lodów pustynie, ale nic oka zabawić, ani umysłu uspokoić nie mogło; ludzie, śpiący nokoło gasnącego ognia, zdawali się przechodniami z krainy śmierci.” Ogarniało go to poczucie oddalenia się od ziemi po-nad kresy powszedniego życia, poczucie rozkoszne i dumne w swym początku, ale przejmujące potem dreszczem zgrozy i przeświadczeniem własnej nicości wobec tchnień tajemniczych ze źródeł wiekuistego bytu; pod urokiem tych wrażeń, równie wzniosłych jak strasznych, kreślił on kilka lat później w Maryi te pełne najszczytniejszej religijności słowa, że „białe pióra zniżonej pokory widniejsze są nad przepychy świata i pozory blasku”, nad przednie utwory dumy lub dowcipu człowieka, nad samą nawet piękność natury. W tem podniesieniu ducha podtrzymywały go później we Włoszech arcydzieła malarstwa ze św. Cecylią na czele, w Wenecyi zaś zaznajomił się osobiście z Byronem, którego już przedtem wielbił w poezyi. Niestety, nie przechowały się żadne szczegóły o tym stosunku, prócz wiadomości, że Malczewski, rozmawiając z Byronem o przedmiotach dotyczących się Polski, opowiedział mu podanie o Mazepie i nasunął myśl do napisania poematu tej treści ²⁾.

Po powrocie z za granicy nastąpiły nieszczęśliwe lata Malczewskiego. Stosunek jego z księżną zerwał się jeszcze przedtem. Nadsztawszy zaś środki pieniężne w ciągu tyloletnich wędrówek, wziął teraz, w celu poprawienia interesów, dzierżawę na Wołyniu i począł żyć w zupełnej samotności: czytał, rozmyślał, tworzył, obcował duchem z ulubionym Byronem. Niestety, cisza ta trwała niedługo.

W sąsiedztwie mieszkał podśudek Ruciński, ożeniony z kuzynką poety. Malczewski odnowił z nimi dawne stosunki. Był to czas, kiedy spazmowanie należało u kobiet do wymagań dobrego tonu, uchodząc za najozdobniejszy niemal wdzięk natury niewieściej. W tym względzie Rucińska celowała przed innemi, co tem łatwiejszem było dla niej, że w rzeczy samej miała organizm nadzwyczaj wątki, utkany z samych włókien i nerwów. Ponieważ używane przez lekarzy środki nie zapo-

¹⁾ Por. IV przypisek do „Maryi.”

²⁾ Wiadomość tę podał Michał Modzelewski, znajomy Malczewskiego, jako opowiedzianą mu przez samego poetę, w liście do „Kuryera Warszawskiego”, 1873 r. Nr 108.

biegały jej częstym paroksyzmem, więc Malczewski, który za granicą zajmował się trochę modnym wówczas magnetyzmem, próbował ją uspokoić, pograżając w sen magnetyczny. Próba wypadła dobrze, poczęto ją odtąd przy każdej sposobności powtarzać; paroksyzmy ustawały, ale natomiast rozdziwaczona spazmatyczka zapalała namiętnem uczuciem do uroczego magnetyzera. Doszło wkrótce do tego, że tylko jego obecność była zdolna przywrócić ją ze spazmatycznych napadów do zwykłego stanu; ulegając błaganiom żony, Ruciński uprosił Malczewskiego, aby przeniósł się do nich; przystał na to Malczewski, zapewne dlatego, że zostawał sam pod urokiem tak szalenie w nim rozkochanej, a na razie tym szaleń pociągającej kuzynki. Prędko jednak poczuł, że położenie jego w domu Rucińskich było co najmniej niewłaściwe, narażało i jego, i gospodarzy na obmowy i śmiechy; Rucińska potrzebowała ciągle mieć Malczewskiego przy sobie, nawet przy gościach trzymała go za rękę; w razie przejażdżki musiał siadać przy niej, a męża wsadzano na kozieł z potrzebnymi w razie ataku przyborami. To pozwalanie sobie, te kaprysy i ta niesmaczna przesada w przywiązaniu, zraziły wkrótce poetę, a nie znajdując innego sposobu wyjścia, uciekł z domu Rucińskich, zostawiwszy list pożegnalny. Wrócił do wioski, którą dzierżawił, z zamiarem wzięcia się znowu do opuszczonej gospodarki, co było tem niezbędniejsze, że brak pieniędzy dawał mu się coraz bardziej we znaki. Ale dobre zamiary spełziły na niczem; zrozpaczona bowiem kochanka odrzuciła na bok wszelką wstydlivość i, opuściwszy męża i dzieci, znalazła się przy nim. Miękkii z usposobienia, powodowany nadto jakąś fałszywą delikatnością, Malczewski nie zdołał potem uwolnić się od natrętnej kochanki, tem bardziej, że sam Ruciński objawił, iż pragnie rozwodu z żoną. Oboje kochankowie udali się wtedy do Warszawy. Tam spędził poeta ostatnie dwa i pół lata swego życia, które były dlań istną katuszą. Środków pieniężnych było coraz mniej; proponowano mu miejsce, ale przyjąć nie mógł, kwoli nieznosnej spazmatyczce, która bez niego jednej godziny spędzić nie była zdolna; marzył o pracy i o sławie literackiej, ale i tu go spotkał zawód, bo „Marya”, którą wydał w r. 1825, została przyjętą chłodno: Niemcewicz, któremu ją dedykował, nie zwrócił na nią uwagi, a Dmochowski, przyznawszy wprawdzie talent autorowi, zganił jego utwór. Wszystkie te biedy przerosły siły poety; stosunek z Rucińską stawiał go w fałszywym położeniu wobec towarzystwa, w którym niegdyś błyszczał urodą i wykształceniem, widział się więc zmuszonym oddalić się od świata, zamknąć w odosobnieniu z kobietą, której nie kochał, poświęcić jej wszystko, co mu było drogie i pożyteczne. Stetryczał więc, zaniedbał się, zapomniał, że był niegdyś ulubieńcem salonów, zestarzał, przygnębienie wyrzyło mu się na całej

postawie, brak środków pieniężnych—na brudnem, znoszonym ubraniu. „Z owego adonisa — pisze Żalwski ¹⁾, — przypominającego Stanisława Augusta, zobaczyłem człowieka, wyglądającego na pastora luterekiego, w jakimś żalobnym, półduchowym stroju.”

Zgryzota doprowadziła go do grobu, skończył 2 maja 1826 roku,—przypuszczają niektórzy, że odebrał sobie życie, ale dowodów na to niema. Zostawił po sobie nieopłacone mieszkanie, długi w aptece, trochę starych mebli i sprzętów, które nie starczyły na pokrycie onych długów, trochę książek, portret Byrona, z rękopisami zaś jego niewiadomo co się stało. Rucińska przez rok cały waryowała z rozpacz, przytulona przez jakąś znajomą, potem wróciła do męża i dzieci i żyła sobie spokojnie.

Chmurno też i posępnie w poemacie Malczewskiego: odbił się w nim wielki smutek jego życia. Wszakże poeta o tyle umiał się wyzwolić z pod zabójczego wrażenia nieszczęść, które go zgnębiły, że w utworze jego znalazły one wyraz nie w przygodach bohaterów, które z życiem samego poety żadnej wspólności nie mają, ale tylko w ogólnym nastroju. Opowieść swą osnuł Malczewski na tragedji rodzinnej w domu Potockich, której ofiarą padła Gertruda z Komorowskich, żona Szczęsnego. Niektórzy wielbiciele Malczewskiego, a na czele S. Przyborski ²⁾, usiłowali podnieść „Maryę” na wyżyny eposu narodowej, na podstawie tego, że w osobie miecznika, ojca bohaterki, poeta przedstawił ideał szlachcica rycerza, i że, poświęciwszy znaczną część utworu opisowi bitwy z Tatarami, dał tem samem poetyczny wyraz temu, co stanowiło essencję dziejów Polski, którą, za tyle wieków spędzonych w ustawicznej walce z odwiecznym wrogiem zachodnio-europejskiej cywilizacji, nazwano przedmurzem chrześcijaństwa. Pogląd taki grzeszy grubą przesadą. Wprawdzie wojny tatarskie i tureckie zajęły sporo kart w dziejach naszych, przeszły jednak bez śladu, na dalsze losy Polski i na dzisiejsze jej ukształtowanie się nie wpłynęły tyle, abyśmy ten wpływ dotąd czuć mogli; dlatego-to wszelkie o nich opowiadania nie zdołają nigdy zapalić nas tak, jakby zapalił umiejętnie skreślony obraz innych walk naszych. Następnie w skreśleniu postaci miecznika Malczewski nie umiał zwyciężyć trudności, którą napotyka każdy poeta, usiłujący stworzyć ideał człowieka, nie potrafił on bowiem jednolitości, stanowiącej niezbędną cechę charakteru idealnego, ochronić od wpadnięcia w jednostajność.

¹⁾ Mazanowski, str. 38.

²⁾ Por. „Ateneum”, 1877, t. III.

Nie stanąwszy na wyżynach epopei, zajął jednak utwór Malczewskiego jedno z zaszczytnych miejsc w poezji naszej. Pomimo niewprawnego, stąd często zawilego, a niekiedy zupełnie niezrozumiałego stylu autora, który w zniesławionym domu rodzicielskim nie miał sposobności nauczania się mowy ojczystej, „Marya” zyskała wziętość ogromną i używa jej do dziś dnia, przedewszystkiem dzięki temu, że, będąc poematem miłości wzajemnej, wysoce szlachetnej a nieszczęśliwej, stała się, wedle wyrażenia Siemieńskiego ¹⁾, rodzajem *vade mecum* rozkochnych lub za miłością tęskniących, tem bardziej, że w ciernie smutku wiejącego z utworu powplatał Malczewski mnóstwo róż woniejących „tak pieszczotliwem i czarującym uczuciem, że niema cokolwiek zajętej główki lub serca, które-by nie dostały zawrotu lub nie wybuchły płomieniem przy czytaniu ustępów, jakby wykradzionych przez poetę z dusz wszystkich kochanek”, jak np.:

„Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.”

albo:

Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
I myśleć tylko o tem, czem tobie dogodzić;
Być twoich chwil osłoda, czasem ich ozdoba;
Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą;
I w tej ostatniej chwili, choć w cierpieniu natłoku,
Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem oku.

Następnie zawdzięcza Marya swą wziętość artystycznemu układowi: umiał poeta do końca utrzymać ciekawość czytelnika w naprężonym stopniu, skutkiem czego poemat czyta się jednym tchem ze skupioną uwagą. Na początku tchnąca stepowym liryzmem przygrywka o goniącym po stepie kozaku. „Ruszaj, ruszaj kozacz! pośpiech nakazany — zaczyna poeta strofę czwartą — w starym wyniosłym zamku niemałe odmiany.” Wojewoda bowiem, po nocy spędzonej uprzednio w ponurem zamyśleniu i ciężkiej walce ze sobą, wysłał był właśnie kozaka z tajemniczym listem, potem o świcie żegnał syna wyruszającego na czele swych hufców na wyprawę przeciwko Tatarom. „I ciche, puste pola — mówi poeta — znikli już rycerze.” I jakby w przeczuciu zawisłych nad wyprawą niebezpieczeństw, a pod natchnieniem wiejących z kurhanów stepowych, wzniosłych a żałobnych wspomnień o wie-

¹⁾ „Portrety lit.” t. IV.

kowych zapasach Polski ze światem muzułmańskim, kreśli poeta naprędce ustęp płaczący bezbrzeżną tęsknotą stepu, poczem przenosi nas pod cienie lip do starego dworku, w którym miecznik z córką wylewają w długiej rozmowie głębie swego smutku i całą szlachetność dusz, niedostępnych podszeptom zawiści!

W tem nadjeżdża ów kozak z pierwszych strof z listem wojewody, w którym ten oświadcza, nietylko że gotów zapomnieć urazy, ale że syna wyprawia przeciwko Tatarom, pragnąc, aby walecznymi czyny stał się godnym swej dostojnej małżonki, a na czas nieobecności zaprasza Maryę do siebie. Radość, którą sprawił list, powiększa przyjazd Wacława, śpieszącego na wyprawę; pomiędzy mężem a żoną następuje długi duet miłosny, jeden z najpiękniejszych w poezyi; nie porzywa on fantazyi i potęgą swych tęsknot nie przenosi nas w zaświat, ale pomimo tego zostaje jedynym w swoim rodzaju, dając wyraz nie miłości kochanków, w której pożądanie, grające główną rolę, zapala wyobraźnię i kąpie ją w oceanie rozhukanych marzeń, ale małżeńskiej miłości, spokojnej, głębokiej i tkliwej.

W części drugiej występuje na początku tajemniczy chłopak, zalewający się łzami nieokreślonej tęsknoty; nie rozumiemy go zrazu, ale przeczuwamy zwiastuna nieszczęścia; przecucie zdaje się sprawdzać, gdy przed dworem miecznika staje nagle tłum masek w różnobarwnych strojach; śpiewają one huczną pieśń o weneckich zapustach, której każda zwrotka kończy się złowróżbnym dwuwierszem:

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie.

Maski wchodzą do dworu, a poeta przenosi nas tymczasem znowu na stopy i odtąd opowieść płynie bez przeskoków jednym prądem. Zrazu opis pochodu: miecznik na czele hufca odmłodził na koniu, od chwili, gdy „trąby we wszystkie jego żyły głosem dzielnej przeszłości jak grom uderzyły.”

Hardość w zmarszczonem czole, ogień zaś w źrenicy,
Czapka na lewem uchu, zniszczenie w prawicy.

Obok Wacław posępny, przecuciem nieszczęścia miotany, pragnął-by siebie „szybką woli” rumaka powierzyć, byle co prędzej od niedoli swej ulecieć, choć w kraj śmierci. Potem bitwa, dzielne natarcie polskiej jazdy, Wacław walczący mężnie, lecz bez zapалу, o to tylko, by „życia, co cięży, nie oddać z sromotą”, pojedynek miecznika z hanem, wraz z niezrównanie plastycznym opisem śmierci ostatniego:

Spada dzielny zamachem odmieciona głowa,
 Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
 Toczy się, ziewa, błednie i gaśnie — z tułupa,
 Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa.

Wreszcie zwycięstwo ostateczne, ucieczka Tatarów. Całość oddana z tryskającą życiem prawdą.

Strach przejął barbarzyńców; grzmiały trąby — rzeź grają —
 Nowi rycerze gonią — dawni się zbiegają,
 Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rżenie,
 A zapylona sława upieknie zniszczenie. —

Po bitwie pierzchają przecucia Wacława, rzewna radość ogarnia i jego, i miecznika; wszak Ukraina uspokojona na czas długi, a i w życiu ich rodzinnem zabłysną promienie słoneczne... Niecierpliwy Wacław śpieszy do małżonki, natura mu się uśmiecha, wszystko, co żyje, dzieli z nim radość! a wonne powiewy stepowych kwiatów zmiatają mu resztki smutków z oblicza tak rozjaśnionego, jak gdyby dusza odnalazła wreszcie drogę z kajdan swego ciała do Stwórcy. Ale ciężko zapłaci on za chwilową radość, czeka go w domu zimny i zeszpecony trup ukochanej; straszne zaś słowa szepce mu tajemnicze chłopię, zwiastun nieszczęścia; oddany rozpacz bez wyjścia, wyrusza Wacław w świat, odtąd jedynie zajęty żądzą zemsty, gdy miecznik pociechy szuka tylko w modlitwie. Wkrótce znajdują miecznika umarłego z bólu przy grobach żony i córki.

I cicho — gdzie trzy mogił w posępnej drużynie,
 I pusto — smutno — cicho w bujnej Ukrainie.

Ale znaczenie „Maryi” polega nietylko na tem, że jest ona artystycznie wykończonym poematem miłości, na tle chlubnych walk Polski z Tatarami; zajęła ona tak ważne stanowisko w dziejach literatury naszej, jako poemat bajronistyczny, jeśli pod tą nazwą rozumieć nie ślepe tylko naśladowanie, ale rzecz o nastroju Byronowskim, w której poeta, kierując się popędem własnego usposobienia, podszyconego rozczytywaniem się w dziełach wielkiego mistrza i osobistą z nim znajomością, przedstawił bohaterów swoich na tle szerszem jeszcze niż wojny polsko-tatarskie, bo obejmującym ogólnoludzkie, a stare jak świat, nadzieje, wątplenia i bóle. Tylko do przedmiotu swego przystąpił Małczewski z innej strony niż Byron. Ten, bojownikiem będąc z usposobienia, lubił wyprowadzać bohaterów już pokłóconych z porządkiem światowym i walczących z nim; gdyby pisał Maryę, niezawodnie-by

zaczął od tego, na czem Malczewski skończył, t. j. od wielkiej rozpacz-y Wacława po strasznej utracie najdroższej mu na świecie istoty. Tymczasem Malczewski, miękki, tkliwy i marzyciel, wolał myśl swą skupiać nad tym niewytlómaczonym tragizmem w składzie okoliczności, które, spadając na niewinnych a szlachetnych, uprawniały ich do rzucania w niebo bolesnych, z głębi ich rozdartych dusz wybuchających pytań, po co żyją i cierpią.

...Na co ten trud wieczysty
Prąd wszystkich ziemskich i niebieskich tworów?
Na co krążą te bryły
Kiedy wracają zawsze skąd ruszyły? ¹⁾.

Następnie pomiędzy twórczością Byrona a Malczewskiego zachodzi ta jeszcze różnica, że w bohaterach Byrona była zawsze mieszanina pierwiastków dobrych i złych: ludzie ci przerastali ogół przedewszystkiem potęgą swych namiętności, czuli stąd swą wyższość, a zazdrośni o nią, innych traktowali pogardliwie, i to ich usposobienie zniżało znacznie cechującą ich wspaniałomyślną żądzę zostania dobrodziejami ludzkości. Malczewski zaś z jednego Byronowskiego bohatera robił dwóch, z których jeden, wojewoda, miał duszę zczernioną samolubstwem, wówczas gdy w drugim, w Wacławie, zamieszkała sama szlachetność.

Wojewoda występuje tylko chwilowo na początku opowieści, gdy żegna syna, udając pojednanego z nim, i wysyła kozaka ze zdrazieckim listem do miecznika — ale występuje w jakimś Byronowskim oświeceniu, jako potężny i dumny pan, zamknięty w sobie, właśnie skutkiem tej dumy, nieszczęśliwy wreszcie, bo trawiony ogniem namiętności, której zadosyćczynienie popycha go do zbrodni, zupełnie jak Lara, unika on oczu ludzkich i „krokiem burzliwym” chodzi po odosobnionem jakimś ustroniu swego zamku, tonie w rozpacz, która go znowu pogrąża w niemoc, sen „trwożny” odlatuje z gorących oczu, duszno mu w wysokiej komnacie, po której rozlega się echo jego ciężkich westchnień... takim musiał być Lara w chwili, gdy popełniał ową tajemniczą zbrodnię, której wspomnienie gryzło go przez resztę życia.

Dotknąwszy się wojewody tylko zlekka, poeta skupił swą uwagę nad Wacławem i Maryą. W opisie Wacława uniknął on szczęśliwie tego Byronowskiego szablonu, który tak zachwycał nie tylko podrzędných jego naśladowców, więc nie popełnił nigdy Wacław żadnej taje-

¹⁾ *Leopardi*. „Śpiew koczującego po Azji pasterza” w przekładzie Porębowicza. Warszawa, 1887.

mniej zbrodni, nie gryzły go wyrzuty sumienia, choć wyższy od ogółu, sam siebie nie wywyższał i nie unosił się dumą, nie czuł wreszcie potrzeby oddalenia się od ludzi; tlał w nim ogień bohaterstwa, świadczyły o tem te nieokreślone żądze i tęsknoty, które przez długi czas pozbawiały go spokoju; błdził on — jak opowiada Maryi — po dzikiej, jak step, pustyni swego umysłu, a nie zabłysnęła mu nigdy żadna gwiazda, dopiero z poznaniem Maryi ujrzał przed sobą światło, kreszące mu drogę do nieba. Miłość stała mu się płomiennym drogowskazem w życiu, treścią myśli wszystkich i czynów.

Podobnem, bezgranicznem uczuciem ukochał Korsarz Medorę, była to jedyna na świecie istota, do której mógł się przywiązać. Wykazano już to i inne podobieństwa pomiędzy Maryą a Korsarzem, oraz, w mniejszym nieco stopniu, „Narzeczoną z Abydos” i „Giaurem”; nie zwrócono jednak uwagi na to, że podobieństwa te, chociaż świadczyły o świadomem naśladowaniu Byrona, bo występowały w całych sytuacjach, obrazach, wyrażeniach ¹⁾, były jednak tylko zewnętrzne, nie sięgnęły bowiem wcale stanu duszy bohaterów. W tym względzie Malczewski pozostał samodzielnym. Naprzykład Wacław kochał Maryę z tą samą wyłącznością, co Korsarz-Konrad—Medorę, ale kochał odmiennie: dla Konrada bowiem miłość jego była jedyną rzeczą, mającą jakąś wartość na znieawidzonym świecie; miłość ta zlała się w nim, jak wyznawał Medorze, w jedno z nienawiścią do ludzi; im bardziej ją kochał, z tem większym wstrętem patrzył na ogół ludzki; — tymczasem Wacława miłość godziła ze światem, wskazywała cel w życiu i drogę do nieba. Odmiennym też był ich stosunek do towarzyszek ich życia: dla Wacława Marya była w rzeczy samej towarzyszką, nietylko ją kochał, ale i czcił, — Medora zaś — jak wszystkie zresztą bohaterki poematów Byrona — była tylko bezmyślną niewolnicą, wpatrzoną w swego pana; dlatego-to, przy całym zewnętrznym podobieństwie scen pożegnania przed odjazdem na wojnę, Medora, mdlejąc z rozpaczy, błagała Konrada, aby został z nią, gdy Marya, pomimo swej wielkiej boleści, rozumiała dobrze, że nie miała prawa zatrzymywać męża, który, jadąc, spełniał swój obowiązek.

Następnie i Byron, i Malczewski malowali stan duszy swoich bohaterów po pożegnaniu z żonami: Konradowi, powodującemu się zwykłą sobie dumą i pogardą dla ludzi, chodziło tylko o to, aby ukryć swój

¹⁾ Wykazali to Mazanowski a przed nim Gramlewicz („Marya Malczewskiego w świetle nowej krytyki” w dodatku miesięcznym do „Przeglądu Tygodniowego” za wrzesień 1884 r.). Dość porównać początek „Maryi” „Ej ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozaczce?”, z początkiem „Giaura”: „Kto tam grzmi konno po skalistej drodze?”

smutek przed okiem podwładnych; Wacław zaś, prostszy i szczerzy, nie znał fałszywego wstydu, mniej dbał o chowanie uczuć swoich; gdy siadł na konia, poczuł, że odtąd rycerska powinność musi być „miłośnicą”, a odniesione nad sobą zwycięstwo rozżarzyło mu się na twarzy, tem „nieśmiertelnem światłem duszy, gdy swe najsilniejsze czucia przesila.” Walczyli potem i Konrad, i Wacław w tym samym nastroju: mężnie, ale bez zapału, bo obaj szukali śmierci. Obaj wreszcie wracali z wyprawy z tą samą niecierpliwością oglądania ukochanej, i obu spotykał ten sam straszny zawód, opisany jednak w obu wypadkach bardzo odmiennie. Byron poetyzował śmierć: na twarzy Medory rozlany był pełny wdzięku spokój, zostający w uroczej harmonii ze ściśniętym w jej rękę pękiem kwiatów; Malczewski zaś, przecierpiawszy w życiu swem więcej od Byrona, snąc doszedł do tego okropnego stanu, że pieścił się z bólem i lubował się w rozdrażnianiu ran swoich. Stąd-to cały ten ustęp tchnie u niego wstrząsającym swą grozą realizmem; zamiast kochanki, pogrążonej w cichym śnie wieczności i promiennej majestatem śmierci, Wacław miał przed sobą przerażający widok trupa utopionej, „przedmiot straszny”, jak wyrażał się poeta. W końcu obaj puszczali się w świat i niknęli bez wieści: Konrad w odrętwieniu rozpaczy, pogrążony w noc bez nadziei jutrzeńki i nie pragnący jej nawet, — Wacław — z tą samą rozpaczą, ale nieodrętwiałą, lecz dziką, popychającą do czynu, tą „co patrzy w jeden przedmiot—trumnę przeciwnika”, to usposobienie jego potępiał poeta, mówiąc, że „w duszy Wacława” już zatknięte to godło „co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło”, ale tłumaczył zarazem, wołając wnet potem, że nie przyda się dobroć na świecie „gdzie, co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci.”

Jednem słowem, naśladować Korsarza w szczegółach, Malczewski był samodzielnym w pomyśle charakteru swego bohatera. Powiedziałano, że nie dorównał Byronowi pod względem analizy uczuć ¹⁾; słuszne to, jeśli mieć na myśli całokształt twórczości Byrona, ale takie zestawienie było-by niesprawiedliwe względem Malczewskiego, który dopiero zaczynał tworzyć, a wzorował się wedle poematów okresu londyńskiego, w których Byron, jak to zresztą z porównania Konrada z Wacławem wynika, nie odznaczył się wcale głębszą, niż Malczewski, znajomością duszy ludzkiej.

Natomiast przerósł go potęgą i blaskiem fantazyi, a jednak, choć nierównie mniej lotny i świetny, Malczewski porusza nas do dziś dnia; „Maryę” czytamy z rozkoszą od początku do końca, dzięki tej szczerzej prostocie, która jest pierwszym warunkiem trwałości wrażenia arty-

¹⁾ Mazanowski.

stycznego; tymczasem w londyńskich poematach Byrona porywa nas zawsze to wszystko, co tchnie liryzmem, co jest osobistym wylewem uczuć poety, ale z niesmakiem opuszczamy te liczne i długie ustępy, co to tak niegdyś zachwyciły Europę, w których Byron wyprowadza i każe nam podziwiać wiecznie tych samych afektowanych bohaterów o hardych postawach, ze śladami nieznanych tłumowi cierpień na twarzy, nie raczących nawet przemawiać do tych wzgardzonych tłumów, a objawiających im swą wolę za pomocą równie dumnych jak wspaniałych giestów. Najwięcej mając punktów styczności z Korsarzem, Marya przypomina w wielu drobniejszych szczegółach „Giaura”, a z „Narzeczoną z Abydos” zbliżają utwór Malczewskiego wzajemne wynurzenia miłosne Wacława i Maryi przed ich rozstaniem się. „Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić, być twoich chwil osłoda czasem i ozdobą, żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą” — te tchnące najtkliwszem przywiązaniem słowa Maryi, poeta zapożyczył prawie bez zmiany u Zulejki ¹⁾; a jednak, pomimo tak wyraźnych dowodów naśladowania w szczegółach, sam charakter rozmowy jest w obu poematach wręcz przeciwny: ze słów Zulejki, marzącej o rozkoszy pocałunków Selima, wieje tylko zmysłowość, gdy Marya zdaje się wyrzucać sobie, że tak gwałtownie ukochała Wacława, wyznaje, że chciała nieraz w modlitwie stłumić myśl o nim, zapytuje, czy Bóg nie ukarze jej za tak silne kochanie?

W tym nastroju uczuć Maryi odbił się pogląd Malczewskiego na świat. Z usposobienia idealista i zachwytem przejęty dla Rafaela, chciałby i on malować szczęśliwość dobrych i pięknych, ale los dokuczył mu był zbyt boleśnie, aby był zdolen myśleć od smutku swego oderwać, więc też w utworze swoim odmalował wielki smutek życia, ale smutek uszlachetniony poddaniem się woli Boga. Świat wydawał mu się wielkim padołem jęku, w którym szczęśliwym mógł się mienić tylko ten szalony, co miał odwagę wśród jęku powszechnego wybuchnąć śmiechem hucznym (II, 7); sprzeczne i nigdy celu swego nie osiągnące uczucia ludzkie spletały się w ciemne i posępne lasy, kółców pełne, (II, 19), a rzadkie w tym mroku chwile słodkie były „jak pogodne niebo, gdy piorun grzmi w tyle.”

¹⁾ To soothe the sickness, watch thy health
Partake, but never waste thy wealth,
Or stand with smiles unmurmuring by,
And lighten half thy property,
Do all but close thy dying eye
For that I could not live to try.

Lecz z tego wieczystego rozdarcia i niezaspokojenia uczuć i żądz wyciągał poeta ten jedyny pewnik, że człowiekowi

..... nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo, gdy westchnie do nieba.

Zgodnie z takim nastrojem, napępiał on smutkiem step, służący za tło do jego krwawej opowieści. Bezgraniczny i jednostajny, zbłąkanym myślom odmawiający przystani, nie porywał go ów step, jak synów pustyni wschodu, tęsknotą do owej jedynej zaświatowej przystani, ani też nie pogrążał w proch i nicość przed niedocieczonym Jehową; zielony i bujnym życiem kipiący, nie nsypiał go również, jak poetów panteizmu, w kojącem marzeniu o zlanu się w jedno z tą wspaniałą, donośną, nie starzejącą nigdy, a zawsze zwycięską pieśnią, którą śpiewała przyroda, nie, — dla napojonego smutkiem poety, step był przede-wszystkiem posępną widownią walk, które na nim od wieków między sobą staczały różne narody, różne nawet światy i cywilizacje; smutnie wiatr szumił po stepie, uginając kłosa, a myśl poety błakała się po nim, „jak rozpacz—bez przytułku, bez celu, bez granic”, znużona zaś i „brzemie tęsknych uniesień” pragnąca zrzucić z siebie, musiała lot swój zwijać i, zanurzywszy się w ziemię, słuchać westchnień i jęków z pod mogił tych, co „spią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy”, lub patrzeć na „robactwo rozległe w świeżych jeszcze ciałach.”

I smutek ten tak całkowicie pochłaniał poetę, że, patrząc na roztaczające się przed nim pasmo zbrodni, cierpienia i nędzy, zdawał się być skłonny do uznania, że wśród tej niedoli powszechnej nie było winnych, były tylko ofiary. W zdarzeniu, które brał za treść do swego utworu, niczem nieusprawiedliwionym winowajcą był wojewoda, działający pod naciskiem nikczemnie samolubnej w danym wypadku dumy rodowej; ale o tej niecnej pobudce do zbrodni poeta nie napomknął nawet, jak gdyby pragnął przedmiotowi poematu dać rozmiary szersze niż tylko dumy rodowej: dlatego-to otaczał zbrodnię wojewody jakąś tajemniczością, winowajca zdawał się być niewolnikiem fatalizmu, wobec którego był bezsilnym, pastwą namiętności, która nie tylko ofiary jego szala, ale i jego samego czyniła nieszczęśliwym.

Ale myśl religijna brała górę nad smutkiem poety, ujawniając się, w tem usposobieniu duszy, z jakim główne osoby poematu przyjmowały spadające na nie ciosy. O Wacławie, właściwym Byronowskim bohaterze Malczewskiego, była już mowa, i wiemy, że miłość uduchowniła go, że była „światłem kreślącym mu drogę do nieba”, że usposobiła go tak, „jak gdyby mu nikt nigdy nic złego nie zrobił”, że pozbył się pod jej urokiem słusznej niechęci do ojca; wiemy też, że w chwili

lach szczęścia miał duszę tak rozjaśnioną, że zdawało się, iż zrywała kajdany ciała, w chwilach zaś smutku promieniała mu twarz nieśmiertelnym i zwycięskim blaskiem duszy, „przesilającej swe najżywsze uczucia.” Jednak nie wzniósł się był Wacław do tyła, aby znieść spokojnie ostatni cios: wprawdzie, chowając żonę, zamiast złorzeczyć, korzył się przed Bogiem, ale potem uciekał w świat z myślą o zemście, bo serce „zepsuło mu się w truciźnie”, jak dowodził poeta, nie dorósł do tego ascetycznie chrześcijańskiego przeświadczenia, że jedynem szczęściem—modlitwą, że człowiekowi „tylko wtenczas błogo, gdy westchnie do nieba.”

Zrozumiała to Marya, ale zbyt gorąco ukochała Wacława, aby to przekonanie swoje, a raczej poczucie, była zdolną przeprowadzić w czyn. Przy boku ojca, w „księdze żywota” zatopiona,

Jak trwozna gołębicą pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.

A temu nadziemiśskiemu polotowi uczuć odpowiadała jej postać „piękna i szlachetna, do aniołów grona dążąca, ich czystości czarem otoczona”, lecz uczucia jej młode owiał „trawiący oddech światowych uniesień”, zwarzył je, jak wichry jesieni, i dokonał tego, że „zrodzona dla nieba, zdawała się mieć serce uschnięte w kajdanach ziemi”, ale zarazem ciernie ziemskiej miłości otwierały jej oczy i czuła ona, jak błogo w nieszczęściu „tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła”, wyzwalać się ze wszelkich ziemskich pożądań i niepokojów, i mknąć w objęciach śmierci zdala „od światowego zamętu...” Tylko za późno nawiedzały ją podobne uczucia i myśli, już ją ślub kościelny związał był z ukochanym Wacławem, już duszą całą przylgnęła do niego, marząc o tem, by światłem być i potrzebą jego życia, by mu „brzmieć w szlachetnych pomysłach i w westchnieniach ulatać...” Więc, żegnając go w najtkliwszych, jakie zna poezya, wyrazach, wyznawała, że strach ją ogarniał, by Bóg nie ukarał jej za „tak żywe kochanie.”

Dopiero miecznik uosabiał ascetyczny ideał poety. Nieustraszony i porywczy, gdy chodziło o obronę wiary i kraju przed najazdem barbarzyńców, przyjmował on osobiste nieszczęście z tą „cichą pokorą, co się nie użala, gdy i najsroższych kaźni dźwiga brzemień.” Rozścielony krzyżem na pogrzebie córki, Bogu on swą duszę oddawał, cichy wstawał potem i jakby obojętny, ani żalu, ani skargi nie usłyszał nikt z jego „wypłowiących” warg, mniej tylko z ludźmi obcował, a więcej z Bogiem, nawet łez nie ujrzano w jego oczach,—wszak nie mają czego płakać ci, co żyją myślą o niebie, których ogarnęło przeświadczenie o wielkiej marności wszystkiego co ziemskie.

Nie czekać od życia niczego, bo złe bierze w niem górę nad dobrem, przebaczać tym, co nam złe czynią, skierować wszystkie siły duszy ku niebu, bo stamtąd tylko spływa spokój,—tak można-by streścić wynikający z „Maryi” pogląd Malczewskiego na świat.

Nie był on filozofem może dlatego, że nie miał czasu nim zostać, nie spojrział więc w rzeczywistość tak głęboko i nie uzasadnił przekonań swoich tak wyraźnie, jak pokrewni mu duchem zachodnio-europejscy przedstawiciele Child-Haroldowskiego tonu w poezji bajronistycznej — Alfred de Vigny i Mikołaj Lenau, ani też jak sam Byron; ale, poznawszy zło życia, odwrócił się od niego, a myśli swoje i uczucia posłał daleko gdzieś po-za kresy ziemskiego bytu, nie chcąc z nim wchodzić w żadne układy. Ascetyczna rezygnacja Malczewskiego zbliża go najwięcej do Lenau'a w chwili, gdy ten tworzył „Sawonarolę.” Cierpienia nauczyły poetę naszego, że życie jest złe i że jedynym szczęściem—modlitwa, a z takiego usposobienia wynikał popęd do apoteozowania oczyszczającej duszę boleści.

Temu, niezupełnie świadomemu, bo instynktowemu, popędowi dawał Malczewski wyraz w postaci tajemniczego chłopaka, zwiastuna nieszczęścia, nad którym łamali głowy jego krytycy. Tretiak ¹⁾, twierdząc, że urodził się on w melancholijnej fantazji poety, nie zdającej sprawy ze swej twórczości, poetycznie wyraził się, że to „uosobienie Bajronizmu, który także przywędrował ze stron dalekich, objął poezję polską w osobie Malczewskiego i „w cwał poleciał po stepie Ukrain-skim.” Mnie się zdaje, że owo pacholę wyobraża smutek, porywający duszę i po drodze usiane cierpieniami prowadzący ją do Boga. Podobny pomysł wyraził jaśniej Grottger w postaci owego anioła, który oprowadzał poetę po piekle życia, podobny do Eloy z *Anhellego* „z melancholiczną gwiazdą na rozpuszczonych włosach.” Z łez zrodzona, ku niebu pięła się poezja Malczewskiego, i przez usta tajemniczego pacholęcia, unoszącego Wacława od trumny ukochanej gdzieś na niebo, morze nieutulonego bólu i bezdennej tęsknoty, chciała ona nam przelać w serca te wzniosłe słowa, któremi później Kraszewski zaczął swą hymny boleści:

Być pozdrowiona, bądź błogosławiona,
Święta boleść, co mi serce krwawisz,
Z krzyżem Chrystusa niosąc mnie do Boga,
Ty mnie podążasz, ty mnie prowadzisz.

M. Zdzichowski.

¹⁾ O „Bajronizmie w poezji polskiej” 1879.

MONOPOL WÓDCZANY

w Państwie Rosyjskiem.

I.

Wódka jest starym wynalazkiem, przypisywanym, jak wiele innych, Chińczykom, którzy mieli ją wyrabiać z daktylów i pewnego rodzaju palm. Do Europy została wprowadzoną przez Arabów; Grecy i Rzymianie jej nie znali. Przez długi czas wyrabiano wódkę na naszym kontynencie z wina (stąd nazwy: vinum ustum, Brantwein) i używano jej jako środka leczniczego, mającego życie przedłużać (aqua vitae, eau de vie); jako przedmiot częstszego użycia zjawia się ona w XV wieku, w którym staje się już nawet znacznym artykułem handlu.

Okolo roku 1580 wydawano już wódkę w znacznej ilości żołnierzom, wysłanym przez królową Elżbietę na pomoc Wilhelmowi ks. Oranii w Niderlandach; wódka miała im dodawać ducha (cordial, kordyał)¹⁾. W systematyczne pijaństwo wpadły z biegiem czasu dwa narody: Anglicy w przeszłym i Szwedzi okolo połowy bieżącego stulecia;

¹⁾ Wogóle wojny sprzyjają bardzo spożyciu wódki (Hartig, „Zur Geschichte der Brantweinsteuer).

obecnie, jakkolwiek niema państwa, w którym-by opilstwo można nazwać ogólnem, to jednak wódka znana jest we wszystkich strefach od jednego do drugiego bieguna i wywiera, stosownie do miejscowych warunków klimatycznych i kulturalnych, bądź to dodatni, bądź też przeważnie ujemny wpływ na człowieka.

Do XVIII wieku wyrabiano wódkę ogólnie ze zboża lub wina. Dopiero w połowie XVIII wieku wchodzi w życie przeróbka kartofli, i dzisiaj w Niemczech $\frac{4}{5}$ ilości wódki pochodzi z tej jarzyny; podobnie w Austrii. Węgrzy, Rumuni i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej mają wódkę przeważnie z kukurydzy, Anglicy z jęczmienia, żyta, melassy i ryżu, Francuzi ze zboża, buraków i melassy. W państwie Rossyjskiem stanowią kartofle około 70% ogólnej wagi materiałów zużytych w gorzelnictwie ¹⁾.

Przemysł gorzelniczy ma charakter bądź rolniczy, i wtedy jest jedną ze zbawiennych funkcji gospodarstw wiejskich, oddaje bowiem społeczeństwu w mięsie opasowego bydła, a ziemi w nawozie, to, co z ziemi wyciągnął; bądź też przeobraża się, jak w Anglii, w wielki przemysł fabryczny, nie spełniający tych zadań, które w pojęciu społeczno-gospodarczem są pierwszorzędного znaczenia ²⁾. Wprawdzie trudną jest rzeczą zakreslić ścisłą granicę pomiędzy rolniczem a fabrycznem gorzelnictwem; w Rossyi uważane są te gorzelnie, istniejące przy gospodarstwach wiejskich, za rolnicze, które leżą w majątkach, posiadających przynajmniej 60 diesiatyn ornej gleby, i tylko w kampanii zimowej (od 1 września do 1 czerwca) produkują więcej niż 75 wiader 40-stopniowej wódki na diesiatynę ornej gleby ³⁾.

To są określenia prawne. Chcąc dać teoretyczne pojęcie gorzelni rolniczej, należało-by powiedzieć, że za taką uważać trzeba gorzelnię, która cały uzyskany wywar daje do spożycia własnemu bydłu, a całą ilość uzyskanego nawozu na pola przez własne gospodarstwo uprawiane wywozi.

W państwie Rossyjskiem większość gorzelni zachowała dotąd charakter rolny; toż samo da się powiedzieć o Niemczech, Węgrzech,

¹⁾ W kampanii 1892/3 r. przerobiono w Rossyi:
30,981 tysięcy pudów zboża,
3,757 „ „ melassy,
90,963 „ „ kartofli, czyli 72% ogólnej ilości.

²⁾ W państwie Rossyjskiem było w r. 1892/3:
gorzelni t. zw. rolniczych 1,409, czyli 66%,
„ „ mieszanych 463, „ 22%,
„ „ fabrycznych 245, „ 12%.

³⁾ § 264—265 Ustawy akcyznej

Belgii i Hollandyi. We Francyi gorzelnictwo stało się przeważnie fabrycznem, a bardziej jeszcze w Anglii, gdzie istnieją ogromne gorzelnie, produkujące do 80,000 hektolitrow bezwodnego spirytusu rocznie; sprzedają one wywar na pożywienie dla mlecznych krów, utrzymywanych po miastach.

Jakkolwiek spirytus jest po większej części produktem przemysłu rolnego, i jako taki zasługiwać-by powinien na państwową opiekę, to jednak istnieją słuszne powody do obłożenia go wysokimi podatkami. Jednym z najgłówniejszych motywów w tej mierze jest ta okoliczność, że wódka z jednej strony nie jest artykułem pierwszej potrzeby, z drugiej zaś, zbyt niska jej cena prowadzi do pijaństwa, będącego źródłem wielu klęsk ekonomicznych i socyalnych. I jeśli się zastanowimy nad temi wymaganiami, które jeszcze Adam Smith postawił jako probierz słuszności podatku, a które do tej chwili nie utraciły swego znaczenia, to przyjdziemy do wniosku, że wódka tym wymaganiom prawie w zupełności odpowiada. Ad. Smith żądał mianowicie, aby każdy człowiek płacił podatki w miarę osobistej możności, aby stopa podatkowa była jasno określona i stałą, aby opłata podatku odbywała się w chwili najdogodniejszej dla płacącego i aby ściąganie podatku jak najmniej kosztowało. Otóż trzem pierwszym warunkom wódka niewątpliwie odpowiada: ilość spożytej wódki i chwila spożycia zależą w zupełności od danego osobnika, który w cenie wódki opłaca zarazem podatek na nią nałożony; ilość opłaconego podatku w stosunku do danej jednostki wódki jest zupełnie stałą, podatek bowiem opłaca się od każdego stopnia czystego spirytusu ¹⁾. Jedynie czwartemu warunkowi wódka niezupełnie odpowiada; jest to jednakże trudność, przywiązana do wszystkich podatków pośrednich, których ściąganie jest zawsze kosztownem ²⁾.

Zachodzi teraz pytanie, jak wysoko powinna być wódka opodatkowana? Na tym punkcie panują najsprzeczniejsze pojęcia. Bo gdy jedni, wychodząc z zasady, że wódka jest produktem rolnym i służy przeważnie za napój klas najuboższych, pragnęli-by ją widzieć prawie wolną od podatku; inni, szukając w niej źródła wszelkiego złego, sądzą, że należy ją tak wysoko opodatkować, aby jej użycie zmniejszyło się do możliwego minimum.

¹⁾ Inaczej rzecz się ma np. z cygarami, których „gatunku” podatek nie jest w stanie rozróżniać, wskutek czego ludzie palący gorsze cygara opłacają stosunkowo większy podatek, aniżeli ci, którzy palą lepsze.

²⁾ W państwie Rosyjskiem kosztą te wynosiły:

W r. 1891 — 3.50‰,

„ 1892 — 3.06‰,

„ 1893 — 3.27‰.

Prawda zdaje się leżeć jak zwykle pośrodku. Logicznemi granicami podatku od wódki są: z jednej strony interesa rolnictwa, z drugiej—pijaństwo; podatek winien być w miarę tak wysokim, aby gorzelnie przy nim mogły się rozwijać, wszakże nie należy go tak zniżyć, aby konsumpcya wódki mogła przybrać zatrważające rozmiary. Od podatku zaś powinien być zupełnie wolnym spirytus, użyty do celów technicznych, jak np. do wyrobu farb, lakierów, politory etc.

Oczywiście o wysokości tego podatku rozstrzygają wszędzie warunki miejscowe; wynosi on w różnych państwach za hektolitr ¹⁾ bezwodnego spirytusu w okrągłych cyfrach:

W Anglii	rs. 195,
„ Hollandyi	„ 101,
„ Stanach Zjednocz. Ameryki Północnej	„ 100,
„ Norwegii	„ 90,
„ Rosyi	„ 80 ²⁾ ,
„ Francyi	„ 63,
„ Włoszech	„ 57,
„ Szwecyi	„ 56,
„ Belgii	„ 52,
„ Niemczech (średnio)	„ 45,
„ Austrii (średnio)	„ 39,
„ Szwajcaryi	„ 36,
„ Hiszpanii	„ 32,
„ Rumunii	„ 20,
„ Danii	„ 10,
„ Portugalii	„ 4.

Z tablicy tej wynika, że Rosya, pod względem opodatkowania wódki, zajmuje piąte miejsce w szeregu państw, na którego jednym krańcu stoi Anglia, na drugim zaś Portugalia.

Przeciwko akcyzie od wódki, jako podatkowi *spożywczemu*, podnoszono już i ten zarzut, że nie zawsze spada w całości na spożywcę, a to z powodu, że cena sprzedaży wódki jest zależną od popytu, i że wskutek tego częstokroć sprzedawca, jeśli jest zmuszonym cenę zniżyć, sam część akcyzy ponosi. Gdy jednak zważymy, że akcyza w Rosyi jest mniej więcej dziesięć razy większą od wartości wódki, że zatem wartość samego spirytusu na jego cenę bardzo słabo wpływa, to

¹⁾ Hektolitr = 100 litrów = około 8 wiader; wiadro = 12,5 litra.

²⁾ 10 kop. za jeden stopień Trallesa w jednym wiedrze, czyli 10 kop. za jedną setną część wiadra bezwodnego spirytusu.

musimy przyznać, że część akcyzy, przez sprzedawcę ponoszona, nie może być nigdy wielką. Wszakże ten fakt nie obala zasady samego zarzutu. Otóż ten brak usuwa w zupełności rządowa sprzedaż spirytusu (monopol) przez wprowadzenie stałej ceny, nie ulegającej wahaniom.

II.

Państwo Rosyjskie miało już monopol wódczany przez dwieście lat z górą. Ta forma opodatkowania spirytusu została wprowadzoną za Cesarza Aleksego Michałowicza (1645—1676); gorzelnicy musieli odtąd wódkę i spirytus oddawać po niskich cenach Rządowi, który ją po wysokich cenach sprzedawał szynkarzom. Za Cesarzowej Elżbiety (1741—1762) poczęto prawo sprzedaży wydzierżawiać, zwyczajnie na czteroletni okres; gdy zaś pijaństwo i kontrabanda rozwinęły się ponad wszelkie prawdopodobieństwo, zniósł Cesarz Aleksander I w r. 1817 dzierżawę—jednak nie na długo. W r. 1827 widzimy znów monopol wódczany w arendzie; dzierżawcy kupują wiadro wódki 40° po 40 kopiejek, a sprzedają po 6 do 10 rubli ¹⁾. Dochód z monopolu wynosił w r. 1725—milion, zaś w r. 1794—11 milionów rubli; w roku 1828—50 milionów, zaś w r. 1859—74 miliony rubli ²⁾.

Ukazem z dnia 4 lipca 1861 r. został ostatecznie zniesiony monopol wódczany i na jego miejsce wprowadzona w życie, począwszy od dnia 1 stycznia 1863 r., t. zw. akcyza ³⁾. Akcyza jest podatkiem, opłacanym przez gorzelnie za wyprodukowaną ilość bezwodnego spirytusu, który bywa mierzonym na stopnie za pomocą gęstomierzów (areometrów). Jeśli mówimy, że spirytus ma 95, lub wódka 40 stopni, to znaczy, że ilość bezwodnego spirytusu (t. j. czystego alkoholu) zawartego w wiadrze wynosi 95 lub 40%; resztę stanowią woda lub inne płynne ciała.

Akcyza była z początku względnie niską; podwyższano ją jednak ciągle ze względów fiskalnych; i tak wynosiła akcyza:

od	1 stycznia 1863	—	4	kop. za stopień w wiadrze
"	1 stycznia 1864	—	5	" " "
"	1 lipca 1868	—	6	" " "
"	1 lipca 1873	—	7	" " "
"	1 lipca 1881	—	8	" " "
"	20 maja 1885	—	9	" " "
"	1 stycznia 1889	—	10	" " "

¹⁾ Handwörterbuch der Staatswissenschaften—Brantweinsteuer.

²⁾ Julius Wolf. Die Brantweinsteuer str. 213.

³⁾ W Królestwie Polskiem wprowadzono akcyzę w r. 1866.

Oprócz tego ustawą z dnia 26 lutego 1878 r. została wprowadzona dodatkowa akcyza w wysokości jednego rubla od wiadra 40° (t. j. 2 $\frac{1}{2}$ kop. za stopień) t. zw. wyrobów wódczanych, t. j. wódek słodkich, nalewek, likierów i t. p., wyrabianych w fabrykach wódek i destylarniach.

Po zaprowadzeniu akcyzy podniosły się dochody skarbu; w r. 1864 suma osiągnięta z tego podatku wyniosła 119, w r. 1869—155, w r. 1880—197, a w r. 1888—241 milionów rubli. W r. 1893 wpłynęło z tego źródła do kasy państwa rs. 260,822,000 rubli ¹⁾, to znaczy, że przeszło 25% swych potrzeb Rząd pokrywa dochodami z akcyzy ²⁾. Z tych kilku cyfr łatwo zrozumieć, jak ważną rolę w finansach państwa odgrywa wódka i jej opodatkowanie.

System akcyzowy trwał w Rosyi pełnych lat trzydzieści dwa; i oto obecnie, pomimo że rezultaty przez akcyzę osiągnięte należy uważać niewątpliwie za świetne, Rząd zamierza przejść do monopolu, i na początek ten system w guberniach Permskiej, Orenburskiej, Ufimskiej i Samarskiej w dniu 13 stycznia b. r. już wprowadził.

Pierwszą rzeczą, która się na myśl nasuwać musi, jest pytanie, jakie pobudki skłaniają Rząd do porzucenia dotychczasowego systemu i do wprowadzenia na jego miejsce monopolu?

Pierwszą pobudką jest krzewiące się pijaństwo; drugą ta okoliczność, że ludność obecnie pije przeważnie wódkę nieoczyszczoną, którą się poprostu zatruią; trzecią wreszcie usunięcie pijącej ludności z pod zgubnego wpływu szynkarzy i skierowanie do kasy państw zysków, do tej pory przez szynkarzy i wogóle handlujących wódką pobieranych.

Ażeby ocenić, czy i o ile monopol wódczany odpowie tym czterem bardzo ważnym zadaniom, i wogóle, aby sobie zdać sprawę, jakie skutki dla społeczeństw pociągnie za sobą wprowadzenie w życie tej nowej formy opodatkowania, musimy się przedewszystkiem zapoznać z jego zasadami.

Podwaliną monopolu wódczanego w państwie Rosyjskiem jest ustawa Najwyżej zatwierdzona w dniu 18 czerwca 1894 r., która, jakkolwiek w tej chwili dotyczy tylko czterech powyżej wzmiankowanych gubernii, to jednak ma charakter ogólny; na niej bowiem będzie się niewątpliwie opierał cały gmach monopolu, którego kamieniem węgielnym będą prace ministerium finansów, podjęte tymczasem dla

¹⁾ W tej sumie mieści się akcyza od piwa, miodu etc. i podatek patentowy od sprzedaży napojów gorących; cyfry te są wszakże prawie bez znaczenia, w stosunku do ogólnej sumy.

²⁾ Budżet państwa wynosił w r. 1893—1,032 miliony rubli.

wprowadzenia monopolu na wschodzie *tytułem próby* ¹⁾. Najważniejszymi punktami tej nowej ustawy są następujące szczegóły:

Sprzedaż spirytusu, wódki i likierów („wyrobów wódczanych” wogóle) stanowi wyłączne prawo państwa. Gorzelnie, które nie odstąpiły swych wyrobów Rządowi, muszą je wywieźć po-za rejon monopolu. Fabryki wódek (destylarnie) kupują spirytus od Rządu po cenach, oznaczanych przez ministra finansów. Przyrządzanie wódki ze spirytusu i rozlewanie jej w butelki odbywa się w rządowych składach. Sprzedaż tak spirytusu i zwyczajnej wódki, jak i „wyrobów wódczanych”, odbywa się tylko w zapieczętowanych naczyniach, po jednakowej cenie jednostkowej bez względu na ilość, bądź to w rządowych składach, bądź też w prywatnych sklepach, otrzymujących potrzebne zapasy od rządu. Jednak w przemyśle traktierniczym (zatem i w szynkach p. a.), zarządzający akcyzą ma prawo pozwolić na sprzedaż *na kieliszki po dowolnej cenie*. Spirytus i wódka, puszczone w handel, muszą być *rektyfikowane* ²⁾. Na potrzeby handlu zakupuje Rząd $\frac{2}{3}$ potrzebnego spirytusu od gorzelni, leżących w rejonie monopolu, po cenach oznaczanych przez ministra finansów, przyczem udział każdej gorzelni określa się na podstawie największej produkcji z ostatnich lat trzech. Resztę $\frac{1}{3}$ zakupuje Rząd w drodze *submissyi*. Ministrowi finansów przysługuje prawo dopełniania przepisów zasadniczej ustawy dodatkowymi rozporządzeniami.

Oto mniej więcej wszystko. Ostatni punkt jest charakterystycznym: właściwe urządzenie monopolu leży naprawdę w rękach p. ministra finansów; ustawa jest tylko substratem.

Ocena samej ustawy oraz jej skutków w społecznej gospodarce nadzwyczaj jest trudną i może być tylko teoretyczną, gdyż historia nie wykazuje żadnych podobnych precedensów, które-by mogły być użytymi za punkt oparcia. Oprócz bowiem dawnego rosyjskiego monopolu wódczanego, który rozwijał się na gruncie stosunków ekonomicznych, wcale od dzisiejszego stanu rzeczy różnych; niema na świecie i nie było żadnego większego państwa, które-by u siebie miało monopol wódczany. Niemcy dążyły wprowadzić do tego celu i miały w r. 1886 gotowy projekt, który wszakże przepadł w parlamencie; Austria obecnie ma na stole monopol wódczany ³⁾, a jedynem państwem, mają-

¹⁾ Na rok 1895 jest już assygnowana suma 10 milionów rubli na prace przygotowawcze do wprowadzenia monopolu wódczanego w guberniach Zachodnich.

²⁾ Rektyfikacja polega na usuwaniu ze spirytusu tych wszystkich nieczystości, z którymi spirytus wychodzi z gorzelni, a przede wszystkim trujących olejków niedogonowych (Fuseloole).

³⁾ Właściwym projektodawcą i filarem tej sprawy było ministerium Wekerlego w Translitawii; gdy jednak po upadku tego ministerium wielcy kapitaliści Ciali-

cem tę formę rządowego władania spirytusem, jest Szwajcarya, która w dniu 23 grudnia 1886 r. promulgowała ustawę, nadającą Radzie związkowej wyłączne prawo produkowania i importowania spirytusu. Podług tejże ustawy ma Rada związkowa baczyć, aby sprzedawano tylko rektyfikowany spirytus; właściciele gorzelni otrzymują odszkodowanie; z czystych zysków używa się 10% w celach zwalczania alkoholizmu; do celów technicznych używany spirytus sprzedaje się po koszcie własnym.

Nie potrzebuję się rozwodzić nad wykazaniem różnicy warunków, w jakich się monopol wódczany rozwija w Szwajcaryi, a na jakich się oprze w Rosyi; dosyć przytoczyć, że Szwajcarya na całą konsumcyę, wynoszącą 270,000 hektolitrów, zaledwie 7,000 hektolitrów sama produkuje, resztę zaś z zagranicy sprowadza, podczas gdy Rosya nie importuje lecz eksportuje, aby zrozumieć, że dwa te monopole wódczane, szwajcarski i rosyjski, — jedyne jakie istnieją — nie dadzą się z sobą porównać. Tem mniej można z rezultatów osiągniętych przez monopol szwajcarski jakiegokolwiek wyciągać wnioski dla monopolu rosyjskiego. Nie idzie wszakże za tem, aby dla braku porównania wogóle wyrzec się krytycznego na samą rzecz poglądu; przeciwnie, należy ją z różnych punktów oświetlić i przy tem oświetleniu starać się zdać sobie sprawę z jej stron dodatnich i ujemnych.

Ocena ta monopolu wódczanego powinna być wykonaną pod względem jego znaczenia ekonomicznego, socyalnego i państwowego.

III.

Pierwsze pytanie, jakie-by postawić należało, jest: jaki wpływ wywrze w Rosyi monopol wódczany na przemysł i handel spirytusem?

Zanim przystąpimy do rozbioru tego pytania, pragnęlibyśmy czytelnikom uprzytomnić, jakie znaczenie posiada spirytus w gospodarce społecznej Rosyi, jako towar, podlegający sprzedaży i zużyciu. Kiedy Anglia na jednego człowieka zużywa rocznie żelaza za 4 ruble, a wódki za 3 ruble, t. j. o czwartą część mniej, to w Rosyi zużycie żelaza wynosi 90 kopiejek, a wódki 4 ruble, t. j. cztery razy więcej. Ten mały obrazek wprawdzie niczego niezłomnie nie dowodzi, jest wszakże wyborną wskazówką dla ocenienia ważności każdego z tych artykułów w życiu narodowem danego społeczeństwa. Jeśli przytem zważymy, że czwarta

tawii, w których rękach spoczywa przemysł spirytusowy, podnieśli głowę i rozpoczęli kampanię przeciwko zamiarom rządu, projekt począł się chwiać i prawdopodobnie pójdzie do kosza.

część budżetu państwowego spoczywa na spirytusie i że dochód państwa z tej gałęzi przemysłu i handlu ustawicznie wzrasta, oraz że obroty handlowe spirytusem wynoszą bez mała pół miliarda rubli rocznie, to pojmiemy z łatwością, że jest to artykuł w gospodarce narodowej pierwszorzędnej wagi. Jest on tem ważniejszy, że ściśle wiąże się z rolnictwem, tą pierwszą i najpotężniejszą dźwignią ekonomicznego dobrobytu.

Ustawa o monopolu wódczanym reguluje wprawdzie tylko sprzedaż; tymczasem w samej istocie rzeczy wkracza bardzo głęboko w przemysł produkujący spirytus, czyli w gorzelnictwo.

Przedewszystkiem określenie z góry na dłuższy przeciąg czasu ilości spirytusu, jakiego dana gorzelnia ma Rządowi dostarczyć rocznie, nie może pozostać bez wpływu na bieg normalny przedsiębiorstwa; jest to zapewnienie zbytu, bardzo zresztą dla każdego fabrykanta pożądane, o ile tenże nie traci swobody ruchów. Gdy wszakże określenie tej ilości, raz uskutecznione, z jednej strony nie dopuszcza powiększenia produkcji, z drugiej zaś zapewnia *a priori* fabrykantom sprzedaż pewnej stałej ilości spirytusu, to oczywiście wynika z takiego postawienia sprawy, że te gorzelnie, które-by ze względów gospodarskich, t. j. bądź to z powodu powiększenia ornej gleby, bądź też z musowego powiększenia zasiewów kartofli, potrzebowały zwiększyć produkcję, nie będą mogły tego uskutecznić, wszystkie zaś gorzelnie wpadną w zastój pod względem technicznym.

Co do pierwszego zarzutu, mógłby ktoś odpowiedzieć, że każdy gorzelnik, zmuszony powiększyć produkcję, może pracować na eksport; tak wszakże nie jest; naprzód bowiem cały eksport rosyjskiego spirytusu wynosi zaledwie 10% ogólnej produkcji, nie jest to zatem taki niezmierny ocean, do którego każda nadprodukcja łatwo może odpłynąć, powtóre zaś eksport spirytusu stanie się prawdopodobnie bardzo utrudnionym ze względów manipulacyjnych, o czem pomówimy niżej.

Podług ustawy mogą powstawać nowe gorzelnie tylko za specjalnem pozwoleniem ministra finansów; niema jednak nigdzie wyjaśnienia, w jaki sposób nastąpi wówczas nowy rozdział zapotrzebowań Rządu. Dzisiaj ilość spirytusu, wyrobiona w danej gubernii a nie spożyta, może swobodnie kursować—przy zachowaniu pewnych formalności—bądź to po kraju, bądź też za granicę. Nowy porządek rzeczy kursowanie to utrudni lub wcale uniemożliwi.

Oprócz tego istnieje jeszcze pewna kwestya zasadnicza pod względem prawnym, na którą muszę zwrócić uwagę czytelnika. W każdym akcie kupna—sprzedaży wychodzi się z założenia, że obie strony kontrahujące używają równych swobód pod względem określenia pojedynczych punktów umowy. Tymczasem przy zakupie większej części

spirytusu ($\frac{2}{3}$ całej potrzeby) przez Rząd, gorzelnicy nie mają najmniejszego prawa stawiania ceny, prawa, które, jakkolwiek jest regulowane stosunkiem podaży do popytu, to jednak niewątpliwie, jako prawo, przysługuje wyłącznie sprzedającemu.

Wogóle należy się obawiać, czy system zakupów spirytusu, o którym wyżej mowa, nie pogrąży gorzelnictwa w pewnej martwocie, tak pod względem technicznym, jak i ekonomicznym. Jakkolwiek bowiem zupełnie wolna konkurencja, jak to niestety widzimy, prowadzi do ekonomicznej anarchii, mającej wyraz w nieuzasadnionej nadprodukcji i następujących po niej kryzysach, to jednak ta sama wolna konkurencja jest ustawicznym bodźcem do technicznego rozwoju i podniecią do coraz większej energii ekonomicznej. Ta $\frac{1}{3}$ zapotrzebowania rządowego nie wystarczy do podtrzymania tych dwóch przymiotów gospodarki społecznej.

Zarzuty powyższe nie są wszakże zasadnicze; dotyczą one bardziej formy, aniżeli samej treści monopolu, i jeśli praktyka okaże, iż ten sposób zaspakajania potrzeb spirytusu dla celów rządowej sprzedaży przynosi szkodę gorzelniom, a tem samem i rolnictwu, to niezawodnie zło da się w ten lub ów sposób usunąć.

Jeśli od gorzelni przejdziemy do destylarni, to i na tem polu nie należy spodziewać się rezultatów pomyślnych. Dzisiaj destylarnie (t. zw. fabryki wódek) wogóle cieszą się powodzeniem i funkcjonowanie ich mało się różni od innych przemysłowych zakładów. Monopol wódczany wprowadza do tej gałęzi przemysłu bardzo znaczne utrudnienia. Ponieważ Rząd będzie jedynym odbiorcą słodkich wódek i likierów, które będzie sprzedawał sposobem komisowym, przeto i destylarnie pod ścisłą pracować będą kontrolą. Muszą one *z góry* oznaczyć czas, kiedy rozpoczną preparowanie wódek na dany przez Rząd obstalunek i kiedy tę pracę ukończą; muszą powiedzieć naprzód, ile stopni zużyją, ile wiader każdego gatunku wyrobiją; muszą *z góry* określić termin, w którym Rządowi oddadzą gotowe likiery. I to wszystko ma się odbywać pod najściślejszą kontrolą.

Jest to skrępowanie, którego doniosłość nie daje się wcale naprzód ocenić, skrępowanie, które poprostu destylatorów zrujnować może, tem bardziej, że przy nowym sposobie sprzedaży nikt bardzo o zbyt ich produktów troszczyć się nie będzie i nikt nie pomyśli o tem, co „pusowaniem” się nazywa, a bez czego dzisiaj mało tylko towarów roychodzi się po świecie.

Tak więc fabrykantom wódek przyszłość się nie uśmiecha! Ale i ten zarzut więcej do formy monopolu się odnosi, aniżeli do jego istoty, i może być w przyszłości z łatwością usunięty, głównie za pomocą uproszczenia kontroli.

To są ujemne wpływy na przemysł. Ma wszakże monopol wódczany za sobą inny fakt, znacznie donioślejszego znaczenia, gdyż wpływający z samej jego zasady: pobudzenie do życia całkiem nowego przemysłu i to na olbrzymią skalę, t. j. przemysłu rektyfikacyjnego.

Podług sprawozdania departamentu dochodów niestałych za rok 1891 ¹⁾, wyprodukowano w państwie Rosyjskiem w kampanii 1890/1 r. bezwodnego spirytusu 31,322,435 wiader, z których w 219 zakładach zrektyfikowano 6,305,780 wiader, t. j. zaledwie 20%; zatem 80%, czyli około 25 milionów wiader, zostało spotrzebowane w stanie nieoczyszczonym. Ponieważ zaś po wprowadzeniu monopolu Rząd będzie poddawał rektyfikacji całą produkcję spirytusu, przeto otwiera się pole do nowego przemysłu. Jeżeli nad oczyszczeniem 6-ciu milionów wiader pracuje 219 fabryk, to dla pozostałych 25 milionów trzeba by wznieść cztery razy więcej nowych zakładów; tak wszakże nie będzie; zakłady, budowane obecnie, są znacznie większe od istniejących, tak, że ilość nowych instalacji się zmniejszy.

O zakresie tego nowego przemysłu da nam pojęcie cyfra, którą za zrektyfikowanie 25-ciu milionów wiader Rząd będzie musiał zapłacić. W czterech wschodnich guberniach, gdzie już monopol zaprowadzono, płaci Rząd około 60 kopiejek od wiadra; jeśli tę stawkę przyjmiemy do naszego obliczenia, otrzymamy sumę 15 milionów rubli, która, aczkolwiek wielka, może się nie wszystkim wydać imponującą. Wszakże musimy zauważyć, że w tej cyfrze mieści się tylko *sam koszt* oczyszczenia bez wartości materiału, że te piętnaście milionów będą wpływały z kasy państwowej corocznie tylko za *samą czynność* rektyfikacji, i że aby sobie zdać sprawę porównawczo z innymi rodzajami produkcji, jak wielką jest praca ekonomiczna za tę sumę wykonana, należało-by do tej sumy doliczyć wartość spirytusu.

Wypada jeszcze na tem miejscu wspomnieć o spirytusie, używanym do celów technicznych, jako to: do wyrobu perfum, lakierów, politur, farb i t. p. Obecnie taki spirytus wolnym jest od akcyzy (§ 401 ust. akc.); toż samo dotyczy spirytusu winnego, używanego jako domieszka przy fabrykacji win (§ 311). Ustawa o monopolu wódczanym zaś nie zawiera żadnych wskazówek pod tym względem; być może, iż Rząd będzie sprzedawał spirytus na użycie do technicznych celów po niższych cenach. W każdym razie ta kwestya pozostaje otwartą.

Tyle co do przemysłu.

Jeśli teraz rzucimy okiem na zmiany, jakie monopol wywoła w handlu spirytusem, to oczywiście będą one bardzo znaczne; poprostu.

¹⁾ Priłożenije k otczetu departamenta nieokładnych sborow za 1891r. TABL. III i XXVIII.

prawie nic nie pozostanie z dzisiejszych stosunków, gdyż cały szereg pośredników pomiędzy gorzelnią czy rektyfikacją a spożywcą zostanie zastąpiony przez władze rządowe, lub, w nielicznych wypadkach, przez ludzi sprzedających wódkę faktycznie na rachunek rządu.

Nie będę nudził czytelnika szczegółami, wyjaśniającemi sposoby i drogi, które zmonopolizowany handel spirytusem ma kroczyć; postaram się tylko w konturach obraz ten naszkicować:

Spirytus przechodzi z zakładów rektyfikacyjnych do głównych składów rządowych, gdzie go rozprowadzają wodą na wódkę, nalewają w butelki, opieczetowują, poczem dostaje się bądź to do składów rządowych detalicznych, bądź też do sklepów prywatnych, bądź też w końcu do zakładów jadalnych. W pierwszych trzech sprzedaż może się odbywać jedynie w zapieczetowanych naczyniach i po cenach przez rząd oznaczonych, stałych, bez względu na sprzedawaną ilość. W zasadzie ten sam przepis dotyczy i jadalni (t. zw. przemysłu trunkowniczego); wszakże naczelnik okręgu akcyzy w obrębie miast, a minister finansów po wsiach, mogą udzielać pozwoleń na sprzedaż wódki z otwartych naczyń *na kieliszki, po cenach dowolnych*. Ponieważ zaś wszelkie nadużycia dzieją się głównie tam, gdzie wódkę sprzedaje się na kieliszki, przeto widoczną jest rzeczą, że tutaj leżeć będzie punkt ciężkości pijaństwa i szkód z niem połączonych; wszystko zależeć będzie od łatwości, z jaką takie pozwolenia będą wydawane.

Prawdliwych wszakże zawikłań spodziewać się należy w hurtowym handlu spirytusem, tam, gdzie sprzedaż nie odbywa się na miejscu, lecz spirytus musi być wywieziony po-za rejon monopolu. W dzisiejszych stosunkach może spirytus kursować po kraju swobodnie, byle akcyza była opłaconą, a te przepisy, które ruch towaru utrudniają, mają charakter zabezpieczający Rząd od strat, z powodu niedopłaconej lub rozłożonej na rozpłatę akcyzy. Monopol wódczany zaś wprowadza nowy porządek przewożenia spirytusu z miejsca na miejsce, a przepisy, sprawę transportu normujące, między innemi utrudnieniami żądają, aby wysyłający z góry na piśmie oznaczyć: komu ma zamiar posłać spirytus i ile, którego dnia wysyłka nastąpi, jak długo trwać będzie transport i przez jakie miejscowości spirytus będzie przechodził (szczegółowa marszruta).

Ktokolwiek jest obeznanym z ogólnemi warunkami handlu, ten doskonale zrozumie, jakie znaczenie ma swoboda ruchów towaru i możliwość rozporządzania nim w każdej chwili, stosownie do własnego uznania. Wogóle, gdyby tutaj dała się zastosować formułka matematyczna, to można-by powiedzieć, że rozwój handlu stoi w stosunku odwrotnym do ograniczeń ruchu towaru, wziętych co najmniej w kwadracie. Dzisiaj hurtowe operacje spirytusem odbywają się, jak wogóle

we wszystkich innych towarach, przez pośredników, którzy samą siłą rzeczy muszą zniknąć z horyzontu po zaprowadzeniu monopolu, a których czynności Rząd objąć nie zechce. W jaki sposób gorzelnik, zwyczajnie o handlu słabe mający pojęcie, zdoła się pozbyć tej ilości spirytusu, której Rząd nie zakupił, trudno bardzo przewidzieć; zapewne po różnych nieudanych próbach zmniejszy po prostu produkcję ze szkodą dla rolnictwa, a może z ruiną dla samej gorzelni.

Aby wyjaśnić, jak ważną jest rzeczą swoboda ruchu towarowego w handlu spirytusem, przytoczymy następujące dane, zaczerpnięte ze stosunków pojedynczych gubernii Królestwa Polskiego za rok 1891:

	W tysiącach wiader bezwodnego spirytusu		
	wyprodukowano	spożyto	pozostało
gub. Warszawska	383	479	— 96
„ Kaliska	448	125	+ 323
„ Kielecka	157	87	+ 70
„ Łomżyńska	241	52	+ 189
„ Lubelska	411	157	+ 254
„ Piotrkowska	393	300	+ 93
„ Płocka	223	55	+ 168
„ Radomska	103	98	+ 5
„ Suwalska	75	75	—
„ Siedlecka	436	108	+ 328
razem	2,870	1,536	+ 1,334.

Otóż ta cała przewyżka około miliona trzystu tysięcy wiader bezwodnego spirytusu, stanowiąca 46%, całkowitej produkcji, jako na miejscu niespożyta, została wywieziona bądź to za granicę, bądź też do innych gubernii państwa. Można twierdzić napewno, że przy zastosowaniu tak nadzwyczajnych obostrzeń transportowych, eksport, a z nim produkcya znacznie się zmniejszy.

Tutaj powstaje pytanie szerszego znaczenia, mianowicie: w jaki sposób Rząd podzieli państwo na monopolowe rejony? Na 65 gubernii Rosyi Europejskiej, 35 produkuje spirytusu więcej, aniżeli zużywa, przyczem zwyżka rozcłodzi się do tych gubernii, których produkcya jest mniejszą od potrzeb. Jeśliby z każdej gubernii z osobna miała być utworzona jednostka, stanowiąca okręg monopolowy, w sobie zamknięty, tak, jak to uczyniono w guberniach Permskiej, Orenburskiej, Ufmskiej i Samarskiej, to musiałoby nastąpić zniwelowanie przemysłu gorzelnianego w ten sposób, iż gubernie dzisiaj eksportujące musiałyby produkcję zmniejszyć, zaś importujące zwiększyć. Czyby zaś taka niwelacya odpowiadała ekonomicznym interesom kraju, jest bardzo wątpliwem.

IV.

Z punktu społecznego widzenia, znaczenie monopolu wódczanego oceniać należy ze względu na wpływ, jaki wywrze na higienę i etykę narodową. Pod względem higieny, należy rozróżnić skutki, wywierane przez chemiczne związki szkodliwe, powstające przy fabrykacji spirytusu a drogą rektyfikacji nie usunięte, od skutków nadużycia alkoholu; o pierwszych pomówimy osobno, podczas gdy drugie ocenimy wspólnie z objawami etycznymi, o ile takowe do alkoholizmu się odnoszą.

Spirytus nieoczyszczony zawiera różne substancje dla zdrowia pijącego szkodliwe, z których najbardziej trujący charakter mają olejki niedogonowe (Fuseloole). Dr A. Baer ¹⁾, największa w tych sprawach powaga, uważa wódkę, mającą więcej niż 0.3% niedogonów, za zupełnie do picia nieprzydatną. Tymczasem spirytus nierektyfikowany zawiera tych nieczystości nierównie więcej.

Prace przygotowawcze Departamentu dochodów niestałych wykazały dotąd, że w guberniach, w których przed innymi ma być monopol zaprowadzony, ludność pije oczyszczonej wódki niewielką tylko ilość, a mianowicie:

w gubernii Kijowskiej	44%	oczyszczonej, resztę surowej,
„ Podolskiej	41%	„ „ „
„ Wołyńskiej	25%	„ „ „
„ Ekaterynosławskiej	10%	„ „ „
„ Chersońskiej	8%	„ „ „
„ Północno-Zachodnich i		
Królestwa Polskiego	7%	„ „ „
„ Bessarabskiej	2½%	„ „ „
„ Połtawskiej	1%	„ „ „
„ Tauryckiej	tylko nieoczyszczonej!	

Otóż monopol wódczany ten brak w zupełności usunie, gdyż do handlu będzie dopuszczony tylko rektyfikowany spirytus.

Nad tą kwestyą nie będziemy się dłużej zastanawiali i przechodzimy do alkoholizmu i stanowiska, jakie wobec tej strasznej plagi ma zająć monopol.

Pod alkoholizmem rozumie się sumę szkód, tak fizycznych, jak i moralnych, spowodowanych nadużyciem alkoholu. Alkoholizm jest skutkiem; przyczyną jego—pijaństwo.

¹⁾ Der Alcoholismus. Berlin; jedyne wielkie i poważne dzieło w tej materii.

O ile zdefiniowanie pijaństwa jest rzeczą łatwą w teorii, o tyle określenie samego faktu przedstawia wielkie i niespodziewane trudności. Pijaństwo nie jest niczem innym, jak tylko nadużyciem napojów gorących. Tutaj wszakże cyfry żadnej postawić nie można; to, co jeden wypija przy porcyi kawioru, dla zaostrenia apetytu, to drugiego już z nóg powali; a nawet u tego samego osobnika nietylko trudno oznaczyć chwilę, w której się kończy umiarkowane spożycie, ale też sama ilość alkoholu, w różnych spożyta warunkach, raz pozostaje bez wpływu, to znów prowadzi do ciężkich zaburzeń w organizmie.

Jeszcze bardziej komplikuje się sprawa przy obserwowaniu społecznego znaczenia pijaństwa. Przeciętne cyfry spożycia dają tylko słabe pojęcie, czy w tym lub owym narodzie pijaństwo się rozwija lub nie, gdyż ono nie zależy od użycia lecz od nadużycia, i w dwóch państwach, wykazujących też same cyfry przeciętne, mogą panować wprost przeciwne stosunki, jeśli tylko w jednym wszyscy piją równo, zaś w drugim jedni piją mało, a inni za wiele. Ten wypadek właśnie zachodzi w Rossyi, gdzie pijaństwo znacznie jest rozwiniętem, pomimo, iż ogólne spożycie wódki w stosunku do innych państw jest względnie małe. Porównyując spożycie wódki w różnych państwach, widzimy, że ilość bezwodnego spirytusu, wypadająca na jednego mieszkańca, waha się rocznie pomiędzy 7-ma a 1-ym litrem, i że w szeregu państw europejskich Rossyja, przy spożyciu 3 litrów na głowę, zajmuje siódme miejsce ¹⁾. Pomimo to wszakże, pan minister finansów w motywach, wykazujących konieczność zaprowadzenia monopolu wódczanego, wielki położył nacisk na grasujące pijaństwo i na obowiązek państwa przeciwdziałania tej społecznej chorobie.

Ażeby pojąć, jak ważną jest podjęta przez ministerium finansów myśl ograniczenia pijaństwa, dość przytoczyć kilka cyfr, wykazujących stosunek ilościowy nagłych wypadków śmierci, spowodowanych wadami organicznymi, do takichże wypadków, w których stwierdzono zgon z powodu nadużycia gorących napojów:

		Wypadków ogółem	alkoholicznych	w procentach
w roku 1886 w Cesarstwie	. .	17,722	4,655	26%
„ 1887 „	. .	17,280	4,434	25%
„ 1886 w Król. Polskiem	. .	855	95	11%
„ 1887 „ „	. .	833	83	10%

¹⁾ Dania 7, Niemcy 6, Belgia 5, Francya, Szwecya, Austrya 4.2, Rossyja 3, Szwajcarya 2.75, Wielka Brytania, 2.43, Stany Zjednoczone 2.4, Norwegia 1.75, Włochy 0.8 litra.

Niestety, nie możemy przeprowadzić porównania pomiędzy Rosyją a innemi państwami kontynentu, a to z powodu, że statystyka w tym kierunku bardzo niedostatecznie jest prowadzoną, i bardzo się różni w metodzie opracowania, tak, że dane jednego państwa nie dają się porównać ze szczegółami statystycznymi drugiego ¹⁾. W każdym razie cyfry powyższe wskazują, że jednak nadużycie alkoholu musi robić w państwie Rosyjskiem spustoszenia i że należy się cieszyć, iż Rząd przedsiębiorze środki dla zapobieżenia złemu ²⁾.

Pijaństwo albo się gnieździ we własnej izbie pijaka i na ten rodzaj nałogu Rząd bezpośrednio wpłynąć nie może, albo też krzewi się po szynkowniach, jako nałóg publiczny, i tutaj może być w drodze ustawodawczej zwalczane.

Szczęściem ta pierwsza kategoria domowego pijaństwa jest tylko sporadycznym objawem i walkę z niem można śmiało pozostawić dobrej woli szlachetnie myślących ludzi i towarzystw wstrzemięźliwości; za to druga jest niewątpliwie hydrą, której wszystkie lby odrazu należy zaatakować.

Już z samego porównania tych dwóch rodzajów pijaństwa przyjąć można do przekonania, że ten nałóg, jak wogóle nałogi, potrzebuje do rozwoju podniety, którą w naszym wypadku stanowią szynkownie, a właściwiej mówiąc, szynkarze.

Monopol wódczany stawia następujące zasady:

- 1) wódka ma być sprzedawaną w naczyniach opieczętowanych, t. j. w butelkach,
- 2) sprzedaż odbywać się będzie po cenach przez rząd oznaczonych, stałych, bez względu na żadaną przez spożywcę ilość — i
- 3) w przemyśle traktyernicznym może być udzielone pozwolenie sprzedaży na kieliszki po dowolnej cenie.

Te trzy zarządzenia powinny wywrzeć następujące trzy skutki:

- 1) spożywca będzie przeważnie zmuszony wódkę brać z sobą do domu, a nie pić jej na miejscu;
- 2) będzie ją kupował w mniejszych jednostkach aniżeli dotąd;

¹⁾ Dr Baer (der Alcholumus) podaje między innemi następujące cyfry: w Anglii zmarło w latach 1847—74 z powodu pijaństwa ogółem 22,723 osób; w Petersburgu w latach 1861—5 leczono w szpitalach 3,241 alkoholistów; we Francyi, Saksonii, Szwecyi i ks. Badeńskiem na 28,199 samobójstw przypało 3,562 t. j. 13% na alkoholistów (str. 283—317).

²⁾ W. Birinkowicz (Wiestnik Jewropy, kwiecień 1894) podaje spożycie w miastach stołecznych na 8 1/2 litra na mieszkańca rocznie, co w zestawieniu z przeciętnem spożyciem w kraju 3 litrów, świadczyło-by na pewnym rozroście pijaństwa w wielkich miastach.

3) ilość szynków się zmniejszy, na co tem bardziej liczyć można, że Rząd, podjąwszy walkę z pijaństwem, niewątpliwie jak najmniej pozwoleń na kieliszkową sprzedaż będzie udzielał.

Trzeba być wielkim pesymistą, aby nie przyznać, że, bądź co bądź, te zmiany w systemie sprzedaży wódki dodatni plon wydadzą; zapewne, w drodze ustawodawczej nie można wyczerpać wszystkich środków dla ukrócenia pijaństwa, najważniejszy wszakże t. j. zmniejszenie osobistego zainteresowania szynkarza, znalazł w nich zastosowanie; sprzedawca bowiem będzie pobierał pewne wynagrodzenie od Rządu, niezależnie od ilości sprzedanej wódki.

Ważną też rolę odgrywają w tym względzie stowarzyszenia wstrzemięźliwości. W związku z monopolem wódczanym została w d. 1 stycznia r. b. Najwyżej zatwierdzona ustawa o Stowarzyszeniach opieki nad narodową trzeźwością, mających na celu: nadzór nad wykonywaniem sprzedaży wódki, umoralnienie ludności, urządzenie czytelní i odczytów, wydawnictwo broszur o pijaństwie, zakładanie przytułków dla pijaków i t. p.

Ujemną stroną tych stowarzyszeń jest wszakże ta okoliczność, że ustawa z góry przewiduje osobistości, które z tytułu swego stanowiska mają w ich skład wchodzić, gdy tymczasem Towarzystwo wstrzemięźliwości wówczas tylko może bardzo skutecznie działać, jeśli się składa z ludzi poświęcających się z powołania. Ile tutaj znaczy osobista inicjatywa choćby pojedynczego człowieka, lecz działającego z zapałem, widzimy z takich przykładów, jak np. z działalności sławnego na owe czasy Kapucyna Matthew'a, który w piątym dziesiątku bieżącego stulecia obiegał Irlandyę; wówczas spożycie wódki zmniejszyło się w Irlandyi w ciągu dwóch lat z jedenastu na siedm milionów gallonów, a śledztwa karne za gwałtowne występki spadły z 37 na 22 tysięcy!

Jeśli się mówi o towarzystwach wstrzemięźliwości, to niepodobna pominąć milczeniem t. zw. systemu Göteborgskiego, znanego dość ogólnie z nazwy, ale obcego ogłowi pod względem zasad, na których się opiera.

W r. 1865 została w Göteborgu (Szwecya) wybrana komissya, mająca za zadanie wysledzić i zbadać przyczyny pauperyzmu. Prace jej wykazały, że główną przyczyną nędzy są—szynkarze. Zawięzało się tedy towarzystwo akcyjne, któremu rząd nadał wyłączne prawo posiadania szynków; towarzystwo to z osiągniętych zysków pobiera tylko 5—6%, reszta idzie na cele dobroczynne. Szynkarz ma prawo sprzedawać inne spożywcze artykuły z zyskiem dla siebie, dochód zaś z napojów gorących ma obowiązek oddawać w całości towarzystwu; szynki mają być czysto utrzymywane, przewietrzane i muszą być połączone z jadłodajniami; nie wolno sprzedawać wódki na kredyt.

Główne znaczenie systemu Göteborgskiego polega na tem, że szynkarzom odjęto zupełnie osobisty interes w sprzedaży wódki; i oto w ciągu lat 20-tu w Göteborgu zmniejszyła się liczba alkoholistów o 70%, zaś w Sztokholmie o 66%. System ten szybko się rozpowszechnił na półwyspie Skandynawskim i krzewi się obecnie również i w Finlandyi.

V.

Pozostaje nam jeszcze do powiedzenia kilka słów o znaczeniu państwowem monopolu wódczanego.

Pod tym względem należało-by przedewszystkiem rozważyć, czy skarb na zaprowadzeniu monopolu zyska, czy też straci. Chcąc o tem jakiegolwiek wyrobić sobie pojęcie, trzeba-by dwie cyfry z sobą porównać, a mianowicie: sumę zysków, osiąganą dzisiaj w całym państwie, przez wszystkich pośredników w sprzedaży wódki, z sumą, jaką rząd na utrzymanie monopolu będzie wykladał.

Jednakże to są cyfry dla pojedynczego człowieka z góry nieobliczalne; zdawał z nich sobie wszakże sprawę p. minister finansów tam, gdzie bardzo szczegółowe przeprowadził studia, t. j. w 4-ch wschodnich guberniach. Według obliczeń departamentu dochodów niestałych, czysty zysk roczny z monopolu w tych 4-ch guberniach wyniesie 439,067 rubli, ponieważ zaś spożycie tam wynosi około $\frac{1}{10}$ ogólnej konsumcyi w państwie, przeto należy przypuszczać, że ogółem z monopolu powinno-by wpłynąć do kasy państwa 4 do 5 milionów rubli rocznie. Jednakże ministeryum finansów spodziewa się znaczniejszych dochodów, między innemi i z tego powodu, że dzisiaj szynkarze fałszują wódkę przez rozlewanie jej wodą; przy sprzedaży rządowej ta ilość dolanej wody zostanie faktycznie zastąpiona wódką, co oczywiście wpłynie na zwiększenie konsumcyi. Wogóle zwiększenie konsumcyi wódki w państwie Rossyjskiem nie byłoby wcale jeszcze społecznem nieszczęściem, jeśli zauważymy, że Rossya zajmuje pod względem spożycia wódki 7-me miejsce w rządzie państw europejskich; niechby tylko pito równomierniej. P. minister finansów w okólniku z d. 3 stycznia r. b. zaleca urzędnikom akcyzy, aby na tę nierównomierność szczególnie zwracali uwagę, i jeśliiby nawet, wskutek wprowadzenia monopolu i ich starań, ze zmniejszeniem pijaństwa zmalała i konsumpcya, to za to dobrobyt narodu i jego siła podatkowa się powiększą. Ten pogląd świadczy o dobrem zrozumieniu istoty sił ekonomicznych narodu i przeczy zasadzie, rządzącej do tej chwili w niektórych państwach Europy zachodniej, że jedynym punktem widzenia skarbowości powinien być bezkrytycyzm szruby podatkowej.

Ma wszakże Rząd inne jeszcze cele na oku, jako to: możność zaprowadzenia kontroli w rozpowszechnieniu wódki i tem skuteczniejsze zwalczanie pijanstwa, oraz usunięcie kontrabandy, która dzisiaj jest znaczną.

Niema wątpliwości, że przy monopolu statystyka będzie mogła być bardzo szczegółowo prowadzoną, i że już po latach kilku z otrzymanych dat będzie można wyciągnąć poważne i pouczające wnioski.

Czy zaś kontrabanda się zmniejszy lub wcale zostanie usuniętą, tego nie można przesądzać. Nie widzimy wszakże w ustawie o monopolu takich zarządzeń, które-by pozwalały się spodziewać zupełnego wytępienia kontrabandy.

Również brak w ustawie wszelkich wskazówek co do spirytusu, używanego do celów technicznych, który w niektórych ważniejszych wypadkach dzisiaj wolnym jest od akcyzy. Spodziewać się należy, że p. minister finansów we właściwym czasie w tej mierze wyda stosowne rozporządzenie.

Jeśli pod koniec naszej pracy streścimy w krótkości wszystkie za i przeciw, to dojdziemy do następujących rezultatów:

przeciw monopolowi podnoszą się trzy zarzuty, dotyczące gorzelni, destylarni i handlu spirytusem, zarzuty te jednak są tylko *formalnej* a nie zasadniczej natury i mogą być łatwo usunięte; za monopolem zaś przemawiają:

pobudzenie do życia nowego wielkiego przemysłu rektyfikacyjnego, usunięcie z wódki płynów trujących, wyrwanie ludności z pod demoralizującego wpływu szynkarzów, i powiększenie dochodów państwa bez straty dla całego narodu.

Z porównania tych pro i contra wynika oczywiście konkluzya, że monopol powinien się okazać dla państwa korzystnym i że należy jego zaprowadzenie uważać za krok naprzód w rozwoju państwowym, ekonomicznym i kulturalnym kraju. Przytem nie zapominajmy, że stoimy już jakby przed faktem spełnionym: Ustawa zasadnicza jest, monopol w 4-ch guberniach już funkcjonuje, prace przygotowawcze Oddziału dla monopolu wódczanego przy Departamencie dochodów niestających postępują i wkrótce w całym państwie słowo stanie się ciałem. Pan Minister finansów zamierza wprowadzić monopol przedewszystkiem w guberniach „z żydowskim zaludnieniem” w terminach następujących:

nie później jak 1-go lipca 1896 r. w guberniach Bessarabskiej, Wołyńskiej, Ekaterynosławskiej, Kijowskiej, Podolskiej, Połtawskiej, Tauryckiej, Chersońskiej i Czernihowskiej;

nie później jak *1-go lipca 1897 r.* w guberniach Wileńskiej, Witebskiej, Grodzieńskiej, Kowieńskiej, Mińskiej, Mohylewskiej i Smoleńskiej;

nie później jak *1-go stycznia 1898 r.* w guberniach Królestwa Polskiego.

Terminy te są ostatecznymi i mają być podjęte środki dla możliwego ich przyśpieszenia.

Oczywiście, Ministerium finansów, mające w myśl zasadniczej ustawy prawo jej uzupełniania, będzie wydawało odpowiednie rozporządzenia dla przystosowania głównych punktów do miejscowych warunków, a w szczególności w Królestwie Polskiem będą musiały być drogą indemnizacji uregulowane prawa propinacyjne, prawa, które w Cesarstwie istnieją tylko w niewielu guberniach.

Tak więc jesteśmy w przededniu wielkiej reformy i to reformy, o którą w r. 1886 kusiło się bezskutecznie państwo Niemieckie, a w roku zeszłym Austria, gdzie ostatnie słowo do tej chwili jeszcze nie padło. Bezstronny sąd musi wypaść na jej korzyść i tem się może po części tłómaczy milczenie prasy, która chętniej ima się przedmiotów, dających pole do ostrej krytyki ¹⁾.

W pracy powyższej kierowałem się interesem ogólnopaństwowym, jako punktem wyjścia; stosunków *lokalnych* na tem miejscu nie poruszam.

MARYAN LEWANDOWSKI.

¹⁾ Znalazłem tylko dość stronną pracę W. Biriukowicza w „Wiestniku Jewropy” z kwietnia 1894 r., oraz wcale nie wyczerpujący artykuł w „Ateneum” ze stycznia 1895 r.

Z cyklu „ITALIA.”

W Kartuzyi.

Gdy stąd odejdę, pójdą za mną cienie
Tych arkad białych, i tych kolumn rzędy,
I szept tych oliw pójdzie za mną wszędy,
I tych cyprysów czarność i milczenie.

Gdy stąd odejdę, poruszy się drzenie
W błękitnej ciszy, co przewiewa tędy,
I rozechwieją się róż bladych grzędy,
I na mych ustach czuć będę ich tchnienie.

Bowiem się struna uwiązała drżąca
Od harfy murów tych do mojej duszy,
Struna, co smętność ma i blask miesiąca.

A kiedy anioł, co harfę tę trąca,
Dotknie się struny i jęk w niej poruszy,
Pieśń się w mej duszy odezwie łkająca.

MARYA KONOPNICKA.

KRONIKA GALICYJSKA.

W pierwszych miesiącach roku uwaga publiczności naszej zwraca się ku ogólnym sprawom gospodarstwa krajowego, raz ze względu na odbywającą się obecnie w tej porze sessyę sejmową, a następnie ze względu na przypadające wnet potem doroczne zebranie towarzystwa kredytowego ziemskiego i obu krajowych towarzystw rolniczych. Sejm galicyjski odbywał w tym roku ostatnią sessyę przed nowymi wyborami i ta okoliczność dała niejednokrotny powód do poglądów na ubiegłe sześćciolecie i omawiania zmian zaszłych w ciągu tego okresu. Zmiany te, o ile dotyczą zakresu spraw przekazanych sejmowi do załatwiania, znajdują w znacznej części wyraz cyfrowy w budżecie krajowym. Budżet krajowy nie obejmuje, jak wiadomo, wszystkich przychodów i wydatków publicznych, z kraju czerpanych i na potrzeby jego obracanych, albowiem po-za nim pozostaje to wszystko, co państwo z Galicyi bierze i na nią łoży, równie jak nie są nim objęte przychody i wydatki powiatów i gmin. Jednakże pewne gałęzie administracji publicznej utrzymywane są wyłącznie, inne przeważnie, kosztem kraju; ich zestawienie daje obraz tego, co prowincya nasza robi sama swoim kosztem własnym, a porównanie z latami przeszłemi wskazuje, o ile ta robota staje się więcej lub mniej intensywną. Nie wdając się w szczegóły, chcę tutaj podać zestawienie głównych rubryk wydatków krajowych, według budżetu świeżo uchwalonego na r. 1895, i porównać je z wydatkami, uchwalonemi przed sześciu laty, t. j. na rok 1890:

	1895:	1890:
Na reprezentację kraju i zarząd samorządny	407,281 złr.	362,320 złr.
Na koszt leczenia ubogich i inne wydatki sanitarne	1,093,346 „	789,892 „
Na szkoły ludowe i pomniejsze wydatki na oświatę	2,103,283 „	1,026,629 „
Na kwaterunek żandarmerji i odsyłanie włościców	228,210 „	114,642 „
Na drogi i lokalne koleje	1,379,397 „	844,584 „
Budowy wodne i melioracye	502,330 „	213,275 „
Na cele rolnictwa i górnictwa	503,753 „	231,148 „
Na podniesienie przemysłu	140,676 „	110,951 „
Na oprocentowanie i umarzanie długów	2,170,697 „	552,536 „
Na różne inne cele	247,837 „	71,314 „
Razem	8,676,810 złr.	4,651,356 złr.

Pozycja najznaczniejsza w r. 1895, obejmująca wydatki na oprocentowanie długów, nie nadaje się do porównania z r. 1890, albowiem w tym ostatnim roku istniał jeszcze osobny budżet funduszów indemnizacyjnych, które zniesione zostały i zastąpione w drodze konwersyi pożyczką krajową, na dłuższy szereg lat rozłożoną. Wspomniana pozycja w budżecie na r. 1895 mieści w sobie właśnie wydatki z powodu konwersyi długu indemnizacyjnego. Nadto należy tu nadmienić, że sejm, korzystając z tego, iż konwersya długu indemnizacyjnego zmniejszyła znacznie ciężar roczny kraju na oprocentowanie długów, rozkładając go na większą ilość lat, zaś subwencya, którą państwo płacić się zobowiązało na umorzenie długu indemnizacyjnego, wpływać będzie do skarbu krajowego jeszcze po r. 1897 w sumie rocznej 1,488,935 złr., że zatem budżet krajowy przez kilka lat będzie miał znaczne nadwyżki, przeznaczył owe nadwyżki na spłatę dawniejszych długów krajowych, tak, aby w końcu r. 1897 spłacone zostały wszystkie pożyczki krajowe, z wyjątkiem pożyczki na spłatę długu indemnizacyjnego zaciągniętej, a wynoszącej 29,425,000 złr. W budżecie na r. 1895 nadwyżka dochodów, na spłatę dawniejszych długów przeznaczona, a nie objęta podanem zestawieniem, wynosi 2,418,280 złr., oprócz sumy przeznaczonej według tego zestawienia na stopniową spłatę i oprocentowanie długów. Stan finansów krajowych, który pozwala spłacać znaczne sumy długów a równocześnie pozwolił zniżyć na ten rok dodatki do podatków, pobierane na potrzeby krajowe, z 65 centów na 61 centów od każdego złr. podatków rządowych, zatem o 4 centy, nie jest złym; czy jednak utrzyma się on takim i nadal, mianowicie po r. 1897, kiedy ustaną

wspomniane subwencye rządowe, zależeć będzie od ostrożności sejmu w uchwalaniu wydatków na te cele, co do których wysokość wydatków zawisła od woli sejmu, a po części także zależeć będzie od wzrostu przychodów.

Z pomiędzy wydatków, objętych poprzedniem zestawieniem, najwyższą kwotę stanowi wydatek na szkoły ludowe wraz z pomniejszemi wydatkami na cele oświaty. Wzrósł on w ciągu ostatniego sześćciolecia o milion złr., t. j. o drugie tyle, ile wynosił w r. 1890, a spowodowany został podwyższeniem płac nauczycielskich, w r. 1892 dokonaniem, tworzeniem nowych szkół i wzrostem liczby klas w szkołach istniejących. Obejmuje ten wydatek to tylko, co kraj, t. j. fundusz krajowy, daje na szkoły ludowe, nie obejmuje zaś tego, co dają powiaty i gminy, wraz z obszarami dworskimi, a co wynosi więcej niż 2 miliony złr. rocznie, ani też nie obejmuje wydatków państwa, które utrzymuje wszystkie seminaria nauczycielskie. Uchwalona w r. 1894 ustawa o funduszach szkolnych, która zrównała prestacye szkolne gmin z prestacyami obszarów dworskich, podnosząc te ostatnie w dwójnasób, a zniżając pierwsze, zwiększyła także wydatki funduszu krajowego na utrzymanie nauczycieli i na budynki szkolne, zaś uchwalona na ostatnim sejmie ustawa o szkołach wydziałowych i szkołach ludowych z rozszerzoną nauką rolnictwa również podniesie dość znacznie wydatki szkolne. Jeszcze bardziej wpłynie w tym kierunku ustawa o dalszem podwyższeniu płac nauczycielskich, którą się sejm zajmie na przyszłej sessyi.

Drugim pod względem wysokości kwoty wydatkiem jest wydatek 1,379,397 złr. na komunikacye. Dotychczas budżet krajowy mieścił w tym zakresie tylko wydatki na drogi krajowe oraz na subwencye dla dróg powiatowych i gminnych. W roku zeszłym rozwinął kraj akcyę, celem popierania budowy kolei lokalnych, która to akcyja, w myśl ustawy krajowej z 17 lipca 1893 r., może się uwydatniać albo przez udzielanie oprocentowanych pożyczek przedsiębiorstwom kolejowym, albo przez objęcie na kraj akcyi przedsiębiorstwa kolejowego, albo wreszcie przez budowę kolei we własnym zarządzie. Podstawą dla tej akcyi ze strony kraju uchwała sejmu z r. 1894, która przeznaczyla na cele kolei lokalnych kwotę 300,000 złr. rocznie przez lat 75 i postanowiła, że do funduszu kolejowego, jaki powstanie z tej rocznej dotacyi, mają wpływać wszelkie zwroty pożyczek kolejowych i wogóle wszelkie przychody z papierów kolejowych, przez kraj nabytych, tak w kapitale, jak w odsetkach. Owa roczna dotacya, na tak długi czas zapewniona, czyni możebnem uzyskanie w drodze operacyi kredytowej znaczniejszych kapitałów, które przy pomocy tej dotacyi mogą być oprocentowane i stopniowo wnoszone. Droga, którą sejm w tej sprawie obrał, przedstawia tę korzyść, że z góry zakreśla granicę finan-

sową dla akcji w sprawach kolejowych i sprawia, że ma się do czynienia ze stałym określonym wydatkiem. Rzecz to ze stanowiska budżetowego nader pożądana.

Wydział krajowy, dla załatwiania czynności technicznych i finansowych w sprawach kolejowych, utworzył osobne biuro kolejowe, a nadto w myśl ustawy z 17 lipca 1893 r. złożył radę kolejową, jako ciało doradcze fachowe dla spraw kolei lokalnych. Na ostatniej sessyi sejmowej przedstawił wydział krajowy ośm projektów kolei lokalnych do uchwalenia, zapewniwszy naprzód dla pięciu z nich poparcie finansowe od rządu. Projekta te, z których dwa podejmuje rząd a sześć konsorcya prywatne, uzyskały zatwierdzenie sejmu. Niestety jednak, według najnowszych wiadomości, jeden z tych projektów, i to używający wielkich sympatyj w szerokich kołach, projekt kolei lokalnej z Chabówki na Nowy Targ do Zakopanego, ma być zakwestyonowany w wykonaniu, a to z powodu, że rząd żąda dlań toru normalnego, podczas gdy koncesyonariusze chcą, ze względu na kosztą bardzo znaczne toru normalnego, w tych warunkach wykonać tę kolej jako wąskotorową. Nie wchodząc w bliższe szczegóły co do sposobu przeprowadzenia akcji kolejowej ze strony kraju, co mogło-by być przedmiotem zajmującej monografię ekonomiczną i finansową, wystarczy tutaj zaznaczyć, że w pierwszym okresie tej akcji, który obejmuje wspomnianych ośm linii, kraj przyjął gwarancję oprocentowania po 4% i umorzenia części kapitału dla czterech linii, wynoszącej razem 5,460,000 złr., zobowiązał się nabyć akcje pierwszeństwa jednej linii w sumie 465,000 złr., przyjąć gwarancję oprocentowania i umorzenia dwóch trzecich części linii Jaworowo-Piła w kwocie dotąd stanowczo nie oznaczonej, a wreszcie dostarczyć subwencji aż do wysokości 1,250,000 złr. dla dwóch znacznych linii przez rząd budowanych.

Kosztą leczenia ubogich chorych, które kraj ponosi od r. 1875, podczas gdy dawniej połowę tego wydatku zwracały gminy, tudzież inne wydatki sanitarne, zajmują w budżecie krajowym trzecie miejsce pod względem wysokości wydatków. Wzrost tej rubryki w ciągu lat sześciu o 303,454 złr. ma przyczynę swoją głównie w wydatku na budowę klinik, które mają służyć potrzebom powstającego na uniwersytecie lwowskim wydziału medycznego, a następnie we wzroście liczby ubogich chorych, pielęgnowanych w szpitalach publicznych, i w rozszerzeniu tych szpitali.

Znaczniejsze kwoty przedstawiają jeszcze wydatki na budowy wodne i melioracje, na rolnictwo i górnictwo, a wreszcie na przemysł. Wydatki na budowy wodne, melioracje, wynoszą pół miliona złr. i tyleż wynoszą też wydatki na cele rolnicze i górnicze, z czego na samo górnictwo przypada 13,410 złr. Główną część wydatków na budowy

wodne stanowią datki z funduszu krajowego na regulację rzek niespławnych i większych potoków, które, jakkolwiek stosunkowo dość znaczne i jakkolwiek łączą się z takimiż datkami państwa i miejscowych interesantów, są dopiero początkiem o wiele znacznie większych wydatków, które dla uporządkowania wód płynących w Galicyi ponieść wypadnie. W wydatkach na cele rolnicze zajmują pierwsze miejsce szkoły rolnicze i subwencye na podniesienie chowu bydła. Wydatki na podniesienie przemysłu składają się z wydatku na 41 szkół przemysłowych uzupełniających, na 29 warsztatów instrukcyjnych dla specjalnych gałęzi przemysłu drobnego, na subwencye dla 5 zakładów do nauki robót kobiecych, na subwencye dla czterech szkół przemysłowych rządowych, a wreszcie z wydatków ogólnej ustawy, jak utrzymanie biura krajowej komisji przemysłowej, subwencye dla muzeów przemysłowych we Lwowie i Krakowie i t. p.

Zastanawiając się nad głównymi działami wydatków krajowych, uznać trzeba, że one z biegiem czasu wzrastać muszą, po części wskutek przepisów, ustaw i naturalnego toku administracji, jak to przede wszystkim ma miejsce przy wydatkach szkolnych, po części wskutek wzrastających potrzeb publicznych, zwłaszcza na polu ekonomicznym, w kraju, który dawniejsza administracja austriacka zupełnie była zaniedbała pod tym względem. Występujące wśród społeczeństwa potrzeby rozwoju ekonomicznego domagają się pomocy i zaspokojenia przede wszystkim od skarbu krajowego, gdyż w kraju, w którym jest pewna ilość wielkich fortun, lecz ogół jest bardzo niezamożny, inicjatywa prywatna na polu ekonomicznym jest słaba, a zrażoną jest ona przytem dawniejszymi niepowodzeniami i rozlicznymi formalnościami i ciężarami fiskalnymi. Trzeba zatem łamać lody i torować drogę rozwoju za pomocą ofiar ze skarbu krajowego. Wobec regularnego, że tak powiem, naturalnego, wzrostu wydatków i owych coraz natężej występujących potrzeb publicznych, rzeczowo nieraz najbardziej uzasadnionych, potrzeba wielkiej przezorności i pewnej wstrzeźliwości wobec żądań nawet bardzo sympatycznych. Trzeba z jednej strony pamiętać o tem, że, jak słusznie powiedział raz Dunajewski, chcąc mieć większe dla skarbu publicznego przychody, trzeba czynić większe wydatki wkładowe, wspierając rozwój gospodarstwa społecznego; z drugiej strony jednak należy też pamiętać, że możność czynienia tych wydatków ma swoje granice i że nadwężenie równowagi budżetu krajowego, przywróconej nie bez trudów i ofiar za pomocą konwersyi długu indemnizacyjnego i czasowego podwyższenia dodatków do podatków, utrudniłoby ponoszenie wydatków na cele najbardziej nawet produkcyjne na przyszłość, a przede wszystkim utrudniłoby zaciąganie pożyczek na te cele. Tem bardziej o tem należy pamiętać

tać, że przychodom skarbu krajowego grożą zmiany, w kierunku prze-
ważnie niepomysłnym. Przychody regularne skarbu krajowego skła-
dają się obecnie z przychodów, jakich dostarczają różne gałęzie zarzą-
du krajowego (w r. 1895 szkoły rolnicze i folwarki szkolne około
156,000 złr., myta na drogach krajowych 228,750 złr., zwroty pożyczek
106,132 złr., zwroty kwaterunku żandarmeryi i utrzymanie wólczegów
blisko 100,000 złr., inne pomniejsze razem około 140,000 złr.), a nastę-
pnie z przychodów podatkowych. Te ostatnie przed kilku laty składały
się wyłącznie z dodatków do rządowych podatków, które to dodatki
sejm ma prawo uchwalać z zastrzeżeniem zatwierdzenia cesarskiego
dla dodatków przenoszących 10%. Obecnie przybyło źródło nowe,
a tem są krajowe opłaty konsumcyjne od wina, piwa i spirytusowych
napojów, z których przypuszczalny czysty dochód wyniesie w r. 1895
844,735 złr. Otóż obu tym źródłom podatkowym grozi uszczuplenie
wskutek projektów podatkowych rządu, które i z tego względu, i ze
względu na ich doniosły wpływ na ogólne stosunki ekonomiczne, w tym
stopniu zajmują powszechną uwagę, że wypada koniecznie powiedzieć
o nich słów parę.

Przedstawiając budżet na r. 1895 w radzie państwa, zapowiedział
p. minister skarbu projekt zaprowadzenia monopolu spirytusowego,
który miał-by polegać na tem, że państwo kupowało-by od producentów
spirytusu cały produkt po oznaczonej cenie, dawało-by go rafinować
we własnych lub prywatnych rafineryach, a następnie sprzedawało-by
go po cenie znacznie wyższej, która-by zatem pokrywała koszta naby-
cia, dzisiejszy podatek (35 złr. od hektolitra czystego spirytusu) i nad-
to jeszcze dawała znaczniejszą nadwyżkę jako zysk z monopolu. Mini-
ster zapewniał, że nie ma zamiaru obciążyć produkcji, której chce
owszem zapewnić stałą cenę i stałego w osobie państwa odbiorcę, że
również nie rad-by zbyt obciążyć konsumcyi, w której interesie
nie wyklucza nawet ustanowienia taks maksymalnych dla drobiazgo-
wej sprzedaży; lecz zamierza zagarnąć dla państwa znaczną część zy-
sków, pobieranych dotąd przez handel pośredni. Galicya ma 560 go-
rzelników w ruchu, jej produkcya roczna wynosi przeszło trzecią część
całej produkcji austriackiej (bez Węgier), a gorzelnictwo galicyjskie
jest nieodzowną podstawą produkcji rolniczej, której ułatwia spienię-
żenie produktów, wypas bydła, zwłaszcza tam, gdzie niema pasz natu-
ralnych, i nawożenie pól. Łatwo zatem pojąć, że rolnicy nasi w wyso-
kim stopniu zaniepokojeni zostali projektem monopolu i że sprawę tę
obszernie rozbieierać zaczęto w łonie towarzystw rolniczych i w pismach
publicznych, tudzież na zwoływanych w tym celu naradach. Jeśli dla
rolnika utrzymującego gorzelnię pożądanym jest stały odbiorca dla
całej produkcji, dający oznaczoną z góry cenę, i z tej strony monopol

przedstawia się dla rolników korzystnie; to bliższe rozpatrzenie dalszych skutków monopolu prowadzi do odmiennego poglądu na tę sprawę. Monopol spowoduje podrożenie spirytusu bardzo znaczne, mówią bowiem, że rząd spirytus nabyty za około 16 złr. sprzedawać będzie po 80 złr. za hektolitr, zapłaciwszy poprzednio 2 złr. za rafinowanie. Nim spirytus dojdzie do drobiazgowej sprzedaży, zaciężą jeszcze na nim zyski handlu pośredniego i szynkarstwa, które nie dadzą się uchylić, tudzież opłaty konsumcyjne, pobierane w kilku krajach, między innymi w Galicyi, i nadto opłaty miejskie. Skutkiem tego cena w drobnej sprzedaży będzie tak wysoką, że musi nastąpić znaczne zmniejszenie się konsumcyi. W dalszym skutku państwo, nie mogąc sprzedać całego zakupionego zapasu w kraju, a nie mając szansy sprzedać go za granicę, gdyż konjunktura na targu światowym nie jest pomyślną, będzie musiało ograniczyć produkcję gorzelni w stosunku do zmniejszonej potrzeby, a stąd wyniknie, jako ostateczna konsekwencja dla rolników, uszczuplenie możności przerabiania swych płodów, mianowicie tych, które, jak ziemniaki, nie znoszą dalszego przewozu, uszczuplenie wypasu bydła i wogóle pożywienia dla inwentarzy, ubytek nawozu i zmniejszenie intensywności uprawy. Chcąc tym skutkom zapobiedz, musiał-by rząd zobowiązać się do utrzymania dzisiejszych rozmiarów produkcji, przynajmniej dla gorzelni rolniczych, co było-by trudnem, albo pozwolić, aby gorzelnie te mogły produkować więcej, niż rząd kupi, i tę nadwyżkę wywozić za granicę, co znów było-by trudnem ze względów kontroli skarbowej i wątpliwem, jako pomoc dla rolnictwa.

Niemniej wielkie trudności przedstawia zaprowadzenie monopolu ze względu na finanse krajowe i gminne, które w opłatach konsumcyjnych od spirytusu mają znaczne a nie dające się łatwo zastąpić źródło dochodów. Przed laty przeszło trzydziestu, państwo, zaprowadzając instytucje samorządne i odstępując im część zadań publicznej administracyi, nie odstąpiło tym instytucyom żadnych dochodów, lecz pozwoliło im nakładać nowe dodatki do podatków rządowych, które bardzo wiele pozostawiają do życzenia pod względem równomiernego obciążenia wszystkich gałęzi dochodów. Było tedy naturalnem dążeniem i krajów, i gmin, zwłaszcza uboższych, aby zamiast obciążać nadmierne ludność dodatkami do podatków bezpośrednich (gruntowego, domowego, zarobkowego i dochodowego), wynaleźć źródło dochodów w opłatach od konsumcyi, które mniej dotkliwie ludność obciążają. Projekt monopolu spirytusowego na rzecz państwa grozi uszczupleniem bardzo znacznem najwydatniejszego przedmiotu opłat konsumcyjnych. Dla wielu miast utrzymanie nadal obecnych opłat jest prosto kwestyą bytu. Musiałoby zatem państwo zagwarantować krajom i gminom dotychczasowe z tego źródła dochody, albo w inny sposób odszko-

dować je, jeśli potrzeby administracyi publicznej, na które dochody z opłat konsumcyjnych są obracane, nie mają pozostać niezaspokojone.

W Galicyi specyalnie myśl monopolu spirytusowego napotyka na jeszcze inną trudność, której niema w innych krajach austriackich, z wyjątkiem Bukowiny, a trudność tę stanowi propinacya. Wiadomo, że kraj w r. 1890 nabył prawo propinacyi, służące aż do r. 1910 właścicielom dóbr tabularnych, bądź wyłącznie, bądź w spółce z gminami, za sumę 62,200,000 złr. w obligacyach czteroprocentowych, które mają być wnoszone najpóźniej w ciągu 26 lat. Rządowa dyrekcyja funduszu propinacyjnego wydzierżawia odtąd wszystkie propinacye w całym kraju, z wyjątkiem miast, którym pozostawiono ich prawo propinacyi, pobiera ustanowione w ustawie propinacyjnej z r. 1875 opłaty od szynków, tudzież od nowych gorzelni i browarów, i obraca te fundusze na oprocentowanie i umorzenie obligacyi propinacyjnych. Wskutek sprężystej administracyi, wydzierżawiania większemi okręgami i wielkiej konkurencyi dzierżawców, przychody funduszu propinacyjnego nie tylko wystarczają na oprocentowanie i umorzenie obligacyi, lecz dają jeszcze nadwyżkę, która posłuży na pokrycie możliwych ubytków w latach przyszłych, mianowicie wydatków na oprocentowanie i umorzenie obligów po roku 1910, a o ile-by w ten sposób nie została wyczerpaną, wpłynie do funduszu krajowego. Otóż zaprowadzenie monopolu spirytusowego podkopało-by główny dochód funduszu propinacyjnego, a przeto podstawę obligacyi propinacyjnych i zniweczyło-by uzasadnioną nadzieję nadwyżki dla funduszu krajowego po umorzeniu wszystkich obligacyi. Czy ta trudność dała-by się pokonać bez straty dla kraju przez przejęcie praw i obowiązków funduszu propinacyjnego przez rząd, wydaje się bardzo wątpliwem.

Wszystkie te trudności w połączeniu ze zmianą ministeryum w Węgrzech, z którymi sprawa ta wspólnie musi być traktowaną, sprawiły, że sprawa monopolu spirytusowego doznała zwłoki i nie rychło wejdzie na porządek dzienny rady państwa, jeśli wogóle nie zostanie całkiem porzuconą. Przynajmniej nie obecnie nie słychać ani o przedłożeniu projektu, ani o fachowej ankiecie, w której, według zapowiedzi ministra, szczegóły projektu miały być roztrząsane.

Drugim, nierównie aktualniejszym, projektem podatkowym, który wywrze bardzo doniosły wpływ na wszystkie stosunki społeczne, a między innemi także na finanse krajowe, jest projekt ustawy o podatkach osobistych, który komissya podatkowa izby deputowanych, po mozolnej pracy blisko trzyletniej, przedstawiła pełnej izbie, a nad którym obecnie odbywają się rozprawy. Projekt ten, w miejsce dwóch podatków źle urządzonych i niesprawiedliwie rozłożonych, a zmienionym stosunkom zupełnie nieodpowiadających, podatku zarobkowego

z r. 1812 i dochodowego z r. 1849, zaprowadza nowy podatek zarobkowy, podatek osobny od towarzystw zarobkowych i zakładów, obowiązanych do składania publicznie rachunków (należą tu spółki akcyjne, kasy oszczędności i t. p.), dalej podatek rentowy (od rent wszelkiego rodzaju, kuponów i t. p.), wreszcie podatek ogólny dochodowy, który ma być uzupełnieniem wszystkich innych podatków, a z którym łączyć się ma dalszy podatek od płac, przenoszących 3,200 złr. Zasadnicze cele tej reformy są: pociągnąć do podatków wszystkie bez wyjątku dochody, zatem i te dochody z kapitałów ruchomych, które dotąd nie były wcale opodatkowane w Austrii; obciążyć w wyższym stopniu większe dochody (podatek dochodowy jest progresywnym, a podatek od płac również), a uzyskane stąd nadwyżki obrócić w największej części na znaczne (aż do 25%) zniżenie podatku zarobkowego aż do 15%, i podatku domowego aż do 12½%. Cele te zasługują stanowczo na uznanie i gorące poparcie, a niemniej uznania godnem jest to, że reforma, zmierzająca do tych celów, popieraną jest przez reprezentantów klas zamożnych, których ciężar podatkowy znacznie się powiększy wskutek tej reformy. Stan rzeczy, który reforma sprowadzi, będzie bez porównania lepszym i sprawiedliwszym od tego, który jest dzisiaj. Dotychczas kapitaliści, pobierający dochody z papierów publicznych, żyjący z obrotów spekulacyjnych lub z wypożyczania kapitałów, wcale nie płacili podatków bezpośrednich. Przypominam sobie, iż podniósł to raz ś. p. Hausner, stawiając siebie samego za przykład i porównyując swoje położenie, gdy był właścicielem majątku ziemskiego, z tem, w jakim się znalazł, gdy zamienił ten majątek na listy zastawne i był wyborcą jedynie na podstawie obywatelstwa honorowego w kilku miastach. Natomiast dochody bardziej uchwytnie są dotąd nadmiernie obciążone, co tłumaczy się w części pochodzeniem ustaw podatkowych z czasu, kiedy kapitał pieniężny nie odgrywał jeszcze wcale tej roli, co dzisiaj. Podatek gruntowy wynosi 22.7% przeciętnego czystego przychodu, domowy 26.6%, a zarobkowy, wymierzany w stale oznaczonych kwotach, ciąży bardzo dotkliwie na niższych warstwach przemysłu i handlu. Na tych podatkach spoczywa największa część dodatków na cele samorządu i różne konkurencyje publiczne, przez co ciężar ich prawie się podwaja.

Godnem uznania jest także, że zamierzona reforma nie pozostawia wymiaru podatku dla poszczególnych opodatkowanych wyłącznie władzy rządowej, lecz tworzy, tak przy podatku zarobkowym, jak i przy dochodowym w pierwszej i w drugiej instancji, komisyje, których połowę stanowią członkowie, wybrani przez opodatkowanych, albo wybrani przez sejm krajowy. W ten sposób zyskują opodatkowani rękojmię należytego uwzględnienia swych interesów i ochronę przeciw do-

wolności i nierówności w traktowaniu. W szczegółach projektowana ustawa potrzebuje niejednej naprawy i niejednej doznała już zmiany na lepsze w toku obrad w pełnej izbie; jednakże w ogólności stanowi ona polepszenie tak znaczne w urządzeniu i rozłożeniu podatków, że należy życzyć sobie bardzo gorąco, aby ta reforma, po tylu dawniejszych chybionych próbach, nareszcie przyszła do skutku.

Na finanse krajów i innych ciał samorządnych oddziała reforma podatkowa w dwojakim kierunku. Najpierw uszczupli ona kwoty podatkowe, służące za podstawę do nakładania dodatków na rzecz samorządu, a następnie zamierza ona uchylić prawo samorządu do nakładania dodatków do podatku dochodowego, a przyznać natomiast krajom pewien udział z rocznej sumy, jaką przyniesie ten podatek. Według przypuszczalnych obliczeń, galicyjski fundusz krajowy straci na tej zmianie w pierwszym roku około 300,000 złr., które w następnych latach mają się wyrównać wyższym przychodem z udziału w podatku dochodowym. Natomiast gminom i powiatom nie daje projekt komisyyi żadnej kompensaty za ubytek w podstawie do nakładania dodatków i tu trzeba będzie obmyślić sposób jakiś, aby postawić te ciała publiczne w możności spełniania przekazanych im zadań publicznej administracyi.

Jak w całej Europie, tak i u nas, rozlegają się wszędzie skargi na niepomysłne położenie gospodarstw rolniczych. Rozpatrując rzecz bliżej, bez uprzedzeń w jednym lub drugim kierunku, należy istotnie uznać, że stan dzisiejszy budzi poważne obawy o najbliższą przyszłość. Od dłuższego szeregu lat rosły i rosną dalej wydatki gospodarstw rolniczych, koszta uprawy, ciężary publiczne rozmaitego rodzaju i ciężary hipoteczne oraz niehypotekowane długi, a równocześnie wzrasta trudność odbytu dla płodów rolniczych i spadają ceny. Wynikający stąd ubytek czystego dochodu daje się uczuwać wszystkim rolnikom, jednak bez żadnej wątpliwości najdotkliwiej trafia on średnich właścicieli i dzierżawców, którzy nie mają tej siły kapitałowej, żeby mogli wytrzymać ciągłą zniżkę czystych przychodów, a nie są zdolne ograniczyć w znaczniejszym stopniu wydatków na utrzymanie rodziny i wychowanie dzieci, ani też zastąpić ubytku w dochodach innym zarobkiem. Wymownem świadectwem położenia średnich właścicieli jest fakt, przytoczony na przedostatniem posiedzeniu sejmu przez prof. T. Pilata, że w ciągu trzech lat, 1891—1893, liczba właścicieli tabularnych (dworskich) z obszarem nad 200—1,000 morgów, zmniejszyła się z 1,611 na 1,560, że zatem w trzech latach ubyło 51 właścicieli w tych kategoriach. Kilku posiadaczy wielkich majątków, między innymi arcybiskup lwowski łacińskiego obrządku, zniżyło dzierżawcom swoim znacznie czynsze dzierżawne, a właśnie w tej chwili dochodzą mnie

wiadomości o niewypłacalności znaczniejszej liczby dzierżawców we wschodniej części kraju.

Przyczyny, które składają się na owo smutne położenie gospodarstw rolniczych, są, jak zawsze, rozmaitej natury. Z jednej strony wpływa tu wspomniana już zniżka czystych przychodów, wywołana spadkiem cen a równoczesnym wzrostem wydatków w gospodarstwach rolniczych, z drugiej strony podniesienie się cen ziemi, a zatem kosztu nabycia warsztatu rolniczego, wywołane w części przystosowaniem się stosunku między przychodem z ziemi a jej ceną do stosunku, jaki obecnie, wobec spadku stopy procentowej, zachodzi między przychodem z innych kapitałów a ich ceną. Specyjalnie w naszym kraju na podniesienie się cen ziemi, a przeto zniżenie przychodu z niej w stosunku do zapłaconego za nią kapitału, wpływały od r. 1890 kapitały, wypłacone za zniesienie propinacyi a szukające lokacyi w ziemi, wobec niskiego procentu z papierów publicznych, nie mniej wielka konkurencya zakładów hipotecznych, które ubiegają się o klientelę nie zniżaniem procentu, ale udzielaniem jak najwyższych pożyczek. Wysokie pożyczki umożliwiają zakupno dóbr osobom mającym bardzo mało własnego kapitału, zwiększają zatem konkurencyę nabywców, a przeto szrubują w górę ceny majątków. Ci, którzy kupili majątki bardzo zadłużone, równie jak ci, którzy zadłużyli się znacznie na spłatę sched spadkowych, wymierzanych podług wartości obrotowej majątku, znajdują się w położeniu niepewnem, gdyż nietylko każdy większy nieurodzaj lub inny wypadek w gospodarstwie, pociągający za sobą ubytek w dochodach lub większy wydatek, może zachwiać ich egzystencyę od razu, lecz ten sam skutek sprowadza dla nich także obecne stopniowe zniżanie się cen płodów rolniczych wobec znacznych zobowiązań, jakie na nich ciążyą, a które są niezmiennie, albo nawet rosną. Podobnie jak w grze giełdowej wielkie zyski małej liczby spekulantów zachęcają tłumy drobnych kapitalistów do ryzykowania swych majątków, które najczęściej stracone zostają, gdyż właściciele ich nie są zdolni wybrać właściwej chwili dla zakupna, ani wyszukać korzystnej chwili sprzedaży, a nie mogą dopłacać do pokrycia w razie zniżki, podobnie dzieje się u nas z majątkami, które stały się niejednokrotnie przedmiotem obrotów spekulacyjnych ze szkodą dla rozwoju gospodarstw rolniczych i z wielką szkodą ogólnospołeczną. Za przykładem pewnej liczby tych, którym udało się majątki, na których wartości właściciele się nie poznali, nabyć taniej, a wkrótce potem z wielkim zyskiem sprzedać, albo też po sprzedaniu lasu lub pewnych folwarków odprzedać, poszło wielu innych, którzy w nadziei podobnego interesu rzucili się z małym kapitałem do kupowania większych dóbr i obecnie nie mogą dać sobie rady. Wkładka, jaką w interes włożyli, okazuje się

za małą, żeby mogli przetrzymać czas dłuższy aż do rozwikłania, a rachuba dalszej zwyczajki cen ziemi i dalszej konkurencyi kupujących zawiodła. Ceny zatrzymały się lub nawet spadają, dzierżawcy ofiarują niższe czynsze, a do podniesienia dochodów trzeba-by dalszych wkładów, na które nie stać. Niestety w podobnie trudnem, chociaż nie tak rozpaczliwem położeniu znajdują się liczni właściciele średnich majątków, którzy nie wdawali się w kupna spekulacyjne, lecz, przejąwszy wraz z majątkiem znaczniejsze ciężary, wobec złych zbiorów w ostatnich dwóch lub nawet trzech latach i lichych cen, nie mogą przywrócić równowagi w budżetach swoich, mimo największej osobistej oszczędności.

Jako jeden ze środków zaradczych, obok usiłowań podniesienia przychodów z bydła i z mleka, oraz z różnych gałęzi przemysłu rolniczego, przedstawia się omawiana tyle razy, a dziś znowu na porządku dziennym stojąca, parcelacya częściowa większych majątków. W kraju naszym mniej jest ona pożądaną w części zachodniej, gdzie majątki tabularne (dworskie) są niezbyt wielkie, przeważnie 200 do 500 morgów austr. obejmujące, i gdzie utrzymanie tej własności, w naszych stosunkach zasługującej na nazwę średniej a nie wielkiej, jest potrzebnem ze względów postępu gospodarczego i względów ogólnospołecznych. Natomiast w środkowej i wschodniej części kraju, gdzie przeważają folwarki wielkie, nieraz zbyt rozległe, aby z jednego centrum gospodarczego mogły być należycie zagospodarowane, odprzedanie bardziej oddalonych lub po-za obrębem zaokrąglonego kompleksu położonych części pozwoliło-by właścicielowi spłacić część długów, zyskać potrzebny kapitał obrotowy, a nawet przysporzyło-by robotnika. Ażeby jednak parcelacya taka tam, gdzie jest pożądaną, mogła być z dobrym skutkiem przeprowadzoną, potrzebnem jest koniecznie pośrednictwo uczciwe, nie wyzyskujące ani jednej, ani drugiej strony, które-by podjęło się sprowadzić zetknięcie między sprzedawcami a nabywcami i ułatwiło pokonanie trudności prawnych i finansowych. Pośrednictwo takie jest tem potrzebniejsze, że największy popyt na grunta do nabycia w małych kawałkach objawia się w zachodniej części kraju, gdzie ludność jest najgęstsza, umysłowo więcej rozwinięta i zapobiegliwa, podczas gdy, jak wspomniałem już, w interesie gospodarczo-społecznym leżało-by, żeby parcelowano w środkowej i wschodniej części kraju. Inna rzecz, czy w kraju tak rozległym nie było-by bardziej wskazanem, żeby przeprowadzeniem parcelacyi zajęły się bezpośrednio instytucye lub spółki lokalne, operujące w jednym lub dwóch powiatach ze znajomością szczegółową miejscowych stosunków i ludzi, w którym-to razie pomoc większych zakładów finansowych, mianowicie banku krajowego, ograniczała-by się do dostarczenia środków pienię-

żnych na dokonanie interesu przygotowanego na miejscu. Sprawa parcelacji poruszoną została na ostatnim sejmie, przy sposobności sprawozdania o banku krajowym, i sejm polecił bankowi krajowemu ponownie zająć się tą sprawą i rozpatrzyć, w jaki sposób mógł-by on ułatwiać parcelację. Prowadzi mię to do omówienia pokrótce jeszcze stosunków własności włościańskiej w Galicyi.

Własność włościańska z natury rzeczy nierównie mniej jest dotkniętą ogólnem przesileniem rolniczym. Bardzo przeważna część włościan galicyjskich mało zboża dostarcza na sprzedaż, lecz obraca je na własną potrzebę, na opędzenie zaś wydatków w gotówce, sprzedaje przychówek w bydło i pomniejsze produkta swego gospodarstwa, a następnie przeznaczają na to dochód z zarobku własnego i członków rodziny. Za to innego rodzaju niepomyślne objawy zniewalają do poważnego zastanowienia się nad położeniem własności włościańskiej. Ludność ta szybko wzrasta w liczbę, gdyż wcześniej się żeni i liczne ma potomstwo, a jako środek utrzymania, pominąwszy część udającą się za zarobkiem do miast, zna jedynie pracę około roli, tu i owdzie tylko dopomagając sobie przemysłem domowym, jako ubocznym zarobkiem. Dzielią się tedy coraz dalej gruntami i w znacznej części doszli do tak znacznego rozdrobnienia, że na swej posiadłości nie mogą prowadzić porządnego gospodarstwa rolnego, utrzymać potrzebnego inwentarza i wyżywić rodziny. Zarobek w gospodarstwach dworskich, pominąwszy te, które mają bardziej przemysłowy charakter, ogranicza się do pewnych pór w roku, a inny zarobek trafia się tylko w pobliżu większych miast, w pobliżu tartaków i kopalni nafty. Przykupno gruntów jest utrudnione, gdyż ceny parceli są bardzo wysokie i nie stoją w żadnym stosunku do istotnego przychodu, a dzierżawy parceli, gdzie się trafiają, są wogółności bardzo drogie. To też część ludności oddawna zwykła zapuszczać się za wyższym zarobkiem w dalekie strony, wychodząc dawniej do Królestwa, dawniej i teraz jeszcze do Besarabii i do Mołdawii. W nowszych czasach znaczniejsze rozmiary przybrało wychodztwo czasowe z Galicyi zachodniej i środkowej do Stanów Zjednoczonych, skąd, dzięki wysokim zarobkom tamtejszym, wracali po paru latach z zapasem gotówki, albo przysyłali ją rodzinie, obracając ją przedewszystkiem na zakupno gruntów we wsi rodzinnej. Wychodztwo za zarobkiem do Stanów Zjednoczonych, dzisiaj, wobec mniej pomyślnych warunków i trudności stawianych przez rząd tamtejszy, niemal ustało, utrzymuje się natomiast wychodztwo za zarobkiem przez południowo-wschodnią granicę, tudzież wychodzenie do robót w kopalniach i przy uprawie buraków cukrowych do Szląska pruskiego i austriackiego, oraz do Morawii.

Nadmiar ludności rolniczej szuka pomieszczenia: w kraju może jej pomieszczenia dostarczyć rozwój przemysłu, lecz to w najlepszym razie rzecz nieco dalszej przyszłości, gdyż rozwój przemysłu wymaga czasu; następnie może dostarczyć pomieszczenia wspomniana już poprzednio parcelacya pewnej części większej własności, a to już w bliższym czasie może być dokonaniem; a wreszcie podniesienie uprawy na dzisiejszej własności włościańskiej, która bardzo wiele pod tym względem pozostawia do życzenia, może znacznie dopomóc do wyżywienia ludności większej niż dotąd. We wszystkich tych kierunkach należy równocześnie pracować energicznie i usilnie, gdyż stosunki rzeczywiste wykazują na każdym niemal kroku potrzebę pilną obmyślenia środków zarobku i utrzymania dla ludności, która w pewnych okolicach kraju decyduje się na sprzedaż drobnych gospodarstw, niewystarczających na utrzymanie, i na wychodztwo za morze. Od blisko dwóch miesięcy w powiatach środkowych naokoło Lwowa utrzymuje się gorączka emigracyjna. Włościanie, mający gospodarstwa chałupnicze a nawet większe, sprzedają grunta i dobytek po niskich cenach i wybierają się do Brazylii. Bezpośrednim powodem tego wychodztwa jest wiadomość, rozsyłana przez agentów, iż włoskie towarzystwo żeglugi zobowiązało się wobec rządu brazylijskiego przewieźć na jego koszt znacznie większą ilość kolonistów rolników i przewozi wychodźców darmo z Genui aż do portów brazylijskich. Do tej wiadomości, istotnie prawdziwej, dodają agenci, którym chodzi o zwerbowanie licznych emigrantów, że rząd brazylijski rozdaje emigrantom bezpłatnie grunta wraz z inwentarzem i przyznaje różne dalsze korzyści, a wiadomości te, podawane z ust do ust, ubierane bywają w coraz to dalsze, coraz bardziej fantastyczne dodatki. Opowiadają tedy sobie, że jeden z członków rodziny cesarskiej austriackiej zakupił w Brazylii cały kawał kraju i założy tam osobne państwo i t. p. Łatwo pojąć, jakie wrażenie wiadomości tego rodzaju wywarły na ludność nieoświeconą, łatwowierną, a walczącą z trudnością utrzymania się na zbyt rozdrobionych gruntach. Władze rządowe, mając wiadomości z Brazylii zupełnie odmienne, wstrzymywały wychodźców, a zwłaszcza zawracały z drogi tych, którzy nie mieli środków dostatecznych na odbycie podróży. To jednak nie pomagało, owszem, u niektórych potęgowało jeszcze chęć emigracyi. Ci mianowicie, którzy, sprzedawszy swoje gospodarstwa, żyli z otrzymanego za nie grosza; nie widzieli już innej rady dla siebie, jak dokonać powziętego zamiaru. Widząc to, grono ludzi dobrej woli zawiązało komitet towarzystwa św. Rafała (pod tem wezwaniem istnieje w Wiedniu towarzystwo opieki nad emigrantami) i postanowiło wpływać przez mężów zaufania po powiatach na powstrzymanie się ludności od emigracyi, póki od tych, którzy już wyje-

chali, nie nadejdą pewne wiadomości o tem, jak im się powodzi, a następnie uprosiło Wydział krajowy o fundusz na wysłanie na razie do Udina i Genui dra Siemiradzkiego, docenta uniwersytetu, który już poprzednio zwiedzał Amerykę południową w celach naukowych, aby zasięgnął bliższych wiadomości o warunkach emigracyi i o traktowaniu emigrantów przez agentów i przedsiębiorstwo przewozowe. Dr Siemiradzki doniósł, że rząd brazylijski nie daje żadnych gruntów, że emigrantów na jego koszt przewiezionych przeznacza do dozorowania i obrabiania plantacyi kawy w okolicach o klimacie najgorętszym, stanowczo nieodpowiednym dla emigrantów z Galicyi, tym zaś, którzy na własny koszt przyjechali, pozwala osiedlać się, gdzie chcą, lecz obecnie zakazał osiedlać się w prowincjach południowych o chłodniejszym klimacie, z powodu zaburzeń, jakie tam panują. Wiadomości te, przesłane ludności za pośrednictwem mężów zaufania, a jeszcze bardziej listy, nadchodzące od wychodźców, którzy dostali się na miejsce, i przez tych, którzy dla braku dalszych środków pozostali w Udine, wpłyną zapewne na uspokojenie się chęci wychodźstwa. Jest ona wszakże symptomem bardzo ważnym, wskazującym potrzebę pilnego zajęcia się stosunkami drobnej własności, i wogóle ludności włościańskiej, i pomnożenia dla niej sposobów utrzymania, przez podniesienie uprawy ziemi i rozwój ubocznych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, przez kolonizację wewnętrzną i przez rozwój zajęć przemysłowych. Usiłowania w tym ostatnim kierunku, od lat kilkunastu w naszym kraju podejmowane, należy podwoić, a zarazem ułatwić odbytu wyrobom, które jakością swoją zasługują na to, czego próbę złożyły na niedawnej wystawie krajowej.

Do podniesienia uprawy gruntów włościańskich przyczyni się niewątpliwie ustawa o kommasacyi gruntów, której projekt wniesiony będzie przez rząd na przyszłym sejmie. Przeprowadzenie tej ustawy nastreczy zrazu mnóstwo trudności, lecz skoro tylko kommasacya w kilku gminach będzie przeprowadzoną, przykład osiągniętych korzyści podziela tak samo, jak i w innych krajach, na coraz łatwiejsze przeprowadzenie kommasacyi w całym kraju. Dość spojrzeć na mapę którejkolwiek gminy, by uznać, że ta nader doniosła reforma jest niezbędnie u nas potrzebną.

Znajdujemy się obecnie w oczekiwaniu wiosny, której zbliżanie się widoczne i z każdym dniem widoczniejsze. Po dwóch latach nieurodzaju prawie powszechnego, a ostatnim roku średnim, dla wielu okolic mniej niż średnim, wyglądają nasi rolnicy z upragnieniem pomyślniejszych urodzajów, które-by dopomogły do przywrócenia równowagi w zachwianych stosunkach. Daj Boże!

U.

Sprawa chińsko-japońska.¹⁾

III.

Przyszłość należy do tych, którzy [najmniej] mają potrzeb; wiadomo zaś, że nas zadowolnić nie łatwo. Niema obawy, by Chiny stały się kiedykolwiek mocarstwem militarnem; w takim razie przestały-by być Chinami. Ale Stany Zjednoczone już uznały, że ich robotnicy nie mogą współzawodniczyć z chińskimi. Wszystko wróży, że rasa żółta odegra wielką rolę w historii XX stulecia. Jeżeli kiedykolwiek synowie Hana zaczną napływać do nas i staną się niewygodnymi, nie będziemy mieli prawa skarżyć się. Bo na te skargi który z potomków Konfucjusza odpowiedział-by nam: „Wyszukałeś pszczoły, nie gniewaj się, że cię kłują.“

Powyższe ocenienie możliwego w przyszłym stuleciu oddziaływania Chińczyków na stosunki Europy wyrzekł przed dziesięciu laty jeden z dalej patrzących i głębiej rzeczy biorących publicystów francuskich, chociaż swe spostrzeżenia i sądy podaje w lekkiej a dowcipnej formie. Dziś mógł-by te przypuszczenia ponowić, ale w bardziej stanowczy sposób. Przybyło bowiem nie mało dowodów, czy poszlak, popierających je. Jakkolwiek przed dziesięciu laty Japonia, jak to wykazaliśmy wyżej, już nieodwołalnie wstąpiła na drogę reform i przyswojenia sobie zachodnio-europejskiej cywilizacji, nie przypuszczano jednak, by z tej reformy mogła tak prędko i tak obficie zbierać owoce.

¹⁾ Patrz zeszyt marcowy „Bibl. Warsz.“

Owszem, podziwiając jej śmiałość i rzutność, dowodzona nawet, że drogo zapłacić może za tę rewolucję, dokonaną z góry, a tak przeciwną wiekowej tradycyi, obyczajom i zwyczajom owego ludu. Ów publicysta liczył się tylko z europejskim wpływem, który się Chinom, jako nauczyciel i przewodnik narzucił, sądząc, że znajdzie poparcie u kilku oświecenijszych i wpływ posiadających mandarynów, pojmujących, że ich kraj musi się wyrzec swego zakamieniałego konserwatyizmu, inaczej bowiem zmarnieje. Cytowaliśmy w pierwszym artykule rozmowy, jakie książdz Huc przed czterdziestu laty prowadził z mandarynami wewnętrznych prowincyi. W 1880 r. na czele tego jasno widzącego kierunku stał, dziś jeszcze wielki wpływ posiadający, Li-Hung-Czang, wice-król prowincyi Peczili, najważniejszej w państwie, bo broniącej przystępu do Pekinu, wielkiej przytem, jak potężne europejskie państwo, bo mającej 300,000 kilometrów przestrzeni i 19.5 milionów ludności, co daje 65 głów na kilometr.

Mówiąc jednak o poglądach czy stronnictwach politycznych lub o opinii publicznej w Chinach, nie należy tych rzeczy mierzyć europejską miarą. Kraj to zbyt ogromny, ludność zbyt wielka i zbyt różnorodna, środki porozumiewania się zbyt ograniczone, by jakieś skupienie jednorodnych sił nastąpić mogło. Sam ów ogrom zdaje się skazywać Chiny na wiekuisty konserwatywny zastój, zakłócany tylko od czasu do czasu prowincjonalnemi buntami, stałemi intrygami dworskimi i wynikającemi z nich niekiedy pałacowemi rewolucjami. Bunt-y jednak zostają zduszone przez siły, ściągane z innych prowincyi, intrygi zaś i rewolucye pałacowe nie są wcale wymierzone przeciw systemowi rządowemu, lecz tylko przeciw osobom czy to panującego, czy też jego najbliższych i najbardziej wpływowych doradców.

O ile jednak ze współczesnych nam dzieł o Chinach wywnioskować można, dwie namiętności polityczne są wspólne wszystkim Chińczykom: pierwszą z nich jest nienawiść do Tatarów Manczu, którzy kraj ich przed dwoma wiekami podbili i dotąd trzymają, drugą nienawiść do cudzoziemców. Pierwsza jest wrodzona i naturalna, druga sztuczna i zaszczerpiona przez owych nienawidzonych, ale przez dynastję i zcentralizowanie rządu władzę posiadających, Tatarów. „Tatarowie Mandżu, pisze książdz Huc, widząc swą szczupłą liczbę pośród tego kolosalnego państwa, musieli się chwytać wszelkich środków, by swój zabór utrzymać. Obawiając się, że cudzoziemcy zapragną tej zdobyczy, którą-by tak łatwo wydrzeć im mogli, pozamykali ściśle wszystkie porty chińskie, sądząc, że to ich ochroni od zamachów z zewnątrz. Wewnątrz starali się i starają utrzymać swych wrogów w rozdwojeniu przez system częstego i ciągłego zmieniania urzędników. Te dwa środki do tej pory udawały się wybornie. Istotnie fakt to dziwny, że garść

koczujących plemion mogła przez dwa wieki trzymać w swej władzy nieograniczonej największe w świecie państwo i setki milionów ludności, która, pomimo wszystkiego, co o niej piszą, jest niezmiernie wrażliwą i ruchliwą. Potrzeba było polityki bardzo zręcznej, subtelnej, a zarazem pięściowo silnej, by podobne skutki osiągnąć. Wszystko jednak każe przypuszczać, że te same środki, które się przyczyniły najczęściej do utrzymania samowładztwa Tatarów, staną się powodem ich zguby.“

Ta nienawiść chińskiego żywiołu, czyli chińskiej narodowości, do rządzącego tatarskiego pierwiastku występuje za łada sposobnością w formie nawet krwawych rozruchów. Huc opisuje bardzo charakterystycznie awanturę, zaszłą w jednym z większych miast prowincyi wewnętrznych, której sam był świadkiem. Na wścigach wioślarskich Tatarzy odnieśli zwycięstwo i zdobyli nadgrode, którą był wieprz tuczony. Z tego wieprza wyprawili sobie hałaśliwy bankiet na miejscu. Chińczycy, rozdrażnieni przegraną, niespodzianie napadli na bankietujących. Ci cofnęli się do swojej dzielnicy. Wywiązała się bijatyka, w której kilkudziesięciu ludzi śmierć poniosło, która trwała dwa dni i którą z trudem przytłumiły, cywilna chińska i wojskowa tatarska, władze miejscowe.

Na tej samej narodowościowej podstawie opierało się wielkie powstanie Taepingów, które o mało co nie położyło końca dzisiejszej tatarskiej dynastyi, a o którym mówimy nieco dalej. Tatarowie już przed czterdziestu laty czuli, że im się ziemia z pod nóg usuwa, że przynajmniej trząść się zaczyna, przyznawali to nawet, nie tracąc wszakże nadziei. Według nich, machina rządowa wprowadzie trzeszczy, koła jej skrzypią, ale jest tak doskonała, tak mądrze obmyślana, że jeszcze parę wieków wytrzyma, jakkolwiek przydał-by się zdolny mechanik, który-by ją lepiej nastawił i oliwy napuścił.

O takich mechanikach wszędzie trudno. Zdawało się, że Li-Hung-Czang będzie nim, ale i tego złamały zastość pekińskich ministrów, intrygi dworskie i centralizacya administracyjna, do głupoty przesadna. Ksiądz Huc opowiada, że w każdym mieście, będącem stolicą nowej po jego drodze prowincyi, musiał się dłużej zatrzymywać, bo gubernator był obowiązany składać raport cesarzowi o jego przyjeździe i prosić o decyzję. Prawdopodobnie cesarz nie widział raportu o takiej fraszce, rzecz załatwiał minister; ale powinien był widzieć. To dostatecznie charakteryzuje administracyę chińską. „Cesarz jest ojcem kraju, odpowiadają urzędnicy, więc o każdej, nawet najdrobniejszej rzeczy, wiedzieć powinien.”

„Różnica pomiędzy jedną prowincyą chińską a drugą jej sąsiednią, pisze Huc, jest może większą, aniżeli pomiędzy rozmaitemi króle-

stwami Europy. To pogorsza niezmiernie fatalne następstwa centralizacyi. Interesa moralne i materyalne ludności cierpią niezmiernie. Władza gubernatorów jest wielka, łączy bowiem prawie nieograniczoną władzę administracyjną z sądową. Gubernatorów tych zmieniają często, bądź dla osobistych, bądź dla politycznych powodów. Toż samo się dzieje z innymi wyższymi urzędnikami. Nowo przybywający nie zna wcale spraw, potrzeb, położenia prowincyi, której zarząd mu powierzono, często nawet nie zna jej języka, czy gwary (idiome—pisze Huc p. 396 t. I). Jakże sobie radę daje? Oto na miejscu znajduje pewną liczbę tłumaczy i niższych urzędników, zwykle wytrawnych łapowników i łotrów, ale znających dokładnie miejscowość i jej sprawy, temi więc ludźmi nowy gubernator posługuje się, u tych szuka rady. Naprawdę więc nie ten wysoki dygnitarz rządu, ale owe małe pionki, które w europejskim języku nazywają się naczelnikami kancelaryi, referentami, sekretarzami. Zdarza się to zresztą bardzo często i w Europie.

Rzeczywiści Chińczycy z pewną dumą przytaczają, że do zaboru tatarskiego kraj ich nie znał nienawiści do cudzoziemców, że ich owszem przyjmował gościnnie, kiedy dziś, jak powiada Hunter, tych fankwei (barbarzyńców zachodnich) przyjmują jak psów, pilnują jak złodziei i wypędzają jak włóczęgów. Dziś jest na pozór nieco inaczej. Z biedy musiał rząd przyjąć pewną liczbę inżynierów i oficerów europejskich, tak w wojsku lądowym, jak w marynarce. Pobudowali mu fortece, których chińscy generałowie obronić nie umieli. Urządzili arsenały i warsztaty, na których teraz chińscy administratorowie okradają rząd. W ostatnich czasach wszystkie dzienniki powtórzyły następną anegdotę. Jakiś przedsiębiorca europejski w Tiencinie potrzebował gliny i o jej dostawę ułożył się z Chińczykiem. Ten przysłał mu kilka wozów pocisków, używanych przez dzisiejsze wielkie wałowe lub okrętowe działa. Europejczyk odmawiał przyjęcia, bo mu o glinę chodziło. Chińczyk na to odpowiedział, że te pociski są wykonane z najlepszej gliny i odpowiednio pomalowane. Wykonanemi zaś zostały z powodu niedawnej rewizyi w arsenale, by zająć miejsce rzeczywistych pocisków, umieszczonych w księgach, ale nie kupionych. Po zrachowaniu ilości pocisków i poświadczeniu przez rewizorów, że gliniane są i zawadzają w twierdzy, oficer magazynowy oddał za samą wywózkę tę glinę.

Może też z powodu małej wiary w uczciwość urzędników chińskich, bardzo ważna gałąź dochodów skarbowych, mianowicie komory celne morskie, zarządzane są przez Anglików. Inspektorem generalnym jest Sir R. Hart, rezydujący w Pekinie wraz z całym swym biurem, także z Anglików złożonem, a dyrektorami komór w dwudziestu pięciu

najważniejszych z powodu swego handlu portach są także Anglicy i Niemcy. Jest to jednak cnota z potrzeby. Ludność tych urzędników nienawidzi, a rząd, gdyby mógł, usunął-by ich natychmiast.

Dawniejszemi czasy, za dynastyi chińskich, przyjmowano cudzoziemców ze szczerą życzliwością. Sami też Chińczycy podróżowali nie mało. Znanym jest opis podróżnika chińskiego z VII wieku naszej ery po Indjach. Klaproth posługiwał się geografami chińskimi, by objaśnić stosunki Azji w średnich wiekach. Huc podaje wyjątki z podróży po Chinach Araba Ibn Veheba w IX wieku naszej ery, opisy i przyjęcia tegoż podróżnika u dworu i obrazy Chin prawie takie same, jakie w XIII stuleciu kreślił Wenecyanin, Marco Polo, chociaż wówczas Chiny były podbite przez Tatarów Mongołów.

Według księdza Huca, pierwsi misyjonarze chrześcijańscy już w V i VI wieku naszej ery pojawili się w Chinach. Przybyli oni do królestwa Katay, bo tak wówczas w Europie Chiny nazywano, z Konstantynopola. Opierając się na pomniku, znalezionym w Si-ngan-fu, ówczesnej stolicy Chin, twierdzi, że religia chrześcijańska nie tylko była tam wyznawana, ale nawet musiała być potężną. Pomnik ten był znany już w końcu XVIII wieku. Wolter pisał o nim, przedstawiając go, jako podrobiony.

Nie wchodząc w ową polemikę wolterowską, zaznaczyć tylko można, iż pomnik ten jest niezmiernie ciekawy. Mówi on o licznych kościołach, wzniesionych pobożnością cesarzy, „o wysokich tytułach, nadanych księdzu „Olopen”, który prawdopodobnie pochodził z Syrii, a którego dokument nazywa „Najwyższy stróż królestwa wielkiego prawa.” Zdaje się, że około 712 roku bonzowie miejscowi wywołali prześladowanie przeciw temu kościołowi, które jednak przytłumionem zostało, bo w 744 r. przybył z królestwa Ta-tsin (cesarstwo rzymskie) książdz dla pozdrowienia cesarza, ten zaś rozkazał księdzu Lohan i sześciu innym, w obecności posłańca Ta-tsinu, odprawić ofiarę chrześcijańską w pałacu Him-kim. „Wówczas cesarz polecił na kościele zawiesić tablicę z napisem, przez niego samego skreślonym. Ta najjaśniejsza tablica świeciła żywym blaskiem, a z tego powodu cała ziemia ma wielką cześć dla religii. Wszystkie sprawy były doskonale zarządzane, a szczęśliwość, z religii wynikająca, stała się pożyteczną dla rodu ludzkiego. Co rok cesarz Tai-Tsung, w dzień urodzin Jezusa Chrystusa, dawał kościołowi niebiańskie wonności; tłumowi chrześcijańskiemu rozdawał cesarski urząd mięso, by dzień ten sławniejszym robić. Książdz I-su, wielki dobrodziej religii, a zarazem wielki dygnitarz dworu, pomocnik wice-króla So-fanu i pałacu inspektor, jest człowiekiem obyczajów łagodnych i umysłu skłonnego dla wszystkiego dobra...” i t. d.

Ciekawy ten dokument, świadczący o tak nieograniczonej tolerancji ówczesnych Chin, jaką Europa nigdy i nigdzie poszczycić się nie mogła, wspomina jeszcze o wielkim Kuo-tze-y, najsławniejszym za dynastyi Tang, tak w pokoju, jak w wojnie. Kilkakrotnie przywracał on na tron cesarzy, strąconych przez cudzoziemców lub buntowników. Żył lat 84 i umarł w r. 781, właśnie gdy ów pomnik został spisany. Imię to jest jeszcze dotąd popularnem w Chinach. Postać ta często występuje w dramatach, a w zgromadzeniach mandarynów imię jego wymawiane jest z poszanowaniem i podziwem. Sądząc z pomnika, zdaje się, że był chrześcianinem. Kroniki chińskie także o nim piszą i donoszą, że po jego śmierci cały kraj nosił żałobę przez lat trzy, jakby po ojcu rodzonym. Wiadomość o tym pomniku w Sin-ngan-fu podaaliśmy obszerniej, jako charakterystyczną dla Chin z VIII wieku naszej ery.

Zdaje się więc, że w VIII wieku religia chrześcijańska wysoko stała w Chinach, kiedy ją wyznawały osobistości takie, jak Kuo-tze-y. Zdaje się z drugiej strony, że kościół, wprowadzany przez księdza Olopen, musiał staczać ciężkie walki nietylko z miejscowymi bonzami, ale i z Nestoryanami, którzy w tym czasie posiadali wpływ wielki w krajach Wyższej-Azyi. Tymoteusz, patriarcha Nestoryanów, na początku IX wieku rozesłał mnóstwo swych zakonników dla opowiadania ewangelii Tatarom Hiung-Nu, koczującym na wschód Kaspijskiego morza. Stamtąd Nestoryanie dotarli później do Chin środkowych. Przez trzy wieki chrystyanizm musiał tam przechodzić rozmaite koleje. Krucjaty oraz najazdy Tatarów na Europę zrobiły jednak swoje przez zmieszanie ludów i zetknięcie wschodu z zachodem, jak wszystkie wielkie wstrząśnienia. W XIII, a nawet w XIV wieku jeszcze się spotyka jego ślady i to dość wybitne w tych krajach. Za czasów Dżingishana i jego następców wysyłano misyonarzy. W 1246 r. Innocenty IV wysłał z misją za morze Kaspijskie zakonnika Plano Carpini. Znanym jest opis jego wędrowki Wołgą, następnie wzdłuż północnego brzegu morza Kaspijskiego, północnymi granicami hanatów środkowo-azyatyckich do kraju Mongołów. Tą samą drogą szedł mnich Rubruk, wysłany z misją do Tatarów zachodnich przez Ś. Ludwika, króla Francyi. W Kara-Korum, stolicy tego państwa, Rubruk znalazł kościół chrześcijański, obsługiwany przez zakonników armeńskich. Opowiada też, że spotykał tam mnóstwo Nestoryanów i Greków katolików, swobodnie swą religię wyznających i jej obrządku jawnie odprawiających. Na początku XIV wieku Papież Klemens V ustanowił w Pekinie arcy-biskupstwo katolickie, prekonizując na arcy-biskupa misyonarza francuskiego, Jana de Montcorvin, który te obowiązki przez czterdzieści dwa lata z powodzeniem sprawował. W XV wieku

stosunki były tak utrudnione, iż stracono prawie z oka ów Katay (Chiny), o którym Marco Polo tyle ciekawych rzeczy opowiadał, i owe Zipangri (Japonię). Przystawano nawet wierzyć w istnienie tych państw, uważając opowiadania Wenecyanina za fantastyczne kłamstwo.

W XVI jednak wieku znowu nawiązali stosunki najśmielsi i najwięksi w owym czasie żeglarze, Portugalczycy, którzy, opłynawszy Afrykę (Vasco de Gama), usadowili się zaraz w Indyach wschodnich. W 1517 r. wice-król Goy wysłał na wschód siedm okrętów pod dowództwem Fernanda Andrada, który zawarł traktat handlowy z wice-królem Kantonu. Nieco później Portugalczycy oddali Chinom ważną usługę, wzięwszy do niewoli sławnego rozbójnika morskiego, z którym sobie Chińczycy rady dać nie mogli. Za tę usługę cesarz pozwolił im osiedlić się na skalistym półwyspie, należącym do jego państwa. Tak powstało miasto Makao, które przez trzy wieki prawie było jedynym składowym punktem handlu między Europą a Chinami. Dziś Makao opustoszało, zabite przez angielską kolonię Hong-Kong. Z Makao wyrusшали wszyscy owi misjonarze, nawracający Japonię i Chiny, jak Ś-ty Franciszek Ksawery, apostoł Japonii. Do Chin on jednak nie dosięgnął, w drodze bowiem umarł na malej wysepce San-Cian.

Pierwszym i najznakomitszym owego czasu misyonarzem Chin był ojciec Maciej Ricci, jezuita, który przybył tam w końcu XVI wieku. Nie znalazł on ani śladu, ani nawet wspomnienia o dawnych misyach, o których mówiliśmy wyżej. Praca jego była wielka, trudy niezmierne, wytrwałość niesłychana, poświęcenie bez granic, obok wielkiego rozumu, a ten go uczył z najdrobniejszej nawet okoliczności wyciągać korzyści na rzecz sprawy, której służył. Te dwadzieścia kilka lat jego apostołstwa w Chinach, to tyleż spokojnego, najcięższe próby znoszącego, na chwilę nie zachwianego bohaterstwa, tak zmuszonego walczyć z przeróżnem prześladowaniem, nietylko ze strony Chińczyków, że, jak powiada jego biograf, „największe nawet męczeństwo było-by mu jeszcze oszczędziło wiele cierpień.” Po dwudziestu latach pracy najcięższej i cierpliwości niewzruszonej, Ojciec Ricci doczekał się tylko najboleśniejszych zarzutów lub czczych poklasków. Gdy jednak doszedł do tego, że u dworu był dobrze przyjmowanym, nawrócenia zaczęły się mnożyć i w rozmaitych punktach Chin wzniosły się znowu chrześcijańskie kościoły. To było jego jedyną pociechą, gdy umierał w r. 1610, mając lat pięćdziesiąt ośm, i zostawiał misję, dobrze zorganizowaną, jego duchem przejętą, jego poglądy co do sposobów postępowania z Chińczykami podzielającą.

Najznakomitszymi członkami tej misyi byli po nim Adam Schals i Verbiest, ten ostatni sprowadził do Pekinu Francuzów. Ci

zjawili się jednak bardzo późno, bo dopiero w 1687 roku, ale za to wystąpili z efektem. We Francyi wówczas z rozkazu króla zajmowano się reformą geografii. Rozesłano członków akademii nauk na rozmaite punkta w trzech częściach świata dla robienia obserwacji, ale nie wiadano, kogo posłać do Indyi wschodnich i do Chin. Ministrowie, Colbert najprzód, następnie Louvois, postanowili wysłać tam jezuitów. Wybrano sześciu, którzy w d. 3 marca 1685 r. wsiedli na okręt w Brest, a 24 lipca 1687 r. zawinęli do portu chińskiego Ningpo, skąd udali się do Pekinu. Tam, przez swą naukę i znajomość astronomii oraz przez swe zachowanie się, tak bardzo zyskali łaskę cesarza, że nie tylko dał im dom w mieście „Zółtem“ w bliskości swego pałacu, by ich miał pod bokiem, ale nawet wkrótce pozwolił im wybudować obok domu kościół, na który dał znaczny zasilek i sam ułożył nadpis chiński do umieszczenia na froncie. Cesarz ten, Kang-hi, otwarcie protegował chrześcijaństwo. Za nim szedł dwór cały. Nawracania mnożyły się nie tylko w stolicy, ale w całym kraju, bo nawróceniu Chińczycy nie potrzebowali się bać ani niełaski, ani prześladowania mandarynów. Powodzenie było zbyt wielkie i zawróciło niektórym głowy. Niefortunne dysputy misjonarzy o nabożeństwach na cześć Konfucjusza i przodków ochłodziły bardzo życzliwość cesarza Khang-hi, a nawet wielokrotnie wywołały jego gniew. Po jego śmierci nastąpiła reakcja, którą jego następcę, Jung-Czing, popierał. Już w 1722 r. O. Goubil, najuczeńszy z jezuickich misjonarzy w Chinach, pisał, że źle się dzieje i że gorszego zwrotu należy się obawiać. W istocie w dwa lata później wszyscy misjonarze, z wyjątkiem przebywających w Pekinie, zostali z Chin wypędzeni, a ich kościoły zburzone. Jest to dziejowo sprawa bardzo ciekawa, z powodu niektórych jej przyczyn, ale należy więcej do historii kościoła.

Za cesarza Kien-long rzeczy się znowu poprawiły i to nadość długie lata; ale za jego następcy, noszącego nazwę Kia-King, nastąpiło tak srogie prześladowanie, że śladu nawet chrześcijaństwa, zwłaszcza w miastach, nie zostało. Wlara nawróconych nie była zbyt silną, by prześladowanie mandarynów wytrzymać. Ksiądz Huc pisze, że w niektórych prowincjach zwiedzał miasta, które niegdyś miały po kilka kościołów, a w których teraz niema ani jednego chrześcijanina. „Po wsiach rodziny ubogie wytrwały lepiej, bo mandaryni nie napotykali u nich nic, co-by ich chciwość kusiło.“ Dziś robota misjonarzy na nowo się prowadzi, ale w innych, daleko cięższych, warunkach. Niema już misjonarzy przy dworze, otoczonych protekcją cesarza i wielkiego dygnitarstwa, występujących z ceremoniałem mandarynów, jako przedstawiciele władzy, uznanej przez państwo. Wprawdzie stolica apostolska ośmnaście prowincyi chińskich zamieniła na tyleż wi-

karyatów apostolskich, w których księża missyi zagranicznych, jezuici, dominikanie, franciszkanie, lazaryści, bez przerwy pracują. Każdy wikaryat posiada pewną liczbę szkół dla chłopców i dla dziewcząt, są też i seminaria, w których się kształcą na księży klerycy krajowcy, zaprowadzają się bractwa i zakłady dobroczynne, o ile są środki po temu. Ale misyjonarze działać muszą bardzo ostrożnie, kryć się nawet. Słowem, religia chrześcijańska, jeżeli nie jest otwarcie prześladowaną, a i to się zdarza, jest w Chinach religią na pół zakazaną. Otwartego prześladowania niema wprawdzie, ale tylko z obawy interwencji europejskiej, kłopotów z ambasadorami, przez wzgląd wreszcie na licznych cudzoziemców kupców, przedsiębiorców, urzędników i rodzin, przebywających stale w dwudziestu dwóch portach, otwartych dla europejskiego handlu, a nawet w niektórych miastach wewnętrznych.

Czy powodem tej niechęci dla chrześcijaństwa jest rząd, czy naród? I rząd jest tu winien, i naród, ale przyczyny tej niechęci nie należy szukać w jakimś fanatyzmie, w jakichś religijnych uczuciach, lub nawet w przekonaniach. Ksiądz Huc, który w tych sprawach mógł być surowszym od świeckich podróżników, zwłaszcza, napotykać tu i owdzie po drodze ślady świeżych prześladowań, pisze jednak: „Nie można powiedzieć, by rząd chiński z swej natury był prześladowczym i nie przystępnym dla tolerancji. Pod względem religijnym jest on najzupełniej obojętnym. Jakkolwiek urzędnikom publicznym nakazuje pewne „urzędowe“ wyznaniowe obrządki i zewnętrzne formy, w gruncie rzeczy jest najzupełniej sceptycznym i zostawia ludowi wszelką swobodę trzymania się idei religijnych, jakie sobie wybierze, albo jakie mu się więcej spodoba. Od czasu do czasu nawet wzywa naród, by w żadną religię nie wierzył. Cesarz Tao-Kuang przed wstąpieniem na tron ogłosił proklamację do ludu, w której rozbiera wszystkie religie, znane w kraju, a pomiędzy temi i chrześcijańską. Rozbiór ten kończy cesarz wnioskiem, że wszystkie te religie są fałszywe i że należy wszystkimi razem i każdą z osobna pogardzać. Tak więc Chińczyk, wedle swego widzi mi się i fantazyi, może być wyznawcą Buddy, Konfucjusza, Lao-tze, albo Mahometa, a trybunały mandaryńskie nie przyrządną się do niego. Trybunały te ścigają tylko i prześladują pewne sekty, będące tajnymi organizacyami, mającemi na celu zwalenie dynastji panującej. Na nieszczęście chrystyanizm jest dziś do takich sekt zaliczony. Trudno nawet będzie nawrócić się do przekonania zdrowszych i sprawiedliwszych. Ponieważ chrystyanizm krzewią Europejczycy, rząd widzi w tem sposób zyskiwania stronników, za pomocą których łatwiej przyjdzie rozbicie państwa...”

Chińczycy wogóle, od cesarza zaczynając do ostatniego mandaryna, a może nawet do ostatniego kulisa, są ludźmi bardzo pozytywny-

mi, obliczającymi zyski i straty, ale tylko materyalne, nie pojmują więc poświęcenia i ducha ofiary. Nie mogąc więc z tego powodu zrozumieć ani ewangelii, ani jej misjonarzy, zwłaszcza katolickich, pomiędzy którymi tylu było męczenników,—przypisują tym ostatnim cele polityczne. Wypowiedział to już w 1724 r. cesarz Jung-Czing, który chrystyanizm z państwa swego wypędził, pozwalając jednak pozostać przy dworze jezuitom, jako ludziom uczonym. Ojciec de Mailla w liście, datowanym z Pekinu, podaje mowę tego cesarza do trzech najpoważniejszych jezuitów przydwornych, którzy podali petycję o cofnięcie prześladowczego dekretu. Mowa to bardzo charakterystyczna. Spotykamy w niej wskazówki polityki, którą w tej sprawie do ostatnich czasów kierowała się dynastia Manczu i cała kasta mandarynów. „Mówicie, rzekł między innemi ów cesarz, że wasze prawo nie jest fałszywym prawem. Wierzę temu. Gdybym sądził, że jest fałszywym, któż-by mi przeszkodził zburzyć wasze kościoły i was wypędzić? Fałszywemi prawami są te, które, pod pozorem prowadzenia do cnoty, tchną duchem buntu, jak to robi prawo Pan-lien-kao (sekte białego Nenufaru). Cóż-byście jednak powiedzieli, gdybym do waszego kraju wysłał gromadę bonzów i lamów, by tam nauczali swojego prawa? Jakżebyście ich przyjęli? Li-ma-teu (takim jest chińskie nazwisko ojca Ricci), przybył do Chin w pierwszym roku Uan-ly (przedostatni cesarz z dynastji Ming). Nie tknę się tego, co wówczas Chińczycy zrobili, to nie mój obowiązek. Ale wówczas byliście bardzo nie liczni, nie nie znaczący, nie mieliście waszych ludzi, ani waszych kościołów po wszystkich prowincjach. Dopiero za panowania mego ojca zaczęto wszędzie wznosić kościoły, a wasze prawo rozszerzyło się szybko. Widzieliśmy to, ale nie śmieliśmy nic mówić. Jeżeli jednak umieliście oszukać ojca mego, mnie nie oszukacie. Chcecie, by wszyscy Chińczycy zostali chrześcianami. Wasze prawo tego wymaga, wiem o tem. Czemże w takim razie my będziemy? Czy poddanymi waszych królów?..“

Ta cytata wystarczyć musi, bo orędzie cesarskie jest długie. Wykazuje ono i wczesne obawy dworu chińskiego, i powody prześladowania chrześcian. Ton też owego orędzia jest ciekawy. Ludwik XIV i wielu znacznie późniejszych monarchów europejskich nie przemawiali-by inaczej, wypędzając hugonotów, czy prześladowując protestantów i innych inowierców. Ojciec de Mailla dodaje, że cesarz widocznie tej mowy, która trwała kwadrans, na pamięć się nauczył, bo ją wypowiedział szybko i bez zająknienia. Mogła być ona napisaną przez którego z ministrów.

Wogóle jednak książdz Huc bardzo źle trzyma o Chińczykach pod względem religijnym. Dziś nie mandaryni stoją im na zawadzie w przyjmowaniu chrystyanizmu, ale ich ogólna religijna obojętność.

W Makao, w Manilli, w Hong-Kong, w Singapur, w Pinang, w Batawii, żyją ich tysiące, żaden z nich nie myśli wracać do kraju, bo wszędzie skupiają w swych rękach interesa rolnictwa, handlu, przemysłu, a żaden z nich nie przyjmuje chrztu. Jeżeli zaś który to i robi dla interesu, by, np. jak w Manilli, ożenić się z Tagalką, chrześcianką, robi to bez wstrętu wprawdzie, ale i bez przekonania.

„Obojętność—pisze książd Huc—w rzeczach religijnych, ale obojętność radykalna, głęboka, jakiej niepodobna sobie wyobrazić, nie dotknąwszy się jej na miejscu, oto zawada główna, wstrzymująca od tak dawna Chiny od nawrócenia. Chińczyk jest tak zanurzony w sprawach i interesach doczesnych, w rzeczach, pod zmysły podpadających, że całe jego życie jest tylko materjalizmem w czynie. Zysk pieniężny jest jedynym celem, ku któremu myśl jego jest nieustannie zwrócona. Paląca pożądlliwość zysków, wielkich czy małych, cały jego umysł ogarnia i energię podnieca. Z zapalem goni on tylko za bogactwem i zmysłową rozkoszą. Rzeczy natury duchowej, zostające w związku z duszą, z Bogiem, z życiem przyszlęm, są mu obojętne, bo nie wierzy w nic, nie zajmuje się niemi, zajmować nie chce. Jeżeli czyta książki moralne, albo religijne, to dla rozrywki i zabicia czasu. Taka książka, to dla Chińczyka zajęcie, mniej poważne od fajki tytoniu, albo filiżanki herbaty. Jeżeli mu się wyklada zasady wiary, podstawy chrystyanizmu, ważność zbawienia, pewność przyszlęgo żywota i t. p. przedmioty, tak silnie oddziaływające na duszę, jako tako religijną, słucha zwykle wykładu z przyjemnością, bo go to bawi i ciekawość jego podnieca. Na wszystko się zgadza, wszystkiemu przytakuje, żadnych zarzutów nie stawia. Jego zdaniem, wszystko to jest prawdziwe, wielkie, piękne, wspaniałe, owszem, sam się zamienia w kaznodzieję, przemawia wybornie przeciw bałwanom i za chrystyanizmem. Płacze nad zaślepieniem ludzi, przywiązanych do znikomych dóbr tego świata; gotów wypalić pyszne dowodzenie o szczęściu poznania prawdziwego Boga, służenia jemu, by przez to na życie wieczne zarobić. Słuchając go, można uwierzyć, że już jest blizkim chrześciaństwa, a on tymczasem nie posunął się ani krok naprzód. Nie sądzicie nawet, by jego słowom brakowało pewnej szczerości; co mówi, w to wierzy; a przynajmniej to, co mówi, nie sprzeciwia się wcale jego przekonaniom, których podstawą jest nie branie na seryo kwestyi religijnych. Mówi o nich chętnie, ale jak o rzeczach, nie stworzonych dla niego. Chińczycy tak daleko posuwają obojętność religijną, nerw religijny tak zupełnie w nich zamarł, tak zsechl, że nic to ich nie obchodzi, czy ta lub owa religia jest złą lub dobrą. Według nich, religia jest po prostu modą, za którą można iść, gdy się ma ochotę...”

Takie zdanie o religijności, albo raczej o bezreligijności Chińczyków, wypowiada ksiądz Huc, którego o niechęć dla sądzonego narodu podejrzewać nie można, który dwanaście lat pomiędzy Chińczykami przeżył, ich język, prawa, obyczaje, znał dokładnie. A jednak w Chinach wszędzie się spotyka pagody, przepełnione potwornemi posągami przeróżnych bóstw, cesarz od czasu do czasu nowe jakieś bóstwa zaprowadza, inne degraduje i z tego Olimpu wypędza. Przy łożu chorych, czy konających, rozmaitemi hałaśliwemi środkami odpędza się złe duchy. Pogrzebom towarzyszą ceremonie, świadczące o wierze w życie zagrobowe. Wszędzie się spotyka jakieś zwyczaje, wywołane przesądami jakiegoś prastarego politeizmu. Czyżby dominikanie w swej sławnej kłótni z jezuitami, w końcu XVII wieku, mieli słuszość, utrzymując, że szkolnicy chińscy (zdający mandaryńskie egzamina), są bałwochwalcami, a zarazem ateuszami? Sorbona paryska w 1700 roku posłała za dominikanami, potępia wszelkie pochwały, oddawane Chińczykom, jako gorszące, bezbożne i heretyckie. Za tem zdaniem poszedł także ksiądz Maillard de Fournon, wysłany jako legat do Pekinu przez Klemensa XI. Pomimo tego, jezuiti nie wahali się twierdzić: „Że lud chiński dwa tysiące lat zachował pojęcie jedynego Boga, że składał ofiary stworzycielowi świata w najstarszej ze świątyń ziemi, że trzymał się nauki najczystszej moralności już wówczas, gdy Europa cała była jeszcze pogrążoną w ciemnościach błędu i zepsucia.“

Dziś, gruntowniej znając rzeczy, może-by należało powiedzieć, że obie strony miały słuszość: jezuiti, badając księgi i prawa twórców i patryarchów trzech religii, wyznawanych urzędownie w Chinach, Buddy, Lao-tse i Konfucjusza; dominikanie zaś, patrząc na ludowe praktyki w pagodach, na bonzów i lamów, przemawiających w imieniu owych patryarchów, ale powtarzając tylko słowa, nie wnikając w ducha ich ksiąg, strzegących zyskowej formy dochodnego symbolizmu, już dla nich nie zrozumiałego, a nie myślących o istocie nauki, w owych księgach zawartej.

W XVIII wieku rzecz gmatwali jeszcze bardziej Wolter i prze różni jego miary filozofowie. Dzięki im, Chiny były w modzie, chociaż-by na przekór istniejącym w Europie porządkom, które podkopywano. Wolter z uniesieniem mówił o społeczeństwie, w którym wojny religijne były nieznane, które było ojczyzną i kolebką prawdziwego deizmu, ten zaś deizm obsypywał je bezmiernemi błogosławieństwami. Syn nieba, pan dziesięciu tysięcy armii, człowiek jedyny i wnuk smoka, zamieszkujący komnatę różaną, w pałacu purpurowym, którego tron jest boskim sprzętem, zdaniem Woltera i jego naśladowców, był monarchą najrozumniejszym na ziemi, najroztropniejszym, najbardziej filozoficznym. Bo czcił rolnictwo i swych niezliczonych poddanych

uczył tej czi, orząc własnymi rękami kawałek gruntu i rozdając nagrody za cnotę.

Nie wchodząc w fantazyje Woltera, przyznać można, że się nie-
mi przyczynił nie mało do rozbudzenia europejskiej ciekawości. Gdy
jednak w wieku bieżącym, wskutek wypadków, zaszłych w przeciągu
ostatnich lat pięćdziesięciu, wskutek wielkiego rozwinięcia stosunków
handlowych z Chinami, wskutek emigracyi chińskiej do Stanów-Zje-
dnoczonych i Australii, od kilku lat zabronionej prawami tych krajów,
zapoznano się lepiej z tem kolosalnem państwem, społeczeństwem
i narodem, ilość zagadek, jakie ono przedstawia, nietylko się nie
zmniejszyła, ale pomnożyła, a przynajmniej zagadki te bardzo się po-
głębiły. Jakim sposobem np. Chińczycy, uważani niegdyś za deistów,
a jednocześnie za bałwochwalców i ateistów, mogą być jednocześnie
i ludźmi, obchodzącymi się bez wszelkiej wiary, nie mającymi żadnych
teologicznych dogmatów, a przynajmniej szydzącymi z nich, a zarazem
być jednocześnie bez miary przesądnymi. Jak objaśnić tę tak jaskra-
wą sprzeczność? Jak wytłómaczyć, że ta cywilizacya, bądź co bądź,
wielka, chociaż dziś upadająca—jakim sposobem to państwo i społec-
zeństwo mogły się utrzymać, rozwijać materialnie, zwycięsko wycho-
dzić z tysiąca strasznych wstrząśnień, rewolucyi, najazdów, wojen do-
mowych, znosić panowanie i trwające po kilkaset lat rządy Tatarów
Mongolów, jak Kublay-han i jego następcy, a dziś Tatarów Man-
dżurów od 1644 r., trwa przez cztery tysiące lat przeszło?! Bo od tak
dawna Chiny swoje istnienie państwowe i narodowe nie tylko wywo-
dzą, ale i wywieść mogą. Cztery tysiące, a nawet cztery tysiące pięć-
set lat, bo początek swej organizacyi państwowej kronikarze chińscy
datują od cesarza Hoang-li, który panować miał na 2600 lat przed na-
szą erą, jakże to miesza nasze europejskie pojęcia o trwałości. Według
chronologii greckiej, ledwo trzy tysiące lat oddziela nas od zburzenia
Troj, w której Pryamowych fundamentach Schliemann znalazł szczątki
jedenastu miast, zatem prawie tyluż cywilizacyi, budowanych jedno
na gruzach drugiego, i to tylko do czasów bizantyńskich. Nie całe
cztery tysiące lat oddziela nas od Ramzesa wielkiego egipskiego, któ-
rego mumię niedawno odkopano. Tylko dwa tysiące dwieście lat od-
dziela nas od Aleksandra Wielkiego, a ile zmian i jakich mogli-byśmy
w tym, wówczas znanym i na pół naszym, cywilizowanym świecie
wyliczyć. Wiele ludów, i to wielkich, zniknęło po kolei, o których
wielkości cywilizacyjnej dowiadujemy się dopiero teraz z cegiełko-
wych dokumentów. O państwach niema to mówić; giną one nieustan-
nie i dziś, rozpadając się i krusząc przed naszymi oczyma.

„Zdumiewający zaiste fenomen, pisze Lavollé, przedstawia ten
naród tak ogromny, który, będąc niegdyś współczesnym najpotężniej-

szych społeczeństw starożytnych, przeżył ruiny Egiptu, Persyi, Grecyi, Rzymu i dziś jeszcze stoi jak stał. Stoi ze swą starą cywilizacją wobec cywilizacji europejskiej. Czyż można odmówić poszanowania instytucjom, przez tyle wieków trwania uświęconym! Być może, iż misjonarze katoliccy, którzy w XVII wieku korzystali z łask cesarza Kieng-hi, a pisali tak podchlebne dla Chin sprawozdania, zostawiali pod urokiem pewnego olśnienia. Może ich tak oślepił interes wiary, że sądzili, iż służą jej przez swe wdzięczne świadectwa o Chinach, że ten wzgląd przysłaniał ich oczy na wszystkie usterki i wady, zakrywając ułomności nadspodziewanemi świetnościami pekińskiego dworu. Ale chociaż-byśmy liczyli jak najwięcej z tych pochwał na karb ich pobożnej uprzejmości, trzeba przyznać, że w głównych zarysach podany przez nich obraz Chin był prawdziwy, że w XVII wieku Chiny zasługiwały na zestawienie ich z najświetniejszymi i najpomysłniej rozwiniętymi narodami Zachodu, że nawet pod względem wolności politycznej, cywilnej, religijnej, to prastare cesarstwo, rządzone przez nieograniczonego monarchę, nie potrzebowało niczego zazdrościć konstytucjom europejskim. Dla czegoż dzisiaj nie można wydać takiegoż samego sądu? Dla czego dziś Chiny zdają się upadłemi? Wojna domowa (Taepingi) i wojna zagraniczna spadły na nie, a słabość Chin, nie już ich wielkość, występuje na wszystkie strony. Dokonywa się tam ewolucya, a przygotowywa rewolucya. Ten wielki i zwarty ogrom cesarstwa chińskiego, ze swemi odrębnymi prawami, obyczajami często dziwaczными, ze swym językiem nieprzystępnym, był zupełnie od reszty świata oddzielony. Uorganizował się do ~~całkowitości~~ ^{całkowitości}, wpatrywał się tylko w siebie, nie widząc nic na zewnątrz, nie chcąc nic widzieć, nic wiedzieć takiego, co-by mogło zakłócić jednostajność przebiegu. W 1861 r. to największe w Azji państwo zostało zwyciężonem przez kilkanaście tysięcy Europejczyków (wojna ze sprzymierzonymi Anglią i Francją. zdobycie Pekinu etc). Ta ludność, prawie niezliczona, ten rząd, który jeszcze w zeszłym wieku miał wszelkie pozory siły, ta administracya, oparta na zasadach najracyonalniejszych, ta cywilizacya tak oryginalna i tak starożytna, wszystko to musiało ugiąć karku przy pierwszym uderzeniu. Chiny okrutnie odpokutowały za podstawową wadę swych instytucji, utworzonych wyłącznie dla życia odosobnionego i dla pokoju. Mury, któremi się Chiny otoczyły, runęły od samego huku dział Europy. Z chwilą, w której Chiny zetknęły się na dobre z Europą, w której zostały zmuszone do znoszenia zetknięcia z zagranicą, wstąpiła w nie rewolucya. Władza cesarska utraciła urok, jedność została rozdarta, bunt rozwinął swój sztandar, konieczność obrony przeciw buntom wewnętrznym i wrogom zagranicznym zrujnowała finanse, rozbiła równowagę, wszędzie wywoła zamieszanie. Potrzeba zmusiła

do zbierania pieniędzy za pomocą sprzedaży patentów naukowych, których do tej pory udzielano tylko zasłudze, do dania broni w ręce ludności, której karność wojskowa jest obcą, do chwytania się środków demoralizacji, przekupstwa i kłamstwa, słowem, do gwałcenia wszystkich zasad, na których dotąd rząd się opierał. Cesarstwo doszło już do takiego wieku, że nie mogło żyć inaczej, jak pod warunkiem bezwarunkowej nieruchomości. Wszelkie wstrząśnienie musi być dlań fatalne. Dawne Chiny znikły. Będziemy świadkami albo ich pogromu, albo wskrzeszenia...”

Jednakże dawne, stare, bardzo stare, chociaż już historyczne, Chiny, wcale nie odznaczały się zastojem. Przez owe trzy do czterech tysięcy lat przeszły one najrozmaitsze rodzaje rządu, znane Europie. Znały one dobrze system feodalny i lenny z arystokracją, będącą właścicielką ziemi. Przechodziły też następnie przez agraryzm, oparty na równym prawie do ziemi i dającym każdemu możliwość zostania właścicielem. Agraryzm ten zaszedł nawet tak daleko, iż każdy obowiązany był swe poletki własnymi uprawiać rękoma, nie mając prawa obciążać własności swej długami, albo jej sprzedawać. Onego czasu, a było to znacznie przed naszą erą, a nawet w jej początkach, istniał w Chinach tylko jeden podatek i ciążył zarówno, albo proporcjonalnie na wszystkich, bo wszyscy byli właścicielami. Pod koniec VIII wieku, za dynastyi Tan, ów podatek ziemski nie wystarczał, więc nałożono podatek na handel i rzemiosła. Pan Sucharow pisze w swem sprawozdaniu o misyi rosyjskiej w Pekinie, że ten dekret podatkowy, wydany w 780 roku naszej ery, dzielił całą ludność na dziewięć klas podatkowych wedle stopy majątku. Następstwem jego były zupełna wolność pracy i swoboda przenoszenia się z miejsca na miejsce. To prawo wolnej pracy dotąd istnieje. Jakże niedawno w Europie zniesiono poddaństwo chłopów i przykucie ich do gleby?!!

Najciekawszą wszakże jest próba socjalizmu, jaką Chiny przeżyły w XI wieku naszej ery. P. de Varigny w 1880 r. napisał o tej próbie chińskiej ciekawą rozprawkę, opierając się na materyałach, znalezionych w tomie II *Mémoires sur la Chine* i w dziele księdza Huc. Nie był to ten dzisiejszy socjalizm państwowy, ale jakby kopiowany z dzisiejszych teorii kolektywizmu.

Według p. de Varigny, wyrósł ów socjalizm na pniu anarchicznym. Lat temu 800 z górą nurtowała Chiny tajemnicza sekta, szerząca bardzo skutecznie nihilistowskie teorie chaosu i nicości. Z tej sekty wyszedł Wang-nan-Cze, człowiek, bądź co bądź, genialny, który wystąpił z projektem organizacji, zdumiewająco śmiało i głęboko obmyślanej. Nihilisci, czy anarchiści, utorowali drogę, po której łatwiej mu było swój projekt komunistyczny, przy pomocy nieograniczonego wład-

cy, przeprowadzić. Było to za dynastji Song, a za panowania cesarza Szen-Tsung.

Być może, iż p. de Varginy naciąga nieco opowiadanie, ze względu na dzisiejsze socyalistowskie w Europie roboty, ale, zaznaczywszy, że Tatarzy wówczas pustoszyli Chiny, które szarpała wojna domowa na różnych punktach, dodaje, że „sceptycyzm religijny i polityczny doszedł do szczytu, że wszystko rozbierano i rozbijano w pamfletach, pi-semkach, ogłoszeniach, w których uczono anarchii społecznej i opowiadano nihilizm w najzupełniejszej jego czystości...” Ci Azyaci już wówczas powiedzieli ostatnie słowo teoryi w tym kierunku; nie nie można-by dodać, można-by tylko kopiować, a i to jeszcze niezupełnie. Doszli oni przed ośmiuset laty do rozpowszechnienia u siebie nauki, iż niema ni ducha, ni materji, że istnienie jest tylko fantastycznem złudzeniem, halucynacją, bajką o nicości i marzeniem bez przedmiotu, snem bez przebudzenia. Sądzimy, że żyjemy, kochamy, cierpimy, a to wszystko jest tylko marą. Nie tylko podobną naukę opowiadano, ale miliony w nią uwierzyły. I gromady ludzkie rzucały się na wszystkie strony, goniąc za jakimś marzeniem pośród ruin, któremi pokrywały ziemię.” Cytujemy słowa p. de Varigny.

O cóż im chodziło, albo raczej o co chodziło ich przywódcom? Oto przedewszystkiem o zniszczenie wszystkiego, co jest; następnie zobaczy się, co dalej zrobić. Przedewszystkiem należy uprzątnąć wszystko, co jest, zniwelować, do jednej doprowadzić miary. Jeżeli równość w bogactwie jest niemożliwa, równość w nędzy jest do przeprowadzenia łatwą; jeżeli nie można ubogich zrobić bogatymi, można bez trudu bogatych zrobić ubogimi. Należy wrócić do stanu natury, za pomocą rozbudzenia brutalnych zachceń motłochu. By ten uwieść, wymyślono teorię filozoficzną. Naczelnicy wiedzieli, iż rzeczywistość odzyska następnie swe prawa, ale będzie inną, gdy z dawnych instytucji, praw, zwyczajów i rządów śladu nie zostanie. „Społeczeństwo, mówili oni, opiera się na prawie, prawem zaś dziś jest nieprawość i ucisk; opiera się ono na własności, a własność jest dziś tylko nieprawością i zdzierstwem; opiera się na religii, ta zaś jest kłamstwem; opiera się na sile, a siła jest tylko tyranią.”

Niektóre z tych zdań formą swą wyglądają bardzo na zapożyczone ze współczesnych nam anarchistowskich broszur. Może nihilisci chińscy przed ośmiuset laty tak samo myśleli, jak dzisiejsi eupropejscy, *nil novi sub sole*, ale styl ich był mniej akademicki; trzeba-by zajrzeć do źródeł, z których czerpał p. de Varginy, na niego więc składamy za tę formę odpowiedzialność. W każdym razie położenie musiało być rozpaczne, a państwo i społeczeństwo bardzo przez anarchizm podkopane, kiedy cesarz Szen-Tung powołał do swej rady Wang-ngan-

Sze, arcy-socyalistę. Dajemy mu ten nowoczesny tytuł, na który najzupełniej zasługuje, nie wiedząc, jak się sam tytułował: zbawcą, czy odrodzicielem ludzkości.

Człowiek to był jednak genialny, pracowitości niesłychanej, wiedzy kolosalnej, wymowy porywającej, woli żelaznej, a przytem osobiście uczciwy. Taki sąd o nim wyrzekli nietylko jego czciciele, ale i przeciwnicy. Urodzony w roku 1027 naszej ery, od młodości pracował naprzód nad poznaniem historii swego kraju. Roboty miał nie mało, bo historia ta, od dynastyi Hia (2207 lat przed Chrystusem) spisywana, obejmowała trzydzieści dwa stulecia. Jako dowód jego pracowitości, przytaczają, że gdy, młodym jeszcze będąc i układając swój nowy system socyalny, chciał pogodzić swe projekta z teoryami, zawartymi w pięciu księgach świętych i w czterech księgach klasycznych, na których się opierały instytucje, przez niego burzone, wziął się do komentowania tych kolosalnych i zawiłych dzieł. Do szczegółowych więc rozdziałów i tekstów napisał komentarze w swoim duchu i ułożył słownik ogólny. Wogóle występował jako nieubłagany wróg nihilistowskich teoryi, a bronił swoich socyalistowskich. Popularność jego była wielka, a ówcześni doradcy cesarza uznali za pożyteczne powołanie do dworu takiej siły.

Przedstawiony cesarzowi dla wyłożenia mu swych teoryi, Wang-ngan-Sze umiał słuchacza swego zająć, nie przerażając go. Będąc mówcą i reformatorem, silnie o doskonałości swego planu przekonany, zjednał sobie cesarza nadzieją sławy, jaką zyska, gdy ludzkość swe szczęście winną mu będzie. Zadanie tak trudnem, według niego, nie było. Należało tylko zerwać z tradycją, która już się przeżyła, stare środki porzucić, pokierować ruchem, grożącym zatrutą wszystkiego, zbudować nowy rzeczy porządek. Usunięcie na zawsze nędzy zależy od cesarza, byle ten miał wolę. Wkrótce nawrócił cesarza, za którym poszedł dwór. Opór stawiał tylko najwyższy tajny radca, Si-ma-kuang, którego pisma jeszcze dziś do klasycznych należą, a niektóre poezye przypominają Horacego. Walka była nierówna. Socyalista wziął górę nad konserwatystą, który musiał dwór opuścić.

Wang-ngan-Sze, zostawszy pierwszym ministrem, ogłosiwszy, że państwo jest wszechwładne, że jest jedynym i powszechnym właścicielem ziemi, zaprowadził trybunały rolne, po jednemu na każdy powiat. Trybunały te miały co rok rozdzielać pomiędzy rolników pola orne, stanowić jaki rodzaj uprawy jest dla każdego działu najwłaściwszy, rozdawać ziarno na zasiew. Zboże zebrane było własnością państwa, które organizowało rozdział ziarna, proporcjonalnie do potrzeb i do liczby ludności.

Dla zyskania pieniędzy, potrzebnych do przeprowadzenia tego projektu, oraz dla stopniowego usuwania nierówności majątków i położeń społecznych, Wang-ngan-Sze postanowił, że owe trybunały agrarne nałożą specjalny podatek na bogatych. Ubodzy byli od niego zwolnieni. Trybunały rozstrzygały bez apellacyi, kto jest bogatym, a kto ubogim. Tylko państwo miało prawo naznaczać codziennie cenę produktów. W razie głodu lub złych zbiorów na którym bądź punkcie cesarstwa, wielki trybunał agrarny, zasiadający w stolicy, od którego wszystkie prowincjonalne zależały, posiadał moc skierowania dowozów z prowincyi, obfitującej w zboże, do zagrożonej niedostatkiem. Raporta wszystkich trybunałów powiatowych koncentrowały się w trybunale najwyższym, który przez nie wiedział o położeniu każdego okręgu. W ten sposób, mówił edykt rządowy, obawa głodu zostaje usunięta, a ceny utrzymywane będą zawsze i wszędzie na umiarkowanej stopie. W latach niezwykle pomyślnych, część zbiorów zsypywaną będzie do magazynów rządowych, pobudowanych na całej przestrzeni cesarstwa, a to w celu pokrycia niedoboru w latach ogólnie złych. Nie będzie więc nędzy, nie będzie ubogich, bo żywność jest dla każdego przygotowana. Co do państwa, jedyne go właściciela, producenta i kupca, dochody jego z tych źródeł będą tak ogromne, iż powinny być obracane na wielkie roboty użyteczności publicznej. „Najgłówniejszym obowiązkiem każdego rządu, pisze Wang-ngan-Sze w swej proklamacyi, jest kochać lud, zapewnić mu korzyści żywotne, temi zaś są obfitość i radość. By cel ten osiągnąć, dość jest natchnąć wszystkich przywiązaniem do niezmiennych zasad prawości; ponieważ jednak niepodobna uzyskać od wszystkich ścisłego wykonywania tych prawideł, państwo więc powinno, za pomocą praw rozumnych i nieugiętych, wskazać sposoby ich wykonywania.” Ta cytata wzięta jest ze wspomnianego przez nas tak często dzieła księdza Huc (tom II, p. 74).

Według Wang-ngan-Sze, głównymi przeszkodami w wykonywaniu tych niezmiennych zasad prawości i cnoty są: namiętność zysku, oraz zamięłowanie w zbytku i w rozkoszach materyalnych. Usuwając przyczynę złego, usuwa się jego następstwa. Tą przyczyną jest bogactwo. Nowe podatki prędko dały-by radę bogactwu, już istniejącemu; należało jednak zapobiedz, by to nie wróciło. Otóż handel i banki, lichwa i przemysł wytwarzały bogactwo. Wang-ngan-Sze od razu zniósł handel, banki, przemysł, lichwę; zrobił te wszystkie interesa monopolem państwa, które w ten sposób w swych rękach skupiało wszystkie zyski, zbierane dotąd przez setki tysięcy i miliony pojedynczych osobników. Ponieważ zaś, zdaniem owego socjalisty chińskiego, z którym się zgadzają dzisiejsi nasi europejscy socjaliści, państwo jest przedstawicielem wszystkich swych mieszkańców, więc wszyscy mieli-

by udział w tej zbiorowej pomyślności. Nikt nie byłby bogatym, ale też nikt nie byłby ubogim, wszyscy byli-by równi. Zazdrość, nienawiść i inne złe namiętności zniknęły-by odrazu, a zasady prawości i cnoty zakwitnęły-by na całym przestworze odrodzonego państwa. Szemrali-by tylko lichwiarze i zdziercy, bogacący się nieszczęściem publicznem, gniotący robotników i jak pijawki wysysający krew ludu. Dalszych rozumowań Wang-ngan-Sze nie przytaczamy. Kto czytał dzisiejsze teorie socyalistów, ich dzieła, programaty, rozprawy, kto przeczytał chociaż-by Szäfflego krytykę socjalizmu w broszurze *Quintessenz des Socialismus*, wydanej w Warszawie w tłumaczeniu polskiem, ten je tam znajdzie powtórzone, tylko w niezmiernie powiększonej i poprawnej edycji.

Chiny przed ośmiuset laty przyjęły te teorie, a nawet początkowo ich wprowadzenie w życie, z niezmiernym zapalem. Cesarz stał się ich najzarliwszym adeptem, zrobił Wang-ngan-Sze dyktatorem, oddawszy mu władzę nieograniczoną, której ten używał z nieustraszonnością i bezwzględnością silnie wierzącego sekciarza. Ludzie bogaci, przerażeni, milczeli, stanowili oni mniejszość, kryli się w tłumie, by o nich zapomniano. Podatek, na nich nałożony, był tak obliczony, iżby za lat pięć zostali bez grosza. Tylko dawny minister, Se-ma-Kuang, protestował głośno. Koło niego skupiła się gromadka śmielszych, która się zwiększała niepowodzeniami nowego systematu. Bo ten nie zdołał usunąć ni ubóstwa, ni nędzy, ni idących za niemi plag. Kroniki chińskie mają być pełne opowiadań o tej ciekawej epoce. Gdy do cesarza zaczęły napływać skargi, a ten zwracał na nie uwagę, reformator umiał się bronić, żądając cierpliwości, bo wszystkie początki są trudne. Książd Huc przytacza jedną z tych obron, która się tak kończy. „Bądź tylko stały (cesarzu), a wszystko dobrze pójdzie. Twoi wielcy dygnitarze, twoi mandaryni powstają przeciw mnie i to mnie nie dziwi. Ciężko im żegnać się z dawnym zwyczajowym trybem życia, by przyswoić sobie nowy obyczaj. Powoli przyzwyczajają się. W miarę, jak się przyzwyczajają będą, wstręt, jaki czują do nowości, zmniejszać się nie przestanie, w końcu zniknie, a oni zaczną chwalić to, co dziś potępiają.”

Europa, która przez ostatnie lat sto tyle i takich widziała rewolucyi, przyzna, że ten Chińczyk dobrze znał naturę ludzką wogóle. To jeszcze na jego, i to zasłużoną a wielką, pochwałę, przytaczają kroniki, że Wang-ngan-Sze, pomimo władzy nieograniczonej, jaką posiadał, nie przesładował swoich przeciwników. A mógł ich karać srogo za opozycję i skargi do cesarza. Tego o reformatorach europejskich z końca zeszłego stulecia, a nawet i o późniejszych, powiedzieć nie można. Gdy go nakłaniano do srogości względem spiskujących na jego zgubę, od-

powiadał: „Wież wysokość mierzy się ich cieniem, a mężów stanu liczbą zazdrosnych.” Zdanie to i dziś jest prawdziwem, tylko rzadko stosowaniem, tak jak on je, według kronik chińskich, stosował. Łagodność ta i względność może wypływała z poczucia siły i z wiary w swoje ideały. Do jednego ze swych poufnych miał bowiem powiedzieć, gdy mu ten dowodził, że jego upadek spowoduje ruinę państwa: „Wszystkie stare błędy są skazane i zniknąć muszą; po milionach trudności, szachrajstwach, kłamstwach, sofizmatów, najdrobniejsza nawet prawda pozostaje zawsze tem, czem była.” Dodał jeszcze, że tylko słabi duchem, umysłem i tchórze, lubią prześladować opozycję i pastwić się nad nią. W istocie ten Chińczyk był na wszystkie czasy niepospolitym człowiekiem, jeżeli naprawdę tak żył i tak rządy sprawował, jak opowiadają kroniki.

Pomimo tego, system jego przetrwał ledwo lat piętnaście, nie wiele dłużej, jak pierwsza rewolucja francuska ze swem hasłem: wolność, równość, braterstwo. Przez ten czas przeprowadzał najzuchwalsze zmiany w porządku materyalnym i społecznym. Nie przynosiły one zapowiadanych następstw, a powiększały zamęt. Tłumy ludowe wierzyły jednak w niego i podtrzymywały go żarliwie. Załamał się na reformie, z pozoru najniewinniejszej. Postanowił zmienić system kształcenia młodzieży i owych sławnych egzaminów, dających do dziś dnia Chinom kastę uczonych w piśmiennictwie i urzędników. Przewrócił wszystko, nawet formy religijne, bo w Chinach o wierze i dogmatach niema mowy, i nie wywołał buntu. Ale gdy chciał zmienić formę egzaminów literackich, a do objaśniania ksiąg klasycznych narzucić komentarze i słowniki, których sam był autorem, tradycja, licząca już wówczas 2200 lat wieku, stawiała opór. Korporacja uczonych była potęgą przez liczbę swych członków i wpływ.

W Chinach do tej pory tylko literackie egzamina dają przystęp do urzędów publicznych. Tych egzaminów jest kilka stopni. Mnóstwo młodych ludzi osiąga pierwszy stopień, ale bardzo mała liczba zdobywa najwyższy. Owi niżsi zwykle żyją nędznie w oczekiwaniu na jaki równie nędzny urzędnik. Często czekają na próżno. Ale wszelka praca ręczna stała się dla nich wstrętną. Wolą biedę klepać, jako pisarze publiczni, nauczyciele w szkołach i szkółkach, których jest jaka setka tysięcy w Chinach, bo każda wieś posiada swoją szkołę, bywają też komentatorami prawa, pokątni doradcami i wrogami mandarynów, których szpiegują, by, złapawszy ich na jakimś łotrowstwie, pogróżkami, denuncjacjami, ciągnąć z nich pieniądze. Jest to klasa ludzi swojego rodzaju, próżniaków, bardzo podejrzaney moralności, którzy jednak, pomimo swej nędzy, uważają siebie za przedstawicieli i stróżów tradycyi literackiej. Tak jest dziś i tak było przed osmiuset laty. Tar-

gnięcie się na cztery księgi klasyczne i na pięć ksiąg świętych, zmiany w objaśnianiu ich tekstu, lub w myśli dwustu czterestnastu literowych pierwotnych znaków, były zbrodnią nad zbrodniami. Wang-ngan-Sze nie uląkł się. Może-by sprawę wygrał, ale śmierć cesarza przypała właśnie w czasie tej ostatniej najzaciętszej walki. Cesarzowa wdowa, a zarazem regentka z powodu nieletności następcy, ulękła się. Obrónczy tradycyi wzięli u dworu górę. Wspomniany wyżej Si-ma-kuang został mianowany nauczycielem młodocianego cesarza i pierwszym ministrem. Wang-ngan-Sze, usunięty z urzędu, umarł w dwa lata później, a socyalistowski jego system, praktykowany przez lat piętnaście w całym państwie, odrazu rozsypał się w gruzy, że śladu po nim nie zostało, tak energicznie następca wziął się do przywracania tradycyi, której Chiny do dziś są wiernymi, pomimo zmian dwudziestu dwóch dynastyi, pomimo dwóch podbojów z tatarskich, których ostatni, dokonany przez Tatarów Mandżu w r. 1644, zatem przed 250 laty, dotąd trwa. Ten piętnastoletni tylko okres w przeszło czterotysięcletniej historii Chin, ciekawy sam w sobie, jako kolosalna próba socyalizmu, dla tego podaliśmy obszerniej, bo jest zarazem dowodem niezmierniej, dla Europy prawie niepojętej, biernej siły konserwatyzmu chińskiego, który przywiązanie do tradycyi zamienił prawie w instynkt wrodzony, opierający się wszelkim rewolucjom i samą swą biernością przemagający je. *Stat mole sua*. Może w swych przewidywaniach przyszłości statystyci europejscy zbyt lekceważą ten fenomen z psychologii ludów.

J. KENIG.

(Dokończenie nastąpi.)

Kilka nieznanych listów Szymona Szymonowicza.

Kiedy Bielowski wydał w r. 1875 nader cenną swą pracę o życiu i pismach Szymonowicza ¹⁾, zdawało się, że trudno będzie dodać do zebranych wiadomości coś nowego, lub przysporzyć materiału biograficznego do tego, co niestrudzony badacz zebrał przez lat trzydzieści. Szereg listów, pisanych przez Szymonowicza lub do niego, tyle zawierał szczegółów, życie poety i stanowisko jego rozjaśniających, że trudno było spodziewać się więcej. A jednakże szczegóły te jeszcze nie całkiem są wyczerpane i niejeden rys w postaci poety może być jeszcze dokładniej nakreślony. Jeżeli jednakże tych szczegółów dostarcza biblioteka, z której Bielowski korzystał, to okoliczność ta wymaga objaśnienia, aby uniknąć zarzutu, że cośkolwiek przed Bielowskim ukryto, lub niechętnie mu służono. Bielowski dwa razy w dłuższych odstępach czasu korzystał z zasobów Biblioteki Ordynacji Zamoyaskiej. W r. 1848 zwiedzał ją pierwszy raz, i wtenczas korzystał z dawniejszego odpisu listów Szymonowicza, ale oryginałów tych listów nie widział, gdyż i bibliotekarza wówczas biblioteka nie miała, i papiery, odnoszące się do Szymonowicza, lubo już sprowadzone z Koniecpola, nie były jeszcze uporządkowane i spisane. Stąd poszło, że niektóre miejsca listów ogłosił B. nie dość poprawnie, bo nie przypuszczał,

¹⁾ Pamiętnik Akad. Umiejętności r. 1875, tom II, str. 105—213.

żeby robiący odpis dopuścił się pomyłek ¹⁾. Kiedy w r. 1874 po raz drugi korzystał Bielowski z zasobów biblioteki, zbyt krótko bawił w Warszawie i musiał poprzestać na przyrzeczeniu, że dostarczone mu będą odpisy tych listów, które nie były objęte dawniejszym odpisem, gdyż później weszły do biblioteki. Przyrzeczenia tego dotrzymano, o ile wówczas były znane listy przewiezione z Koniecpola, i dostarczono Bielowskiemu znacznie większej liczby, niż wymienia we wstępie do swej pracy. Później jednakże, już po ogłoszeniu pracy Bielowskiego, przybyły jeszcze niektóre listy, dość ważne, które obecnie, zamierzylem ogłosić, aby rozjaśnić kilka szczegółów biograficznych i bibliograficznych. Bielowski powiada (str. 75), że Szymonowicz wrócił do kraju z bogatemi zapasami wiadomości nie tylko z działy nauk wyzwolonych, ale oraz prawnictwa i medycyny, a na str. 82 przytacza na to dowód, wspominając, że Szymonowicz zagajał w sierpniu 1609 r. sąd wyższy, ustanowiony w Zamościu. Wiadomość tę należy o tyle uzupełnić, że Szymonowicz w ciągu całego swego życia był przewodniczącym tego sądu, a więc zajmował się praktyką sądową, jak okazują zachowane dotąd protokoły tego sądu. Podobnie nie dość jeszcze znana działalność lekarska poety; pozostałe po nim dzieła lekarskie, a między niemi rękopisy Galena i Hipokratesa, jeszczeby same przez się nie dowodziły, że zajmował się nauką lekarską. Dopiero liczne ślady praktyki jego lekarskiej, zachowane we współczesnej korespondencji, jak i w ogłoszonym niżej liście do Samuela Knuta, okazują, że nie tylko teorią nauki lekarskiej się zajmował, ale uchodził także za powagę lekarską, bo szukają jego porady w trudniejszych razach, a sam się nie tai z powątpiewaniem o stosowności rad, udzielonych przez współczesnych lekarzów, i wręcz mówi o potrzebie naprawy złego, zrządzonego przez ich niewłaściwe przepisy.

¹⁾ Następujące miejsca w Pamiętniku wymagają poprawki. Str. 111 w. 10 qua eum., czytaj qua cum. str. 118 w. 30 eiusdem... quem, czytaj: eiusdem poetae quem; str. 127 w. 1 co na... we Lwowie, czytaj: co na treściach w Lwowie; w. 4 obozowej... dziwy, czytaj obozowej troje dziwy; w. 6 głośne... czytaj: głośnie; Epinicia w. 8 Bellophrone, cz. Bellorophonte; w. 13 P. Dri..., czytaj P. Dziwulskiego; str. 133, w. 26 gnatem, czytaj gnatonem; str. 135, w. 14 vehelam, czytaj redulam; str. 139 w. 21 a za, czytaj aza, t. j. czy; str. 142 w. 2 o synka, czytaj o Szymka; str. 147 w. 16 non herum, czytaj non servum; str. 147 w. 18 i sąsiedzkie, czytaj: i towarzyskie i sąsiedzkie; str. 148 w. 16 obrażać się, czytaj obruszać się; w. 22 sam zajadę, czytaj tam zajadę; str. 150 po Phormionosku, cz. po Phormionowsku; str. 152 w. 28 Jego Mości, cz. Jego Ś. Mości; str. 153 w. 15 niewiadomość, cz. niewiadomość moja; str. 154 w. 6 aequiore, cz. aequiorem; str. 154 w. 7 Lycasi, cz. Hippasi; w. 14 eos ad aerarium meum, czytaj cum aerario meo; str. 158 w. 1 opus faciet, cz. opus fuerit; w. 23 małżonca, cz. małżonka W. M.; w. 24 sprawie, cz. sprawce; str. 159 w. 23 quasi iam, cz. quasi rem iam.

W przekonaniu, że uzupełnienie materyałów do życiorysu poety okaże nam jeszcze wybitniej jego postać, a zarazem rzuci kilka jaśniejszych promieni na jego czasy, ogłaszam następujące listy, bądź przez poetę samego, bądź przez jego bliższych znajomych do niego pisane, lub jego osoby i prac jego dotyczące.

Pierwszy list ogłaszam z minuty, pisanej ręką Jana Zamoyskiego. List ten, więcej może, niż który inny, rzucający światła na serdeczny i poufny stosunek wielkiego męża stanu do poety, jest odpowiedzią na list i przesyłkę Szymonowicza, które Zamoyskiego doszły w czasie sejmu. W minucie nie wyrażono ani miejsca, skąd pisana, ani dnia pisania. Że minuta pisana w Zamościu, pokazuje się z jej toku; roku napisania domyślałem się z przesłania utworu Joël Propheta, który utwór był wydany w Krakowie r. 1593.

Aby uniknąć nieporozumień, ostrzegam, że drugi utwór Szymonowicza, p. t. „*Imagines Zamoscianaë*”, przesłany był jednocześnie Zamoyskiemu w rękopisie, bo ze względów politycznych wydany był dopiero w r. 1604, jak o tem wspomina w przypisaniu druku przyjaciel Szymonowicza, Śrzedziński. Burzliwym i kłopotliwym dla hetmana sejmem, w czasie którego doszła go posyłka Szymonowicza, był zapewne sejm warszawski, zaczęty 4 maja, a ukończony 15 czerwca r. 1593 ¹⁾, gdyż na tym sejmie wystąpił przeciw Zamoyskiemu Mikołaj Jazłowiecki, starosta śniatyński, z zarzutami, że z jego przyczyny do ugody z wierzycielami przyjść i postępuku prawnego z siebie znieść nie mógł; zaczęty był rozruch taki w izbie poselskiej, że aż drudzy okny ledwie nie skakali ²⁾. Drugim powodem, dla którego list ten odnoszę do r. 1593, jest wyrażone zdanie hetmana, że w Polsce w owym czasie o zdolnych ludzi (*ingenia*) trudniej było, niż mniemał. Wyrażenie *ingenia* użył Zamoyski pierwszy raz w liście, pisanym do Szymonowicza 12 marca r. 1593 ³⁾, w którym prosi go o wyszukanie zdolnych ludzi na profesorów Akademii, mającej powstać w Zamościu. Tego samego wyrażenia *ingenia* użył Szymonowicz w liście, pisanym do Zamoyskiego 17 września r. 1593 ⁴⁾, w którym przedstawia kilku kandydatów do profesur. Zawsze wyrażenie *ingenia* odnosiło się do osób, których szukano do obsadzenia katedr Akademii, a starania te przypadają na r. 1593. Minuta ogłoszona tutaj powstała widocznie między 12 marca a 17 września r. 1593, jako datami przytoczonych dwu listów,

¹⁾ Bielski. „Dalszy ciąg kroniki”, str. 192, 200.

²⁾ Bielski, tamże str. 193.

³⁾ Bielowski w Pamiętniku Akadem., tom II, str. 116.

⁴⁾ Bielowski w Pamiętniku Akademii, str. 116.

czyli w czasie starań o dobór osób, mających zająć katedry w powstającej Akademii. Przypuścić można, że Zamoyski napisał ten list zaraz po powrocie z sejmu, a więc w drugiej połowie czerwca 1593 r. Wzmiankę o Janie Szczęsnym Herburcie tak rozumiem, że Szymonowicz miał zasięgnąć jego rady przy wyborze osób i powoływaniu na katedry.

List drugi, pisany przez Szymonowicza do Samuela Knuta, dworzanina hetmańskiego, ogłaszam z bardzo uszkodzonego oryginału; uszkodzone miejsca starałem się naprawić przez dopełnienia, położone w klamrach, aby treść listu uczynić zrozumiałą. Szymonowicz, wezwany poprzednio do chorej hetmanowej, tłumaczy się w liście tym, że na wezwanie hetmana przybyć do Zamościa może dopiero po udzieleniu pomocy lekarskiej pani kanclerzynie, przebywającej w Białej ordynackiej pod Janowem. Poznajemy z tego listu poetę, jako powagę lekarską, udzielającą swych rad w wypadkach, w których lekarze pomocy dać nie mogli, a nawet może przez niewłaściwe leczenie stan chorej pogorszyli, jak to ze słów listu wypada. Więc ten ulubieniec Muz nie zawsze bujał w obłocznych przestworzach natchnienia, ale znał także znojne drogi, któremi chodzi niedola ludzka po padole cierpień i płaczu.

Bardziej jeszcze zadziwiającym dowodem wszechstronności Szymonowicza jest ogłoszony na miejscu trzecim list Mikołaja Daniłowicza, późniejszego podskarbiego koronnego, pisany do poety w r. 1603. Bo czyż to nie dziwna i szczególna rzecz, że człowiek, liczący się do stanu rycerskiego, udaje się do mieszczańskiego syna po radę, w jakiej formie ma powabić, t. j. wyzwąć na pojedynek przeciwnika swego, Adama Stadnickiego, od którego doznał obrazy. Okazuje to, że u nas rwać się do korda przy sposobności umiano, ale właściwych pojedynków z wyzwaniem, sekundantami, umową o warunki i całą przyjętą gdzieindziej przez zwyczaj ceremonią, było bardzo mało ¹⁾, a stąd i szlachta z tem postępowaniem była mało obeznaną. Widocznie Szymonowicz przez doświadczenie, zebrane w podróżach po Europie, obeznał się z formami, w świecie przy pojedynkach używanymi, i uchodził pod tym względem w kraju za powagę, a Daniłowicz, lubo w jednym wieku będący z Szymonowiczem, nie był z temi formami obeznany.

List do nuncjusza, Klaudyusza Rangoniego, położony na czwartym miejscu, a wzięty z własnoręcznej minuty Jana Zamoyskiego, nie jest wprawdzie pisany do Szymonowicza, lecz zasługuje na pomieszczenie między jego listami, gdyż przy jego pomocy będziemy mogli rozwiązać

¹⁾ *Lelewel*. „Polska, dzieje i rzeczy jej”, tom IV, 482.

jedno z trudniejszych zagadnień bibliograficznych, odnoszące się do mało znanej pracy Szymonowicza. Chodzi tu mianowicie o wykrycie roku wydania Filona, wydania, przygotowanego przez Szymonowicza.

W końcu pierwszego i pierwszej połowie drugiego wieku naszej ery żył Filo, zwany Herenniuszem, pochodzący z Biblos w Fenicji. Prócz opisu miast i życiorysów ludzi znakomitych, z tych miast pochodzących, i prócz wskazówek co do wyboru książek przy ich nabywaniu, znany był Filo z przekładu kroniki fenickiej Sanchoniatona na język grecki. Tak kronika rzeczona prawie cała, jak i inne jego prace, zaginęły i dowiadujemy się o nich tylko ze wzmianek innych pisarzy. Chociaż pewnie mniej od kroniki ważna dla nauki, ocalała praca Filona z dziedziny filozofii, zawierająca wykład metafizyki Arystotelesa. Fabricius naucza ¹⁾, że tylko ze wzmianki Dodwela w pracy o Sanchoniatonie dowiedział się, że Izaak Voss posiadał w rękopisie rzeczony komentarz Filona do metafizyki, lecz nie było mu wiadome, co się z nim stało.

Drugi rękopis tego wykładu metafizyki przywieziono Szymonowiczowi z Grecji, jak się dowiadujemy z listu Zamoyskiego. Trzeba się przenieść myślą w czasy Szymonowicza, gdzie dzieła pisarzy starożytnych rzuciły niezrównany urok na umysły rozwinięte pod wpływem oświaty starożytnej, aby sobie wyobrazić, na jaką pokusę był wystawiony Szymonowicz, ujrzawszy się w posiadaniu tak rzadkiego rękopisu. Humanisci nasi, jak Szymon Marycki, Stanisław Ilowski, Stanisław Warszawski, Andrzej Nidecki, zyskali rozgłos w świecie uczonym przez opracowania lub przekłady arcydzieł literatury starożytnej. Czyżby i Szymonowiczowi nie godziło się oddać przysługę światu uczonemu przez wydanie i przekład Filona? Nie oparł się poeta tej pokusie i wydrukował oryginał grecki wraz z własnym przekładem łacińskim w drukarni zamojskiej. Wydanie to nie przyczyniło jednakże sławy Szymonowiczowi, bo prawdopodobnie nie było do końca doprowadzone i nie puszczane między ludzi. Trzy egzemplarze tego wydania, o których wiem, jeden w bibliotece Ordynacji Zamoyskiej, drugi u Ossolińskich, a trzeci w bibliotece Jagiellońskiej, nie mają ani tytułu, ani końca ²⁾. Z porównania odbitego tekstu z rękopisem, przedemną leżącym, przekonywam się, że do ukończenia dzieła brak jednej karty tekstu i przypisów objaśniających, zapowiedzianych przez wy-

¹⁾ „Bibliotheca Graeca”, tom II, strona 148.

²⁾ Górą pierwszej strony pomieszczony jest następujący tytuł: ΕΡΕΝΝΙΟΥ ΦΙΛΟΣΟΦΟΥ ΕΞΗΓΗΣΙΣ ΕΙΣ ΤΑ ΜΕΤΑ ΤΑ ΦΥΣΙΚΑ. Herennii Philosophi enarratio in Metaphysica. Simone Simonida interprete, w 4-ce str. 160.

dawcę wśród dzieła na stronie 15. Być może, że już po odbiciu tekstu greckiego oraz przekładu przekonano się, że rękopis zeszepecony jest błędami, i uznano, że lepiej będzie nie ogłaszać go. Niektóre błędy dostrzegł Szymonowicz i pokładł swe poprawki na marginesach rękopisu; lecz zdaje się, że pozostało więcej pomyłek, dostrzeżonych przez innych już po odbiciu, a te stanęły na przeszkodzie wydaniu. W skutek obrotu, jaki wzięło całe wydanie, nie wiedzieliśmy dotąd, w którym roku było odbijane. Bielowski wymienia wydanie ¹⁾, lecz nie podaje roku; Estrejcher domyślał się w pierwszym wydaniu Bibliografii XVI wieku, że wyszedł Filo w r. 1599 lub 1602, lecz w drugim opracowaniu skreślił i jeden i drugi rok, i to bardzo słusznie, bo z egzemplarzów ani roku, ani miejsca wydania dowiedzieć się nie można. Wprawdzie i ja nie mogę wykazać, kiedy wydanie było ukończone, ani zaręczyć, że wogóle było ukończone, lecz przynajmniej dostarczę śladów, że było odbijane w Zamościu w r. 1604. Szczegółów, popierających to twierdzenie, dostarcza nam list Jana Zamoyskiego do nuncjusza Rangoniego, gdyż w liście tym mówi Zamoyski o książkach, drukowanych w Zamościu w r. 1604, a między niemi wymienia metafizykę Filona, równocześnie drukowaną. Wprawdzie na minucie listu położona data 26 maja bez wyrażenia roku, jednakże rok 1604 nie trudno odgadnąć z treści listu. Gdyby kanclerz między drukującemi się dziełami był wymieniał tylko Dyonizjusza z Halikarnasu, sprawa dojścia roku była-by trudniejsza, gdyż dzieło to znane jest z dwoma tytułami, z których jeden opatrzony jest rokiem 1602, a na drugim położono rok 1604. Jest to rzeczywiście wydanie z r. 1602, do którego po uzyskaniu przywileju papieskiego dodrukowano nowy tytuł z rokiem 1604 i dodano przywilej z tegoż roku. Lecz kanclerz wymienia prócz tego dyalektykę Cyserona, opracowaną przez Adama Burskiego, a wydaną dopiero w r. 1604. Przywilej Klemensa VIII na dzieło Dyonizjusza z Halikarnasu wydany był w dniu 29 października r. 1604, mógł więc bardzo dobrze być wywołanym przez list kanclerza, pisany do Rangoniego 26 maja tegoż roku. Jeśli list do Nuncjusza Rangoniego pisany był w r. 1604, i jeśli równocześnie z dyalektyką Cyserona była odbijana w drukarni zamojskiej metafizyka Filona Herenniusza, to nie ulega wątpliwości, że metafizyka ta była drukowana w r. 1604, czegoś my dotąd nie wiedzieli.

Prócz daty wydania Filona Herenniusza, dostarcza nam list Zamoyskiego kilku szczegółów o drogach ówczesnych handlu księgarskiego. Pisze bowiem kanclerz w swej minucie, że księgarze nagłą do po-

¹⁾ Pamiętnik Akad. umiejętności. wydział filologiczny, t. II, str. 195.

śpiechu z drukiem, aby książki nowe mieć mogli na jarmark lubelski, gdyż tą drogą będą się mogły dostać na jarmark frankfurcki, a następnie będą się mogły rozejść po całym świecie chrześcijańskim. Widzimy z tych słów, że do Lublina zjeżdżali w owych czasach księgarze niemieccy, zasilając kraj nakładami zagranicznymi, a zabierając w zamian nakłady naszych drukarni.

List piąty pisany jest do Melchiora Stephanidesa, czyli Stefanowicza, profesora Akademii zamoyskiej. Donosi w nim Szymonowicz, że bawi w Szczepieszynie dla bronienia spraw Jerzego Zamoyskiego, biskupa chełmskiego, a zarazem poleca, żeby zatrzymano w Zamościu doktora Stanisława, powołanego do pana Tomasza, aźby sam dla narady z nim przybył do Zamościa. Tym doktorem Stanisławem jest Stanisław Skwierniewita, wzięty swego czasu lekarz, używany niegdyś przez hetmana Zamoyskiego tak w pokoju dla własnej osoby, jak i na polu bitew dla opatrywania rannych, przyczem raz kulę brzuchem uchwycił, jak się wyraża w liście do Pawła Górnickiego, dworzanina hetmana, która, gdyby była głębiej dosięgła, byłby, jak Palinurus, na obcej ziemi spoczął, a było-by to smutne, bo jest jedynakiem, a matka przestała rodzić. Za te zasługi wyjednał hetman Skwierniewicie, lubo nie był kapłanem, kanonię sandomierską i probostwo w Zajączkowicach w r. 1586.

W szóstym i siódmym liście domaga się Szymonowicz wyjednania u opiekunów płacy, należącej mu się za kierowanie nauk młodego ordynata. Ze słów Komorowskiego, przytoczonych w liście siódmym, a odnoszących się do stanowiska Szymonowicza, domyśla się poeta, że była mowa o usunięciu go od osoby ordynata Tomasza. Obawa ta stoi w związku ze zmianami, jakie około tego czasu zaprowadzano na dworze młodego pana. Już w r. 1608 zaniepokojona była owdowiała hetmanowa sposobem wychowania i prowadzenia syna, pozostającego pod opieką, wyznaczoną przez hetmana, oraz całym biegiem spraw ordynackich, co ją zniewoliło do prośby, zaniesionej do króla, aby wejrzał w sprawy ordynacyi. Ze współczesnych listów okazuje się, że jeden z opiekunów, mianowicie Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, mało dbał o wychowanie pana Tomasza, natomiast ciągnął zyski z powierzonej sobie opieki, a otoczenia dla młodego ordynata dobierał takiego, które-by nie przeszkadzało mu zagarniać dochody ordynacyi na swoją korzyść. Rachunki Zebrzydowskiego dochodziły w r. 1608 do czternastu tysięcy ówczesnych złotych, pobranych ze skarbu ordynacyi. Wezwany o pomoc drugi opiekun, Stan. Żółkiewski, który ani potrzebował, ani chciał korzystać z opieki, ale który przez swe stanowisko nie mógł się osobiście zajmować sprawami ordynacyi, powierzył zaprowadzenie nowego porządku na dworze pupila Andrzejowi Śre-

dzińskiemu, ożenionemu z Anną Łaznińską, krewną i wychowanicą Zamoyskich. I wtenczas-to usuwać zaczęto niektóre osoby z otoczenia pana Tomasza, lecz nie tyczyło to Szymonowicza, bo przeciwnie właśnie w tym czasie upominał Jerzy Zamoyski, biskup chełmski, trzeci opiekun, aby Szymonowicza miano w poszanowaniu, a Średziński był przyjacielem poety. Obawy więc pana Szymona były nieuzasadnione.

Mimo to, nie mógł się poeta odjąć obawie, że prędzej czy później dla podeszłego wieku i braku sił nie będzie mógł młodemu ordynatowi tak służyć, jak niegdy służył jego ojcu. Dla tego zawiadamia młodego Zamoyskiego w liście ósmym, że zamierza przygotować dla niego odpowiedniejszego pomocnika i w tym celu wyprawia siostrzeńca swego, Kacpra Solciosa, już dobrze poduczonego, na lat dziesięć za granicę, aby, zwiedziwszy i poznawszy całą Europę, mógł po powrocie zająć przy Tomaszu takie stanowisko, jakie niegdyś poeta sam zajmował przy hetmanie. Solcius ten był następnie profesorem akademii, lecz nie był tym niezbędnym doradcą Tomasza, na jakiego zamyslał go wykierować Szymonowicz. Zszedł ze świata Solcius, jako profesor medycyny i wzięty lekarz, podług pamiętnika Golliususa ¹⁾, 6 września 1653, a podług Album Akademii—6 października 1653; zdaje się, że ostatnia data jest prawdziwszą, bo pamiętnik Golliususa nie jest wolny od omyłek, Album zaś Akademii ma znaczenie świadectwa urzędowego.

W dziewiątym liście, pisanym do Bartosza Kazanowskiego, a znanym nam z kopii, sporządzonej ręką jednego z ostatnich ordynatów, odpięra Szymonowicz zarzuty, czynione młodemu Tomaszowi Zamoyskiemu, a choć sam przyznaje, że prawie już nie poznaje Zamościa dla wesołego życia, panującego na dworze młodego pana, przecież składa winę raczej na siebie i sobie podobnych, co jako posępki i kwasigrochowie zapominają, że to już nie dwór owego surowego starca, którego woli nikt się nie śmiał opierać, ale dwór młodzieńca, który musi za młodu wyszumieć, aby potem tym stateczniej postępować. Charakterystyka Jana Zamoyskiego, aczkolwiek nie nowa, ale skreślona ręką człowieka, który go najdokładniej mógł poznać, ma dla historyka niezaprzeczane znaczenie. Jest i innych szczegółów kilka w tym liście, które, napomykane tylko, dla nas nie wszystkie są zrozumiałe. Najważniejszym z nich jest pewnie wzmianka o jakimś wierszu satyrycznym Szymonowicza, który napisał na kręcenie się pieniędzy skarbowych; lecz, iż to była satyra, dotykająca osób współczesnych, którym się poe-

¹⁾ „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“, VII, str. 102.

ta nie chciał narazić, chowa ją w tajemnicy i tylko najzaufańszym udziela. Wiersza tego nie znamy, lecz może go kto kiedy dopatrzy między bezimiennymi satyrycznymi utworami tego czasu.

Największą doniosłość przyznać będziemy musieli dziesiątemu listowi, napisanemu w r. 1615 przez Szymonowicza do Piotra Oleśnickiego, towarzyszącego młodemu Zamoyskiemu w podróży po obcych krajach, pokazuje się bowiem z zasad, wyrażonych w tym liście, że hetman Zamoyski, oddając kierunek wychowania syna Szymonowiczowi, nie mógł zrobić lepszego wyboru. Lecz pojęcia młodego Tomasza, należącego do nowej generacji, nie zawsze się pewnie godziły z pojęciami starca, mającego kierować wychowaniem w duchu hetmana, a więc w duchu generacji, która już należała do przeszłości. Mimo zapewnienie przywiązania i życzliwości z obu stron, coś tam się rwie w tym stosunku ucznia do nauczyciela i doradcy. Jadącemu do cudzych krajów daje Szymonowicz wskazówki nie wprost, ale za pośrednictwem tych, którzy mieli towarzyszyć młodemu panu w podróży. A kiedy ten już w drodze dowiedział się o radach, udzielonych przez Szymonowicza, i własnym listem zażądał ich powtórzenia, Szymonowicz nie odpowiada pytającemu, ale w liście do Oleśnickiego powtarza rady, niegdy ustnie mu udzielone dla Tomasza. Rady same i dziś można-by zalecić młodzieży, jadącej za granicę dla dopełnienia nauki, ale rozumie się, jeżeli ta młodzież ma już naukę, jak ją posiadał wówczas Tomasz Zamoyski, bo młodzież, bez nauki poprzedniej wysyłana za granicę dla mniemanej oglady, uczy się tam tracić zdrowie, mienie i przywiązanie do własnej ziemi. Tym samym duchem, co list Szymonowicza, technie list względem wyprawienia dzieci do cudzych krajów, ogłoszony w końcu przeszłego wieku pod zmyślonym nazwiskiem Doświadczyńskiego (Ad. Kaz. Czart).

Ta garstka listów, dorzucona do materiałów biograficznych Szymonowicza, zapewne nie będzie ostatnia, bo jest to zasługą pracowników drugiej połowy naszego wieku, że na każdą wybitniejszą postać naszej przeszłości rzucają tyle światła, iż miejsce niegdyś niepewnych i chwiejnych wiadomości o nich zastępują szczegóły wyjaśniające ich życie i działalność. W historii literatury jest to dług, spłacany poprzednikom, bo im-to piśmiennictwo nasze zawdzięcza dzisiejszy swój rozkwit.

Innego rodzaju jest jeden drobiazg, którego nie wypada mi pominąć, a mianowicie ośmiowiersz żartobliwy, napisany po łacinie. Mam przed sobą kartkę, skreśloną ręką Szymonowicza, a choć nie jest opatrzona jego podpisem, musi być uznana za autentyczną, bo szczegóły, w niej zawarte, są w najlepszej zgodzie z okolicznościami życia poety. Już z ogłoszonej przez Bielowskiego korespondencji wiemy, że miesz-

kając o kilka mil od Zamościa na wsi w Czernięcinie, zaopatrywał Szymonowicz niekiedy przyjaciół, na dworze Zamoyskiego przebywających, w zapasy wiejskie ze swego gospodarstwa. Kiedyś przesłał czy to Knutowi, czy Średzińskiemu zapas gomołek, z dołączeniem wierszyka łacińskiego, z którego domyślać się można, jaka nieukrócona wesołość ogarniała niekiedy dworzan, kiedy byli między sobą, zdala od poważnej zawsze osoby kanclerza. Kiedy Muza łacińska Szymonowicza zawsze poważnie i uroczyście kroczy, z tego wierszyka okolicznościowego wieje pustota i wesołość, jaką tylko w Sielankach jego napotyamy. Bełcikowski mniema słusznie, że erotycznej struny nie dopatrzy u Szymonowicza, chyba-by w Sielankach ¹⁾. Ten poufnie nakreślony wierszyk zawiera ślad, że poeta w życiu mniej może był skromny, niż w utworach. Poeta igra z myślą i formą, kiedy pisze:

Mitto caseolos meo sodali,
 Forma caseolos minutiore.
 Istos caseolos meus sodalis
 Cum solatiolum dabit secundae
 Mensae, rure suum sciat sodalem
 Inter ludere rusticas puellas
 Mammosas satis et satis petulcas.
 O factum lepidum et minus iocosum.

Zapewne nie zdołam oddać lekkości poemaciku Szymonowicza, jednakże przekładam go, jak umiem, dla tych, co mniej z łaciną są obeznani.

Widok mych serków druha niech zabawi,
 Które choć drobne, mają swe zalety,
 Ślę je, by niemi przyozdobił wety,
 A kiedy niemi druh swój stół zastawi,
 Niech wie, że na wsi pomiędzy wiochnami,
 Których pierś bujna, a i myśl bodliwa,
 Przyjaciół jego igraszki zażywa
 I mniej zabawnym pozorem się mami.

Następujące listy dotąd nie były ogłoszone.

¹⁾ Przewodnik naukowy. 1891, str. 126.

I.

Mój łaskawy Panie Simonides.

Zaleciwszy przyjacielskie etc. Doszło mie W. M. pisanie w Warszawie i dwoje książek Joël et Imagines. Moje wielkie zatrudnienie przyczyna tego, że dotąd W. M. nie podziękował za nie przez pisanie. Animus zawsze był gratus i będzie, co teraz tem pisanem testor. Rzeczą samą, w czym będę mógł, gotów to będąc W. M. pokazać i służyć, w czym będę mógł. List W. M. do Ojca Świętego i Joël oddany jest ks. Nuncyuszowi ¹⁾ i od niego do Rzymu posłany; mam nadzieję, że wdzięcznym tam będzie.

Tu do domu przyjechawszy, a jako tako łeb sobie z sejmowych kłótni wyspokoiwszy, zaś myśl mię trahit do obmyślenia tu w ojczyźnie mej kościelnych i szkolnych rzeczy, w których bez rady i ratunku W. M., abym miał co wskórać, trudność niemałą baczę; o ingenia barzej niżem mniemał w Polsce trudno. Proszę tedy, racz W. M. i sam o tem pomyśleć i zrozumieć Jego M. pana Jana Szczęsnego Herburta, a mnie co rychłej oznajmić. Łasce się przyjacielskiej W. M. zalecam.

II.

Simon Simonides Samueli Knuto S. D.

Ego unius atque alterius horae moram a me impetravi, ne Zamoscium illico accurrerem et Białam excurrerem. Afflictissima herae valetudo [postulare] hoc visa est. Quamquam illa sive magnitudine morbi, [sive] medendi erroribus ita prostrata est, ut ope duntaxat divina [serv] ari possit. Nihilominus ne se omni spe destitutam existimet, [nec ani] mi angustiis sese conficiat, postulationi illius deesse nolui. Spe aliqua recreata ubi reliquero, ad conspectum Herois me recipiam. Bene vale. Cernencini 7 Decembris 1602.

Mojemu Miłościwemu Panu i Towarzyszowi, Jego M-ci Panu Samuelowi Knutowi.

¹⁾ Malaspina Germanicus

III.

Mój Łaskawy Panie Simonides.

Zalecam uprzejme służby moje w łaskę Waszej Miłości. Jakim mię Pan Bóg w tych czasiech kłopotem nawiedził, Waszej Miłości jako miłemu barzo przyjacielowi zdało mi się oznać, a zatem i rady W. M. dosiądź, której pewienem, że mi Wasza Miłość z łaski swej użyczyć będziesz raczył. Pan Adam Stadnicki, kasztelan przemyski, dostawszy frymarkiem starostwa stryckiego od dzierżawy mojej drohobyckiej, jął mi barzo być silen, nie mało gruntu mi odejmując. Którego obesławszy wprzód listem, a potem panem Lipczycem, starym sługą domu naszego, prosiłem od niego, aby kontrowersye zdawna zaszłe między grunty temi przez wynalazek przyjacielski ze mną uspokoić chciał; a status kontrowersyi był ten, iż poddani z stryckich wsi, nie mając ze mną contiguitatem żadnej, pasywali na gruncie drohobyckim bydlą swe w wielkiej barzo liczbie, też paszę okupując w zamku stryckim, czego im antecessorowie moi bronili. Chciałem się ja dowiedzieć quo iuris titulo oni tego zażywali, zwłaszcza, iż pan Przemyski nad in-sze wszystkie wszędy i wzdłuż daleko te pasze i łąki sobie przyswajał. Miałem przyjacielski dość respons od pana przemyskiego na żądanie moje; obiecał dać się na przyjaciela; inszych siła dobrych słów odesłał mi. Pewien tedy będąc dobrego sąsiedztwa jego tak rok odjechałem z Rusi na trybunał; on zaraz pod odjazd mój z bębny, trąbami, namiotami kupą ludzi niemałą (co on teraz wakacyą swoją zowie) najechał na łąki moje i one pasze pokosił, zaraz zgromadził, woził, stożył, kwapił barzo, sądząc siebie sam, że to jego nie było; i tak własność moję lub też commune ius do tych pasz, jeżeli jakie miał, in proprietatem fundi sobie arrogując.

Żaloszny będąc z jego takowej robótki przez pana pisarza, upomniałem się u niego słowa i o szkody z nim ekspostulowałem. Wprawdzie nigdzie rozsądku przyjacielskiego nie zbraniał się lub też rewizyi prawnej, ale, iż powietrze zaraz było zakroczyło, potem sejm więc i moje na tym trybunale zabawy, nie mogliśmy się o czasie znieść i w tej sprawie uspokoić. Teraz tedy na przeszłe świętki będąc w Rusi, przypatrzyłem się i nasłuchiwałem się wielkich krzywd i doległości poddanych swych, które cierpią od niego, bo tyle niemal drugie zajechał, przywłaszczając sobie jako tak rok, racyi żadnej nie dając, jedno inwentarz swój, a świadectwo jakieś podstarościego stryckiego, które mi nie dość czyniły. Obawiając się tedy, aby im dalej, tym więcej za mojem mił-

czeniu długiem i niepoczucwaniem się w gruncie moim nie szerzył się, prosiłem u kancelaryi Jego Miłości ¹⁾ o rewizyą; której, iż mi z pewnych przyczyn nie wydano, a wiedząc, że mię minus amice wspominał na wielu miejsc, aby mię nie rozumiał za vivum cadaver, którybym się poczuwać w krzywdach i urazach swych nie miał, ozwałem mu się tym listem, który Waszej Miłości posyłam, prawdziwie nie inszego, pisząc go, nie myśląc, jedno aby wiedział, żem żyw i czuję się; o zelzeniu jego nie myślałem da Bóg, i wiedząc nadto uszy jego, że prawdy nierady słuchają, takem moderował, że gdzien mu prawdę i zbrodnię jego przypomniał, zarazem apostrophę do niego tanquam delinimentum jakie uczynił, nie życząc sobie, a nie myśląc o tem, aby mi z nim do takiego zaciągu, jaki się już stał, przyjść miało. Na list mój, jako plugawie odpisał, kopią W. M. posyłam, gdzie, iż mię w uczciwem mojem zelżył, włożyłem to na powinne moje, rady ich szukając w tem. Przez Jego Miłość pana lwowskiego dałem to znać Jego Miłości; ale, iż Jego M. pism nie widział, nie mógł, albo raczej nie chciał rady swej użyć.

Teraz tedy W. M. naprzód o radę proszę, jakobych in causa honoris mei sobie z tym złym człowiekiem począć miał; więc abys W. M. i ten list mój Jego Miłości oddał, i te pisma ukazał i prosił uniżenie J. Mści, aby mię radą i pomocą swą w tej żalosnej sprawie wesprzeć raczył, i już gdy da Bóg z Lublina u Jego Mści będę, consilium Jego Mści deliberatum zastał. Więc iż ten umysł mój jest tego złego człowieka powabić, abys W. M. formam karteluszu tego raczył concipere, żeby te rzeczy gotowe przy W. M. były. Nie chcę ja z nim słowy certare; modeste, a do rzeczy napisawszy czynić z nim za pomocą Bożą i sprawiedliwością swą będę. Cokolwiek mi W. P. w tem łaski pokazesz, Waszej Miłości wiecznie, a prawie jako ex debito służyć za to chcę, starając się zawsze o to, aby W. M. wszelaką wzajemną i nprzejmą miłość moję in quavis fortuna uznał, którą ja W. Mści i służbami mojemi obiecuję i ofiaruję na wieczne czasy. Z Uchań 6 Julii 1603.

Waszej Miłości uprzejmy przyjaciel i sługa

Mikołaj Daniłowicz.

Memu wielce łaskawemu Panu i Przyjacielowi, J. M. Panu Simonidesowi.

¹⁾ Kancelerza Jana Zamoyskiego.

IV.

Illustrissime et Reverendissime Domine, Domine et Amice charissime, et observandissime.

Impressus est hic Zamoscii liber Dialectices Stoicorum et Dionysii Halicarnassei de Collocatione verborum cum Latina conversione et exemplis Latinis, quae Graecis respondent, nunquam antea conversus. Imprimitur etiam Herennii philosophi Platonici commentarius de Metaphysicis non ita pridem e Graecia allatus. Expetuntur hi libri ab exteris. Bibliopolae urgent, ut illis exemplaria sub proximum ad festum Pentecostes mercatum Lublinum tradantur, ut Francofurtum ad mercatum itidem in Germaniam devehit, et inde per alia Christiana regna spargi possint. Ex iis eum, qui est de Dialectica, ad Illustrissimam Dominationem Vestram mitto tres priores quaterniones; nondum sunt omnes excussi, saltem unus aut alter, ut iudicio Illustrissimae D. Vestrae cognito plures excendantur. Mandante Illustrissima Dominatione Vestra recensuit eos Reverendus dominus Dominus Dominicus theologus. Pertinent hi omnes libri ad honestissimas artes et doctrinas; cum theologia nil commune habent, tantominus cum haereticis. Cum tamen Serenissima Dominatio Vestra conditionem adiecerit sanctioni, qua prohibuit editos hic libros alibi ante decennium recudi, ut ab Illustrissimis Nuntiis imprimendi libertas peteretur, rogo Illustrissimam Dominationem Vestram, ut eam det. Illustrissimus decessor Illustrissimae Dominationis Vestrae Malaspina idem fecit, ut ex Catechismi ¹⁾ quod mitto, exemplo videbit. Bene valere Ill. Dominationem Vestram cupio illique officia mea iterum atque iterum commendo. Datum Zamoscii 6 Maii (1604).

¹⁾ Katechizm ten ma tytuł: Institutio Christiana, ex Officio Beatae Mariae Virginis a Pio V Pont. Max. reformato, Graece, Latine, Polonice. Edita in usum Elementariorum Hippei Samoscien. Samosci Anno Domini M. D. XC. VII. w 8-ce, kart. 15. Aprobata Malaspiny, pomieszczona na odwrotnej stronie tytułu, zawarta jest w tych słowach: Nos Germanicus Episcopus Sancti Severi, Nuncius Apostolicus in Regno Poloniae, vidimus, approbavimus Samoscique imprimendi licentiam dedimus die XXIX Decemb. Anno Domini 1596. Germanicus Episcopus Sancti Severi, Nuncius Apostolicus. Locus Sigilli.

V.

Miłościwy Panie Stephanides.

Uprzejme służby me w łaskę W. M. pilnie oddawszy. Jego Mśc ks. biskup, mój miłościwy pan, raczył mi rozkazać [dopilnować spraw] swych; przybyłem. Mało najrzuwszy do Czernięcina będę zaraz [w Zamościu]. Rozkazał mi też o lekarstwie porozumieć się z I. P. Stanisławem doktorem, którego we Lwowie nie było; odjechał do Warszawy na sejm. Mniemam, że w tych dniach będzie wymijał Zamoście; jeśli pod niebytnością moją wymijał, proszę, zatrzymaj go W. M. imieniem Jego M., a ja interim przybieżę. Ostatek ustnie. Oddaję się powtórę do łaski W. Mci. W Szczebrzeszynie, Anno 1606. Aprilis 22.

W. M. uprzejmy przyjaciel i sługa

Simon Simonides.

VI.

Miłościwy Panie Napiórkowski.

Uprzejme służby me w Miłościwą łaskę W. M. pilnie oddawszy. Za oznajmieniem W. M. zaraz jadę do Zamościa. Wierszyki tamte w drodze poprawiam i sam ich przywiozę. Co ja za nieszczęśliwy sługa, że Ich Mści panów opiekunów w kupie nigdy zajechać nie mogę; bo jeśli i teraz nie dopędzę, co wiedzieć, kiedy się Ich M. doczekam. Wszakże nie wątpię w miłościwym baczeniu Ich Mci. Jeslim zawsze służył i teraz służę i służyć nie odmawiam, że Ich M. będą raczyli mieć oko na rzecz samą i na służby moje, nie na jaką importunitatem wycisnienia nagród i płace. Satis petit qui servit. Mam za to, że i W. M. serce moje bacząc do służb Jego Mci Pana Tomasza, nie zaniechasz mieć rzeczek moich na pieczy. Oddaję się powtórę z służbami memi w łaskę W. M. We Lwowie Anno 1606, Octobr. 23.

W. M. uprzejmy przyjaciel i sługa

Simon Simonides.

J. Mci Panu Tomaszowi Napiórkowskiemu, Podskarbiemu I. M. Pana Tomasza Zamoyskiego należy w Zamościu.

VII.

Miłościwy Panie Wioteski.

Uprzejme służby me w M. łaskę W. Mci pilnie oddawszy. Doszedł już list mój W. M. rano, pisany przez Strzałkowskiego, sługę mego. Obawiam się, aby W. M. chciwości jakiej we mnie nie naganik. Potrzebać-by jej do skromności mojej, bo dworzanin niemowny trudno się pożywi. A ja więc nigdybym tak śmieie o te grosze nie natarł ustnie dla wstydu wrodzonego; karta się mniej sroma. Powtarzam tedy prośbę moję; jeśli mię ta trocha pieniędzy ma dojść, niech-by teraz doszła, i dla tego, żebym ją za jednym tym zajazdem rozporządził, bo na tym początku nauk Jego Mci radbym się nie odzywał. List Ich Mci i kwit mój na to będzie W. M. miał zaraz, skoro Zamościa nogą dotknę. Pan doktor Birkowski utyskuje też o swoje sto złotych, którem mu winien; niechby mu z tej sumy oddane było. Nie wątpię nic o łasce W. M., że w tej mierze uprzykrzenia dalszego nie będziesz W. M. raczył potrzebować. Bardzo żałuję, że nie był w Zamościu pod bytność Jego M. Pana Gnieźnieńskiego; zaczytałem się nad jakąś księgą i tak mi Zamoście z myśli wyleciało; a mogłem się między W. M. wybornie stawić, bom tu w Czernięcinie mitręgował. Rad wszakże słysząc, żeście W. M. ten akt pięknie odprawili. Chędogo i to, że starzy słudzy byli; trzeba ich wciągać, żeby się o pana często ocierali, bo i to do statku nielada hamulec. Pan Komorowski pisze mi, że coś o rzeczach mych pilnego miał ze mną mówić. Czyli to na mię szturm jaki? Już mnie ten nie nowina. Podobno ode mnie poczną, jako od najpłoszego; by tylko chędogo powiedli; wszakem ja nie twardej gęby. Proszę, list mój prześlej W. M. do niego per occasionem. Na weselu życzyłem W. M. taneczku, ale jeszcze podobno bronatnina nie dopuści. Wytrzeszczaj W. M. oczy, abys mi W. M. historie umiał prawić. Już ja z W. M. samowtór dosyć wesół będę. Oddaję się powtórę do łaski W. M. W Czernięcinie Anno 1609, Junii 24.

W. Mci uprzejmy przyjaciel i sługa

Simon Simonides.

Memu Miłościwemu Panu i przyjacielowi Jego Mci Panu Stanisławowi Wioteskiemu, Podskarbiemu JMci Pana Tomasza Zamoyskiego.

VIII.

Simon Simonides Thomae Zamoscio Capitaneo Crisinensi S. D.

Aetatem meam ad senium vergentem, tuam nunc primum ex pueritia excedentem dum considero, video vel morbis vel morte vel annorum defatigatione aut nullo aut exiguo usui me tibi deinceps futurum, quamquam quoad vivam et quoad potero omne genus officii tibi praestabo, et prius ipse deficiam quam tibi uspiam deero. Tamen vel si me careas, ut tibi ex me aliquis praesto sit, qui vices meas suppleat, curo atque in hanc rem Casparum Solcium sororis meae filium educo, nempe quod ego olim parenti tuo fui, quodque nunc tibi sum, ille ut post me tibi sit. Dum tu in flore aetatis consistes, ille inter viros erit: ita aevum vestrum congruet. Optimis disciplinis et litteris elegantioribus satis illum videor initiasse; moribus est honestissimis, ingenio mansuetissimo, animo officiosissimo. Nunc ad graviores disciplinas capessendas, ad vitam atque mores hominum inspiciendos et cetera quae ex peregrinationibus acquiruntur illum mitto; universam Europam ut perlustret anctor illi sum; decennii spatium, quo curriculum hoc absolvat, praescriptum habet. Nunc illum tibi iam dedo atque rogo, ut ex manu mea tanquam me alterum suscipias. Postea ipse virtutibus suis obtinebit, ut tibi acceptissimus et addictissimus sit. Bene vale. Cernencini anno 1609. Julii 11.

Wielmożnemu memu Miłościwemu Panu Jego Mci Panu Staroście Knyszyńskiemu.

IX.

Miłościwy Panie Podstarości Lubelski.

Uprzejme służby me w Miłościwą łaskę W. M. pilnie oddawszy. Gniewam się na W. M.; zgañiłeś nam W. M. nasze panię; inaczej my o sobie; a chcesz W. M. nagrody za zasługi? Wskrześ-że sobie onego Piotrowina, cośmy mu służyli. Teraz nowy pan, nowy świat; starzy za ścianę. Chciałeś to W. M. widzieć onego surowego, twardego, ociętnego starca, albo takiego, jakiemu teraz W. M. podstarościujesz? Kup sobie W. M. okulary, coby przez nie patrzeć na lat ośmnaście. Ja na się prawdę powiem, gdym teraz był w Zamościu, nie zdało mi się Zamo-

ście Zamościem: wszystko teraz cudnie i wesoło. Nie onego świata obyczaję. Ale my posemki, kwasigrochowie, chcemy mieć rok bez wiosny, młodość bez szaleju. Niechaj się kurzy. Absumet heres Caecuba¹⁾. Dobrze i nasz; worki tylko zliczy, ba i nie zliczy; cóż po liczeniu? Musi się ten moszcz przeburzyć, potem się ustoi. A ja tuszę, że się chędogo ustoi. Podszaleć musi rozum, potem do siebie przychodzi. Któż w młodości nie durował? Tknij się sam W. M., a porachuj z laty pierwszemi. Siła trzeba dać o (nabycie) tej nauki, nim się rządów takich nauczymy, jako nieboszczyk był, albo jako to W. M. i Jego M. pan sędzia; co to W. M. do niego z flaszką posyłasz, za co gdybym czyśćcem władał, nie wypuścił-bym go z niego. Jeszczeż to podstarościemu lubelskiemu wina głód w Lublinie, kędy Kokot i łososie świeże posyła? Aleśmy się już podobno nauczyli nie brać jedno co w rękę, a w papierku, albo całym workiem. Witaj mi i to na panu sędzim, a on chocia i widzi i rozumie, przedsie daje nieborak i śmieje się, jakoby wygrał, a W. M. przedsie rwiesz, jako niegłupi. Znać ćwiczenie dworu naszego, ut Theophrasti discipulum possis cognoscere. Minąwszy żarty, onę rozmówkę o naukach synaczka W. Mci radbym do skutku przywiódł. Nie wiem, kiedy mi W. M. rozkaże do Lublina nadbieżeć. Teraz lekarstwy się zabawiam, chociaż to już canicula. Chce mi się z czoła odwiązać onę binde, z którą acz mi dobrze, ale, iż nie chędogo, jeszcze chcę, aby było chędogo, abym się zszedł do wesołego dworu. Zarzucam W. M. wierszykami; jeśli je W. M. godne przeczytania Jego Mci pana starosty lubelskiego, mego Mciwego Pana osądzisz, racz je W. M. Jego Mści per occasionem poddać. Jako się teraz pieniądze kręcą skarbowe, albo jako się wszystko kręci, słyszysz W. M? Co W. M. rozumiesz, jaką materyą mam do rozpostarcia onego skryptu, którym obiecał o położeniu liczmanów? W wielkie mię zawody polityckie zawiodło to piórko; przyjdzie go nie ukazować temu światu; sami między sobą damy mu się przeleżeć. Alić o tem ustnie. Oddaję się powtórę z służbami memi do łaski W. Mści. W Czernięcinie roku 1613; Junii 29.

Waszej Mści uprzejmy przyjaciel i sługa

Simon Simonides.

Memu Miłościwemu Panu i Przyjacielowi, Jego Mści Panu Bartoszowi Kazanowskiemu, Podstarościemu Lubelskiemu.

¹⁾ Horat. Od. II, 14, 25.

X.

Miłościwy Panie Oleśnicki.

Uprzejme służby me w Miłościwą łaskę W. M. pilnie oddawszy. Wyrozumiałem z pisania do mnie Jego Miłości Pana Starosty Knyżyńskiego, mego Miłościwego Pana i Dobrodzieja, żeś W. M. rozmów onych naszych Czernięckich o drodze Jego Mści przed Jego Mcią przypominać nie raczył. Zaczem Jego Mść jakoby znowu upomniał się ich u mnie. Acz to rzecz barzo trudna w takiej odległości radę dawać, gdzie każda godzina nowe okoliczności przynosi, i z łaski Bożej jest W. Mści przy Jego Mci grono chędogich ludzi, którzy możecie Jego Miłość na wszelkich placach do pańskich i poważnych postępów prowadzić, więc i sam Jego Mść dary Bożemi jest tak hojnie opatrzony, że świetnie i jaśnie stawać wszędzie może: wszakże iż uprzejma życzliwość moja u Jego Mści cenę swoją ma, dotknę tylko dla pamięci W. M. niektórych rozmowy tamtej punktów. Pierwsza rozmówka nasza była podobno z utesknienia mego po Jego Mci, że-bym był na tę przejażdżkę Jego Mci nie bardzo drogę ukazywał, mając przed oczyma tak postronne, jako domowe lubo nieprzyjaźni, lubo niebezpieczności, na które natrącać się osobie Jego Mci wielka, a mało potrzebna przewaga. Przytem przerwanie zaczętej sławy, oderwanie się od służb ojczyzny, zaniechanie dozoru domowego, który, według starej przypowieści, daje się niedobrze piastować cudzej ręce lekkiej, ale nieużytecznej. Umykać się też przed jakimi zaciągami, albo kosztom chcieć ufolgować nie wiem, aby takimi sposoby zeszło się. Gdyż i na zaciągi trudno kogo poniewalać, i siła jest pretekstów do wymówek uczciwych, i koszty niemałe, ledwie nie większe, niżli domowe ukazują więc podróżne rejestrzyki. A tymczasem i w domu niewiele worków zawiążemy. Przeto i z tych i z innych miar życzyłbym był albo nie zaczynać tej przejażdżki, albo co prędzej nazad. Jeśli o przymóweczki jakie idzie, już zdawna mądrzy ludzie sromowi niepotrzebnemu oczy zawiązali. Wszak to nie nowina ustąpić z drogi a kto ustąpi, nie sromota się do drogi wrócić. I teraz-by nic innego nie było: Sam dom Jego Mci barzo a barzo do siebie woła. Potem była ta rozmówka. Jeśli jeździć, nie jeździć kątami, i przypomnieliśmy przykłady wielkich stanów ludzi, którzy murka tego grając, albo wszystko swoje, albo i samych siebie stracili. I zawieraliśmy prawdę onej przypowieści: Jeśliś pan, siadaj za kobiercem, jeśliś pan, miewaj sługi. Potem przejażdżek tych uważaliśmy użyteczność, która dobrze

jest ochrzczona od Homera w jego Ulissesie, bo ten błakając się po świecie siła ludzi, siła miast, siła rzeczypospolitych, siła praw, siła obyczajów widział i przypatrział się im. Kto na świat jedzie, a po to nie jedzie, zwłaszcza syn domu wielkiego, jakoby też wiatr gonął, albo wodę mierzył. Przekładaliśmy sobie i przykłady młodzieńców wielkich domów, którzy czegoś inszego po świecie szukając albo z niczem, albo z ledaczem do domu się wracali, albo i sami poginęli, albo brzydkimi i nikczemnymi w ojczyźnie żyli. Na place tedy wielkie ma się chędogi człowiek stawić, bo w cieniach i kątach nic nie ujrzy, nic nie namaca, jedno albo wstyd, albo swą wolę. O Jego Mci Panu naszym takżeśmy zawierali: Według sławy ojcowskiej i dzielności swej, opowiedziawszy się z przedsięwzięciem swem królowi Jego Mci Panu swemu, że jedzie dla dalszego ćwiczenia w cudze i polerowańsze kraje, aby napotem i Jego Królewskiej Mości i oczywiście godniej mógł służyć, wzięwszy zaletne listy od J. K. Mości, aby naprzód stanął na dworze cesarza chrześcijańskiego i tam przypatrział się dworowi austriackiemu, to jest szukał znajomości u cesarza Jego Mci samego, która pewnieby go ozdobnie potkała, bo lubo tam się na niechęci zarobiło, ale ludzie wielcy nie są tak ścisłego serca, aby cnoty i dzielności i chęci do wszystkiego uczciwego, ile w młodym człeku, chociaż w nieprzyjacielu umiłować i uszanować nie umieli. Tamże znajomości brały-by się z trojga narodu ludźmi, którzy się tam bawią: Z Węgry, z Czechami, z Niemcy; i Hiszpan tam gęsty i Włoch. Więc przebor czynić między ludźmi, aby się leda kogo nie dotykało, to jest tylko bracić się z senatorami wielkimi, z hetmanami wielkimi, z ludźmi rycerskimi i uczonymi, jakich na dworzech pańskich zawsze jest dostatek. Z takowymi wszystkimi i znajomości na potem sławne, i potrzebne, i oczywiście i domowi użyteczne, i ćwiczenie wielkie i nieomyślne.

Przydał-był ja sposób żakowski: nim-by się na ten dwór jechało przeczytać doma *descriptionem curiae Austriacae et historiam*, zkąd ten-by pożytek był, żeby się tam nie gościem i niewiadomym rzeczy przyjechało, ale owszem, było-by zaś o czem i mówić i pisać się, i jako-by ręką spraw przedtem poznanych szukać i dotykać się, skąd-by i *cognitio reipublicae* tamecznej snadnie przyszła i ad *prudentialiam civilium* wielki i prędko przystęp.

Zabawiwszy się tam pół roku i pojednawszy sobie znajomości, in *transcursu* mogło by się wstąpić i do tego i do owego książeństwa rzeskiego, i wejrzeć też w rządy dworów ich, gdzieby się już zastały ojcowskie przyjaźni. Miasta też niektóre porządne nawiedzić. Potem stanąć na Weneckim dworze, który acz jest napół kupiecki, ale przedsię *republica* tamta siła ma wielkich i godnych ludzi, i porządki barzo chędogie. Takowych-że i tam zabaw i konwersacyi za-

żywać, jako i na cesarskim et cum eadem praevia cognitione historiae tamecznej et reipublicae, o czym są także księgi dostateczne. Strawiwszy tam ze dwanaście niedziel, abo więcej, według potrzeby, jachać do Rzymu na dwór papieski; tymże metodem rządzić się tam, jako się indziej opisało. Tam acz książęj większe kupy, ale tam się jakoby wszystek świat widzieć może; i żakowskiego sposobu nie zaniechywać (który na wszelkich miejscach, jako generale praeceptum ma być zachowany), bo też jest opisanie curiae Romanae i historia o Papieżach. Tam pół roku dosyć strawić, nabożne miejsca przytem nawiedzając.

In transitu z Wenecyi mogło-by się wyboczyć do książęcia Florenckiego, gdzie acz jest jakoby tyrannis, ale i dwór wielki, i dostatek porządnym, i rycerski człowiek gęsty. Z Rzymu nie zawadzi Małtę nawiedzić. Ztamtąd na dwór hiszpański; jednakoweż sposoby konwersacyi i znajomości zachowując. Ztamtąd do Francyi, gdzie acz król jeszcze dziecię, ale siła koło niego wielkich i godnych ludzi. Oboje te królestwa wzięły-by także po półroczu. Ze Francyi do Anglii: tamby już było u przyjaciół. Z Anglii Duńczyka nawiedziwszy, do domu się szczęśliwie wrócić.

Gdyby ta przejażdżka tak poszła za pomocą Bożą, rozumiał-bym, żeby się z wielkim użytkiem i ozdobą Jego Mci odprawiła. Inszych okoliczności nie przypominam, które się ex re fori w tej zabawie należeć i upatrzeć mogą. Tu był koniec tej bajki. A ja więc wolałem być plotką, niżli za rozkazaniem Jego Mści zamilczeć.

Oddaję się powtórę z służbami memi do łaski W. Mci. W Czerńcinie anno 1615, Febru. 10.

W. M. uprzejmy przyjaciel i sługa

Simon Simonides.

Memu Miłościwemu Panu i Przyjacielowi Jego Mci Panu Piotrowi Oleśnickiemu ¹⁾.

(Na pieczętce herb Kościesza z literami S. S.)

JÓZEF PRZYBOROWSKI.

¹⁾ Piotr Oleśnicki, herbu Radwan, syn nie Marcina, jak podaje Niesiecki, lecz Łukasza i Anny Zamoyskiej, kasztelanki chełmskiej, siostry Jana hetmana, jak świadczy Paprocki. Herby str. 198 (265 Turow) i genealogia Zamoyskich. Był więc Piotr Oleśnicki cioteczynym bratem Tomasza Zamoyskiego.

NOKTURN.

Nim świt ze srebrnych wybłyśnie wrót.
I trawy uperłą się rosą,
Nim róż purpurą zakwitnie wschód.
I słońce swą twarz złotowłosą
Wykąpie w chłodnej topieli wód,
Nim ptaki swój hejnał podniosą,

Nim kołysana wiatrami łódź
O kwietne potrąci wybrzeża;
Na szyję ty mi ramiona rzuć,
Wiośniana ty moja i świeża,
Ja pierś twą młodą przy mojej chcę czuć
I czuć jak w niej serce uderza...

* * *

Lubieżnym ruchem fala się gnie
I w dali rozlewa się niemej,
Nadbrzeżnych lasów odbija pnie
I złotych gwiazd chryzantemy;
Płyniemy, dokąd? — nie pytaj mnie,
Gdzie nurt nas poniesie — płyniemy.

Przed łódź na wodę gdy rzucisz kwiat,
 Za jego łódź będzie szła śladem,
Za mgłą, co lotnych smugę ma szat
 I mokrych brylantów dyadem,
W zaczarowany płyniemy świat,
 Pod niebem gwiaździstem a bladem.

* * *

Szuwary wiotką podnoszą kiść
 I w cichym szeleszczą pogwarze,
A wodnych lilii szeroki liść
 Rozkłada się w płaskie wachlarze,
Jak gdyby ktoś miał ku nam tu iść
 Po sennym jeziora bezmiarze.

Kto? — nie wiem... Czujesz wilgotny chłód?
 Ptak nocny łopoce się w lesie,
Czernieje nagle zwierciadło wód
 I liść nenufarów tych gniew się...
Po liściach ślizki czy słyszysz chód?
 Ktoś idzie i śmierć może niesie!

LUCYAN RYDEL.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Księga przysłów, przypowieści i wyrazów przysłowiowych polskich.“ Zebrał i opracował Samuel Adalberg. Wydanie z zapomogi kasy pomocy naukowej im. d-ra J. Mianowskiego. Warszawa, 1895, druk E. Skińskiego, str. XVIII i 808 in 4-o.

Z różnorodnych objawów życia ludowego, przysłowia zwróciły najpierw uwagę świata literackiego. Już w XVII wieku, odznaczającym się pewnem nachyleniem w stronę rodzimych żywiołów twórczości, wyszły z druku dwa zbiory przysłów: Rysińskiego i Knapskiego. Od tego czasu gromadzono skrętnie, pośrednio lub bezpośrednio, do skarbnicy: klejnoty myśli i doświadczeń ludu. Zasłużyli się na tem polu głównie Wóycicki, Kolberg, Lipiński, Bartoszewicz, Kraszewski, Darowski, pisarze, zostający w najbliższej styczności z „Biblioteką Warszawską”, a z młodszych: Bystron, Cenowa, Chełchowski, Cinciała, Czaplinski, Federowski, Gloger, Grajner, Gustawicz, Karłowicz, Kosiński, Lubicz, (Łopaciński), Majewski, Matusiak, Nadmorski, Petrów, Piątkowska, ks. Siarkowski, Udziela, Ulanowska, Wierzbiński, Wierzchowski, Wolski, Wrześniowski i inni. Z początku zbierano przysłowia w celu pouczenia lub umoralnienia czytelników, dopiero w najnowszych czasach opracowywano je i objaśniano ze stanowiska naukowego.

Na zebranie w całości i krytyczne ich opracowanie zdobył się pierwszy S. Adalberg, młody pisarz, który dziełem tem przysłużył się dzielnie literaturze ludoznawczej. Z cegiełek, zebranych przez poprzedników, przy wspaniałomyślnej pomocy Ign. Bernsteina, którego księgozbiór przysłowiowy posłużyć może za wzór bibliofilom, na podstawie prac cichych pracowników, których zbiory przysłów zalegają w rękopisach, Adalberg zbudował okazały gmach paremiologii polskiej, czem zjednał sobie rzetelne uznanie, a narodowi otworzył niedostępne skarby myśli i uczuć ludowych.

Podnosząc zasługi autora, było-by niesprawiedliwością pominąć tych, którzy mu tę pracę umożliwili. Należy tu pierwsze miejsce komitetowi kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego za wspaniałe wydanie tej „księgi”, dalej zarządom biblioteki Zamoyskich (Prof. J. Przyborowskiemu) i Kasińskich (Z. Wolskiemu), dr. J. Karłowiczowi, Rafałowi Lubiczowi, prof. A. Kryńskiemu i tym wszystkim, którzy materyalną pomocą ułatwili podjęcie tej olbrzymiej pracy.

Cały zasób księgi p. Adalberga rozłożyć-by można na dwa działy: 1-o przysłowia i przypowieści, ogłoszone drukiem, 2-o czerpane ze zbiorów rękopiśmiennych, lub wprost z ust ludu. Mimo starannego przeźrzenia całego zbioru, zwłaszcza działu pierwszego, w celu usunięcia z księgi przysłów sentencji książkowych, dowcipów i tym podobnych produkcji literackich, pozostało, niestety, dużo jeszcze niepotrzebnego balastu. Z licznych tego rodzaju przykładów wymieniam tylko parę: Znany z pobłażliwości dla swoich przyjaciół, Kajetan Koźmian, przytoczył w swych Pamiętnikach o jednym z Badenich, że powiadano o nich: Grzeczny (rozsądny), jak Badeni. Darowski wciągnął to wyrażenie do kodeksu przysłów, a za nim poszedł p. Adalberg. Sfabrykowano mnóstwo pseudo-przysłów tego kalibru, tak, iż dziś należeć będzie do pierwszych zadań krytyki naukowej oddzielenie ziarna ludowego od tej plewy książkowej. Czyż np. można mówić na seryo, że wyrażenie Lipińskiego: *Rex Henricus* spłatał Polsce psikus, jest przysłowiem ludowym z XVI wieku? Albo, że dowcipny zwrot Krasickiego: o Ryczywole zamilczeć wolę, wszedł rzeczywiście w usta ludu, albo szlachty? Zwłaszcza przysłowia od nazwisk i miejscowości otwierają na oścież bramę dla tego rodzaju fabrykatów. Natomiast wcale niepotrzebnie usunięto ze zbioru naukowego, jakim jest niniejszy, przysłowia „gminne.” Wygląda to tak, jak gdyby p. Adalberg owoc zmudnej pracy naukowej przynosił grzecznym dzieciom na podarek.

Do księgi Adalberga weszło wiele przysłów, wypisanych z autorów polskich XVI—XVII w., z przytoczeniem źródeł i okresów lub zdań, w których przysłowia te były wplecione. Bardzo to cenny materiał; szkoda tylko, że autor nie zawsze czerpał z pierwszej ręki, posłu-

gując się lichemi przedrukami Turowskiego, Wóycickiego, a nawet słownikiem Lindego, encyklopedyami i t. p. P. Adalberg podaje zresztą z całą sumiennością, obok każdego przysłowia, każdej odmianki lub cytaty z pisarzy staropolskich, źródła, z których je zaczerpnął; trudno tylko zrozumieć, dla czego tej zasady nie przestrzegał wobec zbiorów Lipińskiego, Jachowicza, Kapliczyńskiego i „książek nowszych.” Że podawanie i tych źródeł nie jest—jak sądzi autor—bez znaczenia, tego dowodzi pierwszy paragraf krytyki historycznej, uwzględniającej nie tylko „co”, ale i „kto” to lub owo powiedział czy zebrał.

Przystępujemy do sprawy, najbardziej złożonej, t. j. do metody układu przysłów. Adalberg szereguje je w porządku abecadlowym wyrazów, do których treść całego przysłowia się odnosi. Jedynym wyjątkiem od tej zasady jest zamieszczenie przysłów, zawierających nazwy osób i miejscowości pod temiż nazwiskami. Przysłowia, zawierające więcej, niż jeden wyraz główny, wydawca odnosi do pierwszego wyrazu głównego. Następstwem tego układu przysłów złożonych jest ta niedogodność, że ktoś, szukający np. przysłów, odnoszących się do *szlachty*, znajdzie tylko drobną cząstkę zapisanych pod tym wyrazem, reszta rozstrzeloną jest po całej księdze. Celem zaradzenia tej ujemnej stronie układu, p. Adalberg dodał „Skorowidz”, zawierający około 40 tysięcy odsyłaczy i grupujący rozsiane po całym zbiorze przysłowia w pewne kategorie. I tak np., kiedy w „księdze” i jej „dopełnieniach” zebrano 444 przysłowia, odnoszące się do pojęcia Boga, „Skorowidz” dodaje do tej poważnej liczby jeszcze 380 przysłów. Do tego jedynego wyrazu zebrał więc p. Adalberg 824 przysłowia! Mniejszą lub większą ilością wyrazów przysłowiowych wyróżniają się słowa: chleb, człowiek, dyabeł, głowa, koń, pan, pies, rozum, woda, zima, żyd i t. p. Charakteryzuje to i bogactwo zbioru Adalberga, i zakres myśli, czy doświadczeń, w których się lud obraca.

Mimo „Skorowidza”, usuwającego pewne wadliwości układu podług głównego wyrazu, pomimo ostrej, ale pobieżnej krytyki autora we „wstępie” do „Księgi przysłów”, wymierzonej przeciwko układowi „filozoficznemu”, ośmielam się uważać układ materiału rzeczowy za lepszy, choć o wiele trudniejszy do wykonania. Autor mylnie sobie wyobraża, że taki układ musi być „najzupełniej dowolny i nie oparty na żadnych stałych, logicznych zasadach”, że musi być wynikiem jakiegoś z góry ułożonego schematu, zależnego przedewszystkiem od subiektywnego poglądu (układającego), do którego trzeba-by dopiero naginać i nakręcać cały materiał. Wszelki układ, jeżeli jest racjonalnie wykonany, wychodzić musi z danego materiału, który warunkuje rodzaj i zakres działów, a przedewszystkiem układ rzeczowy wpływać musi z rzeczy, t. j. z materiału, i nie może doprowadzać do

„absurdum”, jak się za śmiało wyraża autor, nie mający dość jasnego pojęcia o klasyfikacji nauk i rzeczy w ogólności. Że ktoś przysłowie o rzucaniu grochu na ścianę zaliczył do gospodarstwa, a „pleść bania-luki” do grupy imion pogańskich, to nie osłabia wcale doniosłości i pożytku układu rzeczowego. Ideałem w tym względzie jest zestawienie większej ilości podziałów wedle różnorodnych kategorii. I autor „Księgi przysłów”, widząc niedostateczność jednego układu, uzupełnia go drugim; mnie się wydaje możliwym i korzystnym układ rzeczowy przysłów w „księdze” z indeksem miejsc, osób i t. p. przy końcu dzieła. Mniejsza zresztą o zasady układu tam, gdzie raz obrany układ przeprowadzono konsekwentnie. A właśnie pod tym względem układ Adalberga nie pozostawia prawie nic do życzenia.

Co do objaśnień przysłów, to autor ogranicza się tylko ważniejszymi, zwłaszcza przy przysłowiach historycznych, lub odnoszących się do nazwisk i miejscowości, podaje tylko dotychczasowe wytłómaczenia, nie kusząc się o domysły oryginalne. Odstraszały go znane, mimowolną humorystyką techną, fantazyje komentatorów na temat „Filipa z konopi”, lub „Dosiego roku” (właściwe znaczenie pierwszego przysłowia jest „wymknął się jak zając z konopi”, drugiego: doczekanie przyszłego (do-siego, do tego) roku. I słusznie postąpił autor. Tłómaczenie przysłów i przypowieści wymaga studyów szczegółowych, analitycznych, filologów, historyków, folklorystów i t. p., a jeden człowiek nie może być dziś uczonym do wszystkiego. A i to, co nam dał autor, ułatwia niezmiernie badanie nad przysłowiami. Przeczytawszy którykolwiek wyraz główny, dowiadujemy się od razu całej historii przysłowia: w jakich zbiorach się znajduje, gdzie występuje po raz pierwszy, jakie posiada odmiany, jacy i jak go dawniejsi pisarze używali, wogóle mamy historię powstania i rozwoju przysłowia. A księga Adalberga zawiera około 30,000 tak opracowanych przysłów. Wobec tej, iście benedyktyńskiej pilności, wobec cichej a sumiennej i pełnej wytrwałości pracy Adalberga, przytoczone usterki wydadzą się, jak kurz na posągu: jednym podmuchem strząsniesz je z powierzchni, a dzieło pomnikowe staje przed tobą w całej wielkości. Przed takim dziełem krytyka składa na chwilę broń, ażeby złożyć hołd autorowi, a pracy jego oddać wyraz najwyższego uznania.

DR HENRYK BIEGELEISEN.

Ks. Władysław Dębicki. „Wielkie bankructwo umysłowe.“ Rzecz o nowoczesnym skrajnym sceptycyzmie naukowo-filozoficznym. Warszawa, 1895 r.

Czy można tak bardzo powstawać przeciwko sceptycyzmowi, który zdaje się być nietyle skażeniem umysłu ludzkiego, ile jego przypadłością organiczną? Sceptycyzm,—to żaden interes, według popularnego dziś wyrażenia. Kto-by tam chciał dobrowolnie wpuszczać sobie do głowy żyjątko, które-by mu piękącym dziobem mózg wyżerało. Olbrzym, do którego się taki karzeł dostanie—zgubiony; i najczęściej on też czepia się olbrzymów. Z drugiej strony, i największy nieprzyjaciel sceptycyzmu, jak szanowny autor rozprawy niniejszej, przyznać musi, że gdyby nie ta skłonność umysłu do krytycyzmu (jeden z członków dynastji sceptycznej, a raczej jej protoplasta), ludzkość, pod względem opinii, pozostawała-by chyba wiecznie w stanie naiwności, błogim, ale przeznaczonemu jej niegodnym. Jeden zwątpił o obrocie słońca około ziemi, drugi kierunku odwrotnego dowiódł, i wiedza uczyniła niesłychany krok naprzód: oto skutek sceptycyzmu (*doute méthodique*, Kartezjusza), który tym sposobem manifestuje się, jako zwiastun i warunek postępu w ręku olbrzyma.

Z olbrzymami też ma do czynienia rozprawa autora, wytacza im proces o zniewagę zdrowego rozsądku, i zdaje się całą książką pytać: coście zrobili z nauką? To, w imię rozsądku i interesów społecznych, wystąpienie ks. Dębickiego niektóre organa prasy naszej, ceniące przede wszystkim naukę i postęp, przyjęły ironicznie, lekceważąco, i podały za istną napaść, jakoby na naukę samą; co i nas źle względem książki uprzedziło, tak, iż niechętnie nawet braliśmy ją do ręki, obawiając się znaleźć w niej pamflet wstecznictwa. Z przeczytania jednak inne wynieśliśmy wrażenie. W całej rozprawie autora niema jednego słowa oskarżającego, które nie było-by prawdą, a oskarżenie jest ciężkie. Chodzi tu ni mniej, ni więcej, tylko o to: czy możemy, lub nie, posiadać jakąś pewność o rzeczywistym istnieniu czegoś bądź na świecie (ba! nawet całego świata i własnego ciała), prócz umysłu czyli świadomości? Jeżeli tej pewności nie posiadamy, to czem-żeż my jesteśmy? czy mamy jakie obowiązki względem bliźnich, którzy, niewiedząco, ażali istnieją? czy mamy troszczyć się, pracować, dla jakiegoś celu, który jest mrzonką? czy mamy wywoływać jakibądź ruch, w próżni, w niebycie? Sama wątpliwość co do istnienia świata zewnętrznego była-by już srogą zamieszką, nieszczęściem. A tu nadomiar powiadają nam: wątpliwości niema, oprócz mojego ja, świadomości głuchej, odbywającej się we wnętrzu mej istoty, *wszystko* inne jest *złudzeniem*. Wyciągnę rękę, dotknę czegoś, zaboli mnie coś? to tylko jest wrażenie, zmiana w stanie mojego czucia, ale nie żaden dowód istnienia czegoś po-za

mną;—pokocham? to wskazówka zaszłego ruchu w mojej uczuciowości, nie zaś istnienia przedmiotu, budzącego miłość;—zechcę zmianę w stanie mych wrażeń przypisać przyczynie jakiejś, która nie jest mną? ależ przyczyna, to pojęcie tylko mego umysłu, mara, nie rzecz realna—, to, słowem, co dotychczas zwano światem zewnętrznym, jest tylko częścią nas samych, i niema nic fałszywszego nad mniemanie, iż niezależnie od nas istnieją góry, lasy, miasta i ludzie,"—wszystko to istnieje tylko w naszym umyśle. I taki pogląd na rzecz zowie się w języku szkoły illuzyonizmem, albo solipsyzmem.

Więc to już nie wątpliwość, lecz twierdzenie pozytywne, że wyobrażenie wszelkich zjawisk, po-za umysłem, jest tylko naszym złudzeniem, hallucynacją. Mówią to pijani, czy opętani?.. do szpitala z nimi, takich niema co słuchać. Wcale nie: dowodzą tego myśliciele, znani z dziejów filozofii, albo żyjący z nami współcześnie; myśliciele z najpierwszych szeregów, luminarze świata, zatem tacy, których, chcesz, czy nie chcesz, słuchać musisz.

Musi więc coś być w tem, ale co?

Ks. Dębicki, formułując swój akt oskarżenia przeciwko solipsyzmowi, czyli twierdzeniu, przyznającemu byt realny tylko jednostce umysłowej (*solus-ipse*), z wyłączeniem wszelkich zjawisk świata zewnętrznego,—materiał dowodowy zbiera z całych dziejów filozofii, poczynawszy od greckiego sceptyka Pyrrona, aż do dni dzisiejszych, więc do Spencera, Helmholtza, Dubois-Reymonda, Taine'a i t. p. Szeregując chronologicznie nazwiska i czerpiąc pełną ręką cytaty na poparcie swych oskarżeń, nie uczynił on dostatecznego rozróżnienia, które, zdaniem naszym, ze względu na metodę, uczynić należało. Potrzeba mianowicie odróżnić systematologów od uczonych właściwych, pozytywnych. Może sobie ktoś ułożyć system dowcipny dla wytłómaczenia świata: na podstawie wody, ognia, liczby, *cogito*, substancji, monady i t. d., i spekulacyjnie wyciągnąć z założenia swego pewne rezultaty; będzie to dzieło sztuki, dalej nie obowiązujące, które, jako dzieło nauki, rozsypie się w proch, przy zwaleniu podstawy lub usunięciu jednej fałszywie umieszczonej warstwy cegieł. Jeżeli na tej zasadzie mogą istnieć idealizmy, materjalizmy, panteizmy i t. d., jako systematy filozoficzne, to jest pewne próby, usiłujące drogą czystego rozumowania, na jakie kogo stać, zagadkę świata tłómaczyć, to czemuż pomiędzy niemi niema istnieć i solipsyzm? Jest to bez krzywdy ludzkiej, ponieważ na taki system, rozumujący tylko dyalektycznie, patrzymy jako na gawędę (w szlachetnem znaczeniu), pozornie naukową, często rozumniemi poglądami przesianą, która jednak, istotnie naukowego aparatu nie posiadając, mało się umysłowi narzuca.

Wszak pierwszy nowoczesny, z końca przeszłego wieku, solipsysta, Berkeley (miałem zaszczyt pisać o nim w „Bibliotece Warsz”. jeszcze w r. 1858, nie wiedząc, że go wkrótce tak wysoko jego ziomkowie i nieziomkowie podniosą)—najradykałniej i z potężną argumentacją wywodził, że świat zewnętrzny jest czystą ułudą naszego umysłu: a jednak zgorszenia on nie sprawił, wołania o niebezpieczeństwo nie wywołał, zarówno jak inni, którzy weszli w jego kierunek myśli. Mówiono sobie: o!l! g!ędz!ą... i przechodzono nad ich g!ędzeniem do porządku dziennego. To i dziś nie było-by nawet racji ich budzić. Co innego wszakże, gdy do takich samych konkluzji przychodzą, nie mniej lub więcej dowcipni gawędziarze, tworzący dzieła literackie z natchnienia, budowle systematyczne na piasku, hipotezy aprioryczne, lecz ludzie, pełni nauki specjalnej, pozytywnej, którzy nie tylko rozumują, ale doświadczają, rachują, ważą, mierzą, za warunek pewności podają obserwację zmysłową, przychodzą do wielkich odkryć na ziemi, pod ziemią, na morzu, na słońcu i gwiazdach, a w końcu sami powiadają, że cała ta robota nie warta niucha tabaki, bo wszystko to, co nam podają zmysły, złudzeniem jest, a więc złudzeniem i cały wypadek obserwacji wyrozumowanej. Wtedy istotnie może człowiekowi przyjść myśl rozpaczliwa, prowadząca do obłąku, albo i do fatalnych rezultatów moralnych; a kto ma cierpliwość i odwagę, tak jak ks. Dębicki, wytknąć czy te niekonsekwencje, czy te przewrotności iście wielkich umysłów, i dziś, świeżo, wielkością swą panujących świata, tego praca nie z ironią, nie lekceważąco, ale z poważnem zastanowieniem przyjętą być winna; chyba, że *esprit de corps* coś więcej u kogoś znaczy, niżeli prawda.

Rzeczywiście, nie zasługuje to na najpoważniejsze zastanowienie, jeżeli taki koryfusz nauki najpozytywniejszej, jak Helmholtz, odzywa się:—„Mojem zdaniem, niema sposobu na zabicie najbardziej nawet krańcowego podmiotowego idealizmu, który życie za sen uważać chciał (właśnie, jak Berkeley). Teorię tę można mienić jak najbardziej nieprawdopodobną i niezadawalającą, a ja pod tym względem gotów jestem przywtarzać najsurowszym nawet wyrazom potępienia,—ale konsekwentnie przeprowadzić ją można, i sądzę, że bardzo ważną rzeczą jest o tem pamiętać.” Cóż bardziej wyraźnego i stanowczego nad to, co znowu ogłasza w Halli profesor Max Drossbach, mianowicie, „że zjawiska i ciała świata są *tylko* naszymi stanami umysłowymi, nie mającemi *żadnej* obiektywnej egzystencji; że (uważajmy) całe nasze poznanie świata, *oparte na doświadczeniu*, jest tylko czczym pozorem i oszukaństwem (*leerer Schein und Betrug*)”; i w tym sensie, podnosząc jeszcze dyapazon, rozbrzmiewa w trzech językach cała plejada mężów wiedzy pozytywnej społecznej, przodowników postępu, profe-

sorów uniwersyteckich, autorów dzieł pomnikowych, których tu nazwisk, jako bardzo znanych, nawet nie potrzebujemy przytaczać.

Ks. Dębicki, po przetrząśnięciu mnogich dokumentów, chlubę przynoszącem jego pracowitości i czytaniu się w najświeższej literaturze filozoficznej, nie szczędząc cytat z daty i strony dzieł, uważa to za spiszek przeciwko spokojowi umysłu i sumień ludzkich: czy nie słusznie? Słuszniej może, niż za „bankructwo umysłowe”, lubo i tę swoją denominację mógł-by autor obronić, gdyby był zechciał metodyczniej wejść w znaczenie samego faktu.

Jakoż patrzeć nań trzeba podwójnie: raz ze strony obiektywnej, drugi raz—ze strony możliwego wpływu na społeczeństwo. Próżno to pospolitym umysłem koty drzeć z najwyższemi potęgami umysłowemi; ale niema na świecie potęgi, przed której insynuacją mógł-by niewolniczo uleść umysł niepodległy i niepodległość swą szanujący. Kommunałem było-by dziś powtarzać, iż rzecz *sama w sobie*, w swej istocie, naturze, czy to duch, czy materya, czy kategoria logiczna, nie jest do poznania; chęłpimy się przecież, iż poznajemy jej stosunek czy z nami, czy z inną rzeczą. Pewność nasza absolutna nie sięga po-za granice dedukcyjnego syllogizmu, prawidłowo z zasady przyjętej wyciągniętego. Ale czemuż może być taka zasada, którą przyjmujemy z góry, bez dowodu? Istotnie, tylko wewnętrznym wyrobem świadomości, abstrakcją, definicyą, bez związku z rzeczywistością (całość, równa swym częściom). Świadomość upewnia mnie, że *ja* jestem, ale mi jeszcze nie daje żadnej pewności, że jest *ktoś* lub *coś*,—bez pomocy zmysłów; a przy ich współdziałaniu wkraczamy już w granice nie absolutnej pewności, lecz prawdopodobieństw, na których jednak budujemy indukcyjnie całą naszą wiedzę. I tutaj-to dopiero otwiera się szerokie pole dla sceptycyzmu.

Wiemy, iż to np. drzewo nie jest tem, czem się naszemu umysłowi, przy pomocy tych ubogich pięciu zmysłów, wydaje; ale, doznawszy odeń pewnej modyfikacji umysłu, powiadamy, że jest przecież czemś, że przynajmniej istnieje, a istniejąc, stanowi przyczynę naszych wrażeń. Owóż, zdaje się, że odmawiać mu znaczenia przyczyny uprawnionym nie jest żaden, najradykalniejszy nawet, sceptycyzm, bez zniesienia zarazem subjektu, przyjmującego wrażenie; a wtedy byłby to najzupełniejszy nihilizm, z którego żadna wyobraźnia sprawy sobie zdać nie może. Jeżeli zaś zostawimy jednostkę myślącą (co stanowi warunek solipsyzmu), to w żaden sposób nie możemy pojąć zniesienia rzeczywistości przyczyn, wrażenia jej modyfikujących, a przyrównywanie życia do snu zbyt jest naiwno poetycznem, aby mogło służyć za argument: zanadto jednostajnie śnimy wszyscy, którzy milionami korzystamy z kolei żelaznych i telegrafów, abyśmy nie mieli domyslać się je-

dnego prawa regulującego nasze wrażenia. Jakim więc sposobem ludzie, korzystający tak świetnie z tego prawa, mogą mówić (Helmholz): — „Stany naszej świadomości mają taki przebieg, jak gdyby świat materialny istniał rzeczywiście, lecz po-za to „jak gdyby” nigdy nie przekraczany;” — takiej niekonsekwencji doprawdy zrozumieć niepodobna. Bo jeśli to jest tylko sen, w którym my rodzimy się, dajemy życie, kochamy, nienawidzimy, umieramy, w którym zjawiska wychodzą jedno z drugich, „na mocy pewnych praw stałych”; to albo to czysta igraszka słów, albo ten tak zwany sen ma pewną rzeczywistość, sameż owymi prawami zagwarantowaną, czyli, że sceptycyzm, jeśli nie co do natury zjawisk, to co do ich nie już idealnego, lecz realnego istnienia, zgoła nie jest uprawnionym. Przeczenie temu nie jest jeszcze „bankructwem” umysłu, ale jego najwyższą niekonsekwentnością, bo przeczeniem samemu sobie, nie mówiąc już o przeczeniu wszystkim zdobyczom naukowym.

Ale różnica ta, powiadają, wynika z myślenia filozoficznego. i dlatego filozofowie, rezultatami jego dzieląc się między sobą, jak adepci tajemnic eleuzyjskich plackiem bogini, inne mają racje dla *profanum vulgus*, który, wprowadzając w ciemnocie swej bierze złudzenie za prawdę, ale powinien tak się urządzać i żyć, „jak gdyby” jego złudzenie co do zjawisk zewnętrznych było rzeczywistością. Mamy tedy już dwie logiki: jedną prostą, drugą dyplomatyczną; mamy dwie moralności: jedną polityczną, drugą domową; mamy jeszcze mieć dwie prawdy: jedną filozoficzną, drugą pospolitą? Czas-by było skończyć z tym przesądem. Nie od dzisiaj pokutuje na bibule ta różnica między myśleniem filozoficznym a zwyczajnem; ale jeszcze nikt nie uzasadnił, na czym ono polega. Ja przynajmniej, oprócz stopnia sprężystości, nie widzę różnicy żadnej. Najbieglejszy filozof rozumuje temż samymi narzędziami, co i człek najuboższy w duchu, który w najprostszych działaniach życia posługuje się swoją dedukcją, indukcją, analizą, analogią i t. p.; brakuje mu intuicji, łatwości w ocenianiu stosunków; ależ to tylko różnica w gatunku, nie zaś w naturze umysłu. Dziwna rzecz, iż kiedy nauka dzisiejsza nie chce widzieć różnicy umysłu pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem, upatruje ją w naturze myślenia pomiędzy ludźmi samymi, i to zwłaszcza za przewodnictwem tych myślicieli, którzy z góry potępili wszelki mistycyzm i metafizykę, trzymając się w swych dociekaniach reguł najpospolitszych. Jakież to więc jest narzędzie w umysłach natury filozoficznej, które podaje im rezultaty, wprost przeciwnie tym, jakie wynikają z myślenia powszechnego? Kategoria logiczna, albo, jak u Kanta, różnica między *Verstand* i *Vernunft*, jeszcze nam tego nie tłumaczy.

Przypuściwszy, z drugiej strony, że taka różnica istnieje na korzyść myślenia filozoficznego i że ono przychodzi do pewnej prawdy, to zachodzi pytanie, dlaczego ta prawda ma być ukrywaną przed ogółem. Czy jej się filozofowie wstydzą (jak się domyśla ks. Dębicki), czy może jej się boją?

Wstyd, jak wstyd: już ciż nie bardzo muszą się wstydzić tego odkrycia o powszechnem złudzeniu, jeżeli je głoszą z trybun, z książek (wprawdzie jeszcze nie dla mas). Boją się przedzej. Jakto, boją się prawdy? Inaczej nieco mieli się pierwsi pionierowie chrześcijaństwa względem swojej prawdy: musieli inaczej być o niej przekonani, inaczej ją kochać, bo jakoś się nie bali. Prawda, która się boi zastosowania w praktyce, czy czasem nie jest fałszem, albo obłudą, tak jak obłudnem jest do najwyższego stopnia rozróżnianie pomiędzy materyalizmem, tak nazwanym filozoficznym, a moralnym, skoro moralny daje się wyprowadzić z nankowego wprost, bez żadnego wysiłku, jak tego dowiedzie każdy *enfant terrible*, a jeśli się nie wyprowadza, zależy to tylko od indywidualnej dobrej woli praktykanta, nie od zasady. Tak samo się też rzecz ma z solipsyzmem, za który schronić-by się mógł każdy zbrodniarz, powołując się na powszechne złudzenie, tak jak dziś coraz częściej zbrodniarze chronią się pod egidę niepoczytalności! Nie ma co mówić; z tem powszechnem obłąkaniem i tem powszechnem złudzeniem, na piękne drogi prowadzi nas nauka gabinetowa.

A może ona ma słuszność?.. Może dotychczas świat rządził się fałszywymi zasadami, i dlatego taki on biedny, cierpiący, w ciągłych opałach, że aż mędrcy jego zasadnicze prawdy życiowe, jakie odkryli, chować muszą pod korzec. Ale skoro prawda mocą własną kiedykolwiek z pod korca wyjść musi, to czy nie lepiej-by już wcześniej się z nią uporać i wprowadzać w użycie powszechne; propagandę jej, jak dzisiaj zużytą bojaźń bożą, upowszechniać, poczynając od dzieci: byłby to przecież prawdziwy postęp, bo w imię prawdy odbywany, i nie rozumiem, dlaczego koryfeusz postępu zastrzega się, że „pod tym względem gotów jest przywtarzać najsurowszym wyrazom potępienia.” Jak można w ten sposób burzyć dzieło rąk własnych?

Tego samego jednak zdania jest i ks. Dębicki. Potępia, co gorsza, uważa, iż „wysilać się na zniesienie wszelkiej pewności i wiedzy, jest to z góry pisać sobie samemu świadectwo głupkowatości.” Nie dosyć to jednak potępić rzecz, którą się uważa za szkodliwą, tem bardziej, skoro nie została jeszcze wyprobowana: trzeba nadto zapobiedz jej szkodliwości. Ks. Dębicki przeciwko tak daleko idącemu sceptycyzmowi widzi jedyny środek w wierze, w religii, zwłaszcza katolickiej. Nie miałem ja nigdy i nie mam nic przeciw religii,—i owszem! Uważam tylko, że i religia nie zawsze chroni od sceptycyzmu, i że trzeba

łaski szczególnej, aby znaleźć w niej zawsze broń przeciw wszystkim nieprzyjaciółom wewnętrznym. Z drugiej strony, sędzę, że nieprzyjaciół wtedy tylko pobitym jest dobrze, skutecznie, na głowę, kiedy pobitym jest swoją własną bronią, nie zaś narzędziem obcym. Skrajny sceptycyzm, a właściwie solipsyzm, oparł się na nauce i z niej wyczerpał swe konkluzye; chcąc go zatem odeprzeć, położyć, obezwładnić, trzeba go szukać w jego własnej twierdzy, zdobyć ją i własnymi jego ryszunkami zadać mu śmierć, a wtedy będzie on pokonanym należycie. Otóż czego autor „wielkiego bankructwa umysłowego“ w wyprawie, czyli rozprawie swej, zaniedbał, alarmując tylko raczej, niż szukając w nauce środków ku obronie nauki i jej rezultatów prawdziwych.

Ostatecznie, nie jest znowu tak bezzasadnym i do „głupkowatości“ bezmyślnym ten oburzający autora solipsyzm, który twierdzi, że zjawiska świata zewnętrznego są tylko utworem jaźni: bo przecież można przypuścić, a przynajmniej wyobrazić sobie umysł, który-by nawskroś przejął w siebie cały świat, wszystko; a wtedy obojętną byłoby dla niego rzeczą, czy ten świat istnieje zewnątrz niego, czy w nim; on w każdym razie miał-by go w sobie. Tylko kwestya w tem, że takiego umysłu niema: takim umysłem może być jedynie Bóg metafizyków, stwórca, a zarazem istota świata, wypełniająca sobą wszystko, co istnieje; i o nim też jedynie powiedzieć można, iż zjawiska są tylko jaźni jego utworem. Na tej drodze solipsyzm może być traktowanym poważnie, jako odrostek panteizmu; ale wątpię, iżby myśliciele pozytywni swoje sceptyczne wyrzeczenia pod ten rodzaj zniechęconej przez się doktryny podciągać chcieli; inaczej zaś zastrzeżeń ich, jako prostego nihilizmu, zrozumieć niepodobna. Łatwiej rozumiemy ich zastrzeżenia co do wartości samych rezultatów ich nauki własnej. Jak malarz nie przedstawia na płótnie natury samej, lecz w najlepszym razie jej mniej lub więcej wierne odbicie, obraz; tak i uczony nie chwytając w swą teorię samego zjawiska, tylko pewien jego stosunek do umysłu i zmysłów człowieka, nowy obraz. Jakkolwiek taki rezultat ślęczenia, długich i pracowitych obserwacji, może niezadowolniać uczonych, którzy im bardziej zapuszczają się we wnętrza zjawisk, tem mocniej czują przerażający ogrom tajemnicy niedocieczonej i nieskończonej,— rezultat przecież ten jest czemś względnie tak wielkiem, że radować powinien raczej, niż gnębić sceptycyzmem bezcelowym i, bądź co bądź, dla stosunków ludzkich niebezpiecznym, o co też głównie ks. Dębickiemu chodzi. Bo, jak powiada Byron („Don Juan“ IX, 18):

— „Miło z Pirronem, w rozigrania chwili,
Przepływać błędnej spekulacyi szlaki;
Lecz co, jeżeli łódka się przechyli?!..
Mądrcy, jak wiecie,—to kiepskie pływaki;
Zresztą, pływanie po bezdniach wysili...”

Co innego jest przyrząd, utrzymywany w gabinecie lub pracowni chemika; co innego, rzucony na ulicę pod nogi przechodniom.

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ostatni tydzień ubiegłego marca i pierwszy tydzień kwietnia przeszły pod znakiem Bismarcka. 1 kwietnia obchodził książę ośmdziesiątą rocznicę urodzin. Przyjaciele postanowili z tego powodu urządzić szereg wspaniałych owacy, które były-by wyrazem hołdu, jaki naród składa swemu zjednoczycielowi. Szło im jak najlepiej, aż trafili na przeszkodę. Spotkali ją—ze strony parlamentu. Niektóre stronnictwa, mając żywo w pamięci tę przeszłość, tak stosunkowo niedawną, kiedy musiały walczyć z Bismarckiem, wzbraniały się teraz wziąć udziału w owacych dla niego. Ale organizatorowie owacy nie przypuszczali jednak, że się znajdą w mniejszości, kiedy wniosą kwestyę formalnie i zażądają głosowania. Tak się wszakże stało. Centrum, wolnomyślne stronnictwo ludowe, socjaliści i posłowie Polacy, oświadczyli mniej więcej jednoznacznie, że są przeciwni urzędowemu powinszowaniu, które-by prezes parlamentu składał księciu w imieniu tej instytucji. Na wezwanie Bismarkowców, aby przeciwnicy polityczni pierwszego kanclerza zapomnieli uraz partyjnych, a uczcili w księciu jedynie wielkiego twórcę jedności niemieckiej, owi przeciwnicy odpowiadali, że rozdzielać Bismarcka na dwie połowy niemożna. Bismarck jest jeden. Pomagał on potężnie do utworzenia cesarstwa; ale tylko pomagał. Kiedy zaś w utworzonym już zaczął gospodarować, czynił to źle od początku do końca. Nie należy zasadzać w umysłach mas przekonania, że jedna zasługa rozgrzesza męża stanu z całego sze-

regu późniejszych błędów, że potężnym wszystko wolno i wszystko im do twarzy, i że zasady, o które opozycja walczyła z Bismarckiem, były jednak czemś mniej ważnem od idei, którą kanclerz reprezentował. W danych warunkach były one ważniejsze od owej idei, już urzeczywistnionej, bo sięgały w przyszłość i dotyczyły tego pożytku, jaki społeczność ma wyciągnąć z dokonanych już zwycięzcy.

Przyszło tedy do głosowania i przyjaciele polityczni ks. Bismarcka znaleźli się w mniejszości. Ogarnęło ich zdumienie. Prezes i wice-prezesi podali się natychmiast do dymisji ze swych urzędów. Wilhelm II wysłał do ks. Bismarcka depeszę, w której wyraża oburzenie swoje z powodu uchwały, a w kilka dni potem pojechał osobiście do Friedrichsruhe. Tymczasem parlament wybrał nowe prezydium ze stronnictw anty-bismarkowskich, a więc prezesa i jednego wice-prezesa z centrum, drugiego wice-prezesa z pośród wolnomyslnych. Była obawa, że podczas prezentacji w zamku nowe prezydium usłyszy jakąś admonicyę; z niepokojem oczekiwano, co będzie, na wiadomość, że cesarz zaprosił nowe prezydium na obiad, jaki wydawał w pałacu swoim na cześć Bismarcka. Jeden z wice-prezesów, wolnomyslny, nie chcąc się narazić, wyjechał z Berlina i nie był na owym obiedzie. Ale były to przesadzone obawy i nie spełniły się. Przyjęcie prezydium przez Wilhelma II odbyło się w warunkach najzupełniejszej uprzejmości ze strony cesarza, a obiad przeszedł bez żadnych dla przedstawicieli parlamentu upokorzeń. Im dalej zresztą odchodzimy od tych gorących dni starcia, tem bardziej dla wszystkich jest jasnem, że większość postąpiła mądrze, zdobywając się na odwagę cywilną odmówienia pokłonu Bismarckowi. Oddanie mu powszechnego hołdu wytworzyło-by wielki chaos pojęć i uczuć w narodzie. Przestano-by odróżniać złe od dobrego; utracono-by wiarę w wartość i potrzebę samą walki o zasady w polityce. Hasła i sztandarów, które się przed narodem niesie, nie należy ani na chwilę podawać w wątpliwość, jeśli mają być bardzo szanowane i mocno bronione. A jedno i drugie jest koniecznem, jeśli mają zwyciężać.

O jakie hasła i o jakie sztandary chodziło w tym razie, zbytecznem było-by przypominać czytelnikowi, który śledzi wypadki polityczne. Pozwolimy tu sobie jednak na cytate okolicznościową. Z okazji święta Bismarkowskiego, tygodnik niemiecki, *Gegenwart*, rozesłał do kilkudziesięciu wybitnych pisarzy prośbę, aby napisali pokrótce, „co myślą o Bismarcku“; w liczbie zapytanych był i Henryk Sienkiewicz, którego notatka żywo i prawdziwie kreśli figurę Bismarcka, a przez to pośrednio tłumaczy motywa tych Niemców, którzy byli przeciwni owacyom.

Oto co napisał Sienkiewicz:

„Oczywiście nie mogę zaliczyć się do wielbicieli ks. Bismarcka, ponieważ jednak moralność tego społeczeństwa, do którego należę, wkłada obowiązek, by przedewszystkiem nieprzyjaciół sądzić sprawiedliwie, postaram się wyrazić moją opinię z całą możliwą bezstronnością.

Oddajmy więc kanclerzowi, co jest kanclerskiego.

Jest to wielki polityk praktyczny i jako taki przenosi o głowę swych współczesnych. Gdyby idea zjednoczenia Niemiec nie była przed nim istniała, zapewne nie byłby się na nią zdobył. Nie jest to bowiem jeden z takich twórczych umysłów, które poczynają i rodzą na świat wielkie idee. Natomiast, gdyby nie on, prawdopodobnie zjednoczenie Niemiec było-by dotąd tylko dążeniem, nie zaś czynem spełnionym.

W umiejętności praktycznego prowadzenia i wcielenia w życie myśli stworzonych przez naród, może jeden Cavour mógłby być z nim porównany;—ale popierwsze, Cavourowi przysłała pomoc z zewnątrz, a powtórę, dzieło jego nie wstrząsnęło w tym stopniu Europy i nie wytworzyło takiej potęgi, jak Niemcy. Pod tym względem, rola ks. Bismarcka jest pierwszorzędną. Nieporównany wyzyskiwacz ludzi, rzeczy i okoliczności, obejmował ks. Bismarck istotnie zadziwiający obszar zdarzeń, i umiał nie tylko korzystać z pomyslnych, omijać szkodliwe, ale, co większa, umiał urabiać ze wszystkich podatne tworzywo do swego dzieła.

Była w tem wprost twórczość. Nie on począł ideę, tak jak nie aktor obmyśla postać, którą przedstawia. Ale również jak genialny aktor potrafi w stworzoną przez kogo innego postać wlać swą indywidualną siłę, tak i on potrafił w swem wykonaniu odcisnąć tak indywidualną pieczęć, iż zdziwionym oczom wydawał się nie tylko wykonawcą, lecz i ojcem dzieła.

Nie miejsce tu na jego historję—dość wspomnieć, że poczynawszy od r. 1863, jeżeli nie przez niego, to dla niego, działał się niemal wszystko, co działo się na świecie. Potok spraw europejskich mniemał, że płynie tam, dokąd go prze jego naturalna siła, tymczasem wielki młynarz zwracał go na własne koło i męł mąkę, z której następnie wypiekl taki chleb, jakiego chciał.

Było przytem w jego metodzie coś, co w niezwykle sposób uderzało ludzką wyobraźnię. Godziły się w nim rzeczy, pozornie tak sprzeczne, jak zapamiętałość i przezorność. Bywał jednocześnie otwartym i podstępny. Prawdy nie kochał, ale posługiwał się nią, tak jak inni kłamstwem dla zmylenia przeciwników. Czciiciel siły—wytworzył

siłę. Dzieła dokonał. Wykuł jedność niemiecką młotem, którym nie wahał się uderzać w razie potrzeby i w niemieckie głowy. Imię jego połączyło się z przesławną dla Niemiec epoką. Nic więc dziwnego, że dla Niemców jest i pozostanie w rodzaju Thora i Walhalli, wciele niem niemieckiej sławy, posągiem siły.

Lecz z tego samego źródła, z którego płynęły jego przymioty, wypłynęły i braki. Praktyczny polityk zabił w nim wielkiego człowieka. Im wierniej powodzenie szło w jego ślady, im praktyczne dzieło stawało się większem, tem ks. Bismarck mniej był zdolny zrozumieć, że siła powinna mieć duszę, i to duszę wysoką i moralną—i że w razie przeciwnym stworzona przezeń potęga stanie się tylko zaporą w cywilizacyi i w rozwoju samych Niemiec, czyli rodzajem skały, leżącej na wszechmorzu życia i tamującej drogi tegoż życia. Otóż stać się zawadą jest to skazać się prędzej czy później na usunięcie. Państwo ma prawo dążyć do potęgi, ale musi poczuwać się do obowiązków wszechludzkich. Tymczasem, tam właśnie, gdzie poczynają się te obowiązki, kończył się gieniusz Bismarcka. Ten czciciel Thora nie umiał być dosyć sługą przewodnich moralnych praw ludzkości. Był on przedstawicielem tego czysto pogańskiego ducha, który, bezlitośny i nieubłagany, jak fatum, w stosunkach międzynarodowych znał tylko przemoc.

Wszystko jedno, czy ks. Bismarck powiedział lub nie powiedział „siła przed prawem.“ *Vox populi* przypisuje mu to hasło, widzi w niem niejako treść jego myśli—i widzi słusznie, albowiem było ono niewątpliwie duchem i wyrazem całej jego polityki. I zasadę tę nietylko ks. Bismarck przeprowadził sam, lecz, dzięki niesłychanym powodzeniom, ubrał ją w pozory praktycznej prawdy, upowszechnił ją, narzucił ludzkości i obniżył poziom moralny europejskiego życia tak dalece, jak nie uczynił tego nikt od całych stuleci.

Co-by się teraz stało, gdyby te Niemcy tak potężne stały się jeszcze i dobre? Pytał się z całą prostotą chrześcianina, a zarazem z przestrochą Francuza, pewien francuski biskup, po dymissyi kanclerza. Ale Niemcy Bismarcka nie mogły być dobre.

Bismarck przedstawia się nawet Niemcom tylko w połowie, jako wcielenie siły, w połowie zaś, jako uosobienie najrozmaitszych nienawiści. Czuje to czoło społeczności niemieckiej, i przy całym podziwiewie, jaki ma dla Bismarcka, zarówno instynkt ochronny, jak świadomość wysokich przeznaczeń, mówi jej, że zjednoczenie mogło być wprawdzie dziełem rąk tego człowieka, ale Niemcy na przyszłość nie mogą żyć jego duszą. Wieki chrześciańskiej kultury, niemniej jak zdrowy rozum, mówią głośniejsz od bałwochwalców warcińskich, że ta kul-

tura, którą żyje ludzkość od dwóch tysięcy lat, jest, nawet pozytywnie biorąc, większą i bardziej nieprzepartą od bagnetów.

Zima tegoroczna przygnoiła całą Europę, zajrzała do najbardziej południowych jej krańców. Mieszkańcom krain wiecznego ciepła, zieleni i kwiatów poczyniła spustoszenia, organizmom rozpieszczonym przyniosła śmierć i chorobę. Nawet koleje żelazne, które w swojej gospodarce nie miały nigdy rubryki oczyszczania toru ze śniegu, tym razem ogromnie się zwydatkowały na zaspokojenie tej pozycji. Domy lekkie, przeznaczone tylko dla ochrony mieszkańców od wichrów i gorąca słonecznego, zawały się pod ciężarem śniegu, ludzie we Włoszech marzli na śmierć. Jeżeli zima ta była surowa w rzeczywistości, to o ileż surowiej przedstawiła ją reporterya wszech-europejska! Czytając przez całą zimę codziennie telegramy alarmujące, można było przyjść do przekonania, że wszelkie jestestwa żyjące w Europie wyginą przez mrozy, skoro nawet w Algierze „pociągi grzęzły w śniegu”. Faktem atoli jest, że zachód i południe więcej ucierpiały, niż daleka północ, bo gdy w Finlandyi tylko wróble i wrony marzły w locie, tam—ginęły setki ludzi, nieprzygotowanych ani fizycznie, ani w urzędzeniach gospodarczych, do przyjęcia surowego gościa. Gdyby organizacja statystyczna wnikała we wszelkie objawy życia ludzkiego, gdyby, zaglądając do wszystkich zakątków, mogła się otrząsnąć z fantazyi (jak u nas — głównej podstawy poważnych obliczeń i wniosków), możebyśmy się prze-razili ogromem strat, jakie ludzkość poniosła przez surowość zimy ubiegłej.

Lecz oto zdjęła ona swój ciężar z milionów, uwolniła rzeki, zakute w grube powłoki lodu przez parę miesięcy, i woda, zasilona topniejącymi śniegami, zaczęła czynić spustoszenia w mieniu ludzkim. To doroczna danina mieszkańców nadbrzeżnych. Pobiera ją powszechnie przyroda przez rok cały w różnych postaciach, a ludzie niosą wielkie ofiary bez szemrania, i kto wie, czy najbardziej my, ubodzy, nie jesteśmy niemi obarczeni. O każdej porze roku medycyna, zrzekając się bezpośredniej odpowiedzialności, wysyła po ostateczny ratunek tysiące nieszczęśliwych, dotkniętych chorobami śmiertelnymi,—pod ciepłe niebo, ażeby ich matka natura przytuliła... do ziemi. Ubiegłej jesieni, jak zwykle, powędrowało to ptactwo, z podciętemi chorobą skrzydłami do Meranu, na Riwierę i t. d. po to, ażeby tam ostatkami sił borykać się z surową temperaturą. Podczas gdy sprawozdania meteorologiczne głosiły o śniegach i mrozach w Meranie, z Krymu dochodziły wieści

o łagodnem cieple. Chorzy więc pojechali do miejscowości klimatyczno-leczniczych po to, ażeby w ciasnych, dusznych numerach hotelowych—spędzić cały sezon, gdy w domu mieliby opiekę szczerą, wygody, mniej trudu i wyczerpania sił przez podróż, a więcej przestrzeni w mieszkaniu. Posłuchajmy, co mówi Leon Petit w swojej pracy („Gruźlica i małżeństwo“): „Rzecz ciekawa, iż ludzie bogaci, posiadający tak łatwą możność leczenia się, zamiast stosować środki higieniczne z całym spokojem u siebie w domu, narażają się na niewygody podróży, jadą koleją żelazną do ciepłych krajów, gdy rozporządzali-by w domu wszelkimi środkami higieny w najprzyjaźniejszych warunkach”. Autor w smutnym ale przekonywującym obrazie przedstawia całe niebezpieczeństwo podróży i pobytu w takich miejscowościach kuracyjnych, a więc: przedziały II i I klasy rzadziej dezynfekowane, niż wagony dla bydła, w hotelach lokale umeblowane, do których sprowadzają się przyjezdni, może natychmiast po śmierci jakiego suchotnika; książki, gazety w czytelnich, pokropione płwociną chorych podczas kaszlu i t. d. Stąd wniosek, że nawet nie dotknięci gruźlicą, lecz tylko z płucami zrujnowanymi przez przewlekłą chorobę zapalną, mogą łatwo uleść zakażeniu tam, gdzie dążą dla wzmocnienia.

U nas, zdaje się przed paru laty, dr. Sokołowski zwracał uwagę na potrzebę stacyi klimatycznych w kraju. Słowa te jednak przebrzmiały bez echa, pomimo, że wiele miejscowości krajowych posiada bardzo przyjazne warunki po temu; że gdyby się znaleźli przedsiębiorcy sprytni i rozumiejący—już nie mówię—dobro ogólne, lecz interes własny, mogli-by bardzo pięknie wyjść na urządzeniu takich stacyi, chorzy zaś lub zmęczeni zaoszczędzili-by znaczne sumy, wywożone co rok za granicę, a jeszcze większe — na pokrzepieniu organizmu dla dłuższej pracy produkcyjnej.

W miarę zbliżania się sezonu wakacyjnego, nasi zacni opiekunowie dziatwy ubogiej coraz żywiej się krzątają około zorganizowania pobytu na świeżem powietrzu dla tego drobiazgu, który szczęśliwie prezimował w zatęchłych, ciasnych i bezsłonecznych kryjówkach niżej poziomu ulic lub na wyżynach strychowych. Ale nietylko ta dziatwa obdarta, bosa i zgłodniała zasługuje na pomoc. Wyobraźmy sobie, ile tysięcy jej zostaje w mieście wraz z rodzinami, które, przykute siłą obowiązków i brakiem środków odpowiednich, muszą przebywać lata całe w murach, bez możności wychylenia się za nie, nawet na parę dni. Owe tysiące dziatwy mają w ogrodzie Saskim parę set łokci kwadratowych przestrzeni, zbitej, wydeptanej, na której mieszczą się wraz z niańkami i wózkami, opasane tłumem osób spacerujących i tumanami kurzu, kłę-

biącemi się z pod nóg i sukien. A jednak i ta pięć z odrobiną zieleni jest wielce cenioną; i za nią rodzice są wdzięczni gospodarce miejskiej. Obok tego publicznego miejsca, gdzie wolno działwie napawać się „świeżem powietrzem“, Warszawa posiada jeszcze szczątki ogrodów prywatnych, jako też parę drzewek lub krzewów na podwórzach i ich przedłużeniach, które, o ile nie są zajęte przez zakłady jadalne, służą na użytek lokatorów. Powoli jednak i te resztki znikają, a na ich miejscu rosną trzy i czteropiętrowe kamienice; jednocześnie zaś komitet plantacyjny pielęgnuje zieleni i nadaje jej kształty piękne—na ulicach i koło pomników. Bardzo przyjemne i pożądane dla oka są te wazony uliczne; urozmaicają one choć trochę oschłość miejską. Ale niechże ten komitet rozwinie szerzej swą działalność; niech, solidaryzując nietylko z estetyką, lecz i potrzebami higieny, stara się we wszelki możliwy sposób o zachowanie i uprzystępienie publiczności dość rozległych kilku ogrodów prywatnych, do których nawet sami właściciele, najczęściej nieobecni latem, wcale nie zagląдают. Jeden z takich ogrodów istnieje od dawien dawna zamknięty na rogu ulicy Hożej i Marszałkowskiej. Oko przechodnia chciwie tam przez mur zagłada, ale ten mur dość jest gruby, a brama mocno zaryglowana. Otóż podobno o ten ogród, obszerny i bogaty w zieleni, ubiegają się przedsiębiorcy dla przyozdobienia miasta... wspaniałą kamienicą narożną. Interes bardzo korzystny i prawdopodobnie dojdzie do skutku. A szkoda! Gdyby komitet plantacyjny rozwinął swoje zabiegi, może-by miasto nabyło to ustronie dla działwy, której rodzice chętnie ponieśliby jakiś skromny podatek na jego utrzymanie. Zamożnym właścicielom tej „posessyi“ podobno nawet nie chodzi o zysk, więc jeżeli ogół nie ma odwagi kołatać o darowiznę, to przynajmniej mógłby liczyć na to, że miasto, przy dobrych chęciach, nabyłoby ogród na bardzo lekkich warunkach.

Przypuszczam, że ten mój projekt mniej jest utopijny i fantastyczny, niż wiele innych, które w ostatnich czasach zały nas powodzia, nie mniej gwałtowną od wiślanej. Miejsca nam nie starczyłoby na przegląd tych bujnych, śmiałych pomysłów, które niepotrzebnie zaprzatają głowy i czas ludziom, odciągając ich od pracy produkcyjnej. Ale zaznaczyć muszę z wielu jeden projekt nad projektami — p. Owsińskiego, który ze swym talizmanem dobrobytu kołatał, zdaje się, do sfer ministerjalnych i do towarzystwa rolniczego w Kijowie. Autor chce podźwignąć ziemianstwo z upadku, więc buduje wielki gmach, którego parę cegiełek z fundamentu tak mniej więcej wygląda: Na podścielisku gospodarki rolnej należy stworzyć olbrzymie przedsiębiorstwo akcyjne, obejmujące, oprócz uprawy ziemi, najróżnorodniejsze zakłady przemysłowe, między innymi fabryki sukna, płótna, obuwia maszynowego, gar-

barńie, olejarnie, mydlarnie, młyny, cukrownie, hutysz sklance, fabryki wyrobów porcelanowych i t. d. Ten olbrzymi organizm wytwórczy będzie dążył ku wyzwoleniu się z zależności od rynków wszechświatowych bardzo dziwną drogą, bo przeważnie własnymi siłami ma spożywać to, co wytworzy, a tylko zbywać nadmiar, i to po cierpliwem wy-czekiwaniu cen dobrych. Ażeby spożyć wielką ilość własnych produ-któw, projektodawca proponuje wypłatę robotnikom zarobków w na-turze, t. j. otrzymają oni za swą pracę mieszkanie, żywność, odzież i trochę gotówki, po potrąceniu kosztów wybranych przedmiotów. Do tego przedsięwzięcia olbrzymiego drobne zakłady przemysłowe i go-spodarstwa chłopskie nie są dopuszczane, z wyjątkiem przyległych, przynajmniej 400-morgowych.

Nie potrzeba nawet zbyt wielkich i silnych taranów do skruszenia tego gmachu, po którym zostanie rozbijała fantazyja może nielicznych zwolenników i rozgoryczenie samego autora. Kto się zna choć trochę na ekonomii, wie wybornie, że na wyzwolenie się z zależności od rynków niema dotąd żadnego lekarstwa; że tego, co wytworzy chociażby naj-większe przedsiębiorstwo akcyjne, złożone z licznych fabryk, spożyć samo, z całą armią swoich pracowników, nie może w żaden sposób; że system płacenia w naturze, ścigany przez prawodawstwa, najbardziej jest ślizki i przedstawia najmniej rękojmi rzetelności. Więc „Orga-nizm ekonomiczny“ p. Owsieńskiego, a właściwie syndykat potwornych rozmiarów, który z czasem miałby się stać powszechną gospodarką so-cyalizmu kapitalistycznego, naraziwszy wytwórców - spożywców na niestrawność, musiałby może z większym niż dzisiaj trudem wyszuki-wać rynków zbytu, bardziej podlegać objawom przesilenia i w końcu masowemu bankructwu. Na szczęście cały ten pomysł zawczasu zban-krutuje i, nie tknąwszy życia, rozproszy się w pyłkach bujnej fantazyi. Tkwi w nim wszakże jedna myśl, o której nasi ziemianie powinni zawsze pamiętać i dążyć do jej urzeczywistnienia innemi drogami, niż wskaza-ne przez p. Owsieńskiego. Mianowicie - przez pracę zsolidaryzowaną na-leży zdobywać środki taniej produkcji i ułatwiać zbyt własnych wy-tworów bez udziału pośredników. Sięgnijmy po wzory wyprobowane, przyjrzyjmy się izbom syndykalnym rolników francuskich i starajmy się przede wszystkim taką organizację wprowadzić u siebie. Połączeni w 750 związków, skupiających swoje sprawy w ognisku centralnem, ziemianie francuscy tworzą rzeszę 300-tysięczną, która stanowi poka-źną siłę nie tylko wytwórczą, lecz i spożywczą, z którą wszelkie fabryki i przedsiębiorstwa muszą się liczyć dla zobopólnych korzyści, czynić ustępstwa i przy hurtowych bezpośrednich zakupach dawać towary do-

bre. Z drugiej zaś strony rolnicy w solidarnych zabiegach zdobywają sobie również bezpośrednio rynki zbytu w kraju i za granicą.

U nas dążność w tej mierze zaczyna się w ostatnich czasach przejawiać, więc należy ją podtrzymywać i rozwijać. Sposobność do unikania w pewnym stopniu pośrednictwa kosztownego dają nam sfery rządowe, które stworzyły same na własną rękę zakupy zboża bezpośrednio od ziemian i poleciły w części załatwienie tych transakcji już niektórym kolejom. Jest to fakt niezmiernie ważny, jak również gotowość ministerium rolnictwa do popierania wszelkich spółek ziemiańskich. Słowem, wszystko jest, i nawet na upartego znalazłby się kapitały. Brak tylko najważniejszego — poczucia solidarności, którego nie zrodzą i nie wzmocnią żadne środki ekonomiczne. Dla wytworzenia zaś tego łącznika może trzeba większych zabiegów, niż dla namowy ziemian naszych np. do uprawy jęczmienia browarnego. Niedawno p. M. Natanson pięknie i przekonywająco w sekcji rolnej przedstawił obrazy tego bogactwa, obficie czerpanego przez hodowców zagranicznych, podczas gdy u nas jęczmień odgrywa rolę najpodrzedniejszego ziarna, niemal wyłącznie na użytek domowy. Jednocześnie gatunki browarne są poszukiwane nie tylko przez przemysłowców miejscowych, lecz także i z odległych gubernii Cesarstwa, gdzie klimat nie sprzyja hodowli tej rośliny. Ziemianie nasi jednak nie uprawiają jęczmienia dla użytku browarów, gdyż taki udaje się przypadkowo; nie chcą więc zajmować pól pod zasiew ziarna, które jednego roku może dać plon i gatunek, zdolny na wyrób piwa, drugiego zaś będzie tylko uciążliwym balastem w gospodarce. Otóż p. Natanson dowiódł, że u nas wybornie, przy odpowiedniej staranności, mogą się zaszczyć przednie gatunki jęczmienia browarnego, wyprobowane za granicą. Potrzeba tylko do tego trochę dobrych chęci i cierpliwości. Czy można na nie liczyć?—Niech odpowiedzą fakta, również podane przez p. Natansona: Bardzo czynna i pożyteczna delegacja nawozowa przy sekcji rolnej bada usilnie i sumiennie warunki uprawy różnych ziemiopłodów, przy zastosowaniu nawozów sztucznych z odpowiednią proporcją części składowych. Między innymi przystąpiła ona do prób z jęczmieniem browarnym. Ale ponieważ tylko takie doświadczenia mogą dać względnie szybkie i najplodniejsze rezultaty, które są przeprowadzone w wielu naraz miejscowościach kraju przy odmiennych warunkach, więc delegacja, zaopatrzwszy się w 1500 kilogramów jęczmienia Hanna, rozesała 25 zaproszeń do nabycia nasion i poczynienia z niemi prób. Na to z całego kraju nadeszło odpowiedzi *sześć*. Rezultat ten nie potrzebuje chyba komentarzy i nie może być bodźcem do pracy dla ruchliwych i energicznych inicjatorów wśród rolników naszych. Zdaje się je-

dnak, że tym razem ziarno nie jęczmienia, lecz zachęty z domieszką goryczy, zasiane przez p. N. w umysłach słuchaczy sekcji rolnej, zaczęły kiełkować, dzięki temu, że sami piwowarzy występują z inicjatywą i starają się porozumieć z hodowcami w sprawie racjonalnego wytwarzania niezbędnych dla nich produktów surowych do wyrobu piwa.

Na pocieszenie dorzucmy dodatni fakt z naszej gospodarki ekonomicznej. Oto Towarzystwo Ogrodnicze, przez długi czas bujające w obłokach teorii nad życiem rzeczywistym, zaczyna ujawniać działalność praktyczną, która z czasem może przynieść istotny pożytek nie garstce ogrodników warszawskich, lecz całemu krajowi. Stworzyło ono sekcję handlową, która, jak wnosić należy, zajmie się pośredniczeniem w zbycie produktów swych członków, wyszukiwaniem rynków, dostarczaniem fachowców i t. d. W ten sposób wykazawszy swoją żywotność, stanie się instytucją nie warszawską, lecz wszechświatową, przyciągnie z prowincyi licznych członków i tem samem wzmocni swe siły materialne, które pobudzą Towarzystwo do szerszej i żywszej pracy. Takie są nasze nadzieje i chcemy wierzyć, że nie będą zawiedzione.

W ostatnich tygodniach śmierć zabrała kilku pożytecznych pracowników z niwy naukowej i artystycznej. W Berlinie zmarł Jerzy Giżycki, niezmordowany szerzyciel „filozofii moralnej“ i „kultury etycznej“. Kaleka, złamany wiecznym paraliżem, przez lat siedmnaście jeździł na wózku do uniwersytetu, ażeby tam z katedry szerzyć swoje zasady. Duch, pobudzony ideją szczęścia powszechnego, nie dał się przygnieść bezwładnością ciała do ostatniej chwili życia ziemskiego. Giżycki, oprócz wykładów publicznych i uniwersyteckich, oprócz działalności publicystycznej we własnym organie, napisał kilka dzieł, z których największy rozgłos zyskały „Zasady etyki“ (rozszerzone później pod nazwą „Filozofii moralnej“). Jemu także zawdzięcza istnienie „Towarzystwo niemieckie kultury etycznej“.

Dnia 27 Intego w Krakowie zmarł Maryan Aleksander Baraniecki, profesor i autor wielu prac matematycznych. Będąc jeszcze słuchaczem Szkoły Głównej w Warszawie, wykazał zdolności niepospolite w rozprawie p. t. „Teorya związku między pierwiastkami funkcji pierwotnej i jej pochodnych“. Po skończeniu wszechnicy warszawskiej, udał się do Lipska, gdzie zdobył dyplom doktora filozofii, a następnie w Moskwie obronił rozprawę p. t. „O funkcyach hypergeometrycznych“ i złożył egzamin na stopień magistra czystej matematyki. Tam także przez pewien czas wykładał w szkołach prywatnych. R. 1878 w War-

szawie otrzymał katedrę uniwersytecką, jako docent prywatny, i tu wykładał rozmaite części algebry i analizy algebraicznej, których pewne grupy wydał w obszernem dziele p. t. „Teorya wyznaczników“ (kurs uniwersytecki, Paryż 1879). R. 1885 objął katedrę matematyki w Akademii Jagiellońskiej. Niezmordowany w pracy pedagogicznej, uczony nasz był także niespożytym i płodnym jako pisarz. Obok prac pomniejszych, zamieszczonych w „Pamiętniku nauk ścisłych“ w Paryżu, napisał „Arytmetykę“ i „Algebrę“, ułożył plan wydawnictwa „Biblioteki matematyczno-fizycznej“, popierał ją szczerze i napisał dla niej „Arytmetykę“, która się doczekała dwu wydań (r. 1884 i 1894), oraz „Teoryę przecięć stożkowych“ (1885), i nie poprzestając na ofercie własnej pracy, zachęcił innych specjalistów do zasilania tego pożytecznego wydawnictwa. Dzięki temu, literatura naukowa wzbogaciła się wielu pożytecznymi książkami. Baraniecki dużo pracował także nad zabytkami piśmiennictwa matematycznego polskiego i w tym zakresie między innymi opracował krytycznie i wydał „Algorytm“ Kłosa, najstarszy ze znanych podręczników arytmetycznych w języku polskim. Wreszeie dla użytku szkół galicyjskich zmarły uczony opracował i wydał sporo podręczników matematycznych. Dotknięty najstraszniejszym kalectwem—ślepotą i rozstrojem organizmu, nadmierną pracą wyczerpanego, przerwał w ostatnich czasach swą nieocenioną działalność i zmarł w tak zwanej „sile wieku“, w 45 roku życia.

Z niwy artystycznej ubyło nam dwóch pracowników. Dnia 7 marca zmarł w Warszawie Andrzej Pruszyński, rzeźbiarz, twórca pięknej figury Chrystusa na krzyżanku kościoła Świętokrzyskiego. Obdarzony niepospolitym talentem, z konieczności warunków życiowych musiał obciąć skrzydła natchnieniu i z twórczości prawdziwie artystycznej zejść na padół wyrobництва, które mu chleb dawało. Założył pracownię dla produkcyi pomników i figur. Ale i tu sztuka zawdzięcza mu jedno: wniósł artyzm do tego rodzaju wyrobów rzeźbiarskich, gdzie przed tem prawie niepodzielnie kwitła banalność i partactwo. Pruszyński urodził się w Warszawie r. 1836. Po skończeniu gimnazjum wstąpił do szkoły sztuk pięknych, a następnie przez kilka lat pracował u Jana Tatarkiewicza i Władysława Oleszyńskiego. Wreszcie, jako stypendysta rządowy, udał się do Włoch, gdzie w rzymskiej Akademii Św. Łukasza otrzymał najwyższe odznaczenie, medal kl. I.

Również w początkach marca zakończył życie Stanisław Prus-Niedzielski, kompozytor muzyczny. Jego utwory, acz nieliczne, zyskały uznanie i wzbogaciły zbiory pieśni. Przemawiają one do słuchacza prostotą i uczuciem, znamionującym kompozytora natchnionego. Jeszcze

świeżo mamy w pamięci konkurs „Lutni“ warszawskiej, na którym melodye ludowe Niedzielskiego zdobyły nagrodę. Między innemi cenne są jego kompozycye dla dzieci. Urodzony r. 1842 pod Stanisławowem w Galicyi, odbył studia artystyczne w Wiedniu r. 1864—5. Zyskawszy dość prędko uznanie, zajął wybitne stanowisko w świecie muzycznym, mianowicie r. 1872 został dyrektorem opery lwowskiej. Następnie był dyrektorem Towarzystwa muzycznego w Krakowie i wreszcie „Lutni“ łódzkiej niemal do ostatnich chwil życia.

Z. P.

Wiadomości bibliograficzne.

Na posiedzeniu wydziału filologicznego Krakowskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, odbytem pod przewodnictwem dyrektora prof. d-ra K. Morawskiego, przewodniczący zdał sprawę z pracy p. Stanisława Schneidra p. t. „O traktacie greckim”: „Czy można mądrości i cnoty nauczyć?”.

Miedzy pismami Pitagorejczyków i Sexta Empiryka dochował się traktat p. t. *Διαλέξεις* (rozmówki na tle filozofii), który krytyka nowsza przysądziła jakiemuś sofście z końca V lub z początku IV stulecia przed Chr. Autor, podawszy treść tych rozmówek, napisanych w doryckim dyalekcie, wykazał, że było ich pięć, jak nagłówki dowodzą, a nie dwa razy tyle, gdyż dwie ostatnie rozprawki dowolnie rozłożono na kilka odrębnych, tylko dla rzekomego braku wewnętrznej spójni. Myśli, metoda i stanowisko niewiadomego pisarza odpowiadają zupełnie Sokratesowym, zwłaszcza w ostatniej rozmówce, która stała się pierwowzorem pod względem formy i treści dla dyalogu Platona pod napisem: Protagoras. Autor, oparłszy się na wskazówkach, zawartych w samym dziele, jako też posługując się Tucydidesem, dowodzi, że *Διαλέξεις* powstały wkrótce po r. 445, że są zarazem najstarszym objawem zwrotu, który zaznaczył się w pojęciach niektórych zachowawców ateńskich po pogodzeniu się Cymona z polityką Peryklesa i nowymi prądami cywilizacyjnymi. Do pomocy przybrawszy sobie t. zw. Xenofontową Politeję ateńską, autor wykrywa dalej zgodność zasad socjal-

no-politycznych pomiędzy nią, a stylowo jej pokrewnemi *Διαλέξεις*, mimo różnicy powszechniejszego w pierwszej połowie w. V doryckiego narzecza. Tradycją i konserwatyzmem pisarza tłumaczy się szczegół, który pisarz o sobie zaznacza, że był uczestnikiem misteryów. Mimo, że był religijnego usposobienia, przejął się on wszakże nauką wolnomysłnego sofisty, Protagorasa, któremu zawdzięcza swój monistyczny po części pogląd na kwestye dobra i zła, piękna i brzydoty, słuszności i niesłuszności, prawdy i kłamstwa, wiedzy i cnoty, zmodyfikowany o tyle, że w przeciwieństwie do dualizmu, wszystko on uważa w praktyce życia utrakwistycznym sposobem za równocześnie dobre i złe i t. d., nie rozdzielając bezwzględnie rzeczy na złe lub dobre i t. p., ani uważając za jedno. Jako współczesne źródło *Διαλέξεις* zbijają teorię socjalno-polityczną Arystotelesa o wystarczaniu sobie państw małych, która odbiła się potępiającym wyrokiem na marynarską i mocarstwową politykę w jego nowo odkrytem dziele o rzeczypospolitej ateńskiej. Filozoficznie zaś ten niepośledni traktat przeczy, jakoby istniał już od samego początku rozbrat pomiędzy sofistyką a kierunkiem obranym przez Sokratesa, który stworzyły sztucznie dopiero dyalogi Platonskie.

Prof. dr. L. Malinowski złożył rozprawę d-ra Maryana Zdziechowskiego p. t. „Karel Hynek Mácha a byronism český“ (Jičin 1895), z upoważnienia Zarządu Akademii Umiejętności ogłoszoną po czesku w przekładzie prof. Jana Vobornika, z uwagami tłumacza i życiorysem autora, pióra prof. Vobornika. Referent podaje także wiadomość o bardzo pochlebnych recenzyach pracy dra Zdziechowskiego: 1) przez prof. Leandra Czecha w czasopiśmie „Naše Doba“ 1893, zesz. II (str. 142—147); 2) przez prof. Fr. Bílego w Věstniku česke Akademie Císaře Františka Josefa pro vědy, slovesnost a umění. (os. odb. str. 1—11).

Następnie sekretarz zdał sprawę z posiedzenia Komissyi historii sztuki, odbytego 7 lutego. Przewodniczący prof. Sokołowski zakomunikał list ks. Norberta Golichowskiego, w którym tenże dawniejsze twierdzenie p. Władysława Łozińskiego, że w XVII wieku lwowscy Bernardyni posiadali cegielnię, gdzie wypalali niebieskie dachówki, objaśnia w ten sposób, że OO. Bernardyni we Lwowie, budując w latach 1610—1620 kościół i klasztor, mogli od miasta otrzymać na własny użytek glinę do wyrobu cegieł i dachówek, potrzebnych przy wspomnianej budowie, lecz dla innych osób klasztor dachówek nigdy wyrabiać nie mógł, gdyż sprzeciwiało-by się to regule zakonnej. Przy tej sposobności ks. Golichowski zwraca uwagę Komissyi, że podług zapisków, zawartych w rękopisie O. Cypryana Damirskiego, dochowanych w klasztorze, zasłużył się we Lwowie w pierwszej połowie XVII wieku jako stolarz i rzeźbiarz brat Paweł z Bydgoszczy. Acta Capitulorum lwowskiego klasztoru podają znowu wiadomość, że O. Benedykt Mazurkie-

wicz uczył się malarstwa najpierw w kraju, u malarza Włocha, pochodzącego z Bononii, około r. 1731, a następnie został wysłany do Bononii dla dalszego kształcenia się w tej sztuce. Ks. Golichowski przypuszcza przeto, że malowidła ściennie w kościele OO. Bernardynów we Lwowie, ukończone przed r. 1738 z powodu beatyfikacji błog. Jana Duklana, są prawdopodobnie dziełem wspomnianego O. Benedykta Mazurkiewicza.

Przewodniczący okazał następnie fotografię laski rzeźbionej z drzewa, nabytej niedawno do lwowskiego Muzeum techniczno-przemysłowego miejskiego, o której była mowa na posiedzeniach lwowskiego oddziału Komissyi.

Prof. Sokołowski okazał fotografię obrazu z XVI wieku, przedstawiającego Zwiastowanie z gładolickim napisem, który znajduje się w Zagórzu pod Sanokiem.

P. Kazimierz Romer z Jampola nadesłał fotografię pięknego rzeźbionego pomnika renesansowego Jerzego Rudominy Dusiatski † 1643, który znajduje się w zrujnowanym kościele farnym w Nowogródku.

Prof. Łuszczkiewicz zawiadomił, że Muzeum Narodowe w Krakowie otrzymało oryginalne kamienne rzeźby, pozostałe z romańskiego kapitułarza w Jędrzejowie, a mianowicie 2 kapitele, wsporniki i klucze sklepienne.

Prof. Zacharyewicz nadesłał rysunki kalkowe orłów, odkrytych niedawno na sklepieniu gotyckiej katedry w Koszycach. Według piśmiennych objaśnień prof. Zacharyewicza, są one malowane al fresco kolorem szaro-czekoladowym i konturowane silną farbą, do czarnej zbliżoną, na tle lazuruwem. Języki brudno-czerwone. Oba te orły, jeden dwugłowy, a drugi jednogłowy, zostały wykonane na pamiątkę podwójnych zaślubin w r. 1507 Ludwika i Anny, dzieci Władysława II Jagiellończyka, z wnukami cesarza Maksymiliana Maryą i Ferdynandem.

Prof. Sokołowski przełożył odpisany przez p. Krasuskiego inwentarz skarbca krakowskiego kościoła Dominikanów z r. 1649, w którym znajdują się nieznane dotąd daty, oznaczające czas działalności Dominikana Wiktoryna, illuminatora ksiąg pergaminowych w XVI w.

Przewodniczący zwrócił uwagę Zgromadzenia, że dr Warschauer z Poznania ogłosił w „Zeitschrift der histor. Gesellschaft in Posen” nowe archiwalne wiadomości o Erazmie Kamynie, a w berlińskim „Kunst-Gewerbe-Museum” publikował nowe nieznane jego wzory, tem dla nas ważniejsze, że opatrzone herbami polskimi. Przewodniczący zawiadomił wreszcie, że Komissya otrzyma wkrótce odpis rachunków, odnoszących się do Willanowa, z tajnego archiwum państwowego w Berlinie.

— Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego z dnia 18 marca, odbytem pod przewodnictwem prof. W. Łuszczkiewicza, prof. dr Stanisław Smolka wniósł rzecz p. t. „Kilka przyczynków do krytyki Roczników polskich XII i XIII wieku.”

Autor odwołuje się do swych wywodów o czasie powstania dawnego Rocznika kapitulnego (Posiedzenie d. 18 lutego) i zastanawia się w dalszym ciągu nad pytaniem, dokąd sięgały zapiski na tablicach paschalnych, które stanowiły główny zrąb najdawniejszej annalistyki polskiej, jak tego dowiódł prof. Wojciechowski. Stwierdza, że te zapiski, układane prawdopodobnie przez kapelanów dworskich, sięgały do roku 1119, a więc mniej więcej do połowy rządów Bolesława Krzywoustego. Jeden ich odpis, pomnożony dodatkami z lat 1092—1122, to tekst t. zw. *dawnego Rocznika świętokrzyskiego*; drugi odpis, zupełniejszy, użyty do kompilacji z roku mniej więcej 1135, (w której skład weszły także t. zw. *Ant. notae Cracovienses* (1027—1082), oraz notaty z lat 1099—1130, zapisane zapewne z pamięci) stanowił główną podstawę *dawnego Rocznika kapitulnego*. Prof. Smolka zwraca uwagę na związek między założeniem tego Rocznika a wykończeniem budowy kościoła katedralnego i ostatecznem uposażeniem kapituły krakowskiej, które, zdaniem jego, miało miejsce za Bolesława Krzywoustego, nie zaś za Władysława Hermana (ob. Smolka, Mieszko Stary, str. 523—529).

Prof. Wojciechowski zaznaczył był na końcu swej pomnikowej pracy: „O Rocznikach polskich”, wydanej w r. 1880 (Pamiętnik Wydz. filol. i filoz.-hist. IV, 233), że annalistyka polska była w XI i XII wieku jeszcze niezmiernie skąpa i uboga, i że dopiero w wieku XIII rozwinęła się bujniej, na co przedewszystkiem wpłynęło ułożenie — zaginionego obecnie — *Rocznika cysterskiego*. To twierdzenie miał prof. Wojciechowski udowodnić w dalszym ciągu swych studyów nad Rocznikami, do których jednak już nie powrócił po wydaniu powyżej wymienionej pracy. Prof. Smolka zajął się tem zagadnieniem i stwierdził: 1) że ten zaginiony Rocznik cysterski istniał rzeczywiście, 2) że nie był on niczem innem, jak właśnie owym zaginionym pomnikiem, którego istnienie on sam wykrył był w swej pracy p. t. *Polnische Annalen bis zum Anfange des XIV Jahrhunderts, Lemberg 1873* (str. 31—51: *Die gemeinschaftliche Grundlage der Annales Polonorum und Ann. Cracovienses compilati*). Autor nie dopatrzył się był tylko wówczas cysterskiego charakteru tego zaginionego pomnika, który uwydatnia się jasno w zapiskach z r. 1149, 1163, 1177. Rocznik ten, pierwotnie cysterski, dostał się w ręce Minorytów, jak świadczą zapiski z r. 1207, 1216, 1226, 1234, 1235, i stanowił następnie główną podstawę annalistyki minoryckiej, która tak bujnie w Polsce się rozwinęła, a w ten sposób

wywarł rzeczywiście niemały wpływ na rozwój rocznikarstwa polskiego w XIII wieku. Autor uważał rekonstrukcję tego zaginionego rocznika za jedną z głównych zdobyczy swej pracy o Rocznikach, dlatego poświęcił temu przedmiotowi osobny ekskurs w dodatku do I rozdziału, zestawiającego inwentarz wszystkich zabytków annalistyki polskiej, jakie były znane w r. 1873; na niej też oparł przeważnie swe wywody o filiacji Roczników polskich XIII wieku. Jeżeli zatem ta rekonstrukcja nie tylko była-by się ostała wobec dalszego ciągu badań prof. Wojciechowskiego, ale miała nawet doznać w nich potwierdzenia, prof. Smolka mniema, że niektóre wypadki dawniejszych jego badań z r. 1873, (zwłaszcza zaś cały IV rozdział *Polnische Annalen* str. 99—134) mogą się utrzymać w nauce obok wypadków pracy prof. Wojciechowskiego; natomiast stwierdza, że wszystko, co w pomienionej rozprawie napisał był o *początkach* annalistyki polskiej, obalone zostało zupełnie późniejszymi badaniami prof. Wojciechowskiego.

— Prof. Dr Bolesław Ulanowski złożył komunikat: „O fragmencie rękopisu, zawierającego Zbiór formuł Arnolda z Procan.”

W piątym tomie *Cod. Dipl. Silesiae* ogłosił słynny dyplomatyk berliński, a wówczas dyrektor archiwum państwowego we Wrocławiu, Wilhelm Wattenbach, obszerny formularz, sporządzony w pierwszej połowie XIV wieku dla użytku duchowieństwa dyecezyi wrocławskiej.

Wydawca rozporządzał jednym tylko rękopisem, znajdującym się w Bibl. Uniw. w Królewcu a pochodzącym z 9-go dziesiątka lat XIV stulecia. Jak Wattenbach trafnie udowodnił, kanonik wrocławski, Mikołaj z Poznania, już koło r. 1378 kazał przepisać dla swojego użytku formularz Arnolda i uzupełnił go następnie szeregiem nowych formuł i aktów. W ten sposób kopia, którą posiadamy, odległą jest od sporządzenia oryginału co najmniej o pół wieku, a nadto niema pewności, czy istotnie rękopis królewiecki wiernie oddaje nam zawartość oryginalnej kolekcji.

Prof. Ulanowskiemu wpadło przypadkowo w ręce 7 kartek rękopiśmiennych, które niegdyś w skład jednego kodeksu wchodziły, a których treść okazała, po dokładnem skontrolowaniu, że mamy do czynienia z fragmentem formularza Arnolda de Protzan. Tych 7 kartek pochodzi z różnych seksternów rękopisu, a nie stanowi jednego ciągu. Rękopis, którego szczątki prof. Ulanowskiemu udało się zdeterminować, najpóźniej sporządzonym został między r. 1360—1370, a więc stoi bliżej oryginału, aniżeli rękopis królewiecki.

Bliższe zbadanie formuł, objętych odszukanym fragmentem, dostarczyło dowodu, że znajdują się w nim i takie, których w kod. królewieckim niema, że więc mamy do czynienia z redakcją odmienną od

tej, którą kazał przepisać Mikołaj z Poznania, z pewnością do oryginalnej bardziej zbliżoną; dowodzi tego również brak rubryk nad formułami, znajdującymi się w naszym fragmencie, gdy przeciwnie w kod. królewieckim późniejsi kopiści nie zaniedbali formuł nagłówkami opatrzyć. Nareszcie podnosi prof. Ulanowski, że po skollacyonowaniu tekstu fragmentu z wydaniem Wattenbacha okazało się wiele wariantów, z których wynika, że tekst królewiecki jest wcale niepoprawny, a rękopis, którego, niestety, najznacniejsza część przepadła, zawierał tekst o wiele doskonalszy.

— Wydział filologiczny krakowskiej Akademii Umiejętności wydał dwudziesty trzeci tom ogólnego zbioru swoich rozpraw (Tom VIII, Serya II) zawierający: *Korne'ego Juliusza Hecka* „Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów na tle stosunków ówczesnego Lwowa”; *Franciszka Krczeka* „Modlitewnik Nawojki”; *Aleksandra Brücknera* „Średniowieczna poezya łacińska w Polsce” (cz. III); *Ignacego Chrzanowskiego* „Facecje Mikołaja Reja”; *Leona Sternbacha* „*Dilucidationes Aesopiae*.”

— „Archiwum Komissyi historycznej.” Tom siódmy, wydany został nakładem krakowskiej Akademii Umiejętności i zawiera „*Bellum Polono-Moschicum ad Czudnow a. d. 1660 expeditum*” wydał dr Wiktor Czermak; „Ustawy cen dla miasta starej Warszawy od r. 1606 do r. 1627”, wydał Adam Chmiel; „Spis ludności dyecezyi krakowskiej z r. 1787”, wydał Józef Kleczyński.

— *Dr Wladislaus Wislocki* „*Acta rectoralia Almae universitatis studii Cracoviensis inde ab anno MDCCCLXIX. Tom. I, fasciculus 3.*”

— *Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie za rok 1893/4* wyszedł nakładem Akademii Umiejętności.

— Firma Gebethnera i Wolffa wydała drugą seryę *Zarysów literackich* Piotra Chmielowskiego p. t. „Nasi powieściopisarze”, zawierającą charakterystykę Józefa Korzeniowskiego, Ludwika Sztyrmera, Ignacego Maciejowskiego (Sewera); Aleksandra Głowackiego (Prusa), Klemensa Szaniawskiego (Junoszy), Mieczysława Burzyńskiego (Czeredy), oraz rzecz o „Debiutach powieściopisarskich z roku 1885.”

— Nakładem księgarni Spółki wydawniczej w Krakowie wyszła Serya III nowel Włodzimierza Zagórskiego (Chochlika), w której mieszczą się: „Terki w Błohowie”; „Kochanka anioła”; „Rodzina mojej żony”; „Jaskółki” i „Hypnotyczka.”

— W małej, ze smakiem ilustrowanej edycji, wydał w Krakowie Leonard Lepszy „Wspomnienia artysty.”

— *Jakób Burckhardt*. „Kultura Odrodzenia we Włoszech”, tłumaczone według III wydania poprawionego przez L. Gesgera — przez L. M. Tom I. Kraków, 1895. Nakład Spółki wydawniczej polskiej.

— *Kazimierz Kaszewski*. „Tragedye Eschilosa” w przekładzie („Siedmiu pod Tebami”, „Prometensz w okowach”, „Ucieczka”, „Persowie”, „Agamemnon”, „Krwawy odwet”, „Eumenidy”). Warszawa. Nakład S. Lewentala.

— *Ks. Waleryan Kalinka*. „Sejm czteroletni.” Tom I. (Części I i II, Księgi 1, 2 i 3). Wydanie czwarte. Kraków. Nakład Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie. 1895.

— Wydawnictwo „Dzieł dramatycznych Williama Shakespeara”, prowadzone przez firmę Gebethnera i Wolffa, doszło już do VIII tomu, w którym mieszczą się: „Cymbelin”, „Tyton Ateńczyk” i „Tytus Andronikus.” Czterech więc tylko tomów brakuje jeszcze do zakończenia całości.

— Wyszedł z druku 154-ty zeszyt „Słownika geograficznego”, zawierający między innymi opracowania: Włoszczowa, Wodynie, Wodzisław, Wołyń, Wojciechów, Wójcin, Wojnicz, Wojsławice, Wojstom, Wojtuszk, Wola.

Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

— *O. Karol Antoniewicz*. „Poezye religijne.” Kraków, 1895.

— *X. J. Łabaj*. „Żłobek, przedstawienie sceniczne na uroczystość Bożego Narodzenia.” Kraków, 1895.

— „Zbawienie zapewnione przez nabożeństwo do Maryi”, przez autora „Anioła Eucharystyi.” Kraków, 1895.

— *Dr Stanisław Ponikło*. „Kilka uwag o napojach wysokowych.” Kraków, 1894.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

PAMIĘTNIK

ks. Jana Nepomucena Kossakowskiego,

biskupa wileńskiego.

(ur. 1755 † 1808).

Rękopis, którego część pragniemy dać poznać czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej“, zasługuje na uwagę z wielu względów. Najmniej znajdzie się w nim nieznanych szczegółów politycznych, chociaż wypadki końca przeszłego i początku bieżącego wieku odbijają się wyraźnie i osobiście w niewydanem tem dziele mówcy, pisarza, wysokiego dostojnika kościoła i pożytecznego obywatela. Wybitniejszą cechą tych po części opracowanych, a czasem tylko narzuconych zapisków jest ich wartość historyczno-obyczajowa i zajęcie, jakie budzi sama postać ich autora.

Ks. J. N. Kossakowski należy przez urodzenie do starej, choć zubożałej szlachty (nie jest krewnym litewskiej gałęzi Kossakowskich, ale jednego z nią szczepu i herbu), wykształceniem sięga najwyższych warstw, sobie współczesnych, a z usposobienia jest literatem, wrażliwym na wszystkie tętna swej epoki.

Pamiętnik jego, bardziej może, niż inne z owych czasów, oddał nam warunki bytu, zajęcia i zabiegi szlachcica polskiego, daje, rzec można, przekrój życia z końca XVIII wieku. Ale nie byle kto i nie byle jak przemawia do nas z kart dziennika; owszem—pisarz niepo-

wszedni i człowiek ciekawy. Ksiądz, bardzo świecki, zapisuje tu uwagi, nacechowane czasem filozoficznym sceptycyzmem; statysta sądzi wypadki i ludzi, a bystry obserwator, umiarkowany epikurejczyk, oportunistą dość zręczny—szkicuje, nie bez wstrzemięźliwego humoru, portrety znajomych, opowiada poufnie swe życie, zarówno wypadki, jak „stany duszy“, upodobania, wrażenia estetyczne, towarzyskie, nawet—kulinarne. Lubi, na przykład, rozmowę z kobietami i kawę; nie zaniedbuje nigdy, obok najważniejszych wypadków, uwiadomić czytelnika o tych widocznie ważnych dla siebie drobiazgach. W tym właśnie poufnym tonie dziennika upatrujemy jego cennosc.

Młody kleryk wyjeżdża do Rzymu, szukając nauki, krescytywy i wreszcie przyjemności. Postanawia zapisywać informacje i wrażenia, żeby zaś je dopełnić, poprzedza dziennik wspomnieniami dzieciństwa i pierwszej młodości. Niezupełnie jednak wytrwał w zamiarze. Dziennik, zaczęty w Rzymie we wrześniu 1781 r., urywa się we wrześniu następnego roku, a dopiero pod koniec roku 1793 Kossakowski, już podówczas prałat wileński, znów rozpoczyna swe notatki i doprowadza je do lipca 1803 r. Są to lata, w których autor nasz został stopniowo koadjutorem inflanckim, prezydentem komissyi edukacyjnej litewskiej i wreszcie (r. 1798) biskupem wileńskim. Z pięciu ostatnich lat życia nie mamy własnoręcznych notat biskupa.

Cały posiadany przez nas rękopis jest własnoręczny, a części jego są rozmaitej natury i wartości ¹⁾. Pierwszą część, najlepiej przez autora wykończoną, ujętą w zupełnie literacką formę, wydajemy niemal całą; z dalszych, o ile się w ramach „Biblioteki“ pomieścić dadzą, usuniemy wiele, albo podamy je w skróceniu, kierując się przy tej robocie względami na przyjemność czytelników i pożytek dla badań historii politycznej lub dziejów naszej cywilizacji. Przerwy i braki w dzienniku postaramy się uzupełnić z innych źródeł. Ażeby zaś tak wydany rękopis nie stracił nic ze swej wartości autentycznego dokumentu, wszelkie przerobienia i wstawki drukujemy odmiennymi czcionkami.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

¹⁾ Części te są następujące: a) pamiętnik, obejmujący epokę od dnia urodzenia, 16 maja 1755 r. do 1781 r. (quarto str. 66), b) dziennik od 1 września 1781 r. do 16 września 1782 r. (quarto str. 51), c) od 1 lipca do 1 października 1793 r. (4-o str. 16 i 8-o str. 14), d) od 1 stycznia 1794 r. do końca lipca 1803 r. bez przerwy (4-o, str. 427). Przerwa od 1782 do 1793 r. nie była nigdy zapełniona przez autora. Końcowa karta manuskryptu z r. 1803 nie wydaje się ostatnią. Może istnieją gdzieś jeszcze karty z ostatnich lat życia biskupa?

Pamiętnik życia mojego zaczęty w Rzymie roku 1782.

Hoc est
Viverè bis vita posse priore frui.
Mart. lib X. epigr. XIII.

Przeżywszy więcej już podobno, niż dni moich połowę i przez różne w młodości szczęścia koleje przyszedłszy do tej najprzyjemniejszej życia mojego epoki, którą tu w Rzymie zacząłem, przedsięwzięję dawniejszą myśl moją przywieść do skutku: wspomnieć sobie upłynione życia mego chwile i przeszłe w niem zdarzenia, czyli te pomyślne, czyli smutne będą, i wszystkie moje czynności, postęпки, zabawy, znajomości, przyjaźnie, same nawet obłąkania i słabości serca opisać.

W tej myśli biorę pióro w rękę, jak ów podróżny, który, ubiegłszy połowę swej drogi i znalazłszy wygodne do spoczynienia miejsce, przywodzi sobie na pamięć przebyte już niebezpieczeństwa i trudy poniesione, zastanawia się, którądy mu iść dalej, żeby mógł na zamierzonym miejscu stanąć szczęśliwie.

Tak nagle upływają dni życia naszego, że człowiek nie spostrzega, jak z młodości do wieku dojrzałego i do starości przychodzi. I kiedy myśl zwraca na wiek swój ubiegły, zdaje mu się, że ledwie żyć zaczyna. Przypominając sobie dopiero rozmaite zdarzenia, jakie miał w życiu swoim, tysiączne w świecie odmiany, których był świadkiem, przypominając w różnych miejscach i okolicznościach strawione swe lata, poznaje na ten czas, że żył dłużej, niż mu się zdawało. Szczęśliwy, jeśli w tych przypomnieniach nie mu nie wyrzuca sumienie.

Z jakim-że uczuciem wspominąć ja sobie będę upłynione dni moje i na co te obróćę, których mi jeszcze Opatrzność dozwoli?

Boże! całe dotąd życie moje składa się z błędów i zdrożności, ale jeśli ich wspomnienie, wzbudzając we mnie żal prawdziwy, posłuży mi do usprawiedliwienia się przed Tobą sądzącym, jeśli miłość moja dla Ciebie nigdy w sercu mojem nie ustanie, jeśli go nieskażę żadną krzywdą bliźniego, rzeknę jeszcze z ufnością: przepuść Panie, przepuść wykroczenia mojej młodości!

Piszę dla mnie tylko samego; jeśli-by jednak jakim trafunkiem kto moje pismo czytał, niechciej gorszyć się, ale korzystaj z cudzej

ułomności i błędów, dziękuj Bogu, że cię od podobnych zachował, a westchnij za dającego ci przestrogę własnem doświadczeniem.

Przystępując do opisanja życia mego, wdzięczność sama wyciąga, żebym rodziców moich wspomniał. Wspomnieć ich tylko mogę i to, com o nich z cudzej powieści słyszał, bom matki mojej cale nie znał, a ojca mego dwa razy tylko w życiu mojem widziałem. Nie wiem z jakiej przyczyny dziad mój, sprzedawszy dziedzictwo swoje na Rusi, przeniósł się w województwo Krakowskie, gdzie ojciec mój, urodzony z Jędrzejowskiej, doskonałą, jak naówczas, odebrał w akademii krakowskiej edukacyę. Oprócz języka łacińskiego, umiał francuski, niemiecki i znał dobrze prawo krajowe. Po skończonej edukacyi w akademii i palestrze, zostawał przy dworze Żaluskiego, biskupa krakowskiego, gdzie miał sposobność poznać w Strawczyźnie Konstancyę Krosnowską, bawiącą tam przy wuju swoim Radońskim, i nad wielu innych, starających się o jej rękę, był upodobanym i przeniesionym.

Mieli trzech synów, z których pierwszy, Jan (to jest ja), urodziłem się r. 1755 d. 16 maja.

Struty mlekiem chorowitej mamki, ledwie żyć, wraz chorować i niszczyć zacząłem. Przez kilka miesięcy byłem leczony przez doktorów krakowskich i tych zdaniem, kiedy już wkrótce miałem umierać, zmartwiona matka moja, nie chcąc patrzeć na śmierć pierwszego swego dziecięcia, odniosła mnie do mojej babki, Krosnowskiej, (z domu Radońskiej), mieszkającej w powiecie Opoczyńskim, w wsi Potoku, i, poleciwszy mnie jej pieczołowitości i modlitwom, napłakawszy się nademną i ucałowawszy po raz ostatni, zostawiła bez żadnej nadziei, żeby kiedy widzieć mnie mogła.

Modlitwy pobożnej babki, odmiana powietrza i domowe lekarstwa nad wszelkie spodziewanie słabe zdrowie moje zachowały. Ucieszeni tą wiadomością, rodzice moi zezwolili, abym się chował przy babuni, która chciała tego koniecznie dla swojej pociechy.

Wkrótce potem umarła matka moja przy połogu bliźniąt, w roku dwudziestym siódmym wieku swego. Co się tam działo natenczas z ojcem moim, który ją kochał więcej nad życie i jej był winien całą swoją szczęśliwość domową!

Z opisanja, wspomniania i własnych listów matki mojej, które dotąd chowam, jak najdroższą część mego dziedzictwa, wnoszę, jak była miłą, wesołą i rozsądną; pisała wiersze, grała na skrzypcach i teor-

banie. Te mając przymioty przy cnocie i pobożności, choć nie miała posagu, (bo jej ojciec, a mój dziad, Krosnowski Adam, stracił cały swój majątek na usługach rycerskich przy królu Leszczyńskim), miała jednak bardzo wielu ubiegających się o jej przyjaźń i rękę, z tych liczby byli: Sobolewski, Turski, Jurkowski, Pruski i inni, w listach jej wymienieni. Ktokolwiek znał matkę moją, nie mógł jej dosyć odżałować.

Co do mnie, kiedy mi mówiono o jej śmierci w wieku, w którym, prócz bólu i głodu, innego nie znałem czucia, anim wiedział, co to jest umrzeć, najmniejszego nie postrzeżono we mnie znaku wrodzonego żalu i, kiedy babunia chciała koniecznie, żebym po śmierci matki mojej płakał, nie mogła tego dokazać inaczej, aż mi wszystkie bawidełka i cacka zabrać kazała.

Po własnem tem mojem doświadczeniu wątpić mi przychodzi, żeby wszystkie nasze czucia i skłonności były wrodzone. Wyjąwszy tę skłonność, którą Twórca dał płci obojej do siebie wzajemną, dla utrzymania rodzaju ludzkiego, inne prawie wszystkie przez wychowanie, zwyczaj i uwagę nabywają się.

Dopiero w lat potem kilka śmierć matki mojej oplakiwałem, gdym poznał moje sieroctwo i stratę. Płakałem po śmierci dziada mego, Krosnowskiego, gdym zobaczył babkę, ciotkę, wuja i dwór cały we łzach i żałobie, gdym widział mnóstwo księży ze świecami, służących, czarno przybranych i poddanych z zapalonemi pochodniami, gromadnie wyprowadzających w nocy ciało zmarłego do Stawna, gdzie był kościół parafialny. Ale ze strachu, nie z żalu płakałem. Jakoż widok ten żalobny czarne i straszne zostawił w umyśle moim wyobrażenie. Zacząłem natenczas uważać, że śmierć zabija ludzi, że straty człowieka więcej niż pieska lub ptaszka żałować należało, widząc, że po śmierci dziada mego wszyscy płakali, a kiedy mi zdechł mój piesek i ptaszek uciekł, wszyscy śmiali się, choć ja płakałem. Zacząłem odtąd lękać się w nocy i obawiać strachów, zwłaszcza, gdy mi powiedziano, że ludzie umarli często chodzą w nocy, a czasem duszą swawolne dzieci.

Różne potem powieści o złych i dobrych duchów pokazywaniu się, o upiorach i strzygach, które w domu babki mojej były codzienną i najmilszą materią rozmów wieczornych, i których tysiącami nasłuchiwałem się, tak daleko pomnożyły i potwierdziły tę we mnie bojaźń, że do dwunastego roku wynisć sam za drzwi w wieczór, ani spojrzeć na trupa nie śmiałem—i ledwie w dalszym wieku uwagą i doświadczeniem, jak fałszywe były te powieści, kiedyś żadnego strachu nie widział, bojaźń tę z siebie wykorzeniłem. I namiętność bojaźni zatem z wychowaniem nabyć i z czasem pozbyć się jej można.

Zachowałem dotąd z listami moich rodziców i krewnych list dziada mego, jeszcze w r. 1758 do moich rodziców pisany, w którym mnie temi słowy wspomina: „Jasienek nasz i WMIPaństwa konsolacya z łaski Pana Boga pięknie się chowa, ściska nogi rodzicielskie; mówiliśmy mu, żeby list pisał, prosto, a rzetelnie odpowiedział: nie umiem, jak się nauczę, to będę pisał.” Żadna starożytność nie jest tak dla mnie miła, jak ten list dziada mego.

Wiek mój dziecinny spędziłem u babki, która mnie z rąk swoich spuścić nie chciała i ledwie pozwoliła mi uczyć się chodzić, obawiając się, żebym nie upadał, nie kaleczył się. Nie ścierpiała jej pobożność, żebym w ósmym roku nie umiał pierwszych początków nauki chrześcijańskiej, ale mój katechizm na tem się kończył, żem umiał przeżegnać się i zmówić Ojciec nasz, Zdrowaś Marya i Wierzę. I to też była cała moja nauka.

Często wuj Krosnowski przypominał babuni czas, żebym się uczył czytać i pisać, ale babunia z gniewem odpowiadała: „Więcej ja, niż WMPan wychowałam dzieci, muszę więc lepiej od niego znać się na wychowaniu; najpierwsze trzeba mieć staranie o zdrowiu dziecięcia, a jak młodocianą latorośl nie łamać, ale pielęgnować, zmacniać w niem siły ciała, a nie targać zbyt wczesną nauką, która tłumi w dzieciach żywość i wesołość, najpiękniejszy ich kwiat i ozdobę i nawet rosnąć im przeszkadza. Wreszcie nie przyszedł jeszcze czas Jasiowi memu do nauk, a po mojej śmierci dosyć jeszcze biedy nacierpi się w szkołach.”

Ostatnie te słowa wskroś mnie przenikały bojaźnią i wprzód, nim zacząłem się uczyć, obrzydziłem sobie naukę i szkoły i tak się ich lękałem, że kiedy ciotka moja chciała mnie poskromić swawolnego lub płaczącego, straszyla mnie książką. O czem dowiedziawszy się babunia, obawiając się, żebym z bojaźni nie zachorował, i mojej ciotce, i wszystkim służącym wspominać mi nawet o szkołach zakazała.

Tym sposobem uwolniony od nauki i szkół bojaźni, pierwsze dni życia mego pędziłem w samych pieszczotach i dziecinnych zabawkach. Najpierwsza była moja zabawka stroić ołtarzyki, łapać ptaki i robić dla nich klatki.

Ojciec mój pisał po kilka razy do babuni, prosząc, żeby pozwoliła mnie odebrać i oddać do szkół krakowskich, gdzie młodszy bracia moi dawno już byli oddani, albo, żeby mnie oddała do szkół piotrkowskich dla bliższej swojej pociechy. Na wszystkie atoli jego przełożenia, tę jedną dawała mu odpowiedź: „Jasienek, jedyna życia mego, będącego już na schyłku, pociecha, zdrów z łaski Boga, ślicznie się chowa i uczy,

ale niema jeszcze tych lat i siły, żeby go oddać można do szkół—i nie możesz mi go WMCPan odebrać, chyba z życiem mojem, jeśli chcesz śmierć mi przyspieszyć."

Dowiedziałem się o tem wszystkim od ciotki i więcej jeszcze, niż szkoły i nauki, zacząłem obawiać się ojca mego. I mimo wszystkie zapewnienia babuni, że mnie ojcu nie odda, spodziewana wkrótce jego bytność niezmiernie mnie trwożyła. Jakoż w kilka tygodni ojciec mój przyjechał. Smutne z nim było moje przywitanie: on mnie wziął na łono i ścisnął, jam ledwie ze drżeniem rękę jego pocałował i zaraz do babuni odbiegłem.

Przecież tyle na niej wyprosił, że obiecała przyjąć do mnie dyrektora, a w dziesiątym roku oddać mnie do szkół piotrkowskich. Po tej rozmowie pozbyliśmy się z babunią wspólnego pieśczoty naszych nieprzyjaciela.

I czemuż wrodzona miłość synowska dla ojca była we mnie tak martwą? Za cóż uprzejme jego obejście się ze mną nie obudziło we mnie tej wrodzonej miłości? Mnie się zdaje, że, gdybyśmy wychowali się i żyli zawsze oddaleni od rodziców i nie odbierali od nich dobrodziejstw, żadnego nie mielibyśmy do nich przywiązania.

Ucieszony niezmiernie z odjazdu ojca mego, powróciłem do ulubionych moich zabawek. Miałem przydanych sobie do usługi, czyli raczej do wspólnej swawoli, dwóch chłopców; z nimi tedy grywałem w krąg, łapałem ptaszki, biegałem w pole i do lasu zbierać jagody i grzyby, kąpałem się, uczyłem się pływać i jeździć konno. Kilka razy małym nie utonął w stawie, kilka razy spadłem z konia i ledwie się nie zabił, wszystko to jednak niewstrzymało mojej swawoli.

Tymczasem babunia, przyrzeczenia swego pamiętna, przyjęła do mnie dyrektora i przykazała mu, żeby mnie nigdy nie łajał i nie bił, pod utratą miejsca. I tak nareszcie w dziewiątym roku, odprawivszy pierwszą spowiedź, zacząłem uczyć się czytać i pisać. Roztropny ten dyrektor (żałuję że nazwisko jego zapomniał) postąpił ze mną właśnie, jak należało z rozpieszczonem i zepsutem dziecięciem: starał się naprzód przypodobać się mi i oswoić mnie z sobą i z elementarzem, sam mnie bawił, łapał dla mnie ptaki, robił klatki i ładne z sitowia koszyki; lecz ani ptaka, ani koszyka nie mogłem mieć od niego, dopókim nie zgadł kilku liter, nie złożył ich i nie napisał na tablicy. Sposób ten udał się mu tak pomyślnie, iż, bawiąc się jak dawniej i zawsze od babuni pieśczoney, nauczyłem się w roku jednym jakożkolwiek czytać i litery pisać na kropkowanym papierze w liniach.

W tym roku uproszony od mojej babki ksiądz Jankowski, pleban nasz Stawiński, dopełnił mi chrztu Ś. Sakrament, bom tylko z wody

wraz po urodzeniu był ochrzczony, i przydał mi drugie imię Gieroncego, biskupa i patrona swego kościoła. Wuj mój, Krosnowski, łowczy naticzas Stężycki, był moim ojcem chrzestnym, a wujenka, pierwsza jeszcze żona jego, z domu Ostrowska, była chrzestną moją matką. Wkrótce potem byłem bierzmowany w kościele naszym parafialnym. W tymże czasie na dopełnienie ślubu, który pobożna babunia, prosząc Boga o moje zdrowie i wychowanie, uczyniła, odwiedziliśmy słynącą cudami Częstochowę, gdzie, po odprawionem nabożeństwie, pierwszy raz widziałem w skarbie kościelnym dyamenty, rubiny, perły i inne drogie kamienie. Byliśmy potem w Łągielnikach dla odwiedzenia ciała błogosławionego Rafała Chylińskiego, którego babka moja znała dobrze za życia. Stamtąd jeździliśmy do naszego krewnego, starosty krosnowskiego, mieszkającego w Krzykosach, blisko Kłodawy. Przejeżdżaliśmy Łęczycę i długi bród pod tem miastem; mówiono mi, że w tym brodzie dyabeł Boruta ma swoje siedlisko.

Pierwsze to moje dwie podróże były tak dalekie, nie jeździłem wprzód nigdzie dalej, jak o milę i dwie mile do kościoła, do ciotek i wujów moich. Odbyliśmy z babunią obydwie te podróże zimową porą sankami i sam maleńkimi saneczkami powoziłem się przez znaczną część drogi.

Nie było większej dla mnie pociechy nad jeżdżenie sankami, kiedy jeszcze sam mogłem się powozić, ale raz o mało nie przypłaciłem jej życiem mojem. Jechałem z babunią do Ostrożny z Potoka odwiedzić sąsiedztwo i sam powoziłem, a że mróz był tęgi, nie mogąc w ręku utrzymać liców, założyłem je na siebie; przypadkiem zawadziwszy o pień, sanki się wywróciły. Babka moja na śnieg wypadła, a mnie zachwyconego w pół licami, ulęknione konie wraz z sankami poniosły. W tym razie tak niebezpiecznym, kiedy konie wlekły mnie i pędem leciały, miałem tyle przytomności, żem westchnął do Boga i wzywałem na pomoc Ś. Antoniego Padewskiego, przypomniawszy sobie, że moja babka szczególniejsze do tego świętego miała nabożeństwo. I prawdziwie cudem Bóg uratował mnie od śmierci. Uderzone o kamień sanki, same naprzód odwróciły się, w największym potem pędzie rozhukane konie stanęły jak wryte; jam się wydobył z pod sanek, i choć potłuczony i krwią zboczony, wsiałem w sanki, skierowałem konie i powróciłem do mojej babuni, blisko o ćwierć mili pozostałej, którą znalazłem na pół prawie umarłą z bojaźni o moje życie, klęczącą na śniegu. Oż jej za radość była, kiedy mnie zobaczyła żywego! Od tego przypadku nigdy nie pozwoliła mi babka moja powozić się samemu, a dotychczas na lewej ręce, najwięcej stłuczonej i zranionej, mam jeszcze znaki.

Odwiedzała często babka swoich sąsiadów i krewnych, a najczęściej swego brata, Radońskiego, sędziego chęcińskiego, podówczas w Stawnie, pisarza Radońskiego w Januszewicach, córkę swoją, Zajączkowską w Trzebiatowie i syna Krosnowskiego w Mniszkowie mieszkających, i zawsze mnie wszędzie z sobą wozila. Przyjechawszy raz do Stawna, znaleźliśmy tam we dworze gromadę chłopów z kosami i cepami, kilku kozaków dworskich ze spisami i służących wszystkich uzbrojonych; w pokojach pełno strzelby, kul, prochu i parkan cały koło dworu obstawiony darnią i słomą, żeby przez nie kule nie przechodziły. I gdy się pytałem ciekawie, co-by to wszystko znaczyło, powiedziano mi, że pan sędzia uczynił całe to wojenne przygotowanie na przyjęcie pana pisarza, rodzonego brata swego, który, rozumiejąc się być pokrzywdzonym w dziele spadłego na nich majątku ojcowskiego, groził bratu zajazdem. W tym panu sędzim wrodzona miłość braterska była bardzo słaba.

Nie lubiłem bywać w Trzebiatowie, gdzie bracia moi cioteczni zawsze mi gadali o szkołach, wołałem bawić się w Januszewicach z ciotkami, a najmilej przesiadywałem z babunią moją w Mniszkowie, gdzie, chociaż wuj mój mówił mi prawdę i przypominał naukę, wujenka, druga jego natenczas żona, z domu Brzezińska, dla przypodobania się mojej babuni, bardzo mi podchlebiała, a kompania siostry jej, Dosi, z którą jednego prawie będąc wieku, razem tam chowaliśmy się, coś miała dla mnie miłszego nad same pieśczęty mojej babuni.

Jużem był zaczął rok jedenasty, już i czas minął, w którym babunia obiecała ojcu memu oddać mnie do szkół, i chociaż ojciec częstemi listami przypominał tę obietnicę, żadnego przecież do jej uskutecznienia nie było podobieństwa. Aż dopiero, kiedy ks. proboszcz i wuj mój, Krosnowski, uczynili babuni skrupuł, że mi swojemi pieśczęty zagradza drogę do szczęścia, nie dając przyzwoitej urodzeniu i wiekowi memu edukacyi, przyrzekła już nieodwłocznie odesłać mnie do szkół. Ostateczną tę obietnicę chcąc wuj mój przywieść do skutku, obawiając się, żeby i ta, równie jak pierwsza, nie poszła z czasem w zapomnienie, sprowadził z Piotrkowa dwóch jezuitów, ks. Krosnowskiego, naszego krewnego, szkół prefekta, i profesora infimy, żebym się z nimi poznał i cokolwiek oswoił. Jakoż przy pomocy obrazków i różnych bawidełek, tyle namową swoją okazali, że, chcąc nie chcąc, i sam już obiecałem jechać do szkół, byle-by mnie odwiozła babunie i przynajmniej pierwsze dwa miesiące ze mną w Piotrkowie zabawiła.

Zaczęliśmy tedy oboje z babunią wybierać się do szkół jesienną porą po skończonych wakacyach szkolnych. Napieczono kilka pudełek

sucharków i pierniczków, ułożono sukienki i wszystkie moje cacka i, po kilka razy wyznaczonej i odłożonej podróży, nareszcie pierwszych dni listopada ruszyliśmy się z Potoka. Aliści, co tylko z pola naszego wjechaliśmy do lasu, zajęć przebiega nam drogę. „Zły znak, zawołała babunia, znak nieszczęśliwej drogi; wróćmy się, wróćmy”—i natychmiast wróciliśmy do domu. Przełęczniona i rozgniewana babka moja wraz spaliła kalendarz, w którym ten dzień krytyczny czerwono był napisany, kilka dni potem chorowała, jam zjadł sucharki i pierniczki. Tymczasem coraz większe nastąpiło zimno, odłożyliśmy zatem aż do wiosny niemiłą dla nas obojga podróż.

Zima zesłała chłopcu na zabawach, strzelaniu z fuzyjki i z łuku. Przyjęty drugi dyrektor uczy go trochę łaciny, ale malec wymawia się często bólem głowy, z powodu którego babunia rozumiała, że był uroczoney, sprowadzała do mnie ze wsi starą kobietę, która się na uroczach znała i oduroczała mnie tym sposobem: w szklankę zimnej wody wrzucała trzy rozpalone węgle i według tego, jak gasły, miarkowała moc uroczenia; szeptała potem jakieś zaklęcia, nacierała mi czoło tą wodą i chustką głowę wiązała.

Na wiosnę po Wielkiejnocy, właśnie w tym czasie, kiedyśmy mieli się do Piotrkowa wybierać, babunia śmiertelnie zachorowała i po dwuniedzielnej chorobie umarła w Mniszkowie, dokąd ją dla większej wygody z Potoka przywieziono. Nie pozwoliła mi wujenka być przytomnym przy śmierci ukochanej babuni, lękając się, żebym z nią razem nie skonał. Jakoż ledwie z żalu nie umarł, gdy się dowiedział, że babka moja już nie żyła; przez dwa dni nic jeść nie chciałem, przez kilka dni i nocy płakałem ustawicznie. Muszę się jednak przyznać, że więcej podobno pieszczot, niż babki mojej żałowałem.

Babka moja, przy swojej starości, była przyjemną i wesołą. Grywała na fleciku, umiała tysiące bajek i wierszy, których opowiadaniem najczęściej mnie bawiła. Jedne z nich jeszcze pamiętam, które miał napisać biskup Dembowski w Smarzewicach, gdzie jest cudowny obraz Ś. Anny.

Proś Matko Córki, a Ty Córko Syna,
By się dostała do nieba Dębina.

Na nie ktoś odpisał:

W niebie ogniem nie palą, nie tam po Dębinie,
Niechaj się tam dostanie, gdzie ogień nie ginie.

I drugie jakiegoś rozpustnika, który świętobliwie życie zakończył:

Żyłem źle, żyłem dobrze, dałem przykład z siebie,
Ot sztuka—zażyć świata, a być przecie w niebie.

Wtenczas, kiedy babka moja umarła, wuj mój starszy, obrany deputatem z Sandomierskiego na trybunał koronny, znajdował się w Lublinie, zostałem się tedy do czasu, póki on nie powrócił, albo ojciec mój po mnie nie przysłał, w Petoku, przy młodszym wuju moim, Krosnowskim, który niedawno przyjechał był do nas z Rusi. Wujaszek ten bardzo był dla mnie dobry, ale żona jego, z domu Łopacka, na nie szczęście moja wujenka, była najnieznośniejszą w świecie kobietą. Rozum, nabożeństwo, złość i dziwactwo razem w niej były zmieszane. Od rana aż do południa mówiła pacierze i wtenczas, gdyby nawet gorzało, do nikogo słowa nie przemówiła; na obiad jedną tylko jadła potrawę, którą sama sobie gotowała; żaden kucharz, ani kucharka dziwacznemu jej smakowi nie dogodziła. Po obiedzie kłóciła się z mężem, z domownikami i mnie dosyć często łajała, w wieczór zaś pospolicie biła różgami dziewczęta i pierze z niemi darła. Najczęściej chodziła w jednej spodnicy i brudnej koszuli. Kiedy mąż prosił, żeby się ubrała,— „Nie warci Mazury,—odpowiadała— żeby ruska dama dla nich się ubierała.” W święta chodziła pieszo o milę do kościoła, chociaż w karcie, którąśmy jeździli, było dla niej miejsce.

Z taką kobietą przymuszony byłem mieszkać razem w jednym domu przez kilka miesięcy, której złość i dziwactwa dla mnie tem nieznośniejsze były, że dotąd w samych rokoszach i pieszczotach żyłem przy mojej babuni. Tak jednak byłem przywiązany do miejsca wychowania i przeszłej, mojej szczęśliwości, że wolałem cierpieć to wszystko, niż jechać do ojca w Krakowskie, ile gdym się dowiedział, że się ożenił mój ojciec, myślałem, że i macocha nie będzie od wujenki lepszą.

Nie ciągle przecież w domu siedziałem; kilka dróg z wujaszkiem w tym czasie odbyłem, z których najdalsza była do Łopacina, o kilka mil jeszcze za Zakroczym, gdzie wuj mój jeździł do brata żony swojej po posag. Jechaliśmy tam na Warszawę.

Nie widziawszy dotąd innego miasta, prócz Opoczna, kiedym pierwszy raz zobaczył Warszawę, zdało mi się, że w zachwyceniu widzę niebieskie to miasto, o którym na kazaniu słyszałem. Żałowałem niezmiernie, że tylko przejazdem je widział.

W Zakroczymie widziałem fabrykę talerzy, dzbanków i garnuszków glinianych.

Powracaliśmy z Łopacina przez Wyszogród, Łowicz i Smarzewice, gdzieśmy trafili na odpust Ś. Anny.

.

Pierwszych dni kwietnia r. 1768 przysłał po mnie wuj mój starszy pojazd z Mniszkowa i pisał do brata młodszego, że chce opatrzyć wszystkie moje potrzeby i oddać mnie do szkół. Nie znalazł mnie ten list w Potoku, byłem naówczas w Januszewicach u dziada mego, Radońskiego. Za powrotem moim zastałem tę wiadomość, która-by w innym czasie niezmiernie mnie była strwożyła, ale natenczas tak mi się były sprzykrzyły dziwactwa naszej rusaczki, że wszędzie gotów był jechać, byle-był razem z nią nie mieszkał. Nie ociągając się zatem bynajmniej, wyjechałem do Mniszkowa.

Znalazłem tam oboje wujowstwo, do mnie przywiązanych, i wszelkie wygody, a coraz miłsze dla mnie bawienie się z Dosią, siostrą mojej wujenki, zastąpiło przeszłe babki mojej pieszczoty. O szkołach nie było ani wzmianki. Po świętach dopiero wielkanocnych, zapowiedział mi wujaszek, żebym się wybierał do szkół. Lubom się tego dawno spodziewałem, nie mogłem jednak ukryć mojego pomieszania i żalu przed wujenką i jej siostrą, którym, jak tylko umialem, zasługiwałem się; a kiedy nie miałem innej zręczności, chowałem kryjomo Dosi chustkę lub rękawiczkę, żebym ją zawsze znalazł, jak zawoła według swego zwyczaju: „Kto mnie kocha, to mi znajdzie moją chustkę.” Mawialiśmy też z sobą razem pacierze, co dzień piętnaście modlitw Ś. Brygity i litanię za dusze zmarłe podług „Zegarka czyścowego”—(tak się nazywała książeczka do nabożeństwa panny cześniówny). Smutne było moje pożegnanie się z niemi; ciesząc mnie, obydwie pisywać do mnie obiecały.

W maju odwiózł mnie mój wuj do Piotrkowa, nie już do jezuitów, jak pierwszy był układ, ale do Pijarów, których sposób uczenia języka łacińskiego miał być łatwiejszy i prędzszy. Przez całą drogę, po odśpiewaniu „Zawitaj Panno jutrzeńko i grzechów naszych lekarko“, gadaliśmy o szkołach i nauce. Mówił mi wujaszek, że w tych leciech, w których ja zaczynać będę szkoły, on skończył je prawie, że bracia moi młodszy dawno już uczą się w szkołach krakowskich i zachęcał mnie mocno, ażebym, wzięwszy Boga na pomoc, uczył się pilnie i nadgrodził stracony czas marnie w pieszczotach. Słowa jego utkwily mi na zawsze w pamięci i wielką we mnie ochotę do nauki wzbudziły.

Żem cokolwiek umiał pisać i pierwsze początki języka łacińskiego były mi już znajome, prefekt szkół, ks. Linowski, opuściwszy parwę, czyli pierwszą klasę, zaprowadził mnie do drugiej, infimy, w której uczył ks. Ustrzycki, zacny ze wszech miar profesor. Zostałem w tej szkole studentów, piszących historję Starego testamentu krótko do pojęcia dziecinnego przez profesora zebraną. Chciałem z nimi pisać, ale tak prędko prowadzić pióra i nie po kropkach, ani w liniach, nie zdążyłem. Musiałem potem całą tę historję w domu przepisywać, co się nazywało przepisywać „librosy“ po szkolnemu.

Nazajutrz był dzień rekreacyi majowej, wyszliśmy za miasto w pole, gdzie ks. profesor zaczął opowiadać mi z początku historję świętą. Przywykły codziennie u babuni słuchać i prawić bajki, rozumiałem, że i historia Starego Testamentu była bajeczką i bardzo przypadła mi do smaku; długo jednak wierzyć nie chciałem, żeby za jedno jabłuszko mogła być tak surowa kara.

Przypilnowawszy gramatyki, zacząłem cokolwiek po łacinie przemawiać. W tem wuj mój przysyła po mnie pojazd i w te słowa pisze: „Ojciec WMPana, chcąc go poznać i jako syna pokochać, zajechał umyślnie do Mniszkowa, więc WMPan przyjeżdżaj dziś chłodem w zielonych sukienkach i żółtych bucikach, bez pościeli. Jutro się odeszle WMPana.” To zapewnienie najwięcej mnie ucieszyło, bom się jeszcze obawiał, żeby mnie ojciec z sobą nie zabrał. Przywitanie moje z ojcem mało co lepsze było od pierwszego, przecież kontent był ojciec ze mnie, dał mi kilka czerwonych złotych i pozwolił zostać się w szkołach piotrkowskich, póki-bym nie był w stanie kończyć z bracią memi nauki w Krakowie. Przy pożegnaniu, podobnie jak wujaszek, zachęcał mnie do cnoty i nauki i, uściskawszy mnie serdecznie, ze łzami odjechał. Drugi raz wtenczas i ostatni w życiu ojca mego widziałem.

Piątego dnia powróciłem do szkoły i właśnie trafiłem, kiedy kilku studentów brało plagi za swawolę i niedbalstwo. Nie doświadczwszy nigdy na sobie, co to jest plaga, niezmiernie lękać się zacząłem, żeby mnie co podobnego nie spotkało, a najwięcej obawiałem się potem dyrektora domowego, który często bez najmniejszej przyczyny oddawał dzieciom, które sam wziął w wyższych szkołach, plagi. Bojaźń ta, zawsze mi przytomna, wstyd, żem tak późno szkoły rozpoczął i upomnienia ojca i wuja mego, wstrzymywały mnie od wszelkiej swawoli i do usilnej pobudzały pilności. Zwyczajnych nawet w szkołach unikałem rozrywek. Żebym miał więcej czasu do nauki, wymawiałem się pod różnym pozorem od przechadzek czwartkowych i kiedym się znajdował na rekreacyi, powtarzanie lekcyi mojej więcej mnie bawiło, niż piłka i bieganie, lub zwykłe jeszcze natenczas pojedynkowanie w kije.

Kazałem memu chłopcu budzić mnie rano, nigdy spać nie poszedł, pókim lekcyi nie umiał i w jednym kwartale nauczyłem się niemal tego wszystkiego, nad czem współlucznie moi rok cały strawili, i otrzymałem promocyę do trzeciej klasy, czyli gramatyki, z trzema AAA.

Wszyscy profesorowie obowiązani byli przy końcu roku szkolnego opisać każdego studenta obyczajem, w nauce postępkiem i dać o nim zdanie, czyli wart był postąpić do wyższej szkoły. Takie świadectwo z trzema A, czyli trzy razy „ascendat“, było najlepsze, z dwoma średnie, z jednym wątpliwe i podejrzanę, a litera M., znaczyła „maneant“ w tejże samej szkole.

Powróconemu na wakacye do Mniszkowa, wuj mój, wujenka i jej siostra, uwiadomieni o mojej pilności, coraz większą okazywali mi przychylność i tem żywszą wzbudzili we mnie do nauki ochotę. Po skończonych wakacyach poszedłem do Gramatyki pod tegoż samego profesora, ks. Ustrzyckiego, gdzie oprócz języka łacińskiego, uczylismy się arytmetyki i historii Królestwa Polskiego. Na popisie szkolnym, który zwano „Deklamacyą“, przypadło mi mówić o Władysławie Jagiello, który w niedostatku kapłanów, umiejących język litewski, sam opowiadał wiarę ś. swoim poddanym. Mając już pamięć nieco przetartą, wszystkich lekcyi nauczyłem się z łatwością. Wkrótce przewyższyłem wszystkich moich współluczniów, stąd ściągnąłem na siebie ich zazdrość i nienawiść, zwłaszcza, kiedy z rozkazu ks. profesora kilkoru dać plagi musiałem. Znalazłem jeszcze w szkołach dziki ten zwyczaj, że kto kogo poprawił, albo kto lepiej od drugiego napisał co po łacinie, ten temu plagi dawał i tylem sobie już był zaufał, że raz napisał: „De plagis cum omnibus grammaticis“, na co mi odpisał profesor: „Saltem te ipsum excipe, ne cum omnibus vapules“ i dowcipnie mnie upokorzył. Żeby jednak pilność miała swoją nagrodę, ogłosił mnie „wodzem szkoły“ na rok 1769.

Przerwała ospa moją naukę, przez całe zapusty i post chorowałem tak ciężko, że mi już nikt życia nie obiecywał. Przyszedłem jednak do zdrowia, Bogu dzięki, po świętach wielkanocnych, dogoniłem w lekcyach moich współluczniów, dobre świadectwo i promocyę otrzymałem.

W czasie wakacyi wuj mój, wielki gospodarz, brał mnie często z sobą w pole, dla zachęcenia przykładem swoim do gospodarstwa, ale miłsza mi była zabawka z książką, z wujenką i jej siostrą, Dosią, dla których przepisywałem modlitwy i pieśni z różnych książek nabożnych.

Po wakacyach poszedłem do IV szkoły, zwanej „syntaxis“, pod ks. Drohobeckiego. Znalazłem tam starszych jeszcze odemnie studen-

tów, którzy od dwóch lat siedzieli w tej szkole i uwzięłem się koniecznie ich przewyższyć moim w nauce postępkim, jakoż uporną pracą dokazałem tego w trzech miesiącach i za przywilejem z pieczęcią mego profesora, zostałem „cesarzem rzymskim” 1770 r.

Wielką, jako „cesarz”, miałem powagę i prawa szczególniejsze. Nie byłem obowiązany do recytowania lekcyi, chyba gdy mnie sam profesor zapytał, mogłem kazać każdemu z moich współpracowników klęczeć, którego-bym postrzegł swawolącego, i dziesięciu z nich, podług mego upodobania, od plag uwolnić.

Dla wzbudzenia emulacyi, podzielona była szkoła nasza na państwo rzymskie i greckie, których państw uczyliśmy się historyi przy ciągłej języka łacińskiego nauce. Rzymianami byli, co najpilniejsi, Grekami—co się dali innym zwyciężyć i wziąć pierwszeństwo w nauce i obyczajności. Żeby zostać Rzymianinem, trzeba było znajdować się codzień na mszy ś., nie oglądać się w kościele, umieć zawsze lekcye i mieć dwakroć sto tysięcy zasług, a tyle dwoje, żeby być cesarzem. W każdą sobotę czytano, jak się kto sprawował i uczył przez cały tydzień, rachowano wszystkich zasługi i, podług ich większości, Grecy przechodzili do Rzymian, a na ich miejsce przechodzili przez jarzmo, oznaczające hańbę i niewolę, niedbali Rzymianie. Prawa strona szkoły była Rzymem, a lewa osadą grecką. Jeśli zaś większą część Rzymian zwyciężyli Grecy swoją pilnością, natenczas i sam cesarz rzymski szedł na wygnanie do Greków. Trafił się raz ten przypadek za mego panowania: nie mogąc żadnym sposobem obronić zgnusniałych moich Rzymian, zacząłem płakać z rozpacz, anim chciałem przejść z senatu mego na lewą stronę do Greków. Profesor wziął to za znak złości i nieposłuszeństwa, kazał mi klęczeć, posłał po batog i gdyby mnie nie wyprosił ks. Linowski, prefekt, który na szczęście moje wszedł wtenczas do naszej szkoły, nie mógł-bym się pochwalić, że nigdy w życiu mojem plag nie wziął.

Tego roku widziałem smutny obraz wojny. Dwa tysiące konfederatów pod dowództwem regimentarza, Zaręby, atakowali kilkuset Rosyan, zamkniętych w Piotrkowie. Jam wtenczas miał stancję na przedmieściu i dosyć z bliska patrzyłem na całą prawie potyczkę przy bramie Krakowskiej. Widziałem, jak konfederaci odważnie dobywali tej bramy, słyszałem, jak wzywali Maryi Częstochowskiej na pomoc. Widziałem, jak z obydwóch stron ludzie trupem padali, jak kienie z pod zabitych biegały z kulbakami po polu. Więcej jednak nierównie od ręcznej strzelby, niż od armaty ginęło. Cały dzień trwał ogień nieustanny. Z tłumem pogorzańców uciekłem i ja do klasztoru XX. Franciszkanów, gdzie przez trzy dni samym chlebem i piwem żyłem.

Wakacye nadeszłe przepędziłem równie swobodnie, jak przeszłe.

Wujenka kochała mnie jak własnego syna, z Dosią kochaliśmy się jak brat z siostrą. Wuj mój jeszcze częściej, niż przeszłego roku, bierał mnie z sobą w pole, gdzie po kilka godzin siadywaliśmy przy żniwiarzach, zawsze jednak miałem dosyć czasu do zasługiwania się wujence i jej siostrze i odczytania tego, czegom się uczył w szkołach. Zamieszanie krajowe coraz bardziej wzmagalo się, obywatele, podzieleni między królewską i konfederacką stronę, wzajemnie prześladowali się i niszczyli. Wuj mój, że bywał czasem w Warszawie, uważany jako królewski, często był prześladowany od strony przeciwniej. Po kilka razy najeżdżali dom jego konfederaci, czyli raczej pod tem imieniem rabusie, i zabierali mu pieniądze i konie, a razu jednego chcieli gwałtem przymusić go do swego związku, którym pamiętam, że tak odpowiedział: „Macie moc nad ciałem mojem, ale żadnej nad duchem, możecie rozsiekać mnie w kawałki, ale nigdy tego nie dokażecie, że bym jechał z wami rabować moich współobywateli, spokojnie w domach siedzących.” Musiał jednak często z domu własnego ujeżdżać i chronić się w lesie z żoną i dziećmi.

Wróciwszy do szkół po wakacyach, postąpiłem do „poetyki”, czyli piątej klasy. W tej szkole uczyliśmy się początkowej geografii, mitologii, Wirgiliusza. Horacyusza i sposobu pisania wierszy łacińskich i polskich.

Wpisany w „bractwo sodalisów”, czyli „sług Maryi”, którzy słubowali szczególniejszą dla niej cześć i nabożeństwo, obrany byłem vice-prefektem tego zgromadzenia. Installacya na ten urząd, czyli promulgacya, wielką była w szkołach naszych uroczystością. Na tronie, wystawionym w kościele, odbierał prefekt i vice-prefekt, siedząc, powinszowania od studentów, potem śpiewano „Te Deum” z muzyką. Prefekt dawał obiad, viceprefekt podwieczorek lub wieczerzę, na którą, gdym pisał do wuja mego, żeby mi przysłał pieniędzy, odebrałem od niego ten respons: „spodziewam się, że dla samej cnoty i dobrych postępów podwyższają WMPana prześwietne szkoły na vice-prefekturę dla przykładu i zachęcenia innych, a zatem nie będą wyciągać na żadne koszta, uważając i czas teraźniejszy. Jednak posyłam czerwony złoty obrączkowy na zwyczajny expens tacy i świecy.” Ale wujenka przysłała mi dwa czerwone złote i te wystarczyły na mój podwieczorek.

Profesor mój, ks. Bordziański, postrzegłszy we mnie jakąś dowcipu iskierkę i przyzwoitą skromność, chciał koniecznie namówić mnie, żebym był pijarem. Podchlebiał mi we wszystkim, wzywał często do siebie na kawę, pisał sam i całej szkole pisać kazał na pochwałę moją wiersze, dał mi do czytania reguły swego zakonu, zalecił mi uczyć się

na pamięć Tomasza a Kempis i w każde święto komunikować. Tem wszystkim jednak nie wzbudził we mnie powołania do pijarskiego zakonu.

Na kilka tygodni przed naszymi wakacjami stanął w Piotrkowie hetman Branicki, z dwoma tysiącami ułanów. Zniszczone już miasto, nie mogło wyżywić tyle ludzi; w krótkim czasie zaczął być wielki niedostatek żywności. Gospodyni, u której razem z innymi studentami stół miałem, zapowiedziała nam, że już nie miała czem nas żywić. Nie mogłem uwiadomić o tem wuja mego, bo nikogo z miasta nie wypuszczano, wyprosiłem się przeciw stojącemu na warcie żołnierzowi przy jednej furtce, jak na przechadzkę w pole, i, ominąwszy ścieżkami wszystkie podsłuchy na gościńcu rozstawione, sam pieszo z moim chłopcem i p. Łukaszem Krosnowskim, przebiegłem w dniu jednym do Mniszkowa.

Wuj mój wyprawiał w tym czasie tratwy z drzewem na sprzedaż, oświadczyłem mu, że miał ochotę płynąć z tem drzewem do Warszawy, którą on dobrze przyjął i dodawszy mi człeka do pomocy, zdał mi dozór nad flisami i nauczył mnie, jak się miałem z nimi obchodzić. A chociaż, płynąc Pilicą, na wiele naraziłem się niebezpieczeństw, kiedy w jednych miejscach trzeba było płynąć pod kołami młyńskimi, w drugich pomiędzy mostami i palami, a oprócz tego ustawicznie rozbijały się tratwy o kamienie odwieczne, leżące w nieczyszczonem nigdy tej rzeki korycie, przeciw szczęśliwie zapłynąłem do Warszawy, gdzie znalazł wuja mego i z nim razem powróciliśmy łodem do Mniszkowa. Wyjeżdżając z Warszawy, równie jak pierwszą razą krótko w niej zabawiwszy, westchnąłem, życząc sobie kiedykolwiek zabawić dłużej w tak pięknem mieście.

R. 1771. Resztę czasu przed powrotem moim do szkół strawiłem przyjemnie w Mniszkowie. Wyręczałem wujenkę w gospodarstwie domowem, chodziłem do spiżarni i apteczki wydawać korzenie, wino, konfitury i wódki. Z Dosią, jej siostrą, uczyliśmy się na pamięć bajek Ezopa wierszem, zda mi się, przez Jabłonowskiego wyłożonych, przechadzaliśmy się razem po zachodzie słońca, a czasem i w nocy, kiedy miesiąc świecił, bo we dnie nie wolno jej było pokazać się na słońce, żeby się nie opaliła. Z wujem zaś moim gospodarowaliśmy w polu, stodole i śpichlerzu, a w święta i w te dni, w które dla deszczu nie można było iść w pole, czytaliśmy Cycerona „De officiis.” Inaczej scierpieć nie mógł i gniewał się, kiedy mnie spostrzegł czytającego w pokoju książkę w dzień gospodarski i pogodny.

Często także wuj mój wyzywał mnie jako poetę do pisania wierszy z jakiegokolwiek podanej materji. Kiedy raz przechodziła się po po-

koju, robiąc pończoszkę, nasza panna Cześnikówna, napisaliśmy dla niej te dwa wiersze:

„Transit per scabellā pedum nunc pulchra virago,
Transeat et calamus dans ei laudes aras.”

Drugiego razu, widząc, że się przypatrywał pieścizom jego z najukochańszą żoną, kazał mi powiedzieć to wierszem, com naten-
czas myślał, a gdym się zastanowił, com miał odpowiedzieć, wuj mój
natychmiast tę parę wierszyków za mnie powiedział:

„Gdyby mnie był świat dawniej wziął do swej usługi,
Sięgnął-bym po to szczęście, czem się cieszysz drugi.”

Czasem wuj mój opowiadał mi dawniejsze swoje wiersze; jedno
z nich jeszcze pamiętam, które napisał, starając się o powtórny swoją
żonę, za kogo innego już zaręczoną z woli rodziców, mimo jej chęci:

„Dawnej przyjaźni nie spycham z kobierca,
Ale wolności życzę damie serca,
W tej ostrożności pierwsze czynię kroki,
Lecz jeśli nieba pozwolą wyroki,
Z łabędzich puchów dla złotego runa,
Uścicie gniazdo łaskawa Fortuna” ¹⁾.

Umiął także bardzo wiele wierszy Kochanowskiego i Potockiego
i często powtarzał mi te dwa wiersze, zda mi się z „Argenidy”, zachę-
cając mnie do przytomności i odwagi:

„Śmiałych szczęście piastuje, a lękliwej duszy
Wszędzie grób, nakoniec się marnie zawieruszy.”

Ale wuj mój nie tylko był głównym gospodarzem i pisał wiersze,
był nadto sławnym w województwie swoim mówcą i statystą, bywał
często deputatem i posłem, był dobrym ojcem i mężem, w domu był
ludzkim, wesołym i dziwnie zabawnym. Umiął dobrze język łaciński,
rozumiał francuski; przy wielkiej pamięci miał dowcip niepospolity
i rozsądek, znał doskonale prawo, historię Polski i krajów sąsiedz-
kich, miał majątek znaczny, własną pracą nabyty, był pracowitym,

¹⁾ Alluzya do herbu Krosnowskich—Junoszy i Brzezińskich—Czapli. (Przyp.
autora).

czynnym, wziętym u obywateli i poważanym. Miał dzieci, miał żonę młodą, piękną i do siebie niezmiernie przywiązaną. Nie wiem, czy kto w pożyciu domowym mógł być nad niego szczęśliwszym. Miał jednak swoje wady, jako człowiek zbyt był prędkim, popędliwym, w sobie zaufanym i wyniosłym, dla służących i poddanych zbyt surowym był panem.

Z żalem, jak zawsze, od wujowstwa mego i Dosi wyjechałem do szkół, gdzie zacząłem słuchać „retoryki” pod ks. Górskim, całemu wymownym nauczycielem. Podał nam naprzód ogólne prawidła wymowy, pokazywał nam, jak się powinny pisać listy i mowy i pisane przez nas poprawiał. Tłómaczył z nami i roztrząsał według podanych prawideł mowy Cyclerona, których my uczyli się na pamięć. A wymowę tak miał przyjemną, że cokolwiek mówił, nawet bajeczkę nie znaczącą, wszystko się nam podobało.

W lutym 1772 r. przysłał wuj mój pojazd, wzywając mnie na ostatki. Chociaż z równym prawie żalem wyjeżdżałem ze szkół do domu na święta i wakacje i powracałem z domu do szkół, co wszystkich moich współuczniów zawsze wesoło wyjeżdżających ze szkół i samych nawet nauczycieli dziwiło, a co było skutkiem przywiązania się mego do miejsca; natenczas, jak gdybym miał przecucie, że więcej nie powrócę do szkół, ze łzami pożegnałem moich współuczniów i nauczyciela, godnego bardzo profesora, ks. Górskiego.

Przywitał mnie wujaszek z wielką uprzejmością, chwalił przed wszystkimi gośćmi, których licznie zebranych na ostatki zastałem, i przydał, że już tyle mam nauki, iż nie mam potrzeby, ile przy terazniejszym zamieszaniu krajowem, siedzieć dłużej w szkołach. Wyznaaczył mi natenczas stancję osobną, filiżankę kawy zamiast piwa grzanego i kieliszek wina przy obiedzie, jako kawalerowi, który już szkoły zakończył. Pierwszy raz wtenczas otworzył mi swoją bibliotekę, która dotąd była przedemną zamknięta, pozwolił mi czytać wszystkie książki, niewprzód jednak, aż-bym przeczytał Cyclerona, Wirgiliusza, proces Paciorkowskiego i Piaseckiego historię. Lecz kiedy z wielką ciekawością przeglądałem wszystkie książki, wpada mi w ręce „Koloander wierny Leonidzie”; nie dotąd podobnego nie czytając w książkach moich szkolnych, niewymownie podobał mi się Koloander, dla dopełnienia jednak zalecenia wujowskiego, wzięłem Cyclerona na dzienne czytanie, a z Koloandrem wszystkie wieczory, a często i całe noce bezsennie trawiłem. Skończywszy najpiękniejsze, według mego naówczas rozumienia, dzieło Koloandra, szukałem między wszystkimi książkami jemu podobnego i szczęśliwie znalazłem Wanzeliusza i Hipolita, których czytanie bardzo mnie bawiło i częstokroć aż do łez rozrzuwniało.

Już więcej nie powróciłem do Piotrkowa, czas ten jednak, który przy wuju moim spędziłem w Mniszkowie, nie był dla mnie bez pożytku stracony. Nauczyłem się wtenczas od wuja mego rano wstawać, zawsze być sobie przytomnym i zawsze zatrudnionym. Nauczyłem się domowego i ziemiańskiego, czyli jak nazywano, kobiecego i męskiego gospodarstwa. Nadto wuj mój dał mi pierwsze wyobrażenie o prawie polskiem, o sejmikach i sejmach. A że prawował się dosyć często, nauczył mnie pisania pozwów i meritum, sprawy układać, nad co więcej, jak on mówił, nie mógł-bym umieć, gdybym dwa lata chodził do kancelaryi, i dla tego nie oddawał mnie do palestry, do której pospolicie młódź, ze szkół wychodząca, oddawaną bywała.

Po Wielkanocy wysyłał wuj mój bale i klepki do Gdańska, a nie ufając szyprowi, zapytał się mnie, czy chciał-bym widzieć morze, Prusy i Gdańsk, równie tak piękne miasto, jak Warszawa. Nie trzeba było więcej mnie namawiać, z największą ochotą podjąłem się tej dla wuja usługi, która zupełnie ciekawości mojej dogadzała i wraz zacząłem się wybierać do Gdańska. Jakoż w kilka dni pożegnawszy wuja, wujenkę i Dosię, popłynąłem Pilicą i bez żadnego przypadku stanąłem w Warszawie.

Lecz pod Bielanami skończyła się pomyślna moja na Wiśle żegluga. Jeszczem się cieszył niknącym z oczu moich widokiem Warszawy, kiedy tratwa, na której stałem, zapadłszy na prądy i kamienie, tak gwałtownie rozerwała się na sztuki, że ledwie miał czas chwycić się jednego drzewa grubego i z tem zapłynąłem aż do Młocin, gdzie prosto niesiony na młyn, kiedym rozumiał, że koło młyńskie roztarga mnie w kawałki i zatopi, wypadli ludzie z młyna i od tak blizkiej śmierci uratowali.

Drugiego dnia pod Zakroczymem zatrzymany byłem od konfederatów, którzy chcieli mi zabrać wszystkie moje leguminy i okrasę; trafiłem przecież na grzecznego ich rotmistrza, Lubowidzkiego, ten zjadł ze mną horylską wieszczerzę i tem się kontentował, com mu udzielił. Był to dopiero początek moich przykrości, wycierpianych w tej podróży.

Niedaleko Wyszogrodu kilkadziesiąt hultajów pod imieniem strażników konfederackiej komory wpadło do mnie na tratwy ze strzelbą, przetrzęśli wszystkie moje rzeczy i co tylko znaleźli przy mnie pieniędzy i żywności, wszystko zabrali i na tem jeszcze nie przestając, kazali mi przysiądz, że więcej nie miał. Ledwie wyprosił od nich z płaczem dla siebie i dla horylów trochę kaszy jęczmiennej, mojej własnej, którą tylko samą, bez żadnej okrasy i bez chleba kawałka, cztery dni żyłem. Piątego dnia już i tej kaszy nie stało; pierwszy raz w życiu doznałem natenczas, co to jest głód i bieda. Wygłodniał i zmorzony horyle niechcieli więcej robić drygawkami, ani dalej

płynąć; stanęli przy jednej karczmie, upalowali tratwy i tam porzucić mnie chcieli razem z moim pisarzem. Z wielką trudnością wstrzymałem ich do dwóch dni, obiecując im niezawodnie wystarać się w tym czasie na lonung pieniędzy, ale jakim sposobem, skąd, od kogo, sam nie wiedziałem. Nie miałem nikogo w tych stronach znajomego, przedać drzewa nie było komu, całe nie wiedziałem, jak sobie zaradzić. W tak okropnem zdarzeniu, znędniony i skłopotany, chodzę nad brzegiem Wisły i z płaczem wołam o pomoc do nieba. W tem widzę zdaleka płynące tratwy; słodka jakaś nadzieja ucisza powstającą już we mnie rozpacz, biegnę ku nim, jakby na pomoc moją przybywającym, i za zbliżeniem się, spostrzegam—kogóż? O Boże! jak wielka Twoja Opatrzność! Wuja mego, Anastazego Radońskiego. Poznał mnie zaraz, wyszedł do mnie na ląd, uściśkał, pocieszył i gdy mu rzecz całą opowiedział, pożyczył mi pieniędzy na strawne dla flisów i dla mojej dalszej pomocy, razem już ze mną płynął do Gdańska.

Wkrótce stanęliśmy w Toruniu, znaleźliśmy tam Rossyan i kilka sztuk drzewa, nim nas do miasta puscili, oddać im musieliśmy. Zobaczywszy kościół jezuicki, bernardyński, ratusz i most na Wiśle i kupiwszy legumin, słoniny i pierników dla siebie, popłynęliśmy w dalszą drogę, już przecie bez żadnego przypadku stanęliśmy w Gdańsku na Ogrodowej ulicy.

Najpierwsza była moja ciekawość widzieć morze. Odchodziłem od siebie z podziwienia i bojaźni, kiedym pierwszy ten raz w życiu zobaczył morze i jeszcze właśnie natenczas wzburzone, a postrzegłszy rybaków, których łodzie fala morska wyrzucała w górę na kilkanaście łokci, rozumiejąc, że ci ludzie już toną, prosiłem wszystkich przytomnych, stojących ze mną na brzegu, żeby tych nieszczęśliwych ludzi tonących ratowali. Śmiali się Niemcy z mojej bojaźni, jam się dopiero wtenczas uspokoił, kiedy ci ludzie tonący mnóstwo ryb, między którymi najwięcej było flonder, na brzeg wyciągnęli.

Drugiego dnia zaraz po moim przybyciu miałem wizyty od kilku kupców, jedni przychodzili targować u mnie bale i klepki, drudzy do swoich sklepów i na obiady zapraszali. Przy pomocy wuja mego, Radońskiego, ugodziłem się z panem Szwarcem za cały mój towar dębowy dość wysoką cenę, zysk jednak niewielki pokazał się po zbrakowaniu, bo bardzo mało było korony, to jest balów i klepek pewną trzymających miarę, bez żadnej skazy.

Uspokoiwszy się ze sprzedażą i opłaciwszy flisaków, miałem dopiero cały czas wolny. Oglądałem ciekawie kościół farny, przez lutrów katolikom zabrany, giełdę kupiecką, zbrojownię, klasztor i ogród oliwski, okręty, sklepy i towary. Kupiłem według danego mi rejestryku dwie sztuki materii lionskiej, cztery imbryczki srebrne, dwie

sztuki płótna holenderskiego, cytryn, pomarańczy, kawy, cukru, cynamonu i innych korzeni. Oprócz tego kupiec, któremu bale sprzedawałem, dał mi puzderko wódki i pudło pomarańczy. Bywałem na obiadach w kilku domach kupieckich, a najczęściej u Szwarca, u Czajkowskiego i Banczykiewicza. Obiady ich nie wielkie, lecz smaczne; pospolicie cztery, a najwięcej sześć potraw dają: barszcz polski, jak nazywają, ze śmietaną, kielbasą i kapłonem, pieczenią cielęcą niezmiernie wielką, która im na kilka razy wystarcza. Rano piją wszyscy herbatę, nawet parobcy, wieczorem znowu herbatę i kawę, przy której zwyczajnie podają tytoń, fajki i świecę zapaloną. Stosując się do zwyczaju, pociągnąłem i ja kilka razy fajkę i już powoli przyzwyczajać się do niej zacząłem, ale wyjechawszy z Gdańska, nie używałem więcej tytoniu.

Nie umiając innego języka, z temi Niemcami, którzy nie umieli polskiego, mówiłem śmiało po łacinie, chociaż łacina moja szkolna nie była najlepsza. Przechadzałem się często nad morzem, przypatrując się płynącym z rozdętymi żaglami okrętom i drobny bursztyn zbierałem, a gdym się dowiedział od Czajkowskiego, który miał dwa swoje okręty kupieckie, że za małą cenę można mieć miejsce i żywność na okręcie i wiele krajów zwiedzić, wielką miałem pokusę płynąć do Francji. Myślałem już odesłać wujowi sprawunki i pieniądze, a częśćkę ich sobie zatrzymać i z tą puścić się w świat na los szczęścia, i gdybym się był nie obawiał zasmucić tem ojca, wuja, wujenkę i Dosię, pewnie-bym to zrobił.

Zabawiwszy w Gdańsku osiem tygodni, wyjechalśmy z podwojewódzym Radońskim jego kareta, a pod moje rzeczy kupiłem wózek i parę koni. Jechaliśmy przez Prusy polskie, Grudziądz, przez różne stanowiska konfederatów i Rossyan, przez puszcze, zagąszczone wówczas hultajami, szczęśliwie przecież ze wszystkimi pieniędzmi i sprawunkami powróciliśmy do domu. Przywitał mnie wuj mój z tem większą radością, im smutniejsze miał o mnie doniesienia: jedni mu pisali, że do Holandji popłynął, inni, że mnie powracającego z Gdańska w lesie hultaje zabili. Oddałem zaraz wujowi pieniądze i porachunek, wujence materye, płótno i korzenie, pannie cześniakównie pomarańcze. Wuj mój zupełnie był zemnie kontent, chwalił moją-przezorność, śmiałość, męstwo i cierpliwość w nieszczęściu. Wujenka i Dosia płakały nade mną, gdym im opowiadał moje przypadki i niebezpieczeństwa na Wiśle i rozmaite przykrości i trudy, w tej żegludze podjęte.

Nie dał mi wuj długo spoczywać w Mniszkowie po mojej podróży. Wysłał mnie o kilka mil do Kłonnay na osobne gospodarstwo, a że to było w czasie twardej jesieni, kiedy wieś najmniej ma przyjemności,

i że w tym folwarku, prócz włodarza i podstarościego, nie miałem innej społeczności, straszliwie nudziłem się tam z początku. Powoli jednak zaznajomiwszy się z moimi sąsiadami: z starostwem Kąkolownickiem, Szaniawskimi w Drzewicy, ze stolnikową Trzcinską w Gapininie, która mnie swoim kuzynem nazywała, i zaprzyjaźniwszy się w Jastrzębiu, u rodziców mojej wujenki Brzezińskich, cześnikostwa opoczyńskich, z drugą jej siostrą, Basią, zacząłem do tego miejsca przywykać i już spokojnie zacząłem być w Kłonnej 1773 r., kiedy zewsząd obskoczyły mnie kłopoty gospodarskie: owce mi wyzdychały, żyd, zadłużywszy się, uciekł, i tym podobne przygody tak mnie zraziły do życia gospodarskiego, że o innym życia sposobie myśleć zacząłem.

Ks. proboszcz Mazurkiewicz radził mi ożenić się z którą sąsiadką i takie mi przysłał dwa wiersze:

„Auxiliante Deo connubia suscipe laetus,
Fac cito, non devia, haec tibi grata via.”

Lecz zawsze była mi na myśli Warszawa; czekałem tylko sposobności, jakby się do niej dostać, a dowiedziawszy się, że ks. Młodziejowski, kanclerz koronny, znaczną liczbę młodzieży trzymał w swojej kancelaryi, napisałem do mojej wujenki o przyczynienie się za mną do wuja, żeby mnie raczył oddać do ks. kanclerza koronnego.

Odpisała mi wujenka, że to chętnie wujowi memu przełoży, tymczasem, żebym nie tęsknił w Kłonnej, radziła mi bywać często u jej rodziców w Jastrzębiu, a na miejsce Dosi, która w tym czasie poszła za Romera, radziła mi, żebym się starał zasłużyć na przyjaźń najmłodszej jej siostry, Basi.

Ojciec mój, rozumiejąc, że jeszcze bawił w szkołach, pisał do Piotrkowa. W liście tym 6 marca 1773 r. datowanym z Niegardowa, dowiaduje się o mojem powodzeniu i na tem kończy: „Pilnuj nauki, bo to jest twoja substancja, słuchaj wuja, jak ojca, donieś mi o każdej rzeczy przez pocztę; Boskiej cię oddaję opiece, jako twój sercem kochający ojciec.” Ostatni to był list i ostatnia przestroga, którą od ojca odebrałem.

Dotrzymała swego przyrzeczenia kochana wujenka i skłoniła wuja mego, iż obiecał umieścić mnie dla dalszej edukacji w Warszawie, gdzie sam miał być niezadługo. Przyczynił się do tego najwięcej Straż (Strasz?), miecznik opoczyński, także wuj mój, choć daleki, który, powróciwszy niedawno z Warszawy ode dworu księżnej Lubomirskiej, marszałkowej w. kor., bardzo wiele nagadał wujowi Krosnowskiemu o edukacji warszawskiej i twierdził, że bez niej niepodobna teraz pokazać się na świecie.

W tym więc zamiarze zlecił mi wuj mój wraz po Wielkiejnocy płynąć z drzewem do Warszawy, które zwykł był corocznie na handel posyłać, (to zaś służyć miało do kuchni naszej), a sam pojechał do Opatowa na sejmiki, nakazane wtenczas od trzech mocarstw ościennych, przystępujących do podziału Polski, i stamtąd miał mnie dojechać jeszcze przed Warszawą. Trzeci już raz odbywając tę żeglugę, zupełnie z nią byłem oswojony; doświadczyłem przecież i tą razą niemało przykrości, nie mając dosyć pieniędzy na płacenie od przepraw, to jest od młynów i mostów, pod którymi przechodziły tratwy i najczęściej, uderzone o ich pale, rozrywały się z wielką szkodą handlujących. Mój wujaszek, ile mógł, uchylał się od tak niesprawiedliwej opłaty; w tym zaś czasie spodziewając się być posłem i mówić na sejmie za wolnym na Pilicy spławem przeciw zdzierstwu panów, mających brzegi tej rzeki, jak gdyby już to, co miał wnosić, w prawo zamienione było, nie kazał mi płacić od tych przepraw. Jakoż w Grzegorzewicach, gdzie panna Opacka, przez szczególniejszy wzgląd dla nieznanego, prosiła za mną ojca, i w wielu innych miejscach odemnie nie wzięto, ale stary chorąży, Boski, nie wypuścił mnie, pókim mu nie zapłacił od wszystkich jego mostów i pałów.

Niedaleko Mniszewa, gdzie Pilica wpada do Wisły, dopędził mnie umyślny posłaniec od wuja mego z listem, którym tak mi donosi o sobie: „Ponieważ na sejmiku opatowskim z dyspozycyi samego Pana Boga musiałem się podjąć funkcyi poselskiej z województwa Sandomirskiego, więc już WMCPan nie oglądaj się na mnie, ale śpiesz do Warszawy i tam stanąwszy, zastaniesz u ojców Bernardynów furtyana karteczkę z wiadomością, gdzie stać będę; tymczasem proszę się śpieszyć, bo i drwa będą potrzebne.“

Przy płynąwszy tedy do Warszawy, udałem się prosto do Bernardynów i już tam znalazłem wuja mego, bardzo zasmuconego, bo w sam dzień przyjazdu swego zgubił 300 czerw. zł., wysiadając z karety na Nowym Świecie. Wkrótce rozpoczął się sejm, pod łaską Ponińskiego. I my od Bernardynów przeniesli się do pałacu księcia Marcina Lubomirskiego, u którego wszyscy posłowie sandomirscy mieszkali.

Oznajmiwszy się cokolwiek z Warszawą, chciałem zaraz najpierwszy mój zamiar przywieść do skutku i prosiłem wuja, żeby mnie do kancelaryi ks. kanclerza koronnego oddał. Obiecał wujaszek uczynić o to staranie. W kilka dni potem powiedział mi, że ksiądz kanclerz nikogo do swej kancelaryi nie przyjmuje, kto języka francuskiego i niemieckiego nie umie. Zmartwiłem się tem strasznie i, widząc konieczną dla siebie potrzebę tych języków, uczyć się obydwóch przedsięwziąłem. Ale nie miał na metra pieniędzy, wuja o nic prosić nie śmiałem, wie-

dząc, że sam, zgubiwszy swój zapas, zapożyczyć się był przymuszony, ponieważ te pieniądze, które wziął za drzewo, wszystkie jednego wieczora na assamblach u Ponińskiego przegrał.

Szukałem więc innego sposobu. Dowiedziałem się, że ks. Wyszkowski, jezuita, daje lekcję francuską w swoim collegium, a braciшек misyonarski w szkółce przy kościele Ś. Krzyża daje lekcję niemieckiego niepłatnie, udałem się do nich i od obydwóch przyjęty na lekcye, zacząłem z wielką radością uczyć się czytać po francusku i po niemiecku.

Pochwalił wuj ochotę moją do języków i doniósł o niej wujence; nie był jednak kontent, że razem nabierałem coraz więcej ochoty do życia miejskiego. Spostrzegłszy list wujowski nie zapieczętowany, przekopiowałem jak był, w te słowa pisany:

„Dzisiejszy dzień pokazuje, że mi z trudnością wyjechać do domu, kiedy do traktowania z potencjami i do ułożenia stałego dla Polski rządu wybrany jestem delegatem. Jutro, szesnastego maja, sejm będzie limitowany; nie omieszkam starać się u króla o pozwolenie, żebym mógł wyjechać do Ciebie, kochana Anuleńko, na dni dwanaście, lecz czasu pozwolenia, kiedy mi dane będzie, nie zgadnę. Tymczasem podług swojej myśli dysponuj wszystkiem. Synowie niechaj się pilnie uczą, podstarościowie gospodarują dobrze, poddani niech przychylnie pracują Panu i sobie, bo ciężko będzie o chleb. Pan Jan, natchniony już duchem miejskim, uczy się języka francuskiego i niemieckiego. Nie piszę więcej, bo już na sessję sejmową wyjeżdżam, tylko nieskończenie całuję i do gruntu serca przytulam Anuleńkę łaskawą. jedyne życia mego ukontentowanie.”

Ale ledwie zacząłem poznawać się z gramatyką francuską i niemiecką, wuj mój, co zawsze łączył interes własny z publicznym, wyrobiwszy dla siebie podatek czopowego i szelążnego z miast sandomirskich, wysłał mnie z plenipotencją dla odebrania tego podatku. Trudno mi było wymówić się wujowi od tej posługi, bardzo jednak żałowałem, że porzuciłem Warszawę i rozpoczętą naukę. Zacząłem moją objazdżkę od Radomia, byłem potem w Opatowie, Sandomierzu, w Iłży, Osieku, Połańcu i w innych miasteczkach, z których blisko 200 czerw. zł. wybrałem i te wujowi memu do Warszawy odwiozłem, gdzie kilka dni bawiąc, udało mi się uczynić wujowi ważniejszą nierównie przysługę osobliwszem zdarzeniem.

Przechodząc się jednego dnia po ulicy Ujazdowskiej, słyszę idącą przedemną kobietę, że strasznie łąje swego męża. Zbliżam się do nich i trafiam na te słowa: „Hultaju! pijesz za moje pieniądze, którem ja znalazła i tak głupia byłam, że ci je dała.”

Wraz przyszło mi na myśl, że to muszą być znalezione wuja mego pieniądze. Nic więc nie mówiąc, idę zdaleka za nimi aż do ich domu nad Wisłę i, dobrze naznaczywszy go sobie w pamięci, biegnę co tchu po wartę, opowiadam rzecz całą oficerowi, który, że słyszał już o zgubie wuja mego, dał mi zaraz sześciu żołnierzy z kapralem; powracam z nimi do tego samego domku, wpadamy do izby i znajdujemy gospodarza, trzymającego w jednej ręce worek ze złotem, a drugą odpychającego żonę, usiłującą mu wydrzeć pieniądze.

Zmieszał się strasznie ten człowiek, jak zobaczył żołnierzy. „Dobrze ci tak — krzyknęła ze złości żona, — wszak ja ci mówiłam, żebyś, podzieliwszy się ze mną, zakopał to w ziemi, co mi Pan Bóg dał na ziemi znaleźć; — czemuś mnie nie słuchał?” I wprzód jeszcze, nim była zapytana, opowiedziała, jakim sposobem znalazła te pieniądze o godzinie czwartej z rana blisko kościoła Ś. Krzyża. Zabrali żołnierze pieniądze i ludzi tych zaprowadzili na ratusz, gdzie po wyeksaminowaniu i zgodzeniu wszystkich okoliczności, wróciła się zguba memu wujowi, bez 40 tylko czerw. zł. Dwadzieścia już były stracone, do tych dziesięć jeszcze znaleźnego przydałem, a drugie dziesięć dla żołnierzy dałem, za ich fatygę.

Podskoczył z radości mój wujaszek, zobaczywszy powrócone swoje pieniążki, uściśkał mnie, ucałował i obiecał mi sprawić ślicznych parę sukienek. Mimo to wszystko, wyprawił mnie z Warszawy do Mniszkowa, gdzie, jak mówił, dawno mnie czeka i wygląda stęskniona wujenka i siostra jej Basia.

Jakoż obydwie z wielką przyjęły mnie uprzejmością. Gadałem im przez dni kilka o samych strojach i zabawach warszawskich, choć najmniej ich znałem, o znalezionych pieniądzach, o podróży mojej sandomierskiej i o powodzeniu siostry ich, starościnej Romerowej. W słodkiej i niewinnej ich społeczności zapomniałem wkrótce o Warszawie i byłem już spokojny, kiedy dnia jednego zrana zwołany do mojej wujenki, znajduję ją w sali z ks. plebanem, który, jak tylko wszedłem, zaczął prawić do mnie przedmowę o zgadzaniu się z wolą Bożą. Nie wiedziałem jeszcze, co się to znaczy, ale, spostrzegłszy łzy w oczach mojej wujenki, domyśliłem się, że coś jest dla mnie okropnego i płakać zacząłem. Wtenczas dopiero rzekł do mnie ks. pleban: „ojciec WMPa-na bardzo chory, a może już nie żyje.” Wtenczas dopiero odezwało się we mnie przyrodzenie, odezwała się wdzięczność i bojaźń sieroctwa i przez dwa dni nic nie jedząc, płakałem nad moją stratą.

Cieszyła mnie z siostrą swoją, więcej łzami wspólnemi, niż mową, kochana i dotąd czule odemnie wspominana wujenka, i później dopiero

oddała mi list od mego wuja, który mi w ten sposób o śmierci ojca mego donosił: „Smutnem sercem i z nieznośnym żalem przychodzi mi donieść WMPanu nieoszacowaną stratę, tak dla niego, jak i dla mnie, przez wyroki na kochanej osobie ojca WMPana dopełnioną, mnie zaś usty brata jego, Józefa, który tu był w Warszawie z JW. Chwalibogiem, posłem krakowskim, macochy ich bratem, doniesioną. Niepodobna zatamować WMPana łez powinnych, jednak niech rozum jego umie zgodzić się z tym Panem, który wszystkich życie i śmierć w swych ma rękę. Deklarowałem i siebie i WMPana w Krakowskie dla pomiarowania WMPanów z macochą, która ma być powolna, nie łakoma, i czas około Bożego Narodzenia ułożyliśmy. Ja kończę fatalne wyrażenia, życząc serdecznie wewnętrznej od Boga pociechy i doczesnej nazawsze pomyślności. Adieu, mój Jachniu, słusznie trzeba żałować, bo jest kogo, ale też i z pamięcią, co wyraża wuj kochający.”

W tymże czasie odebrałem list z Krakowa od brata mego, Józefa, w którym mi donosi, że ojciec nasz po krótkiej chorobie zeszedł z tego świata 28 sierpnia, że na pogrzeb dzień 26 października jest przeznaczony i na ten mnie wzywa do Zielenic. Wuj mój pisał do mnie powtórnie, obligując, ażeby po odbytych pogrzebie zjechał do miast sandomierskich dla odebrania drugiej raty. Kiedy więc dla dopełnienia ostatniej zmarłemu ojcu posługi i zadośćuczynienia żądaniu wuja, wybieram się w tę podróż, ukochana moja wujenka, powiwszy szczęśliwie córkę, którąśmy z Basią do chrztu trzymali i daliśmy jej imię Doroty, śmiertelnie zachorowała i gdy już wyjeżdżając z nią się żegnałem, ścisnąwszy mnie za rękę, te słabym głosem rzekła do mnie słowa: „jedź, kochany Jasieńku, na pogrzeb ojca swego, a na mój powracaj.“

Stałem w Zielenicach, w sam dzień pogrzebu z rana; znalazłem tam już moją macochę, brata jej, Chwaliboga, i moich braci, z którymi dotąd się nie znając, pierwszy raz w tak smutną chwilę widzieliśmy się i poznali. Przygotowaną w drodze mowę pogrzebową, w której po szkolnemu złorzeczyłem śmierci i jej kosie i pociskom, powiedziałem w kościele i dwa dni tylko zabawiwszy u mego rodzeństwa, wyjechałem w Sandomierskie, gdzie powtórnie Staszów, Rachów, Połaniec, Zawichost, Sandomierz, Opatów, Koprzywnicę i inne miasteczka objechawszy, z wybranymi od nich pieniędzmi powróciłem do Mniszkowa.

Śpieszyłem się, jak mogłem, do chorej mojej wujenki, ale już ją znalazłem bez nadziei życia, bez mowy i niemal konającą. Poznała mnie jednak i z umileniem rękę podała, którą łzami memi oblałem. Sprowadziłem jej matkę, siostrę i doktora austriackiego z Końskich. Już żadne lekarstwa i jego, i przysłane z Warszawy, nie skutkowały. 18 listopada z niewymownym moim żalem i całej familii—Bogu ducha od-

dała. Na kilka godzin przed śmiercią odzyskała mowę i zupełną przytomność, opatrzona Ś. Sakramentami na drogę wieczności, zegnała uprzejmie wszystkich nas przytomnych i prosiła, żebyśmy łzami naszymi ciężkości jej zgonu nie powiększali, pytała się o nieprzytomnego męża, czy nie powrócił z Warszawy i westchnąwszy, rzekła: „musi być bardzo zatrudniony”, dziękowała mi za wszystkie pomoce i starania dla niej i dla dzieł jej czynione, uściskała i ucałowała po raz ostatni drobne swe dziatki, nieznające jeszcze, że matkę traciły i przepowiedziała im macochę. Porwała ją znowu gorączka, mowę zamknęła i w oczach moich skonała.

Nigdy dotąd nie widział konającego człowieka; pierwszy ten dla mnie okropny widok umierającej wujenki mojej w samym kwiecie wieku, równie cnotliwej i pięknej, która mnie, jak własnego syna, kochała i przeznaczała dla mnie siostrę swoją, Basię, i którą jam kochał i szanował jak matkę, gwałtowne, smutne i nigdy niestarte uczynił na umyśle moim wrażenie.

Żałowałem natenczas, że nie zostałem pijarem lub innym zakonnikiem; nie miałbym być tyle zręczności, ani czasu poznać cnotliwej wujenki mojej przymioty, zasłużyć sobie na jej przychyłność i na śmierć jej patrzeć. Pierwsza we mnie natenczas odezwała się pobudka do stanu duchownego, wnosiłem z mego żalu, bólesci i udręczenia serca, że gdybym pojął żonę i utracił ją, broń Boże, jakim nieszczęśliwym przypadkiem, nigdy-bym tej straty nie przeżył. Żal mój nie był przemijającym rozrzewnieniem; już minęło lat kilka, jak utraciłem tę najukochańszą wujenkę, a gdy to okropne zdarzenie wspominam sobie i piszę, zalewam się łzami.

Ciało zmarłej wujenki pochowawszy w Stawnie, kościele parafialnym, gdzie także babka i dziad mój, Krosnowski, są pochowani, porzuciłem niegdyś miły, a natenczas zbyt dla mnie smutny Mniszków i przeprowadziłem się z osieroconemi po matce dziatkami znowu do Kłonny na mieszkanie.

Nie śmiałem zaraz donieść wujowi o śmierci najukochańszej jego żony, lękając się, żeby ta wiadomość o śmierć go nie przypawiła. Jakież było moje zdziwienie, gdy się dowiedział w kilka tygodni, że mój wujaszek nie tylko uspokoił się w żalu po zmarłej, ale nawet już o innej myśli. Świadek kilkoletniego ich pożycia najprzyjemniejszego i ich miłości, której w żadnym małżeństwie nie widziałem dotąd wyrównującej, kiedy zdawało się, że żyć bez siebie nie mogą, że najkrótsze oddalenie było dla nich nieznośne (płakali, bywało, nad sobą z żalu, kiedy choć na dni kilka oddalali się od siebie, płakali ze zbytku radości, kiedy się z sobą witali), pojąć nie mogłem, jakim sposobem wuj mój mógł tak prędko najprzywiązańszej do siebie żony zapomnieć.

W tym czasie odebrałem od braci moich kilka listów z nalega-
niem, żebym dla ułożenia domowych naszych interesów pośpieszył do
nich w Krakowskie; już i ten czas minął, na który obiecał wuj mój
zjechać tam ze mną, ale zawsze zatrudniony na sejmie 1774 r. różnemi
projektami, w jednych listach pisał do mnie, że mnie wezwie do War-
szawy i ułoży jak najprędsze i najlepsze ukończenie w Krakowskiem
mego interesu; w drugich radził mi, żebym następująco ostatki przepę-
dził jeszcze w Kłonnej; w innych wyrażał, że, będąc zajęty ważnemi
dla ojczyzny robotami z ościennemi mocarstwy o granice Rzeczy-
pospolitej i z kawalerami maltańskimi o dobra Ostrogskie, mimo przy-
wiązania do domu, dzieci, gospodarstwa i do mnie samego i moich in-
teresów, nie mógł porzucić zaczętych czynności i dla tego prosić bę-
dzie na swoje miejsce, dla ułożenia interesów naszych domowych, Ra-
dońskiego, cześnika chęcińskiego, wuja także naszego. Widziałem, że
to wszystko pisze wuj mój dlatego, żeby mnie dłużej przy swoich
dzieciach i gospodarstwie w Kłonnej zatrzymał i że przez tę zwłokę
tracę na własnych moich interesach, cudzych pilnując, nie miałem je-
dnak serca porzucić osierociałych jego dzieci, dopóki-by sam nie po-
wrócił z Warszawy. Nareszcie tę ostatnią od wuja mego odebrałem
odповідź na listy moje, któremi się jemu przypominałem: „Pełne
przywiązania WMPana ku mnie wyczytałem słowa, ale oraz, że są
zgadzające się z sercem, upewniony o tem jestem przez wszystkie je-
go czynności i kroki. Tej prawdy i to jest skazówką, że lubo pilną,
wstrzymujesz jednak podróż do mego responsu. Ja zaś nietylko do
drogi, ale do wszelkich pomyślności radbym mu skrzydeł dodać, lubo
cnota i chęć do lepszego coraz górować w osobie zdatnej WMPana
zawsze będzie. Jeśli to być może, zatrzymać się proszę do Wielkiej-
nocy, na które święta gdy nie zjadę, mieć gotowość do wyjazdu zaraz
w poniedziałek świąteczny i wyjechać. Teraz ściskam serdecznie, mo-
że da Bóg, że i zjadę, to się zobaczymy.“

I w rzeczy samej zjechał na święta wuj mój z Warszawy, podzię-
kował mi uprzejmie za ostatnią posługę, ukochanej żonie jego dopełnio-
ną, za pieczołowitość i staranie, około osierociałych jego dzieci i do-
mu podjętą, i za tę cierpliwość, z którą przybycia jego czekałem. Mó-
wił (i chciał wmówić we mnie) obszernie, że w interesach ogółu musiał
i dotąd siedzieć w Warszawie, oddał mi w końcu część moją z po-
sagu ś. p. matki mojej u niego będącą, darował cztery konie i kolaszkę
i nią wyprawił mnie w Krakowskie. Wszystkie dotąd podróże, rów-
nie jak drogę sandomirską, w której więcej sta mil objechałem, konne
odbywałem pospolicie. Wyjechałem w drugi dzień świąt, szóstego
kwietnia. Zaczynając wydawać własne moje pieniądze, zacząłem re-

gestr wydatku mego pisać, który i dotychczas piszę nie tak ściśle, ażebym każdy grosz aż do najdrobniejszej dla ubogich jałmużny zapisywał, bo o tem nie powinna wiedzieć lewica, co czyni prawica, ale ogólny tylko wydatek roczny zapisuję, co rozumiem być każdemu rzeczą użyteczną dla porównania i miarkowania wydatków z dochodem.

Zajechałem naprzód do Jaranowic, malutkiego dziedzictwa naszego, gdzie zastał moją macochę. Ze zwyczaju i nasłuchania się o złych macochach przywiązując do tego nazwiska wyobrażenie złej i przykrej kobiety, bardzom sobie winszował, że w mojej macosze znalazł łagodną i przywiązaną do mnie matkę. Ułatwiwszy z nią w Jaranowicach i Ostrowie, który trzymaliśmy arendą, pomniejsze interesa gospodarskie, pojechalismy do Krakowa i tam, naradziwszy się z bracią i przyjaciółmi naszymi, złożyliśmy pod prezydencją cześnika Radońskiego, wuja naszego, kompromis i podzieliliśmy się całym majątkiem, po ojcu naszym zostałym.

Czterech nas było braci, trzech urodzonych z Krosnowskiej, a jeden z Chwalibożanki, cztery też mieliśmy siostry z Chwalibożanki. Każdemu z nas braci dostało się na jedną schedę po trzydzieści tysięcy złotych polskich, siostry według prawa czwartą część wzięły. Ja, najstarszy, układałem schedy, brat nasz najmłodszy, Bonawentura, obierał. Jaranowice przedaliśmy Chwalibogowi, bratu naszej macochy. U tegoż samego zostawiłem 19,000 na procencie, u Grodzickiego 7696, resztę wziąłem do kieszeni na oporządzenie sobie garderoby i życie.

Tym sposobem urządziwszy interesa domowe, umysliłem osiąść w Krakowie i tam kończyć moją edukację. W tym celu zgodziłem u Bratkowskiego stół, stancję i lekcję języka francuskiego za dukatów trzy, lekcję niemiecką za dukata, lekcję rysunku za dwa dukaty. Lekcję grania na fletrowersie za dukata na miesiąc i te wszystkie lekcye pilnie rozpocząłem. Lecz nie było mojem przeznaczeniem, żebym długo mieszkał w Krakowie. Pierwszy dopiero miesiąc kończyłem mieszkania mego u Bratkowskiego, kiedy przyjechał do mnie podwojewodzy Radoński i tyle mi naprawił o Warszawie, o nierównie większej tam, niż w Krakowie, sposobności nauczania się języków, o wielkim świecie, o teatrze, przechadzkach i innych zabawach, że wzbudził we mnie dawniejszą do życia warszawskiego skłonność. Nagle zmieniłem pierwszy mój układ i w dwóch tygodniach przenieśliem się do Warszawy na mieszkanie.

Zostawiłem w Krakowie brata mego średniego; młodszy, Leonard, wyjechał z Antonim Michalczewskim do Paryża. Jadąc do Warszawy, wstąpiłem do starostwa Kąkolownickich i do cześnikostwa Brzeziń-

skich, od których mile i uprzejmie byłem przyjęty. Przyjechawszy do Warszawy, udałem się naprzód do XX misyjnarzy i pięciodniowe u nich rekolekcyje, prosząc Ducha Św. o natchnienie mnie, jaki stan dla mnie przeznaczyła Opatrzność, odprawiłem.

Dowiedziawszy się od XX. misyjnarzy, że ks. Linowski, pijar, mój niegdyś prefekt w szkołach piotrkowskich i bardzo do mnie przywiązany, jest rządcą mniejszego konwiktu pijarskiego, wraz poszedłem do niego po skończonych rekolekcyach, któremu gdy opowiedział, w jakim celu przybyłem do Warszawy i że umyślił oddać się przynajmniej na rok jeden do konwiktów większych dla nauczania się języków i innych umiejętności, namówił mnie do swego konwiktów, zapewniając, że tych samych mieć będę metrów, którzy uczą w większym konwikcie, a wygodę i wolność nierównie większą.

Przeniósłem się zatem do konwiktów mniejszego pierwszych dni stycznia 1775 roku. Nie znalazłem tam wprowadzić tychże samych nauczycieli, których mi ks. Linowski obiecywał, oprócz ks. Montremolego, dającego lekcyje języka francuskiego, lecz co do stancyi i stołu, miałem wszelką wygodę za czerwonych złotych cztery na miesiąc, a, co najwięcej podobało się młodemu, miałem zostawioną sobie wolność i kiedy chciałem, mogłem wychodzić do miasta.

Zastałem w Warszawie wuja mego, Krosnowskiego, jeszcze sejmującego i już z panną Łoską ożenionego; mówił mi, że dla tego szczególnie ożenił się, ażeby drobne jego dziatki, osobiście córeczki, miały matkę, która-by ich edukacyi dopilnowała, i że, chociaż młoda i w Warszawie wychowana, nie jest zepsuta i kocha go rozumnie. Zastałem drugiego wuja Radońskiego, posła także sandomirskiego, bywałem u nich często, u Hadziewiczów, księcia Marcina Lubomirskiego, Chomentowskiego i innych posłów sandomirskich, bywałem na pokojach królewskich w każdą niedzielę i galę, na asambalach u Ponińskiego i to był dla mnie świat wielki.

Zaprzyjaźniłem się z memi rówieśnikami: Potockim, Rzewuskim, Orsettim, Wichlińskim, Bogusławskim, Popławskim, Kłembowskim, Skórkowskim i z nimi różne znajomości pozabierałem. Z nimi odwiedzałem najczęściej kasztelanową Komorowską, łowczankę Komorowską, pannę Cichocką, Staniszewską, Michalską i Saską. Bywałem z nimi na komedjach, spacerach, balach i reducie. Odwiedzałem także przeznaczoną niegdyś dla mnie Basię, najmłodszą siostrę zmarłej wujenki mojej, która, płacząc po niej (ledwie nie można-by tak mówić), straciła z płaczu jedno oko i leczyła się na nie w Warszawie. Zgoła używałem swobodnie lubej mojej wolności, bawiłem się, jak mi się zdawało natenczas, najlepiej, unikałem jednak złych kompanii, ałem tracił wiele czasu na rozrywki, który mogłem wtenczas najpożyteczniejszy

obrócić i małym pilnował nauki. Porzuciłem rysunek, rozumiejąc, że nie był dla mnie potrzebnym; porzuciłem fletrowers, żeby nie szkodził słabym moim piersiom; zaniedbałem język łaciński, sądząc, że ten umieć przystoi samym tylko żakom; język niemiecki zdawał mi się żydowski i zbyt gruby, żebym miał na uczenie się jego czas mój najprzyjemniejszy tracić. Jednego szczególnie francuskiego języka cokolwiek przypilnowałem i tylko w nim postąpił, że mogłem książkę zrozumieć i kilka słów przemówić do tej Francuzki, u której na pensyi była p. sędzianka Staniszevska. Przydałem do niego lekcję tańca, zganiony od panny Cichockiej, że nie lekko mazurka tańczył i w tym musiałem cokolwiek postąpić, kiedy się odważył na jednym balu menueta tańczyć.

Nie czytałem innych książek, oprócz „Zabawek przyjemnych”, „Tysiąc nocy i jedna”, „Robinsona”, „Fortunata”, „Idziego Blasa”, „Alcydata z Zelidą”, przecież wuj mój, Krosnowski, tak dobre miał rozumienie o mojej nauce, że mnie zobowiązał do napisania mu mowy sejmowej, był z niej zupełnie kontent i dziękując mi za nią, winaowała ojczyźnie, że we mnie miała zdatnego syna. Z książek francuskich najpierwszą czytałem „Les aventures de... ou les effets surprenans de la sympathie”, która mnie bardzo bawiła i równie, jak p. sędzianka, Staniszevska, do uczenia się języka francuskiego zachęcała. A gdy już dobrze rozumiał ten język, tłómaczyłem z francuskiego na polskie „Monitory”, które Mitzler pisał.

Brat mój średni przyjechał był z Krakowa dla pożegnania się z wujami, zamyslał wyjechać do Niemiec; namówiony od nich, poszedł do regimentu gwardyi pieszej litewskiej. Powrócił i p. Leonard z Paryża i starał się przez Trembeckiego umieścić w kancelaryi królewskiej, miał już i nadzieję i obietnicę, ale jej skutku długo czekać nie chciał i wyjechał w Krakowskie gospodarować. Przywiózł brat mój wiele książek z Paryża, które wznieciły we mnie smak do czytania; z nich dzieło Helwecyusza „De l'esprit de l'homme et de ses facultés” przeczytałem, choć nie ze wszystkiem mogłem je zrozumieć.

Ze wszystkich zabaw i rozrywek, które mój czas i pierwsze użycie mojej wolności zajmowały, najprzyjemniejszą był dla mnie teatr. Każda komedia niezmiernie mnie cieszyła, każdy balet porывał zmysły moje w zachwycenie. Nie mogłem jednak tak często, jakbym żądał, bywać na teatrze, bo za każdy raz na parter trzeba było dziewięć złotych płacić.

Jednego wieczora idąc z teatru Trębacką ulicą z Popławskim, moim przyjacielem, spostrzegłem dwie ładne w oknie siedzące dziewczęta, które nas do siebie zapraszały; prosto rozumiejąc, że były przyjacielowi memu znajome, chciałem iść do nich, wstrzymał mnie za rękę

mój przyjaciel i opowiedziawszy mi, jakiego sposobu życia były te panienki, tak mi je obrzydził, że odtąd omijał Trębacką ulicę, żebym ich więcej nie widział. Znajomości też moje z panienkami dobrego urodzenia i wychowania, z którymi przyjemne i niewinne przepędzałem chwile, myśleć o podłych i sprzedajnych umizgach nie dały mi czasu.

Osiemnasty już miesiąc żyłem w Warszawie, ani-bym spostrzegł, jak mi ten czas zszedł prędko w ustawicznych zabawkach i niewinnej przyjaźni, gdyby pierwszy mój zapas pieniężny, już się kończący, nie przypomniat mi, że trzeba było postarać się o drugi, kiedy nie było już o czym bawić się w Warszawie dłużej, a Chwalibóg i Grodzicki nie odysyłali mi mojej prowizyi. Wyjechałem zatem w Krakowskie przed Ś. Janem 1776 r. starać się o pieniądze z bratem moim średnim, który, sprzykrzywszy sobie żołnierkę, za wielką łaską szefa swego, księcia Adama Czartoryskiego, otrzymał z regimentu uwolnienie. Przed wyjazdem odprawiłem jubileusz wielki.

Odebrawszy nasze prowizye na Ś. Jan w Krakowie, odwiedziliśmy brata naszego, w Zielenicach gospodarującego, które wziął był w arendę od podwojewodzego Radońskiego; byliśmy świadkami, jak nasz Paryżanin biegał po polu za snopkami i wkrótce rozstaliśmy się z sobą. Brat mój, przywodząc do skutku dawno życzoną sobie podróż do Niemiec, wyjechał do Wiednia, a ja z Kapistranem Drużbackim i Greblem, księgarzem, popłynąłem Wisłą do Warszawy.

Było to na początku sierpnia, czas do naszej żeglugi mieliśmy najprzyjemniejszy, płynęliśmy po dwie lub trzy mile na dzień, jakby tylko dla spaceru, wielkim i wygodnym statkiem i do każdego prawie miasteczka, nad Wisłą leżącego, wysiadaliśmy. Widzieliśmy Mogilę, Niepołomice, Hebdow, Ujście, przy którym Raba wpada do Wisły, Przemyków, Opatowiec, gdzie Dunajec, Nowe-Miasto, gdzie Nida, Wygodę, gdzie Wisłoka, wpadają do Wisły. Byliśmy w Baranowie, w Dzikowie, gdzie obraz Maryi słynie cudami, w Sandomierzu, Józefowie, Solcu, Kazimierzu, Puławach, gdzie najpiękniejszy ogród, w Stężycy, Ryczywole.

W kilku jednak miejscach statek nasz, zastanowiwszy się w piasku, w kilku uderzywszy o kamień, niezmiernie nastraszył Grebla naszego, pierwszy raz wodą płynącego. Kłekał natenczas, modlił się i razem przeklinał, złorzeczył odwadze swojej, że się puścił na wodę, zegnał nieprzytomną żonę i synka swojego, Antosia. My się śmiali z Drużbackim.

Blizko już będąc Warszawy, zachorowałem na febrę. Przeniesiono mnie chorego na statku do najętej stancyi w kamienicy karmelitańskiej u kuchmistrzowej wojewody ruskiego, zemdlałem, gdy mnie wprowadzano na schody, otrzeźwiony, poznałem wtenczas z własnego

doświadczenia, że można stracić i odzyskać zmysły i przytomność, bom dotąd rozumiał, że to był wymysł kobiet, udających chore i umierające. Cztery tygodnie ciężko chorowałem i ustawicznie śmierć stała mi na myśli. Pilnowała mnie w gorączce leżącego moja gospodyni kuchmistrzowa i krewna jej Marysia, śliczna dziewczyna, na którą patrząc, myślałem sobie, jak ta jest znikoma i nietrwała piękność, którą jedna choroba zniszczyć i w proch obrócić może i jak jest rzeczą zawodną na tak słabym gruncie szczęśliwość swoją zakładać. Z myśli tej przechodziłem często do rozważania próżności uciech i zabaw światowych, których natenczas zniknęły dla mnie wszystkie powaby, i przedsięwziąłem, do pierwszego zdrowia przyszedłszy, sposób nowy życia, samym służący rozrywkom, na porządniejszy zamienić i obrać sobie jaki stan pewny.

Miałem też już po temu i lata i różne widoki i nadzieje. Rodzice zmarłej mojej wujenki, Duhinowie Brzezińscy, życzyli sobie wydać za mnie najmłodszą córkę swoją, Barbarę; Paprocki, Konarski i inni zaprzyjaźnieni ze mną oficerowie, namawiali mnie do artyleryi, ks. kanonik Hołowczyc, wzywał mnie imieniem księcia biskupa płockiego do księcia Józefa Poniatowskiego i obiecywał mi, oprócz przyszłej u dworu promocyi, że z nim cudze kraje zwiedzę. Lecz znowu przypomniła mi się śmierć ukochanej mojej wujenki i pierwsza naówczas myśl moja do stanu duchownego, i lubom uważał, że ten stan przeciwny był moim skłonnościom, rozumiałem, że mnie Opatrzność do niego przeznacza, i po długim namyśleniu się, postanowiłem iść do seminaryum dla doświadczenia mego powołania, które, gdyby nawet nie było stałe, zawsze mieć ten zysk spodziewałem się, że, zamknięty u missyonarzy, więcej będę miał czasu do nauki, aniżeli sam sobie i ustawicznym rozrywkom zostawiony w mieście, i w dalszym czasie będę mógł, jak sobie życzyłem, z mniejszym nierównie wydatkiem w czarnej sukni z kołnierzykiem odwiedzić Rzym i Włochy.

Wyspowiadawszy się zatem w dzień Ś. Franciszka i wezwawszy boskiego błogosławieństwa, przeprowadziłem się do seminaryum Św. Krzyża piątego dnia października. Ks. Siemiński, wizytator, przyjął mnie z wszelką grzecznością, a, żem chciał mieć osobną stancję, stół wygodniejszy i usługę, przyjęty byłem jak konwiktor i zapłaciłem ks. prokuratorowi za stół i stancję trzysta trzydzieści złotych na pół roku.

Gdy przyszło przed wzięciem sukienki strzyż włosy, zadrzałem cały i ledwie wstrzymał się od płaczu. Chociaż dotąd nosiłem suknie polskie, przykro mi było z początku chodzić w długiej sukni zapiętej i nosić wielki kołpak soboli; niektóre zwyczaje seminaryjskie zdawały

mi się dzikie, powoli przywykłem do wszystkich i zacząłem w seminaryum rok 1777 zupełnie spokojny.

Nauki moje rozpocząłem od logiki, którą nam dawał ks. Patou, missyonarz, niedawno przybyły z Paryża, uczyłem się przytem metafizyki, etyki, geografii i obrządków kościelnych. "Wszystkie każdego tygodnia godziny, porządnie rozłożone dla nabożeństwa i nauki, schodziły mi prędko i przyjemnie. Środę, dzień wolny na spoczynek przeznaczony, obracałem na tłumaczenie i pisanie „Monitorów” i odwiedzenie moich znajomości.

Na miejsce dawniejszych nastąpiły znajomości i zaprzyjaźnienia się z duchownymi. Bywałem u biskupów Okęckiego, chełmskiego, Szembeka, Aleksandrowicza, u prałatów: Marszewskiego, Reptowskiego, Kołłątaja, Sierakowskiego. Zaprzyjaźniłem się szczególnie z ks. ks. Walewskim, księciem Jabłonowskim, Krajewskim, moimi współkolegami.

Był zwyczaj w seminaryum, że rozdawano klerykom materye do pisania kazań i te, poprawione przez profesora, mawiali klerycy w refektarzu dla wprawy; mnie przypadło pisać: „O zgadzaniu się z wolą Boską.” Z trudnością napisałem pierwsze to kazanie i mniemałem, że będzie najgorsze, było przecież pochwalone, musiałem dać je do przepisania moim kolegom i w rok potem słyszałem z podziwieniem toż samo kazanie moje, przez jednego kleryka powiedziane.

Brat mój średni donosił mi o swoich zabawach wiedeńskich, a, dowiadując się o moich, pytał się mnie, czyli w zeszłym karnawale nie brała mnie chętka tańcować menueta. Wtenczas dopiero przypomniałem sobie, że ten czas już przeszedł, w którym zwykle najwięcej bawiłem się; tak byłem zajęty nabożeństwem i nauką, że nawet pomyśleć o czem innem nie było czasu.

Pan Leonard, sprzykrzywszy sobie gospodarować na cudzem, chciał mieć choć maleńką swą własność i zapozwał Chwaliboga do oddania mu części Jaranowic, jako nieprawnie od małoletniego nabytej; Chwalibóg, przymuszony oddać część czwartą, przedsięwziął oddać nam całe Jaranowice i dla umiarkowania wynikłych stąd wzajemnych pretensyi, wezwał nas na kondescencyę, dlaczego ostatnich dni czerwca wyjechałem w Krakowskie.

Zastałem w Krakowie brata mego, powróconego już z Wiednia, i z nim razem pojechałem do Jaranowic, gdzie, odbywszy kondescencyę i zapłaciwszy tysiąc kilkaset złotych Chwalibogowi za jego pretensye, puściłem część moją Jaranowic p. Leonardowi i wyjechalśmy z p. Józefem do Warszawy, gdzie życzył sobie umieścić się w jakiej kancelaryi przy dworze.

Przejeżdżając przez Opoczyńskie, wstąpiliśmy do wuja naszego, Krosnowskiego, i naszej ciotki, Zajączkowskiej. Wujaszek winszował mi bardzo odmiany stanu mego, ciotka płakała nademną z rozrzewnienia. Wróciliśmy stamtąd drogą naszą na Piotrków dla widzenia trybunału, tam na ratuszu sądzącego.

Pierwszych dni października stanęliśmy w Warszawie, ja w seminarium, brat mój także u ks. ks. misjonarzy najął sobie stół i stancję. W tym właśnie czasie z woli biskupa poznańskiego i warszawskiego, Młodziejowskiego, kanclerza koronnego, wprowadzona była do seminarium warszawskiego matematyka i dla dawania jej sprowadzony był umyślnie z Paryża ks. Patou, całę zdatny professor; korzystając z tej sposobności, uczyłem się arytmetyki wyższej, algebry, geometryi i fizyki i z całej matematyki odprawiłem publiczny examen w przytomności księcia biskupa Poniatowskiego, Szembeka, jego koadjutora, wielu prałatów i profesorów z powszechnem pochwaleniem. Examinował mnie profesor Koc, ex-jezuity. Po skończonym examinie ks. kanonik Kołłątaj prezentował mnie księciu biskupowi płockiemu, jako swego współziomka, Krakowiaka.

Zaprzyjaźniony ze mną ks. Patou, namawiał mnie, żebym z nim jechał do Paryża i często powtarzał mi to zdanie Roussa: „Si vous avez une étincelle de génie, allez passer une année à Paris, bientôt vous serez tout ce que vous pouvez être, ou vous ne serez jamais rien.“ Taż sama była chęć moja, lecz jej uskutecznienie wyciągało znacznego wydatku, wyjechałem więc do Krakowa koło Ś. Jana Chrzciciela r. 1778 starać się o pieniądze.

Atoli nie były dla mnie pomyślne kontrakta Świętojańskie, nigdzie nie dostał pieniędzy, nawet Grodzicki nie oddał mi reszty sumki mojej, u niego będącej. Sam nie wiedząc, do kogo się udać, a słysząc, że książę biskup płocki wysłał jakiegoś akademika za granicę, napisałem jeden list do księcia biskupa płockiego z prośbą, ażeby mógł być z tych liczby, którzy jego nakładem doskonalą się za granicą w użytecznych krajowi naukach, drugi list pisałem do ks. wizytatora Siemieńskiego, którego znałem dla siebie przychylności, otworzyłem mu mój zamiysł, prosiłem o radę, pomoc i wreszcie o pożyczanie pieniędzy. Książę biskup płocki nieraczył mi odpisać, ksiądz wizytator odpisał mi uprzejmie i roztropnie. Pochwaliwszy chęć moją, radził, żebym jej uskutecznienie do dalszego czasu odłożył, a tymczasem zaczęte w kraju skończył nauki, w których chcę doskonalic się w cudzych krajach, na przywiedziony zaś przezemnie przykład wysłanego za granicę akademika, odpowiedział: „Przykład ten zdaje mi się mieć różnicę, naprzód, że znać ten duchowny niemiał już czego-by się w kraju swoim uczył, powtóre, że, potrzebując nagle zdatnych do edukacyi pro-

fesorów, sposobią ich jak mogą najprędzej; WMPan, kochany księże, wątpię, ażebyś chciał być do tej profesyi zużytym, alia et majora te manent."

I tak skończył się na niczem ten najpierwszy w życiu mojem projekt, ks. Patou odjechał do Paryża, jam powrócił do seminaryum i zacząłem uczyć się teologii i prawa kanonicznego. Obydwie te nauki po matematyce i fizyce zdawały mi się zbyt ciemne i wrodzonej ciekawości rozumu nie zaspakajające, ile kiedy proszony profesor o rozwiązanie trudności pospolicie odpowiadał: „Mysterium, domine, mysterium, któż kiedy był doradcą Najwyższego”? Między innemi ćwiczeniami seminaryjskimi miewaliśmy w każdą środę z rana konferencye duchowne, na które dyrektor seminaryjski wyznaczał nam materye; jedną z nich mówiłem „O wydoskonaleniu rozumu."

.

Zacząłem rok 1779 w seminaryum, w tym roku dowiedziałem się, że znajduje się w Warszawie ks. Kossakowski, biskup cyneński, pisarz W. Ks. Lit., i starałem się z nim poznać, a, nie mając nikogo, kto by mnie do tej znajomości przyprowadził, ośmieliłem się sam iść do niego, jako imiennik.

Przyjął mnie mile ks. biskup, pytał, czy jestem z koronnych Kossakowskich, gdzie się bawię, jak dawno w seminaryum i zalecił, żebym, jako gotujący się do stanu duchownego, najwięcej duchownych nauk pilnował. Jakoż do nich w tym czasie szczególnie przykładalem się, oprócz lekcji teologii, której uczyliśmy się z Koleta i prawa kanonicznego Pichlera, miałem lekcję Pisma Ś. i historii kościelnej. Przy tych wszystkich lekcjach ledwie jaką godzinę w tygodniu mogłem obrócić na rysunek geometryczny, który dawał nam Jakóbowski, kapitan artylerji. Oficer ten, edukowany za granicą, pełen cnoty, przymiotów i wiadomości wojskowej, nagle zbrzydziwszy sobie świat i służbę żołnierską, był wtenczas aspirantem do zgromadzenia missyonarskiego i, mimo wszystkie perswazye króla, księcia Adama Czartoryskiego i swoich kolegów, został missyonarzem.

Okolo Ś. Jana obydwaj z bratem wyjechaliśmy znowu do Krakowa. Przywykły już do missyonarzów, stanąłem u nich na Stradomiu, brat mój miał stół i stancję u Grebla. Pokazywałem bratu mój rysunek geometryczny i nauczyłem go rysować drzewka, on nawzajem dał mi początki na gitarę i nauczył mnie grać jedną aryjkę. Wyjechałem z Krakowa do Jaranowic i Dembiny, którą p. Leonard trzymałarendą od podsędkaradońskiego i tam na żądanie ks. Gostyńskiego, plebana zielenieckiego, i mego brata, Józefa, napisałem kazanie „o prawdziwym do N. Maryi Panny nabożeństwie." Z Dembiny pojechałem z mojem

kazaniem na uroczystość N Panny Narodzenia do Zielenic. Drżałem ze strachu i nie widziałem ludzi przed sobą, kiedy zaczął czytać ewangelję, przecież nieźmyliłem się i razu, dzięki Maryi, iz ukontentowaniem moich wujów Radońskich i braci, pierwsze to kazanie z ambony powiedziałem.

Bawiliśmy się potem przez cztery tygodnie u wuja naszego pod-sędka Radońskiego w Markocicach i razem uczyliśmy się historii powszechnej czasów teraźniejszych z Mehegana. Znaczną miałem szkodę w tym czasie, nowy browar ze wszystkimi naczyniami spalił mi żyd w Jaranowicach. Puściłem częstkę moją w arendę naszej matce (tem imieniem szanownem nazywaliśmy zawsze macochę naszą z prawdziwego do niej przywiązania), sam zaś myślałem zamknąć się u ks.ks. misyonarzy na Stradomiu z memi książkami, których już nie małą zebrałem był liczbę, a czytać ich dotąd nie miałem czasu, lecz brat mój, p. Józef, śpieszył do Warszawy, gdzie miał już swoje kochanie, i mnie z sobą namówił.

Przyjechaliśmy do Warszawy ostatnich dni października i już nie w seminaryum, jednak u ks. ks. misyonarzy na folwarku stanąłem razem z bratem moim. Kończyliśmy tam naszą historję powszechną, odczytywałem, czegom się uczył w seminaryum, i dwanaście lekcji na gitarze wziąłem od Noskowskiego. Chodziłem też czasem na sądy konsystorskie dla przysłuchania się i poznania procesu duchownego.

Zabrałem znajomość z generałem Jakubowskim, z Piotrkowski-mi, z p. Kurzeniecką, kanoniczką, i powoli oswajałem się z kobietami, na które od wzięcia sukienki duchownej spojrzeć lękałem się, i powracałem do dawniejszych zabaw warszawskich. Wznowiłem także projekt mój dawniejszy i prosiłem księdza kanclerza koronnego, żeby mnie w kancelaryi swojej umieścił, ale kiedy mi odpowiedział przez swego audytora, ks. Reptowskiego, że nie może zatrudniać się księżmi z obcej dycezyi przybyłemi, porzuciłem znowu Warszawę pierwszych dni czerwca 1780 roku i do Krakowa wyjechałem, a brat mój został w kancelaryi Borchy kanclerza umieszczony.

Nająłem tam sobie domek w ogrodzie na przedmieściu, zwanem Wesoła, nie daleko Karmelitów, i mając czas wolny, napisałem kazanie na następującą Wniebowzięcia Matki Boskiej uroczystość, którem chciałem się popisać w kościele Panny Maryi. Aliści z wielkiem mojem nieukontentowaniem ks. prałat Kielczewski, kiedy mu oświadczył moją ochotę, odpowiedział mi krótko, że klerycy w kościele jego kazań nie miewają.

Gdy mi się nie udała ta praca, wziąłem się do drugiej. Wtenczas, gdy najwięcej mówiono o edukacyi, gdy jej poprawę zatrudniała się komissya, w tym celu ustanowiona, wpadła mi w ręce książeczka:

„L'ami des jeunes gens”, która stosownie do jej zamiaru zdała mi się być napisaną. Przetłómaczyłem kilka jej arkuszy i przez Grebla, księgarza krakowskiego, podałem je ks. Wincentemu Skrzetuskiemu do krytyki. Dane od niego na piśmie zaświadczenie, że rzecz dobra i styl gładki, zachęciło mnie do przetłómaczenia całego dzieła i w tym roku pierwszy tom skończyłem.

Z Krakowa wyjechałem w sierpniu do brata mego, Leonarda, a z nim razem w Opoczyńskiedla odwiedzenia naszych krewnych i przyjaciół. Zaczęliśmy podróż naszą od Snochowic, gdzie nasz wuj, Krosnowski, przyjął nas mile. W Machorach Dołęga, kalwin, i nas i naszych służących upoił. W Sworzycach Grabkowski, który ma ciotkę naszą Radońską, wielki prawnik i kłótniarz, pokazywał nam uroszczone prawa swoje do różnych dziedzictw i zbutwiałe dokumenta, za którymi spodziewał się wygrać i odziedziczyć znaczną część powiatu Opoczyńskiego. W Gielniowie piliśmy wyborne piwo, które, według tradycji tamtejszej, słynie od tego czasu, jak S. Ładysław z Gielniowa pobłogosławił na znak przychylności ku swoim ziomkom ten źródł, z którego biorą wodę do robienia piwa.

W Jastrzębiu cześnikostwo Brzezińscy z wielką nas przyjęli grzecznością. Po wieczery mówiliśmy razem z państwem i całym dworem różaniec, potem państwo spać poszli, a my z pannami cześnikównami, Katarzyną i Barbarą, bawili się do godziny dwunastej. W Kłonnej, gdzieś ja niegdyś gospodarował, znaleźliśmy podstolinę Romerową, młodą wdówkę, ową Dosię, z którą razem chowałem się w Mniszkowie. Też sama miała jeszcze wdzięki, którem widział rozwijające się w pierwszej jej młodości, też samą cnotę i pobożność, a dowcip i rozsądek dojrzały. Przypominaliśmy sobie nasze zabawki niewinne i najprzyjemniejsze chwile, któreśmy razem z sobą przepędzili. Bratu mojemu bardzo się podobała. Żegnałem ją z żalem, lecz zarazem i z niejaką nadzieją, że może być moją bratową.

W Drzewicy starosta Szaniawski pokazywał nam swoje fabryki pojazdów i żelaza. W Trzeszkowicach u wuja naszego, Strasza, z wzajemnem ukontentowaniem dwa dni zabawiliśmy. W Januszewicach odwiedziliśmy dziada naszego, osiemdziesięcioletniego Radońskiego, podstarostę opoczyńskiego. Rad nam był, jak rzadko komu, prosił nas na wieczrę postną, z olejem gotowaną, jedliśmy ją blaszanemi łyżkami; żalił się przed nami na złe czasy terażniejsze i na złych sąsiadów, mających wielkie o jego zbiorach rozumienie i ustawicznie naprzykrzających mu się o pożyczanie pieniędzy. Nazajutrz rano, poczęstowawszy nas mocną wódką dzięgielówką z puzderka, które pod łóżkiem jego stało, dał nam błogosławieństwo swoje na drogę.

Z Januszewic jechaliśmy do Trzebiatowa przez Potok, gdzie z słodkiem rozrzwinnieniem oglądałem ten sam dwór drewniany, w którym u babki mojej lata dziecinne w pieśczętach spędziłem, ten sam ogródek, w którym moją stokroć, piwonię i boże drzewko sadziłem, tenże sad i też same drzewa, z których śliwki i gruszki obrywałem, też samą groblę nad stawem i za nim łąki, po których biegałem. Jakże jest miło odwiedzić raz przynajmniej w życiu miejsce swego urodzenia lub wychowania, komu Opatrzność nie dała na jednym miejscu urodzić się, wychować i żyć spokojnie.

W Trzebiatowie, ciotka nasza, Zajączkowska, przyjęła nas jak własne dzieci, ścisła, całowała i aż do łez rozrzwinniała się z nami. Upatrywała w nas podobieństwo do naszej matki, grała nam na skrzypcach i teorbanie. Zabawiliśmy dni kilka najprzyjemniej i ze łzami rozstawaliśmy się z kochaną naszą ciotunią.

Powróciwszy z Opoczyńskiego, znalazłem list od brata mego z Warszawy, w którym mi pisze, że biskup Kossakowski przyjechał do Warszawy i o mnie się pytał; dobrze-by było z nim się zobaczyć, bo to jest ksiądz z głową, jakich tu między biskupami niewielu, wpływający teraz po zdysgracyowanym Tyzenhauzie w pierwsze interesa litewskie, radzi mi zatem, porzuciwszy Olechowskiego, który mi dawniej jeszcze czynił nadzieję promocyi duchownej, przyjeżdżać na sejm następujący do Warszawy.

Pośpieszyłem więc na sejm i, żebym bliżej był zamku i izby sejmowej, nająłem stancję na wikaryi przy kolegiacie św. Jana. Widziałem się z biskupem, ale znalazłem go bardzo zatrudnionego gotowaniem na sejm projektów.

Sejm zaczął się według prawa w pierwszy poniedziałek po św. Michale, 2 października, od zwykłego nabożeństwa. Kazanie miał ks. Wyrwicz, w którym dowodził, że wszystkie czynności sejmowe powinny urządzać się mądrością i odnosić się do miłości ojczyzny, że sejmujący dwie celniejsze mają przed sobą roboty: obranie urzędników i praw ustanowienie. W pierwszej okoliczności strzedz się mają wszelkich względów krwi, przyjaźni i własnego zysku, w drugiej uważać, które są wczesne, które tyczą się sprawiedliwości, obyczajów i religii. Marszałkiem sejmowym był Małachowski, sekretarz koronny.

Na tym sejmie oskarżano, łajano i usprawiedliwiano podskarbiego Tyzenhauza. Uchylony został zbiór praw Zamoyskiego. Wznowione prawo oszczędności dla wstrzymania zbytku. Żadnej sessyi sejmowej nieopuściłem i pisałem dyaryusz sejmowy, który przyjacielom moim rozsyłałem.

Ostatnich dni listopada zachorowałem i nigdzie ze stancyi przez sześć tygodni nie wychodziłem. Najczęściej w tej słabości mojej od-

wiedział mnie ks. Walewski, który blisko mnie stał na Dziekanii u brata swego szambelana, i wtenczas najmocniej zaprzyjaźniliśmy się z sobą. Wyzdrowiawszy, przeniosłem się po Nowym roku 1781 do ks. ks. Missyonarzy na mieszkanie.

Przetłómaczyłem też drugi tom zaczętego o edukacyi dzieła i dałem do druku p. t. „Przyjaciel młodych.“ Księża Missyonarze podjęli się ochotnie wydrukować je w drukarni swojej warszawskiej, nowo założonej ¹⁾).

Umarł w tym czasie Młodziejowski, biskup poznański, nastąpił po nim Okęcki, biskup chełmski, który szczególnie był na mnie łaskaw, prosiłem go i sam, i przez przyjaciół, żeby mnie przy sobie umieścić. Wymawiał się długo, nareszcie przyobiegał, i kiedy już wszyscy winiszowali mi tak dobrego miejsca i już miałem się przeprowadzić do jego pałacu, przysłał do mnie swego kapelana z doniesieniem, że Król JMć narzucił mu ks. Wołłowicza, niedawno z Rzymu przybyłego i, mimo chęć swoją i przyrzeczenie, nie miał już dla mnie miejsca.

Zawód ten niewymownie mnie zasmucił, cieszył mnie zmartwionego ks. Skarszewski i radził, żebym, porzuciwszy starych biskupów, starał się zasługiwać młodszym, podług dawniejszego przysłowia, że lepiej zawsze trzymać się wschodzącego niż zachodzącego słońca. Generał Jakubowski mówił mi toż samo, co ustawicznie bratu memu powtarzał: „jeszcze nie przyszła godzina“, i doradzał mi, żebym udał się jeszcze do księcia biskupa plockiego. Usłuchałem tej rady, byłem przez ks. Hołowczyca prezentowany księciu biskupowi Poniatowskiemu, ale ledwie parę słów do mnie przemówił i odesłał mnie do swego audytora, ks. Żurawskiego, który, wypytawszy się mnie, gdzie się rodził, edukował i nauki moje odbywał, tyle mi tylko odpowiedział: „Krzywdę-bym WPanu uczynił, gdybym go wziął do kancelaryi na kopistę.“

Kiedy się i to nie udało, zrażony ze wszystkim, porzuciłem wszelkie nadzieje i projekta warszawskie i postanowiłem wyjechać koniecznie za granicę. Do tego przedsięwzięcia zwróciłem wszystkie moje myśli i starania. Zamówiłem sobie u Grodzickiego oddanie reszty mojej sumki. Szukałem kupca na częśćkę moją Jaranowic. Uprosiłem księcia biskupa Szembeka i obiecał wyrobić mi fundusz warmiński w Rzymie, a co najpewniejszą przedsięwzięcia mego było zasadą, przyjaciel mój, Walewski, który także w tym czasie wybierał się do Rzymu, bardzo sobie życzył, żebym z nim razem jechał i obiecał przepożyczyć mi pieniądze.

¹⁾ Dzieło Ant. Berquin'a, wyszło r. 1781 w Warszawie, w druk. ks. Missyonarzy, w dwóch tomach in 8-vo p. t. „Przyjaciel młodych, dzieło o edukacyi, z francuskiego“ — bez wymienienia autora, ani tłómacza. (Przyp. wyd.).

Przed wyjazdem moim za granicę, rozumiałem być rzeczą przyzwrotną widzieć to wszystko, co kraj nasz ma szczególniejszego. Objechałem więc wszystkie okolice warszawskie: Wilanów, Powązki, Mokotów, Woleę, Łazienki, Młociny, Bielany, Jabłonnę. Z tych najwięcej zastanowiły mnie Wilanów i Powązki księżnej Czartoryskiej, generałowej ziem podolskich. Przypomniałem tam sobie ładne ich opisanie przez Trębeckiego.

Tu zwykła myśl swobodna przybywać poecie,
Tu słodko śpiewać rozkosz wtórując na flecie,
Tu się gonić z kochanką przy miłych powiewach,
Tu nieprzytomnej imię rysować na drzewach,
Tu piękny świat przybywa na witanie wiosny,
A kto smutny przyjechał, powraca radosny.
Gdy pożyteczne prace me siły nadślabią,
Chciałbym być za nagrodę tej chaty burgrabią.

Dowiedział się ks. Kossakowski, biskup już inflancki, o przedsięwziętej do Rzymu mojej podróży i, chcąc podobno dać mi się poznać bliżej, wziął mnie z sobą na wieś do państwa Ożarowskich, wezwany od nich dla poświęcenia kościoła w Brzozie. Jechaliśmy w jednej karecie: biskup, ja i ks. Popiel. Mało o co pytał się mnie ks. biskup, sam najwięcej o różnych rzeczach mówił. Ton jego mówienia, poufały i przyjemny, dziwnie mi się podobał. Jam nie miał wniesić z czego, żebym miał szczęście jemu się podobać.

Powróciwszy z Brzozy, umówiliśmy się z ks. Walewskim i plan naszej podróży ułożyliśmy. Ja wprzód miałem wyjechać z Warszawy i, ułatwiwszy domowe interesa, zjechać się z nim w Krakowie. Wtem, gdy już byłem na samym wyjeździe, wezwał mnie do siebie ks. biskup i radził, żebym się poznał z przybyłym w tych dniach do Warszawy ks. Odyńcem, bogatym prałatem litewskim, który także wyjeżdża do cudzych krajów, i kiedy-by się zdawało, żebym z nim razem jechał.

Jużem się był umówił z ks. Walewskim, żebym jednak nie zdał się gardzić radą biskupa, poznałem się z ks. Odyńcem, lecz kiedy mi opowiedział wielki plan swojej podróży, że chciał być nietylko w Niemczech, we Włoszech, Francyi, Anglii, ale i w Portugalii, Hiszpanii, Danii, Szwecyi, słowem objechać całą Europę, oświadczyłem ks. biskupowi, że moje sposoby nie były wystarczające na utrzymanie wspólni z tak wielkim wędrownikiem.

Pierwszych dni czerwca, pożegnawszy ks. biskupa Kossakowskiego, księcia Szembeka, koadjutora plockiego, prałata Skarszewskiego, ks. Siemińskiego wizytatora, ks. Lisowskiego, Ustrzyckiego

mego niegdyś profesora, ks. Krajewskiego, ks. Popiela, generała Jakubowskiego, Piotrowskich, marszałkównę Kurzeniecką i brata mego, Józefa, wyjechałem do Krakowa. Brat mój po śmierci Borchy, za interesowaniem się różnych osób, już się był dostał do ks. biskupa. Chociaż pierwsze moje zamiary i nadzieje nie wzięły w Warszawie pomyślnego skutku, z żalem jednak wyjeżdżałem z Warszawy.

Jadąc przez Opoczyńskie i Chęciński powiat, pożegnałem w Kłonej po raz ostatni podstolinę Romerową z najtkliwszem rozżaleniem. Sióstr jej jużem nie znalazł: Katarzyna poszła za Skarbka, Basia za Winklera, i pożegnałem wuja mego, Krosnowskiego, w Snochowicach. Przy pożegnaniu biskupa inflanckiego, ofiarowałem mu dzieło moje „O edukacyi“, z francuskiego przetłómaczone.

Na tem kończy się pamiętnik. Następuje dziennik, którego część, obejmującą podróż do Rzymu, podamy w przyszłym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej.“

NA SŁUŻBIE.¹⁾

Alinę nieprzyjemnie dotknęła wiadomość o wyjeździe Juliusza. Poczuła się bardziej osamotnioną, bardziej wystawioną na nienawiść Koci. Zamknęła się w dumnym milczeniu względem Kowzgirdowej, Koci i Stefana, uciekając z salonu, gdy tylko mogła. Przepędziła parę godzin w pokoiku Mierznickiej na rozmowie z rezydentkami. Były to śmieszne i wykolejone kobiety, ale okazywały jej serce, co w tej chwili stanowiło dla niej pociechę.

— Nie śpiewałaś nam dziś, kochaneczko,—rzekła jej wieczorem Kiersciowa.—Brakowało mi twojego śpiewu. Uciekałaś od nas, żebyśmy cię do fortepianu nie zwerbowali. Kocia lepsza od ciebie; grała, nie dając się prosić.

Alina odczuła w tej chwili wyraźnie, jak Kocia musiała być zadowolona z jej nieobecności, jak musiała chętnie grać, nie widząc jej wśród słuchaczy. Dziewczyna zdała sobie też dokładnie sprawę z niemożności zostania nadal w tym domu, w którym Kocia wybitne miejsce zajmować miała. Odmowa ręki Prędowicza zapewne źle go usposobi dla nauczycielki, przytem podejrzenia i niechęć Koci... wszystko się składało na wypędzenie jej ze Zbrucza. Będzie znowu musiała szukać kątów nowych, ludzi nieznanymi... Żal jej się zrobiło surowej lecz sprawiedliwej Skierczyny, przyjaciela, którego zdobyła w Juliu-

¹⁾ Patrz zeszyt kwietniowy „Biblioteki Warszawskiej.”

szu, biednej Mieci z jej nieśmiałością przywiązaniem, pocziwychzydentek, służących, z którymi zawarła przyjaźń... Ha, trzeba się było przyzwyczaić!.. Taki los tułaczy przeznaczony jej zapewne na całe życie... Jednak to dziwnie! Ten Zbrucz, gdzie wszystkim prawie stała się potrzebną, gdzie ją nie tylko ludzie, ale nawet konie i psy znały, ten Zbrucz obejdzie się bez niej i wszystko tu będzie szło zwykłym trybem. Wspomnę z początku czasem, potem coraz rzadziej, aż wreszcie... Objęło ją cierpienie bez nazwy, które tak często duszę w czarny obłok spowija, a które się rodzi z poczucia niestałości i nietrwałości rzeczy ludzkich i uczuć.

— Może jednak dobrze, że tak jest—pomyślała w końcu.—Życie łatwiej płynie tym, co zapominają prędko, i lepiej, że tu w Zbruczu po moim odjeździe braku czuć nie będą.

Wybrała się na daleki, samotny spacer do lasu. Czuliła potrzebę otrząśnięcia czarnych myśli, odnalezienia w sobie przekonania, że jest szczęśliwą. Gdy się znalazła sama wśród pól, patrząca na las, stanowiący tło obrazu, objęło ją uczucie swobody, młodości, siły. Jak ona mogła przed chwilą uskarżać się na swój los? Miała zdrowie, które mogła spożytkować w pracy dla rodziny, była pożyteczną i jeszcze śmiała na swój los utyskiwać? A że ją spotkała niesprawiedliwość, że jej wyrządzono krzywdę? Trzeba było darować Koci. To miłość czyniła ją podejrzliwą i zazdrosną. Wszak zazdrość jest podobno zwykłą towarzyszką miłości. Biedna Kocia! Co ona się nacierpieć musiała skrycie, nim doszła do wybuchu! Jeżeli ma już taką zazdrosną naturę, to nawet zachwyt Juliusza dla śpiewu innej musiał ją napełniać gorczyzą. Biedna, wątła dziewczyna, wychowana jak kwiat cieplarniany, z wieczną uwagą, zwróconą ku własnemu zdrowiu, ku własnej osobie, postawiona nagle wobec niebezpieczeństwa, powstałego tylko w jej wyobraźni, ale niemniej ją trwożącego. Żeby ta Kocia mogła uwierzyć jej słowom, poszła-by natychmiast do niej i powiedziała-by jej wszystko, jak było, żeby ją uspokoić. Te wyniosłe słowa, rzucone niedawno Kowzgirdowej, to był znowu objaw obraźliwości i łatwo jątrzącej się dumy. Kocia była zazdrosną, bo jej chodziło o jej miłość; ale ona, Alina, była gorsza, bo chodziło jej tylko o jej dumę obrażoną. Ale to było chwilowe uniesienie! Teraz oto, gdy się poczuła zdrową, silną i szczęśliwą wśród pola z dochodzącym ją od lasu zapachem młodych pędów sośniny i niedawno rozwiniętej brzeziny, teraz gotowa była wytłómaczyć wszystko Koci, jak przyjaciółce, powiedzieć, dlaczego rozmawiała w nocy z Juliuszem i od kogo otrzymała bukiet. Poprosi ją o sekret, by oszczędzić miłość własną Prędowicza; ale dla jej ukojenia, dla spokoju wszystkich, winna poprostu powiedzieć całą prawdę. Po co ma cierpieć dziewczyna, która tu po szczęście przyjechała, i ta ma-

tka z duszą gorącą, dla której szczęście córki było droższem nad życie. To ona, Alina, z wieczną obraźliwością, była winna wszystkiemu, i należało jej rzecz całą naprawić uczciwie i z prostotą.

Podczas tych rozmyślań dziewczyny, Kowzgirdowa szukała córki, która była gdzieś znikła. Odnalazła ją wreszcie na samotnem siedzeniu w ogrodzie. Kocia miała zachmurzone czoło i ślady łez w oczach.

— Moje dziecię! — zawołała Kowzgirdowa, chcąc w ramionach utulić córkę.

Kocia odepchnęła matkę, jak kapryśne, rozżalone dziecko.

— Niech mama mi da pokój w tej chwili! — rzekła kwaśno i ze zmarszczonem czołem.

— Chciałam z tobą pomówić, moje dziecko... myślałam, że może było-by lepiej, gdybyśmy ze Zbrucza wyjechały zaraz...

— Niech mi mama da pokój! — powtórzyła Kocia. — Już teraz ja sama decydować będę o tem, co się tyczy mnie i Juliusza. Dotąd mama prowadziła wszystkol.. Popchnęliście mię w tę historję tak, że teraz już cofnąć się jest trudno... O, ja-bym stąd wyjechała, ale nie mogę znieść myśli, że byłby to tryumf dla tej intrygantki. Muszę się doczekać, żeby ją stąd ciotka Skierczyna wypędziła, jak na to zasługuje. Ona tu już przybiera dumne miny i wyobraża sobie, że stanowisko jej zachwiać się nie da. Nie raczyła nawet mówić do nas dzisiaj! Juliusz jest zaślepiony, ale ciotce Skierczynie oczy otworzę! Powiem jej wszystkol

Kowzgirdowa patrzyła na córkę z przestraczem. Nie śmiała się odezwać, by nie wywołać nowych wymówek Koci, i by to ukochane dziecko nie powiedziało jej słów gwałtownych, któremi zdawały się drzeć jego usta. Przejmował ją też strach przed tem gniewnem uniesieniem dziewczyny, w którem ukazywała się dusza zazdrosna i mściwa. Więc miłość bez granic, wzmacniająca się ciąglem poświęceniem, zupełnem zapomnieniem o samolubnych celach i potrzebach, mogła wychować tę złość i mściwość!

Obok przestraczu i grozy, jakimi przejmowała Kowzgirdową dusza Koci, odsłaniająca jej się w tym gniewnym napadzie, biedna matka doznawała jeszcze bolesnego uczucia własnej winy. Bo ona była winna! Tak, ona rzeczywiście zanaadto zaufała Juliuszowi, zanaadto śpiesznie i samowolnie postanowiła o przyszłości córki i postanowiła wtedy jeszcze, gdy ta córka prawie dzieckiem była. Wzięła bezprawnie na siebie rolę opatrznosci i oto teraz widziała dziecię swoje nieszczęśliwem i chowajacem w sercu instynktu zazdrości i mściwości! Usta jej były jakby lodem ścięte, niema rozpacz uciskała jej duszę.

— Tak — mówiła Kocia z zaiskrzonym wzrokiem — ja muszę ją stąd wypędzić! Muszę ją widzieć zdemaskowaną, upokorzoną, złamaną!

— Kociu!—zawołała matka, łamiąc ręce!

— Tak, tak—wołała, coraz więcej roznamiętniając się Kocia—ona po nocach schodzi się z Julkiem, ułożyła sobie, że tu panią w Zbruczu zostanie, ale ja temu przeszkodzę! Wyjedzie stąd zhańbiona! Wszyscy się dowiedzą o tem, gdzie ta panna chodzi po nocach!

— Kociu, Kociu!

Kowzgirdowa, mająca swą córkę za niewinne, nieświadome dziewczę, nderzona została nowym ciosem. Więc Kocia wiedziała, co kobietę zhańbić może i na jakie podejrzenie narażała tajemna, nocna schadzka!

— Kociu, nie ma się prawa bez dowodów niezbitych...

— Nie ma się prawa? O, ja o prawo pytać nie będę! Mama tej intrygantki bronić gotowa! A przecie to jest widoczne, że dziewczyna, Bóg wie skąd przybyła i Bóg wie jaką przeszłość mająca, chce spożytkować tę trochę piękności, z której się tak pyszni, żeby złapać Skierkę! Ona już musiała próbować niejednej takiej sztuczki! Liczy na to, że Juliuszowi honor każe ożenić się z nią, jeżeli przez niego skompromitowaną zostanie.

— Co ty mówisz, moje dziecko? Skąd ci takie myśli do głowy przychodzą?

Kowzgirdowa z załamanemi rękami, z rozszerzonymi źrenicami patrzyła na Kocię, nie mogąc jeszcze uwierzyć, że to, co słyszała, wychodziło z ust córki, która w jej wyobraźni była dzieckiem, posiadającym zupełną niewinność myśli.

W tej chwili ujrzała w oczach Koci, utkwionych w głębi ogrodu, nowy błysk gniewu. Odwróciła się. Aleą lipową szła Alina z pękiem leśnych traw i wiosennych pełnych kwiatów w ręku. Dziewczyna miała twarz spokojną i wypogodzoną. Słodczy, prostota, szczerość, jaśniały z jej oczu, zwykle tak pełnych jasności. Zmierzała prosto ku ławce, na której teraz obok Koci usiadła Kowzgirdowa. Wkrótce piękna dziewczyna, niosąca w całej swej postaci świeżość i blaski pól, od których wracała, zbliżyła się do siedzących i z prostotą, a jednocześnie z gorącym i serdecznym tonem w głosie, rzekła:

— Przyszedłam usprawiedliwić się przed paniami...

Kocia wybuchnęła niemiłym, ironicznym śmiechem.

Alina zarumieniła się, w oczach jej zabłysła chwilowa obraza, ale zaraz potem we wzroku, który rzuciła na zapłakaną Kocię, odmalowała się litość i dobroć.

— Mam brzydką wadę—rzekła słodko—jestem obraźliwa, każde słowo niesprawiedliwe lub lekceważące dotyka mię zanadto. Jest to brak pokory i zbytne przejęcie się własną osobą... Niech mi panie

przebaczą! Przyszedłam też do przekonania, że, wobec usposobienia panny Konstancyi, należy się paniom wytłómaczenie.

— O, fakta same rzecz dostatecznie tłómaczył—zawołała wyzywająco Kocia—może się pani nie trudzić tłómaczeniem sprawy, tem więcej, że ja słowom pani nie wierzę!

Odezwanie się Koci było zbyt namiętne i obrażające, nuta przeciągnięta, zamierzone więc zranienie Aliny chybiło celu. Nauczycielka uśmiechnęła się z litością.

— Prawda nigdy nie jest zbyt uczciwa—rzekła łagodnie.—Pani wysłuchać mię zechce, ale winnam też wytłómaczenie się pani Kowzgirdowej i prośbę o przebaczenie mi kilku słów niewłaściwych.

Zwróciła się do Kowzgirdowej:

— Obrażliwość uczyniła mię niesprawiedliwą i niegrzeczną—ciągnęła dalej.—Pani znać mię nie może i nie powinnam była się dziwić, że widok owego bukietu z róż wywołał w pani nieufność i podejrzliwość... Duma moich słów była nie w miejscu... Przepraszam za nią. Niech panie zechcą zatrzymać w tajemnicy to, co powiem, bo nie chcę miłości własnej pana Prędowicza wystawiać na upokorzenie. Otóż pan Prędowicz oświadczył się o moją rękę...

Kocia zaśmiała się znowu ironicznie.

— Ah, wszyscy się w pani kochają!—zawołała.

— Prosił, bym się namysliła dobrze, nim mu odpowiem... ofiarował mi utrzymanie dla mojej rodziny... Byłam w niepewności, gdzie leży mój obowiązek, walka z samą sobą mię tak wyczerpywała, że potrzebowałam niezwłocznie uczynić postanowienie, ale błąkałam się w myślach, byłam strasznie zdenerwowana i niespokojna, pragnęłam rady człowieka, którego sercu i honorowi ufam. Poszłam do pana Juliusza i prosiłam go o chwilę rozmowy na osobności. On sam mi zaproponował, bym została w salonie po rozejściu się towarzystwa. Rozmowa z panem Skierką uspokoiła mię. Dał mi radę, którą sumienie moje uznało za słuszną... Pan Prędowicz nie przybył dotąd po odpowiedź, tylko mi ze stacyi przysłał ten piękny bukiet.

— Ah, chwała Bogu!—zawołała Kowzgirdowa, biorąc w swoje dłonie ręce Aliny.—Czemu pani tego wszystkiego wcześniej nam nie powiedziała?

— Mama jej wierzy?—zawołała Kocia.

Zerwała się z ławki i stała wyzywająca naprzeciw Aliny. Była w tej chwili brzydka, z czołem pomarszczonem, z wykrzywionemi ustami, z oczami, zaiskrzonymi gniewem. Jej płaska pierś oddychała śpiesznie i nierówno. Alina spokojna, pogodna i pełna litości, wzięła jej chudą rękę:

— Żal mi pani, bardzo mi pani żal!—rzekła.—Biedne serca, którym podejrzliwość łatwiej przychodzi, niż ufność! Czy ja doprawdy na kłamliwą intrygantkę wyglądam? Pani cierpi. Tylko cierpienie może takie przykre słowa kłaść w usta... Pragnę wrócić pani spokój... pragnę, by pani nie cierpiała... Pani powinna być tak szczęśliwa! Ma pani wszystko po temu! Tę matkę, którą wszyscy kochają, narzeczonego, któremu pani z zaufaniem zupełnem przyszłość swą powierzyć może!.. Nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego pani podejrzewa. To nie jest człowiek zdolny do kłamstwa. Jak pani może przypuszczać, by panią oszukiwał!

— Pani go wpłatała w intrygę!—zawołała Kocia z płaczem, wywołanym nagle przez uciszenie się w niej gniewu. Zaczynała wątpić we własne podejrzenia i to zmogło jej nerwy. Jakiś upór mimowolny sprawił, że chciała utrzymać się w swej roli niechęci i niedowierzania.

— Może nie kłamał dawniej—mówiła dalej,—ale pani go kłamać nauczyła. Ułożyliście razem tę całą historię! Ale niech mi pani wytłumaczy, jakim sposobem bukiet Prędowicza przywieziony został przez Julka?

— Tego pani nie wytłumaczę...

— Naturalnie!—przerwała Kocia z tryumfem.

— Bo sama tego nie wiem—ciągnęła dalej Alina.—Nie przyszło mi na myśl zapytać, skąd się wziął bukiet... Czy pani zna pismo pana Prędowicza? Może list jego panią przekona. Chciała-bym wrócić pani spokój, choćby dla tego, że pani jest narzeczoną pana Juliusza. Chodźmy, pokażę pani list.

Wzięła Kocię za rękę i prowadziła ją ku oficynie. Kowzgirdowa, z rumieńcem wstydu, ze spuszczonej oczami, postępowała za córką. Alina wbiegła śpiesznie do pokoju swego, czując, że ją na nowo ogarniać zaczyna uczucie obrażonej dumy, że resztki pokory ustępują przed gniewem na tę dziewczynę, która tam u jej drzwi stała chmurna i nieprzejednana. Porwała list, postępując jeszcze wedle dobrych uczuć, które ją skłoniły do tej eksplikacyi, a których już w tej chwili w sobie nie czuła. Miała ochotę list Prędowicza rzucić w twarz Koci, ale poskromiła w sobie tę ochotę i zmusiła się do powiedzenia, z gniewnem już wszakże drżeniem w głosie, oddając list:

— Zajęłam paniem czas... przepraszam... Żałuję, że się do tego tłumaczenia zniżyłam.

Wbiegła napowrót do mieszkania, podczas gdy Kocia utkwiała w kartce Prędowicza wzrok, ciekawością i gniewem zaiskrzony.

— Tego starego doprowadziła do takiego szalonego kroku!—zawołała.—A tak! Teraz jej wierzę, bo przecie ona musi wiedzieć, że

Prędowicz, to milioner! Kokietowała wszystkich, ale zostanie żoną najbogatszego!

Nazajutrz, o bardzo ранней godzinie Juliusz przyjechał z nocnego pociągu. Wszystko w Zbruczu było jeszcze uspione i podróżny czekał, by na odgłos dzwonka wyszedł służący, gdy sztor u jednego z okien się odchylił, okno otworzone zostało i głos babuni Kierściowej zawołał:

— Kochaneczku, czy bardzo ci się spać chce?

— Spać nie pójdę—odparł Juliusz—sama pora udania się do gospodarstwa... dzień dobry babuni! Babunia tak rano na nogach!

— W moim wieku snu tak mało potrzeba! Wstaję zawsze o trzeciej... Słuchaj kochaneczku, chciała-bym z tobą pomówić... zawsze jesteś tak zajęty... czy możesz przyjść do mnie teraz?

— Idę babuniu! Zmienię tylko zakurzone ubranie i idę!

Staruszka, zupełnie już ubrana, w charakterystycznym czepku, którego kroju nie zmieniała nigdy, przyjęła Juliusza serdeczniej, niż zwykle, i po dwakroć ucałowała czoło młodzieńca, wzięwszy jego głowę w swoje przezroczyste ręce. Oczy jej, jaśniejące dziwną młodością wśród pomarszczonej, starej twarzy, patrzyły wprost w źrenice prawnuka.

— Kochaneczku—rzekła mu bez żadnych omówień—tu się dzieją rzeczy, o których pragnęła-bym pomówić z tobą. Matki twej nie chciała-bym niepokoić... Jaki jest sposób na to, by Alina Zbrucz na zawsze opuściła i by odprawienie jej nie było dla niej przykrością i upokorzeniem?

Na to zapytanie, spadające mu na głowę niespodzianie, Juliusz poczuł w sobie jakiś nagły a gwałtowny poryw twardości, skrytości i gniewu. Gdyby był sam doszedł do przekonania, że Alinę oddać należy, byłby zamiar przeprowadził, choćby mu się serce krwawiło; ale wmieszanie się Kierściowej, postawienie go niespodzianie wobec myśli o pożegnaniu się z Aliną na zawsze,—to były wstrząśnienia, które jego tkliwe przed chwilą usposobienie przemieniły w zaciętość i upartą skrytość. Nikt nie miał prawa zaglądać do jego serca! Nikt! I nikt też do niego nie zajrzy! Dyplomacya i rządy babuni Kierściowej, to było dobre dla kobiet, dla dzieci, ale on sam sobie da radę, i inicjatywa, tak dobrze, jak odpowiedzialność za czyny własne, muszą ciążyć na nim jedynie. Wysiłkiem woli zapanowawszy nad sobą, zapytał spokojnie, z uśmiechem i nie okazując najmniejszego wzruszenia:

— Dlaczego miała-by być odprawiona?

— Bo ta dziewczyna jest tak piękna, takim obdarzona powabem, że trzeba szaleńca, aby wymagał od młodego człowieka, by, żyjąc pod

jednym z nią dachem, pozostał dla niej obojętnym. Twoja matka popełniła błąd wielki, zgadzając się na wzięcie jej do domu!

— Babunia się tak lęka o serce Stefana?

— Kochaneczku, nie ndawaj niedomyślnego: Stefan jest wolny, i nie o niego, ale o ciebie tu chodzi.

Juliusz rozśmiał się.

— Babuniu kochana, jakieś dziwne myśli przychodzą do głowy babuni!

— Pamiętasz nasze odwiedziny na cmentarzu? Już wtedy zrodziło się w mej duszy przecucie. Szłam oparta na rękę Aliny i odczułam tak gorąco jej piękność i dobroć, takie ta dziewczyna miała współczucie dla mojej starości, dla znikomości moich dni na tym świecie, i taką chciała mi być osłoda i podporą, że zrozumiałam, że gdy piękna, gorąca dusza takie zamieszka ciało, to biada tym, co ją miłością pokochać mogą... Pomawiają ją tu o kokieterię; mnie się zdaje, że ma ona tylko ten blask piękności, wdzięku i pełni rozkwitu, który aż oślepia i, jak kwiat wonią, upaja. Ja przecie nie jestem młodym mężczyzną, a oka od niej oderwać nie mogę, ani ucha od jej głosu, gdy śpiewa, a nawet, gdy mówi... Taka dziewczyna pod twoim dachem to nieszczęście. Z tem przecuciem w sercu zwróciłam się wtedy do ciebie... Ożenić się z nią nie możesz...

— Wyobrażnia babuni ma skrzydła! Wszak żenię się z Kocią!

— Kochaneczku, to nie zmienia wcale niebezpieczeństwa, o którym mówię. Widziałam już takie dramata!.. Ciężko jest przyciskać do łona nieukochaną, szczególnie, gdy się ma w duszy miłość dla innej...

Juliusz śmiał się głośno.

— Babunia krótko sypia, ale miewa sny fantastyczne!

— Wolno ci się śmiać Julku, wysłuchać mię jednak musisz! Ożenisz się bogato, z Kocią, czy z inną, wszystko jedno!.. Obok twojej żony, Koci, czy innej, nie może tu pozostać Alina.

— Babunia mię ma za słabego, kochliwego dzieciaka!

— Więc może nie tobie, może jej grozi niebezpieczeństwo. Toć ona jest młoda i stworzona do kochania. Nie kocha cię dziś?.. może cię pokochać jutro! Są kobiety, dla których namiętność nie istnieje i miłość do ich serca dostaje się po promieniach przyjaźni, uznania, szacunku.. A ty myślisz, że pozostaniesz wtedy zimnym? że ci będzie obojętną miłość, którą będą promieniały jej oczy, którą będzie drżał jej głos, którą będą pałać jej policzki... że to nie przeniknie twej duszy wstrząśnieniem. Dzieciaku, to przecie jest siła! Niedotykalna, nieujęta, ale potężna! Ludzie się miłością zarażają, jak chorobą... zapala się od niej ich dusza, jak suknia od płomienia. Strzeż się! Jeżeli jesteś

silny i uczciwy, postarasz się o to, by ona ten dom opuściła, skoro ty go opuścić nie możesz!

— Gdyby nawet podejrzenia babuni miały w sobie zasadę, gdyby nawet istniało rzeczywiście niebezpieczeństwo, odpowiedzieć-bym musiał, że nie mam prawa odejmować chleba od ust jej rodziny. Takiego miejsca, jak tu, ona nie znajdzie. Trzeba fantazyi bogatego człowieka, by nauczycielce do małego dziecka płacił rocznie dwa tysiące rubli. Może na cały nasz kraj jest jedno tylko takie miejsce, a zajmą je może jedna tylko Alina. Prędowicz, bez przenośni, płaci dla jej pięknych oczu. Ja jej tego zarobku godziwego, bo na wspólnej umowie opartego, odebrać nie mam praw!

— Nie będę z tobą walczyć—rzekła smutnie Kierściowa—nie uwierzysz mi i nie chcesz widzieć, bo ci twoja ślepotą w tej chwili dogadza.

— I o nią niema strachu! Ja dla tej wykwintnej dziewczyny zostanę zawsze zapracowanym szlachcicem, w grubych butach i pomiętej czasem koszuli, zaściankowym, zapleśniałym parafianinem, nie mającym czasu przeczytać gazety, a o dziewiątej wieczorem usypiającym nad talerzem kwaśnego mleka z kartoflami.

— Nie masz szczerości, kochaneczku, a mógł-bys mówić do mnie tak, jak do jednego z tych, co tam w grobie naszym rodzinnym spoczywają.

Staruszka patrzyła na Juliusza przenikliwie i ze smutkiem. Ten zwiędły cień kobiety, w którym żywość oka czyniła wrażenie duszy, pozbawionej ciała, przejął w tej chwili młodzieńca uczuciem wielkiej czci, a jednocześnie żalu, że skrytość i jakaś twardość wrodzona nie pozwalały mu otworzyć serca przed nikim, nawet przed tą istotą.

— Prawda babuniu—rzekł—że nie należę do tych, co umieją i mogą duszę przed bliźnim otworzyć, jak księgę. Spowiedź była dla mnie zawsze jednym z najcięższych obowiązków. Zresztą, mogę najzupełniej uspokoić babunię. Ojciec mój obciążył Zbrucz, ale od chwili, jak ja interesa wziąłem w ręce, zobowiązałem się tem samem do zaspokojenia tych, którzy na Zbruczu umieścili kapitały. A co to ubogich powierzyło nam swoje maleńkie mienia! Ojciec mój widocznie wzbudził szczególne zaufanie! To są setki drobnych dłużków, zaciągniętych u rzemieślników, służących, wdów, sierot... To płatanina, której rozwikłać trudno. Są między wierzycielami moimi ludzie starzy, schorowani, którzy zostali-by bez dachu i chleba, gdyby im procent ze Zbrucza zapłaconym nie został. Tylko moja praca, moja oszczędność i rozum mojej matki chleb tym ludziom zapewnia. Ja od tego warsztatu rąk oderwać nie mogę: Mówi babunia, że ojcowizna, to placówka. Gdybym nawet o tem zapomniął, gdyby wygasły we

mnie wszystkie uczucia obywatelskie, musiały-by zostać uczucia uczciwego człowieka, który-by nie mógł znieść tych łez, tych skarg i tych przekleństw na swoim sumieniu! Zbrucz jest w rzeczywistości wart więcej, niż obciążające go długi, ale czasy są obecnie takie, że kupca niema, i to, co-by za Zbrucz zapłacono, nie pokryło-by wierzytelności. Ja to wszystko wiem i rozumiem! Znam doskonale cały ciężar kuli, którą dźwigam u nogi... znam ją łut po łucie, i żadne metafizyki, żadne czcze sentymentalizmy nie zaciemniają mojego wzroku. Ja jestem *na służbie*, babuniu! jestem człowiekiem, skazanym na ciężkie roboty na całe życie i w naszym kraju jest takich bez liku. Nic tu nie mogę zamienić na pieniądze. Lasy wycięte, produkcyja rolna prawie się nie opłaca... Nawet duszy już się teraz nie zaprzedaże, bo-by jej nikt nie kupił. Ożenię się więc bogato, długi spłacę, przestanę być szarpany przez wierzycieli i tropiony, jak zwierzę, przez wyzyskiwaczy mego smutnego położenia... albo, jeżeli się nie ożenię, zostanę tak, jak dotąd, sługą moich zobowiązań. Poczucie spełnionego obowiązku da mi zadowolenie. A miłość? Pogardzam osobistem szczęściem, nie potrzebuję go! Miłość mogła-by być w mem życiu tylko drobnym kwiatkiem, na który postawię nogę, zdepcę go i pójdę dalej! A teraz muszę opuścić babunię. Wczoraj byłem nieobecny... gospodarstwo cierpi na każdym mojem oddaleniu się.

— Jesteś zmęczony, powinien-bys się położyć.

— Spałem trochę w wagonie i mam dosyć.

Staruszka patrzyła za odchodzącym młodzieńcem swojemi gorejącemi oczyma, które teraz powoli zachodziły łzami.

— Boże!—szepnęła—musi to przecie być sprawiedliwem, kiedy ty chciałeś, by za winy ojców pokutowały dzieci!

Juliusz nie widział wcale Koci dnia tego. Miała w nocy trochę gorączki, a potem bolała ją głowa. Matka życzyła sobie, by cały dzień nie opuszczała łóżka, na co ona bez sprzeczek się zgodziła, gdyż przyzwyczajona była do leżenia przy najłżejszem cierpieniu. Lubiła nawet spędzanie czasu w posłaniu, bezwiednie może, słuchając w tem potrzeby wątlęgo organizmu. Tym razem miała też wstręt do zobaczenia Juliusza, wstydziła się sceny zazdrości, którą mu zrobiła, i wołała pozostać dla niego niewidzialną przez dzień cały.

— Mam nadzieję, że to nic groźnego?—spytał Juliusz Kowzgir-dowej.—Może ciocia każe posłać po doktora?

— Nie, nie, to tylko drobna niedyspozycya. Kocia leży w łóżku raczej dla uspokojenia mię. Ty wiesz, jaka ze mnie lękliwa matka.

Przed samym obiadem zjawił się Prędownicz. Alina, ujrawszy go w stołowym pokoju, oblała się rumieńcem, a potem zbladła, jak chusta. Prędownicz na to jej nagłe zmieszanie się patrzył z pod nieco spuszczonej powiek, z wyrazem obojętności, który rzadko jego rysy opuszczał. Manewrowała tak, by nie usiąść koło niego, i w końcu znalazła się między Mierznicką i Leontyną. Podczas obiadu ani razu nie spojrziała w jego stronę, ale czuła jego wzrok na sobie. On jej trwogę i ucieczkę wytłómaczył sobie pochlebnie dla swoich zamiarów. Myślał z ironią:

— Te kobiety muszą zawsze stroić jakieś fochy i wyprawiać jakieś komedye! Za parę godzin zostanie moją narzeczoną, a teraz się rumieni, trwoży, udaje nieśmiałość. Gdyby nie miała przyjąć mojej ręki, nie robiła-by tych wszystkich historyi.

Uśmiechał się na myśl, że piękne usta Aliny zmuszone będą w końcu wypowiedzieć owo *tak*, przed którym takimi krasniała rumieńcami i taką okrywała się bladością. Gdyby to w jego wieku nie było śmiesznością, on-by owo *tak* rad był pocałunkiem zdjąć z jej ust. Ale w jego wieku—myślał to z ironią, ale i z głębokim bólem zarazem—takie *tak* nie pocałunkiem z ust dziewczyny się wypija, ale się za nie ofiaruje złoto i złotem się płaci z góry! Patrzył z zazdrością i jakimś zalem do przeznaczenia na młode głowy Juliusza, Stefana i Zdzisława. Tysiące gorzkich myśli przebiegały mu przez głowę. Dlaczego on, wobec tej dziewczyny, czuł się młodym, gdy siwizna okrywała jego głowę? Dlaczego ona młodym widzieć go nie mogła, gdy nim był w duszy? A może siwizna i zmarszczki nie rażą jej. Może przez jego złoto pokocha ona i jego samego? Chwilami, pomimo goryczy i ironii, które, jak trucizna, sączyły mu się do duszy, przed wzrokiem jego majaczyła jakaś nadzieja, jakiś sen o miłości wzajemnej, który natychmiast odsuwał szyderstwem. Ona miała-by w nim widzieć kochanka? Nie, on przedstawia tylko chleb i wygody życia dla jej rodziny, dach własny nad jej głową i wstrętnego, starego męża, dla którego każdy uśmiech jest ofiarą i upokorzeniem! Więc dla czego posiadać ją pragnie? Wszakże to szaleństwo! Tak, on wiedział dobrze, że to szaleństwo, ale wiedział też, że namiętność dopóty do owego szalonego kroku popychać go będzie, dopóki tego kroku nie uczyni. Nic nie miał do stracenia i nic na kartę nie stawiał. Alina kochać go nie będzie, porzuci go? Wszak i tak przez nikogo kochanym nie był, i tak był samotnym. A może biedna nauczycielka polubi tego, który jej i rodzicom jej zapewni... Na usta jego wybiegł ironiczny uśmiech. Co? Wszak on sentymentalizował na dobre i gotów był, jak klasyczny kochanek, marzyć o zlanu się zupełnem dwóch istnień, o słodczy samotności we dwoje! Za młodu sentymentalnym nie był i brał rzeczy bardzo ściśle i zimno,

więc teraz, widocznie, trzeba mu było spłacić dług czułym mrzonkom... Jednak dobrze jest marzyć w ten sposób, gdy się jest młodym, bo wtedy marzenia nie przerywa zgrzyt ironii i szyderstwa z samego siebie.. A więc nie za miłość, nie za przymioty, ale za złoto! Za złoto, byle ją posiadać! Okryje się śmiesznością przez to małżeństwo, ale co mu to szkodzi, że się ludzie śmiać będą, gdy on w swym samotnym domu będzie miał tę piękność i tę młodość? Dziewczyna rumieni się i blednie, to znaczy, że ją jeszcze nawiedzają ostatki niepewności i trwogi, które już w gruncie zwalczyła.

— Nie patrzy w moją stronę—myślał—bo nie chce, by oczy uprzedziły usta w powiedzeniu owego *tak*, które w zamiarach swych już mi sprzedała i trzeba przyznać, że za grube pieniądze!

Alina wiedziała, że Prędowicz zjawi się po odpowiedź w końcu lekcji Mieci i oczekiwanie tej niemiłej przeprawy napełniało ją niepokojem i niezadowoleniem. Spoglądała w stronę Juliusza, jakby w jego spojrzeniu chciała znaleźć odwagę i zachętę, ale ani razu nie spotkała jego wzroku. Spokojnie i poważnie opowiadał on towarzystwu jakąś zasłyszaną w Wilnie historię, która zajęła i zastanowiła wszystkich.

Po obiedzie Alina uciekła pod skrzydła babuni Kierściowej. Podawszy jej tę kroplę kawy, którą staruszka pijała, nie opuściła jej już, moralnie garnąc się i tuląc do niej, pewna, że Prędowicz tu jej nie dosięgnie. On dobrze zrozumiał, o co chodziło, ale brał to zawsze za fochy, nerwy i bałamuctwo kobiece.

— Musi mi jednak niedługo twoja różana buzia powiedzieć, że przyjmujesz, że będziesz moją!—mówił sobie z mieszaniną ironii i radości.

I patrzył na dziewczynę z pod powiek przymkniętych, rozparty w fotelu, z głową do góry podniesioną, z zagadkowym uśmiechem na ustach. Myślał z szyderstwem:

— Jestem jak wąż boa spokojny i pewien, że ten ptak rajski, który teraz ucieka i odwraca oczy, sam przyjdzie do mnie i odda się dobrowolnie. Węże mają na to potęgę swego wzroku, ludzie mają złoto, czy raczej, papiery bankowe... Nic nie pomogą twoje fochy, drobne dyplomacye i chowanie oczu przede mną!

Spoglądał co chwila na zegarek. Szedł on bardzo powoli, ale jednak szedł i za jakiś czas miał wskazać godzinę, w której Alina zabierze Mieci do lekcji. Wyszła była z Kierściową do ogrodu. Prędowicz nie ruszył się z miejsca, tylko, gdy nakoniec nadeszła godzina lekcji, poszedł powoli ku oficynie, wiecznie obojętny i nigdy niczem nie zmieszany. Nie mylił się. Miecia siedziała już naprzeciw Aliny, która na rozłożonej mapie pokazywała jej bieg Dunaju. Widział, jak nauczycielka zadrżała, jak znowu spłoneęła i zbladła; zauważył, że się

w swym wykładzie zacięła. Usiadł i cały czas lekcji obserwował, jak się pod jego wzrokiem mieniła. Odczuwała naprzd przykrość tego, co ją czekało, a on myślał, że była to wstydlivość dziewczęci i uczucie owego ptaka, który wie, że nakoniec rzuci się w paszczę węża.

Miecia odeszła wreszcie. Wtedy Alina zerwała się śpiesznie z siedzenia i z błyszczącym okiem stanęła przed Prędowiczem.

— Czy pan zawsze trwa w postanowieniu swoim?—zapytała.

— Jak najmocniej—odpowiedział spokojnie.

— Jest mi ogromnie przykro—mówiła Alina.—Pan mi daje dowód takiego zaufania i... przywiązania, a ja muszę odpowiedzieć, że tego wszystkiego, czem pan chce mnie i moją rodzinę obsypać, ja nie przyjmuję. Nie mogę! Idąc za mąż, trzeba kochać, a ja...

— Wiem, wiem. Pani ma dla mnie szacunek i przyjaźń, przychylność, ale miłości...

— Tak, nie mam! A bez miłości nie pójdę, bo-bym musiała być złą i kłamliwą żoną.

— Ja panią wezmę złą i kłamliwą.

— Nie, nie! Niech mi pan nie utrudnia tej chwili! Niech pan zrozumie, że ja doprawdy nie mogę...

— Bo pani kocha innego!

— Nie, nie kocham nikogo, żadnego obcego mężczyzny! Nikogo, prócz mojej rodziny i przyjaciół.

— Pani mówi szczerze?

— O, szczerze! Z całej duszy szczerze! Gdybym kochała kogo, powiedziała-bym to w tej chwili bez ogródek. Nie kocham, ale mogę pokochać kiedyś.

— O, jaka pani przewidująca!

— Niech pan mię zechce zrozumieć... ja pana proszę raz na zawsze... niech pan wejdzie w moje położenie... chciałam przez chwilę poświęcić się dla rodziny, ale potem jasnem mi się stało, że żaden wzgląd nie okupi grzechu, a to-by był grzech!

— Grzech? Co za chrześcianka wzorowała!

— To byłby grzech! Bo ja-bym przed ołtarzem przysięgła miłość, a dawała-bym... Bóg wie... może nienawiść? Za cenę grzechu ja nie mam prawa spełnić nawet najwznioślejszego czynu.

Prędowicz nie spuszczał oka z pięknej dziewczyny, która mówiła z zapalem, przyciskając ręce do piersi, jakby serce własne brała na świadectwo prawdy słów swoich.

— Żeby to można było dać życie za ich szczęście,—mówiła, coraz bardziej się zapalając, może-bym je dała, ale duszy oddać nie mogę!.. Już od chwili, gdym dziś zobaczyła pana, cierpię nad tem, że muszę

panu to wszystko powiedzieć... Nie chciała-bym niczem zmartwić pana, ani dotknąć!.. Czy nadal mam się uważać za nauczycielkę Mieci?

— Więc to, co mi pani przed chwilą powiedziała, jest nieodwołalne i stanowcze?

— Tak. Nie mogę postąpić inaczej. Pan też niech postąpi szczerze. Jeżeli mi pan znienawidzi po tem, co zaszło, to proszę powiedzieć to otwarcie, a natychmiast opuszczę ten dom.

— Pani się może jeszcze namyśli, a ja, gdy znienawidzę, powiem to wyraźnie. Tymczasem niech rzeczy zostaną, jak są, i niech pani naszą dawną umowę uważa za ważną.

— Ale mam jeszcze jedną wielką prośbę.

— Jaką?

— Żeby się dla mnie teraz zaraz rozpoczął czas wakacyjny. Zabawię u matki cztery tygodnie, podług umowy, ale pragnę wyjazd mój przyspieszyć. Czy dostanę na to zezwolenie pana?

— Nie wiem. Musi mi pani przedewszystkiem powiedzieć szczerze przyczynę.

— Przyczyną są goście w Zbruczu. Wiedzie się tu teraz takie życie nierówne i gwarne... Wolę stąd uciec teraz, a wrócić, gdy nastanie dawny spokój.

— Ucieka pani od Stefana Skierki?

— I od pana Stefana Skierki także.

— Niech mi pani poda rękę i niech mi pani przyrzeknie, że pani z matką pomówi o mojej propozycji, której nie cofam. Może pani potrzebuje pieniędzy? Mogę służyć pożyczką.

Wziął rękę Aliny i czuł, jak ta ręka co najprędzej uwolnić się z jego uścisku pragnęła.

— Pieniądzy?—zawołała Alina z przestraczem—nie wezmę pożyczki, bo jakże-bym potem spłacić ją mogła! Upomnę się tylko o to, co mi się należy! I tak obdzieram pana... i tak wyrzucam sobie często...

— Na spłacenie pożyczki mogę czekać długo.

— Ale ja-bym takiego ciężaru nie zniósł! W każdym razie dziękuję panu i za ofiarowanie mi tej pożyczki, i za zgodzenie się na mój wyjazd jutro... Urodziłam się pod jakąś szczęśliwą gwiazdą, że tylu życzliwych i wyrozumiałych ludzi na mojej drodze spotykam!

— Będę w tych czasach w Warszawie, może się tam zobaczymy.

— O, nie!—zawołała Alina z przestraczem.

— Tak się pani boi spotkania ze mną?

— Jeżeli pan przyjdzie jako znajomy i przyjaciel... Tylko nie jako konkurent!

Prędomwicz pomyślał:

— Boi się, by matka nie była za mną.

— Wyjeżdżam stąd zaraz — rzekł głośno — więc do widzenia w Warszawie.

Wziął rękę, którą mu Alina podawała, i wycisnął na niej długi pocałunek, walcząc z szaloną ochotą złożenia takiego samego na ustach dziewczyny. Ją przy dotknięciu wąsów Prędowicza przejął dreszcz wstępu i odrazy. O, co za radość, że ona odrzuciła rękę i miliony tego człowieka! Jaka ona szczęśliwa! Wolna, wolna! Jutro podaży ku Zubiszkom, a po jutrze!..

Objęła ją myśl o ciepłe pocałunków macierzyńskich, o rozkoszy uściśnienia siostrzyczek i braci, myśl o domu rodzinnym, którego ściany, choć cudze i najęte, utulą ją po tych wszystkich niepokojach i przykrościach, których tu doznała. Była do łez rozrzuwiona. O, jaki Bóg był dobry, że pozwalał jej być pożyteczną i wracać teraz do rodziny z groszem zapracowanym, z pociechą na ustach i z weselem w sercu. Bo ona była pełna radości, gdy patrzyła na oddalającego się Prędowicza, który, jak dotąd, pozostanie dla niej niczem na zawsze.

Ucałowała swoje fotografie.

— To zadatek — mówiła, patrząc na swoją matkę i przesłiczne siostrzyczki, — a po jutrze, po jutrze!..

Plakała ze szczęścia i płaczącą zastała ją Kowzgirdowa, która przez cały dzień szukała sposobności powiedzenia jej kilku słów serdecznych. Biedna kobieta czuła niesprawiedliwość, wyrządzoną Alinie przez Kocię, i chciała rzecz wynagrodzić, naprawić...

— Boże, znowu łzy! — zawołała z żalem. — Dlaczego płaczesz?

Alina nagle, bez premedytacji, z zapalem nieobliczonym rzuciła się Kowzgirdowej w wyciągnięte ramiona.

— Płacę z radości! — mówiła, kładąc głowę na ramieniu przybyłej. — Czy pani nie widzi, że to radość? Jutro jadę do Warszawy... na nocny pociąg do Zubiszek, a po jutrze rano zadzwonię do mieszkania naszego! Nikt się tam mnie nie spodziewa... przyspieszyłam sobie wakacje, a pan Prędowicz na to się zgodził.

— Czy mu przyrzekłaś? — zapytała Kowzgirdowa.

— Przyrzekłam? Co?

— Zostać jego żoną.

— O, nie pani, i jestem taka szczęśliwa! On zrozumie na koniec, że nie mogę... doprawdy nie mogę! Może i mój ojciec nie przyjął-by łąski... On może przyjmować moją pracę, ale nie moją jałmużnę! Prawda, pani?

— Moje dziecię, ty stąd wyjeżdżasz, bo uciekasz od nas, od których doznałaś tyle przykrości.

— O, i to także! Panna Konstancya mię podejrzewa... czemu jej nie mam uspokoić po prostu moim wyjazdem? Gdy ją zazdrość zaśle-

piąć przestanie, przekona się, że narzeczony jej zasługuje na miłość i ufność, że sam ją kocha bardzo... może teraz dzień ślubu naznaczonym zostanie? Ja nie wyjeżdżam przez złość! Byłam bardzo obrażona, ale teraz już jestem tylko szczęśliwa i przebaczam wszystko wszystkim, nawet pannie Vincart, która mię od kilku miesięcy ciągle prześladowe. Te wszystkie podejrzenia, a nawet wszystkie obrażające słowa pana Stefana Skierki, niech będą błogosławione! Dzięki im, pojutrze będę w domu, będę u matki!

— Bardzo kochasz matkę swoją?

Kowzgirdowa zadała to zapytanie głosem drżącym, pobladłymi ustami.

— Czy ja ją kocham? O, pan! To moja najpiękniejsza, najlepsza, najdroższa! Za jej jeden uścisk, za jej jedno słowo... gdyby ją pani знаła... Pan Juliusz mówi, że to z mej strony egzaltacya, ale to do prawdy nie egzaltacya żadna, tylko ja ich tak bardzo kocham! Teraz tylko myślę, jak tu będzie wytrzymać jeszcze całą dobę w Zbruczu. Czekam się cierpliwie, dokąd się nie wie, że się wyjeżdża, ale gdy się ma przed sobą już tylko dobę... Będę dziś grać i śpiewać bez końca, bo przy muzyce czas płynie tak, że się tego nie czuje. Czy panna Konstancya zdrowsza? Nie pójdę do niej, bo mię nie lubi, ale niech jej pani powie raz jeszcze, że z całej duszy żałuję...

— Daj pokój, daj pokój, nie mówmy już o tem. To ty daruj mojej córce i mnie.

Po odejściu Kowzgirdowej, Alina poszła szukać pani domu. Była winna udzielić Skierczynie natychmiastowej wiadomości o wyjeździe swoim. Zastała ją w gabinecie syna, rozmawiającą poufnie z Kierściewą. Powiedziała jej, co ją sprowadzało.

— Dlaczego pani chce wakacje przyspieszyć?—zapytała Skierczyna.

— Mam braci w szkołach, których chciała-bym wysłać zaraz z początkiem wakacyi do Krasnowostoku, do ojca, a chciała-bym pobyć z nimi dni parę. Przytem jesteśmy tu wszyscy teraz trochę rozpróznieni z powodu tak licznie zapełnionego domu. I na Mieci znać rozbawienie się i rozbałamucenie. Gdy wrócę, będzie tu już wszystko spokojnie i wtedy zabierzemy się na dobre do pracy.

— Zatem chce pani wyjechać jutro?

— Jeżeli pani pozwoli...

Wyjazd przyspieszony Aliny wywołał w Zbruczu silne wrażenie. Niespodzianka ta, tem mocniej uderzyła wszystkich, że poczęto się domyslać jakichś przyczyn tajemnych. Kocia, dowiedziawszy się o nim od matki, zawołała gniewnie:

— Nie wróci już tu więcej! Będzie to moja rzecz, by tu więcej nie wróciła!

Leontyna wpadła z wykrzyknikami do Aliny i usilnie się starała wybadać przyjaciółkę, która musiała zbyć ją opowiadaniem o wyjeździe braci na wakacje do ojca. Stefan Skierka był zdziwiony i oszłomiony. Pomimo wszystko, co zaszło między nim a Aliną, trwał on ciągle w tem samym względem niej usposobieniu, nie abdykując ze swej roli Donzuana wobec pięknej i powabnej panny. Teraz, gdy nagle wyjechać miała, doznał uczucia zawodu i gniewu, i zrozumiał dopiero, że cały powab pobytu w Zbruczu z nią razem niknął.

— Ja wiem, dlaczego pani jedzie — rzekł do Aliny, której chłód go nie zrażał — oto pani chce mię przyprowadzić do rozpączy. Kto wie, czy nie odbiorę sobie życia i nie powiększę liczby mieszkańców tego ot tam domu.

Wskazywał w stronę cmentarza.

Alina nie umiała walczyć złośliwością, docinkami, ostrem słowem. Pomimo jej światowej karyery, dowcip jej nie umiał być cięty, wojna na zjadliwe słówka wcale nie leżała w jej charakterze.

— Tak czuję się szczęśliwą z jutrzejszego wyjazdu do domu, że dziś jestem zupełnie niedostępna dla obrazy i gniewu. Nawet taki ton, który innego dnia mógłby mi być niemiły, dziś nie jest w stanie mię poruszyć.

— Więc zawsze tylko papa i mama nadewszystko? To jest rozpaczliwa mania!

W duchu myślał, że to poza.

— Czy mogę wiedzieć adres pani w Warszawie? Jeżeli życia sobie nie odbiorę, to może przywiozę tam pani trochę tutejszego powietrza i zawsze wiernego i zrozpaczonego sługę.

Alina nie odpowiedziała. Ten młody i piękny chłopiec wydawał jej się w tej chwili taką mizerną małością, oddaloną od niej o całe nieba, choć stał zapatrzoną w jej twarz pogodną i jaśniejącą radością, że się teraz dziwiła swoim dawnym rozdrażnieniom i żalom. Cała ta figura, płaska i niewyraźna, warta była tylko uśmiechu litości.

— Obejść to, jak się obchodzi nieczystość leżącą na drodze. Unieść suknię, by się nawet rąbek jej tego nie dotknął i koniec! — myślała, słuchając już dalszych słów Stefana, tylko jak nic nie wyrażającego szmeru.

Tylko dwóch ludzi w Zbrunczu przyjęło odjazd Aliny obojętnie: stary Skierka, którego nic nie obchodziło, i Juliusz. Ten ostatni, poważny, zamknięty w sobie i milczący, nawet pytającego spojrzenia nie rzucił Alinie, gdy wracającemu z pola i zasiadającemu do herbaty, matka powiedziała:

— Jutro musisz pannę Stamarską odesłać do stacyi.

— Jutro? Dobrze. Wszystko będzie gotowe. Będzie pani miała Michasia i jego czwórkę na rozkazy.

— Ale po co czwórka? — zawołała Alina, wiedząca, że w Zbrunczu oszczędność co do koni praktykowana była na wysoką skalę, — ja proszę o jednokonną kałamaszkę, a nawet innego ekwipażu nie chcę.

— To jakaś dziwna nauczycielka, która chce jeździć kałamaszką! — szepnął Skierka, stryj Juliusza, do Kiersciowej.

— Nie chciałbym pani tak niewygodnie odsyłać — rzekł Juliusz zimno i poważnie.

— Ale ja proszę o kałamaszkę. Mam nie wiele rzeczy: małą walczkę i faseczkę z masłem litewskim. To wszystko. Jeden koń nas uciągnie, mnie i moje rzeczy. Jestem zdrowa, jazda kałamaszką mi nie szkodzi... Cztery konie posyłać trzy mile dla jednej osoby, to niepotrzebny zbytek. Wreszcie, jeżeli pan pozwoli, ja sama z Michasiem tę sprawę urządzę.

— Czy pani zawsze jeździ z faseczką masła? — zapytał Stefan Aliny. — Gdzież taka rzecz jedzie? W wagonie, czy też się to oddaje na багаż?

— To bardzo przyzwoicie wygląda, jest zamknięte w koszu i wstawia się pod drewnianą ławkę trzeciej klasy, gdzie to nikogo z pasażerów nie zadziwia — odparła wesoło Alina.

Stefan skrzywił się i zrobił jedną z min, których się wyuczył na bruku którejs stolicy.

— Wolę już kałamaszkę, niż trzecią klasę — odrzekł z pogardliwym odcieniem w głosie.

— I ja wolę — rzekła Alina — ale mogę jeździć trzecią klasą i znajduję, że dla ubogich ludzi ten tani sposób przebywania dalekich przestrzeni jest dobrodziejstwem. Przekonałam się też, że ci trzecio-klasiści, to wcale nie wykwintny, trochę brudny, ale bardzo usłużny i bardzo życzliwy lud. Od razu znajduje się tam przyjaciół. Niezawodnie lordów angielskich się tam nie spotyka, ale za to wyniosą za tobą twoje manatki, a nawet faskę masła... poczęstują cię kielbasą z czosnkiem... okropną, ale ofiarowaną z taką nieśmiałą grzecznością!... a wypytują, gdzie jedziesz i po co, i tak współczują wszystkiemu, co im mówisz! Pierwszy raz w życiu jechałam trzecią klasą tego roku i doświadczyłam samej tylko usłużności i uprzejmości.

— To tylko dowodzi — rzekł Stefan — że gust i uczucie piękna są rzeczą powszechną. Czy pani myśli, że gdybym wioził z sobą pierwszą klasą kielbasę z czosnkiem, nie oddał-bym jej pani całej? Tylko z tą taską masła było-by ciężko.

— O, niech pan tych ludzi z sobą nie porównywa! To zupełnie inna kategoria!

— Spodziewam się!

Rzuciła mu uśmiech wesoły. Bawiło ją to, że jej nie rozumiał i że jej słowa wziął za komplement.

— W każdym razie — rzekł — jeżeli pani gdzie trzecią klasą podróżować będzie, to niech pani na większych stacyach staje czasem w oknie. Ja mogę być w tym samym pociągu i zobaczyć panią, a w takim razie *encanailla'uje* się od razu i przechodzę na wiarę trzecioklasistów.

Alina śmiała się serdecznie.

— Ah, wiem wybornie, jakby to był! Gdyby pan jechał zupełnie sam i pewien niespotkania nikogo znajomego na całej linii, przyszedł-by pan do mnie niezawodnie, zatknąwszy bilet pierwszej klasy za kapelusz, tak, by go każdy zobaczył; ale gdyby pan przypadkiem jechał ze znajomymi, a jeszcze z takimi, których towarzystwo pochlebiali-by miłości własnej pana, lub gdyby pan spodziewał się spotkać kogoś z owej sfery, która panu imponuje, poznawszy mię w oknie trzeciej klasy, uciekał-by pan śpiesznie, a gdybym się panu ukłoniła, -powiedział-by pan pytającym: „Nie wiem dobrze... gdzieś ja ją widziałam... ah, tak, to nauczycielka, która była przy jednej mojej kuzynce!”

Śmiano się wkoło. Ojciec Stefana, trochę niezadowolony, brwi zmarszczył, Juliusz, rozweselony szczerze, ozwał się:

— Nie wiedziałem, że z pani taki psycholog doskonały! Było-by tak, ale to zupełnie tak, jak pani powiedziała! Pani wybornie zna Stefana.

— To mu dała nauczkę! — ozwała się Leontyna szeptem do Mierznickiej.

— Pani mię zna w istocie — rzekł obrażony Stefan — jak żyję nie jechałem trzecią klasą i żartowałem tylko, mówiąc, że przeniósł-bym się tam. Jestem przyzwyczajony do zbyt dobrego towarzystwa... a dobre towarzystwo, to jak dobry tytoń, jak dobra herbata... albo dobre, albo żadne. Palić zły tytoń, pić tanią herbatę i znaleźć się między ludźmi niosącymi do ust w palcach kielbasę z czosnkiem, to przechodziło-by moje siły.

— A tak — rzekł poważnie Juliusz — bo albo się jest wyższym nad takie rzeczy, albo się nim nie jest.

— O, bardzo trudno być wyższym nad zły tytoń i złą herbatę. Wolałbyś pewno nie palić wcale, niż...

— To też nie palę wcale. Przestałem, choć miałem upodobanie i przyzwyczajenie... Ale przecie nie można porównywać tytoniu z człowiekiem. Nie palę, bo mię na droższy tytoń nie stać, ale jeżdżę trzecią klasą...

— Co? I ty Brutusie?

— Jeżdżę trzecią klasą i staram się na towarzystwo, które mię otacza, patrzeć z takiego stanowiska, z którego formy światowe, przyzwyczajenia wielkopańskie i wykwinł zewnętrzny, zupełnie wykluczo-nemi zostały. Tak, jeszcze raz powtarzam: albo się jest wyższym nad takie względy, albo się nim nie jest. Królowa pruska, Ludwika, utrzymywała, że Napoleon pierwszy był gburem, nieumiejącym ani jeść, ani zachować się przyzwoicie, a był on jednak wielkim człowiekiem. Ci ludzie, wyciągający z koszuw zapasy i jedzący je palcami, które potem obcierają w bibułę, nie wiedzą nic o wyrafinowaniu przepisów światowych, ale mogą to być charaktery interesujące, mogą to być umysły bystre. Czasem u najprostszego człowieka spotkasz się z logiką i zmysłem spostrzegawczym, tak wyjątkowo jasnym, że cię to aż zastanowi i zadziwi. Cóż mię to obchodzi, że ten człowiek ma odzież grubą i ręce spracowane? On mię nawet zajmuje przez samą sprzeczność swego wychowania i stanowiska z oświeceniem i bystrością swego umysłu.

— Przytem trzeba jeszcze umieć ocenić różnicę między delikatnością uczuć a delikatnością form — rzekła Alina. — Niejeden taki, coby wolał umrzeć z głodu raczej, niż dotknąć ryby nożem, lub użyć wyrażenia grubego, jest zdolny nie odczuć wcale przykrości, jaką wyrządza lekceważącym tonem, którego używa względem tych, co mu nie imponują, wzrokiem, który nie poznaje umyślnie, lub który wyraźnie pomiata człowiekiem... Są tacy, co wiedzą dokładnie, jakie ubranie stosowne jest na każdą okoliczność i znają zwykły regulamin przyjęć, balów, wizyt, a jednak potrafią w sposób ubliżający odzywać się do kobiety dlatego, że nie jest ona milionową partją i zajmuje w towarzystwie podrzędne stanowisko. Takim ludziom brakuje delikatności uczuć, którą się czasem ze zdumieniem znajduje u ludu, u chłopów, u tych, co nigdy w życiu nogi na froterowanej posadzce nie postavili.

Alina mówiła spokojnie, bez żadnego gniewu, tak, jak gdyby rozwijała tylko dalej zdanie Juliusza, ale Stefan się obraził jeszcze mocniej.

— A to nam pani dała moralną naukę! — zawołał, śmiejąc się. — Odtąd będę całował w rękę każdą pokojówkę, a na pomywaczki będę patrzył ze czcią i szacunkiem!

Był zaczerwieniony i śmiał się nieszczerze. Pomyślał też zaraz:

— Mści się, bo czuje, że mię już nie złapie.

Juliusz był zadowolony. Choć sobie przyrzekł jak najrzadziej rozmawiać z Aliną, zbliżył się jednak do niej, gdy wstano od stołu, by jej powiedzieć:

— Muszę pani podziękować. Dała pani dobrą lekcję Stefanowi i uczyniła to pani w sposób spokojny i poważny. Należało mu się to.

— Ale może mu zrobiłam przykrość. Jeżeli tak jest, to żałuję tego, com powiedziała.

— Takich ludzi ze wszystkich tego rodzaju przykrości leczy zarozumiałość. On zawsze taki zadowolony z siebie, że tego zadowolenia zachwiać trudno.

Po herbacie, gdy się towarzystwo znalazło w salonie i rozmowa dość opieszale toczyć się poczęła, tem bardziej, że Skierczyna i Kowzgirdowa były w pokoju leżącej w łóżku Koci, Alina zauważyła zamyslenie i jakby ciężki smutek, malujący się na czole Juliusza. Przypisała to kłopotom materyalnym, które się na przednówku zwiększyły, nieobecności Koci, a może zaniepokojeniu o zdrowie narzeczonej. Patrzyła ze współczuciem na tego młodzieńca, pełnego siły, którego szerokie barki zdawały się ugiąć pod ciężarem wielkiej troski.

— Czemu on cierpi? — myślała. — Wszak wszystko uśmiecha mu się w życiu. Żeni się, długi pospłaca posagiem żony, ojcowiznę utrzyma... Powinien-by się czuć szczęśliwym, a z oczu mu wygląda taki smutek!

Ze swem usposobieniem, tak skłonnem do litości, chciała-by była tego przyjaciela zapytać, co mu było, chciała-by była wziąć go za rękę, wyprowadzić go do ogrodu i tam, wśród pocziwych, dyskretnych lip, zapytać: „Co ci jest? Powiedz mi, dlaczego jesteś smutny!” On-by jej odpowiedział szczerze, bo odczuł-by w niej życzliwość gorącą i chęć przyniesienia ulgi współczuciem. Ale młoda panna nie może tak wziąć młodego człowieka za rękę i poprowadzić go w aleę lipową. Coby tu zaraz powiedziało całe towarzystwo w Zbrunczu? Od razu-by ją pasowano na awanturnicę! Co za niegodziwy i brzydki kodeks zwyczajowy, który w tym razie opiera się na podejrzliwości! Gdyby to nie był Juliusz Skierka, ale jakaś Julia Skierczanka, toby Alinie było wolno wziąć ją za rękę i życzliwie, serdecznie patrząc jej w twarz, zapytać: „co ci jest?” A przecież to, co czuła Alina dla młodego Skierki, to była tylko przyjaźń, taka sama, jakiej doznać mogła dla kobiety... Ale czy on w smutku potrzebował życzliwego słowa i czy po nie byłby się zwrócił do Aliny? Wszak ani razu na nią nawet oczu nie podniósł i zamykał się w sobie. Po co nawet wogóle siedział dziś w salonie, kiedy nie było Koci, a on mógłby być po zmęczeniu dnia wypoczywać we własnym pokoju? Na jego twarzy było znużenie ogromne. Alina co

chwila z niepokojem spoglądała na niego, rada, że Stefan ze Zdzisia-
wem rozpoczęli jakąś dyskusję, która się przeradzała w braterską
sprzeczkę i która pochłaniała uwagę obecnych. Nagle Kierściowa,
chcąc przerwać zbyt żywą dyskusję, rzekła do Aliny:

— Kochaneczko, zaśpiewaj-że nam co dziś na pożegnanie.

W tej chwili oczy Juliusza podniosły się na staruszkę z wyra-
zem wdzięczności, rozpromienione nagle rozkoszą i jakby mówiące:
„tego właśnie pragnąłem!”

Alina siadła do fortepianu i gdy wykonywała jakieś akordy prze-
grywki, ujrzała Juliusza opuszczającego salon. Czuła jednak, że usią-
dzie on w ciemnym gabinecie i stamtąd słuchać będzie, może ukryw-
szy skłopotaną głowę w dłoniach. Wiedziała, że mu jej śpiew będzie przy-
jemnością i może pociechą, i że chciał być sam, by nie mieć niczych
oczu spoczywających na sobie.

Było kilka osób w salonie, ale Alina śpiewała tylko dla niego,
zapomniawszy, że słuchali jej jeszcze i inni. Znała ulubiony repertuar
Juliusza i starała się śpiewem swoim powiedzieć: „Masz przyjaciółkę,
która widzi twój smutek i chce mu przynieść tę pociechę, jaką duszy
dźwięki dać mogą.” Przecie ten człowiek, słuchający jej śpiewu, zagłę-
biony w szeroki fotel w ciemnym pokoju, był młody, miał wkoło siebie
zieloną, wiosenną naturę, pola swej ojcowizny, te same, na które przez
wieki patrzyły oczy jego przodków, miał narzeczoną kochającą i ko-
chaną; czegoż więcej pragnął, i dlaczego był przygnębiony?

— Już późno — rzekła zamykając fortepian — śpiewała-bym
jeszcze chętnie, ale się boję, że przeszkadzam może pannie Konstancyi,
która podobno przeszłej nocy mało spała. Dźwięki dochodzą do niej
niezawodnie.

Wstała i gdy całowała na dobranoc rękę Kierściowej, usłyszała
w ciemnym gabinecie szelest kroków. Juliusz nie powrócił więcej do
salonu.

Przechodząc przez dziedziniec, by się dostać do oficyny, usłyszała
monotonny cichy śpiew męski. Zatrzymała się i poznała głos Michasia.
Zadziwiło ją to, że tak późno nie spał jeszcze, skierowała więc kroki
ku stajni, chcąc pomówić z tym nocnym śpiewakiem o jutrzejszej
jeździe do Zubiszek. Zbliżywszy się, rozeznała słowa piosenki:

Tam nad granicą zimna wodenka
Jako lod, jako lod.
Mojej damuli słodka gębula
Jako miód, jako miód.
Raz pocałuj, trzy dni smakuji
W swem sercu, w swem sercu.

Nie wiedziałam, że z Michasia taki śpiewak — rzekła Alina. — Michaś się nie wyśpi, a tu na jutro droga do Zubiszek się ściela.

— Mało to się człowiek wyspał w zimie? Zima od tego, żeby spać. A w chorobie mało to się wyleżał? Pan Bóg dał święte lato, to każde stworzenie z nory wylazi... A cóż to człowiek gorszego od przepiórki? Słyszysz panienczka, jak w zbożu cirka? Słyszał ja, jak panienczka wyciągała, aż się człowiekowi na sercu mdło robiło, tak sobie pomyślał: i ja też sobie zaśpiewam, siadłszy przed stajnią. Ta i zaśpiewał, jak umiał. To panienczka do Zubiszek jedzie?

— Ja Michasiu.

— Do swoich? do ojca, do matki? Oj to tam panienczce serce aż skacze w piersiach. A tam są konie u rodziców?

— Nie, Michasiu, nie mamy ani jednego konia.

— O, to bieda! A panienczka widziała żrebię od Grudki? Pannicz powiedział, że panienczka da mu imię.

— Wymyślę jakie ładne imię w Warszawie. Więc jutro, Michasiu, kałamaszka na godzinę jedenastą rano i pojedziemy! Teraz niech Michaś idzie spać, bo jeszcze i blade, i osłabiony.

— E, czy to od spania tylko siła? Jak sobie tak człowiek posiedzi, poduma, a zaśpiewa sobie jeszcze, to mu się aż przyjemniej i zdrowiej wydaje. A mojej żonce co z tego przyjdzie, że się nigdy wyspać nie może?

— Marzycieli! — myślała Alina, wracając do oficyny. — Nie wystarczy mu chleb, którym się karmi, nie wystarczy mu ospała żona; błękitnej okruszyny ideału szuka, śpiewając w nocy przed stajnią.

Nazajutrz rano Kocia nie opuściła swego pokoju. Dopiero gdy ujrzała przez okno odjeżdżającą kałamaszkę, uwożącą nauczycielkę, i ostatni rąbek białej woalki Aliny, znikający na zakręcie drogi, wtedy rozpromieniona, ubrana wykwintnie i zupełnie zdrowa, ukazała się towarzystwu. Spotkał ją wszakże zawód. Juliusza nie było. Na parę godzin naprzód pożegnał Alinę oficjalnie, grzecznie ale zimno, wobec matki i Kowzgirodowej, i pojechał na jeden z najbardziej oddalonych folwarków. Zawsze lubił samotność, teraz potrzebował jej i pragnął. Oczuł, że przy wyczekiwaniu odjazdu Aliny wola jego słabnąć zaczyna, że wzrasta w nim pragnienie poniesienia małej rączki do ust i powiedzenia „wracaj!”, które mu się plątało na ustach. Więc to słowo natrętne wolał uwieźć z sobą na odległy folwark i nie dać go wyczytać Alinie nawet w swoim wzroku.

— Wracaj — powtarzał w duchu — bo choć ciężko mi jest żyć przy tobie, życia bez ciebie już nie rozumiem. Niech wiecznie konam od niewyznanej miłości, bylebym za twoim widokiem nie tęsknił.

Czekano na niego długo w Zbruczu. Przyjechał bardzo późno, gdy wszyscy już przy wieczornej herbacie siedzieli. Zastał Kocię zdenerwowaną, ostrą, zajątrzoną. Przyjęła go zimno i wyniośle, na co on nie zwrócił uwagi; gdy się zaś znalazła obok niego w salonie, wyprowadziła go do samotnej oranżeryi i tam bez przygotowania, bez ogródek, powiedziała mu nagle:

— Wiem gdzieś był dziś po obiedzie!

— Bardzo łatwo wiedzieć — odparł obojętnie — bom to sam wszystkim przy herbacie powiedział.

— Ale powiedziałeś kłamstwo! Nie byłeś w Zatoczcu, ale w Zubiszkach, dokąd odprowadzałeś tę guwernantkę!

Juliusz odsunął się od Koci i patrzył na nią uważnie, jakby potrzebował jej rysy w pamięci swojej utrwalić.

— Moja Kociu — rzekł chłodno — wszak tylko co pomówiłaś mi o kłamstwo, nie uwierzyłybyś więc żadnym zapewnieniom. Zresztą na zazdrość i podejrzliwość niema lekarstwa. Cóż ja na twoje oskarżenia odpowiedzieć mogę? Że je mam z twojej strony za małość i brak zdrowego sądu.

— A jednak ja muszę odrazu warunki moje postawić wyraźnie. Oto ta panna nie wróci więcej do Zbrucza, albo wszelkie zobowiązania i przyrzeczenia między nami zerwane.

— A więc są zerwane, Kociu, — odparł Juliusz z takim spokojem i powagą, że Kocię ogarnął strach, czy się nie za daleko posunęła. Czuła się coraz więcej zdenerwowaną i rozdrażnioną, wreszcie prawie z płaczem zawołała:

— A widzisz, że tobie tylko o nią chodził!

— Tak jest, o nią mi chodzi, bo ona w naszym zatargu przedstawia sprawiedliwość, prostotę, dobroć i brak wszelkiej winy, a ty jesteś uroszczenie, zazdrość i samolubstwo, pragnące zepchnąć z drogi to nawet, co ci zawadza jedynie z powodu urojenia. Gdybym cię nawet kochał szalenie, było-by z mej strony słabością niedarowaną dla twego kaprysu pozbawiać obcą dziewczynę zarobku i chleba dla rodziny. Panna Stamarska wróci tu, Kociu, i wiem, że sama nie darowałabyś sobie, gdybyś biednej nauczycielce odebrała zarobek z powodu twojego widzi mi się. Wcale nie będę się przed tobą tał z tem, że uważam pannę Stamarską za ozdobę naszego tu życia, że przyjaźń, którą mi okazuje, jest mi drogą; wszakże, gdyby nawet to wszystko nie miało miejsca, uczciwość i sprawiedliwość nie pozwoliła-by mi postąpić inaczej, jak to czynię w tej chwili.

— A więc ja tej awanturnicy ustąpię z drogi! — zawołała Kocia, łkając już teraz na dobre. — Wyjadę stąd, wyjadę zaraz jutro!

— Kociu — rzekł Juliusz — uspokój się, proszę. Gotów kto usłyszeć twój płacz, zobaczyć twoje łzy... Zostawiam cię tu, kiedy cię moja obecność rozdrażnia. Pójdę, pomówię z twoją matką, a ty obetrzyj łzy i nie dawaj ludziom powodu do plotek i domysłów.

Juliusz zaprowadził Kowzgirdową do swego gabinetu i opowiedział jej rozmowę swą z Kocią.

— Co jej znowu do głowy przyszło z tą zazdrością! — zawołała Kowzgirdowa z rozpaczą. — Mój Julku drogi, to dzieciństwo! Ona taka nerwowa!... To dziwne, że ta panna taką antypatyę w niej wzbudziła! Kocia tyle jej przykrości zrobiła... Nie mogła się powstrzymać od niegrzeczności dla niej!

— Więc Kocia pannę Stamarską prześladowała tu i goryczą poila! — zawołał Juliusz. — Czemuż ja o tem nie wiedziałem? Tamta, szlachetna dziewczyna, ani słowa mi o tem nie powiedziała. O, ja wiem, ona nie chciała mię zranić w mej miłości dla narzeczonej! Ona milczała, żeby nam oszczędzić nieporozumień i kwasów. Rozumiem ją! Ale jej niema i możemy nie mówić o tem, co się naprawić nie da. Wróćmy lepiej, ciociu, do naszego położenia obecnego. Kocia grozi mi zerwaniem i dobrze będzie, gdy inicjatywa od niej wyjdzie. Ale i ja nie czuję się na siłach uszczęśliwienia Koci, bo widzę teraz, a raczej czuję coraz dokładniej, że ją kocham tylko po bratersku i że takie przywiązanie żonie wystarczyć nie może.

— Boże! ona ciebie zraziła swoją zazdrością!

— Kiedy więc tak jest, może lepiej się stało, że Kocia sama do zerwania popycha. Oszczędzoną zostanie jej miłość własna i może wcale nie wiedzieć o tem, że ja miałem zamiar prosić was o zwrot słowa...

Kowzgirdowa z rozpaczą mówiła jakby sama do siebie:

— Myślałam, że pobyt nasz dłuższy tutaj zbliży was jeszcze... że, poznawszy się lepiej, pokochacie się mocniej, a stało się przeciwnie! Chciałam Kocię powierzyć tobie, bo znam twój charakter...

— Ale czybyś była dobrze zrobiła, ciociu? Ty wiesz, jakie jest moje położenie majątkowe; nigdy z niego przed tobą tajemnicy nie czynił. Koci posag spłacił-by wprowadzić moje długi i Kocia stała-by się prawdziwą właścicielką Zbrucza; ale dziś w naszych stronach ziemia tak mało przynosi, ceny zboża są tak niskie, że moglibyśmy mieć przeciętny dochód bardzo niewielki. Kocia mi tu kiedyś powiedziała, że podróże weszły jej w krew, jak zaszczepiona oспа, przytem może jej zdrowie wymagało-by pobytu na południu, a tu trzeba-by siedzieć w domu i pracować. Nie wiem, czy Kocia była-by szczęśliwa, nawet gdybym ją kochał miłością kochanka.

Kowzgirdowa zamyślona spuściła głowę.

— Było to mojem marzeniem—szepnęła. — Ale Bóg chciał widać inaczej... W mojem sercu zajmowałaś drugie miejsce po Koci... Słuchaj Julku, ona ma dużo miłości własnej; gdyby się dowiedziała, żeś ty pragnął zerwania, cierpiała-by niezawodnie... bardzo-by ją to ubodło. Co innego jest podejrzewać, być zazdrosną i obrazę swoją postawić po-nad miłość, a co innego czuć się odepchniętą. Zepsułam trochę Kocię. To dziecko było mi bóstwem i teraz jest trochę za wiele przejęta sama sobą. Ciosem dla niej była-by wiadomość, że ty przed nią zapragnąłeś zerwania. Wyjedziemy stąd... Odsuwałam Kocię od świata, ale ona lubi świat i zabawę. Może się dla niej znajdzie pociecha i zapomnienie. Zostaw ją w przekonaniu, że to ona ciebie odrzuca... niech przy niej zostanie inicjatywa tego zerwania.

— Dobrze, ciociu. W gruncie ja jestem winien wszystkiemu. Byłem przecie dorosłym, nie dzieckiem, jak Kocia... nie powinienem się był poddać swatostwu, choćby swatkami były moja matka i ciotka. Postępowałem wprawdzie w dobrej wierze, myślałem, że gorące uczucie braterskie, które mam dla Koci, będzie wystarczało... Teraz widzę, że się myliłem i, powtarzam ci ciociu, widzę też, że nie jesteśmy z Kocią stworzeni dla siebie. Ona lubi świat, zabawę, podróże i to wszystko mieć może przy swoim majątku, a ja musiał-bym ją trzymać w Zbruczu przy dziedzicznym zagonie, zapracowany i strudzony, rzucający jej mienie na łup wierzycieli. Czy jesteś pewna, ciociu, że ona kocha mię tak bardzo?

— Myślę, że cię kocha.

— Jestem sceptykiem wielkim co do miłości. Kocia jest zazdrosna, ale czy przez miłość dla mnie, czy przez miłość własną? Czy takie wypieszczone dziecko, którego rozwój umyślnie opóźniano, ma dość głębokości uczuć, by kochać prawdziwie? Może to niewdzięczność z mej strony, ale mam nadzieję, że ona prędko dzisiejszych swych trosk zapomni.

— Jak ty to łatwo mówisz! Ja się tak boję dla niej wszelkich przejść moralnych! Że przeszłej nocy miała gorączkę, to było tylko wskutek przebytych wzruszeń! Ja wiem, że z obojętności własnej wyrasta sceptycyzm co do uczuć bliźniego. Ty nie kochasz, więc lekceważysz jej przywiązanie. Niema okrucieństwa większego nad to, do którego się jest zdolnym, gdy się nie kocha i pragnie się miłość odrzucić... Wierzy się naprawdę tylko w to uczucie, którego się pożąda.

— Nie wiem, ciociu. Mało mam w tem doświadczenia. Zdawało mi się, że się moje życie doskonale bez miłości obejdzie, a teraz nagle widzę, że nie potrafię dać szczęścia, nie czując miłości.

— Biedna moja Kocia! Dlaczego ty jej pokochać nie możesz?

Ostatnie słowa Kowzgirdowa rzuciła raczej jako wykrzyknik, niż jako zapytanie. Była jeszcze cała wzburzona nowym obrotem rzeczy. Tyle lat marzyła o oddaniu Koci Juliuszowi, że teraz prawie uwierzyć nie mogła, że się z tą myślą pożegnać musiała.

— A cóż twoja matka? — zapytała nagle.

— Nic dotąd nie wie. Matka moja należy do rzędu osób zupełnie niedomyślnych. Widzi zawsze rzeczy tak, jak je sama we własnej wyobraźni ułoży. Potrzeba, by zobaczyła pożar na dachu, by uwierzyć mogła, że się budynek pali. To jest osoba ukuta z jednej sztuki stali. Nie rozumie, by się ktoś mógł wahać, być w niezgodzie sam z sobą, cofać się przed raz powziętym zamiarem. To są dla niej rzeczy niepojęte.

— Trzeba, żeby wiedziała. Musimy jej powiedzieć!

— Powiedz jej, ciociu, wszystko i zaraz, jeżeli można. Chciałbym ten kielich wychylić do dna odrazu. Po niej odziedziczyłem tę niešťęsną odwagę, która mi każe odrazu w oczy zajrzeć każdemu niebezpieczeństwu. Pierwszy raz w życiu teraz wahałem się i walczyłem z sobą, ale, raz postanowiwszy...

Skierczyna przerwała im rozmowę. Szukała Kowzgirdowej. Juliusz poczuł wielką przykrość na myśl, że oto za chwilę z jego powodu matka dozna zawodu i boleści.

— Marylko! — zawołała Skierczyna z przestachem — co to jest? Kocię zastałam płaczącą! Co to się stać mogło?

— Moja droga — odparła Kowzgirdowa — tak się wszystkie nasze zamiary psują!

— Jakie zamiary się psują?

Skierczyna w całej swej wyprostowanej postawie wyrażała gotowość bronienia własną piersią zamiarów swych i postanowień. Spojrzała surowo na syna:

— Może ty mi wytłómaczysz, Julku... Czy wiesz, dlaczego twoja narzeczona płacze?

— Tak mamó. Kocia przed chwilą zerwała ze mną. Postawiła mi warunki, których przyjąć nie mogłem. Przytem ułatwiła mi tylko uczynienie kroku, który właśnie zamierzałem postawić. Poznałem i jasno odczułem, że mężem Koci zostać nie mogę!

— Jakto nie możesz, kiedy dałeś słowo?

— Postanowiłem prosić o zwrot słowa.

— To nie może być! Ty miałbyś się cofnąć, gdyś się związał przyrzeczeniem?

— Oboje się cofamy!

— Ale Kocia płacze, więc cierpi nad zerwaniem... nie chce zerwania.

— Owszem, ona pierwsza...

— Jakież ci postawiła warunki? Jeżeli rozsądne...

— Moja droga — wtrąciła Kowzgirdowa — wstydzę się za Kocię, ale ona jest najdziecinniej, najnierozsądniej zazdrosna o Alinę Stamarską. Prawdziwie nie rozumiem... Ta dziewczyna jej się tłumaczyła i dawała dowody...

— Z czego się tłumaczyła? — zawołał Juliusz ze zmarszczonem przez gniew czołem. — Jakie dawała dowody?

— Muszę przyznać, że się okazała dobrą. Powiedziała wyraźnie, iż nie chce w domu, w którym przebywa, być powodem niczyjego zmartwienia. Pokazała nam list Prędowicza, żeby przekonać Kocię, że ten bukiet, to nie ty...

— Ha! teraz rozumiem, dlaczego przyspieszyła wyjazd swój na wakacye!

— Jaki bukiet? — spytała Skierczyna.

— Prędowicz oświadczył się o jej rękę — rzekła Kowzgirdowa — ale Alina prosiła o sekret, więc ci nie mówiłam.

— Co, Prędowicz się oświadczył? — zawołała Skierczyna, czerwona cała od wzruszenia. — Czemuż ja jedna o niczem nie wiem? Przeczynałam, że ta warszawska piękność wniesie nam tu do domu zamieszanie i nieszczęście! Prędowicz? Temu zachciało się takiego szaleństwa? Zawróciła mu więc siwą głowę? I ja o tem nic nie wiem, że Miecia ma dostać macochę!

— Uspokój się, mamó. Panna Stamarska odrzuciła propozycję Wacława.

— Tak — powiedziała Kowzgirdowa — odjechała szczęśliwa, z myślą, że jest wolna i niezależna.

— Wacław? Szalony! Był już niemłody, gdy się żenił z Belcią... a teraz brać taką dziewczynę! Więc miała ten rozsądek? Może więc już tu nie wróci?

Juliusz, choć należał do rozmowy i na pozór był spokojny, wrzał wewnętrznie. Rozsadzał mu piersi gniew na Kocię, która Alinę doprowadziła do tłumaczenia się przed sobą. Przytem słowa matki: „może więc tu już nie wróci”, wywołały w nim jakąś trwogę, jakiś bunt wewnętrzny. Czuł się zagrożony i gotów się bronić do upadłego. Milczał, bo się bał wybuchnąć, ale powtarzał sobie, że Alina wróci, bo on gotów ten powrót okupić walką na śmierć i życie. Ona tu w Zbruczu będzie, bo on tego chce i tak być musi, jak on chce!

— Ja się tego wszystkiego nic nie domyślałam — mówiła gorączkowo Skierczyna. — Lubiłam już nawet Alinę, nie wiedziałam, że ona dręczy Kocię... Czemuście mi tego nie powiedzieli? Więc dlaczego Kocia zrywa? Mówiłeś, że stawia warunki. Jakie warunki?

Juliusz milczał ciągle. Czuł, że wrodzona popędliwość ogarnia duszę jego jak płomień. Nie chciał dać jej widoku matce i ciotce.

— Kocia chciała, żeby Alina nie wróciła tu więcej — rzekła Kowzgirdowa.

— To bardzo łatwo uczynić — zawołała Skierczyna. — Zostawiła mi swój adres... zaraz do niej napiszę... odesłę się rzeczy...

— Nie, mam. Tego wszystkiego mama nie uczyni.

Juliusz wymówił te słowa ze spokojem, bardziej niż gniew zastawiającym. Usta miał blade, jak papier, i we wzroku determinację, która zrodziła w Skierczynie nie strach, lecz zaciętość i gotowość do walki. Dwie te podobne sobie natury poczuły, że między nimi leżała przeszkoda do zwalczania.

— Dlaczego-bym uczynić nie miała? — zapytała dumnie Skierczyna.

— Bo jesteś, mam, rozumna i sprawiedliwa. Przyjąłś w swoje progi ubogą a odważną dziewczynę, która w niczem zaufania twego nie zawiodła. Zarabia ona tu na chleb dla rodziny, na wychowanie dla rodzeństwa, a my mielibyśmy dla dziecinnego kaprysu zarobek ten jej odejmować? Ta dziewczyna nie ma nic, prócz swej pracy. Całe życie musi przebyć w oddaleniu od rodziny, nie mieć nigdy własnego domu, własnego kąta... Kocia ma wszystko! Dostatek, matkę, która dla niej tylko żyje, opiekę, wygodę, nadzieję szczęśliwej przyszłości... I dla widzimisiej owej szczęśliwej, mielibyśmy dom nasz zamknąć przed tamtą ubogą i opuszczoną? Mam oczy, więc widzę, że ta nauczycielka jest piękna. Taką kobietę muszą zawsze otoczyć zachwyty męskie, gdziekolwiek się znajdzie, jednak przysięgam mamie, że ani przez chwilę kokietować mię nie próbowała. Ja jej unikam dla oczu ludzkich, dla plotkarskich języków. Więc kiedy położenie jest takie, że nigdy między mną a nią nie zostało powiedziane żadne słowo, które-by wyglądało na komplement lub kokieteryę, oburzającą rzeczą-by było, byśmy tę dziewczynę stąd wypędzili. Kocia, gdyby została moją żoną, mogła-by wkoło mnie, na takiej samej zasadzie jak dziś, rozpędzić wszystkie młode służące, czynić mi sceny o słowo powiedziane do każdej młodej kobiety... Ja rozumiem wszelkie ustępstwa rozsądne, ale ustępstwo bez powodu, wymaganie narzucone narzeczonemu jak rozkaz, jest pierwszym krokiem do nieszczęśliwego pożycia. Ja w żadnym razie mężem pantoflem być nie mogę. Kaprys mojej żony nie mógł-by rządzić mojami postępami. To nie leży w naturze, którą mi dałaś, mam. Ja nie mógłbym w tym razie ustąpić Koci, dla zasady!

Dla zasady! To było ulubione wyrażenie Skierczyny i dewiza jej życia. Ona od początku znosiła ciężar pożycia swego z mężem dla zasady. Potem dla zasady rządziła domem i dziećmi despotycznie, nawet

dla zasady nie rozmawiała nigdy z rezydentkami, by nie zrodzić zabierającej czas i przynoszącej uroszczenia poufałości. Juliusz wiedział, że matka zrozumie argumentację jego.

— Dziś pojechałem do Zatocza, pożegnawszy już naprzód pannę Stamarską. Wróciłem niedawno, a Kocia mi mówi, iż wie, gdzie jeździłem. Oto byłem w Zubiszkach... Odprowadzałem *tę guwernantkę*. Odpowiadam jej spokojnie, a ona wybucha spazmatycznym płaczem... stawia jako warunek wypędzenie Aliny. A teraz odwołuję się do mamy... Czy ja powinienem ustąpić i dać dowód słabości? Czy powinna dziewczyna niewinna, choćby nawet tylko pokojówką była, znieść upokorzenie nagłego wyprawienia z domu bez powodu, dlatego, że Kocia choruje na zazdrość? Bo to w małżeństwach bywa po prostu chorobą, zatruwającą życie i czyniącą je nieznośnem. Wreszcie, ustępując, przyznał-bym Koci słuszność a sobie winę.

Skierczyna stała zamyślona, ważąc w swem sumieniu słowa Juliusza. On poczuł na nowo ogarniający go szalony gniew. Gniew na Kocię, na Kowzgirdową, na matkę, że się przed nią tłumaczyć musiał i że obszedł tylko prawdę dla przekonania jej; wreszcie gniew na samego siebie, że płynął między dwiema wodami i, choć tu z oburzeniem mówił o niesprawiedliwych zarzutach narzeczonej, w głębi duszy nie był zadowolony z siebie i brzydził się tem połowicznem kłamstwem, które popełnił. Z drżeniem niecierpliwości w głosie ozwał się:

— Niech mi mama daruje, że teraz pójde do siebie. Od kilku dni zacząłem wierzyć w rozdrażnienie nerwów i zdaje mi się, że w tej chwili wszystkie we mnie pękają.

Po odejściu Juliusza Kowzgirdowa osunęła się na kanapę.

— I moje nerwy pękają — rzekła. — Trzeba mi iść do Koci i trzeba mi utrzymać ją w jej uporze, bo o zmianie uczuć Julka nie mówmy jej, proszę cię. Chcę jej oszczędzić cierpienia... Ona ma tak dużo miłości własnej!

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZOFIA KOWERSKA.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Sprawozdanie z ruchu literackiego zaczynamy od dramatu „Pour la couronne” (Dla korony), utworu Franciszka Coppée. W zubożałym dziś repertuarze teatrów francuskich, dramat ten, napisany wytwornym wierszem, pełen tchnienia poetycznego, stanowi, rzecz można, epokę. Krytycy wszystkich barw i odcieni oddali mu tę sprawiedliwość. Nie szukajmy tu ścisłego wątku historycznego: bogata wyobraźnia poety hojnie to wynagradza.

Przystąpmy od razu do treści:

Rzecz odbywa się w Bałkanach przy końcu XV wieku. Pierwszy akt wprowadza nas do twierdzy, najeżonej basztami. Z tarasu widać góry, ciągnące się łańcuchem na widnokręgu. Żołnierze ukazują krajobraz czeskiemu lirnikowi. Ów lirnik, Banko, to tajemny agent sułtana Muhameda II-go. Po jednej stronie zielenią się pola, falujące żytem i kukurydzą; ostatni to kres chrześcijańskiego kraju: dolina bułgarska ze stołecznym grodem Widynem. Nieco dalej ku południowi, łańcuch stromych Bałkanów od lat dwunastu zatrzymuje najazd turecki. Książę Michał Brankomir, dzielny wódz, stawia wciąż opór wdzierającym się Ottomanom. W każdym wąwozie rozstawił zbrojne straże, powołał lud, utworzył legiony. Turek drży przed bohaterską jego siłą. Napróżno Pasza Othorgul walczy przeciwko niemu. Zwałpiwszy o zwycięstwie, zaniechał daremnych zapasów.

Michał zawarł powtórny związek z piękną Bazylidą, pochodzącą ze krwi Cezarów Byzantyńskich. Syn jego z pierwszego małżeństwa, Konstantyn, młodzian pełen odwagi i rycerskiego żaru, zawzięcie odpiera Turczyzna.

Zmarł świeżo ojciec Michała, władca Bulgaryi. Sejm, zebrany w Widyniu, radzi o obiorze następcy. Lirnik Banko nie wątpi, że wybór padnie na Michała, ale stary wódz, Urosz, wolał-by go widzieć walczącego na kresach.

I któż więc będzie królem? Oto biskup Stefan, mąż świętobliwy, pełen miłości kraju: od trzydziestu lat dobrze mu służy, tak słowem, jak i czynem. Kiedy wiara chrześcijańska prześladowaną była przez zwycięskich Turków, odprawiał mszę św. w ustroni leśnej przed ołtarzem w wypróchniałym dębie. Dzięki jego zabiegom Bulgarzy nie przyjęli mahometanizmu. Ileż-to razy pochwycił za cugle pędzącego w cwał bachmata tureckiego monarchy, ileż razy dopominał się o prawa nieszczęśliwego ludu!

Urosz opowiada te wielkie czyny poświęcenia i miłości:

To mąż święty, na wszelkie ofiary gotowy!
 Sam ubogi, przygarnia sieroty i wdowy.
 Raz pod krzewem różanym łazarz trędowaty
 Przystąpił doń: załedwie schwycił za skraj szaty,
 Cudem odzyskał zdrowie!... Gdy duchem ulata
 W modlitwie ku niebiosom, ćma ptasząt skrzydlata
 Okrąża go wesoło, dotyka mu czoła;
 Niechajże lud bulgarski na tron go powoła,
 Wówczas Twoje zwycięstwo niechybnem, o Chryste!

Ale cóż się stanie, jeśli Michał Brankomir zapragnie najwyższej władzy? Urosz odpowiada, że będzie posłusznym woli całego ludu.

— Mówią, że dumny — poszepnie któryś żołnierz.

— Że gotów na wszystko dla żony — zagadnie drugi — a piękne oczy mają nie małą nad nim władzę.

Słyszysz to Banko, wzrok pogardy rzuca na żołnierza i wyrzecz na stronie:

— Psie chrześcijański, wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć!
 Prolog zapowiada, czym będzie cały dramat.

Michał Brankomir, dzielny z dzielnych, pragnie gorąco korony. Przeklina wobec Bazylidy ów lud niewdzięczny, dla którego walczy od lat dwunastu. Na toż on odparł chorągiew Proroka, zagroził drogę Turkom, starł na miazgę ich zastępy, aby oddano koronę Stefanowi?

Zżyma się, rzuca jak szalony, miota przekleństwa. Bazyliada, nie mniej obrażona w dumie, podziela gniew małżonka.

— Będiesz królem! — zawoła — ale działaj podstępnie!
Michał zowie ją wężem — ona nie przeczy.

— Tak, jam wąż, wskrós zabójczym jadem przepojony!
Jad sroższy nad kły wilcze, nad krogulcze szpony!
Gdzie twe olbrzymie ramię siłą nie dosięże,
Będę pełzać i kąsać, jak kąsają węże.
Jam ów python, wyległy pod słonecznym skwarem,
Co płąsa na głos Negra, stumaniony czarem,
Potem wraca pod jarzmo, niewolnik szczęśliwy,
I obwija kark pana, jak naszyjnik żywy!

Michał słucha głosu syreny. Odkąd ona jest przy nim, chwała mu nie wystarcza, pragnie najwyższych zaszczytów. Chociażby droga do korony miała być ciemną i bagnistą, chociażby mu przyszło zanurzyć w błocie czystą dotąd chorągiew, bądź co bądź, on pójdzie tą drogą. Tu nagle dają się słyszeć tryumfalne okrzyki. Młody Konstantyn ukazuje się, trzyma w ręku trzy chorągwie tureckie, prowadzi ujętego wodza muzułmańskiego i młodą brankę wschodnią. Turcy chcieli zająć Bałkany przez odwieczny wawóz Trajana, ale Konstantyn czuwał. Próba ta powtórzyła się po raz trzeci: spotkali twardy opór, cofnęli się w popłochu.

Michał pochwała syna; spostrzegłszy jeńców, rozkazuje powlec ich na śmierć. Konstantyn błaga o życie dla rannego wodza, który dzielnie się bronił. Michał odmawia. Wówczas Konstantyn żąda stanowczo łaski dla młodej kobiety. Przystaje na to ojciec, mimo szyderczych pocisków Bazyliady.

Gdy pozostał sam z branką, Konstantyn pyta ją o imię.

— Milica — odrzeczcie branka.

— Jaki twój Bóg?

— Ten zapewne, co i twój panie, — ja modlić się nie umiem.

— Twój kraj?

— Drogi rozstajne.

— Twa rdzina?

— Matka błąkała się po gościńcu... zebrała; sprzedawała mnie, gdy miałam lat piętnaście.

Zdziwiona Milica, zapytuje nawzajem:

Któż ty panie tak słodki i mową, i czynem?

Konstantyn.

Jam, dziecię, bratem twoim, jam chrześcianinem.

Milica.

A wiesz-li, czem ja jestem?

Konstantyn.

Życie pcha nas w pętał...

Milica.

Co cię tak dobrym czyni?

Konstantyn.

Księga prawdy święta.

Milica.

Jam złe czyniła tylko...

Konstantyn.

Wszystko w mocy Bożej,
Chciej mocno, a Duch Święty oczy ci otworzy.

Milica.

Dobrzy mną pogardzają, zwą odrzutkiem świata.

Konstantyn.

Kto bez grzechu, niech rzuci kamieniem w pierś brata.

Milica.

Skoroś nazwał mnie siostrą, ty, coś słowem twojem
W moją duszę znękaną tchnął Bożym spokojem,
Chcesz-li, bym uzbrojona siłą woli dzielnej,
Wyrwała się na zawsze z otchłani piekielnej,
Nie odtrącaj mnie, pozwól służyć ci w pokorze!
Tyś mi życie ocalił! ah! dziwnieź się trwożę,
Gdy zmierzę okiem przyszłość tak pustą i ciemną,
Jam sama, bez podpory... i cóż będzie ze mną?

Konstantyn czyni zadosyć prośbie, pozwala jej pozostać.

Milica błaga o jedną jeszcze łaskę: pragnie mieć pamiątkę od niego. Niechże jej da mały sztylecik, który nosi za pasem. Otrzymuje go bez trudności.

Sejm tymczasem ogłasza uchwałę. Biskup Stefan, obrany królem, wyciąga ręce do księcia Michała, ściska go po ojcowsku. Żąda od niego hołdu; przyrzeka mu po swej śmierci władzę nad krajem oswo-bodzonem.

Michał chwilę się waha; pokonał wreszcie gniew ukryty, upada na kolana. Banko śledzi go wzrokiem i szeptem sam do siebie:

Przychodzę w czas, ten człowiek dojrzały do zdrady!

Odtąd rzeczy śpiesznie postępują. Banko wręcza Bazylidzie fir-man z pieczęcią sułtańską; mocą tego firmanu, Muhamed przyrzeka połączyć się szczerze z władcą bułgarskim, gdy ten niezwłocznie zape-wni Turkom przejście przez wąwozy Bałkanów i otworzy meczety. Po dopełnieniu tych warunków, zdrajca otrzyma koronę i tytuł króla. Dla dopełnienia ugody, potrzeba tylko wycisnąć pieczęć Brankomira obok pieczęci sułtańskiej. Tegoż wieczora Michał musi wykonać zdra-dę. Banko znosi się tajemnie z Bazylidą.

Banko.

Tak, dziś jeszcze... znasz pani ogniska, co nocą
 Nieraz na gór wierzchołkach jaskrawo migocą,
 Nagle, ze snu cię budzi widok ich złowrogi,
 I Turczyn wstecz odbiega wobec tej pożogi;
 Bo ilekroć zabłyśły gorejące słupy,
 W krwi strumieniach tureckie tarzały się trupy.
 Bez tych stosów przeklętych, bez tej wiecznej grozy,
 Dawnobyśmy bałkańskie zdobyli wąwozy.
 Dziś straż ma być zmieniona, jeżeli w tej chwili
 Ku woli się twej, pani, Brankomir przychyli,
 Niech na drodze Trajana ogień nie zapłonie,
 Niech czuwa tu sam książę, a ku innej stronie
 Odwróci pilne czaty... Gdy północ uderzy,
 Nadejście tu Othorgul z zastępem żołnierzy
 Wnijdzie pod łuk Trajana podbojów świadomy,
 Gdzie tryumfował niegdyś wielki Cezar Romy.
 Tam z dłonią się bułgarską splecie dłoni Turczyna,
 Znijdą wraz na dolinę ku bramom Widyna,
 A zaczem niebo zorzą zrumieni się nową,
 Jutro... tak, jutro, pani, ty będziesz królową!

Bazyliida przysięga nakłonić Michała do zdrady. Milica, ukryta w pobliżu, posłyszała całą umowę. Uwiadamia o wszystkim Konstantyna. Ten zrazu wierzyć nie chce, oburza się, grozi, nakoniec wsuwa się za rozwieszoną makatę. Stąd posłyszysz zawzięty spór Bazyliidy z Michałem. Przerazająca to scena, kiedy Bazyliida oznajmia mężowi, że Muhamed domaga się zdrady i żąda, aby Brankomir sam stanął o północy pod rzymskim łukiem. Dreszcz przebiegł słuchaczy, powiększył jeszcze grozę głuchy wykrzyk Michała:

Przekłęta godzina!

Precz skargi! precz wyrzuty! wnet zegar uderzy...

Precz widma z krwi nie ściekle mych wiernych żołnierzy!

Bazyliida.

Przystajesz-li?... rzecz słowo...

Michał.

Zaprzestańcież jęku,

Stare hasła, oręż wrosło mi do ręki,

Wy, sztandary bez skazy... te skargi złowieszcze

Przebodły pierś mą do dna!

Bazyliida.

Co? wahasz się jeszcze?

Michał.

Chcesz więc? Oh! wściekła walka! wysiłek ostatni!

Szamoce się rozpaczliwie, ale kusicielka roztacza nad nim zdradzieckie sidła, zniewala go pieśczętą, dowodzi, że gdy zostanie królem, zgniecie Turków na miazgę i świat nazwie go Michałem Wielkim, obrońcą krzyża, i czoło jego otoczy aureolą świętości. Nikczemnik słucha jej głosu, gotów na zbrodnię, na świętokradztwo. Gdy oboje odeszli, syn wybiega z kryjówki, woła z uniesieniem rozpacz: „Ojciec mój zdradzał! wiem o tem!”

Następuje akt trzeci: poeta podniósł się w nim do szczytu.

Na wierzchołku góry, obok tryumfального łuku Trajana, pod którym przechodzi odwieczna droga rzymska, wznosi się stos, ułożony z pni smolnych, przy nim płonie długa pochodnia. Wkoło, z pomiędzy jodeł, sterczą odłamy skał, w głębi ciągnie się łańcuch pokrytych śniegami Bałkanów. Noc... na niebie błyszczą gwiazdy. Strażnik oczekuje

na zastępcę, widzi nadchodzącego księcia Michała, słyszy hasło — od-
dała się na znak wodza. Michał gotów na wszystko. Nagle syn staje
mu w oczy.

Michał.

Tyś tu!... o tej porze,
Błaskasz się, istne widmo w tej zarośli pustej,
Z obłąkaną żrenicą, z drgającymi usty.
Mów! po co tu przychodzisz?

Konstantyn.

I ja spytam śmiało,
Ojczy, po coś tu przyszedł?

Michał.

Tą mową zuchwałą
Znieważasz mnie...

Konstantyn.

Wiem wszystko... twój zamiar mi znany.

Michał.

Co wiesz?

Konstantyn.

Zastęp turecki już wkroczył w Bałkany,
Przyciągnie tu niebawem, i walka już bliska...
Gdzie straż? czemuż ogniem ten stos nie połyska?
Aby kraj chrześcijański ustrzedz od pogromu
I ocalić twą duszę i twą cześć od sromu,
Jestem tu, ja do stosu przyłożę łuczywo!

On wszystko wie, wszystko słyszał, wyznaje to ojcu. Błaga,
niech książę sam rozłti ten zbawczy płomień. Michał, wściekły z gniewu,
rozkazuje mu odejść precz, pilnować swego posterunku.

Konstantyn nie pójdzie: on sam ocali kraj od zguby.

Ojczy mój! pomyśl tylko... Ojczy, błagam ciebie,
Bóg patrzy i te gwiazdy rozsiane po niebie.
Gdy prawda przed oczyma stanęła mi jasno,
Co czynić? wybadałem pilnie duszę własną.

Wobec klęski, przystałoz mi odkryć, niestety,
Zdradę twoją i zdradę tej strasznej kobiety?
Lecz dla ciebie, nieszczęsny, to śmierć, to sromota!
Twa cześć, zdobyta w pasmie długiego żywota,
Przepadła-by starzana w tej ohydnej zdradzie.
Co czynić? mózg mi pęka, myśl moja w bezładzie,
Widzę pęgiez i słyszę klątwy nad twą głową...
Maż syn rzucić na ojca potępienia słowo?
Nigdy! chwała twa, ojcze, co tak jasno świeci,
Nie pójdzie w poniewierkę — z wiatrem nie uleci.
Przechodzień grobu twego nie potrąci nogą,
Jam też milczał, szarpany wyrzutem i trwogą.
Ojcze! milczeniem mojem wybawić cię muszę
Od śmierci na torturach, ja twe pęta skruszę!
Bodajbym nie żałował...

Słowa te nie poruszyły zdrajcy. Michał chce zostać królem, nie cofnie się przed zbrodnią, byle zdobyć koronę. Konstantyn, uniesiony szałem, miota mu wbrew gorzkie wyrzuty.

Michał.

Dość tego... milcz niegodny... szal płacze ci zmysły.

Konstantyn.

Jam winien... myśli mojej węzły się rozprysły.
Pozwól mi, niech przywołam te ubiegłe lata
Tryumfalnych zapasów, gdy z podziwem świata
Zwycięsko w tych wąwozach zniosteś Ottomany!
Czy pomnisz, jak wieczorem po walce wygranej
Liczyliśmy zdobyte sztandary i zbroje?
Tuliłeś mnie do piersi — drobne piskłę twoje;
Gdym upadł, tyś z miłością podnosił mnie z ziemi,
I ścierał mi krew z czoła usty ojcowskiem.
O! niech pamięć chwil takich stanie ci przed okiem,
Niech myśl twą czarodziejskim otoczy urokiem,
Nim czoło twoje zeszepeci niezatarta plama,
Nim przed tobą zamkowa rozemknie się brama,
A gdy stopa ją twoja przekroczyć się waży,
Sztandary ci policzek wycisną na twarzy.
Niech pamięć ta zażegna poszept sił piekielnych,
Zaczem zbudzą się duchy twych szermierzy dzielnych,

Których kości spoczęły pod darnią grobową,
 Nim piorunem przekleństwa rykną ci nad głową.
 Ty nie spełnisz tej zbrodni, nie dopuść jej Boże!
 Czołgam się u nóg twoich, błagam cię w pokorze,
 Bądź jeszcze ojcem moim, schwyc w potężne dłonie
 Zuczywo, niech na stosie ogniska rozplonie;
 Rzuć w dobroczynny płomień, jak plugawe chwasty,
 Twe zbrodnicze zamiary, pychę tej niewiasty,
 Niech je szalony wichur na skrzydłach rozniesie
 Po głębokich parowach, po górach, po lesie;
 Niech na wieki przepadnie ich posiew złowrogi,
 Wśród straszego tumanu iskier i pożogi.

— Dość już! — wykrzyknie Michał — twe błagania i groźby nie
 złamię woli mojej. Pókim żyw, nie zapalę stosu!

— Pókiś żyw! — powtórzy Konstantyn. — Jakież słowo tyś wy-
 rzekł, ojczel!

— Chciałżebyś mojej śmierci?

— Tak, powinienes umrzeć. Śmierć zdrajcy! Turczyn wkracza
 w wąwozy nasze... Każda chwila stracona czyni mnie twym współni-
 kiem. Powinność nakazuje mi być twym sędzią i katem.

(Dobrywa oręża).

Michał.

I ja mam ostrą szpadę, twej się nie ustraszę.

Konstantyn.

Ja chronię od sromoty stare gniazdo nasze.
 Poledz w krzyża obronie — powinność żołnierza!
 Ty walczysz w imię zdrady — Bóg niechaj wymierza
 Sprawiedliwość...

(Ścierają się chwilę. Michał upada krwią obłany).

Konstantyn.

O nieba! com uczynił...

Michał (konając).

Przeklęty!

Konstantyn.

Wróg blisko,

Czas mu drogę zagrozić — roztljmy ognisko!

(Chwyta łuczywo, rzuca je na stos, który zapala się w oka mgnieniu.
Opodał błyszczą inne. Działa grzmią na hasło. Wrzawa).

Ha! wobec tego trupa, wobec tych płomieni,
Wobec tej krwi ojcowskiej, co ziemię czerwieni,
Panie! przed twem obliczem głęboko się korzę,
Zabiłem wiarołomcę. Ty mnie sądz, o Boże!

Śmierć Michała przypisana Turkom. Od tej chwili kłęski sypią się na Bulgarów. Wojsko szemrze, głuchy poszept obwinia Konstantyna o zdradę. Młody książę wyrzuca sobie zbrodnię popełnioną. Aby ją odpokutować, błaga Boga o śmierć w najsroźszych mękach, o śmierć haniebną na rusztowaniu. Niebo wysłuchało głosu nieszczęsnego ojcobójcy.

Nim zapadł wyrok, przystępuje do niego Bazylida; namawia go, aby naprowadził Turków w wąwozy i z rąk ich podjął koronę. Ona zasiądzie u stóp tronu jak matka.

Konstantyn, wściekły z gniewu, odkrywa jej zbrodnię, rzuca na nią przekleństwo.

Jam stargał twe matactwa... nędzny przeniewierca
Padł z mej ręki! ja muszę do dna twego serca
Waćzyć palący wyrzut, niby ostrze stali,
Widmo zbrodni spełnionej niech je wskrós przepali,
Dźwigaj na twem sumieniu morderstwa połowę,
Krew z mych rąk ojcobójczych strząsam na twą głowę.

Bazylida gotuje zemstę. Oskarża przed królem-biskupem Konstantyna o zdradę. Ukazuje firman sultański; na tym pergaminie, obok pieczęci tureckiej, wyciśnięta pieczęć Brakomira. Konstantyn milczy, pragnął śmierci ohydnej, ona go nie chybi. Sejm, złożony z bojarów, skazuje go na najsromotniejszą karę. Przykrępowany łańcuchem do ojcowskiego posągu, ma tam pozostać wystawiony na klątwy i zniewagi tłumów. Spełniono wyrok. Konstantyn błaga Boga o siłę i wytrwałość. Nagle przypada Milica, wyznaje rzecz całą, ogłasza go niewinnym, ale zatapia sztylet w jego piersi i sama się przebija.

Tragedya ta niesłychane sprawiła wrażenie. Wspaniała wystawa godnie odpowiada sztuce. Artystów obsypało oklaskami, najwięcej

zdobyła ich rodaczka nasza, panna Rutkowska, występująca w roli młodej cyganki, pod pseudonymem Wandy Bończa. Głos powszechny wróży tej artystce niepospolitą przyszłość.

Niez mordowany badacz średniowiecznych dziejów angielskich Jusserand, wydał bardzo ciekawą książkę o Jakóbie I, królu szkockim, z rodu Stuartów. Wiadomo, że ród ten, w długim lat pasmie, wystawiony był na niezliczone klęski. Najwięcej ze wszystkich przeboleł nieszczęśliwy Jakób I.

Mamy tu przed oczyma żywy obraz na pół barbarzyńskiej Szkocyi w pierwszych latach piętnastego wieku. Stan to był okropny. Autor przytacza słowa współczesnego kronikarza: „Żadne prawo nie istniało wtedy w Szkocyi. Potężni wassale uciskali słabych; całe królestwo było ostoją rozbójników. Mordy i gwałty uchodziły bezkarnie.

Nad tym-to ludem, dzikim jak ziemia szkocka, porośła wrzosem, najeżona złomami skał, panował nieszczęśliwy ród Stuartów. Rządy Roberta III-go, w początkach XV-go wieku, były pasmem najsroższych klęsk i gwałtów. Z dwóch synków królewskich, starszy, Dawid, padł ofiarą stryja, księcia Albany, który porwał go i zamorzył głodem w więzieniu. Ojciec, w obawie, aby podobny los nie spotkał pięcioletniego Jakóba, oddał go pod straż biskupa z Saint Andrews, a w lat kilka potem, dla tem większego bezpieczeństwa, wyprawił go do Francyi. Ale zdrada czyhała nad dzieckiem. Wskutek podstępnych matactw Albaniego, pochwycono na wybrzeżach Anglii dziesięcioletniego królewicza. Z rozkazu króla Henryka IV zamknięto go w wieży londyńskiej. Dziedzic szkockiego tronu, przewożony z jednej twierdzy do drugiej, przetrwał tak lat dziewiętnaście. Nie tracił jednak czasu. Zagrzebany w celi z książką w ręku, wybiegał myślą przez okienko w szeroki świat poezyi. Homer prowadził go pod mury oblężonego Ilionu, ukazywał mu zakutych w zbroje zapaśników, walczących o piękną Helenę. Chaucer wiódł go do Cantorbery, z tłumem wesołych pielgrzymów.

Smutne tymczasem wieści dobiegały ze Szkocyi. Ojciec umarł ze zgryzoty wkrótce po uwięzieniu syna. Na tronie zasiadł Albany. Dla pozorów, upominał się u Anglików o bratanka, lecz knuł podstępne intrygi, by go trzymano w więzach.

Aż oto dnia jednego, kiedy Jakób pędził smutne dni w Windsorze, ujrzał przez zakratowane okno śliczną dziewczeczkę, zrywającą kwiaty pod murami zamczyska. Podobnego cudu nie widział jeszcze na ziemi. Ukochał ją i pozyskał wzajemność. Tą dziewczeczką była

Joanna z Beaufort, z królewskiego domu Lankastrów, oplątanego w stuletnie walki z panującym domem Jorku.

Młody król-więzień był poetą, jak wszyscy niemal Stuartowie. Odkąd poznał Joannę, świat nagle przemienił się dla niego. Na cześć jej wyśpiewał poemat, przechowany od czterechset lat w *King's Guhair* (kajecie królewskim). Poemat ten cały przesiąkły wonią kwiatów, słyszymy w nim szczebioty ptasząt i szmery strumyka. Tak śpiewali wówczas wszyscy błędni rycerze. Pieśni Henryka szląskiego, Piasta, wiernem są odbiciem tej mody.

Jusserand daje w przekładzie poemat króla wygnańca, przytoczmy go za nim w głównych zarysach:

„Wysoko w górze, pod kopułą niebios połyskały ogniste gwiazdy, biała Cynthia kąpała w strumieniu swe złociste warkocz. Król poeta nie śpi, дума o kraju dalekim, o przetrwanych cierpieniach. Otwiera księgę—to powieść Bokacyusza; nagle posłyszał dzwon wzywający na jutrznię.

„I któżby uwierzył—mówi poeta—dzwon ów przemawia do mnie: „Opisz twoje przygody.” Jak nie posłuchać dzwonu? Siadam więc u stolika, gdzież zużył moc papieru i atramentu, biorę pióro, kreślę krzyż na pierwszej stronicy.”

Na wzór Chaucera, wzywa poeta muzy: Clio i Polhymnię. Opisuje naprzód dziecinne lata swoje: odjazd ze Szkocyi: życzenia przyjaciół: „Niech Jan święty opiekuje się tobą!”

„Jednego poranku, gdy zorza zrumieniła niebo, ciągnie śpiewak, stanąłem w oknie, patrzę na przechodzących ludzi; to cała moja uciecha! Ogród zielony, pełen kwiatów, słowik kwili w zaroślach; głos jego mówi do mnie: „chodź, powitaj ranek majowy, zaśpiewaj razem ze mną.” Odeszła zima, witajże lato, przynieś mi promyczek słoneczny!”

Młody król spojrział ku ziemi i cóż tam widzi? Kwiat żywy, najcudniejszy z kwiatów! Krew zbiegła mu do serca... odskoczył... powraca znowu, patrzy...

„Na łagodnem jej licu niema groźby; w chwili jednej oddałem jej serce! — mówi z uniesieniem. — Słodka ty moja, jesteś ty z ziemi, czy z niebiosów? Ażaliż pod dotknięciem dłoni twojej rozwinęły się wonne kwiaty w ogródku?”

I podziwia jej włosy, jej szaty, jej lica pełne wdzięku. Zazdrości pieskowi, który płąsa przed nią i podzwania w grzechotki. Błaga ją pieśnią; łatwo zgadnąć, że błaga nie daremno!

Odeszła... w oczach poety powędły kwiaty, słoneczko pociemniało. Pogląda w pustą przestrzeń. Zapadła noc, on nie powstał jeszcze, usnął, wsparty o krawędź okna.

We śnie unosi się na Olymp, widzi tam Kupidyna, uzbrojonego w strzały; Wenus upewnia go, że goi rany, zadane przez swawolnego syna, Minerwa daje mu pełne mądrości rady, zaczerpnięte—jak mówi—z księgi Salomonowej. Z Olympu bieży poeta do stóp królowej niebios; przysięga w imię tego, który umarł na krzyżu, wierność ukochanej, jeżeli ją otrzyma.

Ledwie że rozwarł oczy, widzi, jak biała gołąbka wbiega przez okno, przynosi mu różowy kwiat lewkonii, na łodydze skreślone złotem słowa: „Zbudź się, jam gońcem dobrej wieści.”

Na tem kończy się poemat. Jeśli kto powie — dodaje w końcu młody król — zem się nazbyt długo rozpisał, odpowiem na to: „Od mąk piekielnych przeszedłem do rajskich rozkoszy: kto odbył tę podróż, milczeć mu niepodobna. Idź, księgo moja! kładę cię pod opiekę drogich mistrzów, Homera i Chaucera, w przedsionku Retoryki, kędy oni stali za życia, uwieńczeni w wawrzyn nieśmiertelny. Wam, mistrze, poświęcam te strofy, a Bogu wasze polecam dusze, na wieki wieków, amen.”

Spełniła się wieszczba gołąbki. Śmierć położyła kres regencyi Albaniego; poselstwo szkockie przybywa do Anglii. Jakób uwolniony za okupem.

Przed powrotem do kraju, szczęśliwy król, zaślubił Joannę z Beaufort. Małżonkowie pośpieszyli razem do Szkocyi. Stary biskup włożył koronę na głowę dawnego wychowanka.

W Szkocyi straszny panował bezład. Słabe a zarazem okrutne rządy Albaniego sprawiły rozprzężenie w narodzie. Naczelnicy klanów rządili samowładnie, występowali zbrojnie jedni przeciwko drugim, nie uznając nad sobą zwierzchniej władzy. Trudnem było zadanie króla, od lat pierwszej młodości wykołysanego poetycznem marzeniem. Ale Jakób ledwie że postawił stopę na szkockiej ziemi, przemienił się w innego człowieka. Stała miłość dla Joanny nie odebrała mu żelaznego hartu. Pamiętał, co widział w Anglii i we Francyi, dokąd Henryk V-ty zabrał go był na czas jakiś jako jeńca.

Długi pobyt u Anglików dał mu poznać potęgę parlamentu. Powołał więc stany państwa, zaprowadził instytucję parlamentarną. Wsparty na niej, postanowił ująć w karby samowolę dzikich klanów. Nie tracąc czasu, skodyfikował prawo, odbudował warowne zamki, wznosił przybytki Boże, urządził sądownictwo.

Słodki poeta okazał się nieprzebragany mścicielem krzywdy mu wyrządzonej. Potomkowie Albaniego przyplacili krwią gwałty ojca. Karcił srogo niesforne klany; głowy naczelników padały pod mieczem, inne pochylały się kornie do stóp królewskich. Jeden tylko pozostał, lord wysp, Aleksander, potomek królów skandynawskich. I owóz w niedzielę palmową, w kaplicy Holy Rood, tłumy ujrzały

przerazający obraz. Dumny lord, w koszuli, z powrozem na szyi, ze szpadą, końcem ostrza obróconą do ręki, przeszedł nawę, stanął przed tronem, złożył oręż, zdając się na łaskę królewską. Szubienica czekała już na placu, ale obecna temu królowa Joanna wyblagała życie winowajcy. Zamknięto go w zamku warownym.

Srogi dla możnowładców, Jakób, w życiu domowem pozostał słodkim poetą.

Rozmniłowany w Joannie, po dziennych trudach spędzał z nią przy ognisku długie zimowe wieczory. W kole przychylnych dworzan powtarzał wiersze, śpiewał, przygrywając na cytrze lub organach, opowiadał rycerskie powieści. Siedmioro dzieciak roilo się wokoło tronu.

Sława Jakóba rozbiegła się po świecie. Do zamku Perth, rezydencji królewskiej, przybywali posłowie z dalekich nawet krajów. Najświetniejszym z nich był wytworny i uczony młodzian, Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, późniejszy papież pod imieniem Piusa II-go.

Eneaszy pozostawił w kronice ciekawy opis tej misji i pobytu na dworze Jakóba. Podróż wypadła zimą; okręt szamotany wichrem o mało nie zatonął. W chwili niebezpieczeństwa poseł ślubował, jeśli go Bóg ocali, odbyć pielgrzymkę do cudownego miejsca. Jakoż odbył ją pieszo po zmarzłej ziemi; z powrotem pół żywego przyniesiono lektyką.

Trudy te źle usposobiły podróżnika. Krótkie i mgliste dni bez słońca, ubogie chaty, poszyte wrzosem, nędzne konie z długą grzywą, nigdy zgrzeblęm nietkniętą, wszystko to raziło oczy wytwornego Włocha. Jakkolwiek przyjęty najgościnniej, obsypany darami, opisał Szkocję w najsmutniejszych barwach, jako istną pustynię.

Wkrótce potem inne poselstwo zawitało z Francji. W te czasy poseł musiał posiadać dar wymowy i wypisać się gładko. Stąd obowiązki dyplomatyczne powierzano zwykle poetom. Chaucer posłował od Anglii, Bokayusz od rzeczypospolitej Florenckiej, Petrarka od Rzymu i Mantui. Biedny król francuski wygnany, przebywając w Chinon, ostatnim szczątku wielkich swych posiadłości, posługiwał się również Alanem Chartier, ojcem wymowy francuskiej, jak go powszechnie zwano.

Alan posłował już na dwór cesarza Zygmunta do Niemiec, lecz całkiem bezskutecznie. Później Karol VII wyprawił go do Szkocji, gdzie ojciec wymowy lepiej poruszył serce Jakóba Stuarta. Przybywał Alan w imieniu króla prosić o rękę księżniczki Małgorzaty dla następcy tronu, Ludwika. Układy stanęły: zaręczono przyszłą parę, ale naręczona miała zaledwie trzy lata, Delfin ukończył rok piąty. Dzieweczka rosła pod okiem rodziców, aż w dziewięć lat potem przybyło nowe poselstwo. Król Jakób pożegnał ukochaną córkę na pokładzie okrętu, oblał ją gorącymi łzami, snać przeczuwał smutną jej dolę.

W Tours odbyły się gody. Młodziuchna Małgorzata, obdarzona darem poezyi; jak wszyscy Stuartowie, poślubiła Delfina. Był nim późniejszy Ludwik XI-ty, pogromca feodalizmu, wówczas oddany zapamiętane łowom. „Kochał on psy gończe i sokoły — mówi kronikarz Comines — lecz piękne dziewy nie obchodziły go wcale.

Małgorzata, wypieszczona przy rodzicielskiem ognisku, czuła się nieszczęśliwą. Delfin patrzył na nią ze wstrętem, za to król Karol VII i królowa ukochali ją jak własne dziecko, obsypywali darami; lecz ich miłość wystarczyć jej nie mogła. Umarła w Szampanii, dręczona tęsknotą i żalem.

Nad Szkocyą tymczasem, po długiej ciszy, groźna wzbierała burza. Jakób panował od lat dwunastu; żelazną ręką trzymał wodze państwa. Pragnął urzeczywistnić ideał, do którego kraj nie był przygotowany. Smutne wróżby przebiegały z ust do ust; śmierć krążyła w powietrzu.

Między uwięzionymi niegdyś naczelnikami klanów był Robert Graham, nieprześlągany wróg króla. Uwolniony z więzów, chciwy pomsty, poprzysiągł zrzucić Jakóba z tronu. Po gwałtownej scenie w parlamencie, wtrącony powtórnie do warownego zamku, uciekł przy pomocy stronników. Dnia jednego król otrzymuje list z gór Highlandu, opatrzony pieczęcią Grahama, a w nim straszliwą groźbą: „Strzeż się, Stuartcie, nie ujdiesz mojej ręki!”

W rok potem król postanowił spędzić święta Bożego Narodzenia w mieście Perth, w ulubionym mu klasztorze Dominikanów. Stał nad zatoką morską, zabierając się do przeprawy; w tem przystępuje doń kobieta, ubrana po góralsku.

— Wracaj królu panie! — woła na głos — jeśli przepłyniesz te wody, nie powrócisz tu żywy.

Jakób nie zważał na to. Święta ubiegły spokojnie wśród rodziny. W wigilię gwarzono o wróżbach: Jeden z obecnych widział we śnie straszliwą postać Grahama. Król opowiadał, jak we śnie walczył, napadnięty przez potworną gadzinę.

Upłynęło kilka tygodni, złowrogie sny wyszły wszystkim z pamięci. Wieczorem król grał w szachy, królowa czytała książkę, dzieci bawiły się wesoło.

W tem ktoś zakłócał w bramę: była to taż sama kobieta, odziana po góralsku.

— Puśćcie mnie — woła — chcę koniecznie widzieć się z królem. Straże odparły ją od progu.

Późno w noc, po skończonej grze, rozeszli się obecni. Król rozmawiał z królową przy kominie.

Nagle w oknach zabłyśły pochodnie, w dziedzińcu straszna wrzawa. Wysadzono bramę, zbrojny tłum wdzierając się na schody: to Graham z garścią popleczników.

Jedna z panien dworskich królowej, Katarzyna Douglas, biegnie do drzwi, wciska rękę w metalową obręcz u zamku. Graham gruchocze jej kości, starzaną we krwi powala na ziemię!

Jakób tymczasem odmyka w podłódze ukryte drzwi, prowadzące do lochu.

Dobiegli go oprawcy — dwóch pierwszych poległo z ręki królewskiej, inni powalili go trupem u stóp Grahama.

Królowa biegnie w pomoc, na próżno. Ciężko ugodzona, pada bez zmysłów. Pozostała jednak przy życiu. Mordercy nie uszli jej zemsty. Wyśledzono ich w górach. Na rozkaz królowej spadła pod mieczem głowa Grahama i jego popleczników.

Tak się skończył romans królewski, rozpoczęty pod murami Windsoru.

Poeci różnych czasów opiewali romantyczne przygody Jakóba Stuarta i Joanny z Beaufort, dopełniając je mnóstwem fantastycznych podań i legend. Jusserand opowieść swoją oparł ściśle na szkockich archiwach, przedstawił ją w prawdzie rzeczystej. Na czele książki pomieścił reprodukcję fresku Tintoretta, zachowanego w katedrze turyńskiej: przedstawiony tu Jakób Stuart na tronie, otoczony świetnym dworem. U stóp tronu staje młody Almari Silvius. Przez kolumnadę krążątku widać piękny krajobraz szkocki, zakończony pasmem gór na widnokręgu.

Do pięknych publikacji tegorocznych należy wydane u Firmina Didot'a dzieło Helblinga, pod tytułem „Epopea Homerowa.” Przekładu z niemieckiego dokonał p. Floryan Trawiński, znany tłumacz kilku dzieł o starożytnej Grecji i Rzymie.

W ciągu ostatniej ćwierci wieku, niezmordowany Schlieman, jak wiadomo, znakomicie rozwinął badania archeologiczne, dotyczące Iliady i Odysei. Dziś więcej posiadamy wiadomości o życiu Achajczyków z czasów Homera, niż posiadali ich w IV wieku w Grecji uczeni szkoły aleksandryjskiej.

„Epopea Homerowa, mówi Helbling, wiernem jest zwierciadłem życia Hellenów z VIII i IX wieku przed erą naszą. Piewca Iliady i Odysei opiera sztukę na gruncie zdrowego realizmu. Pociąga nas żywotną barwą obrazów poetycznych, nie gardząc i szczegółami codziennego życia. Dzieło ma też niesłychaną wagę, tak dla poety, jak

dla historyka i etnografa. Poeta szuka w niem natchnienia, uczony wynajduje pierwotne zawiązki dzisiejszej cywilizacji.

Po długich i mozolnych poszukiwaniach, dziś dopiero oznaczono ściślej epokę powstania wielkiej epopei. Iliada i Odyssea, to dalekie echo Achillesowych bojów i miłosnych przygód Parysa. Długie wieki oddzielają bohaterskie czyny od bohaterskich pieśni.

Zawędrowali Grecy do Azji mniejszej; tam, przy dźwiękach lutni, serca silniej im uderzają, na wspomnienie sławy nieśmiertelnych praocjów. Zmienili obyczaje: zaciężyła im zbroja; nie znaleziono w Mycenach śladu ciężkich wojennych rynsztunków, jakich używali pierwotni Hellenowie.

Przenikliwy badacz poezji Homera śledzi stopniowy rozwój greckiej cywilizacji. Wszystko tam, i odzież, i zbroja, i sposób życia w wieku IX-ym, pokazuje ogładę w obyczajach pod wpływem zetknięcia się z ludami wschodu. Sam nawet język epopei daje poznać rozkwit form życia towarzyskiego. Ileż-to subtelnych odcieni w sposobie wyrażania się każdego z zapaśników trojańskiej wojny. Słowa ich odbijają wyraźnie osobiste uczucia i określają społeczne stanowisko jednostek. Z równą siłą uwydatnia Homer młodzieńczy urok Heleny, jak i powagę zgrzybiałego Pryama. Takiej ściśłości i tak plastycznej formy w opisach nie spotykamy nigdy w poezji Minnesingerów.

Typowe postacie przedstawia poeta w rozmaitem oświeceniu, stosownie do zmian w pojęciach mitologicznych, równie jak w obyczajach. Nazwa Homera obejmuje bowiem długi szereg poetów, jak to wyświełili ostatnie badania krytyczne. Helena w Iliadzie jest uosobieniem doskonałej piękności, której czary działały bezwiednie, jakby siły przyrody. W Odyssei tymczasem ma w sobie coś więcej ludzkiego: ciekawa, chciwa wrażeń, staje się poprostu miłą i zalotną kobietą.

Na czele księgi, Colignon, członek Instytutu, nakreślił w przedmowie ogólny zarys tej znakomitej pracy.

W dziale archeologicznym ilustracja ważną odgrywa rolę, uprzytomniając w umyśle czytelników sposób życia dawnych pokoleń; powiedzmy oto kilka słów o tarczy Achillesowej. Charakterystykę jej stanowią antytezy. Z jednej strony tarczy widźmy miasto podczas pokoju, z drugiej w stanie oblężenia. To ogólna antyteza życia politycznego, ale nie na tej koniec. W życiu codziennem, smutek i wesele przecinają dni ludzkie na dwie połowy. Otóż miasto podczas pokoju przedstawia po jednej stronie obraz pochodu weselnego, po drugiej obraz groźnego trybunału.

W oblężonem znów mieście widać walczących zapaśników, a na przeciw nich pasterzy pasących stado owiec, przy dźwięku sielskiej pieśni; tuż obok rolnik w pocie czoła orze skibę rodzinnej ziemi:

doszedłszy do kresu, otrzymuje czarę wina, na pokrzepienie sił starganych. Raz po raz inne pory roku, a z nimi inne prace. Są to wszystko antytezy przyrody i antytezy ludzkiego życia.

Trudno nam przypuścić rzeczywiste istnienie owej tarczy Achille-sowej. Za czasów Homera nie posiadano odpowiednich narzędzi do uplastycznienia poetycznych pomysłów. Potrzeba było wieków na pokonanie tych trudności. Rzeźba, jak wiadomo, zrodziła się znacznie później, niż poezja.

Przejdźmy teraz do innej, bardzo wspaniałej publikacji, p. t. „Watykan, Papieże i Cywilizacja.” Jak we wszystkich wydawnictwach Firmin-Didot’a, strona artystyczna odpowiada tu zupełnie wartości literackiej. Obok kilku świetnych chromolitografii i fototypii, zdobi księgę pięćset rycin, zamieszczonych w tekście na osiemset stronicach in 4-to.

Pomnikową tę pracę wykonali trzech młodzi erudyci: p. Jerzy Goyon opracował dział historyczny; p. Andrzej Perate ukazał Rzym, jako pierwszą kolebkę, a dziś nieporównany skarbiec sztuki chrześcijańskiej; p. Paweł Fabre opisał Bibliotekę watykańską, pełną bezcennych zabytków, mimo klęsk, jakie w pierwszych wiekach niszczyły gromadzone zbiory.

Wszystkie trzy działy pracy dopełniają się harmonijnie; autorowie ich przeszli jednako szkołę normalną w Paryżu, a następnie przez lat trzy prowadzili na miejscu badania, jako uczniowie szkoły francuskiej w Rzymie.

Poprzedza wielkie dzieło przedmowa kardynała Bourret; zakończy je epilog Melchiora de Vogüe, członka akademii francuskiej.

Najobszerniejszy dział historyczny przypadł Jerzemu Goyon. Ten dwudziestopięcioletni młodzian zwrócił już był na siebie uwagę rozprawami w Przeglądzie dwóch światów, i „Chronologią państwa Rzymskiego.” Nowa praca otworzyła szerokie pole młodemu erudytowi.

Nie miejsce tu zdawać sprawę z wielkiej pracy historycznej, w której autor pokazuje bezustanną działalność Kościoła, pod kierunkiem dwustu pięćdziesięciu dziewięciu papieży od św. Piotra do Leona XIII-go. W pierwszej części zaznacza on kolejno łańcuch zdarzeń dziejowych, w drugiej daje poznać wszystkie sprężyny wielkiej machiny rządowej: kongregacye, trybunały, konklawy, stosunki papieża ze światem chrześcijańskim, propagandy i t. p.

Nie wdając się w szczegóły, powiedzmy tylko, że cała praca odznacza się jasnym wykładem, a do tego stylem pełnym życia i barwy.

Dział sztuki niemniej pięknie opracował p. Perate. Pokazuje on wpływ papieży na rozwój sztuki w rozmaitych jej objawach: na architekturę, rzeźbę, malarstwo, archeologię. Z gruntowną znajomością rzeczy i wytrawnym smakiem opisuje najcelniejsze utwory geniuszu ludzkiego w ciągu piętnastu wieków, od epoki Konstantyna W-go do czasów dzisiejszych. Przebiega kolejno wszystkie epoki następujące po sobie, tak odmienne, a przecież jednako ożywione duchem chrześcijańskim. Widzimy tu Rzym w katakumbach, Rzym średniowieczny, Rzym w epoce odrodzenia, za Juliusza II i Leona X. Autor rozciąga przed nami cały zastęp genialnych mistrzów, których arcydzieła, nagromadzone w wiecznym mieście, są i będą wiecznym podziwem dla świata. W górze po-nad wszystkimi ukazuje nam w blasku słonecznym dwie niezrównane postacie: Michała Anioła, najwyższy typ twórczej potęgi, i Rafaela, najwyższy wyraz piękna; określa ich geniusze, tak odrębne od siebie, połączone jednak równie żarliwą pogonią za nieśmiertelnym ideałem; przesłiczne reprodukcje fresków z kaplicy Sykstyńskiej i łóż watykańskich dają nam poznać tych dwóch koryfeuszów epoki odrodzenia. Widzimy też w fototypach i rycinach odtworzone wszystkie przybytki Rzymu, tak zewnętrzne ich frontony, jak i ozdobne wnętrza. Bazylika św. Piotra oddana z najdrobniejszymi szczegółami.

Dodajmy tu ciekawe opisy i piękne reprodukcje muzeów rzymskich. Mamy przed oczyma galerię posągów w Belwederze, Muzeum Chiaramonti, urządzone przez Canowę, i słynną pinakotekę z arcydziełami Rafaela. Nie zapomniął też autor o wielkich pracach zmarłego niedawno archeologa Rossi.

Paweł Fabrę skreślił historię biblioteki watykańskiej. Pierwszy jej związek odnosi do kolebki chrześcijaństwa, ale prześladowanie za Dyoklecjana rozproszyło te początkowe zbiory. W IV dopiero wieku św. Damazy papież zbudował wraz z kościołem św. Wawrzyńca pierwszą bibliotekę; tu z sekretarzem swoim, św. Hieronimem, gromadził akta konsyliów i inne dokumenta.

Przeniesiono później te zbiory do monasteru Laterańskiego. Święty Grzegorz, niestrudzony w apostolskich zabiegach, utrzymywał tu niezliczonych kopistów, i odpisy ksiąg świętych rozsyłał przez misjonarzy do wszystkich krajów, gdzie poczęła kielkować wiara chrześcijańska. Księgozbiór Laterański, mówi autor, poszedł w rozsypkę podczas napaści normandzkich Guiskarda. Zaledwie, że z ocalonych szczątków utworzono nową bibliotekę, ta w XII wieku, podczas rozdwójonej władzy papieskiej, przeniesiona do Awinionu, rozproszyła się wśród ciągłych zawichrzeń. Wielka jej część wzbogaca dziś narodową bibliotekę paryską.

Sławna biblioteka watykańska, jaką posiada obecnie Rzym, datuje się od wieku XV-go. Autor opisuje stopniowy jej wzrost od czasu, kiedy, po zdobyciu Konstantynopola, uczeni Grecy przynieśli do Włoch zabytki starożytnej literatury, a obok nich pisma Ojców Kościoła wschodniego i inne archiwa chrześcijańskie. Wielką ich część nabyli papieże, inne kazali przepisywać. Tym sposobem rosła biblioteka, a pierwsza drukarnia, założona w Rzymie, przyczyniła się do jej pełnego rozkwitu w epoce Sykstusa V-go.

Niepodobna nam iść w ślady za autorem, powiedzmy tylko, że jego praca, wysoko podniesiona przez uczonych, nakreślona jasnym i żywym piórem, zajmuje niemniej i ogół czytelników. Dzieło to ma wyjść wkrótce w przekładzie niemieckim i węgierskim.

Pierwszy pomysł pomnikowej pracy o Watykanie, zarówno jak umiejętnie ułożony plan, zawdzięcza wydawca panu Gustawowi Pawłowskiemu. Uczony ziomek nasz, od lat wielu konserwator biblioteki Firmin-Didot'a, otrzymał za prace erudycyjne wieniec akademicki i niemniej zaszczytny stopień oficera w dziale instrukcyi publicznej.

Dążność do decentralizacyi coraz to silniej objawia się dziś w społeczeństwie francuskim. Etnografowie tutejsi wytrwale pracują w tym kierunku. Obok istniejącego od dawna Towarzystwa i licznych gromad prowincjonalnych, powstał w tych czasach nowy dział p. t. „Towarzystwo etnografii narodowej i sztuki ludowej“; prezyduje w nim znany poeta, Andrzej Theuriet.

Na ogólnem zebraniu (w amfiteatrze Sorbonny) nowego towarzystwa przemawiał Gaston Parys, profesor literatury w kolegium francuskim. Powtórzmy tu w treści tę mowę, pełną znaczenia, wytykającą jasno drogi przyszej literaturze.

Nowe Towarzystwo, rzekł mówca, niesłychaną ma w oczach moich doniosłość, i szczególnej godne jest zachęty. Przemawia zarówno do serca i rozumu, patrzy razem w przeszłość i w przyszłość. Promotorowie jego, pełni zapału, kochają gorąco tę dawną Francję, która nas utworzyła, i tę przyszlą Francję, którą utworzyć zamierzamy. Chcieliby oni odmłodzić geniusz narodowy, zanurzając go w odwiecznych zdrojowiskach; pragną, aby wszystkie powstałe z nich prądy i strumienie, dziś zbiegające się w koryto wspaniałej rzeki, zachowały przecież woń ziemi rodzimej i błękit nieba, jaki w sobie niegdyś odbiły. Mniemają oni, że wielkie ognisko, które całą ogarnia Francję, wymaga także, aby inne ogniska, niegdyś czynne, dziś na pół wygasłe, przyszły do uznania swej samoistności i siły, wybuchnęły płomieniem i w formie nowej odzyskały dawną potęgę. Byłoby to złudzeniem?

Wasza tu obecność, panowie, co innego mi obiecuje. Przedstawiacie mi te grupy prowincjonalne, które utworzyły się w samym Paryżu i czynią z wielkiego miasta naszego nie tylko centrum Francji, ale, rzecz można, małą Francję, tak barwistą i bogatą w różnaitości swojej. Wy, Normandowie, Bretończycy, Gaskoni, Auwerniacy, Prowansale, Burgundy, Lotaryngi, Pikardy, acz wszyscy jesteście Francuzami, a nawet zamieniliście się w Paryżan, wy odczuwacie przecież między sobą ściślej was jednoczący węzeł. Szukaliście się wzajem, przyjęliście na znak zjednoczenia wasz symbol domowy. Jak rozproszone stado ptaków, zwołujecie się znanem hasłem. Dotąd zebrania te czyniły tylko zadosyć potrzebie serc waszych, ależ powinny do wyższego prowadzić celu. Niechaj każde z tych towarzystw paryskich, połączone ściśle z prowincją swoją, rozpowszechnia tam działalność naszą; niech towarzystwa, rozproszone po kraju, staną na czele ruchu przez nas obudzonego; niech, ożywione szlachetnem współzawodnictwem, wydobywają na jaw skarby sztuki, tradycje i pieśni swych okolic, a tem samem zaznaczą właściwy im geniusz.

Wtedy wystawa, która ma chlubnie zakończyć wiek bieżący, przedstawi światu zdumiewający obraz, a serca nasze niewymowną przeniknie radością. Odrodzona Francja ukaże własne oblicze z całym bogactwem różnorodnych swych rysów, z całą potęgą tysiącletniego rozwoju swego, z całą twórczością niewyczerpanego geniuszu. Obraz ten zawdzięcza ona przyrodzie, która zlała na nią pełną ręką wszystkie skarby, jakich innym ludom udziela po jednemu.

Azaliż napróżno, ciągnie mówca, posiadamy kraj uprzywilejowany wpośród innych? Klimat nasz tak rozmaity, płody tak różnstronne, nasze wybrzeża kąpią się to w chłodnem morzu germańkiem, to w niezmiernym oceanie, to w ciepłych falach śródziemnych, w których przeglądały się wszystkie wielkie cywilizacye. Nasze granice, obcięte dziś niestety! obejmują zarówno olbrzymie góry, jak szerokie pola, ciemne puszcze i żyzne pastwiska; nasza gleba wydaje wszelkie płody, od zboża i winogrodu do pomarańcz i chmielu. W lasach naszych wszelką mamy zwierzynę, w rzekach i morzach wszelkie ryby, pod ziemią marmury i kruszce.

Azaliż napróżno zwiemy się Francuzami? imię to nie określa plemienia, lecz długie pasmo wspólnych dziejów, wspólną uświęconych miłością. Różne ludy starożytnego świata: Ibery, Ligury i Celtowie, Grecy i Rzymianie, Germani i Skandynawi, połączyły tu krew swoją i rodzimy geniusz. Na toż otrzymaliśmy darem tę cudowną mozaikę, której różnobarwne kamyki tworzą tak harmonijny obraz, aby go zatracić w szarej i jednostajnej powłoce? Nigdy! powinnością naszą, przeciwnie, wrócić żywotny blask tym kamykom, a bądźmy przeko-

nani, że wielki obraz, utworzony z ich połączenia, wystąpi tem świetniej, tem wspanialej, w rysach pełnych i niezatartych!

W końcu profesor podnosi główny program Towarzystwa, dotyczący sztuki ludowej, określa jej znaczenie. Ta sztuka, mówi on, obejmuje wszystko, co lud utworzył, co zachował i uchronił od wpływu wielkich miast, jak: odzież, sprzęty domowe, obrazy, gry i zabawy, tańce, pieśni, powieści, przysłowia, zagadki, oryginalne zwroty w mowie. Zbierajmy skrzętnie te samorodne wyroby ducha narodowego, patrzmy na nie z poszanowaniem, jako na pamiątki ubiegłych czasów, patrzmy z nadzieją, jako na zadatek przyszłości. Obowiązkiem naszym ochronić te skarby od zniszczenia! działajmy wszyscy w tym kierunku, a zasłużymy się dobrze Francyi!

Ktokolwiek z prostotą serca podejmie to zadanie, znajdzie w niem urok niepojęty. W tych starych a pogardzonych zabytkach odkryje z podziwem nowe źródła sztuki, w których czerpali natchnienie naj-słynniejsi mistrze, z pod chropawej łupiny wydobędzie delikatne ziarno, jakiego się tam nie domyślał. W tem, co zrazu przypomina bełkotanie dziecięce, odczuje duszę, drgającą pełnem życiem, starą i wiecznie młodą duszę Francyi. Ona-to, jednolita w gruncie, acz różnorodna w formach, ożywia zarówno te nieśmiałe porywy, jak i wielkie poloty sztuki świadomej siebie. Rozpatrzenie się w tych pierwszych próbach sprawia nam też samą radość, jaką czujemy, gdy, wyszedłszy z pysznego ogrodu, uszczkniemy na miedzy różę polną, która, umiejętnie wyhodowana, przystroi się w świetną koronę, błysnie barwą i czarodziejskim wybuchnie aromatem.

Dziwnie nas uderzył programat Gastona Parysa, powołujący do zbierania zabytków ludowych. Umysły nowych Ateńczyków, jak się mienia Francuzi, zanadto przesiąkły szkolną manierą, by łatwo mogły odczuć piękność poezyi ludowej. W czasach przełomu romantycznego, zwrócili się do średniowiecznych kronik, przeistoczyli teatr, lecz poeci ich, oprócz małych wyjątków, nie czerpali w żywych krynicach poezyi ludowej, w których wielka plejada wieszczów odrodziła naszą poezję.

Parę miesięcy temu umarł w Paryżu Paweł Mantz, pierwszorzędnny krytyk na polu malarstwa i rzeźby. Przez lat pięćdziesiąt wytrwały pracownik zasilał pisma paryskie szeregiem znakomitych rozpraw. Jego sprawozdania z dorocznych wystaw, pełne estetycznego

smaku, były zarówno wskazówką dla artystów, jak i dla publiczności zamiłowanej w sztuce, dla której sąd światłego przewodnika bardzo był pożyteczny.

Paweł Mantz wystąpił podczas przełomu romantycznego w r. 1844. Wiadomo, że klasycyzm dłużej utrzymał się w malarstwie, niżli w literaturze. Już Wiktor Hugo i Dumas zapanowali w dramacie, kiedy sąd konkursowy odmawiał na wystawach miejsca obrazom ludowym Millet'a i krajobrazom Corrot'a, któremi chlubią się dziś muzea na obu półkulach ziemi. Porwany nowym ideałem, Mantz, walczył z całą energią w imię tych, których akademia odrzucała, a ogół jeszcze nie zrozumiał. Z radością widział on, jak opinia zwracała się pomału do mistrzów, słusznie przez niego ocenionych.

Ekscentryczni nowatorowie dzisiejsi razili smak estetyczny Mantza. Nie odrzucał przecież bezwarunkowo nowych idei, patrzył bez uprzedzenia na próby, nienawidził tylko przesady i grubego realizmu.

Oprócz krytycznych sprawozdań, pozostawił on kilka pomnikowych dzieł, poświęconych sztuce. Wysoko cenione jego historyczne studia o dziełach Boucher'a i Watteau i kilku mistrzów hollenderskich i włoskich. Wszystkie te monografie tchną głęboką miłością sztuki, a do tego zalecają się jasnym i pięknym stylem. Zamierzał on wydać dokładną historię sztuki francuskiej, wiele części tej pracy pozostało w rękopisie; brakło tylko czasu autorowi do zebrania ich w całość. Miłośnicy sztuki nie wątpią jednak, że pomnikowe to dzieło wyjdzie wkrótce na widok publiczny.

Mówiąc o sztuce malarskiej, dodajmy tu, że mamy przed sobą bardzo ozdobnie ilustrowany wolumin, poświęcony życiu i pracom Pawła Galand, najślynniejszego z dzisiejszych malarzy dekoratorów. Piękny ten życiorys, z krytycznym poglądem na utwory zmarłego przed rokiem artysty, wykonał znany krytyk sztuki, Henryk Havard. Ocenienie tego wielkiego dzieła zostawiamy do przyszłej kroniki.

Jeszcze dwa wakujące krzesła po Lesseps'ie i Duruy'u nie znalazły następców, a już Akademia francuska poniosła nową i bardzo dotkliwą stratę przez śmierć Kamilla Doucet, stałego swego sekreta-

rza. Piszemy to nazajutrz po pogrzebie. Na ten żałobny obrzęd grono czterdziestu naznacza zwykle delegację, złożoną z dwóch członków; za trumną Doucet'a, poszło ich trzydziestu kilku, to jest wszyscy, którzy przy życiu pozostali. Kamil Doucet zjednał sobie powszechne uznanie. Kochał ludzi, co mu też wzajemnością odpłacano. Rzecz dziwna, zawzięci nawet wrogowie Bonapartystów przebacжали mu, że, jako były dyrektor administracji teatrów za Cesarstwa, nie tał nigdy sympatyi dla upadłej monarchii.

Przez lat trzydzieści Doucet zajmował fotel akademicki: otrzymał go po Alfredzie de Vigny, jako poeta dramatyczny. Sztuki jego utworu, zebrane w dwóch tomach, z wielkiem powodzeniem przedstawiane były w Teatrze Francuskim. „Baron Lafleur”, „Owoc zakazany” i inne, znikły z repertuaru wówczas, kiedy smak publiczny odwrócił się od komedyi, pisanych wierszem, a dodajmy tu: kiedy publiczność zapagnęła gwałtownych wrażeń i skandalicznych efektów, niezgodnych z pojęciem Doucet'a.

Od lat osmnastu pełnił on obowiązki stałego sekretarza w Akademii. Na uroczystem posiedzeniu w końcu każdego roku zdawał sprawę z dzieł uwieńczonych konkursem akademickim. Sprawozdania, wypowiedziane jasno, stylem wolnym od wszelkiej przesady, były dla miłośników literatury prawdziwą uczcą duchową, a dla ogółu wyborną skazówką w ocenieniu dzieł na szczególniejszą zasługujących uwagę.

Dowiadujemy się, że Kamil Doucet zostawił obszerne pamiętniki, objęte w pięćdziesięciu niedrukowanych zeszytach. Urodzony w 1812 roku, od lat sześćdziesięciu zajmujący stanowisko w życiu publicznem i literackiem, miał on obszerne pole do badania współczesnych osobistości i spisywania wypadków, spełniających się pod jego okiem. Pamiętniki te wkrótce, jak mówią, ukążą się na widok publiczny. Autor w chwili wesołego humoru skreślił wierszem ich dedykację; tak przemawia do następcy swego w akademii; przytaczamy w przekładzie te żartobliwe zwrotki:

Kiedy zasiądziesz na mym fotelu,
Ty, co pożądasz go skrycie,
Jak nasze prawo chce od lat wielu,
Musisz rad nie rad, dobiegłszy celu,
Siać mi pochwały sowicie.

Aby ułatwić trud pogrobowy,
Gdy cię znienacka zaskoczy,
Ostatniem piórem, — jam dziś gotowy
Skreślić dla ciebie krótkimi słowy,
Com czuł, com widział na oczy.

Od sześćdziesięciu lat na parterze
 Skrzętny widz — badam dramata,
 Z fars odgrywanych śmieję się szczerze,
 Na miarę karłów mym cyrklem mierzę
 Olbrzymy głośnie u świata.

Z po-za kulisów śledzę tajemno
 Biegłych aktorów, aktorki,
 Widzę ich stronę jasną i ciemną,
 Ukryty, zbieram pocieszne wzorki,
 Gdybym chciał, — śmiałybys się ze mną.

Powoli piszę, niech jak przystało
 Myśl się do myśli przyczepi,
 Dziś ci poświęcam przygrywkę małą,
 Nim z krzesłem księgę oddam ci całą,
 Ależ... im później tem lepiej!

Kto będzie tym wybranym następcą? czy rodzina zechce powierzyć mu pamiętnik? wszystko to niezadługo się pokaże.

W tym samym czasie, co Doucet, umarł Eugeniusz Plon, zasłużony księgarz i wydawca. Na zmarłym kończy się firma Plon, która, jak mówią, przetrwała parę wieków, niemal od czasów, jak powstały pierwsze drukarnie w Paryżu. Eugeniusz znany jest zarówno jako autor wyczerpującego dzieła o Thorwaldsenie. Oddany tej pracy długo przebywał w Kopenhadze. Król duński zaszczycił go orderem. Później podróżował Plon do Włoch, dla rozpatrzenia arcydzieł słynnego Benvenuto Cellini i zebrania tradycyi do życiorysu tego mistrza z epoki Odrodzenia. Dzieło to wysoko cenione przez artystów i archeologów.

Nie chcemy kroniki naszej zamknąć żałobną kartą; zakończmy ją lepiej przypomnieniem licznych koncertów, które mi utalentowani ziomkowie nasi zbierali zasłużone oklaski. Szereg ich rozpoczęło wystąpienie Paderewskiego, na zbiorowym koncercie porannym pod dyktando Lamoureux.

Po cudnie wykonanej *fantazyi polskiej*, utworu słynnego koncertanta z naszych melodyj ludowych, wśród grzmiących oklasków dały się słyszeć protestujące głosy jakiejś garstki najemnej. „Dość już tej zagranicznej muzyki! żądamy Meistersingerów”, wołali ci pseudo-znawcy

swojskich motywów, nie wiedząc nawet, że Wagner nie jest Francuzem! Policja przywróciła porządek.

Paderewski wcale na to nie zważał. W następną niedzielę, wystąpił na drugim poranku, dotrzymując zobowiązania. Oklaski, dochodzące do szalu, przysłuszyły całkiem kilka protestujących głosów.

W kilka dni potem, w sali Erarda, wystąpiła panna Helena Krzyżanowska, laureatka konserwatorium paryskiego. Warszawa pamięta niewątpliwie młodą artystkę, której talent miała sposobność poznać i ocenić w roku zeszłym.

Dała się niemniej słyszeć inna laureatka, utalentowana panna Eitmin. Jedenastoletni Raulek Koczalski zdziwił słuchaczy biegłem nad wiek swój wykonaniem utworów Chopina.

W końcu marca odbył się znów koncert pana Zygmunta Stojowskiego. Młody kompozytor, znany dotąd z pomniejszych utworów, przyjmowanych bardzo sympatycznie w Paryżu i za granicą, dał nam obecnie utwór większych rozmiarów, fantazyę na temata różnych tańców polskich (*suite*). Mistrzowskie wykonanie dzieła przez orkiestrę Lamoureux godnie odpowiedziało pięknej kompozycji. Obsypano rzęsistym oklaskiem pięknego obertasa. Koncertant świetnie wykonał symfonię Rubinsteina, przy akompaniamencie orkiestry.

Powiedzmy na koniec o koncercie pana Władysława Górskiego. Artysta nasz, jak wiadomo, rozpoczął zawód w Warszawie, jako pierwszy skrzypek orkiestry Teatru Wielkiego. Ze współudziałem wiolonczelisty, Salmona, i skrzypka, Wafelgheima, p. Górski wykonał serenadę Beethovena i piękny tercet, obudził niesłychany zapal w słuchaczach. Poczem wirtuoz odegrał solo kaprys Paganiniego; zdziwił znawców pokonaniem niesłychanych trudności w tym utworze. Zakończyły koncert dwa dzieła kompozytorów naszych — polonez Wieniawskiego i mazur Zarzyckiego. Obaj artyści nie mogli znaleźć świetniejszego wykonawcy.

Miłośnicy sztuki oczekują z upragnieniem trzech koncertów Paderewskiego, zapowiedzianych na ostatnie dni kwietnia.

Wśród stepów i jarów.¹⁾

III.

Kurhany.

Fantazja ludu ukraińskiego każe mu patrzeć na te pomniki ziemne, które mogiłami nazywa, jako na krasę stepowego przestworza, jako na tę jego cechę, bez której wyobrazić go sobie nawet nie potrafi. Według gminnych podań, kurhany sypali jeszcze „Adamowi ludzie”²⁾. Wiążąc w ten sposób początek kurhanowego okresu z imieniem pierwszego człowieka, legenda wskazała starożytność tych pomników wprzód jeszcze, nim archeologiczne badania stwierdziły odwieczne ich tutaj prawo obywatelstwa.

Inna baśń głosi o potężnym mocarzu jakiejś obcej ziemi, do którego Bóg, zagniewany na ludzkie nieprawości, zwrócił się z zapytaniem: jak grzesznych należy ukarać³⁾; a gdy w myśl otrzymanej odpowiedzi cała ziemia została zalaną, to władca ów sam uratował się, dzięki tylko wysokości mogiły, na której szukał schronienia. Zniszczenie, wywołane przez potop, musiało być straszliwe, skoro po fakcie dokonauym Najwyższy Sędzia, rozgniewany na doradcę, zesłał nań karę, polegającą na tem, że z dwugłowego od urodzenia stał się człowiekiem o zwykłych kształtach.

¹⁾ Patrz zeszyt listopadowy „Bibl. Warsz.” z r. 1894.

²⁾ Grabowski. „Ukr. daw. i teraz.”

³⁾ „Zb. wiad. d. antrop. krajowej“, t. VI. E. Rutikowski „Zapiski etnograficzne“, str. 63.

Sięgając tak odległej przeszłości, nie na niej wszakże tylko poprzestała fantazyja ludowa: w szeregu dum, pieśni, bajek i podań ujawnia się miejscowe znaczenie kurhanów w pojęciu ludowem i rola, którą, według tegoż pojęcia, odegrywały niby bierni świadkowie, bądź życia pojedynczych ludzi, bądź wypadków bardziej społeczną cechą noszących, za czasów względnie niedawnych. Przeważnie jednak są to tylko wzmianki, aczkolwiek liczne, wszakże bardzo ogólnikowe; stałych, określonych podań, przywiązanych do tego mianowicie, nie zaś innego kurhanu—nie wiele; za to stary lirnik dawnego typu, wodząc wzrokiem po rodzinnej ziemi, patrzy na „szeroki step”, po którym „hulają” już tylko „wichry”, lub „pełzają tumany”, podczas gdy na widnokręgu, „na zielonym tle murawy, zdala sinieją mogiły” ¹⁾. Ale gdyby do nich podszedł bliżej ów pieśniarz, to owo optyczne złudzenie znikło-by niezawodnie, gdyż nie „sina”, lecz „poczerniała” mogiła, chcąc zapewne zatrzeć smętne wspomnienia, których jest uosobieniem, pragnie być barwną, nie sterczeć ponuro. Woła więc: „powiej wietrze bujujntienki, abym nie czerniała, abym nie marniała, żeby na mnie trawa rosła, żeby zieleniała”; daremno! ubiegłe czasy nie wrócą, dawni ludzie śpią pod mogiłami, nastała zapewne dżdżysta jesień, gdyż „i wiatr nie wieje, i słońce nie grzeje, tylko w stepie przy drodze trawa zielenieje.”

Wszystko to wygląda, jak gdyby przegrywka do szczegółowych podań, z której wnioskując, moglibyśmy się ich bardzo wielu spodziewać; w istocie jednak rzecz się ma inaczej. O przeważnej większości tych nawet kurhanów, którym ludponadawał nazwy, albo wcale żadnych niema podań, albo jeżeli są, to krótkie, pobieżne, kilku zaledwo wyrazami tłumaczące pochodzenie samej tylko nazwy. O większości, należącej do tej kategorii, powtarza się wielokrotnie treść podań, których bohaterowie odgrywają jednakowe częstokroć role, dość nieskomplikowane, niedługie, a prawie zawsze z czynów osobistej odwagi złożone, i tylko w razach wyjątkowych przechodzące swą odrębnością zwykły w tej mierze temat. Naturalnie, że o tych mogiłach, które żadnej nazwy nie mają, podań być niemoże.

Pochodzi to stąd, że, przedewszystkiem, nawet okazałych kurhanów jest tu bardzo wiele; że między niemi większość pamięta jeszcze taką dobę, od czasu której ludy zmieniły się tu niejednokrotnie, zaś w miarę ich znikania z widowni dziejowej, musiały zapadać w toń zapomnienia szczegóły wybitniejszych czynów przywódców, których pochowano pod nasypami kurhanów; następnie, że, w istocie, o prze-

¹⁾ „Kij. starina.” T. XXXVI, str. 43.

ważnej większości tych ludzi nie wlekopomnie wybitnego powiedziećby się nie dało; w końcu zaś, że poglądy społeczne, a nawet przez jakiś czas polityczny ustrój tutejszej ludności w dobie dziejowej, tylko wyjątkowo nadawały wybitniejsze znaczenie tej lub owej osobistości; stąd też i w pamiątkowym znaczeniu pojedynczych mogił nie wyróżniano jaskrawo z pomiędzy ich ogólnej liczby, uważając natomiast każdą z nich, jako pamiątkę zarówno drogą, a wszystkie jako tłum niemych świadków dawnych czynów i spraw tutejszych. Wprawdzie „mołojec“, uciekający z azowskiej niewoli, dowleka się do „Sawur-mogily“¹⁾, lecz w dalszym ciągu dumy, czy na tej, czy na sąsiedniej, zarówno daremnie czekał-by dni dziewięć na kroplę wody deszczowej; czy na tej, czy na innej mogile zginął-by w końcu z pragnienia i głodu, zaś nad każdą z nich w ostatniej chwili kozaka, „ni to czarna-by chmara nadleciała, ni to bujne wiatry-by zawyły.”

A jednak nie trzeba zapominać, że tę „Sawur“, czy „Asawur-mogilę“, leżącą nad rzeką Samarą na tatarskim szlaku, spotykamy w dumach niejednokrotnie. Znaczyło-by to, że mogła ona stanowić jakąś wybitniejszą pamiątkę, gdy przeciwnie, w pieśniach służy tylko jako znak, niby słup stepowy, wskazujący drogę na podobieństwo innego, granicznego tym razem znaku, „Kościanej-mogily“, która wraz ze Słuczą w podaniu ludowem była rubieżem między „laszą a kozacką ziemią.”

Podobnie więc, jak gromadne a długoletnie uwijanie się po stepie stworzyło pewien miejscowy komunizm, równający mniej więcej wszystkich w oczach masy, wyróżniający nawet wybitniejsze osobistości tylko w razach nadzwyczajnych, tak też i o tych, co „śpią pod mogiłami“, mawiało się zbiorowo, jako o „dziadach-bohaterach“, nie wymieniając ich nazwisk, i tylko wspomnienia o takich, którzy się w jakiś niezwykły sposób zapisali w pamięci współczesnych, przekazywały temu lub owemu kurhanowi, bądź rodzinne nazwiska, bądź przezwiska i przydomki, czyny ich cechujące. Czyny zaś te, aczkolwiek dowodzą, że były dokonywane przez ludzi niezwyklej pod pewnemi względami miary, przeważnie są nader do siebie podobne; wynikają bowiem najczęściej z osobistej odwagi, połączonej z szybkością wojennych ruchów lub umiejętnością doszczętnej zagłady tego, co stało na drodze wojnie lub swawoli.

Gdy w dawnych kurhanach grzebano późniejszej doby mołojców, wznoszono nowe piętro ziemi, tak, że na obecną całość niejednej mogi-

¹⁾ „Kij. star.“, XXXVI, 42. Pieśni zebr. przez Antonowicza i Dragomanowa.

złożyć się mogło parę lub więcej nasypów; lecz bywały wypadki, gdy lud, chcąc dłużej zachować żywą o molojcach pamięć, wznosił kurhany systematycznie, powoli. Do rzędu takich należy jeden, pośród wsi Sachnówka, w okolicach Korsunia stojący. Powiadają, że w czasach napadów tatarskich mieszkał w tej wiosce pastuch-wróżbita, do którego co rano, wedle zwyczaju, przypędzały wieśniaczki swój dobytek na tak zwany „wygon”, skąd stary ciągnął na pole. Miał on piękną córkę, która go bardzo kochała. Gdy razu pewnego nie wiedziała, dokąd ojciec pognał bydło, rozchodzi się po wsi niespodziana wieść o zbliżającym napadzie. Dziewczyna myśli tylko o ratowaniu ojca, bieży go szukać, lecz nie trafia na miejsce, gdzie się on tego dnia znajdował, spotyka zaś Tatarów, którzy ją uprowadzają. Poruszona tem wieść wysyła pogoi, w której oczach uciekający, widząc przeważającą liczbę goniących, zabijają brankę i porzucają na drodze. Gdy zwłoki pastuchowi oddano, odezwał się do gromady, że dla siebie niczego już nie żąda, prosi tylko, aby jego dziecko pochowano pośród wiejskiego wygonu, a niech mu wszystkie miejscowe kobiety zaprzysięgną w imieniu swoim, córek i wnuczek, że każda z nich, ilekroć bydło na ten wygon wypędzi, rzuci garść ziemi na grób zabitej. Za dotrzymanie złożonej mu przysięgi obiecał powodzenie w hodowli bydła, lecz za jej złamanie pogroził klęskami. Z biegiem czasu, wśród wioski wznosił się okazały kurhan, a wiarogodni ludzie znali w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia staruszkę, która przytoczone tu szczegóły miała od swej babki, trzymającej się ściśle przekazanego zwyczaju ¹⁾.

U Herodota ²⁾ spotykamy szczegół, że kiedy Scytowie napadli na czarnomorskie siedziby Cymbrów, to między ludem a jego przywódcami powstała waśń o to, czy się bronić, czy też uciekać. Lud chciał uciekać, wodzowie sprzeciwiali się temu; zostali więc zabici i pochowani nad brzegami Tyrasu, dzisiejszego Dniestru, w dolinie. Nad ich grobami usypano kurhany. Nie potrzeba jednak sięgać aż do Herodotowej historii, ażeby wywnioskować, że naddniestrzańskie okolicę, której tyle wieków ciągnęły ludy, zostawiając tu może odłamki nie jednego takiego narodu, który się dalej, na zachodzie, ostatecznie usadowił, musiały bezwarunkowo w ten sposób czy inny mieć styczność z tymże zachodem. Dowodzą tego nietylko okazy bronzu z epoki przeddziejowej, resztki starożytnych siedlisk ³⁾ bardzo do dal-

¹⁾ „Zb. wiad. d. antr. kr.” T. VI. E. Rulikowski, str. 76.

²⁾ Melpomena, IV.

³⁾ Horodnica. Patrz Zb. wiad. d. antr. kr. T. II, str. 19 i nast. oraz t. I, str. 12 i nast.

szych europejskich zawartością t. zw. kulturalnej warstwy zbliżone, lecz nawet pewne podania, których ton i koloryt uległ wprowadzić ogromnej zmianie pod wpływem późniejszych przeobrażeń i dodatków, jednak wykazuje bezwarunkowe cechy pokrewieństwa z zachodem. Bierzemy tu jedno tylko takie, z kurhanami związek mające. Z podobnych czerpali poeci wątek do znanej ballady, którą Bürger nazwał „Lenora”, a powtórzył Mickiewicz, jak również na swój sposób z niemieckiego przerobił, czy też, z oryginalnych angielskich źródeł napisał, Walter Scott.

Nie porównując wcale powieści, wyszłej z pod pióra jednej z dzisiejszych autorek, z arcydziełami tych mistrzów, czerpiemy samą treść opowiadania w podanej przez nią legendzie ¹⁾ która, zdaniem naszym, była-by o wiele piękniejszą, gdyby jej sztucznie nie ubrano w efektowne, lecz wcale z nią nieliczące dodatki. Staraliśmy się więc zatrzymać to tylko, co, w naszym mniemaniu, urodziło się w łonie samego ludu, właściwą legendę, oraz to, co w pewnej mierze cechuje wysoce arystokratyczne wyobrażenia pierwotnych jej twórców.

W pobliżu Dniestru i Ładawy, na wysokiem wzgórzu, wznosi się kurhan, a u stóp jego ciemną, porośłą lasem, głębią, stanowi parów, idący ku rzece, do której zmierzają dwa szemrzące po kamieniach strumyki, wypływające z podnóża kurhanu od strony przeciwległej jarowi. Objąwszy go swojemi ramiony, zdążają one ku sobie tak, że spadając do parowu kaskadą, mogły-by się u jego brzegu połączyć, gdyby nie olbrzymia skała, która na czas jakiś oddala jeden strumyk od drugiego; lecz gdy nieco dalej zaporą ta traci swoją wyniosłość, strumienie się łączą i nikną w głębiach parowu. Na kurhanie wznosi się mała kaplica, a w nim samym mają spoczywać prochy dwojga nieszczęśliwych za życia kochanków.

Przed laty, w okolicy tej zamieszkało dwóch przyjaciół, przybyłych z dalekich stron. Gromyka miał żonę i dzieci, liczny dwór, bogactwa; wiodło mu się i w gospodarstwie, i na wojnie. Pozazdrościł mu rzekomy przyjaciel, Żmajto, sprzeniewierzył mu się i zdradził go podczas wyprawy na wojnę: obiecawszy opiekę nad jego mieniem i rodziną, spalił wszystko, wymordował rodzinę i odtąd między nimi zapanowała nienawiść. Minęły lata. Miejsce pradziadów zajęły prawnuki. Prawnuk Żmajty, bogaty pan-koźak, miał piękną córkę, Dorynę; tamten zaś—syna, dzielnego wojaka i pięknego młodzieńca. Wypadkiem młodzi się poznali, a serca ich wzajemnie przypadły do siebie. Doryna jednak, odziedziczywszy wyniosłość po ojcu, przyjęła dumnie pier-

¹⁾ *Staricka*. „Żywa mogiła“ w Kij. star. T. XXVII.

wsze zalecanki młodego Gromyki i zapytała, czy wie, kim jest, czy wie, że jej ojciec pochodzi z rodu wrogów jego rodzica. Dziewczyna otrzymała potwierdzającą odpowiedź, gdy jednak następnie została uratowaną od niechybnej śmierci przez młodzieńca z narażeniem jego życia, wyznała mu, że nie jest dlań obojętną. Wtedy kochanek postanawia uczynić wszystko, żeby pozyskać jej rękę; jedzie więc wraz z ojcem prosić Żmajłę, aby mu dał Dorynę za żonę, lecz dumny panek, chociaż wie i uznaje komu zawdzięcza uratowanie dziecka, odrzuca oświadczyzny, stawiając się hardo przed ludźmi, których obelżywie judaszami mianuje. Tamci odpowiadają mu również hardo, przypominając że nie im, lecz Żmajły rodowi taki przydomek przystoi, wracając do siebie, pewni, że się małżeństwo nie skojarzy i że oba rody żyć będą nadal w nienawiści; lecz po pewnym przeciągu czasu, zawzięty ojciec, widząc rozpacz córki, wzywa ich napowrót do siebie i oświadcza, że żadnemu wyborowi dziecięcia się nie sprzeciwi, jeśli się przekona, czy ten, którego Doryna wybierze, wart jest w istocie córki takiego, jak on, wojownika; w tym celu przedsięwzięcie wyprawę na Tatarów, a gdy powróci, odda swą córkę temu z jej uczestników, który się najlepiej zasłuży.

Młody Gromyka zapomina wszelkich uraz i zniewagi, wstępuje w szeregi Żmajły, a co dziwniejsza, i ojciec jego, przez miłość dla syna, idzie z nim także na wyprawę. Szlachetna natura pradziada odnajduje się tu przez atawizm; stary Gromyka woli kazać zamilczeć głosowi nienawiści, woli nie szukać zemsty na wrogu, niżeli patrzeć na nieszczęście syna; więc dlatego, aby mu być pomocnym, staje przy jego boku i tak wszyscy ruszają, zostawiając na wielkim dworze, czy też zamku, same kobiety, dzieci i starców.

Na wieści z placu boju długo czekano; wreszcie wędrowny lirnik zjawia się w domu Żmajły i z jego pieśni dowiaduje się Doryna o powodzeniu oręża ojca, które on zawdzięcza przeważnie bohaterowi chwili—jej ukochanemu. Pewna już teraz, że zostanie jego żoną, spokojnie oczekuje przybycia wojowników, lecz wraca tylko Żmajło ze sługami. Wraca wprawdzie jako zwycięzca, ale postarzały, na twarzy zżółkły, a jeszcze bardziej gniewliwy i niespokojnego ducha, niż dawniej. Nie śmie go więc córka zapytać o Gromyków, lecz bieży do sług, którzy opowiadają o zagadkowej śmierci starego Gromyki w dziwny sposób ranionego w plecy podczas zwycięskiej bitwy; co gorsza, nic nie umięją o młodym powiedzieć, choć go jeszcze niedawno, wracającego z wojny, u przeprawy przez rzekę, widzieli.

Wszystko to wzmaga niepokój Doryny; przewiduje ona coś niezwykłego, lecz tego sama przed sobą wypowiedzieć nie chce. Tymczasem, złożony raptowną niemocą, ojciec, rozkazuje, aby po jego śmierci

córkę za mąż wydano, gdyż potrzeba, aby ród jego, jeżeli nie po mieczu, ponieważ nie ma syna, to przynajmniej po kądzieli był spadkobiercą mienia i sławy Żmajłów. „Nawet za Gromykę, ojczek?”—pyta z niepokojem Doryna. „Teraz nawet i za niego!”—rzuca jej starzec w odpowiedzi i ze straszliwym krzykiem umiera.

Czeka na miłego Doryna i myśli o nim. Ciemna noc otuliła ziemię swemi skrzydłami, ale mrok przebijają promienie księżyca, a z niemi wchodzi do izby młodzieniec. Uszczęśliwiona, z jakimś dziwnym jednakże lękiem, rzuca mu się w objęcia; teraz już ich nic nie rozdzieli, pójdą do ślubu, bo tak sobie poprzysięgli oddawna, a i ojciec na łożu śmiertelnem rozkazał, więc nim to nastąpi, nie chce dziewczyna rozdzielić się z kochankiem i zgadza się pójść za nim do jego... dworu. Tu podolska Lenora wsiada na koń ze swym rycerzem i lecą; lecz dokąd, dla czego tak długo? „gdzie ten dom twój?”—pyta młodzieńca. On w odpowiedzi wskazuje na kurhan i kaplicę. Zrozumiała. Dopiero teraz zlekniwna na prawdę, rozpacza i jechać dalej nie chce. Młodzian wstrzymuje rumaka, lecz błaga, aby szła za nim dobrowolnie, przypomina zakłęcia wiecznej miłości, w końcu pyta, czy być może, aby koń więcej go kochał od niej, gdyż „patrzaj, oto już jedną nogą, nieprzyuszony, wstępuje do rozwartej mogiły, gdy ty nie chcesz. Śmierć nasza będzie tylko pozorną: w mogile będziemy żyli nierozłączeni, a ilekroć słońce zajdzie, mamy prawo z niej wychodzić i do samego piania kurów, do samego brzasku, szeptać wśród pieśzcot.” Na obraz takiego szczęścia Doryna się decyduje zginąć i oboje zapadają w mogilę. Kur pieje ¹⁾!

¹⁾ Złe i dobre uczucia występują tu, jako cechy rodowe obu rodów konkretnie. Protoplasta Gromyków, szlachetnego serca, niezdolny nawet mścić się na tym, który go skrzywdził, odżywa we wnuku i prawnuku, którzy gotowi zapomnieć krzywdy Żmajłom, byleby otrzymali dowód szczerego z nimi pogodzenia się w zezwoleniu na zamążpójście Doryny. Do tego stopnia są sami szlachetni, że nawet nie przeczuwają zdrady ze strony wroga, kiedy on stawia im warunki zgody. Również szlachetnie postępuje młody Gromyka, już jako upiór. On nawet nie chce zmuszać dziewczyny, aby szła za nim, tylko ją o to prosi. Pod tym jednak względem etyka i formy towarzyskie upiórów są, zdaje nam się, jednakowymi we wszystkich legendach tej samej treści: podobno inaczej postępować nie było im wolno. Z większą jeszcze stałością, niżeli zalety rodu Gromyków, występują wady Żmajłów: wszyscy oni, nie wyłączając Doryny, są dumni, a zarówno pradziad, jak i prawnuk, zawistni i zdra dziecko zbójcy.

Jeszcze jedna ciekawa cecha tej bajki, to przywiązanie konia do młodego koczaka. We wszystkich innych tejże treści legendach koń przenosi zarówno rycerza, jak i pannę od jej domu na cmentarz; lecz jest to jakieś zwierzę straszne, z ognistemi oczyma, prędzej szatan, aniżeli koń rycerski. Tu przeciwnie. Wierchowiec

Do najdawniejszych podań należy powieść o usypianiu słynnych dwu kurhanów „Perepiata” i „Perepiatychy”, a tak dobrze znana, że jej tu powtarzać nie będziemy i tylko dla nieobeznanych z temi nazwami dodamy, że Perepiatycha była tą mianowicie żoną, która przez pomyłkę, w nocy, zabiła wracającego z wyprawy męża ¹⁾.

Tak nazywane „dziewicze”, „bliźnięce” kurhany oraz wiele innych, noszących pewne, jakby symboliczne nazwy, rzadko kiedy zachowały jakieś mgliste temata, których, jak dotychczas, nawet jeszcze nie zebrano. Czasem baśń opowiada o skarbie, zakopanym w nasypie mogiły przez tego lub owego watażkę, albo stepowego wojownika; czasem o piwnicach, ciągnących się z pod takiego to kurhanu do tej lub owej rzeczki ²⁾, wreszcie inny jaki temat, w bardzo ogólnikowy sposób traktowany, jeszcze się tu i owdzie napotka, lecz obecnie można już wnosić, że nawet i ta niewielka liczba podań o „dziadach” zaciera się w pamięci wnuków, którzy, całkiem innemi poszedłszy tory, wiedzą życie tak niepodobne do tego, jakiego długoletniemi świadkami byli tutejsze kurhany. A było to życie gorące, skoro pieśń pożyczą swego głosu mogile, aby opowiedziała, do jakiego stopnia ona przesiąkła i nabrzękła krwią swoich dzieci, bratnią i wrogą: kozacką, polską i tatarską.

To też nachmurzony, z goryczą w słowie, wielki piewca woła jakby do siebie:

„Leżą dziady, a nad nimi mogiły czernieją;
I cóż z tego że wysokie, czy kto o nich pomni?
Nikt tu szczerze nie zapłacze, nikt o nich nie wspomni,
Tylko wiatr cichuteczko powieje nad niemi,
Tylko rosy raniuteczko łzami drobniutkiami
Je umyją. Wszędzie słońce—osuszy, ogrzeje.
A cóż wnuki?.. tym ba i bardzo; żyto sobie sieją.“

jest prawdziwym towarzyszem, tak przywiązanym do swego pana, że za nim idzie dobrowolnie nawet do grobu. Jeżeli przypomnimy, że wśród ukraińskich kurhanów tyle razy spotykają się takie, w których obok jeźdźcy i koń jest pochowany, to się nie będziemy dziwili, że to zwierzę w naszej legendzie całkiem inaczej i o wiele sympatyczniej wygląda, aniżeli tamten balladowy rumak. Nierozłączność stepowych wojowników z ich wierzchowcami była tak zupełną, że sobie innego życia, jak na siodle, nawet za grobem wyobrazić nie umieli. Koń, będąc przyjacielem za życia, musiał nim zostawać i po śmierci, stąd niegodziło się ich rozłączać; grzebano więc konia z jego panem, gdyż w pojęciu ludowem siedł on za nim dobrowolnie i z radością.

¹⁾ Lippoman. „Zast. nad mogiłami“, str. 9.

²⁾ Bobryński. T. II, „Kurhany w pobliżu Smiły.“

I.

Jeżeli we wspomnieniach przeszłości, obrazowaniu rodzinnej ziemi, a wreszcie w niektórych swych nawyknieniach czysto praktycznej natury ¹⁾, tutejszy lud uważał kurhany za niezbędny atrybut stepowego życia, co, jak widzieliśmy, znalazło szerokie echo i w ludowej poezji, to coś dziwnego, że t. zw. „szkoła poetów ukraińskich“ nazwała tę ziemię krajem mogił, poświęcając ściśle rzeczowość poetycznej przenośni. Bowiem, w istocie, nie tylko tu są kurhany. Weźmy dla przykładu Indye ²⁾, Persję ³⁾, góry Altajskie ⁴⁾, Taszkent ⁵⁾, Syberję ⁶⁾—na kontynencie azjatyckim; cały wschód Rosyi Europejskiej od morza Czarnego do jej północnych granic, Skandynawję, Anglię, Szkocję i półwysep Iberyjski ⁷⁾, Włochy, Grecję ⁸⁾ i francuskie wybrzeża Atlantyku ⁹⁾; co więcej, przenieśmy się za ten ocean na usianą kurhanami dolinę Missisipi ¹⁰⁾, a wszędzie zobaczyć możemy kurhany, zarówno rozmaitych kształtów, jak i przeróżnych rozmiarów, prawie zaś bez wyjątku dla jednakowych celów, choć w rozmaitych czasach, sypane.

Co do kształtu, zakreślając przeważnie mniej więcej prawidłowe koło u dołu, obecnie w górze rzadko kiedy bywają zakończone spiczasto. Czy przy sypaniu węższej ich części nie miano zamiaru nadania im o ile możności kształtu ostrego stożka, dziś twierdzić niepodobna, gdyż czas i ręka ludzka znacznie się przyczyniły do znizienia kurhanów.

Oprócz tego przeważającego kształtu są i odmienne: u spodu jak elipsa, jak trójkąt, a nawet czworobok ¹¹⁾; u góry zupełnie płasko zakończone, inne zagłębione umyślnie, lub też przeciwnie, z powtórным ostro wzniesionym nasypem, stanowiącym jakby oddzielne górne piętro tegoż samego kurhanu; nawet boki tych nasypów bywały robione bar-

¹⁾ Dozorcy stad stawiają swe „kurzenie“ na mogiłach i t. p.

²⁾ *Nadaillac*. „Les premiers hommes“. T. I, str. 2 i 28.

³⁾ tamże str. 27.

⁴⁾ l. c. 319.

⁵⁾ Sprawozd. pet. arch. komis. za r. 1887.

⁶⁾ tamże za r. 1854—1890.

⁷⁾ *Tyszkiewicz Eust.* „Badania arch.“, str. 2.

⁸⁾ *Tyszkiewicz Konst.* „O kurhanach na Litwie i Rusi“, str. 30.

⁹⁾ *Mortillet*, „Musée Préhistorique“, str. 570.

¹⁰⁾ *Nadaillac*. T. I, str. 30.

¹¹⁾ Sprawozd. arch. komisji z r. 1890 i innych. Cmentarzysko Czasa-Tasa w Ujbickim stepie.

dziej spadzisto z jednej, a mniej stromo z drugiej strony. Słowem, kształt kurhanów bywa tak rozmaity, jak go tylko można było nadać materyałowi, z którego się wznosiły, stosując do zwyczajów i wprawy sypiących, a nawet zapewne do specjalnego przeznaczenia. Tylko to ostatnie bowiem przypuszczenie może tłumaczyć sposób budowania tu-tejszych wklęsłych oraz tych, które są zakończone szpilowo; tylko niem się tłumaczą dziwaczne kształty ludzi, zwierząt i figur symbolicznych, jakimi się wyróżniają niektóre amerykańskie usypiska, robione tak sztucznie, że, zdaniem teraźniejszych inżynierów, niektóre z nich wymagały-by kilkomiesięcznej pracy tysiąca naszych robotników, gdyby je obecnie wypadło wznosić ¹⁾.

Materyał, używany na nasypy, niemniej od ich kształtów bywał rozmaity. Nie wyczerpując tej kwestyi, ponieważ wszędzie jest ona prawie wyłącznie natury czysto miejscowej, zaznaczamy, że kurhany bywają z samego czarnoziemiu sypane, np. przeważna ich większość u nas, jak również tylko z piasku, w rodzaju północnych „sopek”, lub opisanej przez Lelwela długiej mogiły pod wsią Ruszcza w Sandomierskiem ²⁾, albo wreszcie słynnej ³⁾ „Czerny” pod Czernihowem ⁴⁾. U innych spód kurhanu stanowi mocno ubity ił rzeczny, a nad nim glina i ziemia czysta lub z popiołem i t. d.

Bywają też kurhany tylko pozornie z ziemi sypane; w istocie są to masy kamieni, porządnie w kształt stożka lub inny zbliżony do niego ułożone, z wierzchu tylko przykryte ziemią ⁵⁾ lub gliną, wreszcie powleczone osadem wody morskiej. W tym ostatnim wypadku we Francyi powiadają: „le tumulus est à chape” ⁶⁾. Czasem spód tylko bywa obłożony grubą warstwą kamieni, w kształcie podmurowania, w celu, żeby się nasyp nie rozsnuwał; jeszcze inne są budowane z warstw kamieni i ziemi na przemiany, albo też sypane w taki sposób, że sam ziemny nasyp aż do góry został zrobiony uprzednio na kształt lejka znacznie szerszego u góry, niżeli od spodu, tak, że po zawaleniu go bryłami granitu, powstał kurhan, w którym warstwy spodnie kamieni są węższe w dolnych niż w górnych piętrach. Taką budowę widzimy w jednej mogile króla scytyjskiego w pobliżu Dniepru ⁷⁾.

¹⁾ *Nadaillac*. T. II, str. 35.

²⁾ „Pamiętnik Umiejętności.” R. 1830. T. I, str. 288.

³⁾ *Szumowski Aleks.* „Pamiętnik fotograficzny.” T. VI. Dz. IV, str. 35.

⁴⁾ *Samokwasow.* „Siewierszańskie kurhany.”

⁵⁾ „Zb. wiad. dl. antrop. kr.” T. I, str. 32. T. VI, str. 24.

⁶⁾ „Tumulus w kapie.” Mortillet. *Musée Préhistorique* Pl. LIX.

⁷⁾ „Starożytności Herodotowej Scytii.” Cz. II.

Niejednokrotnie ziemny nasyp kryje pod sobą najwyraźniejszy kromleń, czyli koło, z pojedynczych kamieni ułożone, niegdyś bezwąrunkowo symbolicznego znaczenia, lub dolmen ¹⁾—jeden i więcej; wreszcie w innych razach tylko spodnią warstwę kurhanu, na całej jej rozciągłości, stanowi kamienny bruk ²⁾.

Dla zastąpienia prawdopodobnie kamienia używano miejscami sztucznie przyrządzanych glinianych brył, z których, polewając je wodą, układano tumulus i przysypywano go w końcu ziemią. Ten sposób był w użyciu gdzieś w Azji, lecz jeden podobnej budowy okaz, sięgający okresu żelaza, znamy w gub. Kijowskiej, pod Żydowcami, w kurhanie, rozkopanym przez Boładzia ³⁾.

Do rzędu budowanych w sposób już całkiem niezwykły należy kurhan, wzniesiony na Marathońskim polu bitwy, wyłącznie prawie ze strzał krzemiennych, miedzianych i brązowych ⁴⁾; mogiłę zaś nad Donem, złożoną z dwu pięter, dolnego na 50 i górnego na 12 stóp wysokich, usypano warstwami z czarnoziemem, węgla, popiołu, prosianej plewy i rybiej łuski ⁵⁾.

Niemniej jak kształtem i sposobem, w jaki zbudowane zostały, kurhany różnią się wysokością i odpowiednią do niej objętością powierzchni. Widzimy więc takie, które obecnie zaledwo nad poziom wystają, zaś obok nich inne, które sięgają kilku i więcej metrów w górę. Do rzędu najwyższych, w istocie zdumiewających rozmiarami, zaliczamy jedną z tutejszych mogił, „Sorokę”, w pow. Lipowieckim, która przed rozkopaniem miała mieć 400 arszynów wysokości ⁶⁾; tumulus pod Silbury-Hill, w Anglii, 51 metrów wysoki, zakrywa przestrzeń 2 hektarów; inny, w pobliżu Negpore w Indyach, przy 54 metrach wysokości ma u podstawy 1200 metrów kwadratowych; w Północnej Ameryce są jeszcze większe ⁷⁾, wielki zaś tumulus z okolic Carnac'u w Morbihan, usypany nad dolmenem, mieści na swej płaszczyźnie kościół z obszernym dziedzińcem, na którego końcu są jeszcze resztki rzymskiej budowli, co wszystko daje wyobrażenie o zdumiewających rozmiarach tego usypiska, częścią z ułożonych kamieni, częścią z morskiego łu zbudowanego. Podobnych przykładów mogli-byśmy jeszcze wiele przytoczyć.

¹⁾ *Mortillet*. 570.

²⁾ *Chodakowski*. „Sprawozd. z 1-ej podróży.”

³⁾ *Neyman C.* „Zb. wiad. dla antr. kr.” T. VIII, str. 33.

⁴⁾ *Uwarow*. „Wiek kamienia.” T. I, str. 47.

⁵⁾ *Grabowski*. „Ukr. daw. i teraz”, str. 166

⁶⁾ „Zbiór wiad. dla antr. kr.” T. VI. E. Rulikowski, str. 76.

⁷⁾ *Nadaillac*. T. I, str. 299.

Stosunek wzajemnego oddalenia i kierunku w ugrupowaniu kurhanów bywa rozmaity: nieraz stoją one całkiem odosobnione, chociaż twierdzić nie można, czy tak było zawsze, gdyż ręka czasu mogła sąsiednie, mniejsze, już zniszczyć; w innych razach ilość ich wzrasta do kilkuset i tysiąca na niewielkiej przestrzeni ¹⁾, tak, że na każdą grupę w jednym uroczysku przypada po sto kilkadziesiąt ²⁾. W okolicach Upsali ma ich być 1200 ³⁾, a w miejscowości Ałchan-Jurt, na Kaukazie, naliczono do 5000 ⁴⁾. W ugrupowaniu najczęściej pewna ilość mniejszych otacza jakby umyślnie jeden lub dwa większe kurhany, lecz czasem ciągną się one jedną i więcej długimi liniami, jak gdyby grzędami równoległymi do siebie, cechując pod tym względem południowo-wschodni kąt Europy, między morzem Czarnem a Kaspijskiem, niemniej też i niektóre miejscowości w pobliżu Władykaukazu ⁵⁾. Podobne rzędy kurhanów mamy i w tutejszych stronach ⁶⁾, w dorzeczu Rosi.

Pod względem celowości w sypaniu kurhanów, różni autorowie upatrują category następujące: pojedyncze pamiątkowe, które grobowcami właściwymi nie są, lecz zostały usypane ku czci wielkich ludzi, lub ku pamięci wypadków; pojedyncze grobowcowe i grobowcowe grupami; strażnicze, wedle Tyszkiewicza ⁷⁾, rzadko pojedynczo, a najczęściej grupami po 2 lub 3 jedna do drugiej położeniem zastosowane, w rozmaitym kierunku na wyniosłych brzegach rzek położone, niegdyś otaczające plemienne obozowiska, a które zaliczyć należy do najpóźniej, w epoce napadu stepowców, sypanych. Kurhany strażnicze odegrywały rolę bastyonów w tych już czasach, kiedy budowano grody. Dotykany tego przykład widzimy w pobliżu Wasylkowa i Kijowa, w t. zw. Sirakowem grodzisku, które może stanowi jedyną pozostałość po dawnym Zwino-grodzie ⁸⁾; tam, na kolistym, w połamane linie idącym wale, widoczne są ślady wjazdów, a przed każdym z nich, od strony wewnętrznej, lecz zawsze na samym wale, wznosi się kurhan, tamujący wejście do środka dawnego grodu. Według Antonowicza, kurhany strażnicze znajdują się u nas tylko na działach wód, ponieważ temi tylko drogami mogli

¹⁾ Grabowski. Funduklej. Str. 45—46.

²⁾ Antonowicz. „Rozk. w stronie Drewlan“, str. 25 i inne.

³⁾ Tyszkiewicza *Eust.*, str. 2.

⁴⁾ Sprawozdanie cesarskiej arch. kom. z r. 1888.

⁵⁾ Sprawozdanie cesarskiej arch. kom. z r. 1888.

⁶⁾ Grabowski. Funduklej, str. 51.

⁷⁾ „O kurhanach na Litwie i Rusi Zachodniej“, str. 13.

⁸⁾ „Wykl. hist. tow. Nest. Latop.“ T. II, str. 37—43.

ciągnąć stepowcy, których się strzedz należało ¹⁾. W dalszym ciągu idą kurhany „szlakowe”, ciągnące się długimi pasmami, a przypominające pod tym względem, zdaniem Tyszkiewicza ²⁾, rzymskie stadiowe słupy. Grabowski twierdzi, że wędrówki narodów odbywały się jarami i że stąd żadnej potrzeby tego rodzaju drogowskazów nie było ³⁾, co nie przeszkadza, że te szlaki mogły być znaczone nie przez ludy przechodnie, wędrujące z Azji do Europy na stałą siedzibę, lecz przez takie, których celem były powtarzane napady. W końcu, jako trzy ostatnie kategorie pod względem celowości kurhanów, mamy: obrzędowe, niektóre dawne małe gródki, wyglądające dziś, jak zwyczajne wydrażone mogiły, w końcu takie, które same kości zwierząt zawierają ⁴⁾.

Ścisłe naukowego znaczenia podział taki nie może mieć już chociażby dla tego, że jeden kurhan mógł służyć dla dwójakiego i więcej celu. Zresztą dla nauki główne znaczenie ma zawartość kurhanów, z tej więc zasady wychodząc, będziemy w dalszym ciągu rozpatrywali dotychczasowe próby podziału kurhanów. Najważniejszą tu rolę będą odegrywały te, które są grobowcami, niemniej jednak musimy przyznać, że pewne etnologiczne znaczenie ma u nas i kwestya kurhanów obrzędowych, na które Funduklej i Grabowski szczególną zwrócili uwagę przed 40 laty; od tego czasu zrobiono pod tym względem nowe spostrzeżenia, przeto będziemy musieli we właściwym miejscu jeszcze raz do nich powrócić.

Archeologia pokazała nam, jak głęboko w okresie kamienia sypanie kurhanów było w zwyczaju wśród tutejszych ówczesnych mieszkańców. Stwierdzono również o innych ludach, że je wznosiły, stojąc na tak niskim poziomie wykształcenia, na jakim mógł stać człowiek, gdy porzucił pierwotne swoje w naturalnych, skalistych jaskiniach życie, a zaczął się uspołeczniać. Nie idzie jednak za tem, żeby kurhany wszędzie jednocześnie sypać zaczęto, gdyż jednakowe okresy rozwoju ludzkości różniły się między sobą co do czasu o całe setki i tysiące lat, Zarówno i ustawianie zwyczaju wznoszenia kurhanów nie wszędzie odbyło się jednocześnie: nie dalej jak w dorzeczu dniewrowem przetrwał on aż do w. XVIII, utrzymywany tak długo przez kozaków; we Francyi trwa on jeszcze w epoce zupełnie rozkwitłego chrześcijaństwa; w Danii królową Thyra i król Gormus zostali pogrzebani pod kurhanem już w X stuleciu ⁵⁾. U innych narodów zwyczaj ten przestał istnieć o wiele dawniej, wobec tego, że wiele z nich nietylko przeżyło czas swego

¹⁾ „Prace IV arch. zjazdu w Kazaniu“, str. XCVI.

²⁾ „O kurh.“ i t. d., str. 13.

³⁾ „Ukr. daw. i terańniejsza“, str. 138.

⁴⁾ Tamże str. 104.

⁵⁾ *Nedailac*. T. I, str. 327.

największego rozwoju, lecz po części znikło z widowni dziejowej już wtedy, kiedy dzisiejsze cywilizowane narody albo wcale jeszcze nie istniały, albo też nie były osiadłe w obecnych etnicznych granicach. Wszak grobowiec Tantara ¹⁾ na lidyjskim brzegu Azji Mniejszej jest niczem innem, jak tumulusem, przysypanym ziemią, czyli po naszymu kopcem, kurhanem, wspartym wprawdzie na podmurowaniu; pomniki Ninusa i Sardanapala są to też kopce, a nad zwłokami Absalona wznosi się stożkowego kształtu budowa na kolumniastem sklepieniu ²⁾ Grób Patrokla był prawdziwą, z ziemi sypaną mogiłą; pagórek nad grobem Aliatesa, ojca Krezusa, zrobiony z kamienia i ziemi, a słynny grobowiec Hephestiona, który Aleksandra Wielkiego miał miliony kosztować, był całkowicie pod ziemnym nasypem schowany ³⁾; wreszcie Germanicus złożył kości legionu Varusa do jednej ogromnej mogiły.

Dzieje podają nam przykłady, z których wnioskujemy o znaczeniu tego rodzaju pomników, jako pamiątek pewnych poszczególnych czynów. Oto Daryusz, przechodząc rzekę w kraju Odrysów, rozkazuje, aby każdy jego żołnierz rzucił kamień na jedno wyznaczone miejsce dla utworzenia pamiątkowego kopca; wyżej wzmiankowany Maratoński, ze strzał usypany, jest pamiątką wielkiej wygranej; w tej-że Grecyi, względnie niedawno, wznoszono kopce na miejscach, gdzie przeklinano wrogów ⁴⁾, przeciwnie zaś, w innej stronie Europy mamy przykład usypania dwu pamiątkowych na miejscu ugody Alaryka z Childerykiem.

Wyżej przytoczone ogólne wzmianki o kurhanach wypada nam zakończyć kilku słowy o samej nazwie. Pochodzenie jej dotąd jeszcze niewiadome. Jedni ją wyprowadzają od słowiańskiego wyrazu „kruh“ (krąg), lecz taki wywód jest niewłaściwy, gdyż przedewszystkiem w mowie ludowej słowiańskiej wyraz ten nigdzie nie istnieje i został przyjęty dopiero w piśmiennictwie ⁵⁾; drudzy wywodzą go od nowoperskiego „gur-chané“, co znaczy grobowy dom ⁶⁾; jeszcze inni od używanego na Kaukazie „kurk“, które oznacza wielkie wzgórze ⁷⁾. Tak lub inaczej, nazwa ta może mieć pochodzenie indo-europejskie, chociaż i w Azji północnej wcale obcą nie jest, gdyż ją w okolicach Wiernego

¹⁾ Lübke. „Geschichte der Architektur.“ T. I, str. 97.

²⁾ Tamże oraz Tyszkiewicz Eust. „Badania arch.“, str. 50.

³⁾ Nadaillac. T. I, str. 327.

⁴⁾ Tyszkiewicz Eust., str. 2.

⁵⁾ Kotlarewski. „Dzieła.“ T. III, str. 21, 22.

⁶⁾ l. c.

⁷⁾ Tyszkiewicz Konst. „O kurhanach“ i t. d, str. 11.

dają resztkom dawnych i nowym fortyfikacyom ¹⁾). Mogło-by to wskazywać, że w całkowitem swem dzisiejszem brzmieniu przeszła ona do Europy później, niż tu przywędrowały pierwotne ludy, które po raz pierwszy zaczęły wznosić kurhany.

Niemniej trudno znaleźć pochodzenie wyrazu „mogiła.” U ludów słowiańskich jest on w powszechnem użyciu ²⁾), z małemi, właściwemi narzeczm, odmianami: po starosłowiańsku mówiono „mogyla”, lub też „gomila”; dziś Serbowie i Kroaci używają także „gomila”, Kaszuby—„modziła”, Słowianie połabscy „mügala”; Małorusini „mohyla” lub „mohyra”, Wielkorossyanie „mogila”, zaś na Litwie, acz nie słowiańskiej, znają też „mogila.” Stąd widzimy, że wyraz ten musiał tu przyjść z Azji nietylko ze Słowianami, lecz zapewne z większym jakim odłamek szczepu aryjskiego. W okolicach Wiernego hurhany noszą nazwę „mug”, „mog”, a nawet „mogoł”, co się tam wymawia jak „mohol” ³⁾).

W pewnych stronach Rosyi, zamiast wyrazu kurhan, używają „mara”, w innych „sopka”; w Mołdawii zaś „mar.” Na Litwie powiadają „ezaglis”, w Wielkopolsce „kościelisko”; we Francyi „gals-gals, mottes, buttes” ⁴⁾); w Anglii „barrow”, oznaczając okrągłe przymiotnikiem „round”, a podługowate dodatkiem „long” ⁵⁾). W Indyach kurhany zwą się „dagoba”, w Persyi zaś „tepe” ⁶⁾).

Po polsku najdokładniej wyrazowi temu odpowiada „kopiec”, gdy „mogiła” jest tylko pewnym jego rodzajem, oznaczającym grobowiec; zaś lud ukraiński, pojmując wszystkie w ogólności kurhany w tem tylko znaczeniu, nazywa je zwyczajnie mohyla, stosując do niektórych i nazwę „majdan.”

II.

Kurhany i ich zawartość zwracały oddawna uwagę zarówno cudzoziemskich podróżników, jak i miejscowych mieszkańców. Niestety jednak, przeważały tu cele nie naukowe, lecz zwykła żądza zysku. Sprawdzone już dziś, że kurhany grabiono wkrótce po usypaniu; do tego wniosku przyszli badacze, tak często znajdujący nieład w takich,

¹⁾ „Praca IV zjazdu arch. w Kazaniu”, str. CVIII.

²⁾ *Miklosica*. „Etymologisches Wörterbuch.” Str. 199.

³⁾ Prace IV zjazdu arch. I. c.

⁴⁾ *Tyszkiewicz Konst.*, str. 11.

⁵⁾ *Nadaillac*. T. I, str. 2.

⁶⁾ Tamże str. 27; oraz Sprawozd. ces. arch. komisji z r. 1877.

które chociaż na zewnątrz wydawały się być nietkniętymi, posiadały jednak umiejętnie prowadzone boczne podkopy, przez które łupieżcy dostawali się do wnętrza. Skierowywano je tak doskonale, że to właściwe ich poprowadzenie ku najgłówniejszej katakumbie mogło być tylko wynikiem doskonałej znajomości miejsca jej położenia.

Te domniemania zostały dotykalnie stwierdzone przy badaniu kurhanów scytyjskich w dawniejszej ziemi Gerrów, późniejszym Zaporożu. Wielokrotnie natrafiano tu na boczne korytarze, tak skierowane, że ci, którzy je kopali, musieli chyba być obecni przy budowaniu samego kurhanu; w Wielkim Czartomelickim ¹⁾ natrafiono na dowód zapadnięcia się sufitu w takim korytarzu wtedy właśnie, gdy łupieżca z nieocenionej wartości i wielkiej naukowej doniosłości wspinał się srebrną grecką wazą ²⁾ w jednej ręce, a lampą oliwną w drugiej, zamierzał pozbawić potomność rzeczy, która dziś stanowi archeologiczny unikat. Lampa była też grecka, lecz przyniesiona przez łupieżcę, aby mu świeciła podczas roboty.

Podobne zwiedzanie kurhanów, rozpoczęte jeszcze w czasach, gdy pod nimi składano wraz z umarłymi należące do nich mienie, przeciągnęło się aż do XVIII w., jeśli nie dłużej, ponieważ i kozacy probowali tu szczęścia w nadziei wielkich skarbów ³⁾. Czyniło się to jawnie, często bezskutecznie, lecz z wielką dla nauki szkodą, gdyż tu często kawałek lichego bronzu lub jedna ludzka czaszka stanowią więcej od złota, przeciwnie zaś, dla tych, którzy skarbów szukali, tylko szlachetny kruszec stanowił przynętę; resztę porzucano na wolę losu, jeśli za marny pieniądz sprzedawaną nie była. Nawet ze złotych i srebrnych przedmiotów nie umiano korzystać, przetapiając je na brzęczącą monetę, lub na przedmioty domowego użytku. Obszukiwanie kurhanów miało jednak w głębokiej przeszłości nie samą tylko, jak się zdaje, cechę łupiestwa. Dzisiejsi archeologowie zaczęli spostrzegać takie szczegóły, które się każą domyślać, że najdawniejsze rozkopywanie mogił i gospodarowanie w ich wnętrzu było wynikiem jakichś dziejowych przewrotów, a przynajmniej zmian, które na tutejszych stepach dają się tłómaczyć napadaniem koczowników na osiadłą ludność. Pod tym względem warte są zastanowienia szczegóły, na które zwrócił uwagę hr. Bobryński przy badaniu 300 przeszło kurhanów w promieniu 30 wiorst ⁴⁾ nad Taśminą. W jego dzienniku badań, jak zresztą i w wielu innych, spotykamy ciągle wzmianki, że przy rozkopywaniu takiej

¹⁾ Starożytn. Herodot. Scyt. Cz. 2, str. 70 i inne.

²⁾ Jedna z następnych monografii poznajomi czytelnika z tem arcydziełem.

³⁾ *Bobryński*. „Kurhany w okolicach Smiły.” T. I, str. 85.

⁴⁾ „Kurhany i t. d. w okolicach Smiły.” T. II, str. 78 i nast.

to mogły natrafiono na dowody już uprzedniego jej obszukiwania w czasach bardzo starodawnych; że odbyło się to nie za pomocą podkopów bocznych, lecz w sposób zgoła zagadkowy, gdyż powierzchownie żadnych śladów rozkopywania mogły w nasypie nie zostało, tak, że w owym czasie, po jej rozkopaniu, cała wydobyta na powierzchnię ziemia musiała być napowrót zgarnięta na miejsce, skąd ją wybrano, z czego autor wnioskuje, że najzwyczajniejszą drogą dostania się do wnętrza kurhanu mogła być przed innemi ta, której trzymają się obecni archeologowie, t. j. zdejmowanie warstw jego do samego grobu, a następnie wykopanie dołu, sięgającego dna grobowej krypty. Lecz środek ten wymaga przedewszystkiem wiele czasu i pracy, a nie może być wykonany potajemnie, zatem przy normalnych pokojowych stosunkach miejscowych, nie mógł być użyty wkrótce po pogrzebie, gdyż rodzina zmarłego nie pozwoliła-by na podobne świętokradztwo. Mogło to dziać się w takich tylko razach, kiedy ci, co kurhan usypali, należeli do plemion koczujących, a zatem takich, które się często z miejsca na miejsce przenosząc, opuszczali daną okolicę na czas jakiś, zostawiając za sobą miejscową, osiadłą a ubogą, ludność, która po ich odejściu rzuciła się na zawartość kurhanu, jak na łup, rozkopywała mogiłę, rabowała, oddawała się dzikiej rozkoszy uszkadzania resztek umarłych wrogów, czego ślady widoczne, a następnie, dla zatarcia śladów, usypywała kurhan na nowo.

Jeśli taki stan rzeczy istniał w rzeczywistości, to owa biedniejsza, osiadła, zhołdowana ludność musiała być innej religii, aniżeli jej władcy. Pohańbienie grobów nosiło cechy dzikiej zwierzęcości, gdyż w okolicach Smiły, w kurhanach splondrowanych, a należących do epoki scytyjskiej, znajdują się często pogruchotane szkielety, ze śladami uderzeń ostreми narzędziami ¹⁾, zadawanych już po śmierci tych, którzy je otrzymali, mają bowiem cechę całkiem odmienną od śladów ran, poniesionych za życia. Przytem często brakuje tu rozmaitych kończyn lub czaszki, ostre razy zadawano przeważnie w głowę i niżej pasa, nietylko mężczyznom, lecz i kobietom, zarówno starcom, jak dzieciom.

Niektórzy archeologowie, napotykając wyżej przytoczone szczegóły w innych miejscowościach, przypuszczali odpowiednie pogrzebowe zwyczaje u starożytnych dzikich ludów; hr. Bobryński odrzuca takie domniemania, o ile tyczą się okolic Smiły, twierdząc, że na coś podobnego trafiał tylko w kurhanach, z których najwidoczniej zostały zabrane przedmioty cenniejsze, opierając się zaś na świadectwie Dyo-

¹⁾ *Bobryński*. T. II, str. 103.

dora z Sycylii, przypomina, że Sarmaci, korzystając ze słabości Skotów, zniszczyli większą część Scytyi, wytępilli jej ludność i że następnie kraj ten został w najzupełniejszej anarchii; niema więc nic niepodobnego, że ciż sami Sarmaci, wywierający swe okrucieństwa na żywych, dali się we znaki i temu, co Scytowie szanowali najwięcej, jak to zaznacza Herodot, ¹⁾ t. j. grobom ich ojców.

Takie przypuszczenie czynić należy z wielką ostrożnością. Nie licuje ono bowiem z uprzedniem, t. j. z tem, że groby koczowników były znieważane przez osiadłą ludność, ponieważ Sarmaci mogli nie zaraz osiąść tu stale po swoim przybyciu; zresztą jeśli byli silniejsi od Scytów, to nie potrzebowali się ich obawiać i zacierać śladów swego łupiestwa w scytyjskich kurhanach. W ten sposób daleko prędzej można-by się zgodzić na pierwszą hipotezę, t. j., że gdy Scytowie ujarzmili dawniej osiadłe tu ludy, to groby ich doznawały zniewagi od ujarzmionych.

Po-za obrębem tych obu przypuszczeń, hr. Bobryński mniema jeszcze, że w pewnych wypadkach zrabowanie samego grobu mogło się odbyć jeszcze przed usypaniem kurhanu. W takim razie przypuścić należy, prawdopodobnie dość wyjątkowy, zwyczaj sypania mogiły nie zaraz, lecz po pewnym przeciągu czasu, który od pogrzebu upłynął, t. j. wtedy, gdy wszystkie następujące po nim obrzędy i stypy, które mogły być sprawiane wielokrotnie, zostały już zakończone. W istocie, u starożytnych Persów istniał taki zwyczaj ²⁾. Lecz ta hipoteza wyłącza całkowicie istnienie takiego zwyczaju u ludów koczujących, które nawpół zaczętej roboty zostawiać na los szczęścia nie mogły; następnie wyłącza ona także przypuszczenie jednoczesnego zamieszkiwania tych stron przez dwa wrogie sobie narody, a stąd sprowadza pytanie: skoro umarli z jednej strony i łupieżcy jego grobu z drugiej byli po-bratymcami, w jaki sposób mogło się odbywać już nie samo łupiestwo, lecz uszkodzanie znikomych resztek, które jednak istniało, bo jest namacalnie widocznem?

Przy pewnego rodzaju wewnętrznej budowie kurhanów, takiej mianowicie, która przedstawia nie sklepy, lecz nader głębokie, nakształt studni, doły, zasypywane ziemią, dostawanie się do ich wnętrza, jeśli u spodu kurhanu niema bocznych podkopów, nie mogło się odbyć inaczej, jak przed usypaniem kurhanu. Lecz bywają wypadki, kiedy po-za obrębem podkopu natrafiamy na dowody, że wydobywanie

¹⁾ Melpomena. CXXVII.

²⁾ Uwarow. „Prace V zjazdu arch.“, str. 19 i 61.

przedmiotów i kości z wnętrza kurhanów dokonano całkiem inną drogą, ponieważ są pomieszczone z ziemią, stanowiącą nasyp, co jest dowodem, że je wydobyto przed przeprowadzeniem podkopu, gdyż inaczej nie istniał-by on już wcale.

Dziś rzecz jest prawie pewna, że znieważanie tutejszych mogił rozpoczęło się w epoce scytyjskiej—nie później, lecz i nie wcześniej—ponieważ dawniejsze od scytyjskich kurhany zostały nietknięte; widocznie więc, że albo wiedziano, jak dalece one żadnych cennych nie zawierają przedmiotów, lub też ówczesna ludność, nie mając żadnych pobudek do nienawiści ku pogrzebionym, nie miała powodu ich niepokoić.

III.

Skutkiem tak długiego rabunkowego gospodarowania w kurhanach, nauka wielkie poniosła straty, jednakże nawet i te reszty, które ocalały, wydobywane dzisiaj przez ludzi fachowych, pozwoliły na próby naukowej klasyfikacji kurhanów. Niemi więc posługując się głównie, określić można w pewnej mierze stopień starożytności pojedynczych mogił, czyli ustanowić okresy, w których usypane zostały. Niemniej jednak rezultaty nie są dotychczas zadawalające, gdyż archeologia swoich wniosków nie mogła jeszcze należycie wypowiedzieć. Nie szczędzono starań, aby dopomódz sobie w tej mierze innemi gałęziami wiedzy. W istocie, w niektórych wypadkach udało się za pomocą historii stwierdzić epokę usypiania pewnych charakterystycznych kurhanów, których zawartość dostarczyła następnie wątku do porównywać z innemi, badanemi kolejno, mogiłami; stało się to, naprzykład, względem jednej, nawet nie całkowitej epoki, dzięki szczegółowym wskazówkom Herodota o Scytach. Prócz tego, wyraźne określenie w kronikach miejscowości, zamieszkiwanych przez różne słowiańskie plemiona, pozwala też twierdzić stanowczo, że pewien typ mogił jest pozostałością po Drewlanach, Dregowiczach i t. p. Ale wszystko to stanowi pomoc dodatkową, w niektórych razach bardzo ważną wprawdzie, lecz bynajmniej nie wyczerpującą kwestyi starożytności mogił, gdyż o większości kurhanów nic nam historia nie jest zdolna objaśnić. To też powodowani zasadniczym celem dopomożenia archeologii, probowali naturalisci zastosować wiedzę przyrodniczą. Do pewnego stopnia chemiczne badania kości odegrały tu dodatnią rolę, lecz nie każdą kość, ze względu na zniszczenie składowych jej pierwiastków przez czas, można zbadać tak dokładnie, żeby się dało określić, chociaż by przybliżenie, ile wieków istnienia już ona liczy. Gdy pod tym względem granica badań chemicznych została już okre-

ślona, probowano innych środków: tak Ruprecht, za pomocą badań geobotanicznych, utwierdzał się w nadziei, że mu się uda dowiedzieć, o ile, przy pewnych warunkach, nawarstwienie czarnoziemmu może być wskazówką tego przeciągu czasu, którego potrzeba było, żeby się regularnie, przez rozkład roślinnych organizmów, utworzyła ziemna czarna powłoka nad nasypem, co znakomicie ułatwiło-by oznaczenie okresu, w którym ten ostatni został wzniesiony ¹⁾. W istocie zastosowanie metody Ruprechta, w połączeniu jednak z kronikarskimi wskazówkami, doprowadziło do pewnych rezultatów w takich wypadkach, gdy się miało do czynienia z kurhanem usypanym z piasku i gliny ²⁾, lecz skoro sam nasyp mogły składać się z czarnoziemmu, sposób ten, wbrew przypuszczeniom, staje się mniej dokładnym, a nawet w wielu razach całkiem niemożliwym.

Pozostaje więc głównie badanie porównawcze samego wykopaliska: nie gardzić niczem, a zużytkować najmniejszy przedmiot, znaleziony bądź w nasypie, bądź pod nim, winno być pierwszą zasadą tego, kto przedsięwzima zbadanie starożytności kurhanu. Pod tym względem sam sposób rozkopywania odegrywa nader ważną rolę. To też słynne odkrycia w nich bogactwy kurhany Kerczyńskie (pantykapejskie) rozkopywano, zbierając jedną warstwę ziemi po drugiej poziomo przez całą długość i szerokość nasypu. Taki system w istocie najlepiej odpowiada celowi, lecz ma tę ujemną stronę, że jest zbyt uciążliwy i kosztowny; używają więc go tylko w razach wyjątkowych, jak to czynił Aszyk nad brzegami morza Azowskiego. Następnie idzie metoda rowów przekrojowych, któremi przecina się nasyp kurhanu bądź w jednym tylko kierunku, bądź w dwóch wzajemnie prostopadłych naksztalt krzyża ³⁾, bądź też w trzech i więcej, nadając przekrojom kształt gwiazdy ⁴⁾; a chociaż praca taka bywa mało co lepszą od pierwszego sposobu i również wymaga stopniowego zdejmowania całych warstw, wprawdzie tylko przeważnie przekroju, w tych jednak razach, gdy się ma do czynienia z pierwszorzędnej wielkości kurhanem, większych ułatwień czynić sobie nie należy. Mniejsze mogły mogą być badane za pomocą kopania głębokich dołów, kształtu rozwartej u góry studni; wreszcie ostatni, najmniej praktyczny, a nawet niebezpieczny sposób, stanowią podkopy, prowadzone od spodu nasypu do wnętrza nieruszonej warstwy podglebia.

¹⁾ Kotlarski. „Archeolog. Wiest.” 1867—1868 r. T. I, str. 90 i nast.

²⁾ E. Reclus. „Géographie.” T. V, p. 445.

³⁾ Kurhan Aleksandropolski. „Starożyt. Herod. Scytii.” Cz I.

⁴⁾ Kurhan Czartomelicki. Tamże, cz II.

Obecny stan nauki oraz praktyczne zastosowanie powyższych sposobów wyrobiły już pewną rutynę, którą specjaliści stosują w razach odpowiednich, unikając straty czasu i kosztów niepotrzebnych; lecz bez uprzedniego naukowego przygotowania w żadnym razie spodziewać się nie należy, aby rozkopywanie kurhanu mogło doprowadzić do wyczerpujących rezultatów. Byle czem wiedza zadowolnić się nie może, a słuszne są dowodzenia tych, którzy twierdzą, że nawet specjaliści nie będą mogli ostatecznie rozklasyfikować kurhanów, dopóki nie użyją metody porównawczej, wymagającej olbrzymiej wiedzy o rzeczach nie tylko swoich, lecz w obszernym zakresie i obcych, nadto zaś, długoletnich praktycznych zajęć ¹⁾, czyli wszystkiego tego, co dla dyletantów jest bezwarunkowo niedostępnem.

IV.

Kurhany małe i średniej wielkości znikają z powierzchni ziemi: zabiera je lemiesz, roznosząc nasypy po polu, a w takich razach resztki pod nimi zawarte albo zostają na zawsze w ukryciu, albo trafiają do ludzi, którzy ich znaczenia nie pojmują. Niejednokrotnie dają się słyszeć wzmianki o tem, że włościanie wyorali jakieś czerepki lub dziwnego kształtu kamyki, które się niewiadomo gdzie podziały; znamy przykład, że mularz wiejski kilkanaście lat używał dyorytowego szlifowanego młota do stawiania pieców, a podobnych można-by wiele wyliczyć. Co dziwnego, że w Niemczech, wobec drożyzny ziemi, zniesiono już w wielu miejscach starożytne kopce, które stały jeszcze w bieżącym stuleciu, skoro nad Dnieprem są miejscowości, liczące jeszcze niedawno kilkadziesiąt kurhanów na niewielkiej przestrzeni, gdy obecnie zaledwo z nich kilka zostało ²⁾. Dzieje się to naturalnie z kurhanami niskimi lub średniej miary, jak zaznaczyliśmy wyżej; większe ocaleją dłużej, gdyż je trudniej rozorać pługami, a nawet często zgoła są niedostępne dla tych narzędzi. Przytem, to zajęcie się archeologią, jakie od lat kilkadziesiątu wzrasta, budzi nadzieję, że nim ta zagłada posunie się jeszcze dotykalszej, zdobycze naukowe pozwolą rozwiązać wiele pytań, dotyczących się przeszłości okresu kurhanowego.

Do rzędu takich pytań zaliczamy przedewszystkiem te, które zostały postawione wobec odmienności kształtów dwu rodzajów usypisk, całkiem do zwykłych mogił niepodobnych. Jeszcze Grabowski i Fun-

¹⁾ *Zawitniewicz*. „Kijowska staryna.“ T. XXIX, str. 255—267.

²⁾ „Sprawozd. arch. zjazdu w Kazaniu.“ T. I, str. XCIV.

dukłej, dzieląc ukraińskie kurhany wedle ich kształtu na trzy kategorie, zaliczyli do drugiej tak zwane „czubate” ¹⁾, a do trzeciej wydrążone, przez lud miejscowy „majdanami” zwane.

Pierwsze z nich wyglądają tak, jak gdyby dwie górne mogiły były sypane na trzeciej dolnej, mającej obszerne przejście naokoło tamtych. Gdy się na całość patrzy z boku, tworzy ona figurę, przypominającą swym kształtem coś w rodzaju „weselnego korowaju”, czyli bochenka chleba, który się na cześć państwa młodych do dziś jeszcze u miejscowego ludu wypieka. Przy rozkopywaniu takich kurhanów znaleziono w nich to samo, co w zwyczajnych, wedle klasyfikacji Grabowskiego, do pierwszej kategorii należących kurhanach—kopulastostozkowych, t. j. skielety i węgiel; jednakże odrębny ich kształt a mała ilość naprowadzały wówczas na domysł, że mogły one być czemś w rodzaju ołtarzy pod otwartem niebem, może takich, które służyły przy zawieraniu małżeństw pogańskich, tem bardziej, że umieszczona na dolnym nasypie wokoło górnych esplanada, mogła służyć dla pewnych poruszeń, podczas brzędów wykonywanych. Przytem, zawsze jednakowo od wschodu umieszczone wejścia utwierdzały obu wzmiankowanych uczonych w mniemaniu, że mają do czynienia z obrzędowymi, znajdowane zaś pod nasypami skielety, zdaniem ich, mogły być szczątkami takich umarłych, których ówczesna miejscowa ludność pragnęła najbardziej uczcić. Największą ilość mogił czubatych mają posiadać powiaty południowe: Czehryński, Zwinogrodzki, Czerkaski i Humański; z zachodnich, bliżej Bohu położonych, Lipowiecki, graniczący z Humańskim, w innych zaś albo ich wcale nie napotkano, albo zaledwo po kilka.

Kwestya ta dotychczas zostaje w zawieszeniu. Rozkopywanie w kilku miejscach mogił czubatych nie dało żadnych takich wskazówek, które-by powyższe przypuszczenia mogły w czemkolwiek dopełnić, lub odwrotnie, zastąpić innemi. Jeśli jednak zwrócimy uwagę na to, że czubate mogiły znajdują się w pewnych tylko, dość ciasnych granicach i tylko w pewnej części kraju, tak obficie usianego kurhanami zwykłego kształtu, to mamy prawo przypuszczać, że są one pozostałością jakiegoś plemienia, czy też niewielkiego ludu, którego obrzędowe zwyczaje odróżniały się od zwyczajów sąsiednich plemion, stanowiąc, pod pewnym przynajmniej względem, jego cechę charakterystyczną.

Nierównie dalej posunięto badania tych kurhanów, które Grabowski trzeciego rzędu mogiłami nazywa ²⁾. Jak wiadomo, mają one za-

¹⁾ „Ukraina dawna i teraźniejsza“, str. 119.

²⁾ „Ukraina dawna i teraźniejsza“, str. 120—132.

miast kopulasto lub ostro zakończonego wierzchu, umyślne zagłębienie, pośród którego bywają podniesienia w kształcie mogiły centralnej. Na prawdę, owe wklęsłe kurhany podobne są do prastarych okrągłych gródków, tak, że je często za te ostatnie uważają. Wejście na nie najczęściej z jednej tylko bywa strony i posiada po bokach rodzaj nasypów, stanowiących ściany w kształcie półksiężyców. Czasami z głównem usypiskiem, t. j. z tem, które jest właściwym kurhanem, bywają połączone wały, rozchodzące się w różne strony, a tak powiązane między sobą oraz z głównym nasypem, że wszystko razem przedstawia dziwne, zapewne przypadkowe, podobieństwo do olbrzymich pajaków. Wprost wejścia jest zawsze prawie miejsce, w którym ziemia dość głęboko przepalona każe się domyślać, że ogień bywał tam niegdyś rozkładany na czas dłuższy, lub wielokrotnie.

Opierając się na historyi Herodota, wnosił Grabowski, że, ponieważ w pobliżu Dniepru był kraj Androfagów i Melanchlenów, którzy mieli być ludożercami z powodu swych religijnych obrzędów, przeto upatrując rozmaite dane, które kazały mu wnioskować o tożsamości okolic Czebryna i sąsiednich z krajem owych ludów, sądził, że owe wklęsłe kurhany mogły być miejscami ofiarniczymi, na których się owe ludożercze praktyki odbywały. Takie przypuszczenie znalazło wprawdzie wielu przeciwników, lecz całkowicie odpartem nie zostało. Najbardziej przedmiotowym krytykiem tej teorii był Podbereski, który w 20 lat po Grabowskim wypowiedział swój pogląd ¹⁾. Zgadzając się, że te, jak je lud nazywa, majdany, są to miejsca ofiarnicze, odrzucał przypuszczenie o ich melanchleńskim pochodzeniu i przeznaczeniu ludożerczem, opierając się zaś na dokładnem zbadaniu topografii tych mogił, sprawdził, że się one ciągną na długiej przestrzeni po lewej i prawej stronie Dniepru, zawsze w towarzystwie kopulastych kurhanów, uważanych za scytyjskie. Twierdził on również, że wedle geograficznych wskazówek Nadeżdina, który je czerpał z Herodota i najdawniejszych geografów, ten właśnie obszar, gdzie się znajdują majdany ²⁾, musieli zamieszkiwać Scytowie szczepu osiadłego, rolnicy, różniący się sposobem życia od Scytów koczujących, t. zw. Skolotów; majdany zaś muszą to być ich miejsca święte, ofiarnicze, w rodzaju takich, jakimi były późniejsze litewskie tajemnicze gaje. Powyższą teorię popierał on tem, że u Scytów duch religijny był rozwinięty do wysokiego stopnia, jak się to widzi z wielu szczegółów,

¹⁾ „Zapiski tow. odeskiego historyi i starożytności.“ T. VII, str. 256—274.

²⁾ Dla skrócenia będziemy używali tego, acz nie zupełnie odpowiedniego mian, gdyż majdany właściwie były to miejsca, na których wyrabiano saletrę.

przytoczonych u Herodota; między innemi, posiadali duchowną hierarchię z królami-kapłanami na czele, wysoce czcili pamięć umarłych i groby ojców w ziemi Gerros, a ta ostatnia była ich głównem *palladium*, niby arcykapłańskiem centrum w kraju Scytów królewskich. Inne miejscowości, jak na przykład brzegi Taśminy i Wysy, gdzie najwięcej majdanów, mogły być czemś w rodzaju mniejszych, jakby parafialnych, centrów. Jednocześnie były one także scytyjskimi obozowiskami, w których mieszkali książęta krwi wraz z otoczeniem, wojakiem i taborami; skąd wynik, że świętość miejsc tych i społeczne ich znaczenie wymagały takiego otoczenia, jakie do dziś w szeregach i labiryntach wałów naokoło majdanów widzimy.

Zarówno Grabowski, opierając się na zdaniach strategików, jak i Podbereski, odrzucają wszelkie przypuszczenia, żeby to mogły być stanowiska wojenne z czasów pierwotnej słowiańskiej, lub późniejszej, wielkoksiążęcej, doby. Tem mniej mogą być one strażnicami okresów późniejszych. W istocie archeologiczne poszukiwania dowiodły, że ich starożytność sięga o wiele dalej wstecz, niż możliwe przypuszczenia o dawności państwowego urzędu Słowian w tutejszych stronach. Dla przykładu, opisujemy tu badanie jednego z rozkopanych majdanów w pobliżu Smiły ¹⁾. Pośród grupy małych, zwykłego kształtu kurhanów, nad „Chłodnym jarem”, których część prawie całkiem znikła już z powierzchni, wznosi się nad drogą jeden wielki, kształtu nieforemnego, majdan, z głębokiem, dochodzącem do samego gruntu, a szerokiem wydrążeniem, które w ten sposób jest okolone nader szeroką ścianą ziemnego usypiska. Jest to jeden z większych kurhanów w tej miejscowości, gdyż okrywa sobą znaczną przestrzeń, a sięga 7 arszynów w górę; od tego-to głównego, kolistego nasypu, zrobionego z czarnoziemu, idzie w kierunku zachodnim szeroki, pół okrągły, wał z żółtego piasku.

Cała ta budowa została rozkopana w trzech miejscach, przyczem otrzymano rezultaty następujące: 1) W wysokim kolistym nasypie, a właściwym kurhanie, po przecięciu go szeroką fosą, znaleziono znaczną ilość drobnych krzemiennych okrzosków nader starożytnej cechy; jednocześnie natrafiono tu na wiele pogruchotanych kości ludzkich, zmieszanych ze zwierzęcemi następujących gatunków: konia, którego głowa była zdruzgotana, inne zaś części jego szkieletu w kawałkach; krowy, świni, barana, kozy, lisa, zajęcy, borsuka, różnych drobnych zwierząt w rodzaju susłów, dwóch orłów królewskich i cietrzewi. Po między tem wszyskciem leżał mały kościany pierścień, prawdopodobnie

¹⁾ Bobryński T. I, str 60 — 64.

przypadkowo zostawiony, gdy wznoszono ten majdan. W głębi pięciu arszynów, czyli nieco wyżej powierzchni ziemi, było niewielkie gliniane naczynie nader dawnego a rzadkiego kształtu, o ściankach nierówno ulepionych i prostopadłych, które przypomina zwykle sito lub rondel bez ujęcia. Nieco niżej, już na samej powierzchni, leżał szkielet mężczyzny, liczącego w chwili śmierci około lat 15; głębiej, ziemia już wcale ruszoną nie była, w podglebiu zaś gliniastem żadnych śladów katakumby nie znaleziono. 2) Wał boczny, piaszczysty, zawierał spróchniałe resztki desek, kilka drobnych, wygładzonych kamieni, których typ należy do bardzo starożytnych, nieco kości zwierzęcych, między którymi 4 kości napiętkowe (astragalus) dzikiej kozy, z przewierconemi w każdej z nich otworami; pod tem wszystkiem grunt stały był znowu nietknięty. 3) W środkowem zagłębieniu kurhanu, zbadanem do głębokości 10 arszynów niżej powierzchni gruntu, znaleziono pomieszane kości zwierząt tych samych gatunków, które już były w głównym nasypie, z wyjątkiem końskich. Ludzkich nie było również. Prócz tego, natrafiano co chwila na kawałki granitu, cegły i szkła, a między tem wszystkiem znaleziono część garnka z żelaznego odlewu oraz jedną żelazną strzałkę. Jeszcze głębiej leżała rozbita gliniana amfora, roboty bardzo prostej, i drobne wygładzone kamyki, zaś na głębokości ostatniego, t. j. dziesiątego arszyna, leżały granitowe, widocznie umyślnie położone tam kamienie, pod którymi ludzkich kości nie było.

Z powyższego opisu widzimy, że na właściwy podziemny grób, t. j. na taki, jakie się w tej samej miejscowości pod nasypami kurhanów zwykłego kształtu znajdują, w majdanie tym nie natrafiano. Aczkolwiek mniej więcej to samo sprawdził hr. Bobryński podczas następnych poszukiwań, jednakże ostatecznie nic jeszcze pod tym względem wyrokować nie można, tem bardziej, że majdan na Jurjewej górze ¹⁾, jako zawierający w swoim nasypie kilka grzebalnych typów, a między innemi szkielet, zawarty, o ile się zdaje, w zbitej drewnianej kłodzie, przedstawia pewne odstępianie od typu reszty badanych przez tego archeologa majdanów. Jakże więc sobie tłómaczyć ów szkielet piętnastoletniego chłopca, pochowany nie pod powierzchnią ziemi, jakby tego wymagał zwyczaj, stwierdzony przez archeologiczne badania takich kurhanów, które swą zawartością odpowiadają wyżej opisanemu, a więc również jak on bardzo starożytnych? Pogrzebanie na powierzchni ziemi, bezpośrednio pod nasypem, spotyka się tu, lecz w mogiłach, należących do epok o wiele późniejszych, o czem świadczą znaj-

¹⁾ T. I, str. 26.

dowane tam przedmioty; w naszym zaś wypadku wcale żadnych przedmiotów przy skielecie nie było, gdyż garnek i pierścień kościany leżały odeń osobno. Przypuszczać więc należy złożenie tu zwłok bez żadnych obrzędów, tak, że ów majdan grobowcem we właściwym znaczeniu tego wyrazu nie był; skoro zaś to przyjmiemy z jednej strony, a z drugiej weźmiemy na uwagę pogruchotane i zmieszane ze zwierzęcimi kości ludzkie, każące domyślać się ofiar,—krzemienne okrzoski i narzędzia kamienne, noszące oryginalną cechę epoki o wiele starszej, niż te, które hr. Bobryński napotykał w kurhanach zwykłego kopulastego kształtu; skoro dodamy do tego, że środkowe zagłębienie majdanu wykazało ślady przeddziejowego zamieszkania tej okolicy, gdyż do tak odległych czasów musimy odnieść gliniane czerepy nader pierwotnej roboty, krzemienne narzędzia, kości zwierząt potrzaskane i rozłupane w sposób, jak to robiono dla dobywania z nich szpiku; skoro to wszystko na uwagę weźmiemy, to możemy przypuścić wraz z autorem, że majdany, jeśli nie są najstarszemi z tutejszych kurhanów, które zaczęto wznosić, jako ofiarnicze, zanim zwyczaj sypania nadgrobowych wśród tutejszej ludności powstał lub się rozpowszechnił, to w każdym razie bardzo stare być muszą.

Prawda, że kości napiętkowe dzikiej kozy przeważnie znajdują się w kurhanach z okresów późniejszych, służyły bowiem do gier; prawda, że dwa przedmioty żelazne, które się w majdanie znalazły, muszą należeć także do czasów późniejszych, niż reszta wydobytych tu przedmiotów; lecz wiemy skądinąd, że zwykłego kształtu kurlany służyły niejednokrotnie ludziom, którzy żyli w rozmaitych, a bardzo odległych od siebie czasach, skąd pochodzi, że w tych sypanych grobowcach natrafiamy na całe warstwy, jak gdyby piętra, zupełnie różnych grzebalnych typów. Mamy więc prawo wnosić, że chociaż majdan mógł w czasach późniejszych służyć jako strażnica lub miejsce obronne, jednak to przeznaczenie, dla którego został usypany, było zupełnie inne; że zaś majdany jeszcze w XVII w. miały tu praktyczne zastosowanie, mamy dowód w tem, że do ich wnętrza kozacy zapędzali swe konie; cóż więc dziwnego, że stepowi mieszkańcy rozmaitych okresów, mając do czynienia z majdanami w rozmaity sposób, zostawiali tu i owdzie, a nawet w głębi, przedmioty takie, które ze złożonemi w ich wnętrzu pozostałościami nie licują. Do przytoczonych tu badań dodając inne profesora Antonowicza, możemy przyjąć jego podział majdanów na trzy typy ¹⁾. Pierwszy stanowią te, które się składają z samego tylko kolistego nasypu bez bocznych wałów; do drugiego należą takie, w których naokoło lub z jednej strony głównego kurhanu znajdują się

¹⁾ „Czt. tow hist Nestora Latop.“ Ks III, str. 21 i nast.

wały, bądź zwarte, bądź rozwarte, albo równoległe do siebie rzędami jeden za drugim położone; nareszcie trzeci typ majdanów, rzadko napotykanym, składa się z kilku i więcej nasypów, niby szeregu kurhanów, które, połączone między sobą spodami, stanowią u góry zębate koło, mające kilka wejść, obwarowanych ziemnymi fortyfikacjami; wewnątrz niego rozgałęzione wały i wzniesienia rozchodzą się w rozmaitych kierunkach.

Chcąc mieć wyobrażenie o różnorodności budowy majdanów, dość spojrzeć na mapę Podbereskiego ¹⁾: widzimy tu całą ich grupę w pow. Czerkaskim, częścią z bocznymi wałami, częścią bez nich, opodal drogi, wiodącej ze wsi Prus do Smiły; następnie, między temiż Prusami, a wsią Jarowe, pod Żabotyńem, Matwijówką, w końcu słynną „Gorgonę“ w pow. Czehryńskim. W tych wszystkich majdanach jamy piecowe, które są nieodłączną, jak się zdaje, cechą tego rodzaju kurhanów, znajdują się najczęściej przed samem wejściem do kurhanu, tak, że boczne wały stanowią skrzydła, rozłożone za jamą; czasem jednak plan bywa odmienny: w labiryncie majdanu naprzód jest jama, przed którą bokami a półkołem idą szeregi wałów, łączące się u samego wejścia do głównego nasypu. Owa „Gorgona“ wygląda jak olbrzymi rak; okrągła, o 4 wejściach, dzielących główne usypisko na cztery równe segmenty, posiada tylko jedną piecową jamę, od której kolisto rozchodzi się po 4 rzędy wałów w kierunku głównego wejścia. Od każdego z bocznych idą znowu po 2 koliste wały, z których każda para ma kształt łapy raka, po-za czwartem zaś wejściem, leżącym na przeciw głównego, idą dwa równoległe sobie proste wały, stanowiące niby ucięty ogon tego ziemnego potwora.

Z nowych badań pokazuje się, że majdany ciągną się dalej na wschód, niż przypuszczano. Wprawdzie Podbereski wiedział o tych, które są po lewej stronie Dniepru, lecz bliższe przypatrzenie się im pokazało, że stanowią one podwójną linię po lewej stronie Dniepru, między Kremienczugiem a Zołotonoszą, gdzie na przestrzeni 10 wiorst są rozłożone na najwyższych w tej miejscowości punktach. Takie systematyczne ugrupowanie majdanów w tem miejscu naprowadziło prof. Antonowicza na myśl, czy nie były one litewskimi strażnicami od Tatarów, lecz całkiem inne ich ugrupowanie w dorzeczu Sobu, na wododziale między Bohem a Dnieprem, i widoczny związek ze znajdującymi się tu t. zw. scytyjskimi kurhanami, kazały ostrożnemu badaczowi zaprzestać wszelkich wniosków w tej mierze, póki nie zostanie sporządzony atlas sytuacyj-

¹⁾ „Zapiski odeskiego tow. historyi i starożytności“ T. VII, tablica III; oraz Bobryński. T. II.

ny kurhanów i nie będą dokonane archeologiczne badania majdanów na obszerniejszą, niż dotąd, skalę.

Ciekawą, a nawet ważną dla archeologii było-by rzeczą przekonać się, jaka zachodzi różnica między techniką budowania majdanów w ziemi kijowskiej i sąsiednich, a majdanami dalej na wschód leżącymi. Co do ostatnich bowiem mamy pewne szczegóły, których, jak dotąd, w tutajszych nie spostrzeżono. I tak, w pobliżu Ostrogoża, gub. Woroneskiej ¹⁾, przy rozkopywaniu dwu sąsiednich majdanów pokazało się, że boczne wały skrzydlate były budowane z mocno ubijanej gliny i kredy, na spodzie zaś miały dębowe tramy; od miejsc, na których znaleziono skielety ludzkie, szły podziemne korytarze do wnętrza majdanów, zaś w jednym z tych usypisk, wewnętrznej jego stronie towarzyszyła ściana z twardej jasno-żółtej gliny, co-by dowodziło, że główne baczenie w technice budowy było zwrócone na wnętrze tej ostatniej. We wnętrzu wałów innego, niezbyt oddalonego od tamtych majdanu, znaleziono, oprócz kości, zbożowe ziarno i rybią łuskę w wielkiej ilości, u wejścia zaś do głównego usypiska były dwa podwyższenia, z których jedno zawierało 4 dębowe bale, leżące rzędem na mocno ubitej warstwie gliny, pod którymi był skielet człowieka, twarzą ku północy, mający u nóg i głowy po jednym glinianem naczyniu. W drugim podwyższeniu był tylko popiół, węgle i kość jakiegoś zwierzęcia.

Jeśli więc te odrębne szczegóły majdanów Woroneskich nie dadzą się u nas odnaleźć, to jedno z dwojga można przypuścić: że albo były produktem ludzi, należących do innej etnicznej grupy, aczkolwiek używającej podobnych pod tym względem zwyczajów, albo też, że zostały w czasach późniejszych przekształcone przez ludy, tu osiadłe już po zbudowaniu majdanów, a takie, które nie doszły do granic Kijowszczyzny.

Z rezultatów dotychczasowych badań nad przedmiotem, który nas tak długo zatrzymał, ze względu na swą ciekawość archeologiczną i historyczne, być może, znaczenie, prof. Zawitniewicz wyprowadza tego rodzaju wnioski, wiążący wszystkie dotychczasowe w jedną całość: Majdany nie były tylko strategicznymi punktami, przeznaczonymi ku obronie pewnej miejscowości. Ponieważ wnętrza ich posiadają prawie zawsze lejkowate zagłębienie po środku, już przez to samo nie nadawały się do pomieszczenia chociaż-by skromnego oddziału zbrojnych, tem bardziej, że z takiego zagłębienia bronić okopów, które się czasem na 30 arszynów w górę wznoszą, jest rzeczą całkiem niemożliwą. Właściwie, dla obrony wnętrza majdanu przeznaczone były owe boczne skrzydła, po obu stronach wejścia usypane, lecz one nie

¹⁾ „Czt tow. Nestor Latop.“ Ks. III, str. 22.

stanowią niezbędnej cechy majdanu, ponieważ czasami albo ich wcale niema, albo są słabo rozwinięte. Wobec zatem oczywistości, że wewnątrz majdanu stanowiło tę jego część, na którą przy budowaniu zwracano główną uwagę, wobec odkrytych pod niektórymi podziemnych korytarzy, powstaje pytanie, czy ów rodzaj kurhanów nie był przeznaczony na miejsca święte, w rodzaju mogił „wielogrobowych“ (dla czego?), gdzie sprawowano religijne obrzędy lub uczty, podczas których przybyła ludność zasiadała wały głównego okopu, chroniące wejście do miejsca, drogiego całemu rodowi lub plemieniu ¹⁾. Po tych wyrazach, przypominających w pewnej mierze dawniejsze przypuszczenia Grabowskiego, Fundukleja i Podbereskiego, autor wnioskuje wraz z ostatnim, że majdany zwykle stanowią części grup kurhanów scytyjskich: lecz tu zachodzi, zdaniem jego, pytanie: czy są one wyłącznie scytyjskie, lub też, czy nie mogło być i w ten sposób, że późniejsze od Scytów ludy korzystały ze zwykłych kopulastych kurhanów, aby je rozkopać, wydrążyć i po swojemu dla pewnych, wiadomych im, celów urządzić. Wreszcie stawia autor pytanie: czy w istocie majdany mają jaką łączność ze scytyjskimi kurhanami, t. j., czy jednoczesne znajdowanie się jednych i drugich obok siebie nie jest przypadkiem? Ostateczną odpowiedź na to wszystko dać mogą dopiero nowe badania, kierowane w przyszłości wedle dziś już określonego programu; w obecnej jednak chwili wszystko zdaje się za tem przemawiać, że w istocie była pewna łączność między majdanami a zwykłymi kurhanami dawniejszych epok. Co więcej, szczególnie kształt majdanów pod Kalnikiem, pow. Lipowieckiego, których główne okrągłe nasypy nie pod jedną linią wierzchem są prowadzone, lecz składają się jak gdyby z szeregu osobno sypanych kurhanów, połączonych u podstawy, a zachowujących odrębność czubów u wierzchu ²⁾, każe przypuszczać, że w tej miejscowości istniał, nieznany gdzieindziej, scytyjski typ pogrzebowy; skąd wynik, że tu żyła zapewne jakaś wyróżniająca się od innych, pobratymczych sobie bądź kulturalnie, bądź etnicznie, gałąź plemienia scytyjskiego.

KSAWERY CHAMIEC.

Dokończenie nastąpi.)

¹⁾ l. c., str. 24.

²⁾ Antonowicz „Kalnik“, kijew. starina. R. 1882. N. 8.

Sprawa chińsko-japońska.¹⁾

Pisarze, z których czerpiemy wiadomości do tego drobnego szkicu, wogóle mało zwracają uwagi na religię i religijność Chińczyków, jednakże nie mogą pominąć tego wielkiego w wychowaniu ludów pierwsiastku. Bourde dowodzi, że, gdy raz Europejczycy wezmą się do gruntownego poznania Chin, co musi nastąpić, należy zaprowadzić osobną szkołę w Pekinie, w której uczniowie przez lata zapomnieli-by swego europejskiego języka, naszych klasyfikacyi, rozróżnień i stali się na czas jakiś Chińczykami, by Chińczyków zrozumieć, tak tam wszystkie pojęcia w tej duchowej sferze są różne od europejskiej. Wprawdzie Czen-ki-tong, pułkownik chiński i *attaché* wojskowy przy ambasadzie swojego rządu w Paryżu, w dziełku, napisanem przez siebie bardzo zajmująco po francusku i wydanem w Paryżu przed dziesięciu laty (*La Chine et les Chinois*), pierwszy zaraz rozdział poświęca „religii i filozofii” swego kraju, ale te sprawy zbywa tak krótko i powierzchownie, jak najpłytszy z felietonistów. Widocznie nie chciał nudzić Paryżanów i Paryżanek, które go uprzejmie w swych salonach przyjmowały.

Kiedys może badacze tego dziwnego kraju dadzą nam klucz tej wielkiej zagadki: jakim sposobem naród, liczebnie tak wielki, jak Chiny, mógł przez cztery tysiące lat utrzymać swoją jedność państwową, dojść do cywilizacyi, bardzo wysoko posuniętej, a pozostać wiernym

¹⁾ Dokończenie. Patrz zeszyt kwietniowy „Bibl. Warsz.”

wyobrażeniom, jeżeli nie wierzeniom, ludów pierwotnych, a nawet, w pewnej mierze społecznym, patryarchalnym, poglądom tych praocjów. Ów system patryarchalny jest wszędzie właściwością ludów i pokoleń koczujących, ludów pasterskich, żyjących pod namiotami, występujących jako jedna wielka rodzina. Bogowie, czczeni przez owe ludy, nie miewali ludzkiej twarzy, antropomorfizm nie nadawał im kształtu. Czczono słońce, gwiazdy, dające dzień, świecące w nocy i wskazujące drogę. „Szlaki koczujących kierowano wedle wiekniście i koniecznie jednakowego biegu tych dobroczynnych światel, które jednak swem milczeniem budziły trwogę. Ci bogowie milczący, wędrowni, jak owe ludy, powtarzający co doba to, co robili doby poprzedniej, rozkazywali owym ludom nie spoczywać nigdy, uważać życie za wędrówkę, przebiegać ziemię, nie biorąc jej jednak w posiadanie. Osiedlanie na miejscu ludy te uważać mogły za grzech przeciw prawom świata. Były one ludy największemi może z politeistów, podziwiając bowiem te gwiazdy, których zliczyć nie mogły, śledząc prawidłowość ich ruchów na wspólnem niebie, porównywając je ze stadami swemi, musiały szukać niewidzialnego pasterza, który te niebieskie stada prowadzi i niemi kieruje. Gdy ludzie usadowili się, gdy domy zajęły miejsca namiotów, bogowie się zmienili, jak zmieniły obyczaje. System patryarchalny zniknął razem z życiem koczującym.

Jedne Chiny zachowały go, dowodząc, że można system ten pogodzić z bardzo subtelną cywilizacją. Domy chińskie, powiada Kope, zdają się przywiązane do kołków, które, wbite w ziemię (dla rozbicia namiotu), zapuściły korzenie. Ludzie, zamieszkujący te domy, wcale nie są podobni do pasterzy, zachowali wszakże cześć gwiazdzistego nieba, religię koczujących, sekularyzując ją jednak w osobie swego monarchy, który im służy za pośrednika w stosunkach z potęgami nadprzyrodzonymi. On ogarnia ziemię całą, czuwa nad światem całym, panuje nad żywiołami, rządzi deszczem, wichrem i burzami, posiada moc zniszczenia wszystkiego, czego się dotknie. Na szczęście, jego dobroć większa jest od czterech mórz wielkich, jego łaskawość wyższa od gwiazdzistego sklepienia, połączone razem rzeki Żółta i Niebieska zaledwie dają miarę granic, do jakich jego litość sięga. Jeżeli powódzie lub susze zagrożą szczęśliwości jego poddanych, pyta surowo swego sumienia, jakim grzechem, sobie nieznanym, mógł zakłócić porządek przyrody. Należy czcić przodków i pamięć ich święcić, ale każdy cesarz, syn Nieba, był lub jest *yin* i *yang* „ojcem i matką” swego ludu. Ten drugi obowiązek dzieli on jednak ze swymi przedstawicielami mandarynami.

Wprawdzie nie brak w Chinach przeróżnych bogów, ci jednak są albo symbolem jakiej cnoty, albo też jaką osobistością, nietylko legen-

dową, ale nawet historyczną, którą dany cesarz do godności świętego wyniósł, mogąc mu jednak tę godność odebrać, gdy jego oczekiwania zawodzi. Tak bardzo szanowany bóg wojny, nazywany Kwan-Fu-Tse, był za dynastyi Han wojownikiem sławnym, który, raniony zatrutą strzałą, grał w szachy, gdy go chirurg operował. Bogiem zdrowia jest Hwa-To, sławny lekarz w II wieku naszej ery. Konfucyusz ma mnóstwo pagód, jak bóg mądrości, chociaż nauczał w VI wieku przed naszą erą, a dziś jeszcze liczą kilka tysięcy Chińczyków, wywodzących od niego swój ród. Ale ci Kwan i Hwa, i Kon-fu-tse, i cały długi szereg czy to powszechnych, czy miejscowych, im podobnych, są tylko podrzędnymi bogami. „Jednym i jedynym jest ów „człowiek samotny“, żyjący w Pekinie, w którym są wcielone i porządek świata, i mądrość nieba, znający tajniki żywych i umarłych.“

Daryl w swej pracy o „Świecie chińskim“ dowcipnie a pono prawdziwie tak określa religijne usposobienia Chińczyków: „Możesz być wyznawcą starego zakonu Fo, albo poprawnej nauki Buddy, Mahometaninem, albo wyznawać jaką bądź inną religię, albo nie wyznawać, a nawet nie uznawać żadnej, byleś był dobrym synem, a postępował w sposób, mogący cię zrobić godnym zostania dobrym przodkiem, byleś zwłaszcza wierzył, że cesarz ma w oczach potęgę, która daje życie, albo zabija, będziesz dobrym Chińczykiem. Co do wszystkich innych przedmiotów wątpliwość jest dozwolona. Bo, jak mówi chiński poeta: „Wyczerpaliśmy wszystko, co słowo wypowiedzieć zdoła, dziś milczmy. Patrzałem na kwiaty tak nieruchome, jak my, słuchałem ptaków zawieszonych w powietrzu, i zrozumiałem wielką prawdę.“

Według Daryla, najlepszymi dla Chińczyków misyonarzami byli-by pozytywiści, opowiadający im filozofię Comte'a lub Spencera. Mandarynowie, uczeni zwłaszcza, są najzupełniej do przyjęcia tych nauk gotowi; trzeba-by tylko dla nich drobne zrobić ustępstwo, jak np. urządzenie w jakim zakątku domu małego ołtarzyka, przed którym nawrócony codziennie rano, umywszy ręce, pokłonił-by się cztery razy, zapaliwszy woniejącą świeczkę na cześć przodków swoich, których-by też, udając się w podróż, w ten sam sposób zawiadamiał, że wyjeżdża tam a tam, wróciwszy zaś, by się im zaraz meldował.

Te ceremonie domowe odbywają nawet najuczeńsi z mandarynów, chociaż z tego sztydzą; robią to jednak dla zwyczaju i zachowania tradycji. Lud dodaje do nich inne po pagodach, ale to pagodowe nabożeństwo ogranicza się do pewnych, czysto materyalnych obrządków, pokłonów, palenia świeczek lub papierków wonnych, obracania modlitewnych młynków, robienia hałasu przy konającym, by postrachem duszy z ciała wyjść nie pozwolić i złośliwe duchy odpędzać. W tych wszystkich przesądach więcej roli odgrywa obawa złego, czyli dyabła, ani-

zeli liczenie na dobrego ducha, opiekuna. Zmarłym na groby przynoszą jedzenie i inne obiaty, w nieśmiertelność duszy nie wierząc, ale dla zwyczaju. Niektórzy utrzymują, że dusza zmarłego wałęsa się koło grobu ciała, ale tylko póty, póki żyjący o niej pamiętają; że w miarę słabnięcia tej pamięci, ta dusza chudnie i niknie. Stąd owo nabożeństwo pamięci o przodkach. Na niem się zasadzają wszystkie święta dworskie i urzędowe, naznaczane w kalendarzu przez władze. Lud w nich udziału nie bierze, pracuje, nie znając peryodycznego wypoczynku niedzieli, mając tylko niektóre, od miejscowego obyczaju zależne, dni przerwy. Nabożeństwo też nie zabiera im czasu, od tego są Bonzowie, którym się płaci i którzy z tej zapłaty żyją, płaceni ale nieszanowani. Już Konfucyusz w szóstym wieku przed Chrystusem, więc 2500 lat temu, zaznaczał ten brak pobożności, pisząc: „Wieżenia, chociaż szczelnie zamknięte, zawsze są przepełnione, a pagody, chociaż dzień cały, a nawet w nocy otwarte, zawsze są puste“. Pomimo tego, owych pagód, kaplic, kapliczek jest w Chinach bez liku; niektóre nawet, budowane za poprzednich dynastyi, bardzo są wspaniałemi; dziś, jednak, jak wszystkie dawniejsze zabytki, marnieją. Ksiądz Huc wiele ich zwiedzał po drodze, opisuje też w bardzo zajmujący sposób najslawniejsze z nich na wyspie Pu-tu. Znajduje się tam przeszło pięćdziesiąt pagód i klasztorów buddyjskich, skupionych w dolinach, nad których upiększeniem natura i sztuka wspólnie pracowały. Te świątynie nie rozsypały się jeszcze w gruzy, w klasztorach mieszkają liczni, coraz ubożsi bonzowie, żyjący tylko ze skąpej jałmużny i z handalki modlitwami, pisaniami na papierkach, wyprawianych hurtem, do których Chińczycy mają przesądne uszanowanie. Ale złoczone dachy są podziurawione, deszcz płóce kolosalne posągi Buddy i otaczających go przeróżnych fantastycznych potworów, przedstawiających rozmaite podrzędne moce, jak bogów porcelany, bogów wojny, artyleryi, wyrobów jedwabnych, rolnictwa, medycyny, starożytnych świętych, filozofów, mężów stanu, literatów, wojowników, wyczekujących na pokłony, jakie im niegdyś wierni składali.

Pomimo powszechnego sceptycyzmu, w Chinach jeszcze i dziś różnią trzy religie główne, uważane za równie dobre i za równie prawdziwe, chociaż niegdyś wiodły pomiędzy sobą zacięte wojny. Pierwsza, najdawniejsza, nazywa się Ju-Kiao, czyli „zakon uczonych“, której reformatorem i patriarchą jest Konfucyusz. Podstawą jej panteizm filozoficzny, rozmaicie w rozmaitych epokach tłómaczony. Zdaje się, że w bardzo odległej starożytności Chińczycy wierzyli w jakiegoś Boga Wszemmocnego i wynadgradzającego dobre uczynki; może i sam Konfucyusz idei tej nie odpychał, prześwieca ona w wielu ustępach jego dzieł. Reformator ten jednak mniej dbał o teologiczne wywody. Głó-

wną dlań sprawą była moralność. Przez ośmnaście wieków komentujący jego dzieła, uczniowie, jeszcze bardziej teologiczne poglądy mistrza zamieniali, tak, że w XII wieku naszej ery religia ta zamieniła się, wedle słów Huc'a, „w nazupełniejszy spinezyzm, w system zwrócony do materjalizmu i przeradzający się w ateizm“. Konfucyusz też sam w swych dziełach wcale religijnym nie jest. Radzi tylko zachowywać stare ojców zwyczaje, pobożną miłość synowską, braterstwo, żyć w zgodzie z prawami nieba, których ściśle nie określa. Nie chodzi mu wcale o początek, stworzenie i koniec świata, w długie wywody filozoficzne się nie wdaje, dba jedynie o to, co potrzebne w życiu. Z wyższych zasad wyprowadza tylko wnioski praktyczne, z moralności tylko część utylitarną i polityczną. Religia jego wyznawców i filozofia jest tylko sztuką życia w pokoju, sztuką posłuszeństwa i rozkazywania.

Wszystkie rządy chińskie zachowywały, ale jako instytucję cywilną, cześć dla geniuszów nieba i ziemi, gwiazd, gór, rzek i dla pamięci przodków. Jest to religia zewnętrzna, skarbowa, że tak powiemy, wyznawana, albo raczej wykonywana, przez urzędników i patentowanych przez egzamina literatów, starających się o urzędy. To przypomnienie starych wierzeń koczącej epoki narodu jest tylko instytucją społeczną, przy pomocy bałwanów i księży. Każdy urzędnik jej obrządku wykonywa w swoim zakresie i ze swymi podwładnymi. Cesarz jest tej religii patryarchą, czyli światłem, duchem. Przekonania nie grają tu żadnej roli; zwyczaj stary, czyli tradycja, nakazuje te obrzędy, z których się i przewodniczący im, i wszyscy wyśmiewają daleko więcej, aniżeli z astrologii, wróżbitów, nekromancyi, uroków i innych przesądów, których jest pełno, mających powszechną wziętość w cesarstwie. Co jest poważniejszego w tej skarbowej religii, wszystko spotykamy w dziełach Konfucjusza, którego imię, świętymi znakami napisane na tablicy, znajduje się w każdej szkole, a przed zaczęciem wykładów, jak i po ich skończeniu, uczniowie i nauczyciel muszą na klęczkach czołem uderzyć przed tą tablicą. We wszystkich miastach Konfucyusz ma swe świątynie, a trzysta milionów ludzi 2500 lat czci go, jako największego ze świętych, chociaż każdemu wiadomo, że się urodził w prowincyi Lu na 600 lat przed naszą erą, chociaż jego biografia jest znana, chociaż jeszcze dziś żyje mnóstwo jego potomków w całym cesarstwie, czy ludzi, którzy się umieli wylegitymować z tego pochodzenia. Jest to rodzaj szlachty, jedynej po-za rodziną cesarską, dziedzicznej w Chinach, posiadającej pewne przywileje.

Druga religia, uważana za pierwotną, przez najdawniejsze pokolenia wyznawaną, jest dość podobna do poprzedniej, ale wyraźniej uznaje geniuszów i demonów jako istoty odrębne od tych przedmiotów natury, któremi się specjalnie opiekują. Zakonnicy i zakonnice tej religii

obowiązani są do bezzeństwa, zajmują się magią, astrologią, są wróżbitami, sprzedają rozmaite filtry długiego życia i podobne, słowem praktykują, a raczej wyzyskują wszystkie przesady ludowe. Nazywają ich *tao-tse*, „doktorowie rozumu”, z powodu, że zasadniczym ich dogmatem jest istnienie prarozumu, który stworzył świat. Dogmatu tego nauczył sławny Lao-tse, współczesny Konfucjusza, który z wielką czcią o jego geniuszu mówi.

Lao-tse mniej jest znany europejskiemu światu, chociaż główne jego dzieło, noszące tytuł *Księga Rozumu i Cnoty*, przed pięćdziesięciu laty było przetłumaczone na język francuski (przez Stanisława Julien). Nie jest ono zbyt przystępne, ale Remusa wysoko ceni tego „prawdziwego filozofa, wzorowego moralistę, wymownego teologa i subtelного metafizyka. Styl jego równa się majestatowi stylu Platona, ma też nieco z niejasności wielkiego Greka”. Cytaty przytoczone usprawiedliwiają to zdanie, podamy wszakże tylko jedną, jako bardzo charakterystyczną.

„Przed chaosem, który poprzedził narodzenie ziemi i nieba, jedna tylko istność istniała; niezmierzona i milcząca, niewzruszona a ciągle działająca: ona-to jest matką świata. Imienia jej nie znam, ale nazywam ją Rozumem.... Człowiek ma swój obraz i podobieństwo w ziemi, ziemia w niebiesiach, niebios a w Rozumie, Rozum w sobie samym”. Moralność, przez Lao-tse wyznawana, jest godna tego wstępu. Według niego doskonałość leży w pozbyciu się namiętności, by lepiej rozpatrywać harmonię świata. Niema większego grzechu nad rozkiełznaną pożądlivość, niema większego nieszczęścia nad męczarnie, jakie ona przynosi. Filozofia jego tchnie łagodnością i współczuciem; gromi potężnie ludzi gwałtownych i twardego serca. Ciekawa jest kosmogonia, zbliżona do pitagorejskiej i platońskiej. Lao-tse jasno wypowiada, że troista a jedna istność stworzyła świat. Jak twierdzą kroniki, dużo on podróżował na zachodzie, mógł niejedno wziąć nie od Greków jeszcze, ale od Egipcyan i Fenicyan, zwłaszcza od tych pierwszych, których cywilizacja już wówczas chyliła się ku upadkowi, ale, jak świadczą świeże odkrycia w Chartum, na pięć tysięcy lat przed naszą erą już stała bardzo wysoko.

Lao-tse był sam wielkim czcicielem starożytności duchowej i moralnej. Jeden z jego uczniów pisze: „Wielkie światło oświecało wysoką starożytność; do nas jednak przyszły tylko niektóre jego promienie. Nam się zdaje, że starzy w ciemnościach żyli, ponieważ widzimy ich tylko przez gęste mgły, z których wychodzą. Człowiek jest dzieckiem, o północy zrodzonym; gdy widzi wschód słońca, sądzi, że wczoraj nigdy nie istniało”.

Czyż ten wielki, chociaż chiński, filozof, przewidział, że jego nauka posłuży do wytworzenia sekty szarlatanów lub hordy faryzeuszów? Tak jednak zwykle bywa. Wielkie nauki żyją wiecznie, ale, wprowadzone w życie praktyczne, wiekami się przeżywają.

Tak się stało także i z Buddyzmem, trzecią religią chińską, błędnie wykreconą w filozoficznym pesymizmie Schopenhauera i jego lichych epigonów, dziś rozbieraną pracowicie i rozświetlaną przez wielkich europejskich uczonych, zajmującą bardzo wysokie miejsce w ogólnej porównawczej nauce religii (np. dzieła profesora katolickiego uniwersytetu we Fryburgu w Szwajcaryi, p. Hardy, albo praca biskupa Bigaudet). O buddyzmie jednak daliśmy już także pobieżną wzmiankę w pierwszej części tego artykułu i ta musi wystarczyć.

Ostatni, wprowadźcie tylko materyalny, odbłysk religijności w Chinach przypada na dynastję Ming, strąconą w 1644 przez Mandżurów. W Chinach powtarzają przysłowie: Dynastya Song budowała drogi i mosty; dynastya Tang budowała wieże; dynastya Ming budowała pagody; dynastya Mandżu (dziś panująca) burzyła i rujnowała wszystko.

Ta dzisiejsza dynastya, dla celów politycznych, przyczyniła się także do wyćpienia uczucia religijnego w Chinach. Wspominaliśmy już wyżej o dekrete cesarza Yung-Czing w tym przedmiocie. Ojciec tego cesarza, Kong-Ni, napisał zbiór zdań dla kształcenia ludu; syn do każdej z tych sentencji dopisał komentarze, które urzędnikom rozkazał czytywać ludowi. Z tego cesarskiego teologicznego traktatu, wykazującego niedorzeczności wszelkiej czci, oddawanej bóstwu, podamy tu kilkowierszową próbkę. „Jeżeli nie palicie papierków na cześć boga Fo, jeżeli nie składacie ofiar na jego ołtarzach, będzie z was niezadowolony i na głowy wasze wyrok potępienia rzuci. Ten wasz bóg Fo, jest więc nędznikiem i gałganem, albowiem....”

Podobna racjonalistowska czy ateuszowska nauka, idąca z tak wysoka, musiała wywrzeć wpływ. Ustały wprowadźcie odrazu spory religijne, naród przyjął tę cesarską wolę i formułę *San-Kiao y-Kiao* (trzy religie są jedną), ale z nią zgasła wszelka wiara, wszelki dogmat, chociaż nie upadły wcale zwyczajowe przesady. Patentowani tylko wierni zachowali pewne poszanowanie dla ksiąg klasycznych i dla Konfucjusza, ale z tym *ly*, czyli racjonalizmem, każdy sobie daje radę, jak mu w danej chwili wygodniej.

Ten racjonalizm, to zobojętnienie religijne, przesiąknąwszy od uczonych w masy tłuszczy, zrobił je tem, czem są. Wprawdzie Hunter pisze, że Chińczycy są ludem szczęśliwym i zadowolonym, zadziwiająco przemyślnym, wstrzemięźliwym, przestającym na małym, obywającym się łada czem, prostym w swych zamiłowaniach, równie roztroptym, jak my, równie bogatym w zasoby, pozwalające mu stawić czoło przeró-

żnym próbom, na jakie nas życie wystawia. „Gdybyśmy byli mieli pomiędzy nami w Kantonie ludzi nauki, z jaką przyjemnością byli-by oni badali ów tajemniczy pierwiastek, przenikający wszystkie żyjące tam istoty, jak rozumnie i wedle organizacyi każdego oddziaływa on na sposób działania i myślenia”.

Hunter może za pochlebuie sądzi Chińczyków. Wprawdzie, jeżeli ma na myśli tylko walkę o byt, pracowitość, cierpliwość, wytrwałość, oszczędność, przywiązanie do tradycyi, zatem wstręt do zmian i umiarkowanie, przymioty robiące ten lud silniejszym od nas w tej walce, zwłaszcza przy wielkich, w pewnym kierunku bardzo wyrobionych, darach umysłowych, — to może na słuszość. Z drugiej jednak strony zbyt silnie występują wady, jak: chciwość, oszustwo, egoizm, fałszywość, kłamstwo, wiarołomstwo, szulerstwo, tchórzliwość, które tamte przymioty mogą z czasem, przy dłuższej, na pokolenia obliczonej, walce, paraliżować.

Tchórzostwo jednak dziwnie się u Chińczyków objawia. Chińczyk śmierci się nie lęka, można nawet powiedzieć, że się jej mniej lęka, aniżeli przeciętny Europejczyk; ale brak mu tej zimnej, karnej i wyrobionej odwagi, która żołnierza europejskiego pod gradem kul trzyma w szeregach. Brak mu bowiem czynników moralnych, na wyrobienie tej odwagi wpływających, brak mu poczucia honoru, poczucia ogólniejszego obowiązku, jest przytem zbyt nerwowy. O braku zahartowania niema mowy. Chińczyk może znosić trudy największe, obywając się garścią ryżu, i dokonywać roboty, mogące wyczerpać najpotężniej rozwinięte mięśnie. Ową nerwowość przypisują także rozpowszechnionemu bardzo używaniu opium, które jeszcze straszliwszą jest plagą od naszego alkoholu.

Przywiązania też do ojczyzny, w europejskiem znaczeniu tego wyrazu, trudno się dopatrzeć w Chińczykach; kiedy w Japonii jest ono bardzo silne i połączone z poczuciem honoru, rozwiniętem do wysokiego stopnia, całkiem obcem zdaje się synom Hana. Mandżurowie nieskończenie więcej wagi do honorowego postępowania przywiązują. Różnice te w dwóch głównych gałęziach rasy żółtej może-by można tłumaczyć różnicą ich dziejowego wychowania. Japonia wyrosła z decentralizującego feodalizmu szlacheckiego; Chiny znały tylko absolutyzm, silnie zcentralizowany i oparty na kascie urzędniczej, wszechpotężnej w kraju i od wieków kunsztownie na klasy zhierarchizowanej.

W Chińczykach jednak, obok dumy z ich czterystoletniej cywilizacyi i państwowości, oraz wynikającego stąd lekceważenia, nawet pogardy dla cywilizacyi zachodniej, spotykamy jakieś dziwne przywiązanie do ziemi w materyalnym znaczeniu, czy to do rodziny, własnej. Pragnie on, by ciało jego nie spoczywało na obczyźnie, chociaż chętnie

dla zarobku emigruje. W San Francisco dawno zauważono, że okręty chińskie, oprócz emigrantów, przywoziły także znaczną ilość trumien, a wracając do kraju, wiozły owe trumny z ciałami nieboszczyków. Nie zdarzyło się nam spotkać poważniejszego objaśnienia psychologicznych przyczyn tego objawu.

W każdym razie owe przyczyny nie mogą być natury religijnej. Chińczyków można-by nazwać narodem „bez dogmatu”. Jeżeli stosunkowo tak obszernie staraliśmy się objaśniać kwestyę religijną w Chinach, robiliśmy to ze względu na dziwny, może jedyny, ustrój moralny tego narodu. Społeczeństwo, w którym ogólnie panuje religijny indyferentyzm, z stanowczą w klasach ukształconych przewagą sceptycyzmu, a nawet ateizmu, które jednak zdołało utworzyć kolosalne państwo, a utrzymując je przez cztery tysiące lat, stać się narodem na setki milionów liczonym, oryginalnym, to jest własną swą, przez siebie wyrobioną wielką cywilizacją żyjącym, społeczeństwo takie jest fenomenem w dziejach ludzkości zadziwiającym, zwłaszcza Europejczyków.

Zdaje się prawie, że ta obojętność na religijne dogmata jest przywilejem rasy żółtej. Oto co pisze o Japonii p. Bousquet, przez lat kilka poseł francuski w Jeddo:

„Nie znają tu wcale religii państwowej. Odpowiednio do zmian w polityce, jedno wyznanie może być więcej protegowanem od drugiego, żadne nie cieszy się opieką wyłączną; wszystkie ulegają kontroli urzędowej ministerium spraw wewnętrznych, *Kio-buszo*, rozdającego posady i rozdzielającego fundusz budżetowy. Kościoły zostają w bezwarunkowej zależności od rządu, który od nich przedewszystkiem wymaga uległości i milczenia. Duchowieństwo bez żadnego stanowiska publicznego, bez głosu w radzie, wpływu żadnego na społeczeństwo nie wywiera. Rząd jest najzupełniej świecki, o stan sumienia swych poddanych nie dba. W jego przekonaniu jeden i jedyny dogmat ma wyższość nad wszystkimi dogmatami religijnymi, dogmatem tym jest *obowiązek wiary w nieomylność władzy*. Japonia pod względem religijnym dzieli się na dwie części. Na dole panują grube przesady i bałwochwalstwo bez żarliwości; w klasach oświeconych, kierujących, albo średnich, panuje najzupełniejszy brak wiary, zadowolony z siebie i sobie wystarczający. Sceptycyzm występuje tu głośno i stanowczo, wcale go nie szarpia niepokoje, trapiące pod naszym słońcem wolnomyślnych. Ukształceni wszelkich klas, wysoka arystokracja i szlachta, samurajowie (których liczą przeszło dwa miliony) śmieją się z ludu, krzyczącego i tańczącego na *matsuri* (kiermasze przy pagodach), szydząc z jego ciemnoty, a w zakorzenionej swojej negacyi nie zadają sobie pytania, czy nad temi błędami istnieje jakakolwiek prawda...”

Ten ateizm p. Bousquet jednak przypisuje wpływowi dawniejszej religii, jak się zdaje, buddyjskiej, mówi bowiem dalej:

„Ateizm nie wyzwala jednak od subtelnego i pośredniego wpływu dogmatów, tłómaczonych przez instynkt ludowy w formie prawideł postępowania. Religia więc jest odpowiedzialną za moralny stan Japonii. Wiadomo, że ona uczy, iż świat jest marzeniem, wynikiem katastrofy; że życie jest wypadkiem nieprzyjemnym, bez celu, bez rozumnej przyczyny. Absolut nie jest z tego świata; człowiek nie może go ni ująć, ni pojąć. Szaleństwem jest marzenie o bóstwie, zajętem czuwaniem nad ludźmi i opiekującym się nimi; człowiek jest tylko formą, przypadkowo ożywioną przez substancję nie osobistą, a ostatecznem jego przeznaczeniem jest rozplyniecie się w niej. Wobec nicości otaczającej i czekającej go, jego radości są tylko śmiechem więźnia w swej ciemnicy. Jego cierpienia to płacz dziecka w powiatakach. Czemże jest to wszystko wobec niebytu? Czego mamy się spodziewać? co robić, czego pragnąć? Stworzenie oddzielone od swego twórcy posiada w sobie pewne światło, wskazujące mu drogę i doradzające mu czystość, jedyny środek nie wystawiania siebie na zmorę ponownego życia; ale po-za tem cóż począć może, kiedy wszystko jest próżnością i nicością? Czyż mrzonka warta jest wysilen? Czynność ludzka jest tylko głupiem kręceniem się małpy w klatce. Niech więc człowiek pozostaje w spokoju, wcześniej zajęty rozpamiętywaniem *nirwany*...”

P. Bousquet, który te spostrzeżenia spisywał lat temu kilkanaście, snując o Japończykach wróżby, które się dotąd wcale nie sprawdziły, bardzo jest surowym dla buddyzmu, ponieważ ten „zabił ducha religijnego”. Wszystko, co ten pisarz francuski powiedział o ateizmie i przesadach Japończyków, można zastosować najzupełniej do Chińczyków, i to w sposób bardzo wzmocniony, bo tam Budda sprzymierzył się z Konfucyuszem, którego pozytywizm filozoficzny o jakie osiemset lat przejście buddyzmu do Chin wyprzedził. I w Chinach znają tylko jeden dogmat, a mianowicie nieomylność władzy najwyższej, która nie myśli siebie samej ograniczyć, jak to zrobił japoński potomek bogów, Mikado, ogłaszając i wprowadzając w wykonanie konstytucję z 1889 r. I w Chinach także mandarynowie wszystkich klas szydzą z przesądów i zabobonów ludowych, wierząc tylko w wiekową obyczajową i zwyczajową tradycję. Ciekawe w tym przedmiocie rozmowy przytacza książdź Huc.

Przed laty pięćdziesięciu jednak mniemano w Europie, że w Chinach nietylko rozbudzają się religijne uczucia, ale że nawet chrystyanizm główną w tem rozbudzeniu rolę odgrywa. W roku 1840—1842, za cesarza Tao-Kuang, angielskie działa zrobiły pierwszy, ale stanowczy, wyłom w tym murze, jakim się Chiny na wszystkie strony od reszty

świata odgradzały. Napróżno już w roku 1793 W. Brytania, wyprawiając przyjęte w Pekinie poselstwo lorda Macartney, próbowała otworzyć sobie wrota przystępu do tego kolosalnego targu. Późniejsze wielkie wojny w Europie paraliżowały dłoń Anglii. W Kalkucie jednak wiadano, że Chiny słabną coraz więcej w skutek wewnętrznego rozkładu, rozmaitych prowincjonalnych i ogólniejszej formy spisków, z których najgroźniejszy związek Białego Nenufaru (lili wodnej) wymierzony przeciw dynastyi Mandżu, na początku naszego stulecia wywołał powstanie w prowincyi Szang-Tung. Ogarnęło ono trzy inne prowincye i spowodowało wojnę domową, trwającą lat ośm. Prawie jednocześnie 70,000 piratów, dobrze uorganizowanych, na 800 dżonkach i 1000 łodzi plondrowało bezkarnie brzegi Chin, przecinając handel i wywołując głód. Zaledwie przekupieniem naczelników zdołano się w 1810 od tej plagi uwolnić. W Kalkucie wiadano dobrze o tych wypadkach i o bezsilności rządu chińskiego. Regularne, chociaż bardzo ściśnięte monopolem Hanistów, stosunki handlowe z Kantonem, ułatwiały te czujne badania.

W roku 1840 wybuchnął pomiędzy Anglią a Chinami naprzód spór o handel opium, którego rząd chiński zabronił, następnie, po gwałtownem wystąpieniu władz Kantonu i motłochu tego miasta, nastąpiła wojna. Opisywać tej wojny nie będziemy. Trwała ona przeszło dwa lata, zakończona została traktatem nankińskim, którym Chiny zmuszone były zgodzić się na otwarcie trzech portów dla zagranicznego handlu. To otwarcie portów w oczach ludu, nienawidzącego Europejczyków, było jakby świętokradztwem, a w każdym razie dowodem słabości rządu i dynastyi tatarskiej Mandżu. W 1850 wybuchnęło w prowincyi Kuang-Si powstanie, zrazu drobne, które w lat dwa już zagrażało rządowi i dynastyi.

Powstanie to, zwane buntem Taepingów, do tej pory nie jest podobno dokładnie zbadane w swych rzeczywistych przyczynach i celach, które-by objaśniły, jakim sposobem tak drobna isierka, rzucona przez najzwyczajniejszego złodzieja i rozbójnika na rozstajnych drogach, mogła rozniecić tak straszny pożar, który trwał przeszło lat dziesięć, splondrował trzy prowincye, wymordował z jaki milion ludzi i ledwo z trudem, przy pomocy Europejczyków, mógł zostać przytłumiony. Z początku całą siłę powstania stanowiła gromada złodziei drożnych, stawiającą opór policji mandarynów. Wkrótce ta garstka wzrosła do rozmiarów małej armii, zwerbowanej z najniższego motłochu, której już wice-król prowincyi Kuang-si rady dać nie mógł. Pobiwszy mandaryńskie wojska, herszt zbuntowanych złodziei, następnie naczelnik band, ogłasza się generalissimusem, wydaje proklamacye religijno-politycznej treści, występuje jako obrońca narodowości chińskich przeciw zaboro-

wi Tatarów Mandżu, przybiera tytuł cesarza, nadaje sobie imię Tien-te, co znaczy „Cnota niebieska”, i mianuje siebie młodszym bratem Jezusa Chrystusa. Do czego owemu Tien-te ten ostatni tytuł był potrzebny, nie wiadomo. Prawdopodobnie, poznawszy potęgę Europejczyków przed dziesięciu laty, spekulował na ich sympatyę. Istotnie, tak ten tytuł, jak proklamacje owego dyktatora powstańców, któremi zaprowadzał nową religię, zrobiły w Europie wrażenie. Przedewszystkiem on i jego generałowie ogłaszali jedność Boga, i koło tego zasadniczego pojęcia skupiali mnóstwo prawideł, zapożyczonych ze starego i nowego testamentu. Wypowiedziano jednocześnie wojnę dynastji tatarskiej i bałwochwalstwu. Pobiwszy gdzie bądź wojska cesarskie i zajmwszy jakie miasto, powstańcy natychmiast burzyli pagody i mordowali bonzów. Sam dyktator był rodzajem Mahometa, bo Mahometanów, Dunganami nazywanych, wielu jest w Chinach; używał nawet mahometanśkiej formuły, ale nieco zmienionej, w proklamacjach, pisząc: „Niema Boga prócz Boga, a Tien-te jest młodszym bratem Jezusa Chrystusa”. Książdz Huc zamierzał wydać osobną pracę o tem powstaniu, ale nie zdołał, bo wojna się przedłużała.

W 1852 Taepingi zdobyli Fo-szan nad Yantse-Kiangiem, w listopadzie wzięli wielki i sławny Nanking, ciągle bijąc wojska cesarskie. Tam wycięli cały garnizon tatarski z kobietami i dziećmi, przeszło 20,000 głów. Dyktator, mając armię z 80,000 ludzi, posunął się pod Tientsin, który obległ, ale wziąć nie zdołał. W 1854, po ważnych zwycięstwach, posunął się ku Pekinowi, ale pobity, na zachód tego miasta cofnąć się musiał, plondrując i paląc. Zamknięty w Nankinie mężnie wytrzymał oblężenie. W 1860 znowu próbuje szczęścia w zaczepnej wojnie. Taepingowie, odparci od Hang-czeu, w grudniu 1861 biorą Ningpo, w styczniu 1862 napróżno oblegają Szangai, główny punkt handlu z Europą, otwarty na mocy traktatu zawartego w Pekinie przez zwycięskie wojska Anglii i Francji.

Wskutek tego oba temocarstwa pośpieszyły z czynną pomocą rządowi chińskiemu. W maju 1862 dywizja francusko-angielska odpędziła Taepingów od Szangai i odebrała im Ningpo. Oficerowie też angielscy i francuscy wzięli się do organizowania oddziałów chińskich na wzór europejski. Eskadrę rzeczną uorganizował kap. Osborne; francuską dywizją (chińską) do 1863 dowodził Aigue-Belle, takąż angielską sławny Gordon. Tak wzmocnione i uorganizowane wojska Bohdyhana obległy Nankin, który poddał się w d. 19 lipca 1864 po mężnej obronie. Przed poddaniem, Tien-wan, (tak się nazywał dyktator za swoich rozbójniczych czasów, nim się przezwiał Cnotą Niebiańską), spalił się z całym swym harem i skarbami.

Natychmiast po tem poddaniu, jakkolwiek rozboje na prowincyi jeszcze trwały, rząd chiński w 1864 rozwiązał dywizję posiłkową i oficerom europejskim za usługi podziękował, nie dowierzając im.

Te szczegóły o powstaniu Taepingów, znane zresztą, przypomnieliśmy; dowodzą one bowiem, że o powstanie w Chinach nietrudno, i wskazują, jakie rozmiary każdy bunt przyjąć tam może, oraz jakie narodowe nienawiści kipią tam pod pokrywą martwej nieruchomości i spokoju. Japończycy wiedzą o tem dobrze, lepiej zapewne aniżeli najlepsza policja europejska, i może na to spekulują.

W ciągu owego powstania zaszła wojna Chin ze sprzymierzonymi Anglią i Francją. Powodem jej były morderstwa, spełnione na misyonarzach i zniewaga flagi angielskiej w Kantonie w 1856. Opowiadać tej wojny nie będziemy. Rozpoczęta na dobre w 1857; pomimo, że wojska i floty sprzymierzone odnosiły zwycięstwo po zwycięstwie, wlokła się ona do końca października 1860 roku, do wzięcia Pekinu przez sprzymierzonych w d. 16 tegoż miesiąca. Przypomnieć tylko musimy, jak małemi stosunkowo siłami osiągnęli sprzymierzeni to wielkie zwycięstwo, które koniec położyło przeróżnym szachrajstwom, zwłokom, wykrętom rządu chińskiego, usiłującego uwolnić siebie od wykonania zobowiązań pokoju, w złąj wierze z jego strony trzy razy podpisywanego. Sprzymierzeni, widząc, że do ładu nie dojdą, dopóki ostatecznie Chin nie upokorzą, w maju 1860 w Kantonie i jego okolicy zebrali 18,000 wojska angielskiego wszelkiej broni i 200 okrętów, tak wojennych, jak przewozowych. Francuzi w Szangai mieli 9000 wojska i 39 okrętów. Wojskiem lądowem dowodził gen. Cousin Montauban, flotą admirał Charner. Po różnych korespondencyach z księciem Kung, który i dziś ma znowu stanowczy udział w rządzie chińskim, po wysłaniu ultimatum z trzydziestodniowym terminem, w d. 11 sierpnia sprzymierzeni przy ujściu rzeki Peiho pod Pe-tang wysadzili na ląd 18,000 wojsk angielskich i 7500 francuskich. Po zajęciu kilku miast po drodze, w d. 19 sierpnia przeszli Peiho, a 21 wzięli szturmem ważną fortecę Taku, co im otwierało drogę do Pekinu. W d. 31 sierpnia rząd chiński, dla zyskania czasu, próbuje nowych układów. Gdy te się wloką, 6000 Anglików i 5000 Francuzów rusza w d. 8 września na Pekin. Znowu próba układów, sprzymierzeni jednak oświadczają, że teraz układy mogą być prowadzone tylko w Tung-Czan, o ośm kilometrów od Pekinu. Chińczycy przystali i rokowania nanowo się zaczęły. Ale w d. 18 września na korpus sprzymierzony, złożony z 6200 piechoty, 600 jazdy i 20 dział, napadł niespodzianie korpus chiński z 10,000 piechoty i tyluż prawie jazdy, ze 100 działami. Bitwa trwała krótko. Owa garstka sprzymierzonych rozbiła ze szczeniem prawie trzy razy liczniejsze siły chińskie, straciwszy tylko 15 zabitych i 61 rannych. D. 21 września nowa bitwa nieco

dalej, nowe rozbitcie wojsk chińskich, które uciekły w popłochu; strata sprzymierzonych 2 zabitych, 49 rannych. Napróżno tym razem książę Kung usiłuje wznowieniem układów wstrzymać marsz sprzymierzonych na Pekin. Stolica została wzięta, pałac cesarski uległ trzechdniowemu rabunkowi, Chiny musiały przyjąć podyktowane im warunki. Wojska europejskie w d. 10 listopada opuściły Pekin, zatrzymując jednak Tiencin, jako zastaw, do spełnienia warunków.

Tak więc 25,000 żołnierza europejskiego zabrało Peczili, prowincję wielką jak potężne królestwo europejskie (300,000 kilom. kw., 19,350,000 ludności). Do trzymywania w spokoju swemi garnizonami miast o krociowej, a nawet milionowej ludności (Tiencin ma 950,000), zostawiają dwie trzecie swych sił. Niespełna 8000 ludzi wystarczyło im do pobicia dwóch armii chińskich, zabrania i trzymania w karchach stolicy, której ludność na półtora miliona podają. Dziś Japończycy mają na ziemi chińskiej trzy korpusy po 25,000 ludzi, czyli 75,000 żołnierza bardzo dobrego, wyprobowanego, doskonale prowadzonego, europejską karnością, nawet duchem i uczuciem honoru ożywionego. Te trzy korpusy zagrażają w tej chwili Pekinowi z dwóch stron: dwa (I i II) zagarnawszy część Mandżuryi od północo-wschodu, trzeci zabrawszy część prowincyi Peczili i najważniejszy port wojenny Chin, które prztem utraciły całą flotę, posuwają się od wschodu ku stolicy. Wskutek koniecznych ubytków wojennych, komplety w tych korpusach mogą być znacznie mniejsze, zawsze jednak, sądząc po wojnie z 1860, aż nadto powinny wystarczyć do podyktowania pokoju w Pekinie. Zresztą te trzy korpusy, to zaledwie trzecia część sił wojennych, jakie Japonia dzisiaj wystawić może.

Pomijamy wojnę z Francją o Tonkin, dwa lub trzy bunty, zaszłe w ostatnich latach trzydziestu, sprawę o Kuldżę i inne; chodziło nam tylko o zaznaczenie pierwszej chwili, wybicia włotom w murze odosabniającego Chiny. Reszta jest dalszym ciągiem tego, co w 1840 i 1860 zrobili Anglicy bądź sami, bądź do współki z Francuzami, a co teraz starają się dokonać Japończycy. Chodzi tu o całkowite otwarcie Chin, z ich 400 milionową ludnością, dla reszty świata, ale też zarazem o podobne otwarcie owego świata dla tych 400 milionów Chińczyków i innych plemion rasy żółtej.

IV.

Jak się skończy ten dramat japońsko-chiński? Jakich z niego w przyszłości należy się spodziewać, albo raczej obawiać następstw? Pierwsze z tych pytań zajmuje wszystkich czytających i jako tako my-

ślących. Wypadki są zbyt efektowne, by zaciekawienie nie było wielkiem. Odpowiedź na to pytanie może będziemy mieli już w chwili, gdy ten numer „Biblioteki W.” na widok publiczny wyjdzie, może nieco później, w każdym razie w niezbyt dalekiej przyszłości. Dziś, gdy ten artykuł piszemy, po dwóch, z kwitkiem przez rząd japoński odprowadzonych poselstwach chińskich, trzecie, poważniejsze, pod kierunkiem wielkiego, może najzdolniejszego, z mężów stanu chińskich, znanego dobrze Europie, wice-króla prowincyi Peczili, prowadzi w Simonosaki układy. Pomimo tego, wojska japońskie, które kampanię zimową przebyły z wielką dla siebie chlubą, a z równemi dla kraju swego korzyściami, nie przerywają działań przygotowawczych do marszu na Pekin i do zdobyczy na innych punktach. Japończycy, znając wiarołomstwo rządu chińskiego, chociażby z ostatnich z Europą wojen, nie zgodzili się na zawieszenie broni.

Czy te układy w Simonosaki doprowadzą do zawarcia traktatu pokoju? Jaki będzie ten traktat? Czego Japonia naprawdę zażąda? Co Chiny dać gotowe? Czy mocarstwa europejskie uczynią zadość błaganiom Chin i włączają się w tę sprawę? Czy zdołają się porozumieć? Jak na tę, bardzo wątpliwą interwencję, patrzeć będą Stany Zjednoczone Ameryki? Wprawdzie nie mają one prawie armii, flotą ich wojenną nie wielką, są jednak wielkiem mocarstwem z powodu swego geograficznego położenia, zasobów, energii swej ludności, do awanturnictwa dochodzącej, a zazdrośnem okiem na ocean Spokojny spoglądającej. Czy Ameryka nie będzie sprzyjać wzrostowi Japonii do rozmiarów wielkiego mocarstwa, nawet militarne, by z czasem, wraz z nią, powiedzieć: ten Ocean, a przynajmniej ta jego część od biegunowego koła do równika, to nasze wody? Są to pytania dalszej przyszłości, ale już dziś usłyszeć je można. Bez odpowiedzi jednak.

Cokolwiek się jednak stanie: czy Japonia otrzyma Mandżuryę z jej 10 milionami ludności i stanie się przez to lądowym sąsiadem Rosyi przez kraj Ussuryjski, czy nie otrzyma; czy Chiny zapłacą jej *dwa miliardy* franków, czy tylko część tej sumy; *status quo ante* nie wróci. Mur chiński runął, a te jedenaście milionów kilometrów kw. przestrzeni ze swemi 360, czy nawet 400 milionami mieszkańców, zostaną całkowicie otwarte dla reszty świata.

Tu występuje szereg pytań, które skupimy w tem jednym: jakie w nieco dalszej przyszłości będą lub być mogą dla Europy, a prawdopodobnie i dla Ameryki, następstwa tej walki i przewrotu na krańcowym wschodzie? Mniej często jest ono dotąd stawianem. Za to stawiają go ludzie myślący i dość ukształceni, by przypuszczalny ogrom tych następstw objąć mogli.

Dziennik londyński „Daily Telegraph” podawał niedawno rozmowę swego petersburskiego korespondenta z jakąś bardzo poważną osobistością, należącą do świata dyplomatycznego rosyjskiego. Dyplomata ten dłuższą z nim rozmowę miał zakończyć temi słowy:

„Wielkiem dla cywilizacji dzisiejszej niebezpieczeństwem grozi podniesienie się Chin po klęskach, jakie przechodziły, po ich wypędzeniu „z raju głupców”, w którym do tej pory Chiny z taką lubością przebywały. To niebezpieczeństwo leży w reorganizacji armii i marynarki chińskiej, której powiększenie i udoskonalenie Chin bez przerwy prowadzić będą, dopóki ich potęga wojenna nie odpowie ich kolosalnym zasobom”.

Zdawało-by się z tych słów, że w kołach kompetentnych Europy, a może i Ameryki, przestają uważać ludy azyatyckie, a zwłaszcza rasę żółtą, tylko za cyfrę kolosalną, którą jednak lekceważyć można; że tak w Europie, jak w Ameryce, zaczynają wierzyć w możliwość nowego najścia na Europę tych ludów żółtych, jak to już miało miejsce w XIII wieku n. e. pod Dżengishanem, a w XIV pod Timurem czyli Tamerlanem. Obaj ci tatarscy zaborcy mogli przeprowadzić swe olbrzymie przedsięwzięcia jedynie dla tego, że ciągnęli za sobą milionowe zastępy żołnierstwa bitnego i ciągle nowemi zastępami z kraju zasilanego. W tem samem położeniu, co do liczby ludzi, znajdują się dzisiejsze Chiny. Bohdyhan, gdyby chciał i umiał, mógł milionowemi armiami nie tylko zgnieść najeźdźców, ale i zalać kraje sąsiednich przeciwników. Żołnierzy mu nie braknie; ma poddanych tyle, ile cała Europa od Lizbony do Orenburga ma ludności, a ta Europa swe armie na stopie wojennej liczy na 24 miliony wszelkiego rodzaju żołnierzy. Wprawdzie Chińczycy nie odznaczają się dziś bitnością, ale czyż ta walka między cesarstwem środkowem (Chiny), a cesarstwem wschodzącego słońca (Japonia), nie może rozbudzić wojowniczych tłumów, których przodkowie dwa razy zawojowali całą Azję?

Jakkolwiek bardzo zdolny generał angielski, lord Wolseley, zdaje się podzielać te wojenne poglądy, jednakże pozwolimy sobie być przeciwnego zdania dla powodów, których dla braku miejsca przytaczać nie będziemy. Gdyby nawet podobny najazd był możebny, to naprzód nie dotknął-by on bezpośrednio Europy, lecz jedynie azyatyckich sąsiadów Chin, a przytem mógłby nastąpić tylko po licznych dziesiątkach lat od daty dzisiejszej; zajmować się nim niema więc jeszcze potrzeby. To jednak zdaje się pewnem, że po tej wojnie Japonia i Chiny, czy związane, czy osobno, będą umiały bronić jak należy nietykalności swych granic i całości swych krajów.

Blizszem nieskończeniu a niebezpiecznijszem jest spokojne, ekonomiczne najście rasy żółtej na Europę i Amerykę. Walka ta, staczana

przez konkurencyę handlową i przemysłową, już się zaczęła, a te początki nic dobrego Europie nie wróżą. Chiny naprzód dostarczały rąk do pracy i tu zmierzyły się z najpotężniejszym współzawodnikiem na jego własnym, na amerykańskim gruncie. Zwycięstwa wstępne nie wypadły na korzyść Amerykanów, którzy, przerażeni, wydaliли już przybyłych Chińczyków, chociaż ich było tylko do 200,000, a wrota swego domu szczelnie przed emigracyą chińską zamknęli. Tak samo postąpili Australczycy.

Od tej pory zaczęto coraz więcej zwracać uwagę na tę kwestyę handlowego i przemysłowego współzawodnictwa Chin z Europą. Już w r. 1890 znany ekonomista francuski, Paweł Leroy Beaulieu, ostrzegał swych ziomków i całą cywilizacyę zachodnią, wołając: „Co do interesów ekonomicznych europejskich, ani nasi robotnicy, ani nasi przemysłowcy nie mają powodu do zasypiania lub dumy. Od wschodu zapowiada się konkurencyja, z którą z każdym dniem więcej liczyć się trzeba. Krańcowe wymagania robotników mogą z tego powodu i na tem rozszerzonym polu walki przemysłowej i handlowej niesłychanie osłabić Europę”.

Amerykańscy zwłaszcza publicyści i statysci, znający z doświadczenia potęgę Chińczyków na tem polu, najnatarczywiej nawołują do baczności. P. J. Russel Young, były sprawujący interesa amerykańskie w Chinach, towarzysz generała Granta w jego podróży do Hong Kong w 1879, podał przed kilku miesiącami w „New-York-Herald” obszerny artykuł, w którym czytamy:

„Kiedys bardzo niecierpliwie wyglądaliśmy, by się cesarstwo środkowe rozangliczyło, zamerykanizowało, by się połączyło ze światem zachodnim. Własne nasze stosunki z Chinami dowiodły jednak, że byliśmy w błędzie. P. Burlinghame, nasz poseł w Pekinie za prezydenta Linkolna, opowiadał mi rozmowę, jaką miał z pewnym starym, ale bardzo sprytnym mandarynem, należącym do składu ministerium księcia Kung. Gdy dyplomata amerykański wykazywał niezliczone korzyści, jakie polityka postępową zapewniła-by Chinom, mandaryn odrzekł: „Wy zachodowcy chcielibyście, by kraj nasz stał się podobnym do Anglii, do Stanów Zjednoczonych; byśmy się rzucili w prąd przedsięwzięć przemysłowych. Wierzaj mi, wasze skargi stałyby się daleko bardziej gorzkimi, gdybyśmy poszli za waszą radą. Dziś skarżycie się, że idziemy za powoli, wkrótce wołalibyście z przerażeniem, że idziemy „za-prędko”.

„Ten Azyata miał więcej przenikliwości, aniżeli Burlinghame. Na polu pracy, jakabądź jest jej natura, jak tylko Chińczyk mógł z nami rozpocząć walkę, wszędzie nas wysadził. Zaczął od opanowania przemysłu prania bielizny, następnie oświadczył fabrykacyą cygar, uprawą

ogrodów, winnic, rybołówstwem etc. (w Kalifornii). Oszczędny, przezorny, cierpliwy John Chinaman jest zarazem bardzo zręcznym w obracaniu pieniędzmi. Byłby z pewnością położył rękę na banki; z czasem cały handel na Oceanie Spokojnym do niego-by należał. Ameryka więc musiała się chwycić polityki całkiem różnej od tej, jaką doradzał Burlinghame; musiała protegować swoich robotników przed najazdem narodu, który, nie osłabiając się wcale, może zalać Stany Zjednoczone tłumami istot ludzkich, równającemi się liczbą ludności Stanów. Powodzenie, czy to pokojowe, czy wojenne, wynika z tych samych okoliczności; a pogromca w turnieju pracy ma wielkie widoki wzięcia góry na polu bitew... Według mnie, z dzisiejszego starcia japońsko-chińskiego powstanie największa kwestya naszej epoki. Chiny poruszają się na podobieństwo lodowców; masa milcząca, niezmierzona, miazdząca, pewna siebie, Chiny, suną się przez ciąg wieków, powołując się na cywilizację nieskończenie starszą od najstarszych zachodnich, na cywilizację już w pełni żyjącą, gdy Homer śpiewał. Do tej pory lodowiec opierał się działaniu wieków; ale niech tylko poczuje uderzenie, niech dzisiejsza wojna popchnie go, ta masa chińska może się poruszyć; wypadek to wielki zasługujący na rozpatrzenie przy świetle historii Dżengis-hana i Timura..."

Pan Fowler, znany ekonomista, dowodzi, że niezadługo, dla obrony przez tą azyatycką konkurencyą, cała Europa będzie zmuszoną odgrodzić się od niej jednym i powszechnym związkiem celnym. Do tej pory Europa posiada wyższość przez swe maszyny, ale ta przewaga coraz się zmniejsza. Maszyny zresztą i Azyaci mieć mogą, naprzód sprowadzane, z czasem budowane na miejscu. Do pracy zaś przy tych maszynach będą mieli robotników pracowitych, spokojnych, nieznanających walk z chlebodawcami, poprzestających na jednej piątej, a nawet niekiedy na jednej dziesiątej tego co żąda europejski robotnik. Gdy Azja dostanie koleje żelazne, łatwiejsze środki przewozu, a węgiel będzie miała na miejscu (Chiny zwłaszcza), taniością wyrobów zabije tkactwo i przędzalnie europejskie. „Zdamiewajaco nizkie wynagrodzenie, za jakie Hindus pracuje i towary przemysłowe wyrabiać może, pisze profesor Dubosc, w świeżo wyszłej pracy o niezmiernie szybkim wzroście przemysłu tkackiego w Indyach Wschodnich, otwiera mu wrota wszędzie i łamie wszystkie zapory. Z matematyczną ścisłością można obliczyć chwilę w której wygoni wszystkich producentów europejskich z wschodnio-indyjskiego targu. Wówczas niebezpieczeństwo z tej strony dojdzie do szczytu, a przemysł bawełniany europejski będzie zrujnowanym“. Toż samo, z większą jeszcze pewnością, można powiedzieć o Chinach, gdy ich odrodzi rewolucya, chociażby tylko otwarciem zupełnie kraju dla europejskiego handlu spowodowana.

To współzawodnictwo przemysłowe, na wielką skalę prowadzone, jeszcze nie zaraz nastąpi; ale współzawodnictwo zarobkowe i handlowe, gdzie tylko Chińczyk zetknął się z naszą rasą, nie jest rzeczą nową i, jak zaznaczam, wszędzie dotąd Chińczycy brali górę. Wspomniemy już o Ameryce i Australii, na zakończenie zamieścimy ciekawą, w tych dniach w dziennikach ogłoszoną, pochodzącą ze źródeł rosyjskich, wiadomość. Podajemy ją dosłownie:

„Niedawno w Chabarówce, we Wschodniej Syberii, odbył się ciekawy zjazd. Zjechali się kupcy z kraju Amurskiego i znacznej części Syberii, by się z gubernatorem naradzić, co robić ze zgubnym naciskiem kupiectwa chińskiego. Prostu żądano wypędzenia z kraju warkoczowych współzawodników. Musiano jednak poprzestać na przyrzeczeniu, że im będzie zabroniony handel pewnemi artykułami. Ciekawym bardzo jest cyfrowy materiał, przedstawiony przez uskarżających się kupców. Tak np. Władywostok liczy 164 firmy handlowe, z tych 23 jest rosyjskich, 11 japońskich, 3 niemieckie, a 127 należy do Chińczyków. Jak bardzo rozwijają się interesa tych chińskich kupców, świadczą cyfry następne. W 1891 chińscy kupcy Władywostoku sprowadzili z Japonii, Chin i Korei 7700 ton towarów, w 1892 już 9050 ton, w 1893 przewóz ten doszedł do 15,300 ton, zatem w przeciągu lat dwóch podwoił się. Ci Chińczycy jednak handlują także i ruskimi wyrobami i oto wzrost tego handlu: w 1891 z Odessy wysłano dla nich tylko 46 ton towaru, w 1892 już 707 ton, w 1893 zaś 1029 ton. Ciekawszemi jeszcze są cyfry, podane z Nikolska o 104 wiorst na północ Władywostoku. Pierwszy kupiec chiński osiedlił się tam w 1883; w tej chwili 69 Chińczyków prowadzi osobne interesa, ale 23 kupców europejskich, prowadzących ponajwiększej części interesa znaczne, przez ten czas zbankrutowało. Za powód podają niezmierną pracowitość, oszczędność i odosobnienie Chińczyków. Stąd wynika, że kiedy Europejczyk potrzebuje na życie zarobić co najmniej 15 procent na towarze, Chińczyk rad poprzestać na 5 procentach, więc może sprzedawać taniej. Że pomimo tego ogromnie zarabia przez częsty obrót kapitału, dowód w tem, że w roku zeszłym ci kupcy przez bank we Władywostoku wysłali do Chin ośm milionów rubli”.

Te cyfry nie potrzebują komentarza.

Tak więc za jakie 40 lub 50 lat Europa znaleźć się może wobec zaczynającej już dziś grozić walki ekonomiczno-społecznej z rasą żółtą

J. KENIG.

Herkules i Omfala.

OBJAŚNIENIE

do Pieśni drugiej poematu „Herkules i Omfala.”

Pieśń pierwszą p. t. „Zamach Junony” drukowała „Niwa” w 1891 r., w Numerach 13 i 14. Oto jej treść w krótkości:

Herkules (Herakles), syn Jowisza (Zeusa) i Alkmeny, po wykonaniu słynnych dwunastu robót, udał się do króla Echalii, Euryta, który obiecał oddać temu swą córkę, piękną Jolę, kto się wykaże celniejszym od niego łucznikiem. Herkules zwyciężył króla w turnieju; atoli urażony Euryt nie tylko odmówił mu córki, ale nadto precz wygnał z Echalii, głosząc, że mu Herkules uprowadził stado najlepszych rumaków. Pokrzywdzony bohater w uniesieniu gniewnem strącił ze skały w przepaść królewicza Ifita, brata złotowłosej Joli. Wiadomość o tem zgrozą napelnia Olimp; nawet Zeus, peblżliwy zwykle nadmiernie dla syna, ostyga. Juno (Hera), stale nienawistna herosowi, chce korzystać ze sposobności, aby, pod pozorem wymiaru kary za zbrodnię, wyrzucić na nim swą zemstę; podszeptuje więc Sybilli w Delfach, dokąd Herkules, dręczony przez Demona i Furye, udaje się po radę i ulgę, aby go wyprawiła wyrokiem do Li-dyi, gdzie dobrowolna niewola u królowej Omfali oczyściła-by go z występku.

Omfala uchodzi za niewiaścę pyszną, samowolną, nieprzystępną rzekomo urokom Erosa; ona więc upokorzy Herkulesa i pomści zniewagi, wyrządzone przezeń czci niewieściej w osobie Junony i innych bogiń. Tak planuje Juno. Podczas obrad przybywa na Olimp Hermes (Merkury) i opowiada, jako Herkules, zgłosiwszy się do wyroczni w Delfach, pychą, nieposzanowaniem praw i sług bożych, naraził sobie Apollona; jak rozgniewany bóg zabronił wróżyć Pytii. Dotknięty i zawiedziony Herkules wpada do adytonu (sanctuarium), porywa święty trójnóg i unosi go na stok Parnasu. Tam go spotyka Apollon, żądający zwrotu trójnoga. Następuje walka, zrazu na słowa, której świadkami są bogi, z Zeusem na czele, patrzące z góry. Grom Jowisza rozdziela przeciwników w stanowczej chwili. Apollon ucieka z trójnogiem, Herkules pada wpółmartwy i ogłuszony. Bogi na Olimpie uczują do późna.

Pieśń druga.

Posiew Jutrzni różami na niebiosach kwitł,
Noc pierzchała, unosząc gwiazd blednących wieniec...
Już ją z wyżyn Olimpu zepchnął młody Świt,
W dolinach siedział jeszcze Mrok, jej sprzymierzeniec.
Pałace bogów, tknięte wschodnich łun pożogą,
Mieniły się w kruzganków marmurowej bieli...
Mieszkańcy ich, po uczcie, śnili jeszcze błogo,
Tylko nadobne Hory wstały już z pościeli,
I zwolna grodu Niebios odmykały wrota,
Przez które szła poranku woń i jasność złota.

Nieznuzone tą pracą boskie siostry trzy,
Szczebiocąc, przesuwały zlekka swe postacie...
Najżywiej jednak oko Ireny się skrzy,
A z ust jej błyska uśmiech, jak rosa w granacie.

Choć najmłodsza, Irena przoduje w rozmowie,
A wdzięczy się, a trzpiota, by ptaszę z piosenką:
Aż się rozplótł z powojów wieniec na jej głowie,
Aż starsze ją strofują: „Cyt!... bo śpią, Irenko!...”
Rade jednak słuchają śmiesznych opowieści,
A po wczorajszej uczcie nie brak do nich treści.

Albowiem na tę ucztę przybył rzadki gość:
Bóg-pasterz, Pan kosmaty, o swawolnem wzięciu —
I wnet rozruszał Olimp, bo powiedzieć dość,
Że w siedem dał piszczałek, a pił za dziesięciu.
Widział on Herkulesa bój z Promiennym bogiem,
Wyszedłszy z Korycyjskiej groty na Parnasie,
Gdzie rad mieszka. Nazierał, ukryty za głogiem,
Na kępie mchu, gdyż zawsze pamięta o wczasie.
Tam więc legł i wśród liści baczny wzrok wyteża,
Ciekawy, czy mąż boga, czy bóg zwalczy męża?

Ale w chwili gdy z trzaskiem, jakby niebios dach
Miał się zapaść, grom Zeusa błysł i przerwał boje,
Pan, który na śmiertelnych umie rzucać strach,
Sam się zalał nie żartem i skulił we dwoje.
Przymknął oczy, oburącz chwyta się za uszy,
Od końlich stóp do czuba dreszcze po nim biegą...
Czuł on, nie po raz pierwszy, w tajniach swojej duszy,
Ile Zeus wszystkich mocą przewyższa — i jego.
Orszak bogów z powrotem ciągnął już wysoko,
On leżał... Wreszcie rozwarł jedno, drugie oko.

Cisza była. Słoneczny pochylił się krąg,
Lecz grzał jeszcze. Polana migotała w rosie;
Przez powietrze, po burzy, szedł ożywczy ciąg —
Wstał więc Pan i ku niebu zwrócon rzekł: „Heliosie!
Jeżeli blask twój zawsze tak grzeje, jak złoci,
Patrz, jak mnie Kronion spłókał — i bądź mi łaskawy!”

Spojrzał Helios — i wraz go osuszył z wilgoci.
Wówczas bóg-pasterz chyłkiem wszedł na plac rozprawy,
A widząc Herkulesa w pyle, nie bez trwogi
Szepnął: „Ha, śmiałku! poznaj, co to walczyć z bogi!”

W miarę jak się rozglądał, męźniał jego duch...
Przyklął nad bohaterem; pilnem uchem łowi
Oddech, tętno... a w duszy pokrzykuje: „Zuch!
Uległ Władcy, lecz przytarł czuba pyszałkowi,
Który z wyżyn Parnasu jurzy się okrutnie...
Ha — zapomniałeś wieszczu w twoich Delfów chwale,
Kto cię uczył wróżbiarstwa?! Rozślawiasz twą lutnię,
Jakby mój czarodziejski flet nie istniał wcale,
Bo ci zazdrość o niego... Tak samo dmiesz siłą,
A dziś, gdyby nie Rodzic, kto wie, coby było?”

Tak to, i gorzej jeszcze, myślał zacny syn
Hermesa Argobójcy o swym uczniu, Febie...
Myśląc, do ust przykładą wiązkę siedmiu trzcin —
I lubego oddechu strumień, tchnął ze siebie...
Coś niezwykłego wówczas stało się w przyrodzie:
Jakieś blaski i cienie drgnęły wśród oparów,
Zmilkły ptaki, poblady ogień na zachodzie,
Rozśpiewały się nagle echa grot i jarów
Chwałą boskiego grajka, a sprawca tej zmiany
Opuścił flet... i słuchał... sam oczarowany...

Stał, jak ów jelen, w puszczy zasłuchany szum,
Jakby nimf płasających nie widział orszaków;
A przecie jego sygnał zgromadził ten tłum
Powiewny, skoczny, w wieńcach anemon i maków.
Dopiero gdy w przestworzu pieśń się rozplynęła,
Trymfujące rzucił spojrzenie po rzeszy,
Wskazał na Herkulesa i skinął: „Do dzieła!”
Pojęły go Dryady: część orszaku śpieszy

Do Korycyjskiej groty z światłem zórz złotawem,
Część zostaje; lecz tamte wróciły niebawem.

Żałuj, synu Alkmeny! Gdyby nie twój stan,
Widziałbyś, co po dwakroć widzieć się nie zdarza:
Jak cię własnymi dłońmi pielęgnował Pan,
Wzór uczniów przesławnego Chirona, lekarza.
Widziałbyś, łaski jego nieświadom szczęśliwce,
Jak ziemią z gromowiska nacierał twe członki,
Jak później zlewał na nie balsamy ożywcze,
Niesione w złotych urnach przez gajów patronki;
Widziałbyś ich kwitnące wdzięki w szat przezroczu,
Dopóki-by ci rozkosz nie zakryła oczu...

Lecz ty nie drgnąłeś nawet, obumarły wół,
Rzucony, jak kolumna, w gmachu, gdzie był ogień...
Pod głową miałeś teraz pęki wonnych ziół,
Nad sobą zmierzch i szeptu tajemnicze bogiń,
Krażących jak służebne. Bóg-lekarz staranny
Odszedł już... i z uśmiechem patrzył z oddalenia,
A przy tobie wciąż boskie krzątały się panny...
Zagadnął je nareszcie: „A co? wart spojrzenia!
Znać ród!... Byłaby szkoda, gdyby stracił życie...
Miarkujcie jednak litość, bo się zamęczycie...”

Tyle rzekł. Któżby skutek tej przemowy zgadł?
Na dźwięk jej całe grono zrywa się w pośpiechu,
Jakby je deszcz ulewny spłoszył albo grad,
A wnuk Dryopsa w boki bierze się ze śmiechu.
Woła — próżno: pierzchają nimfy, jak obłoki...
Ledwie kilka uległo boskiemu zaklęciu;
Z temi więc pognął muła na Olimp wysoki,
Gdzie w siedem dał piszczałek, a pił za dziesięciu.
Wziął też, pod koniec uczyty, lirę dla odmiany
I śpiewał. Nie zapomną pieśni tej Niebiany!

Opiewał dwóch sierdzistych przeciwników spór
 O krater pełen wina, wpodłe ustawiony.
 Grono mężów, dorodnych niewiast i ich cór
 Przyglądało się walce, drżąc za obie strony.
 Długo szedł bój na słowa (Pan w tem mistrz jedyny);
 Ale, gdy pochwyceno w końcu za orężę,
 Spłoszony chrzęstem zając ruszył się z kotliny
 I mknąc wywrócił krater... Stropili się męże:
 Jeden, z próżnem naczyniem, uciekł w las przebojem,
 Drugi legł, odurzony rozlanym napojem...

Taka w głównym zarysie była pieśni treść.
 Dotknął w niej Pan ostatnich zdarzeń nieco śmiało,
 Umiał jednak oszczędzać w żartach bogów część,
 Choć, prócz Zeusa, każdemu coś się tam dostało.
 Zamiast syku urazy brzmiał więc śmiech na sali,
 Głuszac pieśń, lecz mistrzowi dodając zachęty...
 Radosny szal ogarniał bogi — i szedł dalej:
 Chwiały się wonne dymy, posągi i sprzęty,
 Drżały nawet kolumny lśniące chryzolitem,
 Jeżeli wierzyć Horom, które były przy teni.

Nia ustawała wrzawa, choć Pan zamilkł już
 I zerkał w stronę Heby o trunku podanie...
 Gdy przyszła, rzekł półgłosem, podsuwając kruż:
 „Nie martw się, śliczne dziecko; nic mu się nie stanie.”
 Niebacznym! nuż kto słyszał?! — Jak gwiazda o świcie
 Zbladła Hebe, smutnemi oczętami mruga...
 Ślania się... Cóż to?... Nic już; nic; tylko nakrycie
 Splamione: nektarowa płynie po niem struga...
 A był na stole obrus jak słońce, bez skazy,
 Dar Pallady; misterne zdobią go obrazy:

W środku — pochod Bachusa z Frygji pieści wzrok:
 Bóg w rydwanie ciągnionym przez pantery stoi...

Pochodnie — tyrsy — wieńce — szal — Bachantek tłok —
 Brzmia flety i cymbały, słysząc krzyk: „Ewoi!”
 Zaś wkoło inne sceny rozsnuł kunszt Pallady:
 Tu królewicza Troi porwanie przez Jutrznę,
 Tam łowy Djany, ówdzie znów Hesperyd sady
 I głębie Oceanu wydziergane sztucznie —
 Zaś tło nakrycia w gwiazdy i kłosa, jak niwa,
 A brzeg naksztalt srebrnego wodospadu spływa...

Na zgubę tych arcydzieł rad wolności swej
 Toczył rozlany nektar prądy niewstrzymane...
 Zarumienił Ocean i dosięgnął kniej,
 Gdzie, pogrążywszy psiarnię, wskrós przemoczył Djanę.
 A plamy były groźne, gdyż Bachus dla smaku
 Tajemnie do nektaru wlał wina z Chiosu;
 Umilkł więc nagle Olimp, jakby posiał maku,
 Ale Pan, grożąc Hebie, wraca wnet do głosu:
 „Komuż to — rzekł — i o co zlewasz tę ofiarę?
 Jeśli nie mam zgadywać — przylej mi za karę.”

I schyla się lubieżnie ku niej, boski trzpiot,
 Wśród okrzyków, któremi znów zabrzmiało Niebo:
 Ofiara? tu? z rąk bóstwa? złychanyż to zwrot?!...
 Każdy zgadł już o kogo Pan się droczy z Hebą;
 Skłonność serca Cześniczki wszystkim była znana,
 Prócz matki jej, Władczyni z Ramiony Białemi,
 Lecz i Juno pod wpływem słów ucieśnych Pana
 Jaśniała — a szal bogów udzielał się ziemi,
 Gdzie niejeden, posępne wyglądziwszy czoło,
 Szedł w płasy, sam nie wiedząc, skąd mu tak wesoło?

I teraz jeszcze, rankiem, boskie Hory trzy
 Śmiały się, wspominając te niezwykle gody;
 Najżywiej jednak oko Ireny się skrzy,
 A śmiech jej srebrem dzwoni, jak wiosenne wody.

Szły właśnie koło zamku małżonki Zeusowej,
Który, jak sen Tytana w błękit się wypiętrza —
I już go minąć miały, gdy dźwięki rozmowy,
By pszczelny rój wybiegły niespodzianie z wnętrza...
Dziw ogarnął niebianki: o tak wczesnej porze
Głosy w zamku Królowej? i cóż to być może?

Jakby trzech lilij pączki wiatr skłonił do róż,
Tak Hory śnieżne palce do ust przyłożyły...
Przez chwilę nasłuchując stały w blasku zórz,
Lecz dłuższy spokój byłby nad Ireny siły.
Ruchem łasicy zwinnej, na przestrogi głucha,
Ku wzorzystym podwojom wysuwa się żwawo
I, przylgnąwszy do śpiżu czujnem uchem... słucha —
A potem, łuk nad główką kreśląc kędzierzawą,
Szepcze: „Irys na sali...” — aż nagle odskoczy
I, z miną niewiniątka, spuszcza sarnie oczy...

W czas umknęła, bo zaraz otwarły się drzwi
I w progu, na tle komnat blednącej pomroki,
Ponuro uśmiechnięta, w płaszczu barwy lwiej,
Stała Monarchini postać Pysznookiej...
Jak nad Olimpem niebo z rzeszą gwiazd, tak właśnie
Błękitnieje królewski djadem nad jej czołem...
Ramiona jej — dzień biały: zorza przy nich gaśnie,
A wargi, jakby ognia płonęły żywiołem...
Morzu podobne miała z połysku źrenice...
Taką ją nagle boskie ujrzały dziewice.

„Witajcie ranne ptaki! — rzekła. — Dziwno wam
I wstyd, że dziś nie pierwsze witacie Heljosa?
A może wie już która, z kim naradę mam
I o czym?” — Tu zmierzyla Irenę z ukosa.
„Słuchajcież mnie, najdroższe: zabójcy Ifta
Czelność sen mi odbiera... W słusznej kary planie

Nic już nie brak, — Konieczność jednak nieużyta
Zwłokę rzuca pomiędzy myśl i wykonanie,
Chętnie się, że choć nie zna, co cześć i ołtarze,
Jej tylko wola chadza z wykonaniem w parze.

„I wartoż mi wśród bogów mieć najpierwszy dział
Po Zeusie, jeśli czekać zawsze mam i wszędzie?
Dziś, o brzasku, z Irydą przybyć do mnie miał
Eros, niezbędne moich zamysłów narzędzie —
I cóż? — Przed chwilą wraca Posłanniczka, błada,
Bez synka Afrodyty, tylko z obietnicą,
Że spieszy w ślad. Więc gdzież jest? Czyżby nowa zdrada?
Oczy Irydy patrzą jakąś tajemnicą,
Lubo klnie się, że przyrzekł święcie przyjść nad ranem.
Pomnijcież, gdyby nadszedł, zająć się kołczanem.”

Półgłosem domówiła tajemniczych słów,
Poczem, dawszy znak Horom, schodzi do krążganku.
Tam — przerwana rozmowę wiodły one znów,
Ale szeptem, jak szepcą olchy o poranku.
Tylko żywość poruszeń, ostrożnych z początku,
Świadczyła o przejęciu i ważności sprawy...
Wkrótce jednak, jak gdyby zaszła zmiana wątku,
Poczęły się oblicza zmieniać i postawy:
Pobladły wargi bogiń, wilgotnym połyskiem
Źrenice świecą, dłonie splotły się uściskiem... —

I słychać było tętna falujących łon,
I szmerem pragnień drgnęła olimpijska cisza...
Zmieniony głos Królowej ozwał się: „To on!”
Wzrok objął pożądliwie pałace Jowisza.
Była to chwila; przyszło wnet opamiętanie
I cierpko rzecze Horom: „Ej, piastunki lubel
Mogę na waszą pomoc liczyć w takim stanie?
Hańba wam! toć nie pierwszą przechodzicie próbę.”

Z temi słowy Władczyni weszła w zamku bramę,
Hory, wstyd przelykając, pozostały same.

Rzeźwił je wiatr od wschodu, przynoszący woń
Hjacyntów, róż i fijołków... Wtem... świetlane smugi
Przebłysną po kolumnach, ozłocą ich skroń,
Jakby Heljos dnia tego wschodził po raz drugi —
I chór niebiańskich głosów uderzy w przestwory,
Na fale mórz, na ziemię w modre mgły spowita...
„Zbliża się Sercowładny... bacność! — szepcą Hory —
Ale nie sam, jak przyrzekł: dąży z Afrodytą.”
Tak mówiąc, gładzę wieńce i kędziorów sploty,
Wpatrzone w dal, skąd obłok ciągnie ku nim złoty.

Patrzą — otwarł się nagle: wśród szelestu piór,
Z deszczem iskier i kwiecia, lecą z jego głębi
Stada swawolnych wróbli, złotych trznadli chór,
A za nim, w tęcz uprząży, dwa sznury gołębi...
Leciuchny, lśniący rydwan ciągną te zaprzęgi,
W nim bóstwa Moc; zaś górą z lutniami się wznoszą
Charyty, uwieńczone w mirty, róże, wstęgi,
Podobne snom bijącym w skrzydła nad rozkoszą —
Nad nią, nad córą Djony, złotą, widną zdala
Z Erosem... Taką niegdyś niosła Cypru fala.

Teraz dostrzegł ją z wyżyn Chmurowładny Król,
Zbudzony pieśnią Charyt — i patrzył przez chwilę
Radośnie na swą córę, co z błękitu pól
Przybywała na Olimp — aż znów zasnął mile.
Tymczasem orszak dotknął boskich dzierzaw łąnu;
A jak gdy z pączka róża lub granat wykwita
O brzasku — obok motyl krąży — tak z rydwanu
Wybiegła ze skrzydlatym bożkiem Afrodyta,
Uśmiechnięta do ptasząt, co się ku niej garną,
Choć im Charyty sypią ambrozyjskie ziarno.

Dwie starsze Hory biegną ku Bogini wręcz,
 Jak dwa strumienie górskie spływające w rzekę...
 Pomogły jej wdziać peplos z błękitu i tęcz,
 Poczem wóz jej i zaprząg biorą w swą opiekę;
 Zaś Irena, zabiegłszy Erosowi drogę,
 Podaje mu równiankę zdjętą ze swej skroni...
 W oczach jej widać radość, przymilenie, trwogę,
 A z ust prośba westchnieniem oskrzydłona dzwoni:
 „Erosie! twój kołczanik zbyt cenny tu prawie!
 Daj mi na chwilę strzały, niechaj się pobawię...”

Figlarny uśmiech wykwitł z Erosowych warg...
 „Czemuż — spytał — o wszystkie prosisz, nie o jedną?”
 Odpina jednak kołczan z młodocianych bark,
 Zdobny w godła, na których widok twarze bledną,
 Krew się burzy, myśl mąci; wręczył go Irenie,
 I, grożąc jej, odlata na tęczowych lotach...
 Irena, patrząc za nim, przytłumia westchnienie,
 Siada, dłoń w zamyśleniu przesuwając po grotach... —
 „Strzały wy moje, strzały — duma tęsknym głosem —
 I czemuż wy bez niego?... On — zawsze Erosem...”

Łzy w oczach jej się kręcą: takby rada być
 Tam, przy nim, słyszeć boską w pałacu rozmowę —
 Tymczasem tu ją wiąże niezerwana nić
 Wyższej woli... Raz jeszcze odwróciła głowę:
 Widzi go, jak z Cyprydą świtem zrumienioną
 Oddalą się wśród blasku, co dokoła rośnie...
 Promienie, barwy, dźwięki zewsząd ku nim wioną,
 Ziemia przeciera oczy i wzdycha miłośnicie... —
 Jeszcze chwila — już przeszli jak widzenie chyże,
 I zwarły się za nimi pałacowe śpiże.

Tam — ledwie Eros minął próg wysokich sal,
 Omal się nie porwała Juno ze stolicy

Z wymówkami ku niemu, tak ją ubódl żal;
Lecz myśl o Herkulesie i różanoliciej
Afrodyty obecność — cugłem były dla niej.
Powstała więc i rzecze ze słodyczą w głosie:
„Witajcie spodziewani i niespodziewani
Goście mili! Spocznijcie z drogil... Cóż, Erosie?
Poczynasz sobie, widzę, coś niezwykle skromnie,
Gdy bez matki nie mogłeś przybyć... nawet do mnie.”

Zaćmił się na te słowa Afrodyty blask.
„Hero — rzekła — miarkuję z twego powitania,
Że nieobecna większych zaznała-bym łask,
Więc mi żegnaj...” — i drżąc ku wyjściu się skłania.
Eros podniósł się także: „Matko! a jaż mogę
Pozostać, nie zadając Monarchini kłamu?”
Wówczas Białoramienna zabieży im drogę
I, jak ów, który krople wyciska balsamu
Z ziół gorzkich, pocznie z duszy, kędy gorycz chowa,
Cedzić lube uśmiechy i kojące słowa:

„Co słyszę, drodzy moi? O! jakież to dzień
Złowróźbny! . . . Któż tak śliczną podrażnił boginię,
Że nawet w jasnych serca słowach widzi cień?
Mówcie, niech wiem, a kara zuchwalca nie minie.
Przez niego weszła z wami chmura do mych progów,
Jak zwykle słońce wchodzi; to dość! niech się strzeże!
Kto jedno z bóstw obraża, ten wróg wszystkich bogów;
Więc dobrej bądź, Cyprydo, myśli — i mów szczerze,
Z cudnym, zwykłym uśmiechem i z ufnością we mnie,
Poczem ja twej pomocy wezwę też wzajemnie.”

Afrodyte na śmiech się zbierało i płacz
Przy tych słowach; jej lica pod przejrzystą cerą
Mieniły się jak krosna, kiedy na nich tkacz
Rozsnuwa nici barwne... „Hero, — rzekła — Hero,

Przestań już!... Chcesz? zostań. — Na nic się nie żalę
 I rada-bym się cieszyć, gdy mam być otwartą.
 Wroga, o którym mówisz, wierz mi, nie znam wcale,
 A gdy mi Hera sprzyja — szukać go nie warto!
 Tobie, gdy chcesz, przyjaciół jedno słowo czyni;
 W czymże więc mogę pomódz Wszechwładnej bogini?"

Na to z westchnieniem Juno: „Gdybyż każdy tak
 Mógł z twoją o swych wrogach przemawiać pogodą!
 Nie myślę ci jej mącić; skiń tylko na znak,
 Że w planach mych, Cyprydo, nie będziesz przeszkodą.”
 Skinąwszy, Złotowłosa rażno jej odeprze:
 „Hero, niufna wiecznie! możesz być spokojna.
 Gotowam nawet przysiądz, gdy uznasz za lepsze;
 Lecz jakie twe zamiary? z kimże znowu wojna?
 „Z kim? — podjęła Królowa. — O to się nie pyta,
 Kto wie, co zacz Herakles.” — Zbladła Afrodyta...

Tłumiąc jednak wzruszenie, rzecze: „Jeszcze on!
 Nieszczęsny syn Alkmeny!... I skądże obawa,
 Bym ja niweczyć miała twych zamysłów plon,
 Być przeszkodą w boskiego wypełnieniu prawa?”
 „Złośnico! — przerwie Juno — znów chmura na czołe!
 A więc, gdyście z Erosem równie mi życzliwi,
 Daruj!...” Wówczas Cypryda: „Eros ma swą wolę,
 Myślę jednak, że matce nie rad się sprzeciwi.”
 Tak one rozmawiały; ale bóg młodzieńczy
 Wciąż milczał, głosząc pawią, co się przed nim wdzięczy.

Niebowładna, z pod oka poglądając nań,
 Czekala... Tak się trzpiotał, rozbawion widocznie,
 Że nie dostrzegła gniewnych w ustach jego drgań,
 A pod rzęsami iskier. Aż sama rozpocznie:
 „Urzekniesz mi, Erosie, kochanego ptaka,
 A dla nas nawet słowa nie masz w upominku.

Wiedz, że bogów życzenie i wola jest taka,
Abyś się Heraklesem zajął, luby synku.
Do Lidyjskiej Omfali żądzę niezgaszoną
Masz zatlić w jego sercu; jej — chłód rzucić w łono.

„Uczyń to! Trud z Omfalą mały będziesz mieć;
Tylko nad wrogiem naszym czuwać ci należy,
Dopóki jej nie ujrzy. Więc, najmilszy, leć!
Bo myśl szaleńca zmienia lada podmuch świeży.
Zastaniesz go na stoku Parnasowej góry,
Skąd niebawem wyroki pójść mu każą w drogę
Za morze, do wspaniałej Jardanesa córzy.
Tej go zdasz; a ja w zamian u Zeusa wymogę,
By każdy sen twój ziścił: co chcesz, wnet się stanie.”
„O królowo! — rzekł Eros — cofnij więc żądanie.”

W ogniach stała Juno, lecz wymija cios,
Do Afrodyty słowa skrzydlate zwróciwszy:
„Słyszałaś, córo Djony?...” Tu jej zadrział głos,
Ale tamtej oblicze blask okraślił żywszy:
„Synku! — rzekła — czy słowa ty nie nazbyt skore
Herze, małżonce Zeusa, rzuciłeś, wspaniałej?
Sprzeciwiać jej się żartem byłoby nie w porę,
Więc, jeśli masz powody, mów, byśmy wiedziały.”
Odpowiadając Eros, zagadnął ją cicho:
„Matko! a nasza branka? Cóż się stanie z Psychą?”

Gdyby Hefestos wówczas rzucił główni pęk
W szumne Olimpu knieje, nie prędzej-by gniewny
Pożar wzniecił, niż w duszy bogini ów dźwięk
Imienia nienawistnej rywalki-królowny.
„A cóż? — syknęła. — Skąd się miano Psychy bierze,
Gdy rzecz o Heraklesie? Alboż ta zuchwała
Córa pyłu, w młodości tylko strojna pierze,
Jętka mdła, co się wdziękiem ze mną mierzyć chciała,

Nie poskromiona jeszcze? Toć z bogów wyroku
Wiednie na lysej górze, zadurzona w smoku...

„Cha, cha! wysoko poszłaś aż zejść nie ma sił
Do tych, co dla niej moje rzucali ołtarze...
Chyba-by wyrok dotąd niespełniony był?
Synku! o tem ja nawet myśleć się nie ważę.
Tobież przecie i Gei, władnej nad otchłanią
Wszekch karmicielce, boscy zaufali sędzie:
Gea — potwora nasłać obiecała na nią,
Ty — żądzę w niej rozpaść miałeś ku przybłędzie;
Jeśli więc woli bogów i czci matki twojej
Stało się zadość — cóż cię jeszcze niepokoi?”

Błyski żrenic i łona przyspieszony ruch
Świadczyły, jaka burza miotła jej wnętrzem.
„Rodzicielko! — rzekł Eros: — Jak serc nie mam dwóch,
Tak cześć twoja pragnieniem mojem najgorętszem.
Trudno jednak nadążyć czynem myśli skorej,
Gdy na drodze do celu sprzeczne moce walczą:
Różne przeciw królownie pęzły już potwory —
I każdy wracał smętny, klnąc dolę służalczą;
Dziś dopiero miał rankiem iść smok, z taką duszą,
Której żadne uroki, żadne lzy nie wzruszą.

„Ej, gdybym teraz, matko, mógł w ślad bestji pójść,
Wnet-by się spełnił wyrok. Nie każesz? więc mniejsza!
Niech troska o cześć twoją szuka innych ujść,
Gdy sprawa z Heraklesem pierwsza i ważniejsza.”
„Przebóg! — zakrzyknie, blednąc, Jowiszowa córa —
Któż to rzekł? Chyba, synku, droczysz się umyślnie?”
A twarz Białoramiennej oblała purpura...
Jako więc, gdy na schyłku dnia Selene błysnie,
Wschód srebrzy się jej tarczą, Zachód gore łuną —
Tak się mierzyły teraz z Afrodytą Juno.

„Synku! — rozkaże pierwsza — leć i wnet się staw
Z dobrą wleścią, gdy będą spełnione wyroki.”
— „Nie waż się!” — grozi druga, aż się zachnął paw
I rozwarł przed Erosem swój wachlarz stuoki.
„Jakaż czelność, Cyprydo, słowa twe odeprze
Potwierdzone skinieniem, bym była spokojna?
Gotowa byłaś przysiądz, gdy uznam za lepsze;
A teraz?... Ha, zdradczyni! chcesz wojny? więc wojna!”
Na to Cypryda: „Zdradę ja ci udowodnię:
Chciałaś mnie zażyć, zażyć podstępem niegodnie!

„Zaprzecz! Znana twa chytrłość, choć nie widna z lic;
Sam Zeus żałował przez nią niejednego czynu.
Prócz siebie i swych zachceń nie uznajesz nic,
O, samolubna, pełna zawiści! — Pójdź, synu.”
Ruszyli się. Natenczas Juno, wznosząc dłonie,
Z żłością do Kroniona zwróci się mocarza:
„Zeusiel małżonku! władco na Olimpu troniel
Sądz! sądz, czyja tu krzywda, kto kogo znieważa,
Kto praw? Niech twe milczenie wyrok na mnie wyda,
Lub zagrzmij!” „O, poczekasz!” szydziła Cypryda.

Zbyt ufna! Nie myślała, by ją spotkał srom
I zawód... Alie nagle pociemniało w sali,
Wiatr podwojami zatrzęsł, błysnęło — i grom
Na hańbę jej złowrogo zahuczał w oddali...
Deszcz po nim trysnął bujny z oczu Afrodyty,
Gdy słońce na Junony wchodziło oblicze...
Eros, stuliwszy pióra, jak drozd burzę zbity,
Szeptał: „Synu Alkmeny, ja ci to policzę” —
I szedł za matką. — W progu spotkała ich z czarą
Hebe, lecz się cofnęła przed zboliałą parą.

Rozeszły się więc bóstwa w milczeniu i łzach,
Prócz Junony, tryumfem pijanej nieledwie...

Ta, ochłonawszy nieco, wybiegła przed gmach
 I tam z Ireną szeptać poczęły obiedwie:
 „Cóż, poszedł?” — „Tak, przed chwilą uniosły go loty.”
 „Zły?” — „Postawę miał raczej smutną i znękaną.”
 „Mówił co?” — „Nic; raz tylko, gdy brał swoje groty,
 Zdało mi się, że szepnął Heraklesa miano.”
 „Ha!... Dokądże się udał?” — „W stronę południową
 Ku Delfom. Tak kazało przecie twoje słowo.”

„Ufaj — odeprze Juno — i błogo się myl,
 Póki ci chytróść malca, tak jak mnie, nie dojmie...
 Tymczasem wierz mi, niema do stracenia chwil:
 Słowo słowem, grom gromem — ja chcę mieć rękojmię.”
 — „Ktoż ci ją da?” — „Ty sama. W zmienionej postaci,
 Jako ziemba, jaskółka, albo inne ptaszę,
 Pomkniesz śledzić Erosa. Jeżeli czas traci
 Lub zdradza mnie — przylatuj z wieścią w progi nasze;
 Jeśli nie — tedy wrócisz, gdy już w Delfach staną
 Z Heraklesem. Nagrodę masz przyobiecaną.”

Odwracając rozkosznie zapłonioną twarz
 Na myśl o niedalekiem spotkaniu z Erosem,
 „Królowo! — rzekła Hora — zasłużeńszych darz!
 Ja czuję się już samym nagrodzona losem.”
 Rzekłszy to, westchnie, jakby mówić już niezdolna...
 Przemyka oczy... błednie... omdlewać się zdaje...
 Szata się na niej wzdyma, pełźnie w mgłę... i zwolna
 Okrywa ją obłokiem, kulistym jak jaje,
 Który się mieni, marszczy, drga — aż rozpękł wreszcie:
 Wówczas wyłata z niego ptaszka w piór szeleście.

Ćwierknawszy, na Junony ramię leci wprost,
 A ta z uśmiechem do niej: „Ziembo, luby ptaku!
 Od sióstr twych cię nie różni pierze, ani wzrost,
 Po jakim więc, gdy wrócisz, rozpoznam cię znaku?”

Czekajże!“ — Tu, wyrwawszy złote włókno z szaty,
Wiąże je i zadziera na ptaszęcej szyi
W węzeł misterny wielce, pomysłu Hekaty,
Nie dający się dłoni rozplątać niczyjej.
On rękojmią, że w drodze Irena nie zmieni
Kształtu ni piór. — Lecz oto... już znikła w przestrzeni.

Leci, buja, powietrzna unosi ją toń,
Serce drży upojeniem i trwogą naprzemian,
Spieszno jej. Już Tessalskich lasów czuje woń,
Już pod nią stok Olimpu dostępny dla ziemian,
Ranek, świeżość, szum źródoów, gwar ptasząt w gęstwinie,
Wiosna połyskująca szatą różnowzorą —
Lecz boska ziemia o tem rozmyśla jedynie,
Gdzie Eros? — Askuryjskie mijała jezioro,
Gdy w dąbrowie, spiętrzonej nad jego zwierciadła,
Westchnęło coś... więc zaraz w te gąszcze zapadła.

Spojrzy — i niedowierza: pod jej drzewem tuż,
U źródłu, gdzie narcyzy rozsypały kwiecie,
W lubej ustroniu ciszy lamentuje... któż?
On! głośne zwykle szczęściem Afrodyty dziecię.
Na prawej dłoni główkę wsparłszy kruczowłosą,
Lewą niedbale kwiaty obrywa i liście,
Sam jak ów kwiat po burzy obarczony rosą...
Z przymkniętych oczu bożka łzy płyną rzęsiście,
Płyną, spadają rzewne po licu różanem
Wprost na strzały, leżące opodal z kołczanem.

Ziemia wśród gąszczu lipy, przytłumiając dech
Z obawy, by nie zdradzić się najmniejszym szmerem,
Drży cała; a w jej sercu brzmią tysiącem ech
Skargi, które zawodzi bóg w strapieniu szczerem:
„Biada mi!... zgiń dnia blasku! gwiazdy zajdźcie mrokiem!
Zgińcie me sny, gdy ty masz zginąć dla mnie, Psycho!

Ty, nieśmiertelna ponęt śmiertelnych urokiem,
Godna Olimpu hołdów, pyszna lilji pychą,
Królowno! czaro boskich pożądań!... Niebogo!
Tracę cię — tracę — tracę!... I czemu? przez kogo?

„Zły, niewdzięczny i w sercu zakrzepły na spiż,
Alkmeny synu! Czemże zawiniłem tobie,
Że na mnie rozhukaniem dzikich żądz się mścisz,
Trując rozkosz, do której dawno się sposobię?
Okrutniku! Wiek cały jam ochraniał ciebie
Od serca burz, skłaniając zawsze ku twój woli,
Zmiennej jak wiatr, ziemianki godne bogów w niebie,
Począwszy od Tespjosa cór do smukłej Joli —
I nigdy żadnej twojej nie karałem zdrady,
Choć w tylu sercach krwawe zostawiłeś ślady...

Sprzyjałem ci, własnemu sercu często wbrew,
Bo nie lgnę do twojej duszy oschłej i sierdzistej,
Obcej porywom tkliwszym, nieczulej na śpiew,
Winnej mordu boskiego Linosa, lutnisty;
Alem to dla mej matki czynił, Afrodyty,
I dla Zeusa, naprzekór samolubnej Herze...
I cóż mi stąd, że trwałes w walkach niespożyty,
Żeś uciśnionym chętne ramię niósł w ofierze?
Niechbym cię był zostawił twojej doli mętnej!...
Pomnisz ty jednak gniew mój, łaski niepamiętny...

„Giń!... Stargam sidła pokus, zdławię serca szal,
Który dziś miały Psychy ukoić pieszczoty,
Pójdę — i będziesz ze mnie towarzysza miał,
I poczujesz na samem dnie serca me groty.
Poznasz, jak pierś daremnie wzdycha do rozkoszy,
Gdy chłód i pycha stawia rwącej żądz tamy;
Poznasz...“ — Tu przerwał bożek: blizki szum go płoszy...
Przemknęły cienie w gaju, drżą słoneczne plamy,

Zapachniało cząbrami gór i kwieciem pola...

„Ej! — krzyknął nagle Eros — ej, synu Eola!”

— „A tuś mi!” — głos z wysoka odezwał się doń —

I wraz leciuchny, hoży, pawio oskrzydłony,

Z oczyma jak sasanki, w hyacyntach skroń,

Do gaju Zefir sfrunął, król zachodniej strony.

„Witaj i ciesz się! — wołał, w płasach i podskokach —

A naprzód dłoń mi podaj, bym przylgnął do ziemi;

O tak. Już wykończyłem twój pałac w obłokach;

Nocą Psychę przeniosę tam pod skrzydły memi.

Pójdź i zobacz ten przepych, blask, puchy łabędzie...

Dobrze wam i bezpiecznie w tem schronieniu będzie.”

„Ach — westchnął syn Cyprydy — dzięki! Ale wiedz,

Że pójść za głosem serca teraz ja nie mogę.

O, drogi mój! do czasu musisz Psychy strzedz,

Bo mnie zawistne losy gnają w inną drogę.”

Żachnął się Zefir: „Cóż to? żart, czy niespodzianka?

Ha — na dziś może lepiej: bo ten głos, te oczy,

Te łzy na grotach... Psychy niegodne kochanka.”

— „Lepiej też, że potworna zdrada się odroczy

Matki mej”, — dodał Eros. A Zefir: „Zbądź pychy!

Cha, cha! toć właśnie potwór godzien pójść do Psychy...”

I śmiał się, aż Erosa porwał jego śmiech,

Aż cały gaj zakipiał weselem i wiosną...

A w sercu boskiej ziemby brzmia tysiącem ech

Te głosy, ale w nutę łamiąc się żalosną...

I takie przygnębienie chwytła córę Nieba,

Że nie wstrzymała jęku, choć ją trwoga chłoscze...

„Śledzą nas — Sercowładny szepnął bóg — iść trzeba.”

— A dokąd? — Do Alkmeny syna. — Nie zazdroszczę!

— Żegnaj. — Wzajem! — Strzeż Psychy. — Pilnuj Hery wroga;

Mnie czeka w Tracji z uctą rzesza wiatronoga.”

Za chwilę opustoszał nad jeziorem gaj.
A kiedy się to dzieje, drżąca i s płakana
Cześćniczka bogów dąży na Olimpu skraj,
Do wrót Prometeusza, wieszczego Tytana.
Ten, wśród spiżów, z zadumą na spiżowem czole
Marzył bosko, wyzwolon z pęt przez Herkulesa,
Gdy wbiegła Hebe: „Ratuj mocarzul... W niewolę
Zaprzedan on, twój zbawca!...” Dawny Tytan wskrzesza:
„Ufaj! — rzekł. — Jam do twardszej skały był przybity.
Kto nie padał, nie wejdzie na Olimpu szczyty.”

WACŁAW POMIAŁ.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Komornicki Stefan. „Zabory i kolonizacya niemiecka na ziemiach polskich z szczególnem uwzględnieniem W. K. Poznańskiego do roku 1848.” Lwów 1894, str. 351.
Część pierwsza.

Doniosłość kolonizacyi niemieckiej i wpływ jej na ustosunkowanie się narodowościowe ludności w dzielnicach, które dopiero po 1772 r. weszły w skład państwa pruskiego, były od dość dawna przedmiotem pilnych, choć nie zawsze bezstronnych badań ze strony polskich zarówno, jak i niemieckich uczonych. P. Komornicki zapragnął, mimo to, dorzucić, jak się sam wyraża, parę cyfr do dziejów W. Ks. Poznańskiego. Nie ma on pretensyi do pisania ściśle naukowej pracy historycznej; nie podejmuje też badań nowych źródłowych. Fakta tylko znane i przez naszych, oraz obcych historyków dostatecznie stwierdzone, skrzętnie notuje, ustawiając je w jedne kolumny, które niejednokrotnie zastąpić muszą brak cyfr odpowiednich.

Ze względu zaś, że każda statystyczna praca z powodu suchości przedmiotu i nagromadzenia częstokroć samych cyfr, jest mniej przystępną dla szerszego grona czytelników, starał się ją autor ująć w przystępniejszą formę, aby nie była li tylko słownikiem zdarzeń, ale, aby posiadając zarazem pewną obrazowość, zdolną była wzbudzić większe zainteresowanie do samego przedmiotu. W okresie zaś porozbiorowym,

oparł się p. Komornicki wprost na notowaniach urzędowej statystyki pruskiej, z wyjątkiem obliczeń narodowościowych, co do których musiał przeprowadzić własne obliczenia, gdyż tamte były wprost niewiarogodnymi.

Dość obszerne ustępy przedstawiające dzieje kolonizacji niemieckiej aż do końca XVIII stulecia, pominię, zaznaczając jedynie: że choć autor zapowiedział z góry, iż pretensyi do źródłowości nie ma, jednakże ze starannością spożytkował prace niemieckie i polskie, odnoszące się do powyższego przedmiotu, przez co badaniom swym nadał charakter pełnego a zarazem interesującego obrazu. Im bardziej się p. Komarnicki zbliża do XIX stulecia, tem zaciętszy bój staczać musi, nietylko z tendencyjnymi pracami pisarzy niemieckich, lecz i z naciąganiem mocno wywodami biura statystycznego pruskiego, które swojemi obliczeniami prostować jest zmuszony.

Jak wiadomo, od końca zeszłego stulecia kolonizacja niemiecka zyskuje poparcie wszystkich sprężyn państwowych pruskich. Czyli, wyraźniej mówiąc, cała sieć administracji, grube foliały praw wyjątkowych, urzędowy język, szkoły pruskie i t. d., są na jej usługi i zawołanie. Tymczasem w kolonizowanych dzielnicach, już od dłuższego okresu lat przed rozbiorem, krzepnąć zaczyna to tętno życia narodowego, a organizm państwowy kostnieć. Fryderyk II, użalając się, „że dano mu (?) kawałek anarchii, której przeistoczeniem miał się zająć“, od razu dał poznać, jaką będzie myśl przewodnia jego reform. Zdaniem jego, mieszkańcy polskiej narodowości nie będą umieli wyciągnąć prawdziwej korzyści z nadanego im dobrodziejstwa, przez zniesienie niewoli. Najpewniejszym środkiem, który-by zdołał wszczepić w tych niewolniczych ludzi lepsze pojęcia i zwyczaje, powinno być zawsze usiłowanie zmieszania ich z Niemcami, choćby to się stać miało w samym początku z dwoma lub trzema tylko w każdej wiosce.

W r. 1775 nadszedł pierwszy tabor nowych osadników, przeważnie z Saksonii i Turynгии, a po części z Palatynatu, Szwabii, mniej zaś ze Szląska i Meklemburga. Największego napływu dostarczyła budowa kanału bydgoskiego, przez parę lat bowiem na 3-milowej przestrzeni z górą 6,000 robotników rocznie. Ogół napływu kolonizacyjnego w okresie lat 1772—1804, obliczony, z powodu braku dat szczegółowych, jedynie w przybliżeniu przez p. Komornickiego, wynosi ogólną sumę 46,355 ludzi; czyli, że w okresie 32-letnim przybywało rocznie po 1,448 ludzi. Przedewszystkiem pobrzeże nad Notecią, do 1771 roku będąc etnograficznie polskim krajem, stało się, skutkiem tej pierwszej a szerokiej kolonizacji, krajem przeważnie niemieckim.

Po 1794 r. ludność polska w Poznańskim wynosiła 74%, niemiecka 18%, a żydowska do 7%. Procenta te po roku 1815 uległy już zna-

czej zmianie; wówczas bowiem Polacy posiadali 66%, Niemcy 28%, Żydzi 6%. Okazuje się zatem w tym czasie procentowy ubytek z ludności polskiej 8.5%, przyrost zaś niemieckiej ludności, spowodowany napływem kolonizacji, 10%, a napływ ten w przybliżeniu obliczył p. Komornicki na 75,000 ludzi. Skutkiem konfiskat i dobrowolnej wyprzedaży majątków polskich po ostatnim rozbiórce, Niemcy posiadali w Poznaniu około 1806 r. już z górami 2½ miliona morgów ziemi, czyli 25% z ogółu. Na zapytanie, jak stoi dzisiaj sprawa własności ziemskiej w Poznaniu, w porównaniu z 1772 r., daje p. Komornicki bardzo smutną odpowiedź. Kiedy w r. 1772 było zaledwie 5.5% ziemi w niemieckich rękach, w r. 1892 znajduje się jej 54.8%; czyli zamiast 600,000 morgów magdeburskich, 5,903,200 tychże. Faktem więc jest, że w tym okresie czasu Poznańskie straciło połowę ziemi. Odliczywszy z tych 50% ubytku ziemi kilkanaście procentów na zabór królewski, kilka procentów na konfiskaty, pozostaje jeszcze wysoki procent na lekkomyślność własną.

Z chwilą dostania się powtórnego pod zarządek pruski, a zatem w maju 1815 r., Poznańskie liczyło według Meyera 779,000 mieszkańców. Po upływie pół roku, przyjmując ówczesny przyrost naturalny, powinna się była ludność już podnieść do 785,000. Na podstawie stosunku procentowego wyznań, jaki miał miejsce w r. 1816, wypadło-by z ogólnej sumy na katolików-Polaków 65.4%, na ewangelików-Niemców 28.3%, na Żydów 6.3%. W normalnych warunkach ludność Poznańskiego powinna-by była wzrosnąć po czterech latach (1816—19) o sumę 80,240 dusz, tymczasem wynosiła więcej po-nad tę sumę normalną o 5,737 ludzi; była-by to cyfra wyobrażająca nam przewyżkę imigracji po-nad emigrację ówczesną.

W dobie od 1816—49 r. mamy do czynienia z wybitną, a stale silniejszą dążnością napływową wyznania ewangelickiego w Poznaniu; przeciwnie, wyznanie katolickie wykazuje w tym czasie pewną chwiejność co do kierunku ruchu i wiele wcześniejszą zmianę przewyżki napływowej na odpływową. Cały napływ ewangelicki składał się z Niemców. Tych, w liczbie przechodzącej 30,000 rocznie, zwały do Księstwa rządu Flottwelowskie, których początek do tego czasu właśnie odnieść należy. Przyrost ogólny ewangelików pod koniec 1849 r. był o 19.27% większy od przyrostu ludności żydowskiej. Gdyby ewangelicy powiększali się w tym samym stosunku co katolicy, przyrost ich byłby o 43,107 osób mniejszy niż był w istocie.

Ze wszystkich prób na owe czasy przedsięwziętych, aby ludność Poznańskiego rozdzielić na dwie narodowości, sposób obliczenia Schuberta wydaje się być najlepszym i najprawdziwszym. Wychodzi on w obliczeniach swoich z podziału wyznaniowego, przyjmując na pod-

stawie badań i znajomości miejscowych stosunków następujące poprawki: z ogółu katolików około 52,000 Niemców, z ogółu ewangelików 8—9,000 Polaków. Na podstawie obliczeń Schuberta, przyjmuje p. Komornicki, że z ogólnej cyfry ludności Poznańskiego, 1,333,708,—Polaków było 804,165 czyli 60.26%, a Niemców 529,543, czyli 39.74%. Polacy zatem w okresie 1816—49 r. stracili w przybliżeniu około 5% ze swej siły udziałowej na korzyść Niemców, a pomimo to bezwzględna przewaga Polaków nad Niemcami wzrosła jeszcze w tym czasie o 30,000 ludzi. W tejsze samej dobie Polacy stracili około miliona morgów ziemi, czyli że uszczuplił się znacznie ich warsztat do pracy.

Pozwolę sobie zwrócić szczególną uwagę czytelnika na ostatni rozdział pracy p. Komornickiego, noszący tytuł: „Kilka uwag krytycznych nad spisem narodowościowym w królestwie pruskim w r. 1890.” Spis ten, uczyniony w r. 1890 a opublikowany dopiero w połowie roku 1893, pokrzywdził polską narodowość więcej niż o 200,000 głów. Mianowicie w Poznańskim nie doliczył 45,000, w Prusach zachodnich 33,000, w Prusach wschodnich 50,000, a w Szląsku 70,000, wreszcie w innych prowincjach pruskich przynajmniej 20,000. Stało się to zaś skutkiem tego, że: 1) w rubryce dwujęzykowej przyjęto dowolny i nieuzasadniony stosunek obdzielenia obu narodowości połową sumy ogólnej, skutkiem czego ludność polska straciła na tym obrachunku co najmniej 30,000. 2) Zaliczono prawie całą ludność polską w wojsku służącą do narodowości niemieckiej. Ubytek z tego powodu wynosi również 30,000, bo taki kontyngens wypada na 3-milionową ludność polską w armii niemieckiej. 3) Z niewiadomości, a często i ze złej woli, pomieszano pojęcie „Muttersprache” z „Umgangssprache”, skutkiem czego w bardzo wielu wypadkach zapisywano ludność polską, używającą w otoczeniu domowym języka niemieckiego, do tejsze narodowości. Niedokładności z tego powodu trudno bliżej określić cyfrowo, p. Komornicki jednak sądzi, że w tej rubryce szukać należy znacznej części owych 200,000, być może, że i połowy nawet. 4) Ludność polska, znajdującą się w pewnej zależności, zwłaszcza rozrzucona wśród obcych, łatwo wpisywać się mogła sama do rubryki języka niemieckiego. 5) Wreszcie ludność polska, szukająca schronienia w zakładach oraz instytucjach publicznych, niemniej przyczynić się mogła w pewnej mierze do stworzenia tej różnicy. Gdyby powyższe niedokładności usunięto, wypadło-by, że w królestwie pruskim w r. 1890 znajdowało się prawie całkowite trzy miliony Polaków.

Poprzestając na ogólnych rezultatach statystycznych badań p. Komornickiego, winienem zaznaczyć, że do niektórych cyfr dochodził za pomocą starannych poszukiwań, którym nie przewodniczyło bynajmniej jednostronne zaślepienie lub zaciekłość. Uwzględnił również

p. Komornicki literaturę historyczno-statyczną, zarówno niemiecką, jak i polską, a poddając suchym cyfrom barwniejsze tło historyczne, obdarzył nas pożyteczną pracą, w której poczucie sprawiedliwości nie zostało wykrzywionem nawet gwałtownością zadośćuczynieniu choćby najpopularniejszym tendencyjom.

A. REMBOWSKI.

„Fachowiec“, powieść p. Wacława Berenta.

Dla ludzi, którzy lubią literaturę naprawdę i w dziele sztuki zdolni są, że tak powiem, smakować, pierwsza praca zaczynającego i nieznanego autora stanowi ucztę wyjątkową, tem cenniejszą, że tak rzadko proszą do tego stołu. Nowe dzieło znanego, zapewne, ma to swój urok; bierze się książkę do ręki z zaufaniem i czeka się ze stanowczością na wrażenia, jakie nam tyle razy dano odczuć; a gdy autor po raz nowy poruszy naszą duszę, mówimy sobie z satysfakcją: „tak, to on, ten sam, ta sama siła.“ Pozwólcie mi to porównać do wiosny: skoro kwiecień się zacznie, wiecie, iż teraz będą dni słoneczne, powietrze świeże, fiolety, bzy, majowe ćwierkania ptasząt; jest to piękne, czaruje was, odmładza, porusza; mówicie: „ach! ta wiosna“; i wiecie, kiedy się to skończy—latem. Zaś pierwsza książka nowicyusza, obdarzonego tą drogocenną skrawkiem talentu,—to jak podróż po kraju nieznanym: niespodzianki, niespodzianki i niespodzianki; doznajecie nowych odcieni wrażeń, często jesteście zadziwieni, zaskoczeni i, oto mi przyjemność, w żadnym miejscu nie wiecie, czem to się skończy.

Młody autor nieraz wystawi was na zawód, to prawda; czego nie miał nikt na początku wszelakiego zawodu, to doświadczenia; i największe talenty nie stanowią wyjątku od tej reguły. Ale, czy to jest konieczna zaleta dla artysty—doświadczenie? Co do mnie, wątpię nawet, czy jest potrzebna. Powiecie, że to paradoks, ale jednak, zdaje mi się, że gdyby powieściopisarze byli istotami niezdolnymi do nabywania doświadczenia artystycznego (powieściopisarze powtarzam; z piszącymi dla sceny rzecz inna)—literatura była-by sto razy więcej interesująca, niż jest. Ten niewątpliwy przymiot: doświadczenie, największą wagę miał zawsze dla miernot i miernotom największe oddawał przysługi. Artysta, mający doświadczenie, umie zrobić, co chce, zna swoje środki, wie, co wywoła takie lub inne wrażenie. Jest to więc częściowe uświadomienie sobie tajemnic tego z natury nieświadomego daru twórczości, jaki łaskawe nieba włożyły do kołyski artysty. Otóż, czy rzeczywiście komu, a zwłaszcza czytelnikowi, może zależeć na tem, aby artysta objął świadomością swoją jak największą ilość tych

arkanów? Jeden powieściopisarz rzekł mi pewnego razu: „Gdy się napisało dziesięć tomów, jedenasty można napisać, schowawszy talent do szuflady. Nie będzie to arcydzieło, z pewnością. Ale wydawca kupi, pismo wydrukuje, a ludzie będą czytali.” •

Młodemu autorowi, którego książkę mam przed sobą, brak właśnie doświadczenia, jak rzadko komu z poczynających, ale też i posiada on zasób talentu, jak rzadko kto z nowicyuszów. Świeżość aż bije od tej książki, która nosi bardzo, co prawda, niepociągający tytuł: „Fachowiec.” Książka ta nie jest podobna do żadnej z tych, jakieście już czytali. Świetna to dla niej rekomendacja. Zresztą, osądźcie sami. Są to dzieje jednego człowieka i jednej sytuacji; a sytuacja ta, to prawdziwe *qui pro quo*, na podobieństwo tych, jakie spotyka się w farsach, gdzie hrabiemu daje się napiwek, a lokaja ugaszcza, jak księcia. Tylko, że tu roztacza się przed nami historia bardzo na seryo, że sytuacja jest dramatyczna, a losy człowieka bardzo smutne.

Młody chłopiec, Kazimierz Żaliwski, skończył gimnazjum filologiczne; ponieważ wtedy wiał po kraju wiatr pracy u podstaw, nasz bohater więc usłyszał raz, drugi, dziesiąty i setny, te mniej więcej słowa, ten mniej więcej program:

„Kraj ma dosyć adwokatów, literatów i geniuszów. Czego mu potrzeba, to prostych rzemieślników, ale dzielnych fachowców; rzemieślników z wykształceniem, samodzielnych.”

Głosiło to w ciągu kilku lat tysiąc młodych ludzi, którzy potem wszyscy pozostawali adwokatami, literatami i geniuszami.

Ale jeden młody człowiek, szerszy i lepszy od nich wszystkich, wziął to na seryo. Był to właśnie Żaliwski.

I wiecie, co stąd wynikło?

Nieszczęście poprostu.

P. Berent dał nam tu obserwację niepowседневną i niepospolitą; przeprowadził studyum, pełne szczegółów wyborzych, w którym pokazał wpływ otoczenia na duszę człowieka; ocenił ten wpływ i przedstawił jego siłę. Żaliwski, ten intelligentny i delikatny chłopiec, staje się powoli, ale fatalnie, robotnikiem, jak i inni, prostym i grubiańskim, stępałym i ordynaryjnym; wprowadzie autor, z wielkim taktem artystycznym, swojego bohatera w połowie tej drogi na dół; ale intencje p. Berenta są jasne, i co do losu Żaliwskiego nie mamy żadnej nadziei. Tyle zaś właśnie potrzeba do osiągnięcia pięknego artystycznego efektu końcowego.

Interesujące to zadanie społeczne i psychologiczne spełnił p. Berent, jak artysta; szczególnie pierwsza połowa jest subtelna i wykończona. Dramat zaczyna się bardzo prędko; ale autor ukrył go pod mnóstwem obserwacji i szczegółów z wielką sztuką, tak, że ten dramat

czytelnik niby sam odkrywa. A dramat jest prawdziwy: młody chłopiec, który byłby zdolnym dziennikarzem prawdopodobnie, inteligentny i wykształcony, z szeroko na świat otwartą duszą, siedzi przez dwanaście godzin przy bormaszynie nad pracą, w której zadaje sobie pytanie: „czy dobrze wytresowany szympanś nie mógłby z równym skutkiem” go zastąpić? Probował on na razie uczyć się toczyć, piłować. Ale wyobraźcie sobie: „nie ma gryfu.” Psuje, co weźmie w rękę ten chłopiec, którego wydrukował jednak *Postęp*. Staje się więc robotnikiem, wykonywającym robotę prostą, grubą—pracą, która płaszczy jego ducha i obcina jego skrzydła.

Ozemuż nie rzuci tego do stu dyabłów?—zapytacie.

Natura obdarzyła go, na jego nieszczęście, hartem duszy. Walczy i zwalcza się. A jak walczy? A potem—jest już za późno. Wiecie o tem, że wszystko trzeba robić w swoim czasie.

Epizody, tyjące się walk duchowych Zaliwskiego, są najpiękniejszymi może ustępami książki pana Berenta; jest tu jedno zaniedbanie się Zaliwskiego; „stało się, że któregoś dnia nie poszedł do fabryki, przez zwykłe, podle lenistwo. A jednak jak ja ten dzień wspomniałem! gdybym się chciał usprawiedliwiać, powiedział-bym może: to nie ja winien, ale słońce winno.” Słońce wyciągnęło go za most praski, za miasto, na zieleń. Piękny, pełen blasków obraz, namalował tu pan Berent, tem piękniejszy, że tak dobrze odbija od szarych kartonów fabryki, opisanej i opisywanej wybornie.

Nie możecie żądać ode mnie, abym wam kreślił wytyczne choćby punkta tej drogi, jaką przebywa Zaliwski; to trzeba samemu przeczytać; szczegółów jest dużo, a w tem sporo doskonałych.

Gdybyście jednak zapytali mnie: czy autor studium swoje wytrzymał do końca? odpowiedział-bym wam: nie, autor popełnił dość zasadniczy błąd konstrukcyjny, z powodu... tak jest, z powodu braku doświadczenia. Historia Zaliwskiego jest opowiadaniem samego bohatera; przy pomocy tego środka autor wydobył dużo uroku artystycznego; bohater nie zdaje sobie sprawy z tego, jak sytuacja jego jest ciężką i coraz cięższą; niedolę własną kładzie sobie na ramiona z uśmiechem i niesie ją z brawurą; otóż człowiek najłatwiej wzrusza się wtedy, kiedy go nikt do tego nie zachęca, kiedy życie staje przed nim samo i nagie. A to spokojne opowiadanie Zaliwskiego, nie domysławiające się, jak i dlaczego jest nieszczęśliwy, odpowiada właśnie tym warunkom; dlatego wywołuje wrażenie, budzi sympatyę, współczucie.

To samo jednak, to właśnie, że Zaliwski sam opowiada swoje losy, w drugiej części przeszkadza dziełu trochę. Zadanie, jakie sobie postawił autor, wymaga do końca wielkiej subtelności, a nawet ku końcowi może i większej, niż z początku; ten proces „prostaczenia” du-

szy Zaliwskiego ciągle bardzo powoli postępuje i pod koniec właśnie różnice gry odcieni muszą być mniej jaskrawe, delikatniejsze. Wszystko to jest właśnie tem trudniejsze do przedstawienia i do opowiedzenia, że Zaliwski staje się coraz bardziej 'duszą prostą i naturą grubą'. To też druga część w stosunku do pierwszej wydaje się trochę za sumaryczną i, kiedy przychodzą dwie główne sceny rozwiązania, czytelnik w połowie tylko jest przygotowany na usłyszenie z ust Zaliwskiego takiej apostrofy, zwróconej do rywala w licznych towarzystwie: „Ja ci, szelmo, zęby kiedyś powybijam”; i tej drugiej, zwróconej do kobiety, ukochanej niedawno: „słuchaj panna!..”

Uczyniłem tu zarzut panu Berentowi,—i teraz boję się, czy potrzebnie? i zadaję sobie pytanie, czy wobec tylu dobrych rzeczy, które nam ten młody autor przynosi, nie lepiej było-by na resztę zamknąć oczy?

Bom wcale jeszcze nie wyczerpał moich pochwał. To, co daje książce p. Berenta najwięcej życia i interesu, to jest właśnie romans Kazimierza, jego stosunek do panny Heleny, stosunek, związany z tą nieszczęśliwą epopeją fabryczną węzłami organicznymi. Jedno wpływa na drugie i obie historie tworzą razem niby całość. W tem zaś wszystko jest bardzo dobre, a najlepszą to sama postać panny Heleny. W lirze pana Berenta szczególnie dźwięcznie brzmią struny satyry i ironia; jego satyra jest delikatna, a ironia wyszukana; połowa czytelników nie spostrzeże jej; za to druga połowa spotykać będzie stale powabną postać panny Heleny z uśmiechem, nie schodzącym z ust. Jest to typ emancypantki; chciała pójść na medycynę, ale nie było sposobu; myślała więc zostać akuszerką. Ona-to jest zachwycona projektem Zaliwskiego, zachęca go i podtrzymuje na tej drodze fatalnej. Czy go kocha? Nie. On jednak decyduje się zrobić jej wyznanie miłosne; wiecie, tego dnia, kiedy to nie poszedł do fabryki, ale w pole, i kiedy wszystko na świecie, trawy i ptaki wołały doń: Hela! Hela! Wieczorem idzie do Heli; ale w stanowczej chwili brak mu odwagi; mówi coś ni w pięć, ni w dziewięć. Na co panna Helena odpowiada mu: „I ja o panu myślałam. I wie pan, co mi do głowy przyszło. Gdybyśmy tak sobie *wy* mówić zaczęli. W stosunkach przyjacielskich przecie... wreszcie, powiedziawszy szczerze, podoba mi się to.”

To *wy* wydaje mi się nieocenionem.

Posłuchajcie teraz wyznania, które miało miejsce w jakiś dłuższy czas po tym pamiętnym wieczorze.

Zaliwski pocałował ją w rękę kiedyś. Wyrwała ją natychmiast.

— Nie róbcie tego.

— Panno Heleno, ja jestem taki szczęśliwy, tak bardzo szczęśliwy, że musi mi pani...

- Więc znowu jesteście na pan i pani...
- Nareszcie biedak zdobywa się na odwagę i powiada:
- Ja przed wami coś ukrywam.
- Przede mną?
- Tak.
- Co wam się stało?
- Ja muszę coś powiedzieć.
- Co?
- Ja... was kocham.

Zdaje mi się, że nikt dotychczas nie przedstawił tej emancypacyjnej meskineryi pomiędzy mężczyzną i kobietą tak krótko, a tak do-
brze.

Po-za tą podwójną akcją i tem dwojgiem bohaterów w książce p. Berenta jest pełno ruchu i ludzi. Jest naprzód p. Kwaśniewski, spekulant na małą skalę, z gębą pełną frazesów; jest robotnik, Andrzej, chłop, z dobrem sercem i wytrawnym językiem; Zanicz, taki pan od emancypantek; kilka figur fabrykantów: Polak, Niemiec, Anglik i Francuz, którym autor nadał fizygnomię trochę ogólną, i jest wreszcie figura, najwięcej z drugoplanowych wykończona, werkmajster Walicki, ojciec panny Heleny. Wszyscy ci ludzie żyją.

Styl Berenta dosadny, prosty, w miarę obrazowy i zwięzły, aż do surowości; autor nie lubi gadaniny, nie lubi też długich objaśnień i wymaga od czytelnika, aby go rozumiał odrazu. Otóż czasem autor okazuje się zbyt wymagającym i czytelnik ma pretensję, że za mało dano mu informacyi. Tak jest naprzykład z wynalazkiem Walickiego; z próbą jego radyometru w fabryce dzieje się coś, czytelnik jest przytem obecny, a wie tylko w połowie, co to się dzieje; musi się domyślać i zgadywać; zresztą scena próby jest bardzo dobra. Toż samo można powtórzyć o przyjeździe profesora z Berlina, którego wezwano, aby sprawdził wynalazek; przyjechał on za późno, fabryka się spaliła bowiem, a wynalazca się powiesił; profesor jest, rozmawia, pyta, idzie na pogrzeb, a czytelnik nic jeszcze nie wie, kto to i co on tu robi.

Są to jednak drobiazgi, zwłaszcza wobec zalet dzieła, którego można młodemu autorowi szczerze powinszować.

WINCENTY KOŚCIKIEWICZ.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wojna chińsko-japońska skończyła się pokojem, zawartym w Simonoseki. Japonia za zwycięstwa swej armii kazała sobie zapłacić pieniędzmi, ziemią i korzyściami ekonomicznymi. Kontrybucya wynosi 200 milionów taelów; terytorya odstąpione są: Formoza i półwysep Liao-Tong w zatoce Peczili, z portem Artura; ustępstwa ekonomiczne polegają na otwarciu dla handlu i przemysłu japońskiego (a także i europejskiego) nowych portów, na zezwoleniu na import maszyn i zakładanie fabryk w Chinach i t. p. Pokój ten, gwarantujący także niepodległość Korei, podpisany ze strony chińskiej przez Li-Hung-Czanga a z japońskiej przez prezesa ministrów, hr. Ito, zatwierdzony został przez cesarza chińskiego i ratyfikowany w Czifu 8 maja.

Ratyfikacya ta jednak nie uratuje traktatu. Jeszcze zanim nastąpiła, zaprotestowały przeciwko niemu niektóre państwa europejskie, mianowicie Rossya, Francya i Niemcy. Niezadowolenie tych mocarstw dotyczy głównie części nabytków terytoryalnych Japonii. Opanowując półwysep Liao-Tong z portem Artura, Japonia stawiała by się panią zatoki peczilijskiej i wybrzeża, z którego miała-by zawsze otwartą i bliską drogę do Pekinu. Mocarstwa tedy poradziły Japonii, aby się półwyspu Liao-Tong wyrzekła w zamian za zwiększoną opłatę kontrybucyi. Dzienniki angielskie szacują wysokość tej podwyżki na 10 milionów funtów sterlingów. Japonia zastosowała się do udzielonej sobie rady; atoli jako rękojmię wypłaty kontrybucyi trzy-

mać będzie tytułem zastawu port Artur, aż do odebrania od Chin całkowitej należności. Pessymiści twierdzą, że zastaw ten zostanie w rękach japońskich bardzo długo, bo Chiny nie będą się śpieszyły z wypłatą długu.

Chiny mogą się rzeczywiście nie śpieszyć, ale nie dla tego, żeby nie chciały pozbyć się wojsk japońskich z pobliskiego Pekinowi wybrzeża. Na tem Chinom bardzo zależy. Wszelako—zależy nie samym tylko Chinom, i tutaj właśnie jest miejsce dla komplikacji. Skoro państwa europejskie zawarły koalicję, żeby Japonię zmusić do wyrzeczenia się półwyspu Liao-Tong, więc Chiny mogą stąd wyciągnąć wniosek, że choćby nie zapłaciły należności wojennej, koalicja jednak postara się o ewakuację półwyspu i portu Artura. Była-by to rachuba naiwna; Chińczycy jednak nigdy nie grzeszyli brakiem naiwności. Dotąd płacili za nią sami; teraz mogli-by nawarzyć kłopotów międzynarodowych. Dla zapobieżenia temu, mocarstwa, które interweniowały, powinny wziąć na siebie poręczenie wypłatności długu, należnego Japonii. Tak też podobno uczynić zamierzają.

Połączenie się Rossyi, Francyi i Niemiec dla wspólnej akcji dyplomatycznej na wodach chińskich sprawiło niemałe wrażenie w Europie i wywołało dużo dziennikarskiej wrzawy. Istotnie była to kombinacja osobliwa, której nic nie pozwalało przewidywać. Żeby Niemcy i Francya uczestniczyły w jednej koalicji, na to, zdawało się, że jest za wcześnie. Tymczasem ta rzecz nieprawdopodobna spełniła się. Zadaawano sobie pytanie, dlaczego? Czy zanosì się, lub czy się już dokonała jaka zmiana w stosunku politycznym państw w Europie? W rzeczywistości jednak koalicja nie była wyrazem zmiany, ale właśnie potwierdzeniem niezmienności tych stosunków. Francya poszła za Rosyą, która dała inicjatywę; zaś Niemcy rade byli przyłączyć się do spółki, ponieważ wyświadczały przez to przysługę Rossyi, z którą nie są w jednym obozie, ale o której życzliwość mocno dbają, i znajdowały przytem sposobność do wspólnego działania z Francyą, z którą bardzo, acz dotąd napróżno, chciały-by się zbliżyć. Dobre stosunki z obu sąsiadami, od wschodu i od zachodu, najlepsze, jak tylko być mogą przy istnieniu przymierza potrójnego, uważały Niemcy za jeden z przepisów głównych swojej polityki. Tak przynajmniej było od czasu ustąpienia z urzędu kanclerskiego ks. Bismarcka, który w stosunku do Francyi nie mógł się pozbyć sceptycyzmu i nie wierzył w zgodę. Przy następcach księcia rząd rzeszy stale już trzymał się zasady jak największej pojednawczości, będąc zdania, i słusznie, że jeśli najbliższym celem istnienia trójprzymierza jest utrzymanie pokoju, to przyjazne stosunki z sąsiadami państw sprzymierzonych nie tylko trójprzymierzem nie przeszkadzają, ale ułatwiają mu osiągnięcie jego zadań.

Niemcy zresztą tem chętniej przyłączyły się do inicjatywy protestu przeciw traktatowi w Simonoseki, że nie chciała jej poprzeć Anglia. Nie dlatego zresztą nie chciała, żeby się czuła zachwyconą nabytkami terytoryalnemi Japonii. przeciwko której na początku wojny próbowała zorganizować koalicję; ale że zarówno wobec Chin, jak wobec Indyi i Syamu, oddawna utrzymuje z Francją i Rosyją stosunek współzawodnictwa. Kwestya miłości własnej mogła tu odegrać także pewną rolę, w każdym razie nie wielką. Daleko ważniejszą była myśl, że politycznie będzie zostawić innym mocarstwom swobodę poróżnienia się z Japonią, która urosła raptem do znaczenia i wpływu wielkiego mocarstwa, rezerwując dla Anglii drogę do przymierza z tem mocarstwem. Otóż jak Anglii nic to nie mogło szkodzić, że Francya i Rossya odrazu zajmą stanowisko niezupełnie przyjazne dla Japonii, kiedy ona, Anglia, zamanifestowała swoją uprzejmość; tak z drugiej strony Niemcy nie uważały tego za szkodliwe dla swoich wielkich interesów politycznych, że zachęcą i ułatwią swoim udziałem akcyę na dalekim wschodzie, której Anglia jest przeciwna. Bo dla Niemiec współzawodnictwo azyatyckie Anglii z temi dwoma mocarstwami jest tak samo doniosłym czynnikiem równowagi politycznej, jak dla Anglii jest nim współzawodnictwo w Europie trójprzymierza i związku francusko-rossyjskiego. Tym sposobem zwycięstwa Japonii i wkupienie się jej przez nie do szeregu państw militarnie silnych, pomnożyły liczbę czynników gry politycznej; ale gra sama, choć może się przez to stawać bardziej skomplikowaną i obfitszą w posunięcia, ma jedną rzecz prostą i niezmienną, mianowicie, że ci sami zawsze europejscy partnerzy grają w nią o te same zawsze stawki. Prawda, że przybytek postronnych graczy może oddziaływać na rezultat, i w tem właśnie tkwi niepokojąca już dziś Europę doniosłość wojny japońsko-chińskiej. Pokazało się odrazu, że na tych dalekich wodach jest już jedna potężna flota, o której istnieniu w Europie prawie nie wiedziano, i że druga, chińska, siłą okoliczności będzie musiała się sformować. Dotychczas mocarstwa europejskie, mające tam interesa, oglądały się tylko wzajemnie na siebie; siły miejscowych żywiołów taksowane były nisko i lekceważone. Teraz już wszyscy wiedzą, że wschód jest zdolny do wydobycia dużej energii odpornej i zaczepnej, że dziś już trzeba się liczyć z Japonią, a niebawem trzeba będzie także liczyć się i z Chinami. Współzawodniczące na wschodzie wielkie mocarstwa będą się niezawodnie starały te nowe zbiorniki siły wojennej wyzyskać na swoją korzyść. Komu mianowicie uda się to i jakie stąd wynikną następstwa, o tem dziś mówić za wcześnie. Dość jest stwierdzić, że wojna chińsko-japońska z lat 1894—1895 była wypadkiem nietylko lokalnie ważnym,

i że możliwe jest, iż rozpocznie się od niej nowy rozdział w dziejach świata.

W Austro-Węgrzech zdarzył się niespodziewanie doniosły zatarg między rządem węgierskim i wspólnym ministrem spraw zagranicznych. Do Węgier przyjechał, na zaproszenie prymasa, nuncyusz papieski z Wiednia, monsignore Agliardi. Podejmowany był nuncyusz przez ludność i duchowieństwo ostentacyjnie, i w odpowiedzi na mowy, z jakimi się do niego zwracano, także głos zabierał. Rząd węgierski upatrzył w tem mieszanie się do wewnętrznych spraw węgierskich ze strony agenta dyplomatycznego. Według teorii gabinetu liberalnego w Peszcie, nuncyusz, któremu wolno jest porozumiewać się tylko z biskupami, nie powinien był publicznie przemawiać o sprawach z zakresu polityki wewnętrznej węgierskiej. Gdy to zrobił, prezes gabinetu, p. Banffy, zwrócił się z zapytaniem do ministra spraw zagranicznych, hr. Kalnokyego, jaką ma dać odpowiedź w parlamencie na interpelację, która będzie z tego powodu wniesiona.

Hr. Kalnoky odpowiedział w nocie poufnej, że musiałby naprzód znać tekst interpelacji, aby wiedzieć, o co w niej pytają. Ale interpelacja nie została dotąd wniesiona. Wobec tego hr. Kalnoky ogranicza się do uwag ogólnych. Nie ma on dotąd materialnych dowodów winy nuncjusza, bo tego, co czytał po dziennikach, nie może uważać za dowody. Zresztą trzeba się liczyć z tem, że nuncyusz, acz przedstawiciel dyplomatyczny, zajmuje wśród innych dyplomatów szczególne stanowisko; wskazuje na to już samo nadzwyczajne przyjęcie, jakiego doznał w Węgrzech. Gdyby jednak hr. Kalnoky został przez rząd węgierski przekonany, że nuncyusz przekroczył granice dozwolonej interwencji, natenczas, potępiając surowo taki brak taktu, minister gotów byłby wystąpić z odpowiednimi przedstawieniami w Watykanie.

Po otrzymaniu takiej noty, zdawało-by się, że p. Banffy nie będzie miał nic pilniejszego, jak posłać do Wiednia szczegółowy raport o podróży nuncjusza; on jednak postąpił inaczej. Naprzód zamówił sobie natychmiast u jednego z przyjaznych posłów interpelację w sprawie nadużyć nuncjusza, a potem zebrał radę gabinetową, na której krewcy Węgrzy uradzili, co p. Banffy odpowie interpelantowi. Odpowie mu tedy, że nuncyusz stał się winnym przekroczenia swoich attribucyi, że hr. Kalnoky, równie jak rząd węgierski, potępia za to nuncjusza, i że tenże hr. Kalnoky wystąpił z odpowiednimi przedstawieniami do stolicy Apostolskiej. Łatwo sobie wyobrazić zdumienie hr. Kalnokyego, kiedy się o tem dowiedział. Zdumienie i oburzenie zarazem. To też, acz umiejący panować nad sobą dyplomata, hr. Kalnoky zredukował i przesłał do redakcyi *Politische Correspondenz* notę, w której dał p. Banffyemu nauczkę. Hr. Kalnoky—powiedziano w niej—bynaj-

mniej nie interweniował wobec stolicy Apostolskiej z powodu podróży nuncjusza. Jeśli p. Banffy przypuszczał, że było przeciwnie, to nie ma on wyobrażenia o tem, co jest dyplomacya. Wystąpieniem swoim w parlamencie p. Banffy utrudnił zadanie ministrowi spraw zagranicznych, gdyby tenże chciał się skarżyć na nuncjusza. W taki sposób nie rozpoczyna się dyplomatycznych układów z zaprzyjaźnionymi dworami, do których należy i Kurya.

Wrażenie mowy Banffyego było wielkie w Austrii i Węgrzech; ale wrażenie tego artykułu stokroć je przewyższyło. Spadł on jak piorun. Jeśli Kalnoky mówi prawdę, a trudno było przypuścić co innego, więc Banffy kłamał. A jeśli Banffy kłamał...

Banffy naturalnie nie chciał zostawać pod takim podejrzeniem i natychmiast udał się do Wiednia, aby, jak twierdziły gazety liberalne, usprawiedliwić się przed cesarzem i zażądać zadośćuczynienia za zniewagę, wyrządzoną przez hr. Kalnokyego gabinetowi węgierskiemu. Cesarz orzekł, że obaj zwaśnieni ministrowie powinni pogodzić się, zostać na posadach, i że p. Banffy tytułem zadośćuczynienia może odczytać w parlamencie ową pierwotną poufną notę Kalnokyego. Tak się też stało, przytem najnaiwniejsi liberałowie naprawdę wierzyli, że p. Banffy otrzymał jakąś satysfakcyę, mniej naiwni udawali, że w to wierzą, a pozostała publiczność czyniła sobie zabawę z tej naiwności i z tej wiary. Epizod ten jednak kwalifikuje się nietylko do śmiechu, ale i do bardzo poważnego zastanowienia. Zachodzi bowiem pytanie, czy był to ze strony p. Banffyego tylko nietakt i nieznanie form procedury dyplomatycznej. Trudno to przypuścić, zwłaszcza, że odpowiedź Banffyego na interpelacyę uradził zbiorowo cały gabinet, a więc takie kolegium, w którem są niezawodnie ludzie, znający wszelkie procedury. Nasuwa się też myśl, że stało się tu coś ważniejszego, że mianowicie rząd węgierski wykonał próbę usamowolnienia swojej polityki zagranicznej, ewentualnie większego niż dotąd uzależnienia od siebie wspólnego ministra spraw zagranicznych. Ten minister „wspólny” jest właściwie ministrem cesarskim, nie jest bynajmniej węgierskim. Staje tylko przed delegacyami obu połów monarchii i tylko przed niemi składa wyjaśnienia; ale też na oba rządy osobne spogląda on trochę z góry. Rząd węgierski, który chciałby mieć „swojego” ministra spraw zagranicznych, spróbował potraktować hr. Kalnokyego tak, jakby ten już był takim „swoim.” Hr. Kalnoky jednak nie pozwolił się sterroryzować i dał Węgrom szorstką odprawę. Otóż teraz, po chwilowem załagodzeniu nieporozumień osobistych, gabinet węgierski naradzał się nad tem, jakie być mogą konsekwencye nieuniknionego złego stosunku między rządem węgierskim i wspólnym ministrem spraw zagranicznych. Postanowiono między innemi wezwać hr. Kalno-

kyego, aby interweniował w Watykanie z powodu podróży nuncjusza, nadmieniając, że gdyby hrabia dość szybko i dość energicznie tego nie uczynił, „rząd węgierski sam bezpośrednio porozumie się z Watykanem.”

Ta ostatnia pogrożka jest tak jaskrawą, że aż się w nią wierzyć nie chce. Była-by w dodatku niekonstytucyjną. Ale właśnie doniosłość epizodu w tem leży, że sięga on tendencjami po-za ramy obecnej dualistycznej konstytucyi. I można tylko dodać, że czy gabinet węgierski rozmyślnie wszczął tego rodzaju zatarg, czy też popadł w niego przypadkiem, przez nierozwagę i lekkomyślność ministrów, co także jest możliwe, to w każdym razie wszedł na drogę, dla dzisiejszego **ustroju monarchii** wielce niebezpieczną. **Ten rys sytuacji jest tak ważnym, że pokrył całkowicie drugą stronę epizodu, mianowicie zatarg rządu węgierskiego z Kuryą, zasnęły dziś na dalszy plan w porządku uwagi publicznej.**

We Włoszech, po sześciomiesięcznych rządach Crispiego bez parlamentu, który korzystał z przymusowych wakacji, ogłoszony został dekret królewski, rozwiązujący tak wypoczęty parlament i rozpisyjący wybory do nowego. Zawzięta walka toczy się w tej chwili około osoby Crispiego, którego imię zastępuje program rządu. Czy zwycięży? Kiedy będziemy pisali przyszłą „Kronikę”, już to stanie się wiadome, wówczas też rozpatrzmy bliżej sytuację, jaką wytworzy rezultat wyborów.

W roku bieżącym cały świat chrześcijański obchodził jednocześnie uroczystość Zmartwychwstania Chrystusowego. Niema chyba człowieka, na którego to wielkie święto nie robiło-by szczególnego wrażenia. Nie w każdym ono się rodzi na tle uczuć nabożnych; może tu w wielu razach działają czynniki psychologiczne, może siła tradycji i wspomnień z dzieciństwa, wreszcie urok przyrody budzącej się do życia. Wszystko to są takie podkłady w duszy ludzkiej, które nie dadzą się nigdy wyrugować ani trzeźwym rozumem, ani rozmyślnem zabijaniem w sobie poezyi dziecięcej i pacholecej. Przez najzimniejsze rozumowanie przebiegają owe promienie idealne i dziwną barwę wnoszą do widnokregu naszych pojęć, rozumowań. Zmartwychwstanie Pańskie ma urok nie tylko jako idea, ale nawet niegodne jej dekoracje — zabytek uzmysłowania pojęć oderwanych wśród tłumów ciemnych. Jeżeli wśród warstw ukształconych zwyczaj te mają wielkie znaczenie i siłę, to nie dziwny się, że ciemni lub nawpół ciemni nie mogą zrozumieć świąt wielkonocnych bez święconego. Na tym zwyczaju rozrósł się handel sezonowy; przekupnie, spekulanci i wszelkiego rodzaju przedsiębiorcy mają w ciągu kilku dni obfite żniwa, na które czekają

rok cały. *Kuryery* obliczają, ile pączków Warszawa zjada podczas karnawału. Trudniej nieco ze statystyką świąt wielkonocnych; dlatego czytelnicy nie mogą się dowiedzieć, ile szynek, prosiaków, jedorów, kop jaj, babek i placków utonęło w żołądkach tłumów świętujących. Jeszcze było-by ciekawsze obliczenie, ile przedtem fantów spoczęło w lombardach. Na święcone musi się zdobyć najuboższa rodzina; więc powiększa surowość postu, suszy przez kilka tygodni, zapożycza się, zanosí najpotrzebniejsze rzeczy do fanciarni, byleby na święta zastawić dużo mięsiwa, skropić je obficie wódką i piwem. Zwyczaj ten wielu prowadzi do zupełnej ruiny i nędzy, wnosi do domów chorobę. Długotrwały, szczery post, zakończony niestrawnem, ciężkiem jadem, działa wprost zabójczo na organizmy. Nie jest to żadne przypuszczenie, lecz zjawisko stwierdzone licznemi faktami. Zarówno na wsi, jak i w mieście, zwykle po Wielkiejnocy mnożą się tyfusy brzuszne, febry, dysenterye i t. d. Jest to najniebezpieczniejszy sezon dla ubóstwa — ruina fizyczna i materyalna. A jednak proponujemy tym ludziom zniesienie zwyczaju czczenia wielkiej uroczystości przez żołądek! Oburzenie nie miało-by granic. Natomiast obowiązkiem ludzi niezamożnych lecz oświeconych powinno być wyrzeczenie się tradycyi, bez najmniejszej krzywdy dla uczuć religijnych. Od pewnego czasu istnieje u nas bardzo dobry zwyczaj składania drobnych ofiar na cele dobroczynne, zamiast powinszowań noworocznych. Jakże była-by korzystną i pożądaną pod każdym względem zamiana przyjęć wielkonocnych na tego rodzaju uczynki! Niejeden na to zawoła: Co pan za herezye proponujesz? Toż krzywda dla handlu, dla drobnych przedsiębiorców i dostawców, którzy wzmacniają lłchy grunt swego istnienia przez ten właśnie zwyczaj. Nie trudno wszakże odeprzeć to twierdzenie. Więcej niż ci uczciwi przedsiębiorcy i dostawcy zarabiają najzwyczajniejsi spekulanci, nie przebierający w środkach. Zresztą przypuśćmy, że się ożywia handel w zakresie potrzeb świątecznych. Ale zestawmy interesa tego handlu z interesami wielkich tłumów, czczących uroczystości świąteczne przez obfite zastawy. Ucierpi garstka handlujących, a zyskają masy na oszczędności domowej, i — potrzeby powszechne przez ofiary, złożone zamiast przyjęć wielkonocnych. Kupcy i handlarze nie zbankrutują, gdyż swoją zabiegliwość postarają się rozwinąć w innych zakresach, a natomiast zyska ogół, zmniejszy się suma jego ruiny materyalnej i fizycznej.

Początek wiosny przyniósł nadspodziewaną ruinę setkom tysięcy ludzi w całej Europie. Zrazu nawiedziły ją powodzie po ciężkiej, śnieżnej zimie, zabrały mienie a nawet tu i owdzie życie ludzkie. Jeszcze świat nie zdołał ochłonać z tego wrażenia i szkód obliczyć, gdy nade-

sza nowa klęska. Oddawna niepamiętne trzęsienie ziemi nawiedziło Austryę południową i Włochy górne, objęło Alpy południowe i wschodnie, Karst, Styryę, Krainę, Chorwacyę, Dalmacyę, Bośnię, aż do Rawnny, Florencyi i Rzymu, a na północ do Salzburga i Wiednia. Wiele miast i miasteczek uległo niemal zupełnej ruinie, w Lublanie wszystkie domy uszkodzone i cenne muzeum zniszczone. Przestraszył ludzi, najbardziej potęgujący się w tłumach, powiększył rozmiary klęski, gdyż wielu w popłochu straciło zdrowie i życie.

My, marzący o pięknym błękitie włoskim, o precudnych panoramach górskich i morskich, o gorących, jaskrawych promieniach południa, siedzimy teraz spokojni, szczęśliwi, pod swoim niebem, więcej szarem niż pogodnem, i myślimy w duchu: lepsza nasza jesień długa, ołowiana, nasza zima surowa, wiosna chłodna, lato krótkie, niepewne, niż te wasze wszystkie piękności, to powietrze lecznicze... dla zdrowych. Mamy swoje powodzie i pożary, swoje katastrofy i nieszczęścia, ale tych Europa nie widzi, nie roznosi na wsze strony świata w telegramach i listach groźnych. Cierpimy dla siebie. Tymczasem każde zjawisko nadzwyczajne w przyrodzie pobudza czujność i badawczość uczonych, a zarazem stwierdza niemoc nauki, która nie może rozedrzeć tajemnic nawet swej rodzicielki — ziemi. I co za ironia! — Gdy owa nauka potrafi sięgać w nieskończoną przestrzeń, dokładnie mierzyć i ważyć światy na odległości milionów mil, gdy umie rozpoznawać na dalekich planetach lądy i morza, dostrzegać zmiany na nich, obliczać, bieg, przecięcia dróg, wskazywać z idealną dokładnością nie tylko dnie, ale minuty i sekundy zaćmienia słońca lub księżyca, ta sama nauka jest niemal zupełnie ciemna w zakresie geologii. Nie potrafiła ona rozpoznać wnętrza naszego globu, stworzyła kilka hipotez trzęsienia ziemi, które wszystkie nie wiele są warte i mało uczą. Czem jest właściwie to trzęsienie ziemi? Czy sami uczeni wierzą w swoje przypuszczenia? Długie jeszcze wieki miną, zanim łono ziemi roztworzy ludziom swoje tajemnice; ale wtedy może już one nie będą potrzebne.

Tymczasem ludzie się bawią i roją o urzeczywistnieniu fantastycznych obrazów Verne'a; przyszły cud świata, już nie wiem który, t. j. powszechną wystawę „przełamowowiekową“ w Paryżu chcą uświetnić „Podróżą do środka ziemi“, porobić jakieś galerye na znacznej głębokości i stosownie do wzrastającego tam ciepła, umieszczać rośliny ze wszystkich klimatów. To ciepło da się później zużytkować jako motor nieobliczonej siły. Naiwni, nie obdarzeni najmniejszą drobiną krytycyzmu, przyjmują z zachwytem ten pomysł i wierzą w doskonałość dzisiejszej techniki, która potrafi takie cuda dokonywać w ciągu paru lat,

wywiercić otwory w ziemi tak głębokie, żeby można było czerpać stamtąd energię ciepła. Na taki pomysł mógł tylko wpaść albo pospolity żartowniś, albo—filozof, pełen wielkiej miłości dla świata i sarkazmu dla jego urządzeń. Na powierzchni tej ziemi widzi on tak mało ciepła, że każe szukać go w jej głębi.

Czy rzeczywiście świat szlachetnych uczuć ludzkich wystygł tak dalece przy wszechwładnem zapanowaniu „interesu”? Życie daje nam czasem niespodzianki, tem silniejsze, gdy, w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego, patrzymy wprost w inną stronę. Gdy np. w warstwach „nieokrzęsanych” przyzwyczailiśmy się widzieć tylko „brutalne instynkta”, gdy lekceważyliśmy uczucia „prostaków” i nie wierzyliśmy w ich siłę moralną, tam niespodzianie wyrastają czyny miłości bliźniego wprost z serca, gdy w sferach oświeconych ów kwiat najczęściej zakwita pięknie... na ustach, pod nazwą „altruizmu.” Ten szlachetny porryw duszy i serca, tak ochrzczony, zdołał już przejść do słownika „flirtu.” Młodzieniec wymawiający w salonach z akcentem deklamatora: „altruizm” — zamknął-by oczy na widok tonącego, bo skórka zajęczką ma serce obszyte a wypieszczona niezdarność w życiu towarzyskiem nie pozwoliła-by pośpieszyć z pomocą. Lecz oto idzie sobie prostak, zwyczajny młynarz, i widzi, jak uczeń jakiś na ślizgawce zalamuje się i tonie. Bez namysłu więc rzuca się, i sam, pociągnięty przez tonącego, znika pod lodem. Po chwili szamotania się, przebijając cienki lód głową i wyciąga chłopca z toni, trzymając go zębami za ubranie. Tacy bohaterowie są nam znani, ale czworonożni z góry św. Gotarda, albo dwunożni tylko z bajek. Tymczasem życie nam daje fakta rzeczywiste i to z tych sfer, które przyzwyczailiśmy się lekceważyć pod względem siły uczuć miłości bliźniego. Prostym młynarzem, zapominając, że ma obowiązki bliższe, żonę i dzieci, rzuca się pod lód, wydobywa nieprzytomnego młodzieńca i sam, wydostawszy się z wody, traci przytomność z wysiłku i zimna. Dobrzy ludzie obu ogrzeli i przywrócili im zdrowie. Wypadek ten nie jest fantazją reportera, lecz zaczerpnięty z poważnego sprawozdania instytucji, o której mało kto u nas słyszy: Towarzystwa ratowania tonących. Cała jego działalność polega na udzielaniu nagród dzielnym jednostkom, niosącym pomoc z narażeniem własnego życia. Zakres skromny, bo stowarzyszenie nawet nie posiada członków *czynnych* w całym znaczeniu tego słowa. *Czynni*—to stojący po-za instytucją: zwyczajni przewoźnicy, rybacy, albo przechodnie, wszystko prostacy, którzy, na widok zagrożonego życia bliźniego, nie wahają się własnego narażać, pod wpływem nieświadomie wzbierających uczuć—bez nazwy. I rzecz dziwna! gdy one w warstwach oświeconych, „trzeźwych”, obejmujących „szerokie widnokregi”, gasną i do

sztucznego rozniecania wymagają silnych mieszków etycznych, „prosty człowiek” z nadmiaru tych uczuć własne swe istnienie lekceważy dla uratowania innego. Ten sam prostak, ocaliwszy życie tonącemu, może go pchnąć nożem w przystępie namiętności za krzywdę własną lub innej, żywo go obchodzącej osoby. I tu, i tam działa wezbranie, nadmiar uczuć, lecz jakże odmiennych! Psychologia w ostatnich latach zrobiła ogromne postępy: posiada własne instytucje, pisma, laboratoria; ma jednak przed sobą jeszcze niezmierzoną, bogatą, niezbadaną dziedzinę, ma te niezgłębione skarby duszy ludzkiej, które czasem dziwnie — najszacowniejsze i najszlachetniejsze — leżą pod grubą warstwą mętów tej duszy i często z pod nich tryskają czystą, kryształową fontanną, jak strumień wody źródlanej z pod powierzchni bagnistej. Czy psychologia ta dojdzie kiedyś do szczytu takiego rozwoju, do uświadomienia się w tłumach w takim stopniu, iżby mogła sztucznie wyrobioną siłą tych szlachetnych, czystych uczuć zupełnie pokonać pierwiastki złego? Zbyt ryzykownem byłoby dawanie na to dzisiaj odpowiedzi. Można tylko — i należy ciągle dążyć ku temu. U nas jednak rozwiązanie szlachetnych pierwiastków duszy i serca złożono niemal jedynie na pedagogię, mówiąc nawiasem — niezdarną, a zapomniano o tem, że je życie może rozbudzać. Dzielność atoli moralna nie zawsze obiera siedlisko w lichym organizmie fizycznym, nie zawsze bywa, jak chce przysłowie: *spiritus fiat ubi vult*. Stosuje się to tylko do natur wyjątkowych o wielkich duszach. Natomiast, ogólnie biorąc, faktem jest, że gnuśność fizyczna sprowadza apatię moralną, wypacza charaktery i zabija w nich zarodki najcenniejsze. Zasadą więc pedagogii szkolnej i społecznej powinno być to, co już starożytni wzięli za dewizę w systemach kształcenia zdrowych dusz. Tymczasem u nas wiotki młodzieniec lub panna, zdolni do zgrabnych *pas* walcowych na posadzce i piruetów na lodzie, pójdą jak kamień na dno rzeki lub stawu, utoną nawet w zwyczajnej kałuży. Może dziesięciu albo dwudziestu patrzeć na tonącego tuż człowieka, ręce załamywać, a nie módz go ocalić. O wiele więcej mamy dobrych wincistów i bilardzystów, niż zręcznych pływaków; a gdybyśmy tak niedyskretnie spytali z osobna każdego wiosłarza, czy, mając do czynienia z wodą, umie pływać, a przynajmniej wiosłować, z pewnością znaczna większość odpowiedziałaby, że ani z jednym, ani z drugim nie miała nigdy do czynienia. Dzieje się to nietylko na Wiśle.

Niedawno jakiś podróżny na morzu Kaspijskiem, jadący do Uzun-Ada, zobaczywszy na okręcie *pas* ratunkowy, zapragnął poznać się ze sposobem jego użycia; ale, niestety, żaden marynarz nie umiał mu dać żądanych wskazówek. „Nas tego nie uczono” — odpowie-

dzieli mu wszyscy. Nie uczono — pomimo że przeszłoroczna straszna katastrofa ze statkiem „Włodzimierz“ na morzu Czarnem, między Krymem a Odessą, powinna być bodźcem do zachowania wszelkich ostrożności. Pewien mój znajomy, który się bał napadu zbójów, woził zwykle z sobą rewolwer... starannie zamknięty na dnie kuferka. Kiedy wreszcie do niego zajrzał, broń zardzewiała nie była już zdadna do użytku bez gruntownej naprawy. Takie samo mają znaczenie pasy bezpieczeństwa na statkach morskich, a narzędzia straży ogniowych w małych miasteczkach, wsiach i osadach. Nietylko pływać nie umiemy, ale nie mamy dostatecznie zapewnionego ratunku w razie katastrofy na wodzie. Mamy straże ogniowe ochotnicze, ale przy najlepszych chęciach możemy spłonąć z całym mieniem. To są braki w życiu codziennym bardzo dotkliwe, które wymagają najspieszniejszego usunięcia. Straże podobno kiedyś tam będą przekształcone i wzmocnione. Z pływaniem gorzej. Tu należało-by stworzyć obowiązkową naukę w szkołach, na wzór gimnastyki, wszędzie — w miastach, miasteczkach i wsiach. Trzeba było-by i starszych nakłaniać do zdobycia tego środka bezpieczeństwa. W tym właśnie zakresie Towarzystwo ratowania tonących miało-by szerokie pole do działania i mogło-by nieocenione usługi oddać społeczeństwu.

Zima i wiosna są niebezpiecznym okresem dla podróżnych na kolejach żelaznych. Zasy bowiem i roztopy, tudzież powodzie, najczęściej prowadzą wypadki, których parę już zanotowano w najświeższych kronikach. Ale inne pory roku nie przedstawiają również wielkiej rękoi bezpieczeństwa, tem bardziej w miesiącach zwiększonego ruchu, a więc pomnożenia pociągów. Nowe taryfy wpłynęły znacznie na ożywienie wszystkich niemal linii kolejowych w całym państwie. Najświeższe dane wykazują bardzo pomyślne rezultaty, bo, wbrew przewidywaniom strat, w pierwszym półroczu po reformie wykazano w dziale pasażerskim zwiększone dochody w stosunku do odpowiednich pozycji z roku poprzedniego. O wiele wszakże ciekawsze są pod innymi względami wyniki niższej opłaty za przejazd. Ci przedsiębiorcy, którzy załatwiali zbyt powoli, listownie, sprawy handlowo-komisowe, dziś czynią to osobiście, co znacznie wpływa na ożywienie transakcji. Obecnie zaś w sezonie wycieczek zapowiada się niebywały ruch turystów krajowych i zagranicznych. To samo można przewidywać w zakresie ożywienia miejscowości kuracyjnych. Zyskają więc na tej ważnej reformie nietylko koleje żelazne, ale wszelkie zakłady lecznicze, stacje klimatyczne i kąpielowe, ulubione miejsca wycieczek, w końcu sami podróżni, szukający wypoczynku, ratunku dla zdrowia, wrażeń po uciążliwej, gorączkowej pracy całorocznej, albo — środ-

ków istnienia na różnych krańcach świata. Tych kilka wymienionych wyników znizenia kosztów jazdy aż nadto dobrze chyba maluje doniosłość udogodnienia.

Uboga i niezamożna ludność miast wielkich z niecierpliwością oczekiwała ułatwień podróży kolejowej w obrębie tak zwanych pasów podmiejskich, t. j. na terytorium letnich mieszkań i tych miejscowości, których ludność istnienie swoje opiera na ciągłych stosunkach handlowych z temi środowiskami życia i interesów. Obecnie rozmaitego typu bilety sezonowe już wprowadzono; różnią się one nieco od dawniejszych, ale jeszcze nie zapowiadają tych udogodnień i ulg, o jakich myśłano. Przedewszystkiem są tylko „sezonowe“, a to jest największą wadą w podtrzymywaniu stałych stosunków okolicy z miastem.

Śmierć w ubiegłym miesiącu poczyniła znaczne szczyrby w szeregu ludzi znanych i zasłużonych. Dnia 20 kwietnia w nocy zakończył życie w Warszawie Ludwik hr. Krasiński. Imię jego jest związane z ruchem przemysłowym Królestwa Polskiego. Nadzwyczaj energiczny i czynny, skrzętny, zabiegliwy i dobry gospodarz, rozrzucił różne ogniska przedsiębiorczości w kraju, stworzył wiele źródeł wytwórstwa, które dały pracę licznym rzeszom ludzi. Ś. p. Krasiński pospołu z Leopoldem Kronenbergiem przeprowadził budowę kolei żelaznej Terespolskiej, w r. 1876 założył Muzeum przemysłu i rolnictwa, prawie wyłącznie swoim nakładem wydał „Encyklopedyę rolniczą.“ Był prezesem Towarzystwa przemysłu i handlu, zawsze czynny, zawsze obecny na wszelkich posiedzeniach. Założył śród Kurpiów fabrykę guzików rogowych, szerzył garncarstwo i t. d. Prawie we wszystkich wybitniejszych instytucjach finansowych i towarzystwach Krasiński brał udział. Jego liczne majątki w kraju słyną z wzorowego gospodarstwa; nieboszczyk nadto miał kopalnie we Włoszech. Ś. p. Ludwik Józef Adam hr. Krasiński urodził się r. 1833 w Krasnem z ojca Augusta i matki Joanny z Krasińskich. Wychowanie domowe dopełnił w pensyonacie warszawskim J. N. Leszczyńskiego, następnie pod kierunkiem b. pułkownika Paszkowskiego. Studya dokończył w Paryżu w szkole centralnej. Po powrocie do kraju zajął się gorliwie gospodarstwem rolnem, głównie w Krasnem, gdzie założył słynną stadninę. Wielki majątek nieboszczyk zapisał w znacznej większości swej jedynaczce 12-letniej, Ludwice, z drugiego małżeństwa. Obdarzył dożywotniemi pensjami swoją służbę.

Dnia 22 kwietnia zmarł Bogumił Foland, wice-prezes teatrów warszawskich, człowiek, który na trudnem stanowisku umiał za-

chować równowagę i zjednać ogólną sympatyę nie tylko pracowników sceny, lecz i szerszego ogółu. Liczne wieńce, wspaniały, tłumny pogrzeb, były najlepszem świadectwem uznania i żalu powszechnego. Zmarły niemal do ostatniej chwili życia był czynnym w różnych instytucjach, dbał o dobro artystów; to też dzięki jego zabiegom, powstała dla nich kasa pożyczkowa i utrwaliła swe istnienie. Przed rokiem przyjął stanowisko prezesa komitetu Towarzystwa muzycznego. Ś. p. Foland w r. 1854 wszedł w skład pracowników komisji skarbu Królestwa Polskiego w wydziale dochodów niestających; r. 1865 został pomocnikiem archiwisty, potem buchalterem dyrekcji teatrów rządowych. Roku 1875 po śmierci Bojanowskiego otrzymał stanowisko dyrektora teatrów, a 1880—vice-prezesa dyrekcji.

Jednocześnie (22 kwietnia) zgasł Aleksander Michaux (Miron), poeta, od lat dziesięciu zapomniany niemal zupełnie. A jednak zabłysnął on światłem niezwykłym, rozwojowi jego talentu przepowiadano przyszłość wielką. Życie z tych wróżb zadrwiło. Poeta, wszedłszy do młyna dziennikarskiego, podłożył pod jego kamień swoją twórczość. Wyszedł stamtąd z obciętemi skrzydłami, ze spopieloną fantazyą i strzępkami energii. Bezsilny, w ostatnich latach skazał się na wegetację i zapomnienie. Młodzi, niezbyt gorliwie studujący literaturę własną, czytają zdziwieni w nekrologach to imię, które do ich uszu po raz pierwszy wpada. Spuścizna po Mironie niewielka: zbiorek poezyi p. t. „Pieśni“, wydany r. 1867, „Fantazyje“ („Bez Boga“, „Ostatni sen Tassa“ i „Ze smutnych powieści“), wydane r. 1870; wreszcie tomik „Poezyi“, wydany r. 1885. Roku 1867 Miron wraz z Wacławem Szymanowskim i Janem Chęcińskim wszedł do redakcji „Kuryera Warszawskiego“ i od tego czasu poświęcił się przeważnie pracy dziennikarskiej, która mu fantazyę odebrała. Umiał jednak przez pewien czas prozą ożywiać pismo.

Przed paru laty na tem samem miejscu poświęciliśmy słów kilka Władysławowi Frankowskiemu, z powodu jego długoletniej działalności na polu medycyny. Obecnie wypada nam poświęcić mu wzmiankę pożgonną. Ś. p. Frankowski zmarł 13 kwietnia w Charkowie, pozostawiając po sobie żal wielki, jako serdeczny „przyjaciół ubogich.“ Ten piękny tytuł, obok wielu innych zasług, zyskał on sobie dawno. Pomimo bowiem nadmiaru pracy, poświęcał dużo czasu i sił na bezinteresowne leczenie ubogich, a nawet sam kupował nędzarzom lekarstwa. W Charkowie pracował około *pół wieku* i zyskał tytuł honorowego obywatela tego miasta. Frankowski, urodzony r. 1819 w powiecie Mo-

zyrskim gub. Mińskiej, skończył w Mozyrzu szkołę pięcioklasową, następnie wstąpił do Akademii lekarskiej w Wilnie, po roku zaś przeniósł się do Charkowa i tam, po skończeniu medycyny, został ordynatorem kliniki terapii i akuszeryi. Brał czynny udział w miejscowem Towarzystwie dobroczynności. Pozostawił po sobie pamięć niezatartą, jako zacny człowiek, obywatel, niestrudzony, rzetelny pracownik i uczony.

Wiadomości bibliograficzne.

— Dnia 2 kwietnia na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie prof. dr J. Tretiak odczytał treść swej rozprawy p. t. „Do genezy młodzieńczych utworów Bohdana Zaleskiego.” Autor przypomina entuzjastyczne sądy Mickiewicza i Michała Grabowskiego. Do utworów, które największy zachwyt obudzały, należą „Rusalki.” Występujące tam postacie fantastyczne różnią się znacznie od wyobrażeń ludowych ukraińskich, z których jakoby były zaczerpnięte. Dla wykazania charakteru eterycznego w „Rusalkach”, autor sięga do utworu tegoż poety, w którym one ukazują się po raz pierwszy, t. j. do ballady „Lubor.” Drukowana w „Pamiętniku Warszawskim” r. 1822 jeszcze przed wyjściem na świat ballad Mickiewicza, miała przypisek, dodany przez poetę przy tytule: „Ze śpiewów ludu.” Szczegół ten krytyka przyjęła z dobrą wiarą. Dopiero Kołosa w swojej rozprawie o motywach ludowych w poezji Zaleskiego nie dopatrywał tam nic ludowego, oprócz nazwy „Rusalek” i orzekł, że napisana jest w duchu Goethego lub innych romantyków niemieckich. P. K. był na dobrej drodze, ale nie dotarł do źródła utworu „Lubor.” Tem źródłem była ballada Uhlanda „Harald”, drukowana w zbiorze jego poezji r. 1815. Otóż główny pomysł żywcem stamtąd jest wzięty, trochę tylko przerobiony w duchu „Śpiewów” Niemcewicza. Prof. Tretiak porównywa obie ballady, wykazuje różnice, podobieństwa.

Prof. dr Malinowski podał treść swojej pracy p. t. „Glossy polskie w rękopiśmie Biblioteki Ossolińskich z r. 1438 № 379.” O tym samym rękopisie prof. M. ogłosił już następujące prace: 1) Tekst polski hymnu „Salve Regina” oraz stosunek jego do innych tekstów z w. XV (Rozprawy Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności). Kraków, 1889. 2) „Wiadomość o szczątkach Ewangelii cerkiewno-słowiańskiej pisma ruskiego w rękopiśmie № 379 Biblioteki Instytutu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.” O tych samych fragmentach prelegent złożył szczegółową rozprawę na posiedzeniu Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności d. 12 listopada 1894 r. W rękopisie powyższym znajdują się „Sermones”, na których czele umieszczono ustępy z listów i z Dziejów apostołskich. Śród tych ustępów znajdują się glossy łacińskie i polskie, pisane tą samą ręką co tekst. Prelegent składa zupełny słownik glos polskich i podaje niektóre właściwości pisowni i języka.

Sekretarz zdał sprawę z posiedzeń komisyyi. Na jednym z nich (komisyya historii sztuki) prof. Sokołowski zawiadomił, że otrzymał zapowiedź nowych wiadomości o arrasach Zygmunta Augusta, zwanych „Potopem”, których jakąś część miano odszukać w okolicach Witebska, co jednak jest wielce wątpliwem.

Prof. Sokołowski zaznaczył następnie, że były dyrektor Muzeum germańskiego w Norymberdze, p. Hans Bösch, ogłosił nowy szereg nieznanych jeszcze wzorów złotnika poznańskiego, Erazma Kamyna, z r. 1552, z łacińskim bardzo charakterystycznym napisem. Prof. S. zapowiada nowe studyum o Erazmie Kamynie. W dalszym ciągu zwrócił on uwagę Komisyyi na publikację p. Juliusza Kotheo p. t. *Verzeichniss der Kunstdenkmäler der Provinz Posen*. W końcu p. L. Lepszy zdał sprawę z prac prof. S. Odrzywolskiego p. t. „Zabytki przemysłu artystycznego w Polsce” i prof. St. Barabasza p. t. „Ornament płaski na pomnikach krakowskich.”

Na posiedzeniu ściślejsem prof. dr J. Baudouin de Courtenay zdał sprawę z dzieła, złożonego w rękopisie p. t. „Walenty Skorochód Majewski: Gramatyka języka tureckiego.” Na podstawie pierwszego litograficznego wydania, do druku wygotował, uwagami, dopełnieniami oraz wstępem zaopatrzył Damian Rolicz Liedera. Jest to jedyna gramatyka języka tureckiego, napisana po polsku. Nie daje ona nowych samodzielnych badań i ogólnych poglądów na stanowisko języka tureckiego w dziedzinie innych pokrewnych, ale za to przedstawia staranny i ze znajomością rzeczy opracowany zarys nauki praktycznej. Od czasu ułożenia tego podręcznika przeszło już lat 60, ale można go dziś używać z korzyścią. Dodatki p. Damiana Rolicza Liedera podnoszą wartość pracy Majewskiego.

— *Józef Wolff*. „Kniaziowie litewsko-ruscy od końca czternastego wieku.” Warszawa 1895, str. 698.

Zadaniem obecnej pracy, oświadcza w krótkiej przedmowie sam autor, jest rys dziejów wszystkich kniaziów, osiedlonych bądź odwiecznie, bądź chwilowo, na obszarach ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego w połączeniu z Polską. Praca ta nie byłaby zupełną, gdyby po kniaziach rzeczywistych nie wspomnieć o tych, którzy tego tytułu używali w innym znaczeniu, jak również i o tych, których tradycja kniaziostwa powstała dopiero w późniejszych czasach. Do tej liczby należą, oprócz osób stanu duchownego, to jest księży, których na Litwie w XV i XVI-tym wieku tytułowano kniaziami, kniaziowie tatarscy (mahometanie), kniaziowie na wsiach wołoskich, a nadto liczny szereg więcej lub mniej znakomitych rodzin litewskich z nieuzasadnionymi pretensjami do pochodzenia kniaziowskiego, czyli pseudo-kniaziowie.

Ze spisu źródeł i z krytycznego posługiwania się niemi widzimy, że autor porzucił szlaki pp. Kosińskiego i Żychlińskiego, pragnąc natomiast z obszernego dzieła swego uczynić pracę pomocniczą dla historii, w rzetelnem tego słowa znaczeniu. Nie schlebienie prywatnym ambicyom lub nieuzasadnionym aspiracyom heraldycznym, lecz poważny cel naukowy przewodniczył autorowi w studyach. Ciekawym jest rozdział p. t. „pseudo-kniaziowie”, z którego pozwolę sobie przytoczyć kilka wierszy. Urok pochodzenia kniaziowskiego, powiada autor, był tak wielkim, że mnóstwo rodzin od końca XVI wieku usiłowało wykazać pochodzenie swe od kniaziów. Modą było dorabiać sobie świetne rodowody i byle powód służył do przyczepienia lub podszycia się pod kniaziowskie pochodzenie. Podobieństwo nazwisk, przydomków, patronimów, herbów, błędy kronikarskie, omyłki przepisywaczy dokumentów, eksploatowano w najlepszy sposób. Gdzie się już wcale nie było czego uczepić, tam poprostu fabrykowano. Takim sposobem powstały urojone postacie: Worony, księcia ruskiego, Dorsprunga, towarzysza Palemona, bohatera litewskiego, Hawnula, Hawnulewiczów i t. d., albo fikcyjni kniaziowie Zachomulińscy i Ilhowiccy i t. d. Kilka rodzin skorzystało z braku rzeczywistych potomków niektórych kniaziów rodu Gedymina, aby samowolnie przybrać patronimy. Panegirysty powtarzali sobie niemające żadnej podstawy legendy, które następnie przechodziły do herbarzy. Byli tacy, co płatali rodowody przez nieumiejętność, więcej jednak takich, którzy ze świadomością pochlebiali, wynosili, dorabiali. Zarzut ten ciąży na wszystkich dawniejszych heraldykach. Sumienne i pracowite dzieło pana Wolffa, kniaziom lit. r. poświęcone, stanowić będzie niewątpliwie cenny przyczynek do literatury naszej heraldycznej.

a. r.

— *X. Dr Jan Fijałek.* „Ustalenie chronologii biskupów włocławskich.” Kraków 1894, str. 110.

Wszystkie katalogi biskupie najstarszych naszych biskupstw, jak twierdzi autor, potrzebują krytycznego rozbioru i oczyszczenia. Ani jeden nie jest wolny od błędów i wątpliwości, tak pod względem poszczególnych osób, jak i następstwa po sobie i czasu, w którym, wedle dotychczasowej wiary, poszczególni biskupi kościołem rządzić mieli. Tak pisał przed 13-tu laty ks. Likowski, objaśniając krytycznie Długoszowy katalog biskupów poznańskich. Inaczej sądził ks. Chodyński w r. 1890, zamieszczając w przedmowie statutów synodalnych diecezji włocławsko-pomorskiej, bez żadnej prawie zmiany, jedynie ze względu na powagę Długosza, jego katalog biskupów włocławskich, który jeszcze więcej aniżeli biskupów poznańskich krytycznego potrzebuje roztrząśnienia.

Nie podzielając zdania ks. Chodyńskiego o powadze Długosza, pragnie ks. dr Fijałek w studium pod powyżej podanym tytułem, ustalając następstwo i lata rządów biskupów włocławskich, sprostować przy pomocy źródeł błędy, i o ile można, usunąć wiele dotychczasowych wątpliwości i bałamuctw chronologicznych żywociarzy biskupów naszych. Terminem, od którego się rozpoczyna studium ks. dra Fijałka, jest rok 1133, doprowadza zaś autor pracę swoją aż do roku 1600, zamieszczając w dodatku katalog prałatów i kanoników włocławskich wraz z niedrukowaną jeszcze bullą Bonifacego IX do Władysława Jagiełły z d. 23 stycznia 1402 r., znajdującą się w archiwum kapituły gnieźnieńskiej.

Praca ks. dra Fijałka odznacza się sumiennem przejrzeniem licznych drukowanych i rękopiśmiennych źródeł, które nadaje jej charakter gruntownej historycznej rozprawy.

a. r.

— *Feliks Kucharzewski.* „Nasza najdawniejsza książka o miernictwie.” Warszawa (8 ka, str. 20) 1895.

Istnieje w tym przedmiocie dzieło Andrzeja z Łęczycy, którego urywek posiada biblioteka Załuskich. Ale ponieważ całości dotąd nie zdołano odszukać, więc p. Kucharzewski za pierwszą książkę polską o miernictwie uważa Geometrię Grzepskiego, która jest zarazem pierwszą wogóle książką techniczną polską. Dokładny jej tytuł brzmi: „Geometria To jest, Miernicka Nauka, po Polsku krótko napisana z Graeckich y Łacinskich Ksiąg. Naydziesz też tu iako naszymi Miernicy zwykli mierzyć Imienie na Włóki albo na łany. *Item*, *Jugerum Romanum* iako wiele ma w sobie. *Item*, jako Wieże albo co inszego wysokiego zmierzyć, albo dalekość iaką. Na przykład, kiedyby chciał wiedzieć iako daleko do Zamku przez błoto albo przez wodę etc.

Teraz nowo wydana Roku 1566. W Krakowie, Łazarz Andrysowic wybijał."

Z egzemplarza pod powyższym tytułem w r. 1861 wykonana była przez Stanisława Oleszczyńskiego podobizna, wydana w Warszawie przez Juliana Bayera. Format małej ósemki, druk gocki, figury w te-kście, kart nieliczbowanych 64, arkusze znaczone literami od A do Q. Takież sam egzemplarz znajduje się w Warszawie, w Bibliotece ordynacyi Krasińskich. Estreicher w Bibliografii polskiej XV—XVI stulecia podaje, że książeczka Grzepskiego znajduje się w bibliotekach: Jagiellońskiej, Kórnickiej, Czartoryskich, Wł. Dzieduszyckiego we Lwowie, Jerzego Szembeka w Poremble i hr. Branickiego w Suchej. Biblioteka Główna w Warszawie posiada egzemplarz defektowy bez karty tytułowej. P. Kucharzewski szczegółowo rozbiera to dziełko.

— Stutgardzki instytut nakładowy wydał w tłumaczeniu niemieckiem powieść Rodziewiczówny „Dewajtys.”

— Zeszyt 154 „Słownika geograficznego” zawiera między innemi wyrazy: Włoszczowa, Wodynie, Wodzisław, Wohyń, Wojciechów, Wojcin, Wojsławice, Wojstom, Wojtkuszki, Wola.

— „Kijewlanin” umieścił sprawozdanie z powieści Henryka Sienkiewicza „Rodzina Połanieckich”, a „Żiźń i iskustwo” (również pismo kijowskie), zamieszcza przekład wychodzącej obecnie w „Gazecie Polskiej” powieści tego autora p. t. „Quo vadis?” Wreszcie „Za chlebem” drukuje w przekładzie „Arbeiter Zeitung.”

— *George J. Goschen*, kanclerz skarbu angielskiego. „Teorya kursów weksli zagranicznych.” Przełożył z 15-go wydania oryginału Adolf Peretz. Warszawa, 1895 (8-ka, str. 100).

Kwestya, którą autor roztrząsa, należy do rzędu spraw, uważanych niemal powszechnie za zbyt zawiłe i specyalne. Pragnąc rozprawić o tego rodzaju przedmiotach, należy uchwycić chwilę, kiedy sprawy te, szczególnym zbiegiem wypadków, bywają wysunięte na plan wyjątkowo przedni i kiedy wyjaśniają zdarzenia niezwykle doniosłe i budzą ogólne zajęcie. Tym, którzy bezustannie studyują kwestyę kursów zagranicznych, zastanawiając się nad niemi nie tylko ze stanowiska ekonomicznego, t. j. bilansu handlowego między rozmaitemi krajami, ale także z punktu widzenia bankierów i kupców, dla których kursa obce są niezawodnym barometrem rynków, „zdrowotności kredytu”, stopy procentu i prawidłowego obiegu monety w różnych państwach,—wszystkie stadya ruchu pieniężnego i zjawiska handlowe dostarczają sposobności do uzupełnienia teoryi drogą stykania się z pra-

tktyką. Jednakże mało jest osób zarówno za granicą, jak i u nas, obeznanych gruntownie z tym przedmiotem. Ażeby go uprzystępnąć, autor rozpatruje fakta, uchodzące za zawile lub niepojęte. Studium niniejsze przedstawia stosunek kursów wekslowych do angielskiego rynku pieniężnego, jak również do interesów międzynarodowych wogóle i dąży do lepszego uwydatnienia niektórych mglistych i nieokreślonych punktów, osłaniających cały ten przedmiot. Mając wyraźny cel oświelenia kwestyi handlowych, autor starał się o możliwą ścisłość argumentacyi. Nie unika wszakże pewnej rozwlekłości w objaśnieniach i przykładach, w celu uprzystępnienia tej rozprawy nawet niespecyalistom.

— Wydział matematyczno-przyrodniczy krakowskiej Akademii Umiejętności ogłosił trzeci zeszyt tomu ośmnastego Pamiętnika Akademii, zawierający: dra J. Siemiradzkiego „Florę kopalną warstw oxfordzkich i kimerydzkich w okręgu krakowskim i przyległych częściach Królestwa Polskiego” oraz Maryana Raciborskiego „Florę kopalną ogniotrwałych glinek krakowskich.” (Część I).

— Tom dwudziesty dziewiąty „Sprawozdania komissyi fizyograficznej” obejmujący pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1893 oraz Materyały dla Fizyografii krajowej, wyszedł w Krakowie nakładem Akademii Umiejętności.

— „Pamiętnika Fizyograficznego” wydawanego z zapomogi Kasy dra Mianowskiego, wyszedł tom XIII i zawiera w Dziale I „Meteorologię i Hydrografię”; w Dziale II „Geologię i Chemię”; w Dziale III „Botanikę i Zoologię.” Warszawa, 1895.

— *Wacław Nalkowski.* „Zarys Geografii Powszechnej” (Poglądowej). Warszawa 1895 u Gebethnera i Wolffa.

— W „Bibliotece najcenniejszych utworów literatury europejskiej” S. Lewentala ukazały się w dziale literatury angielskiej przekłady poematów Byrona, Mickiewicza, Odyńca, Morawskiego, Czajkowskiego, Pajgerta, poprzedzone wstępem krytycznym przez Piotra Chmielowskiego.

— Wydawnictwa p. t. „Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przekładach”, pod kierunkiem Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego, wyszły zeszyty V i VI-ty, zawierające literaturę wieków średnich, a mianowicie poezję: prowansalską, francuską, włoską, hiszpańską, staro-germańską, niemiecką, angielską, rosyjską, czeską i serbską.

— W „Bibliotece Powszechnej Złoczowskiej” wyszły następujące utwory: „Niedola Niebelungów” w przekładzie L. Germana, „Marya” Malczewskiego; J. L. de Grisset'a „Vert Vert” (przedruk z wydania 1779 r.); Korzeniowskiego powieść „Spekulant” i komedia „Pierwej mama”; Fredry „Damy i huzary”; Urbańskiego Aurelego „Z za kulis”; Lermontowa „Księżniczka Mary” w przekładzie W. Luboradzkiego.

— *Władysław Reymond*. „Pielgrzymka do Jasnej Góry.” Wrażenia i obrazy. Warszawa 1895, u Gebethnera i Wolffa.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff,

Przegląd współczesnej naszej sztuki.

I.

Plastyczni nasi artyści, albo ściślej mówiąc, malarze, stanęli od lat kilkudziesięciu na niezwyklej, nieznanej dotąd wyżynie. Słusznie więc rozprawia się o nich dużo, dużo czyta; społeczeństwo otacza ich zasłużoną miłością i podziwem. Dzienniki zapisują każde nowe ich dzieło, każdy tryumf, ale ogół nie zadawalnia się już pochwałami, radby wiedzieć, co w pracowniach słyszać i jak tam wygląda, jak też ci artyści mówią i jak żyją. Rzeczywistych, umiejętnych krytyków sztuki mamy niewielu; literaci, estetycznie wykształceni teoretycy, walczą z reporterami o lepsze. Publiczność dowiaduje się codzień nowych szczegółów, zapala się chwilami do tego lub owego malarza, nie zdola sobie jednak wyrobić ogólnego zdania o wartości, właściwym charakterze i nastroju całej naszej artystycznej produkcji. Nie może sobie zdać sprawy ze stanowiska, które się ulubionym jej artystom należy w Europie, bo wieści, dochodzące ją z za granicy, bywają zbyt często fałszywe, zabarwione jakąś zastarzałą albo znów bezwzględną nowatorską tendencją. Co gorsza, nie zawsze zdołamy wyrozumieć i odczuć, czego szuka ten i ów swojski malarz, znany, ceniony i nieraz popularny. Gdybyśmy pozostawiali w ściślejszym, bliższym związku z Europą, łatwiej-by nam było ocenić twórczość własnych artystów, poznać ich kierunek, pragnienia i zamiary. Nie mając dostatecznej

styczności ze współczesnymi wszechświatowymi prądami, wydajemy często zbyt surowe, zbyt doraźne sądy o naszych obrazach i rzeźbach. Nawykliśmy do pewnego szablonu, nie odnawiamy naszej krytycznej miary porównaniem, nie lubimy się zagłębiać w indywidualność artysty, ferujemy o nim wyroki, nie zapytawszy, co też on dać zamierza. Nie rozróżniamy dostatecznie ani kierunków, ani osobistości. Wszystkich naszych twórców plastycznych, bez względu na talent i zasługę, otacza pewne jednostajne, może silne, ale w każdym razie bezbarwne światło, spowszedniały już blask dziennikarskich admiracji, które nie uczą a nużą. Z tysiącznych wzmianek po pismach, z reklam, z biograficznych notatek i nekrologów nie wyrastają charakterystyki, wyraźne postacie artystów i nie tworzy się żaden pełny i rzeczywisty obraz naszego malarstwa. Jeżeli nam kto przypomni, że przed laty blisko czterdziestu pisarz już podówczas pierwszorzędny, a dziś na całą Europę słynny, wątpił o losie, a nawet o możliwości polskiej sztuki, odpowiadamy nazwiskiem Matejki, Brandta, Chełmońskiego i innych. Mamy jeszcze na tyle artystycznej samowiedzy. Ale gdyby nas kto nagle zapytał, jak też w tej chwili, za dni dzisiejszych, stoi ze sprawą naszego malarstwa; gdyby np. jaki cudzoziemiec począł nalegać i dowiadywać się, czy ostatnie lata stanowią okres rozkwitu lub upadku; gdyby nas zagadł znieścacka, gdzie jest w tej chwili więcej znakomitych naszych artystów: w mogiłach cmentarzy, czy na Bożym świecie? Odpowiedź nie była-by łatwa.

Bo i cóż mamy w pamięci? Z jednej strony kilka poważnych ocen, ogrom dyletanckich artykułów, rad, napomnień i nauk, których dziennikarze nigdy nie szczędzili artystom. A z drugiej mozaikę, złożoną z różnorodnych dzieł sztuki, ujrzanych na chwilę w Towarzystwie Zachęty, w salach p. Krywulta, w Salonie artystycznym. Obrazy i rzeźby przewinęły się nam przed oczyma i znikły. Znakomity historyk epoki Odrodzenia, sędziwy Herman Grimm, człowiek, który długie piękne życie strawił na podziwianiu i sądzeniu artystów, powtarzał uczniom berlińskiej wszechnicy, że, chcąc mówić o jakim dziele sztuki, należy się na nie patrzeć w świetle porannem i wieczornem, w chwilach radosnego i poważnego nastroju. A gdzież my będziemy szukali prac naszych artystów, gdzież je będziemy po raz drugi i dziesiąty oglądali? Jedne z nich przeszły do mieszkań prywatnych, do dworów na wsi zapadłej, do niedostępnych pańskich lub bankierskich pałaców. Inne, nieraz wybitniejsze, wróciły do pracowni. Tam kurz obsiada i brudzi gipsowe popiersia; na zamalowanym a niesprzedanym płótnie wyrasta może w tej chwili jakie nowe dzieło, pejzaż zakrywa scenę historyczną, albo też na odwróconym do góry nogami własnym portrecie artysty rozpościera się religijna kompozycja, zamówiona przez

proboszcza z prowincyi. Mam prawo o tem mówić, widywałem takie dziwne zmiany w pracowniach.

Stałe wystawy dają nam tylko kalejdoskopowe, krótkotrwałe wrażenia. Towarzystwo zachęty sztuk pięknych urządza wprawdzie coroczne konkursowe wystawy, ale i one nie mogą nas zorientować, nie pozwalają ocenić istotnego stanu rzeczy, poznać panujących kierunków. Po pierwsze bowiem, liczba artystów, stających do zawodu, bywa niewielką; powtóre zaś, najsłynniejsi z pośród nich, syci już nagród i sławy, nie chcą zagradzać drogi młodszym, bardziej spragnionym rozgłosu i zazwyczaj biedniejszym. Istnieje tylko jeden sposób zapoznania się z prądami, z ogólnem dążeniem, z właściwym nastrojem rodzimej naszej sztuki: odwiedzać te wystawy, gdzie, dzięki uciążliwej, niewdzięcznej i zazwyczaj bezimiennej pracy, gromadzi się szereg swojskich rzeźb i obrazów. W doborze dzieł rządzi i tutaj pewien przypadek, ale znakomitsi artyści nie zwykli się w takich razach usuwać od współudziału, chociażby nawet mieli wystąpić *hors concours*. Młodzi zaś, ufni w siebie, często nie dosyć uznani, lubią się odwoływać do nieznanego „jury”, jako do nieuprzedzonego trybunału, a zwłaszcza do nowej, obcej, szerszej publiczności, którą uważają niebacznie za rodzaj wyższej instancji. Gardzą „filistrami”, a nie wiedzą, że tłum składa się wszędzie z samych niemal „filistrów” i że powodzenie ich dzieła zależy zazwyczaj od zdania pierwszego lepszego pismaka, współpracownika rozpowszechnionej gazety. Zdarza się, że taki recenzent bywa wprost przekupny, zdarza się częściej, że, nie mając sam pojęcia o rzeczy, wierzy ślepo w jednostronne poglądy jakiego znajomego artysty, że chodząc z nim po wystawie, podsłuchuje jego uwagi, przesadzając je potem i przeistaczając w druk.

Stowarzyszenie berlińskich artystów obchodziło w 1891 r. półwiekową rocznicę swego istnienia i postanowiło ją uczcić ogólną, wszechświatową wystawą. W kilku jej salach pomieszczono sporo naszych rzeźb i obrazów; w sąsiednich znalazły się, prócz niemieckich, prace hiszpańskie, angielskie i norweskie. Zestawienie było obfite w naukę. Staralem się wtedy choć cząstkę z niej wydobyć, podałem czytelnikom „Biblioteki” to wszystko, czegom się w Berlinie dowiedział, com zdołał zaobserwować. Następnego lata otworzono w Monachium drugą podobną wystawę, jeszcze bogatszą, wspanialszą, bardziej liczną. I tu, i tam odznaczyli się nasi malarze, i tu, i tam zajęli pierwszorzędne stanowisko. Chełmoński, malarz biednych mazowieckich równin i sosnowych zagajów na piasku, pozyskał od razu sławę jednego z największych, najwytworniejszych poetów współczesnego krajobrazu. Powtarzano ogólnie, że świeżości poczuć, swojskiego charakteru, należy przedewszystkiem szukać u naszych i u norweskich artystów,

różnorodności zaś, samodzielnych pojęć i kierunków—u naszych i u hiszpańskich.

Dziś nie mam okazji do mówienia o wielkim, ogólnoeuropejskim popisie. Chciałbym jedynie zwrócić uwagę na pewien szereg naszych współczesnych rzeźb i obrazów, zgromadzonych niedawno w t. zw. „pałacu sztuki” we Lwowie. Nie znalazły się one tym razem w sąsiedztwie okazów obcej artystycznej produkcji, brakło może zatem właściwej miary do oceny, istotnego probierza. Mimo to, zważywszy zwykłe rozproszenie naszych dzieł plastycznych, należy, jak sądzę, zdać sprawę z wrażeń, które się budziły na widok tylu poważnych prac, wydobytych po części z ukrycia, ogółowi nieznanym, lub wyszłych z jego pamięci. W niniejszych uwagach uwzględnię tylko działalność artystów żyjących, albo świeżo zmarłych, nie zdołałbym bowiem ogarnąć wszystkiego, co się udało zebrać inicjatorom krótkotrwałej wystawy.

Nie ograniczyli się oni do sztuki współczesnej, cofnęli się w przeszłość, sięgnęli do końca minionego stulecia. Przed epoką rozkwitu naszego malarstwa, przed piękną erą, na którą się patrzymy, żyło i pracowało u nas wielu rzetelnych i zasłużonych artystów. Za życia ich nie było jeszcze w społeczeństwie miłości sztuki plastycznej ani zajęcia się jej przedstawicielami. Nie doznali oni przychylności, poparcia, wymarli, nie przekazując nawet nazwiska następnym pokoleniom. Nie wiemy prawie nic o nich i, nie bacząc na prawa historycznego rozwoju, wierzymy powszechnie, że sztuka zrodziła się u nas nagle, jakby cudem, że jej poprostu przed laty czterdziestu nie było. Uczeń, którzy w lwowskim pałacu sztuki urządzili wystawę dawnych artystów, zyskali prawo do trwałej naszej wdzięczności. Wykazali nam bowiem dowodnie i naocznie, że owi starzy, zapomniani dziś twórcy, zostawili nam nie tylko ślady szlachetnych usiłowań, ale i dzieła piękne, niekiedy pierwszorzędne. Publiczność słyszała coś o nich, dochodziły ją od czasu do czasu jakieś głucho wieści o poprzednikach Brandta lub Matejki, nie wierzyła jednak podaniom, bo się nie mogła osobiście przekonać, prac zachwalanych nie знаła. Aż naraz stanęły przed nią rysunki Aleksandra Orłowskiego (1777—1832). Dotychczas przypominano sobie wiersz „Pana Tadeusza” o naszym artyście, wie dziano, że miał „gust soplicowski.” Podziw ogarnął teraz widzów wobec zamasytanych jego szkiców, wobec śmiało, żywo chwytnych postaci szlachciców, włóдарzy, chłopów, bab, mnichów i żołnierzy. Cały, współczesny Orłowskiemu świat, powstawał z tych kawałków papieru, zaczerwionych kredką, zabazgranych wodnymi farbami. A obok podobnych typów i karykatur, widzieliśmy ciekawe krajobrazy, historyczne i rodzajowe sceny. Gdyby Piotr Michałowski (1801—1855)

wystawiał obecnie swoje studia z natury, a zwłaszcza swoje wierzchowce, konie pociągowe, chłopskie zaprzęgi, przepyszne araby i perszerony, zabijał-by nimi wielu dzisiejszych, zawodowych malarzy studniń. Angielscy zbieracze poznali się na nim wcześniej od naszych krytyków i amatorów. Wypadło mu, niestety, żyć w takiej ciężkiej, wszelkich artystycznych aspiracji pozbawionej atmosferze, że nie odczuł potrzeby tworzenia skończonych obrazów, zadawałniał się szkicem i lekcewał, nie bez pańskiej dumy, olbrzymi swój talent. Oddał się niemal cały publicznym i dobroczynnym sprawom, a samego siebie, tego dawnego Piotra Michałowskiego, który był uczniem Charlet'a i twórcą wielu znakomitych szkiców, traktował, nie jako poważnego artystę, ale jako prostego dyletanta. Podobnie, gdyby Marcin Zaleski (1796—1877), nie dosyć znany malarz warszawskich pałaców i kościołów, wystąpił dziś ze swemi wybornemi „wnętrzami”, zniósłby zapewne porównanie ze znakomitym i słusznie cenionym Gryglewskim. Nareszcie świeżo zmarły i nieodżałowany Henryk Rodakowski (1823—1894), największy, jak sądzę, a w każdym razie najwytworniejszy polski portrecista! Wymieniam tylko niektórych malarzy, najwybitniejszych, tych, których nazwisko nasuwa mi się w tej chwili pod pióro. Iluż innych, skromnych i sławnych, zapomnianych i zdolnych pokazali nam jeszcze organizatorowie wystawy. Myśl jej zrodziła się w ciągu rozmów p. Stanisława Witkiewicza z profesorem Marianem Sokołowskim. Ten ostatni wprowadził ją w czyn, dobrawszy do pomocy cały szereg amatorów i uczonych. Największą zasługę zdobyli sobie podobno prof. Bołoz-Antoniewicz i dr Jerzy hr. Mycielski. Historia naszej sztuki w ciągu ostatniej ćwierci przeszłego i pierwszej połowy obecnego stulecia jest dotychczas księgą nieznaną, siedmiu pieczęciami zamkniętą. Retrospektywna wystawa dostarczyła niejako ilustracji do tej jeszcze nie napisanej książki. Z czasem ukaże się jednak i jej tekst. Dr Mycielski rozpoczął już druk sumiennego, obszernego studium o sztuce przed-matejkowskiej epoki, prof. Antoniewicz gotuje zaś, jak słyszę, duże dzieło, poświęcone malarstwu bieżącego wieku. Wyjdzie ono zrazu w języku niemieckim, będzie niezbędnem uzupełnieniem trzytomowej książki Ryszarda Muthera „Geschichte der Malerei im Neunzehnten Jahrhundert.” Jest to doniosła, ciekawa, świetnie napisana praca. Można się z niej dużo dowiedzieć o współczesnym niemieckim, francuskim i angielskim malarstwie, o hollenderskim, norweskim i japońskim. O naszym jednak nie masz ani słowa.

Dzieło Muthera znalazło polskiego tłumacza; studium p. Antoniewicza, zapoznawszy zagranicę z naszą sztuką, doczeka się chyba prędko przekładu, stanie się u nas popularną, przez ogół rozchwytywaną książką. Oświeci nas co do naszej własnej artystycznej prze-

szłości, zapozna nas z twórczością naszych dawniejszych malarzy. Było-by to wielką jej zasługą, gdyby nas nauczyla, że należy się ich studiować i cenić. Bo mają oni nie tylko historyczne znaczenie. Krajobrazy takiego Józefa Szermentowskiego (1833—1876) mogą młodym służyć za wzór szczerego odczuwania natury, poezji pejzażu. Piotr Michałowski jest nie tylko śmielszy, tęższy, ale poczuciem i techniką bardziej „nowożytny” od wielu dzisiejszych rozślawionych malarzy. Każdy głębszy artysta oceni niezwykłą oryginalność i życie improwizacji, które Orłowski rzucał wśród rozmowy na papier; wiem, z jakim prostym, skromnym, a wielkim podziwem stał Pochwański przed portretami Henryka Rodakowskiego.

Ci ludzie nie malowali gorzej od dzisiejszych, wogóle jednak malowali inaczej. Nie należało zestawiać ich prac z najnowszymi, nie należało ze względu na przeciętnego widza, nieświadomego minionych zamiarów, prądów i warunków tworzenia. Wypadało oznaczyć datę graniczną „między dawnymi a młodszymi laty.” Po długich naradach zgodzono się na rok 1887, w którym już raz sprobowano dać pełny obraz chwilowego stanu naszej sztuki. Ustanowiono więc teraz dwa oddziały: jeden współczesny, drugi retrospektywny, historyczny. Urządzenie pierwszego powierzono artystom; nie sądzę, aby się oni chcieli podjąć tej zmuśnej pracy, która czekała twórców drugiej sekcji. Artysty nie dbają o poprzedników, nie jeden z nich wierzy, że prawdziwa sztuka zaczyna się dopiero od jego własnych obrazów. Nie masz w tem nic dziwnego. Mało — powiada pisarz angielski — mało jest ludzi, zdolnych przypuścić, że oś ziemi nie przechodzi przez środek ich domostwa. Historycy i miłośnicy sztuki zajęli się więc sprawą retrospektywnej wystawy, oraz gromadzeniem prac Jana Matejki. Nie łatwo było obrać dla nich miejsce, nie można ich bowiem zaliczyć ani do dawnych, przed rokiem 1887 powstałych, malowideł, ani do współczesnych. Matejce było za ciasno i w tych, i w tamtych ramach, nie chciano się zaś pogodzić z myślą rozdziału dzieł na dwie odrębne kategorie. Potężny malarz umarł nagle, wśród narad i przygotowań; do projektu wystawy najwybitniejszych jego obrazów przyłączyła się niebawem chęć zgotowania mu pośmiertnego hołdu. Wówczas zrodziła się myśl szlachetna i nowa: postanowiono usunąć jego prace z pałacu sztuki, umieścić je w gmachu osobnym. Prócz wielkich i małych obrazów, prócz szkolnych jego robót i dzieł, wykonanych w latach największej potęgi, zawisły tam rysunki, studia, szkice, pierwsze kompozycyjne rzuty. Otworzyła się na krótki czas bogata, nauczająca wystawa, w której przyszły biograf i krytyk artysty mógł poznać przeważną część istniejącego materiału, porównać różnorodne epoki, zmiany w technice, rozwój i koleje olbrzymiego talentu.

Nie mogę się tu kusić nawet o zarys artystycznego życiorysu Matejki, nawet o pobieżny obraz jego działalności. Mimo to, po przeglądzie prac współczesnych malarzy, radbym zająć i do gmachu, poświęconego twórcy „Kazania Skargi.” Pozostawiając sobie na późniejsze czasy zapisanie tych uwag, które dział retrospektywny mógł nasunąć, a które dopiero po ogłoszeniu studyów pp. Mycielskiego i Antoniewicza zdołają się w całość ułożyć, przejdę dziś pamięcią wystawę rzeźb i obrazów, powstałych po 1887 r., i główne prace Matejki. Zgóry nie obiecuję zwięzłości. Przedmiot jest obfity, rozległy, różnorodny i, co więcej, jak sądzę, wart głębszego zajęcia. Mimo niewytłomaczonej obojętności p. Ryszarda Muthera, sztuka nasza budzi ciekawość i podziw po szerokim świecie. Niemcy, z pewnością nie skłonni do podnoszenia naszych zalet, wyrażają się o niej ze szczerem uwielbieniem. Polscy artyści, przebywający w Monachium i Berlinie, mogą nie bez słusznej dumy spoglądać na pośpiech handlarzy, ubiegających się o ich dzieła, na dowody uznania ze strony wystawowych sędziów, publiczności, poważnej umiejętnej krytyki. Coroczne otwarcie wiosennego wiedeńskiego salonu przynosi nam szereg zdań pochlebnych, i sprawozdawcy, wchodząc do sal wypełnionych obrazami, zwykli od kilku lat pytać przedewszystkiem o świeże objawy naszej działalności. Piszą o niej na Węgrzech, piszą dużo w krajach słowiańskich, zwłaszcza w Czechach. Niema dwóch lat, jak p. Riepin, słynny, oryginalny artysta, a jak się pokazuje, pisarz niepospolity, zachwalał w petersburskich dziennikach szczerotę, samorodność, żywotność naszej sztuki.

Takie uznanie musi nas cieszyć — zaślepiac nie powinno. Wśród tych pochwalnych głosów, brak dotąd wyraźnego zdania Francyi, a każdy przyzna, że kraj, którego obrazy zabijają wszystkie inne na wystawach, ma pewne prawo do sądu i decyzji. Oddawna panuje w Paryżu milczenie o naszym malarstwie, i nagrody, przyznawane Statterowi, Rodakowskiemu, Matejce, Chełmońskiemu lub Bilińskiej, nie zdołały tam wyrobić przekonania o istnieniu naszej, samodzielnej sztuki. Trzeba też wyznać, że to malarstwo ma zalety młodej, niezmanierowanej szkoły, ale ma zarazem jej wady, nosi na sobie cechę sztuki niezupełnie jeszcze dojrzałej, nie bardzo kulturalnej, rozwijającej się dorywczo i nie dość umiejętnej. Czują to i polscy artyści, nieco obcy po świecie. „Największą oryginalność naszego malarstwa — mówił raz jeden z nich — stanowi to, że jesteśmy o pół wieku w tyle za Europą.” Nie chodzi oczywiście o to, ażeby się poddawać każdej krótkotrwałej modzie i widzieć raz żółto, raz fioletowo; chodzi o to, aby technicznie stanąć na wysokości Zachodu, a potem robić, co Bóg da, jak własne serce każe. Brak szkolarstwa jest niewątpliwie pierwszorzędną zaletą, ale sądzę, że chociaż się wiele umie, można samym sobą pozostać.

Prószkowski, Chełmoński lub Wyczółkowski nie stracili nic na tem, że w danej chwili umieli stanąć na poziomie współczesnej sztuki europejskiej i skorzystali z nowych sposobów malowania, ujęli ciaśniejsem kołem rzeczywistość. Józef Brandt idzie wciąż za postępem techniki malarskiej i nowe spostrzeżenia do swych prac wprowadza. Bo całego pola usiłowań jeszcześmy nie przebiegli, zjawiska świata zewnętrznego nie wyczerpały się, walka o kolor, walka o światło, dalekie są końca. O wewnętrznym świecie artyści nie mówię: świat uczuć i poczuć musi się z każdą indywidualnością zmieniać i odradzać.

Przeglądając sale „pałacu sztuki” i Matejkowskiej wystawy, będziemy się starali o wytworzenie sobie ogólnego obrazu naszej współczesnej działalności artystycznej. Nie chcąc mówić osobno o Fałacie, malarzu na płótnie, i o Fałacie akwarellistcie, nie podzielimy dzieł malarskich na olejne, akwarelowe, gwaszowane i t. d. Natomiast, ponieważ trzeba jakoś zgrupować różnorodne prace, zestawimy je mniej więcej według pokrewieństwa tematów lub kierunków. Dla jednej, stosunkowo nielicznej i mniej ciekawej, rzeźby, musi się znaleźć osobny kącik. Niepodobna będzie wymienić wszystkich dzieł sztuki, tem bardziej, że tu i owdzie wypadnie skonstatować lukę wystawy, nazwać takiego artystę, przytoczyć taki utwór, bez których obraz naszej artystycznej działalności mógłby być jednostronny i niepełny, że, co ważniejsza, przy ocenianiu poszczególnych malowideł i posągów nastęrczy się nam może jaka uwaga szerszej, donioślejszej natury. A chodzi tu głównie o „przegląd współczesnej naszej sztuki”, nie o katalog robót i twórców, ale o jakiś sąd, o jakiś obraz ogólny.

II.

Pomiędzy zgromadzonemi pracami Jana Matejki znajdował się szkic, rysowany tym zwykłym jednocentowym ołówkiem, którego wielki malarz wyłącznie używał, a przedstawiający *Chrystusa jako najwyższego kapłana*. Wśród współczesnych naszych artystów temata religijne pociągały naprawdę jedynie Matejkę. Nie malował on jednak prawie wcale obrazów tej treści, dawał do nich szkic i pozostawiał innym wykonanie w większych rozmiarach. Tak powstały freski w krakowskim kościele Panny Maryi, części fryzu w Politechnice lwowskiej, witraże na Wawelu i w Przemyślu. Tak samo powstał i obraz p. Rossowskiego, malowany według wspomnianego rysunku, obraz staranny, lepszy od ostatnich prac artysty. Porównanie malowania z ołówkowym szkicem jest obfite w naukę. Można się tu przekonać, jak wiernie musi ręka iść za uczuciem, ażeby dzieło było har-

monijne i całe; można się dowiedzieć, czem staje się Matejko bez Matejkowskiej werwy i technicznej potęgi. Kto czuje w sobie skłonność do podobnych rozmyślań, może się i nad tem zastanowić, ile-to w sztuce plastycznej znaczy bezpośredni zapal czy natchnienie artysty. W obrazie p. Rossowskiego panuje pewna widoczna niezgoda pomiędzy ognistym duchem, który go stworzył, a chłodną, staranną ręką, która go wykonała. W innych religijnych obrazach wystawy nie masz już nigdzie tak silnego tchnienia. *Chrystus i Samarytanka* p. Siemiradzkiego przypomina jego dawniejsze, większe dzieło: *Chrystus u Maryi i Marty*. Tylko postać Zbawiciela jest tu może mniej udatna pod względem rysunkowym. Zresztą ten sam śliczny krajobraz, południowy i ciepły, szaty jasne, typy wschodnie, te same „oczy” słońca, padające z za zieleni, raz wybornie zaobserwowane, mogące odtąd służyć niemal za podpis artysty. I ta sama wewnętrzna próżnia, to samo zestawienie pięknego Izraelczyka z bardzo piękną kobietą, zupełny brak jakiegokolwiek treści. To przecież nie jest religijnem malarstwem. — U p. Krudowskiego spotykamy się z czem innem: po pierwsze — z wyższym duchowym nastrojem; po drugie — nie z powtarzaniem własnych świetlnych efektów, ale, jak zbyt często u tego malarza, z reminiscencyami dzieł obcych, zwłaszcza dawnych. Żadna jego *Madonna* przypomina zrazu Andrzeja del Sarto, ale potem i nowożytnych artystów z Düsseldorfu. „Mówię malarzom — tak pisał sam Leonardo — aby żaden z nich nie naśladował sposobu drugich, albowiem powiedzą o nim, że nie jest synem, ale wnukiem natury.” Wspomnę tylko dla pamięci suche prace p. Bieńkiewicza i *Św. Rodzinę* p. Saskiego, dobrą robotę szkolną, niepewną jeszcze w technice, miejscami niedokończoną, tu i owdzie przerysowaną.

Dziwna rzecz, jaki zastój panuje w polskim religijnem malarstwie. Ktoby z naszej wystawy chciał poznać tętno i kierunki europejskiej sztuki, musiał-by dojść do najfałszywszych wniosków. Nie domyślił-by się, że po-za nielicznymi krajami, jak np. Norwegia, siłą się wszędzie na stworzenie nowego religijnego malarstwa; nie wiedział-by, że ten problemat zapanował po-nad wszystkimi innymi. Tyle prób ciekawych, tyle porywów, tyle różnorodnych kierunków! Cała artystyczna szkoła, rozwijająca się w zakonie św. Benedykta, cofa się np. do Fra Angelico i Benozza Gozzoli, Edward von Gebhard do strojów i kanciastych figur Dürera; Fritz von Uhde wprowadza swego Chrystusa, a raczej swoją personifikację chrystyanizmu, do wiejskich szkółek i mieszkań robotniczych. Anglicy szukają wyrazu dla nowych tchnień idealistycznych, albo scenom z życia Panny Maryi nadają charakter poufny, nastrój *home'u*, i chcą je podnieść pewną powagą, nieruchomością figur lękając się, aby w pospolitość nie wpadły. Munkacsy

maluje znów Renanowskiego Chrystusa, wąpiącego o sobie. We Francyi Jan Béraud gromadzi socyalistów na Golgocie, a Róžo-krzyżowcy otwierają corocznie wystawę, pełną dzieł, wyszłych z jakiegoś, jak sądzę, bardzo nieszczerzego mistycyzmu. Wiele z pomiędzy tych prób można potępiać, ale należy ogrom usiłowań poznać i ocenić. Z całego ruchu okazuje się to, że po-nad współczesną sztuką panuje olbrzymia postać Pocieszyciela. U nas niemasz ani głębszego religijnego uczucia, które się musi wyrazić, ani potrzeby stworzenia nowego chrześcijańskiego malarstwa, okazania nazewnątrż tego lub owego pojęcia. Sądzę, że taki fakt maluje społeczeństwo, odpowiada stanowi umysłów, nie skłonnych ani do wyraźnej negacyi, ani do silnego zaznaczenia wiary. W naszej sztuce ani walk, ani usiłowań, ani szamotania się. Niemasz nic — nawet dziwactw.

Jedyną, na pozór nową zdobyczą, jest „Madonna sielska.” Przed laty już widziałem podobną Matkę Bożą, o linii wprawdzie źle podpatrzonej u Rafaela, ale za to ubraną w strój chłopki z pod Krakowa. Wszakże i to nie jest religijnem malarstwem! Dziś p. Mańkowski sadza profilem kobietę, ubraną w długie białe szaty, sadza ją w wiosennym sadzie, pod rozkwitłemi jabłoniami, i każe jej kołysać dziecko, leżące w łykowej kobiałce, uwieszanej u gałęzi drzewa. Powodzenie tego rodzaju obrazów polega zawsze na pewnym kompromisie między publicznością a artystą, między religijnem a rodzajowem pojęciem sceny. Dlatego życzyłbym p. Mańkowskiemu, aby mógł widzów pochwycić jeszcze silniej, aby mu głębsza poezya, doskonalsza technika pozwoliły ich snadniej ujarzmić i pozyskać. Co do mnie, wolę *Matkę Bożą* p. Radziejowskiego, idącą lasem sosnowym o zmroku i tulącą Dzieciątka do siebie; wolę ją, chociaż artysta pamiętał zbyt widocznie o drezdeńskim arcydziele Rafaela.

I p. Stachiewicz daje nam „sielską Madonnę.” Cykl *Ludowych legend o Matce Boskiej* jest tak sławny, obudził u nas tyle szczerzego, rzeczywistego zapалу, zachwycił z jednej strony tylu ludzi niepospolitych, a z drugiej tyle dusz serdecznych i prostych, że nie bez wahania odważam się na wypowiedzenie śmiałego, własnego, chociaż niezupełnie odosobnionego zdania. Kiedy w 1893 r. ukazały się kartony p. Stachiewicza na wiosennej wiedeńskiej wystawie, cała krytyka, z Ranzonim na czele, uznała je za dzieła niezwyklej wartości i miary. Wobec sądów tak poważnych, wobec zwłaszcza tylu głębokich admiracyi, trudno jest wysuwać swoje własne, mniej korzystne wrażenie. Ale i w sztuce, i w krytyce najpewniejszą jest ta droga, która z jednej strony jest najprostszą, a z drugiej najtrudniejszą — droga zupełnej szczerości.

Smak jest u naszych artystów zbyt rzadką zaletą, abym jej u p. Stachiewicza nie ocenił i nie podniósł. Mało kto ma u nas tyle wytwornego dekoracyjnego uzdolnienia i poczucia, a może nikt nie potrafi się tak zastosować do danych warunków, tak je wyzyskać, zdobyć się na pomysł równie trafny, szczęśliwy, zręczny, a zawsze pełen gustu. Nie znam np. w całym kraju malarza, któryby był w stanie ułożyć winietę równie ładną i, jak się mówi w pracowniach, równie „smaczną.” Pisząc o przeszłorocznej wystawie, niepodobna mi zapomnieć, że swój znak, niejako swój herb, zawdzięcza ona właśnie naszemu artyście. Wkomponował wybornie w duży krąg złoty dwie ludowe postacie. Godło to stało się odrazu popularnem, tak zrosło się z wystawą, że z ogłoszeń przeszło na tytułowe stronicie katalogów, zostało nawet utrwalone w medalach. Takie kolorowane rysunki na afiszach wystaw artystycznych powierza się zazwyczaj pierwszorzędnym malarzom; bardzo znani artyści podejmują się tej pracy dla monachijskich i wiedeńskich salonów. Obecnie udano się trafnie i słusznie do tak popularnego rysownika, jak p. Stachiewicz.

Nie chcę bynajmniej protestować przeciw jego *Ludowym legendom*, nie myślałbym obniżać zachwytu, który wywołały, gdyby głos ogólny był je uznał za to, za co je muszę uważać, za śliczne, wdzięczne ilustracye do ustępów, wyrwanych z gminnego podania. Przeczę bowiem, aby oddawały szeroki nastrój ludowy. Ilustracyą nazywam zaś każde dzieło, bez względu na rozmiar, na kredkową lub olejną technikę, dzieło, które plastycznie oddaje to, ale to tylko, co litera danego tekstu, świeckiego lub uświęconego, w sobie już mieści. Ilustrator między wierszami nie czyta. Malarz lub rysownik może w cudzem dziele znaleźć pobudkę, pochoł do twórczości, może doznać wstrząśnienia, nosić się długo z nagle rozbudzonem uczuciem, wypowiedzieć je później po swojemu; ale wtedy nie będzie już prostym ilustratorem. Zbliży się raczej do kompozytora, który na własny, zupełnie odmienny sposób, przetwarza myśl poety i w nowym zakresie wrażeń tworzy nowe dzieło. Ilustrator korzysta głównie z nastroju literackiego dzieła, liczy na piękność tekstu, sam nie istnieje bez niego. Idzie w ślad za pisarzem, „jako niewolnik za swym panem gniewnym.” Działalność jego nie może być śmiałą, bo nie jest zupełnie samodzielna. Wrażenie, które osiągnie, jest zawsze drobne, bo doza twórczości jest niewielka.

Podobało się w *Legendach* p. Stachiewicza przedewszystkiem to, że nie szukał żadnego nowego sposobu rozwiązania tych poważnych trudności, które sztuka religijna stawia dziś artystom. Uradowano się, widząc, że nie popada w dziwactwo; negatywna ta zaleta pozyskała mu widzów. Zadowolnił więc i ludzi, nawykłych do pewnego estetycznego konwenansu, ucieszył z drugiej strony i tych wszystkich,

którym przypada do smaku Madonna, pozbawiona religijnego charakteru, sprowadzona do granic zwykłej kobiecości. Podobało się obu kategoriom widzów owo stałe wprowadzenie bardzo pięknej, bardzo uroczej niewieściej postaci. Stało się to wszystko pod osłoną i w imię ludowego nastroju. Poeci nasi, od Lenartowicza aż do Konopnickiej, oswoiili nas z dziwnem pojęciem ludu. Ten i ów wśród czytających zna naszego rzeczywistego wieśniaka, a mimo to podziwia sztuczną, nie prawdziwą poezję z „motywow ludowych.” Urok jej polega na jej fałszu, na tem, że w usta chłopu kładzie się to, czego on nie zna, ani rozumie, ni czuje. Pociągają nas wtedy nasze własne uczucia, wypowiedziane w nowy, świeższy, prosty sposób, rytmem kujawiaka. Pociągają nas ten kompromis między rzeczywistością a poezją, i to dla tych samych powodów, które w XVIII stuleciu pozwalały na rozwój sielanki. Przemawiali w nich pasterze, a czułe ich wyznania robiły tem większy efekt, że miały niby to pochodzić z ust naiwnych prostaków. W *Wiośnie* Lenartowicza, w tylu następnych poematach, w tylu sztukach ludowych, chłopci wypowiadają zdania ekliwne, albo przemądrzałe. Czujemy śmieszność, sztuczność idylli XVIII wieku, ale ocenienie konwensu w naszej niby wiejskiej literaturze i sztuce pozostawiamy XX stuleciu.

P. Stachiewicz miał dwie drogi przed sobą: albo pokusić się o samodzielne stworzenie religijnej sztuki, wynalezienie dla niej nowych form, ukształtowanie świeżych ideałów, albo też wymyślić się w to, co snują „pieśni ludu — jedwabniki.” Co mówię, wymyślić się? Powinien był przejąć to, co lud czuje, przyswoić to sobie i potem snuć dalej. Nie wybrał on żadnej z tych dróg, wybrał pośrednią i myślał, że ocali pojęcie Madonny dość pospolite, pełne znamion owej okrzyczanej „burżazy”, cytując ustępy z wiejskich podań. Niechaj bezstronny widz zastanowi się nad własnem wrażeniem i powie, gdzie leży urok tego cyklu: czy w poezji ludu, czy w obrazkach Stachiewicza? Pomysł, że Matka Boża schodzi do czyśca i po drogach ciernistych prowadzi sama pokutujące dusze, jak gdyby im chciała dać przykład cierpliwości obecnością swoją je pocieszać, ten pomysł jest tak cudownie piękny, że blaski jego rozświecają już obraz.

Może mi kto powie, że wartość dzieła polega i na poezji tekstu, i na szlachetności dostrojonych do niego rysunków. Ale tak nie jest. Lud nie może sobie wystawiać Matki Bożej, jako pięknej, ale wcale nie nadziemskiej kobiety, nie może się zgodzić na rodzajowe, tylko ludziom ostyglym i znużonym zrozumiałe, Jej pojęcie; lud nie uwierzy, aby Najświętsza Panienka nosiła proste suknie bez pereł, rubinów i złota, nawet wtedy, kiedy według legendy rozwiesza bieliznę na sznurze. P. Stachiewicz wie, że Matka Boska przechodzi co noc po

mlecznej drodze z Kalwarii do Częstochowy: jakże mógł przypuścić, że nie ma na sobie długiej szaty, kapiącej od złota, tej samej, którą widzimy na Jasnej Górze, na każdym feretronie kościelnym, na każdym obrazku w wiejskiej chacie? Wiedział o tem Grottger, z którym porównywano czasem p. Stachewicza. Do nieszczęsnej, srodze dotkniętej niewiasty, zeszła sama Matka Boża, nie Sykstyńska i nie Murrilowska, ani tem bardziej jakaś piękna Pani w śnieżnobiałej szacie. Zeszła w ciężkim płaszczu, zeszła ze swą czarną częstochowską twarzą, i genialny rysownik utopił jej nogi w pomroku, bo wieśniaczka zna tylko do kolan „Pannę świętą, co jasnej broni Częstochowy.”

Przynajmy, choćby na chwilę, że lud nie może sobie tak przedstawiać Madonny; przypuśćmy, że mamy przed sobą dzieło, nie zostające w żadnym związku z pojęciami ludu, a straci ono odrazu główny swój powab, stanie się nam prawie obojętnem. A ukazuje się z tego dowodnie, że *Legends ludowe* są tylko wdzięcznymi ilustracyami do efektownych urywków podania. *Quod erat demonstrandum*, jak mówią matematycy.

Ale są to w istocie niezwykle piękne ilustracye. Dziś, kiedy kwestya ustosunkowania barw zajmuje niemal wyłącznie artystów, znalazł się u nas taki malarz, co chce na widzów działać kształtem, światłocieniem, konturami i linią. Dodajmy, że cały jego cykl z życia Madonny był zapewne z góry przeznaczony do reprodukcji i że w ciepłym tonie światłodruków wydaje się o wiele korzystniej, niż w szarych oryginałach. Przepadły przytem wprowadzić pewne częściowe, lekkie zakolorowania, które artysta, jakby bawiąc się, wprowadził do swoich dzieł dwubarwnych, ale giną też potrosze i niektóre niedokładności rysunku, za małe rączki Wniebowziętej Madonny, za drobne dziecko na *Sobotnim promyku*, Matka Boska za duża w stosunku do osiołka, na którym siedzi. Ten ostatni obrazek jest mimo to bardzo miły; artysta zbliżył się tu do rzeczywistej, średniowiecznej naiwności; kazał osiołkowi przystanąć w pośpiesznej drodze do Egiptu; ulitował się nad nim, pozwolił mu napić się wody z kałuży. Śliczna jest Matka Boska, jako prządka niebiańska, miła, wdzięczne dziewczętko; śliczna i ta druga, idąca „drogą z gwiazd wybrukowaną”, a raczej osypana gwiazdami drogi mlecznej. Dużo tam rozproszonej, szczerej, często serdecznej, a zupełnie indywidualnej poezyi. Wszakże się ona jeszcze kiedy skupi, objawi w głębszem, donioslejszem a równie wdzięcznem dziele?

P. Wyspiański pokazuje nam część dużego kartonu do witrażu, przeznaczonego do lwowskiej katedry. Całość dzieła, które można było poznać w salach krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, nie obchodzi nas tutaj i nie teraz pora mówić o jego wyso-

kich zaletach, i pewnych, może umyślnych, błędach. Z licznych figur, które artysta zamierza do kompozycji wprowadzić, wystawił on tylko jedną: postać mdlejącej i podtrzymywanej kobiety. Pozbawiona otoczenia, nie tłómaczyła się ona dostatecznie, a katalog nie przychodził nam w pomoc. Mieliliśmy w każdym razie przed sobą figurę śmiało pojętą i robiącą wrażenie samym sposobem rysowania. Mamy też przed sobą indywidualność artystyczną, młodą a wybitną, niestety, skłonną do chęci zadziwiania pospólstwa, i przez tę chęć jeszcze ani zupełnie samodzielna, ani zupełnie szczerą.

Do przeglądu religijnego malarstwa muszę doczepić prace allegorycznej i fantastycznej treści. Są one w niewielkiej liczbie i nie starczyły-by na dział osobny. Mam tu przedewszystkiem na myśli trzy obrazy, w których p. Gerson oddał hołd Warszawie. Na środkowym przedstawił herb miasta, Syrenę z tarczą i mieczem, ale nie heraldycznie sztywną, owszem żywą, idącą wśród nurtu Wisły. Jak się tam aksamit jej szaty dobrze zanurza, dobrze wlecze po wodzie! Na jednym z dwóch drugich, podłużnych płócien, ukazuje się personifikacja miłosiernej Warszawy; na drugim Syrena wabiąca.

Kompozycje p. Gersona nie mają dzisiaj wielu zwolenników; przyczyna leży w ich kolorycie, w jednostajności typów. Natomiast podziwiamy zgodnie jego krajobrazy, zwłaszcza tatrzańskie. Artysta posiada zaletę, którą coraz bardziej uczymy się cenić i która się też staje coraz rzadszą; należy on do generacji, która umiała i lubiła rysować. Plastyczność jego Syren może służyć za dowód. — Inny warszawski malarz, p. Zdzisław Jasiński, przedstawił obraz nawpół fantastyczny. Wszak patrząc dłużej na obłok, widzi się w nim zawsze jakieś kształty ludzkie, zwierzęce lub roślinne. Artysta przedstawił więc fioletową, ciemną chmurę, z której się takie widzenia zaczynają wyłaniać. Trudność polegała na tem, aby utrzymać granicę między realną chmurą a figurami, które w niej wyobraźnia tworzy, aby obrazu ani zbyt mocno nie zamglić, ani też nie wpaść w zupełny antropomorfizm. P. Zdzisław Jasiński jest biegłym malarzem, próba się udała.

Można było przypuścić, że pod wpływem, za przykładem Matejki, rozwinię się u nas poważne historyczne malarstwo. Jakoż probowano sił na tem polu. Wielki artysta nie stworzył jednak rzeczywistych uczniów i następców, nie wyrobił ich nawet w swojej Szkole Sztuk Pięknych. Nade drzwiami sal, gdzie uczniowie, ukończywszy studia, powinni samodzielnie pracować, wiszą dotychczas napisy: „Izba historycznego malarstwa”, ale oddawna nie powstał w tych pracowniach żaden ściśle historyczny obraz. W ostatnich latach sam Matejko nie wywierał pod tym względem pressyi. Doznał zapewne wielu

rozczarowań, przekonał się, że tylko słabsze talenta uległy jego wpływowi, silniejsze szukały zaś innych tematów, innych kierunków, odczuwały inne artystyczne potrzeby. Na najwyższym kursie jego Szkoły zaroilo się od malarzy ludu, scen współczesnych, rodzajowych, od portrecistów. Brakowało doprawdy tylko krajobrazu!

Lwowski pałac sztuki nie obfitował w prace treści dziejowej, a bardzo nieliczne płótna, które-by tu można zaliczyć, wkraczają raczej w zakres historyczno-rodzajowego malarstwa. Szukałem napróżno prac p. Bakałowicza, wytwornych kostiumowych scen i ludzających atlasów p. Czachórskiego, drogocennych obrazków p. Szymona Buchbindera, nowożytnego Gerarda Dow czy Ter Borch: pośród naszych malarzy. Siemiradzki nadesłał kilka małych kompozycji z życia starożytnych Rzymian. Jaki to dziwny artysta! Z jednej strony maluje dla Krakowa wspaniałą kurtynę, zapewne jedną z najudatniejszych, najpiękniejszych teatralnych zasłon, jakie istnieją na świecie, z drugiej zaś wystawia szereg prac banalnych, pozbawionych świeżości i poczucia. Stając przed którąkolwiek z nich, ma się zawsze wątpliwość, czy się już zna to dzieło, czy się też może widziało inne a podobne. Każde z nich zapewnia mimo to widzowi miłą, rokoszną chwilę; taka tam bywa piękna dal, góry stoją w błękitnym omroku, na morzu sinem znaczą się ciemne, szafirowe smugi. Białe marmury świątyni dyszą w ciepłym słońcu. Może być, że Siemiradzki osładza czasem charakter południowego pejzażu; bije bądź co bądź z jego dzieł urok ziemi, za którą ci nawet tęsknią, co po niej nigdy nie stąpali. P. Wilhelm Kotarbiński lubuje się w wesołych, pogodnych starożytnych scenach; szuka szalu lub grozy. Nie mogę się jakoś oswoić z jego wielkimi kompozycjami, ani ze *śmiercią Messaliny*, ani z *orgią*. Takie duże a takie puste! Pierwszy z tych obrazów ma przynajmniej kolorystyczne zalety, świadczy o sumiennej obserwacji wieczornego pomroku. Ale drugi! Sztuczną, asfaltową karnacją, brakiem pomysłu przypomina Hansa Makarta, po części Siemiradzkiego, a niekiedy i p. Żmurkę. O ileż wyższe, samodzielniejsze były dawne prace p. Wilhelma Kotarbińskiego, a zwłaszcza śmiałe sceny z Nowego Testamentu! Techniczna wprawa, ogromna biegłość, malarska brawura nie zastąpią dawnego czysto indywidualnego poczucia, szczerzego zapału. P. Styka zestawia na patetycznym obrazie *Dwa światy*: rzymską heterę, niesioną w otwartej lektyce na Via Appia, przejętej z popularnych rekonstrukcji, i pogrzeb chrześcianina, może męczennika. Za ciałem idzie jakiś ponury mędrzec, odwracający się ze wzgardą od widoku nagiej kobiety i pijanego starca z wieńcem róż na głowie. Chrześcianin z czasów pierwotnych, z dni męczeństwa, przedstawia się p. Styce inaczej niż mnie, bardziej teatralnie i bardziej deklamacyjnie. Nie mogę się z nim jednak o to poję-

cie sprzeczać i nie będę także odnawiał zadawnionego sporu o oryginalność jego kompozycji, naśladowanej podobno z nowożytniej płasko-rzeźby. Wystarczy mi powiedzieć, że te „dwa światy”, treścią tak odmienne, odznaczają się tym samym brudnawym kolorytem, że je zbierała jednak niedbałość w traktowaniu kształtów figury ludzkiej. Poetyczny mrok poranka nie może osłonić, usprawiedliwić wszystkich niesumienności artysty. — P. Stanisław Kaczor-Batowski wystawia dwa obrazy. Jeden z nich, *Wieczornica*, wydaje mi się mniej misternie obserwowanym, chociaż nie pozbawionym nastroju. Natomiast drugi, który już w 1891 r. zwracał na siebie uwagę w Berlinie, odznacza się zaletami rysunku i koloru. Jest to scena z dziejów ruskich, *Kniaź Jurij I u malarza ikonów*; doskonałe słońce pada do wnętrza tej mniszej pracowni. *Pierwsi dezercerzy* p. Zygmunta Ajdukiewicza, scena wojenna z XVII stulecia, ma dużo życia i ruchu; lękam się jednak, że fotografia grała zbyt wielką rolę w przedstawieniu uciekającej czwórki. Juliusz Kossak jest zawsze w rysunku pełen śmiałości, zamasy- stości; bywa nawet wytworny. W ilustracjach odnajdujemy całą jego werwę. Historia polskiej sztuki uzna w nim wielkiego rysownika koni, zarówno szkap jak bachmatów, znakomitego przedstawiciela przeja- żdżek z chartami, łowów na grubego zwierza, całego życia w pańskim i w szlacheckim dworze. W *Panu Tadeuszu* nie uwzględnił Mickie- wicz bardzo ważnej strony wiejskiego życia, nie wspomniął o stadni- nie, o wrodzonym zamiłowaniu szlachcica do koni. Rzekłbyś, że Win- centy Pol chciał tę lukę zapełnić: wprowadził hippologię do *Mohorta* i jego komentarzy. Poetą całej tej szlachty, która hoduje konie, pieści swe źrebce „siwe, jabłkowite”, pasie cukrem białonózki, został dopiero Juliusz Kossak.

Jest on klasycznym rysownikiem kawalerzysty bieżącego stule- cia. Przedstawiał nieraz walki z XVII wieku, ataki skrzydlatej hus- saryi, szukał motywów w historycznych opowieściach Sienkiewicza; rzeczywista jego zdolność objawia się jednak w tematach późniejszych, począwszy od wielkiej armii Napoleona. Nie krwawa, okrutna wojna, ale „wojenka” jest tego tematem.

Jako malarz nie może rywalizować z dzisiejszymi mistrzami akwarelli. Obniża nowe swe prace, nie zadawalniając się konturem, pragnąc je zabarwić. Sceny z dziejów rodziny Gniewoszków są raczej kolorowe, niż kolorystyczne.

Syn naszego „pana Juliusza”, Wojciech Kossak, zdobył sobie oddawna sławę zdolnego batalisty. Ojciec odznaczył się głównie jako rysownik, syn jego i uczeń uległ prądom czasu, nie zadawalnia się już samym konturem, nie lekceważy barwnej plamy. I u niego jednak po- dziwiam przedewszystkiem werwę, życie, dziedziczne poczucie i zrozu-

mienie konia. W przeważnej części znanych mi prac p. Wojciecha Kossaka nie odnajduję dotychczas kolorysty. Obraz, który widziałem we Lwowie, raził mię także zwykłą, zapewne z monachijskiej akademii wyniesioną, skłonnością do szarych, jednostajnych tonów.

Wystawa posiada bardzo poważny historyczny obraz, przewyższający inne, i techniką, i nastrojem. Jest to praca Brandta, owego „Józefa Brandta z Warszawy”, jak się wielki malarz podpisuje, aby go w Niemczech, gdzie doznaje szacunku i uznania, nie zaliczono do Niemców. Dzieło, zatytułowane *Modlitwa*, odnosi się podobno do legendy, którą mi opowiadano w ten sposób: W r. 1672, w obawie przed pohanami, wywieziono obraz Matki Boskiej z Kamieńca i jeżdżono z nim długo po świecie. Naraz na stepie stanęły woły; niepodobna było zmusić ich do dalszej drogi. Uznano w tem wołę Bożą; wszyscy, co towarzyszyli obrazowi, przyklękli i poczęli śpiewać pieśni przy świetle kaganków. Tę chwilę legendy obrał sobie Brandt. Ranek nastaje i szarzeje już niebo. Złoty połysk obrazu przygasa nieco wobec blizkiego dnia. Srebrne duże woły, o wielkich rogach, pokładły się nad wodami, z których lekki opar wstaje. Malarz porzucił zwykle swe, bardziej rodzajowe temata, umiał wyrazić pobożny zachwyt i charakter tej ciżby, widzianej głównie z tyłu, odnowił swą technikę, zajął się problematem oświetlenia. Jarzący blask wokoło Matki Boskiej przeciwstawił sennym i chłodnym przestworom krajobrazu. Skupił całą moc światła w środku swego płótna. Dał przykład, jak artysta, którego dzieła stanowią taką ozdobę wystawy retrospektywnej, może iść z młodymi, szukać z nimi razem nowych pomysłów i kierunków. Utrzymał wybornie półmrok wilgotnej, kończącej się nocy, efekt lamp, pośród niej zapalonych, użył i jej nastroju, i światła, ażeby podnieść wrażenie kompozycji.

III.

W dalszym ciągu uwag niniejszych nie będę się mógł obejść bez nowego a ciągle używanego wyrazu. W potocznej mowie i w piśmie nadajemy mu tak odmienne, różnorodne znaczenia, że mógłby się komu wydać pustym, pozbawionym treści. Dla mnie jest on jednak niezbędnym, doniosłym wyrazem; sądzę, że nie od rzeczy będzie objaśnić, w jakim znaczeniu go używam. A więc co to jest impresyonizm?

Gdybym się nie lękał, że mi definicyę odrazu w żart obróć, powiedziałbym krótko: jest to malowanie bezmyślne. Przypuśćmy, że, jadąc statkiem parowym po rzece, widzę szeregi topól, stojących na brzegu. Patrząc na nie, doznaję jakiegoś ogólnego wrażenia świeżej

zieloności, zielonej wstęgi w górze, po-nad pasem wody błękitnej. Jeżeli się zastanowię, przypominę sobie, że z pnia topoli rozchodzą się konary, z konarów gałązki, na nich zaś siedzą liście o wiotkich szypułkach. Ale ja chwilowo nie *myślę*, ja *patrzę*. Widzę zieleń w wielkich masach, przyćmioną mgłą oddalenia, widzę ją tworzącą w świetle słonecznem partye, płaskie plamy. Gdybym był malarzem dawnej szkoły, na podstawie rozumowania i wspomnień odtwarzałbym tysiączne liście, których w rzeczywistości nie dostrzegam. Jeżeli zaś jestem impressyjonistą, zapominam o wszystkim, nie rozumiuję; wystarczy mi, jeżeli, oddając to, co widzę, obudzę wrażenie zbliżone do tego, którego sam doznałem, jeżeli wywołam uczucie świeżości drzew nadbrzeżnych, wsi, ciszy, zieleni, której widok raduje, uzdrowia i uspakaja oczy. Budując dom, zażądam od architekta, aby nie pominął żadnego szczegółu na planie, aby mi narysował każdą konsolę, każdą ramę drzwi, futrynę okien. Jeżeli potem zapragnę dać komu pojęcie o mojem życiu, o świecie, co mię otacza, jeżeli zechcę komu posłać widok mojej siedziby, nie będę dbał o jej martwy, dokładny wizerunek. Poproszę malarza, aby raczej oddał charakter miejscowości, plamę, którą dom tworzy na

ciemnej zieleni

Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.

Będzie mi chodziło o wrażenie, o to, aby je odczuli i ci, dalecy a bliscy, których noga na moim progu nie powstała. Zadowolni mię tylko artysta. Nie obniżajmy jego działalności, nie żądamy, aby był dziecinny *naśladowcą*, zniżał się do rangi rysownika strategicznych pozycji, albo fotografa. Zgódźmy się na „bezmyślne malowanie”, skoro nam ono sprawia najsilniejszą i czysto artystyczną roskosz.

Znamy je zresztą nie od dziś, spotykamy je u najznakomitszych mistrzów XVII stulecia, np. u Aelberta Cuypa, wielkiego hollenderskiego luminarzysty. W publicznych i prywatnych zbiorach w Amsterdamie, albo w Muzeum berlińskiem, można spotkać studia i obrazy Adryana van de Velde, pojęte zupełnie „wrażeniowo”, jak się dziś mówi i pisze. Najwspanialszy pejzaż Jana Ver Meer van Delft, przechowany w Moritshuis w Hadze, jest dziełem czysto impressyonistycznym. Nie należy sądzić, że malarstwo, które pół żartem nazwałem „bezmyślnem”, jest jakimś malarstwem bezdusznem. Bywa ono owszem pełnem uczucia, silniej od innych wprowadza do sztuki nastrój, czyli głęboką, osobistą poezję, podnosi prosty widok do wysokości krajobrazu i odpowiada określeniu Bacona: „Sztuka jest to człowiek, dodany do przyrody.”

Wielcy artyści XIX stulecia, powtarzam: artyści, nie myślą bynajmniej o ślepem naśladowaniu natury; wiedzą zbyt dobrze, że współzawodniczyć z nią nie mogą. Chcą jednak uwzględnić różne jej strony, dotychczas nie wyzyskane. I pośród polskich malarzy są tacy, co biorą udział w tej walce. Nie masz ich prawie wcale w salach naszej wystawy. Brak np. wielu podobnych prac Prószkowskiego, brak obrazów tak pierwszorzędno malarza, jakim jest Leon Wyczółkowski. Z dwóch młodych warszawskich artystów, którzy się oddawna wysilali na odtwarzanie zjawisk, jakich malarstwo może nigdy w całej pełni wywołać nie zdoła, i pragnęli oddać na płótnie wrażenie słońca, jaskrawego blasku dni gorących, umarł niedawno jeden, bardzo zdolny, ambitny i, mimo pewnych, zrozumiałych przesad, bardzo szczery. Sztuka nasza straciła w Podkowińskim wielką siłę, wielki, oryginalny talent. Oceniono go dopiero po śmierci, spóźniony podziw otoczył jego krajobrazowe studia, śmiałe kompozycje, portrety. Przeprowadzał on we wszystkich pracach swój sposób widzenia i przedstawiania natury, energię i szczerość, która gorszyła wielu czcigodnych ludzi a nieśmiałyh znawców malarstwa, ale mu zapewni nazwisko w dziejach naszej sztuki. Nie należało-by sądzić, że wpływ impresjonizmu musi się ograniczyć do samego pejzażu. Jeżeli dotąd mówił wyłącznie o zdobyczach, które nowy kierunek na tem polu osiągnął, uczyniłem to z tego względu, że jego charakter i zasługi można najłatwiej, najbardziej naocześnie w dziedzinie krajobrazu wyjaśnić. Na całym świecie zrywają dziś artyści z dotychczasowem własnem, z ogólnem nawykniem, dążą do oddania tego, czego nikt jeszcze nie oddał, rzucają się — nie chcę powiedzieć z motyką na słońce — ale z biedną, brudną swą paletą na odtwarzanie pełnego, jaskrawego światła; na całym wielkim świecie popadają nieraz w przesadę, lecz z drugiej strony patrzą się na naturę własnemi, świeższemi, wrażliwszemi oczyma, dojrzeli już wiele szczegółów, wiele piękności, jeszcze niezaobserwowanych, oddali wiele z pośród nich, rozszerzyli nasze pojęcie o bogactwie zjawisk zewnętrznych. Obrazy ich nieraz są bliższe rzeczywistości, bo silniej od dawnych prac wywołują złudzenie. Czyż mogę więc iść za przykładem ogółu naszego społeczeństwa, czyż mogę pomijać milczeniem szlachetne usiłowania naszych malarzy, dążących ku tym samym celom, do których cała Europa kroczy, potępiać je dlatego, że mię zrazu zadziwiają i trwożą? Zanim się krytyk od obrazu malowanego odwróci, powinien się spytać, czy podobnego nie widział nigdy w naturze, czy może, obojętny albo roztargniony, nie przeszedł obok zjawiska, a mając oczy ku patrzeniu, nie spojrział? Wielka doza słuszności tkwi w zasadach, które dzisiejsi artyści lubią głosić, w zdaniu, że tylko malarz zdoła malarza zrozumieć. Mają oni o tyle rację, że po-za ludźmi, upra-

wiającymi sztukę zbyt mało jest takich, co zwykli obserwować. Nie chodzi tu, jak sądzę, o techniczną znajomość, chodzi o stałą, wyrobioną wrażliwość wobec kolorów i kształtów.

Nie wystawiono we Lwowie ani jednej pracy p. Podkowińskiego, ani jednego studium p. Pankiewicza, zdolnego towarzysza jego usiłowań, ale może mniej szczerego artysty, skłonniejszego do zadziwiania tłumu niezwykłością tematów. Wystawia on przeważnie dzieła w rodzaju owych sennych, srebrnych, ledwo dojrzanych łąbędzy, owego „Nokturnu”, który przed blisko rokiem dzielił na dwa obozy cały artystyczny świat Warszawy, wywoływał jednostronne, nieraz dziecinne oburzenie i zachwyt, jeszcze bardziej gwałtowny, jeszcze mniej zrozumiały. Zaprawdę, nie było powodu do tak głośnych sporów i sam malarz powtarzał sobie może słowa francuskiego poety:

je n'ai point mérité

Ni cet excès d'honneur ni cette indignité.

Czasami jednak idzie p. Pankiewicz za lepszym, szczerzem natchnieniem. Tworzy wtedy dzieła tak pełne głębokiego nastroju, jak ów pośmiertny kobiecy portret, wiszący obok „Nokturnu.” Był on jakiś blady, utrzymywany w niewyraźnych, wypłowiałych barwach; sprawiał wrażenie starego, bardzo drogiego sercem wizerunku. Był mglisty i już daleki, nakształt poblakłych dagerotypów albo pastelii; był zarazem serdeczny i żywy, jak gdyby go odświeżała ciągła pamięć i niegasnące wspomnienie.

Drobne a znakomite prace p. Stanisławskiego, który, jak słyszę, jest synem znanego tłumacza „Boskiej komedyi”, były niemal jedynymi okazami impresyonizmu we Lwowie. Czy pośród nielicznych u nas ludzi, rozczytujących się w Dancie, są też i tacy, których uwadze nie uszło poczucie natury ogromnego poety, trafność, malarska wierność jego krajobrazów? Ale nie o tem dziś mowa. Przyjrzyjmy się choć jednemu dziełu malarza, wychowanego może na włoskich tercynach. Sad o zmroku, na wiosnę, w tej błogiej, rozmarzonej porze, kiedy jabłonie kwitną. Na trawie pod drzewami, ubielonemi wapnem, żółknieją owe marne kwiaty, które po przekwitnieniu zamieniają się w szarawe kule, w miękkie kształty z puchu. Cały ogród, cały dół krajobrazu ginie w półmroku wieczornym. W górze stoi wczesny pełny księżyc, stoi na niebie prawie różowem, rzuca blaski nieśmiało na drzewa w kwiecie, na murawę, na całą ziemię senną. I poi ją ciszą, napelnia bladym blaskiem tęczowym. Jedna gałąź bliższej nam jabłoni wkracza w obraz; będąc na pierwszym planie, rysuje się wyraźnie i ciemnie.

Żal mi, że p. St. Dębicki nie wystawia pejzażowych studyów. Pomogły-by mi one niemało do bronienia całego impressjonistycznego kierunku. Spotykam się tylko z portretem pastelowym, modelowanym, nie mówię dobrze, ale wytwornie. Okazuje się stąd, że niektórzy nasi wrażeniowcy—wyraz to Gersona—lekceważą rysunek dlatego, że tak chcą, a nie przeto, że nie umieją rysować. Niepospolici malarze wychwalają mi inną pracę p. Dębickiego, portret dwojga dzieci. Wyznają, że bardzo zawiódł moje oczekiwania. Twarzyczki są niewątpliwie żywe, dziecinne typy dobrze pochwycone, zapewne podobne. Ale nie widzę, czemu taki rysownik, dlatego, że odczuwa plamę barwną, ma gardzić rysunkiem, wyrażać tę plamę niezrozumiałą płaskością postaci. P. Kędzierski idzie jeszcze dalej w impressjonistycznym kierunku. Światło słoneczne, przekradające się przez szczeliny jakiegoś nieprzejrzystego ciała, np. szparą zamkniętej okiennicy, rozбивa się na wielorakie, różnobarwne, tęczowe promienie. Każdy z nas mógł o tem się przeświadczyć, ale każdy musiał zarazem spostrzedz, że, po pierwszym olśnieniu, stajemy się obojętniejszymi na zjawisko, dostrzegamy mniej barw w szczelinie, zauważamy przedewszystkiem pomrok mieszkania, do któregośmy dopiero co wstąpili. P. Kędzierski chciał utrwalić na płótnie nasze doraźne wrażenie, nie wahał się olśnić nas barwami. To też na pierwszy rzut oka, rozumiemy go, przez krótką chwilę przenosimy się do jego stodoły. Obraz jest bowiem wybornie, mądrze, pilnie obserwowany. Te gry światła, blaski tęczowe, plamy czerwone i zielone istnieją w naturze. Po chwili złudzenia szukamy jednak pomroku, który nas objąć powinien, i nie znajdując go, przestajemy wierzyć artyście. Płótno p. Kędzierskiego nasuwa dużo uwag, które-by nas łatwo zawiodyły na pole estetycznych rozumowań. Doszlibyśmy może do ocenienia istotnych granic impressjonizmu. Obecnie należy mi poprzestać na zapisaniu, że obraz ten, odznaczony srebrnym medalem, jest w każdym razie dobrem, efektownem, umiejętnie oddanem wrażeniem jednej krótkiej chwili.

Pewne zboczenia, wybujałości impressjonistycznego kierunku, nie powinny nas wrogo dla niego usposabiać. Nie jest on bowiem tylko modą—jest taką zdobyczą, jaką np. w swoim czasie była perspektywa. W istocie swojej nie jest impressjonizm niczem innem, jak tylko zasadą perspektywy powietrznej, systematycznie przeprowadzoną. Nie wszyscy włoscy artyści XV i XVI wieku zdawali sobie z niej sprawę; dopiero niderlandzcy malarze XVII stulecia uwzględnili ją zupełnie i zaliczyli do wiadomości, niezbędnych artyście. Ci „dawniejsi mistrze”, jak ich nazywa znakomity krytyk, będący równocześnie niepospolitym malarzem, powinni-by dziś wobec zbitej z tropu, estetycznie trwożliwej publiczności, usankcjonować kierunek, na pozór nowy.

Istnieją amatorowie malarstwa, którzy, nie patrząc się nigdy sami na naturę, nie pozwalają jej obserwować artystom, dopóki im w historii sztuki nie odnajdą przodków.

Julian Fałat należy do tych nielicznych u nas malarzy, którym chodzi głównie o oddanie wrażenia barw, a którzy, mimo to, cieszą się sympatją i uznaniem ogółu. Należy to w części przypisać i temu, że Fałat zdobył pierwsze laury za granicą; społeczeństwo nasze, skore do potwierdzania obcych wyroków, nie lękało się więc własnej admiracji. Wysuwam tu nazwisko znakomitego artysty, bo, zdaniem mojem, należy mu się, ze względu na technikę, pierwszorzędne miejsce pośród polskich malarzy. Wysuwam go, chociaż dzisiaj wydaje mi się on nie wyznawcą impressjonizmu, ale jego wirtuozem. Na jednym obrazie, wystawionym we Lwowie, widzimy puszcę litewską, pnie drzew połamanych, sterczące obok dużych sosen. Ranek. Mgła, wstająca z moczarów, doszła do pół wysokości lasu. Na niebie jasnym i zaróżowionem świecą się żywo plamki barwnych chmurek. Prześliczny obraz, pełen nastroju. Drugie płótno przedstawia bór o złotych jesiennych liściach i wodach, które tak błękitnieją, jak wiosną. Musiały przerwać tamy i rozlać się po puszczy. Duży łosć kroczy ku nam, zapadając w bagno; dwa inne widać w głębi. Na niebie zbite, niskie, białe obłoki. Fałat ma niepospolitą zdolność, świadczącą, że ten wyborny, gruntowny rysownik, jest także malarzem z Bożej łaski: wie on, jak plamę na płótno położyć, ażeby wywołała złudzenie. Na naszym obrazie plama ta jest kwadratową, zachowuje kształt pendzla, który się płótna dotyka. Artysta bawi się techniką, popisuje wprawą. A mimo to daje wrażenie natury! Podziwiam go szczerze, nie mogę się jednak oprzeć pewnej trwodze. Staje mi na myśli szereg bardzo słynnych malarzy, i obcych, i swoich, dla których biegłość stała się zwolna nie środkiem, ale celem. Prace Fałata nie upoważniają jednak do podobnych ogólnych przypuszczeń. Dowodem znakomite akwarelle. Jego *Sad tyrolski* dyszy zarem letnich popołudni; w ośnieniu słońca malarz widział dwa tony—ciepłe niebo na górze, na dole gorącą zielen drzew. Sceny z polowania w Staszowie są traktowane nieco pobieżnie, ale bardzo żywo. Wnętrza lasu nie mogą stanąć obok *Naganek* artysty, tak słynnej, tak rozpowszechnionej w wybornej reprodukcji. *Wyjazd na polowanie* okazuje natomiast całą bystrość obserwatora, całe uzdolnienie kolorysty. Są to tylko plamy, tylko ogólne wrażenia gwarnych przygotowań do łowów, ale tyle tam powietrza, taki mróz, taki wytwornie podpatrzony ranek o cieniach błękitnych na śniegu! Doskonałe dzieło zdaje się niejako zapowiadać znakomitą zimową scenę z łowów, wystawioną przed kilku tygodniami w salach Towarzystwa Zachęty, jasną, pełną blasku i, mimo lekkiego zabarwienia, tak bardzo kolorystyczną.

P. Aleksander Świeszewski nie uznaje dziś impresjonizmu. Chcąc poznać, jakiej to miary artysta, trzeba przejść do sekcji retrospektywnej, stanąć przed jego *Chiemsee* i podziwiać powietrzną perspektywę obrazu. Podnosiłem to już innym razem, że małym płótnom znakomitego malarza, tym, które widz jednym spojrzeniem obejmuje, wystarcza i odpowiada drobna jego technika. Taką wyborną pracą jest na wystawie krajobraz *Z naszych okolic*. Na dużym *Czarnym stawie* brak zaś powietrza, smugi wód, tu jasno-zielone, tam szafirowe, nie mogą też wywołać nastroju. *Pompei* robi wrażenie barwnego modelu ruin, przechowanego pod kloszem. Jakże inaczej wyglądają zwaliska na obrazie p. Pstrokońskiego. Nad szeregami utraconych kolumn, nad rumowiskami podnoszą się ciemne obłoki, przypominając kształt góry. Po-nad wyraźną ich linią stoi na czystym, przezroczym niebie, złoty, wązki księżyc. Taki jest nastrój smutku, pustki, takie wspomnienia drzeźni w tych gruzach klasycznych, że zamiast „księżyc”, radbym powiedzieć „błady sierp Dyany.” Obraz ma prawo nosić tytuł *Ciszy*.

P. Antoni Piotrowski wystawia kilka dzieł różnorodnej treści. Wspominam na tem miejscu o wybitnym malarzu, bo krajobraz wydaje mi się najlepszą z jego prac, będących we Lwowie. Wszystkim jednak daleko do dawniejszych robót, czasami niepospolitych, np. do *Rozstrzelania*, do *Utarczki*, do grupy włościan, siedzących przed chatą. Niechaj mi wolno będzie pominąć milczeniem dwa niesmaczne płótna, *Cnota* i *Występek*. Portret własny artystów bywa zazwyczaj najlepszym ich dziełem; p. Piotrowski zadaje kłam historii sztuki. Nie wymalował nigdy figury tak suchej, drewnianej, jak na tym portrecie o wątpliwym rysunku, głowie za małej, twardym i jakby polakierowanym. Postacie ze starożytnego świata i dawnej mitologii zajmują od kilku lat artystę. Stawia je wśród naszego, polskiego, północnego krajobrazu, maluje „bogów na wygnaniu”, jak mówił Heine. Raz już zgromadził Faunów i ich samice pod drzewem, na którym wisiał święty obrazek. Obecnie wystawia *Idyllę pasterską*. Jakiś skotarz, uciekły z sielanki Teokryta, gra na siedmiorakiej piszczałce; przed nim stoi pasterka, nawpół w skóry owcze ubrana. Artysta zapomniał, że słońce musiało opalić całą dziewczynę, chodzącą nago. Wymalował ją z pierwszej lepszej rozebranej modelki, której ręce i łokcie poczerwieniały na zimnie. Zachował wiernie dwa odmienne tony jej skóry, uwzględnił białosć pleców i różowe ramiona. Dał jej natomiast za tło śliczny, swojski, głęboko odczuty krajobraz.

Nasi malarze zwracają się rzadko do obcych pejzaży. Ponieważ, zdaniem mojem, recenzent mógłby sobie tylko samowolnie przywłaszczać prawo krytykowania wyboru tematów, nie myślę ani robić zarzutu, ani nawet chwalić. Zapisuję fakt, i nic więcej. Mamy jednak kilku

malarzy dalekich mór i wybrzeży. P. Austen przedstawia żółtawy nadmorski piasek po burzy. Powierzchnie płytkiej wody, pozostałej po odpływie, szklą się i błękitnieją; na kamieniach świecą się w słońcu włókniste, rude wodorosty. Dzień jest trochę mglisty, i skały odległe, łódź na mieliźnie osiadła, nabierają barw przejrzystych, stalowo-niebieskich. Znamy oddawna skandynawskie krajobrazy p. Nałęcza. Na naszych wystawach przypomina artysta wielkie współczesne malarstwo Norwegii. Lubi on utrzymać cały obraz w zimnych tonach i na tle chłodnej fali, skał szarych, sterczących w czyste niebo, lubi położyć jaką plamę kolorystycznie silną, nieraz ciepłą, czerwoną łódź na brzegu, parowiec w oddali, szalas pomazany na różowo, olśniewająco białe mewy, nadbrzeżne rude kamienie. Lubi też zwarte, świeże, miękkie runo lasów bukowych na stoku i wie, jak niebo i góry odbijają się w gładkiej wodzie fiordów, chwilowo uspięnej, ale zawsze posępnej i groźnej. Jedna Bilińska oddaje cały strach, całą potęgę oceanu. We Lwowie był tylko jeden jej morski pejzaż, raczej szkic, raczej wrażenie, niż obraz. Ale drobne dzieło zabijało inne widoki morza. Nie rozszalała się jeszcze fala, wysrebrzona i chłodna. Po niebiosach gonią już chmury ponure, zło wróżące. Gotuje się burza, która świat ciemnością ogarnie i popłochem napełni.

Polskie krajobrazy wystawia p. Roman Kochanowski z Monachium, pierwszorzędnny malarz chat, zielonych pastwisk i wierzb krzesanych, stojących wzdłuż strumieni. Można było po wielu wystawach oglądać obrazy, świadczące o jego talencie, zrozumieniu natury okolic pod Krakowem. Prace, które nadesłał do Lwowa, nie pozwoliły-by go ocenić. Może też nie wolno malować ze studyów i z pamięci widoków, które my miewamy ciągle przed oczyma. Może to niebezpiecznie przedstawiać swojską naturę, przebywając stale w Monachium. O wrażeniu, o nastroju nie może być mowy. Krajobrazy p. Kochanowskiego są dziś nadto jednostajnie szare, albo zbyt brunatne w tonie. Ale chociażby wierniej przedstawiały wieś polską, nie oddały-by jeszcze jej uroku. Wydaje mi się, że trzeba malować pod wrażeniem rzeczywistości, nie na to, aby ją odtworzyć, ale poprostu na to, aby ją po swojemu odczuwać. W tem jest cała potęga impresyonizmu, zagadka jego doniosłości. I p. Pocięcha zapomina o tem psychologicznem prawie. Sądzi on także, iż zrobiwszy dobry szkic na miejscu — niemasz jak jego bezpośrednie studia! — posiada już obraz gotowy. Sądzi, że powtarzając w pracowni, na zimno, kształty drzew, profil kościołka, linię horyzontu, odnajdzie zarazem pierwotny nastrój krajobrazu. Bardzo zdolnemu, bardzo pracowitemu artyście, życzę więc przede wszystkim wczasu, pokoju, swobody, życzę mu, aby znalazł sposobność do malowania tego, co obserwuje i odczuwa. P. Bruzdowicz, wystawia bardzo

piękny, bardzo śmiały, pozornie pozbawiony „treści” pejzaż. Nad karłowatymi sosnami, wyrosłymi na szczerym piasku, nad kawałkiem ziemi, gdzie w cieniu drzew tylko mech się utrzyma, świeci niebo jasne i cienie na sosenkach są błękitne. Niewysłowiony smutek, rozpaczliwe wrażenie pustki, wieje z tego swojskiego a wybornego krajobrazu. Już to nasi artyści odczuwają głównie nędzę. P. Henryk Weyssenhoff, którego cmentarz z walącemi się krzyżami zwrócił na siebie powszechną uwagę podczas berlińskiej wystawy 1891 r., maluje teraz brudny zakątek litewskiego miasteczka i zaśnieżoną łąkę. Wglądamy więc raz w wąską uliczkę, widzimy ściany domu czy lepianki o wystającym, miejscami napęczniałym tynku. Szybki okien czerwienią się od zorzy zachodu. Pomiedzy budowlami otwiera się widok na stok wzgórza, u którego stóp srebrnieje koryto rzeki. Perspektywa domostw jest znakomicie wykreślona, ale dopiero powietrzna perspektywa nadaje całą wartość obrazowi. Na drugim płótnie sroży się dzień zimowy, tak jasny i olśniewający, jak się to tylko zdarza podczas najcięższych mrozów. Rzecz dzieje się zapewne około Nowego Roku i godziny trzeciej po południu; słońce nie jest zupełnie jaskrawe, a chociaż śnieg lśni się jeszcze żywo, niebieskie cienie graniczą już z fioletem. Niebo puste, wyiskrzzone, przechodzi od błękitu do przejrzystości opalu, wyłoczonej i bladej. W głębi sinieje las, czerwienią się młode lipki. Wszystkie barwy grają. Na nierównej, poszarpanej łące, gdzie przeszłoroczne trawy wystają ze śniegu, sterczą stogi, przysypane zamiecią. Po gruźnej, uciążliwej drodze, idzie litewski chłop za sankami; wiatr rozwiewa mu sukmanę, wiatr, co w takie dni po płaszczyznach hula i uspakaja się dopiero rozgwieżdżoną nocą. Obraz należy do najwierniejszych scen z natury, pomieszczonych na wystawie, a nie brak mu i jakiejś strasznej, zimowej poezji. Musimy podziękować sędziom, którzy mało znanemu, młodemu artyście nie zawahali się przyznać złotego medalu.

P. Wywiórski jest także młodym, niepospolitym malarzem. I on wybija się z każdym dniem, okazuje postępek w każdym obrazie. Na myśliwskiej scenie z Polesia uderza prawdą szary ranek bez słońca, „dzień bez światła w oku.” Linia widnokregu, linia dalekiego lasu, giną we mgle; nad łąką, pełną stogów, porosłą tu i owdzie brzoškami, opuszcza się i zaokrągła chmurne, ciężkie niebo. Drugi obraz jeszcze lepszy. W cichej wodzie, po której płynie łódką rybak poleski, odbija się wybornie blade niebo z białemi obłoczkami. Dokoła łąka pod lasem, wysoka, miękka, rozświecona główkami białych kwiatów. Czuje się w atmosferze wilgoć, rozumie świeżą zieloność tych traw po-nad wodą.

P. Witkiewicz ma na wystawie szereg płócien i rysunków piórem, same wyborne prace. Zwykł on to przedstawiać, co zna dokładnie, co ma bezpośrednio przed sobą, robi więc widoki morskie w Połędzie, w Zakopanem — tatrzańskie krajobrazy. Rzekłbyś, że jeden człowiek lubi w nim kontrolować drugiego, że krytyk dba o to, aby mógł w każdej chwili sprawdzić, porównać z naturą to, co maluje artysta. Malarz godzi się z pisarzem, kiedy za temat wybiera takie zjawiska w naturze, do których nie wszyscy przywykli, a więc np. takie wrażenia barwne, których-by się pierwszy lepszy pejzażysta nie ośmielił odczuwać. A jednak byle zjawisko było prawdziwem, byle przeprowadzono na płótnie „logikę oświeślenia!” Nie moja to wina, że wobec obrazów Witkiewicza nie zapominam nigdy o autorze *Sztuki i krytyki*, że nie mogę rozerwać tych dwóch niepospolitych ludzi, tkwiących w jednym człowieku. Wydaje mi się to rzeczą bardzo prostą, iż kto, jako krytyk, napatrzył się tylu banalnych obrazów, interesuje się, jako malarz, niecodziennemi, ciekawszemi zjawiskami. Kto nie był nad morzem, nie uwierzy, że wieczorami, po-nad usypiającą, wysrebrzoną falą, zachodzi czasem słońce niezupełnie krągłe, że wśród mgieł, nagromadzonych nad wodami, tarcza jego krwawa może się wydać spłaszczoną. Taki widz nie oceni całej prawdy obrazu Witkiewicza. Kto znów, idąc lasem, przy pełnym księżycu, w mroźną noc zimową, nigdy nie przystanął, aby przypatrzeć się światu, kto nie zadał sobie nigdy pytania, jakby ten bór musiał wyglądać, gdyby go tak w całej świetności, w całym sinym blasku, w roziskrzeniu śniegu pochwycić, ująć w ramy, ten mógłby powiedzieć, że miesiąc p. Witkiewicza jest zbyt jaskrawy, a cienie nadto czarne. I jeżeli wszystkie przesłiczne rysunki artysty są dla ogółu odrazu dostępne, to prawie wszystkie jego olejne obrazy przemawiają przedewszystkiem do widza, który sam patrzy na naturę. A Witkiewicz ma prawo na niego liczyć. Książki o sztuce, pisane dziś przez artystów, odświeżają poczucie natury, uczą publiczność patrzeć po malarsku, czyli stale, pilnie i szczerze. Bywają jednostronne, ale zbliżając widza do artysty, przypominają mu, że istnieje świat zewnętrzny, godny obserwowania, miłości i podziwu, wiedzą go więc do natury i mogą stanowić epokę w artystycznym rozwoju społeczeństw. Pod ich wpływem patrzymy się sami na świat i rozumiemy artystów. Spoglądając na widzów, stojących we Lwowie przed *Mgłą wiosenną* lub *Rybakami*, miało się ochotę poprosić ich, aby się wpatrzyli, zagłębili w obraz, aż się im jego prawda stanie oczywistą. P. Witkiewicz jest bowiem równie rzetelnym w malarstwie, jak w krytyce.

Po jego nazwisku nasuwają się mimowoli dwa inne: Józef Chelmoński i Aleksander Gierymski. Pierwszy z nich, rozślawiony za gra-

nicą, powrócił przed kilku laty do kraju. Mieszka obecnie w pobliżu Warszawy, gdzie się pejzaż rozwija bujniej, niż gdziekolwiekbyś indziej. Nie piękność okolic wpłynęła jednak na ten rozkwit, bo trudno zaprawdę o strony biedniejsze, bardziej jednostajne i mniej „malownicze.” Istnieją rozliczne powody, któremi można tłómaczyć obudzenie się pejzażu w Warszawie; sądzą, że przykład Chełmońskiego musiał tu przedewszystkiem podziałać. Pejzażyści wyrosli bowiem prawie nagle, wyszli na jaw przeważnie po osiedleniu się w kraju największego z naszych malarzy natury. Łączy ich z nim ta sama, szczerą, bezwzględna dla niej admiracja, ten sam impresyonizm, wreszcie ta sama, chociaż zazwyczaj słabiej ujawniająca się, poezja. Wymieniłem już kilku artystów nieobecnych na wystawie, dodam do ich szeregu nazwisko p. Miłosza Kotarbińskiego. P. Stefan Popowski wybija się z każdym dniem z tłumu pejzażystów; obraz, wystawiony we Lwowie, nie daje miary jego talentu. Tylko zielony cień, jaki tratwa i flisacy rzucają na mętłą Wisłę, tylko dalszy, błękitniejący nurt rzeki mogą chwalić bez zastrzeżeń. Ani ludzie, ani zbite kłody drzew, ani słoma na tratwie nie dają wrażenia rzeczywistości. Artysta wymalował w ostatnich czasach kilka obrazów o wiele lepszych; niechaj mi wolno będzie przypomnieć dwa znakomite widoki nocne, wystawione przeszłego lata w „Zachęcie.” P. Józef Rapacki daje nam znowu jedną z tych scen przedmiejskich, które mu zyskały wczesną i nieprzedwczesną sławę. Smutne, nędzne, puste okolice wielkiego miasta — oto jego właściwa dziedzina, własna, dotąd niepodzielna dzierżawa. Obecnie ukazał wał kolejowy i ustawiony na nim rząd wagonów. Zimowy ranek szarzeje, i tu i owdzie złocone blaski przedzierają się przez obłoki. W głębi są jakieś szopy kolejowe i białe pióropusze wstają z lokomotyw. Nikt tak nie potrafi oddać wrażenia pustki pośród fabryk, maszyn, przyborów i objawów gwałtownego nowoczesnego życia. Gdyby pierwszy plan był równie dobrze wystudyowany, jak dalsze, gdyby śnieg na przodzie nie był zbyt błękitny, obraz mógłby być dać pojęcie o wielkim talencie artysty. P. Józef Ryszkiewicz, malarz krajobrazów i koni, wystawia płótno nie dość wykończone, nie „doprowadzone” do pełnego efektu; chodziło mu widocznie o stronę krajobrazową, o oddanie zmroku warszawskiej ulicy, omglenia latarni i światła, płynącego z tramwaju. Jest to dobre wrażenie, nie przetworzone na obraz. P. Zofia Stankiewiczówna, po-za Warszawą mało znana a bardzo szczerą pejzażystką, powinna była zapisać się w pamięci widzów wystawy. Raz ukazuje nam ona drogę, wiodącą do wiejskiego kościoła, drogę, zasypaną wysokim śniegiem, obsadzoną wierzbami. Ma się ku zachodowi, na niebie i na śniegu panują już przejryste, jasne fiolety, takie jasne, prawie różowe! Od drzew padają zimne, błękitne cienie. Drugie płótno zowie

się *Noc*. Miesiąca nie widać, ale na całym obrazie jest księżycowo, mgławko; gwiazdy niebios są jak załzawione. Odległe gaje zwały się nie w plamy, lecz w lekkie, powietrzne, szaro-fioletowe smugi. Zieleńią się nieco ściany chat. Krajobraz jest tak nasiąknięty błękitem miesięcznej nocy wilgotnej, że światelka okien ledwo żółcieją.

Nareszcie sam Chełmoński, ale tu na wystawie niezupełny, niedostatecznie przedstawiony. Kto jego dzieł nie śledził, kto nie miał sposobności oglądać kilkudziesięciu obrazów i szkiców, zgromadzonych przed czterema laty w warszawskim Towarzystwie Sztuk Pięknych, ten mógł tu raczej przeczuć, niż poznać jego wielkość. Sekcja retrospektywna pozwala ocenić jego pierwsze, znakomite próby *plein-air'u*, dawne sceny myśliwskie i ludowe. Bo on-to wprowadził do naszej sztuki owe szalone ponoszące rumaki, sanki ścigane przez stado wilków, podobnie jak Brandt wwiódł do niej step i kozaczyznę. Iluż malarzy żyło potem z tych pomysłów! Chełmoński rzucił te stare temata na pastwę epigonom; nie dba, czy ma jeden motyw więcej lub mniej, nie potrzebuje ich szukać, same go nachodzą. Odkąd opuścił Paryż i osiadł w mazowieckiej wiosce, odkąd się zetknął z tą ziemią, za którą musiał zawsze głucho tęsknić, stał się największym, bo najsilniej czującym malarzem polskiej gleby, polskiego boru i polskiego nieba. Z dzieł nowszych wystawiono nam tylko *Napad wilków* z 1887 r., słaby, spóźniony, przerysowany egzemplarz częstego niegdyś obrazu, wyborny życiem *Jarmark na konie* i scenę rodzajową, zatytułowaną *Pocztarek*. Ze wszystkich obrazów, pomieszczonych w dziale współczesnym, jest to dla mnie najznakomitszy. Bo nietylko nie widziałem nigdy tak namalowanej ulewy, wobec żadnego obrazu nie doznałem takiego wrażenia wilgoci, szmeru deszczu, szarego, odbarwionego widnokręgu, ale rzadko zdarzyło mi się spotkać równie wyborną, dyskretną a wymowną scenę rodzajową. Pod okap dachu chłopskiej stodółki czy spichlerza schroniło się czworo ludzi: dwóch wieśniaków, baba i pocztarek. Wszyscy stoją przyparci do muru, bo woda leje się strugami z okapu. Chłopi są nieruchomi; ledwo zwrócenie do towarzyszy, szukają tu tylko schronienia przed deszczem, ale pocztarek, bywalec, zaczyna się do baby zalecać. Patrzy na nią inaczej, jest to inny człowiek, nie tak pierwotny, powolny i senny. Kobieta, także wieśniaczka, nie zachowuje się ani czynnie, ani odpornie, czeka spokojnie, kiedy ten deszcz ustanie. Na drodze, zamienionej w kałużę, gdzie podskakują krople wielkie i białe, jak ziarenka kaszy perłowej, moknie biedna, cierpliwa, znużona szkap pocztowa. Na kamiennej podmurówce pod dachem siedzi przemokła gromada kur osowiałych i filozoficznych. Do chaty ucieka w głębi postać nakryta sukmaną, jedna z najznakomiciej malowanych partyi obrazu.

Ale i to nie jest jeszcze dzisiejszy Chełmoński. Jemu wtedy najlepiej, kiedy żadna ludzka postać nie stanie w ramach okna, przez które się na świat patrzy. A tu nie masz ani jednego z tych obrazów, którymi się Berlin zachwycił. Nie widzę ani *Kuropatu na śniegu*, ani *Lalii wodnych*, ani tych zalanych, jaskrami porosłych łąk, po-nad którymi unoszą się czajki czarne z piersią białą. Nie widzę też jego głębi borów, stawów samotnych, skrajów lasu pod niebem czerwonym wieczoru. Niema nic, coby świadczyło, jak Chełmoński odczuwa dyszenie nadwodnego szuwaru, jakim spokojem otacza uspięne nasze domy. Niema tego Anioła ciszy, który w noc, z roztwartymi skrzydłami, idzie po roli oranej, ogromny, zielony od księżyca, a idzie znów zdaleka od ludzi, od chat, gdzie światła okien wydają się, jak blade iskierki. Nie dano nam, niestety, poznać i ocenić największego z naszych żyjących malarzy.

(Dokończenie nastąpi).

DR K. M. GÓRSKI.

NA SŁUŻBIE.¹⁾

Upozorowano wyjazd Kowzgirdowej z córką listem nagłym a niespodzianym, w który nikt nie uwierzył. W powietrzu czuć było dramat, tajoną walkę. Udawane uśmiechy i nieszczerłość spokoju, w który ubierały się twarze, nie zdołały nikomu wpoić przekonania, że rozstanie następowało w równie pomyślnych warunkach, w jakich odbyło się przywitanie. Leontyna z Mierznicką nie mogły się z sobą nagadać, przeczuwając niejasno, że opuszczenie Zbrucza przez Alinę było w związku z nagłym wyjazdem Kowzgirdowej, a nie mogąc powiązać z sobą tego, co im się udało podsłuchać i dopatrzeć. Były tylko pewne, że *ona* była zmartwiona, bo nawet jakieś niedbalstwo kucharza nie zostało należycie naganione.

— Jestem pewna, — mówiła Mierznicka — że się pokazały jakieś nowe długie Skierczyńskie i Kowzgirdowa zwinęła chorągiewkę, nie chcąc utopić posagu córki w tej przepaści.

Ale dlaczego Alinka wyjechała o tydzień wcześniej? — pytała Leontyna.

Najdłużej z gości została w Zbruczu Kierściowa. Skierczyzna przed nią jedną otwierała rany swego serca i staruszka czuła się jej potrzebną. Często, nawet w dzień powszedni, jeździły razem do ko-

¹⁾ Patrz zeszyt majowy „Biblioteki Warszawskiej.”

ściola. Skierczyna czuła się umocnioną i pocieszoną, ile razy wracała z nabożeństwa ze staruszką, którą modlitwa czyniła jakby przeniesioną już duchem w tę niebieską krainę, którą pragnęła zamieszkać po śmierci.

Juliusz rzucił się w wir pracy. Zaczynało się koszenie siana na ogromnych łąkach suchych i błotnistych, które posiadał Zbrucz. Trzeba było zawsze wytężonej energii, by to mnóstwo siana uchronić od zepsucia i zebrać je śpiesznie. Znalazło się też mnóstwo kłopotów mniejszych i większych. Syn jednego z wierzycieli Skierków miał się żenić i literalnie następował Juliuszowi na pięty, czyniąc go odpowiedzialnym za zwłokę w małżeństwie, która młodego narzeczonego doprowadzała do rozpacz. Nagłe wezbranie wód po ulewie zerwało groblę młyńską, stanowiącego znaczny dochód. Musiano wozić nieskończoną ilość faszyny i ziemi, bić pale i śpieszyć z robotą, by ją ukończyć przed możliwą drugą ulewą. Ekonom w jednym z folwarków złamał nogę i leżał bezczynny. Wszystkiemu musiał zapobiegać i zarządzać Juliusz. Praca bez wytchnienia zabrała go sobie, jak swoją własność i ofiarę i ze wszystkich stron wołała na niego. Dawniej się skarżył, że przy niej umysłowo się cofał, że nie miał czasu nawet na przeczytanie dziennika, że męczyła go tak, iż często, wzięwszy dziennik, nie rozumiał, co czytał. Teraz pracę tę błogosławił. Zabijała w nim myśl, a raczej stępiała jej ostrze i dawała mu sen, który nie tylko ciała niósł wypoczynek, ale umysłowi przynosił zapomnienie. Czasem czynił sam sobie wrażenie spracowanego zwierzęcia, które idzie tylko pod strachem bata, smagającego je, a marzy jedynie o wyciągnięciu nóg utrudzonych.

Za pomocą tej wytężonej pracy, uciekał od dwóch czyhających na niego uczuć: od tęsknoty za Aliną i od niezadowolenia z samego siebie, z powodu niezupełnie sprawiedliwego postąpienia z Kocią i Kowzgirdową. Unikał teraz towarzystwa matki i babki. Ile razy je spotkał, tyle razy wprowadzenie ich w błąd, jak upiór, stawało między nim a zacnemi kobietami, którym winien był całą prawdę. Oczy Kiersciowej często pytająco na wnuku się zatrzymywały, ale widywała go tylko przy stole, od którego zrywał się pierwszy, nie dokończywszy prawie nigdy jedzenia, bo go już wzywano lub oczekiwano na którym z folwarków. Pewnego dnia wszakże zdarzyło się, że zostali na chwilę sami z babunią. Zbliżyła się do niego i swoją przezroczystą, wychudzoną rękę położyła na jego głowie z czułością.

On odsunął się nagle od niej, gdyż przyszła mu obawa, że staruszka zechce znowu dotknąć sprawy, którą mu wrodzona skrytość za własność nienaruszalną uważać kazała.

— Kochaneczku—rzekła Kierściowia, patrząc na wnuka przenikliwie—ty nie jesteś szczęśliwy, ty cierpisz... Nie chcesz być szczerzy ze mną, ale ja w tobie widzę zarodek burzy i dramatu.

— Babunia wierzy jeszcze w dramata? O jakiej burzy może być mowa dla mnie? Życie jest sobie zwykłym kommunalem, nie dramatem żadnym! Spójrzmy tu na wszystkich, przejdźmy myślą znajomych, całą tutejszą okolicę! Gdzie są dramata? Ludzie żyją w biedzie, w pracy, za raj mając wieczór i część nocy, spędzonej na grze w winta! Zaspiając, gdy myśl ich wkroczyć chce w dziedzinę rozkosznego marzenia, układają kombinacje wintowe. Przez umysł ich przeciągają szeregi kart, szlemy, szlemiki... Młodzieńcy myślą o bogatym ożenieniu się, rachują posagi panien, sperandy, bezdzietnych wujów i ciotek. Gdy się mówi o kobiecie, pierwsze ich zapytanie jest: „A co będzie miała?“ Bieda, wint i bogate małżeństwo! Ale gdzie tu miejsce na dramat? Do dramatu trzeba przynajmniej jednej kropelki gorącej krwi, a my jesteśmy pospolici i bezduszni. Obcinane mamy skrzydła i coraz słabsze nam odrastają. Ubóstwo materyalne czyni nas też nędzarzami moralnymi. Czy babunia zna historię Norbecia, tego bogatego Norbecia, który, skończywszy studia w Petersburgu, wysłany został przez rodziców do Włoch i Rzymu na całą zimę. Oto wrócił, przesiedziawszy w Rzymie cztery miesiące, i nie widział Coliseum. Dlaczego? Dobrał sobie towarzystwo trzech znajomych i we czterech cały dzień w Rzymie spali, a całą noc grali w winta. Norbec codziennie postanawiał zacząć zwiedzać Rzym, ale jakoś do tego nie przyszło i wrócił, przegrawszy znaczną sumę. Tacy jesteśmy, babuniu, i gdy o nas chodzi, niema obawy, byśmy uczucia i entuzjastyczne zapęły postawili po-nad przyzwyczajenia codziennego deptaka! Jesteśmy biedacy! Nawet moralność, nawet zwyczajna uczciwość się w nas chwieje. Z powodu biedy i ogólnej atmosfery, którą-bym nazwał kłosem pneumatycznym, z pod którego wypompowano powietrze, popełnia się codziennie w naszej prowincyi tysiące podłości mniejszych i większych, kłamstw, podstępów, oszukaństw. Babunia musiała mieć lepsze czasy i dawną miarę przykładu do nas, którzyśmy znaleli okrutnie.

— Kochaneczku—rzekła Kierściowia—może Norbec po to pojechał do Rzymu, by się nagrać w winta do woli, ale tu, w tej piersi—dotknęła ręką piersi Juliusza—rozgrywa się pierwszy akt dramatu.

— I tak zostanie on, nierozegrany, bez ostatecznego rozwiązania, bez piątego aktu, bez sceny końcowej, bez wstrząsającego nerwy wykrzyknika, bez runięcia na ziemię. Niech paradyz wybaczy: ani sztyletu, ani trucizny, ani duszenia, ani sceny konania nie będzie. Zdaje mi się, że powinien-bym przeprowadzić mięsną kurację, gdybym chciał, by moje barczyste ciało przyzwoicie wyglądało w dramatycz-

nych sytuacjach. Tymczasem trawię tu czas na trwożeniu babuni stanem mojej zagadkowej duszy, a w Zatoczku ludzie korzystają z choroby ekonoma i nie postawią stogu przed wieczorem. W nocy niezawodnie będzie deszcz. Już się od południa chmurzy.

Wybiegł i siadł na konia, który zawsze osiodłany stał w stajni.

— Skrytym jestem i innym być nie umiem—myślał, puszczając konia wyciągniętym kłusem—ale tu nie mógł-bym powiedzieć prawdy w żadnym razie, bo-by mi poczytano za grzech moje pragnienie powrotu Aliny. Odebrano-by mi ją, a jakim-że to grzechem wogóle być może, jeżeli człowiek bardzo samotny, uciekający od stolika karcianego z obawy, by się w nim nie odezwała ojcowska namiętność, człowiek, który przecie po ciężkiej, twardej i niewdzięcznej pracy, łaknie czegoś, co-by było artyzmem, pięknoscią, okienkiem otwartem na krainę ideału, że taki człowiek, będzie miał przez parę chwil dziennie widok i głos istoty, która pierwsza dała mu poznać, czym jest wdzięk kobiecy w życiu domowem. Można pozwolić bez trwogi, by obok tego biedaka przesunął się czasem cień tego, co mogło być dla niego być wielkiem szczęściem na tej ziemi, a co mu jest niedostępnem, jak głodnemu pokarm wtedy, gdy jego gardło ani kropli przełknąć nie jest zdolne. Niech mu zostanie ta jedyna zwrotka poezyi, ten promień słońca, ten błysk nadziei. O, wcale nie nadziei trwałego szczęścia, ale nadziei, że po dniu, spędzonym na śledzeniu ludzi, na usiłowaniu wyzyskania każdego kwadransa czasu robotników, na łajaniu, na karceniu nadużyć, że po takim dniu, dobre, słodkie oczy kobiety ukochanej spoczną na nim na chwilę i usta jej powiedzą może: „Ach, jaki pan zmęczony!” Czy to bardzo ciężki grzech żądać od życia takiej jednej chwilki dziennie?

Pęd powietrza, wywołany prędką jazdą, ochłodził głowę Juliusza i rzucił pewne rozjaśnienie w jego myśli. Alina wróci, a może w okolicznościach zewnętrznych zajdzie jaka zmiana. Mogą przyjść lata bardzo pomyślne dla rolnictwa, nieurodzaj w Ameryce, wysokie ceny na zboże. Bywają przecie niespodziane zwroty, tak dobrze w stosunkach ekonomicznych, jak w uczuciach ludzkich...

Przyklusował do stogu, którego składanie szło opieszale w ciężkiem powietrzu, zapowiadającym burzę. Jego widok ożywił ludzi, czynność ich wzmożła się nagle i stóg zaczął rosnąć, a pękate jego boki przybierały prędko okazałe kształty. Wiązki szły do góry jedna po drugiej, z fur zdejmowano siano w najwyższym pośpiechu, czoła wznosiły się, a sznury, zrzućcane ze stogu czekającym dziewczkom, chwytane przez nie były coperędzej. Juliusz, przejeżdżał między furami, zachęcał do pośpiechu, doglądał porządnego zagrabiania siana po zabranych kopach. Był duszą roboty, która szła z ogniem wszędzie, gdzie się po-

kazał, a wolniała na punktach, od których się oddalał. Już było po zachodzie słońca, gdy nakoniec ostatni robotnik spuścił się ze stogu na windzie, za pomocą której podawano wiązki. Gromada pracowników szła do domu z grabiami na ramionach. Dziewki śpiewały jedną z monotonnych pieśni ludu z okolic Zbrucza.

Juliusz jechał stępią w niejakim oddaleniu. Wieczór był parny, drobny deszczyk zaczynał mżyć, księżyc w lisiej czapce ukazywał się z pomiędzy poszarpanych chmur. Od łąki szło nieco chłodu i zapach siana, goniący za ludźmi, którzy nim cały dzień oddychali. Skierka słuchał z upodobaniem monotonnej pieśni dziewczek. Wszak wykołysała ona jego dzieciństwo. Nie wiedział wcale, czy była piękna, czy brzydka; nie krytykował jej, jak dziecię nie krytykuje twarzy swej matki, tylko przyjmował do duszy te wrażenia swojskości i uciszenia wśród miejsc, gdzie mu nic nie było niespodzianką, gdzie znał wszystko i wszystkich. Pieśń monotonna i spokój natury sprawiły, że się w jego duszy teraźniejszość mieszała tak ze wspomnieniami przeszłości, iż stracił świadomość upłynionego czasu. Takie samo, jak dziś czuł w sobie ukojenie, gdy dzieckiem, a potem młodym chłopcem podczas wakacji jechał tak wieczorem od łąki do domu, z zapachem siana w odzieży i przy dźwiękach tego samego śpiewu. Czuł się częsteczką tego wszystkiego, co go otaczało, częsteczką spojona z wszystkim nierozzerwalnym węzłem. Zrosli się z sobą oni i ta ziemia rodzinna, którą chciał ratować, o którą drżał codziennie, której się trzymał gorączkowo i wydrzeć ją usiłował zagrażającemu niebezpieczeństwu. Miał, ciągle pracując i walcząc, takie uczucie, jak gdyby drogą istotę usiłował ocalić od śmierci, i to go z tym kawałkiem ziemi rodzinnej złączyło silniej, niż zwykle posiadanie. Nie pamiętał w tej chwili, że ona właśnie dzieliła go od szczęścia i, słuchając pieśni robotników, dochodzącej go od łąki, dobrze znanych odgłosów ptastwa błotnego, jak dawniej, z uporem przyzwyczajenia i z nagle powstałym paroksyzmem mocnego postanowienia, powtarzał w duszy, że ojcowizny obcym rękom nie odda, bo czuje w piersi siłę, która wszystko zwalczy. Teraz oto stawał stóg po stogu zielonego siana i miał już zapewnione wyżywienie przez zimę dla krów i wołów. Mógł nawet powiększyć ilość cieląt, zostawianych na chów...

Zmrok zapadał coraz gęstszy, on jechał coraz wolniej, pozwalając się wyprzedzić pieszej gromadzie robotników, której śpiew z coraz większej odległości go dochodził. W oddali zabłysło światło. To dom jego. W stołowym pokoju Winceś zapalał wiszącą lampę. Juliusz, który nigdy, nawet małym dzieckiem będąc, ojca swego nie szanował, który przez matkę tak surowo był wychowany, że nie znał jej pieszczoty, przy myśli o rodzinie nie doznał nigdy uczucia roztkliwienia.

Rodziła ona w nim raczej pojęcie o obowiązku, o opiece i obronie, jaką jej był winien. Potem z myślą o małżeństwie i rozsądku łączyło się też tylko silne postanowienie dopełnienia zobowiązań, zaspokojenia słuszných wymagań. O własnem szczęściu nie myślał dawniej nigdy, a nawet myśl taką pogardliwie odsuwał, jako niemęską słabość. Nie miał, jak mu się zdawało, nic wspólnego z roztkliwionem wzdychaniem za jakimś stanem serca, w którym własne zadowolenie stawało-by ponad wszystkimi innemi względami. Był w istocie jednym z tych ludzi, w których dążenie do tego, co im się wydaje prawdą, zabija zupełnie pragnienie osobistych wygod, korzyści, a nawet zadowolenia uczuć serdecznych. Teraz rodził się w nim inny człowiek. Rozum powtarzał mu dawne teorye o odsunięciu miłości i szczęścia osobistego na plan ostatni, a uczucie dla Aliny robiło zeń chwilami zwykłego marzyciela. Jadąc wolno ku domowi, z okiem utkwionem w oświecone okna, myślał, że rodzina może być dla człowieka schronieniem przed wszelkimi burzami, że może być ucieczką i takim kącikiem, w którym jest ciepło i jasno, choćby po za jego obrębem były ciemności. Ale na to trzeba, by na jego progu czekała na ciebie ukochana kobieta. Wśród tej, rozmarzającej ciepłem i spokojem, nocy, wyobraźnia Skierki przemówiła silniej, niż rozsądek. Wystawił sobie wśród dobrze znanych ścian krzątającą się Alinę, jako panią i gospodynię, i siebie, wracającego do domu, gdzie ona przyjmie go uśmiechem...

W przedpokoju spotkała go matka z twarzą surową, na której znać było opanowywaną niecierpliwość.

— Wracasz tak późno—rzekła szorstko—a tu już od dwóch godzin czeka ten Żudra! Nie wiem, co teraz pocniemy i jakim sposobem zmusimy go do cierpliwości!

Żudra, był to ów wierzyciel, pragnący wyrwać od Skierków kapitałik, bez którego nie mógł założyć rodziny.

Skierczyna zanaadto umiała panować nad sobą, by syna prześladować codziennemi wymówkami za zerwane małżeństwo, ale on czuł w jej słowach, że nie mogła mu darować obejścia się z Kocią. Czasem nawet przenikało go przeczucie dokładne żalu i giewu, jakie Skierczyna skupiała na osobach Aliny i Prędowicza, który Zbruczowi Alinę narzucił.

Nazwisko Żudry spadło na Juliusza, jak nagłe uderzenie młota w głowę. Marzenia pierzchły. Doznał niewymownej przykrości na myśl o rozmowie z tym człowiekiem, który przychodził z żądaniem słusznem i któremu odmawiając pieniędzy, trzeba było płacić obietnicami, pięknemi słówkami, bo go wyraźna odmowa i słowa: „nie zapłacę, bo nie mogę”, przyprawiwały o wściekłość taką, że Juliusz obawiać się musiał, by nie rzucił się ku matce jego ze słowami obelżywemi

i grubiańskimi. Juliusz szedł jak na mękę i z jej przedsmakiem w duszy. Praca najcięższa, to nic! To było błogosławieństwo i pociecha; ale branie na siebie z przymusu roli kłamliwej, czynienie obietnic, którym sam nie wierzył, to była męczarnia, przed którą się wzdrygał i sam dla siebie czuł pogardę.

Zastał Żudrę w gabinecie swoim, rozpartego w fotelu, korzystającego widocznie z położenia, jakie mu w tym domu dawały jego prawa. Syn ekonoma rozpierał się i przybierał butną postawę w domu, który za pański i arystokratyczny uważał. Juliuszowi krew uderzyła do głowy, popędliwość rozsadzała mu piersi. Ten człowiek, który dawniej stał pokorny, czekając, aż go siedzieć poproszą, teraz nie raczył się podnieść przy wejściu Juliusza.

— Przyszedłem panu powiedzieć—zawołał, rzucając niedopalony papieros na posadzkę—że już dłużej czekać nie będę. Położę areшт na inwentarzu, na meblach, na ubraniu pana, jeżeli mi pan natychmiast należności nie zapłacil

Juliusz zagryzł usta aż do krwi i wołał na siebie w duchu:

— Pamiętaj, że to twój wierzyciel, że ojciec jego w dobrej wierze pożyczył twojemu wszystko, co posiadał, że ten człowiek, to gbur; ale ty, przyjąwszy na siebie zobowiązania ojcowskie, jesteś niesłowny, zatrzymujący cudzą własność... Dobra jest idea, dobre są uczucia ogólniejszej i wznioślejszej natury, ale przed nimi powinna iść prosta uczciwość!

Zbliżył się do Żudry, obsypywany wymówkami i groźbami.

— Niech pan pamięta, że to przednówek—zaczął—skąd teraz można czerpać jakikolwiek dochód?

Po godzinnej rozmowie z Żudrą, który nakoniec opuścił Zbrucz, Juliusz poczuł się tak wyczerpanym z siły, a jednak tak jeszcze gotowym wybuchnąć popędliwym gniewem, że nie chciał pokazać się przy stole, zgromadzającym mieszkańców domu do kolacji. Matka przyszła sama zawezwać go i zobaczyć, dlaczego się opóźniał.

Z wyrazu jego twarzy poznała, że był wzburzony i w jednej z takich chwil, w których z trudnością panował nad sobą.

— Musisz być głodny, wszystko ostygnie, a ty nie przychodzisz! Żudra już dawno pojechał!

— Pojechał, ale mi jeszcze tu tkwi w gardle!—zawołał Juliusz.—Takie położenie, jak nasze, jest wprost nie do zniesienia! Oto przed chwilą ten człowiek siedział tu rozparty, mówiący do mnie, jak do podwładnego, jak do fagasa! A ja stałem przed nim, tłómacząc się i pełen obawy, że jeśli jednym słowem go zadrasnę, to wpadnie do ciebie, do ojca i błotem swych obelg was obrzuci. Był-bym go kazał służącym stąd wyprowadzić, ale, bądź co bądź, to nie my przez niego, ale on przez

nas jest pokrzywdzony! To on jest w swoim prawie, a ja jestem winien! Mamo, pozwól mi zastawić srebra, a zapłacić zaraz choć połowę tej sumy. Pozwolisz?

— Ile masz lat?—zapytała Skierczyna ze zmarszczoną brwią.

— Wiesz to najlepiej, mam!

— Tak, wiem, masz lat trzydzieści, zatem jesteś w wieku, w którym się jest w pełni rozwoju umysłowego. Już mądrzejszym, niż jesteś, nie staniesz się. Namysł się zatem spokojnie i, gdy postanowisz użyć sreber na tę spłatę, weź je. Ale ich nie zastawiaj, sprzedaj je. Jakie masz teraz szanse wykupienia zastawu? Dobrze to było przed paru miesiącami, ale skoro o swej przyszłości postanowiłeś inaczej... Weź srebra, mamy jeszcze starą porcelanę, nad którą zachwycają się znawcy. Może ją kupi Milewski. To amator i znawca. Sprzedaj to, co tu leży bez procentu. Ja to zatrzymałam w nadziei, że to będzie mogło zostać i nadal w rodzinie... Są dwie bardzo piękne makaty...

Juliuszowi serce na raz wezbrało litością nad matką. Wiedział, że lubiła te stare zabytki dawniejszej zamożności rodu, że je chowała i strzegła, a teraz oddawała je bez jednej skargi.

— Ale ciebie, mam, pokrzywdzę—ozwał się z miękkim odcieniem w głosie—będzie ci przykro oddawać te antyki...

— O moją przykrość tu bynajmniej nie chodzi—odparła surowo. —Oddam wszystko, ale już nam nie wiele zostanie na czarną godzinę. Stare meble w domu nie wiele warte... nie kupowałam nic od dziesiętków lat... bielizna stołowa, której się używa, ma cerę na cerze; jest zaledwie kilka garniturów piękniejszych zachowanych... I te jeszcze mają wartość...

Juliusz ucałował rękę matki. Czynił to tylko rano i w wieczór, mówiąc dzień dobry i dobranoc. Była w tych pocałunkach sztywność przyzwyczajenia i konwencyonalności, czułość więc syna, świadcząca o porwie serca, była czemś nadzwyczajnem, co wzruszyło Skierczynę. Nie wzięła Juliusza w objęcia, nie dotknęła nawet ustami jego czoła, ale poczuł on rozrzuwniony dźwięk w zwyczajnych słowach:

— Chodź już na kolacyę. Wszystko ostygnie.

Gdy w parę dni potem zjawił się Żudra, powiedziano mu, że spłaconym w znacznej części, a może i całkowicie zostanie. Naznaczono mu termin i pozbyto się go co prędzej. Juliusz z upakowanemi starannie srebrami i porcelaną pojechał do Wilna. Dobroć, okazana mu przez matkę, jej nieugięta wola, zwalczająca wszelkie osobiste upodobania, przejmowały go dla niej podziwem i wzmagwały w nim niezadowolnienie z samego siebie, z powodu umyślnego zostawienia jej w błędzie co do rzeczywistych pobudek zerwania z Kocią. O ileż on był gorszy od niej i jak nie godzien być synem takiej matki. Więc pój-

dzie i wyzna prawdę, uwolni się od nieznosnej pogardy dla samego siebie! Ale przy takiej myśli podnosiło się w jego duszy coś, co prawie od woli silniejszym było i co stawiało z nią do wyraźnej walki. Nie, nie! On nie mógł się pozbawić widoku Aliny, a matka-by jej już w progi swoje nie przyjęła, gdyby wiedziała prawdę! Ona wróci, wrócić musi, choćby miał siebie samego znienawidzić, choćby go to kłamstwo dzień i noc za gardło dusić miało. Wszak dziś wiara w jej powrót była mu tak potrzebną, jak powietrze, którem oddychał. Będzie dalej wiódł żywot okutego w kajdany, będzie nawet pokorny dla takich, jak Żudra, gburów, ale niech wie, że Alina wróci, że jej nie stracił na zawsze. On dobrze czuł, że wchodził w transakcje z własnym sumieniem, że dawnym hasłom swego życia zadawał kłam, bo osobistą namiętność stawiał po-nad obowiązek i prawdę, że miłości dawał pierwszy plan w życiu... Wszak niegdyś utrzymywał, że w świecie moralnym jedynym lekarstwem jest amputacja. Amputować chory organ, choćby nim było serce, a ból wytrzymać, zaciągwszy zęby, i ani pisać! Tymczasem on dziś wdawał się w połowiczne środki, w leki uśmierzające i stawał się po prostu morfinistą moralnym. Jako konieczny warunek, by mógł żyć nadal i pracować, jak dotąd, uważał spojrzenie jednej pary oczu, jak morfinista potrzebuje kropli podniecającego płynu, wstrzykniętego w żyły.

Alina, rozejrzawszy się w domu, po pierwszych chwilach niezmaconej radości dostrzegła, że rozbitcie, którego doznała rodzina, dawało się odczuć we wszystkim i że zachwiało dawne stosunki aż do samej podstawy. Wraz z ojcem rodzinie zabrakło duszy, zabrakło ogniska, którego promienie obejmowały wszystkich i wszystko skupiały w koło siebie. Matka była wytrącona z kolei i, choć usiłowała być pożyteczną w domu, dawała zajęciom swym tylko niechęć, tylko skargę, tylko skwaszenie. Tęskniła za mężem, ale tęskniła też za dawnym położeniem, za dawnym zbytkiem. Wsiadając do tramwaju, wdychała za własnym ekwipażem, patrząc na kręcącą się po pokoju dziewczynę, myślała z goryczą o dawnej męskiej, cicho po dywanach stąpającej służbie. Utyskiwanie stawało się w niej naturą i nawet na jej, niegdyś tak pogodnej, twarzy, zostawiło swoje ślady w pomarszczeniu czoła i w wyrazie ust. Godziny całe trawiła przy toalecie, nie mogąc nabrać wprawy w czesaniu się samej, i po sto razy rozpuszczając na nowo upięte włosy. Zaraz pierwszego wieczora zaczęła z Aliną rozmowę o modzie, o tem, co się nosi i czego się nie nosi, ani się domysławiając, jak myśl córki była daleką od traktowanego przedmiotu. Wyobraziła

sobie, że życie w Zbruczu jest życiem ludzi bogatych, myślących jedynie o zajęciu czasu zabawą, że Alina, biorąca ogromną pensję, jest otoczona wykintem i zbytkiem. Dziewczyna wytlómaczyć jej nie mogła skromności i patriarchy otoczenia. Karola zżymała się na jednokonną kałamaszkę, która jej córkę odwiozła do kolei. Alina śmiała się. Drobne próżności były od niej tak dalekie!

Bracia jej, którzy już dawniej na paniczów chorowali, teraz wydali się jej chronicznie i śmiesznie próżni. Ich myślą jedyną zdawało się być usiłowanie zamydlenia ludziom oczu. Ubranie ich, zachowanie się, wieczna pogoń za szykiem, za modą, znamionowały wytężenie ich uwagi przeważnie w jednym kierunku. Ruina ojca, zamiast być dla nich szkołą poważnego i surowego życia, uczyniła ich owszem niesłychanie drażliwymi na to, co ktoś mógł powiedzieć o ich biedzie, o nieco już podnoszonym paltocie, o mniej wykwintnej koszuli. Woleli nie iść do teatru, niż iść na tańsze miejsca. Dla nich możliwy był tylko pierwszy rząd krzeseł. Woleli-by byli dwa dni nie jeść wcale obiadu, niż wejść do mniej wykwintnej i mniej modnej restauracyi. Była to w nich mania wielkości, choć waryatami nie byli. Jaś zdawał dalej egzamina i nawet po nocach pracował; Staś, młodszy, jednego z pierwszych egzaminów nie zdołał wytrzymać i od dalszych usuniętym został. Spędzał czas na najzupełniejszym próżniactwie i był nieodrodnym członkiem społeczeństwa, w którym symptomatem ruiny majątkowej jest budowanie pałacu i dawanie balów. On doznał bankructwa moralnego, nie przeszedł do wyższej klasy, więc postanowił wmówić swym znajomym za pomocą swego postępowania, że go porażka nie obchodzi. Widywano go po cukierniach i restauracjach przybierającego ton milionowego księcia. Kazał sobie podawać kartę i ostentacyjnie wymawiał garsonowi, że nie było co jeść, a potem dysponował najwykwintniejsze i najdroższe potrawy, pił kosztowne wina. Nie wiedziano, skąd brał na to pieniądze. Jedni mówili, że wygrał w karty, inni, że pożyczył od usługownego żydka, który się z wielką admiracją dla ojca jego oświadczał. Kręcił się koło panny, bardzo modnej i bardzo otoczonej pięknosci. Asystował jej wcale nie dlatego, by mu się miała tak bardzo podobać, ale, iż wydawało mu się, że go to pasuje na dorosłego młodzieńca i sztywnego kawalera. Przypominał on Alinie Stefana Skierkę i doprowadzał ją do rozpacz. Gdy przyszedł z lekceważącym tonem i pozą dandysa żądać od niej pożyczki, co uczynił przez zęby, jak posiadający krociove dochody pan, który-by przypadkiem zapomniał wziąć z sobą sakiewki, wtedy ona wypowiedziała mu prawdę z całą goryczą i oburzeniem, jakimi ją jego postępowanie napełniało. Staś z początku się śmiał, gdyż dogadzała mu nazwa wielkiego pana i utracyusza, potem się rozgniewał i wyszedł, rzucając

drzwiami. Matka, którą stosunki światowe synów i ich wygląd pani-czykowsky cieszyły w gruncie, zaczęła Alinę uspakajać.

— Bo ty trochę za surowo się z nim obeszłaś. Cóż on temu wi-nien, że nie może znieść tego, co nie eleganckie, niewykwintne, niemo-dne?.. Ma moją naturę.

Z upodobaniem opowiadała, jak jej synowie znali się na kuchni, jak krytykowali umeblowania, jak znali kolligacje i jak doskonale wiedzieli o wysokości posagu panien. Cieszyło ją to ogromnie, że Staś kręcił się koło panny Olewskiej. Wiedziała, że to dzieciństwo, ale, śmiejąc się, opowiadała, z jakim bukietem szedł raz do niej. Mówiła, jak o obiecującym dziecku, śmiesznem trochę w tej chwili, ale które rozpoczyna doskonale edukację na zjadacza serc niewieścich.

-- Nie uwierzysz, jaki on był zabawny! To można było umrzeć ze śmiechu!

— I ta panna przyjmuje jego bukiety?—zapytała surowo Alina.

— Naturalnie! Ona dobrze wie, że to dzieciak, młodszy od niej, i że ją te bukiety do niczego nie obowiązują.

— Ale ona wiedzieć powinna, że ten dzieciak, to uczeń gimna-zyum, który nad książką siedzieć powinien, że to ubogi chłopiec, który nie ma prawa wyrzucać pieniędzy na kupowanie kwiatów!

— O, cóż tam parę bukietów! Zresztą on zawsze ma pieniądze.

— Skąd-że je bierze?

— Nie wiem, ale nigdy nie jest bez grosza.

Uśmiechała się, jakby opowiadała o jakimś wynalazku, uczynio-nym przez syna.

Z początku Alina pragnęła, by Karola pojechała na parę tygodni do stęsknionego męża. Czuła dobrze, że ten człowiek usycha tam bez widoku najdroższych, jak roślina bez rosy, więc trzeba było go we-sprzeć i ożywić. Co-by to było dla niego za szczęście ujrzeć uwiel-bioną żonę! Ale powoli Alina odstąpiła od projektu. Znała matkę i wiedziała, czem dla niej była-by ta daleka jazda. Karola nie mogła obejść się w podróży bez służącej i niezliczonej ilości kufrów; nie była-by pojechała kibitką, a na stacyi w Iwanowsku pewno nie można było dostać powozu. Nie mogła-by jechać jednym tchem, odpoczynki zaś zabrały-by za dużo czasu i pieniędzy. Od tego więc projektu odstąpić było trzeba. Ale chłopcy jechać musieli. Krzywili się wszakże na perspektywę przebycia kilku tygodni w mieście. Alina znowu wy-stąpiła, pełna oburzenia:

— Co? Więc wam więcej chodzi o własną wygodę i przyje-mność, niż o zadowolenie ojca?

— Ojciec tego od nas nie żąda!

— Więc się sami domyślcie, że on tęskni, że on tam samotny, że kiedy macie czas, toście powinni czas ten mu poświęcić. Wiecie, że ja jechać nie mogę! O, gdybym tylko mogła, zabrała-bym Rózię i Zosię i pojechały-byśmy! To-by się nasz najdroższy wygnaniec ucieszył! Ale wolę prawie, że pojedziecie wy! Dla was jest potrzebny widok jego pracy, jego siwizny, jego tęsknoty i miłości dla rodziny. Może ten widok was przecie obudzi, może wam wasza próżność wyda się tem, czem jest: małostką i głupotą!

— Jaka to szkoda, że Alinka nie jest mężczyzną—ozwał się Staś, który wiecznie dowcipkował—ona miała-by powołanie i wymowę duchowną. Została-by księdzem i bieda-by nam nie dobodła!

Pod naciskiem pojechali do Krasnowostoku, skąd przybył potem rozrzewniony i dziękczynny list ojca.

Ze strony siostrzyczek Alina miała prawie samą tylko pociechę, a bardzo mało niezadowolenia. Uczyły się dobrze i obowiązki swoje brały na seryo. Były przytem śliczne, miłe i pieszczotliwe. Nabrały tylko na pensyi lekkiego odcienia pospolitości w mowie i obejściu, co Karolę do nieskończonych skarg doprowadzało. Alina czyniła dzieciom uwagi, matce zaś mówiła:

— Trudno, może to nie będą damy wielkoświatowe, ale będą pracowite i obowiązkowe ubogie dziewczęta.

Karola wzdychała. Wiedziała, że jej starsza córka miała przewróconą głowę.

Jednego dnia, po wyjeździe chłopców, gdy Alina siedziała przy maszynie, szyjąc sukienki dla siostrzyczek, a wystrojona Karola wróciła była właśnie z dziećmi z ogrodu saskiego, rozległ się dzwonek, szarpnięty niecierpliwą a silną ręką. Służąca wniosła bilet Prędowicza.

— Alinko, pan Wacław Prędowicz!—zawołała matka—prosić!—rzekła do służącej.

Alina zmieszała się bardzo. Doznała niewymownej przykrości. Ten człowiek przychodził ją prześladować, aż wśród rodzinnego schronienia. Bardzo poważna, choć z mocnymi rumieńcami, wyszła do salonu.

Prędowicz, nieco porządniej ubrany, niż zwykle, już się był przedstawił Karoli i, stojąc na środku pokoju z podniesioną głową, z pod opuszczonych powiek, patrzył na drzwi, w których, jak myślał, miała się ukazać Alina.

— Panna Stamarska zdrowa?—pytał właśnie podniesionym tonem—podróż odbyła szczęśliwie?

— Jak najszczęśliwiej—odparła wchodząca Alina.

— I już pani żyje od paru tygodni w tem eldorado, do którego pani leciała na skrzydłach! Przyjechałem zobaczyć, jak wygląda ta sielanka rodzinna.

Mówił obojętnie i, podawszy rękę Alinie, rozparł się w fotelu. Karola poczuła się obrażona, że tak mało zwracał na nią uwagi. Widział wszakże doskonale i ją, i jej wykwinętą toaletę, i przesłiczne dzieci, tak śmiało, tak pogodnie patrzące, tak zręcznie kłaniające mu się i tak nic a nic nie zażenowane. Porównał je w myśli z wystraszoną Micią. Zdawał się wszakże patrzeć tylko na Alinę, której nagle rumieńce nie uszły uwagi Karoli.

— Więc przecie w pełni szczęścia—mówił z odcieniem ironii—na łonie rodziny... bez tej wiecznej tęsknoty w sercu! Tylko ja tu przychodzę jako memento mori... żywe przypomnienie o chwili rozstania...

— Jakże tam w Zbruczu?—spytała Alina—miałam list od Leonтины. Mówi mi o jakichś zmianach, ale tak niejasno, pod jakimiś figurami, że nic nie zrozumiałam.

— Nie wtajemniczają mię, kryją się, więc nie wiem.

— Ale z czem się kryją? Pan się musi czegoś domyślać... czy aby nie jaka niepomyślność?

— Więc tak bardzo pani o nich chodzi?..

— Polubiłam ich, pokochałam...

— Jakto? i moją świekrę Skierczyne?

— Bardzo.

— A więc właśnie ona jest jakaś strapiona. Ale nie wchodzę w to, co tam jest, nie słucham szeptów Leontyny. Nie wiem. Muszą tam być ogromne majątkowe kłopoty. Juliusz się zapracowyywa, ale cóż tu praca pomoże, gdy dochody wystarczają zaledwie na zapłacenie procentów. Cóż pani porabia w Warszawie? Pusto tu teraz. Kurz i skwar.

— Pan miał interesa w Warszawie?—zapytała Karola.

— Jeden tylko. Złożenie paniom mojej czolobitności.

Ostatnie wyrażenie było komiczne przy jego zadartej głowie i dumnym, a ironicznym wyrazie twarzy.

— Pomimo skwaru i kurzu—odparła Karola,—nie utraciłam jeszcze zdolności poznawania się na żartach.

— Ja bynajmniej nie żartuję. Mówię jak najbardziej seryo. Pan-na Stamarska to wie. Mówilem jej zresztą, że tu przyjadę.

— Ja też brałam to za żart—rzekła Alina zmieszana.

— Więc teraz pani wie i czuje, że nie żartowałem. I skoro tak trudno panią przekonać, przyjdę tu jeszcze jutro i po jutrze. O której panią na pewno w domu zastać można?

— Co to znaczy, Alinko,—zawołała matka rozpromieniona po wyjściu Prędowicza—on się o ciebie stara?

— Odmówiłam mu już.

Karola zamilkła. Nie chciała doprowadzać córki do zacinania się w głębszym uporze, przy bronieniu raz powziętego postanowienia. Miała nadzieję, że wszystko się jeszcze ułoży, że Alina powoli sama się zastanowi i uzna korzyści, wypływające ze związku z Prędowiczem. Nazajutrz chciała, by Alina się ubrała ze szczególnem staraniem, ale się spotkała ze szczerym śmiechem córki:

— Ach, mama chciała-by wystroić przyszlą panią Prędowiczową. Z matusi zia dyplomatką! Od razu domysliłam się, o co chodzi! Wie mama? Przez całe 8 czy 9 godzin byłam nawpół zdecydowana pójść za niego. Teraz się sobie dziwię i nie rozumiem, że mi to na jedną chwilę mogło przyjść do głowy!

— Czy mam was zostawić samych, gdy przyjdzie, czy też wolisz, bym nie odchodziła?

— Nie odchodź, mamó. Przy tobie jeszcze raz mu powiem, by nie liczył na zmianę zamiarów z mej strony. Boże, po co on nam tu czas swojemi odwiedzinami zajmuje?

Alina przebywała teraz jak najwięcej z siostrzyczkami swojemi. Czytywały przy niej, prostowała ich pojęcia, chodziła z niemi na spacer. Miała z niemi powagę iście macierzyńską i czuła ciężącą na sobie odpowiedzialność za ich przyszłość. Pod jej kierunkiem pisywały często do ojca, a potem odbierały list pod własnym adresem i dwie ćwiartki, zapisane ręką ojca. Układały sobie i zwierzały się z tem Alinie, że gdy dorosną, pracować będą tak wytrwale i tyle zarobią pieniędzy, by ojciec ich mógł wrócić i być razem z matką... by nie potrzebował tak daleko odjeżdżać. Liczono, za ile to lat stać się mogło. Ach, było do tego jeszcze bardzo daleko! Miały dopiero lat 9. Całe lat 10 czekać trzeba. Wtedy już tatuś będzie stary i będzie mu się należał zupełny odpoczynek.

Za lat dziesięć! Alina rzuciła okiem w przyszłość własną. Gdzie ona będzie za lat 10? Będzie już wtedy na dobre starą panną, ale będzie miała młodość swoich siostrzyczek! Będzie może wydawała którą z nich za męża? Na nich nie będzie już ciążyć kłótwa wychowania do życia wykwintnego i zbyt kownego, więc może się znajdzie jaki ubogi człowiek, potrzebujący pracowitej żony, i może przy tej pracy dwójga ludzi znajdzie się trochę szczęścia, a ona będzie mogła sobie powiedzieć, że się do niego przyczyniła, wychowując siostrzyczki i łącząc na ich naukę.

Prędowicz obserwował miłość i zaufanie dzieci do starszej siostry...

— Co za powołanie pedagogiczne!—mówił.—Więc pani po to do Warszawy przyjechała, żeby zamiast jednego, uczyć dwoje dzieci.

— I tu nikt nie odwraca ode mnie serca moich dzieci. Panna Vincart nigdy-by nie pozwoliła, bym z Miecią w godzinach wolnych rozmawiała, bym z nią chodziła na spacer...

— Ma pani więcej wolnego czasu.

— Tak, prawda. Mam więcej, a nawet dużo wolnego czasu. To dla mnie osobiście korzyść, ale mi chodzi o dziecko. Nie wiem, dla czego pan mi nie wierzy, że ta kobieta szkodzi Mieci. Drażni ją, onieśmiela, czyni ją dziką, uczy ją kłamać, bo dziecko udaje obojętność dla mnie z obawy scen, udaje zbytnią czułość dla niej, też przez obawę. Ta, w przyszłości bogata, Miecia, to bardzo nieszczęśliwe dziecko!

— Więc wyrzucić Francuskę?

— Prosiłam o to. Bo czy ja będę przy Mieci, czy inną nauczycielka, Vincart tylko szkodzić dziecku może. Miecia całymi godzinami tonie we łzach. Niech pan spojrzy na moje dzieci. Te są szczęśliwe i znać to na nich. Nie mają tej wystraszonej miny, z której nie mogę wyleczyć Mieci.

Prędowicz uczynił sobie sprzymierzeńca z Karoli. Znalazłszy ją samą, powiedział jej obojętnie, jak gdyby nie o niego, lecz o kogo innego chodziło, że Alinie ofiarowywał, gdyby za niego pójść chciała, 4 tysiące rubli rocznie na szpilki i nigdyby jej nie zapytał, co z temi pieniędzmi czyni. Sumę odpowiednią temu procentowi złożył-by w ręce pana Stamarskiego...

Wyjechał, zostawiwszy za sobą matkę, oszołomioną partya, którą znajdowała córka. Rózi i Zosi przysłał w dzień wyjazdu dwa ogromne pudła cukierków. Każde nosiło adres jednej z dziewczynek. Rozpoczęła się korespondencya Karoli z mężem co do tego małżeństwa, nakoniec w wilię wyjazdu Aliny do Zbrucza, Karola wybuchnęła. Ona dlatego córce pozwoliła jechać na prowincyę w charakterze nauczycielki, że miała nadzieję, że Alina znajdzie jakiego szlachcica... Otóż teraz trafia jej się partya świetna, a ona kaprysi...

— Czy kochałaś, mamó, ojca, idąc za niego?

— Kochałam go.

— A mnie chciała byś popchnąć w objęcia niekochanego? Pewno napisałaś, mamó, do ojca o tym moim konkurencie.

— Napisałam.

— Niech on więc sądzi i stanowi. Jeżeli mi każe pójść, pójdę! Będę najnieszczęśliwszą, stracę swobodę, stracę szczęście, ale pójdę!

— I nie będziesz nieszczęśliwą! Dziś mówi przez ciebie egzaltacya.

— Jak-to łatwo mówić to tobie, mamó, która miałaś lat dwadzieścia kilka szczęścia bez jednej chmury!

Alina wiedziała, że ojciec stanie w jej obronie, a jednak podczas podróży do Zbrucza przychodziły na nią ciężkie chwile wątpliwości. A nuż ten człowiek, stęskniony, oddalony, zestarzały przed czasem, zapomniiał też już, czem była miłość w jego małżeństwie, i powie, jak matka:—,idź, przyzwyczaisz się, twoje wstręty są egzaltacją, przemożesz je i nie będziesz się czuć nieszczęśliwą. W twojem położeniu nie odrzuca się takiej partyi.” Bracia jej pewno w tym kierunku na ojca oddziaływać będą!

Takiemi rozmyślaniami zatrzała sobie niejedną godzinę. Patrzała na wdzięczne okolice Wilna okiem martwym, nie widzącem nic, bo myśl trująca absorbowała wszystkie jej władze. Dopiero rozradowana twarz Michasia, upatrującego panienczki w oknach zatrzymujących się wagonów, rzuciła w jej umysł wesele i pełnię nadziei. Po co ona się tak gryzła i po co przypuszczała, że ojciec złoży ją na ofiarę, kiedy go znała przecie i wiedziała, jakie ma przekonania.

— Panienczka!—mówił Michaś, obcałowując jej ręce,—już tak tam wszyscy wyglądają w Zbruczu.

— Wszyscy zdrowi? Wszystko tam dobrze?

— Dobrze! Już i do żniwa niedługo zabiorą się! Żyto bieleje.

— To tam pan Juliusz spracowany!

— Z konia nie zsiada, panienczko! Już i grobla usypana, i młyn idzie. A panienczka wie? Francuskę dziś wywiózł. Ot tam, w wagonie siedzi. Płakała, ale ja nic nie rozumiał, co mówiła.

Alina zaczerwieniła się. Ona-to była winna łzom Vincart. Zrobiło jej się niezmiernie przykro. Spełniła obowiązek, ostrzegając Prędownicza, ale tak przykro kopać pod kimś dołki, nawet gdy się to czyni z konieczności! Ale to dobrze, że Miecia już uwolniona od swego złego ducha! Alina więc zastanie w Zbruczu same przyjazne, same życzliwe serca.

Gdy Alina wjeżdżała w bramę dziedzińca, ujrzała do słupa przytuloną wątłą postać dziecięcą. Zawołała na Michasia, by stanął, i wychyliwszy się z powozu, pociągnęła ku sobie podbiegającą Miecię. Dziecię objęło jej szyję chudemi rączkami i okryło twarz jej pocałunkami.

— Ja się tak dobrze uczyć będę—szeptało—taka będę grzeczna.

— Wiem, Mieciu, że będziesz grzeczna! Będziemy się kochać, będziemy razem się uczyć... Zostawiłam w Warszawie dwie siostrzyczki, ty będziesz moją trzecią siostrzyczką, bardzo posłuszną i bardzo wesołą!

Powóz zatrzymał się. Z ganku z uśmiechem i ukłonem schodził Juliusz. Podał Alinie rękę i witał ją grzecznie, gdy dostrzegł, że w powozie był ktoś drugi.

— Co to? Miecia? Skąd się tu wzięła?

Dziewczynka, zmieszana i zalekniona, wychodziła z powozu.

Juliusz z zadziwieniem spojrzał na nią. Więc to wiecznie strwożone dziecię umiało się zdobyć na taki dowód przychylności.

W tej chwili Alina zachwiała się na nogach i była-by upadła, gdyby nie ramię Wincesia. Zagraj rzucił się na nią tak niespodzianie, że zrazu nie wiedziała, co ją spotyka.

— Brakuje jeszcze niedźwiedzia!—rzekł Wincēs—panieneczka wszystkich do siebie *przyłotubiła*.

W tej chwili Alina chustką powiewać zaczęła. Na górnem piętrze stała w oknie Leontyna, posyłająca pocałunki od ust.

Juliusz był wprost rozrzuwniony. Radość Mieci i Zagraja, pocałunki Leontyny i odezwauie się Wincesia, dołączone do widoku powracającej Aliny, to wszystko sprawiło, że pierś jego napelniło wzruszenie, którego się sam przed sobą wstydził.

— Nie wart jestem być mężczyzną—rzekł sobie w duchu—lada kobieta okazała-by większy spokój i siłę, niż ja przy tych drobnych i zwyczajnych wypadkach, które mię raptem na sentymentalnego dudka wystrychnęły!

Alina zastała Skierczynę jakąś stroskaną, bo surowszą, niż zwykle. Przywitała jednak nauczycielkę uprzejmie.

— Wiesz, co zrobił Wacław,—rzekła z pewnem zniecierpliwieniem zaraz na wstępie,—nigdy nie można przewidzieć, co mu przyjdzie do głowy... Wśród roku oddalił Vincart!

— Ja o to prosiłam pana Prędownicza—rzekła Alina.—Nie lubiłam Vincart, ale nie miałam w tym razie osobistych celów. Vincart dziecko psuła!

— Tyś to zrobiła? Trzeba było przynajmniej porozumieć się ze mną.

— Powiedziałam tylko panu Prędowniczowi zdanie moje. Nie wiedziałam, że odprawi Vincart wśród roku.

Alina zajęła się Miecią z zapalem. Była jej nauczycielką i boną zarazem. Dziecko przebywało z nią ciągle i w dzień, i w nocy. Chodziła z niem na spacer, na dalekie wycieczki do lasu, do folwarków, na łąki. Razem z Miecią peła w ogródku i robiła bukiety z traw i kwiatów. Nie czyniła z siebie ofiary, oddając się dziecku. I ją po odbytych godzinach lekcyi wabiły i ciągnęły ku sobie pola i widok odbywającej się na nich pracy, las ze swemi tysięcznemi odgłosami i osobną poezią, zwierzęta w stajniach i pasące się w letniem słońcu. Odczu-

wała pełnię życia natury letniej. Utrzymywała, iż teraz była pewna, że do wiejskiej egzystencji stworzoną była. Miały z Micią tysiące projektów. Zbierały różne piękne trawy, trzciny, osty, kłosy, z których powstać miały makartowskie bukiety. Do serca Aliny wstąpiła też radość wielka. Czula, że teraz swoją wysoką pensję choć w części zarabiała. Micia pod jej wpływem zmieniła się tak widocznie, że zarówno Skierczyna, jak Prędocz, przyznać to musieli. Dziecię było wesołe, czynne, radujące się wszystkim, poczęło wyglądać znacznie lepiej. O żadnych płaczach nie było mowy. Nawet do babki i ojca śmieiej się teraz zbliżało i odważało się śmiać i mówić w ich obecności.

Skierczyna pewnego dnia dżdżystego spostrzegła Alinę, stojącą na stołku, ukrytą między płaszcze od kurzu, wiszące w przedpokoju. Dziewczyna zdradziła się niebieską wstążką, której brzeg pozostał nie schowany.

— Co to znaczy?—zapytała Skierczyna z uśmiechem, który się tak rzadko zjawiał na jej twarzy.

— Bawimy się z Micią w chowanego. Ona mię szuka w drugim końcu domu, a tymczasem ja tu uciekam.

— Wyglądasz tak, jak gdyby ciebie samą to bawiło.

— Cieszy mię zadowolenie dziecka. Zresztą i to lekcya. Uczę Micię być szczęśliwą.

Skierczyna popatrzyła na piękną dziewczynę, która wśród wiszących płaszców ukazywała tylko twarz uśmiechniętą.

— Gdyby się można uczyć szczęścia—rzekła—tobyśmy wszyscy na lekcye twoje uczęszczać powinni. Ale muszę wyznać, że uczysz przykładem. Masz tu życie nie wesołe, prawie nikt tu nie bywa, myśmy zapracowani, jesteś oddalona od swoich, a widzę cię zawsze wesołą.

— Alboż nie jestem szczęśliwą, bardzo szczęśliwą? Teraz szczególnie. Dziecko tak do mnie przylgnęło, że codziennie staje się milsze, rozwija się, nerwy jego się wzmocniły, nie płacze, jest naturalne, dziecinne, wesołe. Przekonałam się nawet, że jest zdolne. Tak teraz rozumie i pamięta, co się do niego mówił. Wyznam pani, że do mojego odjazdu na wakacje nie mogłam polubić Mici. Teraz ją pokochałam.

— I ja także w Mici widzę ogromną różnicę. Byłam surową dla moich dzieci i nigdy mi nie chodziło o to, by się czuły szczęśliwe, a teraz szczęście Mici mię cieszy. Na starość zrobiłam się słabszą i miększą. Cieszy mię szczególnie, że szczęście to dziecka nie psuje. Ślamazarność Mici, jej wieczne łzy, to wszystko ustąpiło.

Alina ukryła twarz, usłyszała bowiem kroki dziecinne.

— Szukam panny Aliny—rzekła Micia do babki, nieco oniesmielona.

— Szukaj dobrze. Ja wiem, gdzie jest, ale ci nie powiem.

Babka się uśmiechała, więc Miecia poczęła szukać między płaszczami i odkryła na stołku parę pantofelków. Dopieroż radość, śmiech, klaskanie w ręce.

Skierczyna, stojąca na boku, myślała:

— Może to i nauka szczęścia, z lada fraszki radować się i cieszyć.

Innym razem znowu, Skierczyna, przyszedłszy do stodoły podczas wózki zboża, ujrzała na wozie, pełnym owsa, dwa kapelusze słomkowe i dwie jasne suknie. Michaś, zabrany do wózki, powoził, uśmiechając się wesoło. Gdy wóz wjechał do stodoły, Alina i Miecia skończyły w zapale, przyczem rozległ się srebrny głos dziecka.

Skierczyna ruszyła ramionami.

— Dziwna to dziewczyna,—rzekła do syna.—Z lada czego urasta dla niej radość.

Tymczasem Alina z Miecią odbierały snopki. Dziecku krew tryskała z policzków; śmiało się z nawoływań i uwag Michasia.

— Panienczko! Taże to dla prostych dziewczek robota, nie dla takich panienek. Ajej, żeby pan Prędownicz widział! Panienczce tylko książka, a różaniec, a kwiatuszek w białe rączki brać, ale nie snopy!

— Michaś myśli, że już my sił nie mamy!—wołała Miecia.

— Ja ich mam jeszcze dużo, ale dla ciebie dosyć, Mieciu,—rzekła Alina—zmęczyłaś się już. Jutro odbierzemy więcej snopków, a teraz dosyć.

— Ale jeszcze pojedziemy z Michasiem!

— Jeżeli masz ochotę, pojedziemy.

Podskakując na trzęsących deskach wozu, gdzie ich usadowił Michaś, pojechali w pole.

— Wujaszku!—wołała Miecia—my tam w polu nie próżnujemy, my pomagamy Michasiowi zabierać snopy!

— Co się z tą Miecią zrobiło!—rzekła Skierczyna.

— A co się zrobiło ze mną!—pomyślał Juliusz.—A no, zrobiło się to, że ja sobie naprawdę trochę szczęścia, trochę ośrody i poezji w życiu wynalazł, że życie ma teraz dla mnie inne znaczenie, a piersi innem powietrzem oddychają.

Od powrotu Aliny stosunek jej do niego ułożył się od razu inaczej, niż dawniej, z powodu ciągłej obecności Mieci. Z początku dziecko, wiecznie przypięte, jak mówił, do sukni Aliny, niecierpliwiło go, potem oswoił się ze stanem rzeczy, w końcu znalazł go doskonałym. Krótkie chwile, które mu od pracy zostawały, mógł teraz czasem poświęcić rozmowie z nauczycielką, mającą Miecię obok siebie.

Czasem brał dziecko na kolana, gdyż zaczynał poznawać je i lubić. Wyrzucał sobie nieraz, że dawniej córka jedynej siostry była mu obojętną, teraz rozwijający się swobodnie wdzięk dziecka i jego pociągacz zaczynał. Czasem, gdy spotykał Alinę z Miecią w polu, namawiał je, by szły z nim razem i mógł, trzymając Miecią za rękę, rozmawiać z Aliną swobodnie i spokojnie. Czasem się śmieli i żartowali, częściej rozmawiali poważnie, traktując przeróżne kwestye. Zdarzało się, że Juliusz zwierzał jej się ze swych kłopotów, ze swych zamiarów. Przyjaźń między nimi była tak wielka, że tonęła w niej miłość Juliusza, a raczej przybierała tę formę głęboką, która pozwala mężczyźnie zapominać, że ma obok siebie piękną kobietę, przez siłę poczucia pięknej duszy, która mu się odkrywa. Gdy po pracy bez tchu prawie zsiadł z konia, odczuwał szczególnie nie potęgę jej wdzięków, ale jej słodycz, jej wesołość i tę intuicyę, z jaką wiedziała, jak do niego przemawiać i czego w tej chwili potrzebowały jego natężone nerwy. Czasem, nie pytając, siadała do fortepianu i śpiewała, czuła bowiem, iż w tej chwili wolał to, niż rozmowę. Często obie z Miecią mu służyły. Nosiły mu w pole zamrożoną kawę, lub prosto z lodowni wyszłe kwaśne mleko. Umiała milczeć. Gdy niespodziany kłopot czynił Juliusza zamysłonym i stroskanym, nie pytała, siedziała poważna, lub zabierała Miecią zaraz po skończonym obiedzie lub podwieczorku i opuszczała z nią pokój jadalny. Sam jej powiedział, że projekt małżeństwa z Kocią upadł. Nie chciała być niedyskretną i natrętną, więc nie pytała dlaczego, odczuł tylko w jej głosie i spojrzeniu, iż przypuszczała, że nad tem zerwaniem bardzo cierpieć musiał.

Zwierzyla mu się z bytności Prędowicza w Warszawie i z usiłowań matki, by ją wystrychnąć na macochę Mieci. Pokazała mu list ojca, który brał stronę córki z zapalem. Mówił jej, że niegdyś oboje z matką byli pewni, że królówicz przyjdzie do nich pokłonić się o rękę córki, ale teraz on, ojciec, pragnie dla niej tylko człowieka, którego-by kochała.

— Mój ojciec najdroższy!—dodała Alina—on to mówi w najlepszej wierze.

— Dlaczegoż-by nie miał mówić w dobrej wierze?

— Bo ja za mąż iść nie mogę, chyba za milionera, jak pan Prędowicz. Różnię się od łowców posagu tylko tem, że ani szukam milionera, ani myślę o nim; ale ubogi człowiek nie dla mnie. Niech pan dalej czyta list ojca.

„Tobie zawdzięczam, moje dziecko, wielkie zadowolenie, a nawet tryumf. Oto z powodu, iż z twego zarobku opłacone zostało mieszkanie rodziny, ja mogłem odesłać pierwszą ratę spłaty, która mi ciąży kamieniem, jako zaciągnięty obowiązek. W ostatnich czasach w War-

szawie musiałem zaciągnąć dług i płacę lichwę, która-by mię zjadła w końcu, gdybym kapitałiku owego nie mógł oddać ratami, jakem się zobowiązał. Przynosiłaś nam zawsze samo tylko szczęście i pociechę, teraz jesteś podporą całej rodziny. Wszak z twojej łaski miałem tu chłopców przez wakacje. Z początku się nudzili, ale potem zaczęli polować, łowić ryby i wracali mi wieczorem tacy zdrowi i weseli, że aż się moje stare serce radowało."

— Jakże ja przy takich okolicznościach i warunkach mogę myśleć o małżeństwie?—mówiła Alina.—Nie chcę zresztą większego szczęścia nad to, które posiadam. Jest mi tu teraz tak dobrze, że lepiej być nie może, i marzę sobie, że zostanę tu do lat szesnastu Mieci, że będę przyjaciółką przyszłej żony pana i wyjadę stąd dopiero dla wydania za mąż moich siostrzyczek. Będę już wtedy starą panną, ale znającą uczucia macierzyńskie. Boję się tylko, że zanadto pokocham Zbrucz, Miecię i was tu wszystkich. Będę przyjeżdżać czasami. Zawsze się znajdzie kałamaszka do przywiezienia mię, nie prawdaż?

Prędowicz zjawiał się często w Zbruczu na krótką chwilę. Nie był stracił nadziei, że się Alina namyśli i projektom jej, jeszcze nie ustalonym, ale już majaczącym w jej głowie, przypisywał jej stosunek z Miecią coraz ściślej, coraz serdeczniejszy.

— Może sobie chce przygotować przyjaciółkę w przyszłej pasierbicy—myślał chwilami, ale zaraz potem przychodziły mu znowu wątpliwości i napady nienawiści prawie dla Aliny. Pragnął ją posiadać, a nie mógł jej darować, że jego spokojne istnienie, poświęcone powiększaniu fortuny, zawichrzyła nagle namiętnością, prowadzącą go do szalonych poświęceń, które gotów był dla niej uczynić. Nieprzeparty czar ciągnął go do Zbrucza, a wpadał w złość na myśl, że to on, człowiek niemłody, wyśmiewający się niegdyś z miłości niestosownych, kazał furmanowi pospieszać i leciał tam, gdzie było jego jedyne dziecko, ale wcale nie myśląc o niem, lecz tylko z żądzą znalezienia się wobec tej, którą czasem chętnie byłby zadusił, gdyby nie był spokojnym i znanym obywatelem, niezdolnym do zbrodniczych czynów. Jakaś dzikość ogarniała go chwilami. Chciał-by był zniszczyć młodość i piękność Aliny, bo poco była młodą, poco była piękną, gdy on już miał szpakowatą głowę i o ciężałość powiększającej się tuszy? Nie mógł w duszy swej znaleźć ani rezygnacyi, ani oderwania się od własnego egoizmu, które pozwalał kochać z zupełnem zapomnieniem o sobie. Miewał dla Aliny to bogate prezenta, które ona odrzucała, to masy cukierków, posyłane jej matce i siostram, to propozycye coraz świetniejsze, to znowu uszczypliwe i ironiczne słowa, wyzywające zapytania i gniewne

zarzuty. Niekontent był teraz z oddalenia Vincart, bo Miecia przeskadzała mu w trapieniu Aliny lub obsypywaniu jej obietnicami i pokusami. Gdy Alinie ukazał raj, w jakim-by żyli jej rodzice, gdyby została jego żoną, wpadał potem w paroksyzmy skąpstwa i żałował, że obiecywał tyle, bo nuż-by obietnicy dotrzymać musiał, wtedy dochody jego doznały-by wielkiego umniejszenia. Gdy się znalazł sam, uderzał ze złości pięścią w stół i zaciął zęby, mówiąc do siebie: „stary osle!” Obiecywał sobie wypędzić Alinę, nie zobaczyć jej nigdy więcej, zapomnieć o tej gadzinie, a zaraz potem kazał zaprzęgać konie i jechał do Zbrucza. Wszyscy tam już teraz odgadli niewczesną miłość Prędowicza. Skierczyna w zaciętej swej nienawiści dla zięcia radowała się, że znalazł on wreszcie skałę, o którą rozbijały się jego pragnienia. W jej duszy, która nie znała przebaczenia, powstała myśl o jakimś fatum sprawiedliwym, które chciało, by Alina pomściła ją i Belcię. Zniżyła się aż do zapytania Aliny o propozycję, czynione jej przez Prędowicza i, odgadując walkę, która w jego sercu wrzeć musiała między skąpstwem a tą, toczącą go jak robak, miłością, doznawała złej radości, której się nawet oprzeć nie usiłowała. Nienawistne dawniej odwiedziny Prędowicza cieszyły ją teraz. Biegł jak ćma po wymiar męki do płomienia, w którym się palił żywcem. Ani się domyślała, że jej syn taką samą prawie dolę otrzymał w udziale. Jej syn! ta najżywsza miłość jej serca, istota, przez którą i dla której żyła, była teraz dla niej powodem głębokiego cierpienia.

— I co dalej!—zapytywała siebie ciągle z tym uporem, który znamionuje myśli wyłączne.—Zerwał z Kocią, pogardził partyą, na którą czekał trzy lata, i pozostał w niezdolności położeniu, którego obecnie żadna nadzieja lżejszem nie czyniła. Poprzysiągł ocalić Zbrucz, a cofa się przed jedynym sposobem ratunku!

Wierzący, mający osobny instynkt zachowawczy i zmysł, ostrzegający ich o niebezpieczeństwie, przeczuli, że szanse ich naraz stały się gorsze. Najeżdżali i nachodzili Zbrucz, jak gdyby była między nimi nastąpiła zmowa. Juliusz dobitnie i spokojnie, choć był w duszy upokorzony i zawstydzony, tłómaczył im położenie. Wziął na siebie odpowiedzialność i od niej się nie cofa. Będzie pracował ile sił, nie zaniedba niczego... Majątek podnosi się znacznie, kapitały więc, umieszczone na Zbruczu, nie są stracone, ale ich teraz podnieść nie można, bo nie znajdzie się kupiec, który-by dał wartość rzeczywistą, tylko-by trzeba sprzedać za pół ceny, przyczem część wierzytelności by przepadła.

Powtarzanie w kółko tego samego każdemu z wierzących było Juliuszowi czymś takim, co mu goryczą i znudzeniem do gardła podstępowało. On tym ludziom mówił prawdę, a czasami wydawał się

sobie nędznym blagierem, oszustem, który tych, co zaufali jego ojcu, wyprowadzał w pole. On im obiecywał, że pracować będzie wytrwale, ale taka obietnica nie wracała im uwiecznionego kapitału. Gdy przez okno widział jednego z wierzyteli odjeżdżającego, ogarniała go wielka przykrość, wielka zgryzota. Oto człowiek, który na prośbę jego ojca dał, co mógł, a czasem wszystko, co miał, odjeżdżał, nakarmiony przez syna obietnicami i pięknymi słówkami.

Raz, gdy do Juliusza przybyła astmatyczna staruszka, zmęczona podróżą i kurzem, który ją nabawił ataku, i gdy pokornie wszedłszy zadyszana do jego gabinetu, z największą nieśmiałością prosiła go o oddanie jej kapitaliku, używając słów, tak unizonych, jak gdyby prosiła o jałmużnę, zawstydenie Juliusza i litość dla staruszki nie miały granic. Posadził ją w fotelu, podał jej kieliszek wina.

— Przepraszam pana—mówiła kobiecina—pan tak sumiennie płaci procent... to też ja pierwszy raz... jeszcze tu nie byłam... ale mam córkę chorą... lekarze kazali jej wyjechać z kraju na zimę... do Abbaży!... powiadają, że to ją uratować może... więc-bym chciała całe te tysiąc pięćset rubli... Przepraszam... ja tu tak pana nachodzę...

— Na kiedy pani pieniądze potrzebne?

— Za dwa miesiące... tak lekarze...

— Uczynię wszystko, co tylko będę mógł, żeby pani te pieniądze oddać. Suma nie jest wielka, ale jej nie mam, przytem musi mi przedewszystkiem wystarczyć na procenta.

Podczas gdy mówił, twarz staruszki zmieniła się nagle. Zabrało jej powietrza, dostała znowu ataku astmy. Juliusz nie wiedział, co czynić, pobięł śpiesznie do matki po ratunek. Skierczyna trzeźwiła staruszkę, jak mogła, wreszcie, widząc ją odzyskującą możność oddychania, ofiarowała jej wypoczynek i nocleg w Zbruczu, zaprowadziła ją do gościnnego pokoju, gdzie służąca pomogła jej położyć się do łóżka.

Wychodząc od chorej, Skierczyna spostrzegła Juliusza podeszłymi.

— Czy jej lepiej, mamó?—zapytał z niepokojem—brakowało-by jeszcze, by z mojego powodu staruszkę tę martwą jej dzieciom i wnukom odwiezli! Ah, łatwo to powiedzieć: „będę pracował, pracą uratuję ojcowiznę!” ale tu trzeba nadludzkiej siły, nadludzkiego panowania nad sobą! Musiał-bym być z kamienia, gdybym chciał ani krokiem nie zejść z raz obranej drogi! Czy ja mogę nie uczynić ostatecznego wysiłku, by tej kobiecie zapłacić? Toć jej córka może umrzeć, jeżeli z kraju nie wyjedzie! A więc pożyczę na wyższy procent, lub sprzedam część zboża teraz, nie czekając na lepsze ceny, powinien-bym zaś staruszkę tę odesłać z kwitkiem, jak innych! Czemu ja nie mogłem oze-

nić się z Kocią! Kto się bierze do wielkiego dzieła, powinien umieć uczynić wszystko z siebie, powinien nawet umieć udawać miłość!

— Popeliłeś wielki błąd, ale nie mówmy o nim, skoro go naprawić nie chcesz!

— Nie mogę! Bóg widzi, że uczynił-bym wszystko, gdyby chodziło tylko o poświęcenie siebie, ale przecie i ona ma prawo do szczęścia, pragnie być kochaną, jest nawet zazdrośną, a ja nie zdołał-bym się przymusić do kłamanych pocałunków i wyznań. Można skłamać ustami, ale kłamać całe życie, i ustami, i czynem, przez wszystkie dni żywota...

— Po co mówić o rzeczach niepowrotnych? Wszak ta biedaczka potrzebuje pieniędzy dopiero za dwa miesiące?.. Nie niepokój się o nią. Jutro jadę do Wilna, pojedzie więc ze mną, wygodnym powozem.

Juliusz nie zapytał, po co matka jedzie do Wilna. Od dzieciństwa miał sobie wpojone przyzwyczajenie nie pytać, gdy czego sama nie mówiła. Widać powiedzieć nie chciała, lub nie mogła.

Nazajutrz staruszka wstała zdrowsza. Odprawiono jej najętą furmankę. Czekając na wyjazd, siedziała pod lipami w ogrodzie, nie chcąc być natrętną i dawać ciągle oczom Skierków widoku wierzycielki. Takie wstydlivości wyrabiają się niekiedy w społeczeństwie, gdzie niewypłacalność bardzo często idzie w parze z uczciwością.

Wyjeżdżając, Skierczyna rzekła Juliuszowi:

— Zdaję ci pieczę nad ojcem.

Przeczuwał te słowa i był pewien, że missya pilnowania ojca na niego spadnie. Drżał przed nią. Wiedział, że Skierka bał się tylko jednej osoby na świecie, żony swojej.

W istocie, stary gracz był jak zwierzę, mające pogromcę, którego nienawidzi, którego rade-by rozszarpać, a przed którym truchleje i spuszcza wzrok ku ziemi.

Juliusz zauważył tylko jeden błysk, jakby krwawą luną zapalającego się spojrzenia, gdy Skierka, grający zawsze przy bocznym stoliku z niewidzialnymi graczami, dowiedział się, że jego żona opuszcza Zbrucz na dni parę.

W istocie, zaledwie powóz jej ruszył z przed ganku. Skierka, z rozjaśnionym jakąś nadzieją wzrokiem, zwrócił się do Juliusza, mówiąc z przybraną pokorą:

— Dasz mi parę koni, a choćby jednego do kałamaszki... wiesz, że nigdzie nie wyjeżdżam... poprostu nieprzyzwolicie... chciał-bym odwiedzić sąsiadów.

Juliusz zbladł, zaciął wargi, a potem rzekł spokojnie i stanowczo:

— Nie, ojczy, koni dać nie mogę i wogóle nie mogę pozwolić na żaden wyjazd. Nie będę się bawił w zagadki, ani w żadne udawania.

To, co cię trawi, ojcze, to choroba. Nie pozwolę, by doszło do paroksyzmu i nie dojdzie do niego.

Twarcz Skierki zmieniła się strasznie, iskry posypały się z jego oczu, zdawało się, że skoczy do gardła Juliuszowi. Głosem krzykłym, zachrypłym, przerywanym, grożąc pięścią, wyrzucił z siebie tyjące przekleństwa, obsypał żonę wszystkimi oskarżeniami, na jakie nienawiść i namiętność zdobyć się mogą. Ona i syn obdzierali go, korzystali z jego mienia, jego czynili więźniem we własnym domu. Warci byli kary sądowej, jak ci, co zdrowych krewnych w szpitalu waryatów zamykają. On im pokazeł! On się uda ze skargą do władzy, odda się pod opiekę prawa...

Juliusz stał smutny, zgnębiony, upokorzony. Okiem litości pełnem patrzył na tego starca, zwykle chorego, bezsilnego, złamanego, którego żądza zaspokojenia choć raz jeden namiętności czyniła prawie strasznym w tej chwili.

— Nie oskarżaj matki, mój ojcze—rzekł w końcu łagodnie.—Ona nie dla używania wzięła w ręce interesa i majątek. Ona pracowała i walczyła ciężko, nietylko dlatego, by mienie ocalić, ale także przez religijne uczucie poszanowania dla ojcowizny, dla kościoła naszego, pod którego posadzką leżą nasi przodkowie, dla cmentarza, gdzie się położyły późniejsze pokolenia, dla tradycji rodowej i innej, jeszcze świętszej.

Ale stary Skierka nie słuchał wcale. Umilkł i sapał, bo podniesienie głosu zmęczyło go i wypoczywał, po chwili jednak rzucił się znowu z szalonym gniewem do syna.

— Ojczel—zawołał Juliusz podniesionym głosem—sam mię stróżem więziennym czynisz, ale będę nim, skoro inaczej być nie może!

Skorzystał z nowego zasapania się ojca, by wyjść na podwórze i ku stajni. Ledwo się znalazł u źrebiąt, usłyszał ojca, wydającego rozkazy Antoniemu, który się tłómaczył, że Michaś zabrał czwórkę stajennych koni, a inne wszystkie były u roboty. Był tylko wierzcho-wiec panicza, niezdolny do zaprzęgu.

— Pojadę konno,—wołał starzec.

Wtedy Juliusz ukazał się na progu stajni, mówiąc stanowczo:

— Nie możesz jeździć konno, mój ojcze, jesteś zresztą zaudatno osłabiony na wyjazd z domu.

I podczas gdy Skierka wybuchnął z nowemi zarzutami i przekleństwami, on ujął jego ramię i poprowadził go do domu.

Sam sobie wydawał się oprawcą. Szedł z wzrokiem spuszczo-nym ku ziemi, z uczuciem niezmiernego bólu w piersi. On i matka mieli w istocie zamiary czyste, ale czy nawet czystość zamiarów usprawiedliwiała przemoc? Wszak on w tej chwili pastwił się nad tym nie-

szczęśliwym starcem i może skracał życie jego, stawiając tamę jego namiętności.

Gdy nareszcie krzyki Skierki ucichły, bo już mu do nich sił za-
brakło, Juliusz poczuł się tak nieszczęśliwym, że z rozpaczą począł
się oglądać za jakąś ucieczką od tej całej męki.

— W łeb sobie palnąć i skończyć z tem życiem, z którego dotąd
nic nie wyrosło i nic nadal wyrosnąć nie może!—zawołał w duchu. Być
stróżem więziennym ojca, nie móc dopełnić zobowiązań, od drzwi
swoich odsyłać wierzących niezaspokojonych, mieć obok siebie szczę-
ście, którego swego uczynić nie można i umierać z pragnienia obok
świeżego źródła, to może w końcu doprowadzić do takiego znużenia,
przy którym już ani kroku postąpić nie można, przy którym się pada,
jak przeciążony koń! I nic na przyszłość, żadnej nadziei! Zboże co rok
tańsze i klęska za klęską!

Nie mógł uciec w pole, do swojej pracy, jak to zwykle czynił, gdy
kłopoty tłoczyły go zbyt silnie. Wszak musiał pilnować biednego
starca, z którym nie jak syn, lecz jak oprawca się obchodził. Myśl o ro-
li, jaką dziś odgrywał, była mu zbyt ciężką. Zapukał do drzwi Aliny.
Podczas gdy prowadził ojca od stajni, przechodziła przez dziedziniec
i uciekła śpiesznie, słysząc krzyki i łajania Skierki. Wiedziała więc,
co się tu działo, i żadna tajemniczość już wobec niej potrzebną nie była.

— Potrzebuję usłyszeć głos życzliwy, potrzebuję, by mi ktoś
powiedział, że nie jestem nikczemnikiem!—rzekł do Aliny.

Ona z wyrazu twarzy odgadła, że miał ciężkie zmartwienie, ka-
zała więc Mieci pozostać i poszła za nim, oczy, pełne przerażenia, ku
niemu podnosząc.

Gdy weszli do salonu, usiadła, patrząc, jak chodził wzdłuż poko-
ju tam i napowrót, ze spuszczoną głową.

— Niech mi pani daruje—ozwał się—i niech pani nie ucieka!

Myślał zaś:

— To nie rozmowy z nią było mi potrzeba! Co mi po rozmowie!
Zawołałem jej, nie zdając sobie sprawy, że mnie potrzeba-by było
stroskaną głowę złożyć na jej piersi i poczuć w koło szyi ciepły uścisk
jej ramion. Może w uścisku jej zdołał-bym zapłakać i ze łzami wylać
na jej łono tę gorycz i te przekleństwa ojca, które mi serce i głowę
rozsadzają. Co tu znaczą słowa? Czy zdołają wypowiedzieć wszystko?

Zatrzymał się nareszcie przed Aliną.

— Jaki ze mnie nędzny i słaby charakter! Oto na myśl mi przy-
szło szukać wsparcia u pani! Nie umiem w sobie znaleźć siły. O, jak-
że ja sobą pogardzam! Wszak ja przed chwilą myślałem o samobój-
stwie, nie bacząc na to, że to była-by nędzna ucieczka! Chcieć tylko
istnieć dla szczęścia i rozkoszy, a istnienia dla pracy i cierpienia się

wyrzekać, to mi szlachetne pojęcie życia! Cierpienie to i pracę zrzucić na barki starej kobiety i obryzgać ją jeszcze krwią syna, samobójcy.

Alina milczała. Tylko jej oczy, pełne litości i współczucia, wyraźniej, niż słowa, mówiły:

— Ja wezmę połowę twego cierpienia dla siebie, byle-bym mogła to uczynić!

Jego objęło przecucie tego, czem życie najsroźszych walk być może, gdy się ma zawsze przy swem sercu istotę, gotową do wzięcia połowy brzemienia na swoje ramiona. Patrząc na Alinę, myślał z gorącym popędem serca ku niej, że wszystko spadało na niego takim ciężarem, dlatego, że był sam, zawsze sam ze swą myślą. Gotów był w tej chwili zawołać, że ją kocha. Kolana ugięły mu się, by upaść przed nią i objąć jej nogi.

Zbladł nagle, zachwiał się i rzekł ze spokojem, mającym w sobie coś tragicznego.

— Przepraszam panią... doprawdy, zdaje mi się, że zmysły moje się mieszają.

— Panie Juliuszu, panie Juliuszu!—mówiła dziewczyna, biorąc jego rękę—przyrzekliśmy sobie być przyjaciółmi, być siostrą i bratem... to siostra stoi obok pana!

Miał ochotę zaśmiać się szydersko na to zapewnienie, ale go nagle zadławiło rozrzewnienie, które z jej oczu, pełnych łez, tryskało i jego duszy się udzieliło.

— Pani przeciw wierzy w to—zawołał—że ja muszę być dla ojca takim, jakim jestem...

— Wierzę i wiem wszystko. Rozumiem, że pan cierpieć musi, ale dziecku, pomimo jego krzyków, powstrzymuje się rękę, gdy ją chce kłaść w płomienie. Nie można temu nieszczęśliwemu starcowi pozwolić na hańbienie siwych włosów, których sam szanować nie ma siły...

Juliusz trzymał ciągle w swych rękach dłoń Aliny; ukojenie zstępowało do piersi jego.

— Tak, to siostra stoi obok mnie!—wyrzekł z zapalem.

Miecia wbiegła do pokoju, wzywając Aliny.

— Nie kłamałem, nazywając ją siostrą—myślał Juliusz—nie była mi w tej chwili kochanką, którą się posiadać pragnie, lecz najdroższą duszą, przy której staję się lepszym, a spokojnym i silnym.

A potem, chodząc po swym gabinecie z wyteżonym na wszelkie szmery uchem, mówił sobie:

— Taką pocieszycielką, taką silną, a słodką powinna-by być każda kobieta. Tak głęboko, jak kocham tę, nie mógł-bym nigdy pokochać kruchej, błahej zabawki, do której można porównać kobietę kapryśną, lekką, światową. Choćby była od tej piękniejszą jeszcze i po-

wabniejszą, choćby miała najbardziej demoniczny czar... Może-bym szalał dla niej...Ale uczucie moje nie miało-by podwaliny. Tylko taka miłość jest silna, głęboka, a poważna, która w kobiecie widzi przede-wszystkiem jej duszę. Miłość nie istnieje bez pociągu fizycznego, ale głupi ten, co sądzi, że ów pociąg silniej i trwalej buduje, niż dobór dusz.

Stary Skierka zachorował. Jęki jego przywiodły syna do jego pokoju. Dostał ataku nerwowego. Posłano po lekarza, który właści-wymi środkami złe usunął, i gdy po paru dniach wróciła Skierczyna, zastała już męża w zwykłym stanie.

Poprowadziwszy syna do swego pokoju, oddała mu rewers ojca, wydany astmatycznej staruszce, która w zupełności zaspokojoną zo-stała.

Była to chwila niezmiernej uciechy dla Juliusza i wielkiego wy-buchu wdzięczności dla matki.

— Więc zmora moich kilku nocy ostatnich usunięta! Ale skąd, mamo, wzięłaś pieniędzy?

Opowiedziała synowi, iż sprzedała brylantowy naszyjnik, który od matki męża swego dostała w dzień ślubu. Chowała go dotąd, chcąc te skierczyńskie brylanty zostawić w rodzie i ustroić w nie narzeczona Juliusza, ale, widząc go tak bardzo przygnębionym, postanowiła naszyjnik sprzedać i oto przywoziła jeszcze przeszło tysiąc rubli.

Z wyrazu twarzy i z tonu matki Juliusz poznał, że to pozbycie się kosztownej pamiątki było dla Skierczyny przejściem prawdziwym, lecz nie miała ona zwyczaju powracać próżnem ubolewaniem do rzeczy niepowrotnych.

Juliusz przejęty był dla niej wdzięcznością i podziwem. Może i ona niegdyś miała słodycz i wdzięk kobiecy, ale ją życie postawiło w takich warunkach, że twardą stać się musiała. Temu, co on tu wy-cierpiał, zostawszy na straży nieszczęśliwego ojca, ona musiała sta-wiać czoło nieraz. Jakąż-to długą walką okupionym być musiał ten wpływ, który obecnie miała nad mężem! A co cierpień tajemnych przejść musiała w małżeństwie z człowiekiem, którego wybrała z mi-łości, nim doszła do dzisiejszej pogardy, do troskliwości z obowiązku i do tyranii w imię idei. Z iluż-to nadziejami pożegnać się musiała, przebolewszy utratę każdej z nich. Teraz nareszcie tę nadzieję mał-żeństwa syna, które uratowało-by odrazu położenie majątkowe, spły-wające tyloma troskami na niego i na nią! Ale i ten ostatni cios przy-jęła z odwagą, bez głośnych skarg, ze spokojem istoty, która panowa-ła nad sobą w każdej okoliczności życia. Juliusz czuł, że do cierpie-nia matki w tym razie przyczyniało się to, że ona go nie rozumiała.

Nie mogła pojąć, że on, jej syn, sentymentalizował wobec raz powziętego zamiaru, wobec danego przyrzeczenia.

W istocie, zerwanie z Kocią było dla Skierczyny zawodem podwójnym, bo ona i na charakterze syna swego się zawiodła. Ludzie starsi, którzy przez lat wiele żyli tylko dla ocalenia lub powiększenia majątku, odchodzą zwykle daleko od pojęć swej młodości. Dawne swe uczucia i zapęły przypominają sobie, ruszając ramionami, a przypisywanie uczuciom praw pierwszorzędnym w życiu mają za marzycielstwo i niedojrzałość. Teraz, wobec postępu syna, stała ona jak wobec zagadki. Co się to stało? Jak to być mogło, by Juliusz, którego miała za wcielenie obowiązkowości, postąpił nagle, jak fantastyk, jak poeta, jak marzyciel—nazwy, które w pojęciach Skierczyny miały bardzo bliskie pokrewieństwo z nazwą półgłówka. Wiedziała jednak dobrze, że trzydziestoletniego mężczyzny, którego urobiło życie, nie są zdolne przemienić uwagi i nauki moralne matki. Stanęła więc w swem postępowaniu z synem odrazu na punkcie, na którym wypadki i własne jego pojęcia go postawiły, i nie powracała do przeszłości gadatliwem słowem kobiet słabych i beczynnych, które pogardały całe życie.

Teraz zapanowała w Zbruczu chwila względnego spokoju, zapłacenie dwóch drobnych wierzytelności, dodatek do wydatków najpilniejszych, otrzymane ze sprzedanych kosztowności, dały Juliuszowi zachętę. Ten rok więc przyniósł jakiś postęp i była nadzieja, że przyniesie go jeszcze, że ze sprzedaży zboża jakąś choćby małą część długów spłacić się uda. Aby tylko ku gorze, choćby powoli się posuwać, choćby najwolniejszym krokiem! Juliusz pracował ciągle z tą samą gorliwością, podniecaną promyczką nadziei, która utwierdzała w nim upór i zacięłość, z jakimi postanawiał w tej walce zwyciężyć, ojcowiznę uratować i obcemu w ręce jej nie oddać.

Miłość jego była bez żadnej przyszłości, ale wzmocniony fizycznie przez wypoczynek dłuższych jesiennych nocy, uwolniony od wyczerpującej gorączki żniwnej, stał znowu silnie przy dawnej dewizie uważania szczęścia osobistego za dodatek w życiu, nie za cel. A cierpienie? Zaciąć zęby i ani pisać! Nie badał psychologicznych procesów, odbywających się w jego duszy. Przechodził nad niemi do porządku dziennego, to jest do swoich rachunków, do mozolnej gospodarskiej pracy. Nie domyślał się, że uspokojenie, którego doznawał, w znacznej części zawdzięczał Alinie. Była bowiem w tej dziewczynie siła łagodząca i kojąca, co jest własnością wielu kobiet, tak jak własnością innych jest rozstrajanie, rozbudzanie i drażnienie. Widok jej obowiązkowości, jej wytrwalej i nigdy nie ustającej pracy nad Micią, jej pogody, jej słodczy, która nigdy w ekliwość nie przechodziła, jej przyjaźni, ujawniającej się z prostotą i naturalnością, czyniły przy-

wiązanie Juliusza coraz głębszem, a uczucie jest często, jak woda: tem spokojniejsze na powierzchni, im głębsze. Kochał Alinę nie jak zderwowany bohater z „końca wieku”, nie jak błędny rycerz. Coraz mniej kochał w niej siebie. Przytem z cierpienia, z zupełnego braku nadziei nie zawsze wyrasta rozpacz i samobójstwo. W słabszych i łatwiej zdeptać dających się duszach często wykwita z niego smutny kwiat rezygnacyi; w silniejszych, butniejszych naturach rodzi się dumna bezwzględność dla własnej troski, zrośnięcie się z nią, przyczem powoli ustępują towarzyszące jej małości, samolubstwa i próżności. Na własny ból patrzy się z wyżyny, na jaką ów ból wprowadził duszę, i pragnienie samolubnego szczęścia, choćby przez filozofię osobistą potępionem naprzód nie było, ustępuje z uczuć, wyparte z nich przez ową podniosłość i bezwzględność, nabytą w szkole cierpienia.

Codzienna jednostajność życia pod jednym dachem, węzły przyzwyczajenia, słodycz przebywania razem coraz bardziej nadawały miłości Juliusza cechy namiętnej przyjaźni. Nie obawiał się teraz pozostania sam na sam z Aliną. Był pewien siebie, wiedział, że jej nie powie jednego słowa, którego-by mógł następnie żałować. Wszak tem słowem mógł-by zburzyć jej pokój, a o nią przedewszystkiem mu chodziło. Nie miał prawa narzekać, skoro ona przy każdej sposobności powtarzała mu, że była szczęśliwa. Wiec niech się nie dowie nigdy o jego miłości, bo-by ją litość nad przyjacielem o cierpienie przyprawić mogła. W myślach swoich mówił do niej:

— Ty tylko bądź szczęśliwa! O mnie mniejsza, ja się bez szczęścia obejść mogę.

Pewnego październikowego wieczoru, Alina, czytająca jakieś szkice literackie, zachwycona została piórem autora i subtelnością jego spostrzeżeń. Siedziała z Miecią w swoim pokoju, ale ją do Juliusza poprowadziło pragnienie podzielenia z nim wrażenia artystycznego. Znalazła go rozmawiającego z matką. Obojgu więc czytać zaczęła ustępy, które ją zastanowiły. Po chwili przerwała sobie, mówiąc, że musi wracać do Mieci. Na to Skierczyna zaproponowała, by Miecią przyprowadziła, dziecko bowiem tak dobrze mogło kleić domki z papieru tu, jak w swoim pokoju. Stało się wedle woli pani domu. Alina czytała całą godzinę. Odtąd czytanie głośnie weszło powoli w zwyczaj. Po wieczornej herbacie, siadali we troje przy lampie, mając opodal Miecią, rysującą lub szyjącą dla lalki, a przy drugim stole Skierkę i karty jego. Czytali na przemiany Juliusz i Alina, przerywając sobie uwagami czynionemi i rozmową. Godziny te, ulubione przez Juliusza i tak oczekiwane, że były sowitem wynagrodzeniem i pociechą za całodzienne kłopoty, stały się też dla Skierczyny jakby objawieniem tego, co może leżeć pociechy w skupieniu domowego kółka wkoło je-

dnej myśli, wkoło jednego przedmiotu, wywołującego wymianę zdań, odkrywanie się zasobów intelektualnych i w zimowy wieczór, huczący wichrem, zbliżenie się blizkich sobie sercem na dłuższe spokojne posiedzenie. Syn, którego kochała bez miary, przez to samo, że właściwie na ziemi kochała tylko jego jednego, siadał teraz obok niej, a nie uciekał do własnego pokoju, gdzie dawniej wieczorami czytywał samotnie. W surowej szkole zaprawiona dusza Skierczyny wypoczywała po zwykłym natężeniu woli i siły, gdy wieczorem myśl jej wespół z myślą syna zatrzymywała się na tych samych wrażeniach, gdy potem rozmawiali o oderwanych uczuciach i osobistościach tak, jak gdyby nie istniał Zbrucz, ani jego trudne interesa, ani zagadkowa przyszłość.

Po skończeniu rozdziału, który czytała głośno, Alina podniosła raz pogodną swą, jasną twarz i promienne oczy ku dwojgu słuchaczom, mówiąc:

— Każdy musi sobie szczęście przedstawić w pewien sposób dotykalny, każdy sobie tworzy wyobrażenie plastyczne. Moje szczęście, a raczej obraz, przez który-bym ja najchętniej wypowiedziała, przedstawiał-by grono rodzinne, po dniu usilnej pracy skupione koło jednego ze swych członków, czytającego głośno.

Nie było odpowiedzi: Skierczyna i Juliusz przyjmowali zawsze milczeniem podchwycenie ich własnej myśli.

— Tak,—mówił sobie w duchu Juliusz—choćby najcięższa, byłoby produkcyjna praca, i te dwie kochające kobiety obok mnie.

Po chwili głośno rzekł:

— Wymagania pani bardzo małe.

— O, nie wymagania! Mówię o obrazie szczęścia oderwanym. Dla siebie o tem nie marzę, bo mieć nie mogę. Muszę być zawsze daleką od rodziny i nie zawsze znajdę taki Zbrucz, gdzie obcą przygarniają, jak swoją.

Juliusza zawsze opanowywała mimowolna, a wiedział, że niesprawiedliwa i nierozsądna, zazdrość, na myśl o tej rodzinie Aliny, którą ona w swem sercu stawiała po-nad wszystko.

— Święta Bożego Narodzenia za pasem—ozwał się—i pani choć przez parę tygodni...

— A mój oddalony ojciec!—zawołała Alina.—Jesteśmy rozrzuconeni na trzy strony świata, i nie wiem, czy kiedy będziemy znowu razem!

Surowa Skierczyna poczuła się poruszoną na myśl, że ta dziewczyna obcym, za pieniądze, dawała skarby, któremi ją natura obsypała, a rodzice byli pozbawieni tego wdzięku i tej dobroci.

— Gdy ojciec pani przyjedzie na urlop...—ozwała się, ale nagle urwała. Zawstydzila się tej pociechy, dawanej Alinie, jak dziecku.

— Mam nadzieję, że przyjedzie tej wiosny. Ale ja odsuwam tę myśl od siebie... to, co jest upragnione, najczęściej zawodzi.

W tej chwili krew uderzyła Juliuszowi do głowy. Myśl jak błyskawica przemknęła przez jego umysł. Będąc w uniwersytecie w Petersburgu, żył w stosunkach przyjacielskich z jednym z kolegów, którego ojciec był obecnie bardzo wysoko położoną figurą. A gdyby się udało przenieść Stamarskiego gdzie bliżej rodziny!

Wstał od stołu i począł chodzić wielkimi krokami po pokoju, bo już go uniosły plany kampanii, którą chciał przeprowadzić. Nic dotąd nie uczynił dla Aliny i teraz ogarnęła go żądza przyniesienia jej wielkiej pociechy. Jeżeli jest jaka miara trosk, którą ludzie wypełnić muszą, bez względu na to, kim są, to on niech jeszcze cięższe brzemię na barki dostanie, byle jej sercu dać wielką radość. Oddawna zwykła kolej serc kochających przyszła i na niego. Pragnął-by był obsypywać Alinę darami, pod jej stopy kłaść kwiaty, ale nie mógł czynić tego. Był biedny, zresztą dary mogły jej dać przypuszczenie jego miłości. W tej chwili znalazł drogę pracy i poświęceń dla niej i nagle uczucie wielkiego szczęścia ogarnęło jego duszę. Kipiała w nim wprost żądza działania z myślą o jej radości i aż mu ból sprawiało to, że natychmiast w czyn swych myśli wprowadzić nie mógł.

Skierczyna zbyt nieszczęśliwa była w życiu, by ją miał zostawić obojętną choćby najlżejszy cień pociechy. Mimowoli wdzięczną była Alinie za te wieczory, wspólnie spędzane. To ta obca dziewczyna sprowadziła na jej starą głowę tę trochę ciepła, które spływało z całogodzinnych posiedzeń obok syna.

ZOFIA KOWERSKA.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PAMIĘTNIK

ks. Jana Nepomucena Kossakowskiego,

biskupa wileńskiego.

(ur. 1755 † 1808) ¹⁾.

Od września 1781 r. zaczyna Kossakowski opowiadać pod bezpośrednim wrażeniem wypadków, pisze dziennik. „Chciał-bym—mówi w krótkim nagłówku nad dziennikiem—nawet w dniu każdym jakikolwiek ślad życia zostawić.“ Temi „śladowi życia“ pójdziemy uważnie, przepisując wszystko, co może posłużyć do obyczajowej historii epoki i do charakterystyki autora. Streszczać i skracać będziemy te tylko karty, na których wiadomości rozsypane są w krótkich, nie powiązanych ze sobą zdaniach, a usuniemy szczegóły najmniejszej wagi ²⁾.

Następująca część rękopisu daje ciekawy obraz sposobu podróŜowania młodzieŜy polskiej przed stu laty, oczywiście młodzieŜy poważniejszej, dla której kształcenie umysłu jest głównym celem podróŜy, chociaŜ przyjemność i chęć błyszczenia nie są wyłączone z programu. Jan Kossakowski, pochodzący, jak widziliśmy, z niezbyt za-

¹⁾ Patrz zeszyt majowy „Biblioteki Warszawskiej.“

²⁾ Tekst drukowany jest ściśle zgodny z rękopisem; pisownię tylko zmieniamy na nowożytną. Wszelkie omówienia wydawcy odznaczają się *innym drukiem*.

możnej szlachty, nie przyzwyczajony do wielkich wygod, ani środków, natychmiast po przejechaniu granicy nabiera pańskich narowów: podróżuje bardzo wygodnie; zadaje się z dygnitarzami. Czytelnikowi się wyda, że autor nasz porósł w pierze; dowie się jednak później, że młody kleryk obrócił na podróż całą swą szczupłą schedę. Nabrał więc tylko fantazyi i tego naiwnego, a tak powszechnego u nas przekonania, że ubogi szlachcic polski równy jest zagranicznemu „comesom” i powinien odpowiednio się zachować.

Tę część rękopisu rozpoczyna karta, streszczająca niektóre zajęcia przed wyjazdem, której nie pomijamy.

Dziennik mego życia r. 1781.

Staralem się umieścić przy ks. Okęckim, biskupie poznańskim; już był obiecał wziąć mnie do siebie, potem odmówił. Tem zrażony umyśliłem porzucić Warszawę i wyjechać za granicę. Pożegnałem Warszawę, biskupa inflanckiego, moich krewnych i przyjaciół w Opatczyńskim. Pożegnałem w Jaranowicach moją macochę, której przywiązania prawdziwie macierzyńskiego zawsze doświadczyłem i jej też część mego dziedzictwa w trzechletniąarendę puściłem, a do wszystkich spraw moich ułatwiania, jakie-by w czasie niebytności mojej zająć mogły, wydałem plenipotecję Teodorowi Jordanowi, zdawna do całego domu naszego przywiązanemu. Zamówiłem sobie ks. Gostyńskiego, plebana Zielenickiego, żeby mi wiadomości krakowskie donosił, a p. Grebla, księgarza krakowskiego, żeby mi listy odsyłał.

Odebrałem od ks. Ustrzyckiego, profesora mego w Piotrkowie, a przyjaciela w Warszawie listek, w którym tłómaczoną przezemnie książkę o edukacyi pochwała.

Brat mój, Leonard, odprowadził mnie z Jaranowic do Krakowa, dokąd, według naszej umowy, przybyli kompani mojej podróży: książę Giedroyc, kanonik żmudzki, i ks. Walewski. Nieźmierny ogarnął mnie smutek, kiedy mi przyszło żegnać się z krewnymi, przyjaciółmi i z moją ojczyzną. Złorzeczyłem przesądowi, wedle którego ksiądz, co nie był w Rzymie, a szlachcic w Paryżu, w znaczniejszych u nas kompaniach nie jest dobrze widzianym. Ale dawna chęć moja i ciekawość widzenia cudzych krajów wszystko przemogła.

Przed wyjazdem objechaliśmy okolice krakowskie, byliśmy w Krzeszowicach, które coraz więcej wslawiają się swemi wodami, i na puszczy Czarnej, gdzie jest klasztor pokutujących Karmelitów i gdzie marmury kują.

Dnia 2 września, wysłuchawszy mszy św. i wezwawszy błogosławieństwa boskiego, wyjechaliśmy z Krakowa najętym furmanem do Opawy. Dla uniknienia powodzi na rzece Soła, wylanej pod Kętami, doradzono nam na Szląsk Pruski drogę obrócić. Zwierzyniec, przedmieście krakowskie, klasztor Tyniecki ks. Bernardynów, Pustynia Kamiedulów—zwróciły na siebie nasze oczy i uwagę. W Celowku obiadek maślny samiśmy sobie sporządzili. Na noc stanęliśmy w Lipowcu.

3 września. W kościółku Babickim odprawił nam mszę św. ksiądz Walewski, a pleban tamtejszy, Groń, missyonarz, poczęstował nas kawą. Oglądaliśmy zamek Lipowiecki, wymurowany, jak nam tu mówiono, przez Aryanów, zburzony od Szwedów, a przez biskupów krakowskich na więzienie dla poprawy złych księży obrócony. Zator i Wisła piękny tu widok czynią. Widzieliśmy także Bobrek, zamek starościny Lanckorońskiej, w koło wodą oblany, w którym w czasie ostatnich zamieszek krajowych zamknięci kontederaci długo się bronili. Pożegnaliśmy ojczyznę naszą w Chełmsku, gdzie rzeczka Przysmsza Szląsk Pruski odgranicza od Polski. W Porąbkach, o pół mili od Oświęcima, wsi grafa Reischwita, popasaliśmy, w Zwankowie nocowali.

Ciągną dalej przez Rybnik, Raciborz, Opawę, Bern, Ołomuniec, Brunn. W Opawie przebywają komorę, na której „kufry, dość grzecznie rewidowane, zaplumbowano.“ Kossakowski, opisując przebywane miasta, porównywa je do odpowiednich miast polskich, a zaraz po przyjeździe do Wiednia (12 września), rzuca okiem na przejechany kraj i zapisuje o nim takie uwagi.

Szczęśliwie podróż naszą rozpoczęliśmy. Wyjawszy jeden deszcz, zbyt częsty, żadnej przykrości, żadnego niebezpieczeństwa, ani niewygód, któremi nas straszono, nie doświadczyliśmy. Część ta kraju naszego, którąśmy jechali do granicy pruskiej, jest częścią wyrodną województwa krakowskiego. Lasu ma wiele, pola równe, ale piaszczyste i ledwie gdzie rodzi się pszenica. Ta zaś część Szląska od granicy Polski aż do Raciborza, lasem sosnowym, kuźnicami i nędznym gruntem przypomina powiat Opoczyński. Lud ubogi żyje tam samemi prawie kartoflami.

Za Raciborzem zaczynają się grunta pszeniczne. O cztery mile przed Opawą kończy się Szląsk Pruski; pilniem się pytał o granicę, dzielącą go od Cesarskiego; pokazano mi miedzę, nie większą od tej, co u nas dzieli pańskie od chłopskiego pola. Szlązacy dotąd język pol-

ski zachowali, wiele jednak słów mają zepsutych i zniemczających. Wsie tu są jedne wolne, drugie zostają w podobnem do naszego poddaństwie. W wolnych może chłop przenieść się z jednej wsi do drugiej pod innego pana, zapłaciwszy pierwszemu czerw. zł. 4 za siebie, 2 za żonę, a po jednym za dzieci. Każdy musi kupić sobie u pana grunt i dom, który wolno mu potem sprzedać. Kmiecie, prócz całotygodniowej pańszczyzny, płacą do skarbu po sześć czeskich na miesiąc, a panu swemu po talerze na rok. Zbiorem ich pospolicym: kop 8 pszenicy, żyta kop 6, jęczmienia 4, owsa 10. Dziesięcinę zbożem oddają. Parobek czyli pacholek bierze u nich 8 talerów na rok, dziewczka talerów 2 i płótna łokci 20. Kobiety pospolicie młócą, chłopci przędą. Wirtel (wiercel) pszenicy, który ma w sobie półtora korca naszego, płacono w Raciborzu po 3 ryńskie, a w Opawie po 4.

Oplata do Skarbu na wszystko się rozciąga. Od zabicia gęsi płaci się 4 piętaki, od kury 2 i t. d. (piętaś wychodzi na nasze półtora grosza). Gdy mieszczanin pogorzeje przypadkiem, całe miasto czyni dla niego składkę.

Nie wolno nikomu bez pozwolenia wychodzić za granicę, nawet dla odwiedzenia słynących cudami kościołów. W Rybniku siedziały dwie kobiety w kuczy miejskiej za to, iż bez opowiedzenia się, były w Częstochowie.

W każdej wsi jest po kilku żołnierzy gospodarzy, czyli *wojaków*, jak tam mówią, którzy corocznie po Ś. Janie chodzą na rewję do swoich regimentów, gdzie bawią po kilka tygodni, ale pańszczyznę odrabiają zostawionym w domu parobkiem. Biorą ze skarbu na tydzień 2 czeskie, chleba bochenek i wolni są od wszelkiego podatku. Żołnierka tu nie szkodzi gospodarstwu.

Żydzi wywołani są ze wsiów do miasteczek; nie wolno im karčem arędować.

Jak tylko mogą być najlepsze, Morawy mają grunta, obfitujące w zboże, len i wino ordynaryjne. Od Mariahilft najpiękniejsze zaczynają się winnice. Właśnie czas był winobrania, kiedyśmy jechali. Zebrane jagody tłoczą tu zaraz na polu w wielkie kłody i wyciśnione z nich wino rynnami w beczki do piwnic zlewają. Lud pobożny corocznie w wielkiej gromadzie odwiedza Częstochowę. Miasteczka porządne, wsie nasiadłe. Język morawski mało się różni od polskiego, ale po wsiach tylko jest używany, w miastach niemieckim mówią. Ubiór wieśniaczek jest podobny do ubioru żydówek polskich: noszą spodnice niebieskie ze sznurówkami, pończochy czerwone i medaliki srebrne na szyi. Chłopi noszą długie kamizele z rękawami i trzewiki.

13. Przenocowawszy na przedmieściu w Leopoldstacie, przeprowadziliśmy się do najętej w mieście stancyi na Wysokim moście.

14. Z listami naszymi rekomendacyjnymi udaliśmy się do księdza Pokubiaty, zastępującego tu miejsce ministra polskiego, i do ks. nuncjusza Garampiego. Znaleźliśmy chorego ministra, nuncyusz wezwał nas na obiad. Byliśmy u Miraszewskich, Oraczewskiego i ks. Trzebińskiego, — w ogrodzie Augarten (?) i na teatrze francuskim. Mieliśmy także szczęście widzieć sławnego poetę, Metastazyusza.

15. Odwiedziliśmy kościoły Ś. Szczepana, Ś. Karola Boromeusza, bernardyński i kapucyński. Pierwszy starożytności, drugi jest wzorem teraźniejszej architektury; w bernardyńskim jest nadgrobek Stanisława Potockiego, który zginął pod Wiedniem 12 września 1683, z tym napisem: „Vienna salve et vale.”

Obiad jedliśmy u nuncjusza. Stół był trzy razy zastawiany smaczniemi całe potrawami, między którymi były też i żabki. Butelki, ani szklanki, nie stały na stole, ale dopiero po drugim danu roznoszono wino i wodę, a przy końcu stołu sam gospodarz nalewał w małe kieliszki Montepulciano i każdemu z nas rozsyłał. W czasie stołu ks. nuncyusz i audytor Caleppi, najwięcej z nami mówili o znajomościach swoich warszawskich, z największą Polaków i Polek pochwałą. Poznałem się na tym obiedzie z ks. Neimanem, gruntownie uczonym Niemcem, który mnie pytał ciekawie o komisyję edukacyjną. Po obiedzie byliśmy w ogrodzie księcia Szwarzenberga, w wieczór na teatrze narodowym, gdzieśmy mieli honor widzieć Cesarza.

Podróźni nasi bawią jeszcze kilka dni w Wiedniu, zwiedzając zbrojownię, galerie obrazów w Belwederze, cesarską bibliotekę i gabinet numizmatyczny. Kossakowski wylicza pobieżnie przedmioty, które go najbardziej zajęły: w galerii cytuje z mistrzów tylko „Rafała z Urbino i Pawła z Werony”; dalszy szereg nazwisk dowodzi, że go więcej bawią sceny, niż wartość malowidła. W gabinecie numizmatycznym spostrzega najcenniejszy rzeczywiście z polskich numizmatów, tam znajdujących się — medal złoty Zygmunta III, sporządzony na pamiątkę wzięcia Smoleńska w r. 1611, wagi 300 dukatów.

Po przejażdżce do Schönbrunn, zaczyna się młodym podróżnym Wiedeń coraz bardziej podobać.

Ledwieśmy zaczęli Wiedeń poznawać, tak się nam podobał, żeśmy w nim zazimować się zaczęli. Życie wygodne i nierównie tańsze, niż w Warszawie, wielka sposobność do doskonalenia się w naukach, zapowiedziana właśnie w tym czasie bytność W. Książąt Rosyjskich, na których przyjęcie robiono już przygotowania, — wszystko to było dla nas pobudką, żebyśmy się tu na czas jaki zatrzymali i w tym zamiarze najęliśmy stancję miesięczną. Ale tę myśl naszą i przed-

sięwzięcie kanonik Trzebiński namową swoją zmienił i póty nie dał nam pokoju, aż mu przyrzekliśmy jechać z nim razem do Rzymu.

18 września, pożegnawszy ks. nuncjusza Garampiego, od którego wzięliśmy listy rekomendacyjne do Rzymu i Wenecyi, ks. Neimana i ks. Caleppiego, który najął i ugodził dla nas za czerw. zł. 84 powracającego do Rzymu weturyna z karetą wygodną poczwórną i czterema mułami, wyjechalśmy z Wiednia z pomnożoną kompanią ks. Trzebińskiego, kanonika krakowskiego.

Przez Styryę, po niebezpiecznych skalnych drogach, przez Karyntyę, docierają podróżni w tydzień do Pontebby, ostatniej komory cesarskiej. 29 września odsyłają karetę do Padwy, a sami przepływają z Mestre do Wenecyi, gdzie nasz pamiętnikarz zapisuje, według przyjętego już systematu, opinię swą o przebytych kraju, a następnie dzieli się z nami wrażeniami Wenecyi.

Nie widziałem smutniejszego i nędzniejszego kraju, jak jest Styrya i Karyntya. Lud ubogi, kobiet najwięcej z wielkimi gardłami obwisłymi, ubiór ich czarny, góry i skały śniegiem okryte; obfituje jednak w kruszcze, szczególnie żelazo i stal (*sic*), w ryby i zwierzynę. Opatrzność podzieliła swe dary między wszystkie narody.

W części tej państwa Weneckiego, którąśmy za Pontewą przejechali, widzieliśmy kraj coraz piękniejszy w miarę zbliżania się naszego do stolicy. Lud jednak ubogi. Wstąpiłem do jednego rolnika chałupy, znalazłem ją na trzy części podzieloną: w jednej był komin do gotowania, w drugiej było łóżko grubym prześcieradłem nakryte, w trzeciej schowanie. Ilem mógł zrozumieć, dowiedziałem się od gospodarza, że nic nie ma od pana swego, prócz jednego pola, z którego płaci na rok sto lirów i miarkę pszenicy. Gospodyni częstowała nas winogronami i chlebem, a dzieci gospodarskie, w pół nagie, prosiły o jałmużnę. Chleb był czarny i gruby z żyta, kąkol i tureckiej pszenicy pieczony.

30. Stanęliśmy w Wenecyi, blisko mostu Rialto. Lokaj najęty i razem nasz *Cicerone* zaprowadził nas do kościoła Ś. Marka.

W Wenecyi bawia podróżni nasi 13 dni i nie tracą czasu. Zwiedzają mniej więcej wszystko to, co my dzisiaj zwykliśmy zwiedzać w tem klasycznym dla wycieczek mieście,—więc kościoły, pałac Dożów i inne, arsenał, fabrykę zwierciadeł i adamaszków. Wchodzą na kampanile, płyną gondolami do wysep, chodzą wieczorem do teatru. Kossakowski opisuje pilnie widziane gmachy, obrazy; cytuje cenne rękopisy w bibliotece, wymienia nagrobki po kościołach, a czasem nawet podaje tekst nadpisów. Bada mieszkańców, chce przeniknąć ich obyczaje, oszacować dobrobyt i stopień kultury; zwraca uwagę na

to, co mu się nowem wydaje i odmiennem od jego ojczystych stosunków,—jednem słowem—podróżuje rozumnie.

Pomijając opisy nazbyt znanych gmachów, przepisujemy w dal-szym ciągu bardziej osobiste spostrzeżenia autora i jego informacje o formie rządu rzeczypospolitej weneckiej.

Na wszystkie wyspy dla oglądania, co było najciekawszego, płynęliśmy gondolami. Małeńkie to są baciki, kryte, z wygodnem siedzeniem, wszystkie prawie czarnem obite suknem i zwierzchu czarno malowane. Ludzie do nich użyci, gondolieri, weseli, zawsze śpiewający, często do intryg miłosnych, do tajemnego przewożenia kochanków używani bywają. Ci, co szlachtę wożą, liberyę ich noszą. Innych nad te pojazdy Wenecya nie zna. Ubieganie się na wyścigi temi to łodziami, nazwane *regatą*, jest fetą, którą rząd wenecki dla samych monarchów i książąt panujących daje.

Odchodziliśmy od siebie z podziwienia, gdyśmy się do Wenecyi zbliżali: zdawało się, iż całe miasto, na morzu zbudowane, pływa. Niemniej zadziwił nas strój redutowy Wenecyanów. Wszakże to Wenecyanie (o czem nigdy nie słyszałem) chodzą blisko pół roku w maskach, płaszczach kitajkowych lub sukiennych, czarnych lub ponso-wych. W sam tylko wielki post, adwent i przez dwa miesiące w lecie najgorętsze, w które mieszkają na wsi, nie maskują się. Ubiór ten, pod którym zawsze są ukryci, najdogodniejszy równości obywatelskiej i za najmiłszą wolności częśćką mają. Jak on dogadza wszystkim, a szczególnie ludziom rozwiązłym, sześć tysięcy podrzutków, będących w szpitalu tutejszym, zaświadcza. Niektóre kobiety, zamiast masek, noszą wielkie kwefy czarne, których końce długie z tyłu kształtnie zawiązują. Kolor czarny—najpoważniejsze, jasny—płocze i podejrzane kobiety oznacza.

Do handlu i fabryk weneckich należy dryakiew. Jej robota jest tajemnicą Stanu. Robią ją wprawdzie na rynku Ś. Marka w przytomności dwóch dozorców rządowych, pilnujących, żeby z dobrych materiałów i dobrze była ugotowana i w przytomności ludu tam się gromadzącego na każdy widok,—ale w jakiej proporcji mają być te materiały—niewiadomo. Na tym-to placu często w jednej godzinie ksiądz prawi kazanie, urodzony poetą śpiewa wiersze z każdej materyi mu danej, rozmaici kuglarze lud zwodzą i bawią, rozwiązłe kobiety wabią i gubią młodzież niebaczną. Na tym także placu są domy, zwane *casi-no*, w których Wenecyanie schodzą się, rozmawiają i częstują.

Sieroty, ubogie dziewczęta, uczą się w klasztorach weneckich muzyki, śpiewać i grać na wszystkich instrumentach, z których wiele wychodzi dobrych śpiewaczek na różne teatry w Europie sławniejsze.

P. V. dał mi wiadomość o rządzie weneckim. Składa się z Wielkiej Rady, z Rady Dziesięciu, z senatu, z inkwizytorów i z prokuratorów. Rada Wielka ma władzę prawodawczą, ma w niej miejsce każdy Wenecyanin, który lat 23 skończył, kiedy jest zapisany w księdze złotej szlacheckiej. Rada Dziesięciu, na której czele jest doża z sześciu swymi konsyliarzami, wykonania praw pilnuje, wojnę wypowiada, pokój zawiera. Ministrem rzeczypospolitej do interesów zagranicznych jest kanclerz. Ten, równie jak doża, jest dożywotny i obydwa tę szczególniejszą za pracę swoją mają nadgodę, że po ich zejściu rząd za ich dusze exekwie sprawuje. Senat złożony z osób sześćdziesięciu, wybranych przez Wielką Radę jest więcej poważnym, jak czynnym, należy jednak do interesów wewnętrznych i zewnętrznych, wyprawia za granicę posłów, a co najważniejsza, wybiera z pośród siebie osoby do Rady Dziesięciu.

Z Rady Dziesięciu wybrane trzy osoby straszny urząd inkwizytorów sprawują. W ich ręku jest spokojność i życie każdego obywatela, bo każdego oskarżonego przed sobą, wedle swego przekonania i winy obżałowanego, wygnaniem, więzieniem, a nawet i śmiercią mają moc ukarać.

Dwunastu prokuratorów Ś. Marka mają dozór nad jego skarbcem, nad szpitalami i nad sierotami.

Patronem rzeczypospolitej jest Ś. Marek, jego wyobrażenie na pieniądzach, jego imię ma pałac rzeczypospolitej, na jego imię przyrzekają słowa dotrzymać Wenecyanie, jemu samemu mówią, że służą, Dalmaci.

Ludność Wenecyi dochodzi sta tysięcy.

Kiedy zadłużony umiera Weneta, ma prawo wierzyciel aresztować go nawet po śmierci, pieczętuje jego trumnę i nie wprzód chować zmarłego dozwala, aż krewni dług jego opłacą.

Piękna i osobliwa jest Wenecya, ale, jak mówił Szymanowski, trzeba się kaczką urodzić, żeby w niej z upodobaniem mieszkać. Otoczona wodą i pływająca sama, że tak powiem, na wodzie, nie ma dobrej wody; powietrze w niej zarażają nieczyste kanały i dlatego majątniejsi Weneci znaczną część roku w domach swoich wiejskich przepędzają. Niema nawet chleba dobrego, bez którego ostrygi, którymi ustawicznie byliśmy tu karmieni, prędko nam się przejadły.

13. Wypłynęliśmy z Wenecyi pocztowym batem do Padwy, który para koni, nad brzegiem Brenty idących, ciągnie. Na obiad zatrzymaliśmy się w Mirze. W tem miejscu, w Maranzano i w Doli Brenta, dawniej kanał Klaudyusza, podwójnemi zamknięty jest śluzami dla utrzymania w nim wody, zawsze dostatecznej do żeglugi. Po obydwóch stronach Brenty widać najpiękniejsze Wenetów ogrody, pałace,

domy wiejskie, między którymi pałac i ogród Pizaniego jest najokazalszy. Wieczorem stanęliśmy w Padwie.

14. Udaliliśmy się najprzód do kościoła ks. ks. Franciszkanów, gdzie ciało Ś. Antoniego spoczywa w spaniałym grobie, oświetlonym zawsze dwudziestu czterema lampami. Potem byliśmy w kościele katedralnym i najpiękniejszym co do sztuki budowniczej kościele Ś. Justyny, przy którym umieszczeni są ks. ks. Benedyktyni. Zjadłszy obiad, widzieliśmy pałac Rzptej, bibliotekę, ratusz w roku jeszcze 1755 nadwerężony trzęsieniem ziemi, dziś mało co poprawiony. W sali jego sądowej pokazywano nam zamurowane popioły sławnego dziejopisa rzymskiego, Tyta Liwiusza, którego urodzeniem zaszczyca się Padwa; pokazywano nam także trumnę marmurową, wmurowaną na rogu dwóch schodzących się z sobą ulic, jakoby zawierającą w sobie popioły Antenora trojańskiego, Padwy założyciela.

15. Byliśmy w akademii, na wieży astronomicznej, która nie jest najlepiej opatrzona w potrzebne narzędzia do uważania obrotów niebieskich. Z wieży tej widzieć można Padwę ze wszystkimi jej okolicami, aż do wieży Ś. Marka w Wenecyi. Nic tu piękniejszego nad ten widok. Marselli, nauczyciel historyi naturalnej, pokazywał nam z największą grzecznością ogród botaniczny, bogaty w różne zagraniczne rośliny. Nie trzeba-by być Polakiem, żeby sobie nie wspomnieć z rozrzewnieniem, iż akademii tutejszej był nasz Jan Zamoyski rektorem. Ozdobą jest Padwy nowy plac, otoczony ludzi godnych pamięci posągami.

.

Wszystko to oglądaliśmy razem z księżną Parmeńską, z którą tu zjechaliśmy się. Z pierwszego wejrzenia poznawszy cudzoziemców, a dowiedziawszy się, żeśmy Polacy, zapytała się najprzód o naszego Króla, dawną z nim swoją znajomość, zabawy i taniec nawet wiedeński opowiadała z ukontentowaniem, pytała się potem, czyliśmy widzieli brata jej w Wiedniu i czyli ją podobną do Cesarza znajdujemy. Reszta rozmowy była o naszej i o jej podróży, którą do kilku miast sąsiedzkich dla rozrywki przedsięwzięła, a przy pożegnaniu rzekła, uśmiechając się: „Ja mieszkam w Parmie, gdzie ciekawy cudzoziemiec znajdzie także co widzieć.”

Odtąd podróźni nasi śpieszą się coraz bardziej; dlatego i dziennik staje się pobieżniejszym. 17 października są w Ferrarze, 19 już w Bononii. Kossakowski wylicza tylko oglądane gmachy. Przypadkowo rozszerza się nad opisem 28 gabinetów muzeum przy akademii bonońskiej, a skończywszy opis, dodaje, że „za pokazanie nam i wy-

tlómaczenie tego wszystkiego językiem francuskim, dozorca gabinetów przyjął od nas mile cztery czerwone złote.“ Szczegół ten daje nam miarę wspaniałości młodych podróżnych. Opuszczają Bononię 22, a 24 stają we Florency i bawią tam zaledwie cztery dni. Widocznie sam ogrom florenckich wrażeń wstrzymuje pióro pamiętnikarza, bo nic prawie nie zapisawszy, przyznaje, że poznanie stolicy wielkiego księstwa Toskańskiego trzeba odłożyć na drugi raz, że trudno też sobie tu poradzić bez znajomości włoskiego języka.

Przez Siennę, Buonconvento, Aquapendente, Bolsenę, Viterbo, Monterosę, dążą już bez zatrzymywania się do celu podróży.

3 listopada. W Storcie zjechaliśmy się z Potockim, starostą Kaniowskim, z nim obiad jedliśmy; mówił nam, iż z Francyi śpieszy do Rzymu, gdzie chce księdzem zostać. Wieczorem stanęliśmy szczęśliwie w Rzymie.

W miarę zbliżania się naszego, wzmagala się w nas ciekawość widzieć Rzym, widzieć to miasto, które niegdyś światu całemu rozkazywało; jechaliśmy od Ponte Mole pomiędzy winnicami, ciągnącemi się aż pod same niemal mury rzymskie, a między temi, gdzie nigdzie tylko widząc pałace i domy, nie wiedzieliśmy, czyśmy już byli lub nie na przedmieściu Rzymu. Ale razem przejechawszy bramę, znaleźliśmy się na najpiękniejszym placu, mającym na czele dwa wielkie kościoły, a w środku obelizek, który nas ostrzegł, że już w stolicy świata jesteśmy. Nie masz okazalszego wjazdu do Rzymu, jak przez bramę Ludu ¹⁾, a dotąd jeszcze nad Rzym nie masz podobno w świecie piękniejszego miasta.

Po odbytej komorze zajechaliśmy prosto do narodowego domu polskiego S. Stanisława, gdzie ks. Pugget, rządca tego domu, i w nim mieszkający ks. Malczewski, ustąpił nam połowę swego apartamentu, dopóki-byśmy domu dla siebie nie znaleźli.

Dziś zaraz mieliśmy szczęście widzieć Ojca Św. Jechał Papież w wielkiej karecie paradnej, otoczony Szwajcarami i kawalerją, z pałacem Monte Cavallo do kościoła Ś. Karola Boromeusza na uroczystość dzisiejszą, żegnając ustawicznie tłum ludu, wołającego o błogosławieństwo. Karete śliczny cug koni siwych ciągnął noga za nogą. Dwunastu ludzi w czerwone płaszcze odzianych, niosło Ojca Ś., na wysokim posadzonego krześle, od drzwi kościelnych do wielkiego ołtarza.

Za dowiedzeniem się o naszym przyjeździe, zbiegło się do nas wielu Polaków, jedni dla zobaczenia współziomków, dla dowiedzenia

¹⁾ Porta del Popolo.

się o krewnych i przyjaciółach w kraju pozostałych, inni dla pożyczania pieniędzy u świeżo przybyłych, a zatem jeszcze zapaśnych.

W kilka dni najęliśmy dla nas stancję u adwokata Ceguini, dosyć wygodną i tanią, w domu wielkim i wesołym, niedaleko banku i kościoła Ś. Karola. Zapłaciliśmy za apartament z obiadem dla trzech czerw. zł. 12 i razem umieściliśmy się: ks. Giedroyć, ja i ks. Walewski. Ks. Trzebiński w innym domu stanął. Lokajowi daliśmy strawne. Gdyśmy szukali stancyi, uważałem, iż domy, w wyższych częściach miasta położone, były od innych droższe z przyczyny zdrowszego powietrza.

20. Pojąć nie mogę z podziwienia i radości; byłem w przybytku Boskim, w przysionku, że tak powiem niebieskim, byłem w kościele Ś. Piotra. Co za wspaniałość, co za świetność i majestat w nim prawdziwie Boski. Dzięki Tobie niech będą, o wielki Boże, żeś mi dozwolił widzieć tę najwspanialszą świątynię Twoją na ziemi!

Co za szczęśliwość być w Rzymie! tą zajęty, rozpisałem listy do Polski z doniesieniem o mojej podróży i mojem powodzeniu.

Grudzień. Prezentowaliśmy się ministrowi naszemu polskiemu, Anticemu, przyjął nas grzecznie, pytał o Króla zdrowie i kilku panów sobie znajomych, o zamiar przybycia naszego do Rzymu i prosił, żeby go odwiedzić.

Znaleźliśmy w Rzymie Polaków bawiących, ks. ks. kanoników: Łempickiego, Malczewskiego, Albertrandego, Borowskiego, Gaworskiego i rektora domu S. Stanisława, Puggeta, opatów: Raczyńskiego, Gorzyńskiego i Niegolewskiego; Smuglewicza, Dolingera, Pocałojewskiego. Przyjechali już przy nas z biskupem kujawskim p. i. l'abbé de Piorków, brat jego Rybiński, ks. Tempi, sekretarz, Grocholski, kasztelan i Gorski, ale ci bardzo krótko zabawiwszy, do Medyolanu wyjechali. Wkrótce potem przybył do Rzymu z Sycylii Potocki, chorąży koronny z żoną, z którym mnie poznał ks. Albertrandy.

Za nadejściem z Paryża wiadomości o narodzeniu się Delfina, Rzym przez dwie noce był oświecony i Te Deum w francuskim kościele Ś. Ludwika w przytomności Ojca Ś. i kardynałów było śpiewane. Powtarzano wierszyki paryskie:

Antoinette par ses bienfaits
Acquit cent fois le nom de mère,
Louis en aimant ses sujets,
Se montrait déjà tendre père;
Bonne reine et bon souverain
Méritoient d'avoir un Dauphin.

Z Warszawy pisano do mnie, że nasz Król przyjmował w Wisniewie, hrabiego od Północy z żoną, Wielkie Księstwo Rosyjskie z największemi honorami ¹⁾. Na przyjęcie to Rzplta 50,000 czew. zł. wyznaczyła.

W dzień Bożego Narodzenia byliśmy na mszy Ojca św. Śpiewano dwie lekcye i ewangelie, łacińską i grecką, na znak jakoby połączonego zachodniego i wschodniego kościoła. Z hostyą i kielichem obraca się Ojciec św. na trzy strony przy podniesieniu. Ciało i Krew Pańską przynosi mu kardynał dyakon z ołtarza do tronu, udziela połowę hostyi kardynałowi dyakonowi, Krew Pańską przez rurkę przyjmuje. Resztę mszy ś. zwyczajnym odprawia sposobem.

Poróżnienia dworu rzymskiego z wiedeńskim coraz się bardziej wzmagają. Wszystkim w austriackiem państwie zakonom nakazano wypowiedzieć jenerałom ich rzymskim posłuszeństwo i zaprzysiąc je dyceczalnym biskupom. Wszystkie zakony męskie, które dusz staraniem, albo edukacją młodzieży nie zatrudniają się, i wszystkie panieńskie klasztory, prócz św. Elżbiety i Urszuli, znieść Cesarz zamysła.

Rok 1782.

Styczeń. Nasyciwszy pierwszą ciekawość widzenia znaczniejszych gmachów rzymskich, najpierwszem mojem było staraniem nauczyć się języka włoskiego, który dla umiejących język łaciński i francuski zdaje się być najłatwiejszym; długiego jednak trzeba używania i pilnej uwagi, żeby nim mówić doskonale.

Poznałem się z prałatem wileńskim Bohuszem, obszerne wiadomości i znaczny majątek posiadającym. Przyjechał też do Rzymu i kanonik Odyniec, z którym radził mi biskup inflancki razem wojażować. Z nimi, z ks. kanonikiem Albertrandym i Łempickim szczególnie starałem się zaprzyjaźnić. Wiele także znaleźliśmy w klasztorach tutejszych zakonników i w kolegiach edukujących się Polaków, między innymi w konwikcie pijarskim księcia Antoniego Giedroycia i Ważyńskiego. Tych kiedyśmy pierwszy raz odwiedzali, młody Giedroyc mówić nawet z krewnym swoim Giedroyciem nie chciał, uciekał od nas i, chowając się, wołał „Gente barbara.” Polskiego nawet języka zapomniał. Takie wychowanie nie jest dla młodego Polaka użyteczne.

Luty. Wielki Książę Rosyjski z żoną pod imieniem „hrabi od Północy” przybył do Rzymu. Jest przy nim generał Komarzewski,

¹⁾ Cesarzewicz Paweł, podróżujący pod pseudonimem „Comte du Nord.”

miły, grzeczny i każdemu umiejący się podobać; przywiózł z sobą winą węgierskiego i kolejno wszystkim nam Polakom daje smaczne obiady, u Wielkich Książąt, aż do zazdrości Włochom, w wielkich jest względach. Kapelan Książąt, Szamborski, Grek, imię ma polskie.

Najwięcej tu teraz dwór rzymski zastanawiają roboty dworu wiedeńskiego względem duchownych, a mianowicie zakonników. Dla ułatwienia ich sam Ojciec św. wyjechał stąd do Wiednia 27 t. m., nie zważając na odradzanie mu tej podróży i na odpis Cesarza, w którym oświadcza się przyjąć Ojca św. z wszelkiem uszanowaniem, nie myśli jednak zmienić rozporządzenia swego względem duchownych, które z poradą ludzi równie oświeconych jak cnotliwych poczynił. Wziął z sobą Ojciec św. w tę podróż dwóch biskupów, trzech prałatów, spowiednika, doktora, kilku służących, ogółem 26 osób. Przed wyjazdem swoim, na konsystorzu zdał władzę zupełną kardynałom rządzącym, wikaremu, sekretarzowi stanu i innym. Oświadczył, iż dlatego żadnego z nich nie bierze, iż wszystkich sądząc być zdatnych do dzieł wielkich i trudnych, nie mógłby z nich jednego bez pokrzywdzenia drugich wybierać, a rozumie szczególniejszą swoją być powinnością bronić praw Kościoła. Chociaż Ojciec św. całe rano wyjeżdżał, W. Księstwo Rosyjskie oboje pośpieszyli dla pożegnania go do zakrystyi św. Piotra. W. Książę Następca Tronu Rosyjskiego ofiarował Piusowi VI szubę sobolą na tę drogę przedsięwziętą ku północy i wsiadającemu do karety sam drzwiczki otworzył.

Im więcej włoskiego języka rozumiałem, tem bardziej bawił mnie teatr włoski. Nie masz na teatrze rzymskim aktorek, nie śpiewają i nie tańczą kobiety, rzezańcy jednak co do głosu, a młodzi chłopcy w tańcach, dosyć niezłe je zastępują. Bywaliśmy też czasem na festynach czyli balach maskowych, które tu bardzo świetne i gromadne bywają. Na jednym gdym się przypatrywał rozmaitym pięknościom, zbliża się do mnie nieznajoma maska, pisze na ręce imię moje, pyta się o wiele i zgaduje, a największą wzbudziwszy ciekawość, zniknęła i ktoby była, poznać się nie dała. W kilka dni dopiero dowiedziałem się, że to była p. S., którą późno już w wieczór odwiedziłem słabą czyli udającą chorą, nie mogłem tedy pomyśleć, żeby tak prędko ozdrowieć, ubrać się na bal i tańcować mogła.

Marzec. Kiedy już mogłem rozmówić się włoskim językiem, zabierałem w kilku domach znajomości z pp. J. A. C. i innemi, gdzieś mógł przyjemnie trawić wieczory. Wszystkie te znajomości były ze stanu średniego, i lubo proponował mi minister nasz Antici, nie chciałem zaznajamiać się z wielkim światem, nie mając wiele czasu, ani pieniędzy do tracenia. Bywałem jednak czasem u księżnej Cafarelli, u hrabiego Colombini, u margrabiego Tobi de Nunez.

Pierwszą tę w życiu mojem zimę przepędziłem bez pieca, komin-ka i futra. Pieców naszych nie mają. Włosi nawet wyobrażenia, ko-minków rzadko, pospolicie zaś najczęściej fajerek z węglami używają; rękawy noszą niewielkie, bawełną wyściełane, atlasem czarnym po-kryste, futra sami śpiewacy noszą. A chociaż prócz wiatru północnego, („tramontana”), żadnego mrozu wielkiego nie było, Włosi atoli skar-żyli się, że tętszej zimy nad tę ostatnią, którą im W. Księżę Rosyjski sprowadził, nie pamiętają. Pisałem do ks. biskupa inflanckiego z po-winszowaniem imienin, doniosłem braciom o mojem powodzeniu, które żeby się tylko nie zmieniło, nic więcej nie żądałem.

Marszałkowa K. ciągle zaczęła ze mną korespondować, wszyst-kie mi nowiny warszawskie jakie były najważniejsze przesyłała, listy moje niektóre księciu biskupowi Szembekowi pokazywała, a ten czytał z nich jeden Królowi, w którym o Księżnie Parmeńskiej pisałem.

Kwiecień. Doszła mnie wiadomość o śmierci wuja mego Radoń-skiego, podsędką Chęcińskiego, który do mnie i do braci moich szcze-rze był przywiązany i wiele radą nam swoją i znaczeniem dopomagał. Pierwszy raz tą wiadomością byłem zasmucony w Rzymie i zmartwio-ny od mego przyjazdu.

Obchodziliśmy razem w kilka osób galerye obrazów i najdroż-szej starożytności zabytków w pałacach księcia Doryi, Borghezego, Kolumny ¹⁾ i innych. Ks. kanonik Albertrandy był naszym antykwaryuszem. Od widzenia galeryi, pałacu, ogrodu, płaci się kilka paolów dozorecy.

Wedle mego zwyczaju zapisywałem sobie wszystko com widział; ks. Albertrandy radził mi wszystko wprzód widzieć, nabrać smaku, a dopiero opisywać.

Chociaż Ojca św. w Rzymie nie było, nabożeństwo wielkotygo-dniowe z wielką odprawioną jest okazałością. Kardynał Wikary ubo-gim kapłanom nogi umywał. Sławne „Miserere” zdawało się, że nie ludzkiemi ale anielskimi głosami było śpiewane. Oświecenie kopuły kościoła św. Piotra, ognie kunsztowne, zapalane w czasie świąt Wiel-kanocnych, nowym dla nas, wielkim i zadziwiającym były widokiem.

W życiu mojem pierwszy post wielki cały jadłem z mięsem w Rzymie; z przyczyny niedostatku oliwy, ogólne pozwolenie jeść z mięsem dla wszystkich było dane. Długo nie mogłem cierpieć sposo-bu gotowania i potraw tutejszych, wszystkie zdawały mi się źle zro-bione i niesmaczne, zdawało mi się, że kalafiory i brocoli byłyby nieró-wnie smaczniejsze ze śmietaną i z masłem, niż z octem i oliwą, powoli

¹⁾ Colonna.

przywykłem już do kuchni włoskiej i rozumiem, iż od naszej i niemieckiej, tłustej i korzennej, bez porównania jest zdrowsza. Ale gdybym sto lat tu żył, gdybym był najgłodniejszy, nie przywykłym jeść jajecznicę smażonej w oliwie, jaką nas w drodze w kilku austerych nędznych częstowano. Nic nad nią obrzydliwszego i przeciwniejszego smakowi wymyślić nie można.

Maj. Zacząłem chodzić na lekcye fizyki eksperymentalnej, które w kolegium rzymskiem profesor Funda dawał.

Wszyscy Polacy żyjemy tu w ścisłej jedności i zgodzie, bawimy się razem, dajemy sobie kolejno małe obiady — życie swobodne, to tylko nie dobrze, iż prawie zawsze między sobą ojczystym językiem mówimy, często nawet w towarzystwie Włochów i Włoszek, chociaż te wołają na nas, słysząc nas mówiących niezrozumiałym dla nich językiem: „parlate cristiano!” „E che parlate Turco?”

Zawsze jest w Rzymie znaczna liczba Polaków; co tylko jedni wyjadą, drudzy na ich miejsce przybywają. W tych dniach ks. prałat Bohusz do Polski, ks. Odyniec wyjechał do Francji; przybyli: ksiązę Jabłonowski kasztelanik krakowski, Wiesiołowski, Breza i Kuczyński z Podlasia, który się rodzi, czyli już się dawno urodził, z Kossakowskiej. Zaprzyjaźnienie się z ziomkami, z tymi nawet, których дума odstręcza i nieprzystępnymi częstokroć czyni, nierównie jest łatwiejsze w obcym, niż we własnym kraju.

Życie w Rzymie najprzyjemniejsze, stół i stancya daleko tańsze i wygodniejsze, niż w Warszawie. Całą zimę jedliśmy pomarańcze, kalafior, brocoli, sałatę i inne ogrodowizny. Mamy już od początku tego miesiąca poziomki, truskawki, groch młody, wiśnie a nawet i gruszki, do naszych małgorzatek podobne; kasztany w tej tu są cenie, jak u nas kartofle, samo tylko żyje niemi pospólstwo. Pomarańcze są tu także spodlonym owocem, nawet ich zapachu Włoszki cierpieć nie mogą. Kompan nasz G., rozumiejąc, że tu można je ofiarować, jak u nas damom w ogrodzie Saskim, idąc z nami do domu F... na wieczór wziął do kieszeni kilka pomarańcz. Cośmy tylko weszli do pokoju, krzyknęły Włoszki, że któryś z nas musi mieć merangole, nastąpiła rewizya i biedne pomarańcze wszystkie wyrzucono na ulicę.

Nie postrzeegliśmy nawet, czyśmy mieli zimę, tak była łagodna, ale też za to już nam się czuć daje gorąco. Z jaką u nas od zimna, z taką troskliwością chronią się tu od gorąca. Nigdy w lecie nie puszczają słońca do apartamentów, okna, okiennice zawsze przymknięte, franki spuszczone, rano tylko i wieczorem otwarte są okna.

W Udynie W. Ksiązę Rossyjski nie chciał stanąć w domu za-duego obywatela, jeden z nich wywiesił na pałacu swoim znak austeryi pod orłem cesarskim i sam przebrał się za austernika. Wyjeżdża-

jąc dopiero dowiedział się W. Książę, w jakim stał domu. Podchwycenie to grzeczne niewymownie mu się podobało.

Czerwiec. Ojciec św. powrócił z Wiednia dnia 13 t. m. Panowie rzymscy i posłowie cudzoziemscy wyjechali ku niemu o dwie mile. Pośpółstwo, z miasta i okolic rzymskich zgromadzone, otoczyło z obu stron drogę od mostu Molle aż do kościoła św. Piotra, damy w oknach czekały. Jak tylko Ojciec św. wjechał na most, uderzono z armat i we wszystkie dzwony; jechał pomiędzy tłumem ludu wykrzykującego z radością „ben tornato”, wszystkich ojcowskiem błogosławieństwem spotykał. Udał się prosto do kościoła św. Piotra, gdzie był witany od kardynałów i duchowieństwa, a po dziękczynieniu Bogu za szczęśliwy powrót, do pałacu odprowadzony.

Podróż Piusa VI do Wiednia, jedynie z gorliwości jego przedsięwzięta, mieć będzie miejsce w dziejach wieku ośmnastego. Byłem przytomny, kiedy Ojciec św. wyjeżdżał w tę podróż i kiedy z niej powrócił. Jaki był cały ciąg tej podróży, dla pamięci zapisuję. Podróż ta miała postać tryumfu, którego wielkość i świetność była w miarę przywiązania i wierności ku Stolicy Apostolskiej, w miarę ludności i bogactw tych krajów, przez które Ojciec św. przejeżdżał. W Rimini odwiedził Ojciec św. siostrę swoją zakonnice, w Cezenie grób przodków swoich, gdzie druga jego siostra; kardynał Bardi jak swego krewnego, wszyscy obywatele jak swego współziomka z najczulszem rozrzewnieniem witali.

Którędykolwiek przejeżdżał Pius VI, wszędzie radosne okrzyki i dzwony wszystkich kościołów nadzwyczajne to zdarzenie głosiły. Do Bononii zjechał umyślnie Infant hiszpański, książę parmeński, dla uczczenia Piotra św. następcy. W Chiozza był przyjęty Ojciec św. imieniem Rzpłtej weneckiej od dwóch prokuratorów św. Marka, Cantarillego i Manina, w Mirze od Giovanelli patryarchy weneckiego, w Mestrze od cudzoziemskich ministrów. Prokuratorowie odprowadzili Ojca św. aż do granic austriackich, gdzie wysłany od Cesarza książę Esterhazy i Garampi nuncyusz wiedeński na przyjazd jego czekali.

W Lubanie zastał Ojciec św. arcyksiężną Maryę, siostrę cesarską, w Stupaku Migazzego, arcybiskupa wiedeńskiego, i posłów hiszpańskiego i weneckiego. Marca 22 wjechał Pius VI do Wiednia razem z Cesarzem i bratem jego Arcyksięciem Maksymilianem, którzy o trzy mile naprzeciw niemu wyjeżdżali w asystencji kawalerii polskiej i węgierskiej; powitany na dworze cesarskim od ministrów, prałatów i najpierwszych osób ze szlachty, po odśpiewaniem „Te Deum” w kaplicy, odprowadzony był od Cesarza na spoczynek do apartamentu, w którym Marya Teresa mieszkała.

Nazajutrz dał audyencyę Ojciec św. ministrom różnych dworów, biskupom i zakonnikom. W Wielki czwartek Cesarz i Arcyksiążę Maksymilian przyjęli Ciało Pańskie z rąk Ojca św. w kaplicy pałacowej. Wieczorem sam Ojciec św. umywał nogi 12-tu ubogim w swoim pokoju w asystencyi czterech kardynałów i każdemu z nich jeden złoty drugi srebrny (medal?) rozdał. W niedzielę wielkanocną miał mszę św. papieskim obrządkiem w kościele św. Stefana, a po niej homilię z tych słów „Pokój wam.” Po skończonem nabożeństwie dawał Ojciec św. uroczyste błogosławieństwo ludowi, z Niemiec, Czech, Morawy i Węgier zgromadzonemu. Widok ten wspaniały przenosili wraz na papier z rozkazu cesarskiego najdoskonalsi rysownicy. Cały czas bawienia swego w Wiedniu dzielił Ojciec św. na nabożeństwo i na rozmowy z Cesarzem i ministrami. Jaki-by był skutek nadzwyczajnej tej podróży Piusa VI, czas sam pokaże.

Ale kto uwierzy, że w kilka dni po tak radosnem w Rzymie Ojca św. i monarchy przywitaniu, powiedziano złośliwie, iż Papież miał mszę w Wiedniu, w której nie było ani Gloria, ani Credo, ani Pace. „Che voleva convertire ed è convertito.”

Lipiec. Tłumaczyłem pierwsze początki logiki z Kondyllaka i Wolfiusza z ks. W., z którym też razem chodziliśmy na lekcye fizyki eksperymentalnej.

Widząc, że nie było nikogo na funduszu warmińskim w kolegium św. Norberta, wznowiłem dawniejsze moje staranie o to miejsce. Przyjaciel mój, Łempicki, radził mi prosić o nie Papieża.

Ks. Woronicz, nigdy mi nieznajomy, słysząc o mnie od ks. Krajewskiego, napisał do mnie listek grzeczny, dodając, iż kiedy jest ks. Krajewskiego przyjacielem, spodziewa się być moim, gdyż związki dwojga z trzecim wiążą i trzeciego z pierwszym. Odpisałem mu, że musiał mieć kogo innego na myśli, kiedy do mnie pisał; nie trzeba pytać się o gatunek człowieka jego przyjaciela, bo ten, dla usprawiedliwienia swego wyboru, zawsze go podchlebnie opisze. Związki dwojga z trzecim wiążą prawda i trzeciego z pierwszym, kiedy to dwoje równe jest trzeciemu, ale podobno my obadwaj z ks. Krajewskim porównania z nim nie utrzymamy.

.

Sierpień. Od dwóch już miesięcy straszliwy upał dopieka, a deszcz ani jednego razu nie ochłodził powietrza; jedyną są ochłodą noce, które w Rzymie zawsze chłodne bywają. Rzymianie i Rzymianki w jak najlżejszym ubiorze, ledwie że nie w samej koszuli, całą noc prawie przechodzą się, grają, śpiewają, gubią się i znajdują, inni na ulicy przed kawiarniami siedzą, rozmawiają i ochładzają się lodami, limo-

niadą lub innym napojem zimnym, który niezmiennie lubią. Po obiedzie wszyscy sypiają i wszyscy niemal rozbierają się i drugi raz fryzują się i ubierają. Sposób ten życia mnie z przyrodzenia leniwemu bardzo się podobał. Zdawało mi się, że się dni moje podwoiły, że w dniu jednym dwa dni żyję, że niż miałem w Polsce, tyle dwoje mam tu czasu do nauki, do zabawy i do szczęśliwości mojej użycia.

Nie wiem czyli upał dzienny, lubo od dziewiątej rannej do godziny szóstej poobiednej z domu nie wychodziłem, czyli też noce chłodne i w nich polubione przechadzki nabawiły mnie bólu głowy i gorączki. Mimo długi mój opór, przymuszony byłem pierwszy raz w życiu krew puścić, którą, wedle przyjętego mniemania, na ostatni ratunek zachowywałem i ta mi pomogła.

Troskliwe pilnowanie mnie i dozorowanie p. G. S. w czasie kilkodniowej tej choroby, mego z nią zaprzyjaźnienia się było początkiem.

Brat mój Leonard doniósł mi o swoim ożenieniu. Ukochana Agata Tomicka przeniesiona nad inne, wszystkie jego burzliwe i niespokojne myśli zaspokoila.

Sołtyk, księżę biskup krakowski, wyszedłszy ze swego zamknięcia, zaczął żyć jak dawniej wspaniale. Ks. Kollataja ze wszystkiego wyzuł i odsądził, pieniądze zebrane na krewnych rozdał, wreszcie gdy groźne i nieprzyzwoite na ks. ks. Olechowskiego i Gorzeńskiego pisma zaczął wydawać, za szalonego osądzony, w kuratelę wzięty i w Kielcach w pałacu własnym osadzony. Kuratorowie jego z sejmu wyznaczeni: wojewoda krakowski i kasztelan zawichostski, dziekan Sołtyk i kustosz koronny. Rząd dyecezyi duchowny i świecki przy księciu koadjutorze jest zostawiony.

Umarł w Wiedniu sławny w tym wieku poeta Metastazyusz. Opery jego pełne słodyczy i moralności na wszystkich teatrach europejskich są dziś śpiewane. Wielkie Księstwo Rossyjskie choremu już naonczas w Wiedniu powiedzieli, że jedynie dla poznania i uczucia wdzięków jego wierszy, uczyli się języka włoskiego. Znajomi w Rzymie poeci pod imieniem Arkadów zgromadzeni w lasku swoim Parraskim, opiewali żal swój po stracie Metastazyusza i jego pochwały. Byłem wezwany na to zgromadzenie od dozorey Arkadyi, Pizzi, na którym wiersze księcia Odeschalchi i księdza Franciszka Truzzi z największym przyjętę były oklaskiem. Obwieszczenie tego zgromadzenia w ten sposób było napisane: „I ginocchi olimpici da celebrarsi dagli Arcadi nel bosco Parrasio per onorar la memoria dell'inclito Artino abbate Pietro Metastasio nell' adunanza de 18 Agosto 1781, dedicata alle dame romane.

Wrzesień. Lubo jeszcze nie byłem zupełnie wyzdrowiał, doktor mój radził mi dla odmiany powietrza do Neapolu wyjechać, gdzie też pospolicie w tym miesiącu wszyscy cudzoziemcy bywają. Oprócz krwi puszczania nic mi więcej nie przepisał, tylko lody i limoniadę; sposób ten leczenia zupełnie przeciwny naszemu, który u nas w gorączce nie dozwala zimnego napoju, bardzo był dla mnie przyjemny. Usłuchałem tej rady, dnia 2 t. m. wyjechałem do Neapolu razem z ks. Giedroyciem i Walewskim.

3. W stolicy Wolsków, która chlubi się urodzeniem Augusta, dla wielkiego upału dzień prawie cały spoczywaliśmy. Oprócz posągu ze spiżu Urbana VIII, roboty Berniniego, pałacu i ogrodu Pinetti, nie było co widzieć w Velletri. Opatrzni wódką pachnącą i octem czterech złodziei, w zamkniętym pojeździe noc następującą, oka nie zmrzywszy, jechaliśmy przez bagna Pontyńskie. Byliśmy ostrzeżeni, że byśmy miejsce to niezdrowe i niebezpieczne, oale nie śpiąc i ustawicznie broniąc się tabaką i mocnym octu zapachem od zaraźliwego powietrza, przejeżdżali. Jakoż znaleźliśmy tam grube, smrodliwe i duszące powietrze, to przecież nic nam nie zaszkodziło.

4. W Terracinie widzieliśmy wielką i kosztowną robotę około osuszenia bagien Pontyńskich, na którą Pius VI krocie już wydał. Zapytany od nas dozorca, jak pomyślnie idzie robota, pokazał nam śpichlerz zasypany pszenicą, z osuszonego pola zebraną. Ta jednak robota idzie niezmiernie powoli i opieszale. Najemnicy, po większej części z Królestwa Neapolitańskiego, leniwo pracują, zamiast taczek używają łopatek, mężczyźni biorą na dzień 25 bajoków, kobiety 12, dzieci 8 bajoków. Użyty jest do niej architekt Rapini, Florentczyk.

5. Oglądając w kościele katedralnym w Svessa piękny obraz Łukasza Giordano, Wieczere Pańską wyrażający, spostrzegłem długi warkocz na nim zawieszony. Przypatrującemu się z podziwieniem tej nadzwyczajnej ozdobie, ile że we Włoszech ani koron, ani tabliczek srebrnych nie zawieszają na obrazach, powiedział mi sługa kościelny: „Neapolitanki jednej to jest ofiara, która, spełniając ślub uczyniony w czasie gwałtownego głowy bólu, warkocz swój ucięła i, żeby tu był zawieszony, prosiła.

Późno już wieczorem stanąwszy w Cappui, oprócz jajecznicy, chleba, sera i wina, nic my więcej dostać jeść nie mogli. Takie dla nas były kapuańskie rozkosze. Z Cappui, we trzech godzinach stanęliśmy w Neapolu.

6. Znaleźliśmy już bardzo wiele cudzoziemców i naszych rodaków zebranych na następującą uroczystość „di Piedi Grotta”; w domie zajezdnym, czyli jak tu zowią „lokandzie” św. Łucyi, nie było już wol-

nej stancyi; umieściliśmy się w domu św. Jerzego, gdzie stancye nie tak okazałe, ale stół mieliśmy wygodny i tani.

7. Przyszedłem już dzięki Bogu do zupełnego zdrowia. Najpierwszy listek we włoskim języku napisałem do p. G. S. — pisałem także do margrabiego Nunez i ks. Łempickiego, w których ręku, wyjeżdżając do Neapolu, zostawiłem moją prośbę do Ojca św. o fundusz św. Norberta.

8. Cała uroczystość dzisiejsza „di Piedi Grotta” na tem zależy, że Król z rodziną swoją i całym dworem jedzie do kościoła, nazwanego Piedi Grotta, i tam krótką modlitwą dziękuje N. P. Maryi za uwolnienie jej przyczyną Neapolu od morowego powietrza. Dla przypatrzenia się tej uroczystości najęliśmy okno w domu na ulicy Chiaja, którędy Król przejeżdża. O godzinie 11-tej stanęło wojsko na tej ulicy w parady. Były regimenta hiszpańskie, szwajcarskie, macedońskie, janczary. Z tych sześć regimentów pieszych, w których 4,680 ludzi, cztery kawalerji, w których 1,140 ludzi rachowano. O godzinie 12-tej król wyjechał z pałacu przy stokrotnem biciu z armat. Poprzedzała naprzód dragonia, potem szła ośmiokonna karetą „di rispetto”, w której przez uszanowanie nikt nie siedział, za nią gubernator miasta i szambelanowie jechali, dopiero Król z Królową jechał w ośmiokonnej także karecie, przed którą dwudziestu laurów bogato przybranych biegło. Za Królem jechała rodzina. W jednej karecie posadzony na krześle małeńki Tronu następca, „primogenito”, kłaniał się wszystkim rączkami, naprzeciw niego siedziała ochmistrzyni, w drugiej jechał brat jego „secondo nato”, w trzeciej dwie królowne jechały, za nimi damy dworskie, i znowu dragonia ciąg ten wspinały zamykała. Tymże porządkiem powracał Król z kościoła samym już wieczorem do pałacu.

Uroczystość ta do tyła jest upodobaną w państwie neapolitańskim, że matki, wydając za mąż córki swoje po wsiach, dołączają ten warunek w ślubnych opisach, żeby je corocznie do Neapolu na tę uroczystość wozili. Tegoż wieczoru tłum ludzi przechadzał się w oświeconym ogrodzie królewskim. Ogród ten, w najpiękniejszym miejscu nad morzem założony niedawno, od dnia 8 lipca, imienin królowej, aż do dzisiejszego, co wieczór dla publicznej przechadzki, wielkimi lampami bywa oświecany.

9. Mówiono nam, że kto widział kościoły rzymskie, w neapolitańskich nic szczególniejszego nie znajdzie, niektóre jednak warte są widzenia. Kartuzi na górze w ogrodzie swoim najpiękniejszy w świecie widok mają, z tym atoli tak są oswojeni, że z nich jeden śmiał wyrzec to bluźnierstwo do nas, unoszących się nad pięknością tego miej-

sca: „gdybyście WMPanowie zamknięci tu byli na zawsze, wnet-by w oczach waszych ta cała przyjemność znikła.”

Na kilku jeszcze kartach wylicza Jan Kossakowski gmachy Neapolu i okolic, poczem przerywa dziennik na całe 12 lat. Możemy dopełnić wiadomość o podróżach naszego pamiętnikarza z dwóch źródeł: z krótkiego wspomnienia o nim, drukowanego w dziełach J. P. Woronicza ¹⁾ i z obszerniejszego rękopisu, znajdującego się w naszych rękach. Jest to prawdopodobnie ten życiorys, na który Woronicz powołuje się w swej „pochwale J. N. Kossakowskiego” ²⁾.

Jan Kossakowski bawił w Rzymie cztery lata, częścią o własnym koszcie, częścią przy pomocy Warmińskiego funduszu św. Norberta, przyznanego mu za zgodą Piusa VI-go. Po wycieczce do Neapolu i Sycylii powróciwszy do Rzymu, zabrał się pilnie do nauki. Biograf jego opowiada, że „przykładał się mianowicie do włoskiego, francuskiego i angielskiego języka, słuchał kursu teologii i fizyki w kolegium t. zw. *Mądrości*, praktyki zaś prawa kanonicznego u adwokata, zwyczajnym w kraju tamtym sposobem; resztę czasu powszechnej i kościelnej historii, też porządnemu pokilkakroć zwiedzaniu rzymskich starożytności z autorem w rękę, a przewodnikiem przy boku, poświęcał.”

W r. 1875 wyjechał z Rzymu, zwiedził dokładnie Florencję, prawie pominiętą przed czterema laty, następnie w Paryżu i w Londynie jeszcze cały rok strawił, bawiąc się i ucząc. Nareszcie na Amsterdam, Bruksellę, Berlin i Drezno powrócił do kraju w grudniu 1786 r.

Jak to już z rzymskiego dziennika widzieliśmy, Kossakowski trzymał się ciągle bogatszych przyjaciół, co musiało zmniejszyć koszt jego podróży. Pomógł też fundusz Warmiński. Nie mniej przeto po powrocie do kraju zmuszony był spieniężyć swą schedę majątku ziem-

¹⁾ Dzieła J. P. Woronicza Arcyb. Warsz. wyd. J. N. Bobrowicza. Lipsk, 1853. tom 3-ci, str. 77: Pochwała J. N. Kossakowskiego, biskupa wileńskiego, czytana na posiedzeniu Towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk, d. 7 stycznia 1813.

²⁾ Życiorys ten jest napisany bezpośrednio po śmierci biskupa, prawdopodobnie przez jednego z jego dwóch braci (Leonarda?). Rękopis obejmuje 52 strony na starym papierze 4°. Nabyty razem z pamiętnikami, posłuży nam nieraz w dalszym ciągu do stwierdzenia dat i dopełnień dziennika, z którym zresztą zupełnie się zgadza.

skiego na opłatę długów, zaciągniętych podczas sześcioletniej wędrówki. Pozostała jakaś drobna reszta „na fundusz nowego życia.” O tem nowem życiu, czynnem i zabiegliwem, wplecionem w pasmo ważnych historycznych wypadków, mamy nadzieję dać czytelnikom dalszy ciąg wspomnień ks. Jana Kossakowskiego w drugiej połowie bieżącego roku.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

Wśród stepów i jarów.¹⁾

V.

Kurhany.

Skoro rzecz jaka staje się przedmiotem naukowego badania, wynika potrzeba jej usystematyzowania, niezbędność klasyfikacji. Z początku są to zwykle tylko próby, gdyż najczęściej dopiero dalsze studia są w stanie wykazać odpowiedniejsze celowi cechy badanego przedmiotu. Powoli jednak klasyfikacja zmienia swe pierwotne podstawy, gdy przybywają nowe odkrycia, wykazujące ich niewłaściwość, i tak dalej, dopóki przedmiot, naukowo, dobrze nie zostanie zbádany. Nawet i w tym razie, gdy usystematyzowanie zostało już przez naukę przyjętem jako odpowiednie, ostrożny badacz nie powie, że jego słowo jest już ostatniem, ponieważ każda, najbardziej zaokrąglona, nauka, daje wątki do nauk nowych i... *usque ad finem*.

Klasyfikacja kurhanów idzie też wyżej opisaną drogą: jeszcze w połowie bieżącego wieku, gdy materiału było zbyt mało, innej jak powierzchniowej, opartej na zewnętrznym kształcie mogił, być nawet nie mogło. To też u Grabowskiego i Fundukleya widzimy próbę podziału, tylko na tej podstawie opartego. Następnie dodano doń pierwiastek geo-i topograficzny: miejsce położenia kurhanów; lecz i to nie wiele przyczyniło się do dokładniejszej klasyfikacji, ponieważ w jednej i tej samej miejscowości znajdują się mogiły, pozostałe po najrozmaít-

¹⁾ Dokończenie. Patrz zeszyt majowy „Bibl. Warsz.”

szych okresach i ludach; trzymając się więc tej zasady, klasyfikowano-by je nie wedle ich archeologicznego znaczenia, lecz wedle położenia geograficznego, czyli, że z dziedziny jednej nauki przeniesiono-by przedmiot do całkiem innej.

Następnie użyto kronik i wogóle materiału dziejowego, w nadziei, że w nim się znajdą rzeczy, wyjaśniające kwestyę: kto, kiedy i dlaczego wznosił te usypiska. Temu pierwiastkowi czas jakiś nadawano nawet pierwszorzędne, przy klasyfikacji kurhanów, znaczenie, a to dzięki świetnym odkryciom nad Dnieprem, które zdołano wytłómaczyć za pomocą historii Herodota; niemniej też, gdy archeologiczne zdobycze w dorzeczu Desny zostały porównane z latopisami, pokazało się, że tamtejsze mogiły pozostały bezwarunkowo po Siewierzanach. Ale też na tem prawie koniec. Metoda, nadająca przewagę źródłom dziejowym przy klasyfikacji kurhanów, napotkała szkopy tego rodzaju, że one zmusiły ją do ustąpienia na drugi plan, zostawiając tym źródłom bardzo ważną wszakże rolę: czynnika, sprawdzającego archeologiczne wnioski, aczkolwiek nawzajem sprawdzanego. Do rzędu takich zaliczyć można na przykład ten, że według latopisu, na północnej stronie dorzecza Rosi, nad Rastawicą, powinny-by mieścić się przeważnie kurhany pół-koczowniczych Turańców—Berendejów ¹⁾, gdy przeciwnie, archeologiczne badania dowiodły, że tak nie jest i że główne cechy dawnych pogrzebowych obrzędów są tu takie, jakie też bardzo na północ ku Prypeci przeważają, czyli całkiem słowiańskie ²⁾.

Próby klasyfikacji, oparte na wyżej wspomnianych podstawach, nie mogły ostać się przed krytyką dlatego, że w miarę nowych badań przybywał materiał, przynoszący ze sobą zabójcze dla nich pierwiastki. Szkoła duńskich archeologów, a za nią cała Europa, uznały możliwość podziału przeddziejowego rozwoju ludzkości na trzy okresy: kamienia, brązu i żelaza; więc i ta metoda została użyta do klasyfikacji kurhanów. W istocie, wydawała się ona najodpowiedniejszą już dlatego, że dawała archeologii jednakową podstawę, zarówno u nas, jak i na dalszym Zachodzie; sądzono więc, że z jednego punktu wychodząc, można będzie nie tylko sobie wzajemnie pomagać, lecz zarazem używać porównań, najlepiej sprawdzających wszelkiego rodzaju naukowe uogólnienia. W istocie, trzymający się jej Zabielin zrobił bardzo wiele, lecz ostatecznie na niej tylko poprzestać było niepodobna, gdyż na obszarach tutejszych niejednokrotnie spotykały się ongi rozmaite ludy,

¹⁾ Zawitniewicz. „Kijewskaia staryna.“ T. XXIX, str. 256.

²⁾ Antonowicz. „Rozk. w stranie Drewlan.“

stojące jednocześnie na tak różnych szczeblach kultury, że naprzykład zgreczony Scyta, używający nie tylko złotych ozdób, lecz umiejący cenić artystyczną robotę greckiego złotnika, bywał grzebany pod jednym kurhanem, zaś jednocześnie prawie, a nawet później od niego, w sąsiednim lub tym-że samym został złożony jakiś obcoplemieniec, mający potrzeby bardzo pierwotnej natury, a używający dla ich zaspokojenia tylko kamiennych, kościanych przedmiotów, lub co najwyżej bronzowych strzał. Pokazało się więc, że klasyfikacja, na podstawie tego tylko kryterium oparta, mogła się stać przygodnym grupowaniem przedmiotów, gdyż wiele szczegółów, dotyczących się jednego i tego samego okresu, wypadło-by do rozmaitych epok zaliczyć, przeciwnie zaś, rzeczy całkiem od siebie oddalone w przeciągu czasu, mogły-by być połączone w całość, niepodobną do minionej rzeczywistości. Obecnie kwestya klasyfikacji kurhanów nie odpowiada jeszcze wymaganiom archeologii; co więcej, są zdania, wedle których niepodobna jej oczekiwać póty, póki nie będziemy mogli użyć metody porównawczej na szeroką skalę ¹⁾, wymagającej jeszcze większego materiału, a zatem obszerniejszej wiedzy. Jednakże mniej lub więcej ostrożne próby robią bezustannie.

Na VIII zjeździe archeologów rosyjskich w r. 1890 prof. Samokwasow wyjaśnił swoją teorię. Bierze on za podstawę podziału kurhanów okresy dziejowe, którym nazwy sam w części nadaje: 1) Cymbryjski, do końca VI stulecia przed nar. Chrystusa. 2) Scytyjski, od końca pierwszego do II st. po Chrystusie. 3) Sarmacki, który się zdaniem jego ciągnie aż do stulecia V. 4) Anto-Słowiański, trwający do końca XI wieku; wreszcie 5) Połowecko-tatarski, który obejmuje następne cztery stulecia.

Archeologiczne cechy tych okresów mają być następujące: Mogiły pierwszej epoki, t. j. cymbryjskiej, nie zawierają wcale żelaza, lecz tylko przedmioty drewniane, jeśli ocalały od zepsucia, gliniane, wyroby z kości, kamienia i miedzi; są tu resztki niepalonych przeważnie szkieletów, chociaż czasami widzimy i ślady ciepłopalenia w postaci zwęglonych drewnianych zrębów, pokrywających ludzkie szkielety, które zachowały położenie skurczone, a cechujące bardzo pierwotne czasy. Obok nich bywają narzędzia kamienne, jak również i garnki gliniane, napełnione spalonemi kośćmi, często z domieszką przedmiotów kamiennych. Samo urządzenie grobowych dołów, wykopanych w calcu, częściej przykrytych nasypem aniżeli niemających nad sobą kopca, bywa rozmaite; szkielety zaś, obrócone głowami w różne strony, przeważnie

¹⁾ *Zawitniewics*. Str 280.

zgięte lub skurczone, bywają zabarwione na kolor zwykle brunatno-czerwony ¹⁾).

Kurhany okresu scytyjskiego, mówi on dalej, nie zawierają w sobie jeszcze przedmiotów kultury rzymskiej, aczkolwiek koniec tego okresu wchodzi już w zetknięcie z rzymską epoką; lecz natomiast bywają w nich dzieła sztuki greckiej, bądź z napisami, jak np. monety lub naczynia z terrakoty, srebra lub złota, bądź też z odbiciem scen mitologicznych i mitycznych greckich, lub wizerunkami Scytów przy ich powszednich zajęciach i rozrywakach. Są tam dyademy, czółka, zausznice, naszyjniki, bransolety, pierścienie i wiele innych, zarówno jak i one, ze złota, grecką robotą wykonanych, ozdób; dalej: kamea, brązowe lustra z figurami greckimi, broń i takie uzbrojenia, jak np. miecze z rączkami roboty greckiej „à jour”, lub ozdobiane złotymi blachami, na których wyciśnięto bądź figury ludzkie, bądź co innego; pancerze żelazne, zrobione z łuski greckiej roboty i t. d. Doły grobowe bywają kształtów rozmaitych i zawierają po jednym lub kilka skieleatów. Najczęściej były one kopane w kształcie prostopadłych a prostokątnych jam, od 2½ do 4 arszynów długości, 1¼ do 3 arsz. w szerz, zaś od 1 do 4 idących w głąb, cembrowanych po bokach i z drewnianym sufitem z wierzchu, nad którym sypano kurhan od 1 do 5 arsz. wysokości, a od 25 do 50 w obwodzie. Czasami drewniane cembrowanie i także sufity zastępowano kamiennymi płytami. Rozmiary kurhanów scytyjskich dochodzą częstokroć do 25 arszynów wysokości przy 300 na około podstawy; takie usypiska zawierają już nie zwyczajne, wyżej opisane, jamy, lecz całe urządzenia w rodzaju podziemnych mieszkań, składających się z przedpokojów, izb głównych i korytarzy, w których są wyrabiane ławy, stoły i nisze. Te ostatnie, wyrabane, jak i reszta, w twardej glinie podglebia, bywają odgrozione drewnianymi zasłonami lub kamiennymi płytami. Wielkie scytyjskie kurhany mają tę cechę charakterystyczną obecnie, że w nich, oprócz pierwotnych, spotykamy groby takie, które już po ich usypaniu, często znacznie później, zostały umieszczone, jak gdyby wstawione, w sam nasyp lub niżej powierzchni. Położenie skieleatów najczęściej bywa równe i poziome, rzadko zaś napotyka się skielety zgięte, albo zabarwiane; przytem można zauważyć, że tą pierwotną cechą odznaczają się tylko takie, które na pozór zajmują porządne stanowisko w hierarchii wszystkich, zawartych w tej samej podziemnej budowie, skieleatów.

¹⁾ Kwestya farbowanych kości będzie rozpatrywana w monografii dalszej, jak również dziwne położenie starożytnych skieleatów.

W kurhanach epoki sarmackiej, mówi prof. Samokwasow, znajdujemy już przedmioty kultury rzymskiej i częste ślady ciałopalenia w potrójnej formie: a) są to urny z ludzkimi spalonymi kośćmi, umieszczone w grobowej jamie; b) także urny, obłożone kamieniami lub drzewem i zasypane ziemią lub kamieniami i c) ślady stosów, które po skończonem ciałopaleniu wraz z jego resztkami zostały zgarnięte do grobu i przykryte nasypem. W tych razach, kiedy się ciałopalenia nie napotyka, skielety nie są skurczone, ani zabarwione.

Monety bizantyjskie, azyatyckie i zachodnio-europejskie z czasów wschodniej rzymskiej monarchii, stanowią charakterystykę kurhanów okresu słowiańskiego w połączeniu ze szczegółami następującymi: tu ciałopalenie i katakumby trafiają się rzadko, natomiast zaś przeważają skrzynie, zbijane z desek za pomocą żelaznych gwoździ. Skielety leżą przeważnie głowami ku zachodowi, na wznak, z rękami złożonemi pó środku lub wyciągniętymi po bokach; skurczonych i zabarwionych niema wcale, za to obok ludzkich zdarzają się całkowite skielety koni z żelaznemi wędzidłami i takiemiż strzemionami¹⁾. Zupełnie nowe odmiany wyrabianych z żelaza mieczy i strzał, także kolczugi, w ozdobach zaś przewaga srebra nad złotem stanowią też cechy których się w kurhanach epok poprzednich nie spotyka.

Ostatni w tej klasyfikacji okres, połowiecko-tatarski, tem się odznacza, że w jego chrześcijańskich mogiłach nigdy już się ciałopalenia nie napotyka, wszystkie zaś przedmioty, np. monety, które się w nich znajdują, noszą wyraźne piętno czasu, między XII a XV stuleciem zawartego.

Wyżej przytoczony podział znalazł surową krytykę w gronie uczestników zjazdu, podczas którego został przedstawionym²⁾. Przedewszystkiem zarzucano mu, że autor, zamiast użyć archeologii, jako podstawy do klasyfikacji, użył chronologii, opierając się na przypuszczeniach, które dotychczas pewnikami nie są, a nawet bywają tak mgliste, że niemi prawdopodobnie nigdy nie zostaną. Tak np., nazwy okresów „Cymbryjski” lub „Scytyjski”, wprowadzają w błąd czytelnika, ponieważ do dziś nietylko nie wiemy kim byli Cymbrowie i jak daleko sięgały ich siedziby na północ i wschód, lecz nawet o późniejszych Scytach wiadomości są tak skąpe, że dopiero znajomość pewnych

¹⁾ W kurhanach scytyjskich są też skielety koni, lecz położone inaczej: wędzidła zaś dwojakiego gatunku: brązowe i żelazne, ale strzemion wcale niema. Ze ich wówczas nie używano, mamy, między innemi, dowód na rysunku siodła, który się znajduje na wazie w Ermitażu.

²⁾ „Russka Myśl,” R. 1890. Mies. kwiecień.

starożytnych języków i dalsze zdobycze archeologii mogą nas upewnić, skąd oni wyszli, jak daleko, jak długo i gdzie mieszkali, nazwy te więc niepotrzebnie maskują właściwą podstawę nomenklatury archeologicznej, gdy w gruncie rzeczy powinno się używać archeologii tylko, gdy idzie o wyróżnienie cech. Drugim poważnym zarzutem, z jakim się spotkał autor tej klasyfikacji, był ten, że swój program stosuje do zbyt wielkich obszarów, mianowicie do większej części Rosyji Europejskiej, gdy tymczasem opiera go na osobistych spostrzeżeniach, które czynił w pewnych tylko miejscowościach na południu. Wynikiem zbyt dużego rozszerzania granic terytoriów, dla których powyższy podział kurhanów został zaproponowany, było-by zastosowanie nazwy „okres antosłowiański” do takich ziem, jak Kaukaz, gdzie napróżno szukać starych słowiańskich siedzib, tak, że w podobnych wypadkach, chcąc zachować nomenklaturę autora, trzeba-by wprowadzić jeszcze dodatkową; trzymając się zaś tylko pierwszej, nie wiedzieli-byśmy, dokąd zaliczyć różne przedmioty, tu i owdzie obficie znajdowane ¹⁾. Tak się przedstawia rosyjska krytyka tej klasyfikacji.

W obronie swego systemu autor zaprzecza przedewszystkiem, że-by miał zamiar rozszerzać go po-za granice, przekraczające miejsca jego badań ²⁾, a co ważniejsza, oświadcza, że dlatego, aby podział przedziejowego okresu mógł być istotnie do prawdy zbliżonym, należy mieć na widoku nie tylko wewnętrzną zawartość kurhanów, lecz i rozwój dziejowy ludów; ponieważ zaś na południu dzisiejszego państwa rosyjskiego zmieniały się kolejno różne narody, stanowiące sześć typów etnicznych, więc uważa za odpowiednie, żeby klasyfikacja była oparta na chronologiczno-dziejowym pierwiastku, nie wyłączając niezbędności i drugiej jeszcze, równoległej klasyfikacji, opartej na archeologii. W ten sposób obie klasyfikacje będą się na wzajem dopełniały, autor zaś, zostawiając swobodne pole do klasyfikowania według danych archeologicznych, proponuje tymczasem pierwszy podział, w oczekiwaniu dlań towarzysza w przyszłości.

Aczkolwiek w istocie proponowany podział nie odpowiada wymaganiom czystej archeologii i ma tę główną ujemną stronę, że na dziejowych faktach opiera wnioski archeologiczne, wtenczas gdy właśnie one być powinny probierzem prawdy historycznej; jednak posiada tę zaletę, że same jego źródła wyjaśniają nam w rysach ogólnych przebieg przedziejowej ewolucji na stepach południa. Nie zupełnie zgadzając się z polskim sprawozdawcą teorii prof. Samokwasowa,

¹⁾ *Bagalej*. „Kijew. starina.” T. 28, str. 468.

²⁾ Tak sądzimy z ogólnych słów protestu.

aby sama mianowicie klasyfikacja miała koniecznie pozostać w literaturze archeologicznej kamieniem węgielnym przyszłej budowy chronologicznej w zakresie zabytków starożytności, ponieważ nie jeszcze nie wiemy, co nam pokażą dalsze badania archeologiczne, po-za tem znajdujemy w źródłach tej klasyfikacji, nie zaś w niej samej, szacowny materiał, który uwzględnić należy w takich razach, gdy się pragnie przedstawić znany dotąd dziejowy przebieg tutejszej starożytnej kultury. Rzeczą jest postępu archeologii sprawdzić doniosłość tych źródeł, tymczasem jednak widzimy porządek następujący ¹⁾.

Przed przyjściem Scytów-Skolotów z okolic nadkaspjskich na wybrzeża pontyjskiej, zamieszkawali tu Cymbrowie; do nich więc, przynajmniej w znacznej mierze, należą zabytki grobowe, pozostałe z okresu przedscytyjskiego. Według Herodota, przybycie Scytów nastąpiło w VII st. pr. Chrystusem. Wówczas znajdowali się oni na stopniu, być może, całkiem jeszcze czystej kultury bronzu. Cymbrowie nie utrzymywali żadnych stosunków z narodami ościennymi, tak, że bożyszczom swoim składali na ofiarę, w ten lub inny sposób, przybyłych tu cudzoziemców. Nie znali użytku metalu, gdyż przedmioty potrzeb życiowych wyrabiali z drzewa, kości i kamienia. Dopiero koloniści greccy zaznajamiać mieli Scytów z użytkowaniem żelaza ²⁾ i innymi zdobyczami greckiej cywilizacji; groty jednak do strzał pozostały miedziane. W zabytkach scytyjskich znajdujemy formy uzbrojenia, „zgodne z takimiż formami, poznanymi we współczesnych z nimi zabytkach grobowych Greków Helady, Azji Mniejszej i kolonii pontyjskich, z drugiej zaś strony najmniejszych śladów wpływu rzymskiego tu nie widzimy. Z opisanej różnicy w stopniu kultury przedhistorycznej obu wspomnianych typów etnograficznych, Cymbrów i Scytów, wynika różnica w pozostałych po nich zabytkach.” Na niej więc, mówi dalej Ossowski, został oparty wzmiankowany podział między pierwszym a drugim kurhanowym okresem. Zabytki grobowe cymbryjskie odkryte zostały na całym południu Europy ³⁾, jak świadczą muzea włoskie i austro-węgierskie, w których się widzi wzory starożytnych grobów ze szkieletami w pozycji skurczonej, z wyrobami, zupełnie podobnymi do tych, które w takich-że grobach znajdujemy na Kaukazie, w Krymie, na Wołyniu, Po-

¹⁾ Ossowski. „Kwart. hist.” z r. 1894. Z. I, str. 73 i nast.

²⁾ Ossowski, l. s. W istocie wielu jest tego zdania, opierając się na znanych nczonemu światu wywodach z Herodota, nam jednak rzecz ta zupełnie pewną się nie wydaje, wywody zaś nie są bezkrytyczne.

³⁾ tamże.

dolu, nad Wisłą i Dnieprem. „Zabytki grobowe tego rodzaju występują także w okresach późniejszych”, —jako pozostałości zwyczajów dawniejszych ludów Europy, poprzedzających utworzenie się władztwa Scytów-Skolotów, tak dalece, że w krainach, do których grecka i rzymska cywilizacja nie doszły, jak np. u plemion fińskich, spotykamy je w bardzo posuniętej epoce po narodzeniu Chrystusa. Między wybitnemi kurhanami tego okresu wyliczyć należy w dorzeczu Dniepru: „Długą Mogilę” pod Aleksandropolem, wielogrobową na Zaporozu pod wsią Biłęńka, wiele kurhanów w okolicach Smiły, Hamerni, Rassawy, Mironówki, Harbuzina w pow. Kaniowskim; całe mogiliska w Gnilecu pow. Radomyskiego, także w Nowej Uszycy na Podolu i w Załużu na Wołyniu ¹⁾).

Od siebie zaś wyjaśnimy, że chociażby wszystkie te groby należały do tego samego okresu, niepodobna jednak stąd twierdzić, ażeby one pozostały po jakimś jednym narodzie Cymbrów, czy Cymerów, którego granic etnicznych nie znamy, a nawet nie wiemy, jak słusznie wyżej powiedziano, co sama nazwa oznacza. Pod nią mógł Herodot rozumieć całą grupę najróżnorodniejszych ludów, etnicznie do siebie niepodobnych, acz kulturalnie zbliżonych. Mogło też być i inaczej. Zresztą pytanie, czy w istocie są te groby z czasów względnie przynajmniej do siebie zbliżonych, czy topograficznie nie dzielą ich zbyt odległe przestrzenie, które, albo uniemożliwiają przypuszczenie o jednakowym etnicznej pochodzeniu ich założycieli, albo zradzają kwestyę, że wiele z tych grobów należy może do okresu, który się ciągnął i po przyjeździe Scytów, tam mianowicie, dokąd pod naciskiem tych ostatnich rozeszły się w różne strony ludy, które oni nad morzem Czarnem zastali. Tak być mogło przynajmniej w części, a zatem wszystkich kurhanów, noszących wspólne przeddziejowe cechy epoki kamienia, do jednego chronologicznie okresu w żaden sposób na pewno zaliczać nie można.

Wiemy, że spotkać nas tu może zarzut tego rodzaju, że w blizkiej nam części Europy istniała już w chwili rzekomej ucieczki Cymbrów kultura bronzu, ponieważ jeszcze Homerowski epos i najdawniejsze historyczne podania zachowały pamięć końca tego okresu na południu ²⁾), skąd wniosek, że ci z rozpiezchłych Cymbrów, którzy się spotkali z kulturą wyższą, musieli-by porzucić swoją, którą z nad morza Czarnego wynieśli, a ślady jej w grobach tego, późniejszego już, okresu hi-

¹⁾ Dalej są tu zaliczone między innemi: grób bez oznak na powierzchni pod wsią Czechy w pobliżu Warszawy, kamiennie bryłowe pod Łomżą, inne nad brzegami Wieprza i t. d. (Samokwasow i Ossowski).

²⁾ *Worsaae*. „La Colonisation de la Russie et du Nord Scandinave“, p. 40.

stori tych przesiedlonych ludów, zaginęły-by, lub co najmniej zatarły się znacznie. Jednak nic nam nie dowodzi, czy w istocie wszystkie one po swem rozpieczęciu spotkały się z bronzem, przeciwnie zaś, mamy prawo zapytać, czy część ich przynajmniej nie udała się w takie strony, do których wyższa od kamiennej kultura jeszcze nie doszła, tem bardziej, że posuwanie się bronzu było nader powolne. Najpierw zaszedł on ze Wschodu azjatyckiego i z Egiptu, drogą zapewne morską, na południe Europy, stąd zaś do jej środka, gdzie się ta kultura rozwinąć potrzebowała i skąd dopiero mogła promieniować ku północy Niemiec i ku Skandynawii ¹⁾. Dopiero stamtąd przeszła w strony późniejszej Litwy, Białej Rusi i Polski ²⁾; na Wołyn zaś i na Polesie wcale nie doszła.

Z samej więc zawartości grobów wnioskować nie możemy, czy wyżej zaliczane do rzędu cymbryjskich groby pod Warszawą, Radomyślem, wołyńskie i inne, są wcześniejsze, czy też późniejsze, aniżeli chwila, w której się tak zwani Cymbrowie rozpieczęć mieli. Wiemy tylko to, że należą do okresu kamienia, lecz jak się on długo przeciągał w dopiero wzmiankowanych ziemiach, w porównaniu z początkiem scytyjskiego okresu na tutejszych stepach, napewno twierdzić jeszcze nie możemy.

Do form epoki scytyjskiej zaliczyć należy, oprócz słynnych pod Kerczą z grobami kamiennymi oraz wielu w gub. Ekaterynosławskiej z podziemnymi katakumbami, znakomity hurhan Czartomelicki w pobliżu niegdyś Siczy, wielki kurhan Ryżanowski w pow. Zwinogródzkim, wreszcie „wszystkie inne kurhany i groby, badane rozmaitemi czasy na całej przestrzeni królestwa Bosforskiego, na Ziemi Wojska Dońskiego, w Krymie, Noworossyi, na Podolu i Wołyniu, nad Dnieprem, w których znaleziono przedmioty sztuki greckiej z żelaza, bronzu, srebra, złota, z kamieni, szkła, kości i drzewa, zgodne z przedmiotami, znalezionemi w takich-że kurhanach, których epokę określa się na podstawie monet, greckich napisów i wogóle stylu sztuki greckiej z pierwszych wieków przed Chrystusem” ³⁾.

Kiedy po upadku Scytów-Skolotów nastąpił zalew innych mieszanых plemion i narodowości, które zaległy przestrzeń między dolnym biegiem Donu a Dnieprem, i pod przewodnictwem najsilniejszego

¹⁾ *Worsaae*, str. 67. Była jeszcze inna wschodnio-północna droga, którą się bronz do Europy przedostał, lecz jej tu żadną miarą w rachubę brać niemożna.

²⁾ l. c. str. 47.

³⁾ *Ossowski*, l. c.

z nich plemienia Roksolanów utworzyły nawet coś w rodzaju związku państwowego, następuje t. zw. przez autora epoka sarmacka. Niektóre plemiona przechodzą aż za Dunaj ¹⁾, inne mieszają się z dotychczasową ludnością, tak w dorzeczu średniego i dolnego Dniepru, jak i w dalszych zachodnio-południowych krajach, należą do związku, który pod przodownictwem trackiego rodu Getów, wedle nazwy greckiej, a Daków wedle rzymskiej, staje się do pewnego stopnia groźnym potędzą rzymskiej na północo-wschodnich granicach państwa. Stąd wyprawy od czasów Augusta aż do Trajana, który ostatecznie Daków zwycięża. Jazygowie sarmaccy figurują też jako zwyciężeni na kolumnie Trajana ²⁾, a wielu tryumfatorów ówczesnego Imperyum dostaje przydomek „Sarmacki.” Wobec zatem stosunków z Rzymem odbywa się powolne przejście różnych przedmiotów kultury rzymskiej do krajów, leżących na wschodo-północy od Dunaju, jak to widzimy z przedmiotów, wydobytych w jednym z kurhanów pod Humanem, rozkopanym jeszcze w 1809 r., w innych zaś pod wsiami Petryką, Petrykówką, Romejkówką w okolicach Zwinogródki, w kilku między Piszczalniami a Łazurcami pow. Kaniowskiego, również pod Jabłonówką w tejże okolicy.

Dalszy przebieg tego pochodzenia dziejowego jest następujący. Na krótko przed chwilą, gdy na widowni Europejskiej staną się głośniejsze nowe etniczne nazwy, uogólnione później w jednym nazwisku Słowian, wobec upadku zachodniego państwa rzymskiego, a przewagi kultury bizantyjskiej, ukazują się na terytorium nadpontyjskiem przedmioty, noszące cechy całkiem odmienne od rzymskich okresu poprzedzającego. Znajdujemy je zarówno w ciałopalnych, jak i innych kurhanach. Przedmioty te są w używaniu nad Dnieprem aż do XI stulecia, czyli do zupełnego utrwalenia się chrześcijaństwa u wszystkich słowiańskich plemion. Typy grzebalne tej epoki przedstawiliśmy wyżej na podstawie cytowanych przez autora wykopalisk w kurhanach i cmentarzyskach, zbadanych na ogromnej przestrzeni, zarówno po lewej stronie Dniepru, jak i po prawej, w granicach dawnej ziemi Kijowskiej, na Rusi Czerwonej i Białej, nawet nad Wisłą i w Wielko-Polsce.

Nasyp kurhanowy, kopiec, stanowiący wybitne znamię zabytków grzebalnych wszystkich epok rozpatrywanych wyżej, znika powoli w miarę utrwalania się chrześcijaństwa. Jeszcze jako poganka, sypie W. ks. Olga kurhan Igorowi, lecz, umierając chrześcianką, rozkazuje

¹⁾ Porównać z tem, co o Jazygach mówią: Lelewel w „Narody na ziemiach słowiańskich” i Szafarzyk w „Starożytnościach.”

²⁾ Lelewel. „Narody na ziemiach słowiańskich”, str. 73.

synowi, aby nad jej grobem kurhanu nie było. W istocie zwyczaj sypania kurhanów u chrześcian z wiekiem dziesiątym ustaje na Rusi, przechowując się tylko u ludów pogańskich, najezdniczych, jakimi byli Połowcy, a później Tatarzy. Ich więc kurhany nie zawierają już wcale ciałopalenia, lecz zwykłą formę złożenia zwłok i przedmioty dziekiej, nawpół koczowniczej kultury. Szeroko po stepach południa i wschodu porzrzucali ci najezdźcy swoje mogiły. Nad Dnieprem, do wybitniejszych, należy grób, „wstawiony” do nasypu kurhanu jeszcze sarmackiej epoki, pod wsią Jabłonówką, jak również cmentarzysko pod wsią Rassawą w pow. Kaniowskim. Taki jest w swych wytycznych punktach dziejowy rozwój etnicznej dynamiki, a z nią grzebalnych pozostałości, na którym prof. Samokwasow oparł swoje usystematyzowanie kurhanów, znajdujących się na południu państwa rosyjskiego.

VI.

Wręcz przeciwnej metody używa pr. W. Antonowicz. Przedewszystkiem trzyma się on zasady, żeby wniosków, opartych na poszukiwaniach które czynił na pewnej, nawet obszerniejszej przestrzeni, jak np. dawniejsza ziemia Kijowska, nie stosować *à priori* do dalszych, chociażby tylko sąsiadujących z nią, bardziej południowych stepów; następnie, jako podstawę do swej klasyfikacyi bierze tylko zawartość kurhanów, z niej rozpoznaje typy grzebalne i z tego wnioskuje dopiero, co może służyć za wskaźnik pozostałości po pewnych, dziś już etnicznie znanych, nareddowościach lub plemionach ¹⁾; resztę określa terminami, wyłącznie archeologicznemi, a w oczekiwaniu dalszych naukowych odkryć, wstrzymuje się co do tej reszty od wszelkich etnologicznych wywodów.

Przedewszystkiem więc, podczas zjazdu w Kazaniu w r. 1877, zwrócił on uwagę obecnych, że liczba kurhanów, które od owego czasu na Podolu, Wołyniu i w gub. Kijowskiej zostały rozkopane, nie przewyższała dziewięciuset, z których zaledwie 50 zaliczyć można do rzędu należycie wystudjowanych. Opierając się jednak na tak skromnym rezultacie, upatruje on pięć kategorii typów grzebalnych, które, różniąc stosownie do ich przedmiotowej zawartości oraz do form, w jakich się odbywał sam obrzęd pogrzebowy, a ułatwiając sobie w tej

¹⁾ „Prace IV arch. zjazdu w Kazaniu.” T. II, str. 45, oraz „Kij. star.” T. 28, str. 470 i nast.

mierze wykopaliskami z mogił, zawierających na różnych głębokościach przedmioty rozmaite co do czasu grzebania, określa w sposób następujący. Pierwszy, najdawniejszy typ grzebalny zawiera się w tych grobach, znajdujących się w najgłębszej warstwie t. zw. piętrowych kurhanów, czyli takich, w których, jak to powiedzieliśmy, spotykamy kilka jedna nad drugą grzebalnych cech. Tu położenie skieleków jest zupełnie horyzontalne; leżą one głęboko pod powierzchnią ziemi, przy nich zaś prawie nie bywa żadnych przedmiotów, jeśli nie liczyć prętów brzoźstowych, które skielety bywają czasem obłożone. Wyjątkowo bowiem znajdujemy tu gliniane naczynia takiej roboty, do której garncarskiego koła jeszcze nie używano; są one bez upiększeń, lub co najwyżej noszą kilka kresek, wyłobionych paznogciem na ściankach. Następna kategoria grobów zawiera już przedmioty albo wyłącznie kamienne, albo też kamienne i metalowe jednocześnie, świadczące w ten sposób o stanie przejściowym kultury ludności miejscowej z epoki kamienia do metalu. Oprócz tych, charakterystyczną grzebalną cechą tej kategorii kurhanów są groby kolektywne, t. j. takie, w których się znajduje od 2 do 9 skieleków, ułożonych w rozmaitych kierunkach, a mianowicie tak: jeden po środku, reszta zaś naokoło niego. Dalej następują kurhany takie, których większość przedstawia ślady ciałopalenia. Pod tym względem charakterystyka tej trzeciej kategorii odpowiada orzeczeniom prof. Samokwasowa w tem, co się tyczy szczegółów ciałopalenia i przedmiotów, przy niem znajdowanych. Nader bogaty materiał, zarówno naukowy, jak i pod względem samej wartości przedmiotów, zawiera czwarta kategoria pod nazwą scytyjskich kurhanów. W nich znajdujemy przedmioty, świadczące o rozwoju kultury znacznie wyższej, aniżeli ta, którą przedstawiają pozostałości okresów poprzednich. Ta okoliczność każe wnioskować, że podczas krótkotrwałego w Rossyi południowej właściwego okresu bronzu, nastąpiło zetknięcie się tutejszych mieszkańców z narodem o wiele od nich dalej posuniętym na drodze rozwoju, a które wstrzymało rozrównanie się przedmiotów bronzowych, stawiając miejscową kulturę na stopniu, przygotowującym ją do przyjęcia z czasem coraz lepszej, a mianowicie tej, której ślady zachowała piąta kategoria kurhanów.

Tu mamy już do czynienia z mogiłami wieku żelaza, którego grzebalne typy dzieli się na cztery odmiany. Z nich pierwsze dwa, jak się zdaje, mogły tu istnieć aż do chwili wprowadzenia chrześcijaństwa. Najprzód więc mamy jeźdźców, pogrzebanych wraz z ich wierzchowcami i zbroją w jednym grobie pod mogiłą; następnie ciałopalenie, które się odbywało na klepisku opodal od przygotowanego grobu,

gdzie składano spopielale i zwęglone pozostałości, nasypując nad tem wszystkiem kurhan; trzeci typ grzebalny wieku żelaza w tutejszych stronach są to groby na otwartem polu, jak to widzimy miejscami pod Humaniem, otoczone kołem z pojedynczych kamieni, a przypominające zachodnie kromlehy ¹⁾. W takich grobach znajdowano po jednym ludzkim skielecie, obok znacznej ilości kości konia, należącego do rasy dzikiej, stepowej. Pomiedzy przedmiotami, tam znalezionymi, było gliniane naczynie, którego kształty przechowały się w tej miejscowości w użyciu do XVIII stulecia; inne miedziane miało na sobie wizerunki Ewangelistów, skąd można wnioskować, że skoro przedmiot ten został zrabowany u chrześcian, przeto i cały grobowiec już w epoce chrześcijaństwa został zbudowany.

Ostatecznie jest jeszcze czwarty typ grobów z wieku żelaza, mianowicie takich, które były wykopane nakształt arkad w podglebiu, stanowiąc jak gdyby nisze naokoło lub tylko w jedną stronę głównej kamery, grającej tu rolę sieni. Klasyfikacya W. Antonowicza mało o nich wspomina w oczekiwaniu szczegółowych badań; znajdujemy je opisane bardziej szczegółowo u innego archeologa ²⁾, aczkolwiek i tu w formie przykładu, który może, jak dotąd, służyć tylko za wskazówkę, bardzo wprawdzie cenną, lecz o przedmiocie nie wyrokującą.

Takie były postulaty, przedstawione przez pr. Antonowicz czwartemu zjazdowi archeologów. W trzynaste lat później spotykamy się znów z jego klasyfikacyą na zjeździe moskiewskim; tym razem jest ona nieco pełniejszą, ponieważ odkryto nowe typy grzebalne, które autor poznał podczas swych świeżych poszukiwań w dorzeczach Irpeniu i Rastawicy, jak również sąsiednich. Nie wchodzą tu naturalnie kaukaskie poszukiwania, przewidziane przez niego z polecenia V zjazdu w Tyfisie, celem wyszukania dróg, któremi ludy aryjskie dostały się do Europy. Okres bronzu pominięty milczeniem, bo autor go prawie nie uznaje ³⁾ w dawnej ziemi Kijowskiej.

W tem usystematyzowaniu mamy do czynienia z trzema typami: wieku kamienia, okresu scytyjskiego i z kurhanami słowiańskimi. Najsztudniejszą różnicę między poprzednią klasyfikacyą prof. Antonowicza, a jego najnowszą widzimy w pierwszym, który on tym razem dzieli na trzy rodzaje: a) kurhany z grobami pojedynczemi, b) groby bez nasypów i c) kurhany wielogrobowe. Pierwsze i trzecie już znamy, co do drugich, trafiają się dość rzadko, lecz przedstawiają za to megalityczne, w całym znaczeniu tego wyrazu, budowy, w kształcie

¹⁾ Patrz „Bibl. Warsz.” z r. 1894, m. listopad, str. 352.

²⁾ Bobryński. T. II, str. 68, rysunek.

³⁾ Czt. Tow. Nest. Last. T. V., str. 5.

małych podziemnych dolmenów ¹⁾, w których zawierają się gliniane niekształtne naczynia i kamienne siekiery. Jako nie przytoczony w pierwszej klasyfikacji autora szczegół, dotyczący się trzeciego rodzaju grzebalnych typów okresu kamienia, mamy zabarwienie szkieletów na kolor brunatno-czerwony za pomocą farby, ochrą zwanej, której kawałki znajdujemy, jakby umyślnie, zostawiane obok szkieletów. Charakterystykę zawartości kurhanów scytyjskich pozostawia Antonowicz taką, jak w klasyfikacji poprzedniej, co się zaś tyczy mogił słowiańskich, nie waha się już podzielić je, uwzględniając cechy etniczne, na Drewlańskie i Polańskie. Pierwsze znajdujemy w licznie wielkich grupach, złożonych z kurhanów małego rozmiaru, w których groby niżej górnej warstwy podglebia nigdy się nie trafiają. Znaczna ilość żelaznych gwoździ, ułożonych tak, że stanowią kontur samego niegdyś ciała, brak zaś oręża i naczyń, jeśli nie liczyć wiaderek, okutych w żelazne obręcze, stanowią takie cechy drewlańskich grobów, które się w polańskich nie trafiają. Przedmioty, służące do codziennego użytku, nader licznie tu znajdujemy. Są to żelazne nożyki, krzesiwa, paciorki ze srebra lub brązu, pierścionki druciane, kółka do ujęcia włosów kobiecych, resztki ubioru lub skórzanego obuwia i t. p.

W kurhanach polańskich, czy też normandzkich, widzimy szkielety wyżej wzmiankowanych jeźdźców z ich końmi i zbroją: długie spisy, kolczugi, równe miecze, żelazne strzały, topory i stożkowatego kształtu hełmy. Ozdoby stanowią bransolety, pierścienie, wieszadła w kształcie gwiazd; co do monet, spotykamy tu bizantyjskie i arabskie dynastii Abassydów.

W dodatkowym typie znanych już nam grobów, okolonych kamieniami w kształcie kromlehu, spotykamy bizantyjską kadzielnicę, ostatecznie wyrokującą o epoce, której one sięgają.

Z przytoczonej tu podwójnej, acz niezbyt różniącej się w obu razach, klasyfikacji p. Antonowicza, widzimy, że z całą ostrożnością doświadczonego archeologa decyduje się on pewnej tylko grupie przyznać cechy etniczne, pewną tylko grupę typów grzebalnych uważać za słowiańską, że więc te tylko kurhany, które ją zawierają, uważać należy na przestrzeni, badanej przez niego po prawej stronie Dniepru, za sypane przez Słowian. Nawet nie wszystkie t. zw. scytyjskie należy brać za takie ze stanowiska etnicznego, ponieważ nazwa ta może być niejednokrotnie tylko przygodną, gdyż odpowiedniejszej a bardziej szczegółowej dla nich jeszcze nie mamy.

¹⁾ Patrz „Bibl. Warsz.“ z r. 1894, m. listopad, str. 352.

VII.

Zarówno klasyfikacya prof. Samokwasowa, jak i ta, którą przedstawił tymczasowo prof. Antonowicz, nie wyczerpują przedmiotu. Nie jest to wina ich autorów ze względu na obecny stan nauki, jednakże poprzestać na nich niepodobna. To też poszukiwania, czynione na obszerną skalę przez różne osoby w okolicach Zwinogródki, Smiły i w pow. Humańskim, jak niemniej po lewej stronie Dniepru w gub. Połtawskiej pod Romnami, dały z kolei podstawę hr. Bobryńskiemu do usystematyzowania kurhanów po obu stronach środkowego biegu Dniepru ¹⁾. Zestawiwszy dawniejsze poszukiwania i oparte na nich klasyfikacye, przedstawił autor wiele nowych szczegółów, które mu posłużyły do wyjaśnienia niektórych cech, pominiętych lub zaledwo naszkicowanych przez jego poprzedników. Nazwy epok „przeddziejowa” lub „cymbryjska”, nie uważa za odpowiednie dla najdawniejszych kurhanów na południu Rosyi Europejskiej; równie też wyrażenie „okres kamienia” wydaje mu się nie dość dokładnem, ponieważ nie cechuje tych, rzadkich wprawdzie, przedmiotów bronzowych, które jednak tu się trafiają; proponuje więc hr. Bobryński połączenie dwu dawniejszych terminów: „wiek kamienia” i „wiek brązu”, tworząc w ten sposób najwłaściwsze, zdaniem autora, miano: „okres kamiennie-bronzowy.” Jednocześnie wszakże powiada, że należy go podzielić na dwa działy: „dawniejszy”, jako wyłącznie kamienny, i „nowszy”, czyli taki, w którym już ukazuje się brąz. Oprócz znanych już nam cech tego całego okresu, dodaje dla działu pierwszego nowe a ciekawe paleontologiczne i osteologiczne spostrzeżenia, mianowicie: narzędzia bywają wyrobione z kłów dzika, kości końskich prawie zupełnie brakuje; natomiast zaś wielką spotyka się ilość bydłych (*bos primigenius*), bobrowych, niedźwiedzi, wreszcie muszli rzecznych. Dowodzi to, że ludy, które sypały najdawniejsze kurhany w tej części dniewego dorzecza, prowadziły życie osiadłe, do którego konie nie był potrzebny, że się mogły trudnić rolnictwem, a przynajmniej pasterstwem, w dodatku zaś rybactwem. Przedmiotowe cechy drugiego działu okresu kamiennie-bronzowego odpowiadają mniej więcej przytoczonej wedle prof. Antonowicza przedmiotowej zawartości kurhanów jego „wieku kamienia.”

Epokę scytyjską, której nazwę uważa i hr. Bobryński za konwencyonalną, warunkową, a dogodną teraz jeszcze dlatego, że jest

¹⁾ „Kurhany w okolicach Smiły.” T. II, str. XVI i nast.

w powszechnem użyciu, gdy innej, odpowiedniejszej, dotąd nie obmyślano, — dzieli również na dwa okresy: dawniejszy i neoscytyjski. W pierwszym przeważają wyroby wprawdzie bronzowe, lecz niezgrabne, miejscowe, z domieszką bądź dawniejszych krzemiennych szlifowanych, bądź nowych żelaznych, rzadko napotykanym, a bardzo pierwotnego wykonania. Pod względem osteologicznym okres ten cechują kości baranie, zawarte w glinianych naczyniach nader prostego wyrobu; tylko w rzadkich wypadkach znajdujemy tu czarne urny, roboty wprawdzie greckiej, lecz nader słabego wykonania. Następnym okresie neoscytyjski zastajemy już w pełni rozwoju miejscowych stosunków z koloniami greckimi, ponieważ przeważają w nim nawet arcydzieła sztuki, wyrabiane z kruszców szlachetnych. Idąca za tym okresem epoka, Sarmacką przez prof. Samokwasowa nazwana, nie odpowiada zdaniem hr. Bobryńskiego tym cechom, które jej nadają; nie o niej jeszcze wyrokować nie można, gdyż nie jest dostatecznie znana, sama zaś jej nazwa wydaje mu się, i słusznie, zbyt wczesnie zadekretowaną; natomiast na cechy i nazwę epoki „Słowiańskiej” bez uprzedniego dodatku „Anto”, zgadza się on najzupełniej. Co się tyczy piątej epoki, „Mongolo-tatarskiej”, nie uznaje wcale potrzeby dawania jej tej nazwy, ponieważ w każdym konkretnym wypadku można szczegółowo odróżnić nie tylko tę całą epokę od poprzednich, lecz i sam wiek usypiania kurhanu w jej czasach oznaczyć.

Na podstawie powyższych rozumowań oraz tych archeologicznych odkryć, które w dorzeczu środkowego biegu Dniepru zrobiono, proponuje autor swoją dla tegoż dorzecza klasyfikację kurhanów w sposób następujący: I. Epoka kamiennie-bronzowa, podzielona na dwa okresy: a) najstarszy, właściwie kamienny i b) nowszy, kamiennie-bronzowy; II. Scytyjska, również z dwu okresów złożona; III. Przejściowa między scytyjską a słowiańską, czyli ta, którą jedni sarmacką, drudzy zaś rzymską mianują, i IV Słowiańska, od VI do XIII stulecia. Wobec tego, że propozycje te zostały przedstawione szerszemu ogółowi całkiem świeżo, gdyż zaledwo kilka miesięcy temu, nie wiemy, jak się względem nich zachowa krytyka specjalistów. Są w nich wszakże szczegóły tak ważne, że się z nimi bardzo liczyć wypadnie. Naszym zdaniem, okres czystego kamienia powinien stanowić bardziej odrębną całość sam przez się. Niema racji zaliczać go do epoki „kamiennie-bronzowej”, jeśli w nim bronzu nie znajdujemy. Stanowić on powinien jedną całość, epokę kamienia wyłącznie, po której najchętniej zgadzamy się na nazwę następującej, kamiennie-bronzowej, jako takiej, która zarówno jedno, jak drugie, zawiera.

Scytyjska bardzo słusznie może być podzielona na dwa okresy, ponieważ obie one zawierają nader liczne wspólne cechy, posiadając każda z osobna inne, wyłącznie tylko jej przynależne.

Uważamy tu za właściwe przytoczyć spostrzeżenia autora, z których wnioskuje o chronologicznym porządku sypania kurhanów w dwu pierwszych, wedle jego klasyfikacji, epokach: „Wypada mi powiedzieć jeszcze nieco o niewątpliwych cechach dwu pierwszych epok, ponieważ zdarzało mi się spotykać powątpiewania tego naprzykład rodzaju: czy mogły, zawierające cechy epoki kamiennie-bronzozej, są w istocie dawniejsze od scytyjskich, nawet takich, w których się znajdują przedmioty sztuki greckiej.” Otóż zdaniem naszym, podobnego zarzutu nie mógł-by nikt poważnie uczynić, gdyby w klasyfikacji hr. Bobryńskiego istniał, jako najpierwszy, zamknięty w sobie, całkowity dział czystego wieku kamienia. Tylko połączenie tego okresu z bronzem może zrodzić powątpienia co do niektórych, a mianowicie zawierających ten metal, kurhanów. Lecz wobec połączenia tych obu okresów, autor całkiem słusznie powiada, „czyniono mi uwagi, że podczas przesiedlania się ludów mogło się zdarzyć, że plemię, znacznie mniej rozwinięte (kulturalnie), wyrugowywało naród bardziej od niego cywilizowany; stąd pierwotniejsze typy przedmiotów, służących do użytku, oraz broń, którą się posługiwały narody mniej cywilizowane, mogły zostać złożone w kurhanach nie pierwaj, lecz przeciwnie, później, aniżeli przedmioty greckiej cywilizacji, która wraz z używającym je narodem została wyrugowaną przez nowo-przybyłych.” „Przeciw takim przypuszczeniom mamy wiele dowodów, a mianowicie, stan obecny ludzkich kości, które po większej części w kurhanach kamiennie-bronzozej epoki są tak źle zachowane, że doszły do nas już tylko w postaci pyłu lub drobnych odłamków, gdy przeciwnie, czaszki i inne części szkieletów epoki scytyjskiej zachowały się doskonale.” Skoro zaś jedne i drugie zostały złożone w twardej nieprzepuszczalnej białej glinie, więc nie wilgoć, lecz czas był przyczyną tej różnicy w ich stanie przechowania się. Nie tylko ta oznaka, mówi dalej autor, ale i zabarwienie stanowi tu wzajemną różnicę na równi z samymi osteologicznymi cechami. Odłamki kości głów z epoki kamiennie-bronzozej wyróżniają się bowiem wydłużeniem czaszki, poziomym kierunkiem t. zw. *cristae temporales*, głębokimi brózdami, świadczącymi o rozwoju męskulatury, który, jakkolwiek bardzo wydatny i w epoce scytyjskiej, nie jest nigdy posunięty do tego stopnia, jak w poprzedzającym ją okresie. Nadto, wygięcie i grubość obojczyka oraz kości łokciowej, jak również kształt bioder i szablatość goleni, wymiary stopy, nie pozwalają wątpić o starożytności tej ludzkiej rasy, która te wszystkie cechy posiadała.

Jeżeli w grobach typu najdawniejszego nigdy nie znaleziono przedmiotów żelaznych, lecz same krzemienne, kościane lub gliniane, wyjątkowo zaś tylko brązowe; jeżeli na odwrót tam, gdzie się znajdują przedmioty sztuki greckiej, niema tamtych: to takaróżnica między typami grzebalnemi sama przez się stanowi granicę między temi dwiema epokami. A cóż dopiero, gdy się uwzględni, mówi dalej autor, że w kurhanach, zawierających dwa lub więcej grobowych pięter, tylko wyjątkowo znajdujemy typ dawniejszy, schowany wyżej od typu bardziej do nas zbliżonego. Nawet i w takich wypadkach mamy do czynienia z t. zw. „groby wstawianemi”, czyli takimi, które zostały zbudowane pod kurhanem, już dawniej istniejącym, jak tego dowodzą przykłady, znajdowane w okolicach Kercy.

Bywały przypuszczenia, że bogate kurhany typu scytyjskiego, wznoszono na cześć osób, bardziej zamożnych, gdy przeciwnie, inne, t. j. te, które nie zawierają żadnych przedmiotów sztuki, lecz skielety skórczone, sypano nad grobami ludzi uboższych. Przeciw temu świadczy naprzód wyżej wzmiankowany stan kości, następnie zaś sama wielkość kurhanów, która, jak w jednym, tak i w drugim wypadku, bywa zarówno imponującą. Pytanie, czy podczas wędrówek narodów nie mogło plemię najeźdnicze, a mniej cywilizowane, usunąć miejscowego, bardziej kulturalnego narodu, otrzymuje odpowiedź przeczącą, ponieważ gdyby tak było w istocie, należało-by przypuścić zwycięstwo gorzej uzbrojonego nad takim, który posiadał wyższy, łatwiejszy, a odpowiedniejszy do boju rodzaj uzbrojenia. Gdyby jednak przypuścić, że się stało na odwrót, t. j., że plemię najeźdnicze samą liczebną przewagą zdołało usunąć miejscowe, słabe ilością swych osobników, to w takim wypadku zwycięzcy nie omieszkali-by przywłaszczyć sobie tych ulepszonych przedmiotów, które u zwyciężonych znaleźli, i napotykalibyśmy je chociażby tylko w grobach znakomitszych najeźdniczych przywódców, czyli w większych kurhanach tego typu, który za kamienno-brązowy uważany. Tak jednak nie jest, mówi autor.

Co do wyrobów z kamienia, przeważnie młotów szlifowanych, istnieje mniemanie Kirchnera ¹⁾, w polskiej literaturze podtrzymywane przez Wolańskiego ²⁾, że one zostały nawet wtedy attributem religijnych obrzędów, kiedy już metale zastąpiły kamień w powszednim użyciu; skąd wniosek, że je wyrabiano w czasach brązu, dla składania umarłym do grobów. Zwyczaj ten tłumaczy używaniem mło-

¹⁾ *Tyszkiewicz Konst.* „O kurhanach”, str. 190.

²⁾ „Odkrycia najdawniejszych pomników”, str. 38 i nast.

tów kamiennych (miölnir) przez kapłanów Thora, który był bóstwem, przybyłem jakoby z Azyi wraz z Aryjczykami.

Przeciw takim wnioskom hr. Bobryński oświadcza się najkategoryczniej, twierdząc zgodnie z Tyszkiewiczem ¹⁾, że młoty kamienne znajdują się rzadko w kurhanach, a przeważnie na polach; teorię specjalnych pogrzebowych wyrobów z kamienia odrzuca on w zupełności, gdyż, zdaniem jego, trudno przypuścić, żeby w czasach, kiedy wiadano, iż wszelki metal daje się o wiele łatwiej obrabiać, aniżeli kamień, mógł ktokolwiek tracić swe siły na tak trudną, a często niewdzięczną pracę, jak wiercenie otworów w kamieniu, przy której często mierał się psuł i cała robota szła na marne. Użycie więc kamienia w epoce późniejszej, niż kamienno-bronzowa, nawet w tak specjalnej formie jak religijne obrzędy, stanowczo, zdaniem hr. Bobryńskiego, odrzucić należy.

Skreśliliśmy tu ogólną charakterystykę kurhanów; pobieżnie dla przestrzeni większych, bardziej szczegółowo dla tych, gdzie żyły ludy, których przeszłość zajmować nas będzie w dalszym ciągu tych monografii. Zanim jednak do właściwej dziejowej ewolucji przejdziemy, przepatrzmy wkrótce spuściznę, którą nam przechowały tutejsze mogiły wraz z innemi pozostałościami, aby mózdz wyobrazić sobie prawdopodobne życie przeddziejowe w stronach tutejszych.

KSAWERY CHAMIEC.

¹⁾ 1 c.

Z cyklu „ITALIA.”

Rafaël.

„MADONNA DEL CARDELINO“ ¹⁾).

Więc idąc z synem w zachodu czas,
W oblaski mżące,
Na polnym głazie przysiadła raz,
Na kwietnej łące.

A iżby bliższy synaczek był
Tej świętej ziemi,
Z kolan go puszcza w podolny pył,
Stopki bosemi.

¹⁾ Florenceya Uffizi. Tribuna.

I zagrał szumem srebrzystym łąn
Na traw cytarze,
I przyniósł dziecku pastuszek Jan
Szczygliki w darze.

I pstre się piórka w zachodzie lśnią
I złotem kraszą.
A chłopię wznosi rączyne swą
Nad główką ptaszą.

I patrzy w dal gdzieś, patrzy wzwyż,
W bożej wszechwiedzy,
I rzecze: Oto stanie mój krzyż
Na polnej miedzy...

Stanie wśród olchów, wśród kalin gron,
W zaraniu złotem,
I ośpiewany będzie krzyż on
Ptasim szczebiotem.

I stanie krzyż mój wśród cichych siół
Na dróg rozstaju,
I skłoni brzoza po nad nim w dół
Gałązki w maju.

I ofiarowan będzie mój ból
Za wszystkie one,
W ziemi tej smętnej, wpośród tych pól,
Gniazda zburzone...

I ofiarowan będę ja sam,
W polu czerwonym,
Za rzesze ptasze pobite tam
Jastrzębim szponem.

I koronowan będę, ja—król,
Z ciernia koronę,
Za rzesz skowronczych krzywdę i ból,
Za pieśń zduszoną...

I wydám pot mój i wydám łzy,
I krew położę,
Za te ptaszęta, co je wichr zły
Poniósł za morze.

I stanie nad mym krzyżem na znak
Tęsknoty gwiazda,
Żeby mógł znaleźć tułaczny ptak
Drogę do gniazda.

I słucha matka, i schyla skroń
W smętnej zadumie,
A hejnał cichy gra kwietna błoń
W wiosennym szumie.

LUINI ¹⁾.

W „Gran Monastero“, pomiędzy filary,
Jest wirydarzyk, jak był w Nazarecie.
Tam święta Pani piastuje swe dziecię,
Przesłodkie lico ów mistrz dał jej stary
I zmienił w ołtarz mur nagi i szary,
Boskiego piękna posiawszy nań kwiecie.

¹⁾ Fresk. Medyolan, San Maurizio (Gran Monastero).

W „Gran Monastero“, gdy słońce zaświeci
I blaskiem ciśnie z wysoka po murze,
Wnet mur zakwita w lilie i róże,
I taką wiosną fresk stary się kwieci,
Że od Vercelli złudzony ptak leci,
I w pióra bije, i dzwoni w lazurze.

W „Gran Monastero“, gdy powiew uderzy
Przez wąskie szyby, przez okna gdzieś w górze,
Dech słodki dają lilie i róże,
Z starego fresku woń cudna się szerzy,
I wieje zapach majowy i świeży,
Jak gdybyś kwiecica postawił tam kruże.

W „Gran Monastero“, gdy smętnych dni słoty
Wleczesz, pątniku, po życia pustyni,
Idź przed ten filar, gdzie stary Luini
Powiązał kratę przedziwnej roboty,
I sypie przez nią deszcz kwietny i złoty,
Aż się znów wiosna w twej piersi uczyni!

MARYA KONOPNICKA.

KRASZEWSKI JAKO ESTETYK.

1836—1860.

Dla Kraszewskiego doba współczesna niesprawiedliwą jest bardzo. Najmłodsze pokolenie czyta go więcej z obowiązku, niż z zamiłowania. Pisarz, który wybudował całe miasto, gdzie wprawdzie dużo jest lepianek z gliny, ale obok których świecą takie dzieła sztuki, jak *Morituri*, *Dwa Światy*, *Powieść bez tytułu*, pisarz, o którym słusznie Michał Grabowski powiedział, że z beletrystów naszych największą miał erudycję, a z erudytów najwięcej talentu, tytan pracy, jak go do niedawna nazywano, nestor powieściopisarzy polskich i chwała piśmiennictwa, idzie powoli w zaniedbanie. Nawet krytycy i estetycy nie dość się nim zajmują. Zdawało-by się, że hołdy, składane autorowi *Starej Baśni* za życia, wspaniałym uwieńczone jubileuszem, wyczerpały zapal i cześć ogółu dla niepospolitego talentu. Wpływ jego na nas potężny trwa do dziś jeszcze i nie prędko zniknie, tak silny był impuls jego twórczości, pamięć tylko o nauczycielu i kierowniku kilku pokoleń nie dosyć jest żywa.

Powinno to być za zasługę poczytane firmie S. Lewentala, że podjęła i przeprowadziła cenne wydawnictwo wyboru pism Kraszewskiego. Mamy właśnie pod ręką oddział dziesiąty tego wydawnictwa, zawierający studia i szkice literackie, zebrane i wstępem krytycznym poprzedzone przez Piotra Chmielowskiego. Ciekawa to książka, istne

silva rerum, zbiór bogaty i rozmaity dokumentów literackich. Tysiąc stroniec bez mała zawiera ogromny tom szkiców, listów i rozpraw, pisanych niekiedy z wielkim ferworem, a zawsze barwnie i zajmująco. I czegoż w tej książce ciekawy czytelnik nie znajdzie! Zarówno obszerną monografię o Syrokomli, jak ciętą odprawę, daną Eugeniuszowi Sue za *Marcina Podrzutka*, studia nad Klonowiczem, Kochanowskim, Szarzyńskim, Naruszewiczem i luźne „gawędki” o sztuce, „słówko” o Kazimierzu Brodzińskim i streszczenie ciekawych pamiętników Józefa Bedleńskiego, o *Legendzie Wieków* Wiktora Hugo i rzecz o Szyllerze, estetyczne rozprawy o poezyi, dramacie, powieści i łajania na krytykę ówczesną, uwagi nad przekładem Hamleta i nad kroniką Strykowskią, rozbiór książki Grabowskiego „Literatura i krytyka” i obrona romantyzmu, przeprowadzona już za naszych czasów. Taki jeden tom zapewnił-by rozgłos każdemu z dzisiejszych krytyków, a przecież to tylko drobna pozycja w spisie chronologicznym utworów Kraszewskiego, jaki w dodatku do książki na dwudziestu czterech stronicach profesor Chmielewski nam podał.

Co w tym zbiorze rozpraw krytycznych najbardziej zasługuje na uwagę, to poglądy Kraszewskiego na cel i istotę piękna, na znaczenie i dążności literatury i na środki, jakimi rozporządzać winna. Jego monografie i studia nad pisarzami polskimi, zwłaszcza rzecz o Syrokomli, dotąd zachowały swą wartość, ale jego dociekania estetyczne są nadewszystko znamienne i charakteryzują epokę. Kraszewski, przemawiający jako estetyk w czwartym dziesięciu naszego stulecia, dziś u jego schyłku powinien jeszcze otrzymać posłuch, bo choć poglądom znakomitego pisarza brak oryginalności, a nadewszystko podstaw filozoficznych, bez których, mimo wszelkie wyrzekania Veronów na „dowolną outologię”, nie ostoi się żadna umiejętność, choć zawsze w nim więcej było publicysty, niżli uczonego, przecież żywe poczucie piękna i jasne zrozumienie zadania artysty, widniejące w wielu rozprawach omawianej książki, nadto epoka, w której te rozprawy powstały, najzupełniej upoważniają nas do oceny w niniejszym artykule krytycznej działalności autora „Dwu Światów” z pierwszego dwudziestopięcioletnia.

I.

Gdy się czyta barwne i zajmujące *Studia* i *Nowe Studya*, oraz *Listy literackie*, *Gawędki o Sztuce*, *Wrażenia Teatralne*, o *Szyllerze*, lub o *Kazimierzu Brodzińskim*, gdy się przerzuca liczne stronicy dziesiątego oddziału *Wyboru Pism* Kraszewskiego, mimowolnie z ust wychodzi

okrzyk: niestety, nic nowego pod słońcem! Bo przypomnijmy tylko sobie, z jaką butą zuchwała a pewnością siebie po dobie romantyzmu rozległo się hasło tam, gdzie najwięcej blagi, a najmniej natchnienia, nad brzegiem Sekwany, hasło, co miało reformować sztukę, nowa nauka o nagiej prawdzie w utworach fantazyi. I oto znowu „Francuzi wymowni zrobili wynalazek, że ludzie są równi, „choć księża o tem dawno nauczali z ambony”; bo w roku pańskim tysiąc osmset trzydziestym drugim, więc z górą pół wieku temu, pisarz, K. F. Pasternak, w artykule p. t. „Rzut oka na ścieżkę, którą poszedłem”, wypowiada pogląd, że „do pisania powieści główną, najgłówniejszą zaletą jest to, co przeszłego wieku i niektórzy nasi pisarze mieli za nic—*kopiowanie wierne i nieprzesadzone*“ (tak).

„Co za fałsz, jaki błąd!”—woła dalej oburzony autor na tych współczesnych sobie pisarzy, którzy ośmielali się tworzyć ze szkodą prawdy. „Nie chcą oni ludzi wystawiać ludźmi i sądzą, że ich bohaterowie, aby być wielkimi, nie powinni mieć żadnych wad, żadnych przywar ludzkich, żadnego cienia, przy którym-by się światło mocniej odbiło. Lesage nie miał przebiegłości, nie miał poznania serca Yoricka—prowadzi on nas po kątach ze swym dyablem kulawym i pokazuje nam ludzi—*prawdziwych ludzi*.”

W dwutomowej powieści, wydanej w 1834 roku, p. t. „Cztery Wesela”, Kraszewski, ciągle jeszcze hołdując krańcowemu realizmowi, stosuje teorię w praktyce i, na kilka dziesiątków lat ubiegając dzisiejszych naturalistów, rad nurza się w brudzie. Jedna z heroin powieści tak się z przekąsem wyraża o utworach bardziej idealnego zakroju: „Wszystko przesadzone! z nich takie można mieć wyobrażenie o świecie, jak z podróży Guliwera o zamorskich krajach. Niejeden pisarz poświęca prawdę dla stylu, nakręca uczucie do poezyi, wypadki do liczby tomów i rozdziałów. Biedna-bym była, jak każda inna, gdybym, jak wiele moich towarzyszek, czekała od świata tego, co świat przez ręce *niewiernych swoich apostołów* obiecuje; zajrzałam pod uchylony rożek zasłony uroku i widziałam *nagą rzeczywistość*.”

Ta realistyczna bohaterka romansu, pożądaną „nagiej rzeczywistości”, prawdy bez osłonek, oczywiście gwoili zaspokojenia ciekawości, lub podrażnienia zmysłów, a idealistów mieniącą niewiernymi apostołami świata, mogła-by śmiało i z powodzeniem wystąpić w każdym utworze naturalistycznym. Ale bo też ówczesne poglądy Kraszewskiego, choć tak dawne, niczem się prawie nie różnią od najświeższych, dzisiejszych haseł literackich, a ta tylko między obu epokami zachodzi różnica, że kiedy nasz powieściopisarz, mówiąc o sztuce, żadnych praw do oryginalności nie rościł, współcześni założyciele szkół i szkółek, powtarzając hasła, stare jak świat, zdają się naiwnie wie-

rzyć, że sztuce nowe otwarli horyzonty. Prawda, rzeczywistość, obserwacja, doświadczenie i tym pokrewne wyrazy, równie gęsto spotkać można w studyach Kraszewskiego, jak w pierwszej lepszej współczesnej recenzji. Bo z dzisiejszej recenzji zdaje się być wyjęty taki np. ustęp: „Długo romans wyłącznie pilnował się ścieżki, prowadzącej do kościoła lub cmentarza, po tysiącznych zmianach losu, które, jak w *Tysiąc-Nocy*, czyniono dziwnymi, odznaczonemi *kosztem prawdy*. Wówczas nie był on jeszcze obrazem obyczajów żadnego wieku, bo zależał jedynie i wyłącznie na wypadkach, ich niespodzianości, różnaitości i liczbie. Dopiero Cervantes, Fielding, Lesage, sprowadzili go na drogę właściwszą obrazów, przestał być dziwnym (romans), a zaczął być *prawdziwym*, nie co do faktów i osób, lecz co do ogólnych rysów, charakterów i prawdopodobieństwa.” (O polskich romansopisarzach).

„Niema nic, nawet w świecie sztuki, prawdziwszego nad prawdę, —oddalenie się od niej, odstępianie jej czuć będzie fałszem”, woła nasz autor kilka lat później w *Nowych Studyach*, a ten żywy kult „nagiej rzeczywistości” znajduje u niego wyraz niejednokrotnie nawet wtedy, gdy inne poglądy, niemal jednocześnie wypowiedziane, w jawnej z tym kultem znajdują się sprzeczności. Bo, że Kraszewski, jako artysta, w końcu stał się odstępą od tej „prawdy”, którą tak wysoko podnosił, to bardzo naturalne. Musiał się nim stać, bo tworzył. Na rolę kopyisty trudno mu się było decydować. Praktyka zatem często przeczyła teorii, która w końcu także musiała ulegć kardynalnemu przeobrażeniu. Pisząc tak wiele o literaturze i głosząc z innymi modną dzisiaj jeszcze a płytką, bałamutną i nic nie mówiącą teorię, iż celem sztuki jest tylko prawda, Kraszewski nie mógł nie spostrzedz, że nauka taka jest zaprzeczeniem sztuki. Bo jeżeli chodzi o wierne, ściśle, możliwie dokładne kopie nagiej rzeczywistości, to dokonać tego potrafi każdy sumienny reporter lub fotograf, pozbawiony fantazyi. Talent tu na nic się nie zda, owszem, może być tylko przeszkodą. Bo talent mierzy się siłą i naprężeniem twórczej wyobraźni, która gruntownie, zasadniczo przeobraża rzeczywistość. Ta płocha, kapryśna, brylantowa fantazyja artystyczna drwi sobie najwyraźniej z pustych formułek szolarzy i, jakby im na złość, rumakom do boków skrzydła przypina i pegazów z nich czyni, lasy, jeziora i knieje zaludnia tłumem duchów, stwarza istne państwo cieni, oświetlone blaskiem magicznym, wprowadza melodyę i harmonię tam właśnie, gdzie chaotyczny rozdźwięk panował, potęguje wszelki wdzięk przyrodzony drogą kontrastów i zawsze bez wahania najoczywistszą oczywistość poświęca fikcyi, która się pięknem nazywa.

Czuł to dobrze nasz autor, zwłaszcza, gdy jął się pisania powieści historycznych. Jeżeli w romansach współczesnych dewiza „sztuka

dla prawdy", od biedy mogła ostać się jeszcze, krępując polot wyobraźni pisarza, to za to w utworach, na tło dziejowe rzuconych, hasło to brzmiało niby szyderstwo z rozsądku. Oczywiście, prawdy historycznej w żadnym razie nie mogą wyświeślać artyści. To pracownicy, nie zasługujący na wiarę. Oni wszystko zabarwiają swym indywidualizmem. Tę robotę należy powierzyć uczonym, świadomym krytycznego badania dokumentów. Niechże poeci i romansopisarze nie tykają przeszłości, bo ją przekształcą tylko i skażą. Do takiego wniosku musiał w końcu doprowadzić płytki szkolarski realizm, jakoż w końcu doprowadził. A choć wówczas, gdy Kraszewski tworzył *Witoldowe Boje* i *Czasy Zygmunto wskie*, nie zaprzeczano jeszcze sztuce prawa do historii, zrodziły się już w umysłach, hołdujących przedewszystkiem prawdzie, poważne wątpliwości, czy czasem dramata i powieści historyczne nie powstają kosztem samej historii. Probował wątpliwości te usunąć ze względu na publiczność i na samego siebie Kraszewski, ale, że z fałszywego wychodził założenia, więc w jawne popadał sprzeczności. Dość przeczytać choćby znamieny artykuł o „prawdzie w romansie historycznym.” (Nowe studia literackie).

Zaznaczywszy, że artysta czerpie do dzieła sztuki wątek z otaczającej go rzeczywistości i że po swojemu go tylko przeobraża, właściwie nic nie stwarzając, Kraszewski na samym wstępie usiłuje usunąć trudności, jakie po dziś dzień nastroczą każdemu estetykowi formułki i recepty szkolarzy, i w romansie historycznym dwójaką różnią prawdę: artystyczną i historyczną. Ponieważ romans jest przedewszystkiem dziełem sztuki, zatem prawda dziejowa staje się tylko środkiem w ręku artysty dla osiągnięcia głównego celu—prawdy artystycznej. Mimo to jednak, nie należy pod żadnym pozorem fałszować czyli przekształcać faktów, przeciwnie, zaleca się dokładne poznanie materiału historycznego, zwłaszcza ducha epoki, jaką zamierza odtworzyć artysta. Dla zachowania swobody w tworzeniu radzi Kraszewski romansopisarzom unikać wielkich postaci historycznych lub wypadków powszechnie znanych, wykluczających zarówno wszelki domysł, jak wymysł, a wyłącznie zaleca tworzyć typy i charaktery, rzucone na dokładnie odmalowane tło dziejowe. „Jak w obrazie historycznym nie są, pod względem sztuki, koniecznością portrety, i najpodobniejsze twarze nie zastąpią wyrazu i życia, tak w historycznym romansie ścisłość historyczna nie zastępuje także prawdy artystycznej, a połączona z nią, dopiero doskonałą całość stanowi.” W zakończeniu artykułu stawia autor Walter Skotta, jako wzór do naśladowania romansopisarzom.

Zatem prawda faktyczna jest tylko środkiem w sztuce, ale środkiem, którego zgoła tknąć nie wolno. Jakim go daje rzeczywistość,

takim go ma pisarz ściśle i wiernie przedstawić. Z drugiej strony ma także, a nawet wyłącznie, strzedz prawdy artystycznej. Mamy więc dwie prawdy, dwa cele, do których zazwyczaj wiodą dwie wręcz przeciwne sobie drogi, i po nich-to ma jednocześnie kroczyć pisarz historyczny. Wobec tak ciężkich warunków tworzenia, nie dziw, że całe szkoły literackie wyrzekły się dziejów, jako artystycznego materiału, i zakazują obrabiać go innym.

Teoryom takim, dzisiaj bardziej jeszcze, niżli wówczas, modnym, musiały zaprzeczyć fakta. Inaczej być nie mogło. Na szczytach naszej twórczości literackiej świeci poemat, o którym powiedziano, że kształci pokolenia, który stawiano wyżej od *Pana Tadeusza*, pieśń wulcaniczna o losach Aldony.

Natchniony poeta wątek historyczny zda się na strzępki porwał, szaleńca i niedołęgę zrobił bohaterem, zadał kłam kronikom, prawdę dziejową podeptał, jak Konrad klejnoty Zakonu, i słuchacze pochylili głowy. Mamyż ten wielki hymn poświęcenia postawić na równi z historycznymi śpiewami Niemcewicza, lub raczej kronikarskim opowieściom Twardowskiego dać pierwszeństwo? Właściwie takby należało, gdyby prawda, doświadczenie i obserwacja, mówiąc dzisiejszym językiem, stanowiły cel i środki poezyi.

Nie Kraszewski był wynalazcą tej fałszywej nauki, on tylko jeden z pierwszych u nas ją głosił, bez wielkiego zresztą przekonania. Niejednokrotnie, sam nie zdając sobie z tego sprawy, ostro przeciwko niej występował i jej apostołów gromił. Posłuchajmy, jak wymownie broni niezależności i godności sztuki w artykule, pełnym zapału i silnej argumentacji, p. t. „O celu powieści.”

„Są tacy, a do ich liczby najznakomitszych włączyć potrzeba, co chcieli-by powieść, *utwór przede wszystkim artystyczny* z natury swojej i artystyczny cel mający *przed wszystkimi*, uczynić sługą myśli socyalnych, politycznych przekonań, wyrobnicą filozofii popularnej i t. p. Tu już zgodzić się na ich żądanie nie możemy i odrzucić musimy rodzaj niewoli, w której nas zaprządz usiłują.” Na zapytanie, gdzie cel powieści, trafnie odpowiada: w wyrobieniu, w szczegółach, w obrazach. I dalej: „Rozumowane prawdy wcielić się muszą, oblec szaty cielesne i z całą artystyczną ozdobą, odblaskiem, wystąpić przed czytelnikiem. Celem więc powieści nie argumentacja, ale przemawianie do uczucia.” Zapomniał dodać: i do wyobraźni.

Przeciwko tendencyi w sztuce stanowczo oświadczają się w tym artykule Kraszewski, choć potem sam pisywał powieści mocno tendencyjne. W każdym razie cel, tendencja, mają być organicznie powiązane z dziełem, mają stanowić część jego składową. Trudno się na takie zdanie nie pisać: „Cel winien jak krew płynąć w całej powieści

i ożywiać ją niewidoczny; powinien najdrobniejsze naczynia jej wypełniać, drgać w każdym jej ruchu, a nigdzie, chyba w rumieńcu uczucia, na jaw nie wychodzić. Gdzie ta krew rozlewa się i płynie, jak z rany rozciętego ciała, pisarz wstręt wzbudza i odpycha."

A nie tylko przed utylitaryzmem broni się Kraszewski, nie przepuszcza także tym moralistom, którzy artyzm radzi-by poświęcić etyce. Sztuka nie ma za zadanie ani uczyć, ani umoralniać, ale wzruszać. Powinna dawać wrażenia artystyczne, nie więcej. Do utylitarystów i moralistów zwraca się Kraszewski w te słowa: „Nie czynicie z niej (z powieści) prozę, ani kucharki, co-by wasze pomysły wylewała, ani starej baby, wodzącej dzieci na pasku. Jeśli nie chcecie zostawić jej, jak była wprzód, swobodnem dziecięciem, co zbiera kwiaty na wieńiec po łąkach, nie zmuszajcie jej przynajmniej do prania ścierek i wylewania brudów."

Jako wzór doskonałej powieści, drgającej życiem w plastycznych obrazach, beztrendycyjnej a przecież z głęboko ukrytym celem stawia Kraszewski *Don Kichota*. Gdyby Cervantes myśl przewodnią swego arcydzieła wyraził dydaktycznie, nie znalazł-by nigdy czytelników. Ale w *Don Kichocie* cel utworu wcielił się w kreacye i wytrysnął czynem. „Może też autor, sam o tem nie wiedząc, wyraził, z czego sobie sprawy nie zdawał; a ten sposób wcielenia myśli jest rękopięcią najlepszą silnego jej objawienia."

Jest to jedna z najgłębszych uwag Kraszewskiego, jako estetyka. Tu spotkał się nasz romansopisarz z Kantem, dla którego znamioną cechą natchnienia jest, iż działa nieświadomie, z siłą żywiołową, tworzy, jak natura. Na tem właśnie genialność polega. Dlatego wszystkie arcydzieła są dziwnie proste, gdyż powstały jakby bez udziału refleksyi. Natchnienie wytryska samorodnem źródłem i płynie jak potok—gwałtowne i niepohamowane. Taki pęd twórczej siły wieje np. z improwizacyi Konrada i w wielu miejscach u Szekspira.

Ale nie tylko uczeni i moralisci, lecz także socyologowie i politycy chcieli użyć poezyi do swoich celów. I na nich też powstaje Kraszewski, przepowiadając, że Heine, Freiligrath, Hervegh, „będą to dla przyszłości dokumenty historyczne, ale nie poeci, i zimny Goethe wyżej stanie od nich wszystkich." Wprawdzie co do Heinego, nie ziściła się przepowiednia, ale bo też *Księga Pieśni* opiewa miłość, nie politykę.

Skoro tylko Kraszewski przestaje doszukiwać się „prawdy" w sztuce, wówczas wykład jego jest konsekwentny, a uwagi trafne. Jego poglądy na stosunek wzajemny pomysłu do wykonania, formy do idei dzieła, aczkolwiek nie oryginalne, bo od estetyków niemieckich zaczerpnięte, zasługują dziś jeszcze na uwagę. A w dobie rozwi-

chrzonego romantyzmu, gardzącego formą, stylem potoczystym, wytwornością języka klasycznego, takie nawoływanie do porządku bardzo było pożądane. Wprawdzie za małą wagę przywiązuje mimo wszystko Kraszewski do formy, zbyt wiele miejsca wyznacza idei, zatem abstrakcyi w dziele plastycznym. „Główną jest myśl dzieła, ale niemniej ważnem wcielenie jej”, powiada w artykule „Literatura jako sztuka”, gdy właśnie dzieje się przeciwnie. Wykonanie stanowi o wartości dzieła sztuki i tylko wykonanie. Można mieć co godzina wielką myśl genialną, a utworu piękna nigdy nie stworzyć. Ten jest artysta, kto myśl abstrakcyjną przyobleka w dotykalne kształty, kto ideę potrafi uzmysłowić w obrazach, kto dla swego pomysłu umie znaleźć formę najbardziej odpowiednią. Na ostatni warunek Kraszewski szczególnie kładzie nacisk, dowodząc, iż jednemu pomysłowi odpowiada forma liryczna, drugiemu epicka, trzeciemu dramatyczna. „Niejeden liryk swoje uczucia, które powinny były wylać się w piękną pieśń, rozbił na niesmaczny, długi, nudny dramat, niejedna satyra ubrała się za epopeę, niejedna epopea przeleciała piosenkami. Spójrzycie ze mną na literaturę niedawną, a znajdziecie co krok pogwałcenie właściwych idei form. Byron dramatyzuje *Manfreda*, Goethe *Fausta*, przedmioty, pozwólcie na to, zwłaszcza pierwszy, wcale nie dramatyczne. Dodaniem akcesoryów wystrychnięto je na dramata, ale idea-matka niemi nie była.“ Tu już jest Kraszewski do zbytku formalistą. *Manfred* i *Faust* są właściwie dramatycznymi poematami i nie dały-by się wyrazić w lirycznej pieśni lub w opowieści epickiej. Źle wybrany przykład nie obala przeto słusznej zasady.

Tak poczynawszy od „nagiej prawdy”, od kopiowania natury, zatem od bezdusznego realizmu, przechodził Kraszewski przez wszystkie fazy estetycznego rozwoju, aż do zrozumienia tego faktu, że natura i życie, to tylko surowy materiał, który pod działaniem żaru wyobraźni i siły uczucia winien aż do rdzenia uleść gruntownym zmianom, aby mogło z niego powstać dzieło sztuki. Ta dojrzałość estetyczna naszego romansopisarza widnieje w rozprawach, poświęconych poszczególnym rodzajom sztuki literackiej, a zatytułowanych: *Poezya*, *Przeszłość i przyszłość romansu* i *Dramat*. (Studia Literackie). Wiele ciekawych, a często trafnych uwag w tych rozprawach, to też przytoczymy je poniżej.

II.

„Pokłon ci wielkie imię—poezyi i wielkie imię—poety, wielkaś, gdy władza twoja niezaprzeczoną jest dziś nawet, choć wiek nie dla ciebie, wiek pieniędzy, reform, analizy, ale nie wiek stwarzania ideal-

nych światów i wzruszania duszy obrazami piękności, szlachetnego, dobrego, wielkiego" (Poezya).

Skarga ta wyszła z pod pióra Kraszewskiego w kilka lat zaledwie po ukazaniu się *Balladyny* i *Pana Tadeusza*, w czasach, gdy Krasziński *Przedświt* drukował i *Psalm*y, a zatem właśnie w wiekustwarzania idealnych światów i wielkich wzruszeń duszy, w wieku, jakiego ani przedtem, ani potem literatura polska nie miała. Skąd więc to zrządzenie? Źródło jego leży w wiecznem niezadowoleniu człowieka z tego, co jest, w nieustannem dążeniu do doskonalenia się i w zapoznaniu własnej epoki. Tylko wyjątkowi ludzie sądzą czas sobie współczesny właściwą miarą. Dla większości umysłów, choćby tak zdolnych, jak Kraszewskiego, teraźniejszość kurczy się, przeszłość olbrzymieje, nad przyszłością jasna zorza świta. Iści się tu prawo perspektywy. Aby osądzić wyniosłość góry, nie można znajdować się na niej, lecz trzeba ją z oddalenia ogarnąć. To też nie jeden pisarz, co rad bada lub odtwarza przeszłość, nie rozumie współczesności. Stąd owe wieczne utyskiwania na „zepsucie” świata w przeciwstawieniu do dawnych lepszych czasów. I wiek XIX uległ temu losowi, wiek potężny, płodny w genialne myśli i w genialne czyny, sam jeden stanowiący epokę, wiek ten schodzi do mogiły oplwany i niedoceniony.

Cóżby powiedział Kraszewski o dzisiejszym stanie poezyi, kiedy dobę jej najwspanialszego u nas rozkwitu nazwał wiekiem pieniędzy, reform i analizy? Rozdarł-by szaty ze zgrozy i ogłosił koniec literaturze. I znówu-by się pomylił. I dziś poezya ma dostęp do serca, jak dawniej, trzeba tylko umieć serca te poruszyć.

Wszakże poetyckie kreacye Sienkiewiczowskiej trylogii potężnie wstrząsnęły czytającym ogółem polskim i nie tylko polskim. Nie poezya, ale wiersz utracił moc swoją i urok. Wykwintna forma rymowana zdaje się być nazbyt kunsztowna dla naszych czasów, dążących do prostoty. To usposobienie czytelników, nieprzyjazne wierszowi, ale nie poezyi, stopniowo i stale się wzmacnia, tak, że kto dzisiaj chce porwać umysły i wpływ na nie wywrzeć, musi pisać prozą. Proces ten widocznie trwa już oddawna, bo przed pięćdziesięciu laty biada nasz autor: „Od tego poszliśmy do twierdzenia, że poezya całe się może obejść bez rymu, wiersza, zatem formy i znajduje się wszędzie, gdzie jest żywo stworzony obraz, wskrzeszona przeszłość, zgadnięty charakter, gdzie ślad duszy w dziele. Dano tylko za warunek poezyi stworzenie obrazu i wlanie w niego ducha; jednym słowem, zasadzono poezję na sile twórczej, ożywczej. Dla czego poszło za tem, że elementa poetyczne i kreacye poetyczne, dostrzegając w pisarzach prozą, osądzono, iż poezya bez szaty swej muzykalnej obejść się całe może, nie wiem. Jednakże choć ta szata nie stanowi poezyi, z niej zupełnie odar-

ta, czy zyska na tem? Zdaje się, że nie." I dalej: „Poezya egzystować może bez tej szaty, to pewna, ale, że odjęcie jej odejmuje jej wiele, czyniąc trudniejszą do spamiętania, zniżając niejako do pospolitego opowiadania, mniej wdzięczną dla ucha ją robiąc, to pewna także."

Oczywiście, iż to nie ulega wątpliwości. Głuche milczenie zaległo świątynię piękna, gdy opuścił ją anioł harmonii. Melodyi słowa nie odczuwa dziś ucho zwykłego czytelnika, wrażliwego jednak na żywy charakter lub obraz. Mogą nad takim stanem rzeczy ubolewać miłośnicy i znawcy poezyi, badacz literacki jednak musi uznać fakty, a pisarze z niemi powinni się liczyć. Zwrot do wiersza nieprędko nastąpi, przeciwnie, znamienne oznaki zapowiadają długie i wszechwładne panowanie prozy.

Trafnie i zwięźle definiuje Kraszewski poezję: „poezya, to obraz, malowany słowami." Właściwa poezya jednak jest obrazem, ale obrazem melodyjnym. Muzyka stanowi narówni z barwą i z kształtem pierwiastek składowy poezyi.

Źródło poetyckich wzruszeń upatruje nasz romansopisarz wewnątrz, nie zewnątrz poety. „Poezya jest wszędzie; zależy ona nie od tego, na co się patrzy, ale od tego, kto patrzy i jak patrzy." Wyłączne wpatrzenie się w Ukrainę i używanie li tylko motywów ukraińskich przez ówczesnych pisarzy nazywa Kraszewski monotonnem naśladownictwem. „Alboż poezya tylko na Ukrainie?" zapytuje i zaraz odpowiada, że każdy ma ją pod bokiem u siebie, że podań poetyckich nie brak ani na Podlasiu, ani w Wielkopolsce, ani na Mazowszu."

Na najwyższym szczeblu stawia nasz autor poezję historyczną, czyli dawny epos, od którego żąda wiernego obrazu przeszłości. Ludzie ubiegłych wieków powinni zasadniczo różnić się od współczesnych, nie tylko zewnętrznie, ale myślami, uczuciami, wyobrażeniami. Dla tego każdy malarz przeszłości winien w nią się wcielić, posiadać jej ducha, oddychać atmosferą, zaparłszy siebie."

Dramatowi poświęca Kraszewski niedługi, ale treściwy artykuł. (Dramat—Studia Literackie). Jako rodzaj literacki, stawia go między tragedją dawną a komedją. „Przed laty była tylko tragedia i komedya, jedna łyż, druga uśmiech wywołująca, pierwsza, mająca na celu poruszyć w duszy najwznioślejsze uczucia, druga chłostać obyczaje satyrycznym ich obrazem, wedle trywialnej definicyi wszystkich kurtyn prowincjonalnych teatrów. Pożenione z sobą dały życie dzisiejszemu dramatowi, który ma pretensję do podobieństwa z ojcem i z matką."

Zatem dramat zabił tragedję Sofoklesów i Racine'ów, jak i komedję Molière'a. Któż to uczynił? Nikt inny, jeno genialny barbarzyńca, „pijany dziki", twórca *Króla Leara*. On to w poezyi zrobił taki przewrót, jak w astronomii Kopernik, ani dbał o stare, uświęcone, klasycz-

ne wzory, bo stworzył nowe, pełniejsze, rozmaitsze i następnym je pokoleniom przekazał. Jeżeli niebezpiecznie jest naśladować Szekspira, to studyować go i uczyć się od niego sztuki dramatycznej, kunsztu stwarzania żywych aż do złudzenia figur, winien obowiązkowo każdy pisarz-artysta.

Rozumie to Kraszewski, zwłaszcza, iż dziwi go i smuci zupełny zastój dramatycznej twórczości u nas. „Dziwna rzecz, iż w Polsce dramat, czy to dla braku upodobania w nim ogółu, czy dla niedostatku wielkiego jakiego dramatycznego talentu, nie wznosił się nigdy do wysokiego stopnia wykształcenia. Po dopełnionej reformie w literaturze komedia dostała Fredrę, ale dramat nie ma u nas pisarza, co-by go podnieść był w stanie.”

Mówi tu Kraszewski o dramacie narodowym, który nie posiada u nas warunków rozwoju. Cała nasza przeszłość ma charakter epicki i wydała jedną jedyną postać, rzeczywiście dramatyczną, królową Jadwigę, cudzoziemskiego pochodzenia. Barbara Radziwiłłówna, ta sztuczna bohaterka kilku dramatów, rzekoma ofiara bez walki, nie zapali wyobraźni prawdziwego dramatopisarza. Sytuacyi tragicznych dużo w naszych dziejach, brak tylko wielkich postaci, co-by do wyżyn tragizmu dorosły. Kto-by chciał pisać tragedye historyczne polskie, musiał-by właściwie tworzyć dramatyczne poematy i oprzeć je nie na sytuacjach, lecz na charakterach, kreslonych sposobem epickim. Ale zdaje się, że literatura polska podzieli losy wszystkich piśmiennictw słowiańskich i całego wschodu, który chlubi się wspaniałem kwieciem liiryki i eposu, ale na właściwy dramat nigdy się nie zdobył.

Czuł to zapewne Kraszewski, gorliwie nawołując do tworzenia nie dramatów, lecz historycznych obrazów. Daje nawet w tym duchu trafne wskazówki i rady. „Walter Scott stworzył romans historyczny, czemu nikt o dramacie i komedyi historycznej (u nas) nie pomyślał? Nie można-by spróbować dramatu historycznego w celu odtworzenia danej epoki? Połączmy w myśli wybornie oddane charaktery, rysy obyczajowe z dodatkiem strojów czasowych, z całą ułudą teatralnej wystawy—nie będzie to najlepszy obraz historyczny?” Oczywiście, tylko że takie obrazy na tle dziejowem względami publiczności naszej się nie cieszą. Przeraziłowe pustki i śmiertelna nuda, panujące w polskich teatrach na przedstawieniach dramatycznych, wymownie świadczą o usposobieniu ogółu dla sztuki, którą krytycy mienia „poważną”, a widzowie—„nudną.”

Co innego komedia. Tej wątku obficie dostarcza życie współczesne, świat otaczający, ruchliwy, zmienny, ludzie autentyczni, których podpatrywać i kopiować z natury można. Komedia u nas znaczny ma zastęp słuchaczy, znalazła też utalentowanych twórców.

Gdy Kraszewski pisał swe studia literackie, talent Fredry błyszczał w całym blasku—niedostrzeżony jeszcze przez publiczność. Ujmuje się za autorem *Geldhaba* Kraszewski i niepopularność ówczesną komedyopisarza tłumaczy nieudolnością aktorów. „Niepoznanie się na Fredrze przypisać może trzeba temu, iż aktorowie naszych teatrów rzadko sztuki jego odegrywają, a publiczność mało je słyszała, lub, co gorzej, złą grą popsute. Nie pojmujemy, dlaczego w Warszawie tak rzadko go grają, a tamtejsza publiczność poznać się na nim nie może i wolimy winę tego złożyć na aktorów, niż na zupełny brak dobrego smaku naszej powszechności.” Tak być zapewne naówczas musiało, bo gdy wystąpił genialny komik, Aloizy Żółkowski, i Fredrę po swojemu interpretować począł, *Jowialski*, *Pan Geldhab*, *Przyjaciele*, *Damy i Huzary*, długo z afiszów nie schodziły.

Autor *Morituri* należy do rzędu tych pisarzy, co chcieli-by mieć teatr przybytkiem sztuki, naprzekór ogółowi, który go robi i zrobił tylko miejscem rozrywki. Boli go poníženie sceny, na której grają mizerne wodewile i „komedyjki”, stare melodramata i blade tragedye; on-by pragnął na niej oglądać swojską komedye i historyczny dramat narodowy. Wyrzuca Korzeniowskiemu, iż tworzy sztuki angielskie i włoskie, bez narodowych pierwiastków, że nie pracuje dla sceny, „która nogami baletniczek, wzruszeń, jakich po teatrze wymagają, nie potrafi zastąpić.” Rad-bym wiedzieć,—zapytuje zniecierpliwiony—jaki wpływ moralny wywiera na publiczność warszawską zawołany balet tamtejszy?

W niustającej trosce swojej o normalny rozwój literatury nie zapomniał Kraszewski o malarstwie i muzyce. On-by chciał, żeby wszystkie sztuki piękne przyjęły się i zakwitły na ojczystym zagonie. Więc uczy, objaśnia, tłumaczy, zachęca, nawołuje do pracy, nie skąpi pochwał i uznania, a gdy trzeba, to zrzędzi, łaje i szydzi z leniwych lub niedołężnych. W artykułach „Gawędki o sztuce” dostało się, co słuszną, malarzom za ich ukochanie obczyzny. „Bajki to są wierutne—woła—żeby włoskiego koniecznie nieba potrzeba było malarzowi do obrazów i włoskiego powietrza dla nadania mu tego życia, które się z niego wylewa w dzieła. I nasze niebo północy ma swoje wdzięki nieopisane, i ono uśmiechać się potrafi niebieskie i czyste, i zatumanieć przezroczystymi chmurki, osłonić ingłą czarodziejską, zakryć gęstymi chmury tysiącznych barw i odcieni. I u nas są dziwaczne efekta światła i malownicze okolice.”

Wprawdzie ktoś inny wcześniej już śpiewał o urokach północnego nieba i wiatr i niepgodę przeciwstawiał włoskim lazurów, co są, jak „zamarzła woda”; ale słowa Kraszewskiego rozbrzmiewały wów-

czas głośniejsze po kraju, niż echa eposu, którego autor był na surowym indeksie.

Nie zawsze głos Kraszewskiego był wołaniem na puszczy, nie wszystkie ziarna, które tak obficie rzucał, szły na marne, bo choć teatr polski po dawnemu nie wiele ma wspólnego ze sztuką, a scena warszawska powoli i stopniowo upada, choć dramatu swojskiego nie mieliśmy i dotąd nie mamy, to jednak powieść pod piórem takich artystów, jak Sienkiewicz lub Orzeszkowa, bujnym strzeliła kwieciami, lirę polską w biegłych dzierżących rękach Konopnicka i Asnyk, a w ostatnich czasach jakby z pod ziemi wyrosło polskie malarstwo. A malarze nasi, krom Siemiradzkiego, są nawskroś swojscy i w swojskiej zamilowani przyrodzie, której piękności pokazali nie tylko swoim, lecz obcym. Kawał pola, moczaru, albo skrawek lasu, wystarcza Chełmońskiemu do stworzenia cennego dzieła sztuki. Pod tym względem pragnieniom Kraszewskiego najzupełniej, acz w 50 lat później, stało się zadość.

Czasem ma nasz autor szczęśliwe przeczucia. W trzecim rozdziale gawędek o sztuce czytamy: „Pierwszym podobno snycerzem polskim będzie ów Oskar Sosnowski, którego próby już tak głośną zyskały sławę za granicą. Może i muzyka nasza w Stanisławie Moniuszce, uczniu akademii berlińskiej, zyska wymownego tłumacza.“ Choć muzykę polską wspaniale już wówczas reprezentował genialny Chopin, to przecież dopiero Moniuszko stworzył swojską operę, która do dziś zdołała całą swą świeżość zachować. Danem było Kraszewskiemu dożyć trzechsetnego przedstawienia „Halki” i przeżyć samego kompozytora, któremu ongi piękną przyszłość rokował. Ten niestrudzony pracownik na ojczystej niwie nieraz patrzył, jak nawałnica cały posiew niszczyła, ale też często brał udział w błogosławnym żniwie. Przywilej to mężów, co w znojmym trudzie późnej doczekali się starości.

III.

Estetyczne poglądy i upodobania Kraszewskiego, zarówno z epoki, gdy się ukazywały jego listy i studia literackie, jak i z lat późniejszych, bynajmniej nie dadzą się w organiczną całość ułożyć. Znaną jest zmienność naszego powieściopisarza, jako twórcy i krytyka, znana jego wrażliwość na przelotne prądy czasu, jego elastyczna zdolność stosowania się do wymagań chwili. Był to przedewszystkiem pisarz dla szerokich mas, dostarczający karmi duchowej, pożywnej i obfitej, ale nie wykwiłnej, przeciętnym umysłom. Stąd też jego olbrzymia popularność i wpływ ogromny. Jego powieściom brak zazwyczaj artystycznego wykończenia, jego estetyczne wykłady obywają

się zgola bez podstaw filozoficznych. Ale za to jakże są przystępne. Mimo pewną powierzchowność sądu, skutecznie broni Kraszewski godności i, co ważniejsza, samodzielności sztuki, odrzucając energicznie obce jej pierwiastki i naleciałości. Posiadając pełną samowiedzę artystyczną, nie dał się nasz autor wyprowadzić na manowce hasłom pseudo-naukowym ówczesnej belletrystyki francuskiej, bo jasno zjawiał sobie sprawę, że artysta powinien działać na umysły zgola innemi czynnikami, niż uczony, melodyą, kształtem i barwą, a nie ideą, albo „doświadczeniem.” Jakże gromi straszliwie Eugeniusza Sue za jego tendencję, jak wyrzuca romansopisarzom francuskim, iż piszą powieści dla osiągnięcia celów utylitarnych. Już to wogóle we Francyi widzi Kraszewski źródło wszystkiego złego, jakie spadło na literaturę. Idąc ręką w rękę z Michałem Grabowskim, zwalcza nasz autor przemożny wówczas w kraju wpływ francuski, wykazując sztuczność, przesadę i wyrafinowaną niemoralność autorów paryskich. Niechęć swą do Francuzów posuwa Kraszewski do zgryźliwej uwagi, że w piśmiennictwie francuskim brak narodowych pierwiastków, bowiem „we Francyi największy poeta nie może być narodowym, gdyż w duchu ogółu niema narodowości.” Nie wydaje nam się, aby ten zarzut był słuszny, gdyż literatura francuska nosi na sobie wyraźne a odrębne piętno, jeżeli nie ogólnonarodowe, to specyficznie paryskie. Dzieła sztuki literackiej we Francyi, to istne *articles de Paris*. Tylko, że wpływ ich na nasze piśmiennictwo, i nie tylko na nasze, zawsze był szkodliwy, bo rozpościerał się ze szkodą swojskości i wytwarzał ową sztuczną, wymuszoną i niesłychanie banalną literaturę, raczył nas do przesady pseudoklasycyzmem, pseudoromantyzmem, a jak dzisiaj pseudonaturalizmem, podczas gdy prądy wiejące do nas z Anglii i Niemiec ożywcze były i przyczyniły się skutecznie do rozkwitu doby Mickiewicza. Żał więc Kraszewskiego do nadsekwańskich autorów miał swe głębokie przyczyny, zwłaszcza, iż moda francuszczyzny tamowała rozwój polskiego czytelnictwa.

Antydotum na literacką truciznę „pana Hugo, który ma 20,000 fr. dochodu, p. Dumas’a, który się kłóci ze wszystkimi o autorstwo *la tour de Nesle*, p. Balzaca, który tak sromotnie procesuje się z *Revue Paryską*, p. Scribego, co z trzema pomocnikami pisze jedną nędzną farsę”, widzi nasz autor w geniuszu Homera, Szekspira, Camoensa, w idealizmie Schillera, w chłodnym lecz wysokim artyźmie Goethego. Zwłaszcza Szekspira szczerze uwielbia i podziwia Kraszewski, cieszy się z nowego przekładu Hamleta, pióra Kefalińskiego, przepowiada, iż wieszcz angielski godnego dozna u nas przyjęcia i przy tej sposobności rad wytyka Francuzom, że wielka poezya jest im niedostępna, bo nie zdobyli się na własną, a obcej nie rozumieją. Oni są wyłączeni z liczby

umiejących odczuwać bezmierną poezję twórcy „Króla Leara.” Szekspir, zdaniem Kraszewskiego, to po Homerze drugi twórca na ziemi i „nic nie jest nadto stawiać ich obok siebie.” Starożytność rodu imponuje tu Kraszewskiemu. Szekspir, poeta nowożytny, wysoko unosi się nad Homerem, bo on stworzył świat cały, podczas gdy śpiewak Odyssei ukazał nam tylko pierwotną Helladę.

Nietylko w sferze twórczej, ale i w krytyce do dziś trwa wpływ Kraszewskiego. W wielu współczesnych recenzjach z łatwością dadzą się odnaleźć jego poglądy estetyczne. Uprawiając krytykę dorywczo i przygodnie tylko, zdobył się on przecież na taką pracę, jak świetna monografia o Krasickim, i do urobienia smaku literackiego przyczynił się więcej, niż którykolwiek z naszych krytyków fachowców. Jeżeli stanowisko pisarza ma zależeć od siły jego talentu, Kraszewski w szczupłym gronie wybrańców nie stanie; jeśli zaś, co słusniejsza, zasługi pracowników literackich mierzyć będziemy trwałością i rozległością wpływu, jaki wywarli, wówczas autor „Morituri” nie znajdzie współzawodnika. W wielkim trudzie kulturalnym, podjętym dla swego narodu, Kraszewski wyprzedził wszystkich, nawet najgenialniejszych. Słusznie jest dziś o tem przypomnieć sobie i powtórzyć dla nauki i przestrogi piękne słowa naszego pisarza o Schillerze, słowa, które do niego samego się stosują, iż „jest jako drzewo, którego owocem karmią się ludzie, a gałęzie jego łamią.”

STANISŁAW KOZŁOWSKI.

MATERIAŁY I NOTATKI.

Z CZASÓW FRYDERYKA II.

I.

Dajemy poniżej drobny przyczynek do stosunków polsko-pruskich w ciągu pierwszych sześciu lat panowania Fryderyka II. Tej małej i niewdzięcznej roboty podjęliśmy się w intencji szerszego znaczenia, o której krótko wprzód wypada napomknąć.

Fryderyk Wielki, wielki Prusak, wielki szermierz, większy negocyator, wśród półwiekowych blisko zapasów i zabiegów dla wywyższenia swoich Prus, naprzemiennie korzystał z uczestnictwa i doświadczył oporu świata całego, cały świat kolejno miał za sobą i przeciw sobie. Bądź w widokach spólnych korzyści, bądź też dla obrony albo odwetu, łączyła się raz z nim, to znowu przeciw niemu, cała niemal rodzina europejska: wielkie mocarstwa, aby się nie dać wyprzedzić ani nadszarpnąć, państwa drobne i bezbronne, aby się nie dać pochłonać, przedewszystkiem zaś państwa ościennie. Z jednym atoli wyjątkiem. Państwo ościennie, które najszerszą a najkruchszą ścianą przytykało do pruskich koszar, państwo obszerne, które więcej od innych miało do stracenia, a tak osłabione, iż miało do stracenia wszystko,—jednym słowem, Rzplta polska,—nigdy, bądź razem z Fryderykiem, bądź prze-

ciw niemu, w żadnej nie uczestniczyło wyprawie, do żadnego nie przystąpiło sojuszu. Równej stałości nie doświadczył on więcej od nikogo. Z jednej strony, głównego, śmiertelnego przeciwnika, Austryę, nasamprzód upokorzoną w walce, udało mu się pod koniec, w drodze układów, ostatecznie rozbroić, zdegradować, przez spółnictwo. Z drugiej, wcześniejsi jego przyjaciele i alianci, Francya, Bawarya, Saksonia, Hollandya, Szwecya, Anglia i Rossya, wszyscy kiedykolwiek należeli do zdeklarowanych wrogów króla pruskiego. Inaczej Rzplta polska. Ta nigdy nie myślała ani mierzyć się, ani dzielić z Fryderykiem. Ani u niego, ani na nim nie szukała zysków. Stale względem niego trzymała się na stopie traktatowej neutralności i głębokiego pokoju. To też nawzajem, wdzięczny król pruski przez całe życie miał dla niej li tylko traktatowe błogosławieństwa dobrego sąsiedztwa. Wstępując na tron, zastał Prusy związane względem Polski przez traktat welawski, bydgoską konwencyę, gwarancye oliwskie: nie rozdarł tych umów mieczem, owszem przydał do nich nową, traktat warszawski, gdzie tamte są powołane, tak, jak się w nowej prawnej, polubownej tranzakcyi powołuje dawniejsze: i jak zastał, tak zostawił Rzpltą w pokoju. Dopiero ośm lat po jego zgonie a półtora wieku od chwili, kiedy wielki elektor szykował pruskie pułki pod Warszawą, następca Fryderyka będzie je znowu prowadził na polską stolicę. Ale sam Fryderyk przez czterdzieści sześć lat panowania ani razu przeciw Polsce nie dobywa oręża. Ten człowiek, który od pierwszej chwili napelnił hukiem armat i jękiem konających połowę Europy, który prowadził cztery wojny, odbył dziesięć kampanii, wydał dwadzieścia batalii, nieprzyjacielskie wojska widział w Berlinie, swoje wprowadził do Wrocławia, Pragi, Drezna, który zaczął rzemiosło wojenne jako dwudziestoletni młodzieniec i jeszcze bliżki siedmdziesiątki obozował na forpocztach, ten wielki żołnierz dla Rzpltej miał tylko pokój. Jednak ten szczęśliwy żołnierz, który ugiął Austryę, zgniótł Saksonię, zgromił Rzeszę niemiecką, Francuzom sprawił Rossbach,—Rzpltą, nie obnażając szpady, ciągle po przyjacielsku, ciągle pokojowo, w drodze spokojnej negocjacyi, straszliwiej ugodził, niż tamtych na polach bitew, do serca jej trafił, dobił.

Tak wyjątkowy stosunek wielkiego monarchy względem polskiej Rzpltej nakłada względem niego wyjątkowe obowiązki na historię polską. Oczywiście Fryderyk należy do dziejów powszechnych, do dziejów wszystkich narodów, które poruszył lub wstrząsnął. Lecz dla nich wszystkich, jeśli nie jest on ojcem ojczyzny, jak dla Prusaków, albo czemś w rodzaju dziada ojczyzny, jak dla wielu Niemców, natomiast jest rywalem razem i spółnikiem, z którym skomplikowane, z wzajemnych pretensyi i przysług, istnieją rachunki. Tak zawiłych

rachunków nie zna względem Fryderyka historia polska. Ma z nim jeden prosty rachunek, tak prosty, iż jej sądu zmącić nie jest w stanie. Ma do jego osoby najpierwsze, najlepsze prawo. Należy on do niej, stanowi jej własność, z pod jej kompetencji wyłamać się nie może. — Owóż, przychodzi stwierdzić, iż dziejopisarstwo polskie z praw, jakie posiada do osoby Fryderyka, nie skorzystało; z obowiązków, wynikających z takich praw, nie wywiązało się zgoła. O królu pruskim, obok Prusaków, zabierali głos liczni cudzoziemcy: lord Dover i Carlyle, Smitt i Sołowiew, pp. Arneth i Beer, Lavissee i Broglie; polskiego głosu — chyba, że się odezwał z próżną skargą i wyrzutem, — nie było słyhać. Nie żalić się przecie, nie kwękać: chłodnym skalpelem analizy obnażyć kręte zwoje tego królewskiego mózgu, odsłonić szczególną budowę tego królewskiego serca, demonstrować ściśle i niezbić, na zasadzie niezawodnych świadectw, dokumentów autentycznych, czem był, co zrobił Fryderyk dla swoich, dla sąsiadów, dla świata, — takie jest zadanie, do którego nikt nie jest bardziej powołanym od historyka polskiego. Może kiedyindziej spróbujemy tknąć się tego niełatwego zadania; na tem miejscu, rzecz prosta, nie wypełnić, lecz tylko wskazać pragnęlibyśmy istniejącą lukę. W takiej mianowicie myśli odnotowaliśmy kilka ułamkowych uwag i dokumentów poniższych.

Objęcie rządów przez Fryderyka II nie było wypadkiem, któryby zwrócił osobiłszą uwagę Europy. Przewidywany oddawna zgon Fryderyka Wilhelma nie wywołał sensacji w roku 1740, który zapisał się zgonem Klemensa XII, Karola VI, Anny Iwanówny. Nie najwięcej jeszcze w Europie pytano o Berlin, nie więcej jak o Monachium albo Hannover. Przez dwa ostatnie panowania, Fryderyka I i Fryderyka Wilhelma I, przyzwyczajono się lekceważyć potomków norymberskiego burgrabi, z ich krańcowymi dziwactwami, rozrzutnością naprzemiany a skąpstwem, uniżonością i pretensjami dorobkiewiczów, gwałtowną ambycją i bojaźliwym wstrętem do czynu. Od wczora posiadacz najmłodszej korony, elektor brandenburski, dotychczas pierwszy z książąt w Europie, zaawansował na ostatniego z królów. Naokoło wznosiły się wielkie, stare mocarstwa, urosłe w cieniu wieków: Francja z ludnością dwudziestu milionów; Rosya, której nikt jeszcze nie zliczył, lecz napewno niemniej ludna; Austria z piętnastoma, Polska z dziesięcioma, Anglia z dziewięcioma milionami mieszkańców. Naprzeciw tych ogromów, całe królestwo pruskie, jakie objął Fryderyk, liczyło ledwie półtrzecia miliona ludności; w dodatku jest to zbieralina, potrochu, tu i owdzie poobrywana u sąsiadów; przestrzeń wszystkiego dwóch tysięcy mil kwadratowych, rozciągnięta od Renu do Nie-

mna, sklecona z wąskich skrawków, niedopasowanych, niespójnych; nadto, część trzecia, przeszło sześćset mil kwadratowych, Prusy Wschodnie ze stolicą koronacyjną, głowa całości, prawie zupełnie odcięte od tułowia. Jednakowoż to długie, chude ciało, dzięki wyjątkowej tresurze, wydoskonalone w jednym kierunku, zdolne jest rozwinać niezwykłą siłę masy. Królik pruski może wystawić dwakroć żołnierza, tak samo jak król francuski; może wydobyć miliony ze skarbcza, tak samo jak król angielski. Zarazem ten organizm państwowy, zbudowany anormalnie, z samych napiętych mięśni, — „z samego nerwu”, wyrazi się później Fryderyk. — nie jest zdolny wytrwać w bezczynności; to wychudłe, wysilone ciało jest głodne. Natura rzeczy popycha Prusy do działania, do zaboru. — Fryderyk II, doskonale świadomy ¹⁾, co potrafią jego Prusy i czego im potrzeba, przyszedł w chwili właściwej, ażeby jeśćtędy poprowadzić, ażeby całym ciężarem rzucić je na szalę dziejów powszechnych, ażeby nareszcie, po dwóch zlekceważonych poprzednikach, nauczyć nieuwważną Europę rachować się z królem pruskim.

Chwila, istotnie, była bardzo właściwa. Szale równowagi europejskiej, wstrząśnięte przed siedmiu laty, chwiały się niespokojnie w roku krytycznym 1740. Napróżno preliminarze wiedeńskie 1736 i traktaty pokojowe 1738 r. położyły kres wojnie o sukcesję polską. Zanim jeszcze były podpisane, już zrodzona z poprzedniej wybuchła wojna turecka. Nieszczęśliwa dla Austrii, nieszczęśliwa dla Turcyi, dała Rossyi odwet za pokój prucki; i trzeba było arcydzieła dyplomacyi francuskiej, aby pohamować Münnicha, Portę wydzwignąć z ruiny. Wszakże ogień, w jednym kącie Europy stłumiony, już wybłysnął w drugim. Zaledwie podpisano pakta belgradzkie 1739 r., kiedy Anglia — dla pary uszu przyniesionych na stół parlamentu, dla historycznych uszu kontrabandzisty Jenkina, sprawiedliwie obciętych przez Hiszpanów, — wypowiedziała wojnę królowi Katolickiemu. Filip V, chory dziwak, Farinellogo wielbiciel, do takiej walki nie czuł się na siłach; groził powtórnią abdykacją, jeśli go nie wesprze francuski bratanek. Było do przewidzenia, że Ludwik XV na ten głos nie pozostanie obojętnym, że Francya do wojny się wmięsza, przynajmniej w formie medyacyi zbrojnej. — Zarazem inne komplikacje dojrzewały na północy. Haniebane morderstwo Sinclaira, jedna z najbardziej krzyczących zbrodni międzynarodowych, morderstwo oficera, posła, członka sejmu szwedzkiego, w lesie, na ziemi neutralnej,

¹⁾ ob. uwagi wstępne w Hist. de mon temps, w tekście pierwotnym 1746 r., Publ. IV, zwłaszcza 211 sq.

w czasie głębokiego pokoju, poruszyło do głębi naród szwedzki, a nawet ową magnaterię i szlachtę bez sumienia i rozsądku, będącą u steru od śmierci Karola. Szwecya, od 1738 r. związana traktatem subsydyjowym z Francją, od 1739 — aliansem odpornym z sułtanem, niecierpliwie wyczekiwała okazji odplacenia za Połtawę i Nystad. Jednocześnie w Polsce żywiły opozycyjne, pacyfikowane pozornie, lecz niepokodzone bynajmniej z panowaniem Augusta III, zapatrzone na Francję, Turcję, Szwecję, gotowały się podnieść ponownie broń przeciw narzuconemu panu i jego protektorom.—Nareszcie, pośrodku, stary cesarz niemiecki, Karol VI, pochylony przez zawody wojny francuskiej, złamany przez nieszczęścia kampanii tureckiej, wyraźnie zbliżał się do grobu. Zostawiał córce spadek, poręczony przez kilkanaście traktatów, przez przysięgi, cessye, dyplomy; nie zostawiał pewniejszej, jedynej pewnej gwarancji: wyćwiczonych wojsk, wytrawnych generałów, pełnego skarbu. Eugeniusz Sabaudzki nie żył, granice państwa były niebronne, fortece nieopatrzone, armia zdemoralizowana po tylu porażkach, finanse w rozprzężeniu. Wiedziała dobrze o tem Europa; liczyła godziny dogorywającego cesarza; z pożądlivością, pełną jednak niepokoju, czekała śmierci ostatniego Habsburga, która strząśniełaby dojrzale, czterechsetletni owoc sukcesyi austriackiej, łup tylko nader trudny do podziału, gdyż nazbyt bogaty i nazbyt przystępny.

Takie w ogólnych zarysach położenie polityczne, naprężone, chmurne, niepewne, zastał, wstępując na tron, Fryderyk II. Zaczął od tego, iż nazajutrz po pogrzebie ojca powiększył armię o dziesięć tysięcy ludzi, pomnożył kadry piechoty o siedmnaście batalionów. Czyni to nie tylko jawnie, lecz wprost ostentacyjnie. Stroi się, zanim się zaofiaruje na sprzedaż. Będzie to przez pół wieku fundament jego polityki: ofiarować się na sprzedaż, podbijać siebie w cenie pomiędzy dwóch hojnych licytantów. Niebawem wystawi się na przetarg między Francją a Austrią, później między Austrią a Rosyją; obecnie zaczyna od ofiarowania się Francji i Anglii. Już w czerwcu wyprawia pośredników do Paryża i Hannoveru. Pułkownik Camas w Wersalu o hr. Truchsessie, wysłanym do Hanoweru, „będzie mówił jako o osobie, którą wielce cenię i wtajemniczonoj w moje zamysły”; aukcyja wojska pruskiego, dokonana z takim pośpiechem, da posłowi „pobudkę do odezwania się o moim żywym i gwałtownym sposobie myślenia, i wyrażenia obawy, ażeby ta aukcyja nie wzniciła płomienia, skąd po całej Europie roznie się pożar, albowiem popędy bohaterskie wzruszyły już pokój niezliczonych narodów.” Z drugiej strony, Truchsess w Haunowerze ma „kłaść nacisk na poselstwo Camas’a do Francji”, ma jak gdyby mimowoli wyrwać się „z odcieniem zawiści, iż Camas należy do najbliższych moich faworytów, iż posiada całe moje zaufanie, iż napewno nie wy-

słano go do Francyi dla drobnostek." Sam autor tych kunsztownych instrukcyi w obu kierunkach czyni starania osobiste. Poleca się Jerzemu II, swemu kochanemu wujowi, jako powolny siostrzeniec, ożywiony uczuciami rodzinnego przywiązania i szacunku. Poleca się swemu „kuzynowi", kardynałowi Fleury, w pełnych kadzidla pismach odręcznych, czyniąc go drugim Richelieu'm, obiecując zostać jego Gustawem-Adolfem, ubolewając, iż nie jest mu danem oglądać oblicza tak wielkiego ministra ¹⁾).

Równocześnie wchodzi w pertraktacye z Petersburgiem. — Tutaj grunt dosyć był trudny. Po długim okresie ścisłej zażyłości, utwierdzonej za Piotra W., — „najlepszego przyjaciela", jak na wiadomość o jego śmierci, ocierając łzy, oświadcza Fryderyk Wilhelm, — nastąpił okres wyraźnego ochłodzenia się stosunków prusko-rosyjskich za Anny Iwanówny. Od otwarcia poprzedniego polskiego bezkrólewia, a po niefortunnych negocyacyach Lōwenwolda, Rossya stanowczo przerzuciła się do aliansu austriackiego. Konwencya 1733 r. względem elekcyi Augusta, później szereg umów sprzymierzeńczych 1737, 1738, 1739 r., dotyczących wojny tureckiej, sprzęgły razem politykę Petersburga i Wiednia. Wprawdzie dyplomacya francuska potrafiła rozluźnić te węzły, odosobnić obu sojuszników, doprowadzić do skutku dwa oddzielne traktaty pokojowe belgradzkie. Otwierała się odtąd dla Prus możliwość wbicia klina między przyjaźń austro-rosyjską. Jednak jest to jeszcze możliwość bardzo odległa; jeszcze staną po drodze traktaty 1746 i 1758 r.; i dopiero po doświadczeniach wojny siedmioletniej, w przeddzień nowej elekcyi polskiej, uda się stosunki z Rossyą nawrócić na dawne tory. — Tymczasem, do tej mozolnej a ważnej roboty, nie zwlekając, natychmiast po objęciu rządów, zabiera się Fryderyk. Nie spodziewa się on jeszcze zyskać czynnego alianta w dworze petersburskim, ale chciał-by zawczasu nie mieć go przeciwnikiem; w myśl praktyki ojcowskiej pragnie utrzymać dobre stosunki z Rossyą już z tego względu, aby znaleźć punkt oparcia przeciw Rzpltej i Saksonii. Niezwłocznie tedy, w sierpniu, Mardefeld, poseł pruski u dworu cesarzowej Anny, ma sobie zlecone ofiarować Bironowi nowy traktat obronny. Jak zwykle, jak bywało nieraz w ostatnich konwencyach austriackich, jak bywało zawsze w dawniejszych układach pruskich, sprawy polskie miały zostać arką nowych stosunków sprzymierzeńczych. Wstępując

¹⁾ instr. dla Camas'a, 11, Truchsess a. Waldburg, 18 czerwca; do Fleurego 9 wrześ 1740, Pol. Corr. I, 3, 8, 43 sq. Koser i in. stwierdzają z ukontentowaniem, iż stary kardynał odrazu dał się wziąć na lep pochlebstwu młodego Fryderyka; lecz z relacyi Hardenberga, u Dove'go, Zeitalt. Friedr. u. Jos., I, 53, okazuje się przeciwnie, iż doświadczony Fleury takim dzieckiem nie był.

w ślady umowy poczdamskiej 1720, deklaracji 1726, traktatu 1730 r., proponuje obecnie Fryderyk, aby wspólnymi siłami utrzymać wolną elekcyę w Rzpltej, nie dopuścić dziedziczności tronu ani wzmocnienia władzy królewskiej, roztoczyć opiekę nad dyssydentami. Gotów jest nadto ofiarować Bironowi gwarancyę jego tytułów do Kurlandyi. Wzamian żąda dla siebie gwarancyi Juliaki i Bergu. Tym sposobem nawzajem poręczano-by sobie cudze terytorya.—W rzeczy samej, cele bezpośrednie, dotykające, wszystkich tych przedwstępnych rokowań Fryderyka w Wersalu, Hannowerze, Petersburgu, nie były zbyt rozległe. Na razie nie chodziło mu istotnie o nic innego, jak o osiągnięcie onej drobnostki, o jaką napróżno dobijał się ojciec: o Juliakę i Berg, o Fryzyę wschodnią, sto kilkadziesiąt mil kwadratowych, wątpliwe pozostałości ze spuścizny wielkiego elektora, wynikające z wątpliwego traktatu z przed stu lat, ubogie skrawki ziemi, potrzebne do załatwienia braków w nowej, źle skrojonej, purpurze pruskiej ¹⁾.

Wreszcie, w tych początkowych dniach panowania, kiedy jeszcze mniejsze zaprzątały go sprawy, miał też sposobność Fryderyk II otrzeć się bezpośrednio o Rzpltą polską. A nawet jest to właściwie epizod najwcześniejszy. Wcześniej jeszcze, zanim zapukał dyskretnie do gabinetów wielkich mocarstw, wypadło młodemu a rzutkiemu Hohenzollernowi rozmówić się obcesowo z sąsiedzką polską koroną. Jego „Korespondencya polityczna”—ów ogromny pomnik papierowy, trwalszy od spiżu Raucha Pod Lipami, zbiór nieoszacowany, doprowadzony ledwie do połowy, a już obejmujący w dwudziestu przeszło woluminach kilkanaście tysięcy dokumentów, z których każdy jest świadectwem niecofniomem, skryształowaną na wieki myślą nieuchwytnego „Fryderyka”,—na pierwszym zaraz miejscu, od pierwszego numeru porządkowego, przed wszelkimi innemi sprawami, otwiera się na przyjacielskiej epistoli nowego króla pruskiego do „najdroższego, najukochańszego brata”, króla polskiego. Chodziło o rzecz mniejszej wagi, gdzie jednak odrazu zarysowało się dobitnie przyszłe obu stron stanowisko.

Chodziło o hołd pruski. W myśl paktów welawskich, przy składaniu wstępnego homagium elektorowi brandenburskiemu od Prus książęcych, winni byli być obecni komisarze Rzpltej dla odebrania hołdu ewentualnego. Stany, urzędy, dostojnicy księstwa w ręce komi-

¹⁾ o stosunkach austro-rossyjskich, Martens, I, w szczególności ob. 86, artykuł tajnej konwencji 2 kwiet. 1738, przewidujący pogwałcenie granic polskich; o prusko-rossyjskich, zwłaszcza art. 2 traktatu 17 lut. 1720, artykuły tajne deklaracji 3 paźd. 1726 i traktatu berlińskiego 30 wrześ. 1730, V, 199, 247, 286 sq.; Fryderyk do depart. spr. zagr., 31 lipca 1740, do Mardefelda, 6 sierp., 13 wrześ.: elle (Rossya) me tiendra le dos libre... principalement contre la Saxe, la Pologne et la Suède, Pol. Corr. I, 26, 30.

sarżów polskich winni byli składać osobną przysięgę homagialną, podług roty, dosłownie przepisanej w traktacie, w potwierdzeniu praw zwierzchnich Rzpltej na wypadek kaduka. W tym celu, również według niedwuznacznego brzmienia umowy welawskiej, o dniu wykonania aktu hołdowniczego obowiązany był elektor porozumieć się zawnazs z koroną polską. Sprawa, czysto formalna, nie była przecie bez znaczenia. Niezależnie od kaduka, co stanowiło ewentalność odległą, nieprzewidywaną względem płodnego domu brandenburskiego, a zwłaszcza względem obfitego potomstwa Fryderyka Wilhelma, — znacząca, choć szczątkowa, demonstracya hołdownicza sama w sobie nie była pozbawioną treści i wartości politycznej. Obecność pełnomocników polskich na rynku królewieckim obok pruskiego monarchy, uroczysty jurament na wierność Najjaśniejszej Rzpltej po przysiędze na rzecz elektora, odnawiały-by u ludności i zgromadzonych stanów pruskich pamięć o powadze, o sławnej przeszłości sąsiedniego wolnego mocarstwa, o opiece i swobodach, jakie tam znaleźli ich zachodni bracia z Prus królewskich. Jasnem jest, iż odnowienie wspomnień tego rodzaju leżało w interesie Rzpltej. Jeszcze autorytet władzy absolutnej margrabiego brandenburskiego dla szlachty i mieszczan królewieckich nie był niewzruszonym *rocher de bronze*, jak chciał i wymagał autokrata berliński. Jeszcze ci rodacy Kalksteina wazżyli się upominać o zeskaotowane swobody i przywileje prowincjonalne i stanowe. Teraz jeszcze, w 1740 r., upominali się u nowego pana o Assekuracyę przywilejów, wydaną przez jego pradziada, dwukrotnie potwierdzoną przez Fryderyka I, odmówioną bezprawnie przez Fryderyka Wilhelma, — bezprawnie odmówioną i tym razem. Ośmielać takie uzasadnione roszczenia, utrzymywać rozdwojenie między stanami księstwa a księciem pruskim, hamować w miarę możności, choćby tylko wpływem moralnym, groźny wzrost władzy absolutnej niebezpiecznego sąsiada, — takie były elementarne wymagania najprostszej samozachowawczej polityki. Zważmy tylko, z jaką wytrwałością, energią i sprytem monarchowie pruscy tę samą politykę stosowali w Polsce; zważmy, ile mniejsze mieli do tego dane i tytuły. oni, hołdownicy, wtrącający się do spraw domowych swego suzerena; uprzytomnijmy sobie na chwilę, z jaką ostentacyą, z jakim naciskiem byli-by oni czynili użytek z tak dogodnego narzędzia, jak prawa ewentalnej udzielności i następstwa, gdyby, jak Rzplta w Królewcu, mogli wykonywać je w Krakowie albo Warszawie. — Cóż, kiedy rządy pruskie nie miały ospałej obojętności polskiej, ani polskie czujnego pruskiego rozumu stanu. Za pierwszą okazyą wypuszczono, dano sobie wyjąć z ręki szacowny przywilej królewieckiego homagium. Dał przykład August II, kiedy 1714 r., po objęciu rządów przez Fryderyka Wilhelma, nie zgłosił się po przyna-

leżną sobie i koronie polskiej przysięgę. Przyplątała się tutaj sprawa całkiem odrębna, spór o pruski tytuł królewski. Z porady Patkula oraz politykującego Jezuity, — oo. Jezuici w tym wypadku nie więcej mieli szczęścia do dyplomacyi kalwińskiej, jak ongi do greckiej, — najmniej skrupulatny z królów polskich na własną rękę był się zobowiązał uznać nowy tytuł Fryderyka I. Lecz uporczywie, i nie bez słusznych powodów, wzdragała się dać na to zgodę Rzplta. Miała ona formalnie uznać królewskość pruską dopiero w przededniu ostatniego polskiego królowania, na sejmie ostatniej konwokacyi; a do tej pory deklaracya Augusta II, uczyniona bez jej wiedzy i woli, nie wiązała jej w niczem. Natomiast przepis hołdowniczy traktatu welawskiego, dotyczący księstwa, wiązał po dawnemu nowokreowane królestwo. Wynikała stąd, w stosunku do homagium królewieckiego, trudność, dla rządu berlińskiego podwójnie drażliwa.

Owóz, Fryderyk II, wstępując na tron, postanowił, nie zwlekając, rozciąć tę trudność, w tym pierwszym zaraz interesie z góry i znużająca zażyć nieporadną, powolną w swych decyzjach Rzpltą. Poprostu tedy, bez żadnego uprzedniego porozumienia, w rzeczonym piśmie braterskiem donosi Augustowi III, iż w dniu 20 lipca odbierze osobiście w Królewcu hołd od swego królestwa pruskiego; i tyle tylko z wyjątkowego pośpiechu się tłómaczy, że „sprawy wielkiej wagi nie pozwalają wyznaczyć odleglejszego terminu.” Dodaje nadto małe zastrzeżenie, tonem niedopuszczającym żadnej dyskusyi. „Tuszymy sobie, iż deputaci (polscy), którzy udadzą się do Królewca..., zaopatrzeni będą w pełnomocnictwa i instrukcye, zastosowane do naszej godności królewskiej, albowiem niezachowanie tej formalności zasadniczej stanowiłoby bezwarunkową i nieprzebytą przeszkodę do przyjęcia i przypuszczenia deputacyi.”

Stało się, jak było do przewidzenia. August dał odpowiedź zupełnie miękką, nie zdobył się na opór, ani nawet na protest. Tłómaczył się, że był zaskoczony. Istotnie, Fryderyk urządził się w ten sposób, iż jego pismo zaskoczyło Augusta już po zamknięciu rady senatu, odbytej na początku czerwca we Wschowie. Ale w sprawie homagium czas było powziąć decyzję od 1714 r., odkąd pozostawała w zawieszeniu. Zresztą, senatorowie, obradujący we Wschowie, już byli zawiadomieni o zejściu Fryderyka Wilhelma, mogli tedy i byli powinni obmyślić i umówić z królem sposób postępowania, — gdyby nie zaprzętały ich więcej od spraw tego rodzaju wzajemne denuncyacje, starania o fawory dworskie i targi o wakanse. Tymczasem, nim się opatrzone, Fryderyk, jak był zapowiedział, odebrał hołd w Królewcu. Dopiąwszy swego, doniósł o dokonanym fakcie Augustowi i upewnił go, w tej samej chwili, gdy się pozbywał jednej z najwyraźniejszych sankcyi tra-

ktatu welawskiego, iż ten traktat „będzie zawsze święcie zachowany przez nas i przez naszych następców.” Rzplta była nieobecna i zachowała milczenie. — Taki był niepozorny, lecz charakterystyczny i obiecujący, początek stosunków obustronnych ¹⁾.

Z obszernej korespondencji w tej materji wybieramy dwa wyjątki następujące:

August III do Fryderyka II.

Dresde, 16 juin 1740.

Très haut, très excellent et très puissant prince, notre très cher et très aimé bon frère. Par la lettre qu'il vous a plu nous écrire le 3 du courant, et qui n'est arrivée ici qu'avant hier au soir, nous avons vu plus au long, comme quoi Votre Majesté ayant résolu d'aller recevoir en personne l'hommage des états et sujets de Son royaume en Prusse, Elle a déjà fixé pour cela le 20 juillet prochain, et qu'Elle nous invite avec la République de Pologne d'envoyer vers ce temps des commissaires députés à Koenigsberg pour la réception de l'hommage éventuel qui nous est dû et à la République, par les droits y réservés à notre couronne. Sensibles à cette attention aimable de V. M., nous regrettons, que, vu le terme si court qu'Elle s'est proposé pour l'acte en question, Sa notification ne nous soit parvenue quelques jours plus tôt à Fraustadt, pour que nous eussions pu prendre avis là dessus des sénateurs et ministres qui s'y sont trouvés. Pour néanmoins montrer à V. M. notre bonne volonté, nous allons commuiquer incessamment par lettres circulaires aux membres du sénat et ministère polonais la susmentionnée intention de V. M., et nous ne sommes nullement éloignés d'apporter de notre côté toute facilité possible aux désirs qu'Elle nous fait connaître en cette occasion. Nous acceptons toujours préalablement et reconnaissons avec plaisir les dispositions favorables où V. M. nous assure d'être envers nous et la République. Nous y répondrons en tout temps avec affection, sincérité et considération réciproque, et V. M. peut être persuadée qu'il ne tiendra jamais à nous que les liaisons d'amitié, d'alliance et de bon voisinage heureusement établies entre notre couronne et les ancêtres de V. M. ne soient soigneusement cultivées et maintenues avec Elle même. Sur quoi, i t. d.

¹⁾ Fryderyk do Augusta, 3 czerw., 20 lipca 1740, Pol. Corr. I, 1, 21; Droysen, VI, 50 sq.; Schmitt, I, 138; Kuryer polski, 1740, Nr 185, 186, 191.

Jan Małachowski ¹⁾ do Augusta III.

6 juillet 1740.

La bonté avec laquelle V. M. apporte son soin paternel pour le bien de Son royaume se fait voir dans toutes les occasions, mais particulièrement dans la conservation de la bonne harmonie avec les princes voisins, par où Elle procure à Son peuple, miné par tant de misères, le moyen de se remettre. Ayant donc en l'honneur de recevoir la lettre de V. M. du 16 du mois passé et la copie de la lettre du nouveau prince régnant en Prusse avec la réponse qu'Elle y a faite, je ne peux que très respectueusement remercier V. M. des moyens qu'Elle a trouvés d'éloigner, sans choquer, ce nouveau voisin avec sa demande. Je ne veux point grossir ma lettre par mes réflexions sur cette affaire, mais j'ose seulement les joindre ici à part, assurant V. M., i t. d.

1.

Dans l'article VII du traité conclu à Welau l'an 1657 il est clairement marqué, que chaque nouveau prince de Prusse doit en présence des députés du Roi et de la République recevoir l'hommage de ses sujets, lesquels, en prêtant serment à leur prince, le prêtent en même temps aussi au Roi et à la République. Mais chaque nouveau prince doit convenir du temps avec S. M. et les députés ²⁾. Au lieu de cela, le nouveau prince assigne de son propre chef le jour auquel il veut recevoir l'hommage, ce qui est non seulement contraire à la convention susmentionnée, mais aussi à la dignité de S. M. et à tout droit de fief.

2.

Le nouveau prince marque dans sa lettre que les députés de la République soient munis d'instructions et de pleins pouvoirs convenables

¹⁾ podkanclerzy k.

²⁾ § 7: de die vero ad praefatum juramentum decernenda cum Sua Regia Majestate vel ejusdem legatis conveniet. Du Mont (ed. 1728), VI^o, f. 192. W przekładzie X. Kalinowskiego, Hist. celn. trakt. (1764), aneksy, 8, dosłownie przepisany u X. Siarczyńskiego, Traktaty (1773), I, 51, wtrącone tu wyrazy „z umowy”, których niema w oryginalu. Zwracamy przy tej okazji uwagę na niezbędnosc naukowego, autentycznego wydawnictwa traktatów Rzpltej, którego brak tem bardziej jest rażący, odkąd podobne zbiory posiada nawet Hiszpania i Turcja, — a dla którego mogło-by posłużyć za gotowy wzór znakomite wydawnictwo p. Martensa.

à sa dignité royale. La République n'ayant jamais voulu accorder le titre du roi au prince de Prusse avant que d'ajuster tous les différends et contraventions aux traités de Welau et de Bydgoszcz, c'est pourquoi, afin d'entretenir la belle harmonie avec ses voisins, elle a nommé à la diète de Grodno, l'année 1726, des députés pour conférer avec les ministres de la cour de Berlin ¹⁾. On a invité plusieurs fois les ministres de la dite cour à ces conférences, sans que jamais ils aient voulu entrer en aucune négociation. L'an 1736 les mêmes conférences ont été renouvelées par la diète, mais quoique les autres ministres ²⁾ aient entamé leurs négociations, cependant les ministres de Prusse ne s'y ont point trouvés. *NB.* La cour de Russie prétend pour tous ses souverains le titre d'empereur de Russie, cependant elle ne fait point de difficulté d'entrer en négociation et d'ajuster tous les différends sous un titre neutre de leurs monarques.

3.

L'an 1703, la République étant fort pressée d'avoir quelque secours contre les troupes suédoises, avait nommé au grand conseil à Thorn mr Szczuka, vicechancelier de Lithuanie, pour traiter avec la cour de Berlin; elle avoit même donné les pleins pouvoirs d'accorder le titre de roi au prince de Prusse, sous de certaines conditions ³⁾. Mais, comme avant que d'entrer en négociation avec les plénipotentiaires de la République, on prétendait gagner le titre de roi, cette négociation, malgré la supériorité des armées du roi de Suède, n'a eu aucun succès ⁴⁾.

Wszystko to była przegrywka do ważniejszych wypadków. Umarł cesarz Karol VI. Fryderyk postanowił zabrać Szląsk. A raczej, mówiąc językiem historyków pruskich, postanowił go „objąć w posiadanie.” Gdyż ci historycy, wielcy i mali, dawniejsi i współcześni, których imię legion: Ranke, Wuttke, Preuss, Droysen, Duncker, Grün-

¹⁾ Vol. leg. VI, f. 415 sq.

²⁾ t. j. cesarscy, rosyjscy, tureccy. Vol. leg. VI, f. 658.

³⁾ Załuski, Epp: III, 1 sq.

⁴⁾ król wziął te uwagi podkanclerzego za dogodny pretekst, aby nic nie robić: August do Małachowskiego, Drezno, 4 sierp.: *...le sage avis que vous m'avez donné depuis peu sur la lettre du nouveau roi de Prusse et sur ma réponse préalable que je vous communiquai le 16 juin dernier fait entrevoir les difficultés qu'il y avait pour moi et la République de députer des commissaires vers le terme proposé à Königsberg.*

hagen, Koser i tylu innych, z zadziwiającą zgodnością, nie pomył się ani razu, nie wspomną nigdzie o zdobyciu, o zaborze, jeno wykładają, jak się odbyło *Besitzergreifung* księstw szląskich, tak samo, jak mówią o „objęciu w posiadanie” Prus królewskich. Do Szląska, tak samo jak do Prus, ma Fryderyk odwieczne, niezniszczalne, dziedziczne prawa własności; i zwyczajnie, wyzuty czasowo z „posiadania”, „obejmuje” je z powrotem, za nadarzoną po temu okazją. Że takie brednie oddawali do druku przed półtora wiekiem, w manifestach, broszurach, artykułach gazetarskich, jaki Podewils albo Cocceji, Ludewig albo Formey, ministrowie, czyniący to z urzędu, lub pamfliciści, płatni od wiersza,— jest rzeczą zupełnie zrozumiałą. Że jeszcze przed kilkunastu laty, kiedy sekreta dyplomacyi Fryderykowej zamknięte były w archiwach na siedm pieczęci, dziejopisowie oficjalni tak usiłowali przedstawić sprawę,—w tem również mógł być sens i wyrachowanie. Natomiast, że dzisiaj, kiedy z własnych ust Fryderyka wiemy najdokładniej, jak on patrzył na rzeczy, jak dalece był przeświadczony o nicości swoich tytułów prawnych i lekceważył wszelkie tego rodzaju tytuły, że dzisiaj jeszcze znajdują się uczeni, bardziej królewscy od króla, którzy zdobywcę, zabierającego Szląsk prawem mocniejszego, czynią prawym dziedzicem, wracającym do należnych mu posiadłości,—to już wygląda na zgola bezcelową niedorzeczność. Rozpoczynając w r. 1740 kroki wojenne przeciw Austrii, Fryderyk II poprostu łamał zobowiązanie kardynalne wieczystego przymierza austro-pruskiego, zawartego w Berlinie d. 23 grudnia 1728 r., gdzie poręczoną była sankcya pragmatyczna i nietykalność sukcesyi Maryi-Teresy. Czynił to z zupełną świadomością. Miał już wtedy wyrobione swoje własne poglądy o wartości i mocy umów międzynarodowych wogóle, a wieczystych w szczególności. „Traktaty wieczyste, to chimery”,—tak objaśnia swego Podewilsa, który jeszcze nie otrząsnął się całkiem z przesądów; całe zagadnienie sprowadza się do tego: „jeżeli się ma przewagę, czy należy z niej korzystać, czy nie?” „Ja nie przyjmowałem żadnego zobowiązania—tak konfunduje Anglika, który pewnie po raz pierwszy słyszał podobny wykład prawa publicznego, — a jeśli to uczynił mój ojciec, mnie ono nie wiąże, gdyż nie dam się skrępować niczem, na co nie dałem zgody osobiście.” „Gwarancye traktatowe — taką naukę zapisuje dla potomnych, — to najczęściej puste słowa; dziś się je dają, a następnie od ich wypełnienia zwalnia dwuznaczna interpretacya jednego wyrazu lub zdania” ¹⁾. Wielką jest doniosłość praktyczna takich

¹⁾ do Podewilsa, paźdz., 1 listop., P. C. I, 62, 84; depesza Guy Dickens'a, 6 grud., Raumer II, 82; Hist. de m. t., 212. — Jak Fryderyk zapatrywał się na ogłoszane z jego rozkazu „dedukcye” praw pruskich do Szląska, widać z uwagi o robocie

teorii, daleko w przyszłość sięgają ich konsekwencje. Jeśli umowy nic nie znaczą, cóż znaczy traktat pokoju wrocławski? Nic. To też Fryderyk ani mu ufa, ani się nim krępuje, i zaczyna drugą wojnę szląską. Cóż znaczy pokój drezdeński? Nic. Fryderyk rozpoczyna wojnę siedmioletnią. Nic nie znaczą traktaty hubertsbuski i cieszyński. Nic—późniejsze umowy w Reichenbachu, Pillnitz, Berlinie, Wiedniu, Paryżu. Prusy, raz zdeptawszy prawo narodów względem Austrii, ciągle odtąd względem niej uważają siebie w stanie wojny utajonej; ciągle, aż do Sadowy, aż do pokoju praskiego: czyżby i ten nareszcie nie miał być ostatniem słowem? Takie są konsekwencje, które czynią zabór Śląska wypadkiem epokowym dziejów nowoczesnych. Tak daleko przeciągnęła się gra, której śmiało dał początek Fryderyk, i za którą na niego spada pierwsza i główna odpowiedzialność.

Gra zaiste była śmiała. Śmierć Karola VI nastąpiła w październiku 1740 r. Negocjacje, podjęte z Berlina u wszystkich prawie mocarstw, jeszcze wtedy nie dały nigdzie rezultatów dotykających. Francja zachowywała się wyczekująco. Voltaine, jak królowa Saby do Salomona, wedle biblijnego orzeczenia Fleurego, wybrał się do swego berlińskiego wielbiciela; lecz nic, prócz komplementów, nie przywiózł od ostrożnego ministra. Kardynał żywił równie mało zaufania do poety, bawiącego się w dyplomację, i do króla, udającego poety. Anglia, wobec grożącego zatargu z Francją, skłaniała się ku tradycyjnej polityce austriackiej. Sir Robert Walpole, jakkolwiek daleki od szerokich planów Marlborougha, mimowoli jednak, wypowiadając wojnę Filipowi V, wstępował w ślady koalicji austriackiej 1702 r. Najgorzej było z Rosyją. Wiązała ją jeszcze z Austrią — pomimo nieporozumień belgradzkich i żalu Münnicha, powstrzymanego w zdobyczach przez odstępstwo cesarza, — deklaracja sprzymierzeńcza stambulska z grudnia 1739 r., będąca odpowiedzią na traktat szwedzko-turecki. Starania Mardefelda w Petersburgu krzyżowane były przez wpływy wiedeńskie, projektowany traktat pruski szedł w odwłokę. Śmierć Anny Iwanówny, w kilka dni po zgonie cesarza, niewiele poprawiła położenie. Za małoletności Iwana, objął regencyę dotychczasowy wielkorządca, Biron, zdawna zyskany przez Austrię. — Bez względu na tak dalece niepewną sytuację, postanowienie Fryderyka było niezachwiane. Był młody, paliła go ambicja, nie wierzył w przymierza, wierzył w swoją gwiazdę, swoją armię, swój skarb. Austriya, rozumował, jest bezsilna, Anglia będzie zajęta, Francja, koniec końcem, do niego przyjdzie.

Coccejego, Fryderyk do Podewilsa, 6 lut. 1741, Preuss. Staatsschr., I, 120: je l'ai trouvé solide et propre pour amuser le public, principalement en Allemagne, en Hollande, et partout où l'esprit des démonstrations juridiques règne.

Co się tyczy groźby od Wschodu, zawsze trafić tam można „deszczem danaowym”, „na osłe, objuczonym złotem”; zresztą, Biron posiada wielkie dobra na Szląsku, które wprawdzie otrzymał od Austrii, których wszakże nie będzie chciał narażać, skoro Szląsk wpadnie w ręce pruskie. Mocny takim rozumowaniem, Fryderyk, bez straty czasu, już w listopadzie, czyni wszystkie przygotowania do inwazji. Wtem, nadspodzianie szczęśliwa wiadomość rozwiała ostatnie wątpliwości. Zamach stanu, dokonany jednej nocy listopadowej, obalił Birona, wyniósł Münnicha. Anna Leopoldówna, bliska powinowata domu pruskiego, objęła regencyę. Skutki tej zmiany zaraz dały się odczuć; opóźniany dotychczas traktat prusko-rosyjski niebawem dochodzi do skutku. Natychmiast Fryderyk wydaje rozkazy do wymarszu. W połowie grudnia sam przekracza granicę austriacką, po kilku dniach jest panem Szląska.

Nic ciekawszego, jak obserwować Fryderyka w tym przełomowym okresie jego życia. Dotychczas miał jedną namietność — rymotwórstwo, pretensye literackie. Nie znamy drugiego przykładu manii, równie upartej i równie śmiesznej, u równie niepospolitego człowieka. Zdarzało się nieraz, że wielcy panujący szukali odetchnienia w poezji. Lecz między smutną rozmową Hadryana z swoją „duszyczką”, a skupioną modlitwą Leona XIII *Ad se ipsum*, nie masz miejsca dla płaskiego *Epître à mon esprit* Fryderyka. Owóż, tej manii gryzmolenia jaką był dotknięty następca tronu, skombinowanej z nowymi ambicjami monarchy, niezabawna historia zdobywcy Szląska zawdzięcza kilka żartów kapitalnych. Dopiero co był wykończył długą odę „O obłudzie.” Opłakiwał tutaj utratę niewinności przez rodzaj ludzki. *Maudit soit le mortel dont la sombre malice La première eut recours aux traits de l'artifice.* Do wiarołomnych polityków wszystkich czasów wołał podniesionym głosem: *O temps! O moeurs! O honte! illustres scélérats!* Dopiero co był oddał do druku „Antymachiawela.” · „Sire, tłómaczył mu Voltaire, gdybym był Macchiavellim i miał przystęp do młodego króla, przede wszystkim byłbym mu poradził, ażeby przeciwko mnie pisał.” Fryderyk rad Voltaire’a nie potrzebował. Uczeń w owej chwili sprytniejszy jest od mistrza. Traktuje go jak „błazna”, nie daje do kart sobie zajrzeć, wrychle się go pozbywa, tem bardziej, iż jest to kosztowna zabawka, a grosz potrzebniejszy teraz na amunicyę, furaz, korupcye. Jeszcze w listopadzie, fetując w Rheinsbergu pisarza „Henryady”, sypiąc liche dowcipy z Ewangelii i gorsze rymy francuskie, po-za plecami gościa odbywa przeglądy gwardyi, wydaje rozkazy mobilizacyjne, układa deklaracye i manifesty. Śród tej gorączkowej a tajemnej roboty, w tej atmosferze zasadzki, czuje się w swoim żywiole. Pewien jest powodzenia. Sprawi piorunującą niespodziankę Europie. Prostackom,

w guście księdza Saint-Pierre, apostoła wiecznego pokoju, zada nieladającą „Zagadkę polityczną.” Będą o nim pisali w gazetach paryskich i londyńskich. On, początkujący młodzik, da naukę polityki staremu Fleuremu, zadziwi parlament angielski, wprawi w osłupienie eksceleyenckie wiedeńskie. Cóż na to powie p. de Voltaire? Wydać „Antymachiawela” na początku panowania, to koncept niegorszy; ale wydać go w przeddzień zaboru Szląska, — tak dobrego dowcipu nie masz w całej *Pucelle*. Te rzeczy niesłychanie bawią Fryderyka. Generał Bonaparte, młodszy, a podobno parweniusz, był ponury; rozumiał szlachetniejszym instynktem, iż życie wielkich ludzi winno być dramatem, nie farsą. Fryderyk, wielki człowiek w lżejszym gatunku, jest weselszy; on woli naśladować Voltaire’a niż Corneille’a. Wydaje mu się drobnostką cały świat wyprowadzić w pole, tyle czuje w sobie dowcipu. Ma go za dużo, jeszcze mu brak doświadczenia, jeszcze nie umie cenić pozorów, traci miarę, wpada w przesadę, prawie w kabotyneryę. Widzieliśmy, z jak dziecinnym makiawelizmem redagował skazówki dla swoich ambasadorów w Hanowerze i Wersalu. W Londynie i Hadze tak się tłómaczy z zajęcia Szląska: „ojciec mój służył cesarzowi i zapłacono mu niewdzięcznością; ja sam siebie wynagradzam z góry, a będę służył następnie.” O traktacie, zawartym z Rosyją, zawiadamia Jerzego II w postscriptum, niby mimochodem: „zapomniałem donieść W. K. M...” Stawia nogę na depeszy, upuszczonej nieostrożnie przez posła francuskiego na audyencji. „*Beatus est posedendi*”, oświadcza swoją straszliwą łaciną. „Mój kochany szarlatanie”, pisze do swego pierwszego ministra. „Bądźmy łotrami”, naucza go innym razem. — To wszystko, zapewne, nie jest w najlepszym smaku. Ale Europa owoczesna nie jest wybredna. Tak, nie inaczej, należy ją traktować, zbiegającą się w komplecie do namiotu Antymachiawela, który obozuje na złupionych polach szląskich; i taką też metodą, z zupełnem powodzeniem, będzie z nią odtąd traktował Fryderyk ¹⁾.

¹⁾ P. C. I, pass., szczególnie *Idées sur les proj. polit. à former*, uwagi Podewilsa i rezolucya Fryderyka, 7 listop., 90 sq. — Voltaire, *Comment. hist.* (1777). — Voltaire do Valorego, 3 grud.: il tentera je ne sais quelle affaire, et puis s'il échoue, eh bien, il se refera philosophe, u Broglie'go. *Fréd. et Marie Thérèse*, I, 104. — Pocztowy Saint-Pierre również był zgłosił się do Berlina z rekomendacją od Brühla jego *Enigme polit.* oraz *Anti-Saint-Pierre* przedrukowane przez Droysena w *Monatsber. d. berl. Akad. d. Wiss.* (1878), 732 sq., gdzie wykazany udział Fryderyka w tym ostatnim pamphlecie. — Disc. sur la fausseté, pisane w maju 1740. w *Oeuvr. de Fréd.* XI, 79 sq. — Wielec charakterystyczne listy Fryderyka do Jordana, 28, 30 listop., 14 grud.: les critiques croient la démarche présente directement opposée aux maximes renfermées dans le dernier chapitre de l'*Antimachiavel*; 14 stycz. 1741: mon cher mr Jordan, mon doux, paisible, bon, bénin, pacifique, humainissime mr J., j'annonce à Ta Sérénité la

Musimy sobie wszakże odmówić przyjemności podążenia w tropy króla, odbywającego pierwszą kampanię i pierwszą wielką negocjację. Musimy poprzestać na rozważeniu tych jedynie stosunków, jakie, skutkiem przedsięwzięcia szląskiego, wywiązały się pomiędzy nim a rządem sasko-polskim.

Fryderyk II i August III, — trudno o większą sprzeczność i gorzej wróżącą. Dość spojrzeć na tych dwóch ludzi, aby z góry osądzić, któremu z nich przeznaczono być młotem, a któremu kowadłem. Tamten—suchy, nerwowy, ruchliwy, wytrzymały fizycznie i duchowo, choć w niezdrowem ciele nosi niezdrową duszę; w jego sępiej twarzy błyszczą para ogromnych, głęboko osadzonych, niebieskich oczu, mądrych, niespokojnych i niepokojących. W rysach twarzy Augusta jest pewna powaga, są nawet ślady dobroci; lecz tej nalanej, szerokiej, mięsistej bryły, spoczywającej na tułowie nienaturalnej tuszy, nie rozświeca najmniejszy błysk inteligencji. — Trzeba wyznać, iż Rzplta niewiele zyskała na zamianie, kiedy, po ojcu Sasie, oddała się synowi. W miejsce monarchy, który był wielkim zbrodniarzem stanu, otrzymała takiego, który był wielkim pasorzytem stanu. W miejsce króla, który przemysliwał nad jej zgubą, otrzymała takiego, który nic nie myślał. Ojciec zapijał się węgrynem, urozmaicał miłostki, układał plany podziałowe; syn, jak nie bez zdumienia stwierdza polski pamiętnikarz, gustował w ciężkich piwach niemieckich, kilkanaścioro dzieci miał z niepospolicie brzydkiej małżonki, zadawał się planowaniem łowów, parad, operowych widowisk. W obu zwierzę brało górę nad człowiekiem. Tylko, że w Augustcie Mocnym zwierzęcość burzliwa, namiętna, rzucała się na charakter, zgangrenowała sumienie, lecz nie naruszyła umysłu, który u tego sukcesora Maurycego Saskiego objawił giętkość i rzutkość, zdolną stawić czoło przemocy Karola XII, jak ongi potędze Karola V. W Augustcie Otyłym zwierzęcość ocieężała, bierna, nie tknąwszy wdrożonego wychowaniem katechizmu moralnego, całkiem obezwładniła inteligencję. „Duma i lenistwo były głównymi wadami króla”, powiada o Augustcie III jego następca. Darować-by mu dumę, gdyż ta wada, od której wolny był elekt Poniatowski, dosyć przystoi królom. Ale leniwa, bezmyślna apatya Augusta, istotnie u panującego

conquête de la Silésie, je t'avertis du bombardement de Neisse. je te prépare à des projets plus importants, XVII. 72 sq. — Słynny aforyzm — który niedawno, zjadliwie powołany z trybuny przez członka opozycji katolickiej, niezgorszy sprawił efekt w parlamencie niemieckim: — s'il y a à gagner à être honnête homme, nous le serons et s'il faut duper. soyons donc fourbes, w liście Fryderyka do Podewilsa, 12 maja 1741, ogł. u Raumera. II, 115, por. P. C. I. 245.

była kalectwem. Aby uniknąć fatygi, wielki miłośnik polowania strzela w lot do niedźwiedzi i jeleni, zrzucających z wysokości, albo przez okno do psów, zwabianych padliną na dziedziniec zamkowy. Cóż dopiero, kiedy chodzi o wstrętne mu sprawy rządzenia, gdzie trzeba fatygować głowę: zdaje je całkiem na łaskę ministerjum, i tyle tylko bierze w nich udziału, że na prezentowanych przez faworyta papierach kładzie wykaligrafowany podpis *Augustus Rex*, tak staranny i okrągły, iż bez pomocy grafologii można z niego wyczytać nieobecność wszelkiej myśli w piszącym. Nigdy prawie nie udziela audyencji; nawet pierwszym dygnitarzom obu państw ukazuje się zdaleka, przy paradnych jeno okazjach; natomiast długie, najszcześniejsze godziny spędza w towarzystwie trefnisiów i lokajstwa. Takim odmaluje go Fryderyk, sam rozgospodarowany wygodnie w zamku dreźnieńskim, skąd po raz drugi wypędzi precz właściciela. „Myślę, — odezwie się z sarkastycznym uśmiechem, odkładając na bok „*Athalię*”, — iż w tych komnatach nigdy nie czytano żadnej tragedji. Czy wiecie, jak się zabawia mój najukochańszy brat August? Każe sprowadzać swoich błaznów, jednego wali po twarzy, drugiemu z tyłu wymierza trafne kopnięcie, oni wrzeszczą: „gwałtu, jak boli!” — mój dobry brat August pokłada się od śmiechu..., zaś ci, co pragną rządzić za niego, utwierdzają go w tych szlachetnych rozrywkach.” Ci, co za niego rządzą, nazywają się Sułkowski, Hennicke, Brühl. *Wir sind unsrer drei, Zwei Pagen und ein Lakai*, taki napis okala złęczone popiersia trzech ministrów na medalu, wybitym na ich cześć w Hollandji. Sułkowski, choć ofiara Brühla, niczem nie był od niego lepszy, ani uczciwszy, był tylko jeszcze niezdatniejszy. Jego upadek, w lutym 1738 r., nie dość wyjaśniony, otworzył wszechwładztwo Brühlowi, który, po oddaleniu Wackerbartha we wrześniu 1740 r., faktycznie wszystkie sprawy ujął w swoje ręce. Brühl był wystylizowany za Augusta II. Był z tej generacji i tego gatunku ministrów-szalbierzy, co Grumbkow, Seckendorff, Bestużew. Dopiero za następnej generacji, Kaunitz, Choiseul, Pitt, nawet Panin, nadali pewną powagę ministeryalnemu rzemiosłu. Tamci byli jeszcze tylko awanturnikami. Awanturnikiem, jak oni, był Brühl. Ale był tchórz, był trzpiot, i w gruncie rzeczy, przy całym lokajskim sprycie, ciasna głowa; daleko mu było chociażby do Bestużewa. „Charakter Brühla jest bojaźliwy, układny, wykrętny i zręczny; nie posiada on ani dość dowcipu, ani dosyć pamięci, aby ukryć swoje podstępny”; uprawia małą politykę dawnych książątek włoskich, nie zdobędzie się na „systemat stały, męski, sprężysty (*nerveux*), jakiego się trzymają wielcy mężowie stanu w potężnych monarchiach.” Są to znowu słowa Fryderyka. Przeniknął on zawczasu, oszacował wedle zasług, i pana, i sługę,

których zdruzgoce następnie, a z którymi tymczasem podają sobie ręce dla złupienia sukcesyi Maryi-Teresy ¹⁾.

August III był właściwie najbliższym spadku austriackiego. Podług pierwotnego *pactum mutuae successionis* Leopolda I z r. 1703, w braku męskiego potomstwa z dwóch synów, Józefa i Karola, dziedziczyły córki starszego syna. Królowa polska, Marya-Józefa, córka cesarza Józefa I, starsza i z starszej linii siostra stryjeczna Maryi-Teresy, miała zatem pierwotnie lepsze prawa. Wszakże, jak wiadomo, Karol VI po dziesięciu latach, przez ustawę sankcyi pragmatycznej, zmienił poprzedni porządek dziedziczenia na rzecz własnej córki. Wydając synowicę w r. 1719 za królewicza polskiego, uczynił to wyraźnie pod warunkiem zrzeczenia się przysługujących jej praw sukcesyjnych; a nawet, w gruncie rzeczy, jedynie dla otrzymania zgody na pragmatykę od domu saskiego, wprowadził doń córkę cesarską. Istotnie, i Marya-Józefa, i elektorowicz, i August II, najformalniej wszelkich pretensyi z ustawy 1703 r. się zrekli, ustawę 1713 r. uznali. Nie dość na tem. Po otwarciu bezkrólewia w Polsce, August III, zagrożony elekcyą Stanisława, zwrócił się po pomoc do Austrii. W traktacie przymierza z d. 16 lipca 1733 r., uznana już uprzednio przez siebie sankcyę pragmatyczną uroczyście poręczał i zobowiązywał się bronić jej przeciw pogwałceniu od strony trzeciej. Wzamian zyskał skuteczne poparcie cesarza, który w wojnie o sukcesyę polską, kosztem utraty Lotaryngii, utrzymał go panem Rzpltej.—Zdawało-by się, iż tyle zobowiązań, tyle obowiązków, dostatecznie zabezpieczało dom austriacki od napaści saskiej. W rzeczywistości było inaczej. Jeszcze podobno Sułkowski nosił się z projektem zwalenia pragmatyki i zaboru Czech. Brühl, aby zyskać pomoc dworu wiedeńskiego dla wyparcia faworyta, zdradził te plany posłowi cesarskiemu ²⁾. Ale Brühl, pozbywszy się Suł-

¹⁾ Pamiętn. Kitowicza, Matuszewicza. Stanisława-Augusta; Catt, Mem. u. Tageb., pod 20 listop. 1758, Publ., XXII, 213; Hist. d. m. t., 183 sq.; por. późniejszą odę Au comte de Brühl, Oeuvr. X, 44 sq.

²⁾ taką jest wersja Fryderyka w tekście pierwotnym Hist. d. m. t., niezupełnie zresztą wiarogodna, gdyż w uzupełnionym tekście z 1775 r., Oeuvr., II, 107, ten wypadek opowiedziany odmiennie i odniesiony wstecz do czasów Augusta II; por. wiadomość z memoriału Błędowskiego, 1 listop. 1746, u Waliszewskiego, Pot. i Czart., 9.—Pobudki niełaski Sułkowskiego nie są jasne. Plotkarz Kitowicz donosi, iż usunęła go królowa, kiedy próbował sprowadzić króla z drogi enoty. [Justi], Vie et caract. de mr le cte de Brühl (1760), 81 sq., mówi o aliansie królowej, Guarinięgo i Brühla. Podług Matuszewicza, I, 78, zgubił Sułkowskiego fortel, wymyślony przez przeciwników, którzy go wyprawili na niefortunną kampanię turecką. W rzadkiej broszurze Leben u. Charak. d. jüngst verstorb. Gräfinn Brühl (1763), 59 sq., znaleźliśmy wzmiankę, iż do upadku Sułkowskiego przyczyniły się jego oszustwa przy prowiantowaniu korpusu saskiego podczas tej kampanii.

kowskiego, niebawem przystąpił do urzeczywistnienia tych samych zamysłów. W tym celu zapewnił sobie uczestnictwo państwa, będącego w owym czasie głównym aliantem cesarza. Kayserling wtedy posłował w Dreźnie. Erudyta, łacinnik, powolny w ruchach i mowie, mały i grubo, pod śmieszną powłoką niemieckiego pedanta ukrywał tyle sprytu, sprzedajności, wyuzdania, iż pod każdym względem mógł być mistrzem Brühla. Obadwaj łatwo z sobą się zeszli. Za pośrednictwem Kayserlinga kupił Brühl Birona; przelicytował on u obu Kurlandczyków dwór wiedeński, który obu oddawna opłacał. W lutym i marcu 1739 r. w największej tajemnicy, bez wiedzy innych ministrów, jedynie przez deklaracje osobiste Anny i Augusta, umówioną została akcja wspólna w celu obalenia pragmatyki, na wypadek zejścia cesarza ¹⁾).

Wiadomość o śmierci Karola VI doszła Augusta i Brühla 27 października 1740 r., w Warszawie, dokąd byli zjechali na sejm.— Trzeba uprzytomnić sobie w tem miejscu sytuację polityczną wewnątrz Rzpltej. Sytuacja Augusta w Polsce oczywiście była opłakana. Elektor saski nie mógł być dobrym królem polskim. Mniemamy na ogół, iż dla Polski elekcyjnej najstosowniejszym królem był obcy książę, nie obcy panujący. Bylibyśmy głosowali z zasady za którym Kondeuszem, arcyksięciem, czy Contim, nie za Szwedem ani Sasem. Uważamy w zasadzie unię osobistą za jedną z najniedorzeczniejszych form rządzenia. Wiek XVIII przedstawia kilka przykładów unii dziedzicznych: elektor hannowerskiego na tronie angielskim, księcia heskiego na szwedzkim; przecież te przykłady zgola nie były zachęcające. Nadto, tam przynajmniej nie mogło być kwestyi, gdzie spoczywa punkt ciężkości połączonych rządów, w Londynie czy w Hannoverze, w Sztokholmie czy w Casslu. Z Polską było gorzej. Szalupa saska holowała za sobą olbrzymi, nieporadny okręt Rzpltej. Takiego Augusta III, co nigdy nie nauczył się mówić po polsku, wszystko ciągnęło do wygodnego Dreznia, nic nie trzymało w Warszawie, która naówczas, jeszcze nieupiększona przez Stanisława-Augusta, jeszcze nawet nieuporządkowana przez Bielińskiego, czyniła wrażenie wielkiej wsi stołecznej ²⁾).

¹⁾ deklaracja petersburska 7 lut., warszawska 18 marca 1739, Droysen, 125, 166; Hübner, Z. Gesch. d. Kursächs. Politik (1892), 14 sq.

²⁾ Warszawę 1740 r. maluje w najczarniejszych kolorach autor Varsovie ridicule, zjadliwy naśladowca Saint-Amand'a i Petit'a:

Te voilà donc Ville importante,
Sans murs, sans défense et sans loix,
Sole résidence de rois
Bicoque exécrable et puante...

i podobno nie ze wszystkim był potwarą, jeśli sędzić z kulawej odprawy, na jaką

Król pozbywał się obowiązków konstytucyjnych, zjeżdżając na rady senackie nad granicę, do Wschowy; do stolicy zaglądał rzadka, z musu; z musu tylko osiadł w niej dłużej, na prawdziwym wygnaniu, wyparty przemocą z ulubionego Drezna. W Rzpltej czuł się zawsze jak w obcym, jak w zdobytym kraju, i co najgorsza, zdobytym dla niego przez innych. Takie same były uczucia większej części jego poddanych. Czartoryscy, Poniatowski, Rzewuski, kilku polityków i dworaków. byli filarami dworu; lecz ogromna większość tego, co wtedy nazywano narodem, należała jawnie, lub w duchu, do opozycyjnego obozu Potockich.—Powiedzieliśmy już, iż stronnictwo republikańskie, pomimo pacyfikacji 1736 r., trwało w zaciętej niechęci przeciw rządowi saskim. Nie przestało ani na chwilę myśleć o detronizacji króla. Odłożyło tylko do lepszej okazji odnowienie niefortunnej polityki dzikowskiej. Wyczekiwało z upragnieniem takiej okazji przez cały czas trwania wojny tureckiej. Swoje nadzieje, po dawnemu, pokładało w Turcyi, Szwecyi, Francyi, Prusach, głównych antagonistach głównych protektorów saskich, Rossyi i Austrii. Te nadzieje ożywiły się ku końcowi 1738 r., wobec widoków interwencji szwedzkiej w wojnie wschodniej. W takiej interwencji republikanci polscy gotowi byli wziąć udział zbrojną konfederacją. W grudniu 1738 r., w Szwecyi nad pokojową partją „czapek”, będącą dotychczas u steru, wzięło górę wojownicze, francuskie stronnictwo „kapeluszy.” Horn ustąpił, Gyllenborg objął rządy. Major Sinclair, dawny żołnierz Karola XII, wzięty pod Połtawą, długo więziony, teraz najczynniejszy członek Komissyi tajnej do spraw zagranicznych przy sejmie szwedzkim, zjawił się w Polsce, w drodze nad Bosfor, po alians z sultanem. Równolegle z negocyacją szwedzko-turecką stanął sojusz szwedzko-francuski, ratyfikowany w styczniu 1739 r. Głowa opozycji w Polsce, hetman w. k., Józef Potocki, korzystając z przywileju hetmańskiego bezpośrednich stosunków z wielkim wezyrem, przez swego wysłańca, Gurowskiego, podstolego l., pośpieszył również stawić się w Stambule: w lutym 1739 r. ofiaruje się Porcie za wiązać jeszcze tegoż roku konfederację, uderzyć na Rosyję, jeśli będzie miał zapewnioną dywersyę 50 tys. Tatarów, 10 tys. Szwedów. Wielki wezyr, przedsiębiorczy Mohammed pasza, przychylił się do tego projektu. Już ku początkowi lata zaczął Potocki zbierać szlachtę, ściągać wojska na Podolu. Odezwał się też z Lunewilu Stanisław Leszczyński, wieczny kandydat do korony, którego wyniesienie miało

zdołał się obrońca Warszawy, w piśmie *Varsovie vengée et son apologie avec des réflex. mor. polit. et autres* (En Pologne, 1742). Napis spótczesny na egzemplarzu tej ostatniej broszury, jaki mieliśmy w ręku, nazywa autorem marszałka w. k., Franciszka Bielińskiego,—szczegół charakterystyczny dla późniejszego dobrodzieja stolicy.

być podstawą całego przedsięwzięcia i gwarancją pomocy francuskiej. Wszystkie te plany chybiły. Rząd francuski, sprężyna działająca zarówno w Sztokholmie, jak w Kamieńcu, w ostatniej chwili skrewił; wywołaną przez siebie wrzawę zużytkował zresztą dla ułatwienia traktatów pokojowych belgradzkich. Sinclair w powrotnej drodze zamordowany został na Szląsku, jego papiery zabrane; wydał się sekret negocjacyi szwedzko-polskich u Porty. Nie miało to zresztą złych następstw dla konspiratorów. Takie rzeczy traktowano wtedy z filozoficzną wyrozumiałością. Dla ukojenia niedoszłych konfederatów, Kayserling, który potrafił cytować Leibnitza i miał wyrozumiałość Panglossa, nie pożalował kilku tysięcy czerwonych złotych. Skoro się nie udało wziąć pomsty za pogwałcenia gdańskie, republikanci woleli przynajmniej ulżyć kiesy nieprzyjacielowi. Prymas Szembek wziął 3,168 dukatów, jego spowiednik 100, hetman w. l. Wiśniowiecki 800, hetmanowa Potocka 1,300, jej matka, marszałkowa w. k. Mniszchowa, 1,500! Na razie uspokoiło się wszystko.—Ale August miał sposobność uświadomić sobie wyraźnie, na jak kruchych podstawach spoczywał jego tron polski. Zaś od takiej świadomości do myśli obejrzania się za bezpieczniejszą koroną nie było daleko. Dla korony cesarskiej niemieckiej, bodaj dla królewskiej czeskiej, opłacało się, być może, pozbyć się niewygodnej polskiej. Śmierć Karola VI przyszła w porę, aby w tym właśnie kierunku otworzyć widoki ¹⁾.

Wiadomość o zgonie cesarza usunęła w kącie sprawy sejmowe, które były sprowadziły króla do Warszawy. Sejm warszawski 1740 r. pięknie miał zadanie, miał w programie aukcyę wojska i odpowiednie urządzenie skarbu. Fryderyk, który, pomimo nawału zajęć, na wszyst-

¹⁾ o negocjacyi Gurowskiego, Hammer, VII, 522, Schmitt, I, 130 sq. — Decyzja Francyi poświęcenia interesów polskich w traktacie belgradzkim, w depeszy Amelot'a do Villeneuve'a, 11 listop. 1738, Vandal, La miss. de Villeneuve 401 sq. — O sprawie Sinclair'a: nalegania Kayserlinga do Brühla, 16 stycz., 9 lut. 1739, Suhma relacya 7 sierp. o rzekomem oburzeniu Ostermanna, u Webera, Aus vier Jhrh., I, 275, 285 sq.; bardzo szczegółowa relacya samego wypadku, podług słów Couture'a, towarzysza podróży Sinclair'a, u Keralio, Hist. de la guerre d. Russes... contre les Turcs (1780), II, 266—316; decydujące dokumenty, przesłane jeszcze przez Vandala, 349 sq., ogłosił Sołowiev, Ist. Rossii, XX, 481 sq.: instr. Münnicha, 3 paźdź. 1738: „starać się go doścignąć... gdzieby Polaków nie było..., uśmiercić lub w wodzie utopić, zabrawszy uprzednio wszelkie. bez wyjątku, papiery”; tegoż identyczna instr., 9 lut. 1739, dotycząca, oprócz Sinclair'a, jeszcze Rakoczego i Orlika; obydwie skutkiem bezpośrednich rozkazów z d. 15 sierp. 1738 i 27 stycz. 1739. — Rachunki Kayserlinga, za 1739 r., ib., 387, gdzie wymienione nadto 500 duk. dla wdy nowogrodzkiego Radziwiłła, 1,000 dla marszałka sejmu 1738 r. (Rudzieńskiego, sty kruszwickiego), 3,300 dla różnych posłów, 1,872 drobnych datków. — Leszczyński do Jabłonowskiego, sty buskiego, 15 wrześ., 1 paźdź. 1739, Morawski, IV, 263, Kantecki, II, 61.

ko miał oko, zaniepokojony był temi projektami. Jakkolwiek jego układy traktatowe z Rosyą nie wróżyły jeszcze wtedy pomyslnego końca, rozkazał jednak swemu posłowi w Warszawie, Hoffmannowi, iść w tej potrzebie ręką w rękę z Kayserlingiem, popierać pretensye dyssydenckie, sprzeciwić się aukcyi wojska, w najgorszym razie zerwać sejm; wyznaczył mu na ten cel dwa tys. talarów. Hoffmann nie miał potrzeby narażać się na ekspensa. Wprawdzie i dwór, i republikanci przybierali pozór, jak gdyby im wszystkim wielce leżały na sercu projektu sejmowe. Poniatowski nawoływał do uchwalenia „zbawiennych od tronu propozycji.” Rzewuski perorował o nowych zaciągach, podwójnej kwarcie, darowiznach od duchowieństwa, ryczałtowych ofiarach wojewódzkich. Poniński „dziwował się, że odiosum przedtem nomen aukcyi wojska, które przeszłemu sejmowi czyniło offendiculum, teraz przez jednostajne województw, ziem i powiatów instrukcye, stało się classicum et plausibile.” Tak rzecz przedstawiała się w oracyach. W rzeczywistości, ani republikantom nie zależało na uchwaleniu propozycji dworskich, ani dworowi na pomnożeniu wojska pod buławą wielką przywódcy niedoszłej konfederacyi. Sejm spełził na niczem. Król, z nieodstępny Brühlem, już w połowie listopada opuścił Warszawę, śpiesząc z powrotem do Drezna, do nowych powikłań europejskich, które stokroć więcej ich obchodzą od wszystkich narad sejmowych polskich ¹⁾.

Przed ambitną a chwiejną, chwytającą się wszystkiego a niczego nie ujmującą, Brühlowską polityką dworu drezdeńskiego, otwierało się teraz nieskończone bogactwo kombinacyi. Pociągały ją najprzód dwa wielkie przedmioty. Po pierwsze, kandydatura Augusta do korony cesarskiej. Następnie, widoki na Czechy, z tej zasady, iż głos elektorski czeski, niezdolny z mocy Złotej bulli Karola IV przejść na niewiastę, po wygaśnięciu szczepu męskiego Habsburgów, zdaniem jurystów lipskich, należał się najbliższemu krewnemu, t. j. pierworodnemu królewiczowi polskiemu.—Wszakże do takich rzeczy ani było sposobu przystąpić, nie uzyskawszy wprzód zgody i poparcia pierwszego w Europie mocarstwa, Francyi. Zdaje się, iż czas jakiś w Dreźnie istotnie byli gotowi za pomoc francuską ofiarować przywrócenie Leszczyńskiego. Przedewszystkiem trzeba było wy badać w tym względzie intencye Stanisława, Ludwika, królowej Maryi, a głównie Fleurego.

¹⁾ Fryderyk do Podewilsa, 25 wrześ., 24 paźdz.: es bleibt dabei, dass er (Hoffmann) die Augmentation auf alle Weise contrecarriren soll, 4 listop., P. C. I. 51. 86. — Teka Podoskiego, IV, 544, 548 sq. Mowy i listy Wacława Rzewuskiego (1761). 33 sq. — August tak śpieszył do Drezna, iż zostawił w Warszawie królowę, która tutaj, 10 listop., była powiła córkę.

Missya była niezwykle drażliwa. Powierzono ją wdzie mazowieckiemu, najtęższej i najdoświadczeńszej głowie, jaką dwór rozporządzał. — Stanisław Poniatowski, który miał dużo szczęścia za życia, zdaje się mieć go mniej po śmierci. Wysławiony, ale w miarę, za życia przez Voltaire'a, znalazł dzisiaj hojniejszego biografa w Kanteckim. Okazuje się, iż był z niego „wielki mąż”, „genialny człowiek”, „najgorętszym ożywiony patryotyzmem”, nieomal „drugi Czarniecki”, którego należy „podziwiać i uwielbiać”, przed którym „za szlachetne usiłowania godzi się uchylić czoła”, któremu tylko oporność zepsutego narodu przeszkodziła w „dopięciu najchwalebniejszego celu, bo zbawienia ojczyzny” ¹⁾. Niepodobna brać seryo tego rodzaju panegiryków. Poniatowski, zapewne, był przedsiębiorczym i szczęśliwym kondotyerem. Ale nie był niczem więcej. Niema potrzeby spierać się o „patryotyzm, nawskróś szlachetną ambicję i głębokie poczucie honoru” tego byłego szwedzkiego żołnierza, który na pierwszym krześle senatorskiem Rzpltej skończył jako protegowany dawnych adwersarzy, skończył na poleceniu swojego syna ich protekcyi. Co się tyczy jego reputacyi wojkowego i dyplomatycznego geniuszu, trafne jest spostrzeżenie Fryderyka, iż tę „reputację zbyt pośpiesznie przyznała mu Europa” ²⁾. Był śmiałym żołnierzem, ale nigdy nie okazał talentów wodza; i kiedy miał najlepszą okazję objawić się „Czarnieckim”, we wrześniu 1733 r., roztropnie złożył regimentarstwo i uniknął spotkania z Münnichem. Był zręcznym agentem, w rodzaju renegata Bonnevala albo starego Seckendorffa, umiał w seraju przez starą sułtankę podkopywać się pod wezyra, albo na nocnych schadzkach w Berlinie późniejszą margrabinę Bareith swatać z Karolem XII; ale nie miał w sobie materyału na prawdziwego męża stanu, do wielkiej negocyacyi był niezdatny, i jego dyplomacya przekupstwa i jedwabnych sznurków musiała mizernie się wydać w salonach wersalskich i gabinecie kardynała Fleurego. — Poniatowskiemu przydano wytrawnego Fritscha, który, jeszcze podczas komplikacyi 1739 r. wysłany do Paryża, dobrze był widziany u Fleurego. W połowie grudnia opuścili Drezno, kierując drogę oczywiście na Lunewil. Spotkanie Leszczyńskiego z Poniatowskim musiało być ciekawe. Sługa, który po dwakroć bronił króla i opuścił go, przychodził kusić go po raz trzeci. Lecz Stanisław oprowadzał wysłańców po ciichym ogrodzie lunewilskim i mówił do nich, jak Kandyd: „Widzicie, jakie tutaj prowadzę życie; upewniam słowem królewskim, słowem honoru

¹⁾ Kantecki, I, (2), 218, II, 133 sq.

²⁾ Les comtes Poniatowski et Tessin (głośny poseł szwedzki) ont eu, ce me semble, un sort égal dans la réputation que l'Europe (s')était hâtée leur donner, Hist. d. m. t., 182 (brak w tekście 1775 r.).

i słowem chrześcianina, iż jestem zadowolony z mego losu, i pragnę jedynie służyć Bogu, i niewiele dni, jakie mi zostają jeszcze, pędzić w pokoju”¹⁾. Przed dwoma laty podobne oświadczenie sprawiło-by niemałą ulgę wysłańcom Augusta III; obecnie zapewne zbiło ich nieco z tropu. Więcej jeszcze musiało ich zbić z tropu usposobienie, jakie znaleźli w Wersalu. Fleury żadną miarą nie chciał awanturować się powtórnie w sprawach polskich. „Tak samo nie myślę wracać do Polski, jak do łona mojej matki”, odezwał się już dawniej do posła saskiego. Obecnie, wobec groźnego kryzysu europejskiego, zależało mu na tem, aby pozyskać Saksonię, lecz bez wielkiego kosztu, bez ryzykownych przewrotów. Na pierwszej audyencji, jakiej udzielił Poniatowskiemu, spytał go wprost, azali August myśli starać się o koronę cesarską. Kardynał już wówczas najchętniej przeznaczał tę koronę Karolowi-Albertowi bawarskiemu, staremu aliantowi Francyi. Poniatowski dał odpowiedź wymijającą. Zarazem na zapytanie Brühla względem zajęcia Czech przez wojska saskie, Fleury bez ogródek dał odpowiedź nieprzychylną. Nie na wiele przydało się Poniatowskiemu poparcie przyrodniego brata Augusta, hr. Maurycego Saskiego, który już miał wielką wziętość u aktorek paryskich, lecz jeszcze mały udział w sprawach; nie na wiele rozmowy przy kartach z Maryą Leszczyńską, która oddawna żadnego wpływu nie wywierała na Ludwika. Fleury, jedyny sternik polityki francuskiej, sucho i z nieufnością traktował wojewodę. W dodatku, co najgorsza, Poniatowski żadnych absolutnie skazówek, nawet wiadomości, nie odbierał z Drezna, choć się o nie upominał natarczywie. Dopiero w marcu, po długiem czekaniu, otrzymał pismo od Brühla, tak ogólnikowe, iż nie upoważniało do żadnych wyraźnych kroków. Tymczasem po Paryżu rozeszła się wieść o dokonaniem jakoby porozumieniu pomiędzy Dreznem a Wiedniem. Położenie Poniatowskiego, intryganta bez intrygi, stało się jak najfałszywszem. Śmieszną, dwuznaczną rolę, jaką odgrywał, stwierdzają relacye wszystkich obcych posłów, umocowanych wtedy w Wersalu. W szczególności poseł rossyjski, dowcipny satyryk, przyjaciel księdza Venutiego. Teofana Prokopowicza i Montesquieu’go, książę Kantemir który jeszcze za swego ojca, zdrajcę hospodara, mógł mieć stare rachun-

¹⁾ Fritsch do Brühla, 7 stycz. 1741, ogł. Beaulieu—Marconnay w Arch. f. sächs. Gesch., IX (1871), 271; Stanisław dodał jeszcze: *Les humeurs de messieurs mes compatriotes me sont connues cependant... je souhaiterois contribuer de mon mieux à contenir de pareilles gens... Je vous prie et vous charge sur votre honneur, quand vous entendrez quelque chose à ce sujet, de le contredire et de dire hardiment que c'est une imposture et que c'est moi qui vous en aie prié... et nous mettrons l'imposture tellement au jour que l'envie en passera.* Kantecki, II, 70 sq., widocznie nie znał tych ważnych dokumentów.

ki z generałem Karola XII, bacznie pilnuje jego kroków i z ironią zdaje sprawę w swych depeszach z jego dyplomatycznych niepowodzeń. Nałykawszy się upokorzenia, nareszcie, w maju 1741 r., opuścił Poniatowski stolicę francuską, „srodze niekontent — jak donosi Kantemir — gdyż przybył dla wielkich rzeczy, a niczego nie dokazał” ¹⁾).

Niefortunny obrót negocjacyi francuskiej, naraz całkiem puszczonej w niepamięć przez Brühla, stanie się zrozumiałym, jeśli rzucić okiem na potajemne knowania, jakie tymczasem zawiązały się równolegle między Dreznem a Berlinem i Wiedniem.

Zamiary Augusta III względem sukcesyi austriackiej oddawna nie były sekretem dla Fryderyka. Jeszcze podczas choroby Karola VI kazał dowiadywać się w Dreźnie o „zamyślach dworu na wypadek śmierci cesarza”; potem, już w październiku, wręcz proponował spółkę, albowiem, jak się wyraża w swoim osobliwszym stylu, inaczej Saksonii „ledwo na ząb się dostanie.” O zajęciu Szląska doniósł Augustowi w grudniu pismem okólnem, i zarazem dla bliższego porozumienia się wyprawił Finckensteina do Drezna. Marzenia Augusta o koronie cesarskiej, starania podjęte w Wersalu, doskonale były wiadome Fryderykowi. Rozmyślnie utwierdzał politykę drezdeńską w tym fałszywym kierunku; obiecywał swoje poparcie, jakkolwiek sam był zdecydowany nie dopuścić żadną miarą Sasa do korony cesarskiej, lecz dać ją Bawaryi. Nie wątpił o niewykonalności „chimerycznych” planów saskich, już „z uwagi na Polskę, gdzie Rosssya nigdy nie dopuści powrotu Stanisława.” — W rzeczy samej, Brühl nie mógł dłużej liczyć na Rossyę z chwilą obalenia Birona przez Münnicha. Upadek regenta pociągnął

¹⁾ Brühl do Poniatowskiego, 3 stycz. 1741; relacya Poniatowskiego, 11, Fritscha, 23 stycz.; Maurycy Saski do Brühla, 10 lut.; Brühl do Poniatowskiego 23 lut., jak najdawniej: le Roi ne seroit pas éloigné d'accepter (la couronne impériale) pour le bien et repos public, si elle venoit Lui être offerte par une pluralité des suffrages de Ses collègues, laissant cela au tems et aux conjonctures, sans prétendre à rechercher ce diadème, Beaulieu-Marconnay, 276, 281 sq., który dodaje, iż to ostatnie pismo przywiózł z Drezna Poniatowskiemu syn, der spätere König von Polen Stanislaus II August, — oczywiście nonsens, gdyż Stanisław-August miał wtedy lat 11, depeszę przywiózł Kazimierz, późniejszy podkomorzy. — Kantemira Pisma (ed. Jefremowa), depesze z d. 8, 15, 22 stycz., 2, 19, 23 lut., 2 marca, 28 maja, II, 108, 115 sq., 149. — Por. ciekawe pismo Stanisława do Ludwika XV: les désagrémens que j'ai éprouvés à mes deux premières élections ont été si grands, que ce ne seroit jamais qu'avec répugnance que je me mettrois sur les rangs pour aspirer derechef à la couronne de Pologne... Si cependant la nation polonoise se sent vraiment disposée à me rendre justice, elle pourroit en cas de vacance m'envoyer une députation pour m'inviter de retourner auprès d'elle, ogł. u [Esslinger'a], Mém. de la reine de Hongrie (1745), 15 sq.

za sobą zgubę całej kompanii kreatur saskich. Król polski ma odrazu pięć Orłów Białych do dyspozycji, — donosił La Chétardie z Petersburga po zamachu listopadowym i degradacyi Birona, jego dwóch synów, Bestużewa i Bismarcka, samych kawalerów jedynego orderu Rzpltej; a być może, dodawał poseł francuski, wkrótce otworzy się wakans na szóstą wstęgę, po Kayserlingu. Niebawem stało się jasnem, że nowy wielkorządca, Münnich, sprzyja królowi pruskiemu. Fryderyk pośpiesznie wyprawił do Petersburga zięcia Münnicha, Winterfeldta, majora w służbie pruskiej, zaś jego synowi podarował wielkie dobra, jakie Biron miał na Marchii. Dworowi drezdeńskiemu przyszło teraz z ciężkiem sercem odsłonić przed Münnichem tajną umowę sasko-rosyjską z 1739 r., dotyczącą sukcesyi austriackiej. Kiedy z tym sekretem otworzył się przed nim poseł saski, gniewnie oświadczył feldmarszałek, iż podobnym układom zakulisowym żadnej nie przyznaje mocy, iż są to wszystko stare sprawy Kayserlinga, który gardłem za nie odpowie. Istotnie, już w styczniu 1741 r. odwołał Kayserlinga z Drezna. — Śród takich warunków, w grze dyplomatycznej między Dreznem a Berlinem, na razie wszystkie atuty znalazły się w rękach Fryderyka. Prowadził ją też ze świadomością swej przewagi i artyzmem skończonym. Zabawiał Brühla, dodawał ostrogi jego „chimerom”, nęcił obietnicami: lecz kiedy przychodziło do wymagań realnych, odmawiał stanowczo. Tak się stało, gdy Brühl na początku wyrwał się z jednym rozumnem, praktycznem żądaniem, gdy się upomniał o udział w zdobyczach na Szląsku, o pas ziemi dla połączenia elektorstwa z Rzpłtą. Była to myśl doniosła. Przemknęła była już dawniej śród sprzecznych planów Augusta II; rozwijał ją potem Maurycy Saski w swoich dziwnych *Rêveries*: a jeszcze wiele później, jeszcze po Tylży, wrócił do niej Napoleon. „Jeśli zażądamy Berlina, mniej to ich zaniepokoi”, pisał wtedy Caulaincourt. Była to myśl zdrowa: pas szląski, odłam starej spuścizny piastowskiej, wyborym był łącznikiem, unia osobista mogła tedy przeistoczyć się w unię realną. Ale z podobną myślą, wstrętną Fryderykowi Wilhelmowi III, ani było przystąpić do Fryderyka II. Nie, — ubogi kęs szląski, to w sam raz dobre dla niego; dla swego ukochanego brata Augusta przeznacza on świetniejsze udziały: koronę czeską, Morawię. Nie dopuszczając nikogo do gotowego łupu, kusząc dwór drezdeński do ryzykownych przedsięwzięć, obiecując królestwa za górami, — tymczasem w Petersburgu, Paryżu, nawet w Wiedniu, denuncyował Fryderyk niebezpieczne plany saskie, a sam spokojnie przystępował do oblężenia Wrocławia. — Wszakże, zabawiając Sasów, podejrzewał, iż odpłacają mu wzajemnością. „Brühl oszukuje”, ostrzegał zawczasu Podewilsa. Miał słuszność: gdyż Brühl, oszukiwany, próbował oszukać, i rokując z Fryderykiem

przeciw Maryi-Teresie, jednocześnie prowadził przeciw niemu doniosłe rokowania z królową węgierską ¹⁾).

Natychmiast po wtargnięciu Fryderyka na Szląsk, zwróciła się Marya-Teresa do Augusta III, do stanów i prymasa Rzpłtej, ze skargą na gwałt niesłychany, jakiego padła ofiarą. Do Drezna z misją nadzwyczajną wyprawiony został Khevenbüller. Chodziło o dwie rzeczy: o zgodę Augusta na oddanie regencyi i głosu elektorskiego czeskiego księciu lotaryńskiemu, małżonkowi Maryi-Teresy, oraz o wspólne działanie przeciw napastniczym Prusom. Wzajemnie ofiarowano Saksonii odszkodowanie z posiadłości pruskich. Układy z początku szły twardo. Brühlowi chodziły po głowie korona cesarska i czeska; wyglądał wieści od Poniatowskiego; słuchał propozycji Fryderyka; rachował się z predylekcyami pruskimi Münnicha. Lecz niebawem sytuacja się zmieniła. Z relacyi wersalskich stała się widoczną wstrzemięźliwość Fleurego. Obietnice nieuchwytne Fryderyka wydały się podejrzanymi. Co główna, udało się przeprowadzić nowe *tour de main* nad Nową. „Saski Narcyz”, ładny Lynar, dawny ulubieniec Anny Leopoldówny, wyprawiony jeszcze w grudniu do Petersburga, nareszcie przy pomocy Ostermanna i posła austriackiego, Botty, potrafił w marcu 1741 r. usunąć od steru Münnicha. Kayserling, który pomimo odwołania był pozostał w Dreźnie, później oddany sługa, wtedy jeszcze zaścięty wróg Fryderyka, ujął w swoje ręce rokowania sasko-austriackie, i wkrótce rozszerzył je do rozmiarów wielkiego projektu koalicyjnego, z udziałem Rosyi i Anglii, w celu rozbioru Prus. W jego mieszkaniu odbywały się narady. W kwietniu umówiony został ostatecznie traktat sasko-austriacki: August sprzymierzał się z królową węgierską przeciw królowi pruskiemu; wzajemnie otrzymywał—na papierze—księstwo

¹⁾ Fryderyk do Ammona, 31 paźdz.: (la Saxe) ne croquera que d'une dent, sans... un concert préalable; do Podewilsa, 4 list., iż trzeba semer la zizanie entre le Lorrain et les Saxons; odpowiednia instr. dla Borckego, 5 listop.: Je suis trop bien informé (des) intentions dangereuses des Saxons et trop bon ami du Duc (de Lorraine) et de la maison d'Autriche pour ne les pas en avertir confidemment; Podewilsa uwagi i rezolucya Fryderyka, 25 listop.; instr. dla Finckensteina 13 grud.; Fryderyk do Podewilsa 21 grud.: ne vous trompez point, Brühl vous dupe. Incrédule, incrédule, que ce soit votre devise. P. C. I, 83, 115, 142 i pass. — Pismo okólne Fryderyka do Augusta o zajęciu Szląska 13 grud. Preuss. Staatsschr., I, 65; odpowiedź Augusta bardzo ostrożna: sans entrer présentement dans les prétentions alléguées par V. M., 17 grud. w Heldenges. Friedr. d. And., I, 506. — La Chétardie do Amelota, 26 list.: mr de Kayserling ministre de Russie à Varsovie (doit) être arrêté et traité comme les autres. 31 grud. o misji Winterfeldta, Sborn. pet. XCII (1894), 172 sq.—Relacye berlińskie Bälowa grudz., stycz.; petersburskie Pezolda, 30 grud. 1740, 10, 14, 20 stycz. 1741, u Hübnera 45, 49, 94 sq. — Caulaincourt, 17 lut. 1808, a Vandala, Nap. et Alex., I, 218.

króśnieńskie, posiadłości Fryderyka w Łuzacyi niższej, oraz pas pół-milowej szerokości, co razem dawało nieprzerwane połączenie Saksonii z Polską; prócz tego obiecany był tytuł królewski dla elektorstwa. Niezależnie od tej umowy, dojrzewały wielkie plany rozbioru wszystkich niemal ziem Fryderykowych. Jerzy II, któremu uśmiechała się myśl zaokrąglenia Hannoveru kosztem pruskiego siostrzeńca, zapalił się do tego projektu, Walpole dał aprobatę, Ostermann nie bardzo się opierał. Przez całą wiosnę negocjowano zawzięcie w tym przedmiocie w Dreźnie, Wiedniu, Londynie, Petersburgu. Dzielono skórę na niedźwiedziu ¹⁾.

Fryderyk tymczasem, obozując na Szląsku, negocjował po swojemu. Prowadził układy z Anglią o medyację polubowną między nim a Maryą-Teresą: jeśli królowa dobrowolnie przyzna mu Szląsk, wzięte przez niego „z góry” honorarium, on obiecuje zostać jej rycerzem, bronić jej przeciw przewidywanym napaściom Francji, lub innych rabusiów. Równocześnie traktował z Francją, Bawaryą, Saksonią, o przymierze zaczepne przeciw Austrii i podział sukcesyi habsburskiej. Nagle, wśród tych interesujących układów, przybiegł kurier z piorunującą wieścią od Mardefelda. Münnich, wyparowany przez Lynara, przestrzegał swego dobroczyńcę, króla pruskiego, o gotującej się przeciw niemu koalicji rozbiorowej. Sprawdziły się najgorsze podejrzenia króla o „oszukaństwo” Brühla. Tracąc poparcie Rossyi, usługi Anglii, daleki jeszcze od porozumienia z Francją, Fryderyk naraz znalazł się jak w matni. „Otworzyła się puszka Pandory, nadeszła najcięższa godzina dla domu brandenburskiego”, wołał głosem Kassandry zatrwożony Podewils, przyzwyczajony do ostrożnego kunktatorstwa Fryderyka-Wilhelma, spełniający z drzeniem ryzykowne rozkazy młodego pana. Ale Fryderyk nie stracił głowy. Przedewszystkiem, powiedział sobie, należy zastraszyć, w razie potrzeby zgnieść Saksonię. Mniemamy, iż to jest historyczna chwila, kiedy nieodwołalnie powziął w duchu decyzję zagłady, zaboru elektorstwa, decyzję, którą sam dwukrotnie sprobuje urzeczywistnić, której urzeczywistnienie w Testamencie politycznym włoży na swoich następców, i o której oni nie zapomną w czasie kongresu wiedeńskiego i wojny 1866 r. „Cokolwiekby nastąpi,— pociesza przerażonego Podewilsa,— będę miał tę satysfakcję, iż wstrząsnę Austrią i pogrzebię Saksonię.” Natychmiast nakazuje feldmarszałkowi Dessauskiemu przygotować się

¹⁾ Marya-Teresa do Augusta III, do prymasa Szembeka, do Stanów, 29 grud.: o missyi Khevenhüllera, *Gesch. u. That. der... Maria-Theresia* (1743), 486 sq.; o negocjacji niedosłego traktatu drezdeńskiego 11 kwiet. 1741, i projektach rozbioru Prus, *Arneth*, I, 200 sq., *Droysen*, 225, 250 sq., *Hübner*, 54, 109 sq.

do zajęcia elektorstwa: „trzeba szukać z Sasami *eine querelle d'Allemands*.” — Zarazem rozpoczął kroki, aby wzruszyć przeciw Augustowi Rzpltą. Obawiał się, aby nie wciągnięto jej również do koalicji przeciw Prusom. Niezwłocznie polecił Hoffmannowi podjąć stosowne kroki w Warszawie. Wymowny pamflet, wypracowany w kancelaryi Podewilsa, rozrzucony został po Polsce i Litwie: przedstawiony tu zabór Szląska, jako korzystny i szczęśliwy wypadek dla Rzpltej, wyłuszczone troskliwość życzliwego pruskiego sąsiada o zachowanie jej przywilejów i złotej wolności, przypomniana stara przyjaźń domu brandenburskiego, przysługi, oddane podczas ostatniego bezkrólewia obrońcom wolnego wyboru, w końcu z głębokiem przejęciem wygłoszone ostrzeżenie, udatnie brzmiące w ustach zaborcy Szląska, ażeby zaprzysiężonego pokoju z Prusami nie zrywać, albowiem jest pomsta niebieska na tych, co łamią przymierza: *divinae vindiciae in foederum ruptores*. Nie trzeba było więcej republikantom polskim. Zaraz sami zgłosili się do Hoffmanna z swoim nieśmiertelnym projektem konfederacji. Oczywiście tutaj znaleźli zachętę. Zaczęła się ta sama gra, co przed dwoma laty. Józef Potocki jął zgromadzać swoich adherentów i zbierać wojska koronne. Rzecz wydała się jeszcze rychlej, niż ostatnim razem, i jeszcze rychlej speliła. Gurowski, przekupiony przez Rzewuskiego i Kayserlinga, przybył potajemnie do Warszawy, zdał szczegółowo sprawę z swego dawniejszego poselstwa u Porty oraz z obecnych planów konfederacyjnych. Inny zdrajca, Jabłonowski, wda rawski, wydał dworowi odezwę Potockiego do Fryderyka. Udało się dworowi całe przedsięwzięcie stłumić w zarodku. Ale Fryderykowi więcej nie było potrzeba. Przeświadczony o „lekkomyślności narodu polskiego”, on na pomoc konfederatów nie liczył, nie potrzebował jej; zanadto z tej strony angażować się nie życzył sobie, aby nie zamknąć Augustowi odwrotu do aliansu pruskiego: chodziło mu o zaprzątnięcie uwagi dworu drezdeńskiego, o wzbudzenie mu kłopotów we własnym domu,—a tego celu dopiął ¹⁾).

¹⁾ Fryderyk do Podewilsa 24 lut., 1, 17 marca; do ks. Anhalt-Dessau, 17, 20 marca; do Hoffmanna, 10 maja: je souhaiterais néanmoins par plusieurs raisons d'aller bride en main et de ne pas m'engager trop avec eux avant que je ne sois bien assuré, qu'ils sont en état de remplir leurs promesses, P. C. I, 197, 199, 208 sq., 243.—Por. relacyę La Chétardiego, 8 kwiet., Sborn., 470 sq. o propozycji któregoś Lubomirskiego urządzenia ruchawki przeciw Fryderykowi. — Pamflet *Catholica religio* przedr. w Preuss. Staatschr., I, 285 sq.: Brandenburgica ideo gens Poloniae toties auxilia-trices praebuit manus, quoties nutare videbatur ejus libertas et procerum auctoritas pace belloque. Polonorum vicinia illi fuerat commendatissima semper... Paganum Latium dixit fugere deos tutelares principem foedifragum, i t. d.— O t. zw. konfederacji sulejowskiej, Schmitt, I, 168 sq., Szujski, IV, 325 sq., gdzie jednak pomieszczone te

Szczegóły nieudanej konfederacji 1741 r. są znane; dla informacji starczy tutaj parę pism poniższych:

August III do Józefa Potockiego.

Drezno, 22 lut. 1741.

List Uprzejmości Waszej ¹⁾ przez Urodz. Hundorffa Obersztlejtnanta wojsk k. oddany z wyrażeniem ku Nam życzliwości i wierności tem potrzebniejszą przyniósł w czasie samym intencji Uprzejmości Waszej explikację, im z wysyłania mimo wiadomość naszą za granicę do postronnych emissariorum dałeś do różnej o sobie intepretacji okazyę. Spodziewamy się jednak, że U. W. starać się będziesz, abyś te wszystkie suspicje tak odwrócił, jakoby torując wszystkim do publicznego szczęścia drogę, nikt nie miał racji opacznych o U. W. formować sobie opinii. Obywatele województw prowincyi wielkopolskiej, że się odzywają o zmocnienie sił tej partyi wojska, która się teraz tam znajduje, czynią to bardzo provide, ponieważ lubo od dworu berlińskiego zawsze dobrej z stanami Rzpltej harmonii odbieramy assekuracyę, jednak zwyczaj jest, iż w której stronie się ogień zajmuje, tam w sąsiedztwie wszelka powinna być ostrożność; dlatego należało-by chorągwi hussarskich i pancernych poblizszych w ten kraj przyczynić, a regimentami dragonii, które swoje leże mają około Prus lub w Prusiech, zasłonić Elbląg i pułkiem naszym letkich chorągwi w kompucie koronnym zostającym. A kiedy to wojsko ściągać się będzie, naturalnie niepodobna pozwolić komissaryatowi pruskiemu skupować zboża, żeby potem i żołnierz i kraj największego w domu nie miał nieprzyjaciela, to jest głodu, ile przy tak ciężkiej roku terażniejszego karystyi.

sprawy z projektami konfederackimi następnego roku. O zdradzie Gurowskiego, Sołowiew, XX, 389: okazało się wtedy, iż już w 1739 r. Fryderyk Wilhelm ofiarował konfederatom 50 tys. karabinów. O Jabłonowskim, Waliszewski, 48, którego twierdzenie „w świetle nowych źródeł”, jakoby „myśl konfederacji wychodzi(ła) tym razem nie z hetmańskiego obozu a z Berlina”, jest atoli bezzasadnem i tłómaczy się zupełną niezajomością Pol. Corr., gdzie najwyraźniej widać wstrzeżliwość Fryderyka wobec propozycji, jemu czynionych od konfederatów. Z drugiej strony, oczywiście twierdzenie Droysena, 332: zugleich schien die Aufregung in Polen, die im Entstehen begriffene Conföderation unter dem Krongrossfeldherrn Potocki, von Dresden ausgenährt zu werden, — wprost jest niedorzecznem.

¹⁾ Potocki do Augusta III, 22 stycz., z Krotoszyna, prosił o rozkazy królewskie, ze względu na wybuchłą na Szląsku wojnę.

Instrukcja Małachowskiego dla Turny ¹⁾.*Drezno, 14 wrześ. 1741.*

1-mo: Exponet JP. pułkownik Turno JWP. hetmanowi w. k. nie-
znośny żal JKMci PNM., że sub absentia Jego promowuje aukcyę
wojska, materiam, która in praesentia trinum ordinum agitari powinna,
nieuczyniwszy żadnej partycypacyi projektu tego JKMci, tak, jakoby
Polska była sub interregno.

2-do: Choćby najlepiej konfederacya była napisana circa Maje-
statem, jednakowo JKM. PNM. będzie ją brał sobie za przeciwną ex
ratione, że konfederacye pod innym pretekstem się zaczynają, a pod
innym kończą.

3-tio: Konfederacya terazniejsza zawsze będzie w suppozycyi tej
u Pana ex quo, że ją sekretnie robiono, aby o niej Pan nie wiedział.

4-to: Wyrazi JP. pułkownik periculum samegoż JWP. hetmana
z tej konfederacyi ex ratione inconstantiae populi, jako dowodem są
tego konfederacya tarnogrodzka, konfederacya w Litwie, gdzie hetma-
na Gąsiewskiego zabito.

5-to: Jeżeli JWP. hetman rozumie, że król JMć in imperio zaba-
wny, bardzo się w tem myli, bo najprzód jest extra praetensionem ko-
rony cesarskiej, a potem, zawarłszy neutralitatem cum aliis potentiis,
będzie miał wolne wojsko i niezabawne żadną wojną.

6-to: Zważyć trzeba JWP. hetmanowi, że przez konfederacye
zrobi się diffidentia inter status, a stąd potem wszystkie nieszczęścia
mogą pullulare na ojczyznę, a tak, uchowaj Boże, wszystkie te mała,
które-by spadły na ojczyznę imputarentur JWP. hetmanowi et publi-
cum odium zaciągnął-by na osobę swoją.

7-mo: Nie wierzy JP. podkanclerzy k, aby JWP. hetman w. k.
fundował się na protekcyi iunych monarchów; jednak to podaje do
refleksyi, że monarchowie, wyrobiwszy swój interes, zapominają

¹⁾ adjutanta królewskiego, wyprawionego z surowem pismem Augusta do
Potockiego, Drezno, 14 wrześ., gdzie wyrzuca król hetmanowi, iż wbrew rozkazom,
w piśmie z d. 22 lut. mu danym. odsłania granice wielkopolskie, ściąga wojska pod
Piotrowin i Sulejów, gotuje konfederacyę: *Każdy inferre może, że ściągnięte partye
wojska nie dla lustracyi, ale dla utrzymania tych, którzy exequuntur intencye U. W., na miej-
scach wyżej wymienionych lokował. Urodził się U. W. w tej Rapolce, w której same prawa
panują, i wiesz, że niemi wszelkie spiski zakazane. Doznała cała Polska effectus infaustos tako-
wych konfederacyi, za które dotąd méci się Bóg et injuria coeli plebs innocua patitur.* Por.
niemiecką wersyę bez daty u Nowakowskiego, Źródła, 237 sq.— W tej samej materyi
pismo z admonicją Augusta III do prymasa, 14 wrześ.

o wszystkich sponasyach, a JWP. hetmanowi w. k. w Polsce żyć i umierać trzeba.

8-vo: Jest tej nadziei JP. podkanclerzy k., że JWP. hetman w. k., wzięwszy w konsyderacyę quanta sit reddenda ratio Bogu de lacrimis populi, odrzuci te violenta media.

Potocki do Augusta III ¹⁾.

Borzecin, 7 paźdz. 1741.

Nikt mi dowieść nie może, ażeby wierność moja ku Majestatowi Pańskiemu WKM. PMM. i Rzpltej, primo juratae convenientiae nexu obowiązana, miała w najmniejszym punkcie aliud referre verbis, aliud probare operibus et factis, bo ci wszyscy, którzy łaskawe i Pańskie serce WKM. PMM. usiłują variis wymyślonych opinii i cenzur mediis artibusque pelasgiis psować ku mnie, mogą z czasem, cuncta mentium humanarum arcana odkrywającym, upaść w kredycie Pańskim, a moja nie interesowana, purum zelum mająca usługa mereri nomen boni et fidelis servi... Zapalony bowiem circumcirca u sąsiedzkich potencyi martialis ardoris ogień zagrażał niektórych po województwach concives et confratres do tej rezolucyi, że czynili mi varias do aukcyi wojska reflexiones, i gdy się cum hoc candore oświadczyli, że to może sposobami, dawniej in arduis Reipublicae casibus praktykowanemi, subsequi, przy nieporuszonej ku Majestatowi Pańskiemu WKM. PMM. wierności, — bo przy tej nas wszystkich powinności gotowym życie moje sakryfikować, — rozpisałem do województw, utrzymując mój kredyt tem mocniejszy, im wierniejszy dla WKM. PMM. Ale kiedy hos passus meos do usługi WKM. PMM. rectissimos inaczej tłomaczą invidi et malevoli..., więc ja na wyraźny rozkaz Pański adhibebo omnia media, wraz z księciem JM. kardynałem ²⁾, do wyperswadowania, ażeby animositas w niektórych województwach i ziemiach, solo amore boni publici circa Majestatem extensa vel extensibilis, dalej non progrediatur... Ale gdyby miała pokój inturbare exopinata sąsiedzka jaka impetycyja, a nie byłoby sposobności avertere mala ab inconsulta et inermi Republica, jako i teraz niedawno przy rozgraniczeniu sąsiedzkim

¹⁾ w odpowiedzi na powyższe pismo królewskie 14 wrześ — Już wtedy było po konfederacyi, jak widać z pism dziękczynnych Augusta do marszałka w. k. (Mniszcha), oraz w-dów sandomierskiego (Tarły), podolskiego, rawskiego, d. d. Hubertsburg, 29 paźdz.

²⁾ Lipskim Janem, bisk. krak.

aperta w dawnych granicach swoich..., oświadczam się przed Bogiem et coram vicaria Ejus potestate, przed WKM. PMM., i przed Rzpłtą, że non ex me fieret haec tempestas et perditio: niech ci odpowiedzą WKM. PMM. i całej Rzpłtej, którzy, solis otii et commodis suis dediti, lata i prace moje, dla Majestatu i przez miłość dla ojczyzny z hazardem życia już podeszłego sakryfikowane, krytykują i inaczej tłómaczą.

Powiedzieliśmy, iż Fryderyk mógł się obyć bez dojścia konfederacji polskiej. Na zachcianki koalicyjne dworu drezdeńskiego miał on skuteczniejsze lekarstwa w zapasie. W kwietniu wygrał — a raczej dla niego wygrała dyscyplina pruska — walną bitwę nad Austryakami pod Mollwitz. Wysłaniec francuski, głowa partii wojowniczej w Wersalu, jedyny człowiek, zdolny przeważać Fleurego, marszałek Belleisle, pojawił się w Niemczech. Wbrew opinii swoich ministrów, doradzających odwołanie się do mediacji angielskiej, życzących pokojowej ugody z Austryą za umiarkowane odczepne ¹⁾, Fryderyk, zdecydowany dokończyć co zaczął, rzucił się w objęcia Francji. W czerwcu stanął we Wrocławiu traktat prusko-francuski. Jednym z warunków kardynałnych, podyktowanych przez Fryderyka, — zaledwie od półroku alianta Rosyi, której, w najświeższym traktacie grudniowym, zobowiązywał się bronić w szczególności przeciw napaści szwedzkiej, — było zobowiązanie, przyjęte przez Francję, iż skłoni Szwecję do natychmiastowego zerwania z Rosyą ²⁾. W pierwszych dniach sierpnia sejm sztokholmski wypowiedział wojnę Rosyi. Dwa dni później Fryderyk zajął Wrocław. „Konspiracya” drezdeńska przeciw Prusom odrazu straciła rację bytu. Austria teraz musiała się troskać o bezpieczeństwo Wiednia, Anglia o neutralność Hannoveru, Rosya o całość swoich prowincyi nadbałtyckich. Fryderyk, sprzymierzony z Ludwikiem XV, więcej niż kiedykolwiek był panem położenia. — Brühl

¹⁾ czy Podewils był przekupiony przez Anglię? Jak widać z gwałtownego listu do niego Fryderyka, 16 czerw. 1741, P. C. I, 261, król wprost go oskarża. Zdaje się nam, iż fakt znalezienia przez Raumera kopii listów najpoufniejszych Fryderyka do Podewilsa w archiwum angielskiem daje do myślenia.

²⁾ por. art. 2, 3, 4, tajny 3, traktatu petersburskiego 27 grud. 1740, Martens V, 319 sq., oraz art. 2 dodatkowy traktatu wrocławskiego, 5 czerw. 1741: S. M. le Roi de Prusse s'engage de son côté à contracter dès à présent une alliance avec la Suède qui puisse l'assurer qu'Elle (Fryderyk) ne sera point contraire aux vues que la Suède pourrait avoir de recouvrer ses provinces prises autrefois par la Russie et possédées actuellement encore par cette puissance, et ne point inquiéter la Suède dans aucun cas, quelque réquisition que lui fasse la Russie en vertu du renouvellement de son alliance du 27 décembre 1740, Clercq, Recueil, XV (supplém. 1888), 16.

długo się nie namyslał. W mgnieniu oka dokonał najzupełniejszej zmiany frontu. On, który w kwietniu podpisał w Dreźnie z Austryą traktat o podziale ziem pruskich, — teraz odmawia ratyfikacyi i we wrześniu podpisuje we Frankfurcie traktat z Bawaryą o podziale ziem austriackich. August—znów na papierze—otrzymywał Morawy z koroną królewską. W listopadzie, pod egidą Francyi, po niektórych targach, przystąpił formalnie do kompanii główny spółnik, twórca duchowy całego przedsięwzięcia, Fryderyk. Ogień przez niego rzucony, przez niego rozdmuchnięty, nareszcie, jak tego pragnął, ogarnął całą Europę. — I tak stało się, iż elektor saski, król polski, ręka w rękę z królem pruskim, *par nobile fratrum*, ręka w rękę z najniebezpieczniejszym wrogiem Rzpltej, najniebezpieczniejszym własnym wrogiem, rozpoczął wojnę grabieżczą.

SZYMON ASKENAZY.

Dzisiejsza poezya włoska.¹⁾

Podczas gdy we Francyi Parnasiści tężeją niejako pod mrozącym powiewem formy, a Symboliści rozcieńczają Baudelaira w rozmaitych strumykach, nie zawsze przejrzystych, we Włoszech objawia się życie poetyckie w całej sile i oryginalności. Nie dla jałowej przekory ograniczam swe porównanie jedynie do sąsiadów z poza Alp: czynię to dlatego, że Francuzi właśnie wydają mi się jedynie współzawodnikami, z którymi równać się jeszcze, których lękać się można.

Dwa inne narody, mianowicie Anglia i Stany Zjednoczone, mogły być przed kilku laty nie dopuścić nas do palmy pierwszeństwa; ale gdy w Anglii zmarł Browning i Tennyson, nie pozostało jej nic innego, tylko cieszyć się bujną starością Karola Algernona Swinburna; w Ameryce zaś po śmierci Wittmana odzywa się jedynie subtelna strofka Aldricha i płochę szyderstwo Oliwiera Wendella Holmesa.

My, Włosi, tymczasem nie tylko liczbą poetów, ale i siłą i rozmaitością motywów poetyckich dowodzimy niezaprzeczonej wyższości.

* * *

Przed siódmym dziesiątkiem bieżącego stulecia kwitła nasza liryka w trzech kierunkach.

¹⁾ Szkic niniejszy jest pierwszym z szeregu artykułów o literaturze włoskiej, które wyłącznie dla „Biblioteki Warszawskiej“ nadsyłać będzie ceniony dziś powszechnie we Włoszech znawca tej literatury, p. Hugo Ojetti. (Przyp. Red).

Głównym z nich była poezja patryotyczna, ale ta ma wartość raczej historyczną, niż estetyczną. Największym z pomiędzy tych poetów rycerskich, którzy w rymach krótkich, muzykalnych, popularnych, pobudzali naród do powstania, umacniali towarzyszków broni, witali zwycięstwo i zwracali się ostro przeciw ciemnościom, był niewątpliwie Jan Berchet, urodzony w Medyolanie w 1783 r., zmarły po 27-letniej emigracji w Turynie w r. 1891. Około niego grupują się nazwiska: Samuela Biavy, Jana Pratiego, Godfryda Mamelego, Aleksandra Manzonięgo i Alearda Aleardiego.

Jako drugi kierunek występuje *romanza*, naśladowana przez wielu naszych poetów z powodzeniem, według wzorów angielskich i niemieckich; był to jednak rodzaj mieszany, który miał w sobie coś dramatycznego, coś epickiego i lirycznego; a uprawiał go u nas głównie Jan Prati, poeta dworu sabaudzkiego, zmarły przed dziesięciu laty.

Trzecia wreszcie struna ówczesnej liry włoskiej dźwięczała hymnem religijnym, wzorowanym na prawdziwie klasycznych typach, stworzonych przez naszych dwóch wielkich poetów: Manzonięgo i Mamianiego. Tu, jakkolwiek brakowało właściwie żywego i aktualnego uczucia, forma jest staranniejsza, rytm lepiej podtrzymany, a obrazy szlachetniej się przedstawiają.

Po-nad tych wszystkich poetów wznosił się Jakób Zanella z Vincenzy, indywidualność genialna, obdarzona potężną zdolnością asymilacyjną i wielką prawością umysłu. On pierwszy z pomiędzy wszystkich, pod allegoryą powierzchowną, mniej lub więcej żywą, pod fabułą romantyczną, zmyśloną, ale wzruszającą, pod nastrojem wysoce uczuciowym hymnów religijnych, potrafił wyrazić najwyższe ideały nauki i życia nowoczesnego.

Byli jednak w całej tej plejadzie tylko naśladowcy motywów zagranicznych, albo śpiewacy uczuć wyłącznie narodowych, tak, że po-zagranice Włoch nie przecisnęło się nawet echo ich pieśni. I słusznie.

Poezja, dzięki tym poetom, stała się summą fikcyi: w myśli i formie nieszczerłość i afektacja tryumfowały. Wszystko było manierowaniem i udaniem; na najszlachetniejsze myśli (jeśli usuniemy kilka pieśni patryotycznych, w których akcenta prawdziwie męskie odzywają się wśród pustych dźwięków) narzucono jakiś pokost zniechęcałości kokieteryjnej. Język, rytmy, obrazy—najcenniejsze zalety wszelkiej poezyi,—nabrały w tych poezjach cech jednostajnych, zawsze do siebie podobnych, sztucznych i fałszywych, i teraz rzeczywiście, kiedy się je czyta, wydają się i są zresztą naprawdę śmiesznymi.

*

*

*

Wśród takiej atmosfery zjawił się wreszcie Jozue Carducci. Od samego początku pojął on dobrze, że romantyzm, przybyły do Włoch z drugiej ręki, zmrożony poniekąd w przesmykach Alpejskich, nie był niczem innym, tylko epoką przejściową, tylko wiotkim pomostem na stały ląd przyszłości. I wyminął go z największą starannością, chociaż znów nie z wielkim zachodem, bo sędzę, że romantyzm działał raczej odpychająco na tę naturę zdrową, dziką, szczerą i do ludu zbliżoną.

Ponieważ zaś żaden poeta, nawet największy, nie urodził się oryginalnym, a wszyscy muszą przechodzić okres dziecinny i stąpać śladami innych, przeto Jozue Carducci przyłączył się do *klasyków*, którzy na początku stulecia pocieszali niejako Włochów w niewoli, przypominając im w formie i treści sławne czyny starożytności dziejowej i mitologicznej. Ideał klasyczny opierał się na czterech silnych filarach tego kierunku: na Alfierim, Montim, Foscolu i Leopardim. I od tych czterech gwiazd poezja Carducciego miała także otrzymać pierwszy chrzest światła.

Świadczą o tem zaraz na początku poezye, które potem zebrał Carducci pod ogólnym tytułem *Juvenilia*. Patrząc na nie teraz ze świadomością całej późniejszej działalności autora, odnajdujemy w tych pierwocinach nie jedno ziarno, które później wydało kwiat, pełen woni, i owoc wspaniały. Ale prawdziwą wartość temu tomikowi nadaje forma czysta, pewna, a surowa, wymijająca komunały i wysmażone frazesy *romantyków*, lecz przybierająca stopniowo przejrzystość i zwięzłość dantejską; a mam tu na myśli nie tylko sam język, lecz właściwości metryki, sprawiające, że zarówno w wierszu krótkim i urywanym lub chropawym, jak w wyszlifowanym, szlachetność dykcji robi wrażenie posągowych linii.

Dwaj poeci cudzoziemscy wywarli na rozwój poezji Carducciego wpływ przeważny: Heine i Hugo, co też nasz poeta otwarcie w wierszach i prozie wyznaje, chluby w tem szukając. Niejeden lekki ślad tego wpływu zjawia się już w *Levia Gravia*, pisanych w latach 1861—1867; w *Jambach i Epodach* (1867—1872) Jozue Carducci dźwiga się wreszcie wśród agonii literackiej Włoch, pewien własnej indywidualności niewzruszonej i wyniosłej, i jest już odrazu poetą włoskim, który wkrótce stać się ma jednym z wybitnych poetów europejskich.

Tu pragnął-bym wskazać trzy pierwiastki uczuciowe w poezji Jozuego Carducciego. Są to według mnie: miłość głęboka przyrody, która go skłania do panteizmu zmysłowego, nawskroś przeniknionego słońcem i świeżością; nienawiść do wszelkiego pierwiastku nadprzyrodzonego; ustawiczna chęć walki z nieprzyjaciółmi, bądź to wielkimi, bądź małymi, walki nieubłaganej, bez pardonu. Te uczucia tłómaczą część

Carducciego dla klasyków greckich i łacińskich; dzięki im, realizm jego z natury rzeczy przywdziewa szatę klasyczną, męską.

Tak więc między rokiem 66 a 72 staje Carducci do zapasów literackich z ostatnimi romantykami i chudymi Manzoniistami; prowadzi walkę polityczną ze stronnictwem umiarkowanym, będącem naówczas u władzy. Wtedy-to powstały *Jamby* i *Epody*.

Zastanawiając się nad przyczynami ich powstania, sądzimy, że były one wynikiem antagonizmu politycznego. Stronnictwo umiarkowane dało nam wtedy Custozę i Lisę, zależność od cesarstwa francuskiego, ustąpienie Wenecyi, wzięcie Rzymu w złym czasie i w niedogodnych okolicznościach. Czyż naród nasz spał naówczas, przyjmując tak obojętnie objawy wielkiego niedołęstwa i starczej słabości?

Cokolwiekby, nietylko przeciw partyi umiarkowanej, ale i przeciw ludowi włoskiemu „staremu i leniwemu tytanowi” (*il vecchio titano ignavo*), który znosił cierpliwie jej rządy, powstaje nasz poeta, jako silny i dziki przedstawiciel swobodnego geniuszu włoskiego; powstaje, napada, naśmiewa się i policzkuje, dopóki nie powali przeciwnika. To jego wystąpienie przeciw sterującemu stronnictwu było może więcej wzlotem myśli na wyżyny, panujące nad małoduszynami zdarzeniami chwili. Walcząc, znalazł się Carducci w szeregu republikanów; nie dlatego przecież, ażeby od początku był republikaninem; trzeba zaś to nadmienić, bo go później oskarżano, że zmienił sztandar i został monarchistą, a tak bynajmniej nie było.

Przed *Jambami* i *Epodami* wyszedł w druku poemat Carducciego, który wywołał istną burzę gniewów, protestów i oklasków. Był to *Hymn do Szatana*. Kiedy publiczność trochę ochłodziła, poeta sam utwór swój sprowadził do właściwego znaczenia: chciał w nim wyśpiewać tryumf wiecznej i niepokonanej materii (Szatan), zwycięstwa ludzkiego umysłu w walce z krępującymi jego wolność wierzeniami. Ale wiersze owe, które tu i owdzie są nawet zbyt teatralne i niewątpliwie—oprócz kilku strof—należą do liczby miernych płodów poezyi Carducciego, nie wyraziły nic innego, prócz zmęczenia umysłu poety, który pozbywa się ostatecznie wszelkich więzów; i dopiero następnie przez nieporozumienie wśród publiczności, niewątpliwie nieprzewidziane przez czcigodnego autora, oznaczać zaczęły poezję antyreligijną i stronnictwą.

Niebawem potem pojawiły się *Odi barbare* Carducciego, a wraz z nimi idea, tak długo przez starych romantyków zaniedbana, ostatecznie odniosła zwycięstwo w poezyi włoskiej. Idea to najwyższa, idea naczelną naszej ojczyzny starożytnej, ojczyzny jeszcze łacińskiej, która niepożyta nigdy wewnętrzna siła ziścić się musi nieodzownie w czasach nowożytnych. Ażeby zaś świetlana nowość tej myśli wy-

rażniej jeszcze na jaw wyszła i żeby jej nie skaził rym, który był tak wielką przyczyną upadku poezyi w czasach dawniejszych, Carducci obmyślił śpiew nowy. Śpiew ten, pozbawiony melodyjnej przynęty znanych rytmów i nie rozpraszający uwagi rymami, powstał ze zwyczajnych wierszy włoskich, ułożonych w rozmaity a głęboko obmyślany sposób na schemacie metryki łacińskiej. Słowem, wzniosła szlachetność idei, która niegdyś przybrawszy w strofie saficznej poniekąd nienaturalny nastrój, wydawała się bezsilną, zawartą teraz została w hegzametrze.

Wzory dawne pracowitych przystosowań rytmiki łacińskiej do języka włoskiego mieliśmy już poprzednio; ale to były zabawki i ćwiczenia szkolne, których forma, szeroko zakrojona, idei godnych siebie nie przyoblekała. Jedno i drugie dopiero w poezyi Carducciego łączy się w podniosłej jedności i doskonałej równowadze.

Wszystkie wybrane duchy opiekuńcze naszej ojczyzny, wszystkie drogie miejsca, uświęcone najwyższymi momentami naszej historii, znalazły naówczas piewę w twórcy trzech tomów tak zwanych *Od barbarzyńskich*.

Niech mi tu wolno będzie wtrącić spostrzeżenie estetyczne. W odcach tych krajobraz, który u Carducciego jest prawie zawsze obiektywny, staje się w opisie więcej wykończonym, a plastyka obrazów zbliża się niekiedy do Homerowskiej.

Miłość nie należy do ulubionych motywów muzy Carducciego. Kobieta wyobraża dla niego raczej wypoczynek po walkach codziennych, pocieszycielkę, niż kochankę, która opanowuje zmysły, głowę i uczucia. Łatwo zrozumieć, że to nadaje wszystkim jego poeziom pewną surowość wielce przyjemną, i pewien smak nowości w stosunku do dawniejszych poetów.

Tak więc rytмами podatniejszymi, pełniejszymi, które mu nastręczała nowa idea, opisem przedmiotowym i zmysłowym natury, zupełnie odrębnym od malowideł podmiotowych i sentymentalnych *romantyków*, tematami bardziej aktualnemi i szerszemi od błahych miłości, szczebiocących na miękkim traw kobiercu—osiągnął Carducci najżywsze wcielenie swej indywidualności literackiej, a historia stała się odtąd jego najwyższą muzą.

Żadnemu poecie nowoczesnemu nie udało się zapewne tak ożywić przeszłości swej ojczyzny, jak Carducciemu, który opowiada ją we frazesach krótkich i jasnych, ujmuje w wiersze dźwięczne, pełne, i podnosi się po tych szczeblach na wyżyny, skąd jasnowidzącem okiem ogarnia czasy teraźniejsze. Oda *Nad źródłami Clitumna*, w strofach safickich, jest zapewne najlepszą z *Od barbarzyńskich* naszego poety.

W czasie pomiędzy *Nuove Odi barbare* a *Terze Odi barbare*, w których, oprócz kilku nowości rytmicznych, idea, stanowiąca źródło natchnienia, zostaje niezmienioną, pojawiły się *Rymy nowe*. Niektórzy, zapomniawszy o igraszkach rytmicznych i rymotwórczych w *Juveniliach*, w zbiorze *Levia Gravia*, w *Nowych poezjach*, poczęli pomawiać Carducciego o niezdolność do rymowania, a do ustalenia takiego zdania przyczynił się nie mało przykład wielu niezgrabnych wierszrobów, którzy naprawdę dlatego tylko uciekali się do nowej rytmiki, że dawna poezja włoska, ze swoją muzykalnością i łatwością rymów, przejmowała ich obawą. *Rymy nowe*, świeże, szczerze, mile brzmiące, przerwały tę niedorzeczną gadaninę. Od czasów Foscola nie widziano we włoskiej poezji takiej łatwości wierszowania, a łatwość nie przerażała się jednak w swawolę i niedbalstwo. Tom *Rymów* zawiera 30 sonetów, między którymi do najślawniejszych należą: *Il bove*, *Santa Maria degli Angeli*, *Dante*; znajdujemy tam nadto w poemacie p. t. *Idillio Maremmiano*, prawdziwie czyste źródło poezji, z którego czerpała cała nowa szkoła poetów, opisujących życie domowe; wymienimy dalej *Pierwiosnki helleńskie*, trzy utwory godne naprawdę liryki greckiej; i w końcu, wśród rozmaitych innych utworów, wierszyk *Ça ira*.

Powyższym tytułem, stanowiącym, jak wiadomo, początek, a zarazem zwrotkę sławnej francuskiej pieśni rewolucyjnej, objął Carducci 12 sonetów, umieściwszy na początku przedmowę, która musiała wywołać namiętne polemiki.

Po owym tomie poezji Carducci wydał *Terze odi barbare*, następnie ogłasza pieśni patryotyczne rozmaitej miary, zjawiające się zwykle w dniu 20 września na pamiątkę wzięcia Rzymu.

Obecnie Carducci rzadko już pisze wiersze. Wyższy w tem od wszystkich małostkowych starców, którzy uparcie usiłują osłabić wartość dojrzałych dzieł swoich tworam i zgrzybiałej twórczości, uchronił się od agonii literackiej i potrafił utrzymać aureolę niezaprzeczonego tryumfatora. Studya krytyczne, którym się zawsze ze szczególną oddawał namiętnością, są dziś jego passją jedyną. Carducci obiecuje oddawna, że przyłoży ręki do *Dziejów wojen o niepodległość włoską*, a historia, pisana z tak wysokim przed oczyma ideałem, obleczone w formę najczystsza, prawdziwie włoską, stanie się zapewne dziełem potężnem. Gdy przed kilku laty przybył z ukochanej swej Bolonii do Rzymu, gdzie wśród wielkiego poważania i poklasku uczonych słuchaczy w uniwersytecie wykładać począł, zapowiedział, że swą wielką pracę przedsięwzięmie na rok przyszły.

Niepodobna wyrazić uszanowania i czci, jaką młodzi i starzy literaci włoscy żywią dla poety, zwanego powszechnie *Il grande Giosue*. Łatwo zaś ocenić, jaki wpływ ten wysoce oryginalny umysł miał na

nas wszystkich. I to nie tylko w poezji—o czym poniżej—ale także w prozie literackiej, a zwłaszcza polemicznej, w której rozległość widnokręgów myślowych, siła niespodzianie wymierzanych ciosów, odporność w obronie, surowa poprawność języka, składają się na klasyczne dla nas wzory.

Zapewne jeśli nazwisko Carducciego jest popularnem,—a przymiotnik ten biorę w najpospolitszem i najszerszem znaczeniu,—nie są popularnemi prace jego, pełne skondensowanej uczoności. Popularność ta działa, że tak powiem, przez odbicie; on jednak, a my wszyscy z nim—sądzimy, że takie promieniowania na zewnątrz refleksami jest właśnie cechą muzy Carducciego, a zatem największą jego chlubą.

Rozgłos, a niewątpliwie i wartość dzieł, stawiają tuż za Jozuem Carduccim, który ma przeszło 50 lat, młodzieńca, liczącego lat zaledwie 30, Gabryela d'Annunzio. Sława to jeszcze chwiejna, a dla wielu do mgławicy podobna, lecz zarówno jak mgławica, światłość w sobie kryje. Siła młodzieńcza umysłu, chciwie uczuwającego i assymilującego piękność natury i dzieł ludzkich; entuzjazm dla młodej zawsze sztuki; ufność we własne siły, a stąd pogarda dla nieprzyjaciół i małośtokowych krytyków: oto są zewnętrzne rysy fizjonomii literackiej Gabryela d'Annunzio.

Mamy zamiar zająć się nim w najbliższej pracy naszej o Romanie nowoczesnym we Włoszech; ale oblicza poety i powieściopisarza tak są u d'Annunzia skojarzone i w każdym nowem dziele tak się coraz bardziej upodabniają i zlewają, że tylko studyując równocześnie oba profile, uchwycić można indywidualność pisarza w wiernem podobieństwie.

Pierwszy zbiorek wierszy d'Annunzia nosi nazwę *Il Canto Nuovo*; poeta przyswoił w nim sobie rytmy barbarzyńskie Carducciego, ale je ożywił i rozpętał w liryźmie, zupełnie subiektywnym, którego Carducci, ze świadomością dążący do obiektywizmu, zawsze unikał. Już w tym tomiku, opiewającym mnogie a swobodne miłostki na roziskrzonym od gry światła Adryatyku, albo też na rozpalonych słonecznym żarem polanach w rodzinnych Abruzzach, widocznem było, że wydatnym rysem muzy d'Annunzia będzie zmysłowość. A gdy porzuciwszy już rytmy barbarzyńskie, głosił dalej w *Intermezzo di rime* poemata na cześć swych kochanek i w wierszach czysto włoskich, jeszcze miększych, jeszcze bardziej giętkich i dźwięczniejszych, wyznawał, jako człowiek i artysta, swój kult dla formy, dostarczył publiczności włoskiej materiału do skandalu, podobnego temu, jaki się zdarzył w Anglii, kiedy Karol Algernon Swinburne wydał swe *Poems and ballads*.

Zaiste—neo-poganim Carducciego dobrze nas do tego przygotował! Publiczność i krytycy małostkowi chcieli nawet doszukać się

osób, ukrytych pod osłoną wierszy, i skandal rósł ciągle. Polemika między przestarzałym krytykiem, Józefem Chiarinim, a poetą bolońskim, używającym naówczas wielkiej sławy, Olindem Guerrinim (Wawrzyniec Stechetti) zaostrzyła walkę. Później całą tę pamiętną polemikę, która jest poniekąd kolebką naturalizmu włoskiego, zebrano w książce *Alla ricerca della verecondia* (w pogoni za wstydem!). Gabryel d'Annunzio miał naówczas zaledwo 20 lat i, jak to jest jego zwyczajem, nie odpowiedział ani słowem na najgwałtowniejsze napaści.

Zmysłowość jego, jakkolwiek ostentacyjna, była szczerą. Rozglądając się zaś w dziejach włoskiej literatury, spostrzeżemy, że cała nasza twórczość liryczna jest przesiąknięta tym pierwiastkiem, począwszy od pierwszych poetów XIII wieku, bądź bolońskich, bądź florenckich, bądź wreszcie sycylijskich, zagłębiając się dalej w XV wiek śladami Wawrzyńca de Medici i Poliziana, a skończywszy w XVI stuleciu na Marinim wraz ze wszystkimi tymi rozwiązłymi poetami, którzy, mimo treść poziomą, zdobyli sobie sławę świetnych rymotwórców. D'Annunzio, jak każdy poeta, hołdujący zmysłowości, był naturalnie rozkochany w formie poetyckiej, i już od owego czasu zaczęła się w nim ta praca powolna, ciągła i pełna znoju, która go doprowadziła do ostatecznej kryształowej przejrzystości prozy i wiersza. Tym sposobem forma i treść zharmonizowały się zupełnie w jego poezjach i mimowolnie popchnęły go do naśladowania poetów XV wieku, którzy pod wpływem humanizmu potrafili lepiej, niż inni lirycy włoscy, przystroić we wspaniałą szatę zewnętrzną swoją wielce zmysłową muzę. Wytworne wykończenie zdań, podniesione doborem pewnych wyrażen, igraszki z wierszem i z rymem, dźwięczna muzyka słowa i rytmu, słowem: wszystkie właściwości wyszukanej formy cechują w tym czasie poezję d'Annunzia, którym też zarzucano, często i słusznie, czczość i próżnię.

Tę dobę w twórczości młodego poety zamykają *Isottee* i *la Chimera*, dwa zbiory wierszy, połączone w jednym tomie, gdzie młody poeta, odtąd mistrz formy, ale jeszcze niepanujący nad swoją myślą, przygląda się z zachwytem samemu sobie, niby Narcyz nad źródłem. Cała grupa poetów i malarzy *minorum gentium* uznała naówczas za swego przewodnika 22-letniego poetę; i tu w Rzymie, dzięki pomocy śmiałego ale nieszczęśliwego wydawcy, Angela Sommarugi, nowy ten kościół rozpoczął celebrować z wielkim powodzeniem. Juliusz Salvadori, Jan Morrodi i wielu innych, którzy, oprócz dwu wymienionych, popadli w zupełne zapomnienie, byli najżarliwszymi stronnikami tej poezyi; w malarstwie zaś uprawiali ten kierunek: Arystydes Sartorio, Franciszek Michetti, Józef Cellini i t. d.

Już wówczas zjawili się we Francyi pierwsi Symboliści, którzy wtedy nadawali sobie nazwę Dekadentów, a we Włoszech zaintereso-

wano się nimi bardzo. Do owego czasu odnosi się pierwszy romans Gabriely d'Annunzio *Il piacere*, o którym powiemy we właściwym czasie. Od prozy jednak odwróciły d'Annunzia okoliczności: rok obowiązkowego odpoczynku umysłowego, a ciężkiego pod względem fizycznym znużenia—miał naówczas 27 lat—musiał przebyć w wojsku. Wielką zmianę, jaka potem w nim zaszła, opowiada poeta w przedmowie do swego *Giovanni Episcopo*, opowiadania, przypominającego śmiałością powieść *Kroćkaja* Dostojewskiego. Ujrzawszy naówczas próżnię myśli, która kryła się pod błyskami olśniewającej formy i całemu dotychczasowemu jego dziełu odbierała wartość, wypowiedział sławne słowo: „Odrodzić się lub umrzeć”, *rinnovarsi o morire!* Puścił wtedy w świat dwa tomy wierszy i dwa prozy, a porzuciwszy dawne pole walki, wyszedł zwycięzcą. Pierwszem dziełem rymowanym z tego nowego okresu były *Elegie romane*, pisane dwuwierszami (hegzametry i pentametry), w których poeta, obrawszy sobie dwie lub trzy formy, wielce harmonijne i powtarzające się niezmiennie z jednakowemi akcentami i cezurami, ustalił rytm elegijny nieco odrębnie od Carducciego. Cały ten tom jest pełen głębokiego smutku; zdala od Rzymu (d'Annunzio bawił naówczas w Neapolu, albo w Abruzzach), poeta śle bolejącą duszę w westchnieniach tęsknoty ku wielkiemu miastu, ku Duszy świata. I wszystkie miłości dawne, miłości bez wartości, melancholijnie rozproszone wśród uroczystych krajobrazów Romy, prześladowają pamięć zatrwożoną, dręczą zmysły znużone i natrętnie napastują umysł obecnie dojrzający. Niewątpliwie od czasów Petrarcki poezja psychologiczna miłości nie odzywała się we Włoszech równie głębokimi i wzruszającemi akcentami. A pod nazwą psychologiczno-erotycznej rozumiemy taką poezję, która opiewa nie miłość czysto zmysłową, lecz wszystkie objawy uczucia i myśli, wszystkie stany duszy, które towarzyszą powstaniu, trwaniu i zamieraniu miłości. I cała niemoc tej miłości nowoczesnej, ujętej w karby przez prawo, wyswo-badzającej się tylko przemocą w duszach, żądnych niepodległości, płacze w tych wierszach ociężałych, pełnych skargi i odsłaniających naj-srozsze cierpienia.

Ostatni zbiór wierszy, wydany zeszłego roku, zawierał *Il poema paradisiaco* i *Le odi navali*, czyli jak zwykle, dwie księgi w jednym tomie. *Il poema paradisiaco* (z greckiego *Παράδεισος*, ogród), łączy się z poezją psychologiczną Elegii rzymskich; motywem twórczym jest tu przedewszystkiem znużenie światem, próżnemi miłoszkami, bezpłodnemi czynami, skojarzone z pragnieniem silnem, prawie bolesnem, powrotu do życia czystego na wsi, przy matce, siostrze, przy starej mamce, które oczekują młodego tułacza. Poemat *Consolazione* do matki, *messaggio* do siostry i trzeci, któremu poeta nadał tytuł *La nutrice*, są

zasadniczymi rozdziałami książki pierwszej i odznaczają się taką słodyczą, taką prostotą wzruszającą, jakich nikt-by się nie był spodziewał po sztucznym i wyniosłym poecie z przed 10 lat. Druga księga, zawarta w tym tomie, nosi, jak już wspomniałem, tytuł *Le odi navali*. Pierwszy to raz Gabriele d'Annunzio mówił w poezji swej o patriotyzmie i szczytnych w życiu ideałach obywatelskich i zdobył najzupełniejsze powodzenie. Ostatnia ewolucya idei patriotycznej, która nie jest żądzą zdobyczy, ani pragnieniem hegemonii, lecz męską świadomością praw ojczyzny, natchnęła te wiersze, opiewające chwałę naszych mórz, siłę i życie naszej floty. W ostatnim wierszyku *La nave*, najsilniejszym z całej księgi, poeta wznosi się od ideałów politycznych do społecznych.

Z trzech prądów, badanych dzisiaj przez nauki społeczne, jeden, który można-by nazwać *liberalizmem klasycznym*, powstał po rewolucji francuskiej i panuje obecnie bez wielkiej nadziei na przyszłość; drugim jest *socjalizm*, dziedziczący dwa najgorsze błędy starego systemu: fetyszyzm dla centralizacyi i stronniczość w dopuszczaniu warstw społecznych do władzy; trzeci wreszcie, *indywidualizm*, usiłuje oprzeć się na prawach natury życia i marzy o przyszłości, nie zamąconej żadnym eksperymentem społecznym. Z tego ostatniego wypływa ideał poezyi d'Annunzia, który, jako ścisły postulat nauki, przemawia tonem czystym, silnym i zwycięskim.

Gabriele d'Annunzio mieszka prawie stale nad morzem, w willi własnej, we Francavilla w Abruzzach, w sąsiedztwie swych stron rodzinnych. Towarzyszem jego samotności jest Franciszek Paweł Michetti, którego sława i znaczenie jako malarza dosięgły tych samych wyżyn, na jakich stoi przyjaciel jego w poezyi. Kraj Abruzzów, wsławiony w dziejach, oryginalny w zwyczajach, piękny malowniczością silnych typów męskich i niewieścich, wciśnięty między góry i morze, jest jeszcze surowy, swobodny i prawie dziki. Prawdziwy to skarbiec dla artystów. D'Annunzio obiera go zazwyczaj za tło dla swych powieści, a często czerpie tam natchnienie do swych poezyi. Przed kilku laty tak się stała modną ta okolica, dzięki utworom i obrazom obu artystów, że mieliśmy prawdziwy rozkwit literatury i sztuki abrucckiej. A i teraz jeszcze przedstawia je sporo dobrych nazwisk, o czym powiemy we właściwym miejscu. Adryatyk, na którego falach migają czerwone i żółte plamy żagli, oblewa brzegi ziemi, bogatej w gaje oliwne i winnice, która wielu urodzajnymi przylądkami wtula się w objęcia morza, jakby oddając mu się stopniowo. Wśród ludu poczucie sztuki z tradycyi zdaje się czerpać swą żywotność. Niedawno, gdy Gabriele d'Annunzio skończył swój długi romans *Il trionfo della morte*, wieśniacy i mieszkańcy tamtejsi urządzili dla swego barda skromną ucztę na

brzegu morskim, pod dębem, wznosząc okrzyki na cześć poety, święcąc sławę jego uroczystym obrzędkiem Druidów.

Gabryel d'Annunzia jest niskim, szczupłym blondynem, o kobiecym wyrazie twarzy; nosi delikatne blond wąsiki, nieco w górę podniesione, i bródkę krótką, kończastą, nie bardzo gęstą: oczy ma niebieskie, duże, trochę smutne; a życiem, sławą i pięknnością, zwłaszcza dziesięć lat temu, dał powód do wielu legend miłosnych, błakających się jeszcze dzisiaj, dzięki jego przejrzyście poezjom.

*

*

*

W ostatnich dziesięciu latach utworzyła się u nas grupa młodych (w podobnych związkach młodość trwa aż do 50 roku życia), która, bądź pod wpływem reakcyi, bądź też z naturalnej skłonności, opiewa uczucia, rzeczy i osoby ze sfery rodziny, na tle rzeczywistości, zdrowo a dyskretnie obserwowanej. Poezyę tę nazwano wewnętrzną, domową, rodzinną, nosiła zaś naprawdę miano, trudne do wyrażenia (w języku włoskim) *poesia del focolare*. Powyżej nadmieniliśmy, że dwa utwory d'Annunzia, zawarte w ostatnim jego zbiorze, należą do poezyi tej kategorii.

Największym wśród poetów *del focolare* jest Jan Pascoli, znakomity nasz latynista i niezawodnie jeden z najwybitniejszych latynistów europejskich, skoro przed trzema laty za poemacik łaciński zdobył medal złoty na sławnym międzynarodowym konkursie w Amsterdamie. Niestłchanie bystry komentator Horacego i Catulla, jest Pascoli cierpliwym i wzorowym profesorem języków klasycznych w Livorno i ma mniej więcej 38 lat.

Zaledwie rozpoczął dwudziesty rok życia, kiedy zabito mu podstępnie, w nocy, wśród szczerego pola, ojca, przebywającego na wsi w Romanii. Niebawem potem umarła mu i matka. Młodziutki Pascoli, z nędną tylko pomocą literatury, oddał się naówczas nauczycielstwu, żeby utrzymać siebie i dwie siostry. I jeszcze teraz mieszka z niemi w Livorno, w spokojnej chatce podmiejskiej, pracując bardzo pilnie, podczas gdy siostry w tym samym pokoiku szyją pod jego okiem, a przez okno otwarte na małeńki ogródek biją zapachy kwiatów i ziół i rozlegają się śpiewy całej gromady ptaków, które poeta chowa w klatkach z amatorstwem ornitologa. Takim widzieliśmy go sami.

I życie to, bez żadnych innych ubarwień, odzwierciedla Pascoli w poezyi tak świeżej, przejrzystej i wzruszającej, że nie spotkalіśmy nic podobnego w Europie. Wspomnienie tragicznego zgonu ojca i śmierci matki ciąży na całym tomie, który ma skromny tytuł *wirgi-*

liuszowski *Myricae*. Oprócz tych wspomnień, są tam obrazki krótkie, ośmio i dziesięciowierszowe, prawdziwe *Myricae*, przedstawiające raz gniazdo próżne, z którego żdźbło się zwiesza, wiatrem poruszane, to znów strzechę wiejską przy drodze żelaznej i wieśniaczki, patrzące z przestrachem na pociąg, niknący w oddali; wreszcie dziewczę opuszczone, które się porównywa do pług, porzuconego na ugorze. Słowem same przedmioty miłe i pocziwe.

*

*

*

Antoni della Porta używa sławy wyłącznie włoskiej, która nigdy nie przekroczy granic kraju. Jest to bardzo uczony odnowiciel starych rytmów z XIII i XIV wieku.

Czysty w języku i formie, osiągający w wierszu przejrzystość niemal Dantejską, trochę zmysłowy, jak się to zdarza wielu artystom pierwotnym pod ich wykwinnym wdziękiem prowansalskim, della Porta prześciga wszystkich poetów w poematach o rytmie ściśle ustalonym; pierwszy zbiorek jego: *Le sestine*, cieszył się wielkiem uznaniem krytyki. *La bella mano*, wiązka poezji, czytających się łatwiej i żywiej, znalazła sympatyę nawet wśród publiczności. *I modi antichi* są ostatnią książką della Porty.

Za rok wyjdzie nowe wydanie jego 39 sekstyn, z bardzo obszerną przedmową Jozuego Carducciego, którego Antoni della Porta jest wybranym uczniem. Mieszka on obecnie w Rzymie i nie ma więcej nad 30 lat. Pomiedzy *Sestynami* serya p. *Le sestine del focolare* należy do rodzaju poezji, którą objaśnialiśmy powyżej, mówiąc o Pascolim. Gdy u Pascolego motywem przewodnim jest głęboko ukryta, ale zawsze żywa, pamięć straty najbliższych, Antoni della Porta daje wyraz znużeniu, doznawanemu pod wpływem chłodnej samotności, zdala od rodziny, która żyje daleko w górach Abruzzów.

Weseli i żwawi są dwaj mniejszego znaczenia poeci tej grupy: Jan Marradi, który obecnie mieszka w Livorno, a przedtem bawił w Umbryi, i Gwido Mazzoni z pod Bolonii. Jan Marradi jest niezawodnie lirykiem lepszym, niż Mazzoni, ale rzadko bywa oryginalnym; pełen słodczy, uczuciowy, wzruszający, wydał mnóstwo utworów poetyckich, wśród których małym arcydziełem są *I sonetti del Monte Luco*, opisujące wejście na szczyt Monte Luco, po-nad Spoletem w Umbryi; poezja historyczna (Michał Anioł mieszkał w klasztorze na tej górze, a Lukrecya Borgia w pobliżu na zamku) łączy się w tych sonetach w przedziwny sposób z poezją, opisującą płaszczyznę, rozłożoną u stóp góry i we mgły spowitą.

Do poetów tego samego rodzaju należy Seweryn Ferrari, profesor Boloński, w którego poezjach wyrażenia zbyt tokańskie a za mało włoskie, użyte dla nadania wierszowi większej prostoty, zbyt obficie z nienajlepszemu skutkiem się spotykają.

Jedną wspólną właściwość najcharakterystyczniej znamionuje tych pięciu poetów: prostota i szczerść, która z uczuć inspirujących poezję przeszła do języka. Żaden z nich, nawet d'Annunzio, nie przekroczył 35 roku życia. Warto w tem miejscu zwrócić uwagę na szczególny objaw, że pomiędzy poetami od 50 do 60 lat, do których należą: Carducci, Panzacchi, Verga, Boito, D'Amicis, Fogazzaro, a w liczących, jak d'Annunzio, Pascoli, della Porta, Marradi, Lerao, Scarfoglio, Butti, De Roberto, Praga, nie więcej nad lat trzydzieści, niema pokolenia pośredniego.

A zdarzyło się to nietylko w literaturze, w teatrze, muzyce, ale nawet w malarstwie; najbardziej jednak widocznym jest ten fakt w polityce, gdzie między Crispim a najmłodszymi radykalistami spotykamy same tylko miernoty. Ale nie mam zamiaru zajmować się w tem miejscu zjawiskiem, którego przyczyna jest jasna: stara generacja, zbudowawszy Włochy, wydała synów, znużonych walkami ojców, apatycznie obojętnych na przyszłość i żyjących tylko odbiciem minionej sławy; dopiero ostatnie pokolenie, liczące około 30 lat, nabrało siły i stało się zdolnem do nadziei i czynu.

*

*

*

Po tym objaśniającym nawiasie wracamy do naszego tematu. Wspominaliśmy wyżej o Henryku Panzacchim. Pochodzi on wprost od romantyków, od owych romantyków, których z taką trudnością zwalczała muza Carducciego; wszelakoż jeżeli w jego *Versi*, zbiorze, wydanym tego roku w edycji kompletnej i skończonej (Panzacchi ma około 60 lat) czuć zanadto dawne tchnienie romantyczne, to jednak odzywa się w tych wierszach obca teraźniejszej poezji nuta sentymentalna, która zapewniła im powodzenie i która poetę niewątpliwie wyróżnia z pośród młodszych, zbyt może oschłych, za bardzo zmysłowych poetów. To jego powodzenie zbliżało się nawet pod pewnym względem do popularności.

Poetą na uboczu trochę stojącym, którego trudno połączyć z poprzedniami grupami, lub nawet porównywać z innymi poetami, jest Henryk Boito, muzyk nieomylny, autor *Mefistofelesa* i obecny librecista Józefa Verdiego. Henryk Boito, *l'uomo multanime*, jakby powiedział Michał Anioł, ma także w swych poezjach odbłyśki romantycz-

ne, ale poza ideą, często pogmatwaną, czasem też i bardzo oryginalną, lecz rzadko kiedy przejrystą, główną jego zaletą jest forma, a w formie znowu przede wszystkim rytmika i rym. Całe bogactwo naszych rymów, cała niesłychanie urozmaicona muzykalność naszej rytmiki, były przez Boitę artystycznie zużytkowane, o czym świadczą, gdybyśmy nawet pominęli jego *Versi* i *Re orso*, same choćby libretta operowe.

O innych poetach mniejszych, np. Remigiuszu Zenie, Arturze Colantim, Józefie Picciolu i innych, jako zbyt młodych, lub za mało wybitnych, nie uważam za potrzebne na razie wspominać,

*

*

*

Wreszcie, na zakończenie powiem pokrótce o poetkach i poetkach dyalektowych. Poetek mamy dwie: Alinę Bonaci-Brunamonti i Adę Negri. Pierwsza mieszka w Perugii w Umbryi, ma przeszło 50 lat i wydała dwa czy trzy tomy poezji, doskonałych pod względem formy, ale zimnych, niekiedy tylko trochę ożywionych raczej myślą, niż uczuciem; jest ona przywiązaną uczennicą owego księdza Zanelli, o którym wspomnieliśmy na początku niniejszego szkicu. Druga, Ada Negri, używa sławy znacznie rozgłośniejszej, niż warta jest jej poezja; biedna nauczycielka szkół ludowych napisała tom poezji humanitarnych, które przez jakiegoś krytyka przychylnego a lekkiego zostały zakwalifikowane jako socjalistyczne, i tak powstał ten sukces chwilowy, niezależny zupełnie od wewnętrznej wartości dzieła. Tom jej poezji, które w krótkim przeciągu czasu miały wiele wydań, nosi tytuł *Fatalità*.

Do rzędu poetów dyalektowych należą Cesar Pascarella w Rzymie i Salwator di Giacomo w Neapolu. Poezja w dyalekcie, uprawiana przez pisarzy tak sławnych, jak Meli, Porta, Belli, była zawsze w wielkiem poważaniu. Cesar Pascarella umiał dyalektowi rzymskiemu, niewiele zresztą różniącemu się od języka włoskiego, nadać stałą formę literacką, a sonetom swoim czystość rytmiczną, niezwykłą w poezji dyalektowej, nacechowanej zawsze pewnem zaniedbaniem; napisał on kilka krótkich utworów, w których plastyka opisowa ma siłę prawdziwie tragiczną, stworzył krótką epopeję *Villa Glori* w 20 sonetach, opiewającą walkę pod Rzymem Garybaldeczyków, prowadzonych przez dwu sławnych braci Cairollich; ma wiązkę sonetów pod tytułem *La scoperta dell'America*, gdzie przedstawiono historię Kolumba, jak ją w karczmie jakiś wieśniak rzymski towarzyszom na swój sposób opowiada.

Natomiast Salvator di Giacomo, Neapolitańczyk, nie ma w sobie nic więcej ludowego, prócz formy dokładnej i słodkiej; co do przedmiotów i motywów natchnienia, jest to mały Musset, który niekiedy miewa subtelność Pawła Verlaina, albo Maurycego Bouchora.

*

*

*

Takim jest w głównych zarysach obraz dzisiejszej poezji włoskiej; obraz, który może się wydać optymistycznym czytelnikowi, pomijającemu okoliczność, żeśmy tylko o największych poetach mówili. Nikt, nawet wśród najzawołanszych sceptyków, nie zaprzeczy potężnego przebudzenia się naszej poezji, która przecież ma niezmierną tradycję historyczną, zdolną nowemi natchnąć siłami. I to właśnie zbliżenie się do liryków naszych z najlepszych czasów, a nadto zbratanie się z największymi lirykami łacińskimi, chcieliśmy w każdym poecie jasno wykazać, aby wytłómaczyć źródło tej siły poezji włoskiej.

W najbliższym artykule powiemy o romansie włoskim, a nasz optymizm spochmurnieje zapewne nieco, bo jak powiedział Dante: „Molto è licito là che qui non lece.”

HUGO OJETTI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Gesammelte Werke von Gustav Freytag“, 22 Bände, Leipzig, Hirzel, 1887—1888.

Czynimy wyjątek, kiedy na tem miejscu, przeznaczonem dla przeglądu nowości, zdajemy sprawę ze zbioru, ogłoszonego przed siedmiu laty. Atoli spóźniona relacya staje tutaj za świeży nekrolog ¹⁾).

„Wspomnienia“ Gustawa Freytaga, umieszczone na czele jego Pism zbiorowych, zaczynają się od XIII wieku ²⁾). Wtedy mianowicie pojawił się nad Prosną antenat, osadnik rdzennie germański z nad Renu, przywołany przez barbarzyńskich Piastów dla ogładzenia Szląska, i przyniósł rdzennie germańskie nazwisko „Freytag, t. j. Fridutag.“ Jeden z potomków tego męża poślubił prawowitą Germankę, niewiastę, zowiącą się „Wütherich, t. j. Wuotanrich.“ I tym sposobem, na dalekiem pograniczu wschodniem, „dwoje prastarych bogów germańskich, Freya i Wodan, podało sobie ręce do chrześcijańskiego związku“, skąd po szeregu wieków miał wykwitnąć *Hofrath* gotajski. Trzeba przyznać, iż z takim *Hofrathem* niema żartów. Paprocki, dla swoich magnatów, cofał się po kolligacye do Gedymina, najdalej—do którego patrycyusza rzymskiego. Radca dworu niemiecki wyższą żywi ambi-

¹⁾ Freytag † 30 kwietnia 1895.

²⁾ Erinnerungen, Ges. W. I.

cyę; on sięga aż na Walhallę. Jest atoli obawa, iż w tym przybytku eddyjskim nie znajdzie przytułku pamiętnikarz-genealog, kiedy tam obecnie, po śmierci, zapuka. Chociażby prześlepili rzekomi praojcowie, zadumany Odyn i niespokojna Freya,—niezawodnie szydęrczy Loki, „mądry syn Loveji“, bóg sprytu i obłudy, co sam umiał przebierać się za dziewczę, pozna się na sfalszowanym rodowodzie nowego przybysza, pod gotajską suknią dworską i orderami pruskiemi pozna tego potomka szląskiego Piąta i Wścieklicówny, i tego przebranego *Wasserpólaka* sromotnie wygna z Walhalli.

Nie odrazu trafił Freytag na właściwą drogę. Zaczął od docentury we Wrocławiu, gdzie zacnego Roepella miał za kolegę. Zdarzało mu się wtedy popełniać wiersze, które pewnie tylko przez niedopatrzenie dostały się do zbioru Pism. Takim jest poemat o „Żebraku polskim“¹⁾, który we wrocławskiej katedrze opłakuje zabitego syna, spaloną chałupę, ziemię utraconą, napróżno przed obcymi ludźmi się żali, napróżno na ścianach obcego kościoła szuka swojej „*Mutter von Czenstochau*“, i wreszcie trupem pada od nadmiaru niedoli:—niefortunna imitacja „Pielgrzymki do Kevlaru“ i niektórych pieśni Platena, lecz pomyślana w intencjach najczulszych, zgola nie tępiciejskich. Młody docent jeszcze wówczas był czuły, przyjaźnił się z demokratami, w ich wydawnictwach ogłaszał pierwsze próby pióra. Lecz przełomowy rok 1848 popchnął go w odmiennym kierunku. Przeniósł się do Lipska, poznał z nowymi ludźmi, zaczął wydawać *Grenzboten*. Grono młodych działaczy, jacy się tutaj skupili, był to rodzaj dzisiejszych liberałów narodowych „w jajku.“ Upominali się o praktyczność, o realizm, w sztuce i życiu. W literaturze uderzali zarówno na ostatnie przebliski romantyzmu, podejrzanego dla mniemanych sympatyj klerykalnych, jak na luźną, zapalną twórczość Młodych Niemiec, podejrzaną dla swoich sympatyj francuskich. W polityce zwalczali gwałtownie republikańców z Frankfurtu, starannie podkopywali tendencje austriackie, przedewszystkiem bojowali za wszechniemiecką missję Prus. Już tutaj, w długim szeregu „Artykułów politycznych“, poczynął Freytag wtrącać denuncjacje przeciw „hrabiom z kosynierami“ i ostrzegać, aby nie tykano „trupa.“ Co jednak najwięcej uderza w tych artykułach, przedrukowanych obecnie w dwóch działach zbiorowych p. t. „Prusy“ i „Austria“, to systematyczne, nieustanne, pod pozorami życzliwości, wycieczki podjazdowe przeciw polityce wiedeńskiej, i równie wytrwała, tylko śmielsza, apologia polityki berlińskiej w tym okresie. „Pozwalam sobie oświadczyć, iż jestem dobrym Prusakiem, najpierw Pru-

¹⁾ Der polnische Bettler, I, 236 sq.

sakiem, a potem dopiero wszystkim, czem chcecie, Niemcem i obywatelem świata“, pisał już w 1849 r. A w 1866 r. piorunował na „niesłychaną koalicję państw związkowych, sprzysiężonych w nocy przeciw Prusom“, i wołał: „*vorwärts*, na Wiedeń“ ¹⁾.

Mimo taką gorliwość, a może raczej dla zbytku gorliwości, w czasie wojny krymskiej przytrafił mu się przykry wypadek. Za niedyskrecję dziennikarską gorący obrońca Prus miał wydany na siebie w Berlinie „tajny“ rozkaz uwięzienia. Uprzedzony zawczasu przez życzliwych przyjaciół, schronił się do Gotha. Ojczyzna kalendarzyków dworskich oddawna była ośrodkiem rozległych, choć zakulisowych, wpływów politycznych. Od owych czasów, kiedy w 1795 r. stara księżna z trzema córkami wyjechała szukać nowożeńców, skromny dwór książęcy urósł w znaczenie i zajął stanowisko wyjątkowe wśród liliputowych dworów niemieckich. Panujący książę Ernest gościnnie przyjął Freytaga, pisarza zdrowych zasad, który w dodatku miał coś z demokracji i przestępcy politycznego. Książę w takich mieszaninach gustował. Znamy dzisiaj dość dobrze Ernesta IV z jego ogłoszonych niedawno Pamiętników. Dyletant w polityce i muzyce, zatracił trochę księciem z karykatur Hoffmannowskich; popularyzował się w domu, bawił w demokrację, kierował repetycjami swoich lichych oper i rozprawami nad swoją lichą konstytucją, przydywał w stowarzyszeniach strzeleckich i śpiewackich, rozdawał nagrody, wznosił przed lojalną publiką wolnomyślnie toasty; potem, dla odpoczynku, śpieszył do Paryża, aby pierwszy powitać Napoleona III, biegał z Berlina do Wiednia, z Londynu do Brukselli, wszędzie spokrewniony lub spowinowacony, ciekawy, ruchliwy, istna *mouche de coche*, wydając sekrety, ostrzegając, pośrednicząc: w gruncie rzeczy, szukając wrażeń. Pod skrzydłem takiego opiekuna, który go polubił, zrobił swoim lektorem i radcą dworu, w tym światku, wiecznie politykującym, mającym zawsze „czucie“ z wielkim światem mocarstw, toczyło się odtąd życie Freytaga i rozwijała jego twórczość literacka, stale teraz zabarwiana tendencją polityczną. Tutaj powstała wielka powieść „Ma i winien“, którą autor przypisał swemu książęćemu dobroczyńcy. Już poprzednio kilka dobrych komedii i słabych dramatów zyskało Freytagowi rozgłos; lecz dopiero ten utwór uczynił go sławnym. Nie nasza rzecz ocena romansu, który ma treść zajmującą, przejrzystą budowę, język naturalny, i pod niejednym względem wyróżnia się dodatnio od no-

¹⁾ Politische Aufsätze, XV, 6, 77, 121, 186, 296 sq.: wissen Sie was das alte Polen ist? Eine Leiche; Sie werden höchstens einige galvanische Zuckungen hervor-rufen.

wszej literatury powieściowej niemieckiej: jakkolwiek, gdybyśmy mieli własną wyrazić opinię, wskazali-byśmy na poprzedników, od których Freytag wziął więcej, aniżeli chciał przyznać: na Auerbacha, który więcej ma smaku, bodaj nawet na Immermanna, który napewno ma więcej wdzięku. Wszakże mało nas obchodzi estetyka romansu. Są w nim, jak wiadomo, rzeczy, które nas obchodzą w szczególności, są piękności całkiem specjalnego gatunku. A więc jest „Wohlfart“, kupiecki Fortunat, co przychodzi w Poznańskie, aby nareszcie ład niemiecki wprowadzić do „polskiej gospodarki.“ Są polscy złodzieje i oszuści, różni panowie „Bratzky“, „Tarowski“, którzy zrywają herby pruskie, biorą w twarz od dzielnego Fortunata, i idą do więzienia. Jest „*hohes Slavenschloss*“, skąd garstka Niemców strzela do oblegającej polskiej dziczy. Jest, jednym słowem, świadoma, otwarta prowokacja do śmiertelnej walki plemiennej. Ten jad, w dodatku, nie płynie bynajmniej ze ślepego, instynktywnego szowinizmu, lecz sączy się z wyrozumowanej logiki. „Jakiemkolwiekbyś sprawy i interesa mnie, jednostkę, sprowadziły tutaj,—teraz ja tu stoję jako jeden ze zdobywców, którzy w imię wolnej pracy i ludzkiej kultury odebrali słabszej rasie panowanie nad tą ziemią.“ Tak przemawia „Wohlfart“, z udaną dobrą wiarą szowinisty; lecz kiedy przesądny „Finck“, syn dawnych, niepraktycznych Niemiec, jednakowoż przyznaje się do skrupułów sumienia, wtedy całkiem innym głosem odzywa się dwujęzyczny logik, „subtelny Hamlet w dziegiowych butach“, jak tego narodowo-liberalnego kolonistę, tego reprezentanta nowych Niemiec, z dumą określa wtórujący mu pisarz. A więc dobrze, „mieczem lub podejściem, układem lub zasadzką, wszelkimi sposoby zdobyto te kraje, w epoce, gdy w pozostałych Niemczech wszystko było nędzne i martwe, zbudowano państwo z pni zgniłych i potrzaskanych“: i zaczęta robota obowiązkiem jest dokończyć. Trzeba dobrze zapamiętać tę demonstrację; albowiem ona staje za wyznanie ¹⁾).

Niezwykłe powodzenie pierwszej powieści, mniejsze, lecz jeszcze znaczne sukcesy rozwekłej, nudnej historii „Zaginionego rękopisu“ otworzyły Freytagowi wstęp do sejmu Rzeszy, gdzie wszakże mało było go słyhać. Podczas wojny francuskiej towarzyszył następcy tronu, późniejszemu cesarzowi Fryderykowi. Dawniej, póki książę Ernest jeździł na premiery do Paryża, jego lektor ostrożnie odzywał się o cesarzu Francuzów; w 1859 r., kiedy książę w sekrecie przykładał się do projektowanej interwencji pruskiej, współpracownik

¹⁾ Soll und Haben, V, 155, 184 sq.

Grenzboten już ostro napada na Napoleona III za odstąpienie Wene-
cyi; podczas wojny 1870 r. oczywiście jest nieubłagany ¹⁾.—Odnowie-
nie cesarstwa niemieckiego postanowił uwiecznić dziełem monumental-
nem, wielką epopeją narodową. Wtedy powstał potworny cykl „Przod-
ków“, długie dzieje Rougonów germańskich, wlokące się przez czter-
naście stuleci, gdzie pod zbieraną, nieporządną erudycją, pod stylem
naprzemiany napuszonym i pospolitym, znikły ostatnie ślady dawnego
talentu. Już część pierwsza, „Ingo“, odbywająca się w puszczech Tu-
ryngii, „w 357 r.“, objawiła nieznośną manierę i zupełną niemoc epo-
sowego przedsiębiorcy. Mniejsza już o nieuctwo: Chateaubriand je-
szcze mniej umiał, kiedy, wyprzedzając Thierrego, pisał „Męczenni-
ków“; lecz jego Gallię V wieku ożywia tchnienie szczerzej intuicji poe-
tyckiej, której niema cienia we współczesnej Germanii Freytaga, mimo
całą obfitość zużytych dziewic, kapłanów, wojowników i rogów bawo-
lich. Co prawda, w tych czasach odległych politycznemu epikowi bra-
kowało Słowianina. Powetował sobie sowicie w dalszym ciągu. Już
w „Ingrabanie“ śmiały Turyngczyk ostatecznie bierze szczęśliwie gó-
rę nad krwiożerczym wodzem słowiańskim „Ratizem“, i zrywa z gło-
wy zabitego „skrzydła białego orła“, co wszystko dzieje się „w roku
pańskim 724.“ W „Braciach zakonnych“, w XIII w., pobożni Krzy-
żacy, wspaniały „Ivo“ i roztropny brat „Sibold“, ciągną w imię Boże
„nad rwiste nurty Wisły“ i fundują Toruń. W „Marcusie Königu“,
bohater tytułowy, potomek starych Turyngczyków i Krzyżaków,
„w r. 1519“, widząc spółbraci, oddających się opiece „Pana Pietrow-
ski“ i króla Zygmunta, nie może znieść sromoty, opuszcza za synem
Toruń, i na odchodnem rzuca zaślepionym rodakom wieszcze słowa,
przepowiednię, która się ziści za lat dwieście: „nadejdzie dzień, kiedy
na rynku toruńskim wzniesie się czarne rusztowanie, skąd Polacy zrzu-
cać będą głowy dzieci waszych.“ Ten dzień nadchodzi w „Kapralu
pruskim“; młody „König“, wnuk tamtego z XVI wieku, teraz teolog
luterński, jest świadkiem śmierci radców toruńskich w r. 1724, i bie-
ży na skargę do jedynego obrońcy przeciw gwałtom polskim, do Fryde-
ryka Wilhelma I,— nie do tego, który pod pozorem sprawy toruńskiej
sprytnie znegocjował traktat hannowerski 1725 r., lecz do króla-pa-
tryarchy, który żałośnie ubolewa nad swoją bezsilnością wobec polskiej
przemocy. Nakoniec w „Zamknięciu“, wśród zawieruchy 1848 r., naj-
młodszy potomek tyłu sławnych przodków, właściciel tak imponujące-
go drzewa genealogicznego, jakie wymarzyć może jedynie radca dwor-
u z Gotha, już gotów jest popełnić głupstwo i wdać się z hołotą; ale

¹⁾ XV, 428, nieoszacowane słówko pogardy dla „Kelten von Paris.“

czuwa nad nim opatrność; w ostatniej chwili ciska on na ziemię karabin, albowiem „nagle usłyszał, jak człowiek, wydający rozkazy na barakadzie, zwrócił się do towarzysza w mowie polskiej“ ¹⁾.

Lecz doprawdy, tego powinno starczyć. Wymienimy jeszcze tylko popularne „Obrazy z przeszłości niemieckiej“, kompilację na szeroką skalę, gdzie część względnie najlepszą stanowią wyjątki z kronik i autorów, tłumaczone zresztą niezręcznie i nieściśle; jest to jakby wstęp do „Przodków“, tylko w postaci pseudo-naukowej, zamiast powieściowej, na czem nie zyskała ani wartość książki, ani tendencya. Reszcie damy pokój ²⁾.

A.

Pułkownik Orłow. „Szturm Pragi w r. 1794.“ Odczyty miane w sztabie wojsk gwardyi oraz petersburskiego okręgu wojennego. Petersburg 1894, str. 135. Mapy i podobizny Suworowa i Kościuszki. (Po rosyjsku).

General Puzyrewski przyzwyczaił nas swemi sumiennemi i sprawiedliwemi studjami historyczno-wojennemi do tego, że dziełom napisanym przez pisarzy rosyjskich, a potrącającym o naszą historję wojenną, zwykliśmy poświęcać szczególną uwagę. „Szturm Pragi“ wydany w r. 1894, a więc w setną rocznicę tego wypadku, tem bardziej zasługiwał na względy naszych sprawozdawców, że autor był, tak samo jak general Puzyrewski, wyższym oficerem generalnego sztabu i profesorem sztuki wojennej, a więc posiadał wszelkie kwalifikacye naukowe, do pisania specjalnej historii wojennej potrzebne.

Pułkownik Orłow nie rozpoczął swej pracy od opisu samego aktu wojennego, wydrukowanego na czele rozprawy, ani nawet od początku kampanii w r. 1794. Cofnął się on aż do drugiego podziału Polski i, nie ograniczając się bynajmniej na sferze działań wojennych, podał czytelnikowi sporą wiązkę spostrzeżeń politycznych, czerpanych z Kostomarowa, Sołowjewa i innych dziejopisów.

¹⁾ VIII—XIII.

²⁾ Deutsche Ansiedler im schlesischen Grenzwald, XVI, gdzie takich historyków pruskich, zdawało-by się dobrych patriotów, jak Stenzel, gromi za to, iż, przez vorsichtige Bescheidenheit der Deutschen, zgodzili się na urojenia Palackiego i innych słowiańskich bazgraczy o pierwotnej ludności słowiańskiej na Szląsku; por. XVIII, 164 sq. Bilder aus der deutschen Vergangenheit, XXI, 268 sq., o zaborze Prus Zachodnich.

Kampanię w 1794 r. opisuje pułk. Orłow szczegółowiej i ze względu na źródła urzędowe rosyjskie, które autor miał pod ręką, praca jego rozświetla niejednym ciekawym a dotąd nieznanym szczegółem przebieg ówczesnej wojny. Tam jednakże, gdzie źródła rosyjskie nie były wystarczającymi, pułk. Orłow nie potrafił uzupełnić ich innymi, w których prawdy i światła trzeba było koniecznie szukać. Skutkiem tego np. opis bitwy pod Szczekocinami vel Rawką jest bardzo ogólnikowy i nie wytrzymuje porównania z opisem, jaki zamieścił Sybel w swej „Historyi Europy podczas rewolucyi francuskiej”, opierając się na urzędowych sprawozdaniach pruskich.

Dopiero trzeci rozdział pracy pułk. Orłowa, zatytułowany „Pochód Suworowa od Niemirowa do Brześcia“, zawiera sporo ciekawych szczegółów dla przebiegu samej wojny 1794 r., jak i dla scharakteryzowania postaci Suworowa. Przytoczona przez autora korespondencya Rumiancowa z Suworowem, jak i rozproszone myśli tego ostatniego, mają niezaprzeczoną doniosłość. Pokazuje się, że i inni wodzowie rosyjscy uważali Suworowa za najodpowiedniejszego do działania przeciw Polakom, a on sam, znając teren walki i właściwości nieprzyjaciela od dawna, był przekonany, że kampania pod jego dowództwem została-by w ciągu dni czterdziestu ukończoną. Nadto Suworow uważał się za polowego żołnierza z krwi i kości; do inżynierów miał wstręt a wszelkie zabawianie się fortecami nie przemawiało do jego usposobienia.

Rozpoczynając pochód z swą armią od Niemirowa, Suworow przedewszystkiem szybkimi marszami, niewyczerpującymi bynajmniej sił żołnierza, wprawia wszystkich w zdumienie. Armia jego posuwała się dziennie o 30 wiorst, gdy tymczasem inne były w stanie przebyć zaledwie wiorst 15. Przytem w marszu panował porządek wzorowy, a na wszystkich wywierał wódz ruski wpływ jakby magiczny. Startszy się pod Krupczycami z korpusem Sierakowskiego, Suworow osobiście kierował bojem. Na kozackim koniu dojeżdżał wszędzie, gdzie tylko szeregi jego natrafiły na silniejszy opór nieprzyjaciela; krótkimi słowy: naprzód! bij! rąb! kół! wlewał otuchę i odwagę w swych żołnierzy.

Powtórny bój pod Brześciem z Sierakowskim, do którego, jak mylnie autor twierdzi, miał się przyłączyć oddział Mokronowskiego, opisany został przez pułk. Orłowa dość dokładnie. Zdaniem jego siły polskie wynosiły 6,000 wojsk regularnych a 10,000 kosynierów, siły rosyjskie wynosiły 9,000 żołnierza. Rozprawa była krwawą i toczyła się sześć godzin przeważnie białą bronią. Sierakowski ocalał zaledwie 1,000 żołnierzy, prócz tego pozostawił 500 niewolnika i całą artylerję zwycięzcy; reszta jego korpusu pokryła trupem pobojuwisko. Straty

Rossyan miały podług sprawozdania wynosić 95 zabitych i 228 rannych. Autor sądzi jednak, że w rzeczywistości straty były większe i dochodziły do 1,000 ludzi. W każdym razie bitwa pod Brześciem spowodowała znaczny upadek ducha w polskim obozie, a w Petersburgu radość, i dzięki temu zwycięstwu nie narzucano Suworowowi rad wojennych z Petersburga, lecz pozostawiono mu daleko większą swobodę działania; czyli, że bitwa pod Brześciem, w poglądach rządu na kampanię 1794 r. sprawiła istotny przewrót.

Jak tylko Suworow dowiedział się o zwycięstwie Fersena pod Maciejowicami, postanowił łącznie z korpusami Derfeldena i Fersena ruszyć pod Pragę. Pod Kobyłką natknął się wódz rosyjski na oddział Mokronowskiego, a szczególnie na kolumnę dowodzoną w boju przez generała Byszewskiego. Byszewski ranny, został wzięty do niewoli, a kolumna jego została zupełnie rozbita. Zdawało-by się, że po tylu tryumfach nie pozostawało zwycięzcy nic innego, jak na grzbiecie przeciwnika wpaść do Pragi, ale rozważny Suworow cały tydzień zatrzymał się pod Kobyłką i tam obmyślił oraz przygotował wszystko do szturmowania Pragi.

Pułk. Orłow uprzedził szturm Pragi przedstawieniem stanu sił nieprzyjacielskich, oraz doniosłości fortyfikacy w połączeniu z artylerją polską. Ocenienie fortyfikacyi Pragi, opis przygotowania do szturm i przytoczenie instrukcyi Suworowa dla wojsk szturmujących, są interesującemi i zawierają wiele ciekawych szczegółów. To samo da się powiedzieć i o całym rozdziale opisującym szturm Pragi.

Po szturmie oto jak autor opisuje przyjęcie przez Suworowa deputacyi magistratu warszawskiego, przybyłej w celu układania się o kapitulacyę: „gdy deputaci zbliżali się do Suworowa chwiejnym krokiem, jakby pod wrażeniem niebezpieczeństwa, które im grozi, on podniósł się, rzucił swoją szablę na ziemię i postąpił ku nim, a otwarte ramiona, rzekł po polsku: „Pokój! pokój!“ Nie oczekując od groźnego wodza takiego umiarkowania, deputaci, zwyczajem Polaków, chcieli objąć jego kolana; ale, uprzedzając ich zamiary Suworow, pochwycił ich w objęcia, usadowił koło siebie i uczęstował i t. d.“ Pomijam fakt, o którym pułk. Orłow nie wiedział wcale, a mianowicie, że wkrótce Ignacy Potocki z Mostowskim traktowali z Suworowem, i że „zwyczajem“ Polaków bynajmniej nie sięgali do kolan zwycięskiego wodza, ale przedewszystkiem uczynię autorowi jedno zapytanie: czy deputaci magistratu warszawskiego, widząc po raz pierwszy Suworowa, mieli powód obawiać się jego srogości i czy pod wpływem strachu musieli uciekać się do owego, polskiego zwyczaju? Na zapytanie powyższe odpowiem autorowi obszernym protokółem, spisany przez magistrat warszawski, a przechowanym w aktach magistratu miasta Warszawy,

w archiwum generalnem, który w urzędowym odpisie posiada Biblioteka ordynacyi hr. Krasińskich.

Protokół magistratu, zawierający szczegółowy opis wszelkich czynności samego magistratu oraz sprawozdania wszelkich deputacyi, stwierdza przede wszystkim, że pułk. Orłow podał nazwiska deputatów magistratu mylnie. Nie było bowiem między nimi żadnego Borakowskiego, tylko Borakowski, ani żadnego Strzałkiewicza, tylko Strzałkowski. Następnie deputaci magistratu nie zostali d. 4 listopada dopuszczeni do generała en chef Suworowa, lecz musieli przyjąć nocleg obozowy u generała dyżurnego Isleniewa, który ich pieczy swego pułkownika poruczył. Nazajutrz generał dyżurny udał się do Suworowa i, po blisko dwugodzinnej konferencji, przysłał do deputatów pułkownika Iwaszowa, wraz z punktami kapitulacyi i z zapytaniem: czy takowe dogodne miastu będą? Pomijam dość długi opis tego, co deputowani odpowiedzieli, ale zaznaczam, że odrazu uznali punkta kapitulacyi za dość względne dla miasta. Dopiero gdy załatwiono kwestye sporne, i warunki kapitulacyi, zarówno jak i list do Stanisława Augusta, „wygotowane y przez generała Suworowa podpisane były“ i gdy te dokumenta oddano delegowanym do rąk, oświadczone im, że się z nimi chce widzieć jasnie wielmożny Suworow. Gdy delegowani przybliżyli się do Suworowa, będącego w ubiorze jagierskim i w kaszkiecie bez najmniejszego znaku oficerskiego, tenże „wstał y kilka kroków ku nim postąpił. Pałasz z pendentem od boku odpasał y takowy na bok porzucił, mówiąc: „Vivat pokoy, vivat Król, vivat naród. Potym zbliżywszy się do nich pocałował i mówił do nich: „Aniołowie pokoju witam was“, dalej zapytał się ich: „czy odebrali ekspedycję, y czy z niej kontenci są, pytał się potym o zdrowie Króla, oświadczył swoje dla niego uszanowanie, co kilka razy powtórzył, potym potraktowawszy ich wódką y chleb z niemi łamiąc pożegnał się i t. d.“

Ocenienie działalności Suworowa w r. 1794 i scharakteryzowanie jego wysokiego talentu strategicznego, znajdujące się w pracy pułk. Orłowa, mają dla naszej literatury historycznej pewną wartość. Autor wytlómaczył logicznie i przekonywająco śmiały pomysł Suworowa maszerowania pod Pragę trzema oddzielnymi korpusami, przyczem i przymioty bojowe wojska polskiego zostały należycie i bezstronnie ocenionemi. Piechota polska nie dorównywała pod względem taktycznym piechocie Suworowa, konnica polska nie umiała brać udziału w pieszym boju, co wybornie jeźdźcy rossyjscy czynić potrafili. Artylerya polska, zwłaszcza większego kalibru, była niewystarczająca; inżynieria wreszcie polska wpadała fortyfikując Pragę na niezłe pomysły, cóż kiedy nie uniknęła błędu zasadniczego, obliczając zbyt wielką liczbę żołnierza dla obrony szaniec.

Przewaga przymiotów bojowych armii rosyjskiej była Suworowowi bardzo dobrze wiadomą i polegając na niej decydował się na hazardowne plany. Nietylko że pomysły wodza rosyjskiego okazywały się w następstwie bardzo trafne, ale w wykonaniu ich dostrzedz łatwo niezmierny dar przewidywania wszelkich przeciwności i obmyślenia sposobów do ich usunięcia. Jednem słowem, pułk. Orłow zdołał przekonać czytelnika, że Suworow należał do rzędu bardzo zdolnych wodzów, stanowiących rzetelną chlubę swego kraju, i że go nie można zaliczać do kategorii zwykłych rębaczów (Sabreur. Haudegen), którzy zawdzięczali swe tryumfy ślepej fortunie. Pułk. Orłow wydrukował również w swej pracy sprawozdanie Suworowa ze szturm Pragi, znajdujące się w archiwum generalnego sztabu w Petersburgu. Jest to dokument ciekawy, świadczący bardzo dobrze o Suworowie, jako przewidującym i sprawiedliwym dla swych żołnierzy wodzu. Oddając pochwały dowódcom: Potemkinowi, Derfeldenowi i Fersenowi, którzy w szturmie Pragi głównie się odznaczyli, Suworow nie zapomina o najmniejszej zasłudze i zwraca uwagę ministerium na waleczność ochotników, wśród których odznaczyli się głównie: książę Bariatyński, hr. Szuwałow i trzech książąt Galiczyńców. Męstwu obrońców Pragi nie szczędzi Suworow uznania, a szturm zwycięski porównywa z tryumfem Izmajłowskim. Za dzień ten krwawy Suworow otrzymał od swej monarchini buławę feldmarszałkowską.

Historia czysto wojennych działań przedstawia się więc w pracy pułk. Orłowa przeważnie dość zadawalniająco. Autorowi znane były prawie wyłącznie źródła rosyjskie, mało lub wcale niedostępne naszym historykom (z wyjątkiem prof. Korzona, który się z nimi zapoznał), a więc przez to samo już rozprawa jego przedstawia dla nas pewną wartość. Zaznaczyć muszę jeszcze raz bezstronność, z jaką autor oceniał zachowanie się armii polskiej w boju. Daleko mniej wyćwiczona i doświadczona, a jeżeli odliczymy kosynierów i pikinierów, nie tak liczna jak nieprzyjacielska, ponosiła ona w starciach z Suworowem nieustanne a dotkliwe klęski. Nie ustępowała jednak nigdy z pola, nie zaśławszy go poprzednio gęsto swym trupem, strach nie oblatywał nigdy ani jej żołnierzy, ani jej wodzów, a sześciogodzinny bój w otwartem polu i na broń białą pod Brześciem zapewnić jej był powinien szacunek zwycięskiego wodza i w rzeczywistości jej go też zapewnił. To samo uczynił pułk. Orłow w swej pracy, za co mu się uznanie należy.

A. REMBOWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Zatarg między węgierskim prezesem gabinetu, bar. Banffym, a wspólnym ministrem spraw zagranicznych, hr. Kalnokym, skończył się dymisją tego ostatniego. Stało się koniecznem, żeby jeden z dwóch tych ministrów ustąpił. Ci, co przypuszczali, że to będzie Banffy, a nie Kalnoky, liczyli się tylko z okolicznościami zatargu, nie uwzględniając innych wpływów. Zdawało im się, że skoro Banffy pobłądził, a temu przeczyć trudno, Banffy, a nie kto inny, powinien odpokutować za błąd popełniony. Ale Banffy miał za sobą całe Węgry i sztucznie zbałamuconą w nich opinię publiczną; podczas gdy hr. Kalnoky opierał się tylko na swojej racyi, co nie zawsze wystarcza na tym świecie, gdzie, jak wiadomo, siła pięści lub zbiorowiska pięści często bierze górę nad nieuzbrojoną słuszością. Kalnoky zresztą ustąpił ze spokojem i godnością prawdziwego dyplomaty, który zrozumiał, że zbieg wypadków koniecznie tego wymaga; ale trzeba i Banffyemu oddać sprawiedliwość, że on także zdaje sobie sprawę z sytuacji i nie przybiera miny tryumfatora. Kalnoky ustąpił, lecz Banffy nie okrył się sławą. Kalnoky może jeszcze odzyskać utracone stanowisko, bo, pomimo dymisyi, nikt nie ma powodu wątpić o jego zdolnościach i takcie; Banffy pozostał, ale skurczony, zmalały, prawie zdyskredytowany. Jedynym jego wdziękiem w tej chwili jest pewna skromność, z jaką obchodzi zwycięstwo nad przeciwnikiem. Kto wie jednak, czy i tego nie trzeba przypisać zasłudze hr. Kalnokiego, którego ostatnim czynem przed dymisją

było zwrócenie uwagi kolegi Banffyego na to, że nie ma wyobrażenia o tem, co jest dyplomacya. Sparzony w ten sposób, p. Banffy jest teraz oględnym.

Swoją drogą, niezależnie od sprawy osobistej i niezależnie od istotnych przyczyn, które ją wywołały, cały ten zatarg był ważnym epizodem w historii dualizmu austriackiego. Nowy minister spraw zagranicznych, hr. Agenor Gołuchowski, w pierwszym zaraz swoim exposé przed delegacyami oświadczył, że przy sprawowaniu swojego urzędu będzie miał na widoku zarówno interesa całej monarchii, jak obu jej połów, a w szczególności Węgier. W delegacji węgierskiej zrozumiano te słowa, jako stwierdzenie przez ministra wzmocnionego wpływu Węgier na politykę zagraniczną monarchii i przyjęto je hucznemi oklaskami. Tym sposobem zaakcentowane zostało, co było jeszcze urzędownie niedomówionem, a jednak prawdziwem. Ale sama dimissya hr. Kalnokyego nie większe bynajmniej sprawiła wrażenie od nominacyi jego następcy. Wspomnieliśmy już, że jest nim hr. Agenor Gołuchowski. Jest to syn byłego prezesa gabinetu i namiestnika Galicyi, także Agenora. Nowy minister jest jeszcze stosunkowo młodym, w karierze dyplomatycznej nie przebył stopni pośrednich, które poprzedzają zwykle nominację na ministra, nie był mianowicie ambasadorem. Mówiono, że ustępujący Kalnoky zalecił go cesarzowi na swego następcę; można się było stąd domyślać, że hr. Kalnoky wysoko szacuje zdolności hr. Gołuchowskiego, ale dla opinii publicznej w Austrii i w Europie był to zupełnie *homo novus*. Dał się poznać z wytworności w Wiedniu, jak również i w Paryżu, gdzie się ożenił z księżniczką Murat. Czy jednak będzie równie świetnym ministrem, jak był światowcem? Z niecierpliwością oczekiwano pierwszego wystąpienia nowego dygnitarza przed delegacyami. Ale on, wiedząc o tej zwróconej na siebie uwadze, nie starał się bynajmniej wystąpić popisowo. Ograniczył się do ogólników dyplomatycznych, zapewnił, że ze zmianą ministra nie zmienia się polityka państwa i potrafił zostawić to wrażenie, że gdy jest dopiero na wstępie nowej kariery, sądzić go dziś jeszcze za wcześnie. Ta powściągliwość nie stanowi sama dowodu szczególnych uzdolnień; ale nie jest też znakiem złej wróżby. Dodajmy, że nominację hr. Gołuchowskiego na ministra spraw zagranicznych Austrii-Węgier przyjęła dyplomacya europejska oznakami uprzejmej życzliwości, umyślnie akcentowanej, jakby dla zachęty.

W przeciwieństwie do tej sprawy zatargu i zmiany ministrów, która tak prędko i tak łatwo została uregulowaną, bo zależało to od woli mądrego i doświadczonego monarchy, jakim jest Franciszek Józef, inna sprawa, wyłącznie już przedlitawska, przeciąga się i wikła. Mówimy o reformie wyborczej, której powinien dokonać rząd w połą-

czeniu z parlamentem. Choć niby ciągle posuwa się naprzód, ciągle stoi ona w miejscu. Dziś też można już prawie napewno twierdzić, że obecny gabinet reformy wyborczej nie przeprowadzi. Nie dlatego, żeby jej nie chciał, ale, że niesłuchanie trudno jest uczestnikom koalicji zgodzić się na jeden wspólny plan reformy. Jak dalece trudno, dowodzi fakt, że kiedy oto teraz w komisji ściślejszej zgodzono się na projekt, lewica nie akceptuje go i grozi wyjściem z koalicji. Taż lewica grozi wyjściem z koalicji z powodu gimnazjum cillejskiego, które rząd postanowił otworzyć. Wogóle wisi lewica na włosku w koalicji, prawica może na trochę grubszym, ale także na włosie. Lada chwila te włoski i włosy poprzerywają się. Nowy parlament i nowy rząd są potrzebne i zapewne niedługo będzie je Przedlitawia miała.

Wybory włoskie dały zwycięstwo — Crispiemu. To nie przeszkadza, że w tydzień zaledwie po zwycięstwie Crispi podał się do dymisji. Piszemy to właśnie w chwili, kiedy nie wyjaśniło się jeszcze, czy dymissya ta utrzyma się lub zostanie cofniętą. W pierwszym razie powtórzyła-by się historia taka sama, jak za poprzednich wyborów, którym przewodniczył Crispi i przy których także zwyciężył. To podanie się o dymisję dowodzi jednak, że naprzekór wskazówkom statystyki wyborczej, gabinet nie czuje pod sobą mocnego gruntu. Przeciwnicy nie przestają atakować Crispiego, zawsze w to samo bijąc, że ciąży na nim plama jakichś finansowych nadużyć. Wybory tedy nie „oczyściły“ bynajmniej atmosfery parlamentarnej w Rzymie, jak się tego po nich rząd spodziewał. Te wszystkie warunki zamętu, jakie były, pozostają nadal, a z niemi wszystkie trudności wydzwignięcia państwa z finansowych i administracyjnych kłopotów. Jeśli jednak Crispi będzie zmuszony ustąpić, trudności nie o wiele się zmniejszą, a w najlepszym razie inne tylko przybiorą formy. Bo wraz z Crispim odejdzie od steru państwa doświadczenie, rozum i energia, znacznie większe, niż je wykazać może którybądź inny włoski polityk, Rudiniego nie wyłączając.

Interpelacya radykalistów we francuskiej izbie deputowanych z powodu wysyłki okrętów francuskich na uroczystość otwarcia kanału Północnego do Kielu i z powodu wspólnej z Niemcami akcji na wodach chińskich, skończyła się uchwałą wotum ufności dla rządu. Podczas rozpraw, jakie się toczyły, minister spraw zagranicznych i prezes gabinetu po raz pierwszy użyli o stosunku Francyi do Rossyi wyrażenia „przymierze.“ Prasa francuska uważa to za dowód, że oba te państwa istotnie zawarły ze sobą sojusz. Niektóre dzienniki głoszą, że po zjeździe w Kielu nastąpi publikacya traktatu francusko-rosyjskiego.

Przed kilku tygodniami w Wiedniu odbył się zjazd aktorów, na którym 600 uczestników w jaskrawem świetle przedstawiło despotyzm i zdzierstwo dyrektorów teatrów wędrownych. Domagano się, ażeby sądy nie uznawały kontraktów, wprzęgających tych pracowników w jarzmo prawdziwej niewoli. Sam zjazd, jego cel i liczba osób, wnoszących protest rozpaczliwy, wymownie już charakteryzują położenie całych rzesz artystów scenicznych, o wiele nawet gorsze, niż u nas, bo tam siłą przykuwającą i zarazem gnębiącą jest potęga materyalna owych przedsiębiorców, gdy u nas, zwłaszcza w ostatnich czasach, tak zwanym dyrektorem towarzystw prowincjonalnych bywa zazwyczaj sprytniejszy i obrotniejszy od innych kolegów. I doprawdy, nieraz z podziwu wyjść nie można, patrząc na tych przewodników efemerycznych, jednosezonowych. Dziś aktor goły, bez grosza, w butach dziurawych, z zegarkiem, zastawionym w lombardzie, jutro „dyrektor“, wyznaczający świetne gaże swoim pracownikom, w sumach, o jakich marzy niejeden wytrawny literat lub zdolny i poważany przez władzę urzędnik. Oczywiście te gaże są na papierku lub—języku; żaden aktor nigdy nawet dziesiątej części kwot przyobiecanych nie ogląda, a dyrektor, obejmujący przedsiębiorstwo, które się wyraża w sumie kilkudziesięciu tysięcy rocznego obrotu,—sam także najczęściej chodzi bez butów, jada obiady trzy razy tygodniowo, marźnie w pokoiku nieopłacanym, w końcu schodzi na t. zw. działę, t. j. dzieli się dochodem na równi z innymi aktorami, i wreszcie dowiaduje się, że ktoś z jego trupy na przyszły sezon już utworzył nową drużynę. W ten sposób towarzystwa artystów prowincjonalnych, jak ciała kosmiczne, rozpadają się na drobne cząstki, to znowu się łączą w grupy osobne. Tak np. z „drużyn“: lubelskiej, częstochowskiej, kieleckiej, łódzkiej, naraz powstają: łódzka, kielecka, częstochowska, lubelska—zostają towarzystwa, zachodzi tylko zmiana pracowników i dyrektorów, jak dam w kontredansie.

Bądź co bądź, jest to gromada ludzi najbardziej bezdomych i głodnych, z najsmutniejszym jutrem. Kilkakrotnie myślano o zabezpieczeniu ich bytu—przez pracodawców, którzy, rzecz prosta, sami nic nie mając i nie wiedząc, czy dwa miesiące będą zajmowali swoje stanowisko, nie mogli nic zabezpieczyć, ani moralną, ani majątkową odpowiedzialnością. Niedawno ktoś w Lublinie proponował utworzenie „komitetu teatralnego“, którego jednym z zasadniczych warunków ma być możliwość rozporządzania kapitałem w sumie 1000 rs., złożonym z 25-rublowych udziałów. Od kandydata na dyrektora wymagane jest odpowiednie uzdolnienie, posiadanie garderoby scenicznej, biblioteki i wszelkich innych niezbędnych przedmiotów, wreszcie żądany jest jeszcze jeden warunek, najtrudniejszy—500 rs. gotówki. Obowiązkiem takiego

kierownika powinno być: werbowanie aktorów, określanie gaży w porozumieniu z komitetem, który składa za dyrektora kaucję, udziela mu pożyczek na zakup nowych sztuk, kontroluje dochody i wydatki, ma kasę pod swoją opieką i wypłaca pensye; sam również pracuje na warunkach takich, jak inni, t. j. pobiera pensję. W końcu sezonu nadwyżka ma być dzielona pomiędzy współpracowników w stosunku do rozmiarów ich gaży.

W projekcie tym widzimy kilka stron, zasługujących na uznanie. Jak wiadomo, dotąd nietylko wynagrodzenie aktorów, ale i autorów scenicznych nie jest niczem gwarantowane. Dyrektorowie są hojni dla jednych i drugich, bo to ich nic nie kosztuje, autor zaś w najlepszym razie otrzymuje jakąś sumkę, nie wiele większą od honorarium za artykuł średnich rozmiarów. W taki sposób przysposobiona gleba przyjmuje ziarna najlichszych chwastów, które przepełniają sceny teatrzyków prowincjonalnych. Tam wyrastają nowe wielkości, autorowie „sceniczni”, o których przeszłości literackiej najskrzętniejsi bibliografowie i znawcy literatury bieżącej nigdy nie słyszeli. Nowe siły wychodzą z szeregu grafomanów lub reporteryi najpodrzedniejszej. Słuchając tych arcydzieł z płytkimi kupletami, z muzyką poziomą, pierwszy lepszy kantorzysta mówi sobie w duchu: „Dlaczegożbym i ja nie mógł „sztuki“ napisać?”—Pisze i znajduje szczere przyjęcie.

Oto jest właśnie jedna z ważnych przyczyn niepowodzenia teatrów wędrownych. Druga, pokrewna—brak odpowiednich sił aktorskich; stąd liche utwory są licho wykonywane i, jakkolwiek oba warunki zadawałają część publiczności kufłowej, to przecież oprócz tej, jest inna, liczniejsza, która jaki taki gust posiada i rada-by posłuchać czegoś istotnie godnego słuchania.

W projekcie, powyżej podanym, tkwi właśnie myśl przewodnia, która, acz nie zupełnie jasno, ma na względzie oba warunki. Artyści mają mieć zabezpieczoną gażę, autorowie—honorarium za utwory. Warunek ten należało-by bardziej rozwinąć, t. j. dodać jeszcze do kwalifikacyi dyrektorów zdolność rzetelnego ocenienia utworów scenicznych, lub też powoływanie do komitetu paru rzeczoznawców, ludzi literacko-estetycznie i społecznie ukształconych. Taka kontrola wypełniła-by wszelkie chwasty, pielęgnowane na niwie sztuki prowincjonalnej, i w przyszłości zapobiegła-by napływowi nowych lichot. Wprawdzie bibliografowie mieli-by mniej roboty z notowaniem nowych autorów i ich dzieł, płodzonych co rok tuzinami; ale za to prawdziwie zdolni zyskali-by szersze pole do pracy produkcyjnej, podniósł-by się poziom artystyczny scen prowincjonalnych, a jednocześnie gust publicz-

ności kształcił-by się na dobrych wzorach, co niewątpliwie przyczyniłoby się do materialnego powodzenia Melpomeny wędrowniej.

Obecnie w tej dziedzinie mamy do zaznaczenia fakt, dotąd niebывały u nas: spółkę dziennikarsko-aktorską w Warszawie, mającą na celu przekształcenie jednego z ogródków. Takie połączenie, to także pewnego rodzaju siła, na którą liczyć można, boć reklama dziennikarska robi dziś wiele, spędza tłumy do podziwiania tego, na co bez tych trąb potężnych nie zwrócono-by może wcale uwagi. Nie wiemy, jak ta spółka będzie w szczegółach wywiązywać się ze swego zadania; ale jedno dziś zasługuje na pochwałę i jest poniekąd przejawem dążności, którą można było-by wyzyskać właśnie dla podniesienia wartości repertuaru. Mianowicie ten nowy teatr ogłosił konkurs specjalnie dla swej sceny i powołał na sędziów ludzi, dziś jeszcze nie wiemy, jakich, ale przypuszczać należy, że znających się na rzeczy prawdziwie i rzetelnie.

Wracając jeszcze raz do projektu lubelskiego, muszę wyrazić swoją wątpliwość co do siły podstaw pieniężnych. Tysiąc rubli udziałów nawet wraz z 500 rs. dyrektora, to jeszcze zbyt mało dla zapewnienia mocnego gruntu przedsiębiorstwu scenicznemu. W tej chwili przychodzi mi na myśl świeżo uczyniony zapis Lanckorońskiej we Lwowie na rzecz miejscowych artystów teatralnych. O ile pamiętam, jest to pierwszy fakt wejścia filantropii na te szlaki, rzecz dziwna, że jedyny wobec tego, iż teatr jest dziedziną, najprzystępniejszą dla wszystkich, potrzebą, odczuwaną nawet przez tych, którzy najbardziej uderzających niedomagań społecznych nie mogą dojrzeć. Zdawało-by się, że to właśnie, co najsilniej przemawia do serca filantropów i dostarcza im znacznej sumy przyjemności w życiu, powinno być faworyzowane w zapisach. Może przykład Lanckorońskiej znajdzie naśladowców, chociażby z tego względu, że drużyny aktorskie coraz są liczniejsze i że stanowią dziś już znaczny odłam pracowników bez zabezpieczonej przyszłości.

Ktoś zrozumiał o wiele donioślejszą potrzebę społeczeństwa, bo ofiarował na Instytut medyczny dla kobiet, o ile mię pamięć nie myli— aż 70,000 rs. Kwota pokaźna, o jakiej my, ubodzy, zapatrzeni w niewielką gromadkę swoich filantropów, marzyć nawet nie możemy. Ten zakład naukowy, o którym najsprzeczniejsze wieści od paru lat krążą, nareszcie więc przyjdzie do skutku, i to podobno jeszcze w roku bieżącym. Najpiękniejszym działem pomocy lekarskiej kobiecie jest aku-szeria, której stan obecny bardzo smutnie się przedstawia. Warto się przyjrzeć danym świeżej pracy d-ra Józefa Jaworskiego („W sprawie

społeczno-lekarskiej"). Pomijając szczegółowo cyfry, dochodzę do obrazu ogólnego: W Warszawie jedna akuszerka przypada na 950 kobiet; prowincję, czyli całe Królestwo Polskie, obsługuje 627 akuszerok i 153 babek wiejskich. Jeżeli zważymy, że i ta garstka rozmieszczona jest głównie w miastach gubernialnych, łatwo będziemy mogli wyobrazić sobie wieś, rzuconą wyłącznie na pastwę partactwa owych słynnych „babek”, w których rękę spoczywa życie tysięcy kobiet-rodzicielok. Ale i w tych miastach gubernialnych pomoc nie jest dostateczną; jedna bowiem akuszerka przypada tam na 3000 kobiet. W miasteczkach zaś, wsiach i osadach, liczących około 3,000,000 kobiet, jedna akuszerka nie przypada nawet na *trzydzieści tysięcy!* Przypuszczając że każda akuszerka czynną jest przez rok cały i na każdy poród poświęca siedm dni opieki położniczej, wypadnie, według obliczeń d-ra Jaworskiego, że może ona przyjąć 52.1 dzieci, odbierając jedno na dzień; jeżeli zaś po dwoje—to 102.2. Biorąc dla prowincyi okrągłą liczbę akuszerok 630, przychodzimy do wniosku, że mogą one przyjąć w ciągu roku 65,646 dzieci, a więc 260,922, czyli $\frac{4}{5}$ urodzeń pozostaje zupełnie bez umiejętnej i rzetelnej opieki położniczej. Oto jest pole olbrzymie dla pracy kobiecej, odłogiem pozostawione, podczas gdy pan-ny nasze garną się setkami i tysiącami do wielkich rojowisk miejskich dla poszukiwania zajęcia lub nauki w dziedzinach w rezultacie nieprodukcyjnych albo przepelnionych oddawna; tracą zdrowie i mienie na usiłowania jałowe dla siebie i społeczeństwa. „W rękę położnej—mówi prof. H. Jordan—spoczywa zdrowie i życie dwóch, a czasami i więcej osób; sumiennem pełnieniem swoich obowiązków przyczynia się ona do utrzymania szczęścia rodziny i ochrania ją od nieszczęść. Jest to więc powołanie piękne, które bardzo często przekonaniem, iż się zdrowie lub życie bliźnim swoim ocaliło, prawdziwą wewnętrzną radość i rzeczywistą korzyść ludzkości sprowadza i które z tego powodu zasługuje na powszechny szacunek.” Niech więc tak szczytne i ważne zadanie obejmą nasze bojowniczk i na polu pracy samodzielnej. Niech tutaj wywalczają sobie niezależność ekonomiczną dla dobra powszechnego.

Ile razy zwrócimy wzrok na tę biedną prowincję, widzimy ją wiecznie zagrożoną w mieniu i życiu ludzkim. Umierają lub nabywają się kalectwa rodzicielki, giną dzieci w kałużach, strugach, pod kołami wozów, pod nogami zwierząt lub w płomieniach. Woda zalewa pola i łąki, niszczy posiewy, grady i susze doprowadzają do ruiny zupełnej. Jeżeli zaś zagnieździ się jakaś choroba epidemiczna, to, wbrew ogólnemu pojęciu, większe spustoszenia czyni na wsi, niż w mieście, wzorowo zaopatrzonem w pomoc lekarską. Wreszcie do tego

wszystkiego przybywa jeszcze jedna straszna klęska—pożary. Od paru tygodni prawie co dzień czytamy o tych wielkich katastrofach. Płoną wsie i miasteczka w Galicyi, spaliła się u nas cała Koprzywnica (w Radomskim), gdzie ogień pochłonął nie tylko mienie, lecz i 18 osób. Wreszcie obszerny, ludny Brześć-Litewski, stał się jedną pochodnią, zamienił się w ciągu doby w kupę popiołu, węgla i gruzów. Posiada on wojsko, zbiega się tam ze wszystkich stron pięć kolei żelaznych, zaopatrzonych, jak mniemać należy, w przyrządy ratunkowe; a jednak spłonęły do cna setki domów, a w nich sporo ludzi chorych, zniechęconych i dzieci bez najmniejszej pomocy. Rozumiemy przerażenie tłumów,—najniebezpieczniejszy objaw psychologii zbiorowej, chwilowy obłęd, który sprowadza katastrofy jedną za drugą. Wiemy, że przy takim nastroju najtrzeźwiejsza i najenergiczniejsza komenda niekiedy bez wykonania; rozumiemy wreszcie, że gdzie są nagromadzone suche drewniane domostwa, a wśród nich słoma i wszelkie rupiecie, łatwo palne, tam żadna siła zapanować łatwo nad srogim żywiołem nie potrafi. Ale nie możemy zrozumieć, jak tego rodzaju rojowiska ludzkie, co Brześć, mogą spokojnie drzeć przez lata całe bez dobrze zorganizowanej straży i narzędzi ratunkowych, jak wreszcie, mając pięć wielkich arterii komunikacyjnych z dziesiątkami pociągów, można było zapomnieć o sprowadzeniu narzędzi i straży, chociażby jednej, z Warszawy. Chyba miasto nasze w tak wyjątkowym i smutnym wypadku nie odmówiło-by tej pomocy.

Jeszcze się nie rozpoczął właściwy sezon ogniowy, którego największa siła przypada na lipiec i sierpień, a już mamy tysiące nędzarzy nieszczęśliwych, zrujnowanych zupełnie. Społeczeństwo obarczyło się nowym ciężarem i wszelkimi jego konsekwencjami, które także wyrażają się w szeregach klęsk moralno-materyalnych. Niema takiego rachmistrza, który potrafił-by dokładnie zsumować te straty i ciężary, ale każdy z nas, bez pióra lub ołówka w ręku, łatwo obliczy, że odpowiednia organizacja ratunkowa, urządzona we wszystkich miastach, osadach i wsiach, nie dorównała-by nawet niewielkiej części tych strat, jakie społeczeństwo rok rocznie ponosi przez pożary. Ludzie ubezpieczają swoje ruchomości i nieruchomości w towarzystwach assekuracyjnych i są spokojni, wyobrażając, że tym sposobem istotnie zabezpieczyli się zupełnie. Smutne jednak fakty dowiodły, że tylko sprytni spekulanci-przestępcy umieli „robić majątki” na ubezpieczeniach i rozmyślnych podpalaniach; że ludzie uczciwi najczęściej nawet połowy swych strat z ubezpieczenia nie pokrywają; że wreszcie w ogniu bardzo często giną pieniądze, a nawet życie ludzkie, że zaziębienie się i przestrach działają zabójczo. Wobec tego, pewne opodatkowanie spo-

leczeństwa na rzecz niezbędnej organizacyi ochrony było-by bardzo pożądane i nie padło-by ciężarem na ogół, lecz przeciwnie—było-by dlań ogromną oszczędnością. Mam tu na myśli nie tylko strażę ogniową wraz z bogatym rynsztunkiem, lecz także wszelkie inne środki bezpieczeństwa: opiekę nad dziećmi i obłąkanymi, ścisłe przestrzeganie odpowiedniej odległości domów przy budowaniu, rozciągnięcie dozoru nad małoletnimi palaczami i pijanymi, unikanie gromadzenia w miejscach niebezpiecznych materiałów łatwo palnych, stanowczy zakaz urządzania piekarni i innych tego rodzaju zakładów wśród miast lub osad; należy wyznaczać dla nich miejsca zupełnie odosobnione; zabronienie krycia domów słomą, zastosowanie przyrządów ochronnych na kominach, wprowadzenie stałych stróżów nocnych i dziennych z łona straży miejscowych, jako dyżurnych. Wreszcie zaopatrzenie wsi, miast i osad w dostateczną ilość wody na każde zawołanie. Zastosowanie szeregu takich środków i rzetelne ich spełnianie niewątpliwie sprowadzi obecne klęski do możliwego minimum.

Odwróćmy wzrok od tych przykrych obrazów, a zajrzyjmy do gospodarki naszego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Niedawno roztrząsano jego sprawy na ogólnem zebraniu i wykazano stan bardzo pomyślny, dzięki energicznej i umiejętnej zabiegliwości wiceprezesa, p. Józefa Weyssenhoffa. Liczba członków zwiększyła się o 236 (r. 1893 było 4958, obecnie 5194). Oczywiście, że wobec tak niebywałego u nas w ciągu roku przyrostu uczestników, suma, pochodząca ze składek, także znacznie się powiększyła (rs. 25,970). Zaznaczyć należy, iż za pośrednictwem komitetu młodzi artyści, kształcący się za granicą, otrzymali stypendya i zapomogi, co nazwać można istotnem popieraniem sztuki, za pośrednictwem ułatwienia rozwoju młodych sił artystycznych. Dzięki zabiegom pp. Weyssenhoffa i Wydźgi, Towarzystwo nasze będzie miało nareszcie gmach własny, który stanie na gruncie, ofiarowanym przez magistrat. Będzie więc to nowy okres w rozwoju instytucyi z pożytkiem dla sztuki. Jest ona bardzo wybredna, nie lubi tułać się po obcych kątach. To też wszędzie za granicą posiada własne gmachy.

W miesiącu ubiegłym ubył nam jeden z działaczy, podtrzymujących ruch piśmienniczo-wydawniczy—Teodor Paprocki, człowiek młody (39 lat), energiczny, ruchliwy. Ten tylko może należycie ocenić działalność jego, kto wie, w jakich warunkach istnieje u nas handel księgarski i jak go traktuje ta „lepszą część społeczności”, na której opieramy rozwój życia umysłowego. Paprocki, przy skromnych środkach materialnych, w stosunkowo krótkim okresie swej działalności

księgarskiej, puścił w świat mnóstwo dzieł pożytecznych, popularno-naukowych, przyczynił się do przyswojenia naszej literaturze wielu poważnych zdobyczy z literatury zachodniej. Nie ogarniał go lęk, jak innych wydawców, na myśl, że dana książka, nie służąca dla lechtania umysłu lub rozrywki, nie znajdzie powodzenia, a więc obarczy księgarza ryzykiem. W tem leży główna zasługa nieboszczyka i ta mu nie będzie zapomnianą przez miłośników wiedzy. Paprocki przez parę lat był wydawcą tygodnika *Życie*.

Ogólną stratą dla nauki jest śmierć Karola Vogta, wybitnej postaci, z epoki przełomowej w życiu przyrodniczo-filozoficznem. Urodzony w Giessen r. 1817, skończył studia w Bernie, stamtąd udał się do Neuchâtel, zwabiony powagą umysłową uczonych Desora i Agassiza. Wraz z nimi zagłębił się w teorii lodowców. Tam również stworzył i wydał słynną swą pracę o rybach wód słodkich. Udał się następnie do Paryża, założył tam Towarzystwo lekarzy niemieckich. W r. 1847 powróciwszy do Niemiec, objął katedrę uniwersytecką w Giessen. Była to chwila, kiedy wzmagał się coraz silniej również liberalizm niemiecki, który wciągnął uczonego do zapasów. Wybrany na posła do parlamentu frankfurckiego, stanął na skrajnej lewicy, zapalał nienawiścią do Prus i Bismarcka. Parlament frankfurcki, wyparty zbrojną siłą pruską, musiał szukać schronienia w Stuttgardzie wraz z Vogtem. Uczony ten, wygnany następnie z ojczyzny, udał się do Nizy; stamtąd powołano go na katedrę geologii w Genewie. On-to właśnie w znacznej części przyczynił się do stworzenia tam wydziału lekarskiego i rozwoju wszechnicy. Jako obywatel szwajcarski, nie zaniedbał polityki. Na członka wielkiej rady kantonu był trzykrotnie wybierany, dwa razy zasiadał w radzie stanów i raz—w narodowej. Będąc gorącym federalistą, namiętnie występował przeciw rewizji konstytucji w r. 1872 i 1874. Jako uczony i profesor, położył wielkie zasługi w dziedzinie biologii. Dwukrotnie był rektorem uniwersytetu (1874—1876 i 1880—1882). Był wreszcie głównym twórcą Instytutu genewskiego i na jego czele stał około lat 30. Vogt umarł dn. 5 maja w Genewie.

Z. P.

Wiadomości bibliograficzne.

— Dnia 22 kwietnia odbyło się posiedzenie wydziału historyczno-filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie, na którym przewodniczący W. Łuszczkiewicz przedstawił dwie prace, nadesłane przez członka korespondenta A. Prochaskę. Jedna z nich traktuje „O autentyczności listów Gedymina.” Autor zapoznaje z dotychczasowymi poglądami na tę sporną kwestyę, przytacza dowody fałszerstwa, jak również i autentyczności, któremi już poprzednio posługiwali się: Voigt, Bonnet, Narbutt i inni. Dalej autor stwierdza, że listy owe z rozkazu Gedymina napisali Franciszkanie i że niesą one wcale mistyfikacją tych Franciszkanów, ułożoną w porozumieniu z mieszczanami ryskimi, lub też z arcybiskupem ówczesnym, Fryderykiem. Najwcześniejszy bowiem list do papieża pochodzi z roku 1322, kiedy to Ryżanie o poselstwie Gedymina do papieża nic nie wiedzieli, jak tego dowodzi ich list do Gedymina z listopada tego roku. Zresztą z autentycznego sprawozdania poselstwa legatów papieskich widać, że Gedymin wówczas dopiero do ryskiej rady miejskiej zwrócił się z prośbą o pośrednictwo, kiedy poseł jego, do papieża wyprawiony, był przez Krzyżaków odepchnięty. Dalszym dowodem autentyczności jest, że Franciszkanie w obliczu owych posłów, a nawet przed samym Gedyminem zaręczali, że listy ułożyli w myśl zamiarów króla, gdyż w ciągu r. 1323 rzeczywiście zamierzał ochrzcić się i dopiero z końcem tego roku musiał odstąpić od swego zamiaru. Powody, dla których Gedy-

min planów swoich do skutku nie doprowadził a następnie całkiem ich się wyparł, są, zdaniem autora, następujące: 1) zakon tamował wszelką komunikację z Litwą, odcinał ją od zachodu Europy; 2) złał układ wileński, zawierając pokój z Nowogrodem, skierowany przeciwko Litwie i Rydze; 3) wywierał nacisk na stany inflanckie, aby wypowiedziały wojnę Litwie; 4) podburzał Litwę i Ruś do buntu przeciw Gedyminowi, co musiało-by pociągnąć za sobą upadek państwa litewskiego. Druga rozprawa dra Prochaski nosi tytuł: „Podolennem korony w latach 1352—1430.“ Na podstawie kroniki Janka z Czarnkowa i aktu traktatu polsko-litewskiego z r. 1366, autor dowodzi, że król Kazimierz W. wykonywał prawa swoje, jako pana lennego względem Podola, i że ten stosunek trwał aż do czasów króla Ludwika. Charakterystyczne cechy, odróżniające lenno podolskie od innych lenn wschodniej Europy, autor upatruje w następujących okolicznościach: 1) Lennik nie był obowiązany do bicia czołem, które we wschodniej Europie, nie wyłączając Litwy, było niezbędnym warunkiem stosunku lennego; 2) nie płacił Polsce rocznego trybutu, przeciwnie—otrzymywał corocznie pewną kwotę z żup wielickich i bocheńskich, jako zachętę, aby bronił chrześcian od barbarzyńców.

P. Karol Potkański odczytał drugą część swoich „Studyów nad pierwotnem osadnictwem Polski” p. t. „Bartnictwo i organizacya bartnicza (Kurpiowie).” Autor stara się udowodnić powszechność chowu pszczoł w pierwotnej Polsce, wskazuje pewne ślady pobierania daniny miodowej w czasach pogańskich, tudzież związek, który zachodzi między nią a innemi najstarszemi daninami, np. w soli i skórach zwierzęcych. Dalej autor zaznacza istnienie stowarzyszeń, zawiązywanych w celach polowania, rybołówstwa oraz trzebieenia lasów w Polsce i Rusi pierwotnej i zestawia je z podobnemi stowarzyszeniami innych ludów pierwotnych. W drugiej części rozpatruje kwestyę, jakim sposobem przyszło do wytworzenia w Polsce średniowiecznej oddzielnych ośrodków osadnictwa, których ludność zajmowała się wyłącznie pszczelnictwem, jak np. Kurpiowie, a poniekąd i bartnicy w puszczy Radomskiej. Dalej następuje rozbiór warunków fizyograficznych, szczególnie Mazowsza pszczelnego, które wpłynęły na zatrzymanie się ludności na niższym szczeblu rozwoju gospodarczego. Wiąże się z tem ważna kwestya: czy ośrodki owe są późniejsze, jak chcą niektórzy, np. powstałe dopiero wskutek wojen szwedzkich, czy też pochodzą z epoki pierwotnej? Według tego bowiem uważać należy i całą organizacyę bartniczą za późniejszą lub za pierwotną. Autor dochodzi do wniosku, że jest ona pierwotną, przerobioną i przystosowaną tylko do potrzeb i urządzeń w. XIII, XIV i później XVI. Ostatnią kwestyą, roztrząsaną przez autora, są początki osad rolnych na puszczy Mazowieckiej. Wy-

kazuje on pokrewieństwo ze starszemi osadami w puszczy Radomskiej i dochodzi do wniosku, że z jednodworczych, niestałych osad bartniczych przyszło do utworzenia rolnych. Są one tego samego typu, co pasterskie polany Podhala, które w XVIII wieku częściowo na rolne zamieniono.

— *Dr Seweryn Sterling.* „Warunki pracy zawodowej robotników fabryk sukna w Tomaszowie Rawskim.” (Odbitka z „Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego.” Warszawa, T. III i IV, r. 1894).

Autor zaznacza prawie zupełny brak u nas oryginalnych monografii z działu higieny zawodowej. Jako przyczynek do tego, dał swoją pracę, opartą na zebranych skrzętnie szczegółach. Przedstawił obraz warunków higienicznych ludności robotniczej i rodzaj pracy, wpływający szkodliwie na różne organa. Autor zbadał 1809 robotników i na tej podstawie ułożył bardzo ciekawe tablice. W końcu dr Sterling stawia kilka postulatów w sprawie zmiany warunków pracy na lepsze (w zakresie fabrykacji sukna): 1) Wprowadzenie sztucznej wentylacji; 2) lepsze oświetlenie farbiarni, suszarni i t. d.; 3) częste mycie podłóg, ścian, warsztatów, dla usunięcia nagromadzonego pyłu; 4) maski dla pracujących przy przerabianiu wełny, przy gremplach i w przędzalniach; 5) przy budowie gmachów fabrycznych należy uwzględnić następujące warunki: izby, przeznaczone na warsztaty tkackie, powinny mieć mocniejsze podłogi i być betonem (cementem) kryte, dla zmniejszenia drżenia; 6) urządzenie ścieków i spadków w farbiarniach i pralniach; 7) używanie czerpaków do wyjmowania wełny w farbiarniach i pralniach; 8) nosze do wełny pranej, farbowanej, do sukna wilgotnego; 9) odzież nieprzemakalna dla pracujących w powietrzu, przesyconem parą wodną; 10) umywalnie w każdej sali, kominki do ogrzewania jada; 11) używanie lepszych gatunków smarów, tłuszczów, kleju, farb i t. d.; 12) ogradzanie części maszyn groźnych dla zdrowia i życia robotnika; 13) regulowanie zegarów fabrycznych podług jednego wzoru. Różnią się one nieraz o 30 minut. Ojciec, matka i dziecko wracają na obiad o różnej porze. Zmiana pożądana nie zaszkodzi interesowi właściciela, a stanowić będzie dogodność dla robotnika; 14) zadrzewienie podwórzy fabrycznych; 15) popularyzowanie wiadomości higienicznych.

— *Ludwik Krzywicki.* „Za Atlantykiem.” Wrażenia z podróży po Ameryce. Warszawa 1895 (8-ka, str. 340).

Pracę tę, wielce zajmującą, w znacznej części drukowała „Biblioteka Warszawska.” Autor ją rozszerzył i uzupełnił i tym sposobem dał literaturze podróżniczej cenny nabytek, pisany barwnie, zawiera-

jący mnóstwo cennych spostrzeżeń z dziedziny życia ekonomicznego, społecznego i moralnego za oceanem.

— „Dzieł dramatycznych Shakespeara” wydawanych przez firmę Gebethnera i Wolffa w Warszawie, wyszły tomy IX i X zawierające: komedye „Fidle kobiet” (Wesołe kumoszki z Windsoru), „Kupiec Wenecki”, „Uglaskanie sekutnicy”, „Jak wam się podoba”, „Komedję pomyłek”, „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”, „Dwaj panowie z Werony.”

— Lwowskie wydawnictwo „Arcydzieł Szekspira” posunęło się o ośm zeszytów (29, 30, 31, 32, 33, 34, 35 i 36), w których mieszczą się dramata królewskie, a mianowicie „Król Henryk V”, objaśnienia do poprzednich dramatów i „Król Henryk VI” (Części I, II i III).

— Zeszyty 19, 20, 21 i 22 wiedeńskiej publikacji „Dzieje powszechne ilustrowane”, wydawanej nakładem Franciszka Bondy, zamknęły na historii Grecyi tom pierwszy tego ozdobnego i popularnego wydawnictwa.

— Księżdz Jana Piotrowskiego „Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków” wydał A. Czuczynski. Kraków, 1894. Dziennik ten ogłosił po raz pierwszy, z kopii z XVII w. pochodzącej, rosyjski historyk M. Kojalowicz w zbiorze akt, ściągających się do wyprawy pskowskiej, p. t. *Dniownik posledniawo pochoda Stefana Batoria na Rossiju*. Petersburg 1867. Wydanie zaś A. Czuczynskiego opiera się, po za tekstem Kojalowicza, na kopii wcześniejszej, zawartej w cennym rękopisie Biblioteki Dzikowskiej, opisanym szczegółowo przez X. I. Polkowskiego w przedmowie do *Spraw wojennych króla Batorego*. Kraków 1887, a pochodzącej najpóźniej z r. 1598.

— *J. Tretiak*. „Ignacy Krasicki jako Prezydent Trybunału.” Kraków, 1895. Nakład Akademii Umiejętności.

— *Georg Adler*. „Das Gross-polnische Fleischergewerk vor 300 Jahren.” Posen 1895. (Odbitka z publikacji „Historische Gesellschaft für die Provinz Posen”).

— Zeszyt 14-ty Tomu I-go „Słownika nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich” Erazma Majewskiego wyszedł w Warszawie i zawiera wyrazy od *Zebra* do *Zwiwiec*, oraz Dokończenie. Zeszyt ten zamyka tom I Słownika Polsko-Łacińskiego.

— Wyszedł z druku zeszyt 155 „Słownika Geograficznego”, zawierający między innemi opracowania: Wola, Wolborz, Wolbrom, Wolica, Wólka, Wołczyn, Wołkowyja, Wołkowysk.

— *Karol Jacobson*. „Towaroznawstwo, podręcznik dla kupców przemysłowców i szkół handlowych.” Warszawa 1895, u Gebethnera i Wolffa.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

SPIS RZECZY
ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM
Z ROKU 1898.

Historya.

	<i>Str.</i>
Pamiętnik ks. Jana Nepomucena Kossakowskiego biskupa Wileńskiego— ogłosił J. Weyssenhoff	195 i 454
Materyały i notatki. — Z czasów Fryderyka II, przez Szymona Aske- nazego	514

Szkice polityczne.

Sprawa Chińsko-Japońska, przez J. Keniga. (Ciąg dalszy i dokończe- nie)	120 i 323
--	-----------

Etnografia i szkice podróżnicze.

Wśród stepów i jarów. III. Kurhany, przez Ksawerego Chamca. (Ciąg dalszy i dokończenie).	294 i 476
---	-----------

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Tłum, szkic socyologiczny. II. Tłum zbrodniczy. III. Miasto i wieś, przez B. Łozińskiego. (Dokończenie)	31
Monopol wódczany w państwie rosyjskiem, przez Maryana Lewandow- skiego	84

II

Literatura.

	<i>Str.</i>
Na służbie, powieść, przez Zofię Kowerską. (Ciąg dalszy) . . .	1, 238 i 422
Z cyklu „Italia.” „W Kartuzyi.” — Rafael. „Madonna del Cardellino”, „Luini”, (poezye), przez Maryę Konopnicką	104 i 495
Nokturn (wiersz), przez Lucyana Rydla	162
Herkules i Omfala (poezya), przez Wacława Pomiana	342

Studia i szkice literackie i artystyczne.

Antoni Malczewski, — ustęp z dziejów bajronizmu polskiego, przez M. Zdziechowskiego	67
Kilka nieznanych listów Szymona Szymonowicza, przez Józefa Przybo- rowskiego	141
Kraszewski jako estetyk, przez Stanisława Kozłowskiego	499
Najnowsza poezya włoska, przez Hugona Ojetti	549
Przegląd współczesnego malarstwa polskiego, przez Dra K. M. Górskiego	393

Krytyka.

Samuel Adalberg. „Księga przysłów, przypowieści i wyrazów przysło- wowych polskich”, przez Dra H. Biegeleisena	164
Ks. Władysław Dębicki. „Wielkie bankructwo umysłowe.” Rzecz o no- woczesnym skrajnym sceptycyzmie naukowo-filozoficznym, przez K. Kaszewskiego	168
Komornicki Stefan. „Zabory i kolonizacye niemieckie w ziemiach pol- skich ze szczególnem uwzględnieniem W. Ks. Poznańskiego.” — Pułkownik Orłow. „Szturm Pragi w r. 1794.” Odczyty miane w sztabie wojsk gwardyi oraz petersburskiego okręgu wojennego”, przez A. Rembowskiego	363 i 569
Wacław Berent. „Fachowiec” powieść, przez W. Kosiakiewicza . . .	367
„Gesammelte Werke von Gustav Freytag”, przez A.	564

Kronika zagraniczna.

Galiczyjska przez U. Budżet krajowy w Galicji.—Projekt monopolu spi-
rytusowego. — Projekt ustawy o podatkach osobistych. — Smutne

położenie gospodarstw rolniczych i przyczyny tej sytuacji. — Parcelacya jako jeden ze środków zaradczych	105
<i>Paryska.</i> „Pour la couronne” tragedia Franciszka Coppée. — Jusseranda książka o Jakóbie I, królu szkockim. — „Epopea Homerowa” Helblinga w przekładzie Floryana Trawińskiego. — „Watykan, Papież i cywilizacya”, dzieło pp. Jerzego Goyon, Andrzeja Perate i Pawła Fabre’a. — Towarzystwo etnografii narodowej i sztuki ludowej. — Paweł Mantz, zmarły niedawno krytyk na polu malarstwa i rzeźby. — Śmierć Pawła Galanda, krytyka artystycznego i Kamila Doucet’a, stałego sekretarza Akademii francuskiej. — Nasi artyści w Paryżu: Paderewski, Stojowski, Górski	268

Kronika miesięczna.

<i>Kwiecień.</i> Ośmdziesiąta rocznica urodzin Bismarcka. — Sienkiewicz o Bismarcku. — Surowa zima w Europie. — Zdanie dra Leona Petit o wyjazdach chorych na kuracyę za granicę. — Potrzeba stacyi klimatycznych w kraju. — Projekt p. Owińskiego podniesienia rolnictwa przy pomocy zakładów przemysłowych. — Sekcyja handlowa przy Towarzystwie Ogrodniczem. — Zmarli: profesor Maryan Baraniecki, rzeźbiarz Andrzej Pruszyński, kompozytor Stanisław Niedzielski	176
<i>Maj.</i> Koniec wojny chińsko-japońskiej i pokój w Simonoseki. — Zatarg między rządem węgierskim i wspólnym ministrem spraw zagranicznych w Austro-Węgrzech. — Rozwiązanie parlamentu we Włoszech. — Święta wielkanocne i stan higieniczny Warszawy. — Trzęsienia ziemi w Europie. — Towarzystwo ratowania tonących. — Potrzeba wprowadzenia do szkół obowiązkowej nauki pływania. — Wzrost ruchu pasażerskiego na kolejach po wprowadzeniu taryf strefowych. — Zmarli: Ludwik hr. Krasiński, Bogumił Foland, Aleksander Michaux (Miron) i dr Władysław Frankowski	372
<i>Czerwiec.</i> Dymissya Kalnokego i nominacya hr. Gołuchowskiego. — Reforma wyborcza w Austrii. — Zwycięstwo Crispiego. — Interpelacya radykalistów w Izbie francuskiej z powodu udziału Francyi w uroczystości w Kielu. — Zjazd aktorów w Wiedniu i dola aktorów prowincjonalnych. — Projekt komitetu teatralnego. — Ofiara prywatna na Instytut medyczny dla kobiet. — Głos dra Jaworskiego w sprawie akuszerok. — Pożar Brześcia-Litewskiego. — Potrzeba opodatkowania społeczeństwa na organizacyę ochrony od kłgsk. — Ogólne zebranie Towarzystwa zachęty sztuk	

IV

	<i>Str.</i>
pięknych. — Zmarli: Teodor Paprocki księgarz w Warszawie, —	
Karol Vogt, naturalista w Genewie	574

Wiadomości bibliograficzne.

Kwiecień	188
Maj	386
Czerwiec	584

17